

353193

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

1858.

7.3

---

NOWA SERIA.

LIPIEC. ZESZYT XIX.

---

WARSZAWA.

W drukarni Gazety Codziennej  
przy ulicy Daniłowiczowskiej N<sup>o</sup> 619.

---

1858.

OGÓLNEGO ZBIORU ZESZYT CCXI.

---

W księgarni G. Sennewalda jest do nabycia:

**GEOLOGIA**

DO ŁATWEGO POJĘCIA ZASTOSOWANA,

PRZEZ

**L. ZEJSZNERA.**

Cena rub. sr. 1 kop. 80 (złp. 12).

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

NAUKOM, Sztuce, i PRZEMYSŁOWI.

1854.

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

WOWA SERYL.

Tom drugi.

WARSZAWA.

W Drukarni Księżniczki Warszawskiej, przy ulicy Miodowej, u nr. 10.



# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

**1858.**

NOWA SERJA.

Tom trzeci.

353/183

1858/3

**WARSZAWA.**

W Drukarni Gazety Codziennej,  
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617.

1858.



BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA

WYDAWCA

WYDAWCA

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 17/29 czerwca 1858 r.

Cenzor, RADCA DWORU

**Stanisławski.**

WYDAWCA

Tom drugi.

WARSZAWA

W Drukarni Giełty Górnich

1858

# RĘKOPIŚMA

## JANA WINCENTEGO BANDTKIE STĘŻYŃSKIEGO.

### I.

#### O URZĘDZIE WOŹNEGO W DAWNÉM SĄDOWNICTWIE POLSKIÉM.

Urzędowanie woźnego sięga w sądownictwie dawném polskiém odległych starożytności wieków. W rozprzężonym pod Piastami sądownictwie, namnożyły się zgraje sług sądowych, zwanych służebnikami, woźnami, *familiaris*, *officiales*, *praecones*, *ministeriales*. Bywali oni dowolnie przez sądy same na rokach przybierani i dopuszczali się gwałtów i uciemżeń licznych. Kazimierz III zwróciwszy r. 1347 sądownictwo do porządku, skarcił bezprawia woźnych i postanowił: że tylko wojewoda, jako naczelnie sądownictwu ziemskiemu przewodniczący, ma mieć prawo mianowania woźnych, sądenia ich za wykroczenia i pobierania grzywien za pokrzywdzenia im wyrządzone. „Hoc specialiter declaramus, quod officiales vel ministeriales, alias służebniki, nullus, nisi palatini instituere, et eos judicare, proque afflictione aut vulneribus, vel capite eorundem, poenas exigendi vel levandi omnimodam habeant potestatem“ (*Vol. Leg. I fol. 42*).

Lubo urzędy ziemskie nie mogły się obejść bez szlachectwa pod Jagiellończykami utwierdzonego, wszelako piastowali pisarstwa sądowe nieszlachta, duchowni, do r. 1538, i zajmowali się przewodzeniem spraw i piśmiennictwem po sądownictwach ziemskich (*Vol. Leg. I f. 530. Ne spirituales judiciis secularibus se immisceant*). Lubo na urzędy sądowe ziemskie, sędziego, podsędka, pisarza, sama tylko szlachta obierana być mogła (*Vol. Leg. I fol. 251 et Vol. Leg. II fol. 598*), to przypuszczano wszelako w Koronie na urząd woźnego niekiedy z potrzeby i przez względność i nieszlachtę, zalecającą się nauką pisma i łaciny. Chociaż więc w Koronie nie wymagało prawo koniecznie szlachectwa po woźnych, i chociaż dozwalało obierać na ten urząd i nieszlachtę; wszelako uważało woźnych plebejuszów za szlachtę, zapewniało za ich zranienie lub zabicie, nawiązki i głowszczyznę takie same jak szlachcie, (*Vol. Leg. II fol. 936 anno 1576*) i wskazywało sąd i proces dla nich jak dla szlachty w ziemstwach i grodach (*Vol. Leg. II fol. 973 Vol. Leg. VI fol. 481*). Gdy atoli woźny ważniejsze czynności swego urzędowania był obowiązany spełniać samotrzeć z przybraniem dwóch świadków, koniecznie szlachty, dla zupełnej ważności i wiary, nie znalazłby łatwo tych świadków, skoroby sam nie był szlachcicem lub przez prawo za szlachcica uważanym. Nie często więc zdarzać się mogło i w Koronie, aby plebejuszowi poruczono przez względność urząd woźnego w sądownictwie ziemskim.

W pierwszym już układzie Statutu Litewskiego roku 1529, warowano wolny przystęp na woźnego dla samej tylko szlachty i to osiadłej, w słowach: „Ustawujem chcąc mieć, aby w każdym prawie na urzędach Naszych ziemskim, grodzkim, podkomorskim i kommissarskim, zawzdy porządek i sprawa obyczajnie szła, dlatego dajemy moc, aby panowie wojewodowie w każdym powiecie sądowym, gdzie księgi leżą, a w ziemi żmudzkiej pan starosta żmudzki woźnych ustawiali, dawali i postrzygali szlachtę ludzi dobrych, wiary godnych, cnotliwych i osiadłych w tymże powiecie, których urząd ziemski i szlachta obiorą i dadzą świadectwo o cnocie i dobrém zachowaniu ich przez list swój, tak wiele, jakoby według sze-

rokości powiatu potrzeba ukazowała." (*Statut Lit. rozdz. IV art. 8*). W Litwie staranniej i troskliwiej jak w Koronie przyznawano przez następne wieki wyraźnemi prawami cnotę, zacność, wiarogodność, a ztąd i wyłączną do jakiegobądź w ziemstwach urzędowania zdolność samą tylko szlachcie osiadłej, (*bene natis et possessionatis*), i na zasadzie tego axiomu wyrzeczono na nowo prawem roku 1786: „a że na urzędzie woźnych wiara publiczna we wszystkich ich czynnościach gruntuje się, więc reasumując w tém Statut Litewski, mieć chcemy: *aby woźnymi sama szlachta* była do tych urzędów przez ziemstwa i grody własnego województwa i powiatu przypuszczana *sub nullitate tego urzędu, ad cuiusvis instantiam, ex termino tacto* (*Konst. 1786 fol. 20, tyt. o pozwach*).

Niewątpliwie zatem w Koronie ze zwyczaju, a w Litwie z wyraźnego przepisu praw urząd woźnego po ziemstwach mógł być konferowanym szlachcie wyłącznie.

Woźni generalowie z łaciny tak zwani, (*ministeriales generales*) zjawiają się współcześnie i powszechniej za ustanowieniem Trybunałów za Stefana Batorego króla. Roku 1576 nakazano sądom woźnych generalów przypuszczać *ad abeunda officia* i relacye ich przyjmować pod karą 100 grzywien, skarżącemu opłacać się mającą. (*Vol. Leg. II fol. 924*). Blizka tymczasem redakcyja trzecia Statutu Litewskiego z r. 1588, dodała w rozdziale IV nowy artykuł 104, opisujący tenże urząd nowonastaly, w słowach: „O woźnym którego zowią po łacinie general. Bacząc My Hospodar, iż tego jest potrzeba dla wielu potrzeb i spraw ludzkich, ustawujemy: iż w każdym województwie i powiecie w tutejszém Państwie Naszém Wielkiém Księztwie Litewskiém nad insze jeden woźny ustawion być ma takowy, którego łacińskim językiem zowią general. A takowy urząd w tém województwie i powiecie osiadłemu rodzicowi Wielkiego Księztwa, pismo ruskie umięjącemu, za przyczyną i oznajmieniem o nim Nam Hospodarowi od wojewód, starost sądowych i szlachty, obywatelów tych powiatów, zkad ten będzie. A my Hospodar listy z kancelaryi Naszój na takowe urzędy im dawać mamy, po których daniu Naszém Hospodarskiém, na urzędzie tym, w którym powiecie takowa osoba osiadła



będzie, na pierwszych rokach sądowych ziemskich przed urzędem, przy bytności szlachty, przysięgę na urząd swój rotą inszych woźnych uczynić ma, a po takiej przysiędze już urzędem swoim szafować i sprawować będzie takowym sposobem. To jest, taki woźny w każde województwo i powiat *po wszystkiej ziemi* tego Państwa Naszego W. Ks. Litewskiego, gdziekolwiek komu jedno potrzeba będzie, pozwy nosić i urzędem swym woźnowskim wdać i szafować moc mieć będzie, i przy każdej sprawie stronę, szlachtę przy sobie mieć ma, jako o woźnych w tym Statucie jest opisano, a zeznanie tego każdego woźnego w każdym powiecie i na każdym urzędzie za mocne i ważne przyjmowane być ma. A w ziemi Żmudzkiej dwa takowi generałowie być mogą.”

W każdym więc województwie i w każdym powiecie miał być jeden woźny nad innych obierany, szlachcie osiadły, przez urzędników i szlachtę, i miał odbierać na woźnego generała z kancelaryi Królewskiej list czyli patent. Nie było różnicy między wojewódzkimi a powiatowemi, bo i sądownictwo ziemskie nie różniło się podług województw i powiatów, lecz odbywało się po powiatach i miejscach stale oznaczonych w każdym województwie. Różnili się tylko woźni powiatowi czy wojewódzcy od woźnych generałów tém: że woźni powiatowi tylko w obrębie swego powiatu, a woźni generałowie w całym kraju koronnym lub litewskim sprawowali prawowaznie swe urządowanie.

Lubo obieranie woźnych służyło wojewodzie jako przewodniczącemu sądownictwu ziemskiemu, a później i szlachcie wraz z nim lub i bez niego na rokach zebrań; wszelako nadawanie woźnych obranych listem czyli patentem, było oddawna prawem monarszém. Stanisław Łubieński, biskup płocki, w przemowie do Tomasza Zamoyskiego podkanclerza koronnego, za Zygmunta III czasów napisanej, zwracał uwagę na nadużycia kancelaryi w wydawaniu tych patentów wydarzane: „Privilegia item faciendi praeconis publici, quem ministerialem vocamus, ex cancellaria regia indiscriminatim dantur, non inserto ejus, qui creandus est, nomine, et absque connotatione diei, quo tale diploma editur, *Usu antiquo id in-*

*ductum, cum alias nullae omnino litterae ex cancellaria regia emanare debeant, nisi integris lineis et absque lacunis, in quibus deinceps aliquid inscribi possit, denique mense, die, et anno, quo scriptae sunt adjecto.*“ (*Stan. Lubieński opera posthuma. Antverpiae, 1643, pag. 221*). Pomimo tego, wydawały kancelarye królewskie i później takowe okienkowe na woźnych patenta. Głównym warunkiem do dostąpienia urzędu woźnego pozostało wybranie woźnego ze szlachty, przez szlachtę; uzyskanie dla wybranego patentu było dodatkową tylko następnością. Wykonana podług przepisanej roty na pierwszych rokach przysięga i zapisane imię w księgi grodzkie i ziemskie obranego i patentowanego woźnego, upoważniało do sprawowania tego urzędu. (*Statut Litew. Rozdz. IV art. 8 i art. 104*).

Nie dla ważności pisma, lecz dla bezpieczeństwa strony interesowanej, miały być wpisywane w metryki czyli akta kancelerskie wszelkie przywileje królewskie, pod pieczęcią większą lub mniejszą z kancelaryi wydawane, aby w razie zatracenia autentyku otrzymanego, można uzyskać jego nieodnienny i wiarogodny odpis: (*Anno 1538 Vol. Leg. I fol. 529 § cæterum*). Patenta na woźnych jednostajne a nawet drukowane dla częstego ich wydawania, nie były wciągane do ksiąg kancelerskich, i nieliczne onych oblaty mogły się wydarzać w tych księgach. Prawo wskazywało potrzebę oblatowania, czyli objawiania imienia woźnego po wykonanej przysiędze tylko w ziemstwach i grodach urzędowania wykonywanego. „I gdy przysięgę woźny uczyni i imię jego w księgi grodzkie a potem i w ziemskie księgi na rokach wpisane będzie, tedy już takowy woźny to wszystko, co na urząd jego woźnowski należy, słusznie sprawować może.” (*Słowa Stat. Litew. rozdz. IV art. 8*). Przysięga i oblata patentu w właściwym powiecie dopełniona, czyniła woźnego jawnym i wiadomym sądowi i ziemstwu, a oblata w aktach właściwych prawem wskazanych zdziałana, czyniła oblatowanie dyplomu czyli patentu w księgach kancelerskich zbytecznym i wcale niepotrzebnym.

## III.

SKŁAD I FORMACYA CHORAĞWI WOJSK POLSKICH, JAKIE  
W WIEKU XVIII ISTNIAŁY.

Komput czyli skład wojska doznał trzykrotnej zmiany w ostatnim wieku.

Roku 1717 po zwinięciu dawnego wojska bitnego, przestano w skutku sejmu traktatowego na szczerpłej liczbie 24,000 głów, przeznaczając na Koronę 18,000, na Litwę 6,000. August III zaprzysiął przy objęciu berła (*in pactis conventis*), nie dozwalać nikomu cudzoziemskim sposobem zaciągać ludzi, trzymać wojsko podług liczby r. 1717 przepisanej, nie wprowadzać do kraju wojsk cudzoziemskich bez pozwolenia stanów ani nie zaciągać nowych, bądź kwarcianych, bądź innych, ani ich wyprowadzać za granicę. Lubo już r. 1736 i w późniejszych latach uznawano potrzebę pomnożenia gotowej kraju obrony, wszelako, z powodu niedochodzenia ciągłego sejmów i dla innych przeszkód, pozostała ta szczerpła liczba wojska do r. 1775 niezmienioną, chociaż przy tej szczerpłości nie bywała zupełną. Ustawa z r. 1717 (1) i wyciąg z niej przez Felixa Bentkowskiego naczelnika głównego archiwum Królestwa pracowicie ułożony, podaje następujący tabellaryczny wykaz stanu i podziału wojska ówczesnego:

## I. W Koronie.

## A. Polskiego auctoramentu:

- a) Usaryi, chorągwi 16.
- b) Pancernych, chorągwi 76.
- c) Chorągwi lekkich 8.

## B. Cudzoziemskiego auctoramentu:

- a) Dragonów, rajtarów, regimentów 8.
- b) Piechoty, wraz z artylerją pułków 9.

(1) Volum, Legum VI fol. 332—382.

## II. W Litwie.

- a) Usarzów chorągwi 6.
- b) Patyoryi chorągwi 26.
- c) Tatarów czyli ułanów chorągwi 12.
- d) Kozaków chorągwi 8.
- e) Dragonów regimentów 4.
- f) Piechoty regimentów 3.
- g) Artyleryi regiment 1.
- h) Janczarów 300 głów,
- i) Kurucha (Wolochów) chorągiew 1.

Roku 1775 pomnożono dopiero liczbę wojska do 30,000 głów, zachowując dawniejsze podziały jazdy i nazwy ich chorągwi, (1) i rozróżniając jeszcze cudzoziemski zaciąg od wojska swojskiego. Lecz że w r. 1780 liczba tego wojska nie dochodziła ani dwóch trzecich części, że przestawano w Koronie na 12,440, w Litwie na 4770 głów żołnierza wszelkiej broni, powziąć można przekonanie z Skrzetuskiego (2) i z wypisu przez naczelnika głównego archiwum z niego podanego.

Roku 1788 rozpoczęty sejm czteroletni uchwalił podnieść siłę zbrojną do 100,000 głów (3). Organizacya ta wojska nie przyszła w wykonanie. Kawalerya narodowa w tej organizacyi miała się składać trybem dawniejszym z samej tylko szlachty, różnica wojska krajowego a cudzoziemskiego zaciągu całkiem miała być zaniechaną, lubo zamierzano całe wojsko na sposób cudzoziemski urządzić. Prawo uchwalone 18 kwietnia 1791 r. w tyt. 2 § 8 o miastach, wyrzekło nadto: „W całym wojsku (prócz kawaleryi narodowej) w każdym korpusie, regimencie i pułku dla obywatelów kondycyi miejskiej będzie odtąd wolny wstęp do dosługiwania się rang oficerskich stopniami; a który dosłuży się rangi sztabskapitana lub kapitana chorągwi u piechoty, a rotmistrza w pułku, mocą terażniejszego prawa szlachcicem z potomkami swemi w wszelkich do niego przywiązanych

(1) Vol. Leg. VIII fol. 153, 154.

(2) Prawo polit. Tom I str. 395.

(3) Trębickiego Zbiór praw tom 2 str. 466.

prerogatywach zostanie, i My król *diploma nobilitatis* takowym, za okazaniem patentu wydawać będziemy, od którego opłata stempla następować nie ma." Służba w jeździe zachowywała się więc ciągle dla samej tylko szlachty, a służba trybem obcym urządzona, piechoty, artyleryi, inżynierów dawniej i dragonów, była otwarta i dla nieszlachty, dla cudzoziemców; lecz i tu do wyższych rang preferowano szlachtę, nadawano nobilitacye lub indygenaty bez trudności, i dopiero r. 1786 wyłączono zupełnie cudzoziemców ze służby wszelkiej. „W kawaleryi narodowej, że tylko sama rodowita szlachta polska być ma, ostrzegamy (1) (są słowa prawa), równie w regimentach autoramentu cudzoziemskiego obojga narodów szlachta rodowita polska mieszczona na generałów, sztabsoficyerów i oficyerów być ma; a od kreacyi oddą, cudzoziemców zupełnie wyłączamy; *salvis modernis possessoribus*." Jak dalece zamierzano wyzuć się z cudzoziemczyzny wszelkiej, przekonywa postanowienie sejmku czteroletniego z d. 28 listopada 1788 r., którym nakazano ubiór gemejnow i unteroficyerów zbliżyć do stroju polskiego, — przepisano zaś ubiór zupełnie polski w całym wojsku, zaczawszy od hetmanów i nie wyłączając rotmistrzów kawaleryi narodowej.

Gdy nobilitacye i indygenaty od czasów Stefana Batorego, tylko przez stany sejmujące przyznawane być mogły: ustały dowolne przypuszczania do herbu i szlachectwo za wstawieniem się hetmanów przez króla nadawane; lecz nie zbywa na częstych i łatwych, nieutrudzanych przyznaniach szlachectwa lub indygenatu czynionych wojskowym cudzoziemskiego auctoramentu. W nagrodę męstwa okazanego, wyniesiono czterech szeregowych na towarzyszków, 24 września 1789 r., i kosztem skarbu ekwipowano i nadano im tym samym nawet wtedy szlachectwo.

Jazda czyli konnica była oddawna głównem i naczelnem wojskiem w Polsce. Pancerni, husarze, petichory czyli piatichory, lekkie chorągwie Tatarów, kozaków, składały jazdę. Pancerni i husarze w wojsku ko-

(1) Konst. 1786 fol. 19. (2) (3)

ronném do roku 1775 zjawiający się, a husarze i petychorey w Litwie jeszcze w r. 1780 utrzymywani, przybrali w czasie czteroletniego sejmu nazwę kawaleryi narodowej. Czacki poświadcza: że wszystkie te gatunki jazdy polskich chorągwi były kawaleryą płatną i stałą, oprócz pospolitego ruszenia, które w wieku XVII zjawiało się po raz ostatni (1). Kawalerya ta składała się zawsze, jak Czacki powiada, z towarzyszków, pocztowych czyli szeregowych i luzaków. Towarzysz stawiający poczet szeregowych sowity nosił mundur, sam nie był do służby obowiązany. Luzak był do osobistej usługi, stawał jednak do boju za szeregowymi w trzecim rzędzie, mając konia luźnego na odwodzie, a towarzysz zajmował w boju i na okazkach pierwszy szereg, bo i dawniejszym czasem szlachta tylko sama stawała w pierwszym rzędzie na pospolitej wyprawie i na popisie, i stawała w tyle za sobą swe orszaki i nieszlachtę z ziemi do boju powoływana. Powaga tych towarzyszków zmniejszała za Stanisława Augusta, wszelako aż do roku 1775 miewali swoje zjazdy i narady o porządku wewnętrznym, które nazywano koła, a używając przez próżność stopni wyższych w porównaniu z innymi pułkami, chcieli i wtedy jeszcze brać komendę nad oficerami sztabowymi w innych regimentach. Aż do sejmu 1788 r. mieli towarzysze rangę chorążych, a stopniowanie w próżności stawiało rotmistrzów nieczynnych w randze generał-majorów (2). Na tym sejmie rotmistrze po większej części kosztem własnym pomnożyli chorągwie, a rang swych świetności wraz z podkomendnymi wszelkiego rodzaju stracili z własnej chęci, jak donosi Czacki (3). Zachowano wprawdzie r. 1788 dla kawaleryi narodowej rangę w wojsku stopniem wyższą, lecz przepisano czynną dla awansu służbę, stanowiąc: że rotmistrz na majora bry-

(1) Czacki o lit. i pols. prawach tom 1 str. 214 art. 1083.

(2) Vol. Leg. VIII fol. 155 równa rangi wojska tego towarzysza z chorążym, namiestnika z porucznikiem, chorążego z kapitanem, a porucznika z pułkownikiem. Podobnie opisano rangi kawaleryi 18 lutego 1790 roku.

(3) O lit. i pols. prawach tom 1 str. 215.

gady postąpić może tylko ten, który zupełnie subordynacyi wojskowej się podda i najmniej 4 miesiące ciągle w roku przez 6 lat służbę przy chorągwi siedząc, pełnić będzie (1). Rotmistrem w kawaleryi narodowej także od owego czasu nadal nie miał być, jak tylko mający possessyą dziedziczną, i będący w wieku lat 20. Zachowano w tém dawny zwyczaj, lubo nie wymagano od rang generalskich posiadłości dziedzicznej, i nie przypuszczano, iżby ziemia nadawała lub poręczała zdolność i męstwo.

Poznawszy skład wojska polskiego w wieku XVIII, wypada teraz rozważyć sposób zaciągu stałego płatnego żołnierza i konferowania rang oficerskich.

Nie wchodząc w czasy dawniejsze wojowania przez pospolite ruszenie ziemian i milicye nadworne i zaciężne, po wyprawie zwykle rozpuszczane, nie rozbierając: jak i kiedy zaopatrzone stałego, na żołd branego żołnierza, dosyć będzie wspomnieć przedwstępnie: że od czasów Kazimierza Jagiellończyka, prawo nakazywania pospolitego ruszenia, prawo toczenia wojny, a zatem i potrzeba zwiększenia siły zbrojnej wojskiem zaciężnem, stały się zawisłemi od woli stanów sejmujących. Skoro stany uchwały wojnę i potrzebę zaciągu na żołd pomnożonego, wydawał król listy przypowiednie rotmistrom na zbieranie wojska płatnego. Rotmistrze chorągwi polskich obierali lub przybierali towarzyszków z grona szlachty do jazdy, a ci wiedli za sobą dowolne poczty szeregowych, luzaków i ciurów. Rotmistrze chorągwi cudzoziemskich tak jazdy jak piechoty i artyleryi późno nastaléj, dobierali werbunkiem ludzi dorodnych, nie dopytując się o ich ród i braterstwo. Kozacy i Tatarzy niekoniecznie ziemię posiadający, składali lekką jazdę pod chorągwiami rotmistrow, listem przypowiednim lub patentem upoważnionych. Służących w téj jeździe uwalniano od pogłównego i od innych ciężarów, od których szlachta była wolną, i nie zabraniano im dosługiwać się stopni czyli rang oficerskich. Nadawano dożywotnio chorążostwa Tatarom zasłużonym, chociaż nieo-

(1) 18 lutego 1790 r.

siadłym i z własnej woli wojskowo służącym (1); Tatarzy zaś ziemią nadani, byli obowiązani do osobistej bezpłatnej służby na każdą wyprawę wojenną i byli uczestnikami swobód i praw szlachty.

Rotmistrz mianował podwładnych namiestnika, chorążego, porucznika w kawaleryi narodowej i w jeździe lekkiej, rotmistrz udzielał rangi podwładne. Chorążych przewodniczących pospolitemu ruszeniu obierano tak, jak innych urzędników ziemskich czyli powiatowych na rokach ziemskich lub grodzkich (2). Dowódców hetmanom podwładnych, i samych hetmanów, mianował sam król lub z woli jego hetman w czasach dawniejszych; lecz później przywłaszczyli sobie hetmani wielcy i polni prawo mianowania i patentowania oficerów w brygadach i regimentach. Jeszcze r. 1775 przyznawano hetmanom prawo kreowania i patentowania w regimentach i brygadach narodowych wszystkich do rang, począwszy od chorążego aż do kapitana włącznie (3). Za hetmana tylko przyzwoleniem wolno było jeszcze r. 1775 generał-lejtnantom i generał-majorom zbywać swe rangi za czteroletnią gażę (4). W czterech chorągwiach gwardyi królewskiej polskiego auktoramentu przyznano wtedy r. 1775 królowi prawo do mianowania samych tylko rotmistrzów, i chciano: aby inne wszystkie w gwardyi promocye wojskowe podług starszeństwa były rozdawane. Gdyby król podał kandydata z oficerów młodszych, w służbie narodowej aktualnie zostających, co mu dozwolono, tajemnym głosowaniem miano rozstrzygać, czy ten kandydat, czy też mający starszeństwo i rekomendacją hetmana miał promocyi dostąpić (5).

Dopiero w r. 1776 przywrócono monarsze prawo mianowania i patentowania do wszystkich stopni wojskowych aż do najniższego oficera. Szefowie regimentów mieli królowi donosić o wakansie wydarzonym

(1) 1659 r. Vol. Leg. IV f. 683—1662 r. Vol. Leg. IV fol. 904—1673, 1674 r. Vol. Leg. V fol. 159, 233.

(2) Statut litew. rozdz. II art. 5.

(3) Vol. Leg. VIII fol. 157.

(4) Vol. Leg. VIII fol. 157.

(5) Vol. Leg. VIII fol. 852.



i o starszeństwie opisaném z zasług i zdolności. Rotmistrzom chorągwi polskich zostawiono prawo dawne przybierania towarzyszków i mianowania z ich grona oficerów; lecz patentowanie tych oficerów i kreowanie tychże rotmistrzów w chorągwiach polskich wszelkich, zachowano królowi (1). Utrzymując te postanowienia w swęj mocy, ograniczono w zwyczajną sprzedaż rang wojskowych r. 1784, służbą piętnastoletnią udowodnioną i zezwoleniem od króla na sprzedaż wyjednywać się mającém, i zastrzeżono: że tylko szlachta rodowita lub indygenatem zeszczyчени, szarżę splanąć mogą czteroletnią gażą, tudzież, że zbywający szarżę z funduszu inwalidów nie będzie mógł korzystać (2). Nie zmieniono tych postanowień w niczém na sejmie czteroletnim.

Zostawując r. 1788 rotmistrzom chorągwi polskich wszystkim (bo cudzoziemskich już wówczas nie było) prawo dawne nominowania towarzyszków i oficerów, zachowano prawo patentowania królowi. Do wszystkich szarży wojskowych obojga narodów, bez excepcyi, do najmniejszego oficera, przyznano na nowo królowi mianowanie i patentowanie. Na sejmie tym czteroletnim r. 1788 rozpoczętym, reassumowano ustawę z r. 1784 względem sprzedaży rang w całym wojsku, i rozciągnięto konstytucyą z r. 1786, szlachectwo do rang wszelkich oficerskich wymagającą (3) na nawo troskliwie do całego wojska (4). Ponieważ dozwolono atoli wtedy, jak wyżej już powiedziano, i nieszlachcie dosługiwać się w każdym korpusie, regimencie i pułku, z wyjątkiem kawaleryi narodowej, stopniami rang oficerskich, a za ich dostąpieniem nawet szlachectwa: zachowano wszelako tém samém rangi w kawaleryi narodowej dla samej tylko szlachty rodowitej, bądź krajowej, bądź obcej, indygenatem obdarzonej, a w innych tylko pułkach i rotach otworzono nieszlachcie przystęp do rang oficerskich i możność lub konieczność dostępowania nobi-

(1) 1776 Vol. Leg. VIII fol. 852.

(2) 1784 konst. fol. 12, 13.

(3) Konst. 1786 f. 19.

(4) 3 grudnia 1788 i 20 grud. 1788 r.

litacyi, za osiągnięciem rangi (1). Do rotmistrza stopnia w kawaleryi narodowej wymagano obok szlachectwa rodowitego posiadłości ziemskiej, bez której towarzysz mógł się obejść (2).

Dawniejszych czasów prawa wyniosły szlachectwo w Polsce do najwyższego szczytu powagi: bez niego, nie godziło się dostępować prelatur i prebend znaczniejszych; bez niego nie wolno było dzierżyć i dziedziczyć dóbr ziemskich; bez niego rugowano z pierwszych szeregów stawających do obrony kraju na wyprawach popolitych; one uzcinało wiarę świeżą neofitów; one tylko wyłączenie piastować mogło godności i urzędy wszelkie i całą rzeczpospolitą. Nie może więc zadziwiać, że i stopnie wojsku przewodniczące, oddawna przez samą tylko szlachtę dostępowane być miały. Dawno warowano: że rotmistrzami kwarcianego stałego wojska, ma być szlachta osiadła (3), że oficerami piechoty łanowej również tylko szlachta osiadła być może (4), że listy przypowiednie na rotę kozackie tylko szlachcie osiadłej król mocen wydawać (5), że na rotmistrzów do pułków tatarskich sama tylko szlachta osiadła na rokach ziemskich lub grodzkich obieraną być miała (6).

Urządzając na sejmie czteroletniim wojsko i rzeczpospolitą, a nie mogąc pokonać odrazu wszechmocnej powagi szlachectwa, zacnowano w części prerogatywy jego, a zatem zachowano i rangi w wojsku dla szlachty rodowitej; lecz idąc z duchem czasu za słuszością, przypuszczono prawem lud gminny do dostępowania rang wojskowych i zapewniono mu prawem nobilitacye bezpłatne za ich dostąpieniem, co zachowywało się przed sejmem czteroletnim ze zwyczaju samego.

Krótkotrwałe postanowienia sejmu z r. 1793 przestały na zredukowanym kompucie kawaleryi naro-

(1) 18 kwiet. 1791 tyt. II § 8 o miastach.

(2) 18 lutego 1790.

(3) 1591 r. Vol. Leg. II fol. 1372.

(4) 1726 r. Vol. Leg. VI pol. 411.

(5) 1611 Vol. Leg. III fol. 25.

(6) 1613 Vol. Leg. III fol. 164—1658 Vol. Leg. IV fol. 523—1662 Vol. Leg. IV fol. 904.

dowej 4,005 głów, piechoty 6,014 głów, obejmując w tém i gwardye królewskie i sztab generalny i korpus artyleryi, inżynierów i pontonierów (1). Zastrzeżono wtedy w prawach kardynalnych zdolność do honorów, godności i urzędów duchownych i świeckich dla saméj tylko szlachty krajowej, a to szczególnie co do biskupstw i ministeryów, nie wyłączono więc nieszlachty od rang wojskowych (2). Wypowiedzenie wojny, pomnożenie lub umniejszenie wojska miały być jako materye status decydowane przez trzy części sejmujących przeciwko czwartej, głośnie i sekretne wotowaniem (3). Zachowano atoli i wtedy królowi prawo wydawania listów przypowiednich na zaciąg wojska za wolą sejmu nastąpić mający (4), tudzież prawo patentowania do rang wszelkich oficerskich (5). Zachowawszy dla kawaleryi narodowej, jako z szlachty saméj złożonej, rangę jednym stopniem wyższą (6), przyznano wyraźnie: że podług dawnych praw i zwyczajów, nieszlachta może dostępować po innych korpusach wojska rang i nobilitacyi bezpłatnej przeciw scartabellatu (7).

(1) Konstytucya bez tytułu i końca wydrukowana z r. 1793 w części II na str. 94.

(2) Tamże w części II str. 3 art. 11.

(3) Tamże w części II, str. 10, 11.

(4) Tamże część II str. 7.

(5) Tamże część II str. 89, 93 lit. L.

(6) Tamże w części II str. 90. Towarzysz miał rangę chorążego, chorąży miał rangę podporucznika, podporucznik porucznika, porucznik kapitana; major miał rangę podpułkownika, vice-brygadyer miał rangę pułkownika, brygadyer miał rangę general-majora.

(7) Tamże w części II str. 111 art. 14.

## III.

## O TATARACH,

I W OGÓLE O MIESZKANCACH TUTEJSZO-KRAJOWYCH  
WYZNAJĄCYCH RELIGIĄ MAHOMETAŃSKĄ (1).

Mieszkańcy Królestwa, wyznający religią mahome-  
tańską w gub. augustowskiej, podlaskiej i lubelskiej li-  
czniejsi, są potomkami Tatarów, którzy w Litwie, na  
Wołyniu i w Koronie od wieku XV często jako jeńcy wo-  
jenni byli po królewsczyznach i dobrach ziemskich osa-  
dzani. Może być prawdą atoli w części, jak sami Tata-  
rzy utrzymują, iż dobrowolnie przybyli tutaj, sprzykrzy-  
wszy sobie niezgody w ojczyźnie; wszelako nie można za-  
przeczać, iż niemala liczba Tatarów tu osiadłych, pocho-  
dzi z brańców wojennych. Ceniąc waleczność, mężstwo  
i dziarskość tego ludu, nie wiązano go do ziemi wydzie-  
lanej, poddaństwem; zachowało go przy swobodzie oso-  
bistej i wolności sumienia, a dając mu na skromne po-  
trzeby zaopatrzenie grunta szczupłe, wkładano nań obo-  
wiązek do ziemi nadanej powszechnie przywiązany: —  
obrony kraju i gotowości do każdej wojennej wyprawy.  
Jeszcze za Michała i Jana III czasów sławiono prawami  
wierność Tatarów, nadawano wtedy pojmanyh ziemią  
i potwierdzano nadania i swobody dawniejsze (2).

Dobra Tatarom nadawane usiłowano zachować w ich  
dziedzicznym i niezmiennym posiadaniu dla zapewnienia  
służby do boju gotowej, zabraniano im przeto zbywać tych  
dóbr szlachcie, nabywać od szlachty w miejsce zbytych,  
zniewalano ich do pozbycia się nabytków takich od szla-  
chty w ciągu dwulecia, z dozwołonym po dwóch latach  
skupem tych, krewnym za połowę ceny, i powoływano

(1) Rozprawa ta była w polowie tylko drukowana w *Album Lite-  
rackim* K. Wł. Wójcickiego: druga jej część o Tatarach od r. 1815 pozo-  
stała w rękopiśmie. Całość więc teraz zupełną przedstawiamy naszym  
czytelnikom. Przyp. red.

(2) 1673 r. Vol. Leg. V fol. 159. 1674 r. Vol. Leg. V fol. 233.  
1677 r. Vol. Leg. V fol. 529.

szlachtę, którzy nabyli tatarowczyzny bez przyzwolenia króla, do osobistej bezpłatnej służby pod utratą dóbr (1).

Zamierzano temi prawami ustalić służbę osobistą Tatarów, którzy z nadanej ziemi byli obowiązani podejmować wyprawy wojenne o koszcie swoim bez żołdu. Tatarów osiadłych, hetmanom i królom zapowiadać na żold niewolno było pod utratą majątności nadanej (2). W czasach późniejszych szły te ścieśnienia własności lokacyj tatarskich w niepamięć, tém łatwiej, że były przeciwne przywilejom dawniejszym, bo r. 1569, podczas unii ostatecznej Litwy z Polską, uznane były wszelkie posiadłości ziemskie na Wołyniu, w ks. Kijowskiém i na Litwie, kiedykolwiek i jakimkolwiek prawem nabyte, chociażby listów nadawczych nań nie miano, za wieczyste, dziedziczne i niewzruszone (3).

Tem samém majątności ziemskie przez Tatarów dzierżone, zostały już wtedy prawem zrównane z dobrami przez szlachtę posiadanemi.

Tatarzy ziemią nadani i starszyzna tatarska kniaziów, murzów, ułanów, była obowiązana z posiadanej ziemi służyć osobiście bez żołdu na wyprawach wojennych koniecznie, i dostępować uczestnictwa i wspólności praw szlachty w końcu XVIII wieku zupełnie prawie równych.

Tatarzy ziemią nienadani, przez rozrodzenie lub pozbycie się jęj posiadania pozbawieni, furmanką, handlem, rzemiosłami bawiący się, jeżeli za żold w pułkach krajowych nie służyli, do czego zawsze byli ochoczymi, zostawali pod zwierzchnictwem swęj starszyzny, lecz zażywali tylko praw gminu wolnego pospolitego, opłacali zarówno z Izraelitami pogłównę za siebie, żony i dzieci swe. Starszyzna, chorążowie i ułanowie zebrawszy od nich podatek ten osobisty, wnosili go do skarbu pod przysięgą: iż nie utaili współbraci nieosiadłych (4). Słu-

(1) 1616 Vol. Leg. III fol. 309. 1620 Vol. Leg. III fol. 376. 1632 Vol. Leg. III fol. 712.

(2) 1607 r. Vol. Leg. II fol. 1634 et passim.

(3) 1569 Vol. Leg. II f. 756 § 6; fol. 762 § 3—fol. 773 § 18.

(4) 1628 Vol. Leg. III fol. 583—1658 Vol. Leg. IV fol. 575—1673, 1674 Vol. Leg. V fol. 159, 233. Spis i pobor pogłównego przeniesiono na władze ziemskie r. 1677 Vol. Leg. V fol. 599.

żących atoli Tatarów w pułkach lekkiej jazdy, nie z obowiązku posiadanej ziemi, lecz z własnej ochoty za żołd, uwalniano od podatku pogłównego i od innych ciężarów, od których szlachta była wolną, i uznawano prawami Tatarom godność rodu i sposobność zasługi szlachcie krajowej równą. Nadawano zatem też dożywotnio chorążostwa Tatarom zasłużonym, chociaż nieosiadłym (1). Lubo prawa dawniejsze chciały, aby szlachta osiadła tylko była obieraną na rokach ziemskich lub grodzkich rotmistrzami do pułków tatarskich (2), wszelako późniejsza oświata i wdzięczność do 1786 r. prawami czule poświadczana narodu, dopuściły, iż w ostatnich czasach kawalerya narodowa (czyli wojsko szlacheckie) zostawała pod rozkazami generała z rodu Tatarów (3).

Od czasów zaszczeplonego przez Jezuitów, a pielegnowanego starannie pod Zygmuntem III fanatyzmu i prześladowania innowierców, zjawiały się ustawy tchnące nienawiścią ku Tatarom. Na wstępie panowania Zygmunta III ogłoszony r. 1588 trzeci układ Statutu Litewskiego, zapowiedział: „Ustawujemy i od tego czasu mieć chcemy, aby żyd i Tatarzyn i każdy bisurmanin, na dostojenstwo ani na który urząd od nas Hospodara, ani od panów rad Naszych przelożony nie był i chrześcian w niewoli nie miał; zabronił Tatarom i Izraelitom zakupować chrześcian w niewolę wieczną pod przepadkiem pieniędzy, dozwolił brańców lub zakupniów chrześcian przed urzędem nabytych do lat siedmiu na wyrobku trzymać lub na ziemiach swych osadzać i pasznią im dawać; zagroził spaleniem żywcem namawiająeym na zmianę wiary lub obrzezującym pojmańców lub zakupniów chrześcian, wzbronil trzymać mamki chrześcianki pod karą 20 kop groszy i zastrzegł na przypadek, jeżeliby Tatarzynowi albo żydowi był dany dwór lub imienie z ludźmi, aby

(1) 1659 Vol. Leg. IV f. 683—1662 V. L. IV f. 904—1673, 1674 V. L. V f. 159, 233.

(2) 1613 V. L. III f. 164—1658, V. L. IV fol. 523—1662, V. L. IV f. 904.

(3) Świadczy o tém Czacki O lit. i pol. prawach T. II str. 140—w przypis. II in fine.

tych ku podatkom i służbom niezwykłym nie przyniewalali (1). Przy tych postanowieniach waruje Statut Litewski: „Wszakże ci poddani tatarscy, którzy zdawna na imionach siedzą, ci za ojczyce w nich jako i u inszych obywatelów W. X. Litewskiego rozumiani być mają.” Dla tych Tatarów zachowano prawa zapewnione już r. 1529 i 1564 układem poprzednim podwójnym Statutu Litewskiego, zachowano za rany nawiązki, za zabój głowsczynę jednakowe jak szlachcie, utrzymano dowód i odwód na zabójstwo taki sam jaki był przepisany dla szlachty, nie uchylono równiej ze szlachtą wiarogodności i ważności świadectwa Tatarów w sporach granicznych i innych (2). Za wzmaganiem się żarliwości fanatyzmu i za wzrostem nienawiści innowierców, zabraniano na nowo Tatarom żon chrześcianek pod karą gardła, zakazywano pod znaczną opłatą pieniężną najmu czeladzi chrześciańskiej, z wyjątkiem słodowników, browarników i furmanów; niedopuszczano im dóbr królewskich i szlacheckich trzymać za kontraktami, meczetów nowych stawiać a podupadłych naprawiać (3). Wierność i prawość w pozyciu społeczném i domowém Tatarów, przez wszystkie wieki prawodawstwem krajowém poświadczana, zdołała wszelako, nawet w czasach nienawiści i obok postanowień ludzkość krzywdzących, nietylko odnosić uroczyste na sejmach zatwierdzanie praw i swobód nadanych przez książąt litewskich i królów polskich (4); lecz dostępowała oraz na nowo uczestnictwa niemal zupełnego praw i swobód takich, jakich stan rycerski w kraju używał. Stawiano Tatarów na równi praw ze szlachtą, uznawano ich za szlachtę (5), przyznano ich posiadłościom wolność od przechodów i ciężarów też samą jak dobrom szlacheckim (6), zrównano ich zupełnie ze szlachtą

(1) Stat. lit. rozdz. XII, art. 9.

(2) Stat. lit. rozdz. IV, art. 76, rozdz. IX, art. 14, rozdz. XI, art. 33, rozdz. XII, art. 10.

(3) 1616 r. Vol. Leg. III, fol. 309— 1668 r. Vol. Leg. IV, fol. 1048, 1678 Vol. Leg. V, fol. 585.

(4) 1659 r. Vol. Leg. IV, fol. 683.

(5) 1662 r. Vol. Leg. IV, fol. 905—1673, Vol. Leg. V, fol. 159—1674, Vol. Leg. V, fol. 233.

(6) 1677 r. Vol. Leg. V, fol. 529.

w sprawach kryminalnych, w podatkach i opłatach sądowych (1), nie wyłączono ich nigdy z pod sądownictwa ziemianom właściwego. Gdy w pierwszej połowie wieku XVIII pod Augustami II i III odsunięto dla różności wiary, od braterstwa i obrad szlachtę rodowitą i osiadłą, od stolicy rzymskiej odstrychłą, nienaruszono ani wtedy swobód Tatarom przywilejami i prawami tylokrotnie zawarowanych: zatwierdzano je i owszem uroczyście na nowo r. 1717 (2), uznano wszelkie uchwały partykularne za nieważne i prawu przeciwne r. 1726 (3), warowano r. 1736, aby Tatarzy w niczém nad stan szlachecki nie byli pociągani i depaktowani (4). Gdy w drugiej połowie wieku XVIII duch czasu, obcy wpływ i usunięta Jezuitów powaga zmieniły w Polsce sposób myślenia i oceniania ludzi podług ich wiary, przywracano wolność sumienia i mahometanom. Zachowując r. 1768 Tatarów przy ziemiach i prawach nadanych, równając ich znowu ze stanem szlacheckim, przywrócono im wolność erekcyi i konserwacyi meczetów, a tym Tatarom, którzy niedawno za Jana Kazimierza, Jana III i Augusta II otrzymali lokacye po królewsczyznach porozrzucane, przyobiecano wtedy nadać, w zamian dzielnic rozproszonych, dwa starostwa po złp. 10,000 dochodu czyniące (5), co nie przyszło do wykonania. W nowém utwierdzeniu praw i przywilejów Tatarom służących, r. 1775 wyrzeczono: „Tatarowie, mianowicie zacnego narodu kniaziowie, murzowie, ulanowie i wszyscy Tatarowie, którzy na ziemskich dobrach mieszkają i służbę wojenną odprawują, tudzież na hybernowych i stołowych za wierne usługi, merita i odwagi nadanych od W. K. Litewskich i Królów Polskich i tytu konstytucyami stwierdzonych, są umieszczonymi, szczególną wolnością i swobodami zaszczytzeni i utwierdzeni, że przy służących sobie konstytucyach, przywilejach i wolnościach in aevum zachowują się, lege praesenti declaramus. I tymże Tatarom

(1) 1678 r. Vol. Leg. V, fol. 642—1726, vol. leg. VI, fol. 497.

(2) 1717 r. Vol. L. VI, fol. 331.

(3) 1726 r. V. L. VI f. 497 „non obstantibus laudis privatis”.

(4) 1736 r. Vol. Leg. VI fol. 860.

(5) 1768 r. Vol. Leg. VII fol. 750, 751.



wszelakiem prawem różne dobra nabywać i zbywać, jako też trzymać do usług ludzi obojój płci, meczety na starzych miejscach budować i stare reperować, tak na ziemskich dobrach jako i stolowych, bez żadnej od nikogo przeszkody, pozwalamy (1)."

Nakoniec, gdy Tatarzy nie życzyli sobie brać w zamian lokacyj późnziej uzyskanych, starostw dwóch w Litwie i w Koronie na dziedzictwo, r. 1768 przez wzgląd na wierne ich zasługi i przez zyczliwość im zapewnionych, i gdy dopraszali się r. 1786, aby ich pozostawiono dziedzicznie przy ziemiach bądź lennych, bądź dożywotnich, gdzie pozakładane domy, meczety i groby ich wiązały: postanowiono, za powszechną Stanów zgodą i przez wzgląd na zasługi narodu tatarskiego, prawo w tych słowach: „tychże Tatarów przy nadaniach króla Jana Kazimierza i Jana III i późniejszych, przez Nas i antecessorów Naszych, prawem lennem i dożywotniem danych wieczyście zachowujemy, oraz takowe ich possessye czy to lenne, czyli też dożywotnie, w dziedziczne zamieniamy i prawu ziemskiemu poddajemy. Pzytém wszystkie prawa i konstytuceye narodowi tatarskiemu służące, stwierdzamy, i za niewzruszone mieć chcemy.” (2).

Wszystkich więc Tatarów ziemią nadanych równało prawodawstwo polskie ze szlachtą w stosunkach społecznego i domowego pozycia, uznało posiadłości im nadawane za dziedziczne, poddawało je prawu ziemskiemu i dozwalało Tatarom nabywać i posiadać dobra ziemskie, których dzierżenie stało się prawem wyłącznym od r. 1496 samój tylko szlachty. Prawa polskie wkładając na Tatarów obowiązek służby osobistój, na każdą wyprawę wojenną do ziemi przywiązany, otwierając Tatarom chociaż nieosiadłym wolną za żołd służbę w wojsku stałym, i stawiając przez wszystkie wieki ich prawość, wierność i cnoty rycerskie w boju i przygodach doświadczone, odmawiały wszelako od czasów Zygmunta III stale w jawnej sprzeczności i nieufności, Tatarom w czasie pokoju wszelkiej zdolności do braterstwa i uczestnictwa w obradach

(1) 1775 r. Vol. Leg. VIII fol. 650.

(2) Konst. sejmuz r. 1786 fol. 36, 37.

i urzędowaniach stanu rycerskiego. Nie ma się czemu dziwić, gdy podobnie lub jeszcze bardziej upośledzono chrześcian akatolików przez nienawiść religijną pod Zygmuntem III ugruntowaną, a pod następcami jego starannie pielęgnowaną, wywołując z kraju Aryanów, choć szlachtę, nie przypuszczając do prawa miejskiego innowierców chrześcian i rugując szlachtę inniej wiary choć nie z szeregów wojskowych, to wszelako z senatu, z obrad sejimowych i z urzędów.

Słynny sejm grodzieński w r. 1793 zamieścił w paktach królowi do zaprzysięgi przepisanych sankcją wieczystą w słowach: „prawa, przywileje i nadania dla narodu tatarskiego w państwach rzeczypospolitej zdawna osiadłego, względem osiadłości ich, tudzież dyspozycyi wojennych, które na usługę Rzpltej konstytucyami są obwarowane, nienaruszenie zachowam” (1).

Po upadku Polski, nie zaszyły pod rządem pruskim i austryackim, w prowincyach dzisiejszego Królestwa tym rządowi uległych, żadne zmiany w prawach i swobodach Tatarom, przez prawa nadanych. Zmienił się tylko obowiązek służby osobistej z ziemi pełnionej na wyprawach wojennych za zmianą samej wojskowości (2) i za ustaniem już weześniejszemu pospolitego ruszenia. Zostając Tatarzy w dawnych stosunkach prawnych nienaruszeni, używali praw cywilnych i obywatelskich, innym krajowcom wspólnych; lecz nie wchodzili w uczestnictwo praw politycznych przez dostępowane urzędy za obrębem służby wojskowej, do której zawsze ochoczo i z własnej woli zwykle się brali.

Za nastaniem Księztwa Warszawskiego zapowiedziano w Ustawie Konstytucyjnej z d. 22 lipca 1807 r., że „nikt nie może sprawować urzędów, bądź duchownych, bądź cywilnych, bądź też sądowych, kto nie jest obywatelem ks. Warszawskiego” (3). Dekret królewski z d. 19

(1) Konst. 1793 w części II str. 8.

(2) Gdy od roku 1621 i 1672 nie bywało pospolite ruszenie uchwalanemu, tem samem Tatarzy uwolnieni od niego wraz z ziemianami innymi, służyli w wojsku stałym za żołd, z własnej woli i chęci, bo posiadłość ziemską uwalniała od kantonu szlachtę.

(3) Dziennik praw Ks. Warsz. Tom I str. 51 art. 83.

grudnia 1807 roku przyznał obywatelstwo zrodzonym w kraju lub za granicą z obywatela, tudzież właścicielom nieruchomości w kraju, i pomiędzy innymi także zamieszkałym w kraju od lat dziesięciu i język polski posiadającym (1). Różność religii jakiegobądź nie miała wpływać na używanie praw obywatelskich i politycznych i nie miała nań istotnie wpływu, o ile od uczestnictwa zupełnego praw tych innowiercy niechrześciance przez zasady swe religijne sami dobrowolnie nie odbiegali lub do ich uczestnictwa stawali się niezdolnymi. Na tych zasadach używali więc Tatarzy w księstwie Warszawskiem zamieszkali praw obywatelskich i politycznych, miewali udział na sejmikach obok szlachty na zgromadzeniach gminnych, mogli być i bywali wybierani na posłów i deputowanych do sejmowych obrad i mogli ważnie dostępować urzędów. Znajdują się też z téj epoki dowody w aktach Kom. R. Sprawiedliwości, iż mieszkańcy tutejsi wyznania mahometańskiego sprawowali urzędy w wydziale sądowym i byli sędziami pokoju.

Za przywróceniem Królestwa Polskiego, ustawa konstytucyjna w d. 15 (27) listopada 1815 r. nadana, wyrzekła w art. 11tym „iż różność wyznań chrześciańskich nie będzie stanowić żadnej (różnicy) w używaniu praw cywilnych i politycznych” (2). Zapewniono więc chrześcianom tylko samym zupełne i równe uczestnictwo praw cywilnych i politycznych, bezwzględnie na różniące się ich wyznania. Szło zatem: iż różność wyznań niechrześciańskich miała stanowić różnicę w używaniu praw cywilnych i politycznych, iż więc mahometanie, Izraelici i zgoła niechrześciance, nie mogą mieć zupełnego tychże praw uczestnictwa.

Statut organiczny o reprezentacyi narodowej z dnia 19 listopada (1 grudnia) 1815 r. objaśnił wprawdzie: „że przez używanie praw politycznych rozumie się udział do reprezentacyi narodowej i do wyboru urzędników, a przez używanie praw obywatelskich, rozumie się zdolność bycia powołanym do urzędów publicznych” (3), czynił istotnie

(1) Dz. pr. K. W. Tom I str. 5 art. 1.

(2) Dz. praw Król. Tom 1 str. 8.

(3) Dz. praw T. 1 str. 282, 283, 285 w tytule 1 art. 1, 2, 9.

zawisłemi wszelkie urzędowania polityczne, administracyjne i sądowe od praw obywatelskich (1) i zachował zupełne tych praw uczestnictwo tym, którzy onych za księstwa Warszawskiego używali, a w późniejszym czasie tylko samym Polakom rodowitym lub naturalizowanym (2); lecz nie rozwiązano ani tém, ani późniejszym prawém wątpliwości: czy, i jak dalece mahometanie mogą być uczestnikami praw politycznych i dostępować urzędów na zasadzie obywatelstwa im zachowanego i z czasów poprzednich służącego.

Lubo Statut organiczny z d. 2 (14) lutego 1832 r. ogłasza: „iż każdy przez osobiste zasługi i talenta może dostąpić w kraju porządkiem w prawie przepisany wszystkich urzędów i godności” (3), to nie odstępując wszelako od zasady dawniejszej, poręcza zupełne uczestnictwo praw politycznych i cywilnych samym tylko znowu chrześcianom, bezwzględnie na różność ich wyznań i odmawia tém samém zupełnego tych praw uczestnictwa niechrześcianom (4).

Zgadza się z temi zasadami Zdanie Rady Państwa w Departamencie spraw Królestwa Polskiego, 28 grudnia 1839 r. Najwyżej zatwierdzone, i Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości przez Sekretarza Stanu przy Radzie Administracyjnej 1 (13) lutego 1841, dla wiadomości i użytku przesłane. W rozbiorze ustawy zaprojektowanej o zarządzie służby zdrowia w Królestwie, uznała Rada Państwa niewłaściwym przepis projektowany, że niewyznający wiary chrześciańskiej, nie mogą piastować urzędów lekarskich, gdy Tatarom, używającym w Królestwie pewnego stopnia poważania, nie jest wzbronioną przez wzgląd na czystość ich obyczajów, ustawami miejscowemi droga do sprawowania urzędów cywilnych; wniosła zatem: że przypuszczenie Tatarów do służby pu-

(1) Dz. Praw w tyt. I art. 65 str. 307 art. 28 str. 209.

(2) Dz. Praw w tyt. I art. 34 str. 283.

(3) Dzień. praw Tom XIV, str. 181 w art. 7.

(4) Dziennik praw T. XIV str. 179 w art. 5.

„Różnica w nauczaniu rozmaitych wyznań chrześciańskich, nie może być powodem do wyłączenia kogokolwiek od praw i przywilejów wszystkim mieszkańcom królestwa nadanych”.

blicznej mogłoby prędzej jeszcze mieć miejsce w przedmiotach naukowych, a w liczbie ich i w wydziale lekarskim; lecz, nie przyznając równego Izraelitom z Tatarami względu i prawa, doradziła zapewnić w ogólności możność sprawowania urzędów w wydziale lekarskim tym tylko osobom, które podług zasad ogólnych do służby cywilnej przyjętymi być mogą.

Kodex cywilny Królestwa Polskiego trzymając się zasad ogólnych, uznał w art. 7, że „używanie praw cywilnych nie jest zawisłem od posiadania praw obywatelskich i politycznych, które nabywają się i utrzymują jedynie podług Ustawy Konstytucyjnej i Statutów organicznych postanowił w art. 8, że „Polak poddany Królestwa Polskiego używać będzie praw cywilnych;” uważając zaś w art. 9 pomiędzy innymi, za Polaka każdego, kto za rządu księstwa Warszawskiego używał praw obywatelskich, zachował tém samym już więc mahometanom krajowym używanie praw obywatelskich, ograniczył je dla nich w niektórych tylko szczegółach przez wzgląd religijny, i zapowiedział w art. 16 wcale odmiennie, że żydzi używać będą praw cywilnych, od których używania przez postanowienia królewskie lub Namiestnika królewskiego nie znajdują się wyłączeni.

W takim stanie rzeczy i na mocy więc ustaw zasadniczych, używają Mahometanie krajowi, podług dotychczasowego prawodawstwa krajowego, zarówno z chrześcianami praw cywilnych jednakowych, z małemi tylko co do stanu osób, małżeństw i opiek ograniczeniami (1); mogą swobodnie i bez przeszkody posiadać i nabywać dobra ziemskie i zaszczycają się przy odziedziczonej po przodkach ziemi prerogatywą szlachectwa, prawami polskimi zapewnionego, mogą także oddawać się powołaniom i służbom nawet rządowym takim, które nie podzielają władzy rządu i nie spełniają władzy téj z uroczy-

(1) Kod. cyw. Królestwa z r. 1825 zabrania w art. 163 małżeństw niechrześcianom z chrześcianami, nie dopuszcza w art. 414, 417 i 471 niechrześcian do opieki, kurateli, rady familijnej nad nieletnimi, lub usamowolnionymi chrześcianami. Ustawa z r. 1836 nie dopuszcza małżeństw z powodu tejże różności religii w art. 24, nie dozwala wielożeństwa w art. 25. Dz. pr. T. XVIII str. 77.

stością i pod powagą religii chrześcijańskiej; lecz które poprzestają za upoważnieniem rządu na wykonywaniu jakowej nauki, sztuki lub samej tylko pracy.

Gdy atoli ustawy zasadnicze tak z r. 1815, jako też i z r. 1832 zupełne uczestnictwo prawa politycznego zachowują samym wyłącznie chrześcianom, bez względu na różność ich dogmatów: wypływa z tej na religią chrześcijańską zwróconej względności, że niechrześciance, a przeto i mahometanie krajowi, nie mogą dostępować urzędów dzielających władzę rządu, pod powagą wiary chrześcijańskiej wykonywaną. Urzędy, które w obec godła zbawienia spełniają władzę w imieniu monarchy, które z ujęciem krzyża i za uroczystemi słowy wiary chrześcian odbierają przysięgi w wykonaniu poruczonej sobie władzy, nie mogą być przyzwoicie piastowane z winną czcią religijną przez osoby, jakkolwiek cnotliwe i moralne, które nie uznają świętości i prawdy religii chrześcijańskiej.

## ROZKWIŃ PIŚMIENICTWA POLSKIEGO.

PRZEZ

*Dominika Szulca.*

### FILOZOFIA NARODOWA.

Więcej znaczy jedno wyrozumowanie, niż tysiące powag.  
*Galileo.*

Celem dziejów piśmiennictwa jest znajomość myśli i obrazów, które kraj podniosły i uświetniły; ale naczelną zasadą wszelkich rodzajów jest filozofia. Literatura nie z tego wychodząca początku jest papierem zadrukowanym, niepotrzebnie zalegającym księgarnie i biblioteki. Niewielka tylko liczba dzieł postępowych zaspokoić zdoła potrzebę rozwijającej się oświaty, a mniej jeszcze pozostanie na czas dalszy, jako świadectwo zaszczytnej przeszłości. Nie godzi się więc, zdaniem naszym, rozpoczynać dziś XVIgo wieku od pierwszych próbek wierszopiskich, ale raczej należy na-przód wspomnieć o poglądzie wyborowych pisarzy na właściwość przyrody i człowieka, a potem dopiero, stosując tę zasadę do innych utworów, oceniać dzieła piśmiennictwa.

Może komu się zdawać, że filozofia jako nauka ciemna i ciężka, nie jest główną potrzebą cywilizowanej społeczności, dla której pieśń, powieść i widowisko, jako wyraz potocznego życia, więcej ma zajęcia i znaczenia. Ale dalecy jesteśmy od uznania piszących w duchu scholastycznym za filozofów, bo ci mając do czynienia z urojeniami, muszą się siłić na subtelnosci i ciemnotę, żeby podnieść to, czego

sami nie rozumieją, lub pokryć słabą stroną rozumowania. Postępowemi myślicielami są ci, którzy najstaranniej śledzą prawa początkowej i doskonalszej przyrody, dla powołania rodziny ludzkiej jednej i niepodzielnej pod względem przeznaczenia, życia, myśli, swobody, spokoju, dostatku i lepszej przyszłości. Odbicie zaś umyślnie stanu społecznego w piśmiennictwie jest klęską, bo wywołuje nieświadomość, zabobony, przesady gminne, i upadające zasady, a to dla popisu tylko z darem obrazowania, lub zręcznością kompozycyi. Prócz tego byłaby to dobrowolna satyra na ciemnotę narodową, bez wskazania ulepszeń. Dobry pieśniarz, powieściarz, dramatyk, krok w krok postępuje za rozwojem światłorodnym, i głosi czystiejszą pojętą zasadę życia w barwistém słowie, dostępniejszém dla ogółu.

Niedorzeczne jest to również zdanie, iż głębszy pogląd na przyrodę nie zgadza się z czystością uczuć religijnych. Chyba wielka nieznamość obrazu świata i nauki odrodzenia w *uczuciu* i *prawdzie* może do takiego błędu przyprowadzić. Filozofia przyrodzona głosi prawdy świata; religia zna tylko jedną winę nieodpuszczoną, to jest mowę przeciw duchowi prawdy. Pierwsza, wzbudzając współczucie dla jednostajnych przeznaczeń życia, zachęca do wzajemnej pomocy; druga daje przykład jak duszę położyć za przyjaciół. Pierwsza podziwia piękność organizmów; druga przenosi lilię nad przepych Salomona. Tylko ciemnota i przesady niegodne oświeczonego wieku sieją pomiędzy obiema kąkol niezgody, zrażając lekliwe uczucie ku niezbędnemu w życiu postępowi. Gromił tę nieuwagę w swoim czasie św. Augustyn, ojciec kościoła, powiadając że „gdy kto przeciw oczywistemu rozumowi stawia niby powagę Pisma Św., niedorzecznie czyni, bo nie myśl pisana, której nie przenika, lecz własne urojenie za prawdę podaje” (list XVII do Marcella). W inném miejscu rozwijając to zdanie, mówi: „Często się zdarza, iż człowiek obcy zasadom chrześcijańskim, rozprawiając o ziemi, niebie, pierwiastkach świata, biegu planet, wielkości i odległości gwiazd, okazuje doskonałą znajomość rzeczy, przez rozumowanie lub doświadczenie nabytą. Wówczas byłoby hanbą a nawet rzeczą szkodliwą dla sprawy



chrześcijańskiej, pod pozorem niby stosowania się do ksiąg swoich, bredzić i śmiech u ludzi wzbudzać" (In Genesi ad lit. libr. 11, c. 18). Rozpoczynamy więc piśmiennictwo XVI stulecia od filozofii, i jej głównego w całej Europie przywódcy Kopernika, oddzielając ten ogólny pogląd fizyczny na wszechświat, od astronomii, która znajdzie właściwe miejsce w szeregu umiejętności matematycznych.

Natura nie może być pojęta bez swojego wielbiciela. Tylko uczucie niepodległe i geniusz przechodzący zwyczajne granice pojęcia, zdołają po niedojrzanej nici dojść praw jej odwiecznych. A chociaż rzeczywistość i prawda są to rzeczy do siebie bardzo zbliżone; ta jednak pomiędzy nimi zachodzi różnica, że pierwsza bardziej jest zmysłowym pojęciem niż druga, która na trafnym zastosowaniu wniosku do bezpośredniej znajomości zależy. Z nieporównaną śmiałością przedsięwziął Kopernik skreślenie obrazu wszechświata, w związku siłowym, czego się przed nim nikt nie odważył uczynić, a po nim, w zasadzie przynajmniej, dalej nie posunął. Świat więc czekał tysiące lat nim znalazł godnego siebie widza.

Od tego czasu trzy stulecia upłynęły, szczytny pomysł stał się ludowym, a jednak dziś jeszcze w całym blasku znamienitości swojej staje przed uwagą powszechną.

Starożytni idąc za złudzeniem szkoły jonjskiej i Empedoklesa, że ziemia ciężarem swoim środek ziemi zajęła, a ciała lżejsze uleciały do góry, dzieciennie sobie wystawiali obraz ciał niebieskich i biegi ich w przestrzeni. Jedni słońce poczytywali za tak wielkie, jak Peloponnes, i świecące blaskiem Jowiszowej hestii; drudzy przypuszczali, że może być nawet równe ziemi. Początkowo tak krążyło powoli, że dzień trwał dziesięć, a potem siedm miesięcy, Ziemia znowu nie mogła się ruszyć z miejsca, żeby się nie rozleciała na drobne części i nie zburzyła nieba. Dziwniejsze jeszcze było pojęcie o ruchu planet, które biegały, wstrzymywały się i wracały, jak pomieszane. Tłumaczenie tego widoku przez urojone epicykle, czyli kółka dodatkowe, tyle było warte, co i sama teoria. Zgoła świat zewnętrzny jawnie wziął górę nad rozumą ludzką, która przecież dopominała się swojego pierwszeństwa.

Opierają się na słowach wielkiego myśliciela, i objaśnieniach ustnych, udzielonych uczniowi Retykowi, wspomniany tu treściwie o jego filozofii przyrodzonej.

Uznał on naprzód: że roje gwiazd stałych ogarniają w sobie całą naturę, a zatem i słońce z nieodstępniem grotem (1, 10; Retyk wyd. warsz. str. 511); że ruch niedostrzeżony gwiazd stałych świadczy o odległości ich od nas tak niezmierniej, iż droga roczna ziemi, obliczona dziś na czterdzieści dwa miliony mil, niknie w porównaniu (1, 6, 10); że zatem mniemany obrót sfery niebieskiej we 24 godzinach jest największą niedorzecznością. Powtóre: że słońce należąc do owego rojowiska, równie nie okazuje ruchu, a otoczone planetami mieści się w ich środku (1, 9, 10). Potrzebie: że ziemia nie stanowi środka nieruchomego dla planet, bo zmienne ich odległości i bieg wsteczny dowodzącale innego środka, którym jest niewątpliwie słońce, i jednoczesnego biegu ziemi z planetami; że przez złudzenie tylko uciekają na zachód ciała niebieskie, w obrocie wirowym naszego planety; nakoniec że ziemia widziana z przestrzeni niebieskiej wyda się jak Jutrzenka lub Jowisz.

Ten wspaniały rozwój myśli wynagał nieporuszonej zasady dla swego usprawiedliwienia. Kopernik nie zadowolony z przypuszczeń oprowadzających ciała niebieskie na niewidomych prętach, lub szukających przyczyny ruchu w duchach utrzymujących planety w odwiecznych drogach, ustanawia *silę przyrodzoną*, właściwą materji, a zatem słońcu, planetom, i ziemi z księżycem, którą nazywa środkiem ciężkości (1, 4, 9). Wszystko cokolwiek z ziemią ma związek, jak powietrze i obłoki, ulega tej sile (1, 8). Dalej utrzymuje, że tym środkiem planetarnego świata nie jest ziemia, ale słońce w środku umieszczone (1, 9), i *nadające ruch otaczającemu ciału gromu*, do którego ziemia z księżycem należy (1, 10; Retyk wyd. warsz. str. 525). To tłumaczenie obrótów ciał niebieskich przez własność zawartą w samej materji, stanowi myśl najważniejszą, która nadawała znamię mechaniczne ruchom przyrody. Uczeń przy tej okoliczności świadczy, że nauczyciel jego sposób działania słońca, o którym ani domyslać się nie można było ze znanych teoryj, samodzielnie ustanowił, bo pochwała ożywczego światła była tylko uniesie-

niem poetyckiem u starożytnych, ale nie tłumaczyła działań przyrody (509). Sfera nawet najodleglejsza, oddzielona niezmierną przestrzenią, ma gwiazdy podobne do słońca, *stałe*, a zatem temże prawem rządzone (1, 10).

Taki jest nowy układ świata i siła mechaniczna, która prostotą wyjaśnienia i wzniosłością obrazu ustanowiła nową niejako erę dla filozofii przyrodzonej.

Z tego wynikały następstwa bardzo ważne dla społeczeństwa. Ponieważ ziemia przestała być środkiem świata, otoczonym świecidełkami dla zabawy człowieka, a stała się gwiazdą podrzędną i drobną na niebie, więc próżność dziecinna, nieznająca nic więcej nad swoje zagrodę, koniecznie upaść musiała. Powtóre: gdy ta gwiazdka z powietrzem i towarzyszem swym księżycem podlegała sile przyrodzonej, rozpostartej w całym układzie słonecznym, więc i człowiek zostaje pod tym nieubłagany wpływem, przywiązującym go do siedliska; w podróży zaś rocznej około środka, utrzymanie bytu swojego znajduje jedynie w warunkach ziemskich i słonecznych. Tak więc ów król świata okazał się zupełnie zależnym od siły przyrodzenia, wcale niezalecającej się skłonnością ku dobroci: wiatr mocny, zaraza, niższe nadzwyczaj ciepło, usuwająca się nad przepaścią podstawa, zabijają niemilosiernie życie. W tym położeniu obudziło się uczucie słabości ludzkiej i potrzeba zbadania szczegółowych praw przyrody dla bezpieczeństwa; te zaś odniesione do całego społeczeństwa, stworzyły współczucie i przemysł, na których się oparła nowa cywilizacja. Mądrość starożytna zasadzała moralność na umiarkowaniu żądz, lub wsparciu litościwem kast upośledzonych i żebraków, którzy dotąd w niektórych opóźnionych oświatach ściągają wyłącznie hojność zamożnych; ale wiadomo, że skąpstwo nie idzie w parze z ludzkością, a litość dla żebraków łączy się często ze wzgardą nędzy. Filozofia zatem przyrodzona wskazuje źródło serdeczności towarzyskiej w myśli równego przeznaczenia i pożytku wspólnym. Pomoc zaś wzajemna wymaga po każdej bez wyłączenia osobie użycia sił stwarzających wyroby, które przez zamianę stawszy się własnością ogółu, byt jego ulepszają i spokojnym czynią. Wzajemnie, praca potrzebuje od społeczeństwa swobody życia, sprawie-

dliwości, i poważania należnego dla współdziałania, to jest warunków utrzymujących godność osobistą, byt dobry i braterstwo. W miarę rozgałęzienia się zajęć i potrzeby ich udoskonalenia, nastąpił podział pracy, prowadzący do skrócenia czasu i zręczności. Tym sposobem nie liczne dawniej powołania i rzemiosła rozdzieliły się na tysiączne odnogi, zatrudniające mnóstwo rąk i umysłów. W tym ogólnym ruchu rozróżniono prawa przyrody od ich zastosowania. Pierwsze poddane pod metodę doświadczalną, dały początek mechanice, fizyce, chemii, fizyologii, geologii, gospodarstwu społecznemu, fizyce towarzyskiej, moralności współzuciowej, i prawu między-narodowemu; drugie ważnym i wysoko w udoskoleniu posuniętym narzędziom, które służą do postrzegania dwóch ostatecznych granic świata, niebieskiego i najdrobniejszych żyjątek, wraz z pierwotnymi tkankami organicznymi, tudzież do porozumienia się w jednej chwili z całą kulą ziemską.

Lecz podział pracy większe jeszcze korzyści przyniósł w kierunku odwrotnym działania. Baczniejsza bowiem uwaga dostrzegła, że pojedyncze nauki, jak geologia, fizyka, fizyologia, ulegają prawom chemicznym, i czasowo tylko istnieć mogą, póki się nie zleją w jedność; że niektóre ciała niebieskie, jak pierścienie Saturna, zostając w stanie płynnym do dalszego stężenia, naprowadzają na myśl pierwiastkowej materii lotnej, podobnej do komet, która przez stopniowe zgęszczenie siłą przyciągania dała początek światu; że toż przyciąganie ma miejsce w nieskończenie małych odległościach, w czynności nawet życiowej. Z tego wypadł wniosek, że siła Kopernika nieprzerwanymi ogniwami wiąże świat cały; poszukiwania zaś nad czasem przebiegu światła od najdalszych pokładów gwiazd, i nad tysiącnieci wiekami tworzenia się skorupy ziemskiej naukowo dowiodły, że samodzielność téj siły przyrodzonej sięga zdumiewających starość epok.

Nie mamyż prawa twierdzić, że filozofia przyrodzona, jedynie dziś przez świat umiejętniczy poważana, w najgłośniejszych zarysach swoich jest naszą rodzimą, jest Polską. Samo dzieło, zwłaszcza księga pierwsza, niezatartym tego będzie dowodem. Jeżeli zaś kto się zadziwi, dlaczego poświęciliśmy nieco miejsca wykazaniu naczelnéj zasługi

Kopernika w nowożytnej oświacie, ten znajdzie odpowiedź w przyznaniu powszechnem wynalazku siły ciężkości Newtonowi i w niewygasłej zawiści ku sławie narodowej u pisarzy obcych. W roku 1858, w *wiadomościach astronomicznych*, wydawanych przez Petersa w Altonie, recenzent wydania warszawskiego dzieł Kopernika, ogłoszonego przez dyrektora obserwatorium, czciwego Baranowskiego, utrzymuje, że narodowość polska sławnego astronoma, jest „zwykłym przesądem kraju naszego” (Band 47, n. 115, str. 174). Tak wielkość rodaka ciąży na sercu zacnych ludzi!

Nie od dni naszych ta niechęć ku Kopernikowi bierze początek. Współczesny jego Filip Melanchton, nauczyciel całych Niemiec, kierujący matematyką i naukami przyrodzonymi w uniwersytecie wittenberskim i Norymberdze, w dziele pod napisem: *Initia doctrinae Physicae*, naukę o biegu ziemi z pewnem lekceważeniem wspomina, a planety za światła kuliste bierze, któremi obraca sfera niebieska. Nic więc dziwnego, że i młody professor wittenberski Erazm Reinhold w r. 1542, wiedzący dobrze o odkryciach Kopernika, trzyma się kół materialnych Eudoksa. Wkrótce on nawet i Retyk dla braku pomocy opuścić musieli uniwersytet, za świadectwem Pancera, zięcia Melanchtona. Jakże można było utrzymywać, że reformacya najwięcej okazała życzliwości dla nauki Kopernika, kiedy naczelnik jej Luther, zdaniem Ludwika Feurbacha, filozofią za wynalazek szatański uważał. „*Luther der Mann Gottes hatte die Philosophie geraden Wegs zum Teufel geworfen.* (Geschichte der neuer Philosophie, Anleitung). W Norymberdze, stolicy wykształcenia niemieckiego, Jan Schoner w piśmie *Opusculum geograficum*, wydanem 1533 r., żartuje sobie z obrotu ziemi, powiadając, że podług tej teoryi kręci się ona jakby na różnie przy słońcu. Wysłał potem młodzieńca Retyka na zwiady do Warmii, czyby autor nowej nauki nie był kuglarzem lub przynajmniej wietrznikiem, usiłującym zamydlić ludziom oczy. A gdy się to nie udało, namówił drukarza norymberskiego Petreja, aby się postarał u Retyka o obserwacye Kopernika, dla łatwiejszej krytyki. Przeczuwał mąż znamienity jakąś zasadzkę, dlatego w czasie pierwszych nawiedzin Retyka nie powierzył mu rękopisu, i za drugim razem ociągał się z drukiem w No-

rymberdze; ale naleganiom i przynówkom biskupa chełmińskiego, że się lęka prześladowania, w końcu uledez musiał. A jakże na tém wyszedł? oto, że na początku dzieła dodano przedmowę, w której obłudnie go broniono, jakoby autorowi nie szło o prawdę, a nawet prawdopodobieństwo, ale o zgodność rachunku z biegiem ciał niebieskich. Kepler w liście do Fabriciusza utrzymywał, że to było pióro Ossiandra, poprawiacza drukarskiego, ale ten z powołania był teologiem, język zaś astronomiczny i cierpki zdradza *Schonera*, wydawcę, za świadectwem Gassendego, dzieł Kopernika (Życie str. 319). Autor bowiem obłudnej przedmowy do czytelnika powiada, że przyczyny nierówności biegów planet nikt wytłumaczyć nie zdoła, bo raz o czterdzieści stopni wyprzedzają ziemię, drugi raz o tyleż się opóźniają; że Kopernik nowemi hipotezami mocno obraził astronomów, którzy nie zniosą, aby nauki oddawna gruntośnie ustalone, miały być dowolnie zmieniane przez liczne wymysły; że twórczość filozoficzna czerpać tylko może swoje natchnienia w objawieniu.

Niecny ten czyn, pod zasłoną dobrej wiary popełniony, oburzył nadzwyczajnie przyjaciela Kopernika, biskupa chełmińskiego, który domyślając się zazdrości professorskiej, zdolnej do nadużycia prostoduszności księgarza, kiedy żadnej nie było nadziei zdrowia dla sparaliżowanego autora, postanowił wytoczyć proces przed senatem norymberskim drukarzowi o wiarołomność, żądając usunięcia potwarczej przedmowy do czytelnika, i ostrzeżenia dawniejszych nabywców dzieła o sprostowaniu zaszłego nadużycia. Skargę posłał na ręce Retyka, ale ten pomimo oświadczeń wdzięczności dla Kopernika, nie wykonał zlecenia, a rękopis dzieła u siebie zatrzymał. Potwarz zatém *Schonera* we wszystkich egzemplarzach została, i wywarła najzgubniejsze skutki, bo nawet Bakon werulamski wzięwszy przedmowę podsunętą za własne wyrazy Kopernika, wyrzuca mu dowolne hipotezy wprowadzone dla astronomicznego rachunku. Ale i tak się nie uspokoiła zawiść uczona; dowiedziawszy się bowiem *Schoner*, że w bibliotece bogatego norymberczyka *Pirkheimera*, znajduje się rękopis Archimedesesa, dotąd nieznanym, pod napisem *Psammites*, zawierający wzmiankę o obrocie ciał niebieskich Arystar-

cha, (260 przed Chr.), zbliżonym do systematu Kopernika, zlecił uczniowi swemu Tomaszowi Venatorius ogłoszenie jego drukiem, co nastąpiło w Bazylei 1544, w rok po zgonie założyciela filozofii przyrodzonej. Mniemał astronom norymberski, że tym sposobem zada cios śmiertelny Kopernikowi, ale nie dostrzegł różnicy głównej w obu układach, zależącej na sile mechanicznej poruszającej materją, jako pierwszej przyczynie ugruppowania ciał niebieskich. Zależpiona walka prowadzona z prawdziwą zasługą, wydała się ze swoją niedołężnością, kiedy po dwunastu latach zwyciężonego boju z Kopernikiem, Schoner ogłosił pismo astrologiczne o *prognostykach* urodzenia, a drugi przeciwnik sławny obserwator Tycho-Brache narzekał, że mu Mars planeta skrzywił gębę—na własną hańbę.

Przeciwnie, Włosi nieprzerwanie dawali dowody szczerego współczucia i poważania. Kardynał kapuański zaledwo powziął wiadomość o ukończeniu dzieła, prosił o odpis jego na koszt własny; papież Paweł III z rodziny Farnesi, który Erazmowi ofiarował kapelusze kardynalski, stał się i dla dzieła Kopernika najbezpieczniejszą tarczą przeciw zawiści, bo przez 73 lata Rzym nie wynurzył żadnej protestacyi przeciw filozofii Kopernika, kiedy najpierwsze skargi wyszły z Niemiec i Skandynawii przez organa Schonera i Tycho-Brahe. Jest to prosty wypadek wyższości ówczesnej Włoch nad ludami teutońskimi. Dlatego téż zapale półwyspu dla Kopernika nietylko był powszechny, ale często się łączył z największymi ofiarami, niesionymi w chwilach nadzwyczajnych ochoczo i odważnie. Z jakim ogniem mówi Giordano Bruno o światach niezliczonych w dziele: *Contemplazioni sopra lo infinito universo e mondi innumerabili* 1584.! Magini professor uniwersytetu bolońskiego wydał w pięć lat potóm: „Nową teorię ciał niebieskich podług postrzeżeń Mikołaja Kopernika.” Galileo w upojeniu umysłowém pokazywał z wieży ś. Marka w Wenecji, i ogrodzie kwirynalskim w Rzymie, góry księżycowe, towarzyszków Jowisza, sierp Wenusa, i plamy słoneczne większe od Afryki, wszystko w celu utwierdzenia pomysłów Kopernika. *Postaniec gwiazdzisty* Florentczyka niesłychane zrobił wrażenie na Europie. Ale geniusz taki nie może być tylko postrzegaczem zjawisk; uderzony myślą

o ciężkości Nadwiślanina, stworzył naukę ruchu, to jest mechanikę ziemską, kiedy jednoczesny Keppler z duchowych początków, i harmonii świata wyprowadzał bieg planetarny. Co więcej, szacunek ziemi włoskiej dla Kopernika tak był wielki, że kongregacya indeksowa, czuwająca nad czystością nauki katolickiej, w czasie, w którym niektórzy zakonnicy do ksiązek duchownych zaczęli mieszać nowy układ świata, i dowodzić jego zgodności z Pismem świętym, okazała pewny rodzaj wyrozumiałości dla wielkich zasług astronoma w rzeczypospolitej naukowej. Dwa są postanowienia tej wysokiej władzy: jedno z r. 1616, marca 5, zawieszające dzieło dla nadużyć raczej kościelnych, niż uszczerbku nauki; drugie we cztery lata później zapadłe, które dozwala jednomyślnie czytania Kopernika ze względu na *znakomity jego pożytek*, z pewnemi tylko wskazanemi modyfikacyami. Przytaczamy je w tłumaczeniu oba, dla jaskrawszego odbicia Rzymu ciągle zagrożonego upadkiem powagi katolickiej, od lekceważenia i nienawiści Wittemberga i Norymbergi.

1. „Gdy do wiadomości dostojnej kongregacyi doszło, że nauka mylna Pitagorejczyków, o ruchu ziemi i spoczynku słońca, zupełnie przeciwna Pismu Ś., którą Mikołaj Kopernik w dziele *O obrotach ciał niebieskich*, a Dydak Astunica nawet w *Hiobie* wyklada, zaczęła się już szerzyć i przyjmować, jak się o tém można przekonać z listu drukowanego O. Karmelity, który nosi napis: *Lettera del referendissimo padre maestro Paulo Antonio Foscarini, carmelitani, sopra l'opinione dei Pitagorici et del Copernico della mobilita della terra, e la stabilita del sole, e nuovo pitagorico systema del mondo.* Napoli, per Lazaro Leorigio, 1605, gdzie ten ojciec usiłuje dowieść, że nauka o spoczynku słońca w środku świata, o ruchu ziemi jest prawdziwa, i nie przeciwi się Pismu Ś.; przeto aby takie mniemanie dalej się nie szerzyło, ze szkoda katolickiej prawdy, kongregacya postanowiła: dzieło Mikołaja Kopernika *O obrotach ciał*, i Dydaka Astunica *Hiob* zawiesić do nastąpić mającej modyfikacyi. Pismo zaś O. Pawła Foscarini, Karmelity, zupełnie zabronić, równie jak i wszelkie inne téjże treści; jakóż kongregacya niniejszém zabrania, potępia i zawiesza.”  
W Rzymie, w drukarni Izby apostolskiej 1616.



2. „Chociaż dzieło Mikołaja Kopernika, sławnego astronoma o obrotach świata, dostojni Ojcowie kongregacyi zupełnie zabronili, a to dla nauki o położeniu i ruchu kuli ziemskiej, sprzecznej z Pismem Ś., i jego prawdziwem i katolickiem tłumaczeniem, co nie mogło być milczeniem pokryte, tém bardziej, że ta nauka nie za domysł, ale za prawdę jest podana; z uwagi jednak, że w tém dziele *wiele się mieści rzeczy pożytecznych dla społeczeństwa*: kongregacya jednomyślnie postanowiła zezwolić na czytanie ogłoszonego drukiem dzieła, jakoż i dozwala, pod warunkiem modyfikacyi miejsc, w których autor nie domysłowo, ale z pewnością mówi o położeniu i ruchu ziemi, według załączającej się tabliczki. Na przyszłość zaś przedrukowanie nie inaczey może nastąpić, jak po wykreśleniu z tekstu zdań wskazanych i umieszczeniu poprawek na czele przedmowy dzieła.” W Rzymie, 15 Maja 1620.

Postanowienie zatem drugie wielkie czyni ustąpienia, zostawiając cały pogląd Kopernika na wszechświat, i mechaniczne władanie siły ciężkości w przyrodzie. Przez wzgląd tylko na myśli Starego zakonu i ich tłumaczenie katolickie, nie może uznać ziemi za gwiazdę położoną między Wenusem i Saturnem.

Nic nie ma kongregacya przeciw domysłowi, ale dowodów matematycznych na długość porównawczą obiegu planet, i na wskazanie głównego środka ciężenia w słońcu, uznać za prawdziwe nie może. Swobodniej sobie postąpił Schoner z powołania matematyk i astronom, który porównywa bieg ziemi około słońca do pieczeni na rożnie, a filozofią odsyła do prorocstwa. Być bardzo może, iż do umiarkowania kongregacyi indeksowej przyczyniła się dedykacya Pawłowi III papieżowi, list kardynała kapuańskiego do autora pełen poważania, a nawet spokojny obieg dzieła przez lat 73 we Włoszech; rzeczą jest jednak niezawodną, że modyfikacya nie ma w sobie znamienia nieprzyjaznego, owszem okrywając powagą stolicy katolickiej sławę Kopernika i pożytek jego dzieła, zalecała niejako ludziom baczny czytanie. Wiemy, z jaką czcią o wielkim człowieku wspomina wkrótce potem Ghilini *w widowni ludzi znamienitych*, a później Pappadopoli i Tiraboschi; jak śmiało Wacław Leszczyński biskup warmiński, w sprawozdaniu

swojém z r. 1658 wspomina przed papieżem o nieśmiertelnej sławie Kopernika; jak pochlebnie Klemens XIV z rodziny Ganganellich pisze do Załuskiego o tój wiecznej ozdobie nauk przyrodzonych w Polsce.

Przodkująca oświata włoska stała się ogniwem łączącym braterskie serca obu narodów. Wyznaje to Karol Borromeo w liście do Andrzeja Batorego, a całe nasze piśmiennictwo XVIgo wieku przejęte jest tą myślą. Rzeczywiście Wenecya i Florencya jaśniały wielkimi imionami w odradzającej się literaturze, a pomiędzy nimi ukazywały się umysły filozoficzne, z poglądem nowym na przyrodę i społeczeństwo; lecz same uczelnie zajęte z powołania usposobieniem młodzieży, rzadsze stawiały przykłady pomysłów świeżych, co jak kwiaty wiosenne strzelają do góry za powrotem ciepła. Dlatego i akademii padewskiej za Kopernika nie wielu miała ludzi postępowych, a w niektórych gałęziach nauki stała dosyć nisko. Do matematyki na przykład brakło zdolnego nauczyciela, którego mógł tylko zastąpić professor boloński Maryan z Nowary, przedmiot wycieczki ziomka naszego, po kilku zaledwie miesiącach przyjazdu jego do Padwy. Zamiłowanie to w naukach matematycznych winnym był Brudzewskiemu, professorowi akademii krakowskiej, który do jasnego wykładu Euklidesa, i zastosowania jeometrii do astronomii Ptolemeosa, łączył niewiarę w astrologią wieszczbiarską. Rozsądek i biegłość w naukach matematycznych sprowadzały mu uczni z różnych krajów, i jednały poważanie, o którym wspomina Sommerfeld i Otto de Valle Uracense; ostatni z nich napisał przedmowę de wyjaśnien Brudzewskiego teorii planet Purbacha, ogłoszonych w Medyolanie 1495, zachęcając książąt włoskich do zaprowadzenia tego dzieła po uniwersytetach. Medycyna w Padwie trzymała się albo Galena, albo Arabów Avicenny, Serapiona, Mezui, Razesa. Benedetto professor medycyny praktycznej wydał książkę o leczeniu *od stóp do głowy*. Słaby Mikołaj de Passeribus z Genui ustąpił za Kopernika miejsca Vernii, autorowi rozprawy o ważności medycyny nad prawoznawstwem. Lepiej stała literatura łacińska i filozofia. Pierwszej professorem był Calphurnus, autor satyr, rozmów i komedyj, który tłumaczył w uniwersytecie Liviusa, Juvenalisa, Terenciusa;

drugiej Vernia z Tieny, który uwiedziony większą niby swobodą myśli w Padwie, wydał rozprawę podług zdania Averroesa, jak Pomponatius podług Alexandra Afrodyzyjskiego: o nieśmiertelności ducha, lecz na żądanie doży weneckiego Barbadico, i biskupa padewskiego zniewolony został do napisania innej rozprawy o wielości umysłowej, zbijającej jedność rozumową, i ustąpił z posady zaraz po doktoryzacji Kopernika. Najuczestszym ze wszystkich professorem był Marek Musurus Kreteńczyk, wykładający język grecki: od niego się też najwięcej Kopernik w Padwie nauczył. Musurus wykladał poetykę Arystotelesa, zwracając szczególną uwagę na tragedya, ale z upodobaniem trudnił się wydawaniem rękopisów, nieznanych we Włoszech pisarzy greckich, a w chwilach wolniejszych poświęcał się poezji ojczyściej. Wreszcie co do zasad filozoficznych było Platonik. Ale ogrom uczoności wpływał najkorzystniej na słuchaczy, pomiędzy którymi nasz ziomek najłatwiej czytał po grecku i przełożył z pierwotworu Listy Simokatty, zaledwo znanego w Europie pisarza. Po ukończeniu trzyletniego kursu, otrzymał Kopernik stopień doktora filozofii i medycyny, z rąk Vernii.

Tu się nastęrcza uwaga, dlaczego z uniwersytetu krakowskiego wyszedł bez żadnego stopnia młodzienczek zalecający się taką zdolnością i pracą? Rozwiązanie tego pytania bardzo jest proste. Po zgonie ojca, zostając pod opieką światłego wuja Łukasza z Torunia, ucznia niegdyś uniwersytetu krakowskiego i bolońskiego, posłany był naprzód do Krakowa, miejsca słynnego z ulubionych mu nauk matematycznych, i dawnego siedliska ojca, gdzie zabawił dwa lata od 1491—1493. Lecz dochód z pozostałego po rodzicu majątku, rozdzielony na czworo rodzeństwa i matkę, nie wystarczał na wyższe udoskonalenie bez pomocy wuja, który jej nieodmawiając, chciał także mieć ulgę w wydatkach na podróż, i długą naukę za granicą siostrzeńca. Wiedział zaś wuj z akt kapituły warmińskiej i własnego doświadczenia, że istnieje postanowienie, (statuta antiqua l. 7, n. 50), mocą którego każdy kanonik nowy, po wysiedzeniu roku przy katedrze, nieposiadający stopnia doktora lub licencyjata teologii, prawa albo medycyny, mógł być wysłany najmniej na lat trzy do uniwersytetów zagranicznych, dla uzy-

skania godności wymaganej. Otóż gdyby Kopernik przyjechał licencyatem z Krakowa, tém samém byłby pozbawiony funduszu na podróż do Włoch i dalszego świetnego znaczenia. Trzeba więc było najpierw otrzymać od kapituły nominacją na kanonika, a potem dopiero korzystać z postanowienia kolegium. Brak opróżnionego miejsca w kapitule warmińskiej zatrzymał go dwa lata, od 1493—1495 przy matce w Toruniu, i Heilsbergu przy wuju. Odkrywa się w końcu posada kanonika, na którą biskup podaje swojego siostrzeńca, i wyjeżdża na spotkanie króla polskiego Jana Alberta, pierwszy raz po koronacyi przybywającego do ziem pruskich dla przyjęcia przysięgi. Było to w roku 1495 na wiosnę. Kanonicy korzystając z nieobecności biskupa w diecezyi głośno się oświadczają z przeszkodami i zawiścią, o których uwiadamia Kopernik wuja, bawiącego w Toruniu, i innych przyjaciół. Za powrotem biskupa do Warmii rzecz się załatwiła; kandydat otrzymał posadę. Teraz dopiero wysiedziawszy rok przy katedrze, puścił się nakładem gotowym do Włoch, a w Padwie złożywszy świadectwo odbytych nauk w Krakowie, skrócił sobie czas doktoryzacyi ze czterech na trzy lata. Z przedmiotów zaś przez kapitułę oznaczonych, wybrał medycynę, jako naukę przyrodzoną, nie kwapiąc się do teologii i prawa. Spełniwszy dopiero posłannictwo dane, mógł pójść za popędem własnym i oddać się zupełnie astronomii. Skreślony obraz nauk i professorów w Padwie na wydziale artystycznym, dostatecznie zdaje się okazuje, że w czasie trzyletniego biegu, Kopernik nie trafił na ślad prowadzący do wielkiej myśli układu świata i siły władającej materją powszechną.

Ale spełniwszy posłannictwo kapituły przez otrzymanie stopnia doktora medycyny, widział przed sobą otwarte pole do zajęć astronomicznych, tak lubych jego sercu i łatwych dla umysłu. Udał się więc natychmiast do Bolonii, i tu przesiedział cały rok, od połowy 1499 do połowy 1500, przy Maryanie z Novary, nie jako uczeń, lecz jako pomocnik, potrzebujący tylko wprawy w postrzeżeniach. Tymczasem pomoc kapituły, udzielana z dochodu prebendy i piętnastu mark srebra dodawanych wraz z doktoryzacją ustała, zasiłek wuja jeszcze nie doszedł; miłośnik zatem astronomii oddalony od ojczyzny, coraz w cięższem zosta-

wał położeniu. Dowiedziawszy się we wrześniu o przybyciu do Bolonii wysłańca biskupiego w sprawie kapituły z Krzyżakami, spieszy do niego, lecz i tu znajduje wyczerpane środki. W końcu Bernard Skultecki dobrze znajomy w Rzymie, jako stały poseł biskupstwa warmińskiego przy stolicy apostolskiej, na swoje zaręczenie, wyjednał w banku pożyczkę stu dukatów, na cztery miesiące, i o tém wuja zawiadomił listem pisanyin d. 21 października. Teraz się rozpoczęła czynna praca przy obserwatorium, której ślady można widzieć na tablicach alfönskich, dochowanych w bibliotece upsalskiej, po zaborach szwedzkich. Zapiski te ze stycznia i marca 1500 r. zrobione są w Bolonii.

Chcąc przynieść ulgę w wydatkach wujowi, wystarał się tymczasowej posady w Rzymie, na której rozwinął szczególną biegłość w naukach matematycznych; nie zaniechał też i postrzeżeń, o których sam wspomina w dziele wiekopomném. Gdy jednak płaca téj posady nie wystarczała na życie i zakupienie książek, zaraz po zamknięciu kursu, w połowie 1501 r. wrócił do Warmii, dla sprawozdania z odbytych nauk, i wyjednania, jeśli się uda, dalszego nakładu na podróż. Podług powołanego postanowienia kanonik *najmnieéj* trzy lata mógł spędzić za granicą, więc można było i więcéj, za zezwoleniem władzy, zabawić. Szło tylko o życzliwość kapituły, czuwającej nad swemi interesami bardzieéj niż świetnością nauk. Kopernik zatém w podaniu złożoném zwierzchności d. 27 lipca tegoż roku, omijając zatrudnienia astronomiczne i wziętość uzyskaną w Rzymie, mówi tylko o koniecznej potrzebie dalszego doskonalenia się w medycynie, umiejętności tak rozlegléj i praktycznéj, że praca w tym zawodzie, po długim tylko zbadaniu wszelkich systemów i liczném doświadczeniu przy chorych, stać się może pożyteczną dla kapituły i biskupa. Przez tak wązkie formy urzędowe przeciskać się musiał geniusz astronomiczny, nim znowu odechnął szeroko wolném powietrzem! Szanowne zgromadzenie po dojrzałéj rozwadze przychyliło się do wynurzonego życzenia, z tego mianowicie względu, że Kopernik przyrzekł usposobić się na biegłego lekarza katedry warmińskiej, i dozwoliło mu dwa jeszcze lata spędzić za grani-

ca. Z wyteżoném więc usiłowaniem i zupełną swobodą powrócił młody astronom do ulubionych zatrudnień we Włoszech, jakkolwiek wcale nie zaniedbywał najnowszych poglądów w medycynie, na większem doświadczeniu i anatomii opartych. W ogólności umysł przenikliwy czuł najmocniej, że jeżeli astronomia pozbawiona była wszelkich rozsądnych zasad, i płatała się w swoim nieuctwie, to poświęcenie się medycynie było czasem zupełnie straconym, ponieważ używano zabobonnych środków, jakimi są kość słoniowa, sandał, smaragd, szafir, koral, złoto i srebro w blaszkach. Tak spędził dwa lata od 1501—1503 roku; czy dłużej bawił we Włoszech zasilany przez wuja, lub powrócił zaraz do Warmii, niewiadomo; akta tylko kapituły świadczą, że na początku 1507 r., tojest 7 stycznia został delegowanym na przybocznego lekarza biskupa w Heilsbergu, z zachowaniem dochodu z prebendy, i wyznaczeniem jeszcze mark piętnastu. Mógłże Kopernik od powtórnego wyjazdu za granicę do objęcia obowiązków lekarza w rezydencji biskupiej, wpaść na sławne odkrycie układu świata? o tém najzupełniej wątpiny, bo Włosi w astronomii trzymali się Ptolemeosa, ani kroku dalej niepostępując, a w filozofii najbardziej zwracali uwagę na tak zwaną jedność umysłową, narażającą najlepsze, ale nieliczne głowy na przeszkody. Ale gdyby i najspokojniej w tym kierunku badania rozwijali, to znajomość umysłu nie prowadzi bezpośrednio do pojęcia własności świata powszechnego. Przyjmujemy więc za pewnik, że do 1507 roku, Kopernik był tylko najmocniej zrażony niedorzecznością wykładu astronomii, który porównywa do straszdyła złożonego z różnorodnych części. A przecież musiał dość wcześnie myśl sławną powziąć, kiedy posyłając do druku dzieło, naznacza jój cztery dziewiątki istnienia. Spodziewając się wyjścia na świat swój pracy w r. 1543, naznacza tym sposobem r. 1507 dla pomysłu. Jakoż widząc się w 1508 z Korwinem niegdyś professorem krakowskim, wspomina już przed nim o podwójnym ruchu ziemi, i odkrytej sile przyrody. (Wyd. warsz. str. 597).

Dla ściśle naukowego człowieka, pobyt swobodny w Heilsbergu stał się bodźcem do wynalazku r. 1507.

Popęd umysłu Kopernika zwrócony był głównie do poznania najwyższych zasad świata. Ale gdzie tu szukać

tak dalekich rzeczy, kiedy wszystkie drogi prowadzące do prawdy zawalone były grubemi błędami i dzikimi przesadami. Na szczęśliwszej ziemi włoskiej, ścieżka wskazana przez Jerzego z Trebizundu zarzucona została łomami mistycyzmu przez nowoplatonczyków. Dla reszty zaś Europy jeszcze słońce nie weszło, a kiedy jego pierwsze błysnęły promienie, kabaliści niemieccy utrzymywali haniebnie, że kilku słowami tajemniczymi można było wzniecić burzę; gwiazdy i słońce oderwać. Po szkołach głównych nauczyciele na wszelki błąd mieli sofistyczne dowody. Jeden Montaigne zdobył się przecież na zdanie, że i najpoważniejsze mniemania trzeba puścić na przetak. Tak więc rodzina, prowincya, kraj cały, epoka i uniwersytety chwytaly w objęcia biedny umysł, aby na swój sposób utworzyć z niego lepiankę. Szczęśliwiej się nie działo z ogółem oświaty starożytniej, na łonie której Sokrates radził się wyroczeni, a Rzym słuchał kur poświęconych. Co do Wschodu, ten od niepamiętnych czasów uświęcił niewolę myśli i uczucia, ale odrobiny jego rozsądku przyjęły się tu i owdzie u swobodnych Greków. W ogólności, gdybyśmy nie z ułameków, ale w całej rozciągłości znali systemy filozoficzne starożytnych, zniżylibyśmy o wiele zwykle nasze uwielbienie. Pospolicie słabość wzroku brano za porządek świata, z czego wynikały dziecinne pojęcia o wszystkiem, i najzabawniejsze domysły. Niebo gwiazdziste we 24 godzinach okręcało się koło ziemi; podług wielkiego Pitagoreasa, słońce z księżycem odbywało bieg okolo naszego siedliska; ziemia u Empedoklesa była płaska, u Heraklita czółenkowata, u Ksenofonesa na grubych korzeniach oparta, u Filolaosa, nie mając ruchu wirowego, jedną stroną leciała koło swojego środka. Na gwiazdach, równie jak w roślinach, duchy wszystkiem kierowały. Dlatego rozbudzony do oświaty wiek XVIty, wiele czytał myśli filozoficznych dawniej Grecji, świeżo ogłoszonych we Włoszech, ale ich nie rozumiał, i żadnej całości rozsądniejszej ułożyć nie zdołał.

Pomiędzy wydanemi rękopisami wyszła w r. 1498 niewielka książeczka, w łacińskim tłumaczeniu, pod zmyślonym imieniem *Plutarcha*, która pobieżnie wspominała o zdaniach filozofów greckich co do zarządu świata, własności materji, gwiazd, słońca i ziemi. Pomimo niektó-

rych zdań słabszych, obok mocniejszych, widzieć można było dążność pisarza do wykazania pierwotnej przyczyny wszelkiego powstania z processów rozrzedzenia i zgęszczenia, a to według widoków siłowych. Dziełko nie zwróciło na siebie uwagi uczonych; dopiero, kiedy Kopernik osiadł w Heilsbergu, nabyło znaczenia. Sam powiada, że znudzony szkołarstwem wziął się do odczytania filozofów, jakich tylko miał pod ręką. A chociaż posiadał ich niemały zasób, jak się z dzieła jego okazuje; na niektórych jednak ważniejszych mu zbywało, mianowicie na Dyogenesie z Laertu, znanym zbieraczu mniemań, który drukiem ogłoszony został po raz pierwszy 1533 r.; na dziele Archimedesesa zwaném *Psammites*, w którym jest wzmianka o Arystarchu samijskim, utrzymującym bieg roczny i wirowy, tudzież niesłychaną odległość gwiazd stałych od słońca; na dziele Stobeosa, który z Heraklidem i Pitagorejczykami utrzymywał, że każde ciało niebieskie istoty jest ziemistej i otoczone powietrzem. Brakło mu więc wiele rzeczy ważnych.

Z biblioteki podręcznej najbardziej go uderzył Pseudo-Plutarch, który rozróżniwszy żywioł złożony, jak ziemię i wodę od pierwiastku, dającego wszystkiemu początek (1, 2), przytacza zdania panteistyczne Diagorasa z Miletu, Teodora Cyreńskiego i Ewemera Teagety o bezczynności bogów przed stworzeniem świata, o słabości ich potęgi i dobroci, że ani śniegu z białego na czarny zmienić nie mogą, ani zapobiedz niedoli ludzkiej (1, 7). Dalej powiada, że Ksenofanes uważa świat za niestworzony i wiecznie trwać mający (11, 4); że Arystarch policza słońce do gwiazd stałych, a ziemię toczy po kole słonecznym (11, 24); że Heraklid i Pitagorejczycywoie poczytywali gwiazdy stałe za światy oddzielne, przejąwszy tę myśl od starych tajemnic orfickich (11, 13); że Filolaos ziemię ze słońcem obraca około ogniska (111, 13); że Heraklid i Ekfantos przyznają jej bieg wirowy od zachodu na wschód (111, 13); nakoniec, że siła popędowa naznacza każdej rzeczy jej stan i położenie (1, 4).

Prócz tego znalazł w encyklopedyi z Vgo wieku po Chr. Marcyana *Capelli*, zdanie, iż Merkury i Wenus krążą około słońca, niby jego księżyce.

Te są zasoby filozoficzno-astronomiczne, które Kopernik osiadłszy w Heilsbergu 1507 r. odczytał, i z nich wziął



pochop do sprawdzenia dowodami układu świata, przewidywanego przez najlepsze głowy Grecyi. Żaden z przytoczonych filozofów nie utworzył całego systemu; każdy z nich ułamkowo tylko zdania swoje ogłaszał, niekiedy nawet ustnie; nie więc dziwnego, że piśmiennictwo greckie nie zawiera w tym względzie żadnej całości. Co więc, Hipparch i Ptolemeos nie zwracali uwagi na zdanie Arystarcha o środku słonecznym, a KleantAteńczyk oskarżył go nawet o bezbożność, że Hestję znieważył, rugując ją ze środka.

Do przedsięwzięcia Kopernika trzeba było wielu warunków, rzadko się łączących w jednym człowieku. Naprzód wielkiego zamiłowania praw przyrody, której nabył w świeższym powietrzu włoskiem po wiekach grubego barbarzyństwa; powtóre szczególnej zdolności umysłowej w skreśleniu prawdziwego obrazu świata w siłowym związku, z niedokładnych, nielicznych i odrzuconych wiadomości; potřecie wielkiej zręczności okazanej w wywróceniu całej astronomii przez puszczenie tylko w ruch ziemi: nakoniec jedynę wśród ciemnoty powszechnej i zabobonów odwagi, w ogłoszeniu tak zadziwiającego układu. Zasługa ta geniuszu lepiej oceniona zostanie przy rozbiorze odmawianej mu ledwo nie do naszych czasów oryginalności.

Pierwszy odgłos, który dał się słyszeć po wyjściu z druku dzieła, był ten, że nauka podkopująca powagę Ptolemeosa jest poprostu Pitagoryczna, nie w tém znaczeniu, żeby Pitagoras był jej twórcą, gdyż wiadomo, że przypuszczał obrot słońca około ziemi; ale iż jest pożyczona od zwolenników tego wielkiego matematyka, szczególnie Filolaosa, o którym Kopernik kilka razy w dziele wspomina. Z tego zarzutu przekonywamy się wyraźnie, że filozofii przyrodzonej współcześni nie rozumieli; szło tylko o szczegół względnie mniejszej ważności, to jest o obrot ziemi około słońca. Ale i tak uważany zarzut ich był niesłuszny. Filolaos bowiem podług Pseudo-Plutarcha (111, 13) mniemał, że ziemia bieg odbywa około ognia, na wzór słońca i księżyca. Otóż uczeni europejscy wzięli ogień za słońce i wpadli w zdanie niedorzeczne, że ziemia ze słońcem obraca się około słońca. Ogień w tekście greckim nazwany *pyr*, według wyjaśnienia sławnego filologa berlińskiego *Boeckha* znaczył w starożytności ognisko *hestia*, to jest przetrzeń świetlistą, otaczającą *olimp*, siedlisko Jowisza. Za

tym środkiem następowała dzielnica gwiazd stałych, zwana *kosmos*, a za tą dopiero rozciągał się świat ziemski, *uranos*, to jest kraina księżyca, wiatrów i obłoków. Ziemia zaś ze słońcem jak konie biegały na linie około hestyi, zwrócone do niej jednym tylko bokiem (1). Niepodobieństwo zatem obu systemów tak jest uderzające, że uwalnia od wszelkich nad niemi uwag. Lecz przesady zakorzenione trwają długo, kiedy Humboldt w *Kosmosie* powtarza, iż Kopernik wszędzie upodobanie okazuje do Pitagorejczyków. Tak nie jest. Filozofa przyrodzonego najżywiej zajmował system świata, podany przez stare tajemnice orfickie, których Ksenofanes, Pitagorejczycy i Arystarch byli tylko odbiciem. „Matematycy, powiada Kopernik, nie dostrzegli, ani ze swoich założeń wywiedli najważniejszej rzeczy, to jest układu świata” — „zgłębiając tak pilnie drobne rzeczy, nie dojrżeli stałej zasady w tej okazałej budowie.” Układowi należało znaleźć niewzruszoną zasadę, którą Kopernik znalazł w sile ciężkości. Jeżeli zaś idzie o upodobanie szczególnie filozofa, tedy z równą przyjemnością wspomina: Hiketasa, Heraklidesa pontyjskiego i Marcyana Kapellę, jak Ekfantosa i Filolaosa. Wreszcie oświadcza, że nie żadna powaga, ale dziwne tłumaczenie biegu planet przez astronomów, naprowadziło go na myśl o ruchu ziemi (V, 2).

Domysł, że Marcyan Kapella encyklopedysta z V wieku po Chr. naprowadził na uznanie środka słonecznego, nie zasługuje na rozbiór, bo podług tego pisarza, ziemia w środku świata jest umieszczona.

Montucla w dziejach matematyki (T. I str. 538) przypisuje wynalazek ruchu ziemskiego kardynałowi de Cusa, żyjącemu w wieku XV. Za nim idąc Ideler astronom berliński wynurzył ciekawość swoją w Muzeum starożytności Wolfa i Buttmanna (1808), czy Kopernik nie znał pisma kardynała? Rzecz tę należycie wyjaśnił Dr. Clemens z Bonn, w dziele *Giordano Bruno, und Nicolaus von Cusa, 1847*. Przytacza on (str. 97—100) oryginalny rękopis Cusy, znaleziony w bibliotece szpitala Cues, podług którego „ziemia zgodnie ze zdaniem Pitagoresa, obraca się około biegunów

(1) De Platonis systemate coelestium globorum, et vera indole astronomiae philolaicae, Heidelberg 1810. Philolaos des Pythagoreers Lehren, nebst den Bruchstücken seines Werkes. Berlin, 1819.

świata, raz we dnie, drugi raz w nocy; gwiazdy stałe dwa razy, a słońce mniej niż dwa razy we dnie i w nocy." Ow więc wynalazek mniemany, okazuje się śmiesznością. Wreszcie Klemens utrzymuje, że Cusa było nowoplatonczyk, używający matematyki do wyjaśnienia tajemnicy Trójcy Ś.

Niebezpieczniejszy miał być dla sławy Kopernika zarzut, iż pożyczył myśli od Arystarcha, którego system słoneczny, ze wszystkich znanych najbardziej zbliża się do myśli twórcy astronomii nowożytniej. System ten w kilku wierszach skreślony przez Archimedesą, bezwątpienia jest wzniosły. „Te zasady, mówi, zbijając Arystarch Samijczyk ogłosił domysły, które przyjąwszy, wnieść można, iż są liczniejsze światy od opisanego. Przypuszcza bowiem, że gwiazdy stałe i słońce nie mają ruchu, a ziemia krąży około słońca, nieruchomego we środku biegu. Sfera gwiazd stałych otaczająca ten sam środek słoneczny tak jest odległa, iż płaszczyzna koła, po którym ziemia obiega, tak się ma do odległości sfery gwiazd stałych, jak środek do obwodu koła.” Dla zbitcia tego zarzutu, pamiętać należy, że dzieło Archimedesą, w którym się ten ustęp znajduje, w rok dopiero po zgonie Kopernika wydrukowane zostało, przez ucznia Schonera. Tak ważny dowód trafił do przekonania wszystkich; lecz Humboldt w naszych czasach nasuwa myśl (Kosmos T. II, str. 350 wyd. Stuttgart), że bez dzieła Archimedesą, z samego tylko Pseudo-Plutarcha mógł wiedzieć twórca systemu o zaliczeniu słońca do gwiazd stałych przez Arystarcha. Bezwątpienia wiedział o tem, ale nie znając myśli Samijczyka Psammitesa pojął niezmierną odległość gwiazd stałych i siłę ciężkości władnącą materią powszechną, która jest zasadą całego jego układu.

Kiedy Brenan w 1823 przełożył na język angielski rozprawę Śniadeckiego o Koperniku, Brinkley dyrektor obserwatorium dublińskiego wielkie okazał zdziwienie, że nie pierwszy Newton nadał znaczenie sile ciężkości w mechanice świata. Każdego jednak z tych wielkich ludzi sława na blasku nie traci: przy jednym zostanie wynalazek siły przyciągania, przy drugim najściślejsze obliczenie praw jej, podług skazówki Galileą. Aby się przekonać, czy starożytni nie podali w tym względzie myśli Kopernikowi, wielu uczonych, a szczególnie Henryk Martin, w studyach nad Ty-

meosem Platona, zebrali wszystkie miejsca z pisarzy starożytnych, wspominające o spadku ciał. Z tego się okazało, że mówili o sile rozpędowej, nie zaś przyciągającej, jak Diogenes z Apolonii i Philipponos; Anaksagoras zaś i Simplicius z kamienia wyrzuconego z procy, lub naczynia z wodą, kręconego szybko na obręczy wnieśli, iż księżyc ciężarem swoim spadłby na ziemię, gdyby ustała na niego działać siła odśrodkowa. W tém okazali pojęcie ciężaru nie zaś siły przyciągającej. Demokryt, Plato i Lukrecy bardziej się zbliżyli do prawdy, twierdząc, że cząstki jednorodne przyciągają się ku sobie; lecz Kopernik przyznawał sile ciężkości wpływ *na zewnątrz*, jak słońca například na system planetarny.

Ostatnią próbę wartości swojej miał odbyć twórca filozofii przyrodzonej, przed najuczestszym naturalistą Niemiec von Humboldem. Ten przebiegając dzieje astronomii, nie rozpoczyna nowożytniej epoki od Kopernika, ale wzrost nauki bierze za następstwo wynalazku lunety. Jeżeli zarzuca sobie ten pisarz z Czyńskiego, że Elektry Sofoklesa wziął za elektryczność, równem prawem można poczytać za wielką osobliwość, że autor opisu fizycznego świata, kładzie na czele największej epoki fabrykanta okularów Lipperscheya, kiedy lunety przysłużyły się tylko do potwierdzenia nie zaś stworzenia układu przez najgłębszy rozum. Czemuż ten fabrykant z Middelburga, lub nabywcy lunet nie zwrócili szkieł od widoków ziemskich na Wenus a lub Jowisza, ale czekali na Galilea przeniknionego myślą Kopernika? Jeżeli zaś idzie o robotę lunet, to właściwiej byłoby wspomnieć *Salvina degli Armati*, lub *Alexandra Spina* fabrykantów szkieł powiększających w XIII i XIV wieku, bo ci przynajmniej poprzedzili Kopernika.

Zbyteczne wyteżenia przeciwników odstąpiły nakoniec stronę śmieszoną. Doppelmayr i Szubert przypisali układ świata Regionontanowi, Hagen Schonerowi, Gruppe Platonowi. Że to nie żart, dowiadujemy się z E. F. Appelta, autora Reformy astronomicznej (Jena, 1852; str. VII i VIII).

Kiedy się już nauka Kopernika naturalizowała w Europie, świetne imiona Galilea, Newtona, Herszla, zalecone gotowością umysłu do rozbioru i zniszczenia błędu, podawały pochodnię rosnącej coraz prawdy następnym pokole-

niom. William Gilbert poczytał siłę ciężkości za magnetyczną, i posunął o jeden krok naukę; Galileo stworzył mechanikę ziemską, a Newton wychodząc z zasady wzajemnego ciał przyciągania, mechanikę niebieską; Euler, d'Alembert i szkoła Lagranża udoskonalają rachunek; Laplace niezbitymi dowodami matematycznymi przekonał, że układ świata zamieszaniu nie ulegnie, bo wszystko po upływie pewnych okresów czasu, słuchając siły mechanicznej, na swoje miejsce wraca. Halley jeszcze w r. 1717 ruch gwiazd stałych Syriusa, Arktura Aldebarana wykazał, lecz dopiero po połączeniu lunet z narzędziami do mierzenia kątów służącemi, w których posunięta została dokładność do części jednej sekundy, dowiedziano się z pewnością, że Arkturus w przeciągu dwóch tysięcy lat posunął się o  $2\frac{1}{2}$  średnicy księżyca. W nowej dla znajomości nieba epoce, Herschel przez czterdziesto-stopowy teleskop, sięgający 2,800 odległości Syriusa, postrzegł całe niebo szafirami, rubinami i smaragdami zasiane. Plamki mgławic, stanowiące krańce wszechświata, rzuciły światło południowe, które dziś przez teleskop Lorda Rossa rozwiązane zostało na gwiazdy błyszczące na tle czarném. Nasze czasy doczekały się myśli ważniejszej jeszcze, to jest o poruszaniu się milionowych systemów słonecznych około jednego środka ciężkości, wskazywanego już przez najpiérwszych znawców.

Wszystko to się rozwinęło z filozofii przyrodzanęj Kopernika, to jest zasady fizycznej poruszającej wszechświat. Bez ubliżenia zatem Rejowi lub Kochanowskiemu, rozpoczęliśmy rozkwit ojczystego piśmiennictwa od tego wielkiego człowieka, spodziewając się że znajdziemy usprawiedliwienie w myśli kierującej dzisiejszą cywilizacją, i godności narodowej.

Pozostaje zastanowić się nad filozofią umysłu, zdobiją także w wysokim stopniu nasze piśmiennictwo.

## NOTATY Z WYCIECZEK PO KRAJU.

Z REKOPISMU

ś. p. Władysława Wieczorkowskiego.

### CHMIELNIK.

Pędzimy jak strzała po drodze bitej z Kielc do Chmielnika. Czystej krwi Krakowiak, pan Matus z pod Szkalmierza, podcina dwie dobre szkapy fornalskie, pośród których wychował się od chłopaka przy dworskiej stajni. Zna on doskonale i siwkę i bułanego; wszystkie ich przywary, zaley, a i one też wzajem słuchają każdego skinienia swojego żywiciela i niechno jeno pan Mateusz odezwie się bogdaj słówko zrozumiałym dla nich językiem, to czasem i biczykiem nie potrząśnie, a konie lecą i lecą, jakby wiatr po polu... Bogdaj to podróżować z Krakowiakiem!

A na prawo, na lewo, gdzie jeno spojrzeć, cudna tu okolica. Po za tobą błyskają wieżycy i białe mury prastarego grodu, co dziś wieszając na sobie nowe szaty i świecidla, chciałby jeszcze uchodzić za młodziana.

Tak nam się przedstawiło miasto Kielce. Po obu zaś stronach drogi piętrzą się góry i pagórki pokryte jałowcem i karłowatą sosniną; któreby może przeklął jaki zawołany agronom, ale które dla artysty, dla uniejącego pojmować piękności Boże, tworzą prawdziwie uroczą panoramę. Tej ziemi dziewiczej a świętej nie tknął się jeszcze

pług polskiego oracza, a te jej dzikie urwiste wzgórza jaśnieją w dali mdławym błękitem i aż z niebem się łączą. Nad całą znowu okolicą króluje wspaniały kościół Święto-Krzyżski; a lud polski ośm już wieków modli się do tego krzyża, co u jego szczytu zatknięty. Ileżto wypadków z ubiegłego żywota naszej ojczyzny, ileżto wspomnień przyrosło do tej wyniosłej góry, na której wierzchołku stoi odwieczna świątynia! O! dość jednej piosenki, jednego żywego słowa historyka, ażeby odżyły one w piersi wykarmionej rodzinnym podaniem.

Piękności kieleckich okolic tylko się migają przed oczami; przesuamy się szybko pośród coraz to nowych obrazów natury, roztaczających niezliczone swoje bogactwa. Zostawiliśmy już po za sobą Lisów, Piotrkowice i Tarnoskałę; zjeżdżamy w dolinę i oto u stóp naszych zjawia się niespodzianie miasteczko *Chmielnik*, a zaraz na samym wstępie—ogromna, murowana, ... żydowska bóżnica.

Zaledwie też koła naszej bryczki zaturkotały po bruku miejskim, tylko cośmy wjechali w pierwszą ulicę wiodącą ku rynkowi, kiedy naraz wysypała się ku nam cała czereda pejsatych, brodatych, rudych, nie rudych synów Izraela.

Każę jechać dalej; Matus nie szczędzi bicia i koniom i oblegającym go żydom, ale gdzie, ani sposób: ten chwytą za cugle, ten porywa za tłumoczki, inny za kij podróżny. Krzyk, hałas szwargotanie. „A waj co za rozbój! czego się wasan tak pichasz!” wołają na Mateusza.

— Za co jaśnie pan chowa takiego zbójca: on mojego Jankiel przez oko chciał zabić.—Nu ale niech jaśnie zajedzie do mojego hotele: mam fejn warszawskie stancye....

— Może jaśnie pan cegarów, echt tabakos; niech jaśnie pan kupi, za pół darmo sprzedam: zagraniczny towar!...

Słowem, istne obłężenie. Ha! więc trudna rada—przeciw wodzie nic nie pomoże; nie pozostawało nam nic lepszego do roboty, jak udać się za tryumfującym Izraelitą, który opanował największą część naszego podróżnego ładunku.

Rzeczywiście stancya, którą nam tyle zachwalono, była świeżo wybielona, okna w niej świeżo zalepione papie-

rem, a na środku stała kałuża ze świeżo także spadłego deszczu. Tutaj znaleźliśmy wszystkie nasze bagaże, ale zarazem chmarę żydów, którzy wszystkiemi możliwemi otworami wściskali się do naszego apartamentu, bodaj nawet dziurką od klucza, jak ów djabeł Twardowskiego.

Ale dość już opowiadania tego o znanych powszechnie rzeczach. Ktokolwiek podróżował po naszym kraju, a zdarzyło mu się zawadzić o jakie żydowskie miasteczko, temu aż nadto dobrze jest znana, podobnego rodzaju *obcesowa* gościnność, jaka nas spotkała ze strony żydów w Chmielniku. Bo téż i Chmielnik, jestto sobie ni mniej ni więcej, jeno prawdziwie polska mięścina, przepelniona do zbytku żydami, nieodrodna siostrzyca swych braci, prowincjonalnych miasteczek.

Zostawiwszy mojego towarzysza podróży certującego się z żydami, których nawet wypychanie za drzwi nie odstraszało od nowego szturmu do okien, poszedłem przypatrzeć się zblizka miastu. Usłużny faktor rozpowiadał mi tymczasem po drodze arcy ciekawe rzeczy o swojej siedzibie; mówił mi o pożarze, który dotknął Chmielnik, mówił wreszcie, że ci co widzieli to miasto przed kilkunastą laty, nie poznają go dzisiaj, tak dalece umiało wypięknąć i wyporządnąć się. Juźcić musi być w tém i trochę prawdy, bo nawet *Starożytna polska* wydana w r. 1844 wspomina jeszcze o Chmielniku, jako o miasteczku „złe i ciasno z drzewa zabudowaném, chociaż dosyć przemysłném” (Tom II, 379). Musiałem być jednakże w jakimś niefortunném usposobieniu, kiedy mimo szczerój chęci nie mogłem się wcale dopatrzeć tych uroczych wdzięków miasteczka. Prawda że pożary spaliły na węgiel stare, żydowskie drewniane klecidła, i że natomiast stanęły nowe domostwa, inne budują się jeszcze, albo raczej murują. Zawsze to postęp nie lada: — ale cóż z tego, kiedy, pan architekt projektujący te nowe budowle, widocznie zanadto sobie ceni estetyczne pojęcia Izraelskich właścicieli domów.

Ztąd też niektóre z nich aż rażą swoją niezgrabnością, zupełnym brakiem proporcji i jakąś osobliwszą, prawdziwie niemowlęcą architekturą.

Bo trzeba i to wiedzieć, że w Chmielniku budują się nawet domy w stylu mającym pretensyą do gotyckiego,



a inne to już chyba w stylu nieoznaczonym, zupełnie nowym, którego pierwszym wynalazcą będzie zapewne miejscowy budowniczy. Lubimy i pojmujemy oryginalność, ale jeżeli ma nas ona doprowadzić do takiego dziwactwa, jakie znajdujemy w Chmielniku, to wolelibyśmy widzieć bodaj proste naśladownictwo pierwszego lepszego elementarza architektonicznego.

Główną a może jedyną ozdobę miasta stanowi kościół parafialny, zbudowany niedawno, bo w XVIII już wieku; chociaż i ten zaleca się raczej obszernością swoją, ale nie stylem zwykle w owe czasy używanym—rococo. Tutajto w sąsiedniej plebanii oglądałem metryki miejscowe z pierwszej połowy XVII wieku, które uczą nas, że w Chmielniku, obok zboru różnowierców, istniała też parafia katolicka, i że jej proboszczem był w r. 1636 niejaki Marcin Zberski.

Drugi niewielki kościółek, dawniej parafialny, fundowany przez Oleśnickich, a poświęcony przez arcybiskupa Bodzantę, jest tylko cząstką niegdyś obszernej budowli.

Ze starego bowiem kościoła, który był w Chmielniku może jedyną pamiątką po Oleśnickich, dawnych dziedzicach miasteczka, pozostała tylko część kapłańska, którą przerobiono teraz na kaplicę cmentarną.

Chciałem obejrzeć ten bez wątpienia najstarszy budowniczy zabytek w Chmielniku, i w tym celu udałem się do księdza proboszcza; a że nie było go w mieszkaniu, więc jak zaczęto mnie odsyłać z plebanii do wikaryatu, z wikaryatu na pole, a z pola napowrót na plebanią; jak zaczęto wodzić od Annasza do Kalfasza, to i odbiegła mię chętka do tych wcale nie archeologicznych i nie naukowych poszukiwań. Tyle tylko skorzystałem z tej mojej włóczegi, że na cmentarzu owego kościółka dostrzegłem figurę Matki Boskiej, grubiej rzeźbiarskiej roboty z datą 1688 r. i potłuczony wizerunek Chrystusa, nieco lepszego już dłuta. Są to rzeczy, jak widzicie, nie arcy zajmujące: bo już to w ogóle niebogaty plon naukowy wynieśliśmy z Chmielnika. A to, co powiemy jeszcze o tej starożytnej posiadzi, będą to prędzej wspomnienia dotyczące kraju całego, aniżeli fakta do właściwych jej dziejów wewnętrznych.

Chmielnik zgodnie ze swoją nazwą ma herb: gałązkę Chmielu o trzech kwiatach.—Za czasów pierwszego najazdu Tatarów (1241 r.), o którym gdzieindziej pisaliśmy obszernie, znajdowała się w tém miejscu wioska, którą dopiero w r. 1551 Jan Oleśnicki podniósł do rzędu miast, wyrobiwszy sobie przywilej u króla Zygmunta Augusta.

Przywilej ten uwalnia mieszczan i przedmieszczan Chmielnika, na lat 12 od opłaty szosu, czopowego, niemniej od wszelkich podatków publicznych i prywatnych; podobnie od opłaty ceł, z wyjątkiem nowo ustanowionego pogranicznego myta. Stanowi dalej 3 jarmarki (na Sty Jakób, na Wszystkich Świętych, i na Sty Mateusz), oraz targ we czwartek. Ale co najważniejsza, przywilej Zygmunta Augusta dozwala miastu rządzić się prawem magdeburskiem.

A prawo to starczyło za wszelkie inne uwolnienia. Osada, już tém samem przestawała zależeć od widzimisię panów; nie tu już nie znaczył ani sędzia ziemski, ani starosta. Nawet kasztelanowi i wojewodzie nie wolno było się mieszać prawnie do rządu i sądu. Miastem rządził magistrat, a sądów starościńskich ani żadnych innych nie potrzebowali słuchać jego mieszkańcy, mając swojego wójta, który wydawał wyroki, stosując się do prawa zwanego teutońskiem (1).

Mikołaj, syn Jana Oleśnickiego założyciela miasta, ustanowił w Chmielniku w r. 1582 cech garncarzy, którego ustawy potwierdził w roku następnym Stefan Batory. Na Mikołaju wygasła gałąź Oleśnickich, dziedziców na Chmielniku; bo Mikołaj miał tylko trzy córki. Jedną z nich pojął w małżeństwo Stefan Chelmski, druga wyszła za Jana Zuchowskiego herbu Łabędź, szlachcica z sandomierskiej ziemi; trzecia za Strasza. Mimo to Chmielnik nie wyszedł tak prędko z rąk Oleśnickich, a w roku 1614 posiadał go Jan Oleśnicki (2), zapewne ten sam, o którym wspomina

(1) *Metryka koronna* N. ks. 79, fol. 425.

(2) Zapewne temu Janowi Oleśnickiemu, znany wierszopis z czasów Zygmunta Wazy, Wawrzyniec Chlebowski przypisał jeden ze swoich rymów p. t.: „Wizerunek wiecznej sławy sauromatów starych, Wawrzyńca Chlebowskiego (1614)”; przypisanie to brzmi: „Ojczyzny i dobra wspólnego miłośnikowi Jmci panu Janowi Oleśnickiemu w Chmielniku etc.

Niesiecki, że miał za sobą Sieniawską. I dopiero w drugiej połowie XVII wieku znajdujemy to miasto w posiadaniu kalwińskiej rodziny Gołuchowskich (1).

Za ostatnich czasów Rzplitej, pobożna pani Elżbieta z Przebendowskich z pierwszego ślubu Ożarowska, z drugiego Andrzejowa Moszczeńska, pozostawiła po sobie w Chmielniku długotrwałą pamiątkę. Onato wraz z mężem swoim Ożarowskim położyła (w r. 1732) kamień węgielny na budowę kościoła, o którym wyżej wspomnieliśmy.

Nowa świątynia wedle pierwotnej myśli fundatorów przeznaczoną była dla księży Reformatów. Już nawet kapituła zakonna, zebrana w Jarosławiu, przyjęła (r. 1741) ofiarowaną sobie fundacyę, kiedy oto w tymże samym czasie umarł Ożarowski i rzecz cała nie wzięła skutku. A taż sama kapituła księży Reformatów postanowiła, ażeby już nadal żadnych innych fundacyi nie przyjmowano (2)!

Kościół jednak w Chmielniku ukończony później został przez drugiego męża pani Przebendowskiej, Andrzeja Moszczeńskiego. I wkrótce też odbyła się w nim uroczystość poświęcenia ołtarzy, której dopełnił d. 23 września 1787 Adalbert Józef Boxa Radoszewski biskup hirynenski, sufragan i archidyakon sandomierski. Trzy ołtarze poświęcił biskup Radoszewski. W głównym, czyli wielkim, pomieszczony był obraz Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, pięknego włoskiego pędzla. Dwa inne boczne, przedstawiały św. Andrzeja i św. Elżbietę, patronów małżonków Moszczeńskich. Przeniesiono także kilka ołtarzy z da-

swemu wielce miłościwemu panu i mecenasowi". O tej broszurce, którą oglądaliśmy w bibliotece Okręgu Naukowego Warszawskiego, nie wspomina wcale Siarczyński.

(1) J. Łukaszewicz. Dzieje kościołów wyznania Helweckiego w Małopolsce. Str. 319.

(2) „Dalszy ciąg przydatku do kronik braci mniejszych ś. Franciszka czyli rys genealogii reformy dwóch prowincyj ś. Antoniego Padewskiego i Najświętszej Maryi Panny Anielskiej, rzetelny. Od r. 1722 w dalsze następane czasy i lata przez ks. Onufrego Myszkowskiego ś. ojca Franciszka Reformata, prowincyi ś. Antoniego ojca Archiwaryusza, świętych kanonów lektora, pociągnięty do druku za dozwoleń obojg zwierzchności, podany roku MDCCCVI (stron. 35). Dzieło to będzie dalszym ciągiem kroniki zakonu Reformatów przez ks. Koralewicza napisanej, jest dosyć rzadkie i tylko po bibliotekach tego zakonu znaleźć je można.

wnęj parafii, która coraz bardziej niszczała, rozpadając się w gruzy.

Kościół w Chmielniku nie posiada zresztą żadnych szczególnych pamiątek ani też pomników sztuki. Tylko portret wojewody Moszczeńskiego i kilka niedawnej daty nagrobków zwróciły na się naszą uwagę, jako obchodzące historią miejscową.

Podajemy tu co ważniejsze napisy:

1) D. O. M.

Pawłowi i Agnieszce Bąkiewiczom, syn i pasterz miejsca, przez miłość jako ku ukochanym Rodzicom, przez sprawiedliwość jako ku hojnym dobrodziejom tego kościoła, kamień ten pamiątki kładzie.

Mąż 4 października 1800 r. (1).

Żona 20 grudnia 1792 r. tu pochowani. Łaskawy czytelniku, czulę westchnieniem zaleć ich Bogu, wszak sam tego potrzebować będziesz.

2) D. O. M.

*Reverendo Martino Bąkiewicz Canonico Vislicensi primo praeposito huius Ecclesiae, qui eam suo sumptu consecrari et ampio apparatu decorari cunaverat. Potruellis succesor praepositus in Tesseram amovis et gratitudinis hoc memoriale possuit. Vixit annos 78 obiit 25... bris 1799 A. Lector dicito requiem.* (u góry nagrobka umieszczony portret).

3) D. O. M.

Co najdroższego miałem

Tu pochowałem.

Ksiądz Kazimierz na Szaniawach Szaniawski. Proboszcz przez lat 42 téj parafii zasłużony. Kapłan, żył nie dla siebie i z powszechnym żalem, d. 10 kwietnia 1819 r. pełniąc obrzędy Religii, umarł.

Ciebie smiertelny przechodniu o westchnienie do Boga uprasza.

(1) Ta data zapewne później została wpisana, gdyż syn, jak to zobaczymy w następnym nagrobku, zmarł. 1799.

4) D. O. M.

Janowi Hr. Bobrowskiemu dziedzicowi dóbr wielu w Galicyi Austryackiej i w Królestwie Polskiem, urodzonemu we wsi Nitku d. 19 października 1770 r., a zmarłemu we wsi Żrycu w d. 8 lipca 1840 r., pozostała małżonka Maryanna z Bielińskich Hr. Bobrowska pomnik ten niewygasłego żalu popiołom jego w grobach tego kościoła spoczywającym położyła, prosząc przechodnia o westchnienie do Boga.

\* \* \*

Dziwném się to wyda, kiedy kto powie, że takie dajmy na to miasteczko Chmielnik, bogate jest w historyczne wspomnienia. Jakto? spytacie się więc, i ta drobna, uboga wieś, przesiąknięta żydowszczyzną, miażdżby i ona posiadać swoją historyczną kartę w dziejach?.. Tak jest niewątpliwie, bo nie tylko każde by najjnniejsze miasteczko, ale nawet każda wioska, ale nawet każda piędź polskiej ziemi, mogłaby wyśpiewać o sobie niejedno epos, niejedną krwawą powieść ze swojej przeszłości. Ojczyzna nasza to bogata kraina wspomnień, to jakby wielki a wspaniały poemat.

Zamiast niedowierzania, oto lepiej otworzmy księgę dziejów, a tam zaraz na wstępie czytać będziemy, jak na polach Chmielniku, w uporeczywej walce cywilizacyi ze wschodniem barbarzyństwem, ważyły się długo losy Piastowskiej Lechii i losy Europy całej, której zagrażał napad zwycięzkiej dziczy tatarskiej, nowe powtórzenie czasów Attyli. Było to w r. 1241. Gdzieindziej mówiliśmy obszerniej o Batowym szlaku, o pierwszym najściu Tatarów na Polskę i o téj bitwie pod Chmielnikiem: więc nie będziemy się powtarzać (1).

Dalsze wspomnienia Chmielnika, to wspomnienia o różnowiercach w Polsce. Bo i jakżeż nie miał tu zakwitnąć protestantyzm, kiedy już wszędy dokoła przyjęły się wyobrażenia nowatorskie o wierze. Tu niedaleko leżały Czarkowy Moskorzewskich, sławne synodami, tu włości Radziwiłłów, Opatów, Ćmielów i inne. Tu w Sandomierskiem

(1) Patrz *Księgę Świata*. Notaty z wycieczek po kraju.

gniazda Sienińskich, Zborowskich i tylu innych rodzin protestanckich. Tu, co najważniejsza, prawie w sąsiedztwie, stały tak zwane Ateny polskie:—sławny Pińczów, dziedzictwo Mikołaja na Oleśnicy, gdzie w starym zamku swych katolickich przodków podejnował Mikołaj co celniejszych między różnowiercami mężów. Gościli na jego dworze Krowicki, Ochlin, Stankar, Lismanin, Alexander Witrelinus, Piotr Statorius, Piotr z Goniądza, Szoman i inni. W Pińczowie była owa sławna szkoła, utrzymywana przez katolików, w Pińczowie odbywały się znane w dziejach synody różnowierców; tam wreszcie rzucone nasienie wyobrażeń przeciwnych Trójcy Ś., wyobrażeń najsubtelniejszego protestantyzmu, jak się wyraża Maciejowski: widno, że nie na opokę padło, kiedy *aryanów* nazywano inaczéj *Pińczowianami*.

W takim położeniu rzeczy musiał i Chmielnik zostać osadą różnowierców; tém więcéj nie mógł on uniknąć religijnych nowości, ile że jedna i taż sama protestancka rodzina Oleśnickich na Pińczowie i Oleśnicy, dziedziczyła także Chmielnik.

Za Zygimunta Augusta Chmielnik, jak o tém już wiemy, został podniesiony do rzędu miast (r. 1551), a to za staraniem Jana Oleśnickiego. I od téjto właśnie chwili nowa miejska osada została jedném z głównych ognisk katolików. Ateny polskie wywarły wpływ stanowczy na sąsiedniém miasteczku i wyrobiły mu kartę w dziejach różnowierców naszego kraju. W Chmielniku zbierali się oni na synody, (a mianowicie w latach 1584, 1585, 1586, 1591, 1641, 1644, 1663, 1666, 1676), zasłynęła tu także ich szkoła, którą Węgierski do lepszych zaliczył. I słusznie, bo téż rektorowie szkoły chmielnickiéj, to luminarze swojego czasu, to gorliwi apostołowie i obrońcy protestantyzmu; mogli zatém posiadać sławę, kiedy sprawa reformacyi religijnej paliła jakoby ogniem umysły społeczných. Rektorem szkoły chmielnickiéj był Chrystyan Francken (r. 1584) najprzód Jezuita, potém luter, wreszcie socynianin, a zawsze w pismach cudzoziemców nazywany filozofem (1). Był także rektorem Wojciech Kaliski (Calisius) (r. 1586) żarliwy przeciwnik Jezuitów, a przytém człek oso-

(1) Bock, Historia Antitrinitariorum. (Tom I. Pag. 36).

bliwszej nauki. Toż wiadomo, że Jan Zamojski zasięgał zdania i korzystał z jego pomocy, urządzając akademią w Zamościu (1).

Kaliski przyjął arianizm na synodzie chmielnickim w r. 1586 (2).

Wiemy nakoniec, jako zwierzchnikami tej szkoły byli: Krzysztof Osterode i Piotr Statoriusz (Stoiński); Osterode znany z poselstwa od arianów rakowskich do Holandyi dla zaszczepienia tam ich nauki.

Piotr Statoriusz jest autorem grammatyki polskiej w języku łacińskim (3).

Nie będziemy tu kreślić życiorysów tych czasowych znakomitości. Przystaniemy na obszerniejszej wzmiance o dwóch tylko ministrach chmielnickiego zboru, których imiona brzmiały kiedyś dość głośno w ustach współczesnych. Obaj pomarli w Chmielniku: tu był kres ich przeżytej sławy, tu zatem i miejsce stosowne dla pozgonnego wspomnienia. Dwaj ci mężowie byli: Jerzy Schoman i Daniel Klementyn (Clementinus).

Szoman napisawszy dość obszerny testament, który doszedł nas w druku, wznosił sobie skromny, ale trwały pomnik. Cały żywot jego, to pasmo nieustannych prac i trudów; a jednak ta ostatnia wola 60 letniego starca, wychodzącego z koła w którym położył pewne zasługi, stygnącą już kreślona ręką, prawie wyłącznie utrwaliła jego pamięć. W testamencie tym kilka nie do pogardzenia szczegółów do dziejów różnowierców w Polsce, wiele do żywota samego Szomana, a wiele też także prostoty i serca, wybitnie charakteryzujących osobę piszącego.

Ile różnowiercy szanowali sobie to pismo, uczy nas następna przygoda Lubienieckiego.

Gdy jeszcze w młodości jechał raz z ojcem do Ribelina na Wołyń, gdzie Jerzy Czaplic Szpanowski „wygnane z Rakowa muzy przyjmował u siebie,” dał mu ojciec do czytania na kolasce podróźnej ów testament Szomana, wielce

(1) Bock, Historia Antitrinitariorum. T. I, str. 88. Węgierski. (Regen-volscius Systema historico chronologicum Ecclesiarum slavonicarum. Str. 238.

(2) Historia szkół, Łukaszewicza. T. I. Str. 356.

(3) Bock. T. I. par. 2. p. 567. Siarczyński. T. II. Str. 39, 237.

mu go zalecając; i zdarzyło się, mówi Lubieniecki, że czytanie i prawdziwy zapal mnie młodemu sen spowodowały, a pismo z rąk wypadło. Skoro postrzegł tę stratę ojciec Lubienieckiego, tyle cenil to pismo, że kazał mu wysiąść z wozu i szukać testamentu. Wprawdzie zguba się znalazła, ale drogo przyszło Lubienieckiemu okupić nieuwagę: szukając musiał przeszło milę nałożyć piechotę. To też owa przygoda młodości, na długo pozostała mu w pamięci, a nawet jój opis znalazł miejsce na kartach jego *Historji Reformacji w Polsce* (1).

Jedyną myślą Szomana, jak uczy nas testament, był tylko postęp ewangelii, rozumie się że w takim duchu, w jakim on ją pojmował. Nie daje on baczenia ani na majątek, ni wszelkie ziemskie dobra; tylko ten postęp ewangelii jaśnieje u niego na piérwszym planie: to główne jego życzenie i k' temu zmierzają jego z serca idące rady. Zaklina więc współwyznawców, ażeby nie słabli w prawdziwej wierze (w arianizmie), sam zaś pełen ufności w opiekę Boga i Chrystusa, pewny że ta wiara, której czyni wyznanie, przeżyje wieki: żąda moralności od swych braci w wierze „tak iżbyśmy (mówi), nietylko lutrom, lecz i papieżnikom w pobożności sprostali a nawet przewyższyli.” „Pałajmy, mówi dalej, ogniem braterstwa, sprzęnijmy się węzłem miłości, aby chcąc niechcąc (przeciwnicy nasi) widzieli nasze dobre czyny i wysławiali Ojca naszego w Niebiesiech i Pana naszego Jezusa Chrystusa ukochanego syna Jego.” Tego żąda od swych współwyznawców „ażeby ukończywszy doczesną pielgrzymkę, dostąpił niezwiédłego wieńca w życiu przyszłym.” Nawet błędowi trzeba wybaczyć, kiedy się widzi tyle niekłamane go zapalu, którego źródło w wewnętrznym głębokim przeświadczeniu o prawdzie. Mamy to przekonanie, że gdyby to były inne czasy, Szoman inną niezawodnie poszedłby drogą. Może byłby kanonikiem wrocławskiej katedry, i może wtedy jaki żywoto-pisarz miejscowy, szerokoby się rozpisal o cnotach kanonika. Ale Szoman byłto prawdziwy syn czasu, więc pobiegł za jego duchem reformatorskim; nie umiał się oprzeć zbyt silnemu prądowi.

(1) Lubieniecki 207; 208. Także Lauterbach. Str. 188, 189.



Urodził się Jerzy Szoman r. 1530. Ojciec jego Stanisław Lossel, zwany powszechnie Szoman, pochodził z wioski niemieckiej pomiędzy Krosnem a Rymanowem, chociaż rodził się już w Poznańskim. Matka Urszula była to polska szlachcianka; ojciec jej bowiem Krzysztof Tiachowski (1) niegdy kanclerz księcia Raciborskiego, pieczętował się herbem „Starykoń z toporem.”

Wychowanie odebrał Jerzy, nie wyszukane, ale zwyczajnie takie, jak na szlacheckie chłopię przystoi. Rodzinny Szląsk był pierwszym jego nauczycielem. W Raciborzu obeznał się z głównymi zasadami religii katolickiej, grammatyki i muzyki, a gdy potem przybył do Wrocławia (1546 r.), uczył się tam dalej i odniósł nieco korzyści w sztukach pięknych. Obeszło się bez Padwy albo Wittenbergu.

Ale w tymże samym Wrocławiu, mimo że przestawał z samymi prawie kanonikami i prałatami, to jednak Cyr nauczyciel jego potrafił zachwiać u rysłem zagorzałego jeszcze wówczas katolika i zjednać na stronę nauki Lutra. I już więcej nie powrócił Szoman do starej wiary swych ojców, brnął coraz dalej, aż ukończył na socyanizmie.

Cyr, znana w dziejach postać, było człowiek jeno za korzyścią goniący. Zwolennik Lutra, skoro tylko do Włoch się udał, wrócił znowu na łono katolicyzmu: mówią że wabiła go swoim bogactwem wrocławska katedra, chciał zostać owym sławnym na całą Polskę „złotym biskupem.” Próżno jednak wyczekując infuły, doświadczywszy zawodu w swoich zamysłach, innej chwycił się drogi.

Wdział kaptur inniszy i został opatem Norbertanów we Wrocławiu. Więc posiadał nakoniec to, czego pragnął, to jest infułę, jeśli nie biskupią, to przynajmniej opacką: dostąpił też i znaczenia, bo „prałat tego miejsca w konsessie panów Szlązkich na obradach ma pierwsze miejsce i w królewskim księstwa wrocławskiego z dawności urządzenie ma także miejsce ztąd i tytuł jego *Viri Regii* (2).“

(1) Może Ciachowski. Tego nazwiska znamy ministra aryańskiego przed prawie r. 1641. Łukaszewicza dzieje kościołów wyz. Helw. w Małopolsce. Str. 357.

(2) Daniela Kraszewskiego żywota. Supplement. Str. 316, 317.

Nawróciwszy się do katolicyzmu, chciał Cyr i ucznia przerobić, a biorąc miarę z siebie sądził, że go potrafi zjednać ofiarą wrocławskiej kanonii, „ale za ustrzeżeniem Bóżem, mówi Szoman, unikałem jego pochlebstw.“ Słowa te przekonywają, że namowy wrocławskiego opata przyszły zapóźno dla Szomana.

Był on już wtedy protestantem z przekonania. To też niechcąc nosić dłużej obłudnej maski, nietylko że nie przyjął ofiarowanej mu duchownej godności, ale nawet złożył własną kanonią raciborską, którą dotychczas piastował i został pedagogiem.

Jako pedagog miał już jechać Szoman do Francyi, ale okoliczności nie dopisały. Więc w różnych miejscach zabawił się nauczycielką. W r. 1552 przybył do Krakowa i tam uczył najprzód w szkole Panny Maryi, a dalej potem u niejakiego Hieronima Becha w bursie Isnera (*contubernium pauperorum*) i u Sęj Anny; nieprzystając obok tego same-mu kształcić się dalej, mianowicie w filozofii i sztukach wyzwolonych.

Z Krakowa dostał się Szoman (r. 1554) do Wieliczki, gdzie pan sekretarz a żupnik J. Kr. Mości Hieronim Bużeński (1) przełożył go nad swojemi wnukami i innymi szlacheckimi chłopiętami. Pięć lat zeszło mu w Wielicdze. Szoman był to wyborny nauczyciel dla początkujących; biegły w grammatyce, jak sam się do tego przyznaje: nauczał przytém pilnie i regularnie, mógł zatem wygodzić rodzicom. To też byli wzajem z siebie zadowoleni, rodzice z pedagoga, a pan pedagog z rodziców. I dobrze się działo nauczycielowi wnucząt wielickiego żupnika; na niczem mu nie zbrakło, owszem opływał w dostatki, boć przecie Hieronim Bużeński, to pan co się zowie. I byłby się za-grzebał Szoman w Pieczarze Solnej, „gdyby go (jak się wyraża) łaska Boska nie była powołała z owego miejsca soli ziemskiej do soli niebieskiej.“

Odwiózłszy (r. 1558) uczniów swoich wielickich jednych do Pińczowa, innych do Wittembergu, gdzie głównie Melanchton głosił swoje religijne zasady; przyszło

(1) Był przytém starostą brzeźnickim, a potem podskarbis koronnym (około r. 1573).

mu i o własnem dalszem udoskonaleniu się pomyśleć. Rozmowy z Piotrem Statoryuszem i Filipem Melanchtonem, z którymi zapoznał się w Wittembergu, a którzy snadź upatryli w nim wyższe zdolności, nie pozostały bez wpływu. Powrócił Szoman z Wittembergi do Wieliczki, ale myśl „poznania prawdy w wierze,” już go nie opuszczała; sumienie szeptało mu ciągle, ażeby spełnił swoje zamiary: sny okropne dręczyły go bezustannie. Szoman upatrywał w tém wszystkiem oczywistą wołą Bożą. Więc rzuca Wieliczkę i pana żupnika i to życie bez trosk, które tam prowadził, a myśląc jedynie o uczynieniu postępu w chrześcijańskiej wierze, staje w Dębianach, kędy mieszkał Jan z Łaska synowiec arcybiskupa, niegdy kanonik gnieźnieński i łeczycki, nominat na biskupstwo wesprymskie w Węgrzech, a teraz (od r. 1540 (1) gorliwy zwolennik Kalwina. Ale mistrz znakomity wkrótce go odumarł) (2), i to wtedy kiedy Szoman uczynił zaledwie pierwszy krok na drodze, krórá stale iść postanowił. Jeszcze przed śmiercią Łaskiego rozprawiał on z Franciszkiem Stankarem: „*de mediatoris humanitate apud Deum trinitate.*” Stankar nie zaprzeczał Trójcy Śej, ale utrzymywał, że „Chrystus jest pośrednikiem pomiędzy Bogiem Ojcem a ludźmi, nie według natury swojej Boskiej, ale według ludzkiej; zacém przed przyjściem swoim na świat przyniotu pośrednictwa takowego nie miał” (3).

Jeszcze za życia Łaskiego przeniósł się Szoman do Pińczowa, gdzie bliższe obcowanie z bawiącemi tam Piotrem Statoryuszem. Janem Tewandem, Lismaninem, Blandratą a później z Ochinem (4) oddziałało stanowczo na je-

(1) Skarga i wiek jego (T. I. str. 39), przez M. J. A. Rychcieckiego.

(2) Łaski przyjechał do Polski w r. 1556. *Lukaszewicza o kościołach wyz. helw. str. 101.* Umarł w Pińczowie d. 8 stycznia 1560. (Tamże. Str. 239). *Lauterbach. Str. 185.*

(3) *O kościołach wyznania helweckiego. (Str. 238).* Toż samo znaleźć można w inném dziele Lukaszewicza: *O kościołach braci czeskich w Wielkopolsce*, gdzie Szymon Bogumił Turnowski opisując synod sandomierski r. 1570, mówi, że Stankar nauczał: „iż człowiek Chrystus jest pośrednikiem naszym u ojca, tak, iż człowieczeństwo Jego, ku godności a dostateczności pośrednictwa skutek swój bierze i ma od bóstwa”.

(4) Ochiu przybył do Krakowa dopiero w r. 1564 w końcu maja lub na początku czerwca. *Wiadomości historyczne krytyczne Józefa Max. Ossolińskiego. (Tom II. Str. 13).*

go umysł. I wtedyto zapewne zrodziła się w nim myśl rzucenia się w objęcia socynianizmu.

Nie zapominajmy kto byli owi przyjaciele Szomana: Ochin, Lismanin i doktor Blandrata. Onito właśnie szerząc dogmata nowój sekty, rozerwali jaką taką jedność, co jeszcze wiązała polskich różnowierców aż do śmierci Jana z Łubka (1): jedność, której potem nie mogli już skleić żadną miarą gorliwy kalwin, Stanisław Sarnicki: „obcując z temi ludźmi przekonałem się dowodnie, pisze Szoman, że wiara moja była jeno błędem, nie zaś wiarą chrześcijańską.”

Roku 1660 został Szoman ministrem kalwińskiego zboru w Pińczowie i ożenił się (dnia 18 lutego) z 16to letnią dziewczyną Anną, córką mieszczańską. Synod przeznaczył go w następnym roku na ministra kościoła w Książu; ale pan Bonar kasztelan biecki i wielko-rządca krakowski, ile że był jeszcze wówczas gorliwym kalwinem, podejrzewając zapewne nie bezzasadnie nowego ministra o arianizm, kazał go wypędzić i zabrać wszelki dobytek.

Tymczasem sekta zwolenników nauki Leliusza Socyna nurtując już oddawna pośród małopolskich wyznawców kalwinizmu, powoli, powoli, podkopywała coraz bardziej to wyznanie i coraz śmielej podnosiła głowę; w krótkim przeciągu czasu straszliwy uczyniła postęp, bluźniąc otwarciem Najświętszej Trójcy (2).

W roku 1562 wysłano Szomana wraz z Hieronimem Filipowskim dziedzicem Chrzęćic, i Stanisławem Lasockim dziedzicem Połsznicy na sejm piotrkowski „dla opowiadania, jak mówi Szoman, ewangelii Pana Naszego Jezusa Chrystusa.” Przybył tam właśnie i Stanisław Sarnicki, ażeby ostrzedz małopolskich panów o grożącej schizmie (3).

A że Szoman był już wtedy podejrzany o sprzyjanie nowój sekcje, więc przeciw niemu wystąpił otwarciem Sarnicki—i zwiódł z nim dysputę, pomawiając go wyraż-

(1) *Węgierski*. Str. 83.

(2) *Listy Commendoniego*. Str. 98.

(3) *O kośc. braci czeskich*, Łukaszewicz. Str. 60. Na tym zjeździe oprócz wymienionych w tekście, znajdowali się także Jan Kozanowski, Marcin Krowicki i Stanisław Paklewski (Paclesius) i wielu innych. Wszyscy ci różnowiercy oświadczyli się następcami Grzegorza Paulego. (*Rozmaitości naukowe kr.* r. 1818. N. 17. Str. 32).

nie o arianizm. Ale Szoman prze się tego, utrzymując, że w owe czasy jeszcze ani myślał o arianizmie, że zatém rozdział nastąpił bez przyczyny. Niech nam jednak wolno będzie wątpić o szczerości tego wyznania. My zawsze liczymy Szomana, wespół z Piotrem Statoryuszem, Piotrem z Goniądza, Paulim, Krowickim, Lutomirskim, Paklewskim i Filipowskim, Janem Kozanowskim i innymi, do pierwszych którzy stanęli po stronie wykładu wiary, której wyznawców nazywano socynianami, arianami, unitaryuszami, trójbożcami (albo triteistami), nowo-chrześcianami, nurkami i t. p. (1).

Sarnicki, człowiek gwałtowny, z całą mocą wystąpił znowu przeciwko arianom podczas sejmku w Warszawie (r. 1564), gdzie byli także obecni Szoman z Filipowskim.

W żywe oczy zwał Sarnicki Szomana i innych herezykami i bluźniercami Trójcy Sój: aż wdał się w to książę wojewoda wileński Mikołaj Radziwiłł Czarny, i stanęła dysputa. Po zwyczaju skończyła się na niczém „bo gdy Sarnicki ze swemi, pisze Szoman, Boga potrójnego wyznawał, my przeciwnie w jednego Boga Ojca wierząc, rozeszliśmy się.” Kalwini i trynityaryusze zbierali się na tę dysputę „dla wynalezienia środków pojednania się z sobą, lecz rozeszli się bardziej niezgodni niż wprzód byli” (2).

Pragnęli jednakże różnowiercy przyjść do jakiegokolwiek między sobą porozumienia; nie chcieli zrywać zupełnie. Po wyroku królewskim, przeciwko różnowiercom wydanym, na sejmie Parczowie (dnia 7 sierpnia 1564) pewna obawa i niepokój ogarnęły polskich protestantów, i ustnie i przez pisma nakłaniali się wzajem do zgody. Pojmowali to dobrze, że w zgodzie była ich siła, więc raz jeszcze synod generalny w Piotrkowie czasu sejmku złożyli „znaszając się względem nauki i artykułów różnych” (1565 r.). Na sejm piotrkowski (1565) zjechało się nie mało znakomitości; bawił tam jako poseł cesarski sławny Andrzej Dudysz biskup pięciokościelski, bawił i nuncyusz stolicy Apostolskiej Franciszek Commendoni, który wraz z kardynałem Hoziuszem pilnował zagrożonych swobód

(1) Węgierski. Str. 86, 87.

(2) Listy Commendoniego. T. I. Str. 38.

polskiego duchowieństwa, lepiej niż biskupi, niż prymas Uchański, który tylko wciąż myślał o zwołaniu synodu narodowego i nie taił się bynajmniej ze swoim zdaniem. Owszem ksiądz arcybiskup nie był nawet od tego, ażeby wchodzić w ugodę z odszczepieńcami (1). Ci dwaj mężowie nalegali przytém na króla, ażeby wykonał wyrok parczowski, przedstawiając mu potrzebę powściągnięcia zbyt śmiałych pokuszeń różnowierców, gdyż zjechali oni hurmem do Piotrkowa: raz w celu uczynienia zgody między rozmaitemi swojemi sektami, to znowu dla wyjednania sobie swobody wyznania. „Tak obok sejmu usadowił się zbor różnowierczy,” którego działania nie pozostały bez wpływu na obradujące stany.

Ważnym był w skutkach sejm piotrkowski z roku 1565. Uchwalono tam moc praw zasadniczych dla rzeczypospolitej. „Na tymto sejmie piotrkowski, mówi Bielski, wyszła owa konstytucya, żeby starostowie o nieczynienie exekucyi rzeczy, od sądu duchownego odsądzonych, pozrywani nie byli, zaczęm zgoła exekucya duchowna skażona, która na pierwszym sejmie piotrkowskim (r. 1562) waliła się poczęła, natenczas dopiero się obaliła” (2).

Prawo to stało się bardzo korzystnym dla różnowierców. Tyle jednakże upragniona między nimi zgoda, której „wszelkiemi szukali sposobami,” którą nawet rad był widzieć i sam król Zygmunt August, nie wzięła pożądanego skutku. W domach trzech znakomitych panów miały miejsce schadzki trzech głównych sekt różnowierczych, każdej oddzielnie (d. 27 i 28 lutego). Słychać było w Piotrkowie, że katolicy po skończonym sejmie odbyć mają zjazd ogólny; głoszone potém, że zmienili pierwszy swój zamiar i że tu w Piotrkowie mają złożyć pokątny sobór: wieści te nie sprawdziły się. Dopiero pod koniec sejmu stanęła walna dysputa trinitaryuszów z sakramentarzami w domu Jana Firleja wojewody lubelskiego. Grzegorz Pauli i Jerzy Szoman stanęli po stronie arianizmu, pod przewodem Hieronima Filipowskiego, a protekcją kilku znakomitych panów, jako Jana Lutomirskiego, Mikołaja

(1) Commendoni II. 96.

(2) J. W. Bandtkie, Hist. Pra. Pol. Str. 449.

Siennickiego marszałka izby poselskiej, Jakóba Niemojewskiego i Stanisława Lutomirskiego sekretarza Jego Kr. Mości a superintendenta mało-polskiego. Ze strony przeciwnej wystąpił Stanisław Sarnicki, któremu przydano Wawrzyńca Prasznińskiego i innych. Sędziami tej dysputy byli trzej świeccy obywatele rzeczypospolitej, mężowie wielce poważani, pod prezydencją Piotra Myszkowskiego kasztelana sandomierskiego. Byli to: Jan Firlej wojewoda lubelski marszałek wielki koronny; Jan Tomicki kasztelan gnieźnieński i Jakób Ostroróg. Różnowiercy zbierali się codziennie i toczyły się rozprawy nie bez wiedzy króla przez dni 14. Rozwinięto z obu przeciwnych obozów niepospolity zapas erudycyi, z obu stron broniono z zapalem swych wniosków i szermowano wymową. Rzucano tam śmiałe, szalone zapytania; bluźniono Przenajświętszej Trójcy. Ale to wszystko nic nie nadało, synod nie przyniósł pożądanej od wszystkich zgody. I nie tylko katolicy, nie tylko sam król Zygmunt, ale nawet Jan Firlej jeden z sędziów dysputy narzekał „na upór i zuchwalstwo kaznodziejów.” Jeden z nich bowiem posunął się tak dalece „iż chciał rozprawić, że Chrystus nie jest synem Bożym” (1).

Zawsze jednak owa dysputa piotrkowska, nie pozostała bez znakomitego wpływu; otworzyła ona oczy innym sektom na naukę trynitaryuszów. Kalwini, lutry i bracia czescy porzucili już odtąd myśl szukania z nimi zgody, owszem odpychali ich od siebie jako odszczepieńców. Jedną im tylko pozostawała droga: to jest iść o swoich siłach, nie wdając się w żadne rozprawy i dysputy, bo te dyalektyczne walki były najniebezpieczniejsze dla arianizmu.

(1) Commendoni II. 122. O dyspucie piotrkowskiej przyjdzie nam kiedyś obszerniej pomówić. Dlatego poprzestaliśmy na pobieżnej tylko wzmiance. Wpadło nam w rękę dość ciekawe dzieło dotyczące wspomnianej dysputy p. n.: *„De trinitate libri tres contra hujus aevi trinitarios, anti-trinitarios et autotheanos G. Genebrardo Theologo Paris auctore. His praeposita est summa sessionum sinodi quam triennio superiore Ministri Poloni cum Trinitariis Petricoviae habuerunt, ex alienius amici Poloni epistola. Tertio libro Symbolum S. Athanasii exponitur et a contumeliis Valentini Gentilis vindicatur. Ad D. Carolum Lotharingum Cardinalem et principem. (W tém miejscu wyciśnięta pieczęć z napisem: Stanislaus Karnkowski Archiep. Gnesnen.). Parisiis MDLXIX. Apud Joannem Benenatum cum privilegio Regis”*.

Na sejm lubelski 1566 r. stanął znowu Szoman z Filipowski, z którym ciągle prawie kolegował na zebraniach przysejmowych, i ze Stanisławem Cikowskim. Ale tu zbyt silnych znaleźli przeciwników, niezczędzono im obelg, nazywano bałwochwalcami i t. d., słowem tak gwałtowne powstały krzyki przeciw aryanom, że Szoman ze swojemi musieli z miasta uciekać. Co zaś najważniejsza, stanęła w Lublinie uchwała, że wyrok parczewski ma być wykonany na trynitaryuszach. Trzeba było uleść okolicznościom; więc Hieronim Filipowski i wielu innych zaczęło już wyjeżdżać za granicę, a głównie na Wołoszczyznę, gdy oto za staraniem Mikołaja Sienickiego, król Zygmunt obiecał aryanom łaskę swą aż do śmierci. A ci co opuścili Polskę, lękając się skutków lubelskiego wyroku, powrócili bezpieczni w rodzinne strony.

Aryanizim znalazł w Polsce dość licznych a przemożnych stronników, nie obudził jednak zbyt wielkiej sympatii w innych sekciarzach. Wszyscy, a może najwięcej sami protestanci mieli to wyznanie w pewnej pogardzie. „*Conditio arianorum miserabilior Machometismo*” pisze Besa w liście do Dudycza (1). A po ostatnim sejmie lubelskim z wielu miejsc musieli ustąpić pastorowie, którzy poszli za zasadami nowej nauki. Nawet i później wyłączali ich zawsze różnowiercy ze swoich obrad i synodów (2). Jeden tylko Commendoni i drugi Hozysz patrzeli spokojnym okiem na aryanizim, bo widzieli w nim robaka, który mógł zniszczyć i stoczyć postęp reformacyi. Hozysz był zdania, że „w ciężkiej chorobie wypada niekiedy używać samej trucizny, jako lekarstwa przeciwko innym zaraźliwym jadom, a takimi są kalwini posiadający wielkie znaczenie. Bogu się podobało, ażeby ze żnii dryakiew sporządzono” (3). „Wojna między różnowiercami jest pokojem kościoła” wyraził się w jednym z listów swoich tenże sam znakomity pasterz (4). I rzeczywiście, zdania dwóch gorliwych a dzielnych obrońców kościoła, spraw-

(1) Lauterbach, Str. 5.

(2) *O kościołach braci czeskich*, Łukaszewicza, Str. 85. (Synod sandomierski 1570). Str. 164. (Z synodu toruńsk. 1595).

(3) Listy Commendoniego. Tom I. Str. 172.

(4) Skarga i wiek jego. Tom I. Str. 88.



dzity się najzupełniej. Błuznierstwa trynitaryuszów tyle dokazały, że wielu ze szlachty wstąpiło znowu na prawdziwą drogę (1).

Ale wróćmy do Szomana, widzimy go bowiem na synodzie, który dla większego bezpieczeństwa złożono aż w Łańcucie ziemi przemyskiej (r. 1567). Zjazd ten zwołany został dla rozmówienia się względem Trójcy Śtej i chrztu. Ale gdy tylko Pauli i Szoman Ducha Sgo zaprzeczali, twierdząc że Duch Śty nie jest Bogiem, ani osobą Trójcy Śtej, ale tylko przymiotem Boga Ojca i Boga Syna; wtedy na te słowa Szomana i Paulego, powstały na synodzie niesłychanie gwałtowne wrzaski. Iwon Karminński i Tarnowski miotali przeciw nim obelgi, a Piotr Statoryusz, niegdyś zwolennik i obrońca nauki którą głosili ci dwaj ministrowie, odstąpił od swojego zdania. Trynitaryusze rozjechali się z Łańcuta nie pojednani, ale rozróżnieni. Dopiero na synodzie złożonym tegoż roku (d. 24 czerwca) w Skrzynnie pod przewodnictwem Hieronima Filipowskiego, stanęła pozorna zgoda i połączenie w jedno przeróżnych sekt a odcieni arianizmu. Zjechało się tam 100 pastorów z Korony i Litwy, napływ zaś ciekawych był bardzo liczny. I tutaj nakoniec za staraniem Filipowskiego synod skrzyński przyjął ułożoną przez niego uchwałę, pozwalającą każdemu „o Trójcy S. i o chrzcie dzieci mówić i pisać według własnej woli, byleby bez wzajemnej obrazy i obelżywych wyrazów, na kazaniach obustronnych bywać lub unikać ich bez nienawiści, a oraz nakazano, żeby nikt wiary swój i przekonania nikomu nie narzucał, dopóki Bóg nie zesle mądrzejszych ministrów, aniołów swoich, którzy od pszenicy kąkol odłączą” (2).

Tymczasem Szoman przeniósł się (w r. 1567) z Pińczowa do Chmielnika do Jana Oleśnickiego; a potem w r.

(1) Commendoni. Tom I. Str. 172.

(2) *Lubieniecki*. Historia reformationis Pol. Str. 219, 220. Na zjeździe w Skrzynnie należeli do dysputy z jednej strony: Szoman, Pauli, Jan Siekierzyński (Sicularinius), Mateusz Bielski (Albinus), Jan Babtysta z Litwy Krowicki, Szymon Budny, Jakób Kalinowski. Po stronie przeciwnej stanęli: Jan Kozanowski, Tarnowski, Jan Niemojewski, Mikołaj Żyto, Jan Sokolowski (Falconius), Marcin Ciechowicz i Daniel Bieliński; trzymali pióro Jakób Kosciński i Stanisław Budzyński.

1569 wyjechał do Morawii, jużto jak zwykle w towarzy-  
 stwie Filipowskiego i wielu innych, ażeby tam nowych je-  
 dnać swęj nauce stronników. „Nie było kraju, wspomina  
 świadek społeczny, gdzieby równie każdy wolniej wierzył  
 i nie wierzył, w to co chce i nie chce jak Morawia.” Było  
 tam dużo Nowochrześciców, Sebotników i Nikolaitów, bo-  
 daj „więcej sekt niż domów” (1). Mimo to wyprawa do  
 Morawii nie powiodła się wcale. Wymowa i rozsądek pol-  
 skich misyjonarzy arianizmu, nie zdołały przekonać Mora-  
 wian dla ich nauki, i nietylko że nie przyjęli narzuconego  
 im wyznania, ale nawet różnienie się w głównym dogmacie  
 o Trójcy Śtęj ściągnęło na jej opowiadaczy nienawiść bra-  
 ci (2). Bo trzeba wiedzieć, że między braćmi morawskie-  
 mi panowała szczególna pobożność, skromność, miłość  
 i czystość obyczajów; nie potrzebowali zatém bynajmniej,  
 ażeby ich urządzali jacyś tam obcy przybysze. Tą chy-  
 bioną w skutkach wyprawą do Morawii snadź chcieli ari-  
 anie zwiększyć swoje szeregi i wzmocnić się na siłach, gdyż  
 w ostatnich czasach zbyt odrębne a odosobnione zajęli oni  
 w rzeczypospolitej stanowisko. Trinitaryusze doznawszy  
 niedawno tylu przeciwności i niepowodzeń, odpychani ze  
 wzgardą przez innych różnowierców, z któremi niepodobna  
 im było się zbratać, najprzód tolerowani, a potem ledwo że  
 cierpiani w kraju, zaczęli myśleć o porządnem uorganizo-  
 waniu się w oddzielne ciało. Trudne to było zadanie,  
 i tém trudniejsze, że w samem łonie arianizmu nie znalazłes  
 i cienia zgody, bo nie było tam żadnej stałej podstawy.  
 Każdy prawie minister miał swoje własne wyobrażenie  
 o artykułach wiary; i każdy taki minister wiódł za sobą li-  
 czne koło stronników, którzy uporzeczywie obstawali przy  
 swoim przekonaniu. Arianizm zresztą była to jeszcze  
 wąta a chwiejąca się latorośl. Pomiędzy wyznawcami tej  
 dziwnej sekty obiegało kilka sprzecznych wykładów wiary;  
 a sami jej szczepiciele w wielu bardzo szczegółach różnili  
 się między sobą, nawet główny dogmat o Trójcy Śtęj roz-  
 maicie tłumaczono. Trzeba było pomyśleć o ułożeniu pe-  
 wnych stałych zasad, których dotąd brakło arianiznowi.

(1) Commendoni. Str. 14. Tom I.

(2) Lubieniecki. Str. 227.

I oto wspomina Szoman „z pism Leliusza Socyna wyrozumieli niektórzy, że Syn Boży nie jest drugą osobą Trójcy równą Bogu Ojcu, ale człowiekiem z Ducha Sgo poczętym.”

Zabrano się zatem do czytania, zaczęto wertować Pismo Święte i złożony był zjazd w Rakowie. Zjechali się nań Litwini i Koroniarze, ministrowie, panowie i szlachta.

Ciągnął się lat kilka ten synod burzliwy, na którym przychodziło do tego, że jedni drugich zwali faryzeuszami, sadyceuszami, ba nawet żydami.

Niezgoda mogła wyrodzić upadek sekty „lecz Bóg ulitował się nad nami, pisze Szoman, iż wzmógł sprawę naszą prawie upadłą.” Tym przyładkiem ocalenia arianizmu miała być, według jego zdania, owa sławna uchwała, że chrzest nie powinien się odbywać w wieku dziecięcym, ale raczej w dojrzałym.

Co do Szomana, z zapalem chwycił się on tej nowości, a jakby dla dania przykładu ochrzcił się zaraz w imię Chrystusa (w r. 1572). Miał wtedy 42 lat życia. Nakłonił też żonę i matkę swojej żony, a gdy mu się dziecko narodziło, nie dał go chrzcić niemowlęciem. Socyn jednak młynkował w przedmiocie chrztu na dyspucie w r. 1577, na której też i Szoman był obecnym; pochwalał to ażeby inni się chrzcili, ale sam się wymawiał od powtórnego przyjęcia sakramentu. „Dla mnie, mówił, to rzecz zbyteczna, bo nie wy daliście mi religią.” I prawdę mówił Socyn: od niego rzeczywiście poszła nauka arianów polskich. „Ludny ale niesforny zbór zastał Socyn w Polsce, zastał trójbożństwo, dwójbożństwo i inne naklonione do błędu nowochrześcijańskie, a subtelną dowcipu swego przemógłszy je, z nich potem sobie co chciał ulepił” (1).

W r. 1573 wyznaczono Szomana ministrem w Krakowie, było to więc już po śmierci Zygmunta Augusta. Szczęście nie dopisało mu w stolicy Rzeczypospolitej. Szoman jako pobożny a gorliwy opowiadacz swojej wiary, zajmował się obowiązkami powołania i pilnie sprawował służbę Bożą; ale Szoman był arianinem, a arianin tylko w siedzibie wyznawców swej sekty mógł być wolnym od napaści i przesładowań. To też w Krakowie paszkwilowano publi-

(1) Antipologia. Clementina. Str. 241.

cznie przedmiot najdroższy pasterzowi, znieważono jego owczarnię, znieważano i wiarę. Wyszły tam z druku jakieś broszury, puszczone w obieg przez biskupów, w których głoszono ludowi, że aryanie nie pomni na Boga i wstyd, dopuszczają się na swoich zebraniach wszelkiego rodzaju wszeteczeństw, spółkowań i t. p.; byłby niezawodnie wygotował odpowiedź, ale niebawem w następnym roku (1574) powołano go napowrót do Chmielnika. Rzec się zwlekła; odpowiedzi wprost nie było; chociaż za odpowiedź możnaby uważać Katechizm przypisywany Szomanowi, który właśnie w tym czasie wychodził z druku: w każdym zaś razie testament Szomana był także wymownym odparciem niesłusznych zarzutów.

Powróciwszy do Chmielnika Szoman, upodobał sobie odtąd to miasteczko, i miał potemu słuszne przyczyny. W Chmielniku był jak pomiędzy swemi, tuż przy głównym ognisku arianizmu, przy Atenach polskich; więc łatwiej mu przyszło utrzymywać stosunki ze znakomitościami Pinczowa. A i na miejscu znaleźć też mógł uczonych mężów swojego wyznania.

Bawili tam pod te czasy Osterode i Kalissius. Ciągnęło go wszystko do Chmielnika; bo też może po rodzinnym Raciborzu, gdzie dziecinny wiek spędził, najmilszymu były świeże mury dziedzictwa Jana z Oleśnicy, co w oczach jego wzrastały w miasto. Wiązały go do tego miejsca najdroższe wspomnienia: tu córki wzięły życie, kiedy jeszcze poprzednio był ministrem; tu synowie, na których polegały przyszłe nadzieje i marzenia ojca. W Chmielniku posiadał domek własny i kawał własnej ziemi. Dodajmy do tego, że okolice tego miasta miały być przed laty daleko piękniejsze, aniżeli dzisiaj; mówią, że szeroka wstęga zielonego lasu okalała miasteczko. W stronie zaś ku Kielcom ciągnął się cudny górzysty pejzaż z prześlicznymi oddaleniami.

Raz tylko jeszcze musiał opuścić Szoman ulubioną mu siedzibę; wysłano go w r. 1586, w styczniu do Krakowa na ministra w Łuławicach; ale zaraz w następnym roku powrócił na rozkaz synodu do Chmielnika, ażeby już w nim stale zamieszkać. I różnie się tu kleciło Szomanowi w małym miasteczku; raz źle, raz dobrze: raz spotykały go kłę-

ski, kiedyindziej chwile słojsze wynagradzały doznana bolenie. W jednym roku grad pozbawił go dochođu z ziemi (r. 1588): była to klęska; ale gdy w parę lat potēm pozar zniszczył miasto (r. 1590) i wszystkie domostwa dokoła pogorzały, a jeden tylko domek Szomana cuđem prawie ocalał: było to znowu niejako pocieszenie, za które natychmiast dziękował szczerze „dobrotliwemu Bogu.”

W Chmielniku dochodziły go listy uczonych współwyznawców; pisywano zwykle w przedmiocie wiary, zasięgaając rady i zdania głośnego w swoim zborze męża. Miał też i ciągle stosunki z Socynem, bo gdy wyszło „*paraenesis*” Wolana, Szoman i Szymon Ronenberg nalegali na Socyna, ażeby nie zwłoczył z odpowiedzią (1).

Możnaby z tego niemal na pewno wnosić, że Szoman wywierał niejaki wpływ na swym mistrzu. Z listów nadsyłanych do Chmielnika znamy jeden (w przedmiocie: *de usu et fine coenae domini*, którego autorem jest znany Jan Niemojewski) d. 8 marca 1588 r. (2).

Dożywszy 60-letniej starości czuł już Szoman zbliżając się chwilę ostatnią; więc napisał testament (r. 1590) w którym wypowiedział się z czynów swego życia, wypowiedział wszystko czem serce było przepełnione. Ale mówiliśmy już wyżej, jaki charakter tego testamentu; dodamy tylko, że żadnych dostatków nie zostawił dzieciom w puściznie, bo był to człowiek, który nigdy przez całe życie nie mógł się niczego dorobić; pomimo że bakałarzował na takim dworze, jakim był Hieronima Bużeńskiego, a panowie nagradzali ludzi zdatnych za ich prace. Łada grosz oszczędzony zawsze się gdzieś zawieruszył; tracił go albo też rozdał go biednym. Ledwo że mu starczyło dla córek po 10 marek i na suknie posagowe, a dla synów to już ledwo na wychowanie.

(1) Biblioteka Warszawska z r. 1841. T. I. Str. 443.

(2) Fausti Socini Senensis de coena Domini Tractatus brevis, una cum ejusdem adversus scriptum Domini Johannis Niemojevii defensione. Adjecta sunt praeterea alia quaedam eiusdem auctoris de hoc argumento. Racoviae, Typis Sebastiani Sternacii, Anno 1618. „List Niemojewskiego datowany z Lublina d. 8 marca 1588 r. (Str. 70), data odpowiedzi Socyna w Krakowie d. 24 maja t. r. (Str. 72).

Zamiast majątku zostawił im nieskalane imię prawego człowieka, które i z majątkiem nie zawsze chodzi w parze. Jeden z jego synów Paweł, był mistrzem szkoły w Rakowie (1); drugiego Piotra wypromował ojciec na medyka: a tak los wszystkich dzieci był zabezpieczony. Żonie zapisał w dożywocie ulubiony swój domek w Chmielniku.

W r. 1591 Szoman zakończył życie w Chmielniku, na cztery tylko tygodnie przed śmiercią Grzegorza Paulego, ciągłego prawie towarzysza na zjazdach i na dysputach, człowieka, z którym Szoman zawsze jedno podzielał zdanie.

Ten jest żywot naszego z Raciborza Szomana. Zasługi jego dla protestantyzmu były znakomite; człowiek to czynny, ruchliwy; pełen ognia i żarliwości na drodze, na którą go pchnęły: czas, ludzie i okoliczności. Pracowity to zresztą żywot; Szoman był ciągle zajęty: jednej chwili w życiu nie popróżnował.

Najprzód jako pedagog uczył dzieci szlacheckie, widzieliśmy go potem kolejno pasterzem w Pińczowie, Książu, Lublinie, Krakowie, Luclawicach a wreszcie w Chmielniku; widzieliśmy go na synodach różnowierców i na dysputach zwalczającego przeciwne zdania o arianizmie.

Wspomniwszy też niżej i o pracach literackich Szomana. Pisania te wyrobiły mu pewien rozgłos w kraju, ale głównie dysputom jakie prowadził, winien był Szoman, że imię jego i u postronnych nie było obcym. Kiedy opisywano dysputę, wymieniono naturalnie nazwiska i mowy należących do niej, a takie opisy wychodziły nieraz daleko za granicę. Znany naprzykład jeden drukowany w Paryżu.

Był zatem Szoman znakomitością czasu, na które to stanowisko wyniosły go zdolności i praca. Nie był on żadnym geniuszem, nie był to Socyn ustanowiciel nowej wiary; nie był to nawet Ochyn mąż złotój wymowy, o którego ubiegają się lutrzy, kalwini, nowochrzczeńcy (2) i inni; nie można porównywać Szomana z wymownym Paulim, ani z przebiegłym Blandratą; ale była to zawsze znakomita

(1) Urodził się r. 1562, umarł 1617 r. Bock. T. I. Par. 2. Pag. 827, 828.

(2) Ossoliński. Wiad. hist. kryt. T. II. Str. 22.

zdolność, gdyż inaczej nie wybieraliby go współwiercy na dysputy i nie powierzaliby mu przełożenia w stolicy rzeczypospolitej. Toć przecie Szoman wraz z Grzegorzem stali na czele zupełnie oddzielnego stronnictwa, na które się nawet rozpadł polski arianizm. A zwolennicy ich nauki tworzyli dość przemożną sektę, tak zwanych arianów krakowskich, sandomierskich a później rakowskich.

I rzeczywiście ta dziwna ruchliwość umysłu, jaką w nim dostrzegamy, jest bez wątpienia cechą niezwykłych ludzi. Młodzieńcem znany Szoman jako gorliwego katolika, bo stara katolicka wiara była wyznaniem jego ojców po mieczu, była wiarą matki polskiej szlachcianki. Przechodzi on później wszystkie szczeble: zostaje wyznawcą Lutra, dalej przerzuca się do kalwinizmu, aż przebrnąwszy przez najsprzeczniesze wyobrażenia o różnych dogmatach religijnych, mianowicie o Trójcy Stej, uniera w Chmielniku równie zapalonym arianinem jak był kiedyś gorliwym katolikiem. I jeszcze umysł jego nie spoczął, bo jakby przeczuwając, że nie znalazł prawdy za którą gońił, zaklina swe dzieci, że jeżeli im miłe wieczne życie, powinny się dalej nad nauką wiary zastanawiać.

W inną jakiejś epoce nazwalibysmy to zmiennością, albowi też słabością charakteru; ale był to wiek XVIty, na który powinniśmy inném zapatrywać się okiem. Też samą koleją jakiejś uległ Szoman, przechodziła z nim razem i cała prawie ówczesna Polska; a w owém gonieniu za prawdą arianskiego pastora, w tém szukaniu prawdy, nie przez samego już tylko Szomana, ale przez znakomitą większość naszej szlachty, gotowiśmy upatrywać nie co innego, jeno potężną działalność myśli w narodzie.

Raz rzucona iskra nie prędko zagasła; zaczęto się zastanawiać i głębiej wnikać we wszystko, goniono za marzeniem, bo nie umiano sobie określić swych pragnień. Szukano prawdy zaczarowanej; a tymczasem wywracano niebacznie dawny rzeczy porządek, psowając wspaniały gmach katolicyzmu. A skoro gdzie na zgliszczach stanęła jaka wątła lepianka, mówiono czas jakiś, dopóki nowością tchnęła, że była lepszą od starej, wiekowej budowy.

Na zakończenie naszej powieści o arianskim pastorze pozostaje nam jeszcze wspomnieć i o pismach jego, znanych

dobrze w bibliografii krajowej. Badacze nasi liczą Szomana pomiędzy tłumaczami biblii zwaną Radziwiłłowską (1); dalej występuje on jako tłumacz dzieł Jana Niemojewskiego. Niemojewski pisał po polsku, więc Szoman przekładał dzieła jego na język starożytnych Rzymian. Była to gorliwość nowowiercza polskich protestantów: przelewając płody swęj myśli na język znany całemu światu, chciało je w ten sposób rozpowszechnić, i o ile można uogólnić nowe swe wierzenia (2).

Do liczby znanych w druku prac Szomana należy także i ów testament, o którego wziętości u współczesnych powiedzieliśmy już wyżej (3). Ale nie koniec na tém: bibliografia zna jeszcze jedno dzieło, o którym stanowczo nie wyrażono, ażali jest pracą Szomana: chcemy mówić o Katechizmie arijańskim, który wyszedł w r. 1574 z oficyny Alexandra Rodeckiego. Katechizm ma być nader misternie napisany. Odpowiedzi w nim składają całkiem sentencye biblijne, które są zřęcznie naprowadzone, że pytania najgrubsze socyjańskie błędy w sobie unieszczą, które Duch Sty Pismem Świętém zatwierdza (4).

Autorem wspomnionego katechizmu, jedni chcą mieć Szomana, inni układ jego przyznają Paulemu (5).

Za autorstwem Szomana przemawia wiele bardzo silnych dowodów; w testamencie np. wspomina on wyraźnie, że zostawia dzieciom katechizm, a i przedmowa do tego dzieła datowana w Krakowie w r. 1574, gdzie właśnie temi czasy pastorował Szoman. Zbieg okoliczności stoi po stronie naszego pastora z Chmielnika. To też i za granicą uważają go powszechnie za autora socyjańskiego kate-

(1) Wiszniewski T. VI. Str. 571.

(2) Bock. T. I. § I. 59.

(3) Wydrukowany w dziele: *Biblioteca Antitrinitariorum*; quis posthumum Christophori Chr. Sandii. (Od str. 191 do 198).

(4) Jochera *Obraz bibliog.* T. II. Str. 256. N. 3316. Noty str. 516. „Catechisis et confessio fidei coctus per Poloniam congregati in nomine Jesu Christi Domini Nostri crucifixi et resciscitati. Deut. 6 An. Izrael Dominus Deus Noster Deus unus est. Joan. 8 dicit Jesus quem dicitis vestrum esse Deum est pater meus. Typis Alexandri Turobini (Alex. Rodecki) Anno nati Jesu Christi filii Dei 1574 (12ka, kart 65)”; w przedmowie podpis: „Cracoviae in Polonia Anno post Jesum Christum natum. 1574.

(5) Bock T. II. Str. 613 i 827.



chizmu (1), z drugiej strony nie możemy zaprzeczyć, że i Grzegorz Pauli ma również za sobą niejaki dowody. Rzucamy tu domysł, o ile nam się zdaje prawdopodobny, nie przyjmując go jednak za fakt stanowczy. Być bardzo może, że tak jak tłumaczenie biblii Radziwiłłowskiej nie było dokonane pracą jednego człowieka, tak też i ten katechizm mógł być również owocem wspólnych trudów dwóch arcygorliwych w swojej wierze pastorów: Jerzego Szomana i Grzegorza Paulego. Taki podział pracy spotykamy dość często w ówczesnych pismach.

Robią jeszcze wzmiankę, że nasz pastor chłunielicki pisał przeciwko powszechnej nauce o Chrystusie. Sławny Dudleych chwali ową polemiczną rozprawę, a pisma Szomana liczy do tych, z których przyszedł do poznania prawdy (2).

Z napomknięcia tego wnosić można, że Szoman i coś więcej w życiu swoim napisał.

Z charakteru był on, jak wiemy, człowiekiem pracy; więc kiedy raz zaimitował zajęcia literackie, ani wątpić, że poświęcał im nie jedną wolną chwilę.

Rękopisma zaś Szomana może dobrze znane w swoim czasie, może przepisywane i z rąk do rąk rozechwytywane, rozproszyły się po świecie, albo straciwszy już dzisiaj swą chwilową wartość, spokojnie spoczywają na pulkach bibliotek. Sądziemy zresztą, że dla nauki rzecz ta obojętna, czy jakiś tam pastor aryański, znakomitość niepierwszego rzędu, napisał jedną więcej albo mniej religijną rozprawę.

\* \* \*

Zwróćmy się teraz w późniejsze nieco czasy. Aryanizm, którego dzieje musieliśmy przebież pokrótce w życiorysie Szomana, zaraz w następnych latach po śmierci tego pastora wzniósł się znakomicie na siłach; kto wie, ażali to nie była dla niego doba najświetniejsza. Mimo to musieli socynianie ciągle staczać walki z innymi sektami; a chociaż przychodziło im to z łatwością, liczyli bowiem pomiędzy swoimi wyznawcami nie mało znakomitych nauką i talentem mężów: to jednak szczególną należało im zachować

(1) Histoire Universelle p. *Cesar Cantu*. T. VIII. Str. 74. Eu 1574, ils imprimerent (les Sociniens) leur cathéschisme oeuvre de George Schoman.

(2) Sandius. Str. 62, 47. Lauterbach. Str. 190.

wać baczość, gdyż wojna wypowiedziana nienawistnej ich sekcje, stała się niesłychanie uporczywą. Znaleźli się ludzie, którzy uczynili sobie jakoby zadaniem całego życia, gnębienie arianizmu. Otóż w epoce o której mówimy, jednym z zawziętych jego nieprayjaciół był zmarły w Chmielniku (1644) kalwin pastor *Daniel Klementyn*. Dzieła jego polemiczne, kiedyś bardzo rozgłosne i bardzo czytane, nie straciły do dziś dnia na wartości, bo chociaż sama polemika mało już nas dzisiaj obchodzi, pozostałe w nich jednak wiadomości nader są szacownym materiałem dla dziejów polskiego socynianizmu i nie jeden sięgnie po nich historyk. Na dzieła te, na polemiki i dysputy Klementyna chcemy tu zwrócić uwagę, wspomniawszy też choć pobieżnie i o kilku szczegółach z jego życiorysu.

Ile się zdaje, wielkopolski Koźmin był miejscem, kiedy się urodził Daniel Klementyn; gdyż ojciec jego Czech rodem, był tam właśnie mieszczaninem, a brat rodzony Daniela, Łukasz, nazwał się nawet Kozminuszem. To też krew mieszczańska widocznie płynie w jego żyłach. Szlachcic polski nie wyraziłby się może w ten sposób, jak się odzywa Klementyn „u mądrych nizacz nie pytają kto, ale chcą wiedzieć co mówi i czego uczy; szlachcic li nie szlachcic, byle prawdę mówił i t. p. (1). W Lesznie, które zasłynęło swą szkołą i z którego wyszło wielu uczonych protestantów, kształcił się Klementyn. Był on jednym z uczniów alumnatu Leszczyńskich, utrzymywanego w tem mieście dla 15 młodzieży.

Tutajto wyrabiał on sobie stałe przekonania w przedmiocie wiary; przekonania, których później potrafił bronić z godnością, a nieraz i z prawdziwą wymową. To też całe blisko trzydziestolecie w życiu swoim poświęcił on nieustannemu bojowaniu przeciwko socyańskim błędom.

Wielu walczyło z rozmaitem powodzeniem, ścierając się słowem i pisem z arianami; wystąpił i Klementyn (2). Pierwsza podobno jego dysputa o Synu Bożym była z Hie-

(1) Antapologia. Str. 79.

(2) Niejaki Jan Klementinus pisarz synodowy, minister w Górach, był między innymi na synodzie kalwinów dystryktu lubelskiego złożonym w czerwcu 1612 r. Wyznaczony tam był do traktowania unii z socynianami

ronimem Moskorzowski, człowiekiem wielkich zdolności, z którym niełatwa była sprawa. Odbyła się w Boleszynie (Bolescinus) w r. 1618.

Miał tam utrzymywać Moskorzowski, jakoby było dwa królestwa Boże: jedno Boga Ojca, drugie Chrystusowe, a to ostatnie mieli składać sami tylko wierni, to jest socynianie. Inni byli to poddani Ojca, a syn mógł z mocy nadanej sobie na ziemi i w niebie władzy, karcieć tych poddanych Ojca, wzdy wtedy, jeśli by krzywdzili członków królestwa wiernych: „Wychodziłoby to, mówi Ossoliński, na naukę Marcjana, stanowiącego dwa początki: zły i dobry, Boga stworzyciela, i Boga naprawiciela świata.” Ale tenże autor wątpi, ażeby to było własne zdanie Moskorzowskiego, twierdząc, że mu jest podłatane przez Klementyna (1).

Długi czas po tej dysputacji jakos nie slychać i o naszym pastozze. Snadz usunął się na czas jakiś od polemicznej wrzawy, pracując w cichości, ażeby później z tém większą siłą wystąpić. Wydrukował jednak w one lata wiersz pogrzebowy, poświęcony pamięci Mikołaja Glińskiego. O tej zdolności poetycznej Klementyna nie wspominali nasi uczeni, bo też i sama broszura o której mowa należy już dzisiaj do rzadkości bibliograficznych (2).

(Łukaszowicz Dzieje kośc. wyzn. helweck. Str. 270). Tożsamość nazwiska z Danielem Klementynem pozwala nam przypuszczać, że w przepisywaniu mogła tu zajść prosta omyłka, zamiast skrócenia Dan. (Daniel) napisano Jan. Tém więc się utwierdzamy w naszym przypuszczeniu, że i nasz Daniel Klementyn był także ministrem w Górach; nie sądzimy bowiem, ażeby to mógł być Łukasz Clementinus, zwany inaczéj Koźminius senior dystryktu krakowskiego i sławny autor dzieła: „Ogień z wodą”. O tym Łukaszu Klementynie znajdujemy kilka wzmianek w dziele *Łukaszewicza*: Hist. kościółow wyznań helw Str. 69 i 273.

(1) Bock. T. I. Par. I. P. 520. Józ. Max. Ossolińskiego Wiadomości hist. kryt. T. I. Str. 261.

(2) Pogrzebowa usługa, którą zanie urodzonemu a sławnej pamięci kościoła Chrystusowego gorliwemu obrońcy: w rzeczypospolitej polskiej obywatelowi J. M. P. Mikołajowi Glińskiemu z Glinnika w Belzowie dziedzicowi na Chrościnnie panu, po przeżyciu lat swego żywota 46 z ciężkiej gorączki w Chrystusie Panu z pokojem zaśnionemu w Krakowie d. 25 stycznia 1622; podał, napisawszy lamentującej gorzko małżonce pozostałej Jój M. P. Annie Glińskiej z Kalinowej zdawna sławnej familiej Ich M. PP. Zarebów idącej, y załośliwie płaczącym dziatkom osierociałym Ich Mciom PP. Chrystoforowi, Stanisławowi, Jahymowi, Andrzejowi, y Mi-

Dnia 25 stycznia 1622 r. zmarł sławnej pamięci urodzony Mikołaj z Glinnika Gliški herbu Jastrzębiec, dziedziec na Betzowie i Chroście, gorliwy obrońca kościoła Chrystusowego, a zacny obywatel w Rzeczypospolitej. Gliški opuszczał świat w samej sile wieku, bo w 46 roku życia; a odumierał małżonkę Annę z Zarembów, odumierał siedmioro dziatwy, bo miał Mikołaj Gliški pięciu synów: Krzysztofa (1), Stanisława, Joachima, Andrzeja i Michała; a przytém dwie córki: Bogunię i Zofią.

Po śmierci Gliškiego pisze Klementyn:

„Lamentów, narzekania, płaczu pełno wszędzie,  
Sługa, poddany, żebrak długo smutny będzie,  
I któżby nie litował takiego człowieka  
Temu, kto proszę równie, za naszego wieku.”

Otóż Daniel Klementyn „Pana Jezu Krystusów w słowie Bożem służebnik” wziął na się trudny obowiązek pocieszania oplakującej stratę rodziny. Chciał on wypłacić dług wdzięczności *dobrodziejowi* swojemu, którego z serca żałował; bo też:

„Gliški rad słuchał z pilnością słów Bożych prawdziwych,  
Od pasterza swęj dusze nie przyjął fałszywych,  
On sługom szczodrá ręką swoją dawał.  
I ubogim jałmużny: tegom ja doznawał.

Więc odpłacając się za łaski, których doznawał od Gliškiego, napisał mu Klementyn *Pogrzebową usługę*. Rozumie się takiego rodzaju wiersz pogrzebowy, nie należał do zwykłych zatrudnień naszego pastora, bo nie był Klementyn panegiryzkarzem z rzemiosła; zajmowały go rzeczy daleko poważniejsze: sprawa wiary, to główny cel jego zabiegów.

chałowi, Ich M. PP. Bogumile i Zophiey Gliškim z Glinnika. Także wielce zasnuconym Ich M. PP. synowcom, synowicom, pokrewnym, szwagrom, przyjaciółom, sąsiadom, sługom, poddanym, umarcia jego wiele litującym. Daniel Clementinus Pana Jezu Krystusów w słowie Bożym służebnik.

(Cała ta broszura zawiera 16 stronnic druku).

(1) Krzysztof Gliški podpisał laudum proszowickie r. 1632. (Acta interregni).

W r. 1623, jako pastor w Górze pod Pińczowem, wznowił Klementyn swoje ataki przeciw arianom, i wydrukował dzieło p. n. *Antilogiae et absurda* (1).

Do wydania tego pisma skłoniły go podobno dysputy Jana Stoińskiego z Janem Maryą Karmelitą, Włochem (2). Uczynił tam Klementyn trzy zapytania arianom:

- 1) Jeśli się sami zgadzają?
- 2) Jeśli już mają dokonane i od kogo swe opisanie?
- 3) Czy dwu, czy jednego po drugim Boga mają (3)?

Znalazł też natychmiast godnego siebie przeciwnika. Był nim zręczny, śmiały a wymowny Janasz Szlichtyng, zaszczyt arianizmu, a bodaj wytrawniejszy jeszcze w zapasach religijnych od naszego Klementyna. Wydrukował on w r. 1625 odpowiedź na dziełko ewangelickiego pastora (4). Szlichtyng powierzył całą sprawę roztrząśnieniu i bezstronnemu sądowi Leszczyńskiego wojewody helckiego, twierdząc, że żadna zabawa, żadna myśl nad tę tak wielkiego senatora nie może być przystojniejsza. „Do czytelnika zaś między innymi mówi: proszę cię i napominam, żebyś czytał *sine praejudicio et cum judicio*, to jest żebyś nie sądził bez czytania i nie czytał bez rozsądku.” Trzeba przyznać, prośba wcale na swoim miejscu.

(1) Węgierski w histor. Eccl. sla. (Str. 415) oznacza rok wydania *Antilogii*. Jocher (T. II. Str. 267) zamieszcza jego tytuł w odpowiedzi Szlichtinga. Bock (T. I. Str. 59) przytacza dzieło to napisem tytułowym tłumaczonym po łacinie. Najlepiej podany tytuł będzie podobno w Łukaszewiczu (Dzieje wyznań helvec. Str. 334). „*Antilogiae et absurda*, to jest sprzeciwienia i niesłuszności wypływające z opinii socynistów ponurzonych, które ku obaczeniu się w błąd zawiedzionym, przestrodze chwiejącym, zawstydzeniu uporniejszym, twierdzeniu w prawej wierze postępującym zebrał, napisał, podał Dan. Clementinus, Pana Jezusów sługa, górskiego zboru pasterz. A. D. 1623 die 10 maji w Krakowie (?) roku Pańskiego 1623”.

(2) W r. 1616 i w r. 1621 Bock (część II. Stron. 944).

(3) Antopologia i t. p. Str. 3.

(4) Jocher. T. II. 267. N. 3,401. Noty str. 552. „Odpowiedź na skrypt X. Daniela Clementinusa nazwany *Antilogiae et absurda*, to jest sprzeciwienia y niesłuszności wypływające z opinii socynistów ponurzonych, uczyniona przez Jonasza Szlichtinga z Bukowca. W Rakowie drukował Seb. Sternacki 1625. stronnic 450, 2 karty na końcu i 6 kart na przodzie.

Ale nim jeszcze wyszła odpowiedź Szlichtinga, bojował Klementyn nieustannie z aryanami. W roku 1624 (d. 24 lutego) dysputował w Rakowie na pogrzebie Jana Glińskiego. A w innej podobnego rodzaju rozprawie tak dalece pokonał, że sami aryanie zaczęli się wypierać własnych słów swojego mistrza Socyna: było to świetne, bardzo świetne zwycięstwo. Na tej dyspucie zasiadali między innymi: Sierakowski, Smalcus i Wiszowaty.

Pięcioletni przedział czasu upłynął pomiędzy wydaniem odpowiedzi Szlichtinga, a wydrukowaniem *odpowiedzi na odpowiedź* Klementyna; była to jednak prosta tylko zwłoka, na której rzecz sama nic nie straciła. Szlichting za lekko, zanadto pobieżnie traktował *antilogią*; na co nie umiał, albo może nie mógł odpowiedzieć, to albo przekształcił, albo zupełnie pomiął, albo wręcz nazwą potwarzy ochrzcił. Nie mógł więc repliki ministra aryńskiego mimo puścić Klementyn. Ale lat kilka, całe swe pięcioletnie poświęcił studjowaniu autorów socyańskich. Chciał nie już przeciwko samemu Szlichtingowi wystąpić, ale w obszernem dziele wykazać całej Polsce błędne mniemania aryanów, a zaś wyznawcom tej sekty na żywe oczy przedstawić niedorzeczności, wynikające z rozumowań ich pastorów. „Bo nie na tom się udał, mówi do czytelnika, abym jako p. Szlichting *ironice* pisał, foremną książkę napisał, samego siebie oskarżył i deprymował, jak jego *malevolentia* na mię wyzionęła; ale com napisał, napisałem ku obaczeniu w błąd zawiedzionym, ku przestrodze chwiejącym się, ku zasromaniu upornym i stwierdzeniu prawowiernym w drodze zbawiennój” (1). „Aczem ja pierwszy mój skrypt t. j. *Antilogię* nie na to wypuścił czytelniku łaskawy, żeby mi się okazać i w gadania żarliwe zanosić chciał: ani też dlatego, iżbym pp. socynistów do większego wzgniewania i zajęcia na się pobudził. Świadkiem mi jest Pan Bóg, i sumienie moje własne... Wszakże ten dobry i życzliwy proposit mój, niektórzy opacznie przyjąwszy, na osobę moją lichą, ku zniewadze a pohańbieniu jej powstali i tak upornie targnęli, że na harc pojedynkowy przeciwko mnie wyjeżdżają.

(1) *Antipologia*. Str. 548.

Takim się okazał jawnie pan Jonas Szlichting z Bukowca praedicant Rakowski.... przyszło mi się téż na niektóre objectie jego ozwać.“

Zjawily się w r. 1630 dwa dziełka w jedném albo raczej jedno w dwóch częściach, wyszłe z pod pras Andrzeja Piotrkowczyka. Autorem piéwszej części noszącej tytuł: *Assymbolum Socinianorum* ma być Tomasz Węgierski (1) i rzeczywiście przedmowa podpisana jest głoskami T. W. Część drugą napisał Klementyn. Praca przyznawana Węgierskiemu jest nietylko wyciągiem z różnych pisarzy socyjańskich, dotyczących artykułów ich wiary, ale wyciągiem arcyciekawym dla chcących poznać zasady arianów. Stanowi ona jakoby konieczny wstęp do części drugiej, która jest właściwą odpowiedzią Szlichtingowi. Napis jój tytułowy: „Antypologia to jest odpowiedź ks. Daniela Clementinusa na odpowiedź pana Jonasza Szlichtinga (2).”

Antypologia to owoc pracy wytrwałej. Daje się tu bliżej poznać Klementyn; widzimy w nim szlachetnego obrońcę przekonanego o świętości sprawy, za którą stawia odważnie; zapaśnika bez zółci, umiejącego zachować powagę swego stanowiska, bo wyjątkowo tylko przekracza on zbytniem uniesieniem; szkalowań się strzeże, a natomiast rozwija erudycyą niemałą i zimne beznamietne rozumowanie, czego właśnie mamy prawo wymagać od wszelkich pism podobnej treści.

W takich warunkach umiarkowania roztropnie poczęta walka dotkliwą być musiała arianom. Klementyn piéwszy rzucił rękawicę do walki, zagadnął śmiało arianów, drasnął ich w samo serce, podając w wątpliwość w obec kraju całego, to, co było dla nich najświętszem. Odpowiedzi Szlichtinga chociaż znakomite, były to przecież odpowiedzi tylko. I zda się że dopiął celu Klementyn, bodaj na-

(1) Bock. Tom. I. Pars I, p. 499 i o kość. braci czeskich w Wielkopolsce Łukaszewicza, str. 269 przytaczamy całkowity tytuł téj piéwszej części: *Assymbolum Socinianorum* to jest o przedniejszych powszechnéj apostołskiéj wiary częstkach, *Non credo*, albo niewiara Arianów dzisiejszych: Z ichże własnych scribentów sumownie zebrana, w Baranowie. Andrzej Piotrkowczyk drukował Roku Pańskiego 1630, 4to.

(2) W Baranowie, Andrzej Piotrkowczyk drukował (4to. Str. 569). 4 karty registrów i 8 kart na przodzie).

wet czy nie zdołał osłabić fanatyzmu własnych ich współwierców między szlachtą, która jeśli wyznawała arianizm to nie dla żadnych innych celów, jeno dlatego, że uniano ją wymownemi słowy o prawdzie téj wiary przekonać.

*Antypologia* i inne dzieła Klementyna, dziś zapomniane prawie zupełnie, bo poruszały jedynie kwestye czasowe. Ale właśnie dla chcącego poznać i zgłębić te zagadkowe dla nas czasy polemiki a wrzawy religijnej, pisma te staną się szacowném i bogatém treścią źródłem dziejowém. Wspomnieliśmy ogólnie o téj historycznej wartości pism Klementyna. *Antypologia* też same posiada zupełnie zalety; Bock, autor dziejów arianów (*Historia antitrinitariorum*) któremu nikt ani pracy, ani erudycyi nie zaprzeczy, zsyła się bardzo często na to dzieło Klementyna. I w rzeczy saméj są tam materyały do życiorysów wielu znakomitych polskich reformatorów i ich wyznawców; są liczne napomknienia o rozmowach czyli dysputach, są nieraz drobnostki, ale drobnostki ciekawe. Powiedzieliśmy, że *Antypologia* napisana z godnością i że niewiele w niej miejsc takich, w którychby w uniesieniu fanatycznym zapomniał autor o szlachetności w polemice. Znajdujemy przecież gdzieś tam słabsze miejsca, ale inniejsza o to, kiedy szczegóły w nich zamieszczone malują nam tak żywemi barwami nasze zwyczaje i naszą przeszłość. Oto np. ustęp o aryańskich ministrach:

„Pieszczonych ministrów między sobą nie mamy: p. Szlichtingowi i towarzystwu jego to przypominamy, do których gdy przyjdiesz, znajdziesz izbę obitą, stół chędogo nakryty, kolory jedwabne, do stołu jako u pana wino, piwo przewożne, żona, dzieci chędogo ubrane: nie wiem czegooby więcej do pieszczoty potrzeba. Co mi téż za przesładowanie cierpią i od kogo? Jeśli co takiego nań przypadnie, wnet się szlachectwem zarzuci, pozwać obiecuje, każdy mu da pokój; co się niedawno w Krakowie pokazało. Nie siedzą na plebaniach, nie wygania ich nikt z mieszkania ich, siedzą sobie spokojnie we dworzach albo takich domkach, które im stoją za dwory. O delikaci, gorzkież téż wasze jadło, ciężkież wasze picie, twardyż zagon wasz.”

O Smalcuszu mówi: „Nazbierał on pieniędzy wielką summę nie z ojczyzny, nie z gospodarstwa téż, bo tego



obojga w Polsce nie miał: widzieliśmy też matkę jego ubożuchną, ta pewnie z Goltzy nie przywozła z sobą tysięcy: a z czegoż one? z dyscypliny (to jest z pastorowania), która mu tak dobrze došla że jeden z ich starszych powiedział: Bogdaj pieniądze jego z nim były unarły. Nazbierał ich tedy przez łakomstwo, zynylonemi słowy kupcząc ludzini, z kollekt częstych, z lichew ustawicznych” (str. 73). Po Smalciuszu pozostało dwadzieścia kilka tysięcy (str. 244).

W inném miejscu swojego dzieła, odpierając runiemania Socynianów, że nie godzi się chrześcianinowi świeckiego sprawować urzędu; przytacza także dwa szczególne zdarzenia, chcąc przedstawić w nich naukę aryanów w bardzo niekorzystném świetle (1). W tych napomknieniach widnieje słaba strona w Klementynie: nie mógł on przenieść na siebie, aby co nieco nie odpłacić Szlichtingowi za jego obelgi i szkalowania.

Przytaczając te kilka drobnych wyjątków, daliśmy niejaki wyobrażenie o pismach Klementyna, ale daliśmy je poznać tylko jednostronnie, gdyż innych niemniej ciekawych ustępów, które w wysokim stopniu charakteryzują epokę, niepodobna tu wypisywać, bo jak samo wydanie dzieła, tak również i zawarte w niem szczegóły, wszystko to stanowi tylko jedną bogatą kartę w jój dziejach.

Antypologia sprawiła zamieszanie między aryanami: nie chcieli oni ani na krok ustąpić swemu przeciwnikowi. Snadź, że nie lekceważyli sobie dzieł Klementyna, i że obawiali się ich wpływu. Polecono więc Szlichtingowi wygotować odpowiedź, któremu zresztą *ex officio* godziło się na Antypologią odpisać. Szlichting w nowém swém, dziele drukowaném w Rakowie (r. 1631) (2) odpierał zarzuty, któ-

(1) „Niedawnych czasów ukradziono nieboszczykowi sławnéj pamięci Panu Chrystophorowi Cikowskiemu w Rakowie w domu brata, do dyscypliny ich zawołanej należącego 6,000 złotych razem w jednéj noey. Mieli winowajcę y nie chcąc jakiegoś dzwonka ruszać, puścili ich, a pieniądze przecie zginęły: „pogrzebiono jednę zącą pannę tamże (w Rakowie) w chędogim ubiorze, obrał się wnet jeden ich brat (a powiadają mi, że to był synowiec P. Wojdowiusa wielkiego u nich rektora i serybenta), który trupa dobył i z onéj kosztownéj szaty y pierścionków obnażył. Pojmano go, wsadzono, wynieść dopuszczono. (*Antapologia*. Str. 144).

(2) „Na Antapologiam X. Daniela Clementinusa o potwarzach. Odpowiedź przez Jonasza Szlichtinga z Bukowca. W Rakowie drukował

re przeciwko aryanom stawił Klementyn w swojej Antypologii. Nie znamy tego pisma Szlichtinga, ale podobno że niedość silnie broni w niem sprawy swojego wyznania, i ledwo że niektóre zarzuty bliżej rozbiiera. Przeciwno zaś wstępowi do *antypologii*, przeciwko owęj treści nauki socynianów (*assimbolum socinianorum*) wystąpił zaraz w roku następnym (1632) nowy przeciwnik: Piotr z Morzkowa Morzkowski (1).

Kończąc nasze opowiadanie o Danielu Klementynie, dodać tu musimy kilka dat z życiorysu jego, które zapisał Węgierski. Z historyi reformacyi tego autora dowiadujemy się, że Klementyn był najprzód pastorem w Górach, że bawił potem kolejno jako kaznodzieja, to w Jodłowie, dalej we Wiatowicach, to wreszcie w Chmielniku, gdzie też dnia 22 kwietnia 1644 r. zakończył życie (2). Nie doczekał się synodu, który w kilka miesięcy po jego skonie odbył się dnia 15 lipca w Chmielniku. Synod ten poprzedził owę sławną rozmowę przyjacielską w Toruniu (*Colloquium charitativum*) tak wymownie świadcząca o dobrych chęciach króla Władysława IV. Na synodzie chmielnickim znajdowali się deputowani od kościołów helweckich z Litwy, był i Maciej Głoskowski wysłany tam od braci czeskich z Wielkopolski. Chcieli różnowiercy wspólnie i jednomyślnie działać w Toruniu, dla lepszego zatém powodzenia naradzali się z sobą uprzednio w Chmielniku, a potem uchwalili w tym samym celu nowy synod generalny na dzień 24 sierpnia 1644 r., który się odbył w Orli na Podlasiu (3).

Seb. Sternacki roku 1631. (4to. Str. 417 i jedna karta na przodzie). Przytoczyliśmy tytuł powyższy z historyi Antitrinitariorum Bocka. (T. I. Część II. Str. 777), gdyż w Jocherze znajdujemy takowy tylko przetłumaczony z łacińskiego z Biblioteki Sandiusa. (Jocher. Tom II. 267. N. 3403).

(1) Odpowiedź na skrypt jednego z dozorców ewangelickich nazwany *Assymbolum Socinianorum, non credo albo niewiara dzisiejszych aryanów*, przez Piotra Morzkowskiego z Morzkowa. W Rakowie Seb. Sternacki 1632. (65 ark.). Jocher. T. II. Str. 267.

(2) *Regenwolscius*. (Węgierski). Str. 415.

(3) *Łukaszewicz* O kość. wyzn. helw. (Str. 278) i o kościo. braci czes. w W. Polsce (209).

to przedmiotem wypracowania stawili Kłopotowicz w swojej Antyzo-  
logii. Nie należy tego pisać Zdzieniedze, ale podobno to  
niechciało sobie przedzielić w swoim czasie swojego wypracowania i le-  
żąc w ministerstwie zarządził bliżej rozbiór. Później zaś  
wystąpił do komisji, przyniósł ową pracę i na jej  
miejscu (zanimbym cośkolwiek) wystąpił, aże w roku  
1870.

## OBRAZY DAGESTANU.

PRZEZ

*Juliana S...*

### III.

#### POWIERZCHOWNOŚĆ LUDU, JEGO OBYCZAJE I ZWYCZAJE.

**T**e wszystkie tak rozmaite plemiona, tyloma różniące się językami i tak odrębnymi rządzące się ustawami, zdają się pod względem rodowego swego pochodzenia należeć do jednej a téj wielkiej części rodu ludzkiego, która azyatycką i europejską się nazywa, a za najpiękniejszą jest uważana. Kształtna budowa ciała, jak również rysy twarzy odznaczające się prostym lub orlim nosem, wypukłym w miarę czołem, regularnym owalem, dużemi na normalnej do nosa linii oprawionemi oczami, aż nadto tego ogólnego ich pochodzenia dowodzą. Jednego tylko plemienia nazwanego mongolskim, prócz rzadkich tylko, a i to bardzo mało znaczących śladów, nie napotykamy nigdzie. Widziane gdzieśgdzie rysy człowieka z spłaszczoną dosyć twarzą, płaskim i szerokim nosem, niskim czołem i ukośnie ku nosowi pochylonemi oczami, a które za typowe tego plemienia są uznane, mogą być tylko śladami małej bardzo ilości pozostałych w tych stronach Mongołów, którzy z takimi jak Dżengishan i Tamerlan

zdobywcami naptynęli; albo téż- oznaczają Kałmuków, w niedalekiem sąsiedztwie na astrachańskich i północnych kaukazkich stepach, a nawet w części po prawej stronie Sułaku na kumyjskiej równinie rozsielonych, którzy w małej podobnie ilości z tutejszemi mieszkańcami się połączyli, przyjąwszy nawet ich religią, to za zarobkiem przyszedłszy, obecnie do ich ludności należą. Można więc spotykać ich tylko to między sługami, to zajmującemi się jakim rzemiosłem, to szczególniej po pocztowej, przez rząd cesarsko-rossyjski urządzonej drodze przez cały Dagestan przeprowadzonej, pomiędzy słuźącemi do koni, którzy z rossyjskiego jamszczykami się nazywają; ale nigdy prawie, ażeby byli właścicielami ziemi. Zamieszkujący tu Tatarzy nie także w swojej całej budowie, jak również języku, nie mając z tém plemieniem wspólnego, ogólne wszystkim ludom tutejszym przedstawiają cechy, a nawet pomiędzy niemi do najpiękniejszych policzone mi być mogą.

Wszystkie te ludy jednakże nie wszędzie jednakożą odznaczają się pięknoscią. Panują między niemi typy, powszechnie za piękne uznane, jak np. wyżej wymieniony tatarski, a między innemi turecki, perski i izraelski, a które wpatrując się w same rysy mieszkańców, prawie za jednym rzutem oka odgadnąć można; ale znajdują się plemiona i ludy, które nawet daleko od nich odstepują. Tam gdzie mieszkańcy z powodu pochodzenia swego owe piękne zachowują typy, również za najpiękniejszych uważani być muszą. Takimi są np. Szamchalecy i mieszkańcy wielu wsi do obwodu samurskiego i kubińskiego powiatu należący; jak również dlatego, w posiadłościach dziedzicznych, a mianowicie w rodzinach władców i beków napotykają się prawdziwe piękności Wschodu, chociaż i między prostym ludem nie rzadkie są ich przykłady. Podróżując po Dagestanie, któż nie podziwiał piękności

kobiet w niektórych wsiach szamchalstwa: jak Gilli, Karabudakentu, Gubdenia; w kiuryńskim haństwie: Kasimkenta i Kabiru; w kubińskim powiecie: Zajfur i Chazrów. A podobnie i mężczyźni, którzy wyniosłym i wysmukłym wzrostem, najkształtniejszą budową ciała i rysami twarzy, prawdziwie idealne przypominają postacie. Między innego pochodzenia plemionami, podobnymi do tamtych są Kiuryńcy; gdy Lezgińcy, jak równie Kumyki, Kumuchy i Kajtachcy w ogóle wyższym odróżniając się wzrostem i mocniejszą budową ciała, zarazem grubsze i mniej regularne mają rysy. Inne drobniejsze plemiona, mianowicie w górach zamieszkujące, a między mieszkańcami niższych okolic i równin Akuszyńcy, zapewne do najmniej pięknych należą. Ponieważ ludy w krainach pod zarządem Szamila zostających, w ogólności mało są jeszcze znanymi, więc i pod względem ich powierzchowności nie wiele się da powiedzieć pewnego. Ale o ile sądzić można z opowieści wojennych jeńców z tamtych stron przybywających, jako też tych, którzy z powodu prowadzonej wojny tamte okolice zwiedzili, albo też wnosząc z samych mieszkańców tamtejszych do niewoli rossyjskiej się dostających, to zdaje się niewątpliwem, że też same jak i ich inni pobratymcy zachowują cechy. W ogóle jednak wzrost średni i do wzrostu odpowiednia wielkością głowa, skład ciała wysmukły i giętki, gdyż nie można prawie widzieć otyłego mieszkańca, nogi i ręce małe, odznaczają wszystkie ludy Dagestanu. Ruchy ich są zwinne i lekkie, które tak w chodzie jak i każdym fizycznym zatrudnieniu okazują. Podróż odbywając pieszo, a biegając z nieporównaną prawie po górach lekkością, w nadzwyczaj krótkim czasie nieraz bardzo długie przebywają drogi. Spotkać można podróżujących konno, przy których idący pieszo, towarzyszą im bez przerwy. Ale szczególniejszą i im tylko właściwą uderzają pięknością i zręcznością,

kiedy siedzą na swych rumakach, do których przyrośniętymi się zdają.

Tój ich budowie, zwinności i zręczności ruchów, a zwłaszcza przy konnej jeździe, na której powiedzieć można połowę swego życia przepędzają, odpowiada ich lekkie i swobodne, a przytém malownicze ubranie, które na wzór tatarskiego albo perskiego używają. Podług tego mężczyźni noszą zwężające się ku stopom a nad kostkami przewiązane spodnie; krótkie pod nimi bez kołnierzków koszule, zawsze gołą zostawiające szyję; obcisłe i krótkie tak zwane bezszmety, i podobne do nich, a tylko dłuższe i u szerszych rękawów wylotami opatrzone, tak zwane czuchy. Nieodłącznymi jeszcze częściami tego ubrania są: kożuch i burka, a do tego gołą zawsze głowę pokrywająca okrągła i szeroka barania czapka, której nigdy nie zdejmują, jak tylko przy modlitwie, albo też chcąc największe przed osobami władców lub innych starszych okazać uszanowanie. Na koszule i spodnie używają różnokolorowych jedwabnych materyj, ale najczęściej białego albo niebieskiego płótna, które z bawełny wyrabiają. Bezszmety od samej szyi do pasa drobnutkami i ukrytymi haftkami lub pętelkami zapięte mają, zawsze jedwabne albo z ozdobnych wełnianych materyj, gdy czuchy zawsze z sukna zrobione; a tak jedne jak drugie, srebrnymi i złotymi galonami, a czasem jedwabnymi lub bawełnianymi sznurkami wyszywane. Na wązkim rzemiennym pasku, czuchę albo kożuch obcisłym, a zwykle srebrnymi guzikami i sprzączkami ozdobionym, wisi nieodstępujący nigdy żadnego mieszkańca kindżał. Prócz niego jeszcze należące do uzbrojenia pistolety i gwintówka, ładownica, prócz wyszytych na wierzchniej sukni ładunków; skórzane albo metalowe pudełeczko z potrzebną do broni baranią tłustością; skórzany woreczek do kul i obwijających je gałganków, a drugi podobny do krzesiwka,

skatek i hubki, kapciuch do tytoniu, nahajka: to przy-czepione u paska, to na krzyżujących się na plecach i piersiach rzemykach i sznurkach porozwieszane, a to bogatym metalem, to na innych przedmiotach jedwabnemi wyszywaniem błyszczące, nowéj jeszcze całemu ubraniu dodają malowniczości. Z wysokimi zwykle łąkami a płaskimi siedzeniami siodła, pokrywane wyszywaniem w arabeski i kwiaty różnobarwnemi suknam, najczęściej baranie, a czasem z łabędzich piór uszyte czapraki; lekkie i cienkie uzdeczki i trzozły, bo rzadko używają munsztuków, są ryszunkami na ich koniach, na których nadto plecione z jedwabiu lub metalu siatki, z rozmaitemi kutasami i brzękadłami, na głowie, grzywie, ogonie i grzbiecie zawieszają.

Za najpowszechniejsze obuwie służą im tak zwane czewiaki, to jest rodzaj płaskich lub głębokich, a zawsze śpiczastych trzewików: to z jednego kawałka safianu lub surowcowej skóry zrobionych, to opatrzonych w długie i wąskie końce, zakręcającemi się do góry podszwami; a między biedniejszymi, a nawet po niektórych okolicach przez wszystkich mieszkańców używane, uplecione z łyka łapcie. Wełniane albo rzemieńne sznurki, któremi u wierzchu każde sznurują obuwie, dochodząc do połowy łydki, obwiązują zarazem ochraniając nogę szmaty, jako téż przyciskają spodnie. Wszyscy prócz tego bez wyjątku chodzą w znanych powszechnie śpiczastych i wysokimi obcasami opatrzonych pantoflach wschodnich, zwanych tu kosz, które tak na wełnianą skarpetkę, jak i na gołą nogę wkładają, zrzucając je tylko u progu przed wejściem do każdego mieszkania; a ten już za najbiedniejszego poczytanym być musi, który nawet takowych nie posiada.

Kobiety ubierają się w szerokie, nakształt spódnicy do kostek spuszczone spodnie, szalwar albo szarwar, na które wkładają krótką, a zawsze kolo-

rową koszulę. Beszmet obciskający ich giętkie i wysmukłe kibicie, a na kilka haftek albo na bogatą spięty klamrę, odstania w części ich koszulę i piersi. Dla większego stroju służy im jeszcze pewien rodzaj kaftana z długimi połami i klapami na piersiach, zwykle z cięższych jedwabnych albo wełnianych materij uszytego; a od niepogody i zimna spuszczaający się do kolan i do kibici przystający kozuch. Liczne sznury koralu, bursztynów, srebrnych i złotych pieniędzy i medali zawieszane na szyi, a spuszczaające się aż do pasa, okrywają czasem całe ich piersi. W uszach noszą kolczyki, zwykle formę dosyć znacznej wielkości kótek mające; na palcach ulubione szczególnie pierścionki, a na rękach szerokie metalowe obrączki lub z koralu i bursztynów kilka razy owinięte sznurki. Splecione w warkocze włosy opuszczaające się po obu stronach twarzy, a zebrane i związane w tyle, pokrywają kolorowym, obcistym i płaskim czepkiem, albo obwiązują umyślnie do tego przeznaczoną chusteczką. Używają zawsze swoich małych pantofelków, w których z nadzwyczajną chodzą zręcznością; a ich drobne i białe stopy obciskają zwykle safianowe czewiaki, albo do kostek tylko sięgające jedwabne lub wełniane, a w różnobarwne wzory wyrabiane skarpetki. Zwieszającemi się od głowy do kolan, a około kibici powiewającemi zastonami, na które lekkich płócien i materij używają, zakrywają sobie twarze; lecz czyniąc to jedynie przy spotkaniu się z nieznanym mężczyzną, a mianowicie z niewiernym, w ogóle po wszystkich wsiach i okolicach chodzą odkryte. Po miastach tylko, a i to z bogatszych rodzin, jak również po niektórych wsiach w haństwach, twarzy nie pokazują.

Dla szczególniejszego jeszcze przyozdobienia i wykwintu wszyscy prawie mieszkańcy używają pewnego rodzaju farby czerwonej, którą paznokcie u rąk i nóg, jak również końce palców, a mężczyznie brody i wasy



ubarwiają. Ozdabiają nią nadto białe i siwe konie, malując im ogony i grzywy, a po różnych miejscach ich skóry, rozmaite nadając nią centki.

Różne kroje wyżej opisanych sukien, większe albo mniejsze ich zmarszczki i fałdy, krótsze albo dłuższe poły z wylotami albo bez wylotów rękawy, kształty burrek, kożuchów i czapek, sposób noszenia tak wszelkiego odzienia jak broni, odróżniają się po okolicach i plemionach. Różnice co do powierzchowności między pojedynczemi mieszkańcami istniejące, a które od stopnia zamożności pochodzą, będąc w wolnych gminach przy powszechnej równości tak stanów jak i mienia prawie nie postrzeżone, stają się uderzającemi w posiadłościach dziedzicznych. Wprawdzie w pierwszych większe zwykłe i ogólniejsze panują prostota i mierność: ale w drugich, gdy władcy i beki, jak również duchowni lub inni bogatsi mieszkańcy wszelkiem bogactwem stroju, rynsztunków i koni jaśnieją, to koszula i spodnie, kożuch i burka, stanowią nieraz całe ubranie poddanego. Do tych wszystkich wymienionych dotąd cech, dodając jeszcze pewien ogólny widok tak powszechnej i znanj na Wschodzie nieczystości, a która i tutaj tak po ulicach wsi i w domach, jak również w ubraniu i we wszystkiem się przebija, a między biedniejszymi odrazę nawet obudzić jest w stanie; gdy mężczyźni o swoje tylko rynsztunki, zbroje i konie, a kobiety o białość i różowość twarzy i piękność włosów dbają najwięcej; przypominając sobie nadto o różnicach, jakie między ludami po żyzniejszych okolicach i równinach, a po górach zamieszkującemi zachodzą, o których przy wstępném opisanju tego kraju wspomnianém zostało: ogólny obraz powierzchowności tego ludu będziemy mieć tém dokładniejszy.

Wprowadzę teraz czytelnika na jeden z najciekawszych obrzędów, jakiem jest bez wątpienia w tych stronach wesele: na którym zebrany lud oddając się z zupeł-

na swobodą tak wspólnemu z sobą towarzystwu jak zabawie, może najlepiej obyczajową swoją wartość odśloni. Czytelnik sądzę, będzie prawie w stanie zetknąć się, że tak powiem z tym ludem, prawie odgadnąć tajemnice jego wewnętrznego i zwyczajowego życia.

O dzień konnej jazdy od brzegów Kaspijskiego morza, jak równie o tyle prawie od Temir-Chan-Szury, udając się ku północy, napotyka się ową wieś Gubdeń, nieraz już poprzednio wspomnianą, która leżąca pod górami i nad rzeką tegoż nazwiska, jakto często spotyka się w Dagestanie, w czasie pór zieloności, należy do jednych z tych malowniczych położeń, które w tych stronach prawdziwemi rajami ziemskimi nazwane być mogą. Czworokątne z żółtawego kamienia zbudowane domy z swemi płaskimi dachami i na wschód obróconemi krużgankami, piętrząc się po pochyłości wyniosłej góry, przedstawiają jakby jedną ułożoną z nich piramidę, pośród której na odosobnionem wzgórzu oddziela się okrągła wieżyczka minaretu, z kąd mułta pięć razy co dnia wzywa wiernych tej wsi mieszkańców do podniesienia myśli do Jedyne go i Najmiłościvszego Boga. Goły szczyt szarej góry zakończa piramidę, na którą w czasie zachodu słońca rzucają cień wysokie i lesiste góry, stanowiące wejście do długiego i krętego wąwozu, z którego wypływa rzeka. Stanąwszy na którymkolwiek dachu wsi, a obróciwszy się ku morzu, rozcielają się naprzód przed naszymi oczami odwieczne i cieniste drzewa po ogrodach i sadach, między którymi w rozliczne strumienie i odnogi rozlewająca się i błyszcząca rzeka, płynąc po drobnych kamieniach płaskich koryt, wydaje szemranie, jakby cichą muzykę tych cieni, tak przyjemnych i słodkich dla mieszkańców wschodniego nieba. Dalej fałdujące się i wznoszące pagórki i wzgórza, to zieleńjące, to siniejące w oddaleniu, kończą się aż na widokregu morza. Na falującym się kobiercu rozkłada-

jącej się między niemi równiny, malują się różnobarwne zasiewy i podrastające zboża; gdy znowu po rozmaitych ich wyniosłościach rozsypują się niezliczone stada pasących się owiec, koni i rogatego bydła. Tam widać pastucha w kożuchu lub burce opartego na kij; tam pracujących koło roli lub z jakimś rolniczym narzędziem idących ludzi; to znowu po drodze toczy się wóz obładowany zbiorem. Taki czarowny widok okolicy, a często daleko jeszcze więcej urozmaicony i malowniczy, oprócz wyłącznie tylko górzystych miejscowości, prawie po wszystkich stronach Dagestanu napotkać można. Kacherman-bek, syn Szamchała, dżanke, to jest z prostej zrodzony kobiety, żenił się z podobnegoż pochodzenia córką karakajtachskiego Ucmiego. Lubo tacy dżanke, nie posiadając prawa dziedzictwa, uważanemi są za niższych od dzieci z słubnych żon urodzonych, używają jednak z niemi jednakowego prawa poszanowania i wyższości, gdyż szanowaną w nich jest krew władców. Prócz zupełnej jeszcze równości w urodzeniu, nowożeńcy byli nadto dobraną zupełnie parą co do majątku. Bo chociaż karakajtachski Ucmi nie używa bogactw, w jakie opływa Szamchał tarkowski, będący posiadaczem jednej z najpiękniejszych i najżyźniejszych krain Dagestanu, w każdym razie jednak zostaje w możności dania odpowiedniej wyprawy każdej z swoich córek. Wyprawa ta i kałym, to jest zapłata narzeczonego za żonę, oznaczone są naprzód i ułożone przez rodziców. Państwo młodzi, zwłaszcza w rodzinach wyższego stanu, widzą się nieraz dopiero przy małżeńskiej pościeli; gdyż ich połączeniem rozrządzili rodzice, co niekiedy w czasach jeszcze ich niemowlęctwa uczyzionem zostało. W obec matki, pan młody i świadkowie stron obu zaprzysięgają umówione warunki; a po przeczytaniu modlitwy, obrzęd ślubu już za dokonany się uważa. Panna młoda nigdy nie bywa uczestniczką

obrzędu, gdyż ona jest tylko jakby własnością ojca, a po ślubie staje się własnością męża. Mąż oprócz zapłaconego kałymu winien jest nietylko poważanie, należne urodzeniu żony, ale nadto nie wolno mu jęj oddalić, chyba, że wina z jęj strony pochodziła i ta udowodnioną została, albo téż rodzice nie dopełnili zaprzysiężonych umów. Gdyby się zaś na to odważył, co tylko z prostą kobietą uczynić jest w prawie, podobny postępek byłby uważany za krzywdę, zemstę krwi wywołującą.

W poznanej jednak przez nas parze nigdy nie podobnego wydarzyć się nie może; bo jak mówi głos powszechny, oboje widzieli się nawet z sobą i podobali się sobie nawzajem. Kiedy narzeczony z niecierpliwością miłości oczekuje swęj najpiękniejszję, jakież mogą być jęj uczucia i myśli? Co się dzieje w jęj duszy, kiedy poważny albo surowy głos ojca wyda jęj rozkaz do wyjazdu dla oddania się pod władzę innemu panu, albo matka oznajmi jęj o niezmienném już losię. Ona życie całe nauczyła się być poddaną, ale czyż i na jęj duszy, swoich odwiecznych praw nie wyręła przyroda? Będzie miała własne pokoje, własne sprzęty i sługi, a bogatemi strojami, drogimi metalami i kamieniami będą okrywać jęj ciało: ale czyż te wszystkie skarby wystarczą jęj również dla szczęścia? Nie widziała dotąd twarzy obcego mężczyzny, gdyż kobiety wyższego stanu po największję części w zamkniętych przed wszystkimi haremach są trzymane, a jeżeli jęj się to udało, to tylko ukradkiem z wysokich swego wiecznego ukrycia okien; czyż podoba jęj się ten, z którym na całe życie ma być złączoną? Umię tylko i czyta modlitwy Koranu; ale dostawały jęj się czasem także palące i cukrowe wiersze wieszczów wschodnich: czyż nie zapragnęła raju? Ale któż się jęj o to zapytał? Powiecie nawet, że nie zna innego szczęścia, a więc i takie będzie dla nięj zupełném. Być może; ale czyż nie obra-

żoną jest przyroda i ludzkość w swoich najświętszych prawach, jakie im odwiecznie zakreślił Stwórca? Jednakże tak jest na ziemi; a czyż tylko między ludami Kaukazu i Wschodu, religią Mahometa wyznającemi; bo czyż do takiegoż samego bluźnierstwa nie poczuwacie się i wy chrześcianie?!

Twarz panny młodej jest zawsze zakryta, nie mogę więc opisać jój zapewne zachwycającej piękności. Liczy czternastą wiosnę. Zapewne jój długie, czarne i ciągle spuszczone rzęsy, zastaniają pełne ognia i niepokalanéj niewinności spojrzenia; jój oblicze najcudowniejszy przedstawia owal, a jego lśniąca, puchowa białość odbija się przy krucznych splotach jój włosów. Usta mają najczystsza barwę wiśni, a rumieńce podobne są do rozkwitających róży. Jój dziewicza i wysmukła kibić, jak również niepokalane członki jój ciała odznaczają się najczystsza w utoczonych składach pięknością. Posiada przytém w najdoskonalszym stopniu umiejętność swego gospodarstwa i kuchni; a najpiękniejsze wyszycia z jedwabiu, srebra i złota wychodzą z pod jój najmniejszych palców.

Ale i narzeczony godnym jest takiej piękności. Twarz jego okazała i męzka; czarny i gęsty wąs zakręcony do góry, ocienia małe koralowe usta, odkrywające najmilszym uśmiechem prześlicznój białości zębów; nos orli; oczy ze spojrzeniem łagodném, ale i ognistém razem, jeżeli jakaś namiętność zawrze w jego duszy; szeroka czapka ostanta wypogodzone czoło; postawa wyniosła; szerokość bark odpowiadająca wzrostowi, chód i poruszenia władcy. Jest przytém męznym i zręcznym jeźdzcem, a na jego kindzale zachowują się plamy krwi jego wrogów.

Kiedy na lekkim i bystrym koniu, umyślnie postany sługa przypędzi z wiadomością, że narzeczona opuściła już zamek swego ojca; natenczas pan młody wysyła na jój spotkanie drużynę sług i krewnych, któ-

rzy czekać jęj powinni na połowie drogi. Przy takiem spotkaniu, panna młoda występuje z przyjęciem z rozmaitych przysmaków, słodczy, ciast i owoców złożoném, które słudzy jęj, gdyż sama się nie pokazuje, zwykle pod gołém niebem, w cieniu rozłożystego drzewa lub przy jakim zdroju, na rozestanych kobiercach rozstawiają. Kiedy wóz panny młodęj, cały najbogatsze- mi osłoniony kobiercami, a za nim wszystkie inne, mieszczące jęj wyprawę i służbę, poruszają się dalej: towarzyszą im razem tak dodani jęj przez ojca, jako téż i pana młodego konne i uzbrojone drużyny. W czasie téj drogi, jeden z jeźdców do drużyny pana młodego należący, winien porwać i unieść do zamku swego pana, śnieżnej białości poduszkę dziewiczą, która umyślnie dlatego na wozie panny młodęj jest przygotowaną. Najręczniejszy i najufniejszy w bystrość swego konia uchwycić ją tylko może, gdyż sto innych jeźdców do drużyny panny młodęj należących, ażeby odebrać zdobycz, puszcza się za nią. Każdy prześcigający, bez żadnego sporu otrzymuje ją naprzemian; a przy wystrzałach i okrzykach wesołości i zachęceń, trwa gonitwa nietylko do samego dziedzińca zamkowego, ale można powiedzieć do samych drzwi sypialni; bo ten tylko za zwycięzcę jest uważany, kto porwaną poduszkę oddał do rąk czekającęj na nią u drzwi sypialni kobiety; a wtenczas prócz chluby jaka go spotyka, otrzymuje nadto sowite pańskie wynagrodzenie.

Przybyliśmy na wesele na dzień przed przyjazdem panny młodęj, która z Madżalisu, rodzinnęj wsi swojęj i stolicy ojca w Kajtachu, do Gubdenia, trzydniową wotami odbywać musiała podróż. Było nas trzech, a wszyscy byliśmy oficerami jednego pułku: jeden z nas nadto był rodem z Derbentu; a jako znajomy z panem młodym, w gościnę nas do niego zaprosił. Oprócz korzyści jaką mieliśmy z tego powodu, iż zostaliśmy

wprowadzeni na tyle ciekawy dla nas obrzęd, ta jeszcze była dla nas bardzo ważną, że nasz współtowarzysz mahometanin, znając język tatarski jako swój rodowity, a przytém z znaczną dokładnością rossyjski, służył nam za pożądanego tłumacza. Był on jednym z pomiędzy wielu mieszkańców, którzy w stronach przez rząd cesarsko-rossyjski zajętych, do wojska rossyjskiego wstępują; ale między współwyznawcami sweni poprzednich nie utraciwszy związków, przyjmowany był od nich po dawnemu. My dwaj jego towarzysze, uważaliśmy byli prosto za oficerów, to jest bojarów, jak ich tu lud nazywa powszechnie; używaliśmy jednak poszanowania i przyjęcia, jakiego tu zawsze doznają ludzie wyższego urodzenia i znaczenia.

Skoro przybyliśmy do zamku, służba odebrała od nas konie; przyjęło nas w jednej z obszerniejszych komnat, gdzie nie było nikogo, albowiem zabawa odbywała się w innej części zamku. Wkrótce na tacy na miseczkach i w szklankach z srebrnymi łyżeczkami, podano nam herbatę; a gdyśmy ją pili, rozsadowieni na niskich, przed świeżo na kominie roznieconym ogniem postawionych stołeczkach, ujrzeliśmy wchodzącego samego pana. Przywitał nas z uprzejmością i powagą; a na nasze oświadczenia, że przybyliśmy dzielić jego niezwyčajną radość, jaką dla każdego jest wesele, podziękował nam mocnym uściśnieniem dłoni, jak również odpowiedział, że życzyłby i nam podobnej. Przybyli także za nim liczni goście i słudzy; zaczęła się napępniać izba, a niebawem téż zjawił się do niej, z całym swoim przybranym dworem, szach.

Szach Kizylbasz, od wyrazów ki zyl złoto i basz głowa, oznaczający: szach złotogłowy, któremto nazwaniem mianują przez pośmiewisko szacha perskiego Sunici, jest najwyższym, że tak powiem, mistrzem weselnego obrzędu, posiada bowiem nieograniczoną władzę, tak co do rozrządzania zabawą, jako i wszelkiego prawa nad gośćmi, nie wyjmując nawet

samego pana. Na jego żądanie i podług jego upodobania zbierają się i rozchodzą goście; a musi się stawić każdy, kogoby tylko zawezwał. Jeśliby mu się podobało zażądać samego hana, choćby o samą północy, a nawet jak go Bóg stworzył wyjętego z pościeli, będzie go miał przyniesionego na rękach. Urząd ten nadawany zwykle jednemu z najwierniejszych sług, a znanemu z roztropności, dowcipu i powagi, nietylko uważanym jest za zaszczyt, ale nadto posiadający go, oprócz sowitego pańskiego podarunku, jak konia, piękną broń lub suknie, które zwykle otrzymuje, ma prawo jeszcze zbierać liczne i najrozmaitsze dochody. Spływają mu one tak w podarunkach jak pieniądzach, od wszystkich zebranych gości, za rozmaite tak przez niego wymyślane jak i przez zwyczaj uznane przestępstwa, za które naznacza kary. Każe więzić każdego z gości, na którego liczy kieszeń lub hojność, a nie wypuszczając dopóty, dopóki odpowiedniego ważności osoby i swemu żądaniu nie otrzyma okupu. My wszyscy trzech, przed samym wyjazdem z wesela, byliśmy podobnie uwięzieni, to jest do słupów gankowych grubemi wełnianymi sznurami przywiązani, a musieliśmy się uwolnić pieniędzmi. Gdy przez usta urzędnika szacha prowadziła się między nim a nami, tycząca się okupu umowa, chodząca z drewnianymi pałaszami straż przed nami, nie dopuszczała do nas nikogo, nie pozwalając nawet mówić z nikim, a tém bardziej pomiędzy sobą, pod groźbą daleko surowszej kary. Jednemu więźniowi, za kilka razy popełnione co do tego nieposłuszeństwo, zakneblowano usta. Tak samo stał wkrótce po nas brat pana młodego; a tak samo stałby równie sam ucemij kajtachski, gdyby się tak spodobąło jego najwyższej szachskiej, kizylbaszkiej mości. Zostawioną jest jednak więźniowi wszelka wolność targowania się; albowiem przysłowiowa chciwość kizylbasza mogłaby być nieograniczoną. Marszałek szachskiego dworu, donosi do uszu szachskiej wiel-



kości prowadzone przez siebie układy; a straż z drwnianemi pałaszami dopóty nie uwalnia z pod słupów, dopóki szach najmiłościwszego nie raczy wydać wyroku. Więzień okupiwszy swoją wolność, ma obowiązek jeszcze na kolanach i przez uderzenie czołem o ziemię dziękować najpotężniejszemu z szachów, za jego nieograniczoną łaskę.

Oprócz tych dowolnych kar, które jedynie szach dla swojego dochodu wymierza, używane są jeszcze inne za rozmaite przekroczenia i przestępstwa. Nie wolno np. nikomu siedzącemu na stołku założyć jednej nogi na drugą, który to przywilej samój tylko szachskiej służy osobie; gdyż zaraz długi pręt w rękę szachskiego kadiego nieustannie zostający, spadnie na niesforną nogę. Nie wolno wstać ani przejść na inne miejsce, a tém bardziej wyjść bez szczególnego pozwolenia szacha; bo jakie kto zajął miejsce, powinien je aż do końca zabawy zachować. Kto spóźni się na umówiony czas zabawy, odezwie się z jakim nieprzyzwoitým słowem, albo zbyt głośnym śmiechem lub krzykiem odróżni się od powszechnego gwaru, zostaje ukarany. Wreszcie tak kary jak przestępstwa, zależąc jedynie od twórczości dowcipu szacha nieraz najdziwniejszemi odznaczają się pomysłami. Na jedném, jak mi opowiadano weselu, szach kazawszy się rozebrać do naga ucniemu kajtachskiemu, kazał mu potem zamienić ubranie z jednym z najbiędniejszych pastuchów, który został się przy nabytym w ten sposób podarunku na zawsze, gdy Ucmi w nabytym znowu przez siebie, musiał uczestniczyć zabawie, z wielką uciechą całego towarzystwa, przez całą dobę. Jednego znowu beka rozebrano także do goła; wysmarowano naftą, tamtejszą smołą ziemną i osypano pierzem; a tak wystrojonemu kazano tańczyć. Opór szachowi byłby uważany za niedarowane grubiaństwo; a jeśliby kto chciał wyłamać się od kary, mógłby tego dokazać jedynie tylko za po-

darunki lub pieniądze. Pomiedzy temi najrozmaitszemi karami, przyjetemi są takze kije. Jednego, który zadaleko żart posunął, bo zbyt przedłużoną pukawką z prochu, osmalił brodę i wasy hadzemu szachskiego dworu, rozłożono w oka mgnieniu na podłodze przed obliczem szacha, a gdy jeden ze straży usiadł mu na karku, a drugi na nogach, trzeci wymierzył mu kilkanaście uderzeń polanem drzewa, które zdawały się nawet dosyć bolące. Pukawki z prochu w orzechowych łupinach lub papierze, jako zupełnie pozwolona zabawa, podrzucane na podłogę, pękają pod nosami gości, z towarzyszeniem śmiechu i żartów całego towarzystwa. Sam szach nawet nie jest od nich wyjętym, a spotykają go zwykle największe, bo chcieliby naruszyć jego powagę, którą ciągle utrzymywać powinien. Pokiwa natomiast tylko głową, i lekkim oznajmia uśmiechem, że żart przyjętym był przez niego z pobłażaniem. Nie wolno mu nigdy okazywać ani zbytnej weselości, ani gniewu; a więc tylko uśmiech lekki, albo brwi zmarszczenie mogą być oznakami jego najwspanialszego humoru.

Skoro wchodzi szach z swoim licznym dworem, wszyscy obecni, nie wyjmując samego pana, na znak najwyższego uszanowania, z odkrytymi wstają głowami; a dopóki nie raczy zasiąść i dać skinienia, nikt nie śmie zająć swojego miejsca. W głębi izby najwyższy i najozdobniejszy stółek, jest przygotowanym dla niego tronem, gdy inne po obu jego stronach stojące, przeznaczone są dla urzędników. Po prawej zasiadają kadii z swoim długim prętem i hadzi, a po lewej podskarbi trzymający szkatułkę, do której chowają się z dochodów uzbierane pieniądze. Przed obliczem szacha stoi ciągle na każde gotowy skinienie marszałek, a za plecami dworu uszykowanych jest kilku do przybocznej straży należących, drewnianemi pałaszami uzbrojonych; na ich czele dowódzca z ogromną, starożytną rusznicą, jak również najwyższy wykonawca sądów, z ogromnym

drewnianym mieczem. Łowczy z ubranym jak sokół kogutem, trzymając go na pięści; koniuszy z kańczugiem uplecionym ze sznurów, a prócz tego kilku jeszcze ze straży pozostają przy drzwiach.

Dawniej na weselach hańskich naśladowano ubiory i przepych perskiego dworu; ale obecnie, gdy zwyczaj ten rzadko się kiedy zachowuje, więc tak szach jak i cały dwór jego i służba w zwyczajnych występują ubraniach. Ubiór tylko hadżego powinien być zawsze odmienny, a przytém ogólne pośmiewisko obudzający. Dlatego téż jego twarz oszpecają przyprawione broda i wąsy, ze starych kawałków baraniéj skóry wycięte; głowę okrywa spieczasta, z najrozmaitszych łachmanów, na wzór perskiéj uszyta czapka; a cały okrywa się długą i szeroką suknią, z najbardziej wytartych kawałków starych burek uszytą, a odpowiadającą odzieniu powszechnie używanemu przez hadżich. Gdy ci hadziowie, to jest ci, którzy choć raz świętą podróż do Mekki odbyli, tak w wyobrażeniach całego wschodniego ludu, jako i w jego przypowieściach, przysłowiach i pieśniach, występują zawsze jako obtudnicy, pochlebcy, lubieżnicy i skąpcy, słowem typy najbrudniejszych wad, a obrana ich rola takich właśnie ma na téj zabawie przedstawiać; przeto z tym, który ją wziął na siebie, z takim poniżeniem się obchodzą. Będąc ofiarą nieograniczonego prawie i ostrzącego się na nim dowcipu całego rozochoconego grona, łatwo sobie wyobrazić ile cierpi, przypomniawszy sobie nadto, że przedstawia hadżego szacha perskiego, który jest religijnym i politycznym naczelnikiem sekty, nienawidzonej przez cały lud tutejszy. Jestto najniewdzięczniejsza rola, bo nawet najmniejsze zwykłe wynagrodzenie pańskie za sobą pociąga, a przez same tylko zamięłowanie obierana.

Przed tronem szacha, na niskim stoliczku, na różnych miseczkach i w butelkach rozstawione napoje

i przekąski, a które w miarę ich ubywania natychmiast nowymi zamieniane być powinny, przeznaczone są jedynie na usługę dla jego wielkości i dworu. Jednym z najgłówniejszych obowiązków pierwszego ministra, to jest kadiego, jest zgadywać i zaspakajać tak wszelkie potrzeby jak i zachcenia, zwykle nieograniczonego apetytu swego wszechwładcy. Ten nie wypuszczając z ust krótkiego i cienkiego cybucha, z którego nieustannie wypuszcza drobne kłębki tytoniowego dymu, raczy przyjmować z rąk gorliwego urzędnika podawane sobie dary; ale jeżeli się wydarzy, że takowych odmawia, natenczas gospodarz domyślając się jakiegoś niezadowolenia czy niełaski, sam dobiera mu najwymyślniejszych; a jeżeli i te nie zdają się przypadać do najłaskawszego smaku, winien rozpocząć błaganie. Na kolanach więc, a z pełnym kielichem najulubieńszego szachowi napoju, najwymowniejzszymi usty prosząc o przebaczenie win i odwrócenie niełaski, na jakie zapewne zasłużył, dopełnia tego obowiązku; a skoro szach przyjął nareszcie podawany sobie kieliszek, musi jeszcze przez uderzenie czołem o ziemię objawić swoją pokorę i wdzięczność. Dobry jednak i wspaniałomyślny szach pamięta również i o wszystkich swoich poddanych; a mając ciągle zwrócone pieczołowite oko na ich potrzeby, skoro tylko postrzeże czyjkolwiek w czem niedostatek, natychmiast wydaje rozkaz zaspokojenia go. Natenczas kadii wydziela kąsek lub nalewa napój, a te na dłoni marszałka lub któregokolwiek służgi dochodzą do uwzględnionego gościa. Nikt nie śmie odmówić, a jeśliby się na to odważył, zostanie ukarany; gdyby zaś wymawiający się szczególniejsze posiadał względy, natenczas zostanie wezwany gospodarz, który w tenże sam sposób jak samego szacha, musi przebłagać gościa. Chociaż przepisy Koranu wzbraniają jego wyznawcom używania wszelkich gorących napojów, jednak między bogatszymi mieszkań-

cami Dagestanu, w stronach gdzie już zdołały przejść pewne zwyczaje i zbytki europejskie, zaczęły być używanymi. Dla dostojniejszych gości podawano porter i arak, gdy dla niższych jako téż i sług wódkę; a dla reszty prostego ludu buzę, to jest napój z jęczmienia wyrobiony, a do naszego piwa z drożdżami podobny. Prócz nieustannie podawanych zakąsek i napojów, dwa razy na dzień: w południe i wieczór, zastawiają na podłodze, na rozestanych dywanach albo stomianych plecionkach, z różnemi jedzeniami tace.

Skoro szach zajął swoje miejsce, zwróciwszy na nas swoją najtaskawszą uwagę, raczył zaraz przez usta kadiiego zapytać się, co my za jedni. Gdyśmy mu oświadczyli, że będąc cudzoziemcami, przybyliśmy złożyć swoje najpoddane uszanowanie najpotężniejszemu i najtaskawszemu z szachów, a przytém cieszyć się szczęściem jednego z jego poddanych, którego odprawia się wesele: raczył znowu skinieniem głowy okazać swoje zadowolenie, jak również drugie uczynić zapytanie, czybyśmy zostawszy przy jego dworze, nie chcieli przyjąć jakich godności. Usłyszawszy naszą odpowiedź, iż bytoby to dla nas niedającym się z niczym porównać zaszczytem, mianował naszego współtowarzysza mahometanina nadwornym tłumaczem, drugiego z nas przybocznym swoim adjutantem, a mnie nakoniec ministrem spraw zagranicznych. Dalej zaczął rozpytywać o nasze rodzinne kraje, jakotéż o te, któreśmy zwiedzali; ale kiedyśmy ciągle utrzymywali, że żadne na świecie nie mogą iść w porównaniu z jego państwem, gdzie góry są z diamentu, drzewa rodzą złote jabłka i gruszki, rzeki mlekiem i miodem płyną, przyznawszy zupełną trafność sądu, raczył powtórne okazać zadowolenie, jak również oświadczyć, że widząc w nas tyle rozumu, nie zawiódł się w swoim wyborze. Wkrótce także otrzymaliśmy zaszczytne znaki, to jest ja i adjutant drewniane, żółto i czerwono pomalowane

krzyżyki, a tłumacz nadworny takiegoż samego rodzaju medalik, które wydał podskarbi, a powiesił nam na szyi, na długich wełnianych sznurkach, marszałek. Podobne znaki widzieliśmy na kilku jeszcze innych gościach; przez cały ciąg zabawy nie wolno ich zdejmować, pod najsurowszą karą.

Na zabawach weselnych, trwających kilka i kilkanaście dni, a w których mają udział nie tylko krewni, przyjaciele i znajomi pana, ale nawet wszyscy słudzy i poddani do najbiedniejszego pastucha, nie każdego dnia częstuje pan młody; czynią to kolejno tak jego krewni i swatowie, jakoteż najbliżsi przyjaciele i bogatsi mieszkańcy. Szach tylko o pozwolenie przyjęcia gości winien być zawiadomiony przez prośbę, gdy nawet sam często miejsce gospodarza wskazuje; a gdzie raczy zasiąść z swym dworem, rozpoczyna się zabawa.

Toczy się wesoła i gwarna rozmowa; marszałek różne wypełniający rozkazy w ciągłym zostaje ruchu; kieliszki i szklanki z portere, arakiem lub winem krążą po znaczniejszych bliżej szacha siedzących gościach; tam z glinianego dzbanka rozdają wódkę, a dalej ku progowi w bawolich rogach buzę; policzki zaczętną nabierać coraz więcej rumianości, a oczy coraz większego blasku; trwają ciągłe żarty z hadzego; pękające pukawki z prochu obudzają coraz głośniejsze śmiechy; lata pręt kadiego po nieumiejących w sferności zostawać nogach; ale nikt nie porusza się z miejsca, nikt głośniejszym śmiechem albo krzykiem nie przerywa jednozgodnego gwaru: i owszem wszystko odbywa się z nieustającą wstrzeźliwością, przyzwoitością i powagą. Szach pomimo ciągłej gorliwości kadiego, w niczem nie naruszając swojej przybrananej powagi, nie raczy nawet patrzeć się na bawiących; ajakby zatopiony w głębokich myślach o dobrym bycie i szczęściu swoich poddanych, siedzi w jednakowej zawsze postawie wyższości, zakładając tylko naprzemian jedną nogę na drugą,

i nie opuszczając swojej fajki. Śpiewacy zbierają natężenie do pieśni; a gdy jeden z nich przebiera palcami po strunach, drugi zaś trąca napiętą skórę bębna z dzwonkami, ich przygrywki mieszają się z powszechnym gwarem tłumy. Wtém głos jednego śpiewaka podnosi się do jęku, przeszywającego wszystkie piersi, a potém zniżając się stopniowo, gaśnie w najśłodszych i rozkosz obudzających tonach. Śpiewak wpada w coraz większe zachwycenie, tłum się ucisza, leje się pieśń wojownicza lub miłosna; ale szach skinął i zagrzmiała muzyka z jednego bębna i jednego rożka złożona, wzywająca do tańca.

Pośród małego i utworzonego zaraz kółka, naokoło środkowego słupa podpierającego pułap, puszcza się występujący tancerz. Okrzyki ha! ha! ha! wtórują jego krokom, gdy wszystkie zarazem dłonie klaszczą za ich wymiarem. Tancerz z jedną ręką podniesioną do czoła, a z drugą w tył zagiętą, mając głowę zwieszoną ku ziemi, gdy cała jego postawa pochyloną jest naprzód, robi to nagłe i urywane kroki, to coraz równiejszym unosi się polotem. Jakby na siodle swego wiernego konia, z całym swoim błyszczącym uzbrojeniem, ścigał nienawistnego wroga, to jedną, to drugą ręką naprzemian zadaje mu ciosy i od nich się zastania, to zwolna nacierając, to jednym, niespodzianym skokiem pragnąc zakończyć walkę. Jednak wróg się opiera, a on coraz bardziej z sił opadając, coraz wolniejszych i słabszych używa ruchów; ale drużyna przyjaciół nowemi okrzykami zachęca go do walki. Tancerz nową obudziwszy w sobie siłę, robiąc znowu nagłe napady i skoki, naciera z równą poprzedniej dzielnością; aż nareszcie zadawszy śmiertelny cios wrogowi, szczęśliwy ze zwycięstwa, uchodzi z koła. Przy ciągłych okrzykach i klaskaniach obecnych, coraz inni występują tancerze, a kolój następuje dopóty, dopóki skinienie szacha nie oznajmi jój końca.

Ale taniec nie jest jeszcze zupełnym, bo oto szach skinął znowu, na znak, żeby wystąpiły do koła piękne dziewice Gubdenia. W jednym kącie izby, za plecami szachskiego dworu, w małej ściśnionej gromadce, pomieścili się wszystkie zaproszone; a groźny zastęp starych matek, które rozsiadły się na ziemi, otoczył je jakby wałem, odgradzającym ten raj piękności i rozkoszy od ziemskiego tłumu mężczyzn. Mogą się tam przekradać tylko gorące spojrzenia albo tęskne westchnienia zakochanych, ale wszelki inny przystęp jest wzbroniony. Wszystkie te jednak srogie piękności, obrócone ku ścianie, a tylko z ukosa pozwalając widzieć swoje napół zakryte twarze, obaczmy niezadługo, skoro kolejno wyzywanemi będą do tańca. Tam jest Zulejma z oczami sarny, a z uśmiechem słodszy od cukru; Hadżar, której kibić wysmuklejsza od topoli, a ciemne ócz rzęsy zastaniają pełne rozkoszy spojrzenia; Bahu z uśmiechem słońca a z tęsknym spojrzeniem księżycy; Dudu, jak rozkwitająca róża w pierwszych promieniach jutrzeńki; Fatyma, giętka i biała jak lilia.

Muzyka znowu zagrzmiała, a po opróżnionem kątku nowy puścił się tancerz, który zatrzymawszy się chwilę, spojrzął ku upragnionemu rajowi, bo mu się należy huryska. Przestępując siedzący zastęp matek, wysunęła się jedna i już uchodzi przed ścigającym ją rycerzem. Z podniesionemi w górę i zaokrąglonemi ramionami, mając spuszczone oczy, a głowę zlekka pochyloną na piersi, gdy skromność i wstydlivość dziewczęta przebijają się w jej obliczu, lekkim jak wietrzyk i posuwistym krokiem, że ledwie ziemi dotykać się zdaje, to z nadzwyczajną biegnie prędkością, to jakby jakąś tajemniczą wstrzymywana siłą, wolnieje w ruchach. Rozwijając przed najdroższym wszystkie czary swojej kibici, jej ruchy stają się coraz wydatniejsze, jak również coraz namiętniejszą tchnące rozkoszą. Rozmarzony tancerz ściga ją tém gwałtowniej, gdy czasem za jednym skokiem chciałby ją przycisnąć do swoich rozpło-



mienionych piersi; ale ona strwożona i drżąca, tém jeszcze bardziej unika spotkania. Prócz tego tancerz, na drodze do swego szczęścia spotykając wrogów, walczy i uciera się z niemi zacięcie; a nawet grozi im dobytym kindżalem, lub wydobywszy pistolet, wydaje z niego wystrzał. Ale znów miłość przyzywa go w swoje objęcia, więc jego ruchy stają się łagodniejsze, a spojrzenia coraz bardziej błagające i łaskne. Okrzyki ha! ha! ha! obudzają w jego piersi nową otuchę i żądę, piękność oblewa się rumieńcem, on zrywa się jeszcze z całym ogniem długo hamowanej namiętności, zdaje się nawet, że jest blizkim swojego szczęścia, bo jego ręka zastania już dalszą drogę uciekającej; lecz ona jakby przełękła się tej przechodzącej już granicę natarczywości, nagle płoszy się i znika, a zasmucony tancerz opuszcza swoje miejsce. Takim jest ten taniec, namiętny i dziki; ale nienaruszoną przyzwoitością i skromnością miarkowany.

Jest jeszcze inny przez samego mężczyznę tańczony; a będąc połączony z najtrudniejszymi łamaniami członków i wykrzywieniami twarzy, przedstawia nagie tajemnice przyrody. Na niektóre jego wyrażenia, gdy kobiety zakrywają dłońmi twarze, okrzyki i śmiechy radości wybuchają w tłumie mężczyzn; ale i nie jeden młodzieniec odwraca od niego oczy, bo jego dusza nie przestała jeszcze marzyć o czystym bóstwie w kochance. Rzadko jednak tańczą go przy kobietach.

W przestankach między pieśniami śpiewaków, to między tańcami, daje się słyszeć chór śpiewających w kąciku zgromadzonych dziewic. „Aj, na naj” brzmi przyspiew za każdą odśpiewaną zwrotką, a trudno sobie wyobrazić coś bardziej zgodnego i czystszeo nad ten zbiór głosów drżących, metalicznych i szklanych. To zdają się słyszeć arfy pod sklepieniami cienistych drzew, pomieszane z szumem szeleszczącego po liściach wiatru, gdy po szklanych kamykach ciekący strumyk donosi swoje szemranie; to jakby świergotanie ptaków

w czasie cichego wiosennego poranku witało promienie wschodzącego słońca, albo téż rozlegała się jakaś pieśń wieczorna, kiedy cała przyroda oddycha uszczęśliwieniem zbliżającego się spoczynku. Czasem śpiewowi towarzyszą klaskania drobnych i miękkich dłoni; a wtenczas harmonia śpiewu nowego nabiera wdzięku. Chciałbym przytoczyć wszystkie pieśni tak pojedynczych śpiewaków jak chórów; ale ponieważ brałem je z ustnego tylko i dorywczego tłumaczenia, więc będę mógł tylko, powtarzając samą treść ich myśli, wyrazić zaledwie cień ich układu, zaledwie w małej części odstąpić ukryty w nich kwiat twórczości. Jednym z najwięcej zachwycających śpiewaków był Izmail. Głos jego łagodny i słodki przenikał przytém wyrazistością siły i namiętnego uczucia. Wszystkie jego poruszenia jak i wyraz twarzy odpowiadały słowom pieśni, której oddając się z całą duszą, uniesienie swoje umiał przelewać w słuchaczy. Za każdą zwrotką dziękowali mu słowami, ach! dżanem, ach! dżanem, co znaczy: ach! duszo moja, ach! duszo moja. Towarzyszył sobie na saasie, to jest narzędziu drewnianém o trzech metalicznych strunach, po których zlekka brzęczał kawałkami metalicznój blaszki, a władał niém z biegłością.

Oto są niektóre jego pieśni:

Widzę ją i zachwycony jestem jój pięknością,  
jak różą rozkwitającą w pierwszych promieniach jutrzeńki.

Ach! ty uchodziesz, postać twoja zachwycę wszystkich; a nie wiesz, że patrząc na ciebie, dusza uchoodzi z ciała.

Ty się uśmiechasz, a nie wiesz, co ten uśmiech sprawia na duszy każdego.

Ty spojrzalas, a nie domyślasz się, jak śmiertelną ranę zadają promienie ócz twoich.

Ty nawet nie ulitujesz się nad nieszczęśliwym, którego rana stała się nie zagojoną.

Ach! jeśli nie chcesz spojrzeć na mnie i ulżyć choć kropelką słodyczy cierpieniu, któreś sama zadała, niech ja tylko umrę od niego.

---

Dusza moja tęskna, świat mi jest niemiły, bo nie widzę méj najukochańszéj.

Ja tylko widzę wokoło, a gdzie jéj nie ma, życie ze mnie ustępuje.

I chodzę błędny i nieszczęśliwy, bo nie wiem sam, gdzie mam swoje kroki obrócić.

Wtém lud się zbiera, dając mi znać, że moja najdroższa przybywa. Oh! gdyby niebo otworzyło się dla mnie, gdybym ujrzał zieloność i światło raju, a huryski mnie otoczyły, nie uczułbym się szczęśliwszym.

I oto widzę, zbliża się do mnie słońce mojego życia, a moje piersi oddechu szczęścia pomieścić w sobie nie mogą.

Chodź do mnie moja najukochańsza, niech skończą się moje męczarnie. Niech wzrokiem swoim dotknę się białości twego oblicza, niech granaty rosnące w raju twojego łona przycisną do moich piersi, niech moje usta połączą się z twemi, a w ogniu naszych pocałunków, niech zleją się nasze dusze.

Otoczysz mnie swemi ramionami, około szyi mojej obwiążesz swoje miękkie włosy, a wtenczas gdyby nawet śmierć nadeszła, nie przerwałaby naszéj rozkoszy.

---

Dlaczego los okropny rozdziela mnie z tą, która się stała mojem życiem?

Dusze nasze są połączone, czemuż wrogi zagrażają mi śmiercią.

Lecz nie lękam się śmierci, bo życie bez mojej najdroższej straszniejszym jest dla mnie nad śmierć.

Chciałem napisać do niej, ale płomień mojej miłości pochłonął papier.

Siadłem na mego wiernego konia, wzięłem błyszczącą szablę i popędziłem na wrogów.

Ale oni silniejsi byli odemnie: zwyciężyli mnie i związali, a krew leje się z ran moich, na czole i piersiach.

Oh! gdyby przyszła tylko, a swoją miękką ręką dotknęła się mego czoła i piersi, każda rana moja stałaby się dla mnie słodyczą.

Jednak jestem szczęśliwy, bo wiem, że myśli o mnie. I chociaż śmierć czeka mnie nie długo, a wrogi moje gotują mi ją z radością, ale nie mego szczęścia nie przemieni.

Powiedzcie jój moi przyjaciele, że umieram dla niej; lecz niech przestanie mnie żałować, niech nie przychodzi na moją mogiłę swoich perłowych łez wylewać, niech dla niej zostaną wszystkie rozkosze ziemi, a dla mnie tylko jednego, nawet po śmierci, męczarnie mojej miłości.

---

Pytasz mnie starcze, dlaczego tęsknię, dlaczego twarz moja jest wybladła, a oczy iskrzące ogniem?

Dlaczego unikam ludzi, a szukam ciemności lasów i głębokich pieczar dzikich zwierząt, a ty nazywasz mnie obłąkanym?

Boś ty nie doznał męczarni, których ja doznaję; bo ty nie znałeś miłości.

Zapytujesz mnie, coto jest miłość: jestto najgłębsza i najboleśnieszka rana, jaką śmiertelny przeniesć może na ziemi.

Od żadnego żelaza, choćby najgłębiej była zadana, tak nie boli, jak ta.

A żadne sposoby ludzkie nie są w stanie jęj wyleczyć; tylko ona jedna ma tę czarodziejską władzę.

Jeżeli jedno jęj spojrzenie padnie na twarz moję, jak promienie porannego słońca, które uszczęśliwia ziemię; jeżeli jeden jęj uśmiech obróci się do mnie, jak srebrzyste światło księżyca pośród ciemności nocy; wtenczas tylko uczuвам ulżenie w mej ranie.

Ach! bo ty nie wiesz starcze! że miłość jest najboleśniejszą raną, w której mieszczą się męczarnie piekieł i rozkosze raję.

*Pieśni dziewcząt:*

Aj na naj, aj na naj. Ty jesteś pięknym jak słońce, błyszczące wysoko na niebie. Oczy twoje świecą jak gwiazdy, twoje usta piękniejsze od najdroższego koralu, a spojrzenie twoje i uśmiech słodsze od cukru. Aj na naj, aj na naj. Twój rumak szybszym jest od orła i wiatru. Kiedy wkładasz nogę w strzemię, a twój rumak potrząsa od złota i srebra kapiącym siodłem, wszystkie wrogi twoje drżą po wszystkich stronach świata. A kiedy wydobędziesz z pochwy swój miecz błyszczący, wrogi truchleją od strachu, a zaciemnia się jasność niebieska.

Aj na naj, aj na naj. Przybywaj piękna narzeczono Kachermana, bo on jest godnym, żebyś uszczęśliwiła go swoją pięknością.

Czy może być szczęśliwsza dziewczica nad tę, którą on sobie upodobał, a która będzie jego żoną.

Ja gdybym była jego narzeczoną, wzięłabym na siebie suknie z jedwabiu i złota, na szyję najdroższe perły i korale, złote obrączki na ręce, zawiesiłabym w uszach brylantowe koleczyki; a to wszystko byłoby dla niego.

Onby podniósł moje czerwoną zastonę, byłabym dla niego najpiękniejszą: a on byłby moim mężem i panem.

Bardzo wiele zwrotek dorabiają same, stosując je to do okoliczności, to do znaczniejszych gości. Jedna z nich była taka:

Kiedym szła z dzbankiem napełnionym wodą od zimnego w kamieniach źródłu, uderzyła mnie jasność; a byłoto jasne oblicze Mehmeda.

Jeżeli która dziewczica nie doznała miłości, niech się strzeże spojrzeń Izmalla, bo one ranią jak zatrute strzały.

Niematuła wysmukłym jest jak topola, której głowa podnosi się pod niebiosa.

Pięknie śpiewają słowiki w ogrodach i winnicach, a słuchając ich dusza doznaje stodyczy; ale przyjemniejszym jest głos Abdułły.

Są jeszcze śpiewy na dwie osoby: to jest, albo występuje dwóch mężczyzn, którzy w obranym przedmiocie układają kolejno zwrotki, najczęściej jednak wiodąc spór między sobą; albotóż naprzemian w podobnym rodzaju śpiewają mężczyzna i kobieta. Jednym i drugim śpiewom towarzyszy zawsze chór mężczyzn. Aj na naj, aj na naj, hee! brzmi przyśpiew tego chóru; ale uczuwa się natychmiast, że dlatego zbioru głosów tak ściany izby są zaciasne, jak i pułap zanizki, a tylko obszary gór pod sklepieniem nieba pomieściłyby go zdołały. To zdaje się słyhać wiewry huczące po wąwozach i szczytach; to burzliwe potoki spadające wprzepaść, a rozbijające się o skały; to osuwające się z hukiem wiszary; to wszystkie góry naraz trzęsące się od burzy i gromów. Kiedy śpiewają mężczyzna

i kobieta, a ten zbiór męzkich głosów im wtóruje, daje się uczuwać rozkosz spokoju na dolinie, gdy gwałtowna burza huczy na szczytach. Tak cała przyroda widnieje w tych śpiewach, jak równie i z przyrodą zrośniętym tu jest człowiek.

Mężczyzna wyzywa kobietę do pieśni, trącając ją po ramieniu palmą miłosną, to jest cienkim polanem drzewa, rozszczepioném na kilka części, które trzyma w ręku. Wybrana siada na środku izby, a gdy za każdą zwrotką powtarza się przyśpiew męskiego chóru, do którego dołącza się także głos śpiewaka, palma miłosna wymierza takty po jej biodrach, lecz ona ze spuszczonei oczami znosi cierpliwie te nieraz silne wyrażenia uczuć, bo gdy na nią nadejdzie kolój, odpłaci się wzajemnością.

Mężczyzna śpiewa np.

Jesteś jeszcze młodą jak pączek róży; ale pączek rozwija się prędko. Ty nie znasz jeszcze miłości, ale czas już, żebyś ją poznała. Gdybyś tylko raz chciała spojrzeć na mnie, moje spojrzenia nauczyłyby cię tego uczucia. A gdybym ci się spodobał, byłbym najszczęśliwszym z ludzi. Albo:

Zachwycony jestem, ujrzawszy cię, jak gdybym znalazł kwiatek wśród samotnej pustyni. Spojrzenia ocz twoich miłszemi są dla mnie, niż najpiękniejsza pogoda nieba, a przeczuwam rajska słodycz w twoich ustach, bo głos z nich wychodzący przeszywa mnie do głębi duszy. Jabym całował włosy twoje; jeżeli więc tyle cię uwielbiam, uczyn mi szczęśliwym.

Mężczyzna oddając palmę miłosną kobiecie, siada na jej miejscu, a ona staje za nim i odpowiada:

Jestem młoda jak pączek róży, który rozwijając się prędko, pragnie podobać się tobie. Nietylko ty doznajesz uczucia, o którym mi mówisz, albowiem

i ja doznaję podobnego. Tylko nie umiem go wyrazić; a czuję tylko, że jesteś pięknym. Kiedy patrzę na ciebie, czuję niepojętą rozkosz; a kiedy cię nie widzę, cały świat mi się zaciemnia.

Albo téż sprzeciwiając się:

Jestem piękną jak pączek róży, który chociaż prędko się rozwija, ale nie myśli podobać się tobie. Napróżno mi mówisz o swoich uczuciach, bo ich nie rozumiem, a nawet rozumieć nie chcę. Widzę, że jesteś brzydszym od tłuka, którym rozbijam krupy; a kiedy spojrzysz na mnie, to taką czuję nieprzyjemność, jakby mnie ukąsił niedźwiadek.

Podobny dwusław trwa dopóty, dopóki nie ustąpi mężczyzna, który zawsze winien się uznać zwyciężonym. Niewyczerpaną jest wyobraźnia tego ludu: w czasie trwania całej zabawy, nikt z wybranych, czyto mężczyzna, czy kobieta, nie wymawiali się od śpiewu; a mając chwilę namysłu, jaką im daje czas przyśpiewu, tworzą i dorabiają zwrotki, które im płyną nieprzerwanie. Śpiew mężczyzn bywa czasem namiętny i burzliwy, lecz kobiet nigdy niezakłóconej spokojności.

Między pieśniami rozchodzącymi się po Dagestanie, a zapewne i po całym Kaukazie, a które tłumaczono na język tatarski, z perskiego, arabskiego, tureckiego, a nawet gruzyjskiego i armeńskiego, powszechnie są śpiewane, znajdują się jeszcze w miejscowych narzeczach i językach, opiewające miejscowe wypadki i dzieje, które w każdej niemal wiosce znajdujący się twórcy układają. Jedną z takich zaśpiewał starzec z półprzygaśniętym wzrokiem, w prostym i wytartym kozuchu, głosem dziwnie przenikającej łagodności i tęsknoty, z towarzyszeniem chóru mężów. Słuchając go, opiewającego dzieje prawie całej przeszłości i teraźniejszości swego kraju, gdy współroda-



ków swoich do czynów przyszłości zagrzewał, zdawało się widzieć przed sobą nowego Homera Dagestanu...

W sam dzień przybycia panny młodéj, szach z całym swoim dworem, jak również zebranemi gośćmi zasiadł w domu drużby pana młodego, gdy tymczasem w zamku pozostali najbliżsi krewni, oczekiwali na narzeczoną. Cała wieś zawrzała niezwyčajnym ruchem; cała prawie jej ludność wysypała się na ulice. Kto nie wyjechał na spotkanie panny młodéj, teraz siada na konia, nabija i opatruje broń, bo przyłoczywszy się do wystanego naprzód pocztu, również popisywać się będzie zręcznością jazdy, ogłaszając przytém wystrzałami powszechną radość. Po dachach także nabijają pistolety i gwintówki, a na jednym z nich nawet oczekuje sam szach z całym swoim dworem i dostojniejszymi gośćmi. I oto niebawem po daleko ciągnącej się drodze widać pędzących jeźdźców, pomiędzy kłóremi, daleko naprzód, wysunął się jeden. Jego wyciągnięty koń, zdawał się brzuchem dotykać ziemi; kurz jakby gwałtownym podejmowany wichrem odlatywał za nim kłębami; a na łęku jego siodła biała śnieżna poduszka narzeczonej. Z pomiędzy kilkunastu ścigających go jeźdźców, koń jednego zdawał się już mordą dotykać ogona jego konia; lecz on zerwawszy się jak burza, oddzielił się znowu od ścigających. Nareszcie dopada już do wsi; a gdy przebiegał ulicę, tysiące okrzyków pomieszanych z wystrzałami witają zwycięzcę. Zdawało się, że koń padnie z wysilenia; lecz jeździec coraz częstsze zadając mu razy, jak lotem orła, wzniosłszy się jeszcze po stroméj drodze zamkowej góry, dopadł nareszcie do wrót i stanął na dziedzińcu. Reszta ścigających mijają dopiero ulicę; lecz i ich powitały okrzyki i wystrzały, bo nie ustawiali w gonitwie.

Narzeczona jednak, z powodu leniwego chodu wołów, zostawała jeszcze daleko. Nareszcie, po całej drodze, jak tylko okiem można było zasięgnąć, rozpo-

częły się nowe gonitwy. Każdy zgiąwszy się na siodle do samej prawie ziemi, wystrzelił z pistoletu lub gwintówki; a gdy strzał rozlegał się za strzałem, towarzyszyły im ciągłe okrzyki widzów. Półtorasta koni od narzeczonego, i tyleż od ojca panny młodej, otaczało zbliżające się wozy. Pierwszy, zaprzężony w trzy pary wołów, najbogatszymi osłoniony dywanami, na którym powoziła kobieta, ukrywał pannę młodą; gdy czternaście innych, postępujących za nim, to w jedną to w dwie pary wołów zaprzężone, a powożone to przez kobiety, to chłopców, wiozło wyprawę i służbę. Grono młodych dziewic, które tworzyły ciągle jedno, nieprzerywające się kółko, dzwoniąc bębenkami, trzymanymi w podniesionych do góry rękach, śpiewając przytém i tańcząc, a posuwając się naprzód, otwierało drogę. Z okien przyległych domów, na błogosławieństwo i obfitość, sypały się garście pszenicy i mąki. Po wszystkich dachach grzmiały okrzyki i wystrzały, między którymi odróżniała się także rusznica artylerji szacha. Tłumy cisnęły się wokół całego uroczystego pochodu wozów, i gonitwy trwały ciągle.

Skoro tylko panna młoda stanęła już na zamkowym dziedzińcu, starszy družba pana młodego, a zwykle przytém jój najbliższy krewny, ma obowiązek ją przyjąć; sam jeden tylko posiadając prawo odstąpienia kobiców jój wozu. Prowadząc za rękę ową niewidzialną ciągle, pod ślubną, czerwoną zastoną ukrytą piękność, albotóż czasem unosząc ją nawet na swoim ramieniu, oddaje ją w ręce kobiecie, zwykle stariej i zaufanej studze, czekającej przed progiem sypialni, w której złożoną została porwana poduszka.

Tymczasem pan młody bawi się z gośćmi w domu drugiego swojego družby; a dopiero śród nocy, rozochoczone i radujące się grono, odprowadza go do zamku. Przy migających się w ciemności latarniach, przy blasku syjących się iskier z niedopalonych, a cią-

gle potrzęsanych głowni, których zamiast pochodni używają, gdy muzyka rogów i bębnow, krzyki i śpiewy, wystrzały z pistoletów i gwintówek, mieszają się w jeden gwar i huczenie, odbijające się o głuszę nocną, tłum towarzyszący panu młodemu zbliża się do zamku. Szach dla przedłużenia zabawy nocnej zaprowadza gości do osobnej części zamku, a pan młody, w towarzystwie drózbów, udaje się do haremu. Tam przed drzwiami sypialni oczekuje go kobieta, której powierzona została narzeczona; a tylko bogaty podarunek, otwiera mu drogę do zamkniętego raju.

Na drugi dzień, nowa pani, albo raczej nowa niewolnica zamku, przyjmuje i częstuje u siebie najbliższych krewnych i najzaufañszych przyjaciół, albowiem przed nimi tylko pokazać się może z odkrytą twarzą. Zabawy trwają z nieustającym zapałem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# PROROCTWA DANTEGO.

Z ANGIELSKIEGO, LORDA BAJRONA

PRZEŁOŻYŁ

*Michał Budzyński* (\*).

Tis the sunset of life gives me mystical lore  
And coming events cast their shadows before.  
*Campbell.*

Przy schyłku życia wziąłem tę mądrość tajemną,  
I przyszłość cienia zdarzeń rzuciła przedemną.

## KILKA SŁÓW OD TŁUMACZA.

**R**ecenzent Gazety Warszawskiej, który raczył niedawno zająć się rozbiorem przekładu mego *Wędrówek Czajłd Harolda*, odjawszy mi wszelką *werwę poetyczną*, wytknąwszy słusznie błędne tłumaczenie dwóch strof o Kromwelu, a przyznając mi łaskawie *dosłowność frazesową od biedy* i w niektórych miejscach natchnienie *rymotworcze i stylistyczne*, głównie zarzuca niezachowanie formy oryginalu. Lubo w strofach tłumaczenia znajduje się liczba ta sama wierszy jaka jest w pierwotworze, recenzent uważa za niedarowane, żem zwrotki spencerskie odrzucił, rymów męzkich nie użył, a przynajmniej żem nie zadał

(1) Lord Bajron znajdując się w Rawennie, gdzie jest grób Dantego, na prośbę pewnej damy włoskiej napisał *Proroctwa* autora Boskiej komedyi. Wystawia on poetę przy schyłku już życia przepowiadającego przyszłe losy swojej ojczyzny.

im *terza ryma* Dantego. Nie będę rozbierał, czy powtórzenie cztery razy jednego rymu w każdej strofie nie wyrodziłoby monotonii, bo zapewne zdanie moje nie mogłoby przekonać szanownego recenzenta, nieodwołalnie rozstrzygającego wyroki; zrobię tylko uwagę, że: gdy ból ścisnął mu serce na myśl iż nasz Adam Mickiewicz albo Juliusz Słowacki nie dokonali przekładu *Czajld Harolda*, zechce recenzent przypomnieć sobie, iż Adam Mickiewicz w tłumaczeniu swoim *Giaura* (a nie *Korsarza*, jak to mylnie recenzent cytował) użył wiersza trzynasto-zgłoskowego zamiast ośmio albo dziesięcio, któryby odpowiedniejszy był do miar oryginału; że w przekładzie ustępu o *Ugolinie* z Dantego zaniechał *terza ryma*; że nakoniec ani on, ani Juliusz Słowacki w *Beniowskim* nie uważali za stosowne mieszać rymy męzkie. Wniosłem z tego, iż zachowanie tak ścisłe, i że tak powiem pedantyczne formy oryginału byłoby zbyt ciężkim, a może niewłaściwym językowi naszemu; że w tłumaczeniach dosłowność frazesowa byłaby nie z *biędzy*, byłaby nie z kalcetwem języka, powinna być na uwadze tłumacza, i że nakoniec rymy męzkie w lirycznych poezjach a nawet w sarkastycznych mile dla ucha, źleby się znalazły w poematach poważnej treści i opisowych: dlatego przedsięwzięcie przekładu mój *Proroctw Dantego* z *Bajrona*, nie sililem się na *terza ryma* oryginału, uważając że monotonia byłaby nieunikniona bez rymów męzkich. Bynajmniej jednak nie chciałbym tu wyrokować ostatecznie, i sędzę nawet, że szanowny recenzent, który jak wiem, w tece swojej ma tłumaczenie niejednego poematu *Bajrona*, przekona nas niebawmie jak trzeba tłumaczyć, i do niego zapewne nie odważy się nikt nawet bez sarkazmu zastosować ową sarkastyczną dykcją łacińską: *in magnis voluisse sat est.*

Wolny, d. 13 lutego 1858 r.

## PIEŚŃ .I

Znowu jestem na kruchym tym człowieczym świecie,  
 O którym zapomniałem dawno, oddalony,  
 I znowu ciężar gliny piersi moje gniecie.  
 Zawcześniem nieśmiertelnych widzeń pozbawiony  
 Co ból ziemski goiły, co w Boga mieszkanie  
 Wzniosły mię z tych przepaści, gdzie skazanych dusze  
 Zawiodły beznadziejne w uszach narzekanie;  
 I z tych miejsc, gdzie przez mniejsze ogniowe katusze  
 Oczyszczony przechodzi w aniołów zebranie.  
 Tam moja Beatryksa zlała na mą duszę  
 Światło błogostawieństwa, i ja z jęj przyczyny  
 Stałem u stóp tronu Trójcy wiekuistej,  
 Gdzie pierwszy i ostatni, bez końca, jedyny,  
 Dusza świata panuje—jeden Bóg troisty.  
 On gościa śmiertelnego nie przywiódł do zgonu,  
 Nie obrócił w proch marny nieskończoną chwałą,  
 Choć siedłem z gwiazd na gwiazdy aż do Jego tronu.  
 O! moja Beatryksko, której piękne ciało  
 Tak długo cisnął marmur i grobowe ziele,  
 O! ty, czysty miłości najpięrszej aniele!  
 Tak była niewymowna ta miłość dla ciebie,  
 Że pierś stała się innych uczuć niesposobna;  
 Za tobąm szedł i gdyby nie było cię w niebie,  
 Dusza moja do arki gołębia podobna,  
 Wędrowałyby musiała od kraju do kraju,  
 I skrzydłaby jęj nigdy nie miały spocznienia  
 Ażby ciebie znalazły, bo w niebieskim raju  
 Bez ciebie niebieskiego nie miałbym zbawienia.

Ledwie słońce dziesiąte na lato me błyska,  
 Już byłaś mojem życiem, myśli mych istotą;  
 Kochaną, choć miłości nie znałem nazwiska,  
 I jasną dziś, choć starość ciśnie mię ślepotą,  
 Choć mię zgięło wygnanie, trud, bojowe pole,  
 Łzy za tobą, bom nie miał łez na inne bole.  
 Duszy mojęj natura nie była złamana  
 Ni wrzaskami pospółstwa, ni groźbą tyrana.  
 I choć po długich walkach, ja Florencyi mojęj,  
 Tak ze mnie niegdys dumnej obaczyć nie mogę;  
 Chyba okiem męj myśli, gdy ta o nięj roi,  
 Przez chmury Apeninu przebiję tam drogę;  
 Choć nie wracać mi nigdy do rodzinnej ziemi,  
 Chybabym tylko szukał grobu u jęj krańca:  
 Jednakże nie zdołali groźbami swojenii

Zgiąć wzniesłego w swej dumie umysłu wygnańca.  
 Lecz za nocy nadejściem, choć chmura nie mroczy,  
 Słońce gaśnie: jam stary i w czyny i w lata  
 I w długie rozmyślenia, ja zajrzałem w oczy,  
 Zniszczeniu wszelkich kształtów na powierzchniach świata.

Świat mię czystym jak znalazł, tak czystym zostawił,  
 A jeśli mi dziś jego oklaski nie brzmiały  
 To, że nigdy się podłem pochlebstwem nie bawił.  
 Człowiek krzywdzi, czas mści się, i może w pamięci  
 Z imienia mego pomnik wzniesie się wspaniały,  
 Chociaż nigdy nie miałem ni dumy, ni chęci  
 Na liście tych chępliwych ludzi się utrzymać,  
 Co zwykli bryzgać siebie marną sławę błotem,  
 Zmiennym gminu oddechem żagle swe nadymać,  
 Chęć się gdy dodadzą ich imiona potem  
 Do zdobywców, do innych co z enotą zerwali  
 I dzieje wieków zbiegłych krwią zapisywali.

Jam cię wielką i wolną chciałem widzieć, i z żalem  
 Florencyo, o Florencyo! płakałem nad tobą  
 Jak niegdyś On, wszechmocny płakał Jeruzalem;  
 Aleś ty pogardziła łez moich żalobą.  
 Chciałem cię osłonić, jak skrzydłem ptaszyna  
 Osłania swe pisklęta; aleś ty nie chciała  
 Usłuchać mego głosu, tylko jak gadzina  
 Tępa słuchem i dzika, jad swój zagłębiała  
 W pierś tę, która dla ciebie miłością paliła.

Zabrałaś moje dobro i niezastąpienie  
 Ciało moje na ognia skazałaś płomienie.  
 Niestety! jakże gorzkie ojczyzny przekleństwo  
 Temu, któryby za nią na śmierć poszedł pewną,  
 A niegodny ponosić z jej woli męczeństwo  
 On, który ją dziś kocha choć na niego gniewną.

Przyjdzie dzień, gdy się zechce z błędnej drogi zwrócić,  
 Przyjdzie dzień, gdy Florencyja dumna by się czuła  
 Mieć prochy, które chciała na wiatry rozrzucić,  
 I grób męża, którego z przytułku wyzula.

Ale nie, gdzie ja legnę, niech proch mój spoczywa!  
 Do ziemi co byt dała, a potem z pośpiechem  
 Odrzuciła od siebie w wściekłości straszliwa,  
 Bym nie mojej ojczyzny karmił się oddechem;  
 Do tej ziemi, choć kiedyś gniewy swe uśmierzy,  
 Zmieni wyrok: niech nigdy proch mój nie należy.  
 Wydarła mi co moje, mój zakątek domowy;  
 Niech nie ma co nie jej jest — mogiły grobowej.  
 Zadługo w dali trzymał gniew jej uzbrojony  
 Tę pierś, którą dla niej krwi wylała strugi;  
 Serce co dla niej było, umysł doświadczony

Meża, co za nią walczył, pracował czas długi;  
 Wszystkie obywatelskie wypełniał usługi,  
 I widział jak Gwelfowie jego zgubę krwawą  
 Przeważnemi podstępami zamienili w prawo.  
 Takie czyny w pamięci zagać nie mogą,  
 Pierwój raczej Florencyja pójdzie w zapomnienie!

Rana była zaciężką, zniewaga zasrogą,  
 Za długie na wygnaniu znoszę udrczenie:  
 Żeby w żalu jej nawet, jej niesprawiedliwość  
 Była mniejsza, a większe moje przebaczenie.

A jednak czuję w duszy dawną dla niej tklivość,  
 I przez nią i przez ciebie ja mścić się nie ważę  
 Nad ziemią, gdzie zostały ojców mych ołtarze,  
 Którą prochy twe jeszcze uświęciły wieciej;  
 Twa urna, Beatrykso, zasłania zdrajczynię  
 I zbawiłaby wrogów mych dziesięć tysięcy.

Chociaż często jak Maryusz niegdyś na ruinie  
 Kartagi i Minturny bagnach dumający,  
 W piersi mojej samotnej czuję żar płonący  
 I w snach moich niekiedy konwulsyjne drgania;  
 Widzę wroga podłego, jak blizki skonania  
 Namarszcza czoło moje tryumfu nadzieją:  
 Nie chcę tego—sny takie niechaj się rozwieją.  
 To słabości człowieka, co na tym padole  
 Przenosił długo więcej niż śmiertelne bole;  
 Lecz że one śmiertelne, nie mają spoczynienia  
 Aż na zemsty posłaniu. O! ta chęć zemśczenia  
 Śpiąc nawet o krwi marzy, a gdy się przebudzi,  
 Niezgaszone pragnienie ma losu przemiany;  
 I choć często daremną nadzieją się ludzi,  
 Pragnie wznieść się do góry, pragnie, by zdeptany  
 Wróg został; by Atea i śmierć za zniewagi  
 Przygniotły korną głowę i wroga kark nagi.

Boże wielki! te myśli—o oddał odemnie!  
 Weź w ręce moje krzywdy; niechaj twoje plagi  
 Spadną na tych, którzy mię gnębili nikczemnie!  
 Bądź mą tarczą, jak byłeś i w zgubie i w znoju,  
 W miastach sporem wzburzonych i na krwawym boju,  
 I w trudach dla Florencyi podjętych daremnie.  
 Od niej, ja się w wyroku odwołam do Ciebie,  
 Którego na najwyższem oglądałem niebie,  
 Którego żeby widzieć i móż żyć—żadnemu  
 Nie dozwoliłeś dotąd, tylko mnie jednemu.

Niestety, jaki ciężar czoło me uciska:  
 Wracają ziemskie zmysły i ziemskie zjawiska,



Namiętności niszczące, uczucia jalone,  
 Przy żywem biciu serca męki umysłowe,  
 Dzień długi i noc straszna. Za zasłoną ciemną  
 Pół wieku krwią zlanego czernieje.—Przedemną  
 Kilka jeszcze lat wątych zostało przed zgonem  
 Nadziei pozbawionych i okrytych szronem.  
 Lecz łatwiej mi je przeniesić: mój statek tulaczy  
 Za często się rozbijał o skałę rozpaczy,  
 Bym oczy moje zwracał do przechodniej flagi,  
 Co unika téj skały okropnej i nagiej.

Żale moje podnosić nie poniosę trudu;  
 Bo kto z nich narzekania mego słuchać będzie?  
 Jam już nie z tego wieku, ani z tego ludu,  
 A jednak lutnia moja taką pieśń rozwiedzie,  
 Że ona wiek obecny wyrwie z zapomnienia.  
 Jedną kartaby z waszych sporów nie została,  
 Wzrokby nie padł na dzieje tego zaburzenia,  
 Gdyby wonią poezya moja nie owiała  
 I ludzi i ich czynów niegodnych wspomnienia.

Umysły mnie podobne jednaki los mają:  
 Całego życia treścią—męczarnia stokrotna;  
 Serce swoje zużyja, dni swoje stérają.  
 A po walkach i trudach śmierć czeka samotna.  
 Ale na grób ich tłumy cisną się pielgrzymie,  
 Dążą z krain już brzmiących głośnym ich imieniem,  
 Do ludzi z których samo pozostało imię  
 I składać będą holdy nad smutnym kamieniem,  
 I chwałą ich grobową mogiłę otoczą,  
 Gdy oni jój nie czują, nie słyszą, nie zoczą.

O, ta chwala!—jam za nią miał życie katuszy.  
 Umrzeć niczem, lecz wędnać, naginać do ziemi  
 Wspaniałą nieskończoność własnej swojej duszy,  
 Ciasną ścieżką żywota iść z ludźmi małemi,  
 Gminnym oczom za gminne służyć widowisko,  
 Być tulaczem, gdy wilk ma swoje legowisko,  
 Rozłączyć się z rodziną, z domową zagrodą  
 Co życie umilają, trudów są osłoda:  
 Zazdrościć gołębiowi jego gniazda, pierza,  
 Kłócić się do wierzchołka Apeninów zbliża  
 I patrzy w wody Arno, a może usiada  
 Tam, gdzie moje rodzinne miasto się rozkłada;  
 Gdzie dzieci, gdzie ta chłodna kobieta ich matka  
 Co w posagu zniszczenie sprowadziła rodu:—  
 To wszystko czuć i widzieć, znosić do ostatka,  
 Było gorzką nauką mojego zawodu.

Ale wolny zostałem, nikt z mego narodu

Nie znał mię ani podłym, ani nizezemnikiem.  
Zrobili mię wygnańcem: nigdy niewolnikiem.

## PIEŚŃ II.

Zstąpił na mnie pobożny duch starego wieku,  
Gdy słowo było czynem, gdy myśl rozświetlona  
Promieniami przyszłości odsłaniała człeku  
Syny synów, już wyszłe z głębokiego łona  
Czasu przyjsć mającego, z wydarzeń chaosu,  
Gdzie leży każda postać nawpół utworzona,  
Co ma stać się ofiarą śmiertelności losu;  
Duch który Izraela prorocy nosili,  
Duch ten samy i na mnie zstępuje téj chwili.  
Jeżeli jak Kasandry nikt mojego głosu  
W tłumie stronnictw nie słyszy, lub się głuchym czyni  
Na ten głos, który z dzikiéj wychodzi pustyni:  
Na nich grzech niechaj pada!—ale ja wywiode,  
Jedyną jaką znałem, z uczuć mych nagrodę.

Niedośże krwi wylałaś? jeszcze w krwi potoku  
Masz się nurzać, Italio? Ah! widzę w pomroku  
Grobowym przyszłych wieków dzieje takiéj treści,  
Że przy twoich ja mojej nie czuję boleści;  
Jedną tylko ojczyznę człowiek tu mieć może,  
I ty dziś jesteś moją jak byłaś za młodu!  
W twój piersi kości moje znajdują kiedyś łożę,  
Dusza będzie w twój mowie, co z rzymskiego grodu  
Poszła za jego mieczem do krajów Zachodu.  
Ale ja inny język dla ciebie ułożę:  
Słodszy brzmieniem od niego, a jak on donośny;  
Gdzie zapal bohaterski i smutek miłosny  
Na oddanie swych uczuć znajdują takie tony,  
Że każdy wyraz, jak twój obłok rozjaśniony,  
Sny największych poetów w rzeczywistość zmieni,  
I zostanie słowikiem europejskich pieni.  
Inna mowa przy twojej będzie tylko krzykiem  
Swiergocących latawców, i każdy oceni  
Swoj język barbarzyńskich harmonii językiem:  
To ci sprawi od ciebie tyle znieważany  
Bard tokański, Gibeln z ziemi twój wygnany.

Biada, biada! rozdartą przyszłości zasłona,  
Dziesięć wieków, jak wody morza spokojnego  
Przed samą burzą wstają, i z wieczności łona  
W kłębach czarnych i ciężkich do oczów mych biegną.

Drzemią burze, chmurami wicher jeszcze nie miota;  
 Niezrodzone trzęsienia śpią w głębi żywota;  
 Krwawy chaos wygląda godziny stworzenia,  
 Ale wszystko gotowe do twego zniszczenia;  
 Na jedno tylko słowo: „*niech ciemność osiedzie*”  
 Oczekują żywoty, a grób z ciebie będzie.

Ty tak piękna, ty musisz mieczem być przeszyta!

Ty, Italio, tak cudna, że w tobie rozkwita  
 Raj na odrodzonego człowieka posługi.

I raj ten syn Adama straci po raz drugi.

Ty, Italio, u której pola pozłoczone

Samym słońca promieniem jak pługiem sprawione,

Calemu świata spiechlerz stawiają obfity;

Ty, u której jaśniejsze gwiazdy na obłoku,

A obłok się ustraja w ciemniejsze błękity;

Ty na której przestrzeniach cudnego uroku

Lato wieczne dla siebie pałace wyniosło:

Z twój kolebki w potęgę cesarstwo urosło

I miasto wiekuiste zdobyło do zbytku,

Wolną ręką zdobytém na krolikach złotem;

Ojczyzno bohaterów i świętych przyhytku.

Kraju chwały doczesnej, a niebieskiej potem!

Ty, którą wyobraźnia w tak świetnej ozdobie

Maluje i znachodzi wyższą nad marzenia,

Gdy oko cię obaczy i szaleje w tobie

Patrząc ze śnieżnych Alpów i gęstego cienia

Skal; gdzie puszczy kochanka jodła wznosi głowę,

Chwiejąc w wiatrach i burzy liście szmaragdowe;

Ty, na której doliny poglądać słoneczne

Ja modłę się i prośby zasylam serdeczne.

I bliżej, bliżej chciałbym—a im ciebie bliżej

Tém droższą jesteś dla mnie—a jeszcze najwyżej

Stanęłabyś w mém sercu, gdybyś wolną była:

O! Italio, twych wrogów przygnębi cię siła

I pod ręką każdego wędnać będziesz marnie!

Już po polach twych złotych przeszedł Got bezkarnie,

Przyjdą jeszcze Frank, German i Hunnów drużyna,

I na wzgórzu cesarskiém rozparta ruina,

Dumna z hord barbarzyńskich dawnego bezprawia,

Dla nowych najezdniców biesiady zastawia.

Na górnym Palatynie tronuje wysoko,

A u nóg jej Rzym brany i we krwi tonący,

Krwawy dym z ludzkich ofiar oblaných posoką,

Zczernia błękit tak niegdyś czysto jaśniejący;

Tybr co zwyczajnie wody szafranowe toczy,

Napelnia się trupami i purpurą broczy;

Bezbronne zakonnice i kapłani krzyża

Porzucają kościoły i z strachem się krwią;

Iberyjan, Alman, Lombard o łupy się biją,  
Do nich łączą się ptaki i drapieżne zwierza.  
Wilki i sęp litościwsi od ludzi daleko:  
Pożrą trupy, krew schlipcą i dalej ucieką.

Ale owa dziczyna człowieczego rodu  
Wszystkie męki ci zada krwawą swą opieką,  
I jak Ugolin nigdy nie nasyci głodu.  
Dziewięć zejdzie księżyców na sprawy podobne;  
Wojsko bez naczelnika, u bram twego grodu  
Zostawi wodza swego popioły żałobne.  
Gdyby życie zachował ten książę buntowny,  
Co pod swoją chorągwią wywiódł wojsko w pole:  
Może byłby cofnięty twój los nieodzowny,  
Lecz jego dola twoją pociągnęła dole.

Rzymie! łupieżco Francyi, lub przez nią łupiony,  
Od Brennusa do czasów gdy przyszli Burbony,  
Nigdy obce sztandary nie weszły w twe mury,  
Żeby Tybr się nie zmienil w potok krwią zbroczony.  
Gdy obcy Padę przejdzie lub alpejskie góry,  
Przygniećcie jego wojska, wy twarde opoki!  
Zalejcie ich falami rzeki i potoki!

Dlaczego Awalansza bezczynnie się trzyma  
I bije tylko w głowę samotną pielgrzyma?  
Czemu mętny Erydan występuje z łoża  
By zalewać rolnika ubogiego zboża?  
Czyż zuchwały najezdnik z barbarzyńską dziecią  
Nie byłby szlachetniejszą dla niego zdobyczą?  
Pustynia niegdyś wstała piasku oceanem  
I znikło Kambizesa wojsko wkraczające;  
Na morzu burzliwemi falami wezbranem  
Zaginął król Faraon i jego tysiące:  
Czemu góry i rzeki dziś tak nie działacie?  
A wy, czemu, Rzymianie, umrzeć się lękacie?

O! synowie zdobywców, którzy zwyciężyli  
Tych, co Persa dumnego przywiedli do drzenia,  
Gdzieście prochy tych wielkich umarłych złożyli,  
Których groby nie znały nigdy zapomnienia?  
Czy Alpy wasze słabsze od gór Termopili?  
Czy wąwozy ich więcej wabią najezdnika?  
O! powiedzcie kto bramy gór waszych odmyka:  
Czy te góry, czy wasze ręce nieudolne?  
Bo wróg wkracza spokojnie i przejścia ma wolne.

Tu natura zwyciężkie pochody zatrzyma  
I z ziemi waszój czyni twierdzę niezdobytą;  
Lecz ziemia bez obrońców sił do boju nie ma:  
W niej tylko mąż znachodzi pomoc znamienitą,

Jeśli godnym się stanie z tej ziemi pochodzić,  
 Gdzie matki tylko mężnych synów zwykły rodzić.  
 Dla tych, u których mężstwem dusza się nie żarzy,  
 Z najmocniejszych warowni pożytek jest mały;  
 Jama węża biédnego, gdy żądło na straży,  
 Pewniejsza, niżli kute dyamentem wały,  
 Gdy się schował za niemi obrońca nieśmiały.

Wamże mężstwa niestało? O! ziemia Auzonii  
 Ma i serca odważne i ręce do broni  
 Żeby walczyć z uciskiem; ale trud stracony,  
 Bo niezgoda ją ziarnem nieszczęścia zasiewa  
 I osłabia, i obcych na łupy przyzywa.

O kraju mój, tak piękny a długo gnębiony!  
 Nadziei twoich synów w tobie grób skopany:  
 Choć jeden czyn rozerwać może twe kajdany!  
 Nie ma jeszcze mściciela, rozdział i zwątpienie  
 Wkrada się między tobą i synami twemi,  
 I sił wrogom dodaje na twoje zniszczenie.  
 Cóż trzeba żeby wolność wrócić naszej ziemi,  
 I piękność jej w pełniejsze ustroić promienie?  
 Niech Alpy nieprzebyłą zaporę rozwiódą,  
 Co my, syny jej, sprawim jednym czynem—zgodą.

## KRONIKA PARYZKA

### LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Pierwszy tom Pamiętników Guizota.— Monografia Montaigna, przez Anglika Saint-John.— Les Pafens innocens, zbiór powieści Hippolita Babou.— Francuzcy tłumacze Jeruzolimy Wyzwolonej: ostatni przekład pana Deserteaux.— Les Amours purs, powieści hrabiny de la Tour-de-Pin.— Obrazy pana Leona Kaplińskiego.— Ristori we włoskiej Fedrze.— Wiadomości literackie.

Zapewne dlatego, iż żadna ważniejsza publikacja nie zwróciła w inną stronę uwagi paryzkich recenzentów, Pamiętniki Guizota są dotąd głównym ich zajęciem. Powód ten wydaje nam się jedynym usprawiedliwieniem tak bezprzykładnie stałego zajmowania się dziełem, w którym nie ma ani jednego nieznanego Francuzom faktu, ani jednej kwestyi mogącej otworzyć arenę polemicznych zapasów. Ci tylko, którzy nie czytali *Historji dwóch restauracyj* Vaulabell'a, mogą się czegoś nowego dowiedzieć od Guizota.

Były minister Ludwika Filipa, dzieło swe zaczyna temi słowy:

„Chcąc mówić o moim czasie i życiu, wolę to uczynić z nad grobu, niż z grobu. Nie ubliżę przez to sobie—drugich zaś rozważnij sędzić będę. Jeżeli wywołam skargi, czego nie pochlebiam sobie unikać, nie powiedzą przynajmniej że ich słyszeć nie chciałem, i że uciekłem przed ciężarem dzieł moich.”

Powyższe oświadczenie dowodzi odwagi i uczciwości, której brak daremnie usiłują pokryć autorowie pośmiertnych Pamiętników, zwalając słabość swoją to na obawę rozbudzenia politycznych namiętności; to obryzganiam sławy

wielu osób żyjących, to nakoniec na zbyt krótką perspektywę historyczną, która publiczności sądzić sprawiedliwie nie dozwala. Doświadczenie nauczyło, iż te wszystkie kłamliwe ostrożności są zupełnie zbyteczne. Nie ma zmienniejszej sceny jak historyczna; nieraz ten, który sądził że wystąpi tylko przed ciekawą publicznością, staje niespodzianie w tłumie namiętnych widzów. Walka o pojęcia, o ludzi stojących na czele tego lub owego stronnictwa, jest równie żywa po, jak w czasie bitwy. Choć już nie ma tych co wtedy walczyli, to są ich synowie, wnuki, krewni, przyjaciele, którym w oddaleniu sprawa przodków jeszcze czystsza i wznioslejsza się wydaje. Na cóżby się zdała, na przykład, ogłębność francuzkiego rewolucjonisty z 1789 r., gdyby pamiętniki swoje dopiero w pół wieku po śmierci ogłosić kazał: książka wyszłaby właśnie w czasie drugiej rewolucyi i wywołałaby zacięte polemiki.

W ogóle, pisarz dbający więcej o swój spokój niż o opinią społeczeństwa, o swą osobę, niż o pamięć pośmiertną, daje dowód materyalizmu, który zmniejsza jego prawa do szacunku potoinności.

Guizot nie chciał być policzony do rzędu takich pisarzy; odpowiedzialność za swe dzieła wziął śmiało, i z odkrytą twarzą wszedł do areny. Szkoda że ujął wiele wagi i powagi walce, oświadczając „iż nie czuje się obowiązany mówić o ludziach wszystkiego, co o nich myśli.” Jeżeli autor z góry oświadcza iż nie wypowie całej myśli, czytelnik ma prawo podejrzewać wszystko, co mu powie. Na cóż wreszcie brać poufną formę pamiętnika, jeżeli nie na to, żeby móżdż otwarciiej mówić prawdę? Ale Pamiętniki Guizota dotąd nie są pamiętnikami we właściwem znaczeniu tego słowa. W pierwszym tomie nie znajdujemy wzmianki ani o rodzinie, ani o dzieciństwie autora; nie mówi on ani o pierwszych wrażeniach młodości, ani o uczuciach swoich. Jestto zapewne drobiazgowość, której bardzo nadużyto w tych czasach, ale utrzymana w miarę, stanowi powab pamiętników: z tych drobnych szczegółów najłatwiej poznać człowieka. Napróżno także szukać w książce Guizota portretów jego dostojnych przyjaciół, oraz ogólnego poglądu na obyczaje, pojęcia i przeobrażenia, które Francya przechodziła od 1814 do 1830 roku. Nie wiedziéć czy

przez pogardę, czy przez obawę porównań z wielkimi artystami, którzy je kiedyś szkicowali, autor wyraźnie unikał podobnych malowideł.

Guizot przechodzi spiesźnie ostatnie lata cesarstwa; o sławnych ludziach ówczesnych mówi zaledwie słów kilka; uczucia swoje dla osób i rzeczy kryje, a tylko swoje opinie pod dyskusyją oddaje. Powiada, iż za cesarstwa było zawiele rewolucyi, a zamało wolności. Rewolucya jest jego straszidłem, boi się jój okropnie i widzi ją wszędzie.

Guizot rozpoczął swój zawód polityczny za Restauracyi w 1814 roku. Książdz Montesquiou na rekomendacyą Royer-Collard'a przyjął go jako sekretarza generalnego ministeryum spraw wewnętrznych. Pierwszy udział czynny w sprawach publicznych wziął Guizot w projekcie do prawa o druku, podanym Izbie 5 lipca 1814 roku.

„Projekt ten, któryśmy ułożyli wraz z Royer-Collard'em, był rozsądny i głęboki—powiada Guizot;—miał on na celu uświęcenie wolności druku jako krajowego prawa powszechnego, a zarazem nałożenia nań pewnych ograniczeń czasowych.”

Powrót Napoleona przerwał polityczną karierę Guizota. Podczas *stu dni* odbył owę sławną podróż do Gand, którą mu wyrzucano w Izbie pod koniec panowania Ludwika Filipa. Guizot był wtedy prezesem rady ministrów; wspomnienie wierności dla starszej linii wywołane podczas burzliwej sessyi, nastęczyło mówcy sposobność wytłumaczenia się z czynu, który wielu poczytywało mu jako zdradę; wiadomo z jaką dumą oczyścił się z ciężkiego zarzutu i jak wielkie w Izbie sprawił wrażenie. W Pamiętnikach swoich Guizot powraca do tej explikacyi, mówi obszernie o swojej podróży i pobycie w Gand, wystawiając go jako missyą powierzoną sobie przez zwolenników monarchii konstytucyjnej: missyą nader delikatną, chodziło bowiem o dawanie rad królowi, który ich przyjmować nie lubił, i wymożenie na nim oddalenia faworyzowanego ministra Blacas'a.

Rzecz dziwna, że o missyi téj tak trudnej, bo najtrudniej pono wyrugować ze dworu ulubieńca lub ulubioną; że mówię o tej missyi nie wspominają ani pisarze wtaje-



uniczeni w intrygi dworu, ani *le Moniteur de Gand*, tak uważnie zapisujący wszystkie wypadki i posłuchania monarcharsze.

Guizot powrócił do Paryża w lipcu 1815. Pasquier, ówczesny minister spraw wewnętrznych, oraz zastępca ministra sprawiedliwości, powierzył mu urząd sekretarza generalnego przy tém ostatniem ministerstwie. Na téj wysokiej posadzie zostawał Guizot aż do 6 maja 1816, w którymto roku wraz z ministrem swoim panem Barbé Marbois, opuścił ministeryum.

Dziesięcio-miesięczny ten peryod jest najciemniejszym punktem w politycznej karierze Guizota. Była to chwila najzaciętszej rojalistowskiej reakcyi, chwila, w której najwięcej czyniono aresztowań i najwięcej krwi przelano. Łatwo było przewidzieć, że autor téj ciemnicy nie rozświeci — jakoż, ten ustęp swego życia z podwojonym opisuje lakonizmem; mówi tylko że „wziął na siebie odpowiedzialność nie tylko za to co zrobił, ale i za to co zrobili przyjaciele, których wybrał i potwierdził.” O tych czynach, Napoleoniści i przyjaciele wolności rozpisali się szeroko, wyrzucając Guizotowi niekonsekwencyę, oraz ślepe do Burbonów przywiązanie; ale ponieważ to kwestye zbyt lokalne, pomijamy je, jako zupełnie dla czytelników polskich obojętne.

Pan Guizot poświęciwszy znaczną część tomu na wykazanie różnicy, jaka zachodzi pomiędzy rewolucyą, której nienawidzi, a wolnością którą uwielbia, oświadcza, iż „wierzy dotąd, że Francją może rządzić prawica” (*côté droit*). W tym względzie minister Ludwika Filipa jest niepoprawny; osiannastoletnie daremne stosowanie powyższego systematu nie zachwiało w nim przekonania, że to najwłaściwsza władza dla Francyi. Dalej powiada autor, iż nie pragnął wcale upadku linii starszej; jednak przyznaje, że Karol Xty podniósł sztandar kontr-rewolucyi, i że walka była potrzebna, a walkę można było tylko przedsięwziąć w imię rewolucyi. Ludzie nie lubiący ani istniejącego rządu, ani rewolucyi, stanęli wtedy na uboczy; Guizot, z powodów zapewne chwalebnych, opuścił swoich przyjaciół, i stanął po stronie rewolucyonistów, których zowie „*des liberaux vifs*.” Nie był on jeszcze naówczas deputowanym i spodziewał się nim zostać; rewolucya przedzję niż doktryna mogła go do-

prowadzić do celu. Jakoż, został obrany przez nader liczne wtedy towarzystwo tak zwane *Aide-toi, le ciel t'aidera*, którego sekretarzem był Marchais. Towarzystwo *Aide-toi, le ciel t'aidera*, miało po całej Francyi komiteta, słuchające rozkazów komitetu centralnego; wpływ ich był przeważny: bez nich żaden kandydat nierządowy nie mógł być obrany.

Na swoim obiorze, przyszedł minister zakończy pierwszy tom Pamiętnika. Wymieniliśmy jego osnowę; co do jego formy, ta stwierdza jeden raz więcej, że aby pisać zajmujące pamiętniki, nie dosyć być ministrem, potrzeba jeszcze być pisarzem i artystą. Dwóch tych zalet nie znajdujemy w panu Guizot. Wzniosły i świetny mówca, w pismach jest blady, suchy i uciążliwie pedantyczny. Mównica daje mu ciepło, które zszedłszy z niej utracą natychmiast. Wbrew przyjętej we Francyi opinii, sądzimy, iż Guizot jest daleko znakomitszym mówcą niż pisarzem. Na piśmie głębokie myśli rozwija on z trudnością w krótkich i suchych frazach. Ten właśnie dumny lakonizm, który nadaje wagę słowu i imponujący charakter mówcy, na papierze czyni styl jego nieprzyjemnie monotony, pozbawiony wszelkiej malowniczości, że już nie powiemy wytworności. Guizot nie umie malować ani ludzi, ani wypadków: podaje fakta nagie, bez żadnej dramatycznej draperyi.

Ostatecznie, pierwszy tom *Memoirów* jego jest tylko szeregiem filozoficzno-politycznych uwag, których zrozumieć i ocenić prawie niepodobna temu, kto nie ma w pamięci lub przed oczyma zbioru wypadków, zaszłych podczas dwukrotnego panowania Ludwika XVIII i Karola X. Książka wygląda na seryą artykułów wydartych z przeglądu i razem zeszytych; czytelnik, któryby się spodziewał znaleźć tam jakoweś wzruszenia historyczne, lub polityczne odkrycia, dozna bolesnego zawodu. Może później, przeszedłszy z pozycyi podrzędnej na wysokie stanowisko, autor będzie mniej skąpił szczegółów osobistych. Smutną byłoby rzeczą, gdyby Guizot zapatrywał się na pamiętniki Dupin'a, to jest, żeby zamiast opowiadać, ułożył dzieło ze swoich mów, not i depezy. Od wysokiej intelligencyi autora *Medytacyi* czego innego spodziewać się mamy prawo: dlatego nie wątpimy, iż powiedziawszy nam w pierw-

szym tonie co myśli i co myślał, w przyszłych powieć co zdziałał.

Pod tytułem *Montaigne the Essayist*, Anglik Saint-John wydał monografią Montaigna, najkompletniejszą i najgłębszą z wszystkich, jakie dotąd o tym sławnym moraliscie ogłoszono. Dwutomowe to dzieło napisane po angielsku, zostało natychmiast przetłumaczone na język francuzki. Autor, prócz znanych szczegółów dotyczących wielkiego meża, nagromadził mnóstwo nowych, nieznanych nawet francuzkim erudytom. Dawno nam się nie zdarzyło napotkać w bieżącej literaturze książki poważniejszej, pod względem naukowym: jestto uniwersytecka theza, wyborny szkic historyczny, oraz doskonały komentarz dla zapatrujących się na Montaigna z filozoficznego lub poetycznego stanowiska. Praca ta zapełnia całkowicie zadziwiająca w literaturze francuzkiej lukę, dlatego zapewne tak prędko przetłumaczoną została.

Autor monografii, pan Bayle Saint-John, jest jednym z najwaleczniejszych szermierzy liberalnej prasy angielskiej, jednym z członków nielicznej kohorty, która powoli emancypuje geniusza Wielkiej Brytanii, i sympatycznym węzłem wiąże z nim myślicieli stałego ładu. Nieustraszony wojażer, bystry obserwator, Saint-John zbogacił najprzód literaturę ojczystą zajmującym szkicem wschodnich obyczajów. Później, będąc w Paryżu podczas zaburzeń 1848 roku, opisał takowe z wielkim talentem i jasnością poglądu. W kilka lat później, właśnie w chwili, kiedy wiele zależało, ażeby w tym punkcie oświecić opinią stronnictwa radykalnego w Anglii, Saint-John pierwszy śmiało i szeroko naszkicował ziomkom fizyonomią Piemontu, dążenia jego rządu i główne figury parlamentu sardyńskiego, w którym zarodki przyszłych Włoch kiełkują.

Powyzsze prace nie przeszkadzały panu Saint-John do zbierania przez piętnaście lat materyałów do dzieła, które obecnie wydał, a z którego nawet Francuzi, zajęci wyłącznie studyowaniem dzieł i życia Montaigna, ci, którym się zdaje, iż go do głębi poznali, bardzo wiele nowych dowiedzą się rzeczy.

Francuzcy biografowie Montaigna nigdy go nie sądzili; Saint-John przeciwnie, wciąż do tego celu zmierza. Pod tym względem jego porównanie Montaigna z La Boétie'm ma wysoką wartość: nasuwa ono mnóstwo zdrowych i krzepiących myśli; wykazuje o ile wielkość moralna niezależną jest od roli, którą się odgrywało na świecie; od sławy, którą zwykle los ślepy daje lub odbiera człeku. Wykazuje, co warta owa bezczynna filozofia, bezstronna aż do obojętności; co warta filantropia bez poświęceń, co wart wreszcie ten liberalizm uprzejmy i wygodny, który w chwili działania schodzi z pola walki, kryje się w cichy kącik, i tam, pod pozorem szukania prawdy, szuka własnej wygody i bezpieczeństwa.

Takimi były poniekąd liberalizm, filozofia i filantropia Montaigna, którego dotąd opisywało wielu, a każdy wedle własnego widzimisię. „Montaigne Pascal'a i Malbranch'a, powiada Saint-John, jestto filozof XVIII wieku: Montaigne Wolterzystów jest przyjemnym szydercą; Montaigne Bayl'a, jest sceptykiem dobrego tonu; Montaigne księdza Laborder'a, jest mnichem; Montaigne Emerson'a, jest Emersonem; Montaigne doktora Payen, jest jego prywatną własnością; Montaigne pana Grün, jest prefektem Girondy.” Taka jest opinia Saint-John'a o jego poprzednikach; wypowiedziawszy ją, dodaje, iż starał się usilnie uniknąć fałszów, wynikających z indywidualnych sądów, czego, zdaniem naszym, całkowicie dokazał.

Hippolit Babou wydał tom powiastek osnutych na legiendach południowej Francyi, owęj ślicznej doliny, ciągnącej się pomiędzy oceanem a morzem Środiemnym, między Alpami a Pyreneami; doliny, na której zamieszkali ludzie, chrześcianie jak Bóg przykazał, miewają jeszcze jakoweś wizye pogańskie, i pełnią niewinne zabobony, które nie ubliżając w niczem świętej nauce Chrystusa, ozlaczają ich życie fantastycznym promieniem poezyi, oddawna w innych stronach Francyi zagasłym.

Książka ma tytuł *Les Païens Innocens*. Niewinni poganie z nad Środiemnego morza, obdarzeni od natury nader żywą wyobraźnią i gorącym czuciem, wierzą

mocno w Chrystusa i jego Boską Matkę; ale prócz tego, wierzą jeszcze w mnóstwo istot nadludzkich, z którymi w ciąglej pozostają styczności. Mają na swój użytek całą mitologią, ale tak niewinną, że na nią nigdy żaden pleban miejscowy brwi nie zmarszczył. Bezwiedni ci mistycy są w ścisłej z drugim światem zażyłości; zszedłszy się razem, zamiast pić i hulać, opowiadają sobie doznane przygody, uciechy lub krzywdy wyrządzone sobie niewidzialną ręką jakiegoś niebieskiego lub czarnego posłańca, mieszając w te wizye podania rycerskie i święte legiendy z czasów wojen krzyżowych. Wiele z tych legiend jeszcze dawniejszej sięga starożytności, płynie ze źródeł greckiej i indyjskiej poezyi.

Otóż te legiendy jeszcze nie przeistoczone piórem, pan Babou zebrał i ogłosił, zachowując starannie ich miejscowy koloryt. Jestto esencya pierwotnej fantazyi człowieka. Ileż z niej później narobiono książek, ile napisano powieści i poematów, ciągle dolewając wody. Pierwszą pracą nowo narodzonego druku było przedrukowanie z rękopismów klasztornych i rozpowszechnienie tych cudownych bajek, które lud zawsze tak chciwie połyka. Dawniej, mniej było idei w obiegu, mniej umysłowego zajęcia, mniej rozrywek niż dzisiaj; dlatego każda taka pojawiająca się legienda była nadzwyczajnością: chwyтали ją poeci i ustrojoną puszczali w świat daleki. Tym sposobem *romans Lisa* obszedł glob nasz dokoła, imię Rolanda brzmiało wszędzie; miłosne skargi pięknej *Magielony* rozczulały nie tylko marzących Duńczyków, ale i rycerzy z nad Loary, Ronu i Garonny. Legiendom pokutującym nad morzem Środiemnem, poezya zachodnia zawdzięcza swe najznakomitsze dzieła. Ariost tam znalazł *Szalonego Rolanda*, Spencer *Królową Czarownic*, Wieland *Oberona*, Szekspir *Sen Nocny Letniój*, Byron *Manfreda*, Goethe *Fausta*, Wiktor Hugo swe najpiękniejsze ballady.

Zbiór przeto pana Babou, jako łańcuch z tych pierwotnych dyamentów uwiązany, w innym czasie sprawiłby wrażenie: dziś ledwie kilku tak zwanych szalenców obchodzi. Dzisiejszy świat pozytywny, prozaiczny i rachunkowy, patrzy z politowaniem na tę kolebkową poezyą ludzkości; nie słyszy już cudownych koncertów po lasach, nie

wierzy w czarodziejskie po górach groty; uśmiecha się wzgardliwie na samą wzmiankę o duchach, które niegdyś zamieszkiwały ziemię. Ludzie dziś, mianowicie na Zachodzie, bardzo poważni, bardzo pewni siebie: rozum zupełnie im wystarcza:

„Patrzcie tylko—jacy oni!

Patrzcie tylko—co je bawi!

Patrzcie jacy są ciekawi!

Jak patrzą w każdą foremkę,

W każdą dziurę oczy włożą;

Każdy proszek biorą w rękę,

Ważą—próbują czy stwórzą.

Cieszą się że piorun pali,

Że gwiazda na czas przychodzi.

Patrzcie! Starzy już i młodzi

Krzyczą, że wszystko poznali!” (Słowacki).

Ale jeżeli tak jest, tem milej tym, których to życie ziemskie nie zupełnie zaspakaja, dowiedzieć się, że istnieją jeszcze pośród największej cywilizacji świata oazy, gdzie się przechowała poetyczna wiara w stosunki śmiertelników z nieśmiertelnymi. W tamtych słonecznych krajach, każda myśl wnet obleka się w ciało; piękność formy i kolorów prowadzi do pojęcia idealnej piękności. Tamto ludzie widzieli śmierć Ajaxa i narodziny Wenery. Północ przeciwnie: rozkosznym bajkom nie sprzyja, plastyki nie lubi: roztapia ciało we mgle, i tylko cienie przed oczyma duszy przesuwają. Legiendy tam surowe i nieokreślone; prostota w nich tak wielka, że aż w monotonię wpada, a prawda taka, że aż serce boli. Na Północy człek marzy, chcąc oderwać się od smutnej rzeczywistości; na Południu ludzie śnią na jawie: marzenie jest tam życiem w pełni swjej poetycznej piękności. Skoro wszystko doń się uśmiecha co go otacza, człowiek nie szuka we śnie ucieczki od natury, ale rad się z nią ściślej mitologiczną fikcją jednoczy: powietrze zdaje mu się oddechem, w wodzie widzi Najady, w mirtach Dafnę nadobną; brylantowe słońce, księżyc srebrzysty, krasne ptaki, złote zboża, grona rubinowe, czci jak bóstwa: i, choć jasno-włosa Cerera wraz z poważną Minerwą zostały chrześciankami; chociaż pierwsza swój sierp złoty, a druga sowę oddawna w święconej wodzie uto-

piła: to jednak niewinni poganie jeszcze składają hołd należny płodności i rozumowi.

Pan Babou opisuje w jaki sposób to czynią południowi Francuzi; maluje poetyczny ich umysł, szatanków i aniołków w ich wyobraźni zrodzonych, z których każdy ma formę wykończoną i starożytny ubiór. Skrzydlate jego bajeczki ożywia uczucie człowieka tęskniącego za szumem lasów, wonią łąk, za widokiem morza i rozległym widnokretem górnych widoków. Powiastki te nie są jednak czysto fantastyczne: przeważają w nich opisy życia południowego. Zachowując poetyczną dowolność, autor maluje wierne naturę, i prócz zmyślonych pół-aniołów, zaludnia ją istotami rzeczywistymi, którato mieszanina prawdy z mrzonką daje najlepsze pojęcie płomiennej wyobraźni i łatwości dziecinniej, z których charakter mieszkańców południowej Francji złożony.

W ciągu ostatnich dwóch lat przybyły literaturze francuskiej dwa nowe przekłady *Jerozolimy wyzwolonej* Tassa: pierwszy w 1856 roku wydał pan Desserteaux, drugi, którego druk w tych czasach ma być ukończony, wykonał pan Duchemin. Jestto szóste i siódme z rzędu kompletne francuskie tłumaczenie tego poematu, który Francuzi poniekąd słusznie za swoją epopeę uważają. *Jerozolima* Torquata, tylko przez język więdziej do Włochów niż do reszty chrześcijańskich ludów należy: opiewane w niej dzieje są własnością wszystkich europejskich narodów, a mianowicie téż Francji, która nietylko najliczniejszy zastęp ku oswobodzeniu grobu Chrystusa wystawiła, ale co więkksza, dała natchnienie i wodza wyprawie. Piotr pustelnik i Godefroy de Bouillon byli Francuzami: pierwszy w Amiens, drugi w niższej Lotaryngii się urodził; natchnienie wyszło z ludu, a ster z najszlachetniejszej francuskiej rodziny. Wzniosły charakter feudalnego księcia francuskiego tak żywym blaskiem opromienia epopeę, iż wielu uważa go za bohatera poematu Tassa; sam nawet Torquato za takiego go uważał, jeżeli prawdą jest, jak utrzymują Francuzi, że na oryginalnym własnoręcznym manuskrypcie dzieło swe zatytułował: *Jerozolima wyzwolona*, czyli *Godefroy de Bouillon*.

Jako własność europejska, Jerozolima została przełożoną na wszystkie europejskie języki; jako najwięcej do Francji należąca, tutaj najliczniejszych znalazła tłumaczy.

Na początku i w połowie XVII stulecia pojawiły się dwa pierwsze przekłady francuzkie *Jerozolimy*, obadwa wierszem, ale wierszem różnej formy dokonane; formy tych dwóch przekładów trzymali się wszyscy późniejsi tłumacze. Najpierwszy, bezimienny, w początku XVII wieku, wydał *Jerozolimę wyzwoloną* pod napisem: *Godefroy de Bouillon*, i nie stosował się wcale do formy Tassa; zamiast strof ośniowierszowych, z których sześć pierwszych rymują przekładnio, a dwa ostatnie z sobą, tak jak jest w oryginale, tłumaczył wierszem alexandryjskim ciągłym, rymującym parami. Tłumacz z połowy XVII wieku, pan Leclère, trzyma się wiernie miary oryginalnej.

Obadwa te stare tłumaczenia, tak pod względem wierszowania jak natchnienia, są dziwnie niezdarne i niesmaczne. Mianowicie też przekład Leclèr'a nie umiającym po włosku może obrzydzić krzyżowego piewę; nie dziwimy się wcale, że sławny Boileau znający Tassa (jak twierdzą jego ziomkowie) tylko z ojczystych przekładów, tak go znienawidził i tak ostro przeciw niemu w swoim *Lutrenie* wystąpił.

Krytyki Boileau tak zniechęciły do Tassa Francuzów, że w ciągu XVIII wieku tak niesłychanie pod względem literackim bogatego we Francji, prócz rymowanych ustępów Laharp'a, Clément'a, i kilku drobniejszych ułanków, wyszedł tylko jeden kompletny przekład *Jerozolimy* prozą dokonany przez wieczystego sekretarza Akademii, pana Mirabaud, a i ten wnet krytyka Voltaira zagniotła tak, że przeszedł prawie niepostrzeżony.

Na początku bieżącego stulecia książę Lebrun ogłosił swój przekład, który przez pięćdziesiąt lat za najlepszy we Francji uchodził. Jakoż rzeczywiście, na pierwszy rzut oka podobać się może, bo ma kolor i ciepło, słowem życie, na którym poprzednim przekładom zbywa zupełnie; ale porównany z oryginałem, pokazuje się zupełnie fałszywy, lub dowolny. Książę Lebrun kładzie Tassowi w usta słowa, których nie powiedział nigdy; daje mu myśli o których mu się nie śniło, a często nawet wprost przeciwne swemu pierwotowzorowi pojęcia. Jaśnie-oświecony tłumacz rozminął



się zupełnie z Tasseem, jego przekład nie jest przekładem, ale tylko na ten sam temat napisaną powieścią, mogącą dać najfałszywsze o dziele włoskiego poety wyobrażenie. Tłumacząc prozą, Lebrun, któremu nie można odmówić świetności stylu i pewnej rycerskiej werwy, mógł rzeczywiście dać ziomkom najdokładniejsze o Tassie pojęcie, ale widocznie nie było to jego zamiarem; zdaje się jakoby unikał starannie wszelkiego z autorem *Jerozolimy* zbliżenia; tam nawet, gdzie miał jednoznaczne francuzkie wyrażenie, gorszém, albo mniej podobném je zastępuje.

Mimo to, jak powiedzieliśmy, Francuzi, dla których elegancya formy jest wszystkiém, przez lat wiele szczylicili się przekładem Lebrun'a, i byliby dotychczas wnawiali w ludzi że jest najlepszym ze wszystkich, jakie posiada europejska literatura, gdyby wydany za Restauracyi nowy rymowy przekład *Jerozolimy* pana Baour-Lormian nie przyćmił pracy księcia i nie zwrócił jego czciocieli w stronę nowszego tłumacza.

Pan Baour-Lormian niedawno zmarły członek Akademii, pochodzenia wschodniego, przeto czulszy od Francuzów na piękności i harmonią włoskiego wiersza, przełożył go lepiej, a mianowicie wierniej od poprzedników. Delilowe pojęcie obowiązków tłumacza w przedmowie do przekładu *Georgików* wyrażone, zaczęło już brać górę we Francyi nad zamiłowaniem przekładów dowolnych, tak zwanych *belles infidèles*, w które pod koniec cesarstwa bawili się francuzcy literaci. „Najpierwszym obowiązkiem tłumacza, powiada Delille, winno być usilne staranie się o tożsamość efektów; powinien on oddać jeżeli nie też same piękności, to przynajmniej równą ich liczbę. Ktokolwiek podejmuje się tłumaczenia, zaciąga dług: ażeby się zeń uiscił, powinien zapłacić niekoniecznie tą samą monetą, ale też samą summę. Jeżeli nie może oddać obrazu, niech go zastąpi myślą; jeżeli jest mniej energiczny, niech nagrodzi harmonią; jeśli mniej dobitny, niech będzie bogatszy; jeżeli w jedném miejscu osłabił, niech w drugiem wzmacnia autora, niech mu odda niżej co ujął wyżej, ale zawsze jak najmniej od charakteru dzieła odstępując.”

Pod wpływem powyższego przykazania sławnego tłumacza *Georgików*, *Enejdy* i *Raju utraconego*, Baour-Lor-

mian dokonał swego przekładu *Jerozolimy*, i więcej może od samego Delilla trzymał się jego przepisów. Jedyna różnica jakiej sobie pozwolił, jest zmiana formy wiersza: zamiast pisać strofami, Baour-Lormian użył wiersza ciągłego, uważając tę formę za przyjaźniejszą językowi francuzkiemu, mniej treściwemu niż włoski. Przekład Baour-Lormian'a nie genialny, ale gładki i wierny, zdaniem naszym najlepszy z francuzkich przekładów, otworzył mu podwoje Akademii francuzkiej.

Idealem przedostatniego tłumacza *Jerozolimy*, pana Desserteaux, jest wierność. Przekład jego zwięźlejszy od przekładu akademika, jest bardzo suchy, i czyta się jak potoczna proza, przypadkiem o rymy potrącająca. Najlepszy to dowód, że często pożądaną dosłowność tłumacz powinien poświęcić dla dostroju z duchem dzieła, który w każdym języku innych nut do oddania tychże harmonii używa. Nie zważający na ten wyższy wzgląd tłumacz, temź mówiąc co autor słowami, może zupełnie inny nadać wyraz dziełu. Oto jak brzmi pierwsza strofa ostatniej francuzkiej *Jerozolimy*:

1. „Jè chante le grand chef de la guerre pieuse,  
Qui du Christ délivra la tombe glorieuse;  
Il prodigua sa main, son génie et son coeur,  
Et souffrit bien des maux avant d'être vainqueur.  
En vain lutta l'enfer, en vain à tous ses anges  
Et l'Afrique et l'Asie unirent leurs phalanges:  
Par la faveur du ciel, sous les saints etendards,  
Pour vaincre il rallia ses compagnons épars.”

Polakowi przywykłemu do męskich dźwięków swęj epicznej mowy, ten wiersz dziwnie rozwlekły i powszedni się wyda. O, ileż taż sama strofa poważniej brzmi w przekładzie, którym dziesięć lat pierwěj Ludwik Kamiński literaturę ojczystą z bogacił:

1. „Zastęp pobożny śpiewam i hetmana,  
Co grób Chrystusa wyzwolił na Wschodzie;  
Wiele myśl jego, wiele dłoń doznana  
Zwalczyła trudów w tak świetnym zawodzie.  
Próżno z Azyą dzicz Afrów zebrana,  
Próżno mu piekło stało na przeszkodzie:  
Wsparło go niebo, i pod święte godło  
Spółtowarzyszów błędne hufce zwiódło.”

## 2. „O bozka Muzo! co na Helikonie

Skroni nie wieńczysz blahych laurów splotem;  
 Ty, która w niebie, i w zbawionych gronie,  
 Z gwiazd masz koronę wiecznie lśniąca złotem:  
 Roznieć nadludzki zapal w mojem łonie,  
 Pieśni te z szczytnym równając przedmiotem!  
 Wybacz, gdy prawdę przedstawię w ozdobie,  
 I wdzięk nie każdy będę winien tobie!”

Nie chcąc mnożyć w polskiem piśmie francuzkich wierszy, nie przytaczamy odpowiedniej strofy pana Desserteaux; powiemy tylko, iż przekład jego nie ma ani sumiennęj dosłowności, którą nieraz podziwialiśmy porównując tłumaczenie polskie Kamińskiego z oryginałem, ani muzykalności wiersza, w czém miększy i wytwarniejszy od Kochanowskiego, Kamiński wierniejszém włoskiego barda jest echem.

W Paryżu opinia literacka waha się między przekładem Baour-Lormian'a a Desserteaux; dotąd większość nie przeważała szali zwycięstwa na stronę żadnego z nich: palma pierwszeństwa jest do wzięcia, może ją otrzyma będący jeszcze pod prasą przekład Ludwika Duchemin.

Pod tytułem *Les Amours purs*, jedna z wielkich dam tutejszych, hrabina de la Tour-du Pin, wydała tomik powieści inoralnych. Autorka opisała w nim wszystkie rodzaje miłości czystej: w pierwszej powiastce maluje miłość kochanków, w następnej miłość małżeńską, dalej miłość macierzyńską, miłość synowską, miłość braterską, w ostatniej miłość najczystsza: miłość bliźniego, która jest zarazem miłością Boga.

Wedle słów przedmowy, zadaniem autorki była chęć utwierdzenia serc młodych na drodze cnoty i zaszczepienia w nich pojęcia obowiązku. Jeżeli tak, to przyznać należy, że autorka w dziwny sposób wzięła się do swego zadania. W całej książce nie ma ani jednego złego człowieka; wszędzie widzisz same tylko ideały: kochanków stałych, zgodne małżeństwo, wierne sługi, pracowitych wyrobników; nie ma słów na opisanie skarbów złożonych w sercach półaniołów, którymi hrabina dzieło swoje zaludniła. Powieść, w której wszyscy są cnotliwi, grzeszy nieprawdą, a książka,

która wedle słów autorki, ma misyą utwierdzenia ludzi w cnocie, powinna przede wszystkim być prawdziwa. Jeżeli autor chce żeby kochano cnotę, powinien nie tylko do niej zapalić czytelnika, ale jednocześnie obrzydzić mu występek. Romans, który nie oburza serca przeciw złemu, nie jest całkowicie moralny. Pokazać tylko jedną stronę medalu, nie zawsze bezpiecznie; tylko kontrasta mogą uwydatnić cnotę, bo skalą wszech rzeczy na tym świecie jest porównanie.

Uczeń Ary Scheffer'a, pan Leon Kapliński, twórca obrazu przedstawiającego *Śmierć kwestarza*, który na ostatniej paryżkiej wystawie malarskiej wśród tysiąca dzieł znakomitych był zauważany, przeniósł obecnie na płótno dwie sceny z niemniej drogiego poezji naszej klejnotu. Pierwszy obraz już ukończony, wyobraża Miecznika z Wacławem na pobojowisku; drugi, dopiero naszkicowany, Maryą z Miecznikiem pod lipami.

Przedstawienie plastyczne bohaterów poematu, dojrzałych oczyma duszy poetów, jest zawsze najtrudniejszym zadaniem malarza; a cóż dopiero jeżeli wybierze sobie figury, które, jak Miecznika lub Maryą, słoneczny promień geniuszu oddagierotypował w wyobraźni całego narodu; cóż dopiero, jeżeli zechce malować „w ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istotę”. Na takim obrazie może się pośliznąć najgenialniejszy pędzel, może pęknąć cała moc sztuki plastycznej, a malarza zbyt namiętnie rozkochanego w ideale poety, może łatwo spotkać los owego artysty, któremu nadludzka praca wcielania ideału zmysły pomieszała, i sam jeden tylko na rozpiętym płótnie widział *son chef-d'oeuvre inconnu*.

Tak mocno pojmując trudności zadania, jakkolwiek nigdyśmy nie wątpili o talencie pana Kaplińskiego, wyznajemy, że tą razą z pewną obawą i niedowierzaniem weszliśmy do jego pracowni, obejrząc *Miecznika z Wacławem*. Nie należąc do rzędu tych znawców, co to za jednym rzutem oka widzą że tu zamało *kości palonéj*, a tam zawiele *krwi dragoniskiej*; tu powietrze zbyt *próżne*, a tam drzewa nie dość *gorące*: nie mogliśmy ocenić obrazu ze stanowi-

ska sztucznego; lecz tylko skromnie porównać go z odbitym w wyobraźni naszej dagierotypem poematu. Obejrzeliliśmy więc najprzód ukraiński krajobraz za tło bohaterom służący, i przekonaliśmy się, że jest wiernym oddaniem widoku, który Malczeski w tych kilku wierszach tak wyraźnie uprzytomnił polskiej wyobraźni:

„Był wzgórek z brzegu lasu, zielenił swe czoło,  
I zapach macierzanki rozsyłał wokoło;  
Na nim, schylone brzozy, w swą białą odzież  
Płakały, gdy warkocze wietrzyk pieścił świeży.

Z przodu, gasnący pożar, jeszcze czasem ciska  
Nagłym, śmiertelnym blaskiem, na plac bojowiska;  
Z tyłu słońce już w ówczas schowane za borem,  
Pałącego się lasu dziwilo pozorem.  
Szarzały wszystkie farby, kruki gromadami  
Złatywały się, krążąc, wrzeszcząc nad trupami.  
Czaty porozstawiano; przy ogniskach wrzawa  
Migających się ludzi, w końskich zębach trawa  
Jak chrzęst odległych zbroi; a jak orzeł biały,  
Siwy, stary pan Miecznik, ale pełen chwały  
Chłodząc odkrytą głowę, pod brzozą tam siedział”.

Miecznik, zawiędły starzec w zbroi, na owej macierzance spoczywa po bitwie i wyrazistą twarz zwraca do obok stojącego zięcia, jakby mówił: „Coś Wasze na zwycięzcę smutnie mi wygląda!”

Wacław stoi oparty o drzewo. Wyraz twarzy i postawa młodzieńca, w której tak trudno było uniknąć manieryzmu i kliwigo rozmarzenia, zwykłego wyrazu ostatnich kochanków, uderzyła nas swą szlachetnością. Krecyca ta jest owocem wysokiego gustu, którego ostatniem słowem prostota; ażeby do niej dojść, potrzeba pierwój przejść całą długą drabinę krzykliwych objawów uczucia, dramatycznych gestów, tragicznych postaci, rąk załamanych, podniesionych oczu, roztarganych włosów, i to wszystko porzucić dla prawdy. Wacław stoi oparty o drzewo. Z pod stalowej błyszczącej zbroi co kryje pierś jego i ręce, wзира kaftan purpurowy, biodra okrywa druciana koszula, nogi aż za kolana znikają w rycerskich butach z łosiowej skóry. Twarz jego smutna, z promiennym obliczem Miecznika tworzy kontrast, który sam poeta dla pędzla przeznaczył: „Rzekłbyś patrząc w ich obraz, że sztuka malarza

z dobranych przeciwności czarowną myśl stwarza". Głowa młodzieńca pochylona na piersi, jasne włosy w tył zarzucone, błękitne źrenice patrzą w step... a na oblicze taka wystąpiła żalność, iż od razu zgadujesz „że to jemu sława, łzami Maryi splakana, przed oczyma stawa" lub „duch złego, co ludziom nadziei zazdrości, odchylił przed nim zasłonę przyszłości".

Wacław pana Kaplińskiego, Wacławowi Malczeskiego w niczem nie ubliża. Jestto już tryumf, i tryumf nie lada. Prawda że to dopiero połowa, i to, ziemską połowa dzieła; czy ta druga, anielska połowa równie szczęśliwie się uda, czy pędzel artysty zdoła pochwycić w biegu tę, „co od aniołów grona dążyła ich czystości czarem otoczona" — zobaczymy.

Tymczasem zawiadamiamy czytelników naszych o narodzinach jeszcze dwóch nowych obrazów w pracowni pana Kaplińskiego; są to dwa *pendant*: jeden przedstawia kłuczniaka, drugi woźnego. Charakterystyczne te postacie dla miłośników tego rodzaju typów mają wielką wartość.

Pani Ristori długo wstrzymywana obawą porównania i szlachetnym skrupulem delikatnego czucia, uległa namiętności swych wielbicieli i wystąpiła w *Fedrze* Racina, największej roli panny Rachel. Wystąpienie to było krokiem bardzo niepolitycznym z jęj strony, a raczej potknięciem się na tryumfalnej drodze, które zazdrośniejsi od Ateńczyków o swą sławę Paryżanie głośnym powitali śmiechem.

Paryżanie oddawna już krzywo patrzący na rywalizacyą cudzoziemki z Rachelą, po jej śmierci bardzo chłodno przyjęli panią Ristori. Podczas kiedy występowała we włoskim *Makbecie*, łoże i krzesła często bywały próżne; na pierwszym przedstawieniu *Fedry* był tłum, ale tłum nieprzychylny, który na to tylko tam poszedł, żeby mógł powiedzieć: „*Madame Ristori a défigurée la tragédie de Racine*".

Twarde to słowo zamiast bukietu rzucił Paryż zuchwałej rywalce Racheli, i pożegnał ją niemiłem może na zawsze. Prócz Jules-Janina, któremu przyjaźń pochwalny natchnęła feileton, wszyscy sprawozdawcy z żółcią i prze-

kąsem pisali o owem niefortunném wystąpieniu. Jeden z najzdolniejszych w najwięcej czytany dzienniku, między innymi tak mówi:

„Ristori przywdziała suknię Dejaniry: grała *Fedre* Racina; weszła w tę świątynią zamieszkałą przez cienia. Cień na odgłos jój kroków powstał, zaczął cnota i mówić... zaczął grać swą rolę za plecami cudzoziemki, przewyższając ją całą swą idealną wyniosłością. O każdy wiersz, o każdy giest spierał się z Włoszką ów cień groźny, uparcie wydzierał przywłaszczoną rolę, i, z tej walki z cieniem, Ristori wyszła pobita. Echo głos jój zgłuszyło, wspomnienie zatarło rzeczywistość.

„Zuchwałość też to nie lada, żeby nam, nam Francuzom, pokazywać nasze najczystsze arcydzieło w cudzoziemską mowę przebrane. To tak zupełnie, jakby rzymska trupa przybyła do Aten grać po łacinie *Antygonę* Sofoklesa. Czyż już zabrakło Włochom ojczystych wzorów, że naszą *Fedre* precudną, utworzoną z przedziwności naszego języka, śmiały tykać? że te namiętności tak wzniosłe oddane, te wiersze których się dzieci uczyliśmy na pamięć, a których sylaby łączą się z sobą jak nuty melodyi, wszystko to przyprawiają nam po włosku i podają przerobione, przesadzone, zgrubiałe włoską dykcją? Pocóż stłumione westchnienia naszego fletu trąbić nam w uszy południową mową? Przekład pana Dall'Ongaro, gdyby nawet był arcydziełem, jeszczeby nas nie zaspokoił, bo mamy *Fedre* oryginalną, która jest chlubą naszej literatury, kwiatem naszego geniuszu. Wyrośliśmy w szacunku i admiracyi dla niej, jak te dzieci greckie, które matki w cieniu posągów Fidiaza wychowywały. Co nam po kopii? co nam po artyście, któryby wykonał dla Luwru kopią *Venus de Milo*? Pan Dall'Ongaro mimowolnie przeistoczył *Fedre* Racina, pani Ristori ją *zdefigurowała*”.

Aż miło czytać tak gorącą obronę swego literackiego arcydzieła, tak dumne upomnienie się o sławę swojej artystki, tak szorstkie ale szlachetne odepchnięcie zuchwałej ręki, która po palnę złożoną w martwej dłoni sięgnęła. Zaprawdę, godnato uwielbienia i naśladowania cnota w narodzie, takie namiętne ukochanie wszystkiego co swoje, mianowicie też jeżeli z tą dumą narodową łączy się usilna,

zacięta praca do zdobycia tego wysokiego stanowiska w ludzkości; jeżeli ta pretensya do przodownictwa nie jest czczą chwalbą, ale poczuciem rzeczywistej wyższości, zdobytej najczystsza krwią serca, dowiedzioną działani potężnej pracy fizycznej, uświęconą niezmierną pracą ducha. Cóż, jeżeli nie to chińskie zamknięcie się u siebie, i to bez dystrakcyi pracowanie nad sobą we wszystkich kierunkach, stanowi potęgę i dzielność Francuzów?

Paryzki krytyk ma słuszność: pani Ristori zdefigurowała *Fedre* Racina, zapewne nie brakiem talentu, ale brakiem miary, brakiem podobieństwa z typem, który Racine przedstawił. Racine ma nader silną indywidualność: chociaż wzory swoje wziął od starożytnych, nie stał się przez to Grekiem, ani Rzymianinem, ale Francuzem pozostał; duszą La Valliéry i jej podobnych bogiń wersalskiego dworu, ożywił starożytne statuy, przedstawione królowi jako allegorye. Poezya jego ma błądność odbłyску: świeci jak księżyc, który swe światło od ateńskiego słońca pożyczył, ale księżyc ten Francją nie Grecją opromienia. Gdyby zamiast malować ówczesne dworskie obyczaje na tle starożytném, Racine był się ograniczył na kopiowaniu greckich posągów; zamiast galeryi charakterystycznych obrazów swojskich z XVII wieku, byłby zostawił ziomkom tłumaczenia Eury-pida lub kalki Sofoklesa.

*Fedra* jest właśnie najpiękniejszym z posągów, które Racine z drogich starożytnych metali stopionych, odlał we francuzkiej formie. Z greckich wzorów zachowała ona tylko plastyczną doskonałość, przesłiczną posagu powierzchowność; rozczynny rolę, a nie znajdziemy w niej ani jednego atomu pogańskiego, nic prócz mieszaniny uczuć dumnej królowej z obłędami grzesznicy i wyrzutami sumienia pokutnicy.

Jestto podobno najtrudniejsza do oddania rola: namiętność i wstydlivość wybijają tam razem w subtelnych odzieniach, upojenie zmysłów miesza co chwila ducha poloty, przyzwoitość mowy zmusza namiętność do dworskiej etykiety. Jestto ogień, który powinien się palić za przezroczystą zasłoną: zedrzyj ją, a wnet zbeczczysz tajemnicę, wprowadzisz zamęt do świątyni.



Rachel tak pojmowała tę rolę; to też jakąż przezroczystą była ta jęj kreacja! Słowa w ustach Racheli zmieniały się w westchnienia. Kiedy w pierwszym akcie ukazuje się chwiejąca, blada, zawstydzona, odziana w paliwozłociste draperye i siada, a raczej zesuwa się na fotel, rzekłbyś, że to ta Venus, o której mówi Goëthe „że wycieńczona rozkosznie spłynęła w ramiona swego tronu.” Pani Ristori zbyt głośno tę scenę oddaje: z trawiącęj gorączki robi malignę, z owęj melancholii w której duch i ciało równy biorą udział, chorobę czysto fizyczną. Tam gdzie Rachel przypominała Arianę w miłosnęj katuszy, Ristori podobna jest do zmęczonej bachantki, rzucającęj się na tygrysią skórę.

Takież kontrast w scenie, w której królowa wyznaje swą miłość Hippolitowi. Racine w tęj deklaracyi zamknął ekstrakt francuzkięj subtelnosci. Jestto iakby sieć ze słów uwiązana, w którą Fedra chce złapać płochliwego jak jelen młodzięca. Wyznanie tam krąży trwożne, lotne, oględne, gotowe cofnąć się jeśli go nie rozumieją... i dopiero zbyt wyniosłą dumą potrącone, wybucha. Rachel grająca tę słiczną scenę, dotąd stoi mi w oczach: widzę ją, jak ukośnëm spojrzaniem i ukośnemi usty ciska ogniste słowa i błyskawice... Rachel na tę pokusę wyczerpywała wszystkie subtelnosci miniki, wszystkie pieszczoty głosu: wciągała Hippolita w jakiś pół-cień rozkoszny, w którym rysy jego mieszały się z rysami wzywonego podstępnie ojca; dopiero wzgarda królewicza zmieniała ją w panterę, a i wtedy, jęk zranionęj godności kobiecęj był w nięj silniejszy od krzyku królowęj schwytanęj na zbrodniczęj obrazie majestatu.

Ristori w te drobnostki nie wnika; otwartą grą odsłania przenosięnie, afiszuje to, co autor dał do zrozumienia, idzie obces do królewicza, gest jest gestem Putylary czepiającęj się płaszczu. Takie obejście może odstraszyć śmielszego niż Hippolit bohatera.

W następnym akcie jakże wysoko podnosiła Rachel obłąkanie Fedry! Zeby całą salę przejąć dreszczem, doć jęj było jednego gestu, jednego głowy skinienia, jednego potrząśnienia draperyi odziewającęj wyniosłą jęj kibić. Wymowa jęj ściśnięta i chyża, biegła jak potok wśród wierszy nie potrącając ani uszkadzając nigdzie rytmu; za-

wsze pięknoscią postawy panowała nad gwałtownością sytuacji, godność marinuru dominowała w niej nad konwulsjami ciała. W tejsze scenie pani Ristori mnoży unyślnie bezład namiętnęj mimiki; prawda że tym sposobem docho-  
dzi do efektów wielkich, ale ideał zatracą zupełnie. A czém-  
że jest *Fedra* bez ideału?—Opętana, którą nie słuchać, ale  
exorcyzimować należy.

Niewłaściwem także wydał nam się poufny sposób, w jaki pani Ristori zgubne rady powiernicy wyrzuca, kładąc jęj rękę na ramieniu. Trzeba było widzieć jak Rachel stojąc zdaleka, piorunowała wzrokiem podłą niewolnicę, z jak królewskim gestem, zstępując do piekieł, rozgniatała gadzinę, co ją splamiła, tym silnym dwu-wierszem:

„Détestables flatteurs, présent le plus funeste  
Que puisse faire aux rois la colère céleste!”

Możnaby porównania przeciągać bez końca i wszędzie wykazać niższość *Fedry* włoskiej od *Fedry* francuzkiej. Nie chcąc w zbyt szczególowy wdawać się rozbiór, powie-  
my tylko, że nie ma nic wspólnego pomiędzy tą wrzawą południową a poezią francuzkiego dramaturga, umiarkowa-  
ną nawet w najgwałtowniejszych porywach. Racine nie  
poznałby swęj królowej w tej pięknej jędry.

Pani Ristori dla dobra swęj dramatycznęj sławy, nie  
powinnaby wychodzić z włoskiego repertoaru, który jest jęj  
właściwą atmosferą: obyczaje, charaktery, namiętności ja-  
wne, gwałty i cnoty, wszystko się tam godzi z jęj talentem.  
Na francuzkiej scenie wszystko jęj jest przeciwne: Włoszka  
chodzi tu z zawiązanemi oczyma i bezwiednie obraża du-  
cha nieznanęj sobie sztuki. Ażeby zrozumieć subtelności  
francuzkiej tragedyi, potrzeba być Francuzem, albo przy-  
najmniej zespolić się duchem z tym obozowo-salonowym  
narodem, którego honor rycerski najlepiej Corneille, a wy-  
rafinowane kobięt maniery najlepiej Racine maluje.

Pan Coquerel, syn pastora suffragana paryżkiego ko-  
ścioła reformowanego, wydał bardzo zajmującą książkę  
pod napisem: *Des Beaux-Arts en Italie*. Jestto sprawo-  
zdanie z obecnego stanu sztuki we Włoszech: szczególowy  
opis arcydzieł z epoki odrodzenia, stan ich dzisiejszy, opisy

obzędów kościelnych w Rzymie, pogląd na tegoczesnych włoskich artystów, słowem, rzecz zasługująca na uwagę, bo nader bezstronnie i rozsądnie napisana.

— „*Les manuscrits Slaves de la bibliothèque Imperiale à Paris*” ogłosił Martinow.

— Doktor Armand wydał *Medyczo-Chirurgiczną historią wojny krymskiej*. Książka ta dla chirurgów ważna, bo podająca wiele nowych sposobów operowania rannych.

— Dla początkujących gospodarzy przydać się może dzieło pana Ysabeau *Leçons élémentaires d'agriculture*, które dla tutejszych szkół normalnych napisał.

— Iżynier Perdonnet wydał *Traité élémentaire des chemins de fer* z mappami; książka praktyczna, bardzo przydatna dla początkujących przy kolejach urzędników. Tenże sam autor wydał nieco pierwej wraz z panem Polonceau, dziełko pod tytułem: *Nouveau Portefeuille de l'ingénieur des chemins de fer*, rzecz także pożyteczna dla ludzi fachowych.

— Komedia Merego „*les Deux Frontius*,” ma być przedstawiona w tym miesiącu w Théâtre-Français.

## KRÓTKI RYS

# HISTORII NATURALNEJ

## KAMIEŃCA PODOLSKIEGO

SKRĘŚLIŁ

Gustaw Belke.

(Ciąg dalszy).

Przystępujemy teraz do królestwa zwierzęcego, którego przedstawiciele niemała liczba znajduje się w Kamieńcu i jego okolicach. Wprawdzie dział kręgowych (*Vertebrata*) obejmuje zaledwo sto kilkadziesiąt gatunków. Między nimi największa przypada ilość na gromadę ptaków, najmniejsza na gady i płazy. Zpomiedzy ssących żyją tu gatunki lubiące miejsca suche i wyniosłe; między ptakami mała jest liczba wodnych, lecz brodzących, nad brzegami Dniestru i Smotrycza, kilkanaście gatunków spostrzegać się daje. Co do ryb, prócz natrafiających się powszechnie w rzekach i stawach podolskich, Dniestr i Smotrycz posiadają niektóre im właściwe gatunki. Zwierzęta do działu stawowatych (*Articulata*) należące, jak w ogóle od kręgowych są liczniejsze, tak też i większą część fauny Kamieńca składają. Miejscowość jednak sucha i górzysta, a obok tego często bardzo wczesne upały i gwałtowne wiatry na wiosnę, wysuszając i tak niezbyt bujną wegetacją na miejscach skalistych;

niekorzystny wpływ wywierają na rozmnażanie się *owadów*, i dlatego liczba ich gatunków stosunkowo mniejszą się być zdaje niż w przyległych okolicach. Równie też niedostatek błót i wilgotnych zarośli nie sprzyja pobytowi *wijów*, *mięczaków* i *pierścienic*. Wyliczymy tu porządkiem systematycznym cośmy w badanej przez nas okolicy z każdej gromady zwierząt spostrzegli, zaczynając od działu *kregowych*.

#### I. SSĄCE (*Mammalia*).

Wieczorniki (nietoperze) *Vesperugo noctula* Daub.; w rozpadlinach nadbrzeżnych skał Smotrycza. *V. serotinus* Daub. najpospolitszy gatunek w mieście Kamieńcu. *V. pipistrellus* Daub. najmniejszy z naszych gatunków; zwykle pod korą drzew. *V. discolor* Natt. pod dachami starych budowli.

Wielkouch (*Plecotus auritus* L.) bardzo rzadki; raz tylko znaleziony w opuszczonym kominie.

Kret (*Talpa europaea* L.) wszędzie po łąkach i ogrodach.

Z kretomyszów albo pilchów jest *Sorex fodiens* Pall; a *S. leucodon* Herm. bardzo pospolity, w r. 1850 wraz z myszami po domach wiejskich przebywał.

Jeż (*Erinaceus europaeus* L.) w samem mieście po ogrodach i podwórzach chwastem zarosłych.

Borsuk (*Meles taxus* Schr.) dość rzadki, w lasach pod Nagórzanami, Kniahininem, Rychtą.

Kuna kamionka (*Mustela foina*).

Tchórz (*Foetorius putorius* L.).

Łasica (*Foet. vulgaris* Briss.).

Wszystkie trzy w Kamieńcu około domów w gruzach kamieni dość pospolite.

Norka (*Foet. lutreola* L.) bardzo rzadka; raz tylko widziana we wsi Dłużku w zaroślach małego stawu.

Wilk (*Canis lupus* L.) wszędzie pospolity.

Lis (*C. vulpes* L.) najliczniej w zaroślach na skałach pod Wróblowcami i Nihinem.

Wiewiórka (*Sciurus vulgaris* L.).

Suseł (*Spermophilus guttatus* Temm.). Na stepach pod Oryninem o milę od Kamieńca; niekiedy w wielkiej liczbie.

Koszatka (*Myoxus avellanarius* Desm.). W gajach pod Kamieńcem dość pospolita. Dwóch innych krajowych gatunków, wcale nie spostrzegłem tutaj.

Szczur (*Mus decumanus* Pall.). Ta plaga spizarni naszych bardzo jest pospolitą; przeciwnie szczur czarny (*M. rattus*) stał się rzadkością.

Myszy: domowa (*Mus musculus* L.), leśna (*M. sylvaticus* L.), polna (*M. agrarius* L.), pospolite: mysz żniwiarka (*M. messorius* Shaw) dość rzadka.

Polnik zwyczajny (*Arvicola arvalis* Pall.) rozmnaża się niekiedy nadzwyczajnie, jak to okazało się w okolicach Kamieńca w 1850 r.

Skrzeczek (*Cricetus vulgaris* L.).

Słepiec (*Spalax typhlus* Pall.) rzadki w naszych stronach.

Zając (*Lepus timidus* L.) znajduje się w wielkiej ilości.

Do najrzadszych naszych zwierząt ssących należą sarny (*Cervus capreolus* L.) i dziki (*Sus scropha aper* L.); natrafić jednak można na nie niekiedy w lasach należących do wsi Łastowiec i Nagórzan.

## II. PTAKI (*Aves*).

Kobuz (*Falco subbuteo* L.).

Drzemlik (*F. aesalon* T.) dość rzadki.

Kobuzek (*F. vespertinus* L.).

Pustulka (*F. tinnunculus* L.).

Sokół rarog (*F. lanarius* Pall.) niegdyś miał się znajdować około Kamieńca w m. Smotryczu, gdzie dotąd jedno wzgórze skaliste, nazwę Sokolój góry nosi. Być jednak może, że za sokoły brano jastrzębie (*A. palumbarius* L.), także do polowania dawniej używane. Sokoły bowiem w miejscach stepowych raczej niż między skałami przebywać lubią. Co do jastrzębi dopiero wspomnianych, te u nas bardzo są pospolite i tak śmiałe, że za gołębiami upędzając się do wież kościelnych pomimo obecności ludzi i wrzawy miejskiej niekiedy wlatują. Przy takiej wycieczce schwytano (w grudniu 1855 roku) młodą samicę, która jednem uderzeniem skrzydła, gołębia ubiła.

Myszołów (*Buteo vulgaris* L.).

Pszczółojad (*B. apivorus* L.).

Blotnik zbożowy (*Circus cyaneus* L.).

Bl. pospolity (*C. rufus*) obu razem często widywałem na łąkach podczas wiosny wodą zalanych, około futorów do miasta Kamieńca należących.

Zpomiędzy sów najpospolitsze są:

Puszczyk (*Strix aluco* Mey.).

Puhacz (*S. bubo* L.).

Uszatka (*S. otus* L.).

Sowa płomykowata (*S. flammea* L.) należy do rzadzych gatunków. Dwa tylko indywidua widzieć mi się zdarzyło: jedno znalezione w starej cerkwi we wsi Piasiecznej, drugie w baszcie dawnych fortyfikacyj kamienieckich.

Kruk właściwy i wroniec (*Corvus corax* L. i *C. corone* L.) rzadko się pokazują. Wrona zaś zwyczajna, kawka i gawron (*C. cornix*, *C. monedula* i *C. frugilegus* L.) bardzo są pospolite: dwa pierwsze gatunki w samym mieście, ostatni na polach przyległych. W roku 1848, w czasie grasującej w lipcu cholery, kawki w wielkiej liczbie na wieżach zawsze przebywające, natenczas wszystkie odleciały były; wiele ich pod lasem dłużeckim nieżywych znaleziono, a pozostałe dopiero po ustaniu zarazy do miasta wróciły.

Sroki (*Pica europaea* C.) w okolicach pospolite, w mieście bardzo rzadko się pokazują.

Sójka (*Garrula glandarius* L.).

Orzechówki (*Nucifraga caryocatactes* Briss.) tylko w przelotach jesiennych w październiku niekiedy się pokazują; ich przybycie jest przepowiednią wczesnej i surowej zimy.

Jemiołucha (*Bombycilla garrula* Temm.) przepędza u nas zimę; pod samym Kamieńcem rzadko napotkać je można, lecz za Toltrami pod wsią Nichinem dość są pospolite.

Kraski, wilgi, szpaki (*Coracias garrula* L., *Oriolus galbula* L., *Sturnus vulgaris* Mey.) pospolite.

*Pastor roseus* Temm. drózd różowy bardzo rzadki; niekiedy jednak na polach pod Zwańcem pokazuje się,

ścigając koniki polne i często pokazujące się tam pojedyncze indywidua szarańczy.

Drózd (*Turdus musicus* L.).

Kos (*T. merula* L.) pospolite.

Kwiczoly (*T. pilaris* L.) i drózdki mniejsze (*T. iliacus* L.) rzadkie, niekiedy tylko w przelotach widziane.

Dzierzby czyli srokosze, u wieśniaków pod nazwą *Sorokopudów*, to jest prześladowców srok, znajome, obficie się znajdują, a mianowicie następne ich gatunki pod Kamieńcem są pospolite: „*Lanius collurio* L. *L. minor* L. *L. rufus* L.

Muchołówek dwa gatunki dają się widzieć, mianowicie: *Muscicapa grisola* L. i *M. atricapilla* L.; ostatnia rzadsza.

Pokrzywki *Sylvia hortensis* Penn., *S. cinerea* Briss., *S. atricapilla* Briss. ostatnia rzadsza.

Pieczęta (*Sylvia curruca* Lath.) niekiedy do sadów za miastem znajdujących się zalatuje.

Słowiki (*S. luscinia* Lath.) pospolite w wielkiej ilości znajdują się w gajach, dłużeckim i żabnieckim, pod Kamieńcem.

Słowik szary (*S. philomela* Bechst.) rzadki, w niektórych ogrodach za miastem słyszeć się daje.

Tak zwane mysie-króliki: (*Regulus cristatus* i *R. ignicapillus*) niekiedy dają się widzieć; pospolitszym od nich jest strzyżyk czyli *wolowe oczko* (*Troglodytes vulgaris* Tem.).

Opoczniki, przez wieśniaków naszych *białochwostkami* i *kamienniczkami* zwane: (*Saxicola oenanthe* Bechst.) bardzo pospolite. Niekiedy i drugi gatunek *S. rubetra* L. widzieć się daje.

Pliszki: siwa i żółta (*M. alba* i *M. flava* L.) wszędzie pospolite.

Żadnego gatunku z rodzaju tak zwanych płochaczów (*Accentor* Bechst.) nie udało mi się spostrzedz u nas.

Świergotki (*Anthus campestris* i *A. arboreus* Bechst.) dość są pospolite.

Skowronki (rolny i dzierlatka czyli pośmięciuszka, (*Alauda arvensis* L. et *A. cristata* L.) wszędzie w zna-



cznej liczbie. Skowronek górniczek (*Al. alpestris* L.) rzadki, tylko w czasie zim surowych do nas zalatuje.

Sikory z gatunków: *caudatus* L., *palustris* L., *Parus major* L.; *P. coeruleus* L. bardzo pospolite; ostatnia dla pięknie błękitnego upierzenia, bardzo ładnym jest ptaszkiem, ale w klatce trudno go długo przy życiu zachować.

Remizy (*Remiz pendulinus* Cuv.) choć rzadko, znajdują się przecież w okolicach Kamieńca.

Kilka gatunków tak zwanych poświerek znajduje się u nas, a mianowicie: *Emberiza hortulana* L., *E. citrinella* L., *E. miliaria* L., śnieguły, *Em. nivalis* L. tylko w czasie zim ostrych i stałych, a zatem rzadko koło Kamieńca.

Gil (*Pyrrhula vulgaris* Briss.).

Szczygieł (*Fringilla curdus* L.) wszędzie pospolite—Czczotka (*Fr. linaria* L.) zimę tylko u nas przepędza. Czyżyk (*Fr. spinus* L.) w jesiennych i wiosennych przelotach zatrzymuje się w znacznej ilości. Zięba (*Fr. coelebs* L.) zimuje u nas, lecz niekiedy przy cięższych mrozach marznie.

Tak zwany jer czyli luszczałak górny (*Fr. montifringilla* L.) z północy na zimę do nas przybywa i dopiero w kwietniu odlatuje. Makolągwa (*Fr. cannabina* L.) bardzo pospolita.

O wróblach domowych (*Passer domesticus* L.) wszędzie w takim mnóstwie znajdujących się, tylko dla liczby tu wspominamy; drugi gatunek wróbla, przez Rzączyńskiego mazurkiem zwany, (*P. montanus* L.) jest nierównie rzadszy.

Kukułka (*Cuculus canorus* L.) od połowy kwietnia, do połowy czerwca słyszeć się daje, nawet w wiejskich ogrodach: widziałem ją raz i słyszałem kukającą na dachu kościoła potrynitarского.

Dzięcioły, a mianowicie zielony (*Picus viridis* L.) niewłaściwie żołą zwany; *P. major* L., *P. minor*, L. dość są pospolite.

Kowaliki (*Sitta europaea* L.) dość rzadkie.

Pelzacz także zaskórnikiem zwany (*Certhia familiaris* L.).

Dudek (*Upupa epops* L.) pospolity we wszystkich okolicznych lasach.

Żołna (*Merops apiaster* L.) szczyrykiem przez wieśniaków zwana, bardzo u nas rzadkim jest ptakiem. Raz tylko zdarzyło mi się mieć młodą samicę (w sierpniu 1848 r.) z lasu dłużeckiego. Pospolita jest i gnieździ się nad brzegami Dniestru między Wróblarcami i Demszynem.

Jerzyków (*Cypselus murarius* Meyer), tak po innych miastach a szczególnie w Kijowie pospolitych, wcale u nas nie ma, a nawet w całej gubernii podolskiej ich nie spostrzegłem.

Lelek czyli kozodoj (*Caprimulgus europaeus* L.) niekiedy w ogrodach miejskich wieczorami się pokazuje.

Jaskółka (*Hirundo urbica* L.), łastówka (*H. rustica* L.) wszędzie pospolite; brzegówka (*H. riparia* L.) nad brzegami Dniestru pod Żwańcem.

Z gołębi dzikich, grzywacze (*Columba palumbus* L.), siniaki (*C. oenas* L.) i turkawki (*C. livia* Briss.) bardzo pospolite.

Kuropatwy (*Perdix cinerea* Lath.) bardzo obficie się znajdują w okolicach Kamieńca, lecz szczególnie za Dniestrem w Bessarabii. Drugiego gatunku z dziobem, obwódkami ócz i nogami czerwonymi (*P. petrosa* Lath?), o którym mówi Rzączyński, jakoby na skałach podolskich miał mieszkać; ani też *Perdix saxatilis* Mey. wspomnianej w *Rysie botanicznym* pr. Andrzejowskiego, dotąd nie zdarzyło mi się tu postrzedz, chociaż kuropatwy na rynek kamieniecki w zimie secinami bywają przywożone.

Przepiórka (*Coturnix dactylisonans* Mey.) i drópow (*Otis tarda* L.) bardzo pospolite.

Czajki (*Vanellus cristatus* Mey.), żorawie (*Grus cinerea* L.), bociany (*Ciconia alba* L.), czaple (*Ardea cinerea* L.) dość pospolite.

Inne gatunki czapli, mianowicie:

Słepowron (*A. nycticorax*) i bączek (*A. minuta* Lat.) rzadziej się natrafiają; ostatni pod samym Kamieńcem nad brzegami Smotrycza przebywa. Tak zwana forga (*Ardea egretta* Lath.) bardzo jest rzadka: raz tylko miałem młodą

samicę zastrzeloną pod wsią Kormilczem 26 lipca 1854 r. nie miała ona jeszcze piór barkowych (*A. alba*).

Brodzicz kwokacz, od myśliwych nad Dniestrem *ku-*  
*lonem* zwany, (*Totanus glottis* L.) rzadki, koło Żwańca.

Słaki, dubelty, kszyki, (*Scolopax rusticola*, *S. major*,  
*S. gallinago* L.) równie jak derkacze (*Rallus crex* L.)  
dość są pospolite.

Kokoszki czyli kurki wodne (*Gallinula chloropus* L.)  
rzadkie.

Łyska (*Fulica atra* L.) pospolita.

Perkoz u wieśniaków pod nazwą *pornykozy* znajomy  
(*Podiceps cristatus* Lath.).

Mewa śmieszka (*Larus ridibundus* L.) rzadsze.

Rybitwy z gatunków: *Sterna hirundo* L. *S. minuta*  
L. i *S. hybrida* Pall., dwie ostatnie dość rzadkie nad  
Dniestrem.

Gęsi dzikie (*Anser arvensis* i *A. segetum* Bechst.)

Kaczki dzikie zwyczajne (*Anas boschas* L.) i cyranki  
(*A. querquedula* L.) wszędzie pospolite. Kaczka płasko-  
nosa (*Anas clypeata* L.) bardzo rzadko się natrafia.

*Mergus merganser* L. zimę przepędza na stawach  
w Kormilczu, Kuhajowcach, Poczapińcach.

### III. PŁAZY I GADY (*Reptilia*).

Żółwi (*Emys europaea* Schneid.) mniej niż w innych  
miejscach znajduje się pod Kamieńcem, dla braku miejsc  
niskich i błót rozległych.

Jaszczurki szare (*Lacerta stirpium* Daud.) w zna-  
cznej ilości równie jak zielone (*L. viridis* Daud.). Piękną  
odmianę tego ostatniego gatunku opisał pr. Andrzejowski  
w dziełku *Reptilia nostrata*, pod nazwiskiem *L. elegans*;  
rzadszą jest ona od zwykłych jaszczurek zielonych a lu-  
bi przebywać w skalistych zaroślach pod Nihinem i Ka-  
rarczkwocami.

Jaszczurka żyworodna (*L. vivipara* Jacq.) w ska-  
łach naddniestrzańskich w Żwańcu.

Jaszczurzyk zmienny (*Eremias variabilis*) dotąd  
w okolicach Kamieńca nie postrzeżony.

Padalec (*Anguis fragilis* L.) wszędzie pospolity.

Z rzędu węzowatych (*Ophidii*) tak zwane miedzianki (*Coronella laevis* Lamk.) i węże pospolite czyli wodne (*Tropidonotus natrix* L.) obficie się znajdują; te ostatnie dochodzą niekiedy znakomitej wielkości. W rozpadlinach skał Niliwskich o wiorst 18 od Kamieńca, znalazłem w lipcu 1852 r. samiec długą dwa łokcie, grubą w obwodzie 4 a w średnicy 1 1/2 cala, miała ona w sobie 21 jaj tak wielkich prawie jak jaja turkawki. Ubarwienie jej było z wierzchu pięknie niebiesko-siwe z połyskiem mieniającym, pod spodem czarniawe, na zatyłku głowy z każdej strony, po jednej białej łukowatej i po jednej czarnej cętee. Wydarza się niekiedy widzieć węże pomiędzy skałami naszymi, sążnia długości dochodzące.

Zpomiedzy zmij jadowitych, jeden tylko gatunek *Vipera berus* L. u nas się znajduje. Natrafiają się zaś odmiany jego: siwa i czarna.

Z rzędu żabowatych (*Batrachii*), najpospolitsze są: żaba jadalna (*Rana esculenta* L.), żaba płasko-pyska (*R. platyrhinus* Steenstrup) (1). Odmianę ostatniego z tych gatunków, odznaczającą się wielkością i ozdobnym ubarwieniem, tu opisuję: *Głowa szeroka, spłaszczona, pysk tępy. Linie oddzielające nos od policzków ciemno-brunatno obwiedzione. Smugi skroniowe charakterystyczne, ciemno-brunatne, szerokie, buchtowato wycięte. Wierzch ciała rudawo-szary, upstrzony niewyraźnymi plamami. Na bokach przedniej części poniżej rąbka grzbietowego, tudzież z tyłu na przestrzeni rąbkami ograniczonej, drobne czarne brodawki; przy nasadzie udów przednich po jednej podłużnej, czarniawej przędze. Piszczele przednie zgrubiałe. Na tylnych nogach ciemno-brunatne poprzeczne przepaski, których po 3 na udach a po 2 na piszczelach i na stopach. Palce wszystkich nóg i dłonie mięsno-czerwone. Spód ciała w pierwszej połowie blado-żółty, mięsno-czerwono marmurkowany; w drugiej cytrynowo-żółty z rzadkimi czerwonymi plamkami. Ślabizny cytrynowo-żółte, czarniawymi krawędziami centkami pstrzone; tylne i wewnętrzne strony udów*

(1) Dawniej gatunek ten wraz z drugim *R. ozyrinus*, uważano za jeden, pod nazwą *R. temporaria*.

tylnych także żółte, mięsno czerwono plamiste. W ogólności, na spodniej części ciała ubarwienie cytrynowo-żółte z mięsno-czerwonem, tudzież wielkość znakomita, bo  $4\frac{1}{4}$  cali wynosząca od końca pyska aż do odchodku, a 13 cali rozciągnięta do końca nóg tylnych, nadają tej odmianie odznaczającą się powierzchowność. Znaleziony przeze mnie okaz 13 maja 1856, w lesie pod wsią Nagórzanami, był samicą.

Huczek (*Pelobates fuscus* Laur.) w wodach stojących w czasie cichych i ciepłych dni wiosny, osobliwie z rana i przed wieczorem, wydaje każdemu znajomy lecz szczególny głos słaby, dźwięcznie huczący.

Ropucha płomienista czyli płomiennica (*Bombinator igneus* Laur.), ropuchy zwyczajne, popielata i cętkowana (*Bufo vulgaris* i *B. variabilis* Pall.) bardzo pospolite.

Rzekotki czyli żabki drzewne zielone (*Hyla arborea* L.) w wielkiej ilości u nas się znajdują.

Nakoniec mamy we wszystkich wodach stojących lecz czystych, tak zwane traszki czyli trytony. Gatunku grzebieniastego (*Triton cristatus* Laur.) chowałem trzy okazy: dwóch samców i jedną samicę, od maja do końca grudnia 1852 r. w słoju szklanym wodą napełnionym. Samce, po upływie miesiąca utraciły prawie zupełnie piękne swoje grzebienie. Płazy te przez cały czas niewoli były bardzo zwinne i żywe, szczególnież samica, która większym prócz tego wzrostem się odznaczała i częściej wystawiała łepkę z wody dla oddychania powietrzem, sprawiając przy tej czynności słaby, niby dzwoniący odgłos. Samce o ciężalsze zwykle na dnie słoja spoczywały i tylko wtenczas gdy je karmiłem dżdżownikami, bardzo im ulubionemi, wraz z samicą chciwie i zwinnie o zdobycz się ubiegały. Trzy razy tylko na tydzień jadając, wcale nie chudły. Każda zmiana powietrza zewnętrznego widoczny wpływ na nie wywierała, i choć pokój w którym były trzymane, miał stałe temperaturę + 15 R., przecież skoro na dworze było zimno, na dnie słoja leżały, a gdy się na odwilż zabierało, natychmiast pływać i igrać zaczynały. Wieczorem blask świecy wprawiał je w chwilową niespokojność, poczem znów do spoczynku wracały.

Drugi gatunek trytona, pstrym zwany, (*Triton taeniatus* Sch.) od poprzedzającego nieco rzadszy i mniejszy, zwykle pod korą drzew spróchniałych i w lochach wilgotnych przebywa.

Salamandry (*S. maculosa* Laur.) sam w okolicach Kamieńca nie znalazłem, od osoby jednak godnej wiary słyszałem, że się niekiedy pokazuje w skalistym lesie za wsią Nihinem.

#### IV RYBY (*Pisces*).

Okunie (*Perca fluviatilis* L.) w Dniestrze i w niektórych stawach; trą się w kwietniu.

Sandacze sudakami przez rybaków zwane (*Lucioperca sandra* L.).

Czopy (*Aspro zingel* L.). Oba powyższe gatunki tylko w Dniestrze poławiają się; trą się w maju; mięso mają wyborne.

Jazgarze jerszami zwane nad Dniestrem, (*Acerina cernua*) trą się od końca marca do połowy kwietnia.

Siroty czyli sieratki (*Acerina tanaicensis* Güld.). Okazy dniestrzańskie różnią się nieco od typu gatunkowego; sądzę przeto że nieodrzedczy będzie podać tutaj ich opisanie:

Na ciele trzy szeregi cętek czarnych, z których pierwszy blisko pletwy grzbietowej, drugi na linii nabocznej, trzeci niewyraźny pod tąż linią. Linia naboczna z lekka do góry wygięta. Błona przyskrzelowa o 7 promieniach; pletwa grzbietowa o 18 prom: pierwszy najmniejszy, 13 miękkich, reszta kolczystych; od 1 do 6 promienia włącznie 3-cętkowe, od 7 do 12 po jednej cętkę mają, na pozostałych prom. po 2-cętki. Pletwa piersiowa o 6 promieniach; pierwszy najmniejszy, kolczysty, pojedynczy, pozostałe miękkie wielodzielne. Pletwa ogonowa o 10 prom.; pierwszy oddalony, duży, kolczysty; 2 i 3 także kolczyste, bardzo zbliżone, pozostałe wietkie. Długość 10 cali.

Głowaczyki (*Cottus gobio* Gm.) już Rzeczyński w swoim *Auct. Hist. nat. cur. Reg. pol. str. 194* wylicza między ryhami Smotrycza.

Kielbiowki, przez rybaków *babkami* zwane (*Gobius*), trą się na początku maja w Dniestrze i Smotryczu. Miewane przeze mnie w znacznej ilości okazy, najwięcej zgadzały się z cechami gatunków *G. exanthematosus* i *G. fluviatilis* Pall.; trzy zaś zauważyłem formy tych rybek, które tu szczegółowo opisuję:

1) Ciało śniado marmurkowane, po bokach bledsze. Płetwy grzbietowe, brzuchowe i ogonowe czerwone; ogonowa czarno i rdzawo nakrapiana. Pokrywki przyskrzelowe czerwono, a szczęka dolna śniado cętkowane. Płetwy grzbietowe 2 zbliżone do siebie: w pierwszej 6 w drugiej zaś 20 promieni na końcach dwudzielnych. Płetwy piersiowe o 18 promieniach wielodzielnych. Pł. brzuchowa lejkowata 7-promienna; odchodkowa 16-promienna o promieniach czterodzielnych. Długość ciała 9 cali.

2) Głowa aż do grzbietu czerwona. Ciało z wierzchu i po bokach czarno marmurkowane, pod spodem białe. Płetwy i ich promienie czarniawe. Szczęka dolna całkiem biała. Płetwy grzbietowe bardzo zbliżone, pierwsza o 6, druga o 17 promieniach, promienie na końcach dwudzielne; piersiowe o 17 promieniach czterodzielnych; brzuchowa lejkowata o 9 promieniach wielodzielnych; odchodkowa o 14 prom. trójdzielnych; ogonowa o 15 prom. czterodzielnych. Długość 7 cali.

3) Na zatyłku głowy cętka wielka, podłużna, czarniawa. Ciało z wierzchu i po bokach czarno marmurkowane, pod spodem białe. Szczęka dolna bez cętek. Płetwy wszystkie, wyjąwszy piersiowe, czarniawe, śniado marmurkowane; piersiowe bledsze białymi kropkami upstrzone. Płetwy grzbietowe, pierwsza o 6, druga o 17 promieniach dwudzielnych, piersiowe o 17 prom. czterodzielnych; brzuchowa 9 prom., odchodkowa o 14 prom. czterodzielnych; ogonowa 15 prom. o promieniach także czterodzielnych. Długość 7 cali.

Mientuz, *mnuch* rybaków naddniestrzańskich (*Lota vulgaris* Cuv.) dość rzadki w Dniestrze pod Żwańcem.

Szczupak (*Esox lucius* L.) tylko w stawach się znajduje; rzadko w Dniestrze się poławia.

Pstrągi (*Salmo fario* L.) Piękne te rybki nie znajdują się teraz w Smotryczu, chociaż Rzączyński (*Auct. Hist.*

*Nat. Reg. Pol.* p. 199) świadczy, że niegdyś widywane były w tej rzece. W Dniestrze równie też nie poławiają się. W strumyku między skałami płynącym w lesie pod wsią Kurzelową w powiecie uszyckim, żyją pstrągi, z kąd je tej wsi paroch do swjej sadzawki przeniósł i utrzymuje. Te które z tamtąd miałem, różnią się nieco w ubarwieniu od opisów tego gatunku podanych przez autorów; ubarwienie naszych pstrągów jest następane:

Oczy czarne z obwódkami złotymi; pod okiem cętka czarna, która u młodych niewyraźna, u starszych wyraźniejsza bywa. Linia naboczna prosta, po niej cętki czerwone nieobrzeżone; pod nią też 2—3 cętek takichże. Spód ciała srebrzysto biały; grzbiet czarnymi cętkami upstrzony. Płetwy, prócz pierwszej grzbietowej (czarniawej, czerwono nakrapianej) czerwone; druga grzbietowa bardzo mała, całkiem prawie czerwona; ogonowa na wycięciu czerwona. Największe okazy nie przechodzą pół łokcia długości.

Karpie (*Cyprinus carpio* L.).

Rybce (*C. carinatus* L.). Oba w Dniestrze; pierwsze trą się na początku czerwca, ostatnie bardzo wczesnie z wiosny, niekiedy pod koniec lutego.

Mareny (*Barbus fluviatilis* Agass.) w Smotryczu i Dniestrze; trą się w drugiej połowie maja.

Karasie (*Carassius vulgaris* Nils.)

Liny (*Tinca vulgaris* L.).

Olszanki, szweje czyli mutawki naszych rybaków, (*Tinca phoxinus* L.) trą się pod koniec maja. Ostatni gatunek tylko w Dniestrze się poławia. Jest rzeczą uwagi godną, że te ryby za świadkami są zwane. (Zoogr. T. 3 str. 331) i w Syberyi mutawkami są zwane.

Wyrozub czyli wyroza (*L. cephalus* Pall.)

Płoc (*L. erythrophthalmus* L.).

Kleń (*L. albula* L.) trą się w 1ej połowie czerwca.

Podustwa (*L. bugenhagii*), trą się pod koniec kwietnia w Dniestrze i Smotryczu.

Do rzadszych ryb dniestrowych, a przynajmniej do nader trudnych do ułowienia dla swjej zwinności i ostrożności, należą tak zwane przez rybaków chwaty (rapie),



(*Aspius rapax* Pall.). Okazy w Dniestrze poławiane różnią się nieco w cechach od opisanych przez Gmelina, Pallasa i Lasepeda; podamy tu przeto opis ich z natury wzięty.

Ciało wysmukło-ogrube. Ubarwienie na grzbiecie niebieskawo-śniade, poniżej linii nabocznej srebrzyste, na brzuchu mleczno-białe. Głowa mierna, z wierzchu czarniawa, na bokach srebrzysta, okolice oczne z połyskiem złotawym. Czoło płaskie, pysk nieco przybliżony, okrągławy, szczeka wierzchnia krótsza, pośrodku buchtowata; dolna więcej zaostrzona, (brodawek pobocznej i końcowej wcale nie ma) biała z końcem czarniawym. Język tępy. Gęba zupełnie gładka, bezzęba. Oczy mierne, tęcze złociste, zrenice czarne; odległość ocz równa trzem średnicom oka. Nozdrza na wierzchu pyska. Wachlarzyki skrzelowe (*flabella branchialia*) trzyblaszkowe. Błona przyskrzelowa o 2 promieniach; pokrywki złotawe; płetwa grzbietowa o 10 prom. brzuchowym przeciwległa, śniada; piersiowe o 14 prom. żółtawe; brzuchowe o 9 prom. śniade. Linia naboczna od głowy łukowato schodząca, dalej nieznacznie powyginana, ku ogonowi prostsza. Łuski mierne, słabo przytwierdzone, każda z nich pod szkłem powiększającym widziana, ma na sobie bardzo drobne, czarne cętki.

Długość od 1 do 3 stóp. Waga funtów 12 niekiedy i więcej. Trą się w marcu.

*Aspius alburnus* L. uklej, w Dniestrze i Smotryczu, trze się na początku czerwca.

Leszcze (*Abramis brama* L.) puszczają ikrę od końca maja do połowy czerwca.

Kozy czyli szable naszych rybaków (*Pelecus cultratus* L.). Niekiedy zachodzą do Dniestru, ale nie puszczają ikry ani pod Zwańcem, ani pod Uściem.

Kielbie (*Gobio fluviatilis* L.) równie w Dniestrze jak w Smotryczu, na wiosnę pospolite. Trą się przez cały maj.

Ślizie (*Cobitis barbata* L.) pospolite w Smotryczu, trą się od marca do kwietnia. Natrafia się tu odmiana której opis następny: Głowa nieco od ciała szczuplejsza, prawie 7mej części długości onego wyrównywa. Oczy małe, na wierzchu i pośrodku głowy osadzone, dość zbli-

żone do siebie. Na czele przed oczami płatek skórko-  
waty, chropawy, prawie w półkole na boki przedłużony.  
Warga górna od dolnej dłuższa. Wąsików sześć, z któ-  
rych 4 u wargi górnej a 2 większe na spojeniu gęby.  
Z tyłu głowy w miejscu gdzie się grzbiet poczyna, dwie  
delikatne, złociste, łukowate prążki. Płetwy grzbietowe  
krótsze od głowy, czerwone; brzuchowe tejsze barwy.  
Odchodkowa prawie biała; ogonowa nieco wycięta, czer-  
wonawa, czarno cętkowana. Wierzch ciała czarno na-  
krapiany, na grzbiecie poprzeczne, czarne plamy; boki  
blędsze z połyskiem złocistym. Spód biały. Linia nabo-  
czna prosta. Skóra prawie naga, szlamem powleczone;  
łuski bardzo drobne, tylko pod szkłem powiększającym  
widoczne. Długość 5½ cali. Promieni w płetwach:  
grzbietowej 8, piersiowej 10, w brzuchow. 8, w odchod.  
6, w ogonowej 18.

Piskorze czyli *wiuny* (*Cobitis fossilis* L.) w Dnie-  
strze i Smotryczu pospolite.

Sumy, (*Silurus glanis* Gm.) w Dniestrze, trą się  
w czerwcu.

Szterlety (*Acipenser ruthenus* L.) najsmaczniejsze  
i najdelikatniejsze z pomiędzy naszych ryb. Poławiają  
się obficie pod koniec września i w październiku, w Dnie-  
strze, około wsi Mukszy, Uscia, Bahowicy. Bywają do  
półtora łokecia długie. Trą się przez 3 tygodnie około  
połowy maja.

Jesiotr (*A. gildenstaedtii* Brandt.) rzadszy od po-  
przedzającego, w Dniestrze się poławia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## ADAM MICKIEWICZ I PUSZKIN

## W ODESSIE (\*).

**W** Ruskim Inwalidzie (Nr. 277. 1857 roku) ogłoszono „Pamiętniki Franciszka Kowalskiego o Puszkynie i Mickiewiczu”, które nasza gazeta wyjęła z XI zeszytu „Biblioteki Warszawskiej” za rok 1857. W Pamiętnikach tych p. Franciszek Kowalski mówi, że w 1825 roku widział w *Odessie* Puszkina z Mickiewiczem biesiadujących przy stole traktyerni. Przyczem opisuje ich powierzchowność. Rzecz tak się ma, że obaj poeci w *tym samym czasie* nigdy w *Odessie* nie byli, a zatem, że się widzieć i ucztować wspólnie tutaj u nas nie mogli.

Puszkina z wyjątkiem podróży odbytej do chersońskiej gubernii dla spadłej szarańczy w miesiącu maju 1824, był stałym mieszkańcem Odessy od wiosny 1823 r. do 30 sierpnia 1824 r. Z wiarogodnych źródeł wiadomo, że w tym dniu opuścił on Odessę jako wydalony ze służby i wysłany ztąd do znakomitych Michałowskich dóbr swęj matki, położonych w pskowskiej gubernii, powiecie opockowskim. Zwrócimy tu mimochodem uwagę, że jechał z Odessy według przepisanej marszruty, która polegając na raporcie gubernatora miasta Odessy hrabiego Guriewa, złożonym hrabiemu (potem księciu namiestnikowi) M. S. Woroncowowi, *nie przypada na Kijów*. Marszruta przedstawia następującą drogę: Mikołajew, Elizabetgród, Kremieńczug, Czernichów i Witebsk. Do Pskowa nasz poeta przybył 9 sierpnia (1824). Potem

(\*) „Ruski Inwalid“ w przekładzie dał w swoich kolumnach ustęp o Mickiewiczu i Puszkynie, któryśmy ogłosili w naszym piśmie jako wyjątek z Pamiętników Franciszka Kowalskiego. Odesski Wiest. w Nr. 11 r. b. umieścił uwagi w tym przedmiocie K. Zielenieckiego, które dosłownie Ruski Inwalid w Nr. 44 z r. b. ogłosił. Te uwagi w wiernym przekładzie czytelnikom podajemy.

Puszkin ani razu przez ciąg życia swego nie był tak w Bessarabii, jak i w Noworossyjskim kraju. Małorossyą teraz widział tylko w przejeździe przez pultawską gubernią.

O pobycie w Odessie Adama Mickiewicza i Józefa Jeżowskiego, będących wówczas kandydatami wileńskiego uniwersytetu można powziąć dostateczne wiadomości z akt ich (1825. N. 21), znajdujących się w archiwum Riszeliowskiego liceum. Wyjmujemy co ważniejszego.

W końcu miesiąca sierpnia 1824 roku, kiedy jak wiadomo, skończyło się śledztwo co do tak zwanego „filaretowskiego stowarzyszenia”, Mickiewicz i Jeżowski wraz z ośmiu innymi młodemi współtowarzyszami, jako członkowie tego stowarzyszenia, zostali wezwanemi do Petersburga. Zadecydowano wszystkich poumieszczać na naukowych posadach w różnych rossyjskich guberniach. W Petersburgu minister Narodowego Oświecenia A. S. Szyszków otrzymał od kandydatów Mickiewicza i Jeżowskiego podania o chęci służenia. Obaj prosili o umieszczenie w Odessie w liceum Riszeliowskiego.

Wypada zwrócić uwagę, że przy ich wyprawieniu z Wilna do Petersburga, kurator wileńskiego uniwersytetu N. N. Nowosilców wręczył im listę, a w liście przy każdym nazwisku zanotował, co kto może wykładać. Przy nazwisku Mickiewicza powiedziano, że „mógłby wykładać literaturę starożytnych języków i estetykę w niemieckim, francuzkim, łacińskim i rossyjskim językach”. Zgodnie téż z tą opinią polecono z ministerstwa kuratorowi liceum Riszeliowskiego hrabiemu Janowi Józefowi Witte umieścić w tym naukowym zakładzie Mickiewicza i Jeżowskiego z tytułem nauczycieli tych przedmiotów, w których są uzdolnieni i wyznaczyć im pensye. Pensye te hr. Witte ustanowił od 600 do 750 rub. ass.

W Petersburgu Mickiewiczowi i Jeżowskiemu ze względu na ich stan ubogi, udzielono prócz kosztów pocztowych do Elizabetgradu na wydatki podróży każdemu po 300 rubli ass. Udali się więc do Elizabetgradu, gdzie się znajdowała podówczas główna kwatera hr. Witte, dowodzącego niezależnie od kuratorstwa wojskami rozlokowanemi w tym kraju i gdzie obaj kandydaci przedstawili się swojej nowój zwierzchności, Z akt pokazuje

się, że Mickiewicz i towarzyszy jego przybyli do Odessy i przedstawili się w liceum w lutym 1825 roku. Tu z polecenia kuratora udzielono im kwatery w gmachu liceum i pozwolono używać stołu na równi z drugimi nauczycielami. Wielu dawniejszym wychowankom liceum pozostał w pamięci ten pokój, w którym mieszkał Mickiewicz (1).

Mieszkając w liceum, ani Mickiewicz, ani Jeżowski nie pełnili obowiązków i nie wykładali. Przyczyną tego był brak wakujących posad. Być może, że i dlatego, iż wkrótce po ich przybyciu do Odessy, mianowicie w miesiącu marcu tegoż roku 1825 otrzymano co do Mickiewicza i Jeżowskiego Najwyższy rozkaz, świadczący o wspaniałomyślności i łasce cesarza Alexandra I. W rozkazie tym powiedziano, „nie pozostawiając Mickiewicza i Jeżowskiego w służbie w liceum Riszelięgo” i w ogóle w południowych guberniach „umieścić ich w innych rosyjskich guberniach według własnego ich wyboru, i w takich rodzajach służby, jakich zażądadają sami, również „ze względu na ich stan ubogi udzielić potrzebny ku temu zasiłek”. I Mickiewicz i Jeżowski objawili chęć przyjęcia służby w Moskwie: pierwszy w tamtejszym archiwum ministerstwa Spraw zewnętrznych, a drugi w uniwersytecie, do katedry starożytnej literatury. Jedno i drugie uznanem było przez zwierzchników archiwum i uniwersytetu za niemożliwe. Zarządzający ówczesnym kolegium Spraw zewnętrznych tajny radca Didów zawiadomił, że „dla wielkiej liczby osób zostających w biurze wspomnianego archiwum, nie znajduje sposobności umieszczenia przy niem kandydata Mickiewicza, tém więcéj, że archiwum nie posiada zbywających funduszków, z którychby można było wyznaczyć Mickiewiczowi najmniejszą płacę”. W uniwersytecie odpowiedzieli, że Jeżowski „może być przyjętym do niego tylko pod tym warunkiem, pod jakim wstąpili weń kandydaci wileńskiego uniwersytetu Budrewicz i Pietraszkiewicz, to jest może być przyjętym tylko na listę kandydatów, tak jednak, aby z czasem zając mógł Jeżowski posadę nauczycielską

(1) W starym gmachu liceum, na ostatniem piętrze, na prawo od wejścia po schodach.

w jakimś gimnazjum moskiewskiego okręgu. Na nowe z tego względu zapytanie przez ministerstwo Narodowego Oświecenia za pośrednictwem hr. Witte i zarządu liceum, Mickiewicz objawił chęć służenia w kancelaryi moskiewskiego wojennego generał-gubernatora księcia Wł. Golicyna. Jeżowski przyjął propozycyą uniwersytetu, a polegając na Najwyższem pozwoleniu co do dowolnego wyboru miejsca, prosił o zamieszczenie w samej Moskwie a nie w okręgu. Na tém się też rzecz skończyła. Korrespondencya o przeniesieniu Jeżowskiego trwała do miesiąca sierpnia (1825 r.), aż się udał do Moskwy, gdzie zostając przy uniwersytecie, zjednał sobie rozgłos niemały.

Korrespondencya co do pomieszczenia Mickiewicza ciągnęła się daleko dłużej. Świadcstwo na przejazd z Odessy do Moskwy, pocztowa ceduła ze względu form skarbowych, 161 rub. jako koszta na dwa konie pocztowe, 300 rub. na wydatki w podróży, zostały wydane Mickiewiczowi 12 listopada (1825). Niezawodnie, jak wnosimy, w jesieni tegoż 1825 roku znakomity poeta był w Krymie, gdzie też napisał swoje „Sonety krymskie.“ Piąty z jego Sonetów ma za przedmiot „Widok gór ze stepów Kozłowa.“ Zatem poeta dostał się do Krymu łądem. Lecz tu można zrobić i drugie przypuszczenie. Czy nie zwiedził on klassycznej Taurydy pod koniec listopada 1825 r. i nie skierował dlatego drogi do Moskwy na Cherson i Perekop? Zaufanie zwierzchności i swoboda jazdy, dawały mu prawo do tego.

Takim sposobem p. Franciszek Kowalski myli się, jak z tego się pokazuje, utrzymując, że widział, jak „1825 roku Puszkini i Mickiewicz biesiadowali przy stole w jednej z odesskich traktyerni.“ Nigdy oni razem w jednym i tym samym czasie w Odessie nie byli: powtarzamy, Puszkini wyjechał ztąd 30 sierpnia 1824 r. a Mickiewicz tu przybył w pół roku później. Osobiście się poznać obaj poeci nie mogli wcześniej, jak w Moskwie jesienią 1826 r., kiedy Puszkini, po sześćo-letniej nieobecności, pierwszy raz pokazał się w dawniej stolicy.

*K. Zieleniecki.*

## KRONIKA LITERACKA.

---

*Stanisław Leszczyński i Polska w pierwszej połowie XVIII wieku, przez autora Ukrainy i Zaporozża. Warszawa. Nakładem J. Breslauera, księgarza. 1858 r.*

Sprawa Stanisława Leszczyńskiego, jego historyczna epoka zajmująca przeszło czwartą część XVIII wieku; owe obszerne działania umysłów, pojęć, stosunków polityki, bitew i walk bohater- skich, owe najróżniejsze czynności stronnictw, wpływ staré opinij, nagromadzenie sprzecznych wyobrażeń; wreszcie losy kraju i tysiączne. towarzyszące im ważne dla dziejów fakta: oto co nam najwybitniej przedstawia wojna domowa pod rządem obydwóch Sasów; oto wypadki, na które uwaga historyka, kryty- czne ich obejrzenie, przedstawienie w najprawdziwszém świetle, pierwsze zwrócić powinna starania. Wiek drugi mija, jak wy- padki owe będące niejako przygotowaniem do późniejszych reform, rozwinęły szereg zdarzeń dziwnych, szczególnych w obja- wach, pełnych z obu stron poświęceń, uczuć posuniętych do stopnia passyj; przedstawiały umysły co na współczesne wypadki patrzyły ze stanowiska następstw i skutków, co widziały ich ostateczność, a które właśnie w rozwinięciu i wyjaśnieniu są często niepojętymi dla czytelnika, trudnemi do wytłumaczenia dla piszącego. Dwie partye: saska i polska, czyli inaczéj Augusta II i III i Stanisława Leszczyńskiego, przedstawiają wybitnie dziejo- wy obraz społeczeństwa krajowego, gdzie działanie pojedynczych osób wyobraża całą społeczność, rozwijającą się przez życie takich właśnie jednostek. Działanie téj epoki miało z obu stron pewne żywotne społeczne zasady, a skutki wykazały jak je pchnęli główni działacze; a względ na owe ich zasady wymaga ostrożnego, sumiennego poglądu na wyobrażenia i wynikiły z nich następny rozwój społeczny. Żadna może chwila z przeszłości Polski nie przedstawia tak wybitnych cech, odróżniających ją od wieków poprzednich, jak ostatnie stulecie. Nie mówimy tu

już o drugiej jego połowie nazwanej Stanisławowską, gdzie kraj posiany w początkach wieku exotycznym nasieniem, przeszedszy czas poczęcia, wzrostu i kwitnienia, obfity, acz nie pożywny zebrał owoc; ale o czasach przygotowawczych, o jednej z owych chwil, w której tak wybitne starcie sił starodawniej, dwustronnie pojmowanej tradycyi z swobodnym polem działań myśli nowych, nowych wyobraźni szkół filozoficznych i pożądanych reform, już nie od narodu, ale spływających nań z łona rządu, o czasie, jakim jest właśnie kandydatura Leszczyńskiego do korony polskiej. Ogromne to zadanie dla historyka, a wdzięczne i ułatwione. Wdzięczne, bo bliższe przeszłości znikłej, silniej wiąże z dzisiejszą teraźniejszością, wiąże z bliską nas przyszłością, dziedzictwem naszym; sympatycznie więc łączy z niedawnym swym stosunkiem względem owej przyszłości, z którą jakby jednym związana łańcuchem. W żywej jeszcze tradycyi przechowane imiona Leszczyńskiego i Augustów; rodowe pamiętki strzegą skarby ułatwiające historykowi wytłumaczenie przyszłym pokoleniom dziejowego znaczenia czasu i osób współczesnych. Zrozumiano wartość tych źródeł i oto ciągle czytamy biografie osób z XVIII wieku, a prace takie jakże pożyteczne, jak wiele nauczają.

Biorąc do ręki wyszłe w roku jeszcze zeszyłem, a opatrzone datą 1858 r. dzieło p. t. *Stanisław Leszczyński i Polska w pierwszej połowie XVIII wieku*, spodziewaliśmy się znaleźć w niem podwójną wiadomość. Mielśmy nadzieję wyczytać żywot Leszczyńskiego, skreślone czyny jego związane z życiem dziejowym narodu, z wiernym obrazem społeczeństwa i ludzi, co wyższy nań wpływ wywierali. Taka praca to rzetelny, żywotny materiał do badania i wytłumaczenia charakterystyki pierwszej połowy XVIII wieku. Już nie o zewnętrzne idzie tu rysy głównych figur epoki, nie o nagromadzenie faktów do ich biografij, choć i te mają swą wartość; ale o wpływ ich moralny, o spełnienie z góry im danego zadania, o skutki, o następstwa. Spotkał nas jednak zawód, zawód podwójny: raz z powodu braku krytyki, tego pierwszego warunku historyi, z powodu błędów w szczegółach, zbywania się ogólnikami, posilkowania dla wypełnienia objętości dzieła źródłami dawniej już ogłoszonymi; drugi raz, że historia, o której piszemy, jest rzeczą dobrze zkadynad znaną. Wytłumaczymy to poniżej.

Celem historyi jest wykazać szereg czynów osób działających w głównym jej dramacie, wykazać charakterystykę tak ich,



jak wszystkich klas narodu w całym przebiegu epoki. W książce więc, która wkracza do sfery historycznej, gdzie nadto autor krytycznie usiłuje ją przedstawić (choć tego nie podolał), ocenić musimy obie jej strony: *zewnątrzną* i *wewnętrzną*, czyli rozebrać użyte źródła i sposób wykładu, prawdę, i tём usprawiedliwić nasz sąd ogólny z góry położony.

Skutkiem jednak wartości tak jednej jak drugiej strony dzieła, widzimy się w konieczności zlać obie w jedno, bo trudno zaiste wyszukać w całym dziele wewnętrznej jego strony, gdzie wszystko ma jedną tylko cechę *źródłową*.

Z prawdziwym smutkiem przychodzi nam w tём miejscu podnieść kwestyą, która przed niedawnym jeszcze czasem tak długo zajmowała dzienniki warszawskie. Czytelnik przypomni sobie, ile krzyku, ile pisania, ile zarzutów spadło na Dra Tripplina po wydaniu przez niego *Podróży po Szwecyi i Norwegii w 1857*, gdzie większa połowa dzieła była prostém tłumaczeniem. Ótóż w podobném świetle pokazuje się nam autor *Stanisława Leszczyńskiego*. Pierwszy, to jest Dr. Tripplin zadał sobie choć tyle przynajmniej pracy, że podróż opisaną przez francuzką autorkę tłumaczył; ma to za sobą, że nie wziął całego, ale tylko część dzieła, że ją dopełnił własną fantazyą, jeśli już nie własną wiadomością i nauką; drugi zaś użył dzieła przed stu laty wydanego w języku polskim; poprawił język, skrócił, powyrzuczał lub poddawał miejsca z innych znów książek przerobione. Czyż rzeczy tak sztucznie klejone, zlepiane, mogą przedstawić harmonijne, zgodne pasmo szczegółów; mogą dać wiadomości pewniejsze, bogatsze w źródła, w świadectwa, tam właśnie, gdzie mamy tyle materyalów przygotowawczych do badań, tyle dowodów pewnych, tyle pojedynczych ustępów do dziejów zewnętrznych i wewnętrznych z tój epoki, które jeśli nie rozbierają twierdzeń ogólnych *a priori*, jednak rozwiązują nie jedno pytanie historyczne? Nie! a choć szyk zachowany tu jaki taki, zawsze książka jest tylko przedrukowaniem materyalów przygotowawczych, prostą kompillacyą, niezupełną, niedokładną, którym w inném miejscu, w inném założeniu właściwsze przypadłoby pomieszczenie. Braki, o jakich poprzednio ogólnie powiedzieliśmy, jeśli nie usprawiedliwiła, to przynajmniej uwzględniłaby nieco sama chęć, sama praca, gdyby była własną, i nie pisalibyśmy tyle, a ograniczyli się natomiast wykazaniem niedostatku, zmyłki, lub niewłaściwém ocenieniem faktu, jeśli byśmy na to dowody wiarogodne, znaleźli. Tu zaś zamiast istotnego pożytku

dla nauki, widzimy ją cofniętą o wiek cały, a nawet więcej jeszcze. Wracamy jednak do dzieła.

W r. 1741 wyszło w języku francuzkim dziełko p. t.: „*Histoire de Stanislas I Roi de Pologne grand duc de Lithuanie, duc de Lorraine et de Bar etc., par Monsieur D. C.... a Londres, chez Gouillaumme Mever.*”, w 8-ce, dwa tomiki. Str. 216 i 189. Książkę tę przyozdobiono wizerunkami: Stanisława Leszczyńskiego, jego żony i córki, Radziejowskiego i t. d., oraz rysunkami wielu medali z okazji ważniejszych współczesnych wypadków bitych. Dziełko to przetłumaczono na język niemiecki; w polskim zaś przekładzie wyszło ono pod napisem: „*Historia życia Najjaśniejszego Stanisława króla polskiego, wielkiego księcia litewskiego etc. lotaryńskiego i barskiego etc. księcia, z francuzkiego i niemieckiego, na żądanie wielu po polsku zebrana, wielą kopersztychami i notami objaśniona. Drukowano R. P. 1741*”, bez wyrażenia miejsca, gdzie wyszła. Bentkowski w tomie II *Historii literatury polskiej*, na str. 765, wspomina o tém dziele, zawierającym 590 stronnic. Otóż w obecném dziele wydaném przez autora *Ukrainy i Zaporozża*, widzimy tylko skrócony przedruk książki z r. 1741; znajdujemy tu wprawdzie niektóre dodatki, ale w nich nie czytamy nic nowego; wszystko już lepiej i dawniej zkadinał poznane.

*Stanisław Leszczyński i Polska etc.* teraz wydane, wyszło w dwóch tomach: piérwszy obejmuje str. 237, drugi zaś 214, oba ozdobione wizerunkami Stanisława i Augusta III. Przebiegniemy oba dla wykazania, jak wiele autor dodał z innych dzieł, a ile wziął z głównej podstawy swéj pracy, powyżej cytowanej.

Rozdział piérwszy I tomu obejmuje opis młodości Leszczyńskiego, jego przymioty, podróże za granicę i piérwsze wystąpienia w zawodzie publicznym od 1677 do sejmu elekcyjnego po śmierci Jana III. Piérwsze cztery kartki wyjęte z jakiegoś pamiętnika, mieszczą rozmowy i nauki udzielane mu przez dziadka jego; tych więc nie możemy policzyć na rachunek autora. Na stronicy 9tej już rozpoczyna autor posiłkować się dawną książką. Dla pokazania jak zrécznie to robił, pokażemy tu kilka ustępów.

Na stron. 9 czytamy:

„W 18tym roku Stanisław powtórnie już obrany został posłem na sejm, gdzie wymową swoją zwrócił na siebie nietylko spółtowarzyszy, ale i królew-

Woryginalie zaś na str. 18.

„Daleko to pewniejsza, iż on w 18tym roku swego wieku powtórnie był obrany za posła i w tym honorze pokazał się na sejmie, gdzie on swą wymową

ską uwagę, a Jan III pokocha-  
wszy młodzieńca, upewnił go  
o swęj królewskiej łasce. Po-  
chlebno to przyjęcie zachęciło  
tęm mocniej młodzieńca, który,  
by więcj mógł być użyteczny  
królowi i rzeczypospolitej, pro-  
sił ojca, by mu pozwolił zwie-  
dzić obce kraje. Wojewoda  
nie widząc w swoim synu nie  
już dziecinnego i t. d.

języka tak się przed innemi  
popisywał, iż król Jan III oso-  
bliwie go kochał i upewnił  
o swęj królewskiej łasce. To  
tak łaskawe upewnienie służyło  
młodemu Leszczyńskiemu do  
tęm większego zachęcenia, to  
wszystko przedsięwziąć co  
tylko do usługi swego króla  
i ojczyzny stosować się mogło.  
Nakoniec prosił on swego pana  
ojca o pozwolenie postronnych  
monarchów dwory odwiedzić  
etc.

W drugim znów miejscu w tymże rozdziale czytamy  
woryginalie:

Na str. 10.

„Naprzód udał się do Wie-  
dnia na dwór cesarza, który  
zawsze, a szczególniej wówczas  
gdy stolica jego świeżo przez  
męztwo Jana III ocaloną zo-  
stała, z koroną polską ściśta  
udawał przyjaźń, przeto mło-  
dego podróżnika z wielką przy-  
jęto łąską. Ztąd udał się do  
Włoch i Rzymu, gdzie przypu-  
szczony do prywatnej audyencyi  
Innocentego XII ówczesnego  
papieża, otrzymał od niego ze-  
zwolenie obejrzenia wszelkich  
rzymskich starożytności i go-  
dnych widzenia rzeczy. Jednak-  
że dwór wielkiego księcia flo-  
renckiego i Wenecya, bardziej  
go ku sobie ciągnęły, *ponieważ  
tu dłużej zabawiał etc.*

Na str. 18 oryg.

A tak najpierwej udał się do  
Wiednia do cesarskiego dworu,  
który zawsze a osobliwie wten-  
czas, gdy cesarska rezydencya  
przez męztwo Jana III ratowana  
była, z polską koroną w ściśłej  
był przyjaźni, i dlatego tę zna-  
czniejszą onęj latorośl, przyjął  
z tęm większém honoru oświad-  
czeniem, im bardziej jego pań-  
skie przymioty i chwalebne  
postępy na to zasługiwały.  
Z Wiednia puścił się w drogę  
do Włoch, a osobliwie do Rzy-  
mu prosto, gdzie on naprzód  
bardzo łaskawie do partykular-  
nej audyencyi Innocencyusza  
XII natenczas żyjącego papieża,  
potém zaś papieżkim ordynan-  
sem do oglądania wszystkich  
ciekawych rzymskich dawności  
i osobliwości był przypuszczony.  
Jednakże zda się, iż dwór wiel-  
kiego księcia florenckiego i po-  
dziwienia godna Wenecya, jego  
ciekawość bardziej ku sobie  
zwały, ponieważ w obydwóch  
miejscach przez znaczny czas  
bawił się i swojej godności na-  
leżytych dość użył honorów etc.

Rozdział II obejmuje wypadki w Polsce od wstąpienia Augusta IIgo do elekcji Stanisława, do 1704 r. Na trzydziestu tylko stronicach spisał autor cały ten przebieg czasu; używszy do pomocy w większej połowie, a nawet nicomal całego dzieła. Tu, zwłaszcza od strony 71 do 79 przerobił to, co w oryginale (bo tak nazywać będziemy dzieło w 1741 r. wydane) na str. 40—43. Kilka stron zajął przedruk manifestu kr. szwedzkiego do stanów rzeczypospolitej dobrze już znanego (w oryg. str. 51, 52, 53).

Rozdział trzeci zawiera wypadki wojny Stanisława z Augustem do pokoju altranstadckiego r. 1706 (od str. 79—138). Począwszy od str. 84 do końca rozdziału wszystko jest tu częstokroć nawet dosłownie wzięte z oryginału od strony 60 do 148. Na str. 92—98 jest przedrukowane breve papieżkie i list Bronisza marszałka konfederacji warszawskiej, również znane; (oryg. str. 60—76). Na str. 116—132 wmieścił autor dosłownie cały traktat altranstadcki (oryg. 121—139); na str. 133—138 listy monarchów pisane do Leszczyńskiego i jego uniwersał (oryg. 140—151). Umyślnie wykazujemy tu wdrukowane żywcem materiały dla usprawiedliwienia się z tego cośmy wyżej powiedzieli, że autor użył materiałów dla wypełnienia dwóch tomów, które razem wydane, złożyłyby tom średniej objętości.

Rozdział czwarty zawiera wypadki do r. 1709, to jest do bitwy pultawskiej, od str. 139—166, co w oryginale czytamy od str. 148 do 192. Stronnice: 145, 146, 150, 151, 152, 153, 156, 157, 158, 159, 160, 161, są dodane przez autora; mieszczą one opis wypadków Karola XII w czasie wojny z Rosyją; wyjątki to zbyt treściwe z historii rosyjskiej, które tutaj niewłaściwie wstawione; kilkanaście te stronnic mógł autor opuścić i zrobić krótką wzmiankę o losie Karola XII, którym częstokroć więcej się zajmuje, jak samym Leszczyńskim.

Rozdział piąty ciągnie się do śmierci Karola XII r. 1718, od str. 166 do 187. Cały wzięty z oryginału od str. 194—237. Tu mamy jeszcze jedną próbkę zręcznego przerobienia, wzięwszy pierwszą lepszą stronę, i tak:

Str. 168.

*«Nie długo potem na granicach podolskich znalazł się nowy stronnik Stanisława: byłto Jan Grudczyński starosta rawski, którego Leszczyński przed swém wydaleniem się mianował generalnym regimentarzem wojska*

Str 201 oryg.

*Ledwo co stany rzeczypospolitej rozeszły się, a król do swego dziedzicznego państwa odjechał, znalazł się na podolskich granicach nowy mściciel urażonego majestatu króla Stanisława. Byłto waleczny Jan*

koronnego, a który roku zeszłego razem z wojewodą kijowskim do Benderu uszedł i teraz otrzymał polecenie od niego, aby z wojskiem złożonem z Polaków, Kozaków i Szwedów około siedm tysięcy wynoszącem wtargnął do Polski.

Grudczyński, rawski i wasiliwski starosta, którego król Stanisław trochę przedtem za generalnego regimentarza wojska koronnego uczynił był, y który razem z wojewodą kijowskim przeszłego roku do Węgier, a ztamtąd do Benderu do króla szwedzkiego retyrował się, teraz zaś miał ordynans od tego wojewody, aby z wojskiem z Polaków, Kozaków z Wołochów y Szwedów złożonym, około 6 czy 7 tysięcy ludzi, wtargnął do Polski.

Wszystkie miejsca, któreśmy wykazali stronnicami, są w ten sposób robione; miejscami wtrącony kawał kilkowierszowy lub nawet kilka tylko wyrazowy; wszędzie duże opuszczenia, wszędzie braki. Ale idźmy dalej.

Rozdział szósty opisuje zaślubiny córki Leszczyńskiego z Ludwikiem XV do śmierci Augusta II i powtórnego wyboru Stanisława na króla; do r. 1733 od str. 188 do 237. I to jak i wszystko przerobione od str. 188 do 202 odpowiada w oryginale str. 238—255; dalej zaś od 295 do 342, a od str. 233 do końca terażniejszego wydania prawie dosłowny przedruk od 374—407 strony oryginału. Na tém kończy się tom pierwszy.

Tom drugi zawiera cztery rozdziały i noty:

Rozdział siódmy obejmuje opis wypadków w Gdańsku, nową elekcyą Augusta III i ucieczkę Stanisława, stronnice 39; skrócenie oryginału od str. 407 do 484. W rozdziale tym pomieścił autor: list Ludwika XV do Gdańszczan (str. 16, oryg. 447), manifest hrabiego Münicha (str. 23—27, w oryg. 520—524), listy Leszczyńskiego do prymasa i panów polskich i do miasta Gdańska (str. 35—36, w oryg. 479).

Następuje teraz list Stanisława Leszczyńskiego do córki, w którym król opisuje ucieczkę swą z Gdańska. Nie wiemy, dla czego autor dawszy kilkanaście wierszy wstępu, powiedział, że to jest list pisany przez Leszczyńskiego do królowej Francyi. List ten wyszedł w 1734 r. w języku francuzkim p. n. *Lettre du Roy Stanislas a un de ses amis, contenant les Veritables Circonstances de sa retraite de Dansic*; ujrzano go zaraz w przekładzie niemieckim i polskim pod tytułem: *List króla Stanisława do jednego z swych przyjaciół, zawierający prawdziwe cyrkumstancje Jego retyrady ze Gdańska*. Niezadługo w Lipsku przedrukowano

go pod tytułem: *Pisanie pewnego w swojej imaginacyi króla Stanisława do jednego z swoich przyjaciół* i t. d. Mamy w rękę szczęśliwym trafem szacowny, nader obszerny zbiór mów sejmowych, listów, manifestów, pamiętników i t. p. do dziejów Polski XVIII wieku, zebrany dla JX. Wojciecha Żelińskiego w Łowiczu 1791. Jest tutaj i list ów i nosi także tytuł *pisanego do przyjaciela*. Niepotrzebnie autor *Stanisława Leszczyńskiego* zmieniał tytuł i wstęp tego memoriału, niepotrzebnie powtracał niektóre ustępy, pozmieniał język. a przez to nieraz i znaczenie zdania; przedrukiem tym zapełnił dzieło od str. 38 do 81 (w oryg. od 525 do 541).

Na następnej zaraz stronie umieścił autor *Rady króla Stanisława dane Maryi córce swój przy odjeździe jej do Francyi*, od str. 82—92 (oryg. 283 do 292). Memoriały podobne jak ten, jak powyższy i inne, jakich pełno powmieszczał autor, lepiej było oddać albo do Zbioru pamiętników, albo wydać je oddzielnie. Byłaby to pamiątka, byłby gotowy materiał dla prawdziwego historyka.

*Rozdział ósmy* zawiera przyjęcie Stanisława w Prusach, walkę stronników w Polsce, Francyi, Sardynii przeciw Austrii i życie Stanisława jako księcia Lotaryngii i Baru. Tak obszerny przedmiot na 8 stronicach spisał autor. Czyż mimo najlepszych chęci, największej zdolności, objętość sama pozwoli zebrać choćby tylko fakta do tego, co w nadpisie zapowiedział autor? Tu ma być: przyjęcie w Kwidzynie Leszczyńskiego, zaproszenie do Królewca, o Gdańsku po ucieczce króla; rada w Królewcu i jej postanowienie; drobne partye stronników Stanisława i ich powodzenie; usiłowania Leszczyńskiego w celu poparcia swój sprawy, skutki jego manifestu i usiłowania Francyi dla ratowania go; stosunki z Portą, wreszcie przybycie Leszczyńskiego do Francyi. Jestto skrócenie oryginału od str. 491—511, dopełnione słowami bez znaczenia historycznego, bez wartości.

Dalej idą *noty*: List posła francuzkiego margrabiego de Monti do hr. Münicha; oświadczenie dworu rossyjskiego z powodu wzięcia do niewoli margr. de Monti i manifest króla Stanisława z d. 3 sierpnia 1734 w Królewcu wydany (od str. 103—121 w oryg. od 541 do 550 i od 557 do 564).

Ostatnie dwa rozdziały, dziewiąty i dziesiąty, z których pierwszy opisuje panowanie Leszczyńskiego w Lotaryngii, drugi *noty*, oraz przymioty serca i umysłu Stanisława, nadto dwie *noty*: *Ustawa życia* napisana przez niego przy objęciu księztwa

Lotaryngskiego i o niebezpieczeństwie, na jakie narażoną jest Polska z powodu kształtu swego rządu wyjęte z pisma p. t. *Uwagi o rządzie polskim*, są tylko kompilacją, zbiorem wyjątków z późniejszych historyj życia Leszczyńskiego, jakich po jego już śmierci wyszło dość we Francyi, lub przedrukiem dla wypełnienia objętości.

Porządek następstw nietylko już główniejszych faktów, ale i pomniejszych wypadków, sąd o osobach działających w czasie wojen i sejmów, porządek zresztą rozdziałów i peryodów są zupełnie wzięte z oryginału drukowanego w 1741 r.

Drugą ujemną stroną są, jakśmy powiedzieli, błędy w szczegółach. Niepodobienstwem jest wyliczać wszystkich nawet ważniejszych; wykazemy kilka, a te wyjaśnią, jak autorowi nie szło częstokroć o sumiennosc w szczegółach, któraby nadała prawdę obrazowi lub jaśniejsze wytłumaczenie.

I tak na str. 38 mówi autor, że August stawszy się panem, nie chcąc przeciwnikowi dozwolić przebycia granic Polski, kazał armii swęj udać się ku Oliwie, którą dowodził generał Brandt. Godziłoby się wspomnieć, że z wojskiem saskim wysłanem do Gdańska, było i wojsko polskie zostające pod dowództwem Galeckiego wojewody inowrocławskiego (1).

Na str. 52 mówi: „Kasztelan marienburgski przybył do Leszczyńskiego i uczynił i t. d.”. Byłto Jan Józef Przebendowski, jeszcze w 1697 r. mianowany wojewodą malborskim; poprzednio był kasztelanem chełmskim. Intrygami swemi wiele się przyczynił do utrzymania Augusta II na tronie (2).

Na str. 57 powiada autor, że wojska Augusta i Leszczyńskiego stoczyły bitwę pod Kliszowem 13 lipca 1702, kiedy tak w oryginale, który przedrukował (str. 7) jak i podług innych źródeł miała miejsce 19 lipca.

Na str. 64 mówi, że synowie Jana III Jakób i Konstanty osadzeni byli przez Sasów w więzieniu w Lipsku; kiedy oni zamknięci byli w twierdzy Königstein.

Na str. 144 i innych zażyty ogólny sąd o Sieniawskim hetmanie w. kor., czerpał z Załuskiego tomu III p. 819 i Erazma Otwinowskiego.

Na str. 146, kiedy Karol zatrzymał się pod Słupią, opuszcza autor ważny fakt współczesny, to jest śmierć Patkula; zaledwie w pierwszych rozdziałach o nim wspomniał.

(1) Późniejszy wojewoda kaliski. (2) Później podskarbi wiel. kor.

Na str. 230 powiada autor, że na sejmie 1733 obrany został marszałkiem *Radziejowski* podkomorzy poznański. Gdyby autorowi chciało się zajrzeć do źródeł, nie wskrzeszałby domu Radziejowskich, którego ostatni potomek Michał prymas i kardynał zmarł 13 października 1705 r. Marszałkiem sejmu obrany był Franciszek Radzewski podkom. poznański, star. wschowski, który na sejmie pacificationis 1717 r. był wyznaczony na członka do sądów nadzwyczajnych (Vol. leg. VI, p. 248). W oryginale na str. 396 napisano *Radziewski*, którego autor nie mogąc przerobić inaczej nazwał *Radziejowskim*.

Na str. 237 mówi, że gdy Leszczyńskiego ogłoszono w Warszawie królem, on wysłał do przeciwnej partyi na Pragę poselstwo złożone z czterech wojewodów, kiedy tam było trzech wojewodów: podolski, wołyński i witebski i kasztelan płocki. Mniejszy to jeszcze błąd, ale podobnych mu w datach, nazwach, liczbach wojsk i t. p. pełno znajdujemy: niepodobna jednak wszystkich wyliczać, np. na str. 22 tomu II powiada, że Mních przybył pod Gdańsk 12 maja 1734 r. kiedy to miało miejsce 12 marca. W oryginale dobrze napisano 12 *martii* (str 457), tylko źle przeczytano czy przetłumaczono. Manifest wydany przez tegoż wodza pod Gdańskiem nosi datę 18 marca, toby powinno było być dla autora wskazówką. Na str. 101 t. II mówi, że punkta przedugodne między Augustem i Leszczyńskim podpisane były w Wiedniu 31 listopada 1735; podpisanie zaś istotnie nastąpiło w kwietniu 1736 roku.

Działania pojedynczych osób, które do końca popierały Leszczyńskiego, ledwo wzmiankowane, o niektórych nie ma ani słowa np. o Ożarowskim, którego król wysłał przy końcu już swego zawodu politycznego w Polsce do Paryża, dla wyjednanja pomocy.

Nie będziemy już wytykać więcej usterków; ważniejszym zaś błędem jaki uderza po przeczytaniu całego dzieła jest brak krytycznego poglądu na to głównie, co nam autor w tytule zapowiedział. Historia Leszczyńskiego z r. 1741 napisana za życia a może i pod wpływem jego, zakrawa miejscami na panegiryk. Autor Ukrainy i Zaporozża poopuszczał takie miejsca, pododawał własne, ale te nie mają żadnej wartości krytyczno-historycznej; wszędzie z nich wieje zupełny brak poglądu, że nawet powiem, wiadomości historycznych. Historia pisana przed stu laty nie wymagała tylu warunków co dzisiaj, kiedy się stała nauką żywotną; napisaną była może w widokach politycznych, a wszędzie



przebija się w niej duch stronnictwa. Wrócić się więc do tego czasu i co wtedy nie wystarczało, nie nasycalo, (boć są i lepsze współczesne historie Leszczyńskiego), podawać dziś jako pokarm umysłu, jestto, jakieśmy powiedzieli, chcieć cofnąć naukę o wiek cały i to cofnąć wtedy, gdy najwięcej potrzeba prawdy dziejowej. Moralne zjawiska ludu, jak moralne zjawiska pojedynczego człowieka wypływają z przyczyn pewnych, z pewnych wpływów, okoliczności. Czytając tytuł: *Polska w piérowszój połowie XVIII wieku*, spodziewaliśmy się ujrzeć stan jój wewnętrzny, jój obyczaje, poznać lepiej ducha narodu, stopień jego oświaty i t. p. Przeczytawszy całe dwa tomy dowiedzieliśmy się tylko z kilkudziesięciu tu i owdzie porozrzucanych wierszy, że ja przechody ciągle wojsk i wojna domowa zniszczyła, że często po wsiach pola leżały odlogiem, lub chałupy popalone. Nie jestto nowością, że wojna domowa niszczy kraj, ale nie jest to i wszystko co o jego obywatelach można powiedzieć. Więcej powiedział autor, bo na kilkudziesięciu stronach ostatnich w II tomie o urządzeniu dworu, zabawach, o służbie, trybie życia Leszczyńskiego w Lunevillu, jak o samój Polsce.

Taka jest wartość dzieła, które nam autor Ukrainy i Zaporoża złożył do skarbnicy dziejów krajowych: szkoda, że przy myśli dobrej tak źle obrane środki, że w wykonaniu zamiast pochwalić choćby najlichszą pracę, ubolewać musimy, że w piśmiennictwie naszym przy widoczném posuwaniu się naprzód różnych gałęzi wiedzy i nauki, kiedy każdy kierunek myśli dąży do zdobycia nowój prawdy, spotykamy czasami, choć rzadko na szczęście, zamiast pożytku dla ogółu, widoki spekulacji literackiej, lub co gorsza jak dzieło obecne—*plagiaty*.

Leopold Hubert.

---

*Pomniki i widoki Wołynia, Podola i Ukrainy. Kijów, w zakładzie lito-typograficznym J. K. Wallnera, format wielkiego arkusza.*

Pod tym napisem pp. Alfred von Jank i Erazm Fabijański rozpoczęli zajmującą publikację pojedynczemi numerami. Różni się ona od wydawanych u nas albumów, tém, że z jednéj strony arkusza mieści litografią, z drugiej tekst objaśniający. Cena nadzwyczaj dostępna, bo na miejscu kosztuje kop. sr. 40, upakowanie kop. sr. 10; koszt przesyłki stosuje się do odległości.

Numer pierwszy przedstawia grobowiec wielkiego księcia Jarosława w Kijowie, twórcy tak zwaną „Ruskię prawdę”. Po zejściu wielkiego księcia, 7 listopada 1054 roku, zwłoki jego jako założyciela cerkwi św. Zofii, złożono w tój świątyni.

Dwie całkowite płyty białego marmuru składają grobowiec: spodnia ma skład podłużnego, nieregularnego czworoboku, wierzchnia jest koniczną. Na czterech węglach grobowca znajdują się równie koniczne słupy, które pod wpływem czasu, przybrały niekształtną nieco postać. Prawy bok długości i lewy szerokości przytykają do muru, inne zaś i samo sklepienie odkryte. Na bokach i sklepieniu znajdują się rozmaite postacie wyobrażające palmy, topole, a na nich ptaki, owdzie zaś wyobrażenia ryb; napisy greckie widzialne znaczą: „Chrystus zwycięża” a cztery litery wedle domysłu stanowią myśl: „Światło Zbawiciela wszystkich oświeca”. Na sklepieniu w złożonej ramie, znajduje się następujący napis w narzeczu słowiańskim:

„O panowaniu i zgonie Wielkiego Księcia kijowskiego Jarosława”.

„Książę Jarosław Włodzimierowicz, objął tron kijowski w roku 1019 i został samowładnym panem Rusi. A gdy władzę swą utrwalił, odbudował Kijów, oraz wznosił wspaniałą i bogatą cerkiew na wzór carogrodzkiej, nieco wszakże od niej mniejszą; po zwyciężeniu Pieczyngów znacznie ją ozdobił, tudzież zbgacił wieżą ze złożonym szczytem. Jemu też winny odnowienie swe złote wrota nadpsute przez Bolesława Chrobrego, i kościół Zwiastowania Najświętszej Panny. Tenże książę dał początek cerkwi św. Grzegorza, którego imię na chrzcie odebrał; oraz w prawo od cerkwi św. Zofii i w nieznacznej od niej odległości, wznosił cerkiew i klasztor św. Ireny. Po objęciu księstwa czernichowskiego, niegdyś dzielnicy zmarłego brata swego Mścisława i przyłączeniu tegoż do kijowskiego władztwa, Jarosław uczuł się utrwalonym i prawym władcą, i odtąd carem Rusi mianować się począł. Przewidując zgon blizki, książę ten podzielił Ruś między swych synów. Starszemu Izasławowi oddał księstwo kijowskie; Świętosławowi, czernichowskie; Wsiewołodowi, perejasławskie; Igorowi, smoleńskie, Wiaczesławowi zaś i Włodzimierzowi Psków i Nowogród-Wielki. A zaleciwszy im zachowanie zgody bratniej, tudzież zadowolenie z danych im wydziałów, przeszedł na łono wieczności d. 7 listopada w 76 roku swego wieku, i złożony został w Kijowie w cerkwi świętęj Zofii, przezeń zbudowanęj”.

Nieco niżej te są wyrazy:

„W kaplicy św. Grzegorza, pod marmurowym grobowcem, na 38 roku rządów swych w Kijowie”.

Text w oryginale pisany jest po rosyjsku. Wydanie to ma dwa odbicia: jedno z rosyjskiem, drugie z polskiem objaśnieniem. Następny numer wyobrażać będzie ogród w Korsuniu. Wiele numerów całość ma składać, nie mamy żadnego od wydawców objaśnienia.

Wł.

**CZAS**, DODATEK MIESIĘCZNY. M. luty 1858. (Tom IX. Zeszyt 26).

Zeszyt ten obejmuje: Dalsze wspomnienie o pułku lekkononnym polskim gwardyi Napoleona. Jestto drugi ustęp, jako ciąg jeden wspomnień podanych w tém piśmie r. z. w zeszycie grudniowym. Wielkiej ceny są tego rodzaju materyaly, które ogłasza Józef Załuski: czas bowiem, aby dla nauki i wzoru dzisiejszego pokolenia, zdolne pióro podjęło pracę skreślenia dziejów wojennych tak legionów naszych, jak i armii Księstwa Warszawskiego. Jestto bowiem żywotny ustęp dziejów narodowych, wiążących się ściśle ogniwem z ogólną historią polską. Byłaby zaprawdę księga taka najpiękniejszym herbarzem ostatnich czasów. Co dzień odkrywamy nowe a drogocenne materyaly potem, przykład zaś szlachetny J. Załuskiego powinien zachęcić osiwiatych wojowników naszych, ażeby czy to sami, czy chociażby używając obcej ręki, zachowali dla kraju i rodaków te wspomnienia, których dotąd pismo nie przechowało.

*Roczniki* do dziejów Podtarza i Spiza z lat 1680—1748, spisane przez ks. Jana i Stanisława Owsieńskich proboszczów Jazowska; wydane przez Józefa Jerzmanowskiego (dokończenie). O wartości tej pracy jużśmy mówili.

Z poezyi czytamy: *Pokuszenie*, T. Lenartowicza. *Dwa sonety* (religijne) ś. p. ks. Stanisława Chołoniewskiego. *Do białego ducha* przy odjeździe za granicę, R. Tomińskiego. *Wróble*, bajka A. Bronikowskiego. Przywiedziem tu poezją T. Lenartowicza:

#### POKUSZENIE.

Czy to baranek srebrno wełnisty  
Samotny stąpa w puszczy skalistej?  
Przypatrz się bliżej postaci białej,  
Jak się rozświeca na grzbiecie skały.  
Za nim jak oko zasięgnąć może,  
Kwitną owoce, kłosi się zboże:

A jeszcze dalej orzą i koszą,  
 A jeszcze dalej świątynie wznoszą.  
 Za nim po ziemi kwiecie się ściele,  
 Za nim modlitwa, za nim wesele.

A ówże drugi, którego skrzydły  
 W stęchłej kaluży toną obrzydłej,  
 Z której zgnilizny wstawa kożuchem,  
 Skąły się czepia, prostuje duchem,  
 Cały zielony w ogniste pręgi,  
 Jakby szły po nim pioruune wstęgi,  
 Co Pańskie kroki bada i śledzi  
 Podnosząc dumne czoło swe z miedzi?

To duch przepaści, to książę świata.

Za nim wąż w grube kłęby się splata,  
 Za nim w oddali zrywa się burza,  
 Wicher piaszczyste rozmiata wzgórze;  
 Za nim powietrze oddechy zlepi  
 Zwiewa żyjące z oblicza ziemi;  
 Za nim szarańcza zaciąga słońce,  
 Za nim ruiny leżą milczące,  
 Za nim się ścieżki wiją obłędnie,  
 Wszelki duch kona, wszelki świat więdnie.

— Hej! ty promienny! co tu przywiodło  
 W moję dziedzinę grzeszną i podłą,  
 W której się skala twa szata mleczna?

— „Mądrość najwyższa, miłość przedwieczna”.

— Wszelkiemu życiu grób się otwiera.

— „Kto zwalczy trwogę ten nie umiera”.

— Wszelki rząd świata, bojaźń i trwoga.

— „Najwyższa władza w miłości Boga”.

— Prawo się w słusznym zawiera gniewie.

— „Sędzia gniewliwy o prawdzie nie wie”.

— Mieczem się bierze wiara wśród ludu.

— „Słowem się bierze i łaską cudu”.

— Więc kiedyś mocen, tedy mi zamień,

Ziemię na niebo, na chleby kamień,

A ja przed tobą upaść gotowem.

— „Chlebem człek żyje, ale i słowem”.

— Skłoń się przedemną a świat posiędziesz!

— „Rzeczono, Bogu kłaniać się będziesz.

Idź precz szatanie w pysze książęcój,

Nie bluźnij więcój, nie probuj więcój,

Pan zgladzi w rychle tve berło stare,

Pychę przez miłość, złość przez ofiarę”.

I wraz go pętem słowa okielza

Że głazem spada, wężem odpelza,

Po krzywych paszczę pędząc zawrotach,

Zgnilém powietrzem dysze na błotach.

Zanim o Przeglądzie piśmiennictwa L. Siemieńskiego powiemy, musimy zwrócić uwagę czytelników na zajmującą korespondencją z Poznania. Z niej dowiadujemy się, że Przegląd poznański drukuje kazanie ks. Semeneńki przeciw nauce Towiańskiego wymierzone. Że Rzym marzenia Towiańszczyzny uznaje za przeciwne nauce kościoła, i pisma wszelkie dotyczące tego przedmiotu w spisie rzymskim ksiąg zakazanych umieszczone będą. „Dziwiłby się można (słowa korespondenta) że takowe ich rozpoznanie i ocenienie wcześniej nie nastąpiło, czémby może niejeden z uczniów autora *Biesiady* został był wstrzymany wśród mylnej drogi, którą ciż uczniowie coraz się dalej zapuszczając, doszli do zupełnego zbłąkania się a raczej obłąkania, jakiego ostatnim czynem i piśmem, był ów najdziwaczniejszy adres przez nich ułożony. Zda się, iż dotąd mało w Rzymie zwracano uwagi na dzieła w polskim języku wychodzące; teraz przyzwany sąd i czujność jednego z naszych rodaków (ks. Semeneńki) wśród duchowieństwa głęboką nauką i bystrym poglądem celującego, stać będzie na straży czystości polskich przekonań religijnych lub mających styczność z nauką kościelną”. Dalej pisze: „W wieku Proudhona, Cabet, Blanka, Huma, cóż dziwnego, że przez niektórych rodaków naszych zdala od kraju przyjęła się nauka, będąca płodem uludnych marzeń, i którą władzą ducha swego i swojej chwały poparł, a raczej utworzył wielki wieszcz narodowy. Nie chcę ja uchybić pamięci jego i chętnie mniemam, że on tą nauką przejął się z całą dobrą wiarą swój duszy, uniesiony gorącym uczuciem, prądem poetycznej wyobraźni, a przytém zbyt niemiłym zaufaniem w potęgę swego ducha. Mniemał on, że przekonanie swoje w ogół rodaków wpoi, że wyobrażeniami przez siebie powziętemi zaleje wszystkie umysły. Ta dobra wiara głównego apostoła, nie osłabiła szkodliwości nauki, lecz owszem powiększyła ją. Im potężniejszy jest umysł, tém obłąd jego jest i głębszy i rozleglejszy, a razem niebezpieczniejszy. Wprawdzie mimo całego wpływu jaki wywierał na rodaków duch i przykład Mickiewicza, niewielu nauka przez niego głoszona znalazła jawnych zwolenników, zapisanych pod sztandar nowo wywieszony; lecz między nimi znajdowali się tacy, których odpadnięcie od zdrowego społeczeństwa żałować przychodzi, którzy mogli mu być jeszcze użytecznymi nie w jednym zawodzie. Niektórzy z nich upamiętali się w błędzie, byli jednak tacy, którzy w nim upornie wytrwali. Lecz téj nauki podniesionój do znaczenia wiary, dwa były następstwa najwięcej szkody przynoszące. Pierwsze, sparaliżowanie twórczości ducha

poetycznego naszego poety, który już go nie pismem, lecz tylko słowem mówioném i czynem zapragnął objawić. Rzucił on z pogardą i roztrzaskał lutnię swoją, kiedy? oto w całej sile wieku, w całej dojrzałości swego talentu. Jaka strata dla chwały jego, dla chwały narodu, dla uciech umysłowych i pożytku rodaków. Kilka lat zmarnowanych w takiém życiu, co za ogromne marnotrawstwo! Od czasu jak popchnięty został w odmęt błędu, zgąsto jego natchnienie, utracił w zawodzie poetycznym włos siły Samsonowej, uderzony został jakby karą za błąd. Błąd był wielki, ale i kara wielka. Drugiém następstwem pożałowania godném był wpływ nieznacznym, niewyraźnym, ale jednak niewątpliwym, jaki nauka Towiańszczyzny wywarła na umysły polskie, nawet na niektóre najznakomitsze. Rzućmy uważném okiem na pisma, na poezye, które się w owym czasie pojawiły, a wpływu tego dostrzeżemy. Ulegli mu i tacy, którzy się zawsze lękają być prześcignionemi w postępie wyobrażeń i objawów ducha, i ci, którzy się zacném i gorącém czuciem, a razem żywością wyobraźni unosić dają. Inni nakoniec wiedzeni przykładem tych wyższych umysłów, nie śmieli ufać własnemu rozsądkowi; mówili do siebie: „Może tam jest jaki zaród i cząstka prawdy”, i nie odważyli się przypuszczać obłądzenia natchnienia. Skutkiem tego wywartego wpływu na umysły, było wyzucie dusz z prawdziwego hartu, usposobienie ich do marzycielstwa, a więc odjęcie nie jednemu z nas zdolności do działania, do stania się użytecznym w zakresie, jaki był mu dozwolonym. Jeżeli ośmieliłem się na tę wycieczkę w krainę Towiańszczyzny, to dlatego tylko, że śledząc uważnie usposobienia umysłów dzisiejszych, z pociechą przychodzi wskazywać objawy powrotu do zdrowych, do czerstwiejszych wyobrażeń. Rozpatrując się w tém kole błędném, wśród którego przez lat trzydzieści obracaliśmy się, tak w literaturze, filozofii, w mistycyzmie, w nauce politycznej, jak i w teoriach społecznych, z radością twierdzić możemy, że powoli z niego występujemy. Otrzeźwił się już z ciemnej kurzawy filozofii niemieckiej, poznaliśmy już czczość dogmatów mistycyzmu, upamiętaliśmy się nieco wśród szaleństwa literackiego: spodziewamy się więc, że na wszystkich ścieżkach ducha, rozsądek publiczny okaże się dojrzałym i zdolnym przewodnikiem, że ochładzając naszą wyobraźnię, zachowamy zawsze gorącość serca. Umysł rozogniony jest twórcą tylko marzeń lub szkodliwych działań. Samo ciepło serca płodzi zacne i użyteczne czyny”.

W Przeglądzie piśmiennictwa Lucyana Siemieńskiego, czytujemy oprócz różnych charakterów krytyki: silną i wymowną odpowiedź Przeglądowi poznańskiemu, który uważając się za jedyny organ czysto katolicki, wystąpił z groźną krytyką przeciw *Czasowi i Dodatкови*, w tymże duchu redagowanym. Rzecz zupełnie nowa dla nas, te harce dwóch pism (jak się same tytułują) katolickich: dlatego zwracamy uwagę na to zjawisko naszych czytelników.

„Jedentó z najwdzięczniejszych obowiązków krytyki (tak rozpoczyna swój Przegląd piśmiennictwa L. Siemieński) jeżeli natrafia na utwór godny zalecenia go czytelnikom: wtenczas bowiem zdobywa sobie tarczę, przeciw tak częstym pociskom wymierzonym przeciw niój: że wyszukuje z urzędu same tylko ujemne strony; że dziesięć miejsc pięknych nie obstoi u niój za jeden błąd; że nie ma żadnej uwagi na dobrą intencyą, że dla piękności i poezyi stepiło w niój uczucie i t. d. Chociaż na te zarzuty wtedy słuszne (jeżeli krytyk bierze na siebie rolę wyźła wietrzącego zbiegłych murzynów) odpowiedź jedna jest i sprawiedliwa: wytykam błędy, bo szerzysz fałsz, gorszysz lub zniżasz w duchu, to zawsze nie można policzyć do miłych umysłowych zajęć tego borykania się krytyki z zarozumieniem, pasożyctwem, niedołęztwem, a często ze złą wiarą i moralném skażeniem piszących. Jeżeli wytknięcie dokonanego błędu zawsze po czasie przychodzi, co stanowi w pewnym względzie najslabszą stronę krytyki, to znowu ma swoje znaczenie nadal, bo ostrzega autora, aby w podobne nie popadał zboczenia, a razem usposabia sąd czytelnika i oświeca go, otwierając mu oczy na niejedno co mógł zdrowym rozsądkiem i czuciem potępiać, ale dowodami obalić i sformułować nie umiał”.

Że takiego rodzaju krytyka jest potrzebną i użyteczną, godzimy się w zupełności; ale jest inna, jak dobrze wyraża Siemieński, która ma na liście swojej autorów potępionych; „cokolwiek też napiszą, choćby nosiło cechę talentu i pracy, bywa najeźściiej zbrudzone i sponiewierane, o ile tylko można sponiewierać człowieka, podsuwając mu poziome cele, wkładając mu w usta rzeczy o jakich nawet nie myślał. przypisując błędy jakich nie popełnił, z umysłu tłumacząc najkrzywiiej, najjaśniejsze intencye, a nawiasem podsuwając zdanie: że praca jego nic nie warta, gorsząca, że naród gubi i t. d. Jeżeli autor należy w rzeczy samój do odważnych a rozpaczliwych mierności, to nie widzę potrzeby pastwić się nad mizerną ramotą, bo publiczność sama spełni na

nięj ten wyrok; przeciwnie, jeśli pisarz mający pewne wyrobione już stanowisko, a co więcej górnij nawet chwalony przez to samo pióro, wybrany zostanie na ofiarne gozła poruszonej zólci krytycznej, godziwaz rzecz, aby zdzierać listek po listku z tego lauru, w który ubraliśmy go sami? Wiemy, że i najwięksi poeci nierówniej wartości tworzyli dzieła: czyż nie słuszna wyrazić się o słabszym utworze z oględnością na inne, znane pochwalnie i zaszczytniej? Godziż się tytuły nabyte talentem i pracą deptać dla jednej słabości, a często nawet i nie słabości, ale osobistego odwrotu? Podobne, namiętnością powodowane sądy uwłaczają powadze krytyki, której wolno sądzić i rozbiierać podług zasad i wyobrażeń jakie sobie założyła popierać, ale niewolno bawić się korsarskim rzemiosłem”.

Po tym wstępie, czytamy odparcie zarzutów robionych *Dodatкови Czasu* i *Przeglądowi piśmiennictwa* L. Siemieńskiego, przez Przegląd poznański, z których dowiadujemy się, że pierwsze bijąc każdego co mu się pod pióro nawinie, jako pismo *katolickie*, uderzyło na *Dodatek* tegoż ducha. Pomijamy spór ten obcy dla nas i obojętny: i dzielimy zdanie Siemieńskiego, co do wyrozumiałości krytyki. Z pociechą czytamy tu obronę Syrokomli i Triplina, a w końcu odparcie zarzutów zjadliwej recenzji na ostatni utwor Teofila Lenartowicza p. n.: „*Gładyatory*”.

W.

---

## PROJEKT

### DO SŁOWNIKA WYRAZÓW OBCYCH,

*w języku polskim używanych, z objaśnieniem ich znaczenia i pochodzenia.*

Pomimo licznych i gruntownych w języku polskim prac słownikarskich, zbywa nam dotąd na książce podręcznej, któraby, mieszcząc w sobie dokładny, ile możności, zbiór wyrazów obcych, w mowie ustnej i piśmienniej używanych, objaśniała nietylko znaczenie, lecz oraz pochodzenie takowych. Wypracowanie takiego słownika zdaje się być rzeczywiście jedną z naglających potrzeb terażniejszości; niepodobna dziś bowiem przeczytać książki treści poważniejszej, rozprawy naukowej, czasopisma, nawet powieści, bez napotykania w nich mnóstwa cudzoziemskich wyrażień, przez ogół wcale, a przynajmniej dokładniej, nie rozumianych.



Podpisani, zapewniwszy sobie pomoc ludzi specjalnych i działając podług planu, jaki w przekonaniu swém uznali za najlepszy, rozpoczęli już prace przygotowawcze do słownika, który, pod tytułem na czele tu umieszczonym, wychodzić zacznie w roku przyszłym, nakładem jednego z księgarzy warszawskich. Zbyt ważne to jednak przedsięwzięcie, aby rządzić się w niem godziło zdaniem indywidualném: dlatego projekt swój poddajemy, za pośrednictwem pism peryodycznych, pod roztrząśnienie publiczne, i upraszamy wszystkich sędziów kompetentnych o udzielenie nam, w czasie jak najkrótszym, również drogą prasy, życzliwych w tym przedmiocie uwag; na przypadek zaś gdyby kto już pracował nad podobnym słownikiem, o zawiadomienie nas o tém. Otrzymane rady i wskazówki, (o ile te naturalnie pogodzić się dadzą z głównym celem naszym ułożenia książki *podręcznej*, a więc przystępnej zarówno w treści jak w cenie), obrócimy na korzyść przedsięwziętej pracy, i według nich pokierujemy dalsze swoje kroki.

Niemcy, Francuzi, Anglicy i Włosi oddawna mają bardzo szacowne w tym rodzaju dzieła; my tylko dotąd pozostaliliśmy w tyle. Wyszedł wprawdzie r. 1847 w Królewcu „*Słownik podręczny wyrazów obcych*” przez Xaw. Łukaszewskiego, ale ten zbyt jest niedokładny i dorywczo opracowany, ażeby w zupełności odpowiedzieć mógł celowi (1).

Łukaszewski nie przytacza nigdzie z jakiego obce wyrazy pochodzą języka i z jakich składają się pierwiastków; a jednak nikt nie zaprzeczy, iż ta wiadomość wielkiej jest wagi zarówno pod względem wartości naukowej dzieła, jak pod względem praktycznym; wyszczególnienie bowiem części składowych wyrazu cudzoziemskiego nie tylko że naucza i oświeca, lecz staje się zarazem skuteczną bardzo pomocą do zatrzymania go w pamięci. Postanowiliśmy więc każdy taki wyraz rozłożyć na pierwiastki językowe czyli źródłostowy, w czém głównie trzymać się zamierzamy starszego Bescherelle'a (*Dictionnaire national ou universel*), Heyse'go (*Allgemeines Fremdwörterbuch*), tudzież naszego Lindego. Własnych naszych pomysłów lub przypuszczeń bardzo mało znajdzie się w tym słowniku; jedyną téż zasługą naszą bę-

(1) Wydawany obecnie w Wilnie „*Słownik języka polskiego*,” chociaż obejmuje znaczną liczbę wyrazów cudzoziemskich, nie zastąpi także tego braku: raz z powodu, że autorowie zupełnie inny cel sobie założyli, a powtórze że cena jego (12 rs.) dla ogółu mniej jest przystępną.

dzie skrętne nagromadzenie i porządne uszykowanie gotowych już materyałów. Dla większej dogodności w użyciu i niepodnoszenia kosztów druku, wszystkie źródłosłowy, nawet greckie, hebrajskie i t. p., mają być odbite głoskami zwyczajnemi.

Pomija także Łukaszewski w swym zbiorze wyrazy potoczne, jak np.: *kuchnia* (z niem.), *cementarz* (z łacińsk.), *kapelus* (z franc.) *szpada* (z włos.) i t. p. Zapewne że takie wyrazy nie potrzebują objaśnienia, gdyż one przeszły już w krew i ciało naszego języka, a znaczenie ich każdemu jest wiadome; lecz właśnie dlatego żeśmy tym przybyszom nadali u siebie prawo obywatelstwa, i codziennie się z nimi spotykamy, nie myśląc wcale o ich pochodzeniu, należałoby, zdaniem naszym przypomnieć takowe, abysmy przynajmniej świadomi byli złego, skoro już dziś wytepić go rdzenie niepodobna, i abysmy się starali o zastąpienie tych obcych naniósłoci żywiołami rodzinnemi, o tyle przynajmniej, o ile one nie rozrosły się jeszcze zbyt szeroko w gruncie naszej mowy. Zamierzamy przeto zamieścić w słowniku wszystkie, choćby najbardziej utarte, wyrazy, których pochodzenie z obcych języków niewątpliwie jest udowodnioném, bez najmniejszego wszakże rozszereżenia do samodzielnych badań filologicznych.

Starac się dalej będziemy objać swoją pracą wszystkie wyrazy obce, które, z ciasnego kółka szczegółowych nauk, przeszły już w szerszy obręb życia społecznego i stały się tym sposobem własnością całego narodu. Trzymając się téj zasady, nie wyłączymy żadnego wyrażenia używanego bądź w mowie ustnej ludzi ukształconych, bądź w dziełach wzorowych pisarzy naszych, bądź w pismach czasowych treści politycznej i naukowej; lecz niepodobna nam będzie zamieścić *wszystkich* orzeczeń nauk ścisłych, jak np. filozofii, matematyki, nauk przyrodzonych, sztuki lekarskiej, sądownictwa, tudzież nazw technicznych i rzemieślniczych, zwłaszcza takich, które nie stykają się bezpośrednio z życiem codziennem. Wyczerpania terminów ściśle naukowych nikt też wymagać nie może po książce podręcznej, należy ono bowiem do słowników specjalnych.

Imiona własne tylko ze względu na znaczenie swoje wchodzić mogą w zakres słownika. Zamieścimy przeto imiona jak: *Alexander*, *Cezar* i t. p., z wytłumaczeniem co znaczą w językach z których pochodzą, nie dotykając jednakże dziejowości. Jedyne główniejsze imiona mitologiczne, tudzież takie, które dziś mają znaczenie ogólne, jak np.: *Amfitryon*, *Donkiszot*, *Stentor* i t. p., będą i rzeczowo objaśniane. Oprócz mitologii wschodniej, gre-

(kiej, rzymskiej, skandynawskiej i druiickiej (Celtów), wejdzie także w skład tego słownika mitologia słowiańska i litewska.

Objaśniając cudzoziemskie wyrazy, usiłować będziemy zawsze wyświetlić najprzód pierwiastkowe ich znaczenie, a potem dopiero, w logicznym następstwie, wyliczymy znaczenia później im nadane, dołączając w końcu przepolszczenie, o ile to okaże się możliwem. W układzie trzymać się będziemy kolei alfabetycznej; tylko wyrazy z jednego pochodzące źródła, w jednym też zestawimy ustępie, a wtedy porządek ich będzie taki, że wyraz pierwiastkowy stanie się zawsze na czele. Pod słowem np. *apelłować*, zamieścimy: *apellant, apellacya, apellacyjny, apel*; pod rzeczownikiem *analiza*: *analizować, analityczny, analityka, analityk*. W wyrazach pochodzących z łacińskiego pierwotnikiem tym, stojącym na czele ustępu, będzie zwykle czasownik (słowo); w wyrazach z innych języków najczęściej rzeczownik. Z przyjęcia tej zasady wyniknie, że znajdziemy się nieraz w konieczności położenia na czele takich nawet wyrazów, które w mowie naszej prawie są nieznanne, a przynajmniej nieużywane, lecz które stanowią podstawę źródłosłowową szeregu spokrewnionych pochodników. Pod wyrazem np.: *aer*, umieścimy: *aerodynamika, aerolit, aerologia, aeromancya, aerometr, aerometrya, aeronautyka, aerostatyka*, bacząc, aby i te pochodne wyrazy następowały po sobie, ile możliwości, w porządku alfabetycznym. Wynalezienie wszakże pojedynczych wyrazów i tak najmniejszej nie przedstawi trudności, (wszystkie bowiem pochodniki mają być drukowane dobitnie odznaczającym się pismem), związek zaś organiczny dzieła zyska na tém niezmiernie. Zresztą pochodniki, znacznie różniące się od swego pierwiastku, zamieszczane będą pod właściwymi literami, z odesłaniem do źródłosłowu.

Dla zachowania jednostajności, rodzaj rzeczowników wszędzie oznaczać zamierzamy, lubo takowy w niewielu tylko wypadkach może być wątpliwym. Pisownią zastosujemy do zasad wskazanych przez deputacyą b. Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie, oraz do najpowszechniej dziś przyjętego zwyczaju.

Co się tyczy wymawiania, nie uważamy za potrzebne wskazywać takowego, mianowicie w językach których reguła czytania ogólnie są znajome, jak w łacińskim, francuzkim i niemieckim. Wyrazy tylko pochodzące z mniej upowszechnionych języków, a których wymawianie w mowie obcej znacznie się różni od pisowni, stanowią tu będą wyjątek. Pod względem iloczasu pochyła kreska (') wskaże, na której samogłosce opiera

się przycisk (akcent); gdzie takiej kreski nie będzie, tam on, podobnie jak w języku polskim, spoczywa na zgłosce przedostatniej. W wyrazach francuzkich żadnego nie położymy znamienia przyciskowego, raz dlatego, że odróżniłyby go nie można od znamienia prawego (accent aigu), a powtórę, że u Francuzów przycisk, jeśli niezawsze w praktyce, to w teoryi, pada na zgłoskę ostatnią.

Z materyałów jakich użyć zamierzamy w pomoc do swojej pracy, oprócz zbioru wyrazów wypisywanych przez nas od lat kilku z różnych ksiązek polskich, oprócz wymienionych już dzieł Bescherelle'a, Heyse'go i Lindego, oraz poszczególnych do każdego języka słowników, mamy pod ręką następujące:

1. Słownik języka polskiego, wydawany w Wilnie nakładem Orgelbranda.

2. Majera i Skobla Słownik wyrazów lekarskich.

3. Pamiętnik i Tygodnik lekarski, wydawane w Warszawie.

4. Zoologie: { Jarockiego.  
Milne-Edwardsa, tłum. przez Ant. Wagę.

5. Belkego Mastologią.

6. Wagi Nomenklaturę Flory polskiej.

7. Tyzenhauza Zasady ornitologii.

8. Beudanta Mineralogią i Geologią, tłum. Hier. Łabęckiego.

9. Projekt do słownictwa chemicznego uczonych warszawskich.

10. Piwarskiego Naukę rysunku.

11. Podczaszyńskiego Nomenklaturę architektoniczną.

12. Włodka O naukach wyzwolonych, z dołączonym na końcu słownikiem.

13. Sikorskiego Doręcznik muzyczny.

14. Schuberta Słownik wyrazów muzycznych.

15. Kozłowskiego pierwsze początki terminologii łowieckiej.

16. Tegoż Słownik leśny, bartny, bursztyniarski i orylski (w Sylwanie).

17. Alexandrowicza O drzewie i jego użytkach.

18. Dubrowskiego Słownik administracyjno-sądowy.

19. Encyklopedyą systematyczną, wyszłą r. 1838 w Warsz. nakładem J. Glücksberga.

20. Rękopis o mitologii słowiańskiej i litewskiej, łaskawie nam przez autora użyzony.

Jeżeli komu znane były inne jeszcze źródła pomocnicze, zwłaszcza pod względem wyrazów rzemiosłowych, górniczych, marynarskich i wojskowo-fortyfikacyjnych, prosimy najuprzejmiej o wskazanie nam takowych, nadmienając, że najdogodniejszymi dla nas będą książki, obejmujące alfabetycznie ułożone słowniki.

Warszawa, d. 10/22 czerwca 1858 roku.

Ludwik Jenike, Edward Sulicki.

## ROZMAITOŚCI.

### *Słwko o bogach litewskich.*

**W** Romowe, w stolicy Kriwekriwejty, którego władza duchowna rozciągała się nad Żmudzią, Litwą, Kuronią i Porusią, stały pod świętym, wiecznie zieleniejącym dębem, trzy posągi: *Perkunas*, *Patrimpus* i *Pokoli*.

*Perkunas*, starzec z obliczem rumianém, wejrzenia śmiałego, brody kędzierzawej; głowa bucha płomieniem a w rękę strzały. Przed nim płonął nieustanny ogień święty, podtrzymywany drzewem dębowém.

*Patrimpus*, piękny młodzieniec, oblicza wesołego; głowa wieńcem kłosów ozdobiona. Składano mu na ofiarę zboże w snopie, bursztyn, wosk a nawet i dzieci, bo pragnie krwi ludzkiej. Wąż karmiony mlekiem i przechowywany w dużém naczyniu napełnioném kłosami, bywa poświęcony temu bogowi.

*Pokole*, starzec błądy, zagniewany, z brodą potarganą; głowa białą chustą okryta: istny nieboszczyk. Przed nim wiszą na rohatynie trzy czaszki: ludzka, końska i wołowa. Przynoszą mu na ofiarę ludzi i zwierzęta.

Teraz etymologicznie wyprowadźmy znaczenie tych bogów. *Perkunas* w katechizmie prusko-litewskim z r. 1547 forma łacińska *Percunos*, w słowniku Brodowskiego (dotychczas w rękopiśmie) *Perkuns*, u Voigta *Perkunos*, u Narbutta *Perkunas*, u Dowkonta (1) *Perunas*; ma to być słowiański *Perun* (Perwun)

(1) Budas Senowes Letuvin Kalnienu ir Żamajtju. Petropilie 1845, na str. 80.

a gotski *Fairguns*, pierwszy, najprzedniejszy. Schleicher (1) przyznaje się poprostu, że nie umie wskazać źródła tego wyrazu. Dowkont, wielki znawca litewszczyzny i autor wielu książek litewskich, wywodzi Perkunasa od słowa *pereti* wylegać, i dlatego rad przyjmuje formę *Perunas*, przeciw której powstają dawne kroniki i żyjący język. Dzisiaj jeszcze śpiewa Żmujdzin: „Perkune diewaiti numuszk Żemaitiū (2), tik muszk Gudań kaip szuniū rudań”. Wyrazy *dikunas*, swawolnik, zbytnik; *slinkunas*, pelzacz, próżniak; *rinkunas*, zbieracz; *sznarpunas*, których pierwiastkiem *dik*, *slink*, *rink*, *sznirp*, naprowadzają na myśl, że w zgłosce *perk* szukać należy rdzenia dla wyrazu *perkunas*. Pamiętając wszelako, że *per* jest przyrostkiem i mając pod ręką takie wyrazy jak np. *pin-as*, splot (od *piw-ti*, splatać) oraz odrzuciwszy końcówkę *as*, otrzymamy *kun*, z którego powstał *per-kun-as* jak np. *per-rasz-as*, przepis.

Teraz badajmy co znaczy *kun*? *Kunas*, po litewsku ciało; ale nie dosyć na tém, sięgnijmy dalej, wszak chcąc rzecz jaką zrozumieć, porównujemy ją z drugą. W dziełku wydaném w Berlinie 1845 r. pod tytułem: *Die Sprache der alten Preussen v. F. Nesselmann*, na str. 110 znajdujemy *kunt*, hüten, pflügen, strzedz, pielęgnować. Tu wspomnimy nawiasem, że język staro-pruski jest narzeczem litewskiego. W *Glossarium Sanscritum a Franc. Bopp*. 1847 na str. 76 czytamy: *kund*, servare, tueri, zachować, ocalić, strzedz, mieć na co oko. Tamże nachodzimy rzeczownik *kunda*, który między innymi znaczy *caverna in terra facta ad servandum ignem sacrum*, jaskinia do przechowania ognia świętego. Podług tego *Per-kun-as*, stróż, zbawca, zachowawca—Wisznui. Podziś dzień Litwin nazywa piorun *perkunas* lub *perkunia* i nigdy nie gasi pożaru wszczętego przez uderzenie piorunu w przekonaniu, że to święty ogień, spuszczoney przez Boga, a Jego woli sprzeci-

(1) „Die Etymologie ist mir dunkel, da ich besonders das k der zweiten Sylbe nicht zu deuten weiss, eine Ableitung auf *kunas* ist mir noch nicht vorgekommen, als Zusammensetzung will es sich auch nicht fassen lassen; man bemerke indess, dass dem slawischen *Perun* dieses k fehlt, und dass die Wurzel *per* (*peru*, *perti*) im Litauischen ebenfalls schlagen (?) stossen (??) bedeutet; womit ich jedoch keineswegs die Behauptung ausgesprochen haben will, das jene Wurzel wirklich in diesem Namen enthalten sei”.—*Lituanica* str. 23.

(2) Spółgłoska *ń* nie wymawia się, wskazuje tylko, że tuż poprzedzająca samogłoska jest nosową; *ń* w ogólności znamionuje końcówkę przyp. 4 l. poj. i poczęści odpowiada sanskryckiemu *anuswāra*. Prusacy nosowe samogłoski *a*, *e*, *u*, i piszą z łączkiem (*édille*).

wiać się nie godzi. Owoż tedy i *kunda*, jaskinia indyjska, niebo, gdzie się przechowuje święty ogień, przetrwała w pamięci Litwina. Na poparcie, że Perkunas jest w swoim rodzaju Wisznu litewskim, świadczy posąg tego boga: strzały w rękę, to broń przeciw zniszczeniu; ogień buchający z głowy, to godło żywota: tamte bronią, a ten utrzymuje przy życiu świat cały.

Teraz przechodźmy do *Patrimpasa*.

*Trip, Drip*, po sanskrycku znaczy *exhilarare, satiare, gaudere*, rozweselić, zadowolnić, pocieszać, *Trimpas* albo (z przyrostkiem *pa*, wyrażającym możność, potęgę), *Patrimpas* jest tedy uosobiona wesołość, pojecha i zadowolenie; a sądząc z posagu, z owych kłosów na głowie, godła płodności, możemy go porównać z Brahmą, owym życiodawczym bóstwem. Dzisiaj jeszcze mówi Żmujdzin zagniewany: *eik sau po Trimpu!* idź sobie na stracenie. To przekleństwo łatwo sobie wytłumaczyć, pamiętając, że *Trimpusowi* zabijano ludzi na ofiarę.

Nakoniec *Pokole, Pokotus, Poktus, Pekullos, Pikole* pochodzi od litewskiego *pakulti* zabijać, a wymienione tu nazwy sprowadzają się do *Pakuole* lub *Pakuolius* (1) zabójca. Obok tego imienia znajdujemy jeszcze *Patello, Patollo, Patollos*, przekręcone *patatas*, posłanie dla umarłych, karawan. Owoż tedy mamy i *Siwa*, owego niszczyciela.

Pan Dowkont (na str. 96 wyżej cytowanego dziełka) powiada, że opisane tu trzy posągi przedstawiają trzy pory roku: lato, jesień i zimą; a dąb, wечно zielieniejący, pod którym te posągi stały, ma być obrazem samego Perunasa. My w tych bóstwach znaleźliśmy trójcę indyjską, a w dębie widzimy jedność tej tryady, obraz Najwyższej Istności i śmiemy utrzymywać, że Litwa więcej bogów nie знаła. „Wiele bogów zginie, gdy znający język, znaczenie pobóstwianych wyrazów oznaczają; gdy znający języki jednoż nazwisko w wielu poprzekęcane rozpoznają,” mówi Lelewel (Hist. Król. i Ks. Pols. 1857 str. 122). I tak długi czas Żnicza poczytywano za bożka ognia. P. Dowkont i ks. biskup Wołoncewski, tegocześni dziejopisowie litewscy, pierwsi zbili to błędne mniemanie, a za niemi p. Mikucki (2). Żnicz po

(1) Dwugłoska *no* powstaje z *u* i stanowi jedno brzmienie środkujące między *u* i *o*. Prusacy piszą na wzór czeskiego *ň*.

(2) Moeno cieszymy się, że pan Mikucki rad zajmuje się litewszczyzną, radzimy jednak szczerze i otwarcie, jak przystało na Litwina, aby nie spuszczał się tak bardzo na słownik Szyrwida lub Nesselmanna, bo wiele w nich błędów. P. M. nazwisko *Jagailas, Jagałas, Jagal*, jak go Prusa-

litewsku *żinicza*, poprostu świątynia, a raczej siedlisko wiedzy i znania. *Żinys*, kapłan, znawca, znachor; *żinicza* świątynia; sanskryckie *żna*, polskie znać, są sobie pokrewne.

*Kaukarus* (powinno być *kaukarius*) ma oznaczać bożka gór. Pagórek, mała wyzina ziemi zowie się *kaukaras*. Wyraz ten złożony z *kaukas* i *karas* Kaukas znaczy młot, maczuga, a *kara* (sansk. *kri*: laedere, vulnerare, occidere) wojna, bojna, w przenośnym znaczeniu wojsko. Zatem *kaukukaras*, *kaukaras*—zastęp, oddział maczuzników, z których każdy zwać się będzie *kaukarius*. Że lud dotychczas wzgórze nazywa *kaukaras* znając na to inną nazwę *kalnelis* (*kalnas*, góra; *kelti* wznosić), to ma poczęści słuszność, bo tym mianem chce wskazać, że tam spoczywają bojowie, którzy kiedyś bronili jego ojczyzny. A że imię szczególne najczęściej przechodzi u ludu w imię ogólne, jak u owego wiarusa, co każde miasto nazywał Krakowem a każdą rzekę Wisłą; to nie powinno nas zadziwiać, że Litwinowie na wzgórze *kaukaras* bez względu czy ono jest mogiłą wojnow.

Cygów, d. 8 paźdz. 1857.

M. Akielewicz.

cy piszą, wyprowadza od sanskr. *ja* i *gaitus*, okrutny, żaloszny, dzielny. Najprawdopodobniej pochodzi on od *jegti*, mieć siłę, zdołać, tak jak od *uđdengti* mamy *uđdangatas*, przykrywadło. Albo mógł p. M. bez odniesienia się do sanskrytu przyjąć ten wyraz za złożony z *je* i *gaitas*, biorąc pierwszy w znaczeniu przysłowka *bardzo* (comp. *jojaus*, bardziej—w loty-skim *ja* ze słowem tworzy *modus necessitatis*), a ostatni wywodząc od *gailati*, żalować, gdyby szło o *Jagailas*; lecz jeśli ma być *Jagałas*, to pierwiastkiem drugiej części będzie *gailati*, móżdż. W takim razie *Jagailas* znaczy zbyt żaloszny, nader czuły, tkliwy. A może Litwiini nadali takie imię swemu księciu przez wzgląd na jego czuły charakter; boć wiemy, że Jagiełło lubił słuchać śpiewu słowika i pieśni Stan. Ciołka. Drugie zaś imię *Jagałas* znaczyłoby: bardzo możny, mocarz.



## WIADOMOŚCI

### na drodze postępu nauk przyrodzonych.

#### OSON CZYLI KWASORÓD NAELEKTRYZOWANY.

(Sprawozdanie z dziełka: *L'Ozone ou recherches chimiques, météorologiques, physiologiques et médicales sur l'oxygène électrisé, par H. Scoutellen, professeur en Médecine, Médecin-chef de l'hopitale militaire de Metz etc. etc. etc. Paris, 1856, chez Victor Masson; 1 tom, Stron. 287 z 7 tablicami*).

Ktokolwiek zastanawiał się nad naukami fizycznymi, ktokolwiek, nie mówię już badawczém i umiejętném, ale tylko ciekawém i z braku wszelkiej o świecie zewnętrznym myśli nie zupełnie osłupiałém i w gnuśném odrętwieniu pogrążoném okiem, poglądał na pełne dziwów przemiany i zjawiska, dziejące się w przezroczystej kuli otaczającego nas powietrza; ten musiał koniecznie zapytać umiejętności, a w razie niemożności sięgnięcia do jej skarbów, własnego doświadczenia i własnego rozumowania, uzupełnionego częstokroć uogólnieniami nieoświeconej fantazyi, o ich przyczyny. Ale jeżeli niekierowany głęboką nauką, samorodny, że tak powiem pogląd, nie daje, bo dać nie może zadowalniających odpowiedzi w przedmiocie zjawisk tak zawilych i od tylicznych wpływów zależnych, jakimi są fenomena meteorologiczne: to i z drugiej strony najsumienniejsza i najgłębsza uczoność w granicach dzisiejszój swój w naukach fizycznych wiedzy, nie rozwiązuje ich w sposób zadowalniający. Jakież są przyczyny tego cichego i spokojnego stanu atmosfery, tego stanu tak lubego, że nam mi-

mowolnie już nie ziemską, ale niebiańską szczęśliwość na myśl przywodzi; dlaczego ta błogość nie trwa wiecznie, ale się przemienia, to w ożywiającej roślinności deszcze, to w chroniącej ją od wyniszczenia przez mrozy, śniegi; dlaczego po ciszy i uroczym przezroczystym stanie nieba, jaki jej towarzyszy, nastają te złowrogie i straszące swem poszarpaniem i dziwacznymi kształtami chmury, dlaczego im towarzyszą to grady lub nawalnice, to grzmoty i pioruny. I z kąd się biorą te okropne trąby, co jak olbrzymie wampiry krew i życie wysysają z ziemi?

Na to wszystko umiejętność dała odpowiedzi niezupełne, sięgające zaledwie najbliższych, prawie tylko powierzchniowych przyczyn, a nie wnikające w głąb rzeczy i w oddalone rzeczywiste racje ich stawania się i istnienia; przyczyny luźne i nie pozwalające przypuszczać nawet, aby kiedyś meteorologia zrosła się w jedno umiejętność ciała. A przecież zjawiska te swym częstym powrotem, a jeszcze więcej swym wpływem jako wywierają na świat roślinny, interesem jako do nich nietylko pojedyncze indywidua, ale nawet cała przywiązuje ludzkość, zasługują na baczną uwagę i gruntowne rozstrzygnięcie. I nie myślny, aby powyżej stawiane kwestye jedynie wątpliwymi w meteorologii były; są one przypadkowo wyrwane z pomiędzy zjawisk atmosfery, która rodzi i inne nie lepiej w swych rzeczywistych określonych przyczynach. Nie radbym rozwiłczył ten spis niepewności naszych, więc go zakończę wspomnieniem, że i dzienne wahania barometru dalekie są od gruntownego wytłumaczenia; a te krainy wiecznych burz, że tak rzekę, obok innych, gdzie znowu żadne gwałtowne wstrząśnienia nie zakłócają ciszy, czyż nie warte, aby podano istotne przyczyny ich wyjątkowych i odskokowych stanów, od tego, co się na całej kuli ziemskiej dzieje?

Słowem, w stanie dotychczasowego rozwinięcia meteorologii, możemy ją wraz z W. Herschellem porównać do romansu zawilego i ciemnego, lubo przepelnionego wstępnymi w najwyższym stopniu zajmującymi. I następcza się samo przez się pytanie, dlaczego rozum ludzki w swą wytrwałą płodność nie pokonał trudności, do której sam niezmierną przywiązywał wartość? A dalej, czy jego potęga, bijąc głową w mur napotkanych zawad, cofnie się przed nimi upokorzona. Na pierwsze pytanie mamy odpowiedź w ogólnym stanie nauk śledzących przyczyny stawania się tego, co istnieje; wszystkie są w związku, żadna nie sięgła do głębokich ogólnych racji. Bo krok

ten poprzedzić musi inny nieskończenie ważny, a przytém nadzwyczaj trudny i mozolny: poznanie i spisanie tego co istnieje, czyli tego co się już stało. Nie rozrywając uwagi naszej, rozważaniem innych umiejętności przyrodzonych lub na nich zbudowanych zastosowań, przypatrzmy się powyższej prawdzie w zastosowaniu do meteorologii. Nie wiele doświadczeń meteorologicznych poza zeszyły wiek sięgają: bo jeżeli pominiemy spostrzeżenia żeglarzy i uczonych, igły magnesowej dotyczące, i zapiski liczne o stanie atmosfery i klimatach; to pierwsze spostrzeżenie wahań dziennych barometru, uczynione zostało przez Beale r. 1666; a przed Franklinem skąpe były wiadomości nasze o elektryczności atmosferycznej. Zważmy ileto trudności napotyka zebranie jednego tylko rodzaju doświadczeń, w jednym tylko miejscu, a zebranie tak zupełne, iżby do ogólnych prowadziło wniosków: jak te jednomiejscowe spostrzeżenia mnożyć się w tysiącznych powtórzeniach muszą, aby objęły kulę ziemską w rozmaitych jej klimatach, lądowych lub morskich położeniach; w rozmaitych wysokościach ziemskiego położenia lub napowietrznego wzniesienia, iżby dały wypadki niezależne od przypadkowych zagmatwań, wstrząśnień lub obcych wpływów. Dodajmy, że zaledwie rządy zaczęły popierać i ułatwiać regularne i systematyczne obserwacye meteorologiczne, a podziwiać raczej będziemy bogactwo nagromadzonych materyałów, aniżeli nad ich niedostatkami utyskiwać.

Jeżeli w meteorologii trudne jest i mozolne sporządzenie ogólnego inwentarza tego co istnieje, to natomiast wysledzenie przyczyn stawania się, szybko poczynione spostrzeżenia uzupełniają i wiążą. Bo chemia, a jeszcze więcej fizyka umiejętną jej podstawę stanowiącą, są naukami wysoko już posuniętymi i zdolnemi z pojedynczych trudności zdać sprawę; jeżeli zaś jaka szczerba, jaki niedostatek się zdarzy w umiejętnym zapatrywaniu się na atmosferyczne przemiany; to oskarżamy o to albo niedokładność i niedostateczność spostrzeżeń, albo brak w samémże rozwinięciu umiejętności fizycznych. Pierwszemu niedostatkowi zaradzają pracownicy gromadzące się materyały, a drugi w głównej części zdaje się być zniesionym wynalezieniem ozonu i jego własności.

Jeszcze w r. 1839 Schoenbein z Bäle uderzony jednostajnością zapachu, jaki rodzi elektryczność z kołców rozplywająca się w powietrzu, a powstałego przy rozkładzie wody pod wpływem stosu, na ten przedmiot zwrócił uwagę swoją. Przyczyną

tego zapachu zdawało mu się ciało pojedyncze, do ciał haloidalnych zbliżone, którego zapach za główną biorąc własność, nadał mu nazwisko ozon: wyraz pochodzący od imiesłowu terażniejszego, greckiego słowa wachać. I stało się z nazwiskiem ozonu, podobnie jak z nazwiskami tysiącznych innych przedmiotów, przed swą dojrzałością w hierarchii umiejętnej znamionowanych. Za dojściem do pełnoletności przedmiot czém inném się okazuje aniżeli w młodości, a przecież mu zostaje dawna nazwa niestosowna lub fałszywa, gdy ją porównamy z rzeczywistemi przymiotami rzeczy, którą wyraża. Za szczęście prawie poczytać można, gdy ta nazwa z greckiego języka była wziętą, a przeto w ojczystej mowie nie razi sprzecznością, zachodzącą między przedmiotem a jego orzeczeniem. Tak się stało i z ozonem, który Schoenbein, wziął za ciało pierwotne; później bowiem sam Schoenbein, jak niemniej pp. La Rive i Margriac uważali go jużto za związek z kwasorodu z wodorodem, już też za jakieś połączenie azotu: aż nareszcie pp. Frémy i Bequerell dowiedli, że jest naelektryzowanym kwasorodem, który nabiera własności ozonu, gdy iskry elektryczne z jakiegobądź pochodzące źródła działają na czysty lub w powietrzu zawarty kwasoród, lub gdy ten gaz z rozkładu związków chemicznych powstaje. Przekonany się później o energiczném działaniu chemiczném ozona; teraz zaś nie możemy już mieć wątpliwości o obfitości źródeł początek mu dających, skoro wiemy, że wszelkie atmosferyczne, czy też telluryczne wydobywanie się elektryczności; że wszelkie działanie chemiczne, a zatem każdy akt życia roślinnego lub zwierzęcego jest współczesném tworzeniu się ozonu. A z tych dwóch prawd wychodząc, zaledwie potrzebujemy zwracać uwagę czytelnika na ważność ozonu, nietylko w meteorologii, ale i w fizyologii. Wpływy jego na pierwszą są wydatniejsze, działania rozliczniejsze i lepiej zgłębione, niemniej jednak i jego rola w życiu roślin szczególnie jest ważną, i dostarczaniem wypadkami na szczególną zasługuje uwagę.

Dzielko p. Scoutelten jest ostatnim niejako wyrazem, jaki umiejętność o ozonie wypowiedziała. Streszcza ono i uzupełnia meteorologiczne doświadczenia, a własnymi pracami autora szereg fizyologicznych spostrzeżeń roztwiera, wskazując przytém prawdopodobną użyteczność lekarskich zastosowań.

Zdanie sprawy z dzieła p. Scoutelten rozpoczniemy od własnych słów autora, które dobrze malują niesłychaną wagę, jaką do traktowanego przez siebie przywiązuje przedmiot.

«W oczach naszych (wstęp do dzieła), ozon nie jest prostym działaczem chemicznym, ale narzędziem, którego używa Opatrzność dla sprowadzenia wielkich atmosferycznych zjawisk. Od niego to zawisły prawa elektryczności atmosferycznej, on nam tłumaczy deszcze i inne meteory wodniste; peryodyczne i dzienne wahania barometru; źródła dostarczające powietrzu kwasoród, oddychaniem zwierząt, powolnem ukwasorodnieniem ciał lub ogrzewaniem mieszkań i wielkimi hutniczymi ogniskami spowodowany».

A dalej zastanawiając się nad burzą morską, która 14 listopada 1854 r. na morzu Czarném i innych, tyle okrętów zatopiła, tyle skarbów pochłoneła, tyle pracy i trudów ludzkich w niwecz obróciła, tyle istnień odrazu przecięła i współcześnie w Paryżu i w Bałaklawie czuć się dała, mówi: «blizką jest epoka dojrzenia umiejętności; blizką epoka, w której zrozumieiny powstawanie tych przerażających meteorów, w której cokolwiek uwagi wystarczy do spostrzeżenia ich początku, osądzenia według nich przyszłej rozciągłości i niebezpieczeństw, i ostrzeżenia o ich zbliżaniu się za pomocą telegrafii elektrycznej, mieszkańców najodleglejszych krain».

«A jeżeliby komu te widoki przyszłości przez samę cudowność spodziewanych wypadków złudzeniem wyobraźni się wydawały, to niech śledzi wypadki łatwiejsze i bliższe, niech bada ozon w stosunku do roślin i zwierząt; a i tu znajdzie ciało to wywierające swój wpływ na istoty przyrodzone, raz budzące życie, to znowu sprowadzające choroby i śmierć».

«Ujrzymy chemią znajdującą w działaniu ozonu trudne do wytłumaczenia zachowywanie się ciał w chwili, w której opuszczają dotychczasowe związki. On się stanie dla higieny środkiem oczyszczającym miejsca miazmatami zarażone; dla medycyny przyczyną najstraszliwszych epidemij, albo środkiem uzdrawiającym w chorobach, których dotąd leczyć nie umiała; dla rolnictwa źródłem ulepszeń, które zwiększą urodzajność ziemi i ilość plodów ziemskich. Oto jest krótkie ocenienie ważności ozonu».

W tém ocenieniu posądzić można p. Scoutelten o zbytęczne przecenianie przedmiotu, którego niesłychaną ważność w życiu kuli ziemskiej i ludzkości, nauczyły go oceniać jego własne prace, poparte tysiącznemi spostrzeżeniami i doświadczeniami licznych uczonych. ten sam przedmiot zgłębiających, o zbytęczne rozmiłowanie się w własnym umiejętnym tworze.

Ciąg jednak sprawozdania przekona nas, że większa część twierdzeń zawartych w tej pochwalnej o ozonie mowie, zupełnie są uzasadnionemi, że nadewszystko meteorologii dodaje on kleju, który w znacznej części kupi rozpierzchle jej części, a «interesujące epizody» wiąże i zrozumiałemi czyni, i fizyologią wprowadza na nowe pole poszukiwań, których owoce w medycynie, higienie i rolnictwie, pewne, może bardzo wielkie mieć będą zastosowanie.

Aby wpływy ozonu w zjawiskach powietrznych i życia istot zrozumiałemi uczynić, musimy je poprzedzić pobieżną wzmianką o chemicznych jego własnościach.

Ozon pod wielą względami różni się od kwasorodu zwyczajnego; odróżnia go przedewszystkiem zapach mocny, znany tym wszystkim, którzy mieli do czynienia z elektrycznością z końców ostrych w kształcie iskier rozplywającą się po powietrzu. Ale silna władza ukwasorodniania najbardziej na uwagę zasługuje. Związek jodu z potażem rozkłada on w zwyczajnej temperaturze, jak niemniej wszystkie metale, jakoto srebro i merkuryusz zamienia na niedokwasy. Własność ta służy do wysledzenia i wykazania bytności ozonu w poszukiwaniach wszelkiego rodzaju. Jeżeli bowiem do rozczynu jodku potassium dodamy krochmalu, którego niebieskie połączenie z jodem każdemu znane, to w skutek działania ozonu, potassium ukwasorodni się, a rozpuszczone w wodzie dozwoli wolnego działania jodowi na krochmal: ich połączenie w najdrobniejszej, prawie w niedostrzegalnej istniejącej ilości nada rozciekowi kolor niebieski, którego ukazanie się będzie zatem dowodem bytności, a moc większej lub mniejszej ilości ozonu. Ten sam odczynnik stosownie przez p. Schoenbeina zmodyfikowany i do poszukiwań atmosferycznych zastosowany, podał w ręce badaczy prawdziwą próbę ozonową czyli ozonomierz. Dziesięć stopni ta próba zawiera: stopień 0, jest czystym białym papierem, stopień 10 papierem najmocniejszego koloru, jaki działaniem jodu na krochmal otrzymać można; pośrednie stopnie i kolory, przez pośrednie coraz słabsze otrzymuje się działanie.

Nie łatwiejszego jak użycie w meteorologii tej próby. Wstawki bowiem papieru poprzednio mieszaniną jodku i krochmalu pociągnięte, wystawia się po wysuszeniu na działanie powietrza, które w miarę ilości ozonu jaką zawiera, większą lub mniejszą ilość potassium, listewki na potaż zamieni, a zatem większą lub mniejszą ilość jodu ze związku uwolni. czyli

ostatecznie nada listewce kolor odpowiedni wyższemu lub niższemu stopniowi próby. W użyciu ozonomierza, zgodzili się badacze, aby dla otrzymania porównawczych pomiedzy sobą wypadków, listewki wspomniane przez dwanaście godzin na wpływ powietrza wystawiać, a potem zanurzyć w wodzie. Bez tej bowiem ostrożności rzeczywisty i uskuteczniiony wpływ ozonu nie byłby widocznym; woda dopiero rozpuszcza potaż i dozwala krochmalowi połączyć się zupełnie z jodem; bez niej zaś połączenie to miałoby miejsce wprawdzie, ale tylko w ilości odpowiedniej wilgoci powietrza.

Opisany ozonomierz lubo w powszechne wszedł użycie, nie odpowiada warunkom ścisłego narzędzia: nie mierzy bowiem, ale tylko wskazuje ilość ozonu, który nań wpływa nie tylko w prostym stosunku ilości swojej, ale i w odwrotnym prędkości powietrza. Słuszną jednak p. Scoutelten robi uwagę, że budowa dokładnego ozonomierza nie może uleść trudnościom, skoro wiadomo, że ozon powietrza działając na srebro lub miedź, wyczerpuje się całkowicie, zamieniając je na niedokwasy: waga przeto utworzonych kwasorodków miedzi lub srebra, ostrzeże nas o ilości ozonu.

Ozon odfarbowywa roślinne farby, łączy się bezpośrednio z chlorem, bromem i jodyną; niszczy kwas wodorodny siarkowy, zamienia kwas siarkowy, saletrowy na siarczany i saletrzany; wiele siarczyków przeistacza na siarczany. Woda go rozpuszcza, a wiele bliższych pierwiastków organicznych pochodzenia zwierzęcego, jakoto: albumina, kazeina, fibrina, krew i t. d. chciwie go polykają. Czysty naelektryzowany kwasoród i ozon powietrza jednakie posiadają własności. Oba w skutek swęj ukwasorodniającej władzy niszczą miazmata powietrza, a w działaniu na ekonomię zwierzęcą sprowadzają kaszel, zaduszenie i śmierć. Ozon w temperaturze 250 stopni lub w zwykłym ciepłe w przytomności węgla, zamienia się na zwyczajny kwasoród.

Działanie ozonu na ekonomię zwierzęcą tak jest silne, że powietrze najmocniej ozonem przejęte, w kilka minut mysz, a w dwie godziny królika o śmierć przyprawia. P. Schwarzenbach robił doświadczenia swoje z królikami w walcu objętości 60 litrów. Ta ilość powietrza ozonem przejętego, 17 centigramów srebra zamieniała na niedokwas, którego powstawało 20 centigramów; trzy więc centigramy ozonu, w 60 litrach powietrza stanowiące  $\frac{1}{2000}$  jego część, tak zgubne w skutek swęj władzy ukwasorodniającej sprowadzają skutki. Aby nie po-

wstała wątpliwość, czy zwierzęta w walcu zamknięte nie w działaniu ozonu, lub w nienormalnych warunkach życia śmierć znalazły, inni obserwatorowie jak Boeckel w Strasburgu, wystawiali je na działanie wolno przepływającego powietrza ozonowego i do tych samych doszli wypadków, które postawione obok niemniej energicznej własności, jaką ozon posiada, niszczenia wyziewów czyli miazmatów powstałych z ciał gnijących, dadzą najwymowniejsze świadectwo jego higienicznej ważności.

P. Schoenbein bowiem w naczyniu 60-litrowém, którego powietrze tak dalece było nasycone ozonem, że wprowadzony weń papier ozonomierza, w mgnieniu oka przybierał ciemnoniebieską 10 stopnia farbę, umieszczał i przez 9 godzin zostawiał 8 łutów w zupełném gniciu będącego mięsa; a przez cały ten czas zawarte powietrze najmniej przykrego nie wydawało zapachu, gdy równocześnie papier ozonomierza dowodził ciągłego i postępowego ubywania ozonu. Dopiero gdy ten całkowicie spotrzebowanym został, w kilka chwil zgniłym zapachem przejęło się powietrze. P. Schoenbein przypuszcza, że użyte mięso w przeciągu jednej minuty 60 litrów powietrza przesyć smrodliwym zapachem i zarazić miazmatami może; przypuszczenie to nie jest ponad rzeczywistością, a zatem daje, że przez 9 godzin  $60 \times 60 \times 9 = 32,000$  litrów zostało i zepsutemi i oczyszczonemi przez ozon, w sześćdziesięciu tylko litrach zawarty.

P. Schoenbein niezgodnie z obrachunkami p. Schwartzenbach znajdował w 60 litrach, czyli 78,000 miligramach powietrza, 13 tylko miligramów ozonu, a zatem ozon zawarty w pewnej objętości powietrza i tylko  $\frac{1}{6000}$  jego cząstkę stanowiący, oczyszcza z najobrzydliwszych i najzjadliwszych wyziewów ilość powietrza 540 razy większą od ilości użytej.

P. Scoutelten na wiosnę 1856 r. liczne czynił doświadczenia w małych zamkniętych przestrzeniach, lub w wielkich salach szpitala wojskowego w Metz, któremi wykazał, że ozon oczyszcza powietrze ze smrodliwych wyziewów z rozkładającego się mięsa lub nagromadzonego na kupy gnoju pochodzących, że zatem działa na wywiązany amoniak, wodoród węglowy i wodoród siarkowy.

W uzupełnieniu tych uwag nad chemicznymi własnościami ozonu, wspomnijmy, że z jakichkolwiek dotąd otrzymany źródeł zawsze był elektro dodatnim; a z kwasorodu związków wychodzący takim być musi, więc z pewném prawdopodobieństwem



stwem wnosi p. Scoutelten, że elektro-ujemnego ozonu znać nie będziemy.

Ozon swe własności elektryczne długi przeciąg czasu przechowuje; nie traci ich w zetknięciu z wilgotnym nawet powietrzem, jakby opatrzna natura uposażyła elektrycznością kwasoród, iżby razem dobroczynny wpływ wywierały niszczeniem i paleniem miazmatów, roznoszących po świecie febry i gorączki lub straszliwe epidemiczne zarazy.

Ozon czysty lub powietrze ozonowe, rozlicznymi sposobami otrzymuje się w laboratoryach. P. Schoenbein laseczki fosforu nawpół w wodzie zanurzone umieszcza pod zwykłym szklanym balonem; para fosforu z kwasorodem powietrza tworzy kwas fosforyczny, który swym rozpuszczeniem w wodzie daje początek elektryczności ozonizującej powietrze. Ale dziwne są ostrożności, które zachować należy. Temperatura powietrza niższa od 0, zgęszczenie powietrza, przytomność niektórych gazów, jakoto dymów saletrzanych, utrudnia lub niepodobnia tworzenie się ozonu; gdy przeciwnie rozrzedzenie powietrza lub domieszanie wodorodu ułatwia je. Rozkład wody przez stos daje początek ozonowi, równie jak i bezpośrednie działanie iskielektrycznych na kwasoród. Powstaje on wreszcie z działania kwasu siarczanego jeden atom wody zawierającego, na drugi niedokwas barium, równie jak i przy innych nagłych tego rodzaju rozkładach; w rozkładach zaś powolnych uwolniona elektryczność zanadto opieszale działa, iżby kwasorodowi własności ozonu udzielała.

PP. Frémy i Becquérél w rozlicznych a pracowitych doświadczeniach wykazali, że ciało w skutku tych wszystkich działań otrzymane jest jednym i tym samym ciałem; że kwasoród bezpośrednio naelektryzowany te same posiada własności; a wreszcie drogą eliminacji dowiedli, że żadne z ciał i połączeń za ozon poczytywanych nie posiada jego własności, czyli, że ozon jest kwasorodem naelektryzowanym. Prace te uzupełniły chemiczną historią ozonu, którego własności elektryczne tłumaczą działanie rodzącego się kwasorodu, niczym innym tylko ozonem będącego.

Znaczenie jakie ozon ma w meteorologii, winien on naprzód wytrwałemu przechowywaniu swego elektrycznego stanu, którego się tylko na spełnienie chemicznych działań pozbywa, i powtóre swęj władzy ukwasorodniającej. Zachowajmyż dobrze w pamięci te dwie jego własności, abyśmy zrozumieli działanie

jego w dwóch dziedzinach, w którego opisie już krok w krok za wskazaniem dzieła p. Scoutelten postępować musimy.

### *Wpływ ozonu na meteorologiczne zjawiska.*

Pojawy ozonu w atmosferze naszej muszą być w pewnym stosunku i zależności od elektryczności powietrza; źródła nawet obchodzącego nas ciała nie mogą być oddzielnymi od źródeł elektryczności, ale niezbędnie pewną tylko ich częśćkę stanowić muszą. Za źródła elektryczności powietrznej zgodzono się uważać:

1. Rozwijanie się roślin. Sto metrów  $\square$ , czyli przestrzeń wyrównywająca naszym 6 prętom kwadratowym, wydziela w ciągu 24 godzin tak ogromną ilość elektryczności dodatniej, iżby wystarczyła do naładowania najpotężniejszej baterji.

2. Rozkłady chemiczne, o których wpływie na stan elektryczny powietrza powyżej wyobrażenie, przypominając, iż według p. Becquérel ojca, do rozłożenia jednego gramu wody potrzebować należy ilość elektryczności zdolną do zupełnego naładowania baterji, której powierzchnia wynosiłaby 20,000 metrów kwadratowych.

3. Lubo p. Pouillet parowanie wody uważa za potężne źródło naszego płynu, to jednak późniejsze doświadczenia okazały, że nie samo ulatnianie się wody, ale jej oddzielanie się w czasie tworzenia się pary od chemicznie rozpuszczonych w niej soli, daje początek elektryczności. A gdy p. Peltier wykazał, że para tworząca się poniżej  $110^{\circ}$  nie rodzi przez swe powstanie elektryczności, to obowiązani jesteśmy trzecie źródło za niepewne poczytać.

4. Ale poza temi źródłami istnieje jedno daleko potężniejsze: stanowi je ziemia w swém z wodą zetknięciu. Ziemia bowiem posiada znakomity nadmiar elektryczności ujemnej, gdy dodatnia w wodzie się rozwija. A jeśli zgodnie z doświadczeniami p. Peltier ulatnianie się wody nie tworzy elektryczności, zawsze jednak wzbogaca powietrze w zasób elektryczności zawartej w ziemi, czyli ujemnej, a tęp samem wywiera wpływ na elektryczny stan atmosfery. Jakoż p. Peltier zbudował własną teorię, którą napomknąć musimy dla uczynienia zrozumiałemi podanych przez p. Scoutelten przyczyn wielu meteorologicznych zjawisk. Według tej teorii, kula ziemską jest ujemnie

naładowaną, ujemną więc wydziela parę; to wydzielanie wzbogaca dolne warstwy powietrza w elektryczność, która jest z tego powodu w swoim maximum kilka godzin po wschodzie słońca. Nadmienmy, że odpychanie się cząstek jednoimiennych sprzyja i może w kilkornasób powiększa tworzenie się pary, która wznosząc się w skutek działania słońca do wyższych powietrza przestworów, unosi z sobą elektryczność, ogolaca z niej dolne warstwy, tak, że na kilka godzin przed zachodem słońca elektrometry jej minimum wskazują. Od tej chwili tworząca się para nie zdola wysoko się wznosić, owszem zimno strąca ku ziemi parę wyższych warstw, tak, że parę po zachodzie słońca w powietrzu blizkiem ziemi, elektryczność drugiego maximum osiąga, aby wśród nocy, a raczej przed wschodem słońca po skropleniu zawartej pary nowe minimum przedstawić.

Pan Peltier okazał nadto, że chmury szare lub siwe są ujemnemi, a białe, różowe i pomarańczowe, elektro-dodatniemi, i odtąd znalazł się w posiadaniu łatwego sposobu stwierdzenia swjej teoryi na szybko zmieniających się chmurach, w bliżkości pochyłości gór wielkich. Teoryi p. Peltier zarzucić można, że nie zdaje sprawy z działania elektryczności dodatniej przez rośliny wydzielanej; zawsze jednak tłumaczy ona objawy i wzajemne wpływy płynów elektrycznych powietrza, które część jego kwasorodu na ozon zamieniać muszą.

Peltier używając elektrometru gładką zakończoną kulą, dostrzegł, że wszelkie jego wzniesienie rodzi zboczenie od dodatniego, a wszelkie znizienie od ujemnego płynu pochodzące. Zboczenia te zależą od elektryczności ziemskiej przez natchnienie działającej, a nie dowodzą bynajmniej bytności w warstwie przez elektrometr zajmowanej płynu, jaki to narzędzie pokazuje. Elektrometr bowiem nie gładką kulą, ale kolcami uzbrojony żadnej przemiany w napięciu elektryczności nie okaże: a dowodzi z jednej strony, że wskazania elektrometru zależały od rozkładu w skutek natchnienia jego naturalnych płynów, które skoro tylko kolcami wolny odpływ w powietrze znajdują, nie objawiają się w użytych narzędziach, a z drugiej wskazuje wpływ jaki przez natchnienie płyn elektryczny mieć może na stan elektryczny atmosfery. Liczni fizycy, a mianowicie p. Quetelet z Bruxelli w uzupełnieniu prac p. Peltier liczne czynili doświadczenia, używając przez niego zbudowanego, a w obszernych fizykach elementarnych opisanego elektrometru. P. Scoutelten

treść tych prac w tablicach i objaśniających je przypisach podaje. Dla użytku naszego wystarczy przytoczenie wypadków głównych; według nich:

1. W styczniu maximum, a w lipcu minimum elektryczności atmosfera zawiera.

2. Stan pogodny lub pochmurny nieba nie modyfikuje prawa tego. W ciągu jednak całego roku, z wyjątkiem czerwca i lipca, elektryczność powietrzna miała wyższe napięcie pod niebem jasnym, aniżeli w czasie pochmurnym; w styczniu ta różnica jest najwydatniejszą.

3. W czasie mgły i śniegów, elektryczność jest silniejszą, aniżeli w chwili padania deszczu.

4. Kierunek wiatru wpływa na stan elektryczny powietrza.

5. Więcej jest deszczów dodatnich jak ujemnych.

6. W czasie burz i grzmotów elektryczność nie jest w najwyższym napięciu, lubo tym zjawiskom początek daje. Niedawno jeszcze dla wytłumaczenia błyskawic i piorunów, współistnienia dwóch przeciwno-imiennych chmur potrzeba było; a lubo podróźni o gromach z pojedynczej chmury bijących świadczą, to jednak sam Arago w rozprawie o grzmocie przytacza tylko ich wiarogodne podania, ale nie stara się przytoczonych faktów pod żadną umiejętną podciągnąć teorią. Dopiero przez p. Peltier dostrzeżona elektryczność ujemna ziemi łatwo zdaje sprawę z tego zjawiska.

7. Dodając wiadomości statystyczno-geograficzne o ilości burz, zamknęlibyśmy zapas naszych wiadomości o elektryczności. Gdy jednak na ten przedmiot później powrócić będziemy musieli, teraz więc go pominiemy, aby ująć w ciąg praw powstawania ozonu, i według nich przystąpić do rozjaśnienia meteorologicznych zawiłości.

Pan Boeckel ze Strasburga, królewieckie medyczne towarzystwo, wreszcie sam p. Scoutelten najlichniesze w tym względzie przedsięwzięli prace, których wypadek jest następujący:

1. Pojawy ozonu w rozmaitych wysokościach. Z postrzeżeń bardzo licznych p. Scoutelten, czynionych w mieście Metz lub w jego pobliżu, wypada: że w ludnych miastach ozon tylko podczas wyjątkowych okoliczności daje ślady bytności w wysokościach nie wiele nad ziemię wzniesionych; że na wysokich pomnikach i budowlach miasta ilość ozonu wzrasta w stosunku wzniesienia; że na wierzchołkach wysokich gór, w wyniosłości 3 lub 4 metrów tyle się pojawia ozonu, ile go zaledwie znaj-

dujemy o 80 lub 100 metrów ponad poziomem płaszczyzn lub nizin; że na pochyłościach boków gór większe lub mniejsze jego nagromadzenie zależy od rozlicznych przyczyn; że ponad wodami bieżącymi czy stojącymi, w małych wysokościach, tyle lub więcej nawet znajduje się ozonu, jak we wzniosłych warstwach atmosfery; że jednem słowem ilość ozonu w rozmaitych wzniesieniach nie od samego wzniesienia, ale od zbiegu ubocznych zawisła wpływów.

2. Pojawy ozonu ponad wodami. Wiemy z jednej strony, że w zetknięciu wody z ziemią, pierwsza dodatnio, a druga ujemnie się elektryzuje, a z drugiej doświadczenia p. Clemens okazały, że 33 centymetry powierzchni wodnej, wydzielają w przeciągu 24 godzin, sześć centymetrów sześciennych kwasorodu. Kwasoród ten napotykając pomienioną elektryczność tworzy z nią ozon, którego istnienie przez wielu dostrzegaczy wskazane, pobudziło p. Scoutelten do licznych doświadczeń w ciągu 1856 r. wykonanych, które zupełnie wyjaśniły wszystkie szczegóły, dotyczące się tego obfitego źródła ozonu atmosferycznego. P. Scoutelten obserwował wydzielanie się kwasorodu z wody zawartej pod kloszami, zawierającymi papier ozonomierza i zawsze stawiał doświadczenie swoje w warunkach rzeczywistej experimentalnej metody, to jest oddzielał okoliczności, których wpływu śledził, od wszelkich ubocznych. Doświadczenia te (str. 129 do 136) doprowadziły go kolejno do następnych wniosków: wszelka woda (deszczowa, rzeczna, czy źródłana) daje początek ozonowi w kloszach od ziemi odosobnionych, a zatem niezależnie od wpływu jej elektryczności: w ciągu dnia i przy świetle słonecznem tylko woda wydziela ozon; a w czasie nocy lub pod kloszami grubem przykrytemi płótnem, wydzielanie to zupełnie ustaje. Wodą dystylowaną nie wydziela ozonu, który przeto pochodzić nie może z rozkładu wody, ale ma jedyne źródło w powietrzu, w wodzie rozpuszczonej, a jak nam wiadomo w kwasoród bogatym; woda słona lub morska nie daje początku większej ilości ozonu, aniżeli wody zwyczajne; wreszcie temperatura na tę ilość nie wywiera wpływu. Wypadki te, które pracom p. Scoutelten zawdzięczamy, jasno postawiły kwestyą ozonu wydzielającego się z wody; kwestyą ważną, gdy sobie przypomnimy niezmierną ilość kwasorodu, jaka wedle Dr. Clemens z tego źródła rozchodzi się i wzbogaca pewne części atmosfery.

3. P. Simonin w Nancy, Boeckel w Strasburgu, Towarzystwo medyczne w Królewcu, p. Scoutelten w Metz, nareszcie rozmaici obserwatorowie w Algierze i po innych miejscach starali się wykryć pojawy ozonu w rozmaitych dnia godzinach. Wypadki ich prac zawarte w kilku tablicach streszczanego przez nas dzieła, nie prowadzą do ogólnych wypadków, a nawet nie mogą być pomiędzy sobą porównywanemi, ponieważ doświadczenia na których są oparte, w zbyt różniących się od siebie przedsiębrane były okolicznościach. Upoważniają one tylko do niektórych wniosków, a mianowicie: w czasie pogody więcej się ozonu w nocy, aniżeli we dnie pojawia; prawo to stanowi wyjątek podczas burzy, padania śniegu, lub w chwili gdy wiatr północny zmieniając kierunek, północno-zachodni przybiera; w miastach także często dzienne powietrze bogatszym bywa od nocnego, z czego znowu wynika, że prawa dziennych pojawów ozonu i elektryczności są zupełnie odmienne.

4. W odniesieniu ilości ozonu do stanu nieba, Towarzystwo medyczne królewieckie i pan Wolf z Berna przyszli do rezultatu, że oznaczywszy przez 6,9 ilość ozonu powietrza w czasie pogody, to wznieś się ona do 8,9 podczas deszczu, a do 10, 1 w dniu spadania śniegu. Spostrzeżenia jednak autora obchodzącego nas dziełka na większą zasługują bacność; wynika zaś z nich, iż czystość nieba jest tylko pośrednią przyczyną ubóstwa powietrza w ozon, że zaś istotną stanowi brak wilgoci. Śnieg i grad sprzyjają tworzeniu się ozonu, równie jak deszcz spadający po burzy, lub deszcze mocne pewnemi przestankami przerywane: deszcze zaś ciągle i mszyste, lub mgły, przeciwnie wywierają skutki.

5. Temperatura odmienny wpływ wywiera na ilość ozonu, aniżeli na ilość elektryczności atmosferycznej; prawa jednak pierwszej nie są wydatne, bo z doświadczeń czynionych w Nancy i Strasburgu wynika, że pięć średnich, letnich i zimowych obserwacyj, dały trzy średnie letnie znacznie wyższe od odpowiednich im zimowych, a dwie tylko zimowe lekko przewyższały wypadki letnie z tych samych lat; ogólna jednak wypadkowa obserwacyj letnich znacznie wyższą była; wreszcie umiarkowane pory roku okazywały statecznie pośrednie pod względem ozonu bogactwo.

6. W miastach ozon obficie się pojawia w miejscach ogrodami zarosłych, a prawie całkiem go niedostaje w bli-

skości amoniakalnych wyziewów. Godnym uwagi pod względem higieny jest stateczny jego brak w mieszkaniach ludzkich.

7. Pola pokryte roślinami wielką ilość ozonu produkują, tak, że nad niemi umieszczony papier ozonometryczny, w przeciągu dwóch godzin mocno niebieską przybiera farbę. P. Scoutelten zjawisko to poddał pod szereg systematycznych doświadczeń; konieczna w pełni rozwijania się swego wystawiona pod kloszem na działanie ciepła i światła, nie kwasoród jak sądzono według dotychczasowych fizyologicznych wiadomości, ale ozon wydziela; wydzielanie to nie ma miejsca ani w ciągu nocy, ani nawet i w dzień w czasie usunięcia rośliny zpod działania promieni słonecznych. Rośliny w czasie swego rozwijania tak wielką ilość wody ulatniają, że podług doświadczeń p. Bousingault, hektar (przeszło dwie wielkie nasze morgi) zasadzony główkami kapusty o 50 centymetrów odległości, może w 12 godzin ulotnić 20,000 kilogramów czyli 20 metrów sześciennych wody. Ta ilość zadziwia imaginacją i domniemywać się każe nadzwyczajnie wielkiej ilości z tego źródelka pochodzącego ozonu. Pozostała tylko wątpliwość co do udziału, jaki się w jego utworzeniu samymże roślinom należy i na ten punkt wątpliwy p. Scoutelten rzucił rzetelne swojemi pracami światło. Pod dwoma kloszami wystawił on na działanie promieni słonecznych i kilkunastostopniowego ciepła samą wodę, jak niemniej wodę, na której pływały świeże liście bzu; druga na schyłku dnia utworzyła banię powietrzną cały wierzch klosza zajmującą, w pierwszej zaś powstało tylko kilka kulek powietrznych, za ledwie w połączeniu do wielkości ziarnka soczewicy dochodzących.

Jak więc w ulatnianiu się wody atmosfera czerpie swój zapas ozonu, tak rozwijanie się roślin drugie jego obfite źródło stanowi. Jakoż ziemia z roślin ogolona za ledwie ślady ozonu wydziela, a ziemia przez wysuszenie całkiem wilgoci pozbawiona, najniżej jego nawet ilości dać początku nie jest w stanie.

Tem dopiero nudném i mozolném wyliczeniem stanęliśmy w możności postępowania za p. Scoutelten w podanych przez niego tłumaczeniach różnorodnych zjawisk meteorologicznych, czyli używając szumnego a niewłaściwie przez autora użytego wyrażenia i tytułu, zgłębienia fizjologii kuli ziemskiej. Rzecz to wedle wstępnego zapowiedzenia mojego najinteresowniejsza z rozważanych przez nas przedmiotów; i w obec tegoż interesu

wybaczyc mi powinien czytelnik dotychczasowe nużące, ale i pouczające wyliczenia i opisy, i to tém bardziej i tém konieczniej, iż bez nich dalszy ciąg opowiadania stałby się zupełnie niezrozumiałym.

Nasamprzód zdaje autor sprawę z dziennych odmian w stanie elektrycznym nieba zachodzących. Uprzytomnijmy sobie prawa tych przemian, a do wytłumaczenia ich zadawalniającego ze wszechmiar wystarczy nam wzgląd na sposoby powstawania ozonu i rozchodzenia się jego po atmosferze. Kwasoród powstający przy parowaniu wody, rozwijaniu się roślin lub działaniach chemicznych, wiemy, że jest ozonem, ale kwasoród jako cięższy od powietrza niezmiennieby jego dolne zajmował warstwy, gdyby powstająca z ziemi para wodna, nie unosiła go z sobą do wyższych przestworów atmosfery. Ozon dodatni, statecznie ujemna elektryczność ziemi i ich wzajemne oddziaływanie wystarczają i do wytłumaczenia wielu zjawisk meteorologicznych, i do zaprowadzenia w tych tłumaczeniach jedności, która jest zawsze koniecznym warunkiem, a w wielu razach i cechą świadczącą o umiejętnej podstawie nauki.

Para i ozon po wschodzie słońca w wielkiej się tworzą ilości i są powodem pierwszego elektrycznego maximum; koło południa para dolnych warstw z powodu ich ogrzania, wraz z ozonem do górnych się przenosi, a wysuszona ziemia w daleko je mniejszej, aniżeli rano tworzy ilości. Dlatego koło drugiej z południa powietrze w zwykłych okolicznościach minimum elektryczności wskazuje. Blisko zachodu słońca ostudzone powietrze ku ziemi sprowadza ozon w sobie mieszczącą parę, i sprawia, że na wyniosłościach zwykłych obserwacyj naszych, drugie maximum elektryczności we dwie godziny po zachodzie słońca koniecznie nastąpić musi, aby po skropleniu pary powietrznej, czyli przed wschodem słońca, przez nowe minimum dać się zastąpić.

Tego ogólnego rozumowania p. Scoutelten nie popiera dostatecznymi specjalnymi doświadczeniami. Zamieszczając tę uwagę, nie chce, aby z niej jakakolwiek wina na pracowitego spływała autora; bo niedostatek spostrzeżeń jest prawie niezbędnym wynikiem nowości przedmiotu. Zastępuje on je o ile możności dowodzeniem; mówi bowiem (str. 205), «jeżeli teoria naszego dziennych przemian elektrycznego stanu atmosfery jest prawdziwą, to powinno się sprawdzić domniemanie, że elektryczność dodatnia obfitą być powinna w częściach atmosfery



zawierających wiele pary wodnej, a ujemna wznagać się wśród przeciwnych okoliczności».

Z doświadczeń p. Quetelet wynikają wnioski przychylnie temu twierdzeniu: w czasie tylko wstrząśnień atmosfery, elektryczność ujemna pojawia się w pobliżu ziemi, a w miarę wznoszenia się w powietrze pp. Biot i Gay-Lussac w swęj balonowej podróży, nietylko stopniowe zmniejszanie się wilgoci, ale i współczesne wznaganie się zasobu elektryczności ujemnej wyraźnie zanotowali. W zimie powietrze blizkie ziemi bogatszem, aniżeli w lecie pokazuje się w elektryczność, bo para wodna z unoszonym przez siebie ozonem, dla braku ciepła nie zdolną jest wnieść się ku górze, i tym sposobem dolne warstwy z elektryczności ogolocić: ozon więc i tłumaczy nam wypadek obserwacyi, i godzi go z uczuciem powszechnem i z nauką, które przyczynę burz i grzmotów w elektryczności upatrując, większej jęj ilości w miesiącach letnich spodziewać się każą. I późniejsze doświadczenia to przewidzenie sprawdzić muszą: wykazując niechybnie, że zimowa obfitosć ozonu i elektryczności dodatniej blizko ziemi, zastąpioną jest w letnich miesiącach większem bez porównania bogactwem ogólnego stanu atmosfery.

Pioruny, grzmoty i błyskawice zależąc od gry przeciwno-odmiennych elektryczności, nie mogły być powodem nowych wyjaśnień, ale burze i rozliczne ich pojawy w działaniu ozonu znalazły przyczynę swego istnienia. P. Scoutelten dzieli je:

1. Na małe piorunom dające początek.
2. Na częściowe atmosferyczne burze, i
3. Na burze ogólne.

*Co do pierwszych.* Ograniczona przestrzeń wody, jak pomierne jezioro lub błota, bujna roślinność zresztą pewnej okolicy, rodzą parę wodną i ozon, które umiesione wiatrem w wyższe warstwy powietrza, utworzyć tam mogą małą elektro-dodatnią chmurę, która oddziaływając na ujemną elektryczność ziemi, piorunom jest w stanie dać początek. Fakt piorunu bijącego z małej chmurki wśród powszechnęj nieba pogody, Franklin za niepodobny uważał; późniejsze jednakże spostrzeżenia niewątpliwem, a działanie ozonu zrozumiałem uczyniły. Kule ogniste, o których istnieniu wiarogodni dostrzegacze nas upewniają (jak Arago i inni), a które zdumiewają, to swem powolnem po przedmiotach ziemskich toceniem, to znowu straszliwym łoskotem, nie mogą być czem innem, tylko drobnemi

chmurkami, elektrycznością dodatnią i ozonem ładownemi. Elektryczność ujemna ziemi ich toczenia jest powodem, a chwila niknięcia ognistego meteoru czyli połączenia się przeciwnych elektryczności rodzi huk wspomniany.

*Co do drugich.* Hossard uważał, że zapowiednią burzy stanowią wrzecionowate wzniesienia od chmur niższych ku wyższym idące. Mają one powód w tém, że ozonowe czyli dodatnie chmury dolne przyciągane są przez elektryczność ujemną chmur wznioślejszych. W razie większego skoncentrowania elektryczności następują burze, które między innymi mogą dawać początek piorunom z dołu do góry bijącym, w razie gdy dodatnia chmura na spadzistościach góry spotyka wyżej od siebie położone siedziby ludzkie, posiadające jak cała ziemia elektryczność ujemną.

*Co do trzecich.* Nareszcie ogólne burze w całych krainach czuć się dające, powstają z niezmiernych dodatnich chmur, którym porównanie oceanu daje początek. Chmury te zwykle istnieją w wysokościach 4 do 5000 metrów: wyjątkowo i to nader rzadko oziębienie atmosfery spycha je ku dołowi, tak, że były przykłady nie większego ich nad 300 metrów od ziemi oddalenia. Chmury takie i ku ziemi i ku wyższym ujemnym chmurom ciągłemi biją piorunami.

Z tego przedstawienia rzeczy wynika, że w miejscach samą tylko dodatnią lub samą ujemną wydzielających elektryczność, burze miejsca mieć nie będą; że współczesne powstawanie obu płynów, tworzeniu się burz sprzyja, których ilość rośnie w miarę obfitości źródeł elektryczności przeciwnych. Ta ogólna a tak prosta uwaga zdaje nam sprawę ze wszystkich, doświadczeniem nabytych wiadomości o geograficznej statystyce burz. Jakoż, kiedy w gorących i pierwotną roślinnością okrytych krajach, jak w Rio Janeiro lub w Kalkucie, 50 do 60 dni grzmotnych na rok wypada, to ich ilość w środkowej Europie do 15 lub 20 się zniża; kiedy w Etyopii jeden piorun kilkotsięczne trzody trupem kładzie, to w Spitzbergu podróżni rozbitego okrętu w przeciągu lat sześciu i miesięcy trzech raz tylko grzmot słyszeli. Bo w krainach podrównikowych obficie rodzą się oba płyny, gdy pod biegunem brak roślinności i zimno nie dopuszczające parowania wody tak oba źródła niweczą, że wedle wskazań umiejętności i popierających ją obserwacyj, blisko biegunów grzmot staje się fizykiem niepodobieństwem. Ale i w środkowej Afryce, w której brak ro-

ślinności wszelkiej robi krainę wiecznego władania ziemskiej czyli ujemnej elektryczności, burze muszą być nieznanne, albo przynajmniej bardzo rzadkie; jakoż wiatry mogą tam piaskiem podróznego zasypać, ale huk grzmotu nigdy uszu jego nie doleci. I na pełnym oceanie zdala od wybrzeży, a zatem i roślinności, grzmoty rzadkimi być powinny; stwierdzają to sprawozdania żeglarzy, i tym sposobem nowy dowód dorzucają do tych, które już posiadamy na korzyść uogólnienia wpływu ozonu na meteorologiczne zjawiska.

Bo w rzeczy samej stanowi on wspólną przyczynę i dziennych zmian stanu elektrycznego powietrza, i burz, jakie jego ciszę zakłócają. Słowem, narzuca się on meteorologii, nie aby ją ćwiartować i dzielić, ale, aby spajać i w umiejętność zamieniać. Tę jego rolę podanemi przez siebie tłumaczeniami wykazuje dzieło p. Scoutelten; tę jego rolę już i dla nas widoczną, śledzimy dalej w ziemskiej atmosferze.

Para wznosząca się z wody w powietrze ma postać pęcherzyków, które Kaemtz zbierając na szkło przedmiotowe mikroskopu, zmierzyć potrafił. Według tych pomiarów, ich średnica wynosi około 0,0224 milimetra. Pęcherzyki te według doświadczeń p. Scoutelten tworzą rośliny, lub parująca zwykła woda, ale nie daje im początku woda destylowana, z której gaz lub krople wodne biorą początek. Słowem tworzenie się pęcherzyków pary wodnej towarzyszy niezmiennie tworzeniu się ozonu: a tak naturalną jest rzeczą przypuścić, że te pęcherzyki powlokę jego stanowią i w ich zachowywaniu się w obec różnorodnych zewnętrznych okoliczności poszukać należy przyczyny mgły, chmur, rosy, deszczu, śniegu i gradu.

Te pęcherzyki pary wodnej, jako lżejsze od powietrza, wznosić się muszą. Jeżeli po niewielkiem wzniesieniu ściskają się i pękają pod wpływem zimna i towarzyszącego mu zgęszczenia powietrza, to dadzą początek rosie i mgłom, którym towarzyszy elektryczność dodatnia. Ale pęcherzyki te pod wpływem ciepłych południowych lub południowo-zachodnich wiatrów wzniesić się mogą bez oziębienia, a zatem bez pęknięcia do wyższych warstw powietrza; a napotkawszy tam elektryczność ujemną, pękają dopiero w skutku jej łączenia się z dodatnim wewnątrz siebie zawartym plynem. Spadną wtedy mżyste, powolne, długo trwające, a zwykle elektryczne deszcze. Gdy długo trwająca pogoda pod wpływem wschodnich lub północnych wiatrów, nagle przerwana zostanie południo-

wym lub zachodnio-południowym wiatrem, które dodatnie pęcherzyki nasze raptem przenoszą w elektro-ujemne wysokości; wtedy dwa przeciwne płyny łącząc się, pociągną nagle pęknięcie pęcherzyków, ich skroplenie i utworzenie w powietrzu miejsc próżnych, w które zgromadzi się w wodę już zamieniona para, aby rześystemi kroplami i nawałnym deszczem spaść na ziemię.

Jądra gradu według autora tworzą się w bardzo wysokich warstwach powietrza, w których wielkie zimno panuje. PP. Bixio i Barral, d. 27 lipca 1850 r. znaleźli we wzniesieniu 7004 metrów, 39 stopni zimna. Takiemu lub podobnemu zimnu poddane pęcherzyki pary wodnej, przez raptowne swe wzniesienie popękają i zetną się w lód w mgnieniu oka. Ten spadając z tak niezmiernej wysokości nagromadzi koło siebie i zamrozi napotkane koło siebie pęcherzyki, aż w postaci większych lub mniejszych brył lodu o ziemię uderzy. Bryły te mogły się nie pozbyć swęj elektryczności: wtedy (jak świadczy Bergmann) staną się świecącemi w chwili zetknięcia z ziemią.

Śniegu nie wytłumaczono dotąd w meteorologii; nie jednak łatwiejszego być nie może. Przed jego spadnięciem wiatr północny południowemu ustępuje, a w skutek tego temperatura łagodnieje, niebo pokrywa się jasno-szaremi zgęszczonej pary chmurami; ta zawierając ozon, zachowuje podczas spadania w postaci śniegu kształt pęcherzyków, których ozon jest powodem elektro-dodatnich własności śniegu i słusznie przypisywanej mu władzy użyzniania gruntu.

Chmury powstające w zwykły sposób, są i muszą być elektro-dodatniemi; ujemne p. Becquerel przypisuje działaniu na nie przez natchnienie ziemi, która sprawi, że one dodatniemi w dolnej części, a ujemnemi w górnej być muszą. Zniszczenie w jakikolwiek sposób, lub oderwanie dolnej części, pozostawi w górze chmurę ujemną. Według p. Scouteltea chmura, jako zły przewodnik ciepła, górną tylko warstwą ogrzewa się w skutek ciepła słonecznego. Następuje drugo-rzędne formowanie pary, która jeżeli z czystej pochodziła wody, nie może zawierać ozonu, a wyżej w jedną i to elektro-ujemną, jak otaczające ją powietrze, zgromadzi się chmurę. Tylko tym sposobem zdajemy sobie sprawę z tylicznych warstw chmur.

Powiązane z ozonem ulatnianie się i zgęszczanie pary wodnej w rozmaitych porach dnia, łatwo nam tłumaczy dzienne wahania barometru. Rozgrzewająca się po wschodzie słońca ziemia wydaje parę, która wznosząc się wraz z ozonem, zwię-

ksza ciężar atmosfery i ranne wzniesienie barometru za sobą pociąga. Jestto pierwsze jego maximum.

Ale uformowana para lżejszą jest od powietrza, w którego miejsce wstępuje, zmniejsza więc ciśnienie barometryczne i sprawia, że jego minimum wypada między 3 a 5tą z południa. Oziębienie powietrza i pary wodnej sprowadza wieczorem maximum, a skroplenie i opadnięcie ostatniej nocne minimum ciśnienia barometrycznego. W wysokościach kilka tysięcy metrów wynoszących, a zatem mało lub wcale nie ulegających wpływom wilgoci ziemskiej, dzienne wabania barometru są nieznaczne. Teoryą tę poddaje p. Scoutelten pod kontrolę rachunku, którą dowodzi, że wabania barometru odbywają się w granicach wskazanych rozszerzalnością powietrza, gęstością pary wodnej, ilością tejże zawartą w powietrzu, a wreszcie i ilością średnio na ziemię w ciągu roku spadającej wody.

Najważniejsze i najbawienniejsze meteorologiczne działanie ozonu stanowi jego powstawanie, utrzymujące jednostajność składu powietrza atmosferycznego. Dotąd mniemano, że kwasoród przez palenie ciał, oddychanie zwierząt i nocne żywienie się roślin, spotrzebowany, też rośliny w czasie dnia zwracają powietrzu przez rozkład kwasu węglowego. Autor stanowczo temu przeczy, a tём przeczeniem zmienia dotychczasową fizjologią roślinną. Sémbier, Saussur, Ingen-House, Liebig i ich prace, mają być doświadczeniami autora obalone. Totież czuł zuchwałość przedsięwzięcia i szeregiem niezaprzeczonych dowodów starał się je poprzec. To targnięcie się i zachwianie powag królujących w umiejętności obok ważności samego przedmiotu, zniewała mnie do ścisłego przedstawienia prac p. Scoutelten w fizjologii roślinnej i roli, jaką w niej ozonowi przypisuje.

Skoro w umyśle p. Scoutelten powstały powątpiewania o prawdziwości przyjętej po dziś dzień teoryi żywienia się roślin, zaraz przedsięwziął doświadczenia mające na celu wyjaśnienie tego przedmiotu. Dwa klosze dnami do dołu przewrócone umieścił w waniencie napełnionej wodą, gotowaniem pozbawioną powietrza; jeden z nich napełniony był wodą podobną, na której kilka liści bżowych pływało, a drugi kwasem węglowym. Po 24 godzinach trwania doświadczenia o ósmej z rana rozpoczętego, pierwszy klosz nie zawierał ani śladu kwasorodu lub powietrza, gdy tymczasem w drugim  $\frac{1}{2}$  kwasu węglowego wodą zastąpioną była.

«Doświadczenie to, mówi autor, w zanadto wielkiej stało sprzeczności z przyjętymi w nauce zasadami, aby nie zrodziło w umyśle naszym powątpiewania o własnej dokładności: zadaliśmy sobie pytanie, czy nie popełniliśmy błędu lub opuszczenia jakiego?

«Dla rozwiązania kwestyi, dnia 8 maja 1856 r. o 7 $\frac{1}{2}$  rano przedsięwzięliśmy nowe doświadczenia w okolicznościach zabezpieczających je od błędu i broniących przeciwko zarzutom.

«Obszerną balią na podwórzu wiejskiego folwarku umieszczoną, napełniliśmy wodą deszczową, przez pół godziny w stanie wrzenia w pobielanym miedzianym naczyniu utrzymywaną. Wodę deszczową nad destylowaną przelożyliśmy, aby nie czyniono zarzutu, że woda z soli ogołocona, jest tém samą pozbawioną działaczy pobudzających rośliny do spełnienia swych funkcji żywotnych. Kłosz zawierający kwas węglowy miał 12, a zawierający rośliny dwa litry objętości.

«Woda gotowana szybko ostudzoną została przez zanurzenie miedzianego kotła w strumieniu zimnej wody, aby nie dać jej czasu rozpuszczenia nowej ilości powietrza.

«Liście bzowe wiszące u swych gałązek, po poprzednim obmyciu w celu ogołocenia z przylegających baniek powietrza, wprowadzone były pod kłosz, wodą przegotowaną napełniony; kłosz ten umieszczono wtedy w bali. Obok ustawiliśmy kłosz z kwasem węglowym, a wreszcie dla uchronienia doświadczenia od wpływu powietrza, wodę balii pokryliśmy warstwą oliwy.

«Przy pierwszym z wspomnianych kłoszów umieściliśmy inny (trzeci z kolei) zawierający powietrze, liście bzowe i papier ozonometryczny.

«Dla lepszego wykrycia warunków głównego doświadczenia dwa pomocnicze współcześnie w bieg puściliśmy. I w tym celu w czwartym kłoszcie umieściliśmy wśród przegotowanej wody, liście bzowe i papier wiadomym nam przyrządzeniem na odczynnik ozonu przygotowany; w piątym nareszcie znajdowała się zwykła deszczowa woda i liście bzowe.

«Śledząc pilnie tak przyrządzone doświadczenie następane w nich dostrzegliśmy pojawy:

1. «Odczynnik trzeciego kłoszcia najprzód, bo już o 9 z rana dał ślady bytności ozonu, a o siódmym wieczorem wyjęty i zanurzony w wodzie, przybrał kolor odpowiedni szóstemu stopniowi ozonometrycznego.

2. W kloszu piątym około 10 z rana pojawiły się na liściach, a mianowicie na ich spodniej powierzchni, bańki powietrzne, które zbierając się powoli w górnej części naczynia, utworzyły w niem do 7miej wieczorem bańkę około trzech centilitrów wynoszącą.

3. Czwarty klosz, do południa żadnej nie przedstawiał zmiany; dopiero około 1szej jego papier odczynnikowy dostał lekkiej różowawej plamy, która około wieczora nie była szerszą nad dwa centymetry, podczas gdy reszta odczynnika białą pozostała.

4. Klosz pierwszy w ciągu 24 godzin żadnej nie przedstawił odmiany. Dla przekonania się o żywotności jego liści, wprowadziliśmy je po ukończeniu doświadczenia w naczynie, zawierające powietrze, a ślady ozonu niebawem widzieć się dały.

5. Klosz drugi w ciągu 24 godzin stracił 8 litrów kwasu węglowego, który rozpuścił się w 21 litrach wody w waniencie znajdującej się».

W innym szeregu doświadczeń p. Scoutelten użył do napełnienia wanienki wody, kwasem węglowym nasyconej, aby się przekonać, czy nie w braku tego gazu szukać należy przyczyny, że rośliny go nie rozkładały i nie wydzielały kwasorodu w skutek rozkładu tego. Wypadek nowych doświadczeń w niczem się nie różnił od dopiero przytoczonych.

«A zatem, kończy p. Scoutelten, jasno dowiedzionem nam się być wydaje, że rośliny wtenczas tylko wzywają ozon, gdy z wody lub z powietrza czerpać mogą kwasoród do jego utrzymania niezbędnie potrzebny. Że w innych okolicznościach ozon w roślinach nie powstaje; co dowodzi, że wzywany przez nie kwasoród naelektryzowany nie może pochodzić z rozkładu kwasu węglowego lub wody.

«Te nasze doświadczenia zbijają najoczywistej prawdy przyjęte przez fizyologów, z których jedni w doświadczeniach przez siebie czynionych, kwasoród w wodzie gotowy i przez rośliny z niej czerpany, przypisywali skutecznionemu rozkładowi kwasu węglowego, a inni nie powtarzając doświadczeń, powtórzyli błędne ich wypadki. Pokazują one nadto, że fizjologią roślinną przetworzyć potrzeba; bo już się nie godzi powtarzać, że kwas węglowy wciągany za pomocą liści i korzeni roślin rozkłada się pod wpływem ich sily żywotnej, że kwasoród z tego rozkładu pochodzący, napowrot wyzioniętym zostanie, a węgiel zasila wzrost rośliny».

I nic naturalniejszego, że po takich pracach przygotowawczych, p. Scoutelten usiłował zbudować własną teorię żywienia się roślin. Jęj zasady jasno wskazane w pięciu wnioskach, jakie sam dostrzegacz z własnych wyciągnął doświadczeń. Ale te doświadczenia dotyczyły się samęj produkeyi ozonu, nie mogły zatęm dać początku, jak tylko niektórym prawom fizyologicznym. Oto zarys tęj teoryi: niesłychanie obfite ulatnianie się wody, jakięmu rośliny w ciągu dnia dają początek, chroni z jednęj strony delikatną tkankę ich liści od zupełnego wyschnięcia i zwiędnięcia, a z drugięj jest bogatęm w ozon źródłęm. Woda tym sposobem wyziewana, zawiera jak każda woda, powietrze zasobniejsze w kwasoród od atmosferycznego; pięrsze bowiem 33, a drugie tylko 21 na 100 tego gazu zawiera; ale tę wodę korzenie roślin zaczerpnęły z zięmi i przez jęj wciągnięcie zrobiły w nięj próżnię, któręj tworzeniu dopomogło bezpośrednio ulatnianie się wody w zięmi zawartęj, a promieniami słonecznymi ogrzanęj. Te próżnie koniecznie napelnić się muszą cieciami i gazami w powietrzu zawartęmi, które w zetknięciu z korzeniami roślin przez takowe wciągniętemi będa i posłużą za pokarm rośliny żywiący. Ozon w ciągu dnia wyziewany wraz z parą wodną, obficie znajduje się w powietrzu bezpośrednio rośliny otaczającęm, a przeto wraz z wodą i jęj solami wnika w miejsca próżne zięmi i dostaje się do naczyń roślinnych, znajduje w ich sokach części pożywne dostarczone przez nawóz, a duzo węgla zawierające, pali ostatnie ciało, a tak rodzi właściwe roślinom ciepło i tworzy kwas węglowy, jak oddawna wiadomo, w nocy wyziewany.

Każda teoria umiejętna prowadzi według p. Scoutelten do ważnych praktycznych rezultatów. Toż samo się dzieje i z fizyologiczną teorią ozonu. Musi ona zmienić zasadę nawozów. Dotychczas za główny ich pierwiastek azot poczytywano, i to wbrew wypadkom doświadczenia i zasadom zdrowego rozsądku, z których pięrsze pouczają nas, że rośliny najwięcej węgla zawierają, a ledwie ślady azotu micszczą; a więc drugie wnosić każą, że nie azot, ale węgiel stanowi istotne pożywienie roślin i służy z jednęj strony do ich wzrostu, a z drugięj do produkowania przez samo spalenie ciepła, do utrzymania życia niezbędnego. W ogrodach botanicznych w Berlinie, w Wiedniu i w Poczdamie wody chlorkowęj używają do moczenia ziarenek do sadzenia przeznaczonych; przypieszają ona kielkowanie, a nawet nasienia starę zdolnemi do



wschodzenia czyni. Działanie to chloru jest tylko pośrednie; rozkładając on wodę, z której wodorodem się łączy, uwalnia kwasoród; ten z własnościami ozonu ze związku wychodząc, czynnie pobudza funkcyę żywotne, kiełkowaniem rozpoczynające się.

Wspomnieliśmy, że p. Scoutelten zwraca uwagę agronomów na wzmiankowaną dopiero własność ozonu, i że w przyszłości działaczowi temu niezmierny a zbawienny wpływ na żyzność ziemi, obfitość rolniczych płodów, a zatem i na ogólną ekonomią ludzkiego społeczeństwa przypisuje. Wyrok wszelki w tej materji jest przedwczesnym, dlatego nie zastanawiam się nad wydanym przez naszego autora, i zamykając prostem jego przytoczeniem fizyologiczną część dzieła, pospieszam do zamknięcia całego sprawozdania. Kilka słów wystarczy.

Lekarskie bowiem poszukiwania nad ozonem te tylko pozytywne, a już nam nie tajne dają wypadki: 1. Ponieważ ozon niszczy miazmata, a więc jego brak przyczyną będzie tych chorób, którym one dają początek; febry w miejscach błotnistych panujące z jego niedostatku powstają, a niektóre poszukiwania w czasie ostatniej cholery czynione zdają się wskazywać jego brak w chwilach wzmaganja się tej okropnej zarazy, a ustawianiem cholery za jego pojawieniem się w powietrzu. 2. Nadmiar ozonu pobudza czynności płucowe do nadmiernych dzielności, a w wielkiej użyty ilości o śmierć przyprawia. To jest wskazówką, że w chorobach skrofulicznych i innych potrzebujących wzmocnienia żywotnej czynności płuc, ozon jako lekarstwo dawany być powinien; idzie tylko o sposób farmaceutycznego przyrządzenia, któryby niechybnie wskazywał ilość danego pacjentowi uzdrawiającego pierwiastku. Mało prób w tym względzie czyniono, ale jest rzeczą niezawodną, że gdy lepiej terapeutyczne własności ozonu poznane zostaną, to medycyna w imię dobra cierpiącej na łozach bolu ludzkości, pokona tę drobiazgową trudność.

\* \* \*

Kończąc niniejsze sprawozdanie nie będę powtórnie zwracał bacznosci czytelnika na ważność wielostronną ozonu, który w chemii tłumaczy tajemniczy dotąd sposób zachowywania się kwasorodu z dotychczasowego wydzielającego się związku; w meteorologii jako ciągły i energiczny czynnik powietrza wpływa rozlicznie na powstające w niem zjawiska; w fizyologii roślinnej zapowiada zupełną zmianę przyjętych teoryj; w hy-

gienie ważną z czasem dla swych własności grać musi rolę, nareszcie w agronomii i medycynie może stać się źródłem użytecznych poszukiwań i wznowień. P. Scoutelten w dziełku swoim prawie przykutą trzyma uwagę czytelnika do przedmiotu tego; a nadto zbiera w niem skrętnie wszystkie doświadczenia poczynione z ozonem, przytacza i streszcza wszelkie o nim traktujące prace i pisma. Z tych powodów zasługuje ono na uwagę; nadto zawarte w niem doświadczenia o źródłach kwasorodu naciekryzowanego, jak niemniej o jego roli w życiu roślin, polecają autora jako oględnego i sumiennego dostrzegacza. Słowem, stawia ono kwestyą ozonu i ciekawych zachęca, zagnała poniekąd zanadto może uludnym przedstawieniem wszechstronnej ważności przedmiotu, do śledzenia naukowego w rozmaitych publikacjach wiadomości o rozszerzającym się coraz okręgu wpływów ozonu na wyżej wzmiankowane działy wiedzy ludzkiej. Ta przesada uniejętna wprowadziła też autora do niepotrzebnego walenia teoryj, które i przy współczesnem działaniu ozonu ostaćby się mogły. Aby nie mnożyć cytacyj i dowodzeń je zbijających, ograniczę się na teoryi gradu. Dotąd uważano jego bryły za zrodzone w ziemnych przestworach wyższych warstw powietrza. Tam zawiązki gradowych kulek rosły w coraz większe bryły wpływem dwóch chmur elektrycznie różnoimiennych, a znajdujących się w różnych wysokościach jednej pionowej; zawiązki kulek gradowych w zimnem powietrzu pomiędzy dwiema znajdując się chmurami, nawzajem od nich przyciągane i odpychane, znajdowały czas do stosownego wzrośnięcia, zamrażaniem wody w wilgotnej międzychmurowej atmosferze zawartej; wzajemnem o siebie tarcieniem sprawiały znany przedgradowy szelest, a spadały na ziemię, gdy wiatr jedną z chmur spod drugiej usunął. Dlaczego tę kompletną, bo z wszystkich gradowi towarzyszących okoliczności zdającą sprawę teoryą zastąpił p. Scoutelten nową nie wyjaśniającą ani szelestu, ani wskazującą możliwość urośnięcia gradowi w wielkie bryły, któremi zniszczenie na powierzchni ziemi sprawia, wytłumaczyć tylko można przesadzoną chęcią uogólnienia działań ozonu. Tato przesada sprawia, że rozbierane przez nas dziełko nie wznosi się na stanowisko wzorowych rozpraw i pozostaje tylko pismem ciekawem i ważnem dla obeznania się z traktowanym przedmiotem.

Paryż, 1 lutego 1857.

S. E.

## CHEMIA.

*O nowym sposobie tworzenia w kryształach niektórych ciał chemicznych i mineralogicznych.* P. H. S. C. Deville czytał w Akademii umiejętności paryżkiej rozprawę, zawierającą wypadki poszukiwań wspólnych z P. H. Caron, w celu utworzenia w kryształach pewnej liczby niedokwasów metalowych, spinelu i krzemianów. Sposób ich polega na zastosowaniu wysokiego ognia. W powyższym celu najlepiej im posłużyło działanie wzajemne fluorków metalowych lotnych i związków ukwasorodzonych nielotnych i lotnych. Ponieważ mała tylko liczba jest fluorków metalowych w ścisłym znaczeniu nielotnych; robota powyższa prawie zawsze skuteczną być może, jak to okaże się zaraz na koryndonie.

1. *Koryndon biały* otrzymać z łatwością można w pięknych kryształach, wkładając w tygielk węglowy fluorek glinu (aluminium), a nad nim zamieszczając w małej miseczce z węgla, kwas borowy. Tygielk z węgla z pokrywką dostatecznie zabezpieczony przeciw działaniu powietrza, ogrzewa się do białości blisko przez godzinę, wtedy dwie pary, to jest fluorku, glinu i kwasu borowego schodzą się z sobą, rozkładają się wzajemnie i wydają koryndon i fluorek boru. Kryształy koryndonowe tym sposobem utworzone, posiadają wszystkie właściwości optyczne i krystalograficzne, oraz twardość tego kamienia naturalnego. Można zaś je otrzymać znacznej wielkości, bo blisko na centymetr długie, bardzo szerokie, ale nie grube.

2. *Rubin.* Z taką łatwością otrzymuje się jak koryndon, tylko jeszcze należy dodać do fluorku, małą ilość fluorku chromu i robotę uskutecznić w tyglu glinianym, kładąc kwas borowy na miseczce platynowej. Barwa czerwono-fioletkowa tego rubinu, zupełnie jest taka sama, jak najpiękniejszego rubinu naturalnego; pochodzi zaś ona od półtoro-niedokwasu chromu.

3. *Szafir.* Szafir błękitny w tych samych tworzy się okolicznościach co rubin. Również i on zafarbowany jest przez niedokwas chromu, a jedyną różnicę między nimi stanowi ilość ciała ubarwiającego, a może i stopień ukwasorodnienia chromu. Ale z rozbioru chemicznego nic tu stanowczego wywiesić nie można, z powodu bardzo małej ilości ciała kamień ubarwiającego. Niekiedy otrzymywano obok siebie rubin czerwony i szafir bardzo pięknie błękitny, zupełnie takiej barwy jak szafir wschodni.

4. *Koryndon zielony*. Jeżeli ilość niedokwasu chromu jest bardzo znaczna; koryndon otrzymany będzie tak pięknie zielony, jak uwarowit, który podług rozbioru p. Damour zawiera na 100, 25 części niedokwasu chromu. Koryndon ten zawsze zbiera się w tej części przyrządu, w której fluorek chromu zmieszany z fluorkiem glinu zgęszcza się, z powodu mniejszej swojej lotności.

5. *Niedokwas żelaza*. Z półtoro-fluorku żelaza i kwasu borowego otrzymują się długie igły, a autorowie niniejszego pamiętnika przekonali się, że w wysokim cieple, półtoro-niedokwas żelaza częściowo przechodzi w metal.

6. *Cyrkon* otrzymuje się w małych kryształkach kształtnie ułożonych, pod postacią pięknych rozgałęzień podobnych do chlorku wodorodnego amoniaku (salmiak). Cyrkon otrzymany tym samym sposobem jak koryndon, zupełnie nie rozpuszcza się w kwasach, nawet w kwasie siarkowym stężonym. Potaż stopiony także na niego nie działa, ale dwu-siarkan potażu rozpuszcza go, wydając widoczny związek kwasu siarkowego z cyrkoną.

7. Tym także sposobem PP. D. i C. utworzyli inne niedokwasy metalowe krystaliczne za pośrednictwem fluorków uranu, tytanu i cyny. Ale tak ich kształt jak i skład, jeszcze nie zostały oznaczone.

8. *Cymofan lub Chryzoberyl*. Miesza się w równych stóskunkach równoważników, dwa fluorki glinu (aluminium) i glucynu (glucinium) i rozkłada się ich pary kwasem borowym w przyrządzie powyżej opisanym. Tym sposobem otrzymuje się kryształy zupełnie podobne do tego mineralu przychodzącego z Ameryki. PP. D. i C. otrzymali kryształy cymofanu długości wielu milimetrów i bardzo kształtne.

9. *Ganit*. Dla otrzymania tego spinelu, należy w naczyniach żelaznych umieścić fluorek glinu i fluorek cynku, a kwas borowy ustawić na miseczce platynowej. Ganit osadza się na różnych częściach przyrządu i tam znajduje się go skrzystalizowanym w ośmiościany kształtne bardzo błyszczące i mocno zafarbowane, zapewne od żelaza tygła, które się zniepokwasza.

10. *Stawrotyd*. Można otrzymać krzemiany w kryształach zwykle bardzo małych, ale popolicie widocznych i dających się oznaczyć za pośrednictwem przyrządu opisanego; ułatwiając stykanie się pary fluorków lotnych i krzemionki, którą włożono na talerzyk wewnętrzny w miejsce kwasu borowego. Tym sposobem utworzyć się daje ciało krystaliczne podobne ze

składu i pozoru do staurotydu, z własnościami fizycznymi tego kamienia. Jestto krzemian dwuzasadowy mający wzór  $\text{Si AC}^2$ .

11. *Różne krzemiany.* To samo ciało otrzymuje się nadzwyczajnie łatwo, ogrzewając w podwyższonej temperaturze glinę w strumieniu fluorku krzemu gazowym. Glinka bezkształtna zmienia się wtedy w połączenie kryształków, które mają skład taki jak staurotyd.

Powyższe sposoby zastosowane zostały przez PP. D. i C. do tworzenia innych krzemianów takich, których zasady wydają fluorki lotne, jak np. glucyna i cynk. Cyrkonia w tych samych okolicznościach wydaje małe kryształki podobne do kamienia cyrkonu, szczególnież ze względu właściwego im blasku.

Z tego więc co w tym kierunku zrobiono, wypływa, że przy rozkładzie fluorku krzemu przez niedokwasy, pozostaje w krzemianach mała tylko ilość krzemionki, i że tym sposobem można jedynie otrzymywać krzemiany trzyzasadowe. I tak chcąc utworzyć np. szmaragd przez działanie fluorku glinu i fluorku glucynu na krzemionkę; otrzyma się ciało krystaliczne bardzo twarde, które w pierwszych chwilach wzięto za szmaragd prawdziwy, sztucznie utworzony. Rozbiór jednak chemiczny wykazał, że ciało to zawierało mniej krzemionki od tegoż kamienia prawdziwego.

Z powyższych danych okazuje się, że fluorek glinu rozkłada krzemionkę i tworzy z nią fluorek krzemu i staurotyd. Również fluorek krzemu zmieszany z gliną, wydaje fluorek glinu i staurotyd. Tato okoliczność sprawia, że wszystkie części gliniaste przyrządów do topienia, częstokroć zmieniają się w grupy kryształków złożonych wyłącznie prawie ze staurotydów; i że gdy znajduje się ciało gliniaste, związki fluoru lotne, mogą służyć za pośredniki dla otrzymania, że tak powiemy, nie oznaczonej krystalizacji ciał zupełnie nietopliwych w ciepłe, które je utworzyło. Rzeczywiście nie masz ani śladu fluoru w tych krzemianach mineralnych, powstałych za pośrednictwem fluorków.

Spodziewamy się, mówi p. Deville, że przytoczone doświadczenia będą użyteczne do wytłumaczenia niektórych zjawisk przyrodzenia. Wreszcie nadmienić wypada, że działanie fluoru przy tworzeniu się mineralów już przypuszczali geolodzy, a w szczególności p. Daubrec. Doświadczenia niniejsze potwierdzają tylko ten sposób widzenia rzeczy. Oprócz tego nadmienić wypada, że naturalisci już także zastanawiali się nad

powyższym przedmiotem, którego podajemy cząstkowe rozwiązanie; a w szczególności przypominamy doświadczenia Ebelmen'a i Gaudin'a, jakkolwiek sposoby przez nas przytoczone różne są od tamtych.

Nadto korzystamy z tój okoliczności, piszą dalej autorowie, dla doniesienia, że otrzymaliśmy rutyl czyli kwas tytanowy przez rozkład tytanianu roztopialnego, a w szczególności tytanianu niedokwasu lgo cyny, za pośrednictwem krzemionki.

Przy powyższych doświadczeniach często spostrzegaliśmy rozpuszczone w cynie metalicznej ciało błyszczące, skryształizowane w blaszki szerokie, łatwo się zginające, a które oddzielić można kwasem solnym, ponieważ ten je cokolwiek rozpuszcza. Jest zaś to spisz żelaza i cyny, zajmujący uwagę tak dla swych własności chemicznych, jakoteż dla swego pozoru.

\* P. Pasteur w dalszych swych pracach nad fermentacją, doszedł do wypadku bardzo ciekawego i nadspodziewanego: to jest, że przy robocie czyli fermentacyi wyskokowej, stale powstaje gluceryna i to nawet w dosyć znacznej ilości, bo dochodzi do 3 na 100 użytego cukru na wagę.

J. B...a.

#### METEOROLOGIA.

*Porównanie stanu powietrza na różnych punktach Europy, z dostrzeżeń meteorologicznych jednocześnie czynionych i telegrafami elektrycznymi przesyłanych.*

Postrzeżenie zmian atmosfery i dochodzenie praw i związków, jakim też zmiany podlegają, jest ważnym przedmiotem fizyki ogólnej i coraz większe zajęcie obudza, czego dowodem są liczne postrzegalnie meteorologiczne w różnych krajach zaprowadzone (1). Wiadomo, jak wielki wpływ wywiera po-

(1) Rozległa sieć stacyj magnetycznych i meteorologicznych pokrywa Cesarstwo Rosyjskie. Towarzystwo geograficzne w Petersburgu uznało meteorologią za ważny przedmiot prac swoich. W Prusach przy biurze statystycznóm zaprowadzoném w Berlinie, poświęcono meteorologii osobny oddział, do którego nadsyłają w celu porównania wypadki dostrzeżeń z 65 punktów Niemiec. We Francyi i Anglii liczne są postrzegalnie meteorologiczne. W Austrii od roku 1851 ustanowiono centralny zakład w Wiedniu dla meteorologii i magnetyzmu ziemskiego, a to w celu zaprowadzenia jednostajnych i dokładnych postrzeżeń w całym państwie. Na początku roku 1856 liczba postrzegaczy w Austrii dochodziła 101.

wietrze i jego zmiany na królestwo roślinne i zwierzęce, i jak ten wpływ ważną rolę odgrywa w funkcjach organicznych człowieka: dlatego śledzenie stanu powietrza pod różnemi względami, coraz ważniejszem się staje. Jednakże pomimo licznych postrzeżeń i prac na tém polu dokonanych, nie możemy jeszcze z pewnością wskazywać, jakie odmiany powietrza nastąpić mają. Porównywanie średnich wypadków dostrzeżeń w różnych miejscach czynionych nie doprowadziło nas dotąd do żadnych praw i wniosków stanowczych, dozwala nam tylko oznaczyć stan normalny powietrza. Wszelako nie należy z tego wnosić, iż nigdy nie przyjdziemy do wykrycia pewnych związków i praw, którym te zmiany podlegają. W dochodzeniu pomienionych związków, głównym warunkiem jest porównywanie dostrzeżeń jednocześnie na różnych punktach kuli ziemskiej czynionych. Telegrafy elektryczne, których przystosowanie w przemyśle stało się dziś tak ważnem i rozległem, dogodny do tego porównania nastęczyły środek. W roku 1856, na wniosek sławnego francuzkiego astronoma Le Verrier, dyrektora obserwatoryum paryzkiego, przedsięwzięto porównanie postrzeżeń meteorologicznych z różnych punktów Francyi codzień o godzinie 8 r. czynionych i telegrafem do Paryża przesyłanych, jakoto: z Dunkierki, Meziers, Strasburga, Tonner, Hawru, Brestu, Napoléon-Vendé, Limoges, Montauban, Bajony, Avignon, Lyonu, Besançon; następnie z Paryżem połączone inne miasta Europy, mianowicie: Madryt, Rzym, Turyn, Genewę, Bruxellę, Wiedeń, Lizbonę, Algier, Konstantynopol i St. Petersburg. Postrzeżenia te odnoszące się do stanu barometru, termometru, kierunku wiatru i stanu nieba są w Paryżu ogłaszane i w oddzielnych biuletynach pocztą przesyłane do tych miejsc, z których przez telegraf otrzymane były. Za przykładem astronoma francuzkiego w roku 1857 Kupfer dyrektor głównego obserwatoryum fizycznego w St. Petersburgu wyjednał Najwyższe zezwolenie przesyłania telegrafem do St. Petersburga postrzeżeń meteorologicznych z siedmiu miast, jakoto: Warszawy, Moskwy, Kijowa, Nikołajewa, Odessy, Rewla i Rygi. Postrzeżenia z tych miast codzień są ogłaszane w gazecie petersburskiej i oddzielnie w biuletynach wraz z francuzkimi do powyższych miast pocztą przesyłane. Od d. 2 marca r. b. zaczęto przysyłać telegrafem co dzień o godzinie 8 rano z obserwatoryum warszawskiego postrzeżenia meteorologiczne do Petersburga. Ponieważ na mocy umowy zawartej

przez Le Verriego z administracją telegrafów zagranicznych, depesze meteorologiczne w miesiącach zimowych mają być przesyłane zaraz po otwarciu biur telegraficznych o godzinie 8 z rana; a w miesiącach letnich godziną wcześniej, dlatego od dnia 1 maja r. b. w całej Europie czynione są postrzeżenia i przesyłane o godzinie 7 z rana. W celu bliższego i łatwiejszego porównania stanu powietrza w różnych punktach Europy uważanego, ułożone zostały tablice miesięczne, obejmujące oddzielnie postrzeżenia co do temperatury, ciśnienia powietrza, kierunku i mocy wiatru i stanu nieba, których tu dla zbyt wielkiej obszerności pomieścić nie możemy. Z tablic tych za jednym rzutem oka widzieć można wszelkie zmiany zachodzące w stanie powietrza na różnych punktach kuli ziemskiej.

J. B.

## KORRESPONDENCYE.

WILNO. *Posiedzenia Wileńskiej archeologicznej komisyyi dnia 11-go kwietnia i 10-go maja 1858 roku.*

W dniach 11go kwietnia i 10 maja odbyły się zwyczajne posiedzenia Komisyyi archeologicznej wileńskiej, pod przewodnictwem jej prezesa, hr. Eustachego *Tyszkiewicza*.

Na pierwszym posiedzeniu odczytano list rzeczywistego członka M. *Gusiewa*, odebrany z Berlina. W liście tym p. Gusiew opisuje pod względem archeologicznym i etnograficznym dawne litewskie posiadłości, składające teraźniejszą północno-wschodnią część królestwa pruskiego. P. Gusiew obejrzał ciekawy zbiór starożytności u p. Gizewiusza znawcy i miłośnika stariej Litwy, który udzielił mu wiele ciekawych szczegółów o litewskich pieśniach narodowych, zwyczajach, ubiorze, oraz o zamczyskach, będących w pobliżu Tylży i Memla. W Królewcu p. Gusiew zwiedził tajne archiwum królewskie i przejrzał oddzielną kolekcją archeologiczną; następnie oglądał zbiór starożytności tamiecznego Towarzystwa archeologicznego, gdzie przedewszystkiem zwracały na siebie jego uwagę nadzwyczajnej wielkości popielnice, mające niekiedy więcej niż trzy stopy wysokości, tudzież pasy różnej wielkości i kształtu, już to spiralne, już proste, które tam nazywają grobowemi wiankami. Nader ciekawym jest szczegół, że utalentowany i z taką miłością pracujący nad tutejszemi starożytnościami uczony nasz współczłonek, któremu zawdzięczamy bardzo pracowity,



a przeznaczony do Pamiętników naszego Towarzystwa, opis starożytnych litewskich kalendarzy, znalazł najzupełniej takie same w bibliotece Wallenroda i bibliotece miejskiej w Królewcu, oraz w nowym muzeum i bibliotece królewskiej w Berlinie. P. M. Gusiew, który w ciągu krótkiego pobytu w Wilnie, pomimo licznych i skomplikowanych zatrudnień astronoma i tłumacza *Kosmosa*, monumentalnej pracy Humboldta, nauczył się gruntownie języka polskiego, i z tytułu członka naszej Kommissji bada z zumiłowaniem starożytności litewskie: może być pięknym przykładem szlachetnej, serdecznej, wszech-słowiańskiej bratniej miłości. Pozyskawszy gorące współczucie, szacunek i miłość powszechną w naszym kraju, p. Gusiew znajdując czas i środki być dlań pożytecznym i za granicą. Nie poprzestając na muzeach i bibliotekach, zwiedza szkoły litewskie, w których wszystkie przedmioty wykładają się w języku starej Litwy; ogląda archiwa miejskie, wynajduje ludzi oświadczonych z przeszłością tejże Litwy, i bezwątpienia jego notaty, zbiór rysunków, pieśni, podań i t. p. przyniosą dla nas niemało korzyści.

Na témże posiedzeniu, rzeczywisty członek A. H. Kirkor, przeczytał kilka przesłanych sobie listów i wiadomości archeologicznych; najciekawszymi są odebrane od p. Jabłońskiego ze Lwowa, od p. Przyborowskiego z Poznania, od znanego archeologa Rogowskiego z Galicyi, i wiele innych. Wszystkie te listy będą wydrukowane w drugim numerze *Pamiętników Kommissji*.

Na posiedzeniu d. 10go maja, vice-prezes Baliński zakomunikował list rzeczywistego radcy stanu Kochańskiego, wraz z aktem uroczystego otwarcia Cesarsko-Królewskiej Medyko-chirurgicznej Akademii w Warszawie. Rzeczywisty członek Konstanty hr. Tyszkiewicz złożył kosztowną szablę z popiersiem Zygmunta III, oświadczając, że ofiaruje dla Muzeum jego własność—gdyż ta szabla pochodzi z pięknego zbioru generała Józefa hrabi Kossakowskiego, któryto zbiór był darowany dla Muzeum przez spadkobiercę po generale, Franciszka hr. Kossakowskiego, lecz przewidziany do Dynaburga, ztamtąd już nie powrócił. Szabla, o której mowa, pochodzi niewątpliwie z tego zbioru, a hr. Tyszkiewicz nabył ją z rąk prywatnych. Oprócz tej szabli, hr. K. Tyszkiewicz złożył 14 odbiteków z rytowanych tablic, które się znajdują w jego majątku Łohojsku. Rzeczywisty członek A. H. Kirkor przeczytał między innymi list, który odebrał od rzeczywistego członka I. Jaroszewicza; w liście tym zawierają się ciekawe szczegóły o kurhanach, zamczyskach i innych ziemnych fortyfikacjach i zabytkach dawnej ziemi bielickiej i drohiczyńskiej. Następnie tenże rzeczywisty członek Kirkor złożył obszerny rękopis, przysłany, na jego prośbę, przez starszego bibliotekarza cesarskiej publicznej biblioteki, W. Sobolszczykowa, p. t. *O urządzeniu publicznych bibliotek i o katalogach*, zawierający w sobie nie mało bardzo ważnych naukowych szczegółów o traktowanym przez autora przedmiocie.

Z pomiędzy złożonych ofiar, zasługują na szczególną uwagę 104 sztuki bizantyjskich, arabskich, zakaukaskich i innych monet, przysłanych z Suchum-Kalo przez księdza Wincentego Dudorowicza, wojennego kapelana czarnomorskiej brzegowej linii.

## Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej (\*).

Wątpliwość o epokę powstania gubernii mińskiej najlepiej rozstrzygną następujące fakty:

1) Dnia 27 marca 1793 r. generał *en chef* Michał Kreczotnikow, mianowany generał-gubernatorem odpadłych od Polski województw, ogłosił manifest cesarzowej Katarzyny II o przyłączeniu do Rossyi prowincyi polskiej na całej przestrzeni od miasteczka *Druł* na lewym brzegu Dźwiny, przy rogu granicy Semigalii, w kierunku na *Narocz*, *Dubrowę*, *Nieśwież*, *Pińsk* przez *Kuniew* między *Wyszogrodem* i *Nowogródłą* do granic Galicji, dalej tą granicą do Dniestru, ztąd w dół z biegiem tej rzeki do *Jehortyka* (dawniej granicy między Polską i Rosyją).

2) Dnia 23 kwietnia 1793 ukazem cesarzowej Katarzyny kazano na tej przestrzeni urządzić trzy gubernie: *mińska*, *izasławska* i *bractawska*, na zasadach statutów, któremi się rządzą inne gubernie państwa rosyjskiego, jak również gubernie białoruskie, także od Polski odpadłe, z t $\acute{e}$ m zastrzeżeniem, ażeby do otwarcia sądownictw i urzędzeń *samych gubernij*, wszelkie sprawy były sądzone na mocy dawnych praw polskich (1).

3) Dnia 3 maja 1795 ukazem danym senatowi, cesarzowa Katarzyna II rozkazała, aby w ciągu tegoż 1795 r. utworzon $\acute{e}$ m zostało *województwo mińskie* z 13 okręgów, a mianowicie: *mińskiego*, *wilejskiego*, *postawskiego*, *dokszyckiego*, *dziśnieńskiego*, *borysowskiego*, *ihumeńskiego*, *bobrujskiego*, *mozyrskiego*, *dawidgrodzkiego*, *pińskiego*, *nieświeżskiego* i *śluckiego*, z wprowadzeniem w wykonanie statutów przez cesarżową uchwalonych d. 7 listopada 1775 r. (2).

Tegoż dnia 3 maja 1795 rozkazano generał-gubernatorowi *Tutulinowi*, ażeby przy wprowadzeniu statutu 7 listopada 1775 r. w namiestnikostwie mińskim, miasto *Mińsk* mianować gubernialn $\acute{e}$ m; miasto zaś *Mozyr* i *Pińsk*, jak również skarbowe miasteczka *Wilejkę*, *Duszycę*, *Dziśnę*, *Borysow* i należące do biskupstwa wileńskiego *Ihumeń*, mianować okręgowemi czyli powiatowemi miastami, z nadaniem tych *samych* praw i prerogatyw, jakie uchwalone dla miast rosyjskich ukazem 21 kwietnia 1785 (3); nakoniec w obywatelskich miasteczkach *Nieświeżu*, *Śluku*, *Dawidgrodku* i *Postawach*, urządzić jurysdykcyę i sądownictwo na mocy praw

(\*) Jestto odpowiedź pana Adama Kirkora na list p. Ferdynanda Nowakowskiego w kwestyi podniesionej przez p. Jana Prekiera z Kowna, co do daty utworzenia gubernii mińskiej; patrz *Bibl. Warsz.* zeszyt z me $\acute{a}$  lutego r. b.

(1) Obacz ogólny zbiór praw rosyjskich za lata 1793—1795 NN. 17108, 17112, 17198, 17191, 17204, 17231, 17254, 17290, 17316, 17323, 17324, 17325, 17326—17329.

(2) Statut urzędzenia guber. w państwie rosyjskiem, dany w Moskwie 7 listopada 1775, drukiem ogłoszony przy rządzącym senacie w St. Petersburgu 10 stycznia 1780, w przekładzie polskim (podobno *expijara* ks. Michała Skirniiewskiego) z tekstem rosyjskim w Grodnie 1796 r. in 4to, 497 str.

(3) Miejskie ustawy (postanowienia) d. 21 kwietnia 1785 r.; drukowane w Wilnie z tekstem rosyjskim w drukarni akademickiej, 1796, in 4 str. 212.

rossyjskich, uważając wszakże te miasta prawnie należące do ówczesnych posiadaczy.

Po wyliczeniu tych faktów sądzimy, żeśmy nie popełnili błędu, kładąc datę ostatecznego utworzenia namiestnikostwa mińskiego, 3 maja 1795 r. Wilno, d. 7 maja 1858 r.

A. Kirkor.

## KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1858.

80. Boże dziecko. Powieść z naszych czasów, przez Jana Zacharysiewicza. We Lwowie. Nakładem Karola Wilda. 1858. Trzy tomy. W 8ce. Tom 1, str. 260. Tom 2, str. 255. Tom 3, str. 253. W drukarni Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich.

81. Drób' czyli hodowanie ptastwa domowego, napisał podług najnowszych dzieł niemieckich i francuzkich Albin Kohn. Z szczęścią tablicami kolorowanemi. Warszawa. Nakładem S. H. Merzbacha księgarza. 1858. W drukarni braci Hindemith. W 8ce. Str. 245.

82. Dramata Wiliama Schakspear'a, przekład z pierwtworu. Tom 2. Macbeth. Wieczór trzech król. Król Lear. Krotoczwila z pomyslek. Warszawa. W drukarni S. Orgelbranda. 1858 r. W 8ce. Str. 606 i VI omytek druku.

83. Dziennik wyroków Ogólnego Zebrania Warszawskich Departamentów Rządzącego Senatu w sporach jurysdykcyjnych. Od roku 1852. Warszawa. W drukarni Rządowej przy Kom. Rząd. Sprawiedliwości. 1858. W 8ce. Str. 70 i karta spisu.

84. Listy Czesnikiewicza do Marszałka. Warszawa. Nakładem A. Nowoleckiego księgarza. 1858 r. W 8ce. Str. 306. W drukarni Karola Kowalewskiego. (Autorem ich jest Józef Miniszewski). Rsr. 1. kop. 50.

85. Krystyna, przez autorkę Karoliny. Warszawa. Nakładem S. H. Merzbacha księgarza. 1858. W drukarni J. Jaworskiego. W 8ce. Str. 354.

86. Notice sur le projet d'un pont permanent sur la Vistule près de Varsovie. Par Guillaume de Kolberg. Ingenieur, Membre du conseil des travaux publics près de la Commission de l'Interieur. Varsovie. Imprimerie de Ch. Kowalewski. 1858. (Z planem litografowanym w zakładzie M. Fajansa).

87. Pisma urywkowe wierszem i prozą Józefa Prospera Gromadzkiego. Wydal Antoni Syroczyński. (Z godłem):

Z hasłem wiary i ośgary  
Dalej naprzód—w świat!

Kijów. W drukarni św. Włodzimierza (Józefa Zawadzkiego) 1858. W 8ce. Str. 301. Rsr. 2.

88. Podróż do Persyi księcia Alexego Soltykowa. Przekład. Wydanie drugie. Nakładem B. J. Salzstejna. 1858. z XII rycinami litografowanymi. W drukarni S. Nowakowskiego. W 8ce. Str. 119. Rsr. 1.

89. Polska (dawna) jako naród i jako państwo. (Dzieje początkowe). Warszawa. Nakładem autora, na dom Towarzystwa Naukowego w Krakowie. 1858. W 8ce. Str. 172. W drukarni S. Orgelbranda. Rsr. 1. kop. 50.

90. Przewodnik dla kupujących konie, czyli zbiór zasad do ocienienia zalet, wad, oraz wieku konia z cech jego zewnętrznych, dla uniknienia strat i zawodów z nadużyć nierzetelnych handlarzy pochodzących. Napisa-ny przez Piotra Seifmann magistra nauk weterynaryjnych, weterynarza referenta w zarządzie głównym Służby Zdrowia i członka korespondenta towarzystwa praktycznych weterynarzy w Petersburgu. Z 10 figurami rycin (drzeworytami) Warszawa. Nakładem Alexandra Nowoleckiego, księgarza. 1858. (W 12ce. Str. 132 i 3 kartek spisu i wstępu. W drukarni J. Jaworskiego).

91. Rozrywki dla dzieci przez autorkę Pamiątki po dobrej matce. Tom 2. (Z godlem):

Jak słodkie zatrudnienie giętki umysł wspierać,  
Wzbudzać żywą do czynów szlachetnych ochotę,  
I gruntować w umyśle nieskażonym cnotę.  
Feliski.

Warszawa. Nakład S. H. Merzbacha księgarza. 1858. W 8ce. Str. 427.

92. Sprawa włościańska. Wyjątki z nowożytnych polskich ekonomistów, wydał Sz(ambelan) Dw(oru) J(ego) C(esarsko) K(rólewskiej) M(ości) Seweryn hr. Uruski marszałek szlachty gubernii warszawskiej. (Z godlem):

Synowie kmieccy... niech tracą swój lan (zreb) ojcowski.  
(Sejm piotrkowski z r. 1503 w niebytności króla Alexandra).

Tom 1. Warszawa. W drukarni S. Orgelbranda. 1858. W 8ce. Str. XXVII i 560.

93. Zbiór dyplomatów rządowych i aktów prywatnych, posługujących do rozjaśnienia dziejów Litwy i złączonych z nią krajów (od 1387 do 1710 r.) wydany przez Kommissyą archeologiczną wileńską pod redakcyą sekretarza naukowego Maurycego Krupowicza. Wilno, w drukarni Zawadzkiego. 1858. W 4ce. Str. VIII i 163.

## DONIESIENIA LITERACKIE.

### WARSZAWA.

Tom VI pism Adama Mickiewicza już jest pod prasą: obejmuje Iszy tom jego prelekcji. Ryciny do ozdobniejszego wydania, przesłane do sztychów za granicę zostały. Alexander Lesser dał ich trzy do Wallenroda i Grażyny: z Wallenroda ucztę, i chwilę opowieści Wajdeloty; z Grażyny, gdy ta przebrana w zbroję męża

schodzi z zamkowych schodów na podwórzec. Gerson trzy do Pana Tadeusza; przedstawiają: ucztę w ruinach zamku; narady szlachty w zaścianku i hejże na Sopliców; grę żyda cymbalisty, której się przysłuchują generałowie polscy: Henryk Dąbrowski i Kniaziewicz wiernie portretowani. Brodowski illustrował Farrysa; Kostrzewski balladę Pani Twardowska. Artysta wybrał właśnie tę chwilę, kiedy Twardowski ostatni warunek djabłu kładzie, i pokazując żonę swoją, chce aby z nią rok w związku małżeńskim przeżył. Djabł ujrzawszy tę babę skręca się do dziurki od klucza, którą jak wiadomo czmychnął.

— Napoleona Dębickiego Sceny życia, arkusze 4, 5 i 6 kończące całość seryi piérwszój, wyszły z litografii A. Pecq'a. Artysta w nich przedstawił nam postacie: pisarza przy tworzeniu powieści fantastycznój; przenosiny z lokalu na lokal artysty malarza; autora podróży na księżycu jadącego na indorze z ogromném piórem w miejscu dzidy; Holofernesa nowoczesnego szukającego swojej głowy; czwartą figurę lanciera; maskę z dandysem; popiersia członków czynnych klubu angielskich bakenbardów; protektorów sztuk pięknych i wyzwolonych; autora nie poznanego, który ubolewa nad złym gustem i skąpstwem księgarzy; podżyłego eleganta w mróz owinionego szalem; najgrzeczniejszy sposób tańczenia mazura; powitanie salonowe w r. 1880; tchórza korzającego się przed śmiało zaczepiającym; siedzącego pod beczką z kielichem; Attylę salonowego; wreszcie dwie postacie, z podpisem: Do widzenia o! szanowna publiczności, w których zdaje się że sam się artysta przedstawił z przyjacielem swoim, który mu w pomysłach do tych scen życia pomagał. Publikacya ta wywołała rozmaite zdania; w ogóle sąd był przeważny, że artysta loppiejby uczynił, gdyby w niej brał pod ołówek wady ogólne, niż szczególne postacie, zachowując nieraz podobieństwo uderzające. Takie karykatury, dla małej liczby znajome, mało interesujące kraj cały, chwilowe i przemijające powodzenie mieć mogą, ale trwałego, artystycznego znaczenia nie mają. Serya następna ma być w zmienionym formacie wydawana z tekstem tak, aby tworzyć mogła książkę do zachowania w bibliotece. W tej artysta, idąc za radą przychylną, ma ogółowe wady i przywary przedstawiać. Na tej drodze może się spodziewać powodzenia.

— Nakładem i w litografii A. Pecq'a wyszedł XII zeszyt dzieła: Królowie Polscy. Wizerunki zebrane i rysowane przez Alexandra Lessera. Objasnione textem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. Zeszyt zawiera życiorysy królów: Jana Kazimierza, Michała Korybuta i Jana Sobieskiego z fac-similami podpisów. Wizerunki dołączone, wykonaniem jak równie i odbiciem szczególniej się odznaczają. Autentyczność ich niezaprzeczona.

— Wilhelm Kolberg inżynier wydał: „Notice sur le projet d'un pont permanent sur la Vistule près de Varsovie”. Projekt ten trwałego mostu pod Warszawą, przedstawia w załączonym

planie most podwójny czyli piętrowy. Dolny służący dla kolei żelaznej, górny nad nim dla ułatwienia komunikacji ciągłej z Pragą i zawiślańskimi okolicami.

— Daliśmy wiadomość i nasze zdanie o dziele wydanem w Paryżu p. n.: „Alberti Marchionis Brandenburgensis de arte militari”. W niej powiedzieliśmy, że część najważniejszą rękopismu opuszczono, mogącą dać zajmujący materiał do polskiej strategii. Na posiedzeniu wydziału nauk historycznych i moralnych Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu d. 17 maja, prezes Towarzystwa tego hr. Działyński oświadczył: że wydanie to jakkolwiek zawsze będzie ozdobą biblioteki, wartość miałoby meslychanie większą, gdyby było dokładne. Sam posiada ryciny kosztów wojskowych, robione przez Kielisińskiego, i uważa za potrzebne uzupełnić wydanie, w którym tylko wydrukowana jedna czwarta część dzieła o sztuce wojskowej w Polsce. Ponieważ zasoby Towarzystwa nie pozwalają podejmować wydawnictwa połączonego z wielkimi kosztami, przychyła się przeto hr. Działyński do prosby wydziału, i sam oświadcza gotowość uzupełnienia. Będziem więc mieli całkowity drogocenny rękopism, a przy znanjej hojności dla literatury ojczystej, jesteśmy pewni, że co do wierności przedruku i wspaniałości edycyi, nie ustąpi żadnemu. Wdzięczność naszą dla hr. Działyńskiego za zasługi literaturze i językowi polskiemu, historia zapisze.

— Pamiętnika Religijno-moralnego zeszyt za miesiąc czerwiec wyszedł i obejmuje: 1) Wyjątek z podróży po Wschodzie A. Muchlińskiego (dokończenie). 2) Jakób i Ezaw, przez ks. W. Serwatowskiego. 3) Kościół w Leżajsku. 4) Co jest uczciwszém: wierzyć czy nie wierzyć? 5) Mowa miana w r. b. przy zwłokach ks. Jana Pniewskiego i jego życiorys. 6) Poświęcenie kościoła w Jakobsztacie. 7) Wiadomości naukowe i bibliografia duchowna. 8) Kronika kościelna i rozmaitości. 9) Korrespondencya duchowna. W wiadomościach naukowych czytamy o trzecim tomie Cmentarza Powązkowskiego: „Dzieło (pisze redakcyja) zawierające tyle pamiątek narodowych, przez niespracowanego ich badacza odstonionych, jest ciekawem, i zasługuje na społeczenie wszelkie ziomków naszych”.

— Patrząc na wielką liczbę księgarń w Warszawie, i coraz się bardziej mnożące, czytamy w pomienionym zeszycie trafne uwagi w tym przedmiocie: „Mamy księgarzy tyle, że ich zliczyć na pamięć trudno: kramarzy książek zużytych, Izraelitów co nie miara, a we wszystkich tych zakładach czytelnie do wypożyczania romanów zapomnianych, i powieści dla chciwych wiedzy i rozrywki umysłowej. Cóż to wszystko dowodzi? Oto że wzmogła się u nas liczba miłośników czytelnictwa, i że księgarza mają awą rachubę w dostarczaniu im do tego materiału, bez względu na jego wartość moralną. Ale miły Boże! czyliż ci dyletanci naukowi odnoszą jaką korzyść ze swego czytania, prócz straty czasu i napojenia się wyobrażeniami przesadzonemi

i niepraktycznemi? Postrzegano dawno to złe w innych krajach, i ludzie bogobojni, dbali nie tylko o dobro ciała swych bliźnich, ale i ducha, zajęli się przysposobieniem dzieł popularnych, zastosowanych do pojęcia i potrzeby ludu, gdzieby tenże znajdował obok użytku materialnego, zbudowanie i rozrywkę dla siebie: pozakładali stowarzyszenia ku rozpowszechnieniu dobrych książek: czytelnie nastęrczają sposobność wszystkim do oświecenia się pożytecznie. We Francji istnieją na ten cel biblioteki parafialne i pomnażają się darami osób dobroczynnych. My, co wo wszystkiem lubimy brać wzory z zagranicy, dlaczego nie naśladujemy tych przykładów? Biblioteczki takie utworzyłyby się z ofiar dobrowolnych, i niejeden oddałby zżywające od swój potrzeby dziełka na cel tak piękny. W Warszawie saméj zdałyby się także czytelnie np. przy Towarzystwie Dobroczynności, gdzieby ludność rzemieślnicza w dni wolne od roboty przyjemniej mogła przepędzić swój czas wolny, aniżeli w brudnych knajpach i szynkach. Może ta myśl mimochodem rzucona nie padnie na opokę i słowo w czyn się zmieni." Szlachetny to zaprawdę pomysł, i godzien, ażeby ludzie miłujący kraj swój, poparli go z całą usilnością i poświęceniem. Zadanie to nie tak trudne dla Członków Towarzystwa Dobroczynności: bo nie wątpimy, że bez nakładu wielkiego, w krótkim czasie dałaby się ułożyć tego rodzaju czytelnia: trzeba tylko dobrej woli, i trochę poświęcenia czasu i starań, a pewni jesteśmy że przy skrętnej zabiegliwości, chętne znaleźliby poparcie i liczne ofiary z książek. Fundusz na ten cel szlachetny znaleźliby nie tylko w naszym mieście, ale i w całym kraju.

— W zakładzie fotografii Spiegła w Wrocławiu wyszła tablica, zawierająca wizerunki Mickiewicza, Odynca, Deotymy, Kraśszewskiego i Wójcickiego. Dalsze tablice będą wychodzić w miarę otrzymywanych portretów pisarzy polskich.

— Władysław Oleszczyński korzystając z krótkiego pobytu w naszym mieście kasztelana Franciszka Wężyka, wykonał w medalionie popiersie jego naturalnej wielkości, odznaczające się trafnością rysów twarzy i charakteru. — Karol Beyer znany archeolog i fotografista zajął popiersie Wincentego Pola. Fotografia ta, jak wszystkie tego rodzaju prace Beyera, zaleca się wyborném wykonaniem.

— Karol Minter ogłosił szczegółowy wykaz pamiątek krajowych w odlewach w jego fabryce wykonanych. Ciekawy to i zajmujący zbiór już dzisiaj, który ciągle i starannie uzupełniać ma zamiar. Oto szczegółowy ich spis:

Pomniki królów i książąt polskich. Mieczysława I i Bolesława Chrobrego w katedrze poznańskiej. Adelajdy córki Kazimierza Sprawiedliwego † 1211 kamień grobowy w kaplicy św. Jakóba w Sandomierzu. Henryka Pobożnego † 1242 pod Lignicą, kamień grobowy w kościele św. Wincentego w Wrocławiu. Grobowe pomniki krakowskie tak w katedrze jako i w innych kościołach; Władysława Pobożnego, Leszka Czarnego, Władysława Ło-

kietka, Kazimierza Wgo, Władysława Jagielly, Kazimierza Jagiellończyka, Jana Alberta, Zygmunta Igo, Zygmunta Augusta, Stefana Batorego i Anny Jagiellonki. Sarkofag Henryka Łagodnego (probus) w kościele Śgo-Krzyża w Wrocławiu. Sarkofag Janusza i Stanisława książąt mazowieckich w kościele katedralnym w Warszawie. Posąg konny Jana III Sobieskiego w Łazienkach królewskich w Warszawie. Mikołaja Kopernika w temże mieście, i stojący drugi w Toruniu; posąg konny X. Józefa Poniatowskiego.

Posążki odlane ze spiżu białego i galwanicznie powleczone bronzem: Stefana Batorego, Jana III, S. Czarnieckiego, Żółkiewskiego, Kościuszki, księcia Józefa Poniatowskiego, Karpińskiego, Jana Kochanowskiego. Popiersia czyli biusta spiżowe: K. Brodzińskiego, F. Chopina, T. Czackiego, M. Fredry, Jundzillta, Kluka, J. Kochanowskiego, Piotra Kochanowskiego, O. Kopczyńskiego, M. Kopernika, Krasickiego, Lindego, Mickiewicza, Naruszwicza, J.M. Ossolińskiego, St. Potockiego, A. Sniadeckiego, Staszica, Tańskiego, Trembeckiego, Węgierskiego, Woronicza, Józefa i Stanisława Żaluskich. Płasko-rzeźby z lanego brązu: Bolesława Chrobrego, Mieczysława I, Jana III, Stefana Batorego, Augusta III, Kazimierza Jagiellończyka, Michała Korybuta, Władysława Łokietka, Władysława Warneńczyka, Zygmunta Igo, Czarnieckiego, Chodkiewicza, Żółkiewskiego, J. Zamojskiego, Dantyszka arcyb. Gnieź. Hozyusa kardynała, J. Lubomirskiego hetmana, St. Leszczyńskiego króla, Kościuszki, Kochanowskiego, Kopernika, Naruszwicza, Żylińskiego arcyb. Klementyny Tańskiej, Woronicza, biskupa Benjamina Szymańskiego, Mickiewicza, D. Chodźki, J. Korzeniowskiego, Chopina, A. Cieszkowskiego, Deotymy, Grozy Alex., Jachowicza, Kaczkowskiego Zyg., A. Kątskiego, Zyg. Krasieńskiego J. I. Kraszewskiego, Kajetana Kraszewskiego, księcia Kaz. Lubomirskiego, Zofii Malhomme, St. Moniuszki, A. E. Odyńca, W. Pola, Gw Pawłkowskiego, Wł. Syrokomli, E. Tyszkiewiczza, K. Wł. Wójcickiego., ks. Alex. Ważyńskiego.

Z tego poszczegółowego wykazu ocenią czytelnicy ważność tego zbioru, który ze wszelch względów zasługuje na upowszechnienie: ściany dworów wiejskich mogą się teraz obejść bez cudzoziemskich ozdób. gdyż je zająć powinny pamiatki krajowe.

— Księgarz A. Nowolecki wydał zbiór Listów Cześnikiewiczza do Marszałka (autor Jozef Miniszewski). które poprzednio były drukowane w Gazecie Codziennój i zyskały niemaly rozgłos. Autor. obecnie rozpoczyna w téjże Gazecie część drugą tych listów: ukończył zarazem w rękopiśmie życiorysy znakomych hetmanów polskich, które zamierza pomieniony księgarz wydać swoim nakładem.

— W drukarni S. Orgelbranda wyszlo dzieło p. n. Polska (dawna) jako naród i jako państwo (Dzieje początkowe). Autor A. Morzycki znany już z Grammatyki polskiej. której całe wydanie oddał na korzyść ś. p. St. Jachowicza: i to pismo własnym wydrukowawszy nakładem, ofiarował na dom Towarzystwa Nauko-



wego w Krakowie. Z tej edycji, sam pierwszy zakupił egzemplarzy 150 po złp. 10 za egzemplarz. Obywatelskie te, a tak szlachetne zasługi, umieją rodacy oceniać: z imieniem Morzyckiego łączy się zaraz życzenie, ażeby kraj nasz miał więcej mu podobnych. Z powodu tej pracy A. Morzyckiego musimy wspomnieć, że czcigodny prezes Towarzystwa Naukowego Krakowskiego Franciszek Wężyk, po długiej niebytności odwiedził nasz gród, w którym blisko przed czterdziestą laty imię jego brzmiało tak chlubnie z utworów dramatycznych, któremi wspierał scenę narodową. Przybył tu w jego ślady i Wincenty Pol, nasz ziomek, bo urodzony pod Lublinem, gdzie rodzice jego zamieszkiwali. Na danym wieczorze w gościnnym domu pp. Łuszczewskich, na uczczenie sędziwego kasztelana, był obecnym i autor Mohorta. Liczne grono literatów, artystów i obywateli nappełniło salon o naznaczonej godzinie. Deotyma odczytała przypisanie Fr. Wężykowi swego poematu „Piasł”, i ze wstępu wyjątek, który wywołał powszechne zadowolenie. Apolinary Kątski, na uczczenie gości miłych dał się słyszeć po dwakroć. Pol uproszony ażeby co przeczytał z nowych utworów swoich, odczytał nowy obraz, przedcudny polskiej jesieni. Dnia 22 czerwca, we wtorek, autor „Mohorta,” wprowadzonym został na obiad do resursy kupieckiej: przeszło 200 osób zebrało się, przywiedzeni ciekawością poznania tego poety. Nazajutrz dano obiad w hotelu Europejskim celem uczczenia kasztelana Wężyka. Hr. Andrzej Zamojski wznosił sędziwego prezesa Towarzystwa Naukowego krakowskiego zdrowie. Zebranych osób było do osiemdziesięciu. Kasztelan Wężyk niemogąc z powodu słabości piersi mówić, uprosił Alex. hr. Przeddzieckiego do odczytania podziękowania, w którym wspomniał i o zbieranej składce na dom budujący się dla Towarzystwa Naukowego krakowskiego. Obecni zapisali na ten cel około tysiąc rubli srebrem.

— Otrzymaliśmy tom IV Teki Wileńskiej. Tom ten w objętości przeszedł poprzednio wydany; w końcu oprócz dalszego ciągu Ikonotheki J. Kraszewskiego, jest dodana: „Chatka ojca Toma, czyli życie murzynów w stanach niewolniczych Ameryki północnej. Romans pani Biczera Stou (Boecker Stove), przekład Wacława P.” Powieści tej głośniejszej w świecie literackim mamy dany, oprócz wstępu redakcyi, str. 24. W przemówieniu od redakcyi, uznajemy zupełną stosowność wybranej chwili do ogłoszenia tej powieści, i szczęśliwą myśl upowszechniania jej za pomocą Teki Wileńskiej.

— Władysław Syrokomla przed wyjazdem z Wilna, kilka utworów oddał do druku, które z pośpiechem wykończył, jako: „Starostę Kopanickiego:” „Fornarinę,” drugą część „Dęboroga” i „Staropolskie roraty:” wszystko to żydzi księgarze rozehwytali i wydają z pośpiechem jako w tamtych stronach pokupny towar. Maurycy Orgelbrand ogłasza: Dziennik podróży po Litwie i Żmudzi doktora Tripplina, i drugą edycyę: „Przechadzek po Wilnie,

Kirkora. Druk Barbary A. E. Odyńca za kilka miesięcy ukończonym zostanie.

— Przedruku: Słownika języka polskiego S. B. Lindego nadszedł tom trzeci, obejmujący litery M, O. Z rękopismów Lindego nie dodano żadnych poprawek, sprostowano tylko uchybienia jego niektóre. W końcu wydawca August Bielowski składa podziękowanie tym, którzy przyłożyli pracy swojej chętniej, przy druku tego tomu.

— Stanisław Bogusławski przesłał już libretto *Moniuszce* jedno-aktowej opery „Flis”. J. Korzeniowski trzy-aktowej opery libretto „Rokiczana” akt pierwszy ukończył, i część drugiego. J. Bogusławski, który talentem i dowcipem odznacza się w małym gronie pisarzy naszych dramatycznych, pisze nową komedią p. n.: „Życie nad stan”.

— M. Fajans zamierza doprowadzić do skutku dawniej zamierzoną publikacją, odpowiednią wydaniem Kwiatom i poezji p. n.: „Drzewa polskie”. Myśl do tego pierwszy Wincenty Pol rzucił; Fajans korzystając z bytności jego w Warszawie, chce przyspieszyć jej wykonanie.

— Fryderyk hr. Skarbek ogłosił prospekt na wydanie nowego dzieła: „O gospodarstwie narodowem” we dwóch tomach. Sprawozdanie obszerniejsze o tej ważnej pracy, podamy w następnym zeszycie naszym czytelnikom.

— W Paryżu, w księgarni H. Francka wyszły: Juliana Ursyna Niemcewicza: *Podróże historyczne po ziemiach polskich między rokiem 1811 a 1828* odbyte, w dużym tomie o 528 stronnicach. Ważne to dzieło treścią swoją, jak i obrobieniem, jest w naszych księgarniach do nabycia po cenie złp. 23. W literaturze bardzo ubogiej w tej gałęzi, zajmie niepoślednie miejsce. Dziwić się należy, że pisarze nasi i obywatele nie wpadli na myśl, aby każdy znaną sobie lepiej i bliżej okolicę opisał. Wiele takich opisów mamy w korespondencyach w gazetach naszych ogłoszonych, ale te wiadomości rozstrzelone w różnych pismach, całości obrazu nie dają; zebrane staranniej, obdarzyłyby dziełem pożądanem oddawna przez wszystkich miłujących swój kraj rodzinną.

— Wydawnictwo „Biblioteki Polskiej” w Krakowie, rozwija się energicznie, i dzięki staraniu redaktora K. J. Turowskiego, przeszło już stanowczo na tę drogę pewną, na której może się spodziewać najświetniejszego u nas przyjęcia. Pisaliśmy już nieraz, zwracając uwagę redaktora tej ważnej publikacji, aby wyłącznie Biblioteka Polska miała na celu przedruki sumienne, zabytków literatury starożytnej polskiej, takie, które już wartością artystyczną, już ważnością treści i rzuceniem światła na ubiegłą przeszłość, zasługują na upowszechnienie. Tę myśl z radością widzimy wprowadzoną w życie: cztery zeszyty świeżo otrzymane obejmują: 1) Poezye Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, przedrukowane z wydania poznańskiego Józefa Muczkowskiego. 2) *Treny To-*

biasza Wiszniowskiego. 3) Zdanie syna koronnego o pięciu rzeczach Rzplitej polskiej należących, przez ks. Piotra Grabowskiego 1595 r. 4) Ustawy prawa ziemskiego polskiego dla pamięci lepszej krótko i porządnie z statutów i konstytucyj zebrane; z przydatkiem o obronie koronnej, i o sprawie i powinności urzędników wojennych J. M. pana Jana Tarnowskiego, niekiedy kasztelana krakowskiego 1578 r.

*Kraków.* Do najważniejszych publikacyj należą wydania: Historii wymowy w Polsce Karola Mecherzyńskiego Tom IIgi, obejmujący wiek Zygmunowski; i Rocznik Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. Dzieło Mecherzyńskiego kończy się z trzecim tomem, który już jest przygotowanym do druku, i zamyka okres wymowy w Polsce z końcem panowania Augusta IIIgo. Historia wymowy następnych czasów, do czego zebrał autor potrzebne zasoby. i w części większej opracował, będzie stanowić całość oddzielną, niejako drugą seryą tego ważnego dzieła. Ważne powody, które podzielamy, zmuszają autora do takiego podziału swęj pracy, która prawdziwą jest ozdobą literatury naszęj, jako studia sumienne, z wytrwałem poświęceniem zebrane i ułożone. Rocznik Towarzystwa nauk. krakowskiego obejmuje: Po zdaniu sprawy z czynności tegoż Towarzystwa od 1852 do 1857 r. przez Piotra Bartynowskiego: Mowę Franciszka Wężyka przy objęciu prezesostwa T. N. Broń sieczna w ogóle i w Polsce uważana archeologicznie p. J. Łepkowskiego. O Andrzeju Radawieckim Dominikaninie, Karola Mecherzyńskiego. Obrazki wód podgórskich: Krynica, Bardyów, Rzegiestów, Zulin, p. prof. Sko-bła. O dwukrotném zameżciu księżniczki L. K. Radziwiłłownęj i wynikłych ztąd w Polsce zamieszkach, p. Zygmunta Helecla. Instrukcyja dla Kommissyi balneologicznęj, i spis imienny członków Tow. Nauk. od d. 25 lutego 1856 r. do d. 25 lutego 1858 r. Rozprawy J. Łepkowskiego i Helecla są w obiegu w oddzielnych oddbitkach. Album widoków Szczawnicy p. Szalaja, składające się z VI zeszytów, w każdym po cztery litografie z tekstem historycznym i opisowym, niebawem ukończone zostanie, albowiem pierwszy zeszyt już wyszedł i obejmuje: Widok Szczawnicy, Friedmana, Czorsztynu i Czerwonego-klasztoru z opisem tych miejsc bardzo zajmująco skreślonym p. Szczęsnego Morawskiego, wybornie obeznanego z miejscowością gór. Prenumerata na 24 litografij z tekstem wynosi 10 zlr. w srebrze. Czytelnia Domowa Wildta ukończyła wydanie romansu Afraja, czytanego z wielkiem zajęciem, jest to bowiem jeden z lepszych plodów romansu niemieckiego. Życzyłoby należało (pisze Dodatek Czasu w zeszytcie 28), żeby z podobnym wyborem postępowała nadal ta publikacyja.

— Walery Wielogłowski wydaje kazania ks. Łukaszewicza w 5 tomach. Jan Radwański ogłosił dziełko zbiorowe: „Część mądrości ksiąg polskich”. Są to wypisy zdań moralnych i filozoficznych z dawnych i nowych pisarzy polskich. Praca ta rzeczywiście wartości, zasługuje na szczegółowy rozbiór. Album

szczawnickiego wyszło trzy zeszyty; text do nich pisze S. Morawski, jeden z bardzo zdolnych pisarzy młodych, którego: „Wyprawę do Arabii po konie” ogłoszoną w „Dodatku Czasu.” wszyscy miłośnicy literatury ojczystej powitali z uwielbieniem. Niebawem w litografii „Czasu” zacnie wychodzić wspaniałe, dzieło ks. biskupa Łętowskiego „Opis katedry na Wawelu”. Najznamienitszy belgijski artysta Stroobant sprowadzony umyślnie, zdejmiemy widoki wnętrza katedry i wykona je na kamieniu. „Nie można było (pisze „Dodatek Czasu” z maja r. b.) w lepsze ręce powierzyć uwiecznienia i rozpowszechnienia rysunkiem nieoceny nionych zabytków tej świątyni, której dzieje rozświeci jeszcze pióro dostojnego męża, mającego pod ręką wiele nieznanych dotąd historycznych źródeł.

— Znany archeolog J. Łepkowski zamierza wydawać pismo poświęcone archeologii z drzeworytami i rysunkami. Jeden zeszyt wychodzić będzie co miesiąc. Publikacja ta jest wielce w swoim czasie: powinna ona zebrać w sobie wszystkie nowe odkrycia i wykopaliska, jak i zabytki rozjaśnić mogące szczegóły przeszłości życia domowego. Znany z sumiennej pracy i nauki Łepkowski, jako wydawca i redaktor takiego pisma, może wielkie oddać literaturze naszej usługi. Życzymy jak najlepszego powodzenia: po bliższem odczytaniu prospektu podamy nasze myśli, ku poparciu tej publikacji.

*Lwów.* W drukarni Zakładu Ossolińskich zaczęło arkuszami wychodzić dziełko: „Ustawy dla posiadaczy dóbr ziemskich w Galicyi, potrzebne we względzie politycznym, sądowniczym i finansowym.” Dziełko to wielce potrzebne do praktycznego użytku zakłopotanych nieraz właścicieli, niemogących się zorientować w mnóstwie ustaw, przepisów, patentów i t. p.; cena tylko zbyt wygórowana, bo od arkusza po złp. 1 gr. 10.

— W drukarni tejże wyszedł przekład z łacińskiego Mikołaja Kopernika: „Siedm gwiazd”. Są to ody tego astronoma przełożone na polskie przez Narbrzana Bętkowskiego. Wierność wielce sumienna odznacza tę pracę, jednakże szyk słów często nienaturalny zaciemnia myśl, która w prostocie swojej powinna splywać jak jasna kropla w kielich kwiatu. Mimo tego oddać należy słuszną tłumaczowi, że umiał utrzymać ton prosty i poważnie głęboki religijnego hymnu.

*Zagrzeb.* Prof. Franciszek Racki wydaje zeszytami obszerną historyczną pracę w narzeczu ilirskiem p. n. „Wiek i czynności ŚŚ. Cyrylla i Methoda apostołów słowiańskich.” Zeszyt jako wstęp obejmuje obraz stanu politycznego i religijnego Słowian w VII, VIII i IX wieku. Wyszedł tu także: Dykcyonarz biograficzny artystów południowo-słowiańskich. W Zagrzebiu, 1858. Str. 112 w 8ce.

*Wiedeń.* Aloizy Wojciech Szembera prof. wydał część pierwszą w narzeczu czeskiem napisaną, Historyji języka i literatury czeskiej. Obejmuje ona epokę najdawniejszą: od roku 58 przed Narodzeniem Chrystusa aż do r. 1409,



*Poznań.* Na dochód „Ochronki” w Gnieźnie wyszła książka p. n. Wiadomości historyczne o mieście Klecku zebrał Ks. Józef Dydyński dziekan foralny i probosz z Klecki. Gniezno. 1858 r. »Praca ta ks. Dydyńskiego (pisze Dodatek Czasu za maj rb.) z wielką wykonaną została sumiennością, bo widać że sprawdzając materiały jakie miał przed sobą, różne wertował źródła i żadnego nie szczędził trudu.»

*Lipsk.* W języku niemieckim wyszło dzieło historyczne p. n. „Święty Anno II arcybiskup koloński i trzykrotnie prymas niemiecki, jego żywot, dzieła i obraz wieku w którym żył, podług źródeł skr. ślony, przez Idziego Müllera. (W 8ce str. VIII, 200 i z tablicą litografowaną). Książka ta dla wspomnień historycznych o polskiej królowej Ryxie, której grób niedawno znakomity badacz starożytności ojczystych Alexander hr. Przezdziecki odkrył w Kolonii, zasługuje na uwagę. W 18 lat po Ryxie, to jest w roku 1075, arcybiskup Anno II w podeszłym już wieku świątobliwy swój żywot zakończył.

*Praga.* Paweł Józef Szafarzyk wydał ważne dzieło w języku niemieckim: „O początku i ojczyźnie alfabetu głągolicckiego.” Autor popiera tu mocnymi historyczno-krytycznymi dowodami, że alfabet głągoliccki wynalazł święty Cyryl dla Słowian w Panońskiej Morawii około r. 862, podczas gdy litery, tak zwane kiryłskie przez S. Klemensa biskupa w Wielicy zmarłego r. 916 niemal w pół wieku później od alfabetu głągolicckiego, podług osnowy greckiej, dla Słowian bułgarskich ustanowione zostały.

*Medyolan.* O. Dominik Bertolotti wydał po włosku obszerny żywot S. Jacka patrona polskiego.

— W zeszycie Biblioteki Warszawskiej za miesiąc Maj r. b. w Doniesieniach Literackich na str. 450. umieszczony został wyjątek z listu ze Lwowa pisany poufnie, w odpowiedzi na również poufne zapytanie. Ogłoszenie tego wyjątku nastąpiło bez wiedzy autora i nie miało innego celu, jak podać prostą wiadomość o známym u nas pisarzu. Dla zapobieżenia fałszywym wnioskom dajemy to objaśnienie, na żądanie autora listu.

† Dnia 12 maja r. b. zmarła w 43 roku życia Karolina z Rylskich Wojnarowska, w majątku swoim Kościelcu, w Wielkiem Księstwie Krakowskiem, znana z pism wielu, a głównie z dzieła cztero-tomowego: „Pierścionki mojej babuni,” które powszechną zwróciły na cześć godną autorkę uwagę.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Wolno drukować. — Warszawa, d. 16 (26) Czerwca 1858 r. — Cenzor, Radea Dworski Stanisławski.



Stajon barometru wzniósion jest 307.6 stopi parzystości nad  
u. 1.4745. Ciężar w kupa. 18.4125. 25

Godzina	Barometr w miarę słupku powietrza 30.0		Termometr A. S. L. N. S. T. S. Alkoholowy	
	10	11	10	11
1	750.50	750.50	+12.0	+12.0
2	749.50	749.50	+12.0	+12.0
3	748.50	748.50	+12.0	+12.0
4	747.50	747.50	+12.0	+12.0
5	746.50	746.50	+12.0	+12.0
6	745.50	745.50	+12.0	+12.0
7	744.50	744.50	+12.0	+12.0
8	743.50	743.50	+12.0	+12.0
9	742.50	742.50	+12.0	+12.0
10	741.50	741.50	+12.0	+12.0
11	740.50	740.50	+12.0	+12.0
12	739.50	739.50	+12.0	+12.0
13	738.50	738.50	+12.0	+12.0
14	737.50	737.50	+12.0	+12.0
15	736.50	736.50	+12.0	+12.0
16	735.50	735.50	+12.0	+12.0
17	734.50	734.50	+12.0	+12.0
18	733.50	733.50	+12.0	+12.0
19	732.50	732.50	+12.0	+12.0
20	731.50	731.50	+12.0	+12.0
21	730.50	730.50	+12.0	+12.0
22	729.50	729.50	+12.0	+12.0
23	728.50	728.50	+12.0	+12.0
24	727.50	727.50	+12.0	+12.0
25	726.50	726.50	+12.0	+12.0
26	725.50	725.50	+12.0	+12.0
27	724.50	724.50	+12.0	+12.0
28	723.50	723.50	+12.0	+12.0
29	722.50	722.50	+12.0	+12.0
30	721.50	721.50	+12.0	+12.0
31	720.50	720.50	+12.0	+12.0
Średnia	740.00	740.00	+12.00	+12.00

**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**  
**w Obserwatoryum Astronomiczném**  
**WARSZAWSKIEM.**  
**Maj, 1858.**



	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.746	27	7.915
Najwyżej barometr dochodził d. 22 o g. 6 r.	755.78	27	11.003
Najniżej — — — d. 3 o g. 10 w.	736.41	26	2.447
Średnia zmiana dzienna barometru	3.220		1.427
Największa zmiana dzienna barometru d. 4—5 o g. 6 r.	10.75		4.765
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 32 lat poprzedzających	0.035		0.015
Średnia temperatura maja wynosi: i ta jest wyższa o od stanu normalnego z 32 lat poprzedzających	148.781	27	7.930
	+ 139.52	C.	+ 109.82 R.
	0.05	„	0.04 „
	+ 13.47	„	+ 10.78 „
Największe ciepło było d. 23 o g. 4 w.	25.8	„	20.64 „
Najmniejsze — — — d. 30 o g. 6 r.	3.6	„	2.88 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.133	„	2.506 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 6—7 o g. 4 w.	12.9	„	10.32 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 21.7 R. d. 23 po poł.

Minimum: + 1<sup>o</sup>.0 „ d. 9 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 60.3, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 7.18 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0,08 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 32.2 mil. czyli 14.27 lin. par.; ilość ta wody jest o 11.26 lin. par. mniejsza od tej jaka zwykle u nas w maju spada.

Dni pogodnych było 4, napół pogodnych 10, pochmurnych 17.

Dni deszczu 11 (d. 7, 11, 12, 14, 17, 19, 20, 24, 25, 26, 31).

— gradu 1 (d. 31).

— grzmotów 3 (d. 14, 26, 31).

Wichrów było 1 (PdZ.)

Wiatrów mocnych 6 (2 PdZ., 1 Z., 1 Pn., 1 PnZ., 1 PnW.)

Wiatr panujący Północno-Zachodni i Zachodni częste były także Północne.

Maj r. b. był suchy, ciepły, mniej jednak pogodny jak zwykle. Pierwsze sześć dni były gorące, następnie sześć chłodne; druga połowa miesiąca była dość ciepła; prócz trzech dni 27, 28, 29 które były chłodne. Dni gorące były d. 1, 2, 3, 19, 23, 24; dni chłodne d. 7, 8, 9, 11, 27, 28; najchłodniejsze dni w całej Europie były d. 9, 10, 11, 12, 13. Dnia 14 po Nowiu księżycy, nastąpiło podwyższenie temperatury, przeciwnie d. 22 w czasie przejścia księżycy przez równik i dnia 28 po Pełni, zniżenie tejże. Dzień 4 odznaczał się gwałtownym wichrem południowo-zachodnim przez cały dzień trwającym, który wiele szkód w Warszawie i na prowincyj z rzucił. D. 13 w czasie Nowiu, i d. 22 podczas przejścia księżycy przez równik, nastąpiło podwyższenie barometru. Stan elektryczności atmosferycznej miesięczny był 15,5 stopni; największe natężenie siły elektrycznej dochodziło 34, stopni d. 10 o godz. 9 z rana. Powietrze było bardzo suche; wody z deszczu spadało o połowę mniej jak zwykle. Pod względem stanu nieba, miesiąc ten był mniej pogodny niż zwykle, w stanie bowiem normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 5.6:13.5:11.9; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 4:10:17.

D. 23 o godz. 10 min. 30 rano i d. 24 o godz. 9 min. 30 rano koło białe otaczało słońce.

D. 30 pokazywały się plamy na słońcu.

Stan wody na Wiśle z przyczyny suszy był niski.

Największa wysokość wody na Wiśle dochodziła stóp 4 cali 11 d. 1.

Najmniejsza — — — — — stóp 2 cali 6 d. 25, 26 i 31.

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednich, przesyłano telegramem do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatorium Astronomicznym warszawskim co dzień o godzinie 7 rano.



**Biblioteka Warszawska** najregularniej w pierwszych dniach każdego miesiąca na pocztę dla prenumeratorów jest oddawana. Nieregularne dochodzenie zeszytów BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ, nigdy winą redakcyi być nie może. Kłoby jej z prenumeratorów na pocztę nie odbierał w zwykłym czasie, to jest: najpóźniej w tydzień po wyjściu, lub odbierał nieopieczetowaną, z kartami rozciętymi, pobrudzonemi: proszony jest od redakcyi, aby wprost do niej się udawał na jej koszt pod adresem: „Do Redakcyi BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ przy ulicy Daniłowiczowskiej pod Nr. 619.” W razie zaś nieodebrania zeszytów, ażeby do tego dołączył kwit otrzymany pocztamtu, gdzie złożył przedpłatę. Z takim tylko kwitem redakcyja może otrzymać zadosyćuczynienie, ażeby regularnie nadal i niezwłocznie każdy zeszyt dochodził we właściwe miejsce.

Również redakcyja uprasza, aby każdy z prenumeratorów, który nie przez pośrednictwo poczty BIBLIOTEKĘ WARSZAWSKĄ prenumeruje, w razie nieodebrania zeszytu należnego raczył nieodwłocznie o tem redakcyją zawiadomić.

### Przedpłata na rok 1858:

1. *Przedpłata całkowita* wynosi na rok złp. 60 (rub. sr. 9).
2. *Przedpłata kwartalna* przyjmuje się za złożeniem złp. 15 (rub. sr. 2 kop. 25) na pierwszy kwartał, i za opłatą przy drugim zeszycie złp. 15 (rub. sr. 2 kop. 25) na kwartał następny. — Przy prenumeracie kwartalnej, prenumerator podpisać winien zobowiązanie, iż na cały rok zaprenumerował BIBLIOTEKĘ i warunkom prenumeraty zadosyć uczyni. Z opłat czynionych i odbieranych zeszytów, prenumerator pokwitowanym będzie na bilecie, którego jeżeli nie okaże, obowiązany jest poprzestać na kontroli w tym celu utrzymywanej.

Na urzędach i stacyach pocztowych w Królestwie zapisywać się można na BIBLIOTEKĘ na rok 1858 za opłatą roczną w ilości złp. 60 (rub. sr. 9), lub półroczną, to jest za złożeniem naraz za *dwa kwartały* złp. 30 (rub. sr. 4 k. 50).

W Cesarstwie Rossyjskiem przedpłata roczna z przesyłką pocztową w kopertach wynosi rub. sr. 10, które nadesłać trzeba *franco* albo: do Ekspedycyi Gazet w Warszawie, lub wprost: do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, przy ulicy Daniłowiczowskiej nr. 619.

Zamknięwszy pierwszy peryod nieprzerwanego istnienia swojego pisma, postanowiła redakcyja, z powodu częstych w tej mierze zgłoszeń, ułatwić późniejszym i nowym prenumeratorom nabycie całego zbioru lub lat pojedynczych, a to przez zniżenie ceny. — Odtąd cały 10letni komplet od 1841 do 1850 roku włącznie, złożony ze 120 zeszytów, czyli 40 tomów, można nabyć tylko w redakcyi za połowę ceny prenumeracyjnej, t. j. za złotych 300 (rub. sr. 45). — Komplet z lat pojedynczych 1842, 1843, 1844, 1845 i 1846, odstępuje redakcyja po złotych 40 (rub. sr. 6). Na kompletach z lat 1841, 1847, 1848, 1849, 1850, 1851, 1852, 1853, 1854, 1855, 1856 i 1857 jako znacznie lub zupełnie wyczerpanych, zmniejszenia ceny redakcyja postanowić nie może. — Pojedyncze zeszyty z całego ciągu Biblioteki o tyle tylko mogą być osobno sprzedawane, o ile ich zbywać będzie nad komplety. Cena pojedynczego zeszytu pozostaje niezmienna złotych 5 (kop. 75).

Na przedpłatę całkowitą lub kwartalną na rok 1858, zapisywać się można we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

Pragnąc zapewnić pismu swemu ciągłą pomoc, redakcyja wzywa i najużyteczniej zaprasza do wspólnej pracy osoby poświęcone literaturze i zawodowi naukowemu. Artykuły nadsyłane z wdzięcznością przyjmie, a nawet jest w gotowości opłacać na żądanie wszelkie zamieszczone w piśmie swoim prace czyto według umowy z autorem, czy stosownie do zasad, które przyjęła. Żądanie jednak zapłaty powinno być wyraźnie na artykule przez autora zamieszczone.

Autorowie, księgarze i inni nakładcy, których życzeniem jest, aby ich dzieła nakładowe były rychlej wymienione w *Kronice bibliograficznej*, i ocenione w *Kronice literackiej* Biblioteki Warszawskiej, zechcą zaraz po skończonym druku składać tychże dzieł egzemplarz, do kantoru redakcyi przy ulicy Daniłowiczowskiej nr. 619.

## T r e ś ć.

	Stron.
Rękopisma Jana Wincentego Bandtkie Stężyńskiego: I. O urzędzie woźnego. II. Skład i formacya chorągwi wojsk polskich, jakie w wieku XVIII istniały. III. O Tatarach.....	1
Rozkwit piśmiennictwa polskiego, przez <i>Dominika Szulca</i> .....	26
Notaty z wycieczek po kraju, z rękopismu ś. p. <i>Władysława Wierzchowskiego</i> .....	49
Obrazy Dagestanu. III. Powierzchność ludu, jego obyczaje i zwyczaje, przez <i>Juliana S.</i> .....	86
Proroctwa Dantego. Z angielskiego Lorda Bajrona przełożył <i>Michał Budzyński</i> .....	119
Kronika paryżka literacka, naukowa i artystyczna. Pierwszy tom Pamiętników Guizota. — Monografia Montaign'a, przez Anglika Saint-John. — <i>Les Païens innocens</i> , zbiór powieści Hippolita Babou. — Francuzcy tłumacze Jerozolimy Wyzwolonej: ostatni przekład pana Desserteaux. — <i>Les Amours purs</i> , powieści hrabiny de la Tour-de-Pin. — Obrazy pana Leona Kaplińskiego. — <i>Ristori</i> we włoskiej Fedrze. — Wiadomości literackie.....	129
Krótki rys historii naturalnej Kamieńca Podolskiego, skreślił <i>Gustaw Belke</i> (ciąg dalszy).....	151
Adam Mickiewicz i Puszkין w Odessie, przez <i>K. Zielenieckiego</i> .....	166
<b>KRONIKA LITERACKA.</b> Stanisław Leszczyński i Polska w pierwszej połowie XVIII wieku, przez autora Ukrainy i Zaporozża. Warszawa. 1858. Przez <i>Leopolda Huberta</i> . 170. — Pomniki i widoki Wołynia, Podola i Ukrainy. Kijów, w zakładzie litograficznym J. K. Walluera. 180. — Czas, Dodatek miesięczny, m. luty 1858, przez <i>Wł.</i> 182. — Projekt do Słownika wyrazów obcych, w języku polskim używanych, przez <i>Ludwika Jenike</i> i <i>Edwarda Sulickiego</i> .....	187
<b>KROZMAITOŚCI.</b> Słówko o bogach litewskich, przez <i>M. Akielwicza</i> .	192
<b>WIADOMOŚCI</b> na drodze postępu nauk przyrodzonych: Ozon, czyli kwasoród naelektryzowany, przez <i>S. E.</i> 196. — Chemia, przez <i>J. B...</i> 222. — Meteorologia, przez <i>J. B.</i> .....	225
<b>KORRESPONDENCYE.</b> Posiedzenia wileńskiej archeologicznej komisji dnia 11 kwietnia i 10 maja r. b. 227. — Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>A. Kirkora</i> .....	229
<b>KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA</b> .....	230
Doniesienia literackie.....	231
Dostrzeżenia meteorologiczne za m. maj r. b.....	241

Ukończono druk dnia 30 czerwca, 1858 roku.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

1858.

---

NOWA SERIA.

SIERPIEŃ. ZESZYT XX.

---

WARSZAWA.

W drukarni Gazety Codziennój  
przy ulicy Daniłowiczowskiej № 619.

---

1858.

OGÓLNEGO ZBIORU ZESZYT CCXII.

---

W księgarni G. Sennewalda jest do nabycia:

**GEOLOGIA**

DO ŁATWEGO POJĘCIA ZASTOSOWANA,

PRZEZ

**L. ZEJSZNERA.**

Cena rub. sr. 1 kop. 80 (złp. 12).



## KASZTELANIA POŁANIECKA KOCHANOWSKIEGO.

PRZEZ

*Juliana Bartoszewicza.*

Troszkę polemiki z Przyborowskim. — Nowe szczegóły do życiorysu Jana. — Czy Jan z Czarnolesia był rzeczywiście kasztelanem i kiedy?

Nie mamy dotąd wcale dokładnego życiorysu Jana z Czarnolesia. Pan Przyborowski przysłużył się ostatni literaturze, bardzo ciekawą wiadomością o życiu i pismach Jana Kochanowskiego. Wyczerpał w tej broszurce wszystko, co tylko można było powiedzieć o przedmiocie. Dziełko jego w obecnej chwili jest najzupełniejszym, najkrytyczniejszym poglądem w przeszłość wieszczą. Część wyłącznie literacka dobrze opracowana i tutaj zapewne mało co będzie potrzeba z czasem dodać, mało poprawić; nie powiemy jednak tego o pierwszej części, o części życiorysowej. Sam autor czuł tutaj swoje ubóstwo. Mało faktów pewnych a i te niebardzo wiążą się z sobą; ztąd wynikła potrzeba autorowi sztukowania opowieści wycieczkami krytycznymi. Pod względem krytyki nie także zarzucić autorowi nie można: nie rozumiemy nawet dobrze powodów, które go zmagają przepraszać w przedmowie czytelników za ton polemiczny broszury; osobistości żadnych p. Przyborowski nie obrażał, mówił powodowany tylko miłością prawdy, więc niepotrzebnie wcale zaręcza, że niechęci nie miał do nikogo z poprzedni-

ków swoich. Karczował pole nietknięte prawie, więc oczywiście wycinał chwasty i zielska. Krytyce nie tedy powiadamy zarzucić, ale życiorys szczupły i nie rozwinięty: są w nim próżnie, czemu się zresztą trudno dziwić.

Co na téj drodze odszukaliśmy, podajemy do publicznej wiadomości. Pan Przyborowski faktami, które mu wskażem z bogaci śliczną swoją „wiadomość”, a sprawa literatury, Jan Kochanowski, na tém zyska. Mielibyśmy przytém ochotę pospierać się o jedno i drugie z panem Przyborowskim za to co podał w swojej „wiadomości.”

A naprzód mielibyśmy ochotę stanąć w obronie stosunków Kochanowskiego do Zygmunta Augusta. Autor mówi, że dla króla był wieszcz uroczysto-obojętnym, że ile razy mówił o nim, odważał niemal każde słowo, ziębił na wskroś nie nieznaczącemi frazesami. Autor posądza nawet poetę o gniew ukryty, bo każe mu prędko uciekać ze dworu, zagrzebać się w Czarnolesiu po zawodach. Zawodem tym dla poety być miało, że nie dostał chleba na dworze. Ztąd zapiera autor stosunków Kochanowskiego z podkanclerzym Padniewskim, o których wyraźnie mówi przecie Starowolski: „*ho Padniewski z pozoru tylko trzymał pieczęć koronną i sekretarzy królewskich nie mógł robić.*” Dalej utrzymuje, że z jednym Myszkowskim wiązały Kochanowskiego serdeczne stosunki na dworze, że po usunięciu się Myszkowskiego na biskupstwo plockie, poeta opuścił dwór, co miało być około roku 1566; wszystkiego więc Kochanowski był na dworze z pięć, sześć lat, a stosunki jego z Zygmuntem Augustem były zimne, dalekie, i jak widzimy nietrwale.

Nie spieramy się o czas wejścia na dwór Kochanowskiego w poczet sekretarzy królewskich, lubo wielką ochotę mielibyśmy wierzyć Starowolskiemu, którego fakt o kasztelanii połanieckiej przez pana Przyborowskiego splątany, sprawdzimy. Były to bardzo bliskie dzieje Starowolskiego, żeby o nich należytej nie mógł powziąć informacji; nie szło tu przecie o krytykę, do której zdolności Starowolskiego widocznie się nie nadawały. Ale jeżeli dla tego przypuszczenia, że Padniewski z pozoru trzymał pieczęć, odsądza go p. Przyborowski od stosun-

ków z Kochanowskim, to się myli. Padniewski nie z *po-zoru*, ale z prawa, z urzędu był przez trzy lata całe podkanclerzym koronnym. Pieczęć wziął w roku 1559. W rok później gdy umarł Zebrzydowski (w maju 1560) wziął po nim biskupstwo krakowskie. Biskupstwo to nie szło z pieczęcią; już z tego powodu i Samuel Maciejowski wiele ucierpiał od szlachty: ztémwszystkiem Samuel Maciejowski trzymał jeszcze długo pieczęć na biskupstwie krakowskiem, aż mu ją prawie przemocą wzięli. Padniewski toż samo, nie chciał pieczęci rzucać dla biskupstwa, chciał trzymać jedno i drugie; biskupstwo dawało mu blask, pieczęć władzę. Póki Padniewski nie złożył pieczęci, Myszkowski był do niej nominatem; niezawodnie król nominując kanclerza na biskupstwo, Myszkowskiemu obiecał urząd koronny, ale dać go nie mógł w tej chwili, bo Padniewski musiał być kanonicznie wprzód osadzony na katedrze krakowskiej: korespondencye z Rzymem zajęły nieco czasu. Wreszcie gdy objąwszy już stolicę biskupią sam dobrowolnie pieczęci nie składał, zrobiono z nim jak z Maciejowskim: oddać ją musiał, ale kwasy zostały w sercu na długo i na zawsze: jeszcze Comendoni wiele o nich świadczy. Dla pozoru w Polsce nie mianowało się urzędników, każdy był rzeczywiście tém czém był, a urząd odbierał tylko awans z jednego na drugi, lub prawo.

Że nie był tak nieczuły Kochanowski dla króla jak to pan Przyborowski powiada, na to już odpowiedział Wójcicki cytacyami z poety (Bibl. Warszawska r. 1857 str. 578). Do jego słów niczego więcej dodać nie można. Mybyśmy w tym jednym wyrazie poety do króla:

Panie mój! to największy tytuł u swobodnych...

więcej widzieli serca, jak we wszystkich narzekaniach elegijnych. W tém „panie mój” jest cała miłość dla króla, dla dynastyi.

Osiąść mógł w Czarnolesie Kochanowski wcześniej, ale to nie może świadczyć na stronę mniemaną jego niechęci dla króla. Owszem mamy ślady, że długo po roku 1566 tytułował się *dworzaninem* królewskim. Posiadałmy testament Nideckiego późniejszego biskupa inflanckiego, spisany w Warszawie na dwa miesiące przed

śmiercią królewską, to jest dnia 8 maja 1572 r. Testamentem tym, ciekawym nadzwyczaj zabytkiem w swoim rodzaju, tém bardziej że ma interes i dla literatury i dla wielu osobistości Jagiellońskich, poznamy w następnym artykule czytelników Biblioteki Warszawskiej; tutaj tylko nawiasowo wspomnimy, że Nidecki na executorów swoich obiera czterech ludzi dworskich, czterech miejskich i cztery sługi swoje. Czterej dworsey oczywiście idą w tym opisie naprzód, a w następnym porządku: Jan Kochanowski proboszcz poznański, Stanisław Fogelweder doktor i kanclerz plocki, Łuk. Górnicki starosta tykociński, i doktor Antoni Laterejan sekretarz królewski i agent w Wenecyi. Otóż w roku 1572 przeważnie stanowisko społeczne Kochanowskiego było dworskie; chociaż się z dworu oddalił, przecież nie zerwał z nim i służył ostatniemu z Jagiellonów aż do jego śmierci. Że na wsi siedział, temu usposobienie poety było winno, nie żadna obojętność. Wszakże dla tego samego usposobienia, nie przyjął potem kasztelanii, a przyjął wojstwo sandomierskie.

To zapisanie poety do testamentu Nideckiego jest ciekawym faktem. Był, widno z tego, dobrze Jan z Czarnolesia z uczonym filologiem a prawą ręką Zygmunta Augusta w kancelaryi, pod zarządem wszystkich jak następowali po sobie podkanclerzy, nawet pod Krasińskim. Przyjaźń ta była oczywiście czysto dworska i zawiązała się na dworze. Z Fogelwedrem, z Górnickim stosunki wyraźnie napomykają na dwór i króla. Znaleziono niedawno oryginał listu poety do Fogelwedra, z dnia 6 października 1571, pisany z Czarnegolasu; drukowała go naprzód Gazeta Codzienna, a powtórzono go potem w tomie I Zbioru pamiętników Platera wydawanych przy Bibliotece Warszawskiej. List ten żartobliwy, niewiele objaśnia życie poety, ale samego charakteryzuje. „Poezya pieszczotą” tchnąca trzymała go w oddaleniu od dworu, ale oto wybierał się do Warszawy, gdyby nie powietrze, o którym natręcali coś ludzie w Sandomierskiem. Król wtenczas przez kilka lat ostatnich życia ciągle mieszkał w Warszawie. Otaczali go sekretarze z kancelaryi, najwięksi ulubieńcy królewscy a przyjacie-



le Jana z Czarnolesia. Gdyby chciał tylko, zostałby ciągle na dworze: mógłże wątpić chociaż na chwilę o tém?

Nidecki w testamencie, jako pamiątkę po sobie zapisywał Kochanowskiemu tacę srebrną pozłocistą, numizma jego królewskiej mości, oraz kobierzec, który sobie sam obierze.

A przecież samo kilkoletnie piastowanie probostwa poznańskiego ohyć się nie mogło bez wyraźnej łaski królewskiej. Nie dosyć, że mu z tej prelatury Myszkowski ustąpił, w każdym razie należało na to uzyskać pozwolenie królewskie, prezentę. Pan Przyborowski twierdzi, że podpisywał się Kochanowski proboszczem jeszcze w roku 1571, ale domyśla się, że „uczynił to dawnemu zwyczajowi kwoli.” Podpisał się proboszczem w owym liście do Fogelwedra w październiku 1571. Proboszczem nazywa go jeszcze później w r. 1572 w testamencie Nidecki. Nie byłoby więc „dawnemu zwyczajowi kwoli”, ale Kochanowski był jeszcze proboszczem, chociaż nie był księdzem: podobnych faktów z owego czasu wiele przytoczyć można. I Hozyusz miał już dwa probostwa w Wilnie, a księdzem został dopiero później w lat kilkanaście. Robiło się to dawniej częściej, zdarza się i teraz. Wszakże kościół na tém nie cierpi wiele, gdy beneficjanci podobni mogą się w każdym razie święcić, a tymczasem pobierając dochody, trzymają komendarzy na beneficjach.

Żałujemy niezmiernie, że poszukiwania p. Przyborowskiego w Poznaniu o tém probostwie Kochanowskiego były nadaremne. Za to nam się udało znaleźć kilka szczegółów, które dla wyjaśnienia tej sprawy nie będą, spodziewamy się, obojętne. W muzeum Świdzińskiego sulgostowskiem znaleźliśmy księgę korespondencyi podkanclerzego koronnego od r. 1569 — 1572. Księga ta niezmiernie ciekawa a ważna dla historii Zygmuntowskich czasów jest w rodzaju Tomicyanów. Otóż w owej księdze znaleźliśmy pewne fakta, które rzucają światło na żywot i sprawy Kochanowskiego. Widać poecie znudziło się już życie bez celu, jakie dotąd prowadził; posiadając urzędy duchowne, oczywiście miał obowiązek jakiś względem kościoła, powinien się być poświęcić wyłącznie służbie ołtarza za chleb,

który mu kościół dawał tak bezinteresownie i tak szlachetnie. Ale usposobienie ciągnęło go do pozycia rodzinnego. Starowolski wyraźnie pisze o Kochanowskim: „Ut tamen sacris initiaretur adduci nunquam potuit, nie dał się skusić do święceń kapłańskich.” Widać ta walka już toczyła się i zwycięstwo było po innej stronie, przynajmniej wieść się rozeszła w początkach 1571 roku, że probostwo poznańskie wakuje. Niezawodnie chciał się wtedy żenić Kochanowski. Przyborowski domyśla się, że ślub poety z Dorotą Hanną Podlodowską mógł nastąpić około 1568. Sądzymy, że później, i że to stać się mogło dopiero około 1572. Gdyby się ożenił, tém samém złożyłby beneficya czasowe, które o tyle należały do niego, o ile mogły być jego. Żona oczywiście wykluczała beneficya. Otóż najprędzej te wieści, że Kochanowski zamyśla o stanie małżeńskim, były powodem do starania się ludziom ambitnym o probostwo poznańskie. Nie wiemy czy wielu innych było spółzawodników, ale z aktów Krasieńskiego widzimy, że starał się głównie o to beneficium ksiądz Łukasz Podoski, podówczas poseł polski w Wiedniu u cesarza. Zaczynał to być i zdolny człowiek, posiadał już probostwo gnieźnieńskie i kanonią krakowską; wszyscy w nim nawet widzieli następcę Krasieńskiego na podkanclerstwo. Ztémwszystkiem ksiądz Podoski oczekując na pieczęć, sprawy nie zasypiał; ambicya jego nie razi wcale, wszyscy ją mieli. Podoski tedy zgłaszał się listownie do Krasieńskiego, pytając się jak rzeczy stoją i jeżeli jest wakans, zamawiał sobie zawczasu względy. Raz mu na takie zapytanie odpowiedział Krasieński krótko a węzłowato (z Warszawy 15 maja 1571) „o probostwie poznańskim, żeby miało wakować, nie nie słyszę, a ad vacatura beneficia król jegomość nie chce dawać prezentacyi (manuskrypt sulgostowski, stron. 347). Nie mamy listów Podoskiego, więc nie wiemy co pisał i jak pisał; mamy tylko odpowiedź Krasieńskiego: widać nie przestał Podoski na tej odpowiedzi, bo znowu docierał: wiemy o tém z drugiej odpowiedzi podkanclerzego w tydzień potem pisaniej. „Co się tyczy probostwa poznańskiego, o które mi waszmość już kilkakroć piszesz, nie baczę, aby wakować miało; a zatem nie rozumiem jako waszmości do niego

pomódz. „Non deero tamen per omnem occasionem Rev. dominationi vestrae, quam bene valere cupio”.

Więcej śladów o tém nie ma, ale i z tego płynie przekonanie:

1. Że Kochanowski nie mógł się żenić około r. 1568. Nie był żonaty w r. 1571, kiedy sam się nazywa proboszczem w liście do Fogelwedra w październiku 1571 r., ani nawet w maju 1572, to jest w rok po tych staraniach się Podoskiego, kiedy go Nidecki jeszcze proboszczem nazywa, i

2. Że z łaski królewskiej miał Kochanowski probostwo.

Nie zawadzi tu może dać spis proboszczów poznańskich z XVI wieku, poprzedników i następców Kochanowskiego. Pan Przyborowski może co niedokładnego będzie w tej liście poprawić z akt kapituły poznańskiej.

Proboszczami tedy katedralnemi w Poznaniu w ciągu wieku XVI byli:

1. Mikołaj Krzycki brat prymasa, dziekan krakowski 1501. Niesiecki.

2. Paweł z Szydłowca kustosz krakowski, sekretarz królewski, umarł 2 czerwca 1506, mając lat wieku 26. Starowolski, Monumenta Sarmatarum.

3. Jan Łaski proboszcz srodzki, późniejszy od roku 1510 prymas. Tomiciana. T. I. Stron. 69.

4. Jan z książąt litewskich, syn Zygmunta Starego, został biskupem wileńskim w r. 1519.

5. Jędrzej Krzycki zaraz po Janie, 1519, późniejszy prymas. Niemcewicz, Zbiór pamiętników. T. I. Str. 372.

6. Jan Latałski proboszcz gnieźnieński, krakowski i poznański, został biskupem poznańskim 1523.

7. Jan Chojeński archidyakon krakowski 1529—30. Jocher, Obraz Nr. 7331 i kodeks Rzyszczewskiego. Str. 117.

8. Jan Zbąski proboszcz krakowski, sekretarz królewski, umarł 31 grudnia 1541, mając lat 48. Starowolski Monumenta.

9. Piotr Myszkowski.

10. Jan Kochanowski 1571—2.

11. Jan Powodowski sekretarz królewski, sędzia delegowany podług ustaw trydenckich; był proboszczem 1573, umarł dopiero 8 lutego 1587. Starowolski loco cit.

12. Stanisław Gomoliński 1587. Turgeniew *Historica Russiae monumenta*. Tom 2. Stron. 10.

13. Jędrzej Opaliński 1597.

Z tej listy widać, że Kochanowski już w r. 1573 nie był proboszczem: kiedy nim teraz został? trzeba wysledzić, a rzecz ta stanowczo się oznaczy.

O widokach politycznych Jana z Czarnolesia niezmienne mało dotąd wiedzieliśmy. Teraz na początek odkrywamy charakterystyczny o nim szczegół w świeżo wydanym Orzelskim.

Byłoto na sejmie elekecyjnym w listopadzie 1575 r. Razem ze szlachtą sandomierską przyjechał Kochanowski do Warszawy i przysłuchiwał się długo w milczeniu obradom spółbraci. Jedni mówili za Piastem, drudzy za Rakuszaninem, inni kandydaci do tronu nie tyle mieli stronników. Kasztelan przemyski Drohojewski popierając Niemca ruszył biblijnym konceptem (21 listopada). Mówił, że szlachta wybierać chce króla z pośrodku braci, pod bracią zaś nie trzeba rozumieć samych ziomków tylko w ogóle chrześcian. Piasta nie chce, chyba go wskaże cud. Porównywał tutaj prymsa z Kaifaszem, że obydwaj chcieli dobra ojczyzny. W kilka dni (24 listopada) odpowiadał kasztelanowi Świętosław Orzelski: „niektórzy dowodzą, mówił, że braterska jedność, która była między izraelitami, wiąże wszystkich chrześcian, i ztąd wnoszą, że można króla obrać z jakiegokolwiek chrześciańskiego narodu.” Zbijał te dowodzenia Orzelski, a poprzednio okropnie ganil cesarza. Nazajutrz z tegoż sensu przemawiał Kochanowski w zgromadzeniu szlacheckim pod Wolą. Orzelski pisze o nim w tych wyrazach: „Jan Kochanowski sandomierzanin, znakomity poeta polski, a biegły naśladowca poetów łacińskich”. Mówili poprzednio senatorowie z kolei, teraz zaczynały podawać głosy województwa. Orzelski jako wielkopolanin mówił wprzód, a kiedy na sandomierzan przyszła kolej, wystąpił pomiędzy innemi Kochanowski, ale mówił od siebie prywatnie nie zaś imieniem województwa, co

powagę głosu jego oczywiście zmniejszyła. Ciekawe to bardzo.

Pijąc do Drohojewskiego, rzekł:

— Boże przykazanie dane żydom o wyborze króla, należy stosować do całego chrześcijaństwa podług słów Pawła, który powiada, że całe chrześcijaństwo zrodzone z siemienia Abrahamowego.

Tu Kochanowski widocznie obstawał za królem austryackim i rozciągając znaczenie wyrazu *brat*, co u szlachty znaczyło tylko króla *Piasta*, wmawiał w nią, że myśląc o bracie, może wybierać chrześcianina: nawet nie szło tu o katolika. Tym zaś chrześcianinem był koniecznie w pojęciu stronnictwa cesarz. Licha bardzo logika w tém wszystkiém była. Kochanowski poeta wielki nie pokazywał tutaj ani bystrości, ani wymowy. Więc odrzekł mu podkomorzy chełmski Sienicki, jeden z urzędowych przywódców szlachty, człowiek znakomity rozumem i sercem, co pokazał mianowicie na sejmie unii lubelskiej i teraz na elekcyi; odparł tedy:

— Różne jest to duchowe królestwo Chrystusowe, o którym mówi Paweł, od ziemskiego królestwa monarchów świeckich.

Nie darował mu Kochanowski i odrzekł:

— Wstyd będzie Polakom, że po haniebnej od nich ucieczce jednego króla, musieliby aż z swego narodu obierać króla nowego, bo żaden obcy nie chce u nich panować.

Widocznie klin zabito w głowę Kochanowskiemu.

Odparł mu tedy znów Sienicki:

— Głos niechętnych zamilknąć musi, bo oto cudzoziemcy intryg i staran używają, starając się o koronę.

Kochanowski na to:

— Każdy szlachcic polski będzie się tedy puszyć nadzieją, że zostanie królem.

Odpowiedziano mu, że i owszem, jeżeli godzien korony, jeżeli go za takiego wszyscy uznają, jeżeli to będzie wola Boska, czemu nie?

Tutaj już Kochanowski zbity z tropu, dowodzić nie śmiał i prosto z abstrakcyi zstąpił na pole praktyki.

Radził obrać najmłodszego cesarzewicza lub syna wielkiego kniazia z Moskwy. Sądzone, że ten ostatni kandydat był tylko dla pozorów w uszach Kochanowskiego, bo widocznie ze wszystkich manier jego, Austryak wyglądał. Może byłto wpływ Myszkowskiego, który jawnie i otwarcie był za cesarzem, rozplywał się nad jego wyborem zawczasu, a inne wszystkie kandydaty srodze wecował; żeby zaś i swoją mieć racją, Kochanowski chciał obierać książątka, żeby od młodu przywykło słuchać senatu jako młode źrebię, które biegły jeźdźcie zawczasu ujeżdża. Na to mu odparto, że nasi panowie sąto jeźdźcy bardzo odmiennój fantazyi i humoru, a wyłączne prowadzenie jednego, trudne i niebezpieczne.

Oto jedyna wiadomość o politycznych zasadach Jana z Czarnolesia. Orzelski zaraz dodaje, że mowa ta Kochanowskiego „człeka niegłupiego,” zdawała się nieodpowiednią jego wziętości; a jednak „przez uszanowanie dla osoby poety wysłuchano jój powolnym uchem.” Szlachetny naród, co dla wieszczów znał uszanowanie przez cześć dla ich zasług, chociaż nie bardzo mądrze mówili! (1).

Kiedyśmy już w Orzelskim, musimy sprostować błąd już nie historyka, ale jego tłumacza polskiego, żeby potem się nie opierał ktoś na powadze drukowanego przekładu.

W styczniu w roku 1576 po elekcji Batorego na zjeździe jędrzejowskim, szlachta sandomierska sama bez króla rozdawała wakanse. Sieniński, Ligeza, Kazanowski posunęli się z niższych na wyższe kasztelanie: po ostatnim zawakowała tedy żarnowska. Orzelski rozpowiada, że żarnowską dała wtenczas szlachta „wojskiemu sandomierskiemu.” Spasowicz wiedząc, że Kochanowski był wojskim sandomierskim, wniósł: że to niezawodnie jego ten zaszczyt spotkał, i dlatego dodał w przypisku, że tym kasztelanem został Jan Kochanowski (2). Omyłka to wielka. Wiedzieliśmy tylko o jednej kasztelanii połanieckiej, którą mógł wieszcz zasiąść; teraz ni ztąd ni

(1) Orzelski w przekładzie Spasowicza. T. II. Str. 238, 251 i 257.

(2) Orzelski. Tom III. Stron. 75.

zowąd zjawila się druga, żarnowska. Ale na pierwszą są świadectwa, na drugie li tylko domysł nieostrożny.

Przychodzimy do głównej kwestyi, do owej kasztelanii połanieckiej.

Osobiście niezmiernie nas rzecz ta zajmowała. Któż nie słyszał tej anegdotki tak pięknej a charakterystycznej, że Jan z Czarnolesia nie chciał wpuścić do swego domu dumnego kasztelana, któryby to stracił, co Kochanowski zarobił? faktu tego jednak nie sprawdzono. Powtarzało się jednak to samo po wszystkich biografiach poety, ale każdy zastanawiający się czytelnik pytał, kiedy to było i czy było: wielu mogło wątpić o prawdziwości tego zdarzenia, które jak z pięknej ukazuje strony przeszłość narodową, że ludzi pióra skromnych a spokojnych, że mężów zasług cichych a znakomitych, sama szukała i wywlekała na jaśnią Rplitej z tajnik szlacheckich, tak zdoła razem Kochanowskiego i Zamojskiego.

Sądziłyśmy, że p. Przyborowski stanowczo rozwiąże wszelkie wątpliwości, aleśmy się zawiedli. Autor „Wiadomości” wierzy w prawdę faktu, kiedy żałuje „że dla braku materyałów nie mógł dojść w którym roku wakowała kasztelania połaniecka” (stron. 38); ale pominąwszy już i tę okoliczność, że autor dowodów nie miał, mamy wiele do zarzucenia tutaj p. Przyborowskiemu. Zkąd np. autor Wiadomości wie, że Kochanowski kasztelanią „byłby przyjął, gdyby mu ją dano zanim opuścił dwór, zanim przyszedł do uznania siebie w swęj rzeczywistęj godności?” To za dowolna parafraza podań Starowskiego. Należało naprzód wyjaśnić sam fakt, czy miał miejsce? Przyborowski nietylko tego nie zrobił, ale powikłał jeszcze więcej prawdę, skoro nominacyą na kasztelanię pomieścił około czasu mniemanego zerwania Kochanowskiego z dworem, to jest około 1567, a kładąc zaraz wiadomość o wojstwie sandomierskiem, każe się czytelnikowi domyślać że i kasztelania i wojstwo spotkały Kochanowskiego jeszcze za panowania Zygmunta Augusta. Tłómaczenie zaś powodów odmowy kasztelanii, że niby wypadło w skutek obrażonej miłości własnej, zdaje nam się, psuje prawdę o tyle, że Kochanowskiemu człowiekowi nielubiącemu wystawy a wzdychającemu za ci-

szą, każe autor grać rolę jakiegoś Waszyngtona, jakiegoś trybuna na dobrowolnym wygnaniu. Że mówić na publicznie nie umiał, wystarczy na to dowód z elekeji Batorowskiej. Jesteśmy u siebie przekonani w duszy, że czy tak czy owak, Kochanowski nie przyjąłby nigdy kasztelanii z naturalnego usposobienia: nie ma więc co i odmowy tej zapisywać na karb niechęci dla króla.

Rozwiążmy naprzód pytanie, czy Kochanowski był w istocie mianowany kasztelanem, a potem pójdzie drugie, kiedy to być mogło?

O nominacyi wyraźnie pisze Starowolski, najdawniejsze nasze źródło biograficzne o Kochanowskim w tych słowach tłumaczonych tu z łacińskiego: „puściwszy od siebie beneficya duchowne, ożenił się z Podłowska... o czém gdy się Zamojski dowiedział, nie chcąc, by mąż którego wielce cenił, zmarniał w życiu prywatnym, wyjednał mu u króla Stefana kasztelanią połaniecką i posłał mu przywilej.” Tu następuje znana odpowiedź Kochanowskiego.

Nominacya więc ta nastąpiła już za Stefana Batorego nie za Zygmunta Augusta. Przyborowski nie wierzy Starowolskiemu w tém, że dopiero co teraz usunął się ze dworu Kochanowski, że go król Stefan chciał zatrzymać u siebie z pensją tysiąca dwustu złotych (str. 32), a jednak na to wychodzi, że Starowolski ma prawdę. Że był dworzaninem jeszcze w środku roku 1572, tośmy widzieli, również i to, że w roku 1573 już nie był proboszczem poznańskim. Widoczna, że śmierć króla wywarła tutaj wpływ przeważny na życie poety. Przestał być dworskim człowiekiem w dniu śmierci pana, w następnym roku może się ożenił, a nie przeszkadza to wcale nie przypuszczeniu, że już w roku 1571 siedział u siebie na wsi.

Dwór po śmierci Zygmunta Augusta rozprzął się: oczywiście nie byli to urzędnicy koronni, żeby dożywotnie pozostawali w obowiązkach przy tytule. Ci z dworzan, którzy długoletnią służbą i ciągłą obecnością przy osobie pańskiej położyli dla króla zasługi, a których los od życia króla zależał, oczywiście troszczyć się mogli o przyszłość; ale nie Kochanowski, który miał schronienie w dziedzictwie ojców. Więc nic dziwnego, że uwa-



żał się za uwolnionego nawet od tych obowiązków, jakie miał u dworu. Nie dziwnego, że król Stefan ciągnął go do siebie jeszcze w roku 1576. Nie wiemy czemu tutaj p. Przyborowski Starowskiemu nie wierzy, kiedy opowiadanie jego zaokrągla się i wywiązuje się chronologicznie. Nie chciał Kochanowski siedzieć na dworze, więc go potyka łaska królewska opactwem sieciechowskiem (nie wiemy jak to pogodzić z żoną? chyba nie miał jej jeszcze Kochanowski i w roku 1576), a gdy to się nie udało, więc kasztelaną połaniecką. Kiedy to opactwo miał dostać Kochanowski, rzecz niepewna: z dat dojść trudno. Ale jedno i drugie było już za Batorego i w początkach panowania króla Stefana.

Rzecz tę stanowczo rozwiązuje położenie samego Zamojskiego. Zamojski poecie wyrabia jedno i drugie: nie mogło to więc być w żaden sposób za Zygmunta Augusta, bo wtedy Zamojski był bardzo małą figurą i u króla nie wiele znaczył. Dopiero w roku 1572 został po ojcu, kasztelanem chełmskim, starostą bełzkim. (Paprocki stron. 197). W bezkrólewiu dopiero nabył wielkiej powagi i znaczenia: na elekcji z roku 1575 przewodniczył swemu stronnictwu i odniósł świetne zwycięstwo. Król przyjechawszy do Polski, poznał wielkie jego zdolności i dał mu pieczęć mniejszą dopiero na sejmie koronacyjnym 16 maja 1576 (metr. księ. 114 fol. 2): odtąd potęga Zamojskiego.

Nie mamy powodu nie wierzyć podaniu Starowskiego. Wierzymy tedy, że Zamojski wyrobił poecie kasztelaną; jednak na to nie ma żadnego śladu w metrykach koronnych: pilnie je w tym celu przeglądaliśmy i napróżno. Tłumaczy to się takim sposobem, że nominacye skassowane, nie były przez prawo uważane za rzeczywiste; przemazywano je w metrykach, lub kiedy nie wpisano ich jeszcze, po kassacie już nie wpisywano. Z Kochanowskim musiał zająć drugi wypadek. Gdyby jego nominacją skassowano byłby ślad, a że go nie ma, widać że przed wpisaniem do metryk, Kochanowski podziękował. Bądź jak bądź, nie można usuwać poety z szeregu kasztelanów połanieckich. Nominowany był, piastował więc godność choćby krótko; nie objął jej, ale

ją miał. Istota rzeczy była, to jest podpis królewski; tego, kto po nim nastąpił w lasce królewskiej i kasztelanii, zapisano do metryk jako następującego bezpośrednio po tym, po którym Kochanowski nastąpił: tak dowód prawny zginął. Ale jest dowód moralny, jest przeświadczenie o prawdziwości faktu, którego nie odrzuca i p. Przyborowski.

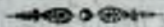
Teraz zostaje rozwiązać pytanie, kiedy Kochanowski otrzymał nominacyą?

Powiedzieliśmy, że to być nie mogło za czasów Zygmunta Augusta, bo naprzód wiemy, że w r. 1572 był Kochanowski jeszcze człowiekiem dworskim i proboszczem poznańskim; zaś w roku 1575 na elekeyi był jako ziemianin, a potem Zamojski nic mu nie mógł zrobić za Zygmunta Augusta, a wszystko za Batorego. Otóż nie ma co nawet mówić o czasach Jagiellońskich, w których pod koniec kasztelanowali w Połańcu: naprzód Jan Komorowski, ten złożył godność w roku 1563, i zaraz po nim bezpośrednio mianowany 20 kwietnia 1563 r. Stanisław Zaklika Topor Czyżowski (metryk. ks. 96, fol. 96). Wspomina o nim i Niesiecki, ale roku śmierci wskazać nie może. Po Stanisławie wziął bezpośrednio kasztelaniją połaniecką syn jego Zygmunt, człowiek bardzo zacny i ten występuje ciągle w bezkrólewiu po Henryku. Z Orzelskiego można spisać dokładną jego z tych lat biografią. Zygmunta Czyżowskiego król już Stefan nominuje na sejmie koronacyjnym kasztelanem bełskim w roku 1576. W Niemcewicza wypisach z Orzelskiego (Zbiór pamiętników T. II, Str. 48 i t. d. wydanie lipskie), błędnie ten Czyżowski nazwany jest Cikowskim. Nie wiemy kto był mianowany teraz na kasztelaniją połaniecką, ale prawiebyśmy nie przyznali, że to nasz Jan z Czarnolesia. W trzy lata potem tenże Kochanowski został wojskim sandomierskim. Wakans brał po Jędrzeju Gołuchowskim, którego szlachta obrała teraz na podkomorzego sandomierskiego, a król mu oddał pomiędzy czterech kandydatów ten urząd. Byłto niezawodnie ów wojski sandomierski, którego szlachta, jak powiada Orzelski w styczniu 1576, obrała kasztelanem żarnowskiem, choć to Spasowicz zwała na Kochanowskiego.

Nominacya Jana z Czarnolesia na wojskiego zapisana jest w metr. kor. ks. 19, fol. 230. pod d. 9 pazdzier. 1579, a datowana z Wilna. Pierwsi tutaj ogłaszamy tę wiadomość i tę datę.

Więc oczywisty wniosek, skoro Kochanowski nie mógł być kasztelanem przed 1576, bo i tytuły jego nie są senatorskie z owych czasów i miejsca w Połańcu nie było; dalej, skoro już roku 1579 brał wójtstwo, urząd który do śmierci zatrzymał, a dostał go po kasztelanii już; nominacya na krzesło senatorskie mogła mieć miejsce tylko w przeciągu 3 lat, t j. 1576—1579, a najprędzej w r. 1576, bo łatwiej przypuścić, że nie zaraz zdarzył się drugi wakans w Połańcu. Po Czyżowskim mógł być kasztelanem połanieckim tylko Stanisław Dunin Borkowski, ale dat żadnych o nim nie ma Niesiecki nawet, który go kasztelanem nazywa. W roku 1581 zaś kasztelanem był już Jędrzej Ogończyk Niedrzwicki, który walczył pod Połockiem pod znakami hetmana Mieleckiego.

Dnia 29 marca 1858 r.



## JERZY FORSTER (\*).

---

Mało kto przeszedł w życiu tak dziwne koleje, jak uczonego podróżnik i profesor, którego podajemy tu życiorys. Jerzy Forster towarzysz żeglugi sławnego kapitana Cooka, wytrwałą pracą naukową i szczegółowym opisaniem wysp morza Południowego, pozyskał w młodym wieku europejską sławę, a jednak zakończył w opuszczeniu i nędzy, dni tak świetnie rozpoczęte. Nieraz może gwałtowniejsza burza wstrząsnęła życiem człowieka, ale mało komu kłopoty powszednie tak zamąciły spokojność. Są ludzie, którym pasmo żywota wysuwa się zgodnie z ich wewnętrznym usposobieniem, jakby ręka niewidzialna do jednego dostroiła tonu ich myśl ze światem, jaki ich otacza. Tacy umieją zręcznie korzystać z okoliczności, chwytają skwapliwie wszystko, co odpowiada ich tajemnym celom, i uchylać przeszkody stojące im na drodze; są znów inni, którychby najwłaściwiej nazwać można synami swego czasu: wyobrażają bowiem najgłówniejsze jego rysy, jak dziecię nosi na obliczu cechę rodu swego. Myśl panująca w czasie, przesiąka ich na wskroś, a namiętności miotając ogółem, porywają ich niby wody potoku. Takim był Jerzy Forster.

Wszystkie jego dążności i czyny objawiają wiek, do którego należy: ów niespokojny i burzliwy wiek XVIII. Od pierwszej młodości badawczy duch czasu pcha go w strony dalekich oceanów, na przygody podróży; a przez resztę dni widzimy go, jak niepewną stopą ślizga po powierzchni wieku swego, marząc o lepszej przyszłości.

(\*) Życiorys w skróceniu z Westminster Review.

Wierzy naiwnie w objawienie prawd długo zagrzebanych w cieniu, w świetny blask nowej ery, w rozbudzenie się i udoskonalenie ludzkości. Z sercem uczciwem i szlachetnym, z wyobraźnią śmiałą, i jak utrzymuje wolną od przesądów, zapuszcza się w sfery, gdzie powietrze zbyt rozrzedzone, aby niem bezpiecznie oddychać można. Cierpienia spowodowane gwałtownym charakterem ojca, srogie zawody w małżeństwie, chluba, że opłynął świat wkoło, że dał poznać Europie obyczaje dzikich ludów; oto główna treść życia Jerzego Forstera. Ciężkie jego przygody świadczą, w jak trudnym położeniu byli wówczas uczeni niemieccy. Widzimy w nim człowieka niepospolitych zdolności i gruntownej nauki, człowieka silnego sercem i umysłem, otoczonego aureolą sławy, który mimo to, musiał marnować życie na dworach drobnych książąt, aż nakoniec rewolucya francuzka porwała go i pochłonięła w przepaść niepamięci.

Długo po śmierci Jerzego Forstera świat wcale o nim nie wiedział, aż nareszcie jego prace ogłoszone pod dyktando uczonego pisarza Gerwiniusa, oraz wyborna biografia Königa, otoczyły imię jego zasłużonym blaskiem. Na pierwszy rzut oka, prace Forstera mają pozór lekkich szkiców, lub niedokładnych urywków: wina w tém okoliczności, które go ciągle kępowały. Pisał dla chleba, na żądanie księgarzy, lub gazeciarskich przedsiębiorców same oderwane artykuły i przedmowy. Ale przyjrząwszy się bliżej tym rozlicznym utworom, poznać dopiero można, ile zamykają w sobie głębokiej nauki, myśli i uczuć żywotnych. W ciągu pracowitego zawodu, Forster dwa tylko zupełne utworzył dzieła: pierwszym jest opis podróży wokoło świata, odbytej z kapitanem Cook; (to mu zjednało powszechny rozgłos w Europie) (1); drugim opis podróży nad brzegami Renu i w Hollandyi (2). Te dwie prace świadczą wymownie, coby Forster mógł wykonać, gdyby sprzecznym los nie wstrzymywał bezustannie polotu jego myśli.

(1) *Reise um die Welt* Podróż naokoło świata, w 1772—1775 r. 2 tomy wydane po angielsku, w Londynie 1777 r., po niemiecku w Berlinie 1784 r.

(2) *Ansichten von Niederrhein, Brabant, Flandern, Holland*. 3 tomy in 8-vo. Berlin 1791—1794.

Są w nich uwagi pełne zdrowego sądu, nacechowane genialnym poglądem. Należy przytém oddać sprawiedliwość, że wszystkie dzieła Forstera wolne są od ogólników i abstrakcyi, w jakie zbyt często zapuszczają się niemieccy marzyciele. Obdarzony bystrym pojęciem i wzrokiem przenikliwym, zawsze prosto szedł do celu. On téż obudził w duszy Humboldta zapał do wielkich naukowych przedsięwzięć i dał mu za pierwszy wzór własny styl i metodę (1).

Podczas pobytu w Anglii, Forster przejął myśli praktyczne i uczucia liberalne tego narodu. W swoim kraju oddał się badaniom na polu nauk przyrodzonych. Systemat społeczny Niemiec nie dozwolił mu wybiedz za granicę téj sfery; ale pierwsze objawy rewolucyi francuzkiej rozbudziły w nim dawno powstrzymany zapał. Rzucił się namiętnie w życie polityczne, a podejmując zasady zaczerpnięte w Anglii, otoczony do tego urokiem sławy, obdarzony wielką potęgą słowa, zabłysnął jak prorok przed oczyma współziomków. A jednak przedwczesne jego teorye nie zjednały mu współczucia u swoich: przeciwnie nawet wywołały ogólne potępienie.

Przez pół wieku prawie, pamięć Jerzego Forstera leżała zagrzebaną pod tym srogim wyrokiem; aż obecna publikacya jego dzieł, oraz życiorys Königa przywracają mu cześć należną.

Jerzy Forster urodził się 26 listopada 1754 r. pod Gdańskiem, w małej wiosce Nassenhuben, gdzie ojciec jego Jan Rejnhold pełnił obowiązki kalwińskiego pastora. Ów Rejnhold posiadał niepospolite zdolności, obok gwałtownego charakteru. Z woli ojca kształcił się niegdyś na prawnika w uniwersytecie w Halli, ale wiedziony wrodzonym popędem, porzucił prawo, a uczył się medycyny i nauk przyrodzonych. Zagniewany ojciec przyzywał go do domu, a nie mogąc skłonić go do prawnictwa, chciał przynajmniej widzieć go kaznodzieją. Rejnhold rad nie rad uległ

(1) W roku 1790 Humboldt towarzyszył Forsterowi w jego podróży po Holandyi i Anglii; miał natenczas lat 21. Opowieści tego, który zwiedził z Cookiem czarodziejskie strefy innéj półkuli, obudziły niepomału w duszy sławnego autora Kosmosu gorącą chęć poznania krajów podzwrotnikowych.

ojcowskiej woli, lubo gorliwy protestant nie miał upodobania w teologii, a ciągły przymus rozwinął w nim nadzwyczajną drażliwość charakteru. Biedny Jerzy, który znosił w młodości srogie zapędy rodzicielskiego gniewu, pamiętając zawsze na obowiązki dobrego syna, tak się wyraża o ojcu:

„Ojciec mój miał powołanie do nauk, namiętność wiedzy. Był naturalistą, antykwaryuszem, zgruntował nawet dokładnie teologią. Z natury popędliwy, uparty w raz powziętych wyobrażeniach, był sam dla siebie powodem ciężkich zgryzot. Główne w tém jego nieszczęście, że nie chciał nigdy widzieć ludzi w właściwém ich świetle. Niekiedy zanadto był podejrzliwym, niekiedy znów grzeszył zbytnią łatwowiernością.”

Łatwo pojąć gniew starego pastora z Nassenhuben, gdy spory parafian odrywały go gwałtem od ulubionej księgi, lub naukowych badań. Do tych cierpień ducha, łączyły się jeszcze nudne o chleb powszedni zabiegi. Ozełnił się wczesnie z młodą, ubogą krewną, miał siedmioro dzieci, a dochody nadzwyczaj ograniczone.

W tak ciężkiem położeniu, pozyskał jednak wziętość, przez ciekawe spostrzeżenia w naukach przyrodzonych. Rząd rossyjski polecił mu, aby zbadał pod względem naukowym osady świeżo założone nad Wołgą. Spragniony nowych wiadomości, a dość obojętny dla parafii, z radością przedsięwziął naukową podróż, pragnąc tym sposobem otworzyć sobie nowy zawód.

Wyjechał r. 1765 z jedénastoletnim synem Jerzym; udał się naprzód do Petersburga, a ztamtąd w przeznaczone miejsce. Za powrotem do stolicy zdał szczegółowe sprawozdanie, pełne ważnych uwag, z których rząd rossyjski nie omieszkiał w przyszłości korzystać. Ale niepohamowana gwałtowność charakteru, wstrzymała mu dalszą drogę w tym zawodzie. Strawił całą zimę w Petersburgu, domagając się zapłaty, jaką sam sobie naznaczył za podjętą pracę, a odrzucając ofiarowane wynagrodzenie, pewien że w końcu uzyska przychylniejszy wyrok; tłumaczył różne artykuły za pieniądze, w czém mu i syn pomagał. Nakoniec uporem wymógł na rządzie znaczną część żąda-

nych warunków, i opuścił Rossyą rad z siebie, że wytrwał w postanowieniu.

Tymczasem w ciągu dłuższej jego niebytności, mieszkający Nassenhuben przywołali innego pastora, ten zaś uszczęśliwiony z otrzymanego miejsca, nie chciał go bynajmniej opuścić. Rejnhold Forster mając w tej chwili w ręku znaczną summę pieniężną, licząc wreszcie na swe umysłowe zdolności, nie dobił się gwałtownie o parafię. Gwałtowny jak zwykle, postanowił emigrować, i nie odwiedziwszy nawet rodziny, wsiadł z Jerzym na statek i popłynął z nim do Anglii. Przez ciąg dłuższej żeglugi ojciec i syn zamknęci razem w kajucie, uczyli się angielskiego języka.

Wkrótce po przybyciu do Londynu, Rejnhold Forster zjednał sobie względy kilku uczonych, którzy wyrobili mu katedrę nauk przyrodzonych w jednym z zakładów naukowych Lankastru. Jerzy zaś wierny jego towarzysz, równie jak on zamiłowany w nauce, musiał porzucić ulubione książki. Wszedł jako subjekt do handlowego domu rossyjskiego kupca Lewina, ale brak ruchu i uciążliwa praca, tak stargały mu zdrowie, że skoro matka z siostrami przybyła do Anglii, zatrwożona chorobliwym jego stanem, wyjednała mu powrót pod dach rodzicielski.

Biędny chłopiec młody jeszcze, a już tak ciężko doświadczony, musiał pomagać ojcu. Niedługo też Rejnhold dziwactwem i gwałtowną popędliwością do tego stopnia rozdrażnił zwierzchnie władze, że musiał opuścić professorską katedrę. Ruble rossyjskie wyczerpały się w części, nowych dochodów brakło; trzeba było więc równie jak w Petersburgu pisać dla księgarzy: Jerzy pomagał mu znowu. Miał wtedy zaledwie piętnaście lat skończonych, w tym wieku słodkich marzeń i młodzieńczej swobody, musiał pracować bez chwili wytchnienia. Odważny młodzian, był zarazem uczniem i nauczycielem: część dnia poświęcał nauce botaniki i zoologii, pod bacznym okiem ojca; oprócz tego udzielał na pensyi francuzkiego i niemieckiego języka, młodym chłopcom równie swoim co do wieku, wolne zaś chwile poświęcał tłumaczeniu.

W tej epoce życia jego zaszła przygoda, którą warto powtórzyć. Raz porankiem, gdy szedł na lekcję, zaleciał go miły zapach ze sklepu pasztetnika. Biędny Jerzy był



głodny, zjadł tylko suchy kawałek chleba na śniadanie, a tu na desce przed oknem leżały przewyborne ciastka, świeżo z pieca wydobyte, ułożone tak ponętnie dla oka! Patrzył więc miłośernie na te gastronomiczne skarby, których dotknąć nie było wolno, bo całkiem pustą miał kieszeń. Chciał odejść, ale nie mógł, pokusa była zbyt silna; daremnie walczył sam z sobą, łakomstwo wzięło górę. Podjął ostrożnie jedno ciastko, potem drugie i trzecie; zjadł je ze smakiem: wreszcie przypomniał sobie, że należy zapłacić, a tymczasem nie ma nic przy duszy. Paszetnik patrzy mu w oczy, a niebaczny łakomec nie śmie udać się w pokorę. Ucieka zarumieniony ze wstydu i z obawy, czy go nie ścigają; gdy wtém spostrzeżę na ziemi świecąca sztukę złota: chwytą ją z uniesieniem radości, wraca czémprędzej, płaci dług, a za resztę kupuje złoty naparstek dla siostry.

Doktor Rejnhold Forster szukał właśnie korzystniejszego zatrudnienia, nad przekłady dla chciwych księgarzy, gdy otrzymał wezwanie, aby jako naturalista przyłączył się do zamierzonej podróży kapitana Cooka. Po raz drugi szczęśliwy traf urzeczywistniał marzenia uczonego, wprowadzając go na szerokie pole nauki. Przyjął wezwanie z nieporównanym zapałem. Układ stanął 4 lipca 1772 r.; 13 tegoż miesiąca wyprawa odpływała z portu Plymouth. Za jedyny warunek kładł tylko, aby młody Jerzy mógł mu towarzyszyć: resztę dzieci z matką pozostawił w Anglii.

Ci, którzy badali historią odkryć morskich, wiedzą do jakiego stopnia powtórna wyprawa Cooka obudziła zajęcie ogólne; pierwszą bowiem podróżą sławny kapitan zjednał był sobie nieporównaną sławę. Jeografowie oczekiwali rozwiązania wszelkich zagadnień, naturaliści chciwi byli nowych szczegółów, ludzie światowi opisu nieznanych okolic i plemion. Jerzy czuł się niewymownie szczęśliwym, porzucając codzienne mozoły dla tak pięknego przedsięwzięcia. Z wyobraźnią pełną młodzieńczego zapału, z umysłem oświeconym gruntowną nauką, skłonny do wrażeń, a duszą otwartą na wszelkie piękności natury, z zapałem puszczał się w podzwrotnikowe kraje, na dalekie oceany, w czarodziejskie strefy innéj nieznanéj półkuli. Widział

przed sobą urzeczywistnione wszystkie sny i marzenia, wypieszczone w myśli od dzieciństwa.

Ale szczęście młodego naturalisty nie było bez cienia: zamąciły je dziwactwa ojca, który nie chcąc się stosować do surowych przepisów wojennej wyprawy, ściągnął na siebie ostre napomnienia kapitana. Jerzy tymczasem wpadł w szczególne łaski Cooka, a jak widzimy z późniejszych pism jego, umiał ocenić wszelkie tego słynnego podróżnika zasługi.

Za powrotem z pamiętnej wyprawy w r. 1774, uniesiony miłością synowską, znalazł się w nader przykrém położeniu. Ojciec przedsiębiorąc podróż nie zrozumiał ściśle znaczenia obowiązków swoich względem angielskiego rządu, czy też przepomniał o nich. Wróciwszy do Anglii, chciał ogłosić świeżo zdobyte naukowe spostrzeżenia; admiralicya dała mu poznać, że nie ma prawa ogłaszać nic na własną rękę: co zaś do urzędowych publikacyj, ona sama wyraźne zastrzeżę sobie prawo. Rejnhold Forster upierał się ze zwyczajną sobie zawziętością. Admiralicya wstrzymała druk jego książki, a podczas gdy on bronił mniemanych praw swoich zawzięcie, odebrała mu wszelki udział w pracy przez siebie przygotowywaney, za którą byłby sowitą otrzymał nagrodę. Ten okrutny wyrok pozostawił nieszczęśliwego ojca rodziny bez żadnego zasobu, po długiej i niebezpiecznej wyprawie, przedsięwziętej z takim zapałem i nadzieją.

Jerzy, którego imię nie było wzniankowane przy zobowiązaniu ojcowskiem, mógł skutkiem téj nieuwagi używać praw pisarza; jakoż niezadługo wydał opis odbytej podróży. Tym sposobem podrażnił jeszcze gniew admiralicyi, mniemała bowiem nie bez powodu, że młodzian spełniał w tém wyraźną wolę ojca. To dzieło, w którym Jerzy skreślił żywo, z prawdą i prostotą młodzieńcze swe wrażenia, doznane na widok nowych sfer, doznało wielkiego powodzenia. Imię młodego autora rozbrzmiało po wszystkich krajach Europy. Nieraz zdarzyło się, że do skromnej izdebki, gdzie mieszkał z rodziną na Perey Street, przybywali najznakomitsi cudzoziemcy, aby poznać podróżników, którzy mieli szczęście przebiegać wyspy oceanu Spokoj-

nego. Między odwiedzającymi był doktor niemiecki Soemering, z którym Jerzy zawarł ścisłą przyjaźń (1).

Jednakże dzieło młodego pisarza lubo świetnie przyjęte w świecie, mały mu przyniosło pieniężny zasilek. Rejnhold przyciśnięty potrzebą sprzedawał częściowo przywiezione z sobą naukowe osobliwości, lub też rozsyłał je w darze książętom niemieckim, licząc na ich wspaniałość. Wkrótce wyczerpał się ten zasób, a rząd angielski głuchy był na jego odezwy. Skończyło się na tém, że dnia jednego w poranku urzędnicy sądowi weszli do mieszkania doktora, ujęli go i zamknęli w więzieniu za długi.

Smutne było położenie Jerzego! Ojciec uwięziony, matka i siostry chore, on sam tak wątły na zdrowiu, że pomimo mężkiej siły woli, ledwie że mógł pracować. I nikt mu nie przyszedł w pomoc! Żadna ręka przyjazna nie wsparła go w niedoli! Nie upadł jednak pod ciężarem tylu pocisków, nie uległ bynajmniej chorobliwemu zniechęceniu. Czuł, że musi spełnić wielką religijną powinność: on jeden był wsparciem nieszczęśliwej rodziny. W Anglii niczego się już nie spodziewał, postanowił zatem udać się do Niemiec, zkąd od czasu do czasu odbierał dowody współczucia. Pozbierał zasuszone rośliny, polipy i wypchane ptaki, które przywiózł z dalekich stron świata i cieszył się nadzieją, że jaki dyrektor muzeum zakupi owe skarby drogocenne.

Z Holandyi pisał do ojca te słowa:

„Jestem zdrow, pełen poddania w nieszczęściu i ufności w miłosierdzie Boże. Nieraz już doświadczyliśmy nieprzebranej Jego łaski. On nas uwolni, bądźmy pewni, z ciężkich przygód, jakie na nas od lat kilku spadają. Co do mnie, poddaję się z pokorą wszelkiemu cierpieniu, gdyż wiem, że Bóg dopuszcza je dla mojego dobra. Ale zdając się na wyrok Opatrzności, myślę, że jej nie obrażam, modląc się codziennie o miłosierdzie Boże i o pociechę ziemską: bo jeżeli wolno człowiekowi zakosztować

(1) Jeden z najznakomitszych anatomistów i fizyologów niemieckich. Ogłosił wiele dzieł, a między innymi rozprawę: *De corporis humani Fabrica* i drugą pod tytułem: *De Basi encephali et originibus nervorum ex cranio egredientium*. Urodzony w Toruniu 1755 r. umarł w Frankfurcie roku 1830.

niekiedy trochę ziemskiego szczęścia, byłoby grzechem prosić o nie z pokorą?

Jerzy zaszczytnego doznał przyjęcia w gronie uczonych holenderskich, ale mimo doświadczonego współczucia spostrzegł zaraz, że w tym kraju nie zdoła przynieść pomocy biednej rodzinie. Bolesnie zawiedziony, tak napisał do ojca:

„Znikły wszelkie nadzieje, jakie powziąłem za przybyciem do Holandyi. Jestem w ręku Boga, uległy Jego wyrokowi; wszystko wokoło mnie i przedemną ciemnym pokryło się mrokiem: ale niech będzie Jego wola, Amen! O biedne, biedne serce moje! nie mogę teraz pisać dłużej. Myśl moja rwie się mimowolnie ku Anglii: jak się ma droga matka, biedne siostry? Oby przynajmniej Bóg miłosierny dał nam odwagę w ciężkiem utrapieniu. Oby nowe nieszczęście nie dotknęło domu naszego.”

W tém smutném usposobieniu umysłu Jerzy pojechał do Niemiec, zatrzymał się naprzód w Düsseldorf, gdzie Jakobi (1) przyjął go z zapalem. Został kilka dni w domu tego miłego pisarza, podjęty ze szczerą gościnnością i przyjaźnią. We dwanaście lat potem, gdy jadąc z Alexandrem Humboldtem do Anglii, wstąpił znów w progi Jakobiego, opuściwszy je, rzekł do towarzysza: „Już takiego drugiego człowieka nie znajdziemy w ciągu całej podróży”.

Miasto Düsseldorf nie mogło zaspokoić troskliwości synowskiej Jerzego; w Kassel dopiero spodziewał się urzeczywistnić powzięte zamiary. Panował tam właśnie książę Fryderyk II, który chciał uchodzić za opiekuna sztuk i nauk, a który niedawno wzbogacił skarb swój, sprzedawszy Anglii 22,000 poddanych za 18,000,000. Mała część tej summy wróciłaby spokój sercu Jerzego, a ponysłność biednej jego rodziny. Ale landgraf szlachetniej pragnął używać bogactw swoich. Większą część

(1) Fryderyk Henryk Jakobi syn kupca z Düsseldorf, zmuszony w młodości trzymać się ojcowskiego zawodu, porzucił potem handlowe in-  
torensa, a poświęcił się wyłącznie naukom. Był przyjacielem Wielanda,  
Götego i najpiérwszych pisarzy swego czasu. Ogłosił zbiór poezyj pełnych  
ikliwój prostoty, dwa romanse filozoficzne: *Woldemar* i listy *Ed. Allwil*.  
Miał brata Jerzego, który tak jak on miłował poezją i badania filozoficzne.  
Jerzy został późnij professorem uniwersytetu w Fryburgu w Bryzgowii.

gwinei otrzymanych za krew Hessów użył na zakupienie lichych posągów marmurowych, na które z dziwną poglądał pychą.

Raczył jednak dać posłuchanie młodemu podróżnikowi, a przyjąwszy prośbę, odrzekł: iż nie może zająć się nim przed sessyą akademii Starożytności, na której ma mieć mowę. Po tym uroczystym obrzędzie, przyjął znów pokornego młodzieńca: dał mu dla ojca pięćdziesiąt luidorów, jemu zaś ofiarował katedrę professorską w uniwersytecie w Kassel, z pensyą tysiąc siedemset franków. Ta posada jakkolwiek skromna, wydała się Jerzemu prawdziwą łaską Opatrzności. Ale szlachetny młodzian, pełen miłości synowskiej, zapytywał sam siebie, czy mu wolno zajmować się własną przyszłością, nim zapewni byt ukochanej rodzinie? Wahał się długo, czy ma przyjąć ofiarowane miejsce, nakoniec przyjął je z warunkiem kilkomiesięcznej zwłoki. Przez ten czas postanowił zapewnić los rodziców. W Getyndze poznał uczonego Heynego i szczerze się z nim zaprzyjaźnił. W Berlinie doświadczył równie miłego przyjęcia w gronie profesorów uniwersytetu. Ale podczas, gdy zewsząd obsypywano go względami i współczuciem, ojciec siedział w więzieniu, a matka i siostry trawiły życie w nędzy. Książę Dessau zajął się wreszcie losem tego bohatera nowej Odysei, który biegł z miasta do miasta, wiedziony jedyną myślą, ulżenia nędzy nieszczęśliwej rodzinie: ofiarował mu sto luidorów dla ojca, przyrzekając, że wstawi się za nim do angielskiej admiralicyi.

Jerzy wysłał do Londynu uzbierany zasób pieniężny, i na wiosnę 1779, r. powrócił do Kassel dla objęcia katedry. Tam nareszcie sprzeczny los, przeciw któremu walczył tak wytrwale, przestał go na chwilę prześladować. Doniesiono mu, że na wniosek brunświckiego księcia, loże massońskie w Niemczech zebrały składkę na spłacenie ojcowskich długów; że oprócz tego ofiarowano staremu doktorowi professorską katedrę w Halli. Na domiar szczęścia Jerzy dowiedział się, iż drogi przyjaciel jego Soemmering, wezwany jest wraz z nim na profesora akademii w Kassei. Wszystkie pociechy serca spłynęły mu razem! Z zapalem też i wielką gorliwością pełnił obowiązki professorskie, a oprócz tego zajął się przekładem dzieł Buffo-

na. Zawiązał także stosunki z uczonemi, w których towarzystwie znajdował niewysłowiony urok; między innemi poznał Jana Müllera, sławnego historyka.

Wkrótce jednak niedostatek przyćmił ów piękny widnokrąg rozsuwający się przed oczyma Jerzego i zatrut goryczą spokojność i szczęście młodzieńca. Landgraf lubo szumnemi słowy mówił o swoim uniwersytecie, nie wiele łożył na niego. Biblioteka całego dochodu miała tylko trzy tysiące franków. Jerzy musiał kupować za swoje pieniądze książki potrzebne do wykładu, i dla własnej nauki. Mimo nadzwyczaj ograniczonych potrzeb, nie mógł w żaden sposób na wszystko wystarczyć. Zacny Jakobi, z którym ciągle utrzymywał korespondencyą, nieraz szlachetnie przychodził mu w pomoc. Wyrobił mu nawet w księstwie Bergu bardzo korzystną posadę, zobowiązał się złożyć kaucyą trzydziestu tysięcy talarów, jakiej wymagało to miejsce; lecz nieprzewidziany wypadek zniszczył nagle otwierające się widoki.

Biędny Jerzy przepelniony goryczą skutkiem doznanego zawodu, egzaltowany przytém z natury, od piérwszej młodości wciągnięty przez ojca do tajemnic wolno-mularstwa, dał się ułudzić błędnym marzeniom: *wisionerów*, *empiryków* i *illuminatów*, którzy w tej epoce wielki wywierali wpływ na umysły niemieckich marzycieli. Listy jego ówczesne pełne są teoryi humanitarnych i mistycyzmu religijnego. W tym właśnie czasie zjednał sobie wielki rozgłos w Niemczech i Anglii Lichtenberg, professor fizyki z Getyngi, który ogłosił uczonemu światu, że znalazł sposób przerabiania metalów. Wpływ jego oddziałał niepomalu na łatwowierną duszę Jerzego.

Razem więc z przyjacielem swoim Soemmeringiem, młody Forster rzucił się w alchemię i utopił w niej niemało czasu i pieniędzy. Zdrowy jego rozsądek odniósł wszakże zwycięztwo nad obłąkaniem myśli. Przyznał się otwarcie do błędu i mówił o nim jak człowiek wracający do zdrowia, miałby prawo mówić o chorobie, której ledwie nie padł ofiarą. W jednym z listów pisze te słowa: „Cieszą się niewymownie, że przebył to moralne *krisis* przed trzydziestym rokiem życia. Przeszłość minęła bezpowro-

tnie, dziś pragnę tylko dojść jak najprędzej według zdolności moich do tego, co świat zowie prawdą!"

Aby powetować straty, zabrał się do nowych prac literackich; ale wspomnienie szalonego obłędu, bojaźń zemsty dawnych towarzyszków illuminizmu, a do tego znaczne długi, zaciągnięte na chemiczne doświadczenia, zatrwały mu życie w Kassel. Miłość nauki, ta jedyna kotwica myśli rozbujanęj, jedyne źródło pociechy uczonego, nie słodziła mu już jak dawniej mozołów codziennęj, obowiązkowęj pracy. Podróż tylko mogła go rozerwać i wrócić działalność wrodzonym jego zdolnościom.

Opatrzność przyszła mu nagle w pomoc, i nowy przed nim otworzyła widnokrąg. Książę Poniatowski przyrzekł mu katedrę nauk przyrodzonych w uniwersytecie wileńskim, z dostatecznym wynagrodzeniem i corocznym zasiłkiem na korespondencyę i kupno książek, oraz potrzebnych naukowych przedmiotów.

Jerzy pragnął jak najspiesznięj opuścić Kassel i poznać nowe strony świata: przyjął więc skwapliwie ofiarę książęcą. Przyjaciele złożyli się, popłacili jego długi, a on uszczęśliwiony tym dowodem życzliwości, oswobodzony z dręczących kłopotów, doznał jeszcze innęj, słodszej i żywszej pociechy.

Bywając często w Getyndze i odwiedzając dom Heynego (1) poznał córkę jego Teresę. Ujęty zaletami jęj serca i umysłu, pokochał ją i zapragnął poślubić. Teressa czuła także ku niemu jeśli nie miłość gwałtowną, to przynajmniej szczerę młodzieńcze współczucie. Widząc, że Jerzy odjeżdża sam, bez przyjaciół i rodziny w kraj obcy i nieznan, szlachetną uniesioną myślą, wybrała młodego profesora z grona licznych współzawodników i przyrzekła mu rękę.

Ojciec rozważniejszy od córki, lepiej może od nięj pojmował prawdziwe jęj uczucia. Nie odrazu tęż skłonił się

(1) Heyne wslawił się głęboką znajomością autorów klassycznych. Był on synem ubogiego tkacza z Saxonii. Wytrwała pracą i dzielną wolą, przelamał wszelkie zapory, i wyrobił sobie wysokie stanowisko. Urodzony 1729 r., został w 1763 profesorem wymowy w uniwersytecie w Getyndze. Późnięj mianowany był bibliotekarzem tegoż uniwersytetu, i dyrektorem Roczników naukowych. Wydał Tybulla, Wirgiliusza, Pindara i Homera, a edycye jego są dotąd poszukiwane przez uczonych filologów.

do zamierzonego związku. Teressa tyle jednak na nim wymogła, iż obiecał przyzwolić na małżeństwo, skoro Jerzy uzna, że położenie jego w Wilnie odpowiada powziętym widokom.

Jerzy wyjechał uszczęśliwiony miłością narzeczonej, urokiem podróży i nadzieją świetnej przyszłości. Jadąc wstąpił do Wiednia. Znano tam oddawna jego prace, a mianowicie opis wędrówek po drugiej sferze półkuli. Przyjmowano go uprzejmie w najwyższych sferach społeczeństwa. Cesarz Józef II zaszczycił go osobnym posłuchaniem, bywał na wieczorach u ministra Kaunitza i hrabiny Thune, która zgromadzała u siebie grono najznakomitszych osób. W listach do przyjaciół Jerzy wysławia z zapalem urok pięknej stolicy Austrii. To miasto pozostało na całe życie ideałem najmiłszych jego marzeń.

Opuścił Wiedeń w październiku. Dalszą podróż odbywał w słoty jesienne po błotnistej drodze, krajem płaskim i leśnym, co po urokach Wiednia smutnym wrażeniem napełniło jego umysł.

Przybył nareszcie do Grodna, gdzie podówczas bawił król Stanisław Poniatowski z całym dworem. Sejm się właśnie odbywał: szlachta koronna i litewska zajmowała wszystkie ulice i przedmieścia. Panowie polscy ze zwykłą gościnnością i należnemi względami powitali słynnego podróżnika, a siostra królewska hetmanowa Branicka, zwana panią krakowską, sama przedstawiła go królowi.

W miesiącu listopadzie objął Forster katedrę swoją w Wilnie. Gabinet historii naturalnej niebardzo był zasobny, biblioteka uniwersytecka dość uboga; ale przyrzeczono zaradzić temu niezwłocznie.

Uniwersytet wileński założony był przez Jezuitów: po rozwiązaniu zakonu uorganizowano go w nowy sposób, kilku jednak ojców tegoż zgromadzenia wykładało w nim jeszcze nauki. Jerzy miał względem nich wiele zakorzenionych od młodości uprzedzeń, lecz poznawszy ich bliżej stracił wszelką nieufność, a w listach do przyjaciół chwalił nieraz ich bezinteresowne i szlachetne postępowanie.

Zajął w Wilnie na mieszkanie stary klasztor pojezuicki: pokoje miał ciemne i smutne, ale dosyć wygodne. Utrudniało mu to niepomału zawód professorski, że musiał



wykładać przedmiot swój po łacinie. Pisał on z równą łatwością po niemiecku, angielsku i francuzku, ale z łaciną niebardzo był oswojony. Wszakże miłość ku Teressie dała mu odwagę do przełamania wszelkich trudności; wkrótce téż wyuczył się łaciny i zaczął nawet pracować nad nauką polskiego języka.

Zima przeszła mu na mozolnej a różnostronnej pracy. Z początkiem lata miał jechać po młodą małżonkę, przygotowywał téż dla niej stosowne mieszkanie. Lubo Teressa, z właściwą sobie egzaltacją pisała, że gotowa umieścić się w najuboższej chatce, i dzielić z nim nawet niedostatek, Jerzy pragnął jednak, aby jęj na niczem nie zbywało. Sprowadził więc z Niemiec biegłych rzemieślników, kupił kosztowne sprzęty, a że nie miał wyobrażenia oszczędności, przebrał miarę w wydatkach i musiał nowe pozaciągać długi.

Wplątawszy się w trudne położenie, a chcąc powiększyć dochód, postanowił chwycić się nowego zawodu i zostać lekarzem.

W owym czasie mało było w Polsce doktorów, opłacano téż złotem najmniejszą poradę; ale podczas, gdy się sposobił do leczenia drugich, wpadł sam w ciężką chorobę, z której ledwie nie umarł. W sierpniu dopiero odzyskał zdrowie i wyjechał natychmiast do Getyngi. We wrześniu ożenił się i powracał z żoną na Litwę.

Było to w 1785 roku. Od téj chwili przez ciąg dwuletniego pobytu w Wilnie, dom Jerzego Forster był prawdziwą świątynią nauki. Jeżeli Teressa oddała mu rękę wiedziona raczej romansową egzaltacją, niż rzeczywistém uczuciem miłości, obojście małżonka powinno było wzmoćnić i utrwalić jęj ku niemu szacunek.

Nigdy, w najtrudniejszym położeniu, nie okazał pochmurnego oblicza. Nie chcąc zasmucać jęj napróżno, tań przed nią jak mógł istotny stan rzeczy. Zbytkiem delikatności zniszczył w końcu domowe szczęście, z tego bowiem źródła wypłynęły pierwsze małżeńskie nieporozumienia.

Zobowiązał się pozostać w Wilnie lat ośm, ale pobyt w litewskim mieście znudził go niezadługo. Trudność w sprowadzeniu nowych pism i książek była mu ze wszyst-

kiego najprzykrzejszą. Pisał też do przyjaciół błagając ich, aby mu przysyłali choć okruchy z literackich uczty, w których brali udział. Zabawy litewskiej szlachty nie przypadły mu do smaku. Jezuici, których szanował dla słodczy charakteru i nauki, nie mogąc skłonić na katolicką wiarę ani jego, ani Teresy, usunęli się z wolna. Żył więc sam, zajęty wyłącznie obowiązkami profesora, nauką i rozmyślaniami.

„Czas, który tu przepędzam, pisał do przyjaciela, nie jest dla mnie stracony. Nabyłem wprawdzie nie jedno gorzkie doświadczenie, lecz te doświadczenia rozwijają umysł mój i wyobraźnię. Jestem teraz w stanie gąsiennicy, ale przyjdzie chwila, że skrzydła mi wyrosną; a wtedy rozwinę je do lotu i puszcę się drogą przeznaczenia mego.”

Chcąc zapewnić sobie byt lepszy, Jerzy pracował z zapalem, zdrowie też jego wątlało, a siły opuszczały go widocznie. Od samego rana zabierał się zwykle do pracy. Oprócz tłumaczeń pisał wtedy różne rozprawy, zasługujące na szczegółowy pogląd. Pierwszą z nich była dySSERTACJA o plemionach ludzkich, do której myśl podała mu teoria Kanta w tym przedmiocie. Ton dogmatyczny filozofa królewieckiego drażnił Forstera, który nie lubił idei spekulacyjnych. W jednym z listów, zowie on Kanta arcy-scholastykiem i arcysofistą swego wieku. Napisał jednak swój traktat z wielkiem uniarkowaniem, i utrzymywał w nim istnienie kilku odmiennych plemion, przypuszczając wszakże, iż mogły wszystkie pochodzić z jednego szczepu.

Napisał potem życie Cooka. Cesarz Józef II przyjął życzliwie to dzieło przypisane sobie, z wielkiem zdziwieniem wszystkich, Forster bowiem objawił w niem śmiało liberalne wyobrażenia. Rzecz dziwna, w zuchwałych utworach pisarzy francuzkich XVIII wieku nie znać bynajmniej, aby przeczuwali rychłe wstrząśnienie swęj ojczyzny. Obcy tymczasem podróżnicy, a między niemi Goldsmith, wyraźnie je przewidywali. Forster uprzedził wszystkich; w 1782 roku, pisząc do ojca wyraził się proroczco: Europa, mówił, zbliża się do okropnej rewolucyi. W innem piśmie jego widzimy taki ustęp:

„Otóż wiek przechyla się do końca, niepodobna też, abyśmy nie przyszli do nowych pojęć, do nowej doktryny,

skutkiem tego powszechnego popędu do zmian w istniejących instytucjach, skutkiem badań wszechstronnych, tudzież przewagi intelligencji nad starą rutyną edukacyjną, a nakoniec skutkiem gorącej wiary i sił prawdziwie cudownych.”

Okolo tego czasu pisał jeszcze te pełne znaczenia słowa: „Skończyła się zasada nieomylności. Tolerancya zapowiada zwycięstwo rozumu, otwiera drogę swobodzie druku i ułatwia poszukiwanie prawdy. Dociekanie wraz z doświadczeniem rozszerza i przodkuje koło naszych wiadomości. Wszystko dąży do równowagi: słowem zbliżamy się do epoki rozkwitu.”

Przytaczamy z umysłu te ustępy pisane okolo 1787 roku, aby okazać, że gdy rewolucya wybuchła, Forster sławiąc ją nie ulegał chwilowemu popędowi, ale widział w niej urzeczywistnienie myśli, która go oddawna zajmowała.

W miesiącu czerwcu tegoż roku przybył do niego oficer z marynarki rossyjskiej, i oddał mu list hr. Stackelberga z zaproszeniem, aby towarzyszył wyprawie, która przedsięwzięte nowe odkrycia na oceanie Spokojnym. W tym liście rząd rossyjski przyrzekał mu wspaniałe wynagrodzenie i dożywotnią pensją dla żony, w razie jego śmierci. Oznajmiono mu także, iż przyjaciel jego Soemmering należeć będzie również do wyprawy. Forster nie posiadał się z radości na myśl, że zobaczy raz jeszcze te dalekie okolice, które przebiegał młodzieńcem, w których zdobył pierwsze promienie sławy. Z uniesieniem witał zorzę nowego przeznaczenia swego, tak jasno lśniąca mu przed oczyma. Wmgnieniu oka przygotował się w drogę: pojechał co żywo do Getyngi, lecz wojna wszczęta między Rossyą i Turcyą obaliła nagle owe świetne nadzieje. Cesarzowa Katarzyna odroczyła naukową wyprawę na czas nieograniczony. Forster ujrzał się niespodziewanie w Niemczech, bez żadnego urzędu, bez innego funduszu, oprócz całorocznej pensyi, którą otrzymał naprzód. Szczęściem rząd rossyjski stosownie do przyrzeczenia popłacił w Wilnie jego długi. Mimo zawodu, Forster błogosławił jeszcze okoliczności i rad był z powrotu do Niemiec.

Po wielu bezskutecznych próbach, nasz professor udał się do Monguncyi, gdzie Jan Müller pełnił przy elektorze

obowiązki sekretarza, a Soemmering wykładał anatomię. Jan Müller przedstawił go księciu prałatowi, który oddał mu pod dozór bibliotekę. Pensya przywiązana do tego urzędu była nadzwyczaj skromna, lecz książę przekonał go, ile znajdzie korzyści mieszkając w samym sercu Niemiec, nad czarodziejskim brzegiem Renu, otoczony życzliwymi współrodakami.

Ów książę elektor był to człowiek zręczny, dumny, napojony od młodości dworską dyplomacją, miłośnik zbytków i światowej wystawy, mało oddany surowym obowiązkom stanu duchownego. Poprzednik jego był prałat prostego serca, uczciwy, cichy; pragnął być na wzór Józefa II zaprowadzić w księstwie swoim pożyteczne zmiany; unikał wspaniałych uczt w książęcym pałacu, przekładając skromne rozrywki mieszczkańskie.

Obecny elektor, Canon Erthal objąwszy tron arcybiskupi, zbudował naprzód pobożnych swych poddanych życiem przykładnym i surowym. Pomału jednak zmieniły się rzeczy i dwór nową przybrał postać. Wspaniała wystawność dworu Ludwika XIV oddziaływała w swoim czasie i na książąt niemieckich. Zbytki upowszechnione w Wersalu za ostatnich lat panowania Ludwika XV, wywarły niemniej wpływ na obce kraje i wcisnęły się nawet na dwór arcy-kanclerza cesarstwa. Erthal trawił dni całe na czytaniu powieści Woltaire, listów perskich, romansów Krebillona i innych dzieł tego rodzaju. Wieczorem przyjmował u stołu licznych gości. Byli jednak na książęcym dworze i ludzie wyższego umysłu, jak Stadyon, późniejszy minister austriacki i Dalberg następny biskup erfurcki, a potem arcy-kanclerz cesarstwa, prymas i wielki książę Frankfurtu.

Nie potrzebujemy tu mówić, że Forster poważny umysłem i przesiąknięty innymi wyobrażeniami, nie mógł sobie podobać w towarzystwie młodych arystokratów, którzy w szlacheckiej pysze lekceważyli zarówno i lud i mieszczkaństwo. Miał on za to kilku blizkich przyjaciół, mianowicie: Soemmeringa, z Jakobim z Dusseldorfu odnowił także związki, przerwane chwilowo podczas pobytu w Polsce. Utrzymywał niemniej stałą korespondencją z uczo-

nym Heynem i przyłączył się do wydawnictwa *Roczników naukowych w Getyndze*.

Ale pomimo przywyknienia do pracy i wytrwałej woli, widmo nędzy, które ścigało go od młodu, znów groźnie stanęło przed jego oczyma.

Zamiłowany w zbytkach elektor Moguncyi, zawiele pieniędzy potrzebował dla siebie, aby mógł łożyć choć część dochodów na pożytek instytucyi naukowej. Biblioteka powierzona staraniom Forstera, składała się z pięćdziesięciu tysięcy tomów; wiele z nich bez żadnej wartości poniewierało się pod strychem. Nieudolny Erthal nie zaglądał do niej wcale i nie troszczył się o potrzeby swego bibliotekarza. Polecił Jerzemu wykład nauk przyrodzonych; młody professor byłby chętnie uczynił temu zadość, gdyby znalazł choćby jednego słuchacza.

Nie mogąc w żaden sposób wystarczyć na potrzeby życia małą pensją i szczupłym dochodem z pism swoich, postanowił urzeczywistnić myśl, która go oddawna zajmowała: zamierzył wydać historią odkryć na morzach południowych i florę tamtejszych archipelagów. Nieznalazszy wydawcy w Niemczech na tak kosztowne dzieło, chciał się udać w tym celu do Anglii; otrzymał więc urlop na trzy miesiące i w końcu marca 1790 roku puścił się w drogę z Alexandrem Humboldtem.

Spełżył na niczem wszelkie jego zamiary, ale za to doświadczył w podróży wiele żywotnych wrażeń; w Londynie trafił na sławny proces Hastingsów, który wstrząsał całą Anglią; w Paryżu widział poruszenie ludowe, podczas przygotowań do uczt na Marsowém polu. Najlepszym plonem tej wycieczki było dzieło, które wydał pod tytułem: *Pogląd na okolice niższego Renu, Brabantu i Flandryi*. To dzieło wytwornym stylem, uroczym wdziękiem opisu, jasnością i różnaitością myśli, należy do najcenniejszych utworów niemieckiej literatury.

Do téj chwili, pomimo ustawicznych zmian losu, mimo ciągłych kłopotów, Jerzy znajdował przynajmniej słodki spoczynek u domowego ogniska; ale miał on spełnić kielich gorzkich doświadczeń ludzkich: wkrótce téż ta ostatnia pociecha była mu odebrana. Nagłe zmiany w domowém: jego pożyciu tak są dziwne, tak poplątane, że nie-

podobna ich prawie wytłumaczyć. Może być, jakeśmy wyżej powiedzieli, że zbyteczna delikatność Forstera względem żony, zbyteczne ukrywanie stanu domowych interesów, rzuciło pierwsze ziarno nieporozumienia; może być także, że dusza jego złamana od młodości przygodami i opanowana wyłączną myślą nauki, zanadto wybujała w tym kierunku kosztem tkliwych uczuć, któreby odpowiedziały wyobraźni młodej, egzaltowanej kobiety. Bądź co bądź, Teressa nieznałszy w małżeńskim pożyciu wymarzonego szczęścia, mniemając się być opuszczoną, zwróciła serce w inną stronę.

Znalazł się człowiek, który jak gadzina wdarł się do ogniska małżonków i zniweczył szczęście biednego Forstera: był nim Hübner sekretarz ministra saskiego, drobny, wątły, rysów nieznaczących i słabego umysłu. Taki człowiek nie byłby zdołał przemówić do serca Teresy, gdyby młoda kobieta chorobliwem rozmarzeniem nie stanęła już była na fałszywej drodze. Mniemając się opuszczoną żoną Forstera, przyjmowała z wdzięcznością dowody okazywanego jej współczucia. Hübner miał przytem upór, właściwy ludziom ograniczonego umysłu, a wznióła dusza Jerzego brzydziła się zazdrością.

Nieraz od czasu małżeństwa wierny przyjaciel Soemmering dawał mu do zrozumienia, że Teressa nie dość bacznie zachowuje się w towarzystwie. Na te uwagi dyktowane rozsądkiem, Jerzy odpowiadał jako poeta, że lubi szczerą otwartość i nie radby tamować swobody rozwijającego się kwiatu.

Pomatu Hübner wcisnął się do domu profesora: z jednej strony zniewalał sobie serce przeczulonej kobiety, z drugiej pomagał Forsterowi w przekładach i służył mu za pośrednika w układach z wydawcami dzienników i księgarzami.

W czasie podróży Jerzego do Anglii, nieszczęśliwie podwoił usiłowania; a gdy biedny Forster powrócił z daremnej wycieczki, onylony w nadziejach, wplątany w nowe długi, dowiedział się, że ostatnie szczęście na które liczył, szczęście domowe i miłość małżonki wydarte mu były na zawsze.

Nie stracił jednak mocy duszy, zamknął starannie boleść w głębi serca. Nie odezwał się z najinniejszym wyrzutem w zwykłych listach do teścia, czcigodnego starca Heynego. Raz tylko boleść wzięła nad nim górę, gdy pisał do Jakobiego te słowa: „Przypisz słabości mojej i niezręczności pewne wyrażenia, które cię niepokoiły w mym liście; albo jeśli trzeba, abys dotknął wszystkich strun mego serca, przebac mi napady splenu; gdyż obok przykrego położenia dręczy mnie inne stokroć boleśniejsze nieszczęście”.

Szlachetny Jerzy stracił to, co mu najdroższém było na ziemi, a jednak przemyślał tylko, jakby oddalić cię zniewagi od téj, która go nikczemnie zdradziła. Pisząc do Jakobiego, dodaje w końcu: „Jeśli chcesz dotknąć tego drażliwego przedmiotu, uczyn to proszę cię na osobnym papierze. Skoro mam cierpieć, niechże cierpię sam; a ponieważ mamy zwyczaj czytać razem twoje listy, nie chciałbym, aby ktoś inny oprócz mnie znalazł w nich jakie bolesne słowo”.

W szczególny sposób odbywał się ów smutny dramat domowy: Jerzy dowiedziawszy się o niewierności żony, mieszkał z nią jak dawniej i okazywał jęj ciągle niezmienną przyjaźń i szacunek.

Ale inne okoliczności nadały życiu jego nowy zupełnie obrot: Europa cała zwróciła oczy na straszne wypadki rewolucyi francuzkiéj. Jedni patrzyli na jęj rozwój ze ślepém współczuciem, inni z niesłychaną trwożą. Elektor Moguncyi i jego dworzanie doszli do takiego stopnia zniechęcenia moralnego, że nie byli w stanie czuć nawet silnej nienawiści; przeklinali tylko lud i sztydzili z niego podczas uczt pałacowych. Szlachta uciekała za Ren tłumami; książę prałat dał im przytułek w swoim państwie. Otworzył zamek w Worms dla księcia Kondeusza; w Moguncyi przyjął hrabiego d'Artois i naznaczył mu na codzienne wydatki sumnę 5,000 franków. Wielu z tych, których podejmował tak wspaniale, nie okazywało mu nawet przynależnych względów i zwało go poprostu księdzem z Moguncyi. Wkrótce potém dumny prałat stał się jedną z gwałtownych sprężyn wielkich politycznych działań, zajmujących podówczas wszystkie dwory niemieckie.

W pałacu jego lieźnię zebrani książęta organizowali krucyatę przeciw krwawej chorągwi Jakobinizmu. Z drukarni mogunckiej wyszły owe sławne manifesta księżęcia brunszwickiego.

Z tego, co wiemy o charakterze i dążnościach Forstera łatwo się domyślić, na którą stronę przechylał się jego umysł w tym powszechnym odmiecie. Wszystkie listy jego z téj epoki świadczą, z jak żywém zajęciem śledził stopniowy postęp rewolucyi. Nie myślał jednak wcale stać się apostołem radykalnych zmian w instytucjach niemieckich.

Znał dobrze, iż ten kraj zanadto miał wsteczne wyobrażenia, aby mógł bez niebezpieczeństwa wstąpić na tor nowéj drogi. Sam jednak skutkiem opinij liberalnych i marzeń o przyszłych kolejach ludzkości, a może nawet skutkiem gorzkich zawodów osobistych patrzył z namiętném współczuciem na obecną burzę ludową.

Stary Heyne przyklaskiwał nieinniej nowym ideom objawionym we Francyi, ale obok tego rozsądna obawa wstrzymywała go w bezwarunkowém współczuciu. W listach jego spostrzegamy ciekawy obraz najszpetniejszych wrażeń: w chwili uniesienia pisze nieraz do zięcia, jaką radość uczuł skutkiem tego a tego wyroku, albo tych a tych wniosków; w kilka dni znowu odwołuje wyrażoną opinią. Lękał się, aby Jerzy nie poszedł zadaleko, uniesiony burzliwym charakterem. Zaleca po ojcowsku umiarkowanie i spokój. Trwoga Heynego wzrosła bardziej jeszcze, gdy posłyszał, że zięć tłumaczy dzieło Bristola, z którego zdał sprawę w czasopiśmie z Getyngi. Ale Jerzy zaspokoił go w tym względzie. „Nie! ja nie tłumaczę Bristola— odpisał teściowi— i tłumaczyć go nie będę. Tam zawiele demokracji, tu znów arystokracja zbyt zacięta: nie chcę się mieszać pomiędzy szaleńców jednego i drugiego stronnictwa.“

Zamiast Bristola postanowił wtedy przełożyć z angielskiego dramat sanskrycki Sacountala; świetna poezya tego utworu stawiała go w dziwnéj sprzeczności z chłodnemi teoryami, które podówczas wstrząsały Europą.

Nowoogłoszona podróż po Flandryi i wiele innych oderwanych prac niemałej wartości, nową okryły sławą



imię Jerzego Forstera. Uczuł w piersi nowy zapal i mocniejszą niż kiedykolwiek wolę; ale siły fizyczne nie odpowiadały mocy ducha: słabły widocznie skutkiem zbytecznego wyęczenia.

Roku 1791 pisał do jednego z przyjaciół: „pracowałem cały rok bez przerwy z żelazną wolą, ale wyczerpałem zapas sił żywotnych; jestem chory, znękany, a przedemną sinutny roztacza się widok: wszystkie moje zamiary, wszystkie nadzieje uleciały po jednej. Nic mi nie idzie: zostałem obecnie bez funduszu, bez sił do pracy, w takim jednak położeniu, że muszę jak dawniej pracować na kęs chleba.“

W owej chwili przesilenia myślał jeszcze wydawać florę z wysp oceanu Spokojnego, a potem zapytywał z boleścią: „I na cóż się to przyda? Gdybym nawet znalazł w Niemczech księgarza, któryby się podjął wydawnictwa, niebym za to nie dostał, a w wysokich sferach naszej arystokracji próżno szukać księcia, któryby mnie zapomógł sumą sto luidorów, w zamian za przypisane sobie naukowe dzieło“.

W końcu tegoż roku 1791, jakby w skutek szyderstwa losu zaszły dwie ważne okoliczności, które dawniej mogły być zapewnić byt Forstera, teraz jednak nie przyniosły mu trwałego pożytku. Naprzód elektor Moguncyi wskazał mu kościół pojezuicki na pomieszczenie licznej biblioteki, a do tego przydał do pensyi bibliotekarza, pensją zmarłego świeżo profesora nauk przyrodzonych. W tymże czasie Hertzberg stary minister Fryderyka Wielkiego zawarł z nim przyjazne związki i wchodził w korzystną umowę. Dowiedział się on, że na żądanie Vossa głównego księgarza berlińskiego, niezimordowany bibliotekarz z Moguncyi postanowił pisać historią układów dyplomatycznych z 1790 roku, w których Herzberg główny brał udział. Takie dzieło obchodziło go żywo, chciał więc nadać mu większą wagę, wzbogacając je autentycznymi dowodami; przysłał w tym celu Forsterowi wiele drukowanych dokumentów. Tłumaczył się, że nie może załączyć akt urzędowych, które na wyraźny rozkaz króla nie mogą być udzielane nikomu; ale zobowiązał się przejrzeć jego sprawozdanie, wyjaśnić je i sprostować w razie

potrzeby stosownie do brzmienia owych aktów. Forster przyjął z wdzięcznością ofiarę starego ministra i posłał mu rękopisem z wielkiem jego zadowoleniem.

W kilka tygodni potém wojska francuzkie zbliżyły się do Moguncyi. Herzberg przysłał Jerzemu za pośrednictwem Vossa medal srebrny od akademii berlińskiej, pakę książek i znaczną summę pieniężną. Napisał przytém list uprzejmy, wyrażając w nim nadzieję, że Forster postąpi sobie jak na prawdziwego Prusaka przystało. Jerzy spostrzegł w tych darach wyraźną zasadzkę, a obrażony w dumie, odpowiedział staremu dyplomacie w te słowa:

„Jeżeli pana dobrze zrozumiał, życzenia pańskie niezgodne są z moimi zasadami i z myślą, jaką objawiałem stale w mych pismach. Urodziłem się na ziemi polskiej o milę od Gdańska; opuściłem też ziemię rodzinną w chwili, gdy przeszła pod panowanie pruskie, a więc nie jestem pruskiem poddanym. Pobierałem nauki w Anglii, ztamtąd odbyłem podróż wokoło świata. Miałem powierzone sobie obowiązki w Kassel, Wilnie i Moguncyi. Całe życie starałem się być dobrym obywatelem i pracowałem uczciwie na kawałek chleba. *Ubi bene, ibi patria*: to zdanie powinno być godłem człowieka nauki, człowieka, który pragnie zachować osobistą swobodę w krajach bezkonstytucyjnych. Jeżeli zowiąc mnie *dobrym Prusakiem*, chcesz pan powiedzieć, że w Moguncyi pod panowaniem francuzkich legionów, powinienem pragnąć rychłego końca klęsk wojennych, w takim razie jestem dobrym Prusakiem i byłbym zarówno dobrym Turkiem lub Chińczykiem; lecz jeżeli pan żądasz, abym z tego tytułu zaparł się moich opinij politycznych, utyskiwał nad tryumfem swobody, wstrzymał się (wrazie gdyby mnie powołano) od udziału w sprawie konstytucyjnej; abym pozostał neutralnym lub wahającym w chwili przesilenia, abym przekładał ludowi mogunckiemu, iż powinien raczej trzymać się istniejącego stanu rzeczy, niż odzyskać swobodę za współudziałem Francuzów; jeżeli jako dobry Prusak mam przyjąć wstrętą mi doktrynę i sprzymierzać się z gabinetami dworów niemieckich: upewniam pana, że to nigdy nie nastąpi. Pojmie pan po takiem oświadczeniu, że nie powinienem przyjmować ofiarowanych mi pieniędzy, lubo nigdy nie

byłem w takim jak dziś niedostatku; ale gotów jestem znieść raczej ostateczną nędzę, niż zaprzecić się zasad, którem zawsze wyznawał. Mógłbym się dać złudzić ofiarą kilku tysięcy talarów, skoro miliony nie zdołałyby zachwiać mego przekonania?"

Za zbliżeniem się armii Custina, elektor zwołał głównych urzędników, oficerów załogi, delegowanych miasta i wymógł na nich przysięgę, że bronić się będą do ostateczności. Ustanowił regentem kanclerza Albiniego i wyjechał powozem, otoczony strażą, uwożąc z sobą skarb i klejnoty państwa: przez zbytnią przezorność zabrał nawet kasę ubogich. Tymczasem mieszczaństwo rzuciło się do broni, konie wszystkie wzięto w rek wizycyą i obrócono do pociągu, generałowie w paradnych mundurach przejeżdżali się po ulicach miasta i zachęcali lud, aby gotów był odeprzeć walecznie napaść nieprzyjacielską.

Dnia 19 października Custine stanął pod murami Moguncyi. Spelzły nagle wszystkie bohaterские przedsięwzięcia; dowodzący generał Gynwich nie rozkazał nawet dać ognia na Francuzów: pierwszy opuścił plac boju i wyjechał do Erfurtu w ślad za elektorem.

Forster nie opuścił Moguncyi, nie dlatego, aby oddać hołd zwyciężkim Francuzom; lecz, że nie miał gdzie się podziąć, pozbawiony wszelkiego innego na świecie schronienia. Wszakże skłonny do nowych doktryn, obdarzony czynnym umysłem, nie mógł pozostać za obrębem działań; potok rewolucyjny uniósł go i pochłoniął.

Naprzód uniwersytet zagrożony stratą znacznej części dochodów mianował go obrońcą praw swoich w obec generała. Ponieważ doskonale mówił po francuzku, Custine używał go jako tłumacza; a nakoniec gdy organizowano rząd tymczasowy w elektoralnem mieście, mianowano go jednym z pierwszych jego członków. Napisał wtedy do Heynego, że jeżeli przyjmuje urząd, czyni to w przekonaniu, że potrafi być pożytecznym obywatelem Moguncyi. Mimo to dawni znajomi uważali go za przeniewiercę i renegata, stary nawet przyjaciel Soemmering nie chciał odtąd mieć z nim żadnych stosunków.

Jerzy postępował jednak wytrwale raz przedsięwziętą drogą. Jako tłumacza powoływano go co chwila, to do

generała, to do kommissarzy francuzkich, to znów do magistratu miejskiego. Oprócz tego wydawał dziennik, a co wieczór przydywał w klubie Jakobinów. Wśród tych rozlicznych zatrudnień narażony na ciągle niebezpieczeństwo, niepewny przyszłości, skłonił Teresę, że się oddaliła do Strasburga, gdzie ją polecił opiece przyjaciół. Odtąd rozwiązał się całkiem związek, który od podróży Forstera do Anglii był smutnym dla niego złudzeniem.

Hübner poprzednio jeszcze opuścił Moguncyą; dowiedziawszy się o wyjeździe Teresy, pośpieszył za nią, dogonił ją na granicy francuzkiej, wywiózł do Szwajcaryi i przysiągł, że jej nie opuści do śmierci. Rzecz dziwna: Jerzy od tej chwili stał się tkliwszym dla żony i Hübnera, oni oboje nawzajem odpłacali mu się szczerą zyczliwością.

Wkrótce po odjeździe Teresy przybyli do Moguncyi kommissarze francuzcy: Merlin de Thionville, Hausman i Recobelle. Jerzy obarczony ciężarem nowych obowiązków zachorował skutkiem wysilenia; zaledwie, że odzyskał siły, wysłano go w głąb księstwa dla przygotowania wyborów. Następnie delegowano go do Paryża, aby złożył konwencyi akt związku zatwierdzony przez zgromadzenie prawodawcze w Moguncyi. Zamierzał powrócić w trzy tygodnie, nie myślał nawet złożyć w bezpiecznym miejscu swoich ksiąg i papierów.

Stanął Jerzy 30 marca przed kratą konwencyi: nie szczędzono mu okrzyków, poklasków, ani braterskich uścisków. Ale akt związku, który zjednał mu tak pochlebne przyjęcie nie długo miał istnieć. Na dzień przed jego wyjazdem wojska sprzymierzone przeszły Ren, a w kilka dni potem blokowały Moguncyą. Forster nie mógł już powrócić do miasta, w którym sprawiał republikański urząd; musiał pozostać w Paryżu, gdzie rząd dawał mu dziennie osmnaście liwrów assygnatami, co mu wystarczało ledwie na kupienie kawałka chleba i kilku kartofli. Żył więc nędznie, a co więcej ciężko ubolewał patrząc z blizka na rozrukanie namiętności ludowych, o jakim w Niemczech nie miał nawet wyobrażenia. „Ze wszystkiego com tu wycierpiał, pisze w jednym z listów, najsrożej trapi mnie myśl, że poświęciłem siły i zdolności moje potworowi, że służyłem z uczciwością sprawie, której człowiek uczciwy

służyć nie może, bo to straszna otchłań wyuzdanych namiętności”.

Po tym bolesnym okrzyku jakież było postępowanie Forstera? Niktby tego nie odgadł. Forster, który patrzył ze zgrozą na srogie narzędzia rewolucyjne, zaciągnął się jednak pod ich krwawą chorągiew. Został Jakobinem, tak się tłumacząc z powziętego postanowienia: „Wiem, mówił on, że ci ludzie są w błędzie, że działają niepolitycznie, ale przynajmniej wolni są od przesądów, a do tego więcej mają siły i stałości w przedsięwzięciu”.

Podczas gdy grzęznął coraz bardziej w krwawym potoku demagogii, bomby z dział niemieckich sypały się gradem na Moguncyą, nie oszczędzając może domu, w którym były drogie skarby jego: biblioteka i rękopisma. W obozie pruskim nałożono cenę na głowę jego, a on tymczasem żył jak nędzarz na bruku Paryża, mając na dzień ośmnaście liwrów, gdy za parę butów płacono z górą dwieście. „Jestem tu, pisał wtedy, bez środków, bez oparcia, bez urzędu, gotów przyjąć pierwsze lepsze miejsce jakie mi się nadarzy. Ale jakież miejsce mogę tu dziś otrzymać? W tém okropnem wstrząśnieniu, ledwie że fala rewolucyjna podniesie kogo wysoko, wnet następna wtrąca go w otchłań zguby. Nigdy w żadnej chwili zdolności moje tak mi bezużyteczne nie były. Jestem zupełnie jak dziecko, które nie wie jak ponieść do ust łyżkę pożywienia.”

Zima przeszła nie zmieniawszy nic w jego losie. Forster odzywał się kilkakrotnie do rządu, przedstawiając, że wszystko poświęcił przez miłość rzeczypospolitej. Usłyszał w nagrodę kilka słów życzliwych z ust ministra spraw zagranicznych Lebruna, ale nic jednak nie otrzymał. Nadeszło lato. Pokrzepiony nieco na siłach i umyśle, przedsięwziął nowy zamiar: chciał opuścić Europę, a udać się w poetyczne okolice Wschodu. Napisał wtedy do Teresy: „Gdybym mógł tylko dostać z kądem kilka tysięcy franków, nauczyłbym się po persku i arabsku; udałbym się do Indyj, poświęciłbym się wyłącznie naukowemu badaniu i zostałbym lekarzem. Urok podróży po nieznanych stronach świata, miłość nauki, same nawet niebezpieczeństwa wróciłyby zdrowie i życie mojej znękaney duszy. Zostałbym na

Wschodzie pięć lub sześć lat, a potem wróciłbym do Europy, aby zakończyć dni moje obok dzieci i szczerze ci podziękować za macierzyńskie około nich starania”.

W owym czasie żona zerwawszy z nim małżeńskie związki, stała się tkliwą jego przyjaciółką i nawzajem wyłącznie myśl jego zajmowała. Utrzymywał z nią serdeczną korespondencją, pragnął ją widzieć, tęsknił do dzieci i przy każdej zdarzonej sposobności posyłał im drobne upominki, odmawiając sobie koniecznych życia potrzeb.

Spełnił na niczem podróż indyjska. Za to w miesiącu października wysłano go do Cambraj z misją do nieprzyjacielskiego generała o wymianę więźniów. W sam dzień wyjazdu jeden z kolegów jego z Moguncyi, młody Lux, który w chwili uniesienia napisał apoteozę Karoliny Corday, powołany został przed trybunał rewolucyjny i skazany na gilotynę. Gdyby Forster był podówczas w Paryżu, związki jego z nieszczęśliwym Luxem byłyby niewątpliwie ściągnęły nań takż okrutny wyrok.

Przepędził trzy miesiące w północnej Francyi, narażony na wszelkiego rodzaju cierpienia, w zupełnym niedostatku, a co gorsza pozbawiony całkiem towarzystwa i sposobności do umysłowej pracy.

Za powrotem pragnął jedynie widzieć Teresę i dzieci; lecz nie było sposobu połączyć się z niemi. Teresa mieszkała w mieście Neufchatel, podległym pruskiemu berłu, więc ze swój strony nie mogła wyjechać do Francyi, bez wyraźnego pozwolenia władz rządowych. Pierwszy lepszy mógł zatrzymać ją w drodze, jako emigrantkę, której wzbroniony był wstęp na ziemię francuską. Hübner jako poddany pruski, nie mógł jej towarzyszyć. Nareszcie po wielu namysłach ułożono, że Teresa i Hübner mieli przybyć do wioski Travers na granicy francuskiej o kilka mil od Pontalier: tam Forster miał się połączyć z niemi. Pożyczył od przyjaciela tysiąc franków, a jako urzędnik rzezypospolitej, mniemał się wolnym od wszelkiego niebezpieczeństwa. Jakoż nikt go nie zaczepił w Pontalier, ztamtąd udał się na naznaczone miejsce, gdzie zabawił trzy dni z rodziną. Nieznane są szczegóły tego spotkania, tak żywo przez obie strony upragnionego; można jednak sądzić

o uczuciach Forstera z listu, który wkrótce potem pisał z Francji do dawniej małżonki „Chwała Bogu, mówi, że cię zobaczył choć na chwilę: te trzy dni obudziły we mnie nową energią. O! jakże bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy mogli zakończyć życie blisko siebie! Byłoby to niepodobieństwem? Czyżby nam brakło siły do odmówienia sobie niektórych wygód, po tylu przetrwanych cierpieniach? O! tak, muszę zapewnić sobie jakikolwiek byt i wystarać się o zajęcie dla Hübnera; w takim razie złączymy się w Paryżu. Bądź zdrowa, uściśnij odemnie dziękuję: żegnam cię.”

Biedny Forster oddawał się słodkim marzeniom, nie wiedząc, że mu ledwie kilka chwil pozostaje życia na ziemi.

Zabawił dwa tygodnie w Pontalier, nie wiadomo dlaczego; może znęcony pięknnością miejsca, a może też nie mając odwagi oddalić się z okolicy, gdzie bawiła dawna małżonka i ukochane dzieci. Wyjechał nareszcie w czas mroźny i wietrzny, i przybył do Paryża napół skrzepty od zimna, dotknięty skorbutem, który wkrótce zamienił się w reumatyczną pedogę. Pomimo srogich cierpień, wyszedł na ulicę; było to w grudniu, zaziębił się na nowo. Powrócił do siebie w opłakanym stanie, położył się w łóżko i więcej już z niego nie powstał.

Mieszkał w małym hotelu przy ulicy des Moulins, kilku przyjaciół, równie jak on ubogich odwiedzało go w chorobie: pożyczone pieniądze wydał w podróży. Lubo choroba wzrastała z dniem każdym, łudził się do końca i łudził niemniej Teresę. Czwartego stycznia pisał do niej te słowa:

„Od trzynastu dni jestem w łóżku, okropnie cierpię, aż sen ucieka mi z oczu. Nie ma jednak żadnego niebezpieczeństwa; mam jeszcze sił dosyć, pomimo osłabienia: ale pracować nie mogę i sam nie wiem jak długo potrwa ta męcząca bezczynność. Proszę cię tylko bądź spokojna. A ty, drogi Hübnerze, staraj się usuwać od Teresy wszelką niepotrzebną trwogę; prawda, że jestem w smutnym stanie, ale powtarzam ci, nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Twoje listy, moje dziecię, były dla mnie wielką ulgą w chorobie. Pisuj do mnie często jak dotąd. Wiiesz zapewne, że nasi republikanie biją się wszędzie jak lwy. Rad-

bym wiedzieć, jakie wrażenia czynią ich zwycięstwa po drugiej stronie Renu... Dziś już niepodobna mi pisać dłużej. Bądź zdrowa, pielęgnuj jak możesz twoje zdrowie. Uściskaj odemnie nasze dzieciaki."

Były to ostatnie słowa skreślone ręką Jerzego: choroba wzmogła się, a dwunastego stycznia już życie dokonał. Współrodacy, którzy z początku odwiedzali go czasem, usunęli się po jednym; pozostał mu tylko stary towarzysz z Moguncyi, który temi słowy uwiadomił Hübnera o nieszczęściu:

"Ze łzami w oczach oznajmiam ci okropny wypadek. Nasz biedny Forster umarł po długiej chorobie: oddałem mu ostatnią usługę przyjacielską.

"Od ośmiu dni wszyscy przyjaciele z Francyi i Niemiec opuścili go, ja sam byłem przy nim w ostatniej chwili. Przed samym zgonem mówił jeszcze o dzieciach. Kazałem opieczetować jego szafę, a sędzia pokoju zredagował protokół."

Biedny Jerzy nie zostawił nic w owej szafie. Głuche milczenie otoczyło grób jego, nikt nawet nie wyrzekł nad nim pogrzebowej mowy. Soemmering ani chciał o nim słyszeć. Lichtenberg gorszył się jego postępowaniem z Terressą. Stary ojciec, który od czasu jak zajął katedrę w Halli, zerwał z nim wszelkie stosunki, mówił nieraz, że byłby najszcześliwszy, gdyby go powieszono.

Dobry Jakobi nie powstawał na niego, ale milczał uporczywie: sam tylko zacny Heyne gorzko opłakiwał los nieszczęśliwego zięcia.



## DUMA SERBSKA.

### ŚMIERĆ UROSZA NEMANICZA (\*).

(PRZEKŁAD ROMANA ZMORSKIEGO).

Boże drogi! co za wielkie dziwy!....  
Co się dzieje we Pryzrenie grodzie?  
Czy to radość, czy to żal tak głośny?

Oj, nie radość we Pryzrenie grodzie!  
Lecz się ciężka żalność nadarzyła:

(1) Pieśń ta, wyjęta ze zbioru pieśni czarnogórskich i hercegowackich, który zmarły poeta serbski Milutynowicz pod pseudonimem *Czurby Czajkowicza* ogłosił, opowiada zgon ostatniego dziedzica dynastji Nemaniczów, pod której władzą państwo serbskie z zadziwiającą szybkością wzrosło w potęgę i sławę. Historycznie rzecz biorąc, Urosz, w chwili śmierci ojca swego, cara Duszana (w pieśni niniejszej Milutynem, to jest *ukochanym* przezwanego), miał lat dziewiętnaście i był ożenionym z wołoską księżniczką Heleną. Niemając potrzebnej energii, aby utrzymać władze nad potężnemi lennami rządzcami różnych prowincyj, z których każdy pragnął sam carski tron zasiąść, wyzuty zupełnie z ojcowskiego dziedzictwa, szukał przytułku na dworze Wukaszyna, jednego z lennych królów, postanowionych przez Duszana. Doszedłszy dojrzałego wieku (31 roku życia), uczuł nareszcie poniżenie swoje, i zapewne porozumiałwszy się względem przyszłej pomocy z Wenecją, zamysłał zbiedz do Dubrownika; lecz król Wukaszyn, zamiar ten odkrywwszy, wywabił go ze sobą na łowy i zdradziecko zabił.

Śmierć ostatniego potomka wielkiej rodziiny wywołała współczucie narodu i domagała się pieśni; ale charakter słaby Urosza, który długo cierpliwie znosiwszy poniżenia, zginął bez walki, nie nie zdziaławszy pamięci godnego, nie odpowiadał w niezem warunkom, jakich słuchacze i śpiewacy

Car Milutyn chory na śmierć leży,—  
 A nikogo z rodu po nim nie ma,  
 Prócz Milicy, wiernój żony młodej,  
 A Urosza, dwóchletniego syna....

Gromadzą się wszystkie serbskie pany,  
 Gromadzą się smutni kolo cara:  
 Stary Bogdan Jug, z dziewięcią synów,  
 Z dziewięcią swych młodych Jugowiczów;  
 Dalej Miłosz Obylicz wojewoda,  
 Wojewoda Relia od Pazara,  
 I Toplica Milan wojewoda,  
 Z pobratymem Kosowacz-Iwanem.  
 Przyjdą zatem trzej Mrlawczewiczowie:  
 Despot Ugliesz i Gojko wojwoda,  
 I trzeci brat król Wukaszyn sławny,  
 Z synem swoim Markiem królewiczem.  
 Przyjdzie stary Józef proilumen  
 Z monasteru z Rawanicy białej,  
 Razem z młodym dziakiem swym Michałem...  
 Zebrały się wszystkie serbskie pany:  
 Naostatku sędziwy Arseni  
 Patriarcha, starzec posiwiwały.  
 Nad swym carem wszyscy smutni stoją.  
 Wtém Jug-Bogdan odzywa się stary:

— Gospodynie, carze Milutynie!  
 Tyś nam chory, unierać ci trzeba;  
 Powiedz: czego żal najbardziej tobie?  
 Czy Pryzrenu, stolicy twój białej?  
 Czy twojego skarba królewskiego?  
 Czy Milicy, młodej żony twojej?

— Nietyle mi żal wszystkiego tego,  
 Co Urosza, mego jedynaka,  
 Że mu carstwa w ręce zdać nie mogę.

Na to caru znów Jug-Bogdan stary:  
 — Otoć tyle serbskich wojwodów!

wymagają po bohaterach pieśni swoich. Wystawiając go takim jak był, śpiewak zamiast żalu i współczucia dla zamordowanego, a oburzenia i nie-nawiści dla Wukaszyna, wzięciłby niezawodnie dla pierwszego wzgardę i niechęć, a usprawiedliwił nieledwie w oczach wszystkich czyn krwawy ostatniego. Aby więc zamierzony skutek osiągnąć, śpiewak ludowy uczynił Urosza niewinnym, bezsilnym i bronić się niezdolnym dziecięciem, a Wukaszyna jego opiekunem i wujem rodzonym, tym więc występniejszym zbrodniarzem. Jestto dowód wysoki tego prawdziwie poetycznego instytu-ktu, jakim się zalecają nieual wszystkie utwory narodowej poezji serbskiej.

Oddaj carstwo jednemu wojwodzie  
Pod opiekę, na niejakie lata,  
Aż dorośnie Urosz, twój jedynak.

Car Milutyn namysłać się pocznie,  
Aż umyślił na kogo zdać państwo:  
Na króla je zdaje Wukaszyna,  
Na Urosza wuja rodzonego;  
Zdaje mu je na siedem lat czasu,  
Aż dorośnie Urosz dziecię młode.

Jako zatem skonał car Milutyn,  
Król Wukaszyn objął po nim carstwo.

Rok za rokiem mijał swą koleją;  
Niezadługo siedem lat wybiegło.  
Po tych siedmiu przeszło drugie siedem  
Uroszowi już szesnaście latek:  
O carstwie mu nikt ani nie wspomnił

Poczną się go pytać serbskie pany:  
— Gdzież korona cara, ojca twego?  
Pyta Urosz serbskich wojewodów,  
Nie da-li mu świadectwa z nich który:  
„Gdy car ojciec rozstawał się z życiem,  
W czym rękę koronę zostawił.“

Zaszedł Urosz k' starcu Jug-Bogdanu:  
Ten mu mieni wszystkie wojewody,  
Co przy śmierci cara byli świadki.  
Pozwie wszystkich serbskich wojewodów  
Na wieczerzę pańską Bogdan k' sobie.  
Zebrali się, ta i wieczerzali.

Naraz Urosz z siedzenia się zrywa,  
Na wsze święte w świecie ich zaklina:  
— Gdy car ojciec rozstawał się z życiem,  
W czym rękę koronę zostawił?

Wszyscy milczą, nikt nie odpowiada...  
Którzy znali, ozwać się nie śmieli;  
Coby śmieli, ci nie nie wiedzieli.  
Wreszcie Marko na nogi powstanie,  
I powstawszy tuko się odzywa:  
— W rękę ojca mego Wukaszyna  
Króla, carska korona została.

Jako to król Wukaszyn posłyszał,  
Ostrą szablę od boku dobiedzie,

Skoczy z swego siedzenia na nogi;  
 Za nim Gojko z Uglieszem poskoczą,  
 Rozsiec Marka szablami ostremi.  
 Tak się porwie do szabli i Marko;  
 Za nim Relia i Miłosz wojwody:  
 Szablami się siec nawzajem chcieli;  
 Lecz panowie serbscy im nie dali,  
 Uczynili mir pomiędzy nimi.

Bogiem kumi Urosz dziecię młode,  
 Bogiem kumi króla swego wuja,  
 By mu oddał ojcową koronę.  
 Król Wukaszyn oddał mu koronę,  
 Wraz z koroną sławne serbskie państwo,  
 I tak w zgodzie zbór się rozszedł cały.

Alić, mało ledwie przeszło czasu,  
 Kum niewierny pocznie knować zdradę  
 Naprzeciwko siostrzanowi swemu;  
 Pocznie myśleć jakoby go zgładził.  
 Myśli, myśli, aż wreszcie wymyślił.

Wybierze się na łów, między góry,  
 Pozwie z sobą Urosza sierotę.  
 Obaj razem pociągnęli w góry,  
 Łów łowili, nic nie ułowili;  
 Jak im wzięło dojmować pragnienie,  
 Spuścili się z góry na dolinę,  
 Kędy ciche znaleźli jezioro.

Król Wukaszyn zsiadł z swego rumaka,  
 Chłodnej wody napił się z jeziora.  
 Zatem rzecze k'niemu Urosz młody:  
 „Ty potrzyj teraz konie oba.”  
 Król Wukaszyn wziął od niego konie,  
 Urosz odszedł pić z jeziora wodę.

Król wtém obuch chwyci ołowiany,  
 Uderzy nim swojego siostrzana,  
 Uderzy go w głowę, poza ucho.  
 Aż mózg z głowy prysnął po dolinie,  
 A od krwi się zmąciło jezioro.

Jako Urosz upadł tak bez duszy,  
 Król Wukaszyn wziął ciało za nogi,  
 I odwłókłszy z doliny na stronę,  
 Wziął na plecy, niósł cienistym borem,  
 Pod jodłą go zagrzebał zieloną.  
 Dół przysypał chrustem i kamieniami,  
 Zwiędłym liściem i zielskiem wszelakiem,

Na to wszystko igliwiem jedliny,  
Żeby poznać nic nie można było.

Król się zatem sam do domu zenie.  
Gdy był blisko białego Pryzrenu,  
Zdaleka go siostra dopatrzyła;  
A nie widząc przy królu Urosza,  
Niemyślący snadnie odgadnęła:  
Że mu kędyś wuj odebrał życie.

Płacząc rzewnie poszła szukać w góry.  
Cały tydzień szukając chodziła,  
Nic nie jedząc, ani nic nie pijąc;  
Przyszła wreszcie nad ciche jezioro.  
Tu się chłodnej wody napić chciała,  
Aż jezioro krwią całe zmaczone,  
I po brzegu krwią zboczona ziemia!...  
Pozna matka że tu syn ję zgiął,  
Tak za śladem szuka po dolinie;  
Ślad zgubiwszy, idzie oślep lasem.

Aż gdy zaszła gdzie najwyższa jodła,  
Rzuci okiem pod jodłę zieloną:  
Tutaj siedzą czterej aniołowie,  
Przy nich stoi Urosz chłopię młode!...

To caryca jako obaczyła,  
Bieży prosto do Pryzrenu grodu,  
Do carskiego prosto monasteru:  
Rzecz powiada starcu ihumenu.  
Starzec zwołał duchowieństwo swoje:  
Pośli wszyscy w góry, w las zielony,  
I znaleźli ciało Uroszowe.  
Wszystko ciało w całości znaleźli,  
Bo przed Bogiem znalazł łaskę Urosz.

Tu modlitwy mnogie odprawili,  
Zaś go nieśli w monaster swój biały:  
W złocistą go trumnę położyli,  
Gdzie mu z Bogiem spoczynek na wieki.

## KOLENDY PODOLSKIE.

PRZEZ

*Eustachego Dulskiego.*

Lud podolski przy muzyce i pieśni, obchodzi święta Bożego Narodzenia. Z obchodem pamiątki chrześcijańskiej połączył wesołe obrzędy i zabawy. Zabawy te co rok powtarzane na całej Rusi, z małemi tu i owdzie odmianami, przeszły do nas z czasów bałwochwalskich, są tradycją uroczystości na cześć *kolady*, boga pokoju. Wspomina o tém rękopism ruski: *życie Włodzimierza*: „Kołada ktoromiu praznyk welykij czynowały dekawryja 24, a lubośmy Rozdestwom Chrystusowym i światym kreszczenjem proswiszczeny i bołwany pokinuły; jednakże nikotoryj szalenyc, pamiatku Bisu koladi i teper czyniat', poczawszy od samoho Rozdestwa przez wsi świata schodinczysia piśni śpiwajut', w których i o Rozdestwi Chrystowom spomynajut. Tam też na schadzkach swoich Tura i innyje brydkii reczy wymyślajut, czoho sia także uchodyt i pismom wyrażaty”....

Tradycya przeszła w obyczaj, a obyczaj do dziś dnia przechowywany, stracił już cechę bałwochwalską. Czas i postęp chrześcijaństwa zupełnie go zmieniły, i miejsce obrzędów i pieśni na cześć pogańskiego boga, zajęły niewinne zabawy przy chorowodach wiejskich krasawic i hożych młodców. Lud nasz śpiewa pieśni podczas każdej nawet familijnej uroczystości, ma zupełnie osobne dla każdej nawet pracy; przy pieśni wolniej oddycha

i w pieśni silniej żyje uczucie jego. Zapatrując się na obecny stan wiejskiego naszego ludu, zdawałoby się że każda nawet piosnka jest tylko tradycją praojców, a zamięłowanie w pieśni, bezwiedzową potrzebą moralnej jego istoty, zwrotem do lepszych czasów. Historyczne przejścia ciężko go pognębiły, wszakżeż nie zatarły pierwszej prostoty obyczajów słowiańskich, nie zmieniły łagodnego i szczerego w pożyciu charakteru, i duch jego myślą nieobrobiony, nie objawia się w słowie, nie rozlewa się na urządzenie domowego życia, ale nie rozpoznany i niepojęty, w pieśni dopomina się praw swoich.

Dzisiejsze kolendy są utworem rozmaitych i różnowiecznych pierwiastków, fantazyą poezji gminnej ciemną i zagmatwaną. Bałwochwalstwo dało początek kolendom, zamięłowanie obrzędów i obyczajów rodzinnych, długo zachowywało w pamięci całkowity obraz pogańskiej przeszłości; era chrześcijańska podawała powoli w pogardę wyraźniejsze objawy bałwochwalstwa, a historia biblijna w pieśni nie była w stanie zająć miejsca tych wrażeń, jakie obudzały starodawne praojców pienia, z odpowiedniami im obrzędami. Ztąd pieśni na cześć kolady przechodząc koleje wieków, jako *factum* zamarłe, bez podstawy w życiu rzeczywistém, rozgrzewane jedynie zamięłowaniem dzieci w obyczaju ojców, nareszcie zupełnie się zmieniły; i czém więcej lud zrywał z bałwochwalską swoją przeszłością, tém i treść kolend jego stawała się coraz rozmaitszą, jednak zawsze zupełnie różną od kolend polskich kantyczkowych i kolend diakowskich. Pierwsze śpiewane są przedemszą pod przewodnictwem diaków kościelnych, drugie butwieją w starych książeczkach, lub zachowują się w pamięci sług cerkiewnych, i tylko dziady z lirami śpiewają je po dworach; bo lud przeniósł nad nie rodzinne swoje fantazy, i starodawne religijne obrzędy zamienił również drogiemi pamiątkami, które czerpał w poezji swojej. Nareszcie kolendy, wśród wzajemnego starcia się idei chrześcijańskiej z zamięłowaniem rzeczy rodzinnych, przywdziały na siebie różnorodne cechy. Niektóre wyrażają samo tylko powinszowanie, inne znowu powstały z przestarzałych dum, piosnek, podań i skazek, jak to wyraźniej zobaczymy przy załączonych niżej przykładach.

Tutaj zaś dla całkowitości obrazu wspomniemy o igrzyskach i zabawach ludu połączonych razem z kolendami i obchodem uroczystości Bożego Narodzenia.

W wigilią Bożego Narodzenia, zamożniejsze gospodynie przynoszą do dworu, kumów, swatów, a nawet i do sąsiadów, od których w ciągu roku doznały ważniejszej posługi sąsiedzkiej, złożone pierniki, jabłka i orzechy, a szumne powinszowanie zamykając całkowity obraz szczęścia wedle pojęcia gminu, kończy się zwykle myślą: „*szczołyście żyły wid sta lit do sta lit, doki Pan Bich naznaczyw wik*”. Zaraz po wieczerzy (*światoj weczeri*), gromady dziewcząt i chłopców przebiegają wieś całą, śpiewając kolendy różnaitej treści pod oknami każdej chaty; i pieśni te nieustannie są odtąd powtarzane aż do wigilii Trzech Króli. Gmin dzieli je na *kolendy* i *szczodrowanie*, jednak tak pierwsze jak i drugie nie podają charakterystycznej różnicy, aby ta służyć mogła za podstawę podziału. Wedle podania gminu, *kolenda* trwa od Wigilii Bożego Narodzenia do Nowego Roku, a *szczodrowanie* następuje aż do Trzech Króli. Zastanawiając się etymologicznie nad wyrazem *szczodrowanie*, domyślać się możemy, że dwa te wyrazy: *kolenda* i *szczodrowanie*, kryją w sobie jakies tradycye dotąd nie rozjaśnione we wzajemnym swym związku. Być może, że pierwszy kościół chrześcijański na Rusi, wzbraniał w czasie uroczystości Bożego Narodzenia wesolych zabaw, uświęconych pogańskim obyczajem, i starodawnych religijnych pieśni; a natomiast pod imieniem kolend wprowadzał pieśni o Narodzeniu Chrystusa. Lud zaś zamiłowany w obyczajowych zabawach i pieśniach pogańskiego święta, chociaż może i nie przywiązywał już do nich religijnego znaczenia, (bo jak nawet świadczy rękopism ruski *Życie Włodzimierza*, wspominał w nich i o narodzeniu Chrystusa) przeniósł je o dni kilka później, i nazwał *szczodrowaniem*, dla odróżnienia od chrześcijańskich kolend. Był bowiem zwyczaj u pogan, że w dzień kolady składano sobie podarunki; ztąd wyraz *szczodrowanie* oznaczający w narzeczu gminu *roczzutność*, *hojność*, stosownie był tu użytym. Wnosić zatem można: że pierwsiastkowie podczas kolend wypełniano obrzędy nowėj religii; następnie, że *szczodrowaniem* oddawano się wesolym obczaja-



jowym uciechom i zabawom świeckiego życia. Później zaś, kiedy *szczodrowanie* straciło już pogańską cechę, a powaga kościoła mniej wglądać poczęła w domowe życie chrześcian, zarzucił lud zupełnie diakowskie i kantyczkowe kolendy poza obrębem kościoła i cerkwi; i dzisiaj w pamięci jego pozostały dwa tylko niejasne wyrazy: *kolenda* i *szczodrowanie*.

Drugiego lub trzeciego dnia Bożego Narodzenia, czterech parobków lub gospodarzy, zwykle najwymowniejszych w gminie wiejskiej, przebierają się za Heroda, Mazura, żyda, i cygana; i grupa ta, otoczona widzami różnej płci i wieku, przebiega różne ulice wioski, tocząc dysputę o Narodzeniu Chrystusa, przy rześistych oklaskach i głośnym śmiechu słuchaczy, bo wśród dysputy samej, co chwila wspólna występuje bitwa, w której zwykle Mazur tryumfuje, jako obrońca kościoła i wiary. Obyczaj ten jest już pierwiastkiem zupełnie chrześciańskim, sięga najdalej XVIIgo wieku, i zapewne jest tradycją nabożnych dyalogów. Wiadomo, że w Grecyi w pierwszych wiekach chrześciańskich, powstała tragedia treści religijnej na miejscu widowisk pogańskich na cześć Bachusa, że na Zachodzie w XI wieku, w czasie wojen krzyżowych, biorą swój początek dyalogi pobożne, znane tam pod imieniem: „*misteria laudae paschalis*”. Księża wprowadzili na scenę Chrystusa, Iskaryota, Piłata; przedstawiali mękę Pańską i zmartwychwstanie, na koniec legendy o świętych, by tym sposobem łatwiej działać na grube i nieokrzesane umysły ludu, wszczepiać w pamięć dzieje Zbawiciela i tajemnice wiary świętej. Później widowiska te, jako zgodne z obrzędami kościoła, przedstawiane były podczas uroczystych obchodów zaraz po kazaniu. W 1398 roku, zawiązało się w Paryżu *Bractwo Męki Chrystusowej* z osób świeckich złożone, i przedstawiało ludowi dyalogi treści religijnej na rozmaitych punktach Francyi. W XV wieku zjawily się podobne bractwa naprzód w Rzymie, później we wszystkich miastach włoskich, a nareszcie dyalogi pobożne znane były Niemcom i całej Europie; i u nas w Polsce wielkie sprawiały wrażenie. Za Zygmunta III często je bardzo odgrywano nawet po wsiach i miaste-

czkach. Towarzystwa z kilkunastu osób złożone, przechodziły z miejsca na miejsce, mianowicie w wielkim poście, przedstawiały ludowi Chrystusa, Judasza, Kaifasza i apostołów. W Pułtusk, Wilnie i Lublinie kwitnęła u Jezuitów scena podobnego rodzaju: przedstawiano tam tragedye i dyalogi pobożne z wielką świetnością i przepychem; tłumaczono tajemnice wiary i figury Starożytności, a w intermedyach zjawiał się często Luter i djabeł. W pierwszej połowie XVII wieku i na Ruś przeszła scena treści religijnej; seminarysi kijowscy w przytomności metropolity Piotra Mohily, grywali dramata święte drukowane w polskim języku, w czasie zaś wakacyj przedstawiali ludowi dyalogi pobożne, naśladowane z polskiego, miejscowym ruskim językiem. Ztądto może pochodzić i dzisiejszy obchód podolskiego ludu; pochodzi on najdalej z drugiej połowy XVII wieku, a może nawet i sami Jezuiti wprowadzili go w używanie. Mazur na scenie i mowa jego akcentem mazowieckim, jest cechą bliższych nam czasów, i wśród wesołych zabaw ludu w czasie Bożego Narodzenia, tylko komiczny ten dyalog wiejski, osnuty na tle chrześcijańskiej myśli; obchody zaś bliżej zrosłe z miejscową, rodzinną ludu fantazją, zapewne odleglejszych sięgają czasów: są one żywymi tradycjami rozmaitego rodzaju podań, skazek i powieści gminnych.

Obchód znany na Podolu pod imieniem *Malanki* i *Wasyla*, należy do rzędu tych ostatnich. Lud już nie pamięta treści wydarzenia jakie obchodzi. Całe jednak przedstawienie i słowa pieśni, domyślać się każą, że dziwna jakaś przygoda hożej i pięknej *Malanki*, głęboko zajmować musiała wyobraźnię ludu, kiedy w dorocznym zawiązywała obchodzić. Lud nasz podolski przy zupełnej swobodzie oddania się weselu i uciechom, razem z *Malanką* i *Wasylem* obchodzi koniec starego roku. Parobcy przebierają w dziewicze świąteczne suknie najurodziwszego i najmłodszego z pomiędzy siebie, ażeby wąs i broda nie zdradzały mężczyzny, i oto piękna i hoża *Malanka* przez cały wieczór wigilii Nowego Roku ma rozweselać i zwracać uwagę wszystkich sióła krasawic niestosowną swoją parą, bo pod rękę prowadzi ją stary,

garbaty, kulawy i łachmanami okryty *Wasył*. Za niemi postępują grajkowie: bas, skrzypce i cymbały, a zebrani z całego siola parobcy oprowadzają niedobraną parę po wszystkich chatach, gdzie się znajdują dziewczki na wydaniu; i chórem przyśpiewują:

## I.

Nasza Małanka pasła kaczku,  
Na żelenońkim maczku—maczku;  
A pasiuczy zahubyla,  
Szukajuczy zabludyla.  
Zabludyla w czyste pole,  
Aż tam jej *Wasył* ore.  
Ani ore, ani płużył,  
No za neju tiazko tużył.

## II.

Nasza Małanka—Piddnistronka,  
Dnistrowuju wodu pyła,  
Na kameni nohy myła,  
Dnistrowuju wodu brała,  
Tonkij fartuch zamaczała.  
Powij witre w rozhowory  
Czerez jary z poza hory,  
Czerez jary z poza hory  
Suszy fartuch w cztery poły.  
Powij witre bujneseńki,  
Suszy fartuch toneseńki.

## III.

Nasza Małanka lasytsia,  
Oj wże do chaty prosytsia:  
Oj lude dobri! pustit do chaty,  
Pustit do chaty, budem plasaty.  
Nasza Małanka oj! w kutku chaty,  
Oj! bnde swoi krosenci tchaty,  
Muż umyraje, sztanów nymaje,  
Wsio prypynaje, taj prypynaje;  
Prypynki z lupynki, sztany z oricha,  
Sztany z oricha, soroczka z micha.

Po odśpiewaniu ostatniej tej strofy, otwierają się drzwi chaty, i uprzejme następują zaprosiny. Małanka i *Wasył* wchodzą najpierw, córka gospodarska stoi

przed stołem brzęcząc w garści miedziakami, grajkowie w struny uderzają, dwóch parobków występuje w płasach do dziewczyny, a chór cały razem się odzywa:

Oj! pływne kaczor dali wodaju,  
Jemu zatyczka za hołowoju.  
Zatyczkoż moja zatyczenaja,  
Dziewczynoż moja zaruczynaja!

**Dziewka.**

Oj! byłoż mene nezaruczaty,  
Szczoł ja hulala tam hde dziwczaty.

**Pierwszy z tańczących.**

Oj! hulaj, hulaj! jak rybka w wodi,  
Jak pidesz za mene, to bude hodi.

**Drugi z tańczących.**

Oj! plaszu, plaszu znaju do koho,  
Dast mini diwczyna piw zołotoho,  
Dast mini diwczyna, choć cztyri hroszy,  
Choć cztyri hroszi, na michonoszi.

Oj! dajże, dajże koły majesz daty,  
Ne majesz daty... kociuboju z chaty,  
Choć kociuboju, choć koczerhoju,  
Choć toj hołowoju kostrobatoju.

Dziewka pokazuje kilka groszy tańczącym, chowa je znowu i brzęczy niemi:

**Drugi z tańczących.**

Oj! za worotami szyroka jama  
Hde toti hroszy, szczo dała mama.

**Dziewka.**

Ni ja propyla, ni zahubyla,  
Ino ja sobi sukni kupyla.

**Pierwszy.**

Czekaj diwczyno aż do soboty,  
Budut nowi sukni, nowi czoboty.

**Chór.**

Czekała diwczyna aż do soboty,  
A wid soboty do ponediłku,  
Wid ponediłku, aż do wiwtirku,  
Ne mała sukni, ino sznuriwku.

Taż sama ceremonia znowu się powtarza, i znowu nowa następuje piosnka:

**Chór.**

Na peczy indyk obzywajesia,  
 Do nioho indyczka przysuwajesia,  
 Oj inde! inde! chodim hde inde;  
 Chodim do riezki, pomyjem nizki.

**Piérwszy.**

A z hory, ta w jar, tam kuma moja,  
 U kumy diwczynyna, to dusza moja!  
 Nażnu ja popu  
 Pszenyci kopu,  
 Szczob mene zwinczaw,  
 Z kamynym diwezam.

**Drugi.**

Kopu ważaw  
 I ślubu ne wziaw:

Dziewka daje część pieniędzy, chór śpiewać przestaje, a tylko piérwszy z tańczących w nieustannych zwrotach i skokach znowu się odzywa:

Oj daj, ne huly  
 Bom pider postoly (1).  
 Diwczynyno, rybczyno! ne baw mene,  
 Szczo majesz daty... widpraw mene.  
 Oj! dajże, dajże moja szczebetiucho,  
 Oj! dajże, dajże, nezabawlajże,  
 Oj! dajże, dajże, nezabawlajże.

Odbiera resztę pieniędzy, a chór strofę kończy:

Diwczynyna, rybczynyna nebawyla,  
 Szczo mało dała, widprawyla.

Jest jeszcze kilka podobnych śpiewek znanych pod imieniem *śpiewanki wid ptaszki*, i jeżeli wszystkie kolejno już odśpiewane, a dziewczka nie oddaje przygotowanego podarunku, wówczas następuje mnóstwo zwrotek kilkowierszowych, w których parobcy wyśmiewają udaną skromność i zalotność dziewczek i tysiączne ich wybiegi.

Podczas całej tej ceremonii, Wasyl i Małanka zupełnie są zapomnieni, tancerze tylko i dziewczka zwracają całą uwagę. Nakoniec stary Wasyl zmęczony długą po-

(1) *Postoly* toż samo prawie znaczy co *chodaki*, w Mazowszu *kurpie*, na Polesiu *werzuny*, *łapcie*.

wsi włóczęgą, niestosowną z jego wiekiem i kalectwem, zasiada na przypiecku, a bojąc się zostawić młodą żonę pomiędzy parobkami, pociąga ją do siebie za rękę. Wówczas parobcy naśmiewają się z jego niedołęztwa i zazdrości, i przy wtórce muzyki, chórem mu przyśpiewują:

Ojczyńczyku! Wasyleczyku,  
Ne sidaj w kutku na prypiecku;  
Abo meni horszka zbawysz,  
Abo sobi żupan spałysz.

a rozniewany Wasyl powstaje z miejsca i odpowiada następującą śpiewką:

Ani tobi horszka zbawlu,  
Ani sobi żupan spalu.  
Oj! wżeż meni ne dywnycia,  
Wiknom z chaty utykaty!  
Pid strichoho noczowaty,  
Z horobciamy rozmawłaty.

Potém ucieka przed natrętami i ciągnie za sobą młodą żonę, lecz wesola czereda dalej go przesładuje śpiewając nowe zwrotki:

Ojczyńczyku, Wasyleczyku!  
Ne hony kury po chliweczyku.  
W mene kury dorohi,  
Po cztery zoloti.  
Ojczyńczyku, Wasyleczyku!  
Posijem tia w horodeczyku,  
Budem tebe szanowaty,  
Try raz na deń polywaty,  
A w sobotu pidskubaty,  
W diwok kosy zatykaty  
Na nedilu, nedileńku,  
Ojczyńczyku, Wasileńku.

Otóż i obchód całej Małanki i Wasyla, i przy każdym odwiedzinach też same piosnki i tańce znowu się powtarzają.

Umieszczam teraz wypis kilku kolend powszechnie używanych. Wybrałem na ten cel najwięcej różniące się pomiędzy sobą, chcąc przedstawić całość tej części ludowej poezji Podola, o ile tylko zakres pisma tego pozwala.

*Oj! daj Boże.*

Oj! wytaj, wytaj pane gospodaru,  
 Podyjmit swoju ta hołowoczku,  
 Oj! podywitsia taj w kwatyroczku:  
 Po waszój obori sam Hospod' chodyt,  
 Oj! chodyt, chodyt, taj wsio łahodyt,  
 Łahodyt woły, oj! na try pluchy,  
 Byki, tretiaki, taj na czetyry.

*Oj! daj Boże.*

Oj! wytaj, wytaj pane gospodaru,  
 Podyjmit swoju ta hołowoczku,  
 Oj! podywitsia taj w kwatyroczku:  
 Po waszój stajenci sam Hospod' chodyt,  
 Oj! chodyt, chodyt, taj wsio łahodyt;  
 Łahodyt koni, na tri boroni,  
 Łoszaki stryżaki, taj na czetyry.

*Oj! daj Boże.*

Oj! wytaj, wytaj pane gospodaru,  
 Podyjmit swoju ta hołowoczku,  
 Oj! podywitsia taj w kwatyroczku:  
 Po waszój komory sam Hospod' chodyt,  
 Oj! chodyt, chodyt, taj wsio łahodyt,  
 Łahodyt wiwci, ta na try strunci,  
 Jarki, natynki, ta na czetyry.

*Oj! daj Boże.*

Oj! wytaj, wytaj pane gospodaru,  
 Podyjmit swoju ta hołowoczku,  
 Oj! podywitsia taj w kwatyroczku:  
 Po waszój humenci sam Hospod' chodyt,  
 Oj! chodyt, chodyt, taj wsio łahodyt,  
 Oj! kłade stiżki taj w try radki  
 Jaru przenyčiu ta na czetyry.

*Oj! daj Boże.*

Oj! wytaj, wytaj pane gospodaru,  
 Podyjmit swoju ta hołowoczku,  
 Oj! podywilsia taj w kwatyroczku:  
 Po waszój pasici sam Hospod' chodyt,  
 Oj! chodyt, chodyt, taj wsio łahodyt,  
 Łahodyt pszczilki, taj na try radki,  
 Roi, paroi taj na czetyry.

*Oj! daj Boże.*

Kolenda ta powstać musiała ze zwyczaju zamiany życzeń w czasie świąt Bożego Narodzenia. Maluje ona najwyższy obraz szczęścia, jak go lud nasz pojąć tylko

zdoła, i jest szczerym wyrazem jego myśli, a tém samém nosi na sobie charakterystyczną cechę, i wypowiada nam własną ludu naszego mowę: że pierwszą jego potrzebą podniesienie materialnego bytu.

## II.

*Oj! daj Boże.*

Iszow, perejszow misiac po nebi,  
Zanym zirniczka jako sestryczka.  
Oj! poczekażże jeszcze misiaciu!  
Oj! ne czekaju, czasu nymaju,  
Oj! bo wid Boha, idu ja w poslach.  
Wid Boha w poslach do hospodara.  
Czy poczynaje po staroświecki,  
Czy sytył medok k' swiatoj weczery?  
Czy waryt' pywo k' swiatomu kiostwu? (?)  
Czy pekl' kolaczi z jaroj pszenyci?

*Oj! daj Boże (1).*

## III.

*Oj! daj Boże.*

Hreczny panyczu, szczo poczynajesz?  
Po nad Mir misto konykom hrajesz.

*Oj! daj Boże.*

(1) W pieśniach ludu ruskiego zebranych przez Żegotę Pauli, znajduje się podobna kolenda (T. I Nr. 10 kar. 10):

Iszow, perejszow misiac po nebi,  
Ta stritywsia z jasnoju zoroju,  
Oj zoria. zoria! de u Boha buła?  
De u Boha buła, de majesz staty?  
De maju staty? u pana Iwana,  
U pana Iwana, ta na joho dwori,  
Ta na jeho dwori, ta u jego chati.  
A u jeho chati, ta dwi radosti,  
Perszaja radist: syna żenyty,  
Druhaja radist: doczku widdawty.

Podolska jednak kolenda na większą zasługuje uwagę pełniejszą swoją treścią, tokiem wiersza i siłą wyrażenia. W poetycznym przedstawieniu posłannictwa gwiazdy, przebija się głębokie poszanowanie obyczaju przodków, kiedy i *sam Bóg nawet dawne nakazuje obrzędy*. Ten tylko pojmie silne przywiązanie ludu naszego do rzeczy rodziennych, kto bliżej mu się przypatrywał i wnikał w codzienne jego życie; zmiana nawet zagrody ojcowskiej (Bałkiwsczyzny) jest największym cierpieniem, uaj-



Konykom hrajesz, wijsko zawertajesz,  
Zawernów wijsko, aż zemli tiazko.

*Oj! daj Boże.*

Wyjszły do neho z mista miszczany,  
Z mista miszczany, z seła sylany.

*Oj! daj Boże.*

Oj! stałyż ony radu radyty,  
Radu radyty, szczoby mu daty?

*Oj! daj Boże.*

Wywely jemu konyka w sribri,  
A win na toje ne podywywsia,  
Ne zniaw szaponki, ne pokłonywsia!

*Oj! daj Boże.*

*Oj! daj Boże.*

Hreczny panyczu, szczo poczynajesz,  
Po nad Mir misto, konykom hrajesz.

*Oj! daj Boże.*

Konykom hrajesz, wijsko zawertajesz,  
Zawernów wijsko, aż zemli tiazko.

*Oj! daj Boże.*

Wyjszły do neho z mista miszczany,  
Z mista miszczany, z seła selany.

*Oj! daj Boże.*

Oj! stałyż ony radu radyty;  
Radu radyty, szczoby mu daty?

*Oj! daj Boże.*

Wynesły jemu mysku czerwonych,  
A win na toje ne podywywsia,  
Ne zniaw szaponki, ne pokłonywsia.

*Oj! daj Boże.*

*Oj! daj Boże.*

Hreczny panyczu, szczo poczynajesz?  
Po nad Mir, misto, konykom hrajesz.

*Oj! daj Boże.*

Konykom hrajesz, wijsko zawertajesz,  
Zawernów wijsko, aż zemli tiazko.

*Oj! daj Boże.*

Wyjszły do neho z mista miszczany,  
Z mista miszczany, z seła sylany.

*Oj! daj Boże.*

Oj! stałyż ony radu radyty,  
Radu radyty, szczoby mu daty?

*Oj! daj Boże.*

większą przykrością. Kilka lat pomyślności nie zatrze smutnego o niej wspomnienia, i czém bliższe z rodzinną chatką sąsiedztwo, tém większy żal obudza.

Wywely jemu hrecznuju pannu;  
 A win na toje i podywywsia,  
 I zniaw szapońku i pokłonywsia.  
*Oj! daj Boże (1).*

(1) W pieśniach ludu krakowskiego (Zebr. J. K. 1840 r.) znajduje się aż dwie podobnych piosnek na karcie 90tój:

## 1.

Pode Lwowem łączka zielona,  
 Jaś konika pasie,  
 Lwowa dobywać chce.  
 Wyszli do niego lwowscy mieszczanie,  
 I wynieśli mu  
 Parę bucików;  
 On bucików ani chce,  
 Lwowa dobywać chce.  
 Pode Lwowem łączka zielona,  
 Jaś konika pasie,  
 Lwowa dobywać chce.  
 Wyszli do niego lwowscy mieszczanie,  
 I wynieśli mu  
 Czapkę od złota;  
 On czapeczki ani chce  
 Lwowa dobywać chce.

I tak kolejno wynoszą mu: pas, sukmanę, porteczki, kaftan, koszulę, czaprak, siodło, wronego konia, nareszcie:

I wywiedli mu  
 Pannę od złota.  
 Wszystkiego zaniechał:  
 Z dziewczyną pojechał.

## 2.

Hej tam, hej pacholę nadobne  
 Na konika siada,  
 Na konika siada,  
 Pod Kraków przypada,  
 Hej tam hej, hej tam hej!  
 Krakowianie się w tém dowiedzieli,  
 I wywiedli mu złote buciki,  
 On nie bierze nie dziękuje,  
 Z pod Krakowa nie ustępuje.  
 (Dalej jak w poprzedniej piosnce—i nakoniec):  
 Krakowianie się o tém dowiedzieli,  
 I wywiedli mu przesliczną pannę.  
 A on bierze i dziękuje,  
 Z pod Krakowa ustępuje;  
 Hej tam hej, hej tam hej!

## IV i V.

*Oj! daj Boże.*

Stojała sosna wysoka rostu,  
 Pid toju sosnoj hromada ludej,  
 A wyży nemi hrecznyj pan chodyt,  
 Swojoho konia w ruczeńkach wodyt.

W pieśniach ludu ruskiego zebranych w Galicyi przez Żygotę Pauli (Lwów 1839 r. T. I karta 140) znajduje się także podobna kolenda pomiędzy dumami historycznymi, pod tytułem: „*Oblężenie Lwowa*”.

A w czystém polu błyško dorohy,  
 Stoit nametce duże szowkowe;  
 A w tim nametci stoit stołyczok,  
 Na tym stołyczku hreczny mołodec',  
 Konykom wijsko zbyraje,  
 Wijsko zbyraje, taj pid Lwiw staje,  
 Taj pid Lwiw staje, vse szerehuje:  
 A swoje wijsko na Lwiw rychtuje;  
 Jak kińmi zwernów, az Lwów sia zdwyhnów,  
 Jak szabelku wziw, Lwiw sia pokłonyw.

Oj wyszly k'nemu wsi miszczany,  
 Oj wsi miszczany, wsi predmiszczany,  
 Wynesły jemu mysu czerwonych,  
 Win toje bere, taj ne diakuje,  
 A swoje wijsko na Lwów rychtuje.

Oj wyszly k'nemu wsi żydowe,  
 Wsi żydowe, wsi kahałowe,  
 Wynesły jemu mysu czerwonych,  
 Win toje bere, taj ne diakuje,  
 A swoje wijsko na Lwiw rychtuje.

Oj wyszly k'nemu wsi panowe,  
 Wsi panowe, wsi hetmanowe,  
 Wywely jemu konyka w sidli,  
 Szabelku w sribli, pannu w kareti;  
 Win toje bere, krasno diakuje,  
 A swoje wijsko taj szerehuje:  
 Jak zaczew wijsko szerehowaty,  
 Oj bilsze Lwowa ne turbowaty.

Żegota Pauli utrzymuje: że legenda ta opiewa oblężenie Lwowa przez Chmielnickiego w 1648 roku, kiedy ten utwierdziwszy potęgę swą pod *Żóttami wodami*, *Korsuniem* i *Pilawcami*, pod Lwów podstąpił (\*).

(\*) Chmielnicki odstąpił od oblężenia Lwowa w 1648 roku, wzięwszy okupu 80,000 talarów, jak powiada Żegota Pauli wedle Grodzkiego; jednak znajdują w Kochowskim Klim. I p. 86, że okup ten wynosił sto tysięcy talarów. Inni zaś utrzymują że 1,200 grzywien i 17,000 złotych, a Kronika lwowska podaje 200,000 złotych.

A w toho konia, srybrnaja hrywa,  
 A w toho konia, zwizdowi oczka,  
 A w toho konia, zołoti uszka,  
 A w toho konia, szewkowyj chwostyk.  
 Srybrnaja hrywa, persia pokrywa;  
 Zwizdowi oczka daleho wydiat;  
 Zołoty uszka daleko czujut,  
 Szowkowyj chwostyk, slid zamituje.  
*Oj! daj Boże.*

i powiada: „że poezya narodu nie lubująca w samych gołych faktach historycznych, okrasila swym właściwym sposobem całe wydarzenie”.

Nazwisko miasta i bohatera pieśni zatarł czas w pamięci ludu, i pierwsza дума historyczna znacznie może zmienioną została, bo nawet pieśń galicyjskiego ludu różni się od podobnej kolendy podolskiej; wszakże cechą jej dawności jest jedna i taż sama treść, powtórzona kilku dyalektami słowiańskimi, i dzisiaj to tylko pewna: że *factum* historyczne podalo jej główną osnowę. Polska od połowy XVII wieku była wystawiona na ciągle wojny, odpierała napady sąsiadów; a lud widząc ustępującego najeźdźcę z ziemi ojczystej, przywdział miejscową historyą w poetyczne formy własnej wyobraźni. Jednak domysł pana Pauli może być bardzo trafny, gdyż pieśń ta najwięcej na Rusi upowszechniona, zdaje się być rodzimą, tutejszą, chociaż piosnki krakowskie, i o Krakowie wspominają. Załączona tu kolenda znana na Podolu nietylko w każdej prawie wiosce, ale lud nasz śpiewa wiele innych jeszcze piosnek podobnej treści. Po między innymi czytałem w niewydanym jeszcze a szacownym zbiorze podolskich pieśni p. Alexandra Weryhi Darowskiego piosnkę *Trójziele*, i sam ją z ust ludu slyszalem. Inne tam wydarzenie: treścią sprawa serca, nie zaś sprawa narodu; jednak do uczuć tak bohatera jak i kochanka, ani dobytek, ani złoto nie przemawiają: piękna dziewczica za wszystko im stanie. I nie interes własnej korzyści, nie nikczemna chęć zysku, lecz szlachetniejsze daleko pobudki: *sława* i *uczucie* do świetnych czynów i dziwnych przygód prowadzą.

Dla porównania z powyższemi kolendami, piosnkę *Trójziele* załączam:

Oj służyw ja u wdowońki  
 Tridejut' lit i cztery;  
 Bez broszy, bez przysiwku,  
 Za horoszuju diwku.  
 Pryszło diwczynu wziaty,  
 Diwczia sia rozboliło,  
 Diwczia sia rozboliło,  
 Trójzila zatużyło,  
 Wysokoho, tonkoho  
 Łystońka szyrokocho.  
 „Kto Trójzila distane,  
 Toj do szlubońku stane”.

I idu ja do Dunaju,  
 Hde stanu, to dumaju:

*Oj! daj Boże.*

Oj! po pid lisoł pid temnieńkij,  
 Tam chodyt stadce sywe, worone;  
 A za nym chodyt hrecznyj mołodczyk,  
 Oj! chodyt, chodyt, zawertaje ho!  
 Na tychyj Dunaj, na krutyj berch,  
 Na krutyj berch, na zołotyj mist.  
 Oj! no tam buła połowyna mostu,  
 Oj! potonuło, no piwsta koni.

Konyceńka sia zbudu,  
 Trórzila nedobudu,  
 I syłonki sia zbudu,  
 Trórzila ne dobuđu.  
 Koniczeńkam sia ne zbuw,  
 Trórzileńka taj dobuw,  
 I syłonkim sia ne zbuw  
 Trórzileńkam taj dobuw.

I idu ja do domońku,  
 Sluszeńki mia zanosiat,  
 Oj! czy dzwonońki dzwoniat,  
 Czy muzyczeńki hrajut?  
 Oj! ne dzwonońki dzwoniut,  
 Łysz muzyczeńki hrajut.

A wżeż moju diwczynu  
 Do szlubu wyprawłajut.

Sud'te mołodci sud'te!  
 Szczo maje wdowa daty?  
 Taj dajeż myni wdowa  
 Cztery koni zo stajni:  
 Ja na toje nedywłusia  
 I z konyka ne skłonusia.

Sud'te mołodcy sud'te!  
 Szczo maje wdowa daty?  
 Ta dajeż myni wdowa  
 Cztery woliw z obory:  
 A ja na toje ne dywłusia,  
 I z konyka ne skłonusia.

Sud'te mołodci sud'te!  
 Szczo maje wdowa daty?  
 Ta dajeż myni wdowa  
 Cztery korow z obory:  
 Ja na toje ne dywłusia,  
 I z konyka ne skłonusia.

Sud'te mołodci sud'te!  
 Szczo maje wdowa daty?  
 Ta dajeż myni wdowa  
 Pownu mysku czerwonych:

— Oj! ne tak myni žal za piwsta kiñmi,  
 Oj! jak myni žal za moim konem!  
 Bo w mohlo konia, zołota hrywa,  
 Zołota hrywa, persia pokrywa.  
 Szowkowyj chwostyk ślid zamitaje,  
 Ternowi oczka zwizdy rachujut;  
 Losowi oszka rady słuchajut,  
 Srybrni kopyta kamin łupajnt.  
*Oj! daj Boże (1).*

## VI.

*Oj! daj Boże.*

Oj! w lisku, lisku na zowtym pisku  
 Rosła jablinka tonka, wysoka,

Ja na toje ne dywłusia,  
 I z konyka ne skłonusia.

Sud'te mołodci sud'te!

Szczo maje wdowa daty?

Ta dajeż myni wdowa

Swoju doczku najstarszu:

Ja na teje podywysia,

I z konyka poklonywsia.

(1) Wspomnienie o koniu ze skazki gminnej zasłyszec można u ludu w mnóstwie piosnek rozmaitej treści. W zbiorze Żegoty Pauli znajduje się także pieśń podobna; umieszczam ją dla porównania, bo chociaż obraz konia temi samemi prawie skreślony wyrazami, jest jednak więcej jeszcze fantastyczny i trochę pełniejszą całość podaje:

Oj! w hori szowkowej trawi,

A w toi trawi stoi nametec,

A w tim nametci zołotyj stołec,

A w tim stołci mozny paneńko.

Sedyt' że sedyt' daleko wydyt'

Dwoma jabluczki pidhidajuczy,

Trema horiszki tu czytujuczy,

Wyczytaw konia, tu spid Korola.

A w toho konia zołota hrywa,

Zołota hrywa, szowkowyj chwostyk,

Szowkowyj chwostyk, sribni kopyta.

Zołota hrywa, konia pokryła,

Szowkowyj chwostyk, ślid zamitaje,

Sribni kopyta kremiń łupajnt;

Kremiń łupajnt, cerków murujut.

Murujut że jei z trema werchoma,

Z trema werchoma, z dwoma wikońci;

W odno wikońce, zachodyt sonce,

W drube wikońce misiac zachodyt.

Tonka, wysoka, lystom szyroka;  
 Zrodyła ona zołoti jabłka.  
 A jabłka strechła hrecznaja panna,  
 Hrecznaja panna, panna Maryanna.  
 Prychodyt do nej bateńko jej:  
 — „Oj! zderży doniu, zołoti jabłka”.  
 — Bihme ne zderzu, myłomu derżu.  
 Prychodyt do nei mateńka jej:  
 — „Oj! zderży doniu, zołoti jabłka”.  
 — Bihme ne zderżu, myłomu derżu.  
 Prychodyt do nei, brateńko jej:  
 — „Oj! zderży sestro zołoti jabłka”.  
 — Bihme ne zderżu, myłomu derżu.  
 Prychodyt do nei, sestryczka jej:  
 — „Oj! zderży sestro, zołoti jabłka”.  
 — Bihme ne zderżu, myłomu derżu.  
 Prychodyt do nei, myłonki jej:  
 — „Oj! zderży serce, zołoti jabłka”.  
 — Oj! teper zderżu, bo tobi derżu.  
*Oj! daj Boże.*

albo:

*Oj! daj Boże.*

A u Marysenki pid wiknom zełeno,  
 Zelena jablinka czerwoni jabłka zrodyła.

Pryszow do nei  
 Bateńko jej:  
 — „Marysenko duszko  
 Zwerszy jabluszko”.  
 — Bihme ne zwerszu,  
 Myłomu derżu.

Taż sama strofa ciągle się powtarza. Przychodzą nadaremnie: matka, brat, siostra, aż nareszcie kochanek dostaje pilnie strzeżone jabłko (1).

(1) Wspomina Żegota Pauli, że niektóre familijne uroczyste obchody, mianowicie u Słowian południowych, bez jabłka obejść się nie mogą. Serbscy młodzieńcy posyłają dziewczę przez swatów piękne jabłko z wetkniętymi wewnątrz kilkoma pieniędzmi srebrnymi. U Mazurów podkarpackich jabłko koniecznie znajdować się musi w różczce weselnej; a Morawianie wyobrażali sobie boginie miłości, *Krasopani*, trzymającą w jednej ręce trzy jabłka. Ztądto może pierwotna myśl powyższych dwóch kolend sięga pierwiastkiem swoim bardzo odległych czasów, bo dziewczyna, jabłko, jako godło swęj miłości dla młodzieńca tylko zachowuje. Zresztą pomiędzy ludem zasłyszeć można mnóstwo pieśni, w których jabłka główną grają rolę; umieściłem zaś tutaj dwie zupełnie podobnych kolend, ażeby okazać jak wyobrażenia ludu przyodziewa treść jedną i też samą w coraz nowe formy swęj poezyi.

## VII.

*Oj! daj Boże.*

Nasz Ustaseńko, młody paneńko,  
 Pasi konia swoho, konia woronoho!  
 Konia pasuczcy, twerdo zasnuczcy.  
 Oj! pryletilo try zuzulenki!  
 Jednaja sila taj w holowonkach,  
 Druhaja sila taj w nozenkach,  
 Tretia sila w kraju serduszka.  
 Szczo w holowonkach, to i mateńka,  
 Szczo w nozenkach, to i bateńko,  
 W kraju serduszka, to i myleńka.

*Oj! daj Boże.*

*Oj! daj Boże.*

Oj! rano, rano pan Astasjo wstał,  
 O! szcze raneńko świczy try wsukał.  
 Pry perszoj swiczy, łyczeńko wmykał,  
 Przy druhoj swiczy, w sukni sia wbyrał,  
 Pry tretěj swiczy, konyka sidław,  
 Konyka sidław, i dumku dumaw;  
 Bo jehaw dańeko, aż za horonki.  
 Oj! jehaw dańeko, aż do mylonki.

*Oj! daj Boże.*

*Oj! daj Boże.*

Jeho mateńka wyprowadzala,  
 Wyprowadzala, wypytywala:  
 — „Oj! hdeż ty jedesz, oj mij synonku?”  
 — Idu w horonki, aż do diwońki;  
 A ta diwońka duze bohata,  
 Szuba na nei za sto zołotyh,  
 Za sto zołotyh, za czerwonyh.  
 Taj i za paru koni woronyh,  
 Bude chusta prała w kraju Dunaju,  
 Bude ich suszyła w horach na horach;  
 Bude ich kaczała w krahu na stoli,  
 Bude sia wbyrała u Boha za dwermi.

*Oj! daj Boże.*

Oj! krasna, krasna kałyna w luzi!  
 A Maryseńka, kraszcza u bateńka,  
 Po dwori chodyt, jaki misiac wschodyt.  
 Do siny wijszła, jak zoria zisła,  
 Do chaty wijszła, taj panjolu stała;  
 Pred neju szapku panycz zdymaje,  
 Szapku zdymaje, jei sia pytaje:  
 — „Czy ty popiwna, czy koroliwna?”  
 — Ni ja popiwna, ni koroliwna,



Bat'kowa doczka, wychowaneczka.

— Oj dajże Boże! w horodi zila,

W horodi zila, po riz dwi wisila.

*Oj! daj Boże.*

Cztery strofy stanowią jedną kolendę, chociaż czasem słyszeć je można i osobno śpiewane. Miara wiersza i wewnętrzny związek myśli zdają się przekonywać: że każda jest ułamkiem jednej i tejże samej pieśni opiewającej mistyczną powieść ludu. Trzy zuzule czuwające nad snem młodzieńca, przedstawiają jakby niewidomą sympatyą w świecie uczucia, a mistycznie pojętym swym wpływem, wyprawiają go w podróż i zmieniają na dumkę pierwszą swobodę myśli, kiedy paś jeszcze wronego konia; dalej rozmowa z matką i poetyczny opis góralki, nareszcie zmiana w pozycyi Marysieńki, są to części jednej powieści. Dopatrzeć można wiele podobnych urywków w poezyi gminnej, a pieśń tego rodzaju jest już wyższym jej kunsztem, przejściem do epoki, jakby pierwotnym dramatem drzemiącym jeszcze w formach lirycznych.

Pamiętam dobrze tę kolendę od czasów pierwszego mego dzieciństwa. Lud zwykle śpiewa ją pod oknami młodego pana (panyczka), składając mu swe powinszowania w dzień Bożego Narodzenia. Zaczyna ją od jego imienia i dodaje w końcu następującą strofę:

„A zatym słowam bywajże zdrowy,

Bywajże zdrowy hreczny paneńku,

Hreczny paneńku, pane Ustaseńku!

## VIII.

Następującą kolendę rozmaicie śpiewają na Podolu; załączam tu dwa jej wzory, różniące się tylko układem wiersza.

*Oj! daj Boże.*

Po hori, hori, pawońki chodiat,

Pawońki chodiat i pira roniat,

Za nymi chodyt hrecznaja panna,

Hrecznaja panna, panna Maryanna.

Pira zbyrajc, w rukawec składaje,

Z rukawa bere, na stolec klade,

Ze stola bere, winoczok plet'e,  
 Winoczök wplete holowko ubrała.  
 „Dywysia Neńko, czy horoszeńko?”  
 Aż tu sia zwijew bujnenkij witrec,  
 Zanis toj winec az na Dunajec!  
 Aż tu nadijszły try molodeczyki,  
 Try molodczyki, hreczni chlopczyki.  
 „Ktorij molodec zlowyt mij winec,  
 To toj zo mnoju pide w taneć”.

Oj! jeden popływ, wincia nedopływ,  
 Wincia nedopływ, sam sia utopyw;  
 Oj! druhi popływ, wincia ne dopływ,  
 Wincia ne dopływ, sam sia utopyw.  
 Oj! tretij popływ, winoczka dopływ  
 Wziaw win toj winec, piszów z nej w taneć;  
 A si koladi so wsim wże koneć.

*Oj! daj Boże.*

*Oj! daj Boże.*

Po hori, hori,  
 Pawonki chodjat,  
 Pawonki chodiat,  
 Pironki roniat;  
 Za nymi chodyt  
 Hrecznaja panna,  
 Panna Maryanna!  
 Pira zbyraje  
 W rukawec chowaje,  
 Z rukawcia bere  
 Na stołyk kłade,  
 Z stołyka bere  
 Winoczok plete.  
 Wpletła winoczok,  
 Piszła w tanoczok.  
 Dywysia Neńko  
 Czy horoszeńko?  
 — Oj! horoszeńko  
 I podobnenko!  
 Aż hdeś sia wzięły  
 Bujnji witry;  
 Zwijały winec,  
 Winec pawiany.  
 Zwijały jeha  
 W tychi Dunajec.  
 — „Ktorij molodec  
 Płyne po winec?  
 Perszomu bude  
 Winec pawiany,

Druhomu bude  
Sama młoda,  
Tretiemu bude  
Zlatyj perstinec!"

Oj daj Boże (1).

(1) W zbiorach poezji ludowej znajdujemy wiele pieśni o pawinym wianku. Żegota Pauli przepisał od galicyjskiego ludu pieśń podobną (Tom I, karta 3); i powyższe dwie kolendy podobno są wariantami ostatniej, dlatego umieszczam ją całkowicie, żeby wszystkie różnice i podobieństwa tём wyraźniej się okazały:

Oj! w sadońku	Wse berehoju,
Pawonki chodiat,	Ta i zdybaje
Pawonki chodiat	Try rybarewy,
Pireńka roniat.	Try rybarewy,
Chodyt za nymi	Panskji słuchy;
Krasna diwońka,	„Maj bih! pomahaj bih!
Pironka zbyrat,	Try rybarewy,
W rukawec klade:	Try rybarewy,
Z rukawcia bere,	Panski i słuchy.
Na stołyk klade,	Czy nestriczały,
Z stołyka bere.	Czy nespijmały,
Winoczok plete	Pawjanyj winok,
Pawlanyj winok,	Czystyj barwinok?"
Czystyj barwinok,	— „Oj my striczały,
Wse prymiraje	Oj my spijmały,
Na hołowońku.	Powianyj winok,
„Dywysia Neńko	Czystyj barwinok.
Czy ozdibnenko?"	Ta szczoż nam bude
Pijszła diwczyna	Za perejemeć?"
Rano po wodu,	— „Odnomu bude
Ta zirwałysia	Zołotyj persteń;
Bujni witrowe,	Zołotyj persten
Szajni dożdżowe,	Z biloho palcia.
Szajnuły winkom	Druhomu bude,
Pid krutyj bereh,	Chustka szowkowa,
Pid krutyj bereh	Chustka szowkowa
W hlibokij Dunaj.	Z bilěj szeji;
Płyne winoczek	„Tretiomu bude
Krajem Dunaju;	Sama młoda
A wna za neja	Sama młoda
	Ta jak jahoda!"

Pieśń ta układem i miarą wiersza, przypomina piosnkę „Kuticę” (wianek) ze staroczeskiego króloworskiego rękopismu, którą uijęj załączam wraz z przekładem Lucyana Siemieńskiego:

„Wieje wietryczek	Bieże z miliska
S knieczekich lesów,	Ku potoku,

Zwróćmy teraz uwagę na ogół załączonych tu kolen-  
lend: każda z nich nosi na sobie zupełnie inną cechę,  
z innego wyplęnęła pierwiastku. Dwie pierwsze kolen-

Nabera wody  
W kowane wietra,  
Do wody k'diewic  
Kytice plyje,  
Kytice wonna  
Z widla rozi,  
I je sie diewa  
Kytice łowit,  
Spade, ach spade  
W chladnu wodicu.

Kdabych wiedziela  
Kityce kraśna,  
Kto tebe w kypru  
Zemicu saże;  
Tomubych dala  
Prstenek zlaty.

Kdabych wiedziela  
Kytice kraśna  
Kto tebe lykiem  
Hebuczny m sraża;  
Tomubych dala  
Ichlicu z wlasów.

Kdabych wiedziela  
Kytice kraśna!  
Kto tie po chladnej  
Wodici pusti;  
Tomubych daje  
Wienek swój z hlawy.

(Przekład na polskie).

Wieje wietrzyk wieje,  
Od książęcej knieje,

Każ. Wład. Wójcicki w pieśniach Białochrobatów, Mazurów i Rusi  
z nad Bugu, podał także pieśń polską z łeczyckiego (T. I kar. 170) pod  
tytułem: *Panna i pawie*:

Tam na morzu czerwonym  
Rybacy siatki rzucają:  
— Cóż dobrego ulowiono?  
Złoty pierścień ulowiono.  
Przez ten pierścień woda bieży,  
Pod tą wodą trawa leży,  
Po tej trawie  
Chodzą pawie.

Bieży dziewczę młode  
Do zdroju po wodę,  
Nabrała w głębinie  
W okute konewki,  
A wianuszek plynie  
Po wodzie do dziewczki.  
Z tijałów i róży  
Wiązanka uwita,  
Dziewczynna po wodzie  
Za wiązką chwyta;  
Zachwyci ją w dłonie  
I pluśnie na tonie.  
„Gdybym ja wiedziela  
Kto ciebie mój kwiecie,  
W ogródku zasadził,  
Wypieścił na świecie;  
Dałabym mu z ochotą  
Tę obrączkę złotą.

Gdybym ja wiedziela  
Czyja ręka czyja  
Do wianka cię kładła,  
I lyczkiem obwija;  
Dałabym mu ochocza,  
Iglice z warkocza.

Gdybym ja wiedziela  
Mój wianku różowy,  
Czyje ciebie dłonie  
Puściły na tonie;  
Dałabym mu dala,  
Mój wianeczek z głowy.”

dy wyłączne w swoim rodzaju. Poezya ludowa, dawny zwyczaj zamiany życzeń w czasie Bożego Narodzenia, i cześć dla obyczaju samego, objęta tu w dorocznych pieśniach obrzędowych; kolenda *Oblężenie*, przejawia

A te pawie, panna pasie,  
Panna pasie, piórka zbiera,  
Piórka zbiera, wianki wije,  
Wianki wije, złotem szyje.

Dary słała

Komu chciała.

Otóż tobie panny dary,  
Fartuszek wyszywany,  
Fartuszek, koszuleczkę,  
Otóż tobie i chusteczkę.

W tym samym zbiorze na karcie 318 znajduje się pieśń czeska ze zbioru Fr. Ladiśl. Czelałakowskiego (Słowiańskie narodne pisne, w Praze 1822) którą tu wypisuję jako do powyższej stosowną:

W sirem poli, na Podoly, hruśka stogi,

Pod toń hruśkan kameń leżj.

Kameń leżj.

Pod kamenem prsten złoty

Za sto złotych,

Prés ten prsteń trawa roste,

Zelena se.

Pod té trawi, chod'a pawi,

Perka trusi.

Stań déwečko, stań z ranjelca

Zber percika do wenecka.

W zbiorze pieśni wieśniaczych z nad Dźwiny z 1840 roku; pomiędzy pieśniami kupalnemi, czyli świętojańskimi, na stronnicy 1, znajduje się następujące tłumaczenie pioski białoruskiej, podobnej do powyższych kolend o *pawianym wianku*.

Miła Kapelniczka,

Gdzie to twa córeczka?

— Chodzi po ogrodzie

W jasnej dnia pogodzie,

Zbiera kwiat do kwiatu

I wianeczek splota.

Zwiwszy swój wianeczek

Rażnie szła w taneczek,

W tańcu się spostrzeże:

Gdzie kwiateczki świeże?

Zkąd się wiatry wzięły,

I wianeczek zdjęły?

Niosła wianek zdjęty

W morskie gdzieś odmęty;

pierwiastek historyczny. *Czwarta i piąta* fantastycznym obrazem złotogrzywego konia, przypominają skazki gminne; a *szósta* kolenda powieść gminną w poetyczne przywdziała formy. Kolenda o pawianym wianku z pomysłu stariej pieśni powstała; nareszcie kolenda o jabłkach, wychyla się jeszcze z pogańskiej przeszłości, bo jabłko symbol mitologii słowiańskiej, pozostało dotąd w obrzędach ludu w przedwiekowym swém znaczeniu, w wielu okolicach Słowiańszczyzny. Gdyby inaczej było, kolenda o jabłkach byłaby *spiwankoj*, a nie kolenda. *Dumka* lub uczucie miłości, zwykły przedmiot poezji lirycznej, nie stanowi nigdy treści kolendy. Kolendę lud nasz poznaje; że jej nie rozumie, nie znajduje w niej siły własnego dzisiejszego uczucia, nie zastosuje do siebie, ani do czasu w którym żyje. Przysłuchując się piosnkom ludu, czytałem mu nieraz kolendy nieznanne w wiosce całej; ale odpowiadano mi zawsze, że to musi być kolenda lub szczerówka, a nigdy *spiwanka*. *Spiwanka* i uczucie, to jednoznaczne wyrazy; w śpiewance odzwierciedla się cała dusza ludu naszego. *Spiwanka* i uczucie,

Idzie szukająca,

Wianka pytająca.

Spotka rybolowy:

„Gdzie mój wianek z głowy?

— Kraso ty dzieweczek,

W morzu twój wianeczek,

Nie smuć się, nie pytaj,

Mile nas powitaj,

Będziem go szukali,

Sieci zarzucali.

— Bracia wy rybacy,

Jacyż dobrzy, jacy!

Znajdźcie mi wianeczek,

Temu pierścioneczek,

Temu ta chusteczka,

Tobiem ja żoneczka!

Wszystkie te piosnki razem wzięte, przypominają kolendę o *pawianym wianku*, nawet i samym układem wiersza stanowią historią wiekową jej przejścia. A powinowactwo tej kolendy z pieśniami polskimi i czeskiemi, mianowicie z pieśnią *Kytice*, wyraźnie dowodzi: że powstać musiała ze starodawniej pieśni gminnej, kiedy od brzegów Elby i Wisły do Dniestru, Niemna i Dźwiny, jedna i taż sama myśl dostrzegać się daje w gminnej poezji ludu.

wzajemnie się zrosły z sobą i w jedno zlały pojęcie. Dumka, to smutek, tęsknica, często luby, choć bolesny zachwył serca, czasami i *zurba* sama; a dumka i *špivanka*, to także jedno.

Lud nie potrafi ani opowiedzieć, ani wytłumaczyć żadnego zdarzenia, które w kolendach swoich opiewa; sam nawet obchód Małanki i Wasyla, i tyle innych dorocznych obchodów, są już dla niego zupełnie niezrozumiałemi. Powtarza je wszakżeż co roku i śpiewa zawsze jedne i też same pieśni, bo tak ojcowie robili, bo taki obyczaj. I *święty ten obyczaj* przechowuje myta, podania, skazki i powieści ludu, a nawet historiją moralnych przejść jego w rodzinnej poezyi gminu; i jeżeli bieg czasu wygładza je powoli z myśli i pamięci, piosnka samotna wówczas pozostaje; i choć coraz mniej rozumiała i coraz więcej zmieniona, przechodzi wszakżeż z pokolenia na pokolenie, w najodleglejsze rozszerza się okolice i po całej słowiańskiej tuła się ziemi.

Tak kolenda *obłężenie*, na kilka przetłumaczona narzeczy, straciła barwę czasu i wyraźniejszy historyczny charakter; pieśń o *pawianym wianku* została na Rusi kolendą, a nad Dźwiną, świętojańską, czyli kupalną obrzędową pieśnią. *Święty nasz obyczaj* spotwarzali nieraz cudzoziemcy: nazwali nas barbarzyńską dziczą; a przecież w *świętym tym obyczaju* wygrzewa się i pielęgnuje myśl rodzimą, i po białym słowiańskim rozplywa się świecie. Ztądto ludy słowiańskie silne ideą narodową; nie zaginęła nigdzie słowiańska mowa: ani w państwie niemieckim, ani pod Madziarów przewagą; a jeźli wypadki historiją zgotowane, piętnują tu i owdzie znamieniem odrętwiałości działanie rodowego słowiańskiego ducha; *obyczaj święty* zamyka myśl rodzimą w instynktowym ludu poczuciu, i w młodzieńczej dumce rozrabia swojskie pamiętki. Na czeskim narodzie świeży mamy przykład. Przewaga polityczna Niemców, namulem obczyzny załala czeską ziemię, rodzinną zatarła literaturę, zatraciła pamiętki piśmienne; a myśli swojskie, rodzinne, poszły na ustronie, i znalazły gościnne tylko przyjęcie w roztworzonem im sercu wieśniaka. Długo a długo marzyły tam i śniły tylko! i ani słychu o nich

nie było; przecież myśl germańska nie zdołała zająć ich ojcowizny, i ani się rozkrzewiła, ani rozrosła na naszym słowiańskim gruncie. Aż nareszcie po kilku wiekach poniżenia i moralnej biędzy, rozeszli się Czesi po wiejskich chatach i futorach górali, zasiedli na uroczyskach i ojczystych mogiłach, wsłuchali się w pieśni i powieści wieśniaka, i ujrzeni znowu zatraconą słowiańską narodowość, tém miłszą i droższą, bo oddawna nie znali już słodyczy macierzyńskiego jej uśmiechu. A z źródła poezyi ludowej zaczerpali Czesi nowy źródło życia i pierwszą wskazówkę zatraconej przeszłości; i dzisiaj naród czeski w kole pobratymczych słowiańskich ludów, uprawia znowu rodzimą niwę. I w naszej Polsce, łacińsko-polska literatura przewertowała księgi Rzymian i Greków, pyszniła się scholastyczną napuszonoscią, a zamiast zamaryłych na zawsze bohaterów z Iliady i rzymskich senatorów, wystawiła szeregi śmiesznych karykatur, pokoślawiła zacne słowiańskie postacie. Uczoność i polski uczeni jej mężę, jaśnieli nauką swoją w Europie całej. Zagraniczne uniwersytety sławę ich rozgłaszały; a przecież mozoły ich i prace, nie zmieniały się na pożywne soki narodu. Uczoność i naród rozstąpili się od siebie; i uczeni nasi ani wiedzieli nawet o życiu rodzinnem pierwszych słowiańskich gmin, ani przysłuchiwali się niegdy silnym uderzeniom słowiańskiego serca, a okruszynami objedzonego już stołu dawnych Greków i Rzymian, nakarmić chcieli zdrowe i silne słowiańskie ciało. Dopiero wiek bieżący zaprowadził nas wewnątrz siebie, pokazał nam bogate rodzime nasze słowiańskie skarby, i dopiero dzisiaj, ta nawet obca a nieckowa strawa idzie nam na zdrowie i życie.

Wyższe warstwy społeczeństwa, w massie swęj, nąginają się zwykle do biegu krajowej historyi, i każda chwila przyodziewa je w właściwy sobie strój; a uludą swą lub pomrokiem osłania rozum ich, uczucia i namiętności. Chłopek przeciwnie, przyodziany miejscową sukmaną, zawsze jeden i tenże sam Słowianin. Ani epoki pojęć religijnych, ani zwrot literatury krajowej, ani ubożstwa na tle obcych pierwiastków, ani obczyzna sama nie mają nań najmniejszego wpływu.



Epoki swęj historii znaczy pomysłnością tylko lub biędą własną. *Święty obyczaj* jest u niego religią, moralnością, prawem, nauką praktycznego życia. Ileżto razy odbija się o uszy nasze, że tylko religia utrzymuje porządek towarzyski wśród zaniedbania moralnej uprawy i ciemnoty ludu naszego. Ktoby chciał sądzić o moralnym stanowisku ludu, z dzisiejszych jego pojęć religijnych, stworzyłby sobie najfalszywsze potemu wyobrażenie. Staralem się poznać lud nasz podolski, badałem i religijne jego pojęcia, i znajduję same zabobony, przesady i najgrubszą niewiadomość. Myśl religijna ludu pozostała dotąd bez najmniejszej uprawy, a tēm samēm niewiele ma wpływu na moralne jego wychowanie. A jeżeli chcemy poznać moralne stanowisko ludu naszego, rozpatrzmy się w wyobrażeniach jego o obowiązkach i stosunkach sąsiedzkich, w domowym i praktycznym jego życiu, w owēm bezwyjątkowym nawyknienu do przyjętych raz zwyczajów, a mianowicie jego poezyi. Poezya ta, to morze bezbrzeżne: coraz nowe wlewają się weń wody. Każda chwila ma swoich pisarzów, każda przygoda, cierpienie i niedola, składają tu swe żale, jako we wspólném ognisku pociechy i osłody; kupią się tu zasady z życia zaczerpnięte, i tworzą praktyczną naukę moralności. Poezya ludowa jest raczej żywą religią ludu naszego: od dziecięcia w kolebce, aż do parobka na wieczornicach, dźwięcznym głosem wlewa się do ucha, kształci i rozwija umysł jego i uposaża na całe życie skupionemi w sobie pojęciami; i na odwrót, w poezyi ludowej odbija się moralne ludu naszego stanowisko. Ale lud nasz, o ile mu pamięć starczy, przechowuje wszystkie a wszystkie pamiątki swęj poezyi, i potrzeba wtajemniczyć się pierwęj w życie jego, ażeby rozpoznać piosnki, co leżą i dziś jemu w głowie i sercu, i odróżnić *śpiewanki*, od dawniejszych pieśni. Dzisiejsza poezya ludu dwojaką nosi na sobie barwę: śpiewa lud z serca, ale wiele pieśni śpiewa i z nawyknienu, jako ojcowską tylko spuściznę; i o ile wnoszę z podolskich kolend, przerabia po swojemu pieśni dawniejsze na obrzędowe doroczne, a może nawet i na całej Słowiańszczyźnie wszystkie obrzędowe pieśni tąż samą przeszły kolęj.

Pieśni obrzędowe zasługują na bliższą uwagę i ściślejszego wymagają rozbioru. Już w samych kolendach podolskich kryją się oprócz liryki, i inne rodzaje poezyi w pierwotnym ich zawiązku, i wystają gdziegdzie ślady podań, skazek, powieści i t. p., a przecież kolendy podolskie są tylko drobną okruszyną pieśni gminnej słowiańskich ludów. Życzyłoby należało, ażeby obrzędowe pieśni Słowiańszczyzny i odpowiednie im obrzędy znalazły pierwój swych historyków, zanim surowy ten materiał mógłby wystąpić w jednym, pełnym i krytycznie obrobionym zbiorze. Podobny zbiór różnych a rozmaitych pieśni obrzędowych, przyniósłby ogromne korzyści w literaturze ojczyściej, i poważniejszym badaniom rzeczy rodzimych nie jedną przydałby treść. Wacław Alexander Maciejowski przejrzał już w ciemną dal słowiańskiej przeszłości; uczone jego prace odmieniają dotychczasowy pogląd na rzeczy rodzime, i wpłyną na wszystkie literatury słowiańskich narzeczy. Odwieczne pierwiastki słowiańskiego życia i słowiańskiego ducha, nabiorą przez wiedzę siebie, nowój żywotnej siły; i rodzima słowiańska idea, stanie się nowém źródłem europejskiej cywilizacji. Odkopał Maciejowski nieznanę dotąd skarby, wykazał obce wśród nas chwasty; i bieg rodzimój historii opacznie i ciemno dotąd pojmowanej, rozświecił światłem nowém. Już usposobił on grunt rodzinny, by wydał obfite plony we wnętrzu swém chowane; a my, prości pracownicy, koczujemy zarośla, osuszamy błotniste nieużytki, z urodzajnej gleby znośmy na stronę niepotrzebne tam kamienie; nie lękajmy się zawodu niedoświadczonej ręki, nie lękajmy się błędów samych. Poczciwa praca nie zaginie marnie, nie pójdzie na poniewierkę; przyjdzie mistrz, rozpatrzy pracę naszą, wykaże błędy, pracować lepiej nauczy, i z pracy naszej na wspólny zasilek, nową poda nam strawę.

## JOANNA DARG

jako przedmiot dramatów:

FRYDERYKA SZYLLERA I DANIELA STERNA.

STUDIUM

*Kazimierza Kaszewskiego.*

Idea, jako zaród pomysłu artystycznego, często bardzo napotyka się w przeszłości świata; poeta czy artysta pozna ją zaraz jeśli nie po innych objawach widomych, to po silniejszym biciu serca, jakie zwykle spotkaniu temu towarzyszy. Narody i społeczeństwa mają czasami te piękne momenta świadczące o zacności rodu naszego, które przebywszy studium ziemskie, zapalają się gwiazdami na niebie ludzkości, a blask ich promienieje w nieskończoność, przyświecając błędzącym lub niepewnym krokom potomności. Takiego momentu, takiej gwiazdy, częstokroć nie od razu dostrzedz: chmura obskurantyzmu, to mgła wyziewów materyalnych, to kurzawa powszednich zachodów, zakryje ją przed naszym okiem; bywa, że i człowiek sam tego oka do góry podnieść nie śmie lub nie może, i nie dziw, że pełzając na czworakach, nie wie co się nad nim dzieje. Ale nie traci przeto gwiazda swego blasku i nie ustępuje z miejsca, do którego ją Stwórca przybił wszechmocną prawicą. Takie momenta w ludzkości, które świecą światłem nie zagasłym i nie przebrzmiałem odzywają się wspomnieniem, są

synami idei wprost z nieba natchnionych, a co ztamtąd idzie jest wielkie i piękne. Powiadamy wielkie i piękne, bo sama olbrzymiość kształtów. jeśli się nie przyoblecze w pewien ład, jeszcze w należytem rozumieniu piękności nie stanowi, choć podziw zarówno obudzić zdolna. Wielkość może być symbolem rozumu, piękność zawsze uczucia; zlejmy te dwa symbole, te dwie władze w strój harmonijny, utworzy się nam wzniosłość: źródło, z którego tryska żywa woda sztuki i poezji.

Naród i człowiek pojedynczy nie zawsze, nie w każdej chwili życia może być usposobionym do wysoku poza tryb zwyczajny, choćby najbliższy doskonałości warunkom, nie zawsze może być wzniosłym. Natchnienia sąto chwile odrębne, niezwykajne; ale które nie trafiają ślepo byle gdzie, jak fawor Fortuny, jeno zstępują na dusze uprawione i do ich przyjęcia w przeszłości należycie przygotowane, a zstępują w danym tylko razie. Idea natchniona czyli objawienie wciela się albo w masę narodu, albo w jednostkę, która jest jego wyobrażeniem, choć w tym ostatnim mianowicie przypadku zazwyczaj dopiéro w miarę oddalania się bywa lepiej pojmovaną i wszechstronniej cenioną: bo światło niezwykajne i niespodziewane więcej na razie przeraża i oślniewa, niżeli oświeca.

Takąto ideę wcieloną, taką postać zmysłową, uduchowioną tchnieniem Boga przedstawia Joanna Darc.

Sztuka, jako wyraz nieskończoności, nie może milczeć w obec tak nieskończonej jasnej postaci. Lud, który jest artystą po swojemu, życie takiej właśnie istoty nadnaturalnej, zagadkowej, osnułby w skromną, choć pełną wdzięku szatę legendy; ale życie Joanny Darc zanadto jest rozległego znaczenia, aby się z pod tej formy nie usuwało do rozleglejszych kształtów, których nie wypełni ani taka parafialna epopeja, ani nawet bohatera. Tu nie chodzi tylko o samę cudowność zdarzeń, ale o oddanie tej muzyki duszy, która wyśpiewuje się czynami: Joannie Darc przystoi być jedynie bohaterką dramatu.

Dziewica zwana *Orleańską* w postaci, w jakiej tradycya przeszłości nam ją zachowała, wychodzi ponad

poziom zwyczajnego biegu rzeczy; gra ona wielką rolę w historii, a jednak krytyka ściśle historyczna bezwładną jest w ocenieniu jej stanowiska, które spływa poza obręb rozumowań, gdyż czynów jej istota nie jest bynajmniej wynikiem pewnego ludzkiego systemu, planu, namysłu i wyrachowania, słowem tych wszystkich dźwigni, z jakich w naturalnym porządku historycznym wyradzają się fakta polityczne. Ona w działaniach swoich nie ma żadnych pobudek zwyczajnych mężom stanu, nie zasila się żadną nauką ludzką, ani ludzkich używa środków, nie odbywa narad i na niczyjém nie polega zdaniu; ale jeśli uderza mieczem, to idzie wprost za głosem wewnętrznym, za głosem Boga, na podobieństwo tradycjonalnych i w wierze chrześcijańskiej pojmowanych aniołów, którzy bez zastanowienia się spełniają wolą Jehowy nie środkami intelektualnymi, ale intuicyą geniuszu. Joanna Dare działa bez żadnego powątpiewania, bez wysień, na pewne; i nie wahając się w wyborze środków trafia nieomylnie do celu. Nie jestto więc żaden mąż stanu płci niewieściej, i tém samém z żadną figurą historyczną nie może iść w porównanie; a jeżeli mamy z nią szukać podobieństwa, to już chyba dojrzymy niejakié zbliżenie jej z naszym księdzem Kordeckim, chociaż i tu nawet ścisłego porównania jeszcze zrobić nie można. Ta zupełna środków ludzkich abnegacya, to spełnienie wielkich rzeczy bez żadnego co się zowie ku temu poprzedniego przygotowania, ta walka Dawida z Goliatem, niemal niemowlęcia z olbrzymem, obok innych uderzających szczegółów jakie nam tradycya przechowała, otacza Joannę tą sferą cudowności, czyniącą z niej postać legendową. Ale to jest dopiero jedna strona Dziewicy Orleańskiej wcale niedostateczna do jej ocenienia, do tego stopnia, że wnioskując tylko z działań jej i widząc prostą wiejską dziewczynę rozwiązującą zadania strategiczne, jeszcze moglibyśmy zarówno z Anglikami i Burgundami osądzić ją jako czarownicę, nie będąc uprzedzonymi o tém, co stanowiło istotę ducha téj dziewicy.

Joanna sama w sobie jest ideałem miłości kraju, tak jak uczucie to każdy pojmować winien: z tego punktu tę

postać uważając nie możemy w żaden sposób poczytywać ją za jedno, li meteoryczne zjawisko, ciekawe tylko dla swego niezwyčajnego charakteru, przemijające bez żadnej duchowej konsekwencyi; ale owszem przyznać jój musimy wysokie moralne znaczenie, sięgające głębin żywotnego interesu, rozumianego według zasad wiary chrześcijańskiej. Sławna po wszystkie czasy miłość ojezyny u Rzymian dziś bynajmniej nie może być modłą; uczucie i przekonanie wyradzające żądę zaborów dla potęgi własnego kraju, poniżające obchodzenie się z podbitemi, niedopuszczanie do wspólności prerogatyw politycznych, stanowią rozstęp nie do przebycia pomiędzy objawem tego uczucia w Rzymie, a jego wyobrażeniem. Uczucie to u Greków przedstawiające się w delikatniejszych nierównie formach, jakkolwiek z wielu stron zkadnąd poszanowania godne, nie wystarcza jednak, zakrawając bardziej na ambicyę miast pojedynczych, a tem samém redukując się do rozmiarów egoistycznych. Indywidua znowu uczucie to pojmują po swojemu, w miarę, rozumie się, pojęć wieku i pobudek osobistych. Pomiedzy wszystkiemi historycznymi ludźmi, których działania dadzą się odnieść do sfery tego uczucia, oprócz Mojżesza i kilku może z bliższych nam czasów choć niższego nierównie znaczenia ludzi, nie wymienimy ani jednego, co byłby wolen od pobudek obcych samej sprawie, a mianowicie od poszeptów dumy i egoizmu; inaczej postęp ludzkości szedłby nierównie bardziej przyspieszonym krokiem ku królestwu Bożemu, a tymczasem rzecz się wleczę upornie; to też dziś w obec krytyki historycznej nie zwiada nas już żadne pieśni i apologie, żadne pomniki i mauzolea. Zupełny kontrast z tém wszystkiém stanowi Joanna Darc.

Jest to istota bez winy i zmayı grzechowej, a prosty jój umysł nie dopuszczał żadnej interesowności krom dobra ogółu; serce jój pałało jedyną tylko żądzą ocalenia ukochanego kraju, którego wszystkie boleści w nióm się skoncentrowały: ona gotową była siebie przynieść w ofierze, aby go z tych boleści wykupić. Była więc jedną z tych istot, jakie do wielkich celów, wówczas gdy wszelka mądrość ludzka staje się bezskuteczną, zwykle powo-

łuje Bóg; który nawiedza ubogie, a bogate z niczém odprawa. Dla chrześcianina przeto wiedzącego o tém, jakich-to ludzi wezwał Dawca światła na apostołów wiary i czém oni stali się w skutek takiego wyboru, Joanna przestaje być istotą zagadkową, a staje się córą Bożą, przeznaczoną do spełnienia Jego zamiarów. Spełniając téż te zamiary Joanna, jak powiedzieliśmy wyżej, przedstawia nam doskonały ideał miłości ojczyzny: nie szuka ona chluby z czynów świetnie dokonanych, ale z całą skromnością odnosi je do łaski Boga, siebie uważając za proste jego narzędzie; o sobie wcale nie myśli i nic dla siebie nie czyni, a co największa, śmierć nawet sięjąc, daleką jest od wszelkiej nienawiści ku wrogom tak kraju jak swoim osobistym nieprzyjaciołom, a przewidując nawet niewdzięczność i zdradę od okupionych i śmierć męczeńską, poci się krwawym potem, ale się przed męką nie cofa. To wielkie i czyste uczucie uzupełnia więc w niej brak środków ludzkich i niedostateczność umysłowego wyrobienia, zastępując je czémś wyższém, bo natchnieniem Bożém, i duch jój staje się jasnowidzącym.

Prawda, że Bóg w swój wszechmocności nie potrzebował tego wszystkiego do spełnienia zamiarów swych; ale z drugiej strony tenże sam Bóg umyślnie ku celom swym wybiera ludzi, dla zachęty i pokazania że oni sami przez się mogą rzeczy wielkich dokonać, z wielką miłością i wielką wiarą. Przez to samo Joanny nie można uważać za puste, bezmyślne narzędzie woli wyższej i odzierać jój z zasług osobistych; gdyż o ile ona stała się mocną nie przez siebie, o tyle przez siebie stała się godną pozyskania téj mocy i wyboru na pomazankę Boga.

Taka tedy Joanna Darc, powtarzamy, jest godną bohaterką chrześciańskiego dramatu; ale biada autorowi, któryby chciał z jój przedmiotu uczynić prostą zabawkę sceniczną. Poeta, który przedmiot ten bierze pod rozwagę i rozwija go na tle swego natchnienia, niechaj zapomni, że są na świecie jakie deski teatralne i niechaj tworzy dramat dla sceny, która będzie.

Jak przedmiot ten interesuje poetów i jak wiele musi mieć w sobie żywiołu dramatycznego, nic więcej tylko pod względem samej formy, dowodzi to, że od śmier-

ci Joanny wielokrotnie już usiłowano wprowadzić ją na teatr. Z pomiędzy wszystkich utworów, których bohaterką jest Dziewica Orleańska, najwyżej stoją dwa dramata: jeden z końca przeszłego wieku Szyllera, drugi z roku 1857 utworu Daniela Sterna.

Zeby mieć wyobrażenie jak ta postać pojmowana jest w sztuce i z jakiego w miarę różności pojęć wiekowych i usposobień indywidualnych poeci na nią zapatrują się stanowiska, porównajmy w ważniejszych szczegółach oba te utwory.

Obydwaj poeci mają jedne i też same dane: dla obu Joanna jest posłanką Bożą, i rozumnie się w tém różnicy byłoby nie mogło bez zatarcia z jednej lub drugiej strony istotnego charakteru bohaterki.

Zaledwie potrzebujemy przytaczać prolegomena do wystąpienia Joanny na scenę historyczną, to też sprawimy się z tego o ile można najkrócej.

Karol VI król francuzki większą część życia podlegał pomieszaniu zmysłów, co wassalom korony dawało pochoch do współubiegania się o prawo rejencyi, które dom Orleański i Burgundzki wzajem sobie wydzierały. Nareszcie Jan (Sans peur) książę burgundzki idąc prosto do celu kazał zamordować księcia orleańskiego i wkrótce potem sam zginął z ręki hrabiego Duchatel. Z takich zawichrzeń korzystając Henryk V król angielski wkacza do Francyi, zdobywa całą Normandya i stara się zjednać sobie stronników. Po jego stronie stają: Filip książę burgundzki i rzecz niesłychana w dziejach rodzin, Izabella bawarska, żona króla Francyi. Ci tedy zawierają traktat, mocą którego tron francuzki po śmierci panującego króla ma przejść na dzieci Henryka V, który, dla tém silniejszego podtrzymania praw żeni się z Katarzyną córką Karola VI i Izabelli. Tym sposobem prawy następcą, późniejszy Karol VII zupełnie od tronu odsadzony został. W lat dwa po zawarciu tego traktatu Henryk V i Karol VI umierają wkrótce jeden za drugim; przy pomocy silnych wojsk partya angielska ogłasza w Paryżu królem Francyi małoletniego syna Henryka, pod opieką stryjów książąt: Bedford i Gloucester, a ze swój strony syn zmarłego króla Francyi Karol popiera-



ny przez stronnictwo orleańskie w osobie księcia Du-nois i marszałka Richemond, również ogłasza się królem, ztąd naturalnie wojna, w której Karol ma za sobą prawo, Anglicy siłę. Wojska angielskie wspólnie z Filipem burgundzkim idąc coraz dalej bez przeszkody biorą miasto za miastem, prowincją za prowincją, obsadzają nareszcie Orlean ostatnią nadzieję Karola. Po stracie tego miasta nie pozostaje mu jak przeprowadzić się za Loarę i prosić u obcych przytułku; a trzeba chyba cudu, żeby Orlean ocalał ze względu na ogromną przewagę oręża angielskiego. Ten cud właśnie się jawi w osobie pasterki z Domremy.

Obydwaj poeci rozsnuwając siatkę dramatyczną, z jednego wychodzą punktu: Orlean obleżony, trwoga i zwątpienie w obozie francuzkim, bezskuteczność rad: słowem zupełna niemoc. W tak rozpaczliwej chwili przybywa Joanna z siłą i pokorą, wyjawieniem Karolowi tajemniczej jego modlitwy zadziwia i obudza ku sobie wiarę, otucha wstępuje w zwątpiałych. Joanna uroczystie przyrzeka, że Orlean za jej sprawą będzie ocalony, nieprzyjaciół pobity, a następca tronu koronowany w Reims; i, co przyrzekła, dotrzymuje.

Dotąd wszystko bardzo dobrze i gładko, ale też to nie jest jeszcze wcale w wewnętrznej naturze swój dramatem, jeno wprost kartą historyi; reszta dopiero może z niej zrobić część dramat całkującą i z nim nierozdzieloną. Do koronacji przeto Karola, jak powiedzieliśmy, poeci obaj nie różnią się w treści, trzymając się raczej motywu historycznego; odtąd dopiero, to jest od chwili kiedy indywidualna fantazyja dramatyczna zaczyna kierować rzeczą, poeci: Niemiec i Francuz ogromną kładą między utworami swemi różnicę, a jednak najmniej spodziewaną. Niemiec staje się wytwornym, Francuz głębokim.

Szyller równie jak i Stern czyni Joannę posłanką Opatrzności ludu; ale Szyller, wiążąc po swojemu początek z końcem i w prologu robiąc expozycyją zasadniczej myśli, jako pierwszy biegun obrotu dramatycznego ustanawia głos Boga, który odzywa się w duszy Joanny. Głos ten wskazujący jej wielką misyją, woła do niej między innymi: „Ty członki swe obleczesz w twardey spiż,

stałą okryjesz delikatną pierś, uczuciem ziemskiem serce twe nie wzgore....” Owoż, po kilku zwycięztwach odniesionych na placu boju, już w obliczu samego miasta Reims, prawie u celu missyi, Joanna spotyka czarnego rycerza ze spuszczoną przyłbicą, który staje przed nią jako przestroga, i radzi, aby już miecz schowała do pochew i zaprzestała udziału w sprawie, która prawie jest ukończoną; inaczéj, może zapału swego srodze pożalować. Ale Joanna nie słucha go: wierna uczynionemu ślubowi nie złoży oręza, dopóki nie zobaczy korony Śgo Ludwika na głowie prawego monarchy, dopóki cień wojsk nieprzyjacielskich nie zajdzie za obręb wód Francyi. W chwilę więc po zniknięciu czarnego rycerza, wpada na nią z mieczem w rękę sam wódz wojsk angielskich Lionel, i zięjąc zemstę za tyle klęsk i śmierci, wyzywa ją na rękę; lecz po kilku cięciach rozbrojony, już ma ulegnąć losowi wielu spółtowarzyszy, gdy wtém Joanna zerwawszy mu hełm z głowy dla zadania śmiertelnego ciosu, spogląda w jego oblicze i staje nieruchoma. Ramię jéj obezwładniało, serce wbrew głosowi z góry zajęło się ogniem ziemskiej miłości; Lionel, wróg Francyi, odszedł żywy i cały, zabrawszy nadto jakby w upominku zwycięzki miecz Joanny: słowa tajemniczego rycerza spełniły się. Joanna miotana niepokojem, przeczuwa że będzie z nią źle, bo złamała ślub, stała się niegodną swego posłannictwa i postąpiła jako zwyczajna kobieta; pancerzem nie mogła zawrzeć serca przed uczuciem najrozkosniejszém na ziemi, tak jak już ukochanego nie mogła pod miecz ofiarny poświęcić. Joanna przeto jako winna zboczenia, musi ponieść karę: przez własnego ojca oskarżona o czary, za to przez ocalonych odepchnięta i wygnana, idzie na tułactwo i wpada w ręce Anglików, a ci ją osadzają w kajdanach, w wieży, pod którą toczy się bitwa. Francuzi pozbawieni anioła zwycięztwa dają się złamać, Dunois pada ranny i sam król jest w niebezpieczeństwie; Joanna dowiaduje się o tém, dobywa z głębi serca gorącej modlitwy, kajdany opadają z jéj rąk, wybiega na pole bitwy i mieczem wydartym z ręki strażnika gromi do szczytu nieprzyjaciela, ale i sama śmiertelnie zraniona umiera.

Podług Daniela Sterna (1) Joanna po koronacji Karola w Reims ściga Anglików ku Paryżowi i w bitwie pod Compiègne w skutek zdrady intrygantów dostała się do niewoli w ręce Filipa burgundzkiego, który wydaje ją Anglikom. Sprzymierzeni oddają Joannę pod sąd mędrców i duchowieństwa, którego wyrok uznaje ją za winną czarnoksiężstwa i skazuje na spalenie. Joanna ginie na stosie.

Poezya jest tém zwierciadłem czarodziejskiem, które nie zmienia kształtów przedmiotu, a jednak przedmiot czyni odmiennym namaszczając go i w całości i w częściach wdziękiem i urokiem, jakiego bez tego zwierciadła dojrzeć w nim nie można. Widzi go poeta w duszy swjej jasno i wyraziście bez żadnego pośrednictwa; człowiek zwyczajny zaledwie jak przez grubą mgłę dosięga blasku piękności, jaka jest w przedmiocie, i koniecznie potrzebuje tej optyki poetycznej, aby się w nim estetycznie rozpatrzyć. Dzieje obraz swój realny mają w historyi, która mówi do rozumu; obraz poetyczny tworzą dla nich epepeja i dramat, w obec których rozum, imaginacya i serce wspólnie działają, aby nas ująć i zachwycić. Tu to ludzkość przedstawia się nam w dziwnej postaci, jakby była zkadınad rodem, a jednak nie tak jest; my to sami, my ludzie jesteśmy tam widzialni, tylko przeprowadzeni przez soczewkę czystszeo promienia i gorętszego uczucia.

Takimto przedstawia człowieka we wszystkich dramatach Szyller. Zajęty swoim ideałem, stwarzając inny świat obok świata historycznego, pozwala on sobie nawet poniekąd odstąpien, które jednak wielkością jego fantazyi i pięknością wynikłych z niej obrazów dadzą się usprawiedliwić. W Dziewicy Orleańskiej więcj jeszcze niż gdziekolwiekindziej pokruszył on formy historyi, i na ruinach ich dopięro wzniósł swą budowę dramatyczną. Nie mamy odwagi a nawet potrzeby przytaczać we wszystkich szczegółach treści dramatu, bo i mało komu dzisiaj on nie jest znanym; ale z samego zakończenia

(1) Ma to być podobno pseudonym kobiety, za co wprawdzie nie zaręczamy

widzimy do jakiego stopnia realność faktów jest w nim zaniedbaną, nie wspominając jeszcze o istocie rzeczy. Szyller jako geniusz wyprzedzał niektóre pojęcia, jako człowiek do niektórych się stosował, a pomimo to nigdy słowa nie rzucił marnego; w każdym jego, nawet okolicznościowym wierszyku, znajdziesz myśl oryginalną i ciepło poetyczne. Więc choć przy układzie *Dziewicy Orleańskiej* widocznie chodziło mu o teatr, dla którego pracował; o powodzenie sceniczne, bez którego teatr i poeta żyćby nie mogli: z tem wszystkiem niemniej widocznym tu jest usiłowanie, aby Joanna łączyła w sobie wszystkie warunki życia i piękna poetycznego.

Postać Joanny jest tej natury, że nie zniesie nic obok siebie na pierwszym planie: idzie więc o to, aby osoby grupujące się w poetycznym obrazie około niej, zachowując miarę właściwą, jaką im nadaje znaczenie historyczne, nie zasłaniały jednak postaci najwznioślejszej, ale owszem podnosiły ją i uwydatniały. Łatwo podolał temu mistrzowski talent Szyllera; co większa, każda postać jego w tym dramacie nietylko że jest doskonale żyjącą, ale ma nadto na sobie znamię odrębnej indywidualności, które jej od początku do końca nie opuszcza; najpodrzedniejsza nawet figura nie odzywa się nigdy pustemi słowy, dla zapelnienia jakiegś próżni w akeyi byle czém; lecz owszem przyczynia się do podtrzymania związku z całością. Nie namaściłby Szyller takim życiem swego utworu, nie uczyniłby szczegółowych jego figur tak interesującemi, gdyby był poprzestał na wystawieniu przed oczy zwłok historycznych zabitych w klamry kronikarskich trumien; on je ztamtąd dobywszy teńał na nie życiodawczą mocą z obfitego źródła życiowego, jakie miał w samym sobie: ze swój fantazyi. Otóż Karol znany nam z historyi jako prosty niedołęga, i tu wprawdzie nie jest bohaterem; ale poeta nie mogąc dopuścić takiej bezbarwnej nieruchomej postaci do grona ludzi żyjących, nadaje mu przynajmniej jakieś usposobienia pokoju epikurejskie i poetyczne, które wprawdzie nie usprawiedliwiają niestatku i beczynności króla, ale przynajmniej tę jego niezdolność do rycerskich spraw okrywają szatą strojnego pozoru i dają mu możność

na każdym miejscu powiedzenia czegoś bardzo pięknego i nacechowanego wyższém znaczeniem. Agnieszka Sorel przestaje być dawczynią płatnych królewskich rozkoszy, za jaką uchodzi w ówczesnych kronikach; jest i to jakaś istota wyższa uczuciem miłości i bezinteresownością. „Ona—powiada król— jest zarówno szlachetnie urodzoną jak ja sam; krew Walezyuszów nawet czystsza być nie może; ona byłaby ozdobą najpiérwszego tronu w świecie, ale ona pogardza nim, ona miłością moją tylko chce być i nazywać się. Czy ona kiedy przyzwoliła mi na jaki dar wyższej wartości nad świeży kwiatek w zimie albo owoc rzadki! Ona odemnie żadnej nie przyjmie ofiary, a dla mnie robi wszystkie! Ona mojemu upadającemu szczęściu całe swoje bogactwo, całe mienie poświęca”.

Jeżeli te postacie autor w korzystnym postawił świetle i owionął je technieniem poetyczności tak, aby prozaicznymi szczegółami nie psuły harmonii obrazu; cóż dopiero mówić o innych, które nie potrzebowały ojcowskiej ręki poety dla utrzymania sympatii i ugodnienia się. Lubo jak wzmiankowaliśmy wyżej, z natury rzeczy nie wypadało nikomu nadawać obszernego rozmiaru artystycznego, aby nie przycieniać samej Joanny, a tém samém trzeba było każdą figurę w ścieśnionym niejako przedstawiać kształcie; tém większa przeto sztuka i zasługa artysty, że i w takim kształcie potrafił każdą postać uwyraźnić, całości pewnej jej nie ująć i charakterystykę osobistą oznaczyć. Czyto wieśniak, czy wódz, każdy obok ogólnego charakteru jest nadto, w miarę tego jaką ideę poeta chce w nim upatrzeć, samoistną jednostką, niejako dźwiękiem osobnym wchodzącym w skład ogólnego akordu.

Totéż życie tego dramatu, zainteresowanie i wrażenie nie idzie bynajmniej z intrygi lub trywialnych środków zmysłowej imaginacyi, bo czytelnik obeznany z historią ówczesną aż nadto dobrze przygotowanym jest na wypadki; ale płynie ono i rozechodzi się po całości z gry szczegółowych charakterów i sytuacji nie nerwowo, ale poetycznie obmyślanych.

Szczególniej wysokiego efektu dramatycznego jest zakończenie czwartego aktu. Po odbytej koronacyi w Reims, cały lud z królem na czele korzy się przed Joanną, jako przed wielkością promieniami świętości obłana. Wodzowie wojsk uchylają przed nią dumnego czoła, Agnieszka Sorel uważa się za szczęśliwą, że może na kolanach dotknąć kraju jej szaty, a kochający Joannę od dziecinnych lat młody pastuszek *Rajmund* uczuciem szczerem i nieśmiertelnem, zdaleka tylko z radością w sercu, ale i łzą rezygnacyi w oku spogląda na przedmiot swęj czci i miłości. Wtém zbliża się ojciec Joanny i bez względu na te wszystkie oznaki tryumfów, głuchy na dzwony uroczyste i na hymny chwały, groźny i nieugięty w przekonaniach religijnych, zasłaby i zamaluczki, aby się zrównał z wysokością stanowiska Joanny, z przekleństwem na ustach staje przed córką i w obec wszystkich wielkości państwa oskarża ją o pychę, o sprawę szatańskie, o udział w czarnoksiężtwie.

Wszystkie oczy z zadziwieniem zwracają się ku niej, wszystkie serca z miłością pragną, aby Joanna odparła ten zarzut, aby choć jednym słówkiem usprawiedliwiła się z takiego potępienia; ale Joanna milczy, nie śmie przeczyć ojcu, w przekonaniu, że co pochodzi od ojca, pochodzi od Boga. To jej milczenie obudza obawę w drugich i powątpiewanie, co widząc zakochany w niej Dunois wykrzykuje z oburzeniem, zarzut przeciw niej nazywa potwarzą i rzuca rycerską rękawicę temu, coby śmiał Joannę spotwarzać. Na ten jego wyzyw uderza piorun: z takim przeciwnikiem trudno walczyć. Przechodząc się wzmaga i powątpiewanie przechodzi w pewność. Powoli król, Agnieszka, błogosławiący ją od pierwszego poznania arcybiskup, wodzowie, opuszczają powoli przekłętą, a w obec nieprzełamane milczenia Joanny i sam nareszcie Dunois odchodzi. Wtedy zjawia się poseł królewski, ale dlatego tylko, aby jej delikatnie oświadczyć, że król ją wypędza. Joanna przed chwilą otoczona takim majestatem chwały, zostaje sama, bezbronna, wygnana, bez opieki, bez schronienia, jak kryminalista lub trędowaty. Gdzież pójdzie, kto z nią los podzieli? W tęto smutnej, rozdzierająco majestatycznej

chwili, dopiero przystępuje Rajmund i podaje jej rękę. On jeden o niej nie zwątpił, on jeden jej nie opuścił: miłość prostaczka wznioslejszą jest od miłości wielkich tego świata. Ślicznie, cudownie z tego ustępu wywiązał się Szyller; nie ma tu przecie wiele gadania, żadnej deklamacyi. Wśród ogólnej ciszy i samotności Joanny Rajmund powiada tylko te słowa: „Korzystajmy z chwili. Drogi są puste, podaj mi rękę Joanno; ja cię poprowadzę”. A jednak jest w tém wszystkiém dziwnie wymowna wzniosłość, wypływająca wprost z samego pomysłu poety i sytuacji.

Cóż dopiero mówić o tém, gdzie słowo bezwzględnie jest tłumaczem czyjegoś stanu duszy, pojęcia lub uczucia. Każda scena ma niezaprzeczone poetyczne zalety, a poetyczność ta w monologach samej Joanny sięga takiej wysokości, do jakiej nawet z pierwszorzędnych mistrzów nie każdy mógł się zbliżyć. Jestto jakiś śpiew serdeczny, raz cichy i rzewny jak odgłosy wioskowe przy zachodzie słońca; to grzmiący boleścią, wszystkimi tonami, jakie skupiają się w duszy wzburzonej wulkaniczną potęgą, to znowu stłumiony w echo rezygnacyi i przeczucie nadziemskiej rozkoszy, które w każdym momencie towarzyszy sprawiedliwemu.

Słowem jeśli zgodzimy się na taką Dziewicę Orleańską, jaką sobie wymarzył Szyller bez względu na obraz jej zkaład nam znajomy, pozostaje nam tylko podziwiać piękność i wykończenie szczegółów, jak niemniej wytworność traktowania i rozwinięcie całkowitego pomysłu. Ale na nieszczęście stoi nam ciągle na oczach Joanna Dare historyczna i mimo woli daje sposobność czynienia przyrównań, które bynajmniej na korzyść Dziewicy Szyllera nie wypadają. Niechaj to nie będzie z ubliżeniem dla nieśmiertelnych cieniów wielkiego poety, jeśli gwoli prawdy i niecofnionych zasad, poważymy się z poziomego miejsca podnieść przeciw niemu głos protestacyi i z odmiennego cokolwiek punktu spojrzymy na ten jego dramat powszechnie tak wysoko ceniony i zawsze w jednej i téjże samej rozbierany myśli. Prawda, że w nim Szyller w wielu miejscach staje ponad historją, udokładnia ją i idealizuje; ale to wzniesienie odbywa

się niejako jakby kosztem samej bohaterki dramatu, która spada o wiele niżej nad historyczny poziom.

Podług Szyllera, Joanna nie tylko jest aniołem wojny groźnym i niszczącym jak ów, który w noc wyjścia Izraelitów wytepił pierworodne syny Egiptu; ona prócz tego jest gołąbką pokoju, która godzi zbłąkane dzieci jednéjże ziemi, hamuje popęd ku rozlaniu wspólnej ich krwi i różeczkę oliwną podaje w dłoń zapamiętałego Filipa. Pod słowem jéj taje waśń przywódców, a Francuzi i Burgundowie długo rozdzieleni podają sobie ręce i zwracają je przeciw wspólnemu wrogowi. Za takie przeistoczenie rzeczy historia bynajmniej nie urazi się na poetę; ale rzecz inaczej się ma z samą sprawczynią zwycięstw i pokoju.

Szyller w swych poetycznych utworach znaczenia historycznego, które po największej części odnoszą się do czasów przed reformą, usiłuje być arcykatolikiem, tém samym usiłowania tego i w obecnym dramacie nie pomija. Ale protestant z krwi i kości, snadź nie zdołał przejąć się do gruntu charakterem wierzeń i przekonań, które odtrącał i w czasie swoim uważał za anachronistyczne. Joanna zaś nie może inaczej być pojmowaną jak tylko w duchu pierwotnej ortodoxyi, najprostszéj wiary nie rozumującéj w tajemnicach, ale przyjmującéj je takimi jakie są; téj wiary, która chętnie przylega do cudowności, widzi Boga w krzaku gorejącym, słucha uważnie głosu proroków, świat nadzmysłowy sprowadza na ziemię i uznaje „świętych obcowanie” za głosem których z uśmiechem na ustach idzie na stos i głowę pod miecz katowski poddaje. Do takiej wiary zmusić siebie nie można, trzeba ją czuć, tak, jak się czuje ciepło własnego ciała i bicie własnego serca. Szyller jéj nie czuł i zmusić się do niéj nie mógł; to téż jego Joanna pomimo jakiegóś zaświatowéj osłony zanadto wygląda po ludzku, po ziemsku; wprawdzie zebrał on o niéj tajemnicze szczegóły, jakie nastęrczyła tradycya, nie pominał ani jednego, ale ich nie przeprowadził przez ciepło swego natchnienia, nie urobił z nich w uczuciu swém jednéj całości, któraby świadczyła o wcielaniu się słowa Bożego w syny człowiecze, którzy nie z woli



ciała, ani z woli męża, ale z Boga się narodzili. Szczegóły, jak głos świętych Panien odzywający się ponad dębem przy figurze, jak odgadnienie tajemnych myśli króla i t. p., Szyller dał sucho, literalnie podług tradycyi, a nadto pomieszał je z rzeczami czysto balladowych zmyśleń, jakimi są: kask, który jakaś cyganka wcisnęła na jarmarku w rękę wieśniakowi z Domremy i który następnie od tegoż wieśniaka odebrała Joanna; to znowu zjawienie się Czarnego rycerza, o którym już wspominaliśmy. Takich rzeczy poeta nie powinien był stawiać na jednej linii z tajemnicami świata religijno-duchowego, ale tajemnice te należało właśnie wyraziście i szeroko usymbolizować. Najszkodliwszą dla Joanny inwencją jest zakochanie się w Lionelu. Tu już Szyller zupełnie nie rozumiał dziewicy chrześcijańskiej, nie pojął idei wybrania i namaszczenia Bożego, odarł ją z zasług i wytrącił z jej ręki palmę męczeńską, a natomiast podstawił expiacją w śmierci przedwczesnej, chociaż chwalebnie poniesionej. Cóż może być wznioślejszego jak historyczna śmierć Joanny Darc? Syn Boży wybawił ludzkość i umarł na krzyżu przybity doń przez tych samych, dla których się poświęcał i których zbawiał. Im więcéj kto życiem i kolejami zbliża się do tego wzoru, tém większa dla niego chwała. Joanna Darc przeznaczoną była do ocalenia narodu, a jako uczennica i wybrana córka Chrystusowa, wiedziona głosem świętych Pańskich dokonała posłannictwa swego torem Boskiego mistrza, w boleści i czystości ducha. Joanna po dopełnieniu tego posłannictwa nie mogła żyć: bo cóż miała robić? Czy za zasługi zostać jaką figurą dworu? Miałe dla niej Karol porzucić Agnieszkę i z nią podzielić koronę Francyi; albo miałaż Joanna jak jaki Cyneynnat po ocaleniu ojczyzny wrócić do sielskich zatrudnień, w dalszym ciągu paść ojcowskie owce i dokonać żywota jak każda Małgorzata lub Katarzyna. Nie! rycerz, który miecz swój dobrej sprawie poświęcił i cudów nim dokazał, po skończonym boju nie zostawia go przy boku, nie chowa go na dalsze wyprawy ani idzie z nim na turnieje, ale zawiesza go w kościele: martwy nawet przedmiot wielkim celem oświęcony, wychodzi ze zwyczajnego

użycia i staje się relikwią: już on nie ma nic wspólnego z podobnemi sobie. Joanna dokonawszy swego dzieła nie mogła mieć już nic wspólnego ze zwyczajnemi ludźmi, i zważmy nadto, że o ile dzieje są nam wskazówką, to niemal każde wcielenie idei wyższej kończy się krwawą ofiarą; więc śmierć jako ofiara jest najwyższém ubłogosławieniem, śmierć jako rezultat grzechu jest upadkiem ziemskim. A takąto właśnie Szyller przeznaczył Joannie; jestże to sprawiedliwie, kiedy ona do pierwszej ma właśnie niezaprzeczone prawo? Ztąd też poeta jest sam z sobą w niezgodzie, którą przedstawia piąty akt dramatu. Jeżeli Joanna zgrzeszyła, a tém samém utraciła otrzymaną łaskę, jakimże sposobem mogła modlitwą uwolnić się z kajdan i znów dokonać cudów zwycięstwa, jakich dokonywała tylko w stanie łaski? Do takiego zwrotu dojść tylko można było pokutą tak wielką, jak wielkiem było przewinienie. Ale, jak powiedzieliśmy, to wszystko widzieć i przewidzieć można było tylko duchein ortodoxyi, od której dalekim był Szyller; pominawszy więc tę tak wielkiej wagi okoliczność, w drugiej połowie swego dzieła redukuje bohaterkę do zwyczajnej postaci kobiecej, a przynajmniej do jakiejś niezrozumiałej konwencyonalnej istoty.

Z większém wnikiem w grunt przedmiotu i w siebie samego przystępuje do rzeczy Daniel Stern. Wpatruje się on dobrze w Joannę Darc i powiada, że oprócz hebrajskiego, w żadnym innym narodzie nie widzi zjawiska cudowniejszego, postaci, która byłaby tak nadzwyczajną i niepokalaną, tak ludzką i Boską zarazem. Dziwi się dlaczego dotąd postać ta nie zdołała w żadnym z pielęgnujących sztukę obudzić właściwego natchnienia, okazuje niedostateczność i słabość dotychczasowych utworów poezyi opiewających dzieje Dziewicy Orleańskiej i wymienia je prawie wszystkie nie wyłączając ohydnej parody Woltera. Niechęć czy naumyślne w szeregu ich opuścić jednak drobnostkę niedojrzałą, to jest dramat Szyllerowski, który jakkolwiekbydź według naszego nawet przekonania i powyższego dowodzenia nie spełnia ideału dziewicy, ale przecież jeszcze obok wszystkich przez Sterna wymienionych francuzkich wieszczów, wy-

gląda jak róża bengalska przy piwoniach. Snadź Francuz uważał zareńskiego mieszkańca jako intruza do spraw narodowych, i nie sobie z jego dzieła nie robił, a nawet podobną fanfaronadę śmiałoby we Francuz e, po innych danych, przypuścić można; albo też nie chciał nikogo sam naprowadzać na niebezpieczne dla siebie porównania. Cokolwiek bądź poczyną on skromnie, czuje całą wielkość przedmiotu, a przystępuje doń ze czcią i rozważą.

Rozumiejąc dobrze co jest naturą i glorią Joanny, i nie widząc żadnej wyższej jęj manifestacyi nad sam fakt, Stern idzie wprost za historią, w drobnych tylko i, że tak powiem, domowych rzeczach czyni od nięj odstąpienia lub tęż spuszcza się na własną swą inwencyą. Jak Szyller upadek Joanny przypisał fatalnemu zboczeniu od powinności, tak przeciwnie Stern, wychodząc z zasady że wszelka cnota i wielkość musi na drodze uszczęśliwienia siebie i drugich potraćć co krok o faryzeuszów, przeciwstawia Joannie synagogę dworską i klerykalną, która zrazu lisim tropem chce ją wprowadzić za sobą na drogę zdrady, a napotykJając charakter nie po myśli, judaszowskim pocałunkiem wydaje Joannę wrogowi, jemu już odtąd powierzając dalszą wielkość dziewicy. Stern przedstawia nietylko chrześcijańską jęj stronę, ale nierównie wyraziścięj niż Szyller naciska na charakter narodowy, mocnięj nawet niżby znieść mogły ogólne ówczesne wyobrażenia narodowości i ojczyzny, co jednak nie przestaje być zgodnćm z wyjątkowćm znaczeniem istoty nadzwyczajnćj, z jęj extazyami i prorocctwy.

Dla czytelników znających Dziewicę Orleańską Szyllera nie zawadzi może dać choć w krótkości więćej szczegółowe wyobrażenie, w jaki sposób Stern rozwija swój pomysł dramatyczny; tćm bardzięj: że dzieło jego z powodu świeżości publikacyi nie wiele dotąd znajomćm być może (1).

Jużto z początku równie jak u Szyllera, idzie ekspozycya stanu Franeyi doprowadzonćj do kresu zniszcze-

(1) Redakcyja Biblioteki Warszawskćj w następných zeszytach w wiernym przekładzie, umieści dramat Sterna.

nia przez nienawiść królowej wdowy Izabelli ku swemu synowi następcy tronu, oraz krótki obrazek domowych stosunków Joanny, różniąc się naturalnie o wiele od swych siostr i współtowarzyszek; a tajemnicze jej postępowanie, jej samotne wycieczki i długie przebywania po miejscach odludnych, jej odrębne pojęcia, dziwią niepomatu, smucą i niepokoją ojca, któryby chciał wydać ją za mąż tak jak inne swe córki, aby w tych ciężkich i niebezpiecznych czasach znalazła w małżonku podporę i obronę kobiecej słabości. Ale Joanna głuchą jest na to wszystko, dawno bowiem już głosy świętych niewiast zwiastują jej wysokie posłannictwo, którego ona w prostocie ducha swego pojąć nie może i nakazują jej wyruszyć z domu ku obronie praw króla i narodu. Im bardziej miłująca spokój swej cichej wioski i ustron domowej zagrody, dziewica opiera się temu głosowi, im bardziej przeraża ją myśl opuszczenia rodzicielskiej strzechy i rzucenia się w świat nieznaną do czynów, których wielkość ją olśniewa; tém święte coraz silniej nastają, tak iż Joanna szarpana rozmaitemi uczuciami zwierza się tajemnicy swej przed znajomym zakonikiem *bratem Eliaszem*, który świeżo powrócił z pielgrzymki do Ziemi świętej. Świętobliwy ten i cichy kapłan porównywając to co słyszy od Joanny ze słowami powszechnie obiegającego podówczas prorocтва: „że Francya zgubiona przez niewiastę, przez niewiastę też ocaloną będzie,” utwierdza się w przekonaniu, że tą niewiastą jest Joanna. On tedy dodaje jej otuchy, odwagi, wystawia wyższość interesu ogólnego nad względy rodzinne, namawia aby idąc za głosem nieba opuściła potajemnie dom ojcowski i poszła tam, gdzie jej nakazują święte, to jest do obozu francuzkiego w Vaucouleurs, którym dowodzi kapitan królewski Baudricourt. Joanna nie bez serdecznego bólu dozwala się uprowadzić Eliaszowi z domu rodzicielskiego i idzie wraz z nim do obozu.

Tymczasem król z całym swoim sztabem i dworem wczasuje sobie w Chinon, już niedaleko brzegów Loary, przygotowany łąda dzień przepawić się na drugą stronę i tym sposobem skazać się na wygnanie. Między otaczającymi go znajdują się tacy jak Lahire i Duchatel,

którzy ze zgorzeniem patrzą na tę jego apatyę i niecierpliwie wyglądają chwili działania; inni znowu, jak faworyt szambelan de la Tremoille i Regnault arcybiskup Reims, tajemnie zaprzędani księciu burgundzkiemu, utrzymują króla w bezczynności dla łatwiejszego wyzucia go z przynależnych mu praw: a schlebiając jego skłonnościom i dworując, mają wielką nad pierwszemi przewagę. Przez nichto deputacya wysłana z oblężonego Orleanu ledwie nie odeszła z kwitkiem, i dopiero po usilnych staraniach ludzi oręza zdołała uzyskać audyencyę. Ale król, pomimo wołania Lahira, Duchatela i księcia d'Alençon, ani chce słyseć o zbrojnej dywersyi na Orlean; podżegany przez zdrajców wybiera się raczej za Loare, i w témto smutném postanowieniu zastaje go oficer Bertrand de Poulangy, wysłany przez Baudricourta z wieścią o Joannie. Wieść tę najlepsi przyjmują z niedowierzaniem i ubliżającemi żarcikami, na które Bertrand de Poulangy oświadcza, iż on i inni rycerze z Vaucouleurs uwierzyli w missyę Joanny i wszelką jęj wyrządzoną zniewagę jako swą własną uważać będą: synagoga tego wszystkiego słuca z obawą i już przeczuwa że jęj łamią się szyki. Stańęło jednak na tém, że Joanna ma być przypuszczoną przed oblicze króla; ale Tremoille, który napróżno straszył czarami i szatańskiemu sztuki, wydaje rozkaz pocichu, aby ją, jak tylko przybędzie odprowadzono do palacu biskupiego. A wtém miejskie dzwony uderzyły razem ze wszystkich wież i wchodzi wielki mistrz Sgo Jana Jerozolimskiego, Giresmes, który opowiada o zbliżaniu się tajemniczęj dziewicy, i niebawem tęż Joanna ukazuje się w zgromadzeniu. Poznaniem króla, wyjawieniem mu tajemniczęj modlitwy, po bezskuteczności exorcyzmów jakie nad nią odprawiał arcybiskup Reims, wzbudza zaufanie; oświadcza, że z Bożęgo rozkazu przyszła stanąć na czele wojsk i oswobodzić Francyę: król się skłania, wodzowie każdy z innego powodu poddają się nareszcie pod jęj rozkazy, a zdrajcy na dobre opuścili uszy, gdy cały obóz ruszając za nią pod Orlean, zagrzmiął jednym chórem: niech żyje Joanna Dare.

Po koronacy króla w Reims, wieńczącej szereg zwycięstw i tryumfów wojska francuzkiego, Joanna jest przedmiotem powszechnej czei i uwielbień. Ciśnie się do niej całe miasto i lud okoliczny, pośród którego znajduje się i rodzina Joanny. Poczciwa córka, po latach dwóch niewidzenia, rzucając się na łono ojca, zyskuje od niego przebaczenie za samowolne opuszczenie domu rodzicielskiego. Wodzowie wynoszą Joannę pod niebiosy, a zdrajcy widząc niemożność zgubienia jej siłą, udają się do podstępu. Naprzód radzą jej aby się oddaliła z widowni działań wojennych, przedstawiając jak król krzywo spoziera na jej wyniesienie, i że to grozi jej niebezpieczeństwem; ale ona odpowiada im, że odejść nie może, bo posłannictwo jej jeszcze nie skończone. Więc zaczynają znowu z innej beczki i chcą skłonić ją do interesów księcia burgundzkiego, utrzymując, że on pragnie zgody, co prostomyślna dziewczyna z radością przyjmuje, nie wiedząc jeszcze co się pod tą zgodą święci. Rzecz wyjaśnia się z przybyciem pełnomocnika burgundzkiego, w osobie młodego księcia Luxemburga, który wprawdzie przynosi zgodę, ale pod warunkami niesławy. Pochlebcy naglą króla, aby podpisał traktat ubliżający godności narodu i korony; rycerze a z niemi Joanna odwodzą: niedoleżtwo królewskie wije się całe w potach, między takim młotem a kowadłem: aż obrońcy dobrej sprawy, aby raz zakończyć gorszący spór, pozostawiają woli króla umawiać się z wrogami i zausznikami wiele mu się podoba, a sami za przywództwem Joanny razem zabierają się na pole działań wojennych, pod Compiègne, gdzie nieprzyjaciel główne skoncentrował siły.

Zdrada na tym punkcie pobita nie składa oręża, a uważając Joannę za kamień na drodze do swych celów, postanawia go jakinokolwiek kosztem uprzętnąć. Przekupuje oddział wojsk pod Compiègne, który opuszcza Joannę w samym ogniu bitwy i bohaterka dostaje się zdradzieckim sposobem do niewoli w ręce młodego Luxemburga, a ten zakuwszy ją w kajdany, odsyła do zamku Beaurevoir, w którym mieszka jego rodzina. Na tę tak szczęśliwą wieść, wszystko co żyje zbiega się do zamku Beaurevoir, a między innemi i sam Filip burgun-

dzki, który ujęty wdziękami i skromnością Joanny, obiecuje jej coś nakształt protekcyi; ale ta obietnica upada za przybyciem wodza angielskiego Talbota, który pogroziwszy Filipowi tonem pana, uprowadza z sobą Joannę i oddaje ją w ręce sprawiedliwości.

Sprawiedliwość ta, pod łaską vice-inkwizytora, składa się z sędziów duchownych i świeckich, Anglików w połączeniu z Francuzami, gdyż sąd odbywa się na ziemi francuzkiej w Rouen; więc Anglicy, dla uniknięcia pomowy o stronność i ulegalizowania wyroku, z umysłu przyzwali do trybunału współziomków Joanny, coby wspólnie z niemi dali głos potępiający zbawczynię narodu. Joanna oskarżoną jest mniej więcej o czary, bluźnierstwo, stosunki ze złym duchem i tym podobne rzeczy, którym ona skromnie zaprzecza, a na niektóre pytania wcale odpowiadać nie chce, co zmusza sprawiedliwość miejscową do użycia tortury. Przykładną tę surowość sądu przerywa tylko przybycie brata Eliasza, który przynosi polecenie władzy duchownej, aby Joanna stawioną była przed sąd concilium w Bazylei; co wprawdzie wielce nie podoba się trybunałowi, szczególnie Anglikom, bo tu autor z patryotycznych snadź pobudek starannie chowa Francuzów za angielskimi plecami; jakoś chciałby uratować honor przeszłości narodu: wybaczymy poecie, choć nas zupełnie inaczej przekonywa historia. Cóżkolwiekby trybunał jest w pewnym wzburzeniu, ale brat Eliasz silny rozkazem biskupów i głosami większości już ma uprowadzić Joannę do Bazylei, gdy wtém całą sprawę popsuł poczciwy Duchatel, który, zapewne nie z rozkazu nikczemnego króla, co już zapomniał o Joannie, ale z własnego szlachetnego popędu z hucem Francuzów uderzył na obóz nieprzyjaciół. Biędak, chciał ludzkimi środkami robić dywersyą w sprawie, która już była w rękach Boga. Na wieść o tém, nieprzyjaciele Joanny biorą górę; trybunał się zawiesza, a Joanna odchodzi do więzienia, zkąd nie wyjdzie już, aż na plac śmierci, do której zwolna przygotowuje ją brat Eliasz. Wtém nowa nadzieja życia wstępuje do jej więzienia wraz z Bertrandem de Poulangy, który przyprowadza do niej stroskanego ojca, a zarazem okazuje sędziom pismo wiel-

kiego inkwizytora ułaskawiające Joannę. Tu następuje radość familijna: Joanna chociaż gotowa ponieść śmierć w dobrej sprawie, ale zawsze, jako człowiek, wzdryga się na jej widok i do tego przedstawiający się w postaci pieca ogniatego: otoczona przeto drogiemi istotami, z rozbudzoną nadzieją ocalenia, cieszy się serdecznie. Ale tęp smutniejsze rozczarowanie; wielki inkwizytor postąpił sobie bardzo dyplomatycznie: nie mogąc wymówić się czyjejsz snadź instancyi, a niechcąc zarazem przerywać biegu sprawiedliwości, ułaskawił Joannę pod warunkiem odrzeczenia się wszelkiej bezbożności przeszłej i gorszych twierdzeń pod względem stosunków swoich z niebem. Joanna na rozpaczliwe nalegania ojca i biednego Bertranda już ma podpisać akt retrakcyjny, kiedy brat Elias chwyta ją za rękę, tłumacząc co znaczyć będzie ten jej podpis: że będzie to zaparciem w obec wieków własnej jej zachości i hańbą Francyi. Zrozumiawszy słowa jego Joanna odmawia podpisu i idzie na stos, dając świadectwo prawdzie i swemu posłannictwu.

Otóżto jest Dziewica pomyślana gwoli właściwemu swemu charakterowi, która, gdy człowiek fioletowy rzecze do niej:

— Skoro nie chcesz podpisać, pójdziesz na stos! — powiada:

— A choć i stanę na gorejącym stosie i płomienie ogarną me ciało, nie powiem nic innego nad to, com już powiedziała.

A na to brat Elias:

— Panie .. bądź pochwalony!...

Porównajmyż więc tę Joannę z ową, która umiera z orężem w ręku dlatego, że się zakochała; a będziemy mieli różnicę poglądu obu autorów, różnicę wynikającą ztąd, że Szyller stoi na stanowisku bezwzględnie artystycznym i teatralnym, Stern zaś zajął podstawę dziejowochrześcijańską. Szyller Joannę tworzył: jest to więc córka jego własnej fantazyi; Stern ją tylko zrozumiał: jestto więc dziecie tradycyi przez niego wypiastrwane. A lubo Stern przychodzi do gotowego a nawet wyrobionego już przez dzieje same materiału, okoliczność ta nie odejmuje mu bynajmniej zasług twórczości, bo inna rzecz jest



przedmiot krytycznie zrozumieć, a inna uczuć go poetycznie i to zrozumienie przenieść na świat sztuki. Zasługa więc obu poetów jest tu równą pod względem twórczości uważanej wprost jako dźwignia poezji; ale pod względem pomysłu już działającego, Stern stoi nieskończenie wyżej, już tém samém, że w niczem i ani na jeden moment nie narusza jedności żywiołu, jaki od razu uczynił duszą swego zadania; kiedy przeciwnie Szyllera utwór, oprócz powabu poetycznego, nie ma, rzetelnie mówiąc, w sobie idei panującej i nie stanowczego z siebie nie wywiązuje.

Rozważniej i oględniej przystąpił do rzeczy Stern: w utworze jego każda postać jest na swoim miejscu i każda mówi właściwym swoim językiem. Ogół myśli przytoczyliśmy wyżej: przedstawia ona równie jak u Szyllera uosobioną w Joannie chrześciańską miłość kraju, której obraz widzieliśmy w treści utworu. Wyborną urządził autor równowagę pomiędzy naturą ziemską i nadprzyrodzonym geniuszem, temi dwoma żywiołami, jakie stanowią istotę bohaterki. Ona ani na krok nie ustępuje z drogi obowiązku, na której postawiła ją miłość i powołanie Boże, nie zatrzymuje się nawet przed kielichem męki; ale z drugiej strony, jako prostoduszną dziewczynę, trwoży ją z początku samo powołanie, a później ofiara jaka za niém idzie.

Dlatego téż postać brata Eliasza jest tu pełną znaczenia: jako w greckiej tradycyi chór wydaje poniekąd tajemnice sumienia bohaterów i radzi im ustawicznie albo ich pociesza; tak tutaj asceta ten jest niejako wielo-ném echem głosów zstępujących z nieba do duchowego łona Joanny. W razach, w których ziemska strona Dziewicy utrudnia jej zrozumienie idei jakiej i czyni ją wahającą w wyborze czynu, przystępuje brat Eliasza jako uzmysłowienie prawdy bezwzględnej i bezwzględnej chrześciańskiej powinności. Tym sposobem wyprowadza on Joannę z domu w chwili, gdy młodziecne dziewczę wahało się nie rozumiejąc, że są obowiązki wyższe nad rodzinę! Tym sposobem brat Eliasza staje pomiędzy ojcem Joanny i kochającym ją młodzianem, którzy niżsi od niego miłością, życzą Joannie życia w zamian za od-

stąpienie od zasady w obliczu fałszywych sędziów, święty człowiek ukazuje jej na śmierć, jako na jedyną powinność. Szacowna to, piękna postać brata Eliasza, tém potrzebniejsza jeszcze tu dla równowagi i zarazem przeciwstawienia z innym rodzajem duchowieństwa, reprezentowanym przez arcybiskupa Paryża. Wszak oni obydwaj pragną dla Joanny śmierci, ale każdy z innej zasady i w innym celu.

I ten ojciec Joanny, wieśniak z Domremy, który nieco przesadnie u Szyllera przychodzi oskarżać własną córkę o czary, tak stanowczo i niespodziewanie, naturalniejszym zdaje się nam u Sterna, kiedy przychodzi ją ratować i w końcu z uroczystą rezygnacją, i bodaj czy nie z pewnym rodzajem dumy, patrzy na jej śmierć i chce jej towarzyszyć.

Niemniej i ludzie oręza, pięknie przez Szyllera odmalowani, tu z większą przedstawieni prawdą, a nawet z pewną jaskrawą dosadnością. Jest to bardzo naturalnym, że oni zrazu choć najlepszymi ożywieni chęciami, nie mogli jednak na ślepo uwierzyć w Joannę, i jak rzekliśmy, przyjęli wieść o niej żarcikami a nawet ubliżającym urąganiem. Joanna już staje w obec nich, a oni jeszcze nie wierzą; a kiedy Dziewica określając posłannictwo swoje, kończy temi słowy: „ja złamię potęgę Anglików i wypędzę ich po za granice Francyi,” wtedy Lahire, nie mogąc przenieść na sobie podobnego ubliżenia stanowi rycerskiemu, odpowiada:

— Chwała Panu Bogu! otóż to mi dowódzca w sam raz do zdobycia królestwa.

**Joanna.**

— Lepszy od ciebie, gaskoński rotmistrzu, który w wojnie upatrujesz tylko zdobyczy, a żyjesz z rabunku.

**Lahire.**

— A czémżeto chcesz nas karcić, moja ty śliczna? Czyżto my mamy żyć powietrzem; albo czy myślisz że nam się nie chce ani jeść ani pić? Lepiejbyś nie mówiła o tém, czego nie rozumiesz. Dziś, żeby sam Pan Bóg zaciągnął się do wojska, toby musiał, widzisz, zostać rabusiem tak jak i my.

Temi kilku słowy autor oznacza różnicę pomiędzy kierunkiem wojowniczym, który siebie poświęca dla zasady wyższej, a rzemiosłem wojennym, które nie umie pełnić powinności bez zapłaty; a to dla wyróżnienia Joanny wśród ogółu ludzi orężnych, jeśliby zachodziła potrzeba wyróżnienia to oznaczyć.

Nie możemy i tego na korzyść dramatu przemilczeć, że Stern postąpił z wielkim taktem oszczędzając nam widoku Agnieszki Sorel, wprowadzając ją tylko w trzeciej osobie i to w jej naturalnym świetle. Zbliżenie oczywiste postaci tej do Joanny nie może być dla sztuki korzystnym: Joanna zawiele wywołuje szacunek, aby do jej towarzystwa, i to rozumie się dobrej harmonii jako stronnictwa królewskiego, wprowadzać kobietę zszarganą uściskiem choćby najjaśniejszym. Szyller ją jednak wprowadził, przygotowawszy wprawdzie nas poprzednio przez króla do jej dobrego przyjęcia; ale nie dał jej żadnego imienia, żadnego tytułu, któryby nam jasno wytłumaczył obecność jej w orszaku królewskim; i dlatego żal nam zawsze Joanny, ilekroć widzimy je razem. Wprowadzona znów przez Sterna miłość Bertranda de Poulangy dla Joanny, bynajmniej nas nie razi, owszém, obdarza utwor jednym wdziękiem więcej: bo jest to uczucie tak szlachetne i czyste, że nie zarumieniłoby nawet świętej idącej do nieba. I Joanna także go kocha: i jakżeż mogłoby być inaczej, na tyle z jego strony dowodów dobrego serca i poświęcenia? Lecz miłość Joanny nie taką jest, jakiejby Bertrand mógł żądać; ona raz do niego powiada:

— Ja cię często smutnym widzę, i dlatego kocham cię więcej, jak innych moich towarzyszków. Widziałam, jakś raz płakał, myśląc że jesteś samotnym. Cóż ci to było? Otwórz mi serce, tak jak ja ci moje otwieram. Opowiedz mi swe cierpienia: to ci ulży.

Ale Bertrand tyle ma czei dla Joanny i tyle niewinnej szlachetności, że nawet nie śmie objawić jej swych uczuć, i tylko odpowiada jej na to:

— Tybyś mnie nie zrozumiała: ty nie znasz trosk miłości; a przytém dałem sobie słowo rycerskie, że nigdy nie wymówię jej imienia... Tybyś ją także ko-

chała, Joanno, gdybyś ją zobaczyła... Ona ma twoje oczy i twoje czoło... piękna i miła jak ty... Ale bądź zdrowa; przy tobie wygadałbym się z tem, czego mówić nie powinienem: bądź zdrowa.

Te wszystkie szczegóły jakieśmy tu przywiedli, wplecione w myśl i istotę główną w kombinacyi wzajemnej strojne i dobrze zastosowane, stanowią tak pod względem pomysłu, jak pod względem układu całość dramatu równą i dokładną. Rzecz rozwija się prosto i łatwo, bieg jej nie zahacza się o żadne przeszkody, które wystąpiłyby na wierzch przez brak pierwotnego należytego obmyślenia: słowem powiedzieć można, że autor pomysł swój w granicach, jakie mu naznaczył, rozwinął bez wysilenia, bez naciągania i bez zarzutu.

Pomimo jednak tych zalet pomysłu i rozwinięcia, forma tego dramatu nie może wymagań naszych zadowolnić. Forma w poezyi jest zwierciadłem indywidualności poety i miarą jego na rzecz poglądu. Stern powiada, że forma dramatyczna jest może najmniej zgodna z naturą i istotą przedmiotu, jaki stanowi Joanna Dare. I kiedy zastanawia nas to zdanie tak wprost przeciwne zasadzie, gdyż dramat jako najistotniejszy refleks życia ubiega się owszem za przedmiotem formami życia najbardziej wypełnionym; a czyż można, aby pomysłu coś pełniejszego pod tym względem jak dzieje Joanny: więc ciekawiliśmy niezmiernie, czém autor dowiedzie tej swojej negacyi, czém zwalczy zasadę nie dającą się tak łatwo zepchnąć najrozciąglejszemu nawet rozumowaniu. Aż tu poeta francuzki na poparcie swego zdania przytacza: „Stare zwyczaje naszego teatru, a przede wszystkim gust, jaki w oczach naszych tworzy się i przeważa w tej części publiki, która stanowi o powodzeniu aktorów, utrudniłyby niepomalu przedstawienie heroiny niewymownej i nierozkochanej, zniechęciłyby do akcyi, w której wszystko rozwija się naturalnie, bez wstrząśnień, bez gwałtownych i niespodziewanych kontrastów, obok kształtów epicznych raczej jak dramatycznych”. Podziwiamy grzeczność autora, który zdobył się na tyle szacunku dla publiki, stanowiącej o powodzeniu aktorów i wyrokującej o tem, co ma stanowić

żywioly dramatu takiego, coby jęj się podobał; ale swoję drogą mamy niezaprzeczone prawo w obec zasad sztuki argument taki poczytywać za żaden, a nawet za śmieszny. Upoważnia nas témbardziej to, że autor w téjże samęj chwili cofając się, powiada: „Jednakże, ponieważ forma dramatyczna ma w sobie najwięcej żywotności, i pod względem prawdy idzie tuż za historją, z której bezpośrednio wypływa, pomyślałem sobie, że mogłaby posłużyć za przejście od surowych prac historyków do swobodniejszych już tworów plastycznej sztuki”. Jeżeliż kto raz już osądzi, że coś jest najżywotniejszém i najprawdziwszém, to czyż może przypuszczać jakąkolwiek niestosowność w zbrataniu go z tém, co jest samą prawdą i życiem, przez wzgląd na jakieś przekory, które z nicości powstały i w nicość się obróca wówczas, gdy teatr przestanie być igrzyskiem tłumy, a stanie się świątynią sztuki. A wreszcie tu autor sam jest w niezgodzie pomiędzy własném pojęciem a czynem, gdyż pomimo wszystkiego utwór swój obłócił w formę dramatyczną i w prowadzeniu jęj nie uważał na to, jaki zapadnie wyrok sędziów parterowych.

Ta jego odwaga cywilna wyszła na dobre, gdyż przez nią dał nam pełen wartości rysunek Joanny Darc. Tak jest, powiadamy rysunek, staranny, piękny, dobrze obmyślany, ale pozbawiony tego uroku, jakiemi czarują nas mistrzowie pędzla. Czytając jego utwór, doznajemy wrażenia podobnego temu, jakiebyśmy uczuwali w obec pięknego ołówkowego studyum, przedstawiającego czyto miejscowość, czy scenę, w którym wszystko jest dokładne i pełne wyrazu; ujęci tém, pragnęlibyśmy przywołać malarza i rzec mu: patrz jakito doskonały pomysł i jak dokładne wykonanie; przenieś to na płótno, napuść wdziękami i fantazyą kolorytu, a stanie się mistrzowskim dziełem. Tak jest, powtarzamy, utwór Sterna sprawia nam przyjemność i zadowolenie, ale dalekim jest od obudzenia zapalu, który wywołują tylko wysoko-artystyczne środki. Stern jest porządny myśliciel, ale albo nie jest tym wysokim artystą, albo nim jeszcze być nie zaczął. I otóż znów różnica pomiędzy jego a Szyllera utworem, który choć błędny w zasadzie, ale w ustępach

nie mających z nią koniecznego związku, przyciąga słodczą dźwięku, i bez oporu zdobywa serca potęgą poetycznego słowa.

Bez względu na stopień talentu Sterna, który z kądną z całą skromnością zdaje się wyznawać, że chciał tylko w dramacie swym dać wskazówkę, jak Joanna Dare pojmowaną być winna i czego rzeczywiście dopiął, utwór jego przez to nie dosięga pod względem artystycznym miary przedmiotu, że autor przypadkiem czy rozmyślnie wszedł w kolej tragików greckich i dramatowi swemu nadał kształty czysto-klassyczne, tak, jak znowu przeciwnie, Szyller dzieło swe nawskróś przetkał nicią romantyczną. Tymczasem dla przedmiotu Joanny Dare ani klassyczna, ani romantyczna forma na nie się nie przydała; przedmiot ten w jednej tylko formie dobrze wydać się może, a tą jest forma sztuki chrześcijańskiej: szukajcie a znajdziecie. Tragiccy greccy po dziś dzień stoją jak kolumny, bo zakuli się w brązowe kształty praw ówczesnego życia; oni, prawda, nie malują, to są rzeźbiarze; ale kto porywa się do ich form dla przedstawienia już chrześcijańskiego życia, to robi poprostu rysunek z gipsu: takim też rysunkowym sposobem oddało się dzieło Sterna, który przez szacunek dla sztuki unikając szarlatanizmu teatralnego, wpadł w drugą ostateczność, to jest w brak fantazyi i liryczności. Tak my przynajmniej sądzimy; kto inny może powiedzieć, że jęj wcale czy z Grekami czy bez Greków nie miał i nie ma. Forma znów romantyczna, której użył Szyller, jakkolwiek chrześcijańska, ale zastosować się daje do niektórych tylko momentów życia chrześcijańskiego, jako koloryt pewnego szczegółu; nie może przeto wystarczyć przedmiotowi znaczenia ogólnego, jakim jest życie Joanny Dare.

Chrześcijaństwo lubo rodzi się i rozrasta niezależnie od wszelkiej przeszłości, jako idea zupełnie nowa i niebieskiego pochodzenia, nie usuwa wszelako mądrości wieków, nie wyłącza dodatnich pierwiastków społeczeństw, które ją poprzedziły. Dlatego też w obec chrześcijaństwa nie ginie żadna miniona wielkość myśli lub jednostki, ono owszem podtrzymuje ją wszystkimi siła-

mi w obywatelskiem ludzkości gronie. Z takiego uogólnienia przez chrześcijaństwo dokonywanego, pośrednio wypływa i to, że sztuka chrześcijańska może być najobfitszą w formy, najrozmaitszą w objawie, rozmaitość tę modyfikując samemi tylko artystycznemi względami w miarę jak rzecz wymaga ścięśnienia lub rozszerzenia formy. Otóż Joanna Darc z natury swęj chrześcijańskiej i historycznej ma prawo do formy najwspanialszej i najrozleglejszej. Tą formą nawet przed epopeją bohaterską jest dramat, tylko, że w tym razie ani sposób przykrawać go do pięciu foremek równych, zwanych aktami, tak, jakby ktoś z gotowej recepty ogólnego rozczynu tworzył pięć jednéj miarki porcyek; ani pora tu myśleć o nowych poddziałkach na sceny, ani o tém czy materialne środki sceniczne wystarczą polotowi fantazyi i czy rzecz sama zmieści się w mury teatralne lub w uszy słuchaczów, bo wszystkie te względy dobre są dla *comédie bourgeoise*, tylko myśleć o tém, że dramat ma być tak pełny i wielki jak sam przedmiot: rozumie się samo z siebie, jeśli czyjeś natchnienie i zdolności mogą się mierzyć z przedmiotem, o czém nie ma co i wspominać.

Sztuka chrześcijańska nie może się obyć bez świata nadzmysłowego, bo pozbawiłaby się swego najistotniejszego czynnika. Totóż był czas, gdzie pojedyncze gałęzie sztuki, a szczególnież plastyczne odznaczały się w tym kierunku, — zaszczytu i zadowolenia serca szukając w odtwarzaniu i postaciowaniu idei zostających w bezpośrednim związku z myślą chrześcijaństwa i odkupienia. Ale ten kierunek zamknięty w granicach wyłączności byłby zbyt jednostronnym. Jak człowiek obok myśli o Bogu i niebie zajmuje się sprawami codziennego żywota, czyniąc zadość ziemskiej swęj doli; tak i sztuki wyobrazicielki życia zadaniem, kojarzyć te oba kierunki gwoli temu, aby w nięj dzieje ludzkości nie ogołacały się z wpływów świata nadzmysłowego, które są wiarą ogółu, i aby te wpływy rozwijane były z całą siłą plastyki tam szczególnież, rozumie się, gdzie widoczność ich wyraźniej wskazana jest faktami. Poezya w niektórych swych odroślach idzie w kierunku oznaczającym stosunki

obu światów, ale jestto poezya tak zwana ludowa; lecz pomimo wszystkich fajerwerków spalonych na jej uwielbienie, nie widzimy tak bardzo, aby zasada jej główna stała się dotąd powszechną, a jednak bez tej zasady wielkich rzeczy się nie dobijemy. Gdziekolwiek ona wreszcie przebija się dzisiaj, w dramacie wszelako jak najmniej, i to zapewne z powodów tak ważnych jak te, które przytoczył Stern, które jednak nie wzbronily Goetemu innego być przekonania i dowieść swoim Faustem, że bez oglądania się na podobne okoliczności można tworzyć arcydzieła. A cóżto dopiero jest przedmiot Fausta w porównaniu z przedmiotem Joanny Darc!

Takięto formy pragniemy dla Dziewicy Orleańskiej, aby postać ta ludowa, narodowa i wszechludzka zarazem ukazała się nam w całej pełni i majestacie; formy, gdzieby nam autor przed zmysły postawił ten świat, który przygotował to zjawisko cudowne, tak, abyśmy własnymi oczyma widzieli i tę ziemię, na której działa Joanna i tęczę rozpiętą pomiędzy ziemią i niebem, która ma ją zaprowadzić do prąbytku Pańskiego i sam ten prąbytek, który jej oczekuje.



## KRÓTKI RYS

# HISTORJI NATURALNÉJ

## KAMIENCA PODOLSKIEGO

SKRĘŚLIE

Gustaw Belke.

(Ciąg dalszy).

STAWOWATE (*Articulata*).

To odgałęzienie zwierząt zaczynamy od najobfitszej w gatunki i najciekawszej gromady owadów (*Insecta*). Kamieniec, jakśmy już wyżej powiedzieli, uboższy jest pod tym względem od miejsc okolicznych. Pomimo to, blisko 2,000 gatunków mam w zbiorze moim, a bardzo wiele bez wątpienia, osobliwie mniejszych, uszło moich poszukiwań. W liczbie znajdujących się u nas, są owady rozmaitych rzędów, przynoszące szkodę lasom, zbożom, warzywom i drzewom owocowym; lecz w przeciągu czasu w którym postrzeżenia moje robiłem, dwa tylko gatunki na szkodę ogrodów i lasów w nadzwyczajnej liczbie rozmnożone widziałem, a mianowicie: liszki motylów (*Leuconea crataegi*) objadły w 1850 roku liście drzew śliwowych, a w 1852 roku lasy dębowe koło Kamieńca, ucierpiały znacznie od liszek prządek, *Liparis dispar* zwanych, które całkiem te drzewa z liści ogołociły.

Pokazywały się różnocozasowie mniej lub więcej obficie zwyczajne chrabąszcze majowe (*Melolontha vulgaris*), a na kłosach zbóż żuczki z rodzaju popruszki (*Anisoplia agricola* i *A. austriaca*); tudzież z rzędu pluskwowatych, tak zwane nakłośniki (*Aelia acuminata*); lecz ani jedne ani drugie widocznych szkód nie zrządziły. W roku 1847 bardzo wiele ogromnych liszek jednej z największych zwierzchnic naszych *Acherontia atropos*, ukazało się było na krzakach kartoflanych w niektórych okolicach Kamieńca a szczególnie w Żwańcu, mimo to jednak rośliny te, prócz straty części liści, żadnej innej szkody nie poniosły. Napadająca w latach dawniejszych na Podole szarańcza, w ciągu ostatnich lat dziesięciu tylko w pojedynczych indywiduach w Kamieńcu i okolicach jego ukazywała się, a zatem nic z tego względu plony pól naszych nie ucierpiały.

Z owadów pożytecznych, prócz pszczół, utrzymują się korzystnie jedwabniki (*Bombyx mori* L.) na przedmieściu Kamieńca Polskich folwarkach w ogrodzie p. Topolskiego.

Niżej umieszczony katalog owadów zbioru mojego jest owocem kilkunastoletnich poszukiwań, którym nie zawsze przyjazne okoliczności towarzyszyły. Brak czasu z powodu obowiązkowych zatrudnień a ztąd niemożność robienia częstych wycieczek w rozmaite pory dnia, tudzież słabość zdrowia, mogą poniekąd tłumaczyć, dlaczego zbiór mój nie obejmuje wszystkich miejscowych owadów. W oznaczeniu czyli determinowaniu gatunków także nie małą znalazłem trudność. Mieszkając w miejscu gdzie ani biblioteki w dzieła o historii naturalnej bogatej zgola nie ma, ani też nikt z uczonych entomologią zajmujących się, nie przebywa, zostawiony byłem własnym siłom i własnym środkiem. Wprawdzie poświęciwszy się oddawna nauce zoologii, sam z nie małym nakładem nabyłem wiele wybornych dzieł najznakomitszych naturalistów dawniejszych i nowych. Pomimo to szczupłe zasoby pieniężne nie pozwoliły mi zgromadzić wszystkich specjalnych ksiąg o entomologii, które dla wysokich cen za ledwo w bibliotekach rządowych wyższych naukowych zakładów znajdować się mogą. Po-

siadam wszakże następne dzieła, których do determinowania owadów zbioru mojego używałem, a mianowicie: Co do chrząszczowatych (*Coleoptera*), prócz dawniejszych dzieł Fabrycyusza, *Entomologia systematica*, tudzież Herbst'a i Jabłońskiego, *Natursystem aller bekannten Insekten*; późniejsze prace Gyllenhala *Insecta suecica*; Dejeana, *Species général des Coléoptères*; Audouin'a i Brullé, *Histoire naturelle des Insectes*; de la Ferté Senectaire, *Monographie des Anthicus et genres voisins*; nakoniec Redtenbachera, *Fauna Austriaca*. Do rzędu prostoskrzydłych (*Orthoptera*) Audinet Serville, *Histoire naturelle des Insectes Orthoptères* i Selys Longchamps, *Monographie des Libellulides d'Europe*. Do pszczołowatych (*Hymenoptera*) Lepelletier de Saint Fargeau, *Hist. nat. des Insectes Hyménoptères* i *Monographia Tenthredinetarum*; tudzież Gravenhorst'a, *Ichneumonologia Europaea*. Do motylów (*Lepidoptera*); Meigena, *Systematische Beschreibung der europaeischen Schmetterlinge*; Buhle, *die Tag- und Abend-schmetterlinge Europa's*; Boisduval'a, *Species général des Lépidoptères*; Lucas'a, *Hist. nat. des Lépidopt. d'Europe*; De Villers et Guenée, *Tableaux synoptiques des Lépidoptères d'Europe*; Ochsenheimera i Treitschke, *die Schmetterlinge von Europa* 17 vol. Do wółtegopokrywych czyli pluskwowatych (*Hemiptera*) Fabrycyusza, *Systema Rhyngothorum*; Amyot i Audinet-Serville, *Hist. nat. des Insectes Hémiptères*; Amyot, *Rhynchotes, méthode mononymique*; Górskiego, *Analecta ad Entomographiam Provinciarum Occidentali-Meridionalium Imperii Rossici*. Nakoniec do dwuskrzydłych (*Diptera*), Jarockiego *Zoologia* tom VI i Macquart'a, *Hist. nat. des Ins. Diptères*. Nadto posiłkowałem się niektórymi wybornymi monografiami ogłaszanymi w biuletynach Towarzystwa moskiewskiego naturalistów (*Bulletin de la Société Impériale des naturalistes de Moscou*), w *Entomologische Zeitung* i w *Archiv für Naturgeschichte*. Ztémwszystkiém niektórych gatunków zadeterminować przy całej usilności z dzieł powyżej wymienionych, nie mogłem. Nie twierdzą, aby one datego nowemi być miały, mogą się bowiem opisy ich znajdować w dziełach których nie posiadam; wszakże bez wątpienia muszą to być rzadsze od innych owady, a ten

wzgląd nie pozwolił mi zostawić ich bez wzmianki: owszem za rzecz pożyteczną uznałem, w miejscu nazwisk gatunkowych których nie wiem, dołączyć dokładne diagnozy przedmiotów. Jeżeli bowiem są to już gdzieindziej opisane gatunki lub odmiany, naturaliści poznają je snadno po cechach które podaję, w przeciwnym razie może niejeden nieodróżniony dotąd gatunek lub odmiana, przybędzie entomologicznej faunie naszój.

Prócz stu kilkudziesięciu gatunków owadów chrząszczowatych, których oznaczenie winienem uprzejmości uczonego kijowskiego entomologa p. Hochhuta, wszystkie inne, w poniższym katalogu spisane owady zadeterminowałem sam bez obcej pomocy.

## Rząd I. COLEOPTERA (CHRZĄSZCZOWATE).

### PENTAMERA (PIĘCIOSTAWNE).

#### *Caraboidea (szczypawkowate).*

- Cicindela campestris L.; hybrida F.; germanica L.  
 Lebia cyanocephala L., chlorocephala St., crux minor L.  
 Brachinus crepitans L.  
 Clivina arenaria F. *Item* var. discipennis et discicollis Meg.  
 Dyschirius nitidus Dej.  
 Procrustes coriaceus F.  
 Carabus auronitens F., excellens F., violaceus F., cancellatus Ill., Besseri Ziegl., glabratus Pk., catenulatus Pk., nodulosus F., granulatus L., convexus F., marginatus F.  
 Calosoma sycophanta F., inquisitor F. (odmiana mniejsza czarna).  
 Nebria picicornis F.  
 Elaphrus riparius F.  
 Notiophilus semipunctatus Latr.  
 Panagæus crux major F.  
 Chlaenius tibialis Schön., vestitus F., spoliatus F., schrankii Duft., holosericeus F.  
 Licinus depressus Pk.  
 Radister.  
 Dolichus flavicornis F.  
 Calathus melanocephalus L., fuscus F., fulvipes Gyll.  
 Pristonychus terricola Hb.  
 Sphodrns leucophthalmus L.  
 Anchomenus angusticollis F., pallipes Dej., prasinus F., longiventris Esch.

*Agonum 6-punctatum* L., *parumpunctatum* F., *elongatum* Dej.,  
*triste* Dej., *ingens* Ziegl., *4-punctatum* De G., *marginatum*  
L., *impressum* Ill., *lugubre* Dej.

*Pterostichus*.

*Pocillus cupreus* L., *punctulatus* F., *versicolor*., *lepidus*.

*Argutor strenuus* Kug., *amaroides* Dej., *ovoideus* Sturm.

*Omazeus melas* Crtz., *nigrita* F.

*Steropus concinnus* St.

*Platysma oblongopunctata* F.

*Broscus cephalotes* L.

*Pelor blaptoides* Crtz.

*Zabrus gibbus* L.

*Amara vulgaris* Dej., *apricaria* F., *familiaris* Dft., *commu-*  
*nis* F., *livida* F., *eurynota* Ill., *erratica* Dft., *fulva* DG., *tri-*  
*vialis* Gyll.

*Anisodactylus binotatus* F.,

*Patrobus rufipes* F.

*Harpalus ferrugineus* F., *discoideus* F., *rufipes* F., *fulvipes* F.,  
*distinguendus* Dft., var. *versicolor* Dft., *aeneus* F., *ruficornis*  
F., *fuscipalpis* Ziegl., *Frölichii* Mgl., *griseus* (junior)  
Pz., *anxius* Dft.

*Ophonus azureus* F.

*Stenolophus meridianus* L., *brunnipes* St.

*Trechus secalis* Pk.

*Tachys nanus* Gyll.

*Notaphus ustulatus* L., *venustulus* Ziegl.

*Bembidium ruficolle* Kug., *striatum* F., *obsoletum*, *pygmaeum* F.

*Peryphus rupestris* Ill., *femoratus* Sturm., *obsoletus* Dej.

*Leia tenella* Er., *celere* F., *maculata* Dej., *guttula* F., *velox* Er.

*Tachypus flavipes* L.

*Hydrocantharida (wodożuki).*

*Halipus impressus* F.

*Cnemidotus caesus* Dft.

*Dytiscus marginalis* L., *conformis* Kr., *latissimus* L., *dimidia-*  
*tus* Brgst.

*Acilius sulcatus* L.

*Hydaticus Hybneri* F.

*Colymbetes collaris* Pk.

*Ilybius fenestratus* F.

*Laccophilus variegatus* Knoch., *minutus* F.

*Hyphydrus ovatus* L.

*Hydroporus polonicus* Aubé., *boristhenicus* Hochh., *inequalis* F.,  
*lineatus* F., *halensis* F.

*Gyrinus natator* L.

*Brachelytra (krótkopokrywe).*

*Aleochara fumata* Grav.

*Tachyporus hypnorum* Erichs., *obtusus* L., *saginitus* Grv.

Boletobius atricapillus Grav.  
 Staphylinus maxillosus L., murinus L.  
 Ocypus ater Grav., morio Grv.  
 Philonthus politus F., aeneus Rossi.  
 Quedius fulgidus.  
 Oxyporus rufus L.  
 Lathrobium elongatum F.  
 Paederus riparius L.  
 Onalium rivulare Gyll.  
 Homalota socialis Pk.  
 Falagria nigra Grv.  
 Autalia rivularis Grv.  
 Conurus pedicularius Grv.  
 Coprophilus striatulus F.

*Sternoxa (mostkowate).*

Capnodis tenebrionis L.  
 Ancylochira rustica L., 8-guttata L.  
 Dicerca aenea L.  
 Lampra rutilans F.  
 Eurytherea austriaca Rdb.  
 Chrysobothrys aurulenta F., chrysostigma L.  
 Agrilus olivaceus Gyll.  
 Anthaxia nitidula L.  
 Trachys minuta L.  
 Melasis buprestoides L.  
 Hypocoelus spondyloides Grm.  
 Cratonychus brunneipes Meg.  
 Adelocera fasciata L.  
 Lacon murinus L.  
 Limonius minutus L.  
 Cardiophorus ebeninus Zenk., musculus Er.  
 Ampedus nigrinus Hb., sanguineus L., ophippium F., ustulatus Pk., niger, longicollis, incanus Gyll., elongatulus F., balteatus L.;  
 Corymbites assimilis Gyll.  
 Diacanthus holosericeus, cinctus Pk., cruciatus L.  
 Agriotes sputator L., segetis Birk.  
 Sericosomus brunneus F.  
 Elater minor L., fuscatus L., fuliginosus L., fulvipes Hbst., subfuscus Gyll., incanus Gyll., nigrinus Pk., marginatus Pk., subcarinatus Germ.

*Malacodermata (miękopokrywe).*

Lygistopterus sanguineus L.  
 Lampyris noctiluca L.  
 Drilus pectinatus Dej.

*Telephorus nigricans* F., *melanurus* F., *fuscus* L., *opacus* Germ.,  
*rusticus* Gyll., *dispar* F., *thoracicus* Ol., *pellucidus* F.,  
*obscurus* L. species? *Caly czarny*. Długość 2 ½ mm.

*Malthinus fasciatus* L.

*Malachius rufus* F., *aeneus* L., *2-pustulatus* L., *viridis* F., *pu-  
 licarius* F.

*Dasytes linearis* F.

*Hylotragi (drzewionki).*

*Tillus unifasciatus* F., *elongatus* L.

*Trichodes apiarius* L., *alvearius* F.

*Clerus formicarius* F.

*Corynetes scutellaris* Illig.

*Lymexylon navale* L.

*Hylecoetus dermestoides* L.

*Ptilinus costatus* Gyll., *pectinicornis* L.

*Anobium tessellatum* F., *paniceum* F., *striatum* F., *juglandis* Hr.

*Hedobia imperialis* L.

*Ptinus fur* L., *crenatus* L.

*Clavicornia (palkorogie).*

*Necrophorus humator* F., *germanicus* L., *vespillo* L.

*Silpha atrata* L., *thoracica* L., *carinata* Hb., *sinuata* F., *4-nota*  
 ta L.; *obscura* L., *opaca* L.

*Scaphidium atomarium* Gyll.

*Scaphisoma agaricinum* F.

*Catops truncatus* Gyll.

*Epurea pygmaea* Gyll., *aestiva* Ill., *erythroa* Gyll.

*Peltis ferruginea* F., *oblonga* F.

*Amphotis marginata* F.

*Ips 4-punctatus* Hüb., *4-pustulatus* F., *4-guttatus* F.

*Byturus fumatus* L.

*Dermestes murinus* L., *lardarius* L.

*Attagenus pello* L.

*Megatoma undatum* F.

*Anthrenus scrophulariae* L.

*Platysoma oblongum* F.

*Hister unicolor* L., *sinuatus* Pk., *brunneus* F., *semipunctatus* Herb.

*Saprinus aeneus* Pk.

*Byrrhus fasciatus* F., *pilula* L., *varius* F.

*Elmis canaliculatus* Gyll.

*Heterocerus hispidulus* Kiesenw.

*Palpicornia (mackowate).*

*Helophorus aquaticus* L.

*Hydrophilus piceus* L.

*Hydrobius testaceus* F., *griseus* F., *fuscipes* F.

*Sphaeridium 2-punctatum* F., *scarabacoides* L., *pygmaeum* Ill.,  
*marginatum* Scriba.

*Lamellicornia (listkorogię).*

*Gymnopleurus pilularius* F.

*Copris lunaris* L.

*Oniticellus flavipes* L.

*Ontophagus fracticornis* Preysl., *schreberi* L., *nuchicornis* L.,  
*ovatus* L.

*Aphodius fossor* L., *tristis* Zenk., *merdarius* F., *faetidus* L., *fi-*  
*metarius* L., *haemorrhoidalis* F., *bimaculatus* F., *nigripes* F.,  
*luridus* F., *scrophia* F., *erraticus* L., *immundus* Crtz., *ni-*  
*ger* Panz., *porcatus* F., *4-maculatus* L., *inquinatus* F., *ci-*  
*liaris* Mrsh.

*Trox sabulosus* L., *arenarius* F.

*Lethrus cephalotes* F. (1).

*Bolboceras monilicornis* F.

*Oryctes nasicornis* L.

*Anisoplia campestris* Latr., *agricola* F., *austriaca* Hb., *florico-*  
*la* F. *fruticola* F.

*Melolontha vulgaris* F.

*Catalasis pilosa* F.

*Rhizotrogus solstitialis* L., *aequinoctialis* F., *aestivus* Ol.

*Hoplia farinosa* F., *argentea* F., *minuta* Panz.

*Osmodermum eremita* F.

*Trichius fasciatus* L.

*Valgus hemipterus* L.

*Cetonia metallica* F., *aurata* L., *oblonga* Dej., *hirta* F., *marmo-*  
*rata* F., *affinis* And. *aenea* And. *stictica* L.

*Lucanus cervus* L., *hircus* L.

*Dorcus parallelepipedus* L.

*Platycerus caraboides* L.

#### HETEROMERA (RÓŻNOSTAWNE).

*Melasomata (czerniki).*

*Gnaptor spinimanus* Pall.

*Blaps mortisaga* L., *fatidica* Ill., *confluens* Fisch.

*Opatrum sabulosum* L. (2).

*Crypticus glaber* T.

(1) Pod nazwą *krawiec* po wsiach znajomy.

(2) W początkach maja 1856 r. znalazłem mnóstwo egzemplarzy tego gatunku owadów w miejscu, gdzie ścieku ze skały woda mineralna w ogrodzie Dra Brzezińskiego. Owady te widocznie dla nasycenia się wilgocią cisnęły się do brzegu naczynia wodę zawierającego i obsiadły powierzchnię jego.



*Taxicornia.*

Diaperis boleti L.

*Tenebrionida (mączniaki).*

Tenebrio molitor L.

*Helopida.*

Helops lanipes Ill.

Mycetochares axillaris Pk.

Omophlus pinicola And.

Cistela sulphurea F., nigrita F.

*Trachelida.*

Lagria pubescens L., hirta L.

Nothoxus monoceros L.

Pyrochroa coccinea L., rubens Sch.

Mordella aculeata L., fasciata F.

Ripiphorus bimaculatus F.

*Cantharida (parzydełkowate).*

Meloe proscarabaeus L., violaceus Mrsh., majalis L.

Cerocoma Schaefferi F.

Mylabris Füsslini Pz.

Lytta vesicatoria L.

*Stenelytra.*

Ditylus laevis F.

Oedemera podagrariae L., clavipes F., virescens L.

## TETRAMERA (CZTEROSTAWNE).

*Rhynchophora (długonose).*

Anthribus albinus L.

Apoderus coryli L.

Attelabus curculionoides L.

Rhynchites giganteus Meg., betuleti F., bacchus L., populi L.,  
betulae L.

Apion flavipes F., sanguineum De G.

Sitones sulcifrons Thunb., tibialis Hbst., lineatus L.

Chlorophanus graminicola Schön.

Polydrusus micans T., thalassinus Sch., flavipes De G.

Scytropus mustela Hrb.

Cleonus sulcirostris L., obliquus F., ophthalmicus F., glaucus F.,  
marmoratus F., cinereus Hbst. albidus Gyll., sellatus Germ.,  
roridus F., vexatus Sch.

Alophus triguttatus F.

Liophloeus nubilus L., obsequiosus Schön.

- Lepyrus colon F.  
 Hylobius abietis F. (znaleziony na polesiu).  
 Molytes coronatus Latr., germanus Schön., fuscomaculatus Schön.  
 Plinthus caliginosus F.  
 Phytonomus nigrirostris F., suspiciosus Hbst.,  $\beta$  pedestris Gyll.  
 posticus Gyll., polygona L. var. testacea. pollux F., pal-  
 lumbarius Germ.  
 Phyllobius flavipes Hoch., oblongus L., viridicollis F., pyri  $\beta$   
 alneti Scop. mali F., argentatus L., contemptus Dej.  
 Otiorhynchus raucus F., irritans Hbst., ligustici F., trigutta-  
 tus L., zebra F., levigatus F., ovatus L.  
 Lixus paraplecticus L., ascanii L.  
 Larinus sturnus Schul., jaceae Hrbt.  
 Dorytomus vorax F.  
 Magdalinus stygius Gyll.  
 Balanus nucum Germ., turbatus Schön., venosus Germ.  
 Lyprus cylindrus Pk.  
 Cryptorhynchus lapati L.  
 Rhinoncus castor F.,  
 Centorhynchus viduatus Schönb.  
 Cionus hortulanus Marsh., scrophulariae L., pulchellus Hb.  
 Gymnaetron collinus Gyll., antirrhini Payk. campanulae L.  
 Sitophilus granarius L.

#### *Xylophaga.*

- Eccoptogaster fraxini, pygmaeus Hbst.  
 Trogosita mauritanica F.  
 Apate capucina L.  
 Triphyllus fumatus L.  
 Corticaria gibbosa Hb., transversalis Schüpp.

#### *Longicornia (dlugorogie).*

- Prionus coriarius L.  
 Hammaticherus heros F., cerdo L.  
 Rosalia alpina L.  
 Aromia moschata L.  
 Isarthron luridum F.  
 Hylotrupes bajulus L.  
 Callidium sanguineum L., clavipes F., alni L., variabile L., dila-  
 tatum Pk., violaceum L.  
 Clytus arcuatus L., detritus L., mysticus F., verbasci F., orna-  
 tus F., plebejus F., gazella F., hassniensis Latr.  
 Leiopus nebulosus L.  
 Astynomus aedilis L.  
 Exocentrus balteatus L.  
 Pogonocherus ovalis Gm., hispidus F.  
 Acanthoderus varius F.

- Mesosa curculionoides* L., *nebulosa* F.  
*Dorcadion holosericeum* Mgl., *cruciatum* F., *fulvum* Scop. pedestre F.  
*Saperda tremulae* F., *scalaris* L., *carcharias* F.  
*Anaetia praeusta* L.  
*Oberea oculata* L.  
*Phytoecia cylindrica* L., *ferrea* Schrk., *malachitico* Dahl.  
*Agapanthia violacea* F., *cardui* F.  
*Species?* większa od poprzedzającej, pokrywy czarne, różki od ciała dłuższe, cielisto-różowe ze stawami czarnymi. Długość 9 — 10<sup>m</sup>.  
*Rhagium mordax* F., *inquisitor* F., *indagator* F.  
*Pachyta collaris* L.  
*Strangalia arcuata* Gyll., *4-fasciata* F., *pubescens* F. *annularis* F.  
*Stenura melanura* L., *nigra* F.  
*Leptura livida* F., *unipunctata* F., *attenuata* L., *similis* L., *testacea* L. *erythropus* L., *sanguinolenta* F., *cincta* Sch.  
*Grammoptera ruficornis* F., *praeusta* F., *unipunctata* Ol.

*Chrysomelina (złotkowate).*

- Donacia simplex* F., *sparganii* Ahrend., *sagittariae* F., *hydrochaeridis* F., *sericea* L.  
*Orsodaena chlorotica* L., *cerasi* F., (var. *nigra*, *antennis basi, thorace, tibiis tarsisque rufescenti flavis*. Long. 1 <sup>3</sup>/<sub>4</sub> <sup>m</sup>. *nigricollis* Ol.)  
*Species?* Czarny, różki i nogi przednie rdzawe, *samicc*. Cała żółtawo-żółta, wewnętrzne brzegi pokryw, środek gorsetu i końce udów czarniawe. Długość 2 <sup>1</sup>/<sub>2</sub> <sup>m</sup>, *samica*.  
*Malacosoma lepida* Dej.  
*Crioceris ruficollis* Kug., *12-punctata* L., *14-punctata* F., *merdigera* F., *cyarella* L., *melanopa* L.  
*Cassida chloris* Suffr., *murraea* L., *rubiginosa* Mull., *nobilis* L.  
*Adimonia rustica* F., *tanaceti* F.  
*Galleruca viburni* Payk.  
*Phyllobrotica adusta* Crtz.  
*Calomicrus circumfusus* Mrsh.  
*Luperus flavipes* L., *rufipes* L.  
*Graptodera oleracea* L.  
*Crepidodera nitidula* L., *helxines* L.  
*Phyllotreta nemorum* L.  
*Timarcha affinis* St.  
*Argopus hemisphaericus* Zgl.  
*Chrysomela göttingensis* L., *megerlei* Creutz., *haemoptera* L., *geminata* L., *polita* L., *lamina* F., *marginata* L., *violacea* F., *varians* F., *sanguinolenta* L., *fastuosa*, *russica* L., *friedrichsdalensis* Gm., *graminis* L.  
*Lina populi* L.  
*Entomoscelis adonidis* F.  
*Plagioderma armoraciae* L.

- Gastrophysa polygoni L., raphani F.  
 Phratora vitellinae L.  
 Phaedon egenus Ziegl.  
 Hellodes violacea F.  
 Clythra 4-punctata L., tridentata Schön.  
 Labidostomis longimana L.  
 Cyaniris collaris Schön., ruficollis St.  
 Pachybrachis histrio F.  
 Cryptocephalus cordiger L., variabilis Sch., sericeus L., nitens L., flavipes F., violaceus F., moraci L., dispar Gyll., labiatus L., virens Suffr., vittatus F., lineola F., 8-guttatus F.  
 Triplax aenea Gyll.

## TRIMERA (TROJSTAWNE).

- Hippodamia 13-pustulata L.  
 Anisosticta M nigrum F.  
 Coccinella 14-guttata L., 5-punctata, 7-punctata L., 2-punctata L., variabilis Ill., conglobata L., glabra Ill., dispar Gyll., 10-guttata L.  
 Endomychus coccineus L.

## Rzed 2. GYMNOGNATHA BURM. (ORTHOPTERA ET NEUROPTERA AUCT. ŻUJĄCE).

*Forficulina.*

- Forficula auricularis L., pedestris Bonel., decipiens Gén.

## ORTHOPTERA.

*A. Gryllina.*

Grylotalpa vulgaris Latr. Owad ten, zwany podjadkiem albo turkuciem, gniazdo swe zakłada najczęściej pod kłodami długo na jedném miejscu leżącemi; bywa ono misternie wyrobione z ziemi; zewnątrz chropawe naksztalt budowy gniazda jaskółczego, wewnątrz niby miseczka najstaranniej wygładzone, doskonale półkuliste, w średnicy półtora cala mające. W takie gniazdo składa samica kilkadziesiąt jaj wielkości siemienia konopnego, w pół przezroczystych, koloru brunatnego. Pod gniazdem nieco z boku, znajdują się otwór prowadzący w prostopadłym kierunku do jamki o łokieć prawie niżej od gniazda położonej, w której dorosły turkuć przesiaduje. Ten opis gniazda udzielił mi p. *Albin Gostawski* miłośnik przedmiotów historii naturalnej we wsi Nihinie niedaleko Kamieńca mieszkający, brat Maurycego, zbyt wczesnie dla piśmiennictwa zgasłego, który w pełnym wdzięku wierszu, opiewał piękności Podola.

- Gryllus campestris Ol., domesticus Ol.

*B. locustina.*

Locusta viridissima L.

Decticus brevipennis Touss. Charp.

(Odmiana: Boki przedpiersia zielone bez białego obrzeżenia ♀).

D. brachypterus L.

Odmiany: a) Głowa szara, na potylicy z każdej strony poza oczami, po jednej czarnej, podłużnej cętkce, a pośrodku jasno-żółta prążka, na przodzie czoła takiejże barwy duże małe plamki. Boki gorsetu czarno nakrapiane i biało obrzeżone. Na częściach zgrubiałych udów tylnych, tylko na stronie zewnętrznej, czarna podłużna, zębata smuga ♂.

b) Głowa bez cętek czarnych poza oczami, znajdują się tam tylko dwie czarniawe małe kręski będące przedłużeniem prąż czarnych, ciągnących się przez poboczne, mało wydatne krawędzie gorsetu; krawędź (*carène*) grzbietowa, bardzo krótka, zaledwo tylną trzecią część zajmuje, boki gorsetu bardzo mało mają czarnego, a obrzeżenia białego wcale nie ma. Pokrywy i skrzydła bardzo krótkie. Tułów zielonawo-szary, z każdego boku ma po jednej czarnej prędze. Udy tylne zielone mają w swych zgrubiałych częściach, na zewnętrznej tylko stronie, podłużną, czarną, zębatą pręgę. Jajoron (*oviscapte*) szary, na wyższym brzegu czarny, długości tułowu (1), do góry kosowato zagięty i cienkim ostrzem zakończony. Długość 6''' ♀.

Może to samica gatunku typowego (*D. brachypterus*), o której wspomina p. Audinet Serville w dodatkach do dzieł Buffona (*Suites à Buffon Orthoptères* p. 488).

Gatunek? Zielonawo-szara, krawędzie gorsetu wydatne, poboczne nie przedłużają się aż do przedniego brzegu, który niewyraźnie jest wycięty, a w tych wycięciach są umieszczone oczy; na każdym stawie tułowu czarna cętka, nasady i końce udów tylnych, golenie i stopy czarne. Pokrywy i skrzydła szczątkowe. Dług. 5''' (Zapewne poczwarka?).

*C. Acridina (szarańcze).*

Calliptamus italicus And. Serv.

Oedipoda biguttula And. Serv.

Odmiany: a) Głowa, gorset, nasady pokryw i nogi czerwone.

b) Głowa, przód gorsetu i nogi zielonawe. Pokrywy mają odcień czerwony i plamki brunatne ♀.

c) Głowa, gorset, wierzch tułowu i końce różków brunatno-czarniawe. Wewnętrzne strony udów białe i czarno przegowane. Różki po środku i nogi żółtawe, brzuch zielony ♀.

(1) Tułowem nazywa autor odwłok (*abdomen*).

P. R.

d) Rożki brunatno-czerwonawe przy nasadach, czarniawe na końcach. Czoło i twarz brunatno-czerwonawe, wierzch głowy zielony, poza każdym okiem plamka żółtawa, środek gorsetu zielony, na tylnej części jego dwie czarniawe kreski; krawędzie wydatne białawe, brzegi zewnętrzne pokryw brunatne, wewnętrzne zielone, reszta ciała brunatna z odcieniem zielonym, końce udów i nogi żółtawe ♀.

e) Wierzch ciała rudawy, tułów i nogi zielonawe, różowociałą powleczone, na każdej pokrywie kreska z kropek czarnych utworzona ♀.

f) Czerwonawa, 5 pierwszych stawów tułowu czarno obrzeżonych. spód ciała i ndy od spodu zielonawe ♂.

g) Jednostajnie zielonawo ruda ♂.

h) Głowa małżowata, czarno nakrapiana, rożki czerwono-brunatne, poza każdym okiem plamka a pośrodku głowy dwie podłużne, czarniawe pręgi nieco łukowate, przednia połowa gorsetu małżowata, tylna czerwonawa z plamką czarną z każdej strony, krawędzie wyraźne małżowate, czarno obwiezione, na każdej pokrywie szereg brunatnych cętek. Ciało brunatne ♀.

i) Jednostajnie czarniawo brunatna ♀.

k) Głowa czarna z pręgą żółtawą pośrodku, gorset czarny żółtawo nakrapiany, krawędzie żółtawe. Wzdłuż pokryw plamy brunatno-czarniawe, a na końcach ukośna biaława pręga ♀.

l) Głowa małżowato-rudawa, takieże barwy gorset, pręga poprzeczna oddzielająca go od głowy i dwie plamy w tylnej jego części, czarne. Pokrywy brunatno nakrapiane. Reszta ciała brunatno-zielonawa, nacięcia tułowu czarno obrzeżone, udę czarno kropkowane na krawędziach ♀.

ł) Żółtawo-zielona brunatno nakrapiana, pokrywy brunatne, skrzydła bezbarwne ♂.

m) Jednostajnie zielonawa, krawędzie gorsetu prawie proste, wewnętrzne brzegi pokryw zielone, na końcach po jednej białawej kresce ♀.

*Gatunki?* 1) Zielonawo-brunatna, wierzch głowy i gorset wzdłuż przecięte dwiema czarnymi, dość szerokimi pręgami prawie równoległymi. Krawędzie poboczne gorsetu słabo wydatne, pozaginane, żółtawe i lśniące, końce pokryw i skrzydeł czarniawe.

*Odmiana?* wierzch głowy bez czarnych kres ♂.

2) Krawędzie gorsetu wydatne, prawie proste. Głowa i środek gorsetu zielone, lśniące, z dwiema podłużnymi zielonawymi pręgami, tylna część gorsetu naznaczona 2 pobocznymi, czarnymi cętkami, pokrywy brunatne z plamami ciemniejszymi, reszta ciała brunatna, wyjąwszy wierzchni brzeg udów zielony ♀. Długość 8'''.

3) Głowa, gorset, większa część pokryw wewnątrz i wyższy brzeg udów blado-zielone. Krawędzie gorsetu wydatne,

proste. Przez wierzch głowy i pobocznych krawędzi przechodzą dwie równoległe kresy małżowate, niewyraźne, boki krawędzi pobocznych czarne. Tuluw brunatno-zielonawy, brzuch jaśniejszy ♀. Długość 9'''.

4) Całkiem brunatno-rdzawa z ciemniejszymi plamami na gorsecie, który ma krawędzie proste i dość wydatne. Długość 6'''.

5) Całkiem czerwona, tylko brzuch zielony, pokrywy bardzo krótkie, skrzydła żadne. Krawędzie gorsetu proste. Długość 5—10''' (poczwariki?).

6) Krawędzie gorsetu proste. Pokrywy i ciało brunatne ♀. Długość 8'''.

7) Głowa i boki gorsetu zielone. Środek gorsetu brunatny z dwiema czarnymi pręgami na krawędziach pobocznych prostych. Na każdej pokrywie podłużna czarniawa pręga. Udy zielonawe czerwona barwą powlec one. Tuluw zielonawy, na każdym spojeniu brunatna pręga. Długość 7—8''' ♀.

8) Krawędzie proste. Głowa i środek gorsetu małżowate, reszta ciała brunatna, pokrywy przy nasadach czerwone. Długość 8''' ♀.

Oedipoda tatarica Motschul

Oedipoda coerulescens A. d. Serv.

*Odmiany:* a) Jednostajnie cynamonowo-rudawa, na pokrywach dwie ciemniej ze plamy. Gorset nieco chropawy z krawędzią średnią szczupłą, ostrą, nie wysoką, około środka swęj długości poprzecznym wgnieceniem przedzieloną, tylny brzeg gorsetu jasno-żółty, bardzo ukośnie na bokach przycięty, dwie końcowe wyższe obrączki tuluwu samicy zielone z wierzchu. Reszta jak w głównym gatunku. Dłg. 15''' ♀.

b) Głowa zielona z pręgą czarną żółto-obrzezoną pod każdym okiem. Gorset zielonawy z dwiema ukośnymi kreskami między krawędziami i z kropki po bokach żółtawo-białe. Krawędź środkowa wydatna, poboczne prawie zupełnie nie wyraźne, ostrze środkowe tylnego brzegu, krągłe. Pokrywy na końcu zaokrąglone, przy nasadach ciemne z trzema brunatnymi pasami zwykle niewyraźnymi, nasadowy większy od innych. Tylna połowa każdej pokrywy przezroczysta, bezbarwna, z licznymi brunatnymi żyłkami. Blisko tylnego brzegu skrzydłowej pokrywy ciągnie się podłużna zielona pręga. Skrzydła długości pokryw, zupełnie przezroczyste o żyłkach delikatnych zwykle białych, pod koniec czarnawe, niekiedy czarno cętkowane, środek skrzydeł mniejwięcej zielonawą barwą powleczoney, ta barwa obrzeżona jest zewnątrz pasem czarnym, łukowatym, który się ciągnie od tylnego brzegu blisko kąta odchodkowego i dochodzi do przedniego brzegu coraz rozszerzając się.

Podisma giornae Ross.

*Odmiana:* Pokrywy małemi, niewyraźnymi, brunatnymi kropkami upstrzone, kropki te są nieco od tła ciemniejsze.

Tetrix bipunctata Latr., subulata Latr. i *odmiany:*

a) Wierzch gorsetu brunatno-rudawy, pokrywy małżowate, reszta ciała czarna, wyjąwszy udę, które także są barwy małżowatej na zewnętrznej stronie.

b) Brunatny, z każdej strony przodu gorseta kropka żółtawa.

#### D. *Blattina* (karuczany).

Kakerlac *orientalis* Latr. (targan na Podolu).

*Phyllodromia laponica* L., *hemiptera* F., *germanica* L.

*Odmiany:* a) Ciało jajowate, gładkie, lśniące, brunatno-czarniawe, z wierzchu trzy pręgi podłużne, żółte, na gorsecie i dwóch pierwszych nacięciach tułowu. Głowa brunatno-czarniawa z niewyraźną kręszą poprzeczną rudawą między nasadami różków. Oczy czarne. Skrzydła i pokrywy żadne. Nacięcia tułowu po bokach białe. Spód ciała brunatny, blaszka pododchodkowa (*plaque sousventrale*) małżowata. Nogi blado-żółte, rozki brunatnawe, pierwsze ich stawy żółtawe. Długość 3 1/2—4'''.

b) Ciało brunatno-rudawe jednostajnie, nieco jaśniejsze pod spodem. Oczy, nasady różków i nogi małżowo-żółtawe. Różki dłuższe od ciała. Długość 3 1/2''' ♀ (okaz bezskrzydły, zapewne poczwarka).

#### E. *Thysanura*.

*Lepisma saccharina* L.

*Smynturus fuscus*.

*Podura grisea* L., *nivalis* L.

Pierwszy gatunek w wodach stojących, na ziemi wilgotnej, drugi na śniegu topniejącym pod wiosną.

#### F. *Subulicornia*.

*Ephemera vulgata* L., *lutea* F.

*Odmiana:* większa, brudno żółtawa, skrzydła mniej czyste, szczeciny ogonowe mocno kosmate.

*Gatunek?* 1) Dwuskrzydła. Skrzydła światłe, wodno-przejrzyste (*aqueuses*) z rąbkami błoniastym, który się przedłuża poza żyłkę nabrzeźną (*costale*); żyłek poprzecznych weale nie ma, skrzydła bardzo szerokie, przy nasadach rzęsowate. Głowa i gorset czarne, tułów szarawy z nasadami nacięć czarnymi. Nogi białe czarno obrączkowane. Szczeciny ogonowe trzy, bardzo długie, białe. Dług. 1''' . Znaleziono w maju nad rzeką Smotryczem, pod młynami na Karwasarach za Kamieńcem.

2) Dwuskrzydła. Ciało żółtawe, boki tułowu ukośnie przegowane czarno. Skrzydła nakrapiane czarno w pierwszej zewnętrznej połowie, szaro od strony wewnętrznej. Szczeciny 2 węzłkowate, dłuższe od ciała. Długość ciała 4'''.

3) Czteroskrzydła. Jednostajnie rudawo-żółta, skrzydła i żyłki ich poprzeczne szaro obrzeżone. Długość 4''' : Szczeciny ogonowe 2.



4) Ciało żółte, nacięcia tułowu po bokach ukośnie czarno pręgowane. Skrzydła czyste, ich żyłki poprzeczne żółtawe. Szczeciny ogonowe 2 od ciała dłuższe. Długość ciała 4'''.

*Libellula depressa* L., *quadrimaculata* L., *pedemontana* All., *flaveola* L., *Roeselii* Curt.

*Odmiana*: Nasady wszystkich skrzydeł wyraźnie szafrano-wo-żółte.

*Cordulia aenea* L.

*Odmiana*: Znamię (*parastigma*) płowe, błonka przyskrzydłowa (*membranule accessoire*) biała.

*Gomphus forcipatus* L., *pulchellus* Steph.

*Odmiana?* Bardzo podobna do gatunku głównego, ale pręgi czarne na przodzie gorsetu są (jak w gatunku *flavipes* Charp.) szerokie, pokrzywione; dwie środkowe stykają się i spływają z dwiema obok nich będącymi w ten sposób, że zamykają całkiem z każdej strony gorsetu przestrzeń żółtą, owalną. Trzecia czyli barkowa pręga jest w równej odległości od środkowej. Tułów na końcu nie rozszerzony. Stopy tylne czarne, tylko mała cząstka ich nasad żółta. Znamię jasno-brunatne. Długość 16'''.

Okaz który posiadam, różni się od gatunku *simillimus* De Selys, tułowem nie rozszerzonym, rysunkiem gorsetu, a jest do niego podobny czarnymi stopami; od gatunku *flavipes* Charp. różni się kształtem tułowu, barwą stóp, a gorset ma rysowany jak tamten; na koniec różni się od gatunku *forcipatus* L. ubarwieniem tułowu, którego pręga grzbietowa żółta przedłuża się aż do końca a zbliża się do niego kształtem tułowu.

*Gomphus unguiculatus* Vander L.

Okaz mój różni się od opisu pana Selys, 1° ubarwieniem 10go nacięcia tułowu, który jest całkiem czarny, 2° żyłkami brzegu skrzydła, które nie są żółte, lecz czarne.

*Aeschna juncea* Lin., *vernalis* Vander Lind.

*Anax formosa* Vander L.

*Calepteryx virgo* L., *ludoviciana* Leach.

*Lestes barbara* F., *Picteti* Gene.

*Agrion platypoda* Vander L., *pumilio* T. Charp. *pulchella* Vander L., *najas* Hansem.

*Gatunek?* Poza każdym okiem plamka żółtawa. Oszyjnik (*collier*) czarny z brązowym połyskiem, gorset po środku brązowo-czerwonawy, po bokach zielonawo-błękitny, przestrzeń międzyskrzydłowa metalicznie brunatna; tułów: przegub pierwszy błękitny, drugi błękitny z dużą zielonawo-brązową na wierzchu cętką; trzeci zielonawo-brązowy z nasadą błękitną, 4, 5, 6, 7 zielonawo-brązowe, 8 błękitnawy, spód ciała błękitnawo-biały, nogi na stronach wewnętrznych żółtawe, na zewnętrznych czarniawe. Znamię białawe. Wielkość gatunku *pulchella*. *Sympetma fusca*. Vander L.

*G. Semblina.*

Perla marginata F., nebulosa F., viridis F.

*H. Phryganeida.*

Phryganea grandis L. (1), fusca L., variegata F., inconspicua L., rhombica.

*I. Planipennia.*

Panorpa communis L., fasciata F.

Bittacus tipularius Latr.

Raphidia ophiopsis L.

Heimerobius perla L., chrysops L., lutescens F., (ten gatunek niekiedy w grudniu i styczniu przebywa w mieszkaniach).

Osmylus maculatus Latr.

*Odmiana:* Ciało żółte, cętkowanie skrzydeł wierzchnich bardzo niewyraźne, skrzydła niższe wcale nie cętkowane.

## Rząd 3. HYMENOPTERA (PSZCZOŁOWATE).

*Myrmicites (mrówki).*

Atta structor Latr.

Myrmica fugax Latr., atratula Schenk.

Formica ligniperda Nyl., flava F., piniphila Först., fuliginosa Latr.

*Gatunek?* W skrzydłach wierzchnich dwie żyłki łokciowe (*cubitales*), druga nie zupełna, łokieć (*cubitus*) nie sięga końca skrzydła. Pierwsza środkowa (*discooidale*) zamknięta, druga nabrzeżna (*du limbe*) łączy się z drugą środkową, a pierwsza nabrzeżna z trzecią środkową. Ciało czarne bez połysku, nogi i odchodek rdzawe. Udy tylne po środku czarniawe. Długość 3 1/2" ♂.

*Apiarites (pszczoły).*

Apis mellifica L. (zwyczajna pszczoła).

*Bombides (trzmiele).*

Bombus terrestris L., odmiana z odchodkiem płowym; hortorum L., fragrans Pall., ligusticus Spin., apricus F., musco-

(1) Poczwaraki tego gatunku jak wiadomo, urządzają sobie pochowki z drobnych gałązek i łodyg ziół wodnych, spojonych z łem, żwirem i okruciami kamieni, w których, niby w rurkach ukryte, przesiadują. W jednym ze stawów wsi Rebech pod Zinkowem o mil 8 od Kamiénca, takie mnóstwo tych poczwerek się pokazuje, że ich misterne powłoki zwróciły na siebie uwagę ludu wiejskiego, który je *pakołódkami* nazywa.

rum L., montanus V., sylvarum Dahlb., agrorum F., solstitialis Pz., lapidarius F.

*Odmiana:* Prząd głowy, niektóre włosy na tylnej części gorsetu i piersi cytrynowo-żółte. Udy i nogi włosami rudemi obrośnięte. Trzy ostatnie przeguby tułowu ognisto rude. Długość 4  $\frac{1}{2}$ ''' ♂. (*Bombus arbustorum* Fabr.?).

*Gatunek?* 1) Prząd gorsetu i tułow obrośnięte włosem szarym, reszta ciała czarna ♂.

2) Prząd głowy i niektóre włosy przodu gorsetu białawe. Tułow z wierzchu obrośnięty włosami żółtymi. Długość 5''' ♂.

3) Czarny. Prząd gorsetu i odchodek białe. Długość 2  $\frac{1}{2}$ ''' ♀. *Psithyrus rupestris* F.

#### *Polistides (osy).*

*Vespa crabro* F., *dominula* Christol., *vulgaris* F.

*Gatunek?* 1) Głowa czarna, czoło, przyłbica (*chaperon*), szczęki, pierwszy staw różków od spodu, oczodoły (*orbites*), brzegi gorsetu, dwie cętki przy nasadzie skrzydeł i dwie inne nieco większe na staniku, żółte. Pierwszy przegub tułowu rdzawy z kreską żółtą na tylnym brzegu; drugi rdzawy z plamą środkową trójkątną czarną, a brzegiem tylnym żółtym. Reszta przegubów żółte, z pasami czarnymi wycinanymi. Boki tułowu czarno cętkowane. Udy czarne przy nasadach, żółte na końcach, golenie i stopy żółte. Długość 5'''.

2) Prząd ciała i nogi jak w gatunku poprzedzającym. Tułow czarny, pierwszy przegub z brzegiem rdzawym, na innych niewyraźne żółte pasy. Odchodek czarny. Długość 4'''.

3) Prząd ciała i nogi jak w gatunkach poprzedzających. Tułow czarny, każdy przegub obrzeżony jasno-żółtym wyciętym pasem. Odchodek żółty. Długość 6'''.

*Polistes Geoffroyi* Serv., *diadema* Latr.

#### *Anthophorites.*

*Anthophora pilipes* F., *binotata* V., *retusa* V.

*Gatunek?* 1) Czarna. Włosy wierzchu gorsetu rude, boków jego białawe. Cztery przeguby tułowu czarną kosmaczną porośle, pozostałe odziewają włoski, żółtawe, najeżone, tworzące regularne pręgi. Długość 4'''.

2) Czarna. Prząd ciała odziany kosmaczną białą najeżoną. Tułow prawie nagi, przeguby obrzeżone drobnymi, białymi, leżącymi włoskami, tworzącymi bardzo wąskie pręgi przerywane. Włosy nóg białe, wyjąwszy cztery szczotki (*brosses*) nóg przednich które są czarniawe. Dług. 4'''.

*Eucera longicornis* Latr., *atricornis* F., *subfasciata* V.

*Systropha spiralis* Latr.

*Rophites.*

*Gatunek?* Bardzo podobny do gładziszka siwego (*R. cana* Eversm. fauna Hymen. Volgo-Ural.) lecz całkiem czarny nie wyjmując różków i stóp. Dług. 3'''.

*Xylocopites.**Xylocopa violacea* L.*Andrenites.*

*Andrena cineraria* L., *thoracica* Ill., *nitida* F., *pilipes* Ill.,  
*Hattorfiana* Ill., *gracilis* Evers.

*Hylaeus senilis* Eversm., *albipes* F., (*var*: pierwszy przegub tułowu rdzawy z nasadą czarną, drugi i trzeci całkiem rdzawe) *interruptus* Pz., *nidulans* Walk., *abdominalis* Pz., *laevigatus* Ill., *xanthopus* Kirb., *fulvicornis* Ill., *nitidiusculus* Ill., *mucoreus* Ill., *fulvicrus* Eversm., *seladonius* Ill., *arbustorum* Pz., *grandis* Ill., *subhirtus* V., *obovatus* Ill., *smeathmanellus* Ill., *rubicundus* Ill., *aeratus* Ill., *minutissimus* Ill.

*Gatunki?* 1) Głowa czarna, okolo szczęk kosmaczyna rudawa. Gorset czarny gdzieniegdzie białymi włoskami posiany; 2, 3 i 4 przeguby tułowu mają na tylnych swych brzegach paski utworzone z białych, leżących włosów. Odchodek pokryty włosami rudemi. Na nogach włosy szaro-rudawe. Długość  $3\frac{1}{2}''$  ♂.

2) Czarna bez polysku rzadkimi szaro-rudawemi włoskami pokryta. Długość  $3''$  ♀.

3) Czarna, lśniąca warga, guziki (*puncta callosa*) (1) przy nasadach skrzydeł i nogi żółte. Różki brunatno-rudawe, na tylnych brzegach przegubów tułowu pasma włosków leżących białych, po środku przerywane. Długość  $3''$  ♀.

4) Czarna, lśniąca, nasady przegubów tułowu rzadkimi białemi włoskami posiane. Warga (*labre*) i nogi białawe. Dł.  $3''$  ♀.

5) Czarna lśniąca prawie bez włosa. Warga i nogi żółte. Długość  $2''$  ♂.

6) Czarna, lśniąca. Całe ciało pokryte włoskami szaro-żółtawemi rzadko posianemi. Długość  $3''$  ♀.

7) Czarna. Włosy ciała szaro-rudawe, brzeg każdego przegubu nieco rudawy z przerywanemi paskami, bardzo drobnych leżących białych włosów. Nogi i stopy rude. Długość  $5''$  ♀.

8) Głowa i gorset czarne, szaremi włoskami posiane. Tułów rdzawy z nasadą 1 przegubu czarną. Nogi czarne rudawemi włoskami odziane. Długość  $3''$  ♂.

*Gastrilegides.*

*Osmia scita* Evers., *coerulescens* Latr., *punctatissima* V. (2).

(1) Guzikami zowiemy wypukłości nakształt guzów, nagie, zwykle lśniące i odmiennego ubarwienia, znajdujące się na gorsecie przed skrzydłami.

(2) Gatunki literą V. oznaczone, opisane zostały po raz pierwszy *ex visu* przez p. Lepeletier de St. Fargeau w jego *Histoire naturelle des Hyménoptères*,

Megachile lagopoda L., Willugbyella L., centuncularis L.,  
parvula V.

Anthidium punctatum Latr.

*Gatunek?* Rożki, gorset i stanik całkiem czarne, pasy zdobiące tułów poprzerywane. Udy rdzawe przy nasadach czarne, nogi żółte, podłużnie czarno pręgowane. Paleta (*palette*) brzuchowa, żółtawa. Długość 4''''. Zresztą podobna do gatunku smugowanego (*A fasciatum* Latr.).

*Melectites.*

Melecta punctata F., armata V.

Crocisa histrio F.

Nomada ruficornis F., sexfasciata V., lineola Panz., fucata Pz.,  
fabricina Ill., var. *pedibus antennisque nigris*, germanica F.

*Phileremides.*

Coelioxix conica.

Stelis aterrima Panz.? Prócz braku ząbków na staniku zresztą zgadza się z dyagnezą gatunku opisanego przez Ewersmana w Faunie Hymenopt. Volgo-Ural.

*Odynerites.*

Eumenes Olivieri V., Amedei L.

*Gatunki?* 1) Czarna. Cętka między rożkami, inna w kształcie podkowy na wyższym brzegu przyłbicy, bardzo wązka prążka poza każdym okiem, przedni brzeg gorsetu, łuski (*écailles*) skrzydeł, duże plamki poniżej ich nasad, dwie inne mniejsze na staniku, zastanik (*postécusson*) prawie cały, dwie kropki przy nasadzie i tylny brzeg 1 i 2 przegubów, tylne brzegi przegubów 3 i 4, końce udów i większa część nóg żółte. Długość 6'''.

2) Czarna. Ostatni staw rożków rdzawy. Przyłbica, drobne kréski poza oczami i na staniku, wązki ząbkowany pasek na tylnym brzegu 1go przegubu, dwie kropki na 2gim, tylny brzeg jego, końce udów, golenie i stopy żółte. Długość 3'''.

Odynerus parictum L.

*Odmiana:* Głowa czarna. Przyłbica, wargi, kropka między rożkami i rożki od spodu rdzawe. Pierwszy staw rożka pod spodem, przedni brzeg gorsetu, łuski skrzydeł, dwie cętki po bokach przy ich nasadzie, dwie inne na staniku, tylne brzegi przegubów tułowu, nogi (wyjąwszy udy tylne) żółte, odchodek czarny. Długość 3'''.

Dufourii V.

*Gatunki?* 1) Czarny. Przyłbica, końce szczęk, oczodoły z przodu, dwie cętki poza oczami, przedni brzeg gorsetu, łuski skrzydeł, dwie poboczne plamki przy ich nasadach, dwie poprzeczne kresy na staniku, żółte. Zastanik, nogi, pierwszy prze-

gub tułowu rdzawe. Reszta tułowu czarna, tylko cztery pierwsze przeguby z tyłu żółto obwiedzione. Długość 4'''.

2) Czarny. Cętka między rożkami, przedni brzeg gorsetu, tylne brzegi trzech pierwszych przegubów tułowu i nogi żółte. Długość 3'''.

3) Czarny. Przyłbica, pierwszy staw rożków od spodu, przedni brzeg gorsetu, łuski skrzydeł, dwie kropki poboczne przy ich nasadach, 2 poprzeczne kréski na staniku, brzegi wszystkich przegubów tułowu z wierzchu, dwa pierwsze przeguby od spodu, żółte. Pierwszy przegub tułowu rdzawy z cętką czarną na wierzchu. Długość 3'''.

4) Czarny. Nogi na zewnętrznej stronie i brzegi dwóch pierwszych przegubów tułowu, żółte, skrzydła czarniawe. Dł. 2'''.

5) Czarny. Przyłbica, dwie cętki na przednim brzegu gorsetu, łuski skrzydeł, zewnętrzne strony nóg i brzegi tylne dwóch pierwszych przegubów tułowu białe. Skrzydła zadymione. Długość 1 1/2'''.

#### *Crabronites.*

*Cerceris arenaria* V. Lind., *ornata* V. Lind., *argentifrons* V.,

*Odmiana:* Przyłbica, lice i podlice (*bajou*) żółte. Rożki z wierzchu czarne, od spodu żółte. Dwie cętki na przednim brzegu gorsetu i jedna mała, poprzeczna kréska na brzegu tylnym, żółte.

*Philantus Abdelcader* V., *triangulum* F.

*Cemonus lugubris* Jur.

*Gatunek?* Czarny, lśniący, nogi i stopy brunatne. Długość 1 1/2'''.

*Crabro cephalotes.*

*Gatunek?* 1) Czarny. Przyłbica srebrzystym meszkiem porośla. Pierwszy staw rożków, szczęki (wyjąwszy czarne ich końce), trzy cętki na przodzie gorsetu, kilka niewyraźnych krések na staniku. Pręgi poboczne na 2, 3 i 4 przegubach tułowu, 5 przegub całkowicie, końce udów, golenie i stopy żółte. Długość 4 1/2'''.

2) Przyłbica srebrzystym meszkiem porośla. Ciało czarne, pierwszy staw rożków żółty, na przednim brzegu gorsetu trzy poprzeczne cętki, krésa na staniku, poboczne paski na każdym przegubie tułowu biało-żółtawe. Nogi rdzawe. Długość 3'''.

3) Podobny do gatunku 1go ale więcej czarny i lepiej lśniący, 1 i 3 przeguby tułowu zupełnie czarne bez żółtych pasów. Długość 3'''.

*Thyreopus.*

*Gatunek?* Różni się od gatunku *T. pterotus* S. Farg. rożkami zupełnie czarnymi, szczękami tejsze barwy, dwiema poprzecznymi plamami żółtymi na gorsecie, który wcale nie ma podłużnego rowka, pasem żółtym na pierwszym przegubie tułowu i żółtymi stopami dwóch par nóg tylnych. Długość 5'''.

*Bembecites.**Bembex rostrata* F.*Sphegides.**Pelopaeus pensilis* Latr. (odmiana z szypulką żółtą).*Ammophila hirsuta* Kirb., *sabulosa* F., *holosericea* F.*Odmiana:* Nogi wszystkie czarne, grzbiety 2 i 3 przegubów czarno pręgowane.*Evagetes bicolor* V.*Calicurgus bipunctatus* V. (odmiana: Na gorsecie cętka, na zastaniku kréska, żółte).*Pompilus viaticus* F., *meridianus* V., *gibbus* F., *pectinipes* V.*Scolites.**Scolia flavifrons* F. *Odmiana:* 3 i 5 przeguby tułowu tudzież odchodek ognisto-rudemi włosami poroście; *notata* F., *quadripunctata* F.*Gatunek?* Czarna. Włosy gorsetu i ostatnich przegubów tułowu żółtawe. Dwie cętki wielkie żółte na 2 i 3 przegubach tułowu. Długość 1".*Tiphia femorata* F.*Mutillites.**Mutilla marginata* Evers., *Panzeri* V.*Chrysidae.**Chrysis ignita* L., *aurata* L., *regia* F., *cyanea* L., *lucidula* F.*Gatunek?* 1) Głowa i gorset niebieskie, tułów bez wycięć przy odchodku złocisto-zielony. Skrzydła okopcone. Dług. 2".2) Głowa, przedpiersie (*prothorax*), stanik, niebiesko-zielonawe. Przedni brzeg przedgorsetu i tułów świetnie fioletowo-purpurowe. Nogi zielone. Całe ciało mocno kropkowane, odchodek karbowany. Długość 2 ¼".*Parnopes carnea* F.*Ichneumonides (gąsieniczniki).**Ichneumon semiannulatus* Vill., *troglydites* Grav., *extensorius* Grav., *militaris* Grav., *fumigator* Grav., *umbraculosus* Grav., *subsericans* Grav., *monticola* Grav., *melanogonus* Gm., *semirufus* Graf., *albosignatus* Gray., *deliratorius* L., *anator* Grav., *sarcitorius* L., *vaginatorius* L. i odmiana tego gatunku z pasami niewyraźnymi na tułowiu, *albosignatus* Grav., *multiannulatus* Grav., *fossorius* Grav., *rubellus* Gmel. *Odmiana:* Czarny, dwa pierwsze przeguby tułowu, końce bioder, udę i nogi maźłowato-brunatne. Długość 1 ½", ampu-

tatorius Grav. *Odmiana*: Końce czterech pierwszych udów, nogi i stopy, większa część nóg tylnych i stóp, 2 i 3 przeguby tułowu małżowato-rdzawe. Znamię na skrzydle żółte. Dług. 4'''.

Stilpnus gagates Grav.

Ischnus truncator F. Czarny. Rożki, gorset i nogi rdzawe. Długość 2''' (odmiana).

Mesoleptus sticticus F. *Odmiana*: Małżowato-żółtawa. Oczy, oczki, dwie plamy pod skrzydłami i nasady pierwszego przeguba tułowu, czarne. Długość 3'''.

M. limitaris Grav. *Odmiana*: Czarna, pierwszy staw rożków, pierś, 3 przegub tułowu i nogi żółtawo-białe. Dług. 1 1/2'''.

M. hilaris Grav. *Odmiana*: Czarna, 1 staw rożków i przyłbica, żółte. Rożki, 2 i 3 pary nóg wyjąwszy skrętków (*trochanter*), 2, 3 i 4 przeguby tułowu, rdzawe; pierwsza para nóg żółta. Długość 4'''.

M. flicornis Grav., pallidus Grav.

*Gatunki?* 1) Przód ciała, 1szy przegub tułowu, rożki, obróćciele, końce nóg tylnych, czarne. Wszystkie przeguby tułowu, wyjąwszy 1szy, udy i nogi rdzawe; pierwszy i ostatni stawy stóp tylnych, czarne z białemi po środku przepaskami. Długość 4'''.

2) Czarna; 2 pierwsze pary nóg, 2, 3 i 4 przeguby tułowu, rdzawe. Dług. 2'''.

3) Głowa i nogi żółtawo-rdzawe, 2 i 3 przeguby tułowu czerwono-czarne. Dług. 2 1/2'''.

4) Czarna; końce czterech pierwszych nóg, nogi i stopy tylne, żółte; 2, 3, 4 przeguby tułowu kasztanowato-rude. Długość 3 1/2'''.

5) Czarna; nogi i środek tułowu rdzawe. Dług. 2'''.

6) Czarna; nogi żółtawo-małżowate. Dług. 1'''.

Tryphon extirpatorius Gr., tenuicornis Gr., formosus Gr., pilosellus Gr. *Odmiana*: golenie tylne po większej części czerwone, na końcach śniade.

Fr. cephalotes Gr., varitarsus Grav.

*Gatunek?* Głowa, rożki z wierzchu, gorset, 1 przegub tułowu i udy tylne czarne, rożki ze spodu, nogi przednie, żółte; stopy tylne i tułów czerwono-żółte. Dług. 2'''.

Cryptus Dianae Grav., seductorius F.

*Gatunek?* Głowa, rożki, gorset i świder (*tarière*), czarne; tułów i nogi rude. Dług. 3 1/2'''.

Phygadenon fumator Grav., var a, ovatus Grav.

Hemiteles meridionalis Grav., palpator Müll., inimicus Grav.

Pezomachus abbreviatus F.

Phytodietus microtamius Gr.

Ischnoceros microcephalus Grav.

Mezochorus splendidulus Gr.

Lissonota murina Grav., parallela Gr., ruficornis Gr.

Schizopyga tricingulata Grav.



*Pimpla stercorator* Grav., *turionellae* L., *instigator* Panz., *scannica* Vill., *alternans* Gr., *roburator* F., *examinator* F., *calobata* Gr.

*Ephialtes divinator* Ross., *manifestator* L., *corbonarius* Christ.  
*Metopius sicarius* Grav., *necatorius* F.

*Bassus albosignatus* Gr., *sulcator* Gr., *rufiventris* Gr., *laetatorius* F.

*Orthocentrus incisus* Gr.

*Gatunek?* Czarny. Przyłbica żółta, cztery przednie nogi żółtawo-małowate, nogi tylne brunatne. Skrzydła dymiąste. Długość 1 1/2'''.

*Exetastes osculatorius* F., *albitarsus* Gr., *bicoloratus* Gr.

*Gatunek?* Czarny, lśniący, drobno kropkowany, udy, nogi przednie, udy i nasady nóg tylnych, 1 i 3 przeguby tułowu po połowie żółtawo-czerwone, końce nóg tylnych i stopy czarniawe. Dług. 3'''.

*Leptobatus degener* Grav.

*Gatunek?* Głowa i gorset czarne, dwie prążki na wierzchu głowy, dwie na gorsecie żółte. Przyłbica czarno i czerwono nakrapiana, tułów i nogi czerwono-żółte. Odchodek czarny. Dług. 3'''.

*Campoplex exiguus* Gr., *bicinctus* Gr., *difformis* L., *horticola* Gr., *longipes*, *pugillator* L., *notatus* Gr., *latrator* Schr.

*Paniscus testaceus* Gr.,

*Anomalon circumflexum* L., *arquatam* Gr., *flaveolatum* Gr., *amictum* F., *cerinops* Gr., *tenuicorne* Gr., *clandestinum* Gr., *enecator* Gr.

*Ophion ventricosus* Gr. *Odmiana:* Głowa, gorset, biodra wszystkich nóg, udy i końce nóg tylnych, nasada tułowu czarne, przyłbica i stanik żółte. Rożki i cztery przednie nogi żółtawe, końce nóg i stopy tylne małowate, tułów rudy, dwa ostatnie przeguby brunatne. Dług. 3'''.

*O. luteus* L.

*Pachymerus calcitrator* Grav., *vulnerator* Panz.

*Atractodes gravidus* Gr.

*Acaenites saltans* Nees.

*Hevigia elegans* Gr.

*Odontomerus dentipes* L.

#### *Braconides.*

*Agathis desertor* L., *nominator* F., *denigrator* L.

*Gatunek?* Czarna, tułów i świder żółtawo-czerwone. Skrzydła czarniawe.

*Chelonus oculator* Jur.

*Gatunek?* Czarny. Udy i nogi przednie, końce udów drugiej pary nóg, golenie i stopy małowate. Udy tylne czarne, golenie czarne białobraczkowane, stopy szarawe. Dług. 1 1/2'''.

*Evanides.*

*Foenus jaculator.*

*Odmiana:* Głowa i gorset czarne, tułów i nogi brunatne, nasady, 3 pary nóg białe. Długość 3'''.

*Chalcidites.*

*Chalcis minuta* F.

*Proctotrupides.*

*Bethylus caenopterys* Latr.

*Cynipides (galasówki).*

*Cynips capreae* F.

*Diplolepis quercus toiae* F., *Quercus pedunculi* L.

*Urocerides.*

*Sirex gigas* L.

*Hyphidria dromaderius* F., *camelus* F.

*Urocerus spectrum* L.

*Tenthredinetae (pilarze).*

*Tarpa plagioccephala* F., *Fabricii* Leach.

*Cephalotes* F.

*Cephus leskii* Lepel., *pygmaeus* F.

*Cimbex variabilis* Klug., *marginata* F., *sericea* L.

*Hylotoma enodis* L., *mediata* Fall., *angelicae* F., *rosarum* F., *pagana* Panz., *ustulata* F., *segmentaria* Panz., *ciliaris* Fall.

*Nematus nigricans* Klug., *pallipes* Lepel., *laricis* Hart.

*Dolerus niger* Klug., *gonager* Jur.

*Emphytus cinctus* L., *testaceipes* Lepel.

*Selandria aterrima* Klug., *alternipes* Klug., *albipes* L., *ephippium* Panz.

*Gatunek?* Jednostajnie czarna, skrzydła nieco zadymione, tułów dość szeroki. Długość 3'''.

*Allantus zonula* Klug., *spretus* Lepel., *similis* Lepel., *melanoleucus* Gm., *abietis* F., *blandus* Jur., *viennensis* Panz., *scrophulariae* L., *morio* de Vill., *ater* Jur.

*Gatunki?* 1) Głowa, gorset, nasada i koniec tułowu czarne. Przyłbica, oczodoły, przedni brzeg gorsetu, piersi, żółte. Rozki z wierzchu czarne, od spodu żółte, nogi na stronach wewnętrznych żółte, na zewnątrz czarne; 2, 3, 4, 5 przeguby tułowu żółtawo-rude z kropkami czarnymi po bokach. Długość 2'''.

2) Czarny; 3, 4, 5 przeguby tułowu i nogi rude. Gęba żółta. Długość 2'''.

3) Koniec przyłbicy, gęba, brzeg gorsetu, aż po skrzydła, krągła cętka z każdej strony piersi, przednie części bioder, nogi, małe kréski na brzegach 3, 4, 5 przegubów tułowu ze spodu i odchodek, żółte. Dług. 3  $\frac{1}{2}$ '''.

4) Czarny; gęba, nogi i stopy 4 przednich nóg białawe. Długość 4'''.

*Tenthredo luteicornis* F., *cincta* F., *scalaris* Kl., *maura* F., *pavida* F., *melanoleuca* Gm., *instabilis* var: *nassata* Kl., *ochrogustus* Gm., *atra* Lesk., *maculosa* Lepel., *scripta* Gm., *luctuosa* Lepel., *albicornis* F.

*Gatunki?* 1) Czarny, lśniący. Koniec przyłbicy i gęba żółte; nogi i dwie kropki niewyraźne na końcu stanika rdzawe, stopy tylne czarne. Długość 4  $\frac{1}{2}$ '''.

2) Czarny. Nogi rdzawe, stopy tylne czarne. Długość 1  $\frac{1}{2}$ '''.

(Dokończenie nastąpi).

## KRONIKA PARYŻKA

### LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Ary Scheffer. — *Richelieu et la Fronde*, Micheleta. — *Le Roi Voltaire* przez Arsena Houssaye. — *De l'Origine du langage* przez Ernesta Renan. —  
Wiadomości literackie.

**Z**niwo nowin nie obfite w tym miesiącu. Cała Europa je-  
czy obarczona tropikowym upałem, który zarówno z Pary-  
ża jak Neapolu i Petersburga wypędza na wieś monarchów,  
dyplomatów, pisarzy, artystów, kupców: słowem wszyst-  
kich, prócz przykutych do miejskiej opoki Prometeuszów—  
dziennikarzy. Ci, jako należące do nieruchomości automa-  
ty, są zawsze na stanowisku; przybici do stołu i pochyleni  
nad papierem z piórami w ręku, czekają teraz na nieprzy-  
bywające wiadomości. Śmierć tymczasem po opuszczon-  
ych miastach spaceruje z wielką kosą, i przeredza sze-  
regi tych, których mus lub przypadek na rozpalonym bruku zatrzymał. Najważniejszą zdobyczą, jaką w tych cza-  
sach Paryżowi wydarła, jest Ary Scheffer, jeżeli nie naj-  
pierwszy z tutejszych malarzy, to inyścicielom i poetom  
najsympatyczniejszy.

Piękny duszą i ciałem, Scheffer był, co rzadko się  
zdarza, podobny do swego ideału. Nie znaliśmy go oso-  
biście, ale ci co go znali powiadali nam, że kształtna jego  
głowa mogła służyć za model do Fausta; cera śniada, twarz  
namiętna, poorana wymownemi zmarszczkami, długie siwe  
włosy i wąsy, wyraz oczu głęboki i posepny, kibić wynio-  
sła, cała postać wysoko uduchowniona, w doskonałej z ta-

lentem jego pozostawały harmonii. Przypatrzwszy mu się nikt nie doznał zawodu, jak to często ze sławnemi ludźmi bywa; nikt nie powiedział: „inaczej go sobie wystawiałem.”

Protestant, urodzony w Rotterdamie, Ary Scheffer za młodu przeniósł się do Paryża, i tu, pod sterem Girodeta, z którego pracowni wysli Gericault i Delacroix, rozwijał przyniesione z ojczyzny Rembrandta zdolności.

Pierwsze jego wystąpienie sięga epoki drugiego, że tak powiem, odrodzenia, kiedy przyémiony horyzont sztuki naraz pojawieniem swoim rozjaśnili tak potężni mistrze, jak Devéria, Delacroix, Decamps, Fleury, Rousseau, David, Préault i tylu innych wolnomyślnych artystów. Ary Scheffer był jednym z przodowników tej świętnej falangi.

Walcząca wtedy o swą niepodległość Grecya, zwracała oczy wszystkich: każdy poeta marzył o jój odrodzeniu, każdy malarz biegł oglądać na nowo zapaloną iskrę w tém oku, nad którym tak gorzko bolał Byron „że w niem nie świeci ni ła, ni namiętność; lecz mieszka zimna, wieczna obojętność,” każdy rzeźbiarz szedł stroić „groby swobodnych, wolności ołtarze.”

Z téj wojny toczonéj „w ogrodzie bogów,” Scheffer wyniósł swe pierwsze natchnienie: wymalował *Suliotki*, które jak wiadomo, niechcąc wpaść w ręce żołnierzy Ali-Paszy, jako nieodrodne córki swéj bohaterskiej ojczyzny, rzuciły się ze skały w przepaść. Wzniosły ten przedmiot młody romantyk oddał z namiętnym blaskiem, który zachwycił całe ówczesne młode pokolenie, nieporównanie czulsze od dzisiejszego na wszystkie dzieła miłości i zapalu.

Po wojnie greckiej, rozczarowany Scheffer już nie szukał przedmiotów w historyi, ale je brał z legend i poematów: Dante, Goethe i Byron, dostarczali mu prawie wyłącznie wzorów; wolał ich oczyma patrzeć na świat niż studyować go osobiście; zamiast oglądać żywą naturę, wolał ją widzieć odbitą w poetyczném arcydziele.

*Leonora* Burgera, szukająca w powracającym wojsku nieobecnego kochanka; Graf Eberhard, tak zwany tutaj *le Larmoyeur*; *Minion* tęskniący do nieba i *Minion* żałujący ojczyzny (z Wilhelma Meister'a); *Giaur* Bajrona w klasztorze, należą do pierwszej, najromantyczniejszej manieri Scheffera. Później, nieco spokojniej wymalował dla gale-

ryi wersalskiej *Karola Wielkiego* i *Śmierć Bayarda*. Potem w skutek wypadków politycznych zbolęły do głębi duszy, stworzył swoje arcydzieło: *Francesca i Paolo*. Potem przybyli: *Chrystus pocieszyciel*, *Chrystus wskrzesiciel*, cztery obrazy z Fausta: *Grethen wychodząca z kościoła*; *Grethen na przechadzce z Faustem*, *Martą i Mefistofelem*; *Grethen mdlejąca w kościele*; *Grethen ukazująca się Faustowi na sabacie*. Potem idą: *Dante i Beatrice*; *Chrystus na górze Oliwnej*; *Święte niewiasty*; *Święta Monika i Augustyn*; *Chrystus i szatan kuszący*, nakoniec prześliczny obraz który został niedokończony „*les Plaintes de la terre*.” Jest to girlanda ludzkich postaci naturalnej wielkości płynąca od ziemi ku niebu: jęczące niewolniki, wielcy ludzie w kajdanach, matki płaczące pomarłych dzieci, bolejące sieroty, rozpaczający kochankowie, opuszczone kochanki: słowem wszystkie cierpienia ludzkości w jeden spłot uwitej im wyżej, tém subtelniejsze i wiotsze, płyną ku górze i narreszcie nikną w błękicie...

Z portretów Scheffera znakomitsze są: *Lamenais*; *Odilon Barrot*; *Cavaignac*, *Arago*, królowa *Amelia*, córka *Manin'a*, i *Zygmunt Krasiński*; ten ostatni szczególnie jest piękny.

*Francesca i Paolo*, owa para jednym mieczem przeżytych kochanków, co jak dwa zranione gołębie ciągnie po czarném tle piekiel, dzięki sztycharzom znana jest powszechnie; dlatego o tém arcydziele mówić tu nie widzimy potrzeby. Mniej znane obrazy z Fausta niemniej przemawiają do duszy: jeden mianowicie przedstawiający uwiedzioną *Małgorzatę*, zadziwiająco jest wymowny. Dziewczyna pogrążona w bolesném zamyśleniu siedzi ze spuszczoną na piersi głową; jasno-popielate włosy płyną jak len po delikatnych jój skroniach; padające z góry światło srebrzy jój czoło i brzeg profilu: reszta głowy utopiona w niebieskawém cieniu podobném do księżycowego światła, niknie jak snu przypomnienie, znacząc się w pamięci tylko niebieskim blaskiem oczu, co jak dwie niezapominajki wołają żalostnie: „*Vergiss mein nicht!*”

Jestto tylko cień cienia, ale w tym zaledwie naznaczonym kształcie, w tém tle przeczutem raczej nie oddaném, żyje dusza. Jestto zarazem wizerunek *Małgorzaty*

i niemieckiej poezji, coś, co lepiej tłumaczy myśl Goethego niż własne jego słowa. W ogóle wszystkie dzieła Scheffera są więcej ideami niż obrazami; wszędzie i zawsze więcej mu chodziło o uczucie, o poezją, niż o poprawne wykonanie.

Ary Scheffer umarł w 63 roku życia. Inni ocenią lepiej od nas owoce czterdziestoletniej jego pracy, zasługi, które jako artysta dla sztuki położył; my, kończąc tę krótką wzmiankę, powiemy jeszcze słów kilka o człowieku. Taką harmonią, jaka panowała pomiędzy ideałem a powierzchnością malarza, istniała także pomiędzy jego życiem a teoryami. Równie jak talent jego był ciągłym doławianiem się ideału, tak życie było nieustanną protestacją przeciw upodleniu ducha, przeciw niezdrowym teoryom rozdzielającym człowieka od artysty, moralność od inteligencji. Talent Scheffera płynął z duszy, nie z umysłu: miał wielki talent, bo miał wielkie serce; znalazł piękno szukając tylko dobrego. Różny tém od innych utalentowanych ludzi, których natura do jednej tylko rzeczy uzdolniła, Scheffer mógł być znakomity na każdym stanowisku; też same przyczyny, które sprawiły, iż był wielkim malarzem, byłyby też zrobiły w danym razie szlachetnego męża stanu lub bohaterskiego żołnierza, bo był czémś więcej niż znakomitym artystą — był człowiekiem.

Toż samo co stanowiło wielkość malarza, spowodowało przedwczesny skon jego. Głębokie czucie, które tak hojnie wlewał w swe obrazy, jeszcze szczerzej szafował przyjaźni. Zdawna cierpiący na chorobę sercową, po pogrzebie Manina, wpadł w gwałtowny paroksyzm, a następnie melancholią i osłabienie, które tylko kilka miesięcy dozwoliło mu przeżyć przyjaciela. Zamknięty w willi Argenteuil, otoczony staraniami córki dobrej i pięknej jak anioł, Scheffer leżał nie mogąc znieść najmniejszego hałasu; zupełna cisza była warunkiem jego życia; ale któż ją z żyjących posiada? Odcięty od burzy ziemskiej, padł ofiarą burzy niebieskiej; zabił go huk piorunu uderzającego w pobliskie drzewo.

Teraz spoczywa w swym rodzinnym grobie, pomiędzy dwoma przyjaciółmi, których tam złożył: Augustynem Thierry i Danielem Manin. Wenecya przychodząca do

Francyi po zwłoki swego bohatera, przerwie jeszcze kiedyś tę błogą ciszę, którą śmierć trzech przyjaciół pod jednym cyprysem otuliła, zwłoki ich zostaną rozłączone, ale ich pamięć żyć będzie wiecznie razem w sercach obu narodów.

Ażeby dobrze zrozumieć ostatnią książkę Micheleta, ażeby się zgodzić na sąd, jaki o sławnym ministrze Ludwika XIII orzeka, ażeby rozwikłać tę wielką sieć sprzeczności i logiki, zdrad i rycerstwa, ciemnych intryg i otwartych bojów które polityką Richeliego zowią, potrzeba piérwój iść do Luwru i przypatrzeć się portretowi kardynała, odmalowanego genialnym pędzlem Filipa Champagne. Tu malarz kilkoma pociągami pędzla powiedział więcej niż historyk całym tomem faktów: wpatrzywszy się w tę twarz zdradzającą chorobliwą słabość i gorączkową siłę, w to oko niepewnej barwy a przeszywającej strzelności, w to czoło na którym każda namiętność jakiś hieroglif swym szponem zapisała; czujesz, że człowiek z takim obliczem musiał mieć nadludzką moc, niezłomną wolą, hart ducha i energią, którą mógłby świat przekształcić; a jeśli ją zużył na intrygach i wojnie domowej, to dlatego, że stał na czele zbyt złej i zepsutej społeczności. Po tym egzaminie, książka Micheleta „*Richelieu et la Fronde*” będzie tylko potwierdzeniem wrażenia doznanego przed obrazem Champagne.

Champagne i Michelet, to dwaj jedyni biografowie wielkiego kardynała. Zanim wyszło dzieło Micheleta, ci co umieli patrzeć na wizerunek, znali Richeliego z *widzenia*; inni, wedle rozmaitych historyków rozmaicie malowali sobie jego portrety. Dla jednych był to kat głów feodalnych, niwellator, który rozpoczął wielkie dzieło równości we Francyi, a Europie nadał równowagę; dla drugich był to tylko ksiądz mordujący szlachtę przez zazdrość, a protestantów przez katolicką nienawiść; dla ogółu był to zły duch w kardynalskim kapeluszu, typ, nie indywidualność, nie człowiek, ale systemat: dopiero piérwszy Michelet malując zarazem człowieka i odkrywając systemat, wytłumaczył znaczenie politycznej zagadki.



Żołnierz skłonnością i wychowaniem, Richelieu nie przez powołanie, ale przez ambycją obrał stan duchowny. Opuszczone przez brata biskupstwo Luçon zbyt było świetną pozycją socyalną, żeby je wypuszczać z rodziny: został więc księdzem. Pod sutanną, z natury cierpki jego charakter skwasił się do reszty, a niespokojny umysł wnet szerszego zażądał pola. Znudzony perorowaniem przeciw herezykom, palony żądzą czynu, ofiarował służby swoje papieżowi i Henrykowi IV, ale ani Bóg, ani djabeł go nie chciał: gdyby nie to, że miał postać powabną, prawdopodobnie byłby nigdy na wierzch nie wypłynął. Królowa matka zauważywszy raz tę, jak się wyraziła „porcelanową figurkę,” zrobiła z niej swego jałmużnika. Protegowany przez kobietę o dwadzieścia lat od siebie starszą, Richelieu niebawem wszedł do rady państwa.

Pełniąc funkcye pierwszego ministra, oddany duszą i ciałem swój protektorce, z początku był tylko tém czém ona, to jest przeciwnym narodowi francuzkiemu Hiszpanem. Mimo to, z całego gabinetu Concinięgo, jego tylko oszczędził książe de Luynes; ale Richelieu nie chcąc być skompromitowanym względami księcia, postarał się żeby go wygnano. Na wygnaniu, w Avignon, pozyskał sobie względy księdza Arnoux królewskiego spowiednika, i za jego pomocą, w skutek ponętnych obietnic, otrzymał od papieża kardynalski kapelusz. W chwili kiedy w Luwrze kombinowano przymierze z Hiszpanią i oblężenie Rochelli, Richelieu kazał się powołać napowrót do steru państwa.

Zbadawszy niemoc Rzymu, kardynał skoro wrócił do władzy w 1623 roku, opuścił stronnictwo hiszpańskie, a za naturalnego sprzymierzeńca Francyi uważając protestantyzm, chwycił się względem niego dwulicowej polityki: wewnątrz prześladował i gnębił protestantów, na zewnątrz podawał im rękę, śmiał nawet uchybić papieżowi w osobie jego legata. Wtedy, wszyscy co go wynieśli do władzy, opuścili go jako zdrajcę. Sam, jeszcze nie mocno osiedlony, Richelieu nie odważył się stawić czoła nawałnicy; zawarł więc przymierze: jednym susem z obozu protestanckiego przeskoczył w katolicki i rozpoczął dzieło wewnętrzne, które Michelet zowie „*le nettoïement de la cour et le balayage des princes*.”

W chwili, w której zdawał się najpotężniejszym, Richelieu zatrzymał się nagle. Porażki jego sprzymierzeńców w Niemczech zachwiały zaufanie króla, od którego zależało wszystko. Kardynał uczuł, że dopóki skarb wyczerpywany ciągle przez królową matkę i Concinich, będzie próżny, nic zrobić się nie da; kwestya pieniężna stała się dlań kwestyą życia lub śmierci: pieniędzy trzeba mu było koniecznie, ale z kąd ich wziąć? Jako ksiądz, nie mógł odzierać duchowienstwa; jako sługa królewski nie mógł nic żądać od szlachty; rzucił się więc jak głodny tygrys na klasy ubogie, i broniąc kraj od chciwości nieprzyjaciół, dławił Francją własnymi jej rękami.

Prawdziwy „dyktator rozpaczy” w ciągłej walce z intrygą i niespodzianką, brakiem środków materialnych i własną naturą, nie zdolny wykonać tego co zamierzył ani powziąć wykonalnego zamiaru, Richelieu szedł do celu ciągle macając pociemku. Chociaż byłby zapewne wołał czynić dobre przez dobre, mógł tylko dojść do dobrego przez złe; dlatego ani oswobodzona z inwazyi Francya, ani wyzwolona z pod hiszpańsko-austriackiej przewagi Europa, nie uczuły wdzięczności dla polityki Richeliego; przeciwnie, świat cały go znienawidził: sprzymierzeńcy za Rochellę, nieprzyjaciele którym schlebiał, za przymierze z heretykami; lud, chociaż kardynał ścinał zbyt dumne głowy, za to, iż czuł się pogardzanym od wielkiego niwellatora.

W tém miejscu rozpoczyna się nowy tom Micheleta. Nazajutrz po wzięciu Rochelli historyk ogląda się dokoła i kreśli wspaniałą obraz sytuacji powszechniej. „Dzieje ludzkości, woła, zdają się skończone z rozpoczęciem trzydziestoletniej wojny. Nie ma ludzi, nie ma narodów, tylko rzeczy i żywioły. Wojna dla wojny, panowanie najętego żołdactwa bez wiary i ojczyzny; każdy działa na chybi trafi, każdy wielbi tylko tę nierządnicę, której na imię Fortuna, każdy za nią tylko goni, nawet awanturnik Wallenstein, nawet świętoszek Tilly, nawet Richelieu, nie rachmistrz, ale gracz”.

Obaczmy jakie było stanowisko Richeliego po odniesioném nad francuzkiemi protestantami zwycięztwie. Urzeczywistniony ideał Jezuitów, ksiądz rycerz, generał biskup na czele wielkiej armii zdobywając i nawracając

heretyków, odgrywa wiernie i aż do końca rolę, do której był zmuszony; zapomniawszy o dawnej kłótni z legatem stolicy apostolskiej, pierwszy minister króla chce być pierwszym ministrem Boga we Francyi; około więc roku 1629 Richelieu jest czysto katolickim politykiem. Jednakowoż, ponieważ poczucie honoru narodowego istnieje silnie w jego duszy, oraz wiąże go z królem, przez dwa lata trzyma Hiszpanią i Austryą w szachu i nie podaje ręki protestantom. Cóż z tego wynika? Oto Sabaudya, papież, Hiszpania i królowa wskazują królowi Richeliego, jako jedyną przeszkodę zawarcia pokoju powszechnego. Wtedy kardynał nie mogąc dla braku pieniędzy działać na zewnątrz, wisząc inniej niż na włosie, bo na łasce niedołęźnego króla, szamocze się wewnątrz, wścieka się i kasa kogo dopadnie.

W chwili najzażartszej walki kardynała ze dworem złożonym z kobiet, galantów i bigotów, doktorowie skazują króla na śmierć. Jeżeli król umrze, Richelieu razem z nim musi umierać; bo któż go obroni? Pewnie nie następca tronu Gaston, którego ożenił gwałtem i upokorzył; pewno nie królowa, która, ażeby po śmierci męża mogła panować, postarała się, Bóg wie jak o potomka; pewno nie królowa matka, mająca nadzieję rządzić pod imieniem synowej i nienawidząca ministra całą nienawiścią opuszczoną kochanki. Szczęściem, niemoc sztuki zastąpiła natura: król ożył, a z nim kardynalska władza.

Po ucieczce królowej matki i Gastona, po poronieniu królowej, która obawiając się zdrady, zadzierać z nim nie śmiała, Richelieu znowu silny, zawarł traktat z Gustawem Adolfem i związał się z polityką protestancką. Michelet wykazuje atoli, iż nie związał się z nią całkowicie, jak to utrzymują powszechnie. Zdaniem jego, Richelieu nie rozumiał wcale bohaterskiego Gustawa: minister francuzki truchlał patrząc na przerzucającego się z jednego w drugi koniec Europy wojownika; przedsięwzięcia jego uważał jako grę hazardową, grożącą co chwila wywróceniem europejskiej równowagi. Dlatego wciąż zalecał katolikom i książętom niemieckim, żeby się z jego szwedzkiem sprzymierzeńcem mieli na baczności, żeby względem niego pozostali neutralni; co większa, proponował zwycięzcy, żeby ze swych powodzeń nie korzystał: zdawało mu się, że

za swoje 300,000 franków kupił od Szweda wszystko, nawet sławę.

Jednakowoż dzięki zwycięstwom, z których Gustaw Adolf korzystać nie umiał, Francya zabrała Lotaryngią i zajęła w Europie bardzo silne stanowisko. Richelieu byłby z niego pewnie korzystał, ale wewnętrzne walki z Gastonem i szlachtą popieraną przez Hiszpanią nie dozwoliły mu tego uczynić. Jak tonący brzytwy, chwytając się ostatniego srodka, jeszcze raz zwyciężył swych nieprzyjaciół; ścięciem hrabiego Montmorency przeraził stronnictwo zagraniczne; ale ta krew szlachecka przelana tak zuchwale, ściągnęła nań taką nienawiść, że będąc sam na dworze, uczuł potrzebę zbliżenia się do Hiszpanii i do królowej, którą niegdyś srodze upokorzył. Dwór cały zajaśniał rześnistém światłem: muzyka, tańce, goście i zabawa zapełniły niedawno ponure i złowrogie komnaty królewskie. Kardynał dawał ucztę po uczcie dla królowej, której względy chciał zdobyć napowrót koniecznie.

Ale plan się nie udał: podczas tych zabaw Richelieu ciężko zapadł na kamień.

Wiść o skonie Gustawa Adolfa przerażyła Richeliego; właśnie kiedy się z nim oswoił i począł nań rachować, śmierć wydarła mu sprzymierzeńca. Widząc przed sobą potężnego nieprzyjaciela ośmielonego skonem bohatera Szwecyi, Richelieu chciał podnieść leżący na ziemi oręż protestancki i włożyć go w rękę Francyi. Ale kiedy w tym celu zerwał otwarcie z Hiszpanią, zdecydował odjazd królowej, zgromadził trochę pieniędzy na prowadzenie wojny, szlachta go zdradza, wojska cofają się przed bitwą, a Hiszpanie wkroczywszy do Francyi, oblegają Corbią i posuwają się aż do Pontoise. Najazd nie był straszny, a oswobodzenie łatwe. Zrabowawszy Franche-Comté, Lotaryngią i Pikardya, oddawszy fortecę, Hiszpanie sami ustąpili z prowincyj francuzkich.

Cóżkolwiekby odebranie Corbii i ustąpienie nieprzyjaciół nadało Richelieu potęgę, jakiej nigdy przedtém nie miał; ale chwila ta była ostatnim odbłyskiem gasnącego ogniska.

Królowa zupełnie poróżniona z królem, zawiązała intrygę, która mogła ją albo zgubić, albo jej zapewnić

regencyą. Skutkiem téj intrygi udało jej się przepędzić noc jedną pod mężowskim dachem i zostać matką Ludwika XIV. Nikt dotąd nie zbadał tajemniczych początków tego monarchy; Michelet nawet, który umie zazierać za kulisy i nie zwykł rzeczy obwijać w bawełnę, nie orzeka jasno w téj sprawie. Jeżeli on nie rozwiązał, nikt już zapewne nie rozwiąże téj zagadki; bo chociaż dochodzenie ojcostwa nie jest zabronione w historii, to zadanie jest prawie niepodobne. Co wedle Micheleta jest rzeczą pewną, to to, że Ludwik XIII nie mógł mieć dzieci. Mniej biegły polityk niż Henryk IV, nie okazał atoli przy narodzinach syna ani ojcowskiej radości ani mężowskiego przywiązania. Podczas kiedy królowa jęczała, on kazał sobie czytać i słuchał uważnie historii królów wdowców, którzy po śmierci żon poženili się z poddankami.

Urodziny królewicza obaliły odrazu całe rusztowanie, które zbudował Richelieu, aby się utrzymać na jawnie przyjętém stanowisku naczelnika stronnictwa protestanckiego w Europie. Przełamany w kwestyi pieniężnej oporem duchowieństwa, chciał przynajmniej swój wpływ na dworze utrzymać; wysłał przeto na scenę dwóch nowych aktorów: pięknego Mazarina postawił obok królowej, a obok króla ładnego pazia Cinq-Mars'a. Wiadomo, jak usłużyli Richelieu ci dwaj ludzie: piérwszy został kochankiem téj, której miał pilnować; drugi zaprzędany Hiszpanom konspirator, śmierć swoją śmiercią Richelieu odpłacił. Król nigdy nie przebaczył swemu ministrowi exekucyi ulubionego pazia.

Znienawidzony przez wszystkich i opuszczony przez monarchę, sam, jak pustelnik, zwątpiwszy o sobie, wyczerpany moralnie i fizycznie, Richelieu umarł wkrótce, zostawiając na los szczęścia dokończenie swego dzieła. Skon jego, powiada Michelet, był piękny. „Przebaczasz swym nieprzyjaciołom”? zapytał konającego ksiądz. „Nie miałem nigdy innych, tylko nieprzyjaciół państwa”, odpowiedział kardynał.

Czy tak było w istocie? Michelet twierdzi, że kardynał mówił prawdę.

Nie porównywając go ani z Ludwikiem XI, ani z konwencyą, Michelet przyznaje Richelieu wielki geniusz

centralizacyjny. „Pierwszy człowiek złych czasów musiał być złym koniecznie, powiada; nie był jednak tak okrutnym jak powszechnie mniemają: bo jeśli był nieubłagany dla zdrajców, nigdy swoich osobistych nieprzyjaciół nie poświęcał. W przyjaźni był bardzo stały; miewał czasami nawet wspaniałomyślne natchnienia i postępował po rycersku, jak na przykład względem Corneilla, któremu przebaczył *Cyda* i sam go ożenił. Mimo cierpkość charakteru i księżo-wojackie śmieszności, pozostanie on zawsze wielkim przez swoją energią i patryotyzm”.

Co do dzieła Richeliego, Michelet sądzi je z daleko mniejszym niż jego poprzednicy zapałem. Sławna jedność państwa francuzkiego, o której tyle mówiono, wydaje mu się zadrogo okupioną zgnieceniem protestantyzmu, mianowicie, jeżeli jego natychmiastowem następstwem musiało być zaprowadzenie rządów despotycznych. Co do przywrócenia równowagi, którą Europa traktatowi westwalskiemu zawdzięcza, w tę Michelet nie wierzy; zdaniem jego przechwalony traktat nie zapewnił nawet spoczynku umarłym.

Odczytawszy dzieje wielkiego ministra, książka z ręki wypada i człek myśli sobie gubiąc się w tym czarnym labiryncie: cóżto za ciężka a daremna gmatwanina, ta wielka polityka! Człowiek tak potężny jak Richelieu, wybrnąć z niej nie może i umiera w pracy; po niu przychodzi głupiec „le dernier des faquins”, jak go Michelet zowie, przychodzi Mazarin i zwycięża!

---

Pod napisem: „*le Roi Voltaire*” jeden z lubionych w Paryżu romanso i komedyo-pisarzy Arsen Houssaye, wydał grubą księgę, w której kreśli genealogią Voltaira, szkicuje fizyonomie jego przodków, portretuje jego kochanki, opisuje dwór jego złożony z najznakomitszych ludzi owego czasu, nakoniec bada i tłumaczy przyczyny wpływu jaki wywierał na swą epokę. Książka ta złożona po większej części z faktów znanych, napisana z niewielkim talentem, została przecież bardzo dobrze przyjęta przez ogół tutejszej publiczności, a mianowicie przez akademią,

jak wiadomo otwarcie uwielbiającą Voltaira. Dwóch członków Instytutu pochlebnym rozbiorem zaszczyliło nowego Volterowskiego biografę, dziękując mu za „pożyteczną pracę, jaką się przysłużył narodowi”; fejetoniści wszystkich dzienników (wyjąwszy katolickich) niemierniej przychylnie powitali dzieło. Uważając za zbyt liczne wszelkie uwagi nad człowiekiem, którego geniusz potężny znany jest każdemu, a wpływ jaki wywarł oddawna dwojako osądzony, ograniczamy się na przytoczeniu kilku szczegółów z rozdziału: „Śmierć Voltaira”, z którego można najlepiej poznać ducha książki Houssay’a, oraz dowiedzieć się kilka mniej znanych faktów.

Pod koniec życia, panowanie Voltaira było potężne i uznane powszechnie. Dziwny ten człowiek od pół wieku powtarzał Europie, że mu już tylko chwila życia pozostaje, a mimo to długo jeszcze, jak mówi, „tańcował” wkoło swego grobu, zanim się w nim położył. Przyjaciele trwożeni pogłoskami, przybywali z najodleglejszych części świata żegnać umierającego, a on żył i żył bez końca, zamknięty w swoim wiejskim pałacu. Aż pani Denis znudzona zbyt długim w Ferney pobytem, przygotowała wszystko i skłoniła Voltaira do powrotu do Paryża. Filozof miał wtedy lat 84.

Pewnego tedy poranka w lutym 1778 roku, ruszył w drogę i w tydzień przybył do Paryża. Na rogatce Fontainebleau strażnicy przyszli go pytać, czy co zakazanego nie wiezie: „Il n’y a que moi de contrebande” odpowiedział i kazał się co prędzej wieźć do swego mieszkania na wybrzeże, dziś *Quai Voltaire* zwane.

Autor powiada, że kilka lat mieszkał w tym apartamencie, ale go ztamtąd wypędzili Anglicy przychodzący ustawicznie oglądać mieszkanie „najdowcipniejszego Francuza”, tak zwali zawsze Voltaira. Słyszając to oprowadzający ich groom Houssaya, prawdziwy ulicznik paryzki, nigdy nie zapominał dodawać: „tak milordzie, tu mieszkał najdowcipniejszy z Francuzów i Anglików”.

Wieść o przybyciu Voltaira rozbiegła się po Paryżu w mgnieniu oka i wnet zaczęły się schodzić z powitaniem rozmaite deputacje. Akademia posłała w swoim imieniu księcia Bauvau; Teatr francuzki swego najpiérwszego aktora;

ambassador Gluck kłaniając się we drzwiach oświadczył, że dwór wiedeński nań czeka, ale on spóźnił odjazd, żeby być pierwój na dworze króla Voltaira. Ambassadorowie wszystkich mocarstw w Paryżu, zeszli się składając u stóp filozofa niemińej piękne komplementa. Wielkie damy nie mogące zaraz przybyć osobiście, przysłały mu kwiaty i wstęgi od włosów lub gorsu odpięte.

Nazajutrz Paryż zszedł się u drzwi Voltaira z Wersalem. Nawet wielbiciele Ludwika XVI zaczęli pojmować, że prawdziwym królem jest ten, który poślubił opinią publiczną. Cała herbowna Francya, Armagnaki, Poligniaki, Richeliowie, Montmorency i t. d. byli obecni przy *petit lever* króla Voltaira. W ciągu jednego dnia przeszło sto wstęg niebieskich weszło do jego domu. Przybył także Franklin i Turgot. Obaczywszy ex-ministra Ludwika XVI, Voltaire zerwał się i zawołał ściskając dłoń dyplomaty: „Więc to ta ręka podpisała zbawienie Francyi! Panie Turgot, nogi twoje są z gliny, ale twoja głowa ze szczerego złota”!

Franklin przedstawił mu swego syna. „Dziecię moje, rzekł, ukłękuj przed Voltaiem i prosz go o błogosławieństwo”. Voltaire wstał, położył dziecku rękę na głowie i rzekł: „Bóg i wolność”. „Tak, powiada Houssaye, odbyła się komunia starego z nowym światem”.

„Nazajutrz po pięćdziesięciu latach sławy i przesławiania, pisze autor, spotkał Voltaira najświetniejszy z tryumfów, jakimi kiedybądź uczczono monarchów lub bohaterów. Pierwszy raz po przyjeździe udał się on do akademii i do teatru. Paryżanie tłumnie wylegli na drogę, którą miał przebywać. Ogromny krzyk radości z miliona piersi wypadły, rozlegał się po ulicach i tłumil oklaski, któremi co krok witano wielkiego męża. Akademia wystąpiła z przyjęciem przedtém i potem nie widzianém. W teatrze francuzkim grano *Irenę*.

Voltaire usiadł w łoży parów. Skoro go ujrzano, aktor Brizart przyniósł wieniec laurowy i prosił znajdujących się w łoży dam, żeby go włożyły na głowę filozofa. Cała sala poczęła klaskać zawzięcie; Voltaire chciał zdjąć wawrzyny, ale publiczność prosiła żeby tak został. Co wtedy czuli w tój sali zgromadzeni ludzie było więcej niż zapalem—było czcią. Voltaire stał w łoży i kłaniał się pu-



bliczności; na scenie wieńczono jego popiersie girlandami kwiatów. Teatr trząsł się od okrzyków wesela i wdzięczności. Zazdrość i nienawiść, fanatyzm i nietolerancja, gryzły pięście w milczeniu. Pierwszy to raz widziano we Francji opinią publiczną używającą głośno swęj potęgi. Skoro zapadła kurtyna, Voltaire zmęczony nad wszelki wyraz, sądził że już się uwolnił od swych uciążliwych czcicieli, ale nie było to tak łatwo. Za drzwiami łoży porwały go kobiety i zniosły do powozu;.. chciał wsiadać, i znowu go zatrzymano. „Pochodni, pochodni dajcie!—rozległ się krzyk wkoło — dajcie pochodni! niechaj go każdy zobaczy!” Skoro siadł do karety, kazano mu wystawić rękę do całowania; konie już ruszyły, a jeszcze całowano, chwytano za kłamki, stopnie i koła, a lud krzyczał na całe gardło: „Niech żyje Voltaire! niech żyje ten, którego za nas przez pięćdziesiąt lat prześladowano!” Tak krzycząc, tysiące ludu odprowadziły go aż do mieszkania. Wysiadając Voltaire już ledwie żywy zawołał tylko; „Chcecież mnie więc pod różami zadusić!”

Łatwo zgadnąć, że po tak męczącym tryumfie, zdrowie osmdziesiąt-czteru letniego starca znacznie się pogorszyło. Doktor jego, Tronchin, napisał mu na recepcie te słowa: „Pan Voltaire żyje w Paryżu z kapitału sił swoich, a powinien żyć tylko z procentu.”

Przestroga lekarza nie zmieniła trybu życia pacjenta; nietylko przyjmował gości przez dzień cały, lub pisał, ale jeszcze wieczorem zapalał lampę i pracował do północy, albo siadał do karety i kazał się wieźć do której księżny przyjaciółki, lub sławnej aktorki. Żyjąc w ten sposób z ciągle rozbudzonym i pracującym umysłem, utracił zupełnie sen; dla przywrócenia go, zażywał opium; raz, przez omyłkę, zażył podwójną dawkę. Czując iż zapada w letarg, kazał podać papieru i napisał do d'Alemberta: „Polecam ci dwadzieścia cztery litery alfabetu.” (Rozumiał przez to zmiany, które zamierzył wprowadzić do dykcyonarza Akademii). Ledwie nakreślił te słowa, wpadł w sen półśmiertelny.

„Historja śmierci Voltaira grubą pokryta jest chmurą, mówi Houssay. Wedle tego jednak cośmy się z najpewniejszych dowiedzieli źródeł, rzecz tak się miała. Pro-

boszcz, który nawrócił księdza l'Attaignaut, chciał także nawrócić Voltaira; w tym celu zażądał od niego posłuchania. Skoro przybył, Voltaire rzekł do niego: „Powtórzę ci toż samo com powiedział błogosławiąc wnuka mędrca Franklina: „Bóg i wolność.” Mam 84 lat, wkrótce stanę przed Bogiem, stwórcą wszech-światów, i powtórzę mu toż samo.

— Ach! panie—zawołał kapłan— jakżebyś sowicie był nagrodzony za męki tego życia, żebyś ciebie pomiędzy moje zdobycze mógł policzyć! Bóg litościwy nie chce twój zguby. Powróć do niego, kiedy On do ciebie powraca!

— Ależ powiadam ci, że kocham Boga—odpowiedział Voltaire.

— To już wiele—rzekł ksiądz—ale trzeba to okazać, bo miłość bezczynna nie jest prawdziwą miłością Boga, który jest czynny.”

Voltaire nic nie odpowiedział. Proboszcz odszedł. Przyszedszy drugi raz, otrzymał od Voltaira chrześcijańskie wyznanie wiary. Usposobienie filozofa było bardzo dobre, i byłby może umarł zupełnie pogodzony z religią, ale proboszcz parafii świętego Sulpicyusza zbytnią natarczywością popsuł wszystko. Niechcąc dać się wyprzedzić koledze, przybył także do łóża konającego i zażądał od Voltaira wyparcia się wszystkich ogłoszonych przeciwko wierze doktryn. Nie zważając na szyderstwo d'Alembert'a, Diderot'a, Condorcet'a i wszystkich filozofów, którzy namawiali Voltaira „żeby umarł jak mędrzec,” ksiądz przychodził co dzień i co dzień ostrzój powtarzał choremu toż samo żądanie. Voltaire przez kilka dni słuchał w milczeniu słów kapłana, ale nakoniec znacierpliwiony, porwał się z postania i zawołał: „księżu, pozwól mi umrzeć spokojnie.” Ksiądz odszedł, a on we dwie godziny potem skonał.

Skonał, ale pożądanego spokoju nawet po śmierci nie znalazł. Nie chciano go pochować w Paryżu. Voltaire wyraził żądanie, żeby go pochowano na cmentarzu w dobrach jego Ferney „un pied dans l'église, un pied hors l'église.” Ale i na tej ziemi, która była jego własnością, odnowiono mu spoczynku. Wtedy ksiądz Mignet, siostrzeniec zmarłego, wziął zwłoki Voltaira i zawiózł je do klasztoru, którego był przełożonym. Biskup de Troyes obu-

rzony że taki człowiek ma spoczywać na świętej ziemi w jego dyecezyi, przysłał spieszną zakaz chowania ciała. Rozkaz przybył zapóźno: Voltaire już był pochowany w jednej z kaplic kościelnych, ale przeor został zdestituowany.

„W trzydzieści lat potem, powiada Houssaye, 11 lipca 1791, w dzień burzliwy na niebie i na ziemi, zwłoki Voltaira w wielkiej paradzie, cały Paryż niósł do Panteonu grobu królów myśli. Nie był to już tryumf człowieka, ale tryumf filozofii i ludzkości. Nigdy król, nigdy Cezar nie miał takiego orszaku. Matki Francuzów pocierały o trumnę wielkiego męża swe dzieci, Ameryka którą Voltaire w osobie młodego Franklina pobłogosławił, składała mu trofea myślą jego zdobyte. Każdy kwiat rzucony na jego trumnę przykrywał jakąś ranę ludzkości. W obec takiego majestatu wchodzącego w przybytek chwały, głębie społeczeństwa, piekło stariej Temidy, oświecił promień zemsty. Zagasił stos; katowi wypadł batóg z ręki; wstrząsa się szubienica; drzewo śmierci prosiło o przebaczenie drzewa życia, dziob sępa rzekł Prometeuszowi „Zwyciężyłeś mnie.”

„O! wielkie święto! Dnia tego u nas braterstwo zatrzaśło podwoje przeszłości, a otworzyło wielką przyszłości bramę. Od dnia tego dla nas nowa zaczęła się era: tortura, inkwizycya, pręgierz, pytki, więzienia, lochy, wszystkie dawne krew ludzką ssące upiory, pierzchły, potrząsając fatalnemi skrzydły. Na ten widok ludzkość podniosła się na swém śpiżowém łożu. Rzewna radość wyszła z czarnych grobów i podziemi zamków feodalnych. Łzy płynęły z serca ludzkiego otwierającego się nadziei: temi łzami Voltaire został poświęcony na wieki.”

Tym epilogiem kończy Houssaye dzieje *króla Voltaira*. Prócz współczesnych historyków Voltaira, jak Grimm, Lalli, d'Alembert i tysiące innych, którzy jeszcze z większym zapalem o filozofie Fernejskim się wyrażają i powyższe obrazy malują, Houssaye znajduje dziś mnóstwo kolegów: pp. Mignet, Saint-Marc-Girardin wydawca listów Voltaira, Lamartine, nie licząc tak zwanych ateuszki piśmiennictwa francuzkiego, do wielbicieli Voltaira należą.

Lamartine w *Kursie*, tak opisuje przeniesienie zwłok Voltaira do Panteonu: „Dzień był zakrótki na tak wielki tryumf. Trumnę Voltaira postawiono pomiędzy Descartem a Mirabeau'tem. Było to miejsce przeznaczone temu geniuszowi pośredniczącemu pomiędzy filozofią i polityką, pomiędzy myślą a czynem. Ta apoteoza była to *intelligencya* wstępująca jako tryumfatorka na ruiny przesądów w mieście za Ludwika XIV, była to *wolność* obejmująca w posiadanie świątynią świętej Genowefy.”

Séгур znów tak wspomina ostatnie dni fernejskiego filozofa:

...„Były wtedy dwa dwory we Francyi: królewski w Wersalu, i Volterowski w Paryżu. Na pierwszym Ludwik XVI żył cicho i skromnie, na drugim cały dzień grzniały wiwaty i okrzyki, któremi tłum bałwochwalczy wielbił największego geniusza Europy. W domu swoim siedział on jak monarcha otoczony gronem filozofów i najzdolniejszych pisarzy, którzy składali jego przyboczną radę; dworakami jego byli najznakomitsi ludzie wszystkich klass, i najdostojniejsi cudzoziemcy. Koronacya Voltaira odbyła się w teatrze francuzkim. Niepodobna opisać zachwytu z jakim publiczność przyjęła go wtedy. Nigdy wdzięczność narodu nie wybuchła gwałtowniej dla swego dobroczyńcy.”

Obaczmy teraz jak się wyraża o tym „dobroczyńcy” sławny filozof katolicki de Maistre; nienawiść nieprzyjaciół wymowniejsza czasem od przyjacielskich pochwał, a odwrotna strona medalu zawsze ciekawa.

„Voltaire, mówi de Maistre, zawsze sprzysiężony ze świętokradztwem, zepsuciem swoim urąga Bogu i gubi ludzi. Zuchwały ten bluźnierca z bezprzykładną wściskością głosi się osobistym nieprzyjacielem Zbawiciela ludzkości; śmie z głębi swjej przepaści bluźnić Chrystusowi. Opuszczony od Boga, który karze odstępując, nie zna już wędzidła. Inni bezwstydnicy oburzali cnotliwych; Voltaire oburza zbrodniarzy. Nurza się w błocie, poi się niém, oddaje swoją wyobraźnię zapałowi piekła, które wszystkich sił swoich mu użycza ażeby go dowlec aż do ostatniej granicy złego. Wymyśla niestworzone rzeczy, potwory, przed któremi człowiek blednie, Paryż go ukoro-

nowa!; Sodoma byłaby go wyгнаła. Profanator bezczelny ludzkiej mowy i największych imion ludzkości, ostatni z ludzi po tych, którzy go kochają. Jakże odmaluję co on za uczucia budzi we mnie? Jak rozważam co mógł zrobić a co zrobił, niezrównane jego talenta budzą we mnie coś więcej niż wściekłość świętą... coś, co nie ma nazwania! Zawieszony pomiędzy admiracją i przerażeniem, czasami chciałbym mu stawić posąg... rękami kata!"

Najmłodszy wiekiem, a najstarszy nauką członek Akademii, biegły orientalista i głęboki myśliciel, pan Ernest Renan, wydał drugą edycją swego znakomitego dzieła „*de l'origine du langage.*” Chociaż dziesięć lat upłynęło od pierwszego pojawienia się tej książki, chociaż przez ten czas wiele nowych dzieł w tym przedmiocie napisano, mianowicie w Niemczech; chociaż Bunsen, Steinthal, Heyse, Pott, Müller, nowemi spostrzeżeniami zbożacili badania tajemniczych początków człowieka: praca Renan'a, jak każde dzieło genialne, nie straciła wartości z laty, i z równem dzisiaj czyta się zajęciem. Zbogacona nowemi studjami i przedmową, w której autor daje pobieżny rozbiór wszystkich pism nowszych odnoszących się do studyowanego przezeń przedmiotu, a który to rozbiór skreślony z wysokiego stanowiska podaje zwięźle ostatnie rezultata poszukiwań, praca francuzkiego filozofa ma zupełny powab nowości.

Nauka zupełnie nowa, filologia porównawcza, wzięta za podstawę wszelkich badań śledzących początek mowy ludzkiej, powoli wyprowadza ten ważny problemat z mglistej krainy wniosków, i dozwala umysłom pozytywnym iść krokiem pewnym do zamierzonego celu. Poddane pod uogólniający pogląd filozofa fakta filologiczne, więcej wyjaśniają pierwotne dzieje rasy ludzkiej, niż wszystkie na niczem nie oparte poetyczne wywody ubiegłych wieków. Dlatego ktokolwiek chce badać gruntownie zawiłą kwestyą instalacyi człowieka na ziemi i pierwsze lata jego tu pobytu, musi być orientalistą i filozofem: orientalistą dlatego, że języki wschodnie są najstarszemi pomnikami ludzkości; filozofem dlatego, żeby umiał wyciągnąć z faktów zamkniętą w nich naukę.

Że mowa jest nierozłącznym warunkiem życia ludzkiego, że od pierwszej chwili pojawienia się na ziemi człowiek mówił, na to zgadzają się dziś prawie wszyscy uczeni badacze. Jeśli przyznajemy zwierzęciu właściwość krzyku, czemuż mielibyśmy odmawiać człowiekowi właściwości mowy. Całe więc pytanie leży w tém, w jakim stopniu używał jęj człowiek pierwotny?

Zdaniem starożytnych i filozofów XVIII wieku, człowiek skutkiem woli swojej, zdobywał powoli władzę mówienia: od krzyku przeszedł do głoski, od głoski do słowa, od słowa do frazy, i tak dalej. Skutkiem gwałtownej przeciwjęjęciom poprzedników swoich reakcyi, szkoła Bonald'a przypuszczała przeciwnie: że człowiek przyszedłszy na świat, przyniósł z sobą daną przez Stwórcę mowę całkowitą. Renan staje w pośrodku pomiędzy dwoma jęjęciami: odrzuca przypuszczenie XVIII wieku, że człowiek żył w stanie dzikości; jak niemniej jęjęcie Bonald'a, że przyszedł z mową skończoną. Wedle niego, człowiek musiał mieć od pierwszego początku wolne użycie wszystkich swych organów, a zatem i słowa. Wiek XVIII błędził zawsze tém, iż zbyt wiele przyznawał namysłowi, a zamało czynnej spontaniczności. Filologia porównawcza wykazuje, że im głębiej cofamy się w dzieje ludzkości, im więcej języki odnoszą się do epok pierwotnych, tém więcej uderza w nich dowolność form, niezmierna rozmaitość i zupełna wolność składni. Ztąd naturalny wniosek, mówi Renan, że mowa początkowa była zupełnie nie określona, że zatem jest dziełem czynnej spontaniczności, nie wolnej rozważi. Człowiek pierwotny musiał mówić jak dziecko: bardzo wiele, ale bez żadnych prawideł, z ogromnym bogactwem słów bez spójni i związku.

„Mowa pochodzi od Boga, tak jak wszystko na świecie, powiada Renan; ale Bóg ograniczył się na daniu ludzicom narzędzi do stworzenia jęję, i tém samým zmusił ich od pierwszej chwili do mówienia wedle praw natury, wieku i klimatu. Odtąd już nie miał potrzeby się wdawać tak dobrze do uczenia mówić ludzi, jak do uczenia gwiazd żeby się obracały wedle praw jakie im nadał. Wszelka późniejsza interwencya Boga byłaby wyznaniem niemocy,

okazałaby niedostateczność pierwszego planu Stwórcy, jeżeliby tenże uznał potrzebę poprawiania go."

Mowa jest więc, wedle Renana, przyrodzoną zdolnością, którą człowiek własną pracą rozwinął, a zaczął ją rozwijać od pierwszego dnia swego istnienia; chcąc wyrazić myśli, stwarzał słowa w miarę jak ich potrzebował; w miarę zaś rozrostu rasy ludzkiej i dzielącej ich przestrzeni, słowa zaczęły się przekształcać i z tego przekształcenia powstały języki. Mowa pierwotna jest dziełem matki garstki, która uosabiała wtedy umysł wszystkich. W ten sposób powstają wielkie dzieła ludzkości: poezye Homera nie są czem innem, tylko treścią wzniosłych natchnień muzy greckiej, a prawa Likurga najdoskonalszym wyrazem prawodawstwa doryckiego. Czy Likurg i Homer istnieli w istocie, to kwestya podrzędna. Jeżeli istnieli, jeden i drugi był tylko wydawcą odpowiedzialnym, a co najwięcej korektorem poematów i praw, które im przypisują. Toż samo co do języków; z tą jednak różnicą, że jeżeli tu była praca koncentracji, każdy się do streszczenia dzieła powszechnego przyczynił. Grammatycy są Homerami lub Likurgami, których indywidualność mało świat obchodzi. Mowa jest niezawodnie najmniej indywidualnym dziełem ludzkim, i tak być musi „kiedy bez wielkiego nonsensu można jęj było przypisać wyłącznie boski początek."

Takie są ogólne konkluzye studyów Renana, tém więc zajmujących, że dotyczą tak ciekawego przedmiotu jak badanie tajemniczych początków człowieka.

Z powodu książki pastora Coquerel „*Sztuki piękne we Włoszech*” napisał także Renan niezmiernie ciekawe studyum pod napisem: „*Wpływ katolicyzmu na sztukę.*” W ogóle wszystko co przechodzi zwyczajną miarę, co wytryska poza ciasne ramki, w których dziś literatura francuzka się kręci, wszystko co uderza szerokością poglądu i podniosłością myśli, czy to w przeglądzie, czy dzienniku, niezawodnie nosi podpis Renana. Jestto *Ecce Homo* dzisiejszego piśmiennictwa francuzkiego.

Proudhon za swe dzieło „*La Justice dans la Revolution et dans l'Eglise*” został skazany na trzy lata więzienia i cztery tysiące franków kary pieniężnej.

— Zabrano także z obiegu *Pamiętniki księcia Lauzun*, wydane przez Lacour'a. Z książki téj dowiedzieć się można, do jakiego stopnia dochodziło zepsucie szlachty francuzkiej przed rewolucją 1789 roku. *Memoiry* te piérwszy raz wyszły za Restauracyi, w roku 1821; cenzura ówczesna dozwoliła książce wolnego obiegu, wykreśliwszy z niej nazwiska żyjących jeszcze osób. Później pan Tschereau, administrator biblioteki cesarskiej, wydrukował w Przeglądzie wyrzucone ustępy i nazwiska; zabrana teraz edycya podawała *Pamiętniki Lauzuna* w całości.

— Pod napisem „*Les Voix de Paris*” Jerzy Kastner wydał dziwną partycyą: jestto zbiór wszystkich gwarów Paryża, począwszy od ryku zwierząt, aż do kupca parasoli i poissardy. Z huku tego morza ludzi, kompozytor wysnuł piękną symfonią, która na tutejszych koncertach w wielkiej jest modzie.

— Pan de Sacy redaktor *Debatów* wydał zebrane w książkę swoje artykuły drukowane w tymże dzienniku.

— Cousin wydał w dwóch tomach studyum „*le Grand Cyrus*.” Wkrótce ma wydać drugie dzieło pod tytułem: „*de l'Influence de M<sup>te</sup> de Scudéry sur les destinées de la Monarchie Française*.”

— Méry, zajęty obecnie wydawaniem swoich *Vierges de Lesbos* z winiętami Hamona, poematu, który ma być cudem tak pod względem poetycznym jak typograficznym, ogłosił tymczasem swoje podróże pod napisem: „*Ems, et les bords du Rhin*.” *Les Deux Frantin*, sztuczka jego grana teraz w *Théâtre Français* jest portretem dawnego i teraźniejszego sługi. Francuzi śmieją się serdecznie i admiringują ten nowy pód swego ulubionego pisarza.

— Pani Belgiojoso wydała „*Scènes de la Vie Turque*.” Jestto dopełnienie świeżo ogłoszonych podróży wschodnich.

— Rząd francuzki kazał przewieźć z Rzymu do Paryża sławny obraz Daniela Volterr'a, przedstawiający *Zdjęcie z Krzyża*. Obraz ten stawiano na równi we Włoszech z *Transfiguracją* Rafaela i *Świętym Hieronimem* Domini-



kina. Helena Orsini obstałowała go u artysty, i podarowała kościołowi Świętej Trójcy. Rząd francuzki swoje prawo do własności tego arcydzieła opiera na tém, że kościół Świętej Trójcy, któremu był podarowany, był zbudowany w roku 1594 przez Karola VIII króla francuzkiego; następnie w roku 1816, restaurowany przez Ludwika XVIII i odstąpiony zakonnicom klasztoru Sacré-Coeur.

— Pan Barrière wydaje dzieło pod tytułem: *Biblioteka Pamiętników odnoszących się do historyi Francyi z XVIII i XIX wieku*. Praca będzie wychodzić tomami. Już wydane zawierają pamiętniki księcia Richelieu przez Soulavie, księcia Vaublanc i pani de Genlis. Same anegdoty o księciu Richelieu zebrane z dzieł rozmaitych zawierają dwa tomy. Nowa ta kolekcya historyczna bardzo jest tutaj chwalona.

— Pan Charles Edmond (Edmund Chojecki) przedstawił w cyrku cesarskim pięcio-aktowy dramat „*Les Mers Polaires*.” Treścią sztuki jest wyprawa Franklina pod biegun północny i wyprawa szukającego go Bellot'a. Dramat zaleca się głównie swą stroną malowniczą, którą autor zwiedzając morza lodowate umiał uchwycić i oddać z wymowną prawdą.

— Straszny ustęp z tegoczesnej historyi angielskiej, który Biblioteka Warszawska pod napisem „Pamiętnika z czasów rzezi Indyjskiej” w trzech numerach swoich zamieściła, ułożony w pięcio-aktowy dramat, ściąga obecnie tłumy ludzi do *Ambigue-Comique*. Praca autora sztuki, p. Dagué, ogranicza się na streszczeniu przygód angielskiej rodziny i przekalkowaniu pełnych okropnej prawdy obrazów z opowiadania żony Petersa. Mimo to dramat ten z życia wzięty, i od deski do deski prawdziwy, większe czyni wrażenie, niż najśmielsze wymysły szkoły romantycznej. Są miejsca, w których nietylko nerwowe Paryżanki, ale i poczciwi wyrobownicy paryzcy zanoszą się od płaczu. Prawdę powiedział Mery, że kto chce doznawać strasznych emocyi, niech nie czyta, ale wędruje po świecie i patrzy.

# BIANKA.

PRZEKŁAD

*Antoniego Czajkowskiego.*

W szlachetnej Wenecyi, w Wenecyi przed laty  
Żył jeden senator, żył hrabia bogaty,  
Co córkę miał śliczną. A owa hrabianka,  
Ta córka hrabiego, śliczna Wenecyanka  
Zwała się cudownie, bo zwała się Bianka;  
I była cudowna, jak niebios zesłanka,  
I taka leniwa, i taka pieszczoszka, jak nią każda Włoszka,  
I jasna jak gwiazda, nie jak każda Włoszka.

A ona z balkonu, na którym siedziała,  
Cały dzień nie patrząc, wokół patrzyła;  
To włos swój trefiła, to czoło gładziła,  
To okiem po wodzie zielonej wodziła,  
To znowu po niebie obłoki gonila,  
I głowę spuściwszy, schyliwszy ramiona, nie patrząc  
Z balkonu patrzyła, dzień cały,  
I wkóło jasnemi oczyma rzuciła.

A trafem, o który nie rzadko na świecie,  
A który się trafem dotąd zowie przecie,  
Chociaż się tak często na świecie spotyka  
Tuż okno wprost okna. W sklepie u złotnika  
Żył piękny młodzieniec, Florencyji to dziecko!  
O kruczych on włosach, o myślącej twarzy,  
A w oku się jakaś słodka smętność zarzy,  
Nim się ztąd po pięknej rozpryskuje twarzy!  
Na chleb on powszedni zarabiał swem piórem,  
I siedział posepny za kupca kantorem,  
I patrzył co chwila na balkon sąsiedni,

I patrzył tak często, i w okno się chylił,  
 Że liczb zapominał, w rachunku się mylił;  
 I patrzył w jój lica, i w oczu jój dwoje,  
 Aż w końcu na siebie patrzyli oboje.

I wreszcie wierzyli

Bo jak dzieci byli:

Że się raj na ziemi przed nimi otworzył,  
 I że sam Bóg ich, jedno dla drugiego stworzył;  
 I tak się kochali, a coraz to więcej,  
 Że z każdym dniem serce biło im goręcej.

Aż przyszło do tego,

Że dnia pochmurnego,

Kiedy księżyc brodzi

W ciemnych chmur powodzi,

A pusto na placu

I w starym pałacu,

Bo wszyscy już spali:

Dziewczyna nieboga

Zapomniała Boga,

Nie zważała grzechu.

I w lekkim pośpiechu

Furtkę otworzyła

I tak zostawiła;

A sama leciutka jak wiatr, albo ptasze  
 Naprzeciw pobiegła na ciemne poddasze.

A co tam radości... to raj był prawdziwy!

Florentczyk szczęśliwy

I Bianka szczęśliwa... Te pięknych ciał dwoje,

Te dzieci oboje,

Te obie królewskie natury,

Chociaż bez korony, chociaż bez purpury,

Lecz pełne miłości, lecz pełne słodyczy.

A kto tam policzy

Wzajemne gruchania, szeptania

I łkania!...

I co tam lez było,

I słodyczy było,

Nim się rozwidniło!

A z świtem poranka

Już Bianka hrabianka

Żegnała kochanka,

I wiotka i blada

Na ulicę wpada,

I bieży, i bieży,

Wzdłuż słicznych wybrzeży.

A zorza

Od morza

Już coraz a coraz promieni,  
I jak rannym chłodem,  
Swym jaskrawym wschodem  
Dachy Wenecyi rumieni.  
A woda w kanale  
Błyszczący się wspaniale:  
To się srebrzą jej fale,  
To barwista jak tęcze  
Znów się marszczy w obręcze;  
To się pręgami snuje  
Po szerokiej lagunie,  
To szmaragdem zieleni  
Lub się purpurą mieni.

A w górze gołębie gruchają i wabią się czule,  
I wieńcem siadają na Marka kopule;

A znowu na dole  
Wzduż arkad, gondole  
Kołyszą się z pluskiem na fali,  
I niebo się pali,  
I dzień już jest jasny,  
Gdy Bianka leciutka wbiega  
Na próg własny,  
I furtkę zamkniętą spostrzega,  
I na ten widok, piękna a blada  
Umarła pada.

O jeśli są wieści, gdy przejdzie kochanie,  
W których się pamiątka kochania zostanie,  
A takie urocze, i słodkie te wieści  
Ze pamięć się niemi lubuje i pieści;...  
Jeżeli są pieśni,  
Co chociaż w krąg głucho,  
I śpiewać się nie śni,  
Wracają wciąż w ucho:  
To taką zaprawdę jest ta miłość tkliwa,  
Tak tęskna... i czysta  
A przecież tak żywa,....  
I taka naiwna, i taka prawdziwa  
Jak w świata zaranie,  
Gdy jeszcze kochanie  
Bez rachub się szczerze ze serca wylewa.  
I żyje szczerością, i nie jest obłudne;  
A kiedy się daje, to daje się szczerze.  
I za to zapłaty i darów nie bierze,  
Jak nasze kochanie, przedajne i brudne,

I zimne zakaty,  
Jak nasze klimaty!

O Bianco, twe imie  
We włoskim rymie drzymie,  
Co pełen słodyczy,  
Co taki słowicy,  
Co spółgłoskami nie syczy;  
To z samogłosek równianka,  
A jak za kłamrą, u tego wianka  
Słodziutkie imię Bianka,  
Świeże jak kwiat na wiosnę,  
I jak miłość miłosne,  
Ponad Wenecyi skronią  
Miłosną buja wonią.

W krąg snują się twe cienie:  
To je gondola żenie,  
To je znów rybak pędzi,  
Jakby stado łabędzi;  
I na ziemi, na niebie  
Wszyscy wciąż widzą ciebie!...  
Kiedy gdzie na balkonie  
Wzrok dziewicę spotyka,  
Zaraz po drugiej stronie  
Chce szukać Florencyzyka;  
I tak w pamięci młodej  
Świeże Bianki przygody,  
Tak tu ich pamięć żywa,  
Że ledwo błysnie Diva,  
Cyntya (1) blondynka płocha,  
Którą Włoch czule kocha  
I z tą Diva nazywa :  
To wnet Bianka po moście lekkimi stopy śmiga,  
Lub na kamiennym wschodzie, co napół moknie w wodzie  
Biała postać jej miga!....

\* \* \*

W tę porę lata  
Młodzieńczego świata,

Gdy jeszcze dusze kwieciły,  
I miłość, ten ptaszek, kobietom tak miły,  
Co dzióbek w ich uszku zanurzy,  
I słodkich im rzeczy nawróży,  
I znowu do góry podlata;  
Gdy ptaszek ten jeszcze wiewał na ziemi,  
A ziemia dyzwała woniami samemi

(1) Księżyc.

To złotych pamarauńcz, to róży;  
 W tę porę, kiedy kwiecie  
 Królowało na świecie,  
 I każdemu stworzeniu  
 Tak życie upływało,  
 Jak mu upływać miało po hożem rozrządzeniu:  
 O Wenecyo, w tej porze,  
 Choć słońce twoje grzało.  
 Świeżością wiało morze  
 I tysiąc gitar grało  
 I rozdźwięk barkaroli  
 Z każdej płynął gondoli,  
 I z każdym ruchem wiosła  
 Pieśń się jakaś podniosła,  
 I druga, trzecia za nią,  
 I kanałów koryto brzmiało radosnym tonem,  
 I jakby szklanym dzwonem,  
 Tak cię muzyki bawią  
 O Wenecyo przykryto!  
 A łódzie śmigaly,  
 A na nich się śmiały dziewice, i piękni młodzieńce,  
 Szeptając wesoło, biorąc się za ręce,  
 Nim w Lido tańczono do rana,  
 Lub w Brencie, gdzie ziemia szmaragdem zasłana,  
 Na chłodzie trawników wśród miłego cienia,  
 Parami słuchano słowików kwilenia,  
 Gdy owe ptaszyny przez odgłos radosny,  
 Witały serdecznie miły powrót wiosny!....

O! wtedy nie było dzisiejszej mozoly.  
 O! wtedy był młodzian i starzec wesoły.  
 A życie? to ciągle karnawał,  
 Co szalał, a nie ustawał.  
 Złoty sen bez przebudzenia,  
 Pijaństwo bez wytrzeźwienia;  
 To miłość na kwiatach śniąca,  
 Której sen od wschodu słońca  
 Aż do drugiego znów wschodu wечно się ciągnął bez końca.  
 Tam wpośród szlachty wesela,  
 Wśród tanecznego zawodu  
 Grała w pałacach kapela,  
 Grała kapela szumiąca,  
 A płasy były bez końca.

A pani  
 Morskich otchłani

Wenecya przemożną była,  
 Cudna woń skroń jej wieńczyła,  
 Wschód niósł jej klejnoty w dani,  
 Jak niegdyś Saby królowa  
 Salomonowi wielkiemu; i płaszcz z purpury był na niej.  
 W słońce ubrana jej głowa,  
 Nózki w azyjskim safianie  
 Depcą po perlistej pianie,  
 Jakby po czystym dywanie!  
 Cudne to było ubranie,  
 Zanim je burze przetarły;  
 A oczy tak ogniem wrzały,  
 (Nim się, jak dzisiaj, przywarły)  
 Ze się w niej własne syny kochały,  
 I w jej objęciach.... u piersi białej  
 Z rozkoszy marły....

\* \* \*

Lecz wszystko niszczy sroga siła czasu,  
 Zarówno grody, jak drzewa wśród lasu:  
 I ty Wenecyo, potężna królowo,  
 Stoisz pochyło jak zmarznięte drewno,  
 Które koronę liściastą utracił  
 Dzisiaj po tobie przewiewa wiatr nędzy.  
 Przedsięnia Marka posępne i próżne,  
 Kilka tam białych snuje się postaci!  
 I tłum żebraków, co łaknąc pieniędzy,  
 Wyciąga brudne ręce po jałmużnę.  
 Na każdym czole barwa oliwkowa,  
 Nawpół głodowa, nawpół gorączkowa.  
 I kędyż dzisiaj, jak dawnymi czasy,  
 Owe w twych portach wzniosłych masztów lasy;  
 Gdzież są twe lotne i pyszne galery,  
 Na których twoje wiewały bandery:  
 Dziś ledwo kilka statków pozostało,  
 O które fala uderza nieśmiało,  
 Jakby i fala umarła tu z laty.  
 Umilkły niegdyś olbrzymie warsztaty,  
 Co okrętami zaludniały światy;  
 W miejsce muzyki, dzisiaj chór milczenia,  
 I pustką stoją nawet twe więzienia.  
 To wewnątrz; zewnątrz smutek siadł na straży,  
 Puste pałace płaczą gospodarzy,  
 A rażna młodzież, owe boże ptaki,  
 Kiedy głód w domu daje się we znaki,  
 Gdy nie zarobisz ni pracą, ni sztuką,  
 Gdzieś na dalekie uleciała maki,  
 I tylko starcy po kątach się tłuką.  
 A starzec wszędzie i zawsze jednaki:

To trup, co jeszcze pozostał wśród ludzi,  
I swą gnuśnością tylko niesmak budzi.

Więc dziś Wenecya, ta dawna stolica,  
Z każdym dniem kona, jakby suchotnica!  
Straszny ją postrzał pod sercem kaleczy:  
Już po jej zdrowiu, już się nie wyleczył  
Los już oddawna przestał być jej sługą,  
Zdarł z niej purpurę i majestat cały,  
I cudne usta odstąpił na długo  
Od czary Wschodu, z kąd się wylewały  
Strumienie bogactw i potoki chwały.  
A choć rumieniec policzki osłania,  
Jestto rumieniec zwiędły, suchotniczy,  
Cichy towarzysz cichego konania,  
Obok którego już pierś nie zaryczy  
Głosem przywykłym do rozkazywania.  
Lecz coraz bliższa ostatniego ciosu  
Dziś już zamilkła, została bez głosu:  
Wenecya niema!  
I Wenecyi nie ma!...

Dziś na nią, jak na biegnącego przez siolo buhaja.  
Wypada ludzi i żywiółów zgraja!  
Wartki Eridan zamula kanały,  
A morze groźnie podnosząc swe wały,  
Co dzień jej płaszcza urywa kawały,  
I coraz nowe zadaje jej ciosy.  
Got ją chwyciwszy za cudowne włosy,  
Przed okiem świata bez litości wlecze,  
I swym dzikim językiem i różgami siecze!...  
Wenecyo! tu miłości minęła już pora,  
Bo któż kochać potrafi w sąsiedztwie upiora,  
Kiedy dreszcz zbiega kości, kiedy włos się jeży.  
Dziś twoje liche śpiewki, twój gondolierzy  
Dobrzy dla tej miłości bez ognia i czucia,  
Na jakiej poprzestaje zwykle syn zepsucia,  
A jaka się u ciebie po kanałach szerzył!  
Więc gdy o zmroku twe ucho uderzy  
Śpiew jakiś tęskny, przeciągły i świeży,  
Co jako gwiazdka na tle nocy błysnie,  
Serce poruszy i lzy ci wycisnie:  
Pomyślisz pewno, że to smętna dusza  
Którą ostrożność przez dzień milczeć zmusza.  
Tu na swobodnym łaguny kryształe  
Tajone w piersiach wyspiewuje żale;  
Więc zwiśnie głowa, i by słyszeć lepiej  
Oko się w fale śpiewające wlepi,



Aż lódz przepłynie, i w szarej pomroce  
 Blade jej tylko światło zamigocze.  
 A gdy jej nuta twe serce rozdyma,  
 Ty ją pogonisz tęsknemi oczyma,  
 I będziesz łowił twoją duszą wrzącą,  
 I cudną harmonię w oddali niktąca!....  
 A gdy zapytasz zkąd płyną te tony?  
 Ach to mieszkancy oddalonej strony,  
 Z pod zimnych lodów, gdzie nie ma miłości,  
 Zwabieni wieścią o weneckiej nocy,  
 Przybyli tutaj z dalekiej Północy  
 Aby zobaczyć czy tu miłość gości!  
 Której gdy się skosztować zachciało,  
 Kupili sobie pięknej dziewczki ciało,  
 A gdy im przyszła poezji himera,  
 Swym gondolierom dali cwancygera,  
 By im cośkolwiek z Tassa zaśpiewali.

Toć świętokradztwo i zniewaga sroga!  
 Dwóch najwznioślejszych posłanniczek Boga,  
 Które Bóg, wieczny poeta przyrody  
 Nad losem świata litością wzruszony,  
 Od swojej Boskiej odczepił korony,  
 I jak dwie perły najpiękniejszej wody  
 Rzucił z przybytków nieśmiertelnej chwały  
 Na padół ziemi, i na ziemi piaski,  
 By ludziom swemi mieniącemi blaski  
 Przegrywką nieba, na tej ziemi grały:—  
 Miłość, poezja—dwa brylanty świata,  
 Któremi niebios przetykana szata,  
 Na każdym fałdzie w poezją bogata  
 I na szwie każdym, jakby blaskiem słońca  
 Iskrami wrzącej miłości kąpiąca:  
 W cóż te dwa skarby podziały się tera,  
 Gdy je kał brudzi, wzgarda poniewiera!  
 O biada ludziom, którzy w swój ślepotcie  
 Twarze aniołów tarzają po błocie;  
 I owym biada, co błądząc okropnie  
 W piękności widzą do rozpusty stopnie!....  
 I biada ludziom o jałowej duszy,  
 Których ideał nigdy nie poruszy!  
 Którzy śpiąc w prozie powszedniego chleba  
 Stracili pamięć o drodze do nieba,  
 A których uśmiech szyderski i suchy  
 Płoszy fantazją i oziębia duchy.

Lecz jeżeli dzisiaj taka świata dola,  
 Że zła zwyciężyła i góruje wola;

Jeżeli mimo postępu manidla,  
 Śmiech wciąż przetrąca uniesieniu skrzydła,  
 A śnieg płomień natchnienia wciąż gasi:  
 To wy anieli opiekuni nasi,  
 Droga miłości i poezyo droga,  
 Rozwińcie skrzydła i wróćcie do Boga!  
 A tu bezkarnie nie ujdzie zniewaga,  
 Bo się jej pomści najstraszniejsza plaga,  
 Gdyż cierń pokrwawi najwytrwalsze łona,  
 Gdyż boleść zdrowia najtęższe pokona,  
 Jak olów ciężka i nieuleczona,  
 I zegnie głowy, jako las trzcinyowy,  
 I twarze srożej niż sam głód wychudzi,  
 Stoczy rdzeń życia, i serca wystudzi.  
 Jak robak będzie wiła się po duszy,  
 Jak dłoń żebraczą cały świat wysuszy,  
 Wyludni ziemię i sprosnemi usty  
 Zachęci ludzi do rzymskiej rozpusty.

• Nuda okropna! nuda to straszliwa,  
 Która uroki żywota pozrywa,  
 I niańczyć będzie od kołyski ludzi,  
 Aż ich zawędzi, aż w końcu zanudzi;  
 A więc okropna dotknie ziemię plaga,  
 Więc gdy pomszczoną zostanie zniewaga,  
 Miłości droga i poezyo droga,  
 Rozwińcie skrzydła, i wróćcie do Boga!

# TRZY PODANIA KAUKAZKIE.

PRZEZ

W. Dawida.

Dziwna to rzecz, iż tam, gdzie nie upowszechniła się jeszcze sztuka piśmienna, każdy fakt godny pamięci żyje pomiędzy ludem i coraz większe, poetyczniejsze przybiera rozmiary zdarzenie, które zapisane i opublikowane, przebrzmiałoby, rozleciawszy się razem z stronicami pisma nakształt tych pajęczych nitek, co podczas babiego lata snują się po dzikich trawach, czepią się po mogiłach i kurhanach, a nawet po lasach i dołach.

Kaukaz, którego ludy dotąd pozbawione prasy i łatwości wpisywania do ksiąg swych dziejów; ten stary Kaukaz jest ogromną księgą podań, fantastycznych legend, żyjących wciąż wśród bitnych ludów dolin i gór. Razem chyba z temi ludźmi mogą one zniknąć lub tylko zamilknąć i zgłuchnąć, gdy piśmienność i oświata książkowa wśród nich wprowadzona zostanie.

Oto z tych podań niektóre:

## I.

### L A S K A H E T Y.

Jeśli kto z wędrowców kaukazkich odbywał podróż przez Ossetię, wojenno-gruzyjskim traktem pro-

wadzącym od północy ku południowi do Gruzji, i podziwiał dziko malowniczy wąwóz Daryal z grzmiącym w głębi Terekiem; słyszał także zapewne o wąwozie Tahaurskim na prawo od niego leżącym, a może oglądał stepową równinę Tahaurską, rozestaną u stóp niebotycznego Kazbeku pomiędzy dwiema rzeczkami: Nogah i Kizil ciągnącą się. Cała ta równina bezleśna i naga, jakby wymieciona, oprócz jednego orzechowego lasku w dolinie Sawadach, Czarny wąwóz zwanój, który jakimś dziwactwem natury bujnie przed wąwozem się rozrósł i wysunął się daleko na równinę.

Było to bardzo dawno, najstarsi osetyńscy i kistryńscy Dżuar-Łagi (1), czyli wróżbici, tego nie pamiętają, wróżbici, którzy wszystko wiedzą, urodzaje i klęski przepowiadają Inguszom, Kistrynom i Gałgajom. Bo oni tylko czynią ofiary na górze Thaw-Wacita (2) świętemu téj góry patronowi bydła i roli, który niekiedy ponad nią, na ognistym wozie z grzmiotem i piorunami przejeżdża.

Trzy dni całe Dżuar Łaga przed świętem Eliasza czyli Wacity obmywa się mlekiem, a w wigilią świętą w białym długim ubraniu udaje się pod górę, gdzie jest tajemnicza pieczara; wynosi ztamtąd świętą czaszę i wstępuje z nią na szczyt góry, ponad którą przesuwają się wieczorne mgły i chmury, długo odbijając blaski zachodzącego słońca. Tam napełnia ją przygotowanem umyślnie do ofiary piwem, stawia na samym wierzchu góry czaszę, a sam zdała nieco uktada się na nocny odpoczynek, zasyłając modły do świętego o pomyślną wróżbę.

Święty Wacita téj nocy wśród chmur i obłoków błyskając nieustannie jasną szalą z błyskawic utkana, z grzmiotami i piorunami, zstępuje z nieba na wierzchołek świętej góry i wywraca zostawioną tam czaszę oliarną, a z oliarą rozlewa błogostawieństwo na ziemię.

(1) Święci ludzie. (2) Ś. Eliasz.

Nazajutrz raniutko w dzień święta, Dżuar-Łag znowu zbliża się do czaszy i uważa na którą stronę wylane ofiarne piwo: ku górom i Ossetyi, czy ku Kabardzie lub Czeczeni, a złąd wróży, gdzie będzie obfitość, urodzaj i błogostawieństwo.

Wtedy oczekiwany wróżbita poważnie zstępuje z tajemniczój góry, na którą nikomu z ludu wchodzić nie wolno, ogłasza wróżbę, a pokolenia Inguszów, Kistów, Gałgajów, Czeczeńców, a nawet rycerskiej Kabardy, znoszą mu wedle możności dary z chleba, baranów lub rogatego bydła. Ciekawi dowiadują się od Dżuar-Łagi swój przyszłości; cierpiący i chorzy zasięgają rad na różne cierpienia i choroby, proszą o lekarstwa, spowiadając się z grzechów, któremi mogli kiedy obrazić i rozgniewać Tbau Wacitę, a podług wielkości grzechu ustanawia wieszczbiarz ilość ofiary dla siebie i świętego.

Jedento z takich Dżuar-Łagów, starzec z brodą jak mleko białą i w białej śnieżnej do kostek szacie opowiadał mi podanie o lasku orzechowym w dolinie Sawadach, choć to już nie za jego zdarzyło się pamięci.

„Żył niegdyś w poblizkim aule dzielny i pobożny dżygit, czyli rycerz, a miał imię Dumbay, żubr, nadane mu złąd, iż gdy się urodził zjechali się z okolicznych autów krewni i kunacy, winszując szczęśliwój matce i ojcu, i odbierając za to różne od nich upominki; a gdy się namyślano jakie mu dać imię, ozwał się zpod bliżkiej góry ryk żubra. Idąc więc za zwyczajem Ossetinów, dano mu miano od tego mężnego zwierza, zanim inne na chrzcie miało to dziecię otrzymać od duchownego.

A było to dobrą przepowiednią, bo gdy dziecię wyrosło, stało się silnym i urodziwym młodzieńcem, miłującym Boga i jego świętych, a nadewszystko swego patrona ś. Jerzego, który jest patronem bojów i napadów.

Jakoż szczęściło się mężnemu młodzianowi: nie było autu nieprzyjacielskiego, do któregooby on nie wpadł i nie obciążył się zdobyczą; nie było zdobyczy i skarbów tak ukrytych, po któreby sięgnąć się nie odważył: a gdzie się zwrócił z swą szaszka, z kim bój stoczył, wszędzie zwycięzko wychodził.

Razu jednego młody Dumbay bawił w Kabardzie u jednego z swych kunaków i powinowatego. Bogaty Uzdeń właściciel autu, gdzie mieszkał ów kunak i powinowaty Dumbaja, był człek dumny, gnębiciel poddanych i źdierca. Nie dość, że u poddanych swych zabierał zwyczajem tamtejszym cokolwiek wpadło mu w oczy: broń, konie, najpiękniejsze barany; ale nawet ich dzieci sprzedawał w obce auty, albo za granicę i w góry. Słuchał o tém wszystkiém Dumbay i zapalił się nienawiścią i zemstą ku Uzdeniowi.

Trzebaż wydarzenia, Dumbay z swym powinowatym wyjechali na polowanie z sokołami. A miał jego powinowaty sokoła, nad którego żaden kniaź w całej Kabardzie nie posiadał. Co ujrzał: bażanta, czy kaczkę, lub drobniejszą ptaszynę nic nie uszło jego szponów.

Na polowaniu spotkał się z nimi dumny kniaź i kazał sobie oddać dzielnego sokoła. Ze łzami rozstawał się z swym wiernym ptakiem kunak; już chciał oddać konia jak orzeł bystrego, aby mu zostawił sokoła, ale nie dało się wzruszyć twarde serce Uzdenia: sokoł stał się jego własnością.

Lecz pierś Dumbaja zawrzała zemstą. „Poczekaj, zawołał za odjeżdżającym Uzdeniem, ja teraz będę sokołem i spadnę na ciebie i na twe dzieci, jak na młode pisklęta”.

Co postanowił, tego też następnej jasnoksiężycowej nocy dokonał. Gdy Uzdeń i wszyscy jego studzy w najgłębszym śnie byli pogrążeni, Dumbaj pomodliwszy się do swego patrona ś. Jerzego, rzucił się z całą zapalczywością ku sakli Uzdenia; a wyłamując ostro-

źnie jedne drzwi po drugich, dostał się do samego wnętrza. Uzdeń spał na szerokich narach, na bogatych kobiercach; obok anielskiej białości i słodczy jego córy i mali synowie. Nadobna małżonka Uzdenia w słodkich marzeniach tuląc ku piersiom najmniejsze z dzieci, zdała się wtedy myśla błędzić wśród rozkosznego raju Mahometa. Na drążku drzémał wydarty sokół, a wokół porozściętane bogate kobierce; pyszne czapraki, broń sieczna i palna wisiąta po ścianach.

Już Dumbaj pochwycił straszny, obosieczny swój kindżał i miał go naprzód utopić w piersi Uzdenia, lecz wtém przypomniał sobie, iż był chrześcianinem, jako i wszyscy współziomkowie jego Osselini, co kilkadziesiąt lat temu już się ochrzcili; ta jedna myśl wytrąciła mu kindżał z dłoni. Złagodniał dziki góral i łza popłynęła mu z oczu, gdy sobie przedstawił rozpacz dzieci, tkania i krwawienie piersi i darcie włosów osieroconej młodej małżonki, gdyby zamordował chciwego Uzdenia. Schował więc kindżał do pochwy, wziął tylko sokoła drzemiącego na drążku, a nadto za trud podjęty postanowił sobie wynagrodzić błyszczącą bronią, gwintówką, szaszka ozdobną w srebro, pistoletem misternej roboty i kabardyńską burką, którą się okrył i wyszedł pozdejmowawszy cicho i zręcznie cały rynsztunek ze ściany.

Według mniemania górali, zręczna kradzież jest czynem odwagi niemniej szlachetnym jak walka na otwartém polu. Czém więc zręczniejsz się tu kto popisze, tém większa dla niego chluba i bez skrupułu może się przechwalać między swemi z powodzenia, a wyprawiając się na kradzież, wzywa opieki i błogosławieństwa ś. Jerzego.

Dumbaj także pod opieką ś. Jerzego już wychodził obładowany zdobyczą i siadał na cisawego konia, gdy nagle psy zbudzone zaczęły się rzucać i głośno szczekać. Postyszał to Uzdeń, zawołał na sługi: w je-

dnęj chwili wszyscy byli na nogach. A gdy się spostrzegli, iż nie ma sokoła, którego tak cenit Uzdeń, iż go w pobliżu siebie na nocleg sadowił; nie ma całego rynsztunku, pięknej broni na ścianie w kunackiej sakli: powstała trwoga, hałas. Wnet osiodłano konie i dalej w pogoń drogą, po której psy wciąż ujadając wybiegały.

Słyszysz Dumbaj poza sobą coraz głośniejszy tętent kopyt końskich, słyszysz złowrogie psów szczekanie; lecz jego cisawy mknie jak puszczone z długiej gwintówki kula, warcząc kopytami i przesadzając rowy i strumienie. Już przesadził wązkie, lecz głębokie toż szumiącego po kamieniach Kizilu, już pędził po lahaurskiej równinie zmiatając rosę po trawach blyszczącą: skrzydlaty El-Borak, co na piątym niebie nosił Mahometa, prędzszym nie był zapewne od cisawego w tej chwili.

— O Allah, Masz Allah! — zawołał Dumbaj, zdając się zwyczajem Mahometan na wołanie Allaha; a razem wezwał El-bisa czyli szatana, aby go czarnymi cieniem nocy osłaniał. „O! El-bisie jeszcze chwilę osłaniaj mnie czarnymi skrzydłami! O! jeszcze Ty Tbau-Wacito powstrzymaj się, nie rozwidniaj stepu i nie wyjeżdżaj na jasnej zorzy zza siwych gór wierzchołków, a każdy Majram-bon czyli dzień piątkowy na cześć ś. Bogarodzicy ustanowiony po koniecu żywota najściślej pościć będę”.

Lecz darmo! bo oto czarny El-bis zaczął pierzchać, a ś. Eliaz gdzieś daleko za górami już zarzucił płaszcz jasnej zorzy na śnieżne święte swoje biodra. Wnet olbrzymi Kazbek zapalił się na samym szczycie powodzią promieni złotego wschodu. Na wschodnim tylko jego boku wśród białości śniegów czerniała paszcza ogromnej pieczary, co zdało się pochłonęła dopiero co pierzchające wojsko El-bisa.

Już darmo! nie masz ratunku! Pogoń coraz bliżej dociera. Ziajane psy naprzód dopędzają Dumbaję.



On rzuca im sokoła uciawszy mu łeb ostrym kindżatem i te chwilę go szarpały, gryząc się między sobą. Dumbaj znów się odsadził od pogoni; ależ jego cisawy już ustaje, coraz gwałtowniej robi bokami, nareszcie ciężko, przeciągle oddycha i—pada martwy!

— Masz Allah!— zawołał Dumbaj, bądźże wola Twoja Allahu! Ginę, lecz ginę w walce przeciw cheiwemu Uzdeniowi, w walce za ukrzywdzonym kunakiem, w walce szlachetnej!

Lecz oto z głębi doliny Sawadah ciemnozielony las orzecha woła do pobożnego młodziana, woła poranym szelestem wonnych swych liści: „Tutaj, tutaj Dumbaju, tu wśród moich gęstwiny skryjesz się jak ryba, co z sieci rybaka pluśnie do modrego morza.

— Ach! jakże ja się dostanę do ciebie mój święty gaju, kiedy cisawy już mię opuścił i rzucił na wolę wrogów. O! łatwiej twym młodym zaroślom i bujnym konarom wylecieć z czasem na środek tej równiny, niż dwa kroki zrobić mojemu cisawemu, lub mnie postąpić ku tobie. O gaju święty! jeśli czujesz litość nad synem tahaurskiej doliny, gdy zginę tutaj, ciemnymi gałęzmi ostoi kiedy me kości, by się nie białaty po stepie”!

Nie czekał święty laszek orzechowy. Nagle zaszumiał gęstemi konary, jak szumią fale pieniacego się morza; wyleciał naprzód z wąwozu i ostoił w jednej chwili czarnymi gałęzmi pobożnego Dumbaja wobec zdumionej pogoni kabardyńskiej, która nie śmiała wkroczyć do środka żyjącej cudownej zarośli. Psy ze strachem skomląc cofnęły się do swych panów, tuląc się i drżąc z przestachu.

Dumbaj dla swęj pobożności nazwany też był Kcheta pobożny. Otóż i laszek orzechowy co wybiegł wtedy na jego obronę i tak pozostał na zawsze wśród doliny Sawadah, odtąd dostał imię Lasu Kchety, tojest Kchetadzi-Koch. Dziś nie masz pastucha,

któryby nie znał tej historyi o Dumbaju Keheta, któryby nie prowadził chętnie ciekawego podróznego znad Wisły lub Niemna pod cieniste konary świętego gaju; któryby nie opowiadał o jego cudownym początku i wystąpieniu z wąwozu na środek doliny, tak jak mnie opowiadał poważny białowłosy Dżuar-Łaga. Lecz tego tak on jako i tanci wcale nie pamiętają i nie za ich to być musiało już pamięci.

## II.

### KURHAN TRZECH-BRACI.

Na lewym brzegu Sundży, w mniejszej Czezeni, pomiędzy fortecą Groźną a Zakan-Jurtem na połowie drogi, wznosi się kurhan znany pod imieniem Trzech-braci. Wieńczy go obecnie obwarowana potężnym wałem i fossą z palissadami obserwacyjna baszta z parą armatek na szczycie, przy których strażnik dokoła bacznie zwraca oko. Jedyny to punkt, z którego całą rozległą dolinę Sundży najlepiej można okiem obejmować, bo zarówno zład Groźna, Zakan-Jurt, Wozdwiżeńsk, jako i dalekie stacje Siemaszki, Michajłowska i inne przy jasnym dniu czernieją w oddali i dymią się po lasach za-sundżyjskich rozsiane nieprzyjacielskie auty. Kurhan ma kształt tępo stożkowy i tak ścięty u góry, iż podróżni, a najczęściej jak w tym kraju nieprzyjaciele naprzeciw siebie jadąc, na szczycie jego niegdyś twarzą w twarz prawie spotkać się mogli, zanim się dostrzegli: tak po przed nimi cała droga zakryta przed i po za kurhanem.

Malowniczo rozłożyła się po kurhanie okazała z Zakan-Jurtu idąca do Groźnej. Mnogość wozów odwożących prowiant żołnierski, tłumy handlarek, które z mąką, winem, lub rybami przeciągają z fortecy do fortecy, także wiele podróżujących, wszystko to eskor-

lowane przez dwie armatki, półbatalion żołnierzy i kilkudziesięciu kozaków liniowych, odpoczywało na kurhanie Trzech braci. Oficerowie i starszyzna siedząc na bębnach, lub leżąc na burkach, pokrzepiali się gorzałką, przekasując kawałkiem sera, lub podróżniami odgrzewanymi kotletami. Prosty zaś żołnierz dobywszy suchara i rozmoczywszy go w wodzie sundżyńskiej poczerpniętej do kociołka, jaki zwykł z sobą nosić u pasa, z równymże zajadał go apetytem, umizgając się tylko niekiedy do młodych dziewcząt często furmaniących, usługując im w podróży lub się przemawiając z mniej powolnemi.

Obejrząwszy dokoła basztę i całą okolicę, dobyłem także z kieszeni kawał bułki i sera, a usiadłszy na trawie zacząłem się posilać; gdy wtém zbliża się mój kunak Czeczeniec z Groźnej, a przywitawszy podaniem ręki, prosi, abym go poczęstował raką, czyli wódką, którą zwykłem miewać przy sobie na wszelki wypadek; gdyż to, czego za pieniądze kupićby nie można u Kozaków a zwłaszcza u Czeczeńców, łatwo jako dowód przyjaźni można było otrzymać, poczęstowałem tylko gorzałką. Za gorzałkę gotowi byli na wszelką usługę i pomoc.

Vinum laetificat cor: rozgadał się mój kunak o niewierności jakiejś pięknej Saddy, a o stałości swych wszystkich trzech żon, podobno niebardzo powabnych i liczących do 180 latek razem.

Lecz ponieważ nie przestawał wciąż powtarzać imię tej jakiejś niewiernej i płochłej, zalotnej a przyłem tkliwej i poetycznej Saddy, zacząłem go badać kategorycznie, aby jakąś treść z tej gmatwaniny wydobyć.

— Któż to była owa Sadda?

— A to była żona jednego z trzech braci. Twoja kunak (1) nie żenił się nigdy z młodą i piękną. Je-

(1) Twoja kunak zam. ty przyjacielu.

man (1) każda młoda i piękna. To szajtan nie maruszka (2); jak szatan cię opęta, ale nie jak dziewica...

— No dość! Teraz powiedz mi, którego z trzech braci była żoną?

— Najstarszego; a on jój mężem i kochał ją zapamiętale, ale ona go zdradziła pokochawszy się w średnim. Ennisa charsun lekum; żona to rola: orz ją sam tylko. Sam zorziesz, sam plon zbierzesz. Żle gdy się ktoś inny wmiesza.

— Aferin! — zawołałem — brawo. Ale któż się wmieszał do nich, i jakim sposobem, i dla czego?

— Trzej bracia kochali się zapamiętale; jeden bez drugiego żyć nie mógł. Ach! były to trzy jagódki na jednej szypułce, trzy orzechy razem zrósł! Lecz wmieszał się szajtan, rozerwał i zniszczył to piękne rąk Boskich dzieło. Brat średni pokochał piękną bratową. Róża rajy, lilia z nad Sundży, młoda piękna Sadda jednym spojrzeniem przebiła serce średniego brata, tak zupełnie jak kindżałem. Spać nie mógł, jeść nie mógł, i gdy inni idą do boju, lub na zdobycz poza Terek, gdzie Giaurów piękne osady, on siedząc na brzegu Sundży, myślał, a myślał jak Derwisz o rajy i jego bóstwie. A tem bóstwem była zawsze Sadda, jój zalotny uśmiech, jój spojrzenie. Słowo Saddy było dla niego wielowładnym rozkazem, który go trzymał zdala od pola sła-wy, od wycieczek, bojów i zwycięstw.

Jednego razu gdy tak błądził wśród pięknych nad-rzecznych gajów, usłyszał szelest i lekko łamiące się chrusty pod stopami jakiejś ludzkiej istoty. Spojrzał: Sadda zbierała suche gałęzie, łamała je i wiązała w wiązkę, zapewne aby przy nich ugotować wieczerzę, upiec szaszłyk na rożnie i upiec suchy czurek (3) dla mającego na noc z wyprawy powrócić męża.

(1) *Jeman zły.* (2) To djabeł nie kobieta. (3) Placek prasny.

Zbliżył się brat średni, pomógł bratowej zbierać drzewka, i zaniósł je do sakli, co tuż stała pod laskiem.

Podziękowała mu Sadda uśmiechem, spojrzeniem i miłym jakimś słówkiem, i jeszcze mu dziękowała, śmiała się i szczebiotała. On zaś w jakimś zapomnieniu słodkiem, w jakimś rajskiem zachwyceniu, upadł przed nią na ziemię, jak się pada do namazu, gdy mułta z dachu meczetu, La Illah il Allah! zawoła, i powtarzał, że chciałby tak jój służyć, dnie, lata i wieki; że całe życie tu i tam w raj u chciałby jój tak służyć, nosić drzewo, palić na kominku, jak podły niewolnik, jak giaur, co im usługuje okuty w kajdany, nosi drzewo na plecach, kołysze dzieci i doi krowy.

I tak ciągle powtarzał aż późno w wieczór, aż wszystko ucichło, zasnęło i tylko ogień pryskał na niskim kominku: czasem jaskrawy buchnął płomień, podsycony dorzuconą gałązką orzecha lub gruszy i odbijał się na błyszczącej szasce i srebrnym kindźale rozkochanego brata Czeceńca.

Było późno: wtém nagle rozwarły się na oścież drzwi sakli, wszedł brat najmłodszy: wszedł, postawa groźna, wzrok jak u wilka, kindżał dobyty w dłoni; na kindźale krew zaschła, widać, że wracał z krwawej uczty, z pośród bitwy.

— A! niewierna bratowo!—zawołał piorunująco—to gdy my na spiecu dzień cały o głodzie i znoju, gdy twój mąż śród dymu i pożarów niesie życie dla sławy i łupu: ty niewierna go zdradzasz i średniego naszego brata zatrzymujesz u swych kolan. On, co nigdy nie opuścił żadnego nabiegu, on pierwszy zawsze w boju, on sławny dźygit naszego pokolenia i ozdoba Zakan-Jurtowskiego aulu, dziś unika dymu i wojny, drży na odgłos huk armat niewiernych. I gdzież ucieka? oto do twych kolan, do kociołków i kominka nosić wodę jak giaur wzięty w niewolę, którego możemy zabić,

zastrzelić, wrzucić do dołu i całe życie na światło słoneczne nie wyciągnąć go zlamtąd. O! nie, żaden z nas nie hańbił się nieczynnością, nie stronił od bojów. Żadna niewiasta w naszym rodzie nie wyzuwała się z wstydu i nie sprowadzała na dom niestawy. Hańba więc za zhańbienie nas!

To mówiąc, pochwycił żelazną dłonią za głowę zbladłą Saddę, nagiął ku ziemi, nastąpił nogą na białą szyję, i zimny, głuchy na krzyk jój rozpaczliwy, na błagania brata średniego, odciął kindżałem jedno ucho, odciął drugie, oberznął nos, ten nos piękny i kształtny, tak obojętnie, jak się obcina kurdiuk barana, z którego ma się piec na różnie smaczny szaszyk (1). I znów kindżał schował do pochwy i wyszedł zostawiwszy w rozpacz i płacz miotającą się z skrwawioném obliczem bratową, zbladłego i pozbawionego siły i męstwa średniego brata, opartego o słup podpierający sufit sakli. Wyszedł z zamiarem porzucenia rodzinnéj strzechy i rodzinnego autu, nieoglądania więcéj miłych brzegów rodzinnego strumienia chyba tylko jak wróg, jak mściciel za zhańbienie krwi jego rodu na każdym, kto by podobnie jak Sadda przyczyniał wstydu jego rodzinie.

Tymczasem zbliżył się cały waleczny orszak Czezeńców, co wracał z wycieczki zaterekskiej, prowadząc łupy, konie, rzędy, kobierce, futra, bydło, brańców i piękne branki kozaczki. Za bratem młodszym zdązał téż brat najstarszy, niecierpliwy ujrzeć lubą małżonkę, która w sakli czuwając, może go tęsknie wygląda.

Jakież było jego zdziwienie, jaka boleść, gdy wszystko znalazł inaczej; gdy zakrwawiona, oszpecona małżonka spotkała go ze tkaniem i rozpacz! Średni brat opowiedział cały smutny powód zemsty brata najmłodszego, a sam upokorzony, klęknął i ręce skrzyżowawszy na piersi, uchylił głowę i zawołał:

(1) Pieczeń.

— Tu, bracie mój, uderz, odetnij tę głowę, w której z czasem mogła powstać myśl zdradzenia cie i występku, myśl płocha! Pokraj tę pierś kindżałem i poówiertuj serce, które mogło zmięknąć i zniewieścieć na jedno łagodne słowo kobiety, a zamiast nienawiści ku wrogom naszym, zamiast zemsty dzikiéj, zaczęło karcić się słodkim nektarem miłosnych zapachów.

Słowo, to szaszka ostra, ostrzejsza od najtwardszej stali. Słowem zwyciężysz i potamiesz bagnety wrogów, zagwoździsz armaty, zamoczysz gwintówki; słowem zdobędziesz ich chorągwie i wały.

Zmiękł gniew mściwego brata i męża już trzymającego miecz w podniesionej dłoni, już szukającego wzrokiem dzikim pierwszego przedmiotu zemsty. Schował szaszkę do pochwy, złagodził, zapłakał; już chciał się ze wszystkimi pogodzić, lecz szatan mu nie dozwolił.

— O nie! tyle sromu i hańby—zawołał—tyle krwi i kalectwa: tu powinien ktoś odpowiedzieć za to. Krew za krew, rany za rany! Pójdę dziś, jutro pójdę, będę czatował, aż w dłonie pochwycę najmłodszego brata i też z nim uczynię, co on z drogą mi Saddą uczynił.

Ale gdzież go było szukać, choć jeździł i szukał po różnych aulach, dopytywał się o niego nawet u mężnych Kabardyńców, zchrześcianceńskich Ossetinów, u rozbrojonych jak baby Kumyków i u długokindżałych Taulinów. Mijały miesiące, lata; on jeździł po górach i aulach, wciąż dopytując się. Małżonka jego Sadda siedziała ciągle jak niewolnica w sakli tkąc złotem i srebrem galony, szyjąc basztyki i czewiaki dla małżonki, lub przedąc jedwab', i nie pokazywała się na świat z bezkształtném obliczem. O najmłodszym z braci i wieść przepadła i zapomniano już o nim w aule. Zapewne poszedł służyć gjaurom i z gjaurami robi wyćieczki na swoich zwyczajem wszystkich Czeczeńców, szukających zemsty na swéj braci.

Lecz jednego razu brat najstarszy, który zaprzysiągł był zemstę na brata najmłodszego, wybrał się z bratem średnim w jakąś podróż. Jechał zamysłony na swym siwym koniu. Wietrzyk dmuchający z za Sundży igrał z białym jego basztykiem, a wschodzące słońce oświeciło jasno i uweseliło ten oto kurhan, do którego dojeżdżał zwolna i wkrótce ku wierzchołkowi podnosić się zaczął.

Gdy już na sam szczyt z koniem wyjeżdżał, z drugiej przeciwniej strony po téjże drodze jechał naprzeciw niemu samotny brat trzeci, najmłodszy, i w jednej chwili obaj z najstarszym stanęli naprzeciw sobie: wzrok niemy utkwili w siebie jak dwa grzechotniki pragnące się pożreć nawzajem. W jednym mgnieniu oka dobyli kindżałów, chwycili je w zęby, a potem jeden i drugi pochwycawszy swe szaszki w prawice, błyskawicą wzniesli je ku górze.

Brat średni, duch pojednania i pokoju rzucił się między walczących, wołając: „Ja, niech ja ginę, bom ja przyczyną wszystkiego; jam pierwszy zasiał niezgodę; ja.”

Lecz szaszki dźwiękły wściekłym dźwiękiem, umyślnie, czy niechcący cięły po głowie brata średniego, tego ducha pokoju. Krew wytrysnęła po białym basztyku, po sukiennym czekmenie: padł bez duszy.

Ale oto znów starszy brat pochwyca w dłoń kindżał, naciera nim jak wąż błyszczącym żądłem. Tamten się niby broni, to niby nie broni; upuszcza swój kindżał, to znów pochwyca odwiedziony pistolet, cofa się i mierzy: wtém jak grom piorunu nagle rzucił się nań brat starszy, utkwiał mu w boku złe żelazo i odskoczył.

Pada na wznak brat najmłodszy, konwulsyjnie ścisnąc słoniową gałkę pistoletu: ten dał ognia. Wiadąc kula już miała na sobie napis Allaha, ażeby z dłoni brata najmłodszego ugodziła w pierś rodzoną naj-



starszego brata. Nie chybiła ani na włos, choć o kilkanaście już kroków on się oddalił, spokojnie kindżał swój połą czekmeniu z krwi bratniej ocierał i na konia miał siadać.

Otóż tak zgingli tu trzech rodzeni bracia. Ten kurhan pokrył wszystkich trzech ciała i Trzech braci kurhanem się nazywa.

Tak opowiadał mój stary kunak, a zawsze zwrot robił do kobiety, która wszystkiego nieszczęścia stała się przyczyną. Podczas jego opowiadania zbliżyło się kilku innych współziomków moich i współtowarzyszów broni. Pousiadali na trawie, lub na zastanych burkach, popodwijawszy pod siebie nogi zwyczajem wschodnim. Kunak opowiadając, do jednego lub drugiego zwracał się, przestrzegając, aby się mieli na baczności od młodych wietrznic, które z przyjaciół i braci potrafią zrobić zaciętych wrogów. Wielkiego jego słowa nabierały tu znaczenia i większego niż się sam kunak nawiasowo je wtrącając, mógł tego spodziewać; gdyż niektórzy czuli do siebie, iż w podobnym i zbliżonym znajdują się pomiędzy sobą położeniu. Zazdrość i podejrzenie, zda się rozżarzały się pod skwarem kaukazkiego słońca i nakształt siarki rozogniały ten płomień miłosny, który niekiedy zapalała jaka piękność, przybywająca z zachodu Litwinka lub Polka, albo i miejscowa hoża góralka.

Po skończonem opowiadaniu obeszlśmy cały kurhan dokoła, a nawet wstąpiliśmy na wieżę, gdzie wartownik stał przy armacie rzucając dokoła okiem po rozległej otwartej okolicy. Smutne cisnęły się do głowy uwagi na tém miejscu, gdzie ku przestrodze może śmiertelnych, polegli od własnej broni trzech najrodzeńsi i kochający się bracia, uwiedzeni przesądem, omamieni błahą myślą zemsty.

Na samym szczycie baszty, na jednym ze słupów dostrzegłem te słowa, skreślone ręką kłóregoś z ziom-

ków moich, któremu widać tutaj te same co mnie nasuwały się myśli:

Ach wszystko piękne, gdzie człek nie gości!

Tyle w naturze szczęścia, miłości,

Tyle tu tego zasiano chleba,

Że nam używać tylko potrzeba,

Z piersi natury ssać jój słodycze:

Ach czemuż ssiemy tylko gorycze!

Ach! wszystko piękne, prócz dzieł człowieka:

Gdzie człowiek stąpi, szczęście ucieka,

Gdzie ręką sięgnie, życie zamiera,

A kędy spojrzy, grób się otwiera!

### III.

Następną opowieść zawdzięczamy naszemu kaukazkiemu współtowarzyszowi broni Wł., z pod którego pióra wyszła, i zamieszczamy ją co do słowa nie śmiejąc nic zmienić w tym silnym i ognistym toku wschodniej legendy.

#### KRYNICA ŁEZ.

Nie wesotę miałem drogę z Temir-Chan-Szury do Piatihorska, pisze w jednym z swych listów mój współtowarzysz. Po widokach Dagestanu, smutny, nagi, żółto-bury step, między Kuntur Kale i Temir-Gojem (1), napełniał mnie nieopisaną nudą i tęsknotą; ale życiodawcza miłość i tę przekłętą i zapomnianą od Boga ziemię zaludniła cudowną powieścią, uświęciła, ubłogosławiła żywym źródłem czystej wody i czystszej jeszcze poezyi. Powieść bardzo prosta; opowiem ci ją w kilku wierszach, jak mi ją Bakir-Siwy Tauliniec, mój woźnica opowiedział.

„Na lewo za temi wzgórzami są lasy, doliny i ogrody, szumiące strumienie kryształowej wody, uprawne pola i wsie piękne i bogate. Na wsiach siedzi lud prawowierny, najlepsze dźgity Szamila. Znaie ich po żółtych czuchach, ostrych szablach i nigdy nie chy-

(1) Na drodze od Temir-Chan-Szury do linii Terekskiej.

biających gwintówkach. Żony i siostry tego ludu smukłe i wiotkie jak topole, zwinne i silne jak tygrysi-  
ce, kwitną zdrowiem i rumieńcem jak dzikie róże na  
sianożęciach ich ojców. Byłem dwa razy w tym kraju;  
pięknie tam, zielono, cienisto i swobodnie. Noga giau-  
ra nie splamiła grobów pradziadów, i są tam siwobrode  
starcy, którzy was jasnowłosych na oczy nie widzieli.  
Nie oddałbym jednak naszych gór ubogich, gdzie psze-  
nica się nie rodzi, za owe pełne złotokłose łany. Tau-  
liniec rad ze swojej doli wszędzie i za wszystko  
chwali Allaha: czy pasąc stado białych owiec, roz-  
ciągnięty na miękkiej trawie wpatruje się w śnieżne  
szczyty, po których wesołe słońce igra milionami ró-  
żnobarwnych ognii; czy tuląc się pod urwisko skały, ze  
strachem wsłuchiwa się w ryk burzy i trzask piorunu,  
tłukącego lodowate łona gór naszych; czy goniąc  
okiem mętny i burzliwy potok, myślą rzuca się w kipią-  
cą, klekocącą przepaść. Nie zna białych ezureków  
i słodkich bardydzanów, lecz ze smakiem zajada  
prosiany chiukał i ostropachnący pindir, a pienista  
buza lepiej mu służy, niż złoty na równinach nar-  
bek: chandzar nasz równie ostry jak szaszka czeczeń-  
ska, i nasza tiufenk zawsze trafia w szerokorogiego  
tura i kosmatego niedźwiedzia. Jedna tylko jest rzecz  
na równinach, za którą Tauliniec oddałby głowę swo-  
jej prababki: jestto owo czarnookie dziewczę, smukłe  
jak topola, świeże jak dzika róża i jak tygrysica silne  
i zwinne.

Dawno już, bardzo dawno, jeden nasz młodzian  
i dziewczyna z równin pokochali się wzajemnie. Ona  
była córką dumnego Uzdenia; on prosty pastuch ubogi.  
Uzdeń sto tumenów (1) kałymu myślał wziąć za cór-  
kę, pastuch nie miał ani jednego; uciekł więc w doliny  
i z kindzałem u pasa, z gwintówką w ręku, w trzci-  
nach nad Terekiem, czyhał na zdobycz. Allah mu po-

(1) Rubli.

szcześcił. Ormianin gaur z Kizlara objuczony złotem przejeżdżał do domu. Z zarośli wysunęła się blada twarz górala, i oczy jak dwa węgle błyszcząły nadzieją. Paf! i pies niewierny jak tłusty dungus zakwiczał żałośnie.

Jednym susem jak bars rozjuszony wyskoczył młodzian na drogę; kindzątem rozpruł plugawy brzuch giaura, schwycił konia i złoto i jak wiatr popędził do lubej. Aż u wrót aułu zatrzymał się dopiero; zrobił namaz, ucałował gwintówkę i skrwawiony kindzątem dostał worek ze złotem i zaczął liczyć. Naliczył 99 tumenów. Jednego niedostawało, jednego tylko: cóż to jeden znaczy? Dumny i pewny siebie wszedł do domu Uzdenia i tuż przy selam - alejkum złożył mu u nóg pieniądze.

— Alejkum-selam, — odrzekł Uzdeń i na kwiecisty pałas (1) wysypał błyszczące złoto: układał kupki po 10 tumenów i każdy pieniądz ważył na dwóch palcach. W kącie sakli siedziała dziewczyna i młodzian mógł rachować uderzenia jęj serca, tak głośno kołatało w łonie. — Jednego nie ma! — zawołał Uzdeń; przynieś jeszcze jeden i oddam ci dziewczkę.

To mówiąc, wsypywał do worka tumeny, zawiązał je potem rzemykiem i zamknął do skrzynki. Góral stał niemy i blady i machinalnie rękę poniósł do kindżała; Uzdeń spokojnie nakładał fajkę o długim cienutkim cybuchu. W kącie sakli dziewczyna zakryła oczy białemi rączkami; góral spojrzał w tę stronę i twarz mu złowieszczym ogniem spłonęła. — Allah! — krzyknął nareszcie i ostrze kindżała po rękojeść w Uzdenia piersi zagrzęzło.

W godzinę potem koń spieniony niósł po stepie dwoje kochanków. Ona tuląc się do piersi góralskiej gorzko płakała; on ciągle się za siebie oglądał i wkleste boki zmęczonego konia ćwiczył co miał siły. Koń

(1) Kobierzec.

coraz ciężej dyszał; widać ostatnich sił dobywał: raptem zadrzał i upadł nie żywy. Kochanków noc na stepie zaścigła. Ona tuląc się do piersi gorzko wciąż płakała; on jeszcze się za siebie oglądał, ale nic nie zobaczył. Na stepie śmiertelna panowała cisza. Wiatr nawet z wąwozów gór wypychając wilgotne białawe tumany, konał u stóp wzgórzy. Góral ucho przyłożył do ziemi i wstrzymując oddech słuchał uważnie: — Nikt nas nie goni, rzekł, spocznijmy. — Noc coraz ciemniej rozścielała swój ciemny chylat (1) i z niewidomego skarbcu hojną ręką sypała perły kroplistej rosy. Drżącą dziewczynę burką otulił młodzieniec i pożądliwie przycisnął do piersi. Zmieszały się westchnienia i w palącym pocałunku stopniały ich dusze. Godziny bieły w rozkosznym upojeniu, szczęśliwym dane błogostawionej młodości. Kałym, ucieczka, krwią buchająca pierś Uzdenia były dla nich kłamliwą marą, wspomnieniem z innego świata, jakimś z cudzego życia wypadkiem. Czemuż ziemskie rozkosze takie znikome i krótkie? Wieczny jest jeden Bóg! Na jego łonie w raju z jego prorokiem, w objęciach wiecznie młodych i niepokalanym hurys, prawowierny znajdzie niezakłócony pokój i szczęście.

Świeży powiew poranku rozwiął czarowne ułudy, a rumiana zorza trwogą napełniła kochanków. Dziwnie jakoś spojrzeli po sobie. Ach! w tém spojrzeniu nie było nadziei.

Z dalekich wzgórz dzień strząsał tumany; para stepowych orłów nad zdechłym koniem krążyła, a na krańcach widnokregu czerniało kilka ruchomych plamek. Młodzieniec oczy ku górom obrócił i — pogoń! — drżącym wymówił głosem. Całe piekło rozpaczy zawrzało mu w piersiach i kurczem szatańskim skrzywiło mu lice. Obłąkany jedną ręką uchwycił za kindżał,

(1) Płaszcz.

a drugą za ramię kochanki; ale nie miał siły uderzyć. Czerniawe plamki tymczasem wyrastały w jeźdźców na cwałujących pochyłonych koniach. Dziewczyna we łzach tonęła. On opuścił ręce i padłszy na kolana zaczął prędko i przerywanie powtarzyć święte słowa Koranu:

„W imię Boga łitościwego i miłosiernego! Chwała niech będzie Bogu, Panu wszechświatów, Samowładcy w straszny dzień sądu! Ciebie Boże wielbimy, łaski i miłosierdzia twego żebrzemy. Prowadź nas po drodze sprawiedliwych, po drodze tych, których obsypałeś Twemi dobrodziejstwami; a nie po błędnej drodze tych, którzy gniew Twój na siebie ściągnęli. Boże nie daj mnie na urąganie wrogom moim, cudem Twoim wybaw od pośmiewiska nieprzyjaciół duszę moją, a ciało jej od poharbienia..... w prochu i poniżeniu łitości Twojej żebrzemy” (1).

La Allah! Bóg wysłuchał modlitwę młodzieńca; jak stał ku ziemi pochylony, tak w kamień się przemienił: dziewczyna rozplynęła się we łzach. Ludzie zapomnieli nazwiska kochanków, kamień tylko dotąd zowią Taulinem, a źródło Łez-krynicą.

Oto jest cała legenda o tym słupie białym, który zapewne widziałeś na stepie, i o krynicy, z której wodę piłeś niezawodnie.

(1) Modlitwa ta jest dosłownie tłumaczony 1 rozdz. z Koranu.

## TERMINOLOGIA LEKARSKO-POLSKA.

PRZEZ

*Józefa Orkiszka.*

---

Pierwszym a nieodzownym warunkiem każdej nauki a szczególnie na piśmie podanej jest, aby była zrozumiana, tak, jak rozumie autor, który ją wyklada; albowiem praca jego, choćby z największym mozołem prowadzona, nie osiągnie zamierzonego celu, dzieło zaś, nie mogąc być dla nikogo użytecznym, zaniechanem zostanie, i tylko po księgarniach pulki zalegać będzie.

Mowa każdego człowieka, obdarzonego zdrowym rozumem, jest to myśl żywotna duszy jego przyobleczona w szatę zmysłową, która, wydostawszy się raz na świat, działa na umysły ludzkie w ten sposób, jak harmonia muzyki na zmysł słuchu, jak promienie słońca na cały system świata żyjącego, ogarniając go swym wpływem ożywczym; jest to jakiś wpływ subtelny niczem określić się nie dający, utrzymujący sposobem sobie właściwym harmonią duchową, prawdziwe obcowanie dusz pomiędzy sobą, wyrabiając się i doskonaląc prawie do nieskończoności. Żadna więc potęga świata fizycznego nie posiada dosyć sił, aby powstrzymać człowieka myślącego od wykładania swoich myśli i uczuć sposobem, który za najdokładniejszy uznał. Wszakże, aby myśli te udzielić komu innemu, albo-li téż na wieczną pamiątkę zostawić potomności, należy je uzmysłowić, to jest: nadać im pewną, stałą a niewzruszoną formę, wylać je z siebie; myśli bowiem nasze, według woli każdego człowieka wyrazami rozmaicie dorabianymi wykładane, nie mogłyby

być zrozumiane ani przez kogo innego, ani nawet przez samego siebie. Tak samo postępujemy sobie z myślami muzycznymi za pośrednictwem zmysłu słuchu, jako też z myślą malarską za pomocą zmysłu wzroku. Wiedzieć bowiem należy, że jak duch nasz myśli przy swoich działaniach umysłowych, tak też podobnie myśleć musi przy działaniu swoich uczuć zmysłowych, a w szczególności zmysłu słuchu i zmysłu wzroku. Zmysły słuchu i wzroku należą, według zdania mego, do zmysłów duchowych czyli umysłowych, gdyż za działaniem ducha naszego, przez te zmysły wznieść się możemy do marzeń umysłowych, jak się to dzieje przy kompozycjach muzycznych, malarskich i rzeźbach, w których dusze nasze za pomocą wrażenia zmysłowego wnoszą się i rozkoszują w zachwyceniu umysłowym. Przeciwnie zaś zmysły smaku, powonienia i dotykania są to zmysły cielesne, za pomocą których odbieramy wrażenie przedmiotów zewnątrz nas istniejących, nie mogąc za ich wpływem wznieść się w krańce marzeń: bowiem zmysł smaku, powonienia i dotykania, odbywać zdaje się bez udziału ducha myślącego. I dlatego genialni kompozytorowie muzyki, malarstwa i rzeźby, rodzić się muszą tak, jak się rodzą wielcy filozofowie, lekarze, poeci i t. d. Największa praca nie doprowadzi do szczytu doskonałości, jeżeli potemu nie ma talentu z natury. Ztąd wynika, że mowa ludzka, aby posiadała wszelkie przymioty mowy uczonej, potrzebuje czasu do wyrobienia się i udoskonalenia tak długiego, jak długo żyje naród, który nią włada i tłumaczy swoje najgłębsze myśli i uczucia. Wyrażenia zaś pojedyncze, które stanowią całą osnowę myśli naszych, muszą się rodzić, wyrabiać i doskonalić, tak jak się rodzi, wzrasta i doskonali człowiek; jak się rodzi, wzrasta i doskonali myśl jego; jak się rodzi, wzrasta i doskonali cały naród; jak się rodzą, wzrastają i doskonalą stosunki pomiędzy ludźmi naród składającymi: stosunki materialne co do świata fizycznego, obyczajowe zaś i duchowe co do świata umysłowego. Jakże więc pomyśleć możemy bez narażenia się na śmieszność, o terminologii oryginalnej szczeropolskiej uczonej, kiedy takowa powinna być terminologią całego uczonego



świata, skojarzeniem się i zespoleniem myśli ludzkich całego rodzaju ludzkiego, w jednakim celu i na wspólną korzyść pracującego.

Nauki i wynalazki przechodzą z jednego narodu do drugiego sposobem spuścizny, wydoskonalając się i wyrabiając coraz to lepiej, w miarę, jak się naród jaki przykładał do nauk, i miał potemu okoliczności mniej lub więcej sprzyjające. Za nimi w ślad poszedł i język, w którym nauki te i kunszta wyrabiane były. Jakże więc powinniśmy przechowywać i szanować geniusze wieków ubiegłych, ich talenta i prace, kiedy one przechodzą do nas pełne skarbów umysłu, przynosząc nam przepisy zdrowia i sposoby na pokonanie chorób; kiedy one utrzymują rozumowe stosunki pomiędzy uczonemi narodów ubiegłych jak i teraz żyjącemi; kiedy one utrzymują rozmowę duchową pomiędzy Hippokratesem, a lekarzami tegoczesnemi, pomiędzy Celsusem, Heuronem, a chirurgami obecnie swą sztukę wykonywającemi; pomimo, że tak wielka przedziela ich odległość miejsca i czasu. Zaiste, nie mam tak dobitnych wyrazów, abym niemi mógł wykazać, jak wielce powinniśmy szanować ich mowę i sposób tłumaczenia się, jak niemniej pojedyncze wyrażenia i dobierane wyrazy techniczne, któremi najgłębsze swe myśli tłumaczyli i niedostępne tajniki natury przed nami odkryć usiłowali.

Jeżeli tegoczesne narody oświecone, jakimi są: Francuzi, Anglicy, Włochy, a szczególnie Niemcy, których język tak wielką posiada łatwość łamania się i przerabiania na oznaczenie jakiego wyrażenia naukowego; jeżeli mówię narody te nie zadają sobie żadnej pracy, aby nazwiska naukowe tłumaczyć własnym językiem, ale owszem przekonani są, że dla lepszego pojmowania, również jak dla tłumaczenia nauk wykładanych, wyrazy techniczne, przez mędrców narodów ubiegłych nam przekazane, a przez uczonych świata całego przyjęte i do języka własnego wcielone, w niczem zmieniane być nie powinny: nie pojmuję, dlaczego my Polacy odróżnić się usiłujemy od wszelkich narodów uczonych, tworząc i dorabiając wyrazy techniczne lekarskie, nibyto czysto-polskie, a w gruncie zaś swym nie dające się udo-

wodnić, ani jasnym tłumaczeniem rzeczy, ani dokładnym jej wykładem, ani nawet naturą języka samego. Czy rozumiemy, iż nagromadziwszy dowolną ilość wyrazów technicznych, zubożymy nasz język? nadamy nauce więcej treści? a pojedynczym w niej traktowanym przedmiotom więcej wyrazistości i powagi? Bynajmniej, przemieniać wyrazy naukowe powszechnie już znane i używane, a zastąpić je nowymi, które dopiero w znaczenie i w myśl naszą wchodzić mają, jest to samo, jak lekceważyć i zaniedbywać wszelkie nauki i wynalazki świata dawnego; jest to zostawiać nas ciągle w stanie sieroctwa i nieudolności, abyśmy na nowo myśleć rozpoczynali, i bezustannie pracowali nad tem, co już dawno znanym było. Wyrazy naukowe wzbogacają język kiedy są szczęśliwie wynalezione, a do wyrażenia przedmiotu trafnie zastosowane; ale na utworzenie takiego wyrazu, potrzeba nieraz daleko więcej talentu, aniżeli do utworzenia nowej jakiejś myśli. Wyraz szczęśliwie dobrany przyjętym zostanie z zadowoleniem powszechnym; gdy przeciwnie, każdy inny źle dobrany, mącąc nasze myśli, wałęsa się tylko po pismach, i lada chwila wyrugowanym z niego zostaje. Ileżto wyrazów tworzono i dobierano przed kilką laty w Warszawie, na oznaczenie nazwiska powozu, którego przeznaczeniem jest posługiwać w przejażdżkach spacerowych; a jednak żaden z nich nie przypadł do smaku i musiano pozostać przy wyrazie łacińskim *omnibus*. Ileżto czasu upłynęło, jak wprowadzono do literatury polskiej wyraz *przyroda* zamiast wyrazu *natura*; a jednak każdy nieuprzedzony człowiek, który nawykł zastanawiać się i myśleć o rzeczach poważnych, przekonany jest w duchu, że wyraz *przyroda* w żaden sposób nie może oznaczyć tego, czego po nim krytyka filozofii wymaga. Wyraz *natura* należy do rzędu wyrazów historycznych, których początek odnieść należy do czasów najdawniejszych. *Pogauizm*, *barbaryzm* są również wyrazy cudzoziemskie, ale że są historyczne, ani się nawet śni naszym purystom zastąpić je wyrazami czysto-polskiemi.

Z tego wszystkiego okazuje się, że nie łatwo znaleźć się może w narodzie człowiek tak utalentowany, aby mógł tworzyć i dorabiać wyrazy w języku narodowym,

któreby i nie kaleczyły języka i odpowiadały wszelkim warunkom przedmiotu określić się niemi mającego. Język każdego narodu jestto puścizna żyjąca chwały lub nagany, cnót lub niedoleżtwa jego. Jestto historia kwitnących towarzystw, świadectwo oświaty, kunsztów i rzemiosł na jakim stopniu stał naród, jakim postępowaniem posuwał się naprzód lub pozostawał za drugimi, a nawet cofał się wstecz. Język więc szanować i przechowywać należy w czystości, tak, jak szanujemy naszych ojców i dobrodziejów, którzy dobrém swém postępowaniem lub rozsądną radą napoili nas wszelkiemi cnotami narodowi chwałę przynoszącemi; ale przekształcać go, kaleczyć i z gruntu obalać, nadając mu szorstkość, rubaszność, niezrozumiałość, nie godzi się pod żadnym względem. Jestto wrodzona nam wada, której żadném nieszczęściem pozbyć się nie możemy, burzyć i niweczyć najpiękniejsze utwory własne, jedynie w téj nadziei, że utworzymy coś lepszego i doskonalszego. W rzeczy zaś samej nie mamy dość cierpliwości, aby doprowadzić do końca to, cośmy z największym zapalem rozpoczęli. I tak téż z językiem naszym postąpić sobie zamierzamy.

Przejrzyjmy owe sławne z nauk i sztuk wieki pod Peryklosem w Grecyi, pod Augustem w Rzymie, pod Leonem w nowożytnych Włoszech, pod Ludwikiem we Francyi, pod Fryderykiem Wielkim w Niemczech, pod Zygmuntem I i II w Polsce, a nie znajdziemy nigdzie, aby ludzie uczeni marnowali czas nad przerabianiem i tworzeniem wyrazów najważniejszą część mowy stanowiących.

Zaczawszy od uczonych Egipcyan, gdzie kolebka rozumu ludzkiego spostrzegać się daje, przechodząc chronologicznie do Greków, Rzymian, Arabów i Włochów, jak niemniej przez cały szereg narodów ucywilizowanych, wszędzie spostrzegamy wielką usilność ludzi uczonych doskonalenia nauk i wynalazków, wszędzie wielką skrętność ku przechowaniu tychże dla potomności, jako skarb naukowy publiczny, do którego każdy naród starał się dołożyć coś jeszcze z bogactw przez siebie uzbieranych. Nigdzie zaś wynaléźć nie można, aby mędracy świata dla lepszego pojmowania

i wyjaśnienia rzeczy poważyli się zmieniać i przerabiać język, którym tłumaczono nauki swoje. Owszem, przechowywano go i szanowano jak relikwie, dodając za każdym postępem nauk, wyrazom uczonym więcej powagi i wartości, przez co cała terminologia uczona, jedni drugim podając, dochowała się aż do naszych czasów, zostawszy do własnych języków wcieloną.

Jan Śniadecki (tom II, stron. 307) powiada, że mnogość wyrazów i słów nie stanowi bogactwa języka, kiedy te słowa nie wyrażają nowych myśli i rzeczy: mogą one być wygodne mówcom, kaznodziejom i poetom w języku pospolitym; ale w naukach głęboko pomysłanych nie prowadzi to do postępu nauki lub jasnego tłumaczenia myśli, ale owszem zaciemnia, matwa, i robi niezrozumiałym cały przedmiot traktowany. Jeżeli chcemy myśl swoją do postępu nauki zastosować, albo téż z obcego języka na własny przelać, a nie mamy na pod ręczu wyrazu trafnego i dokładnego, w razie takim powinniśmy starać się językiem tak łamać, kierować i naginać go w taki sposób, aby myśl swoją wyłożyć, nie odstępując ani od natury mowy uczonej, ani od zwyczaju w narodzie przyjętego: a jeżeli tym sposobem podolać sobie nie możemy, to lepiej jest użyć wyrazu z obcej mowy już utartego i przez każdego dokładnie zrozumiałego, jak zastosować nowego jakiego dziwoląga, który zamiast zrozumiałości zrządzi zamglenie, zamiast dokładności wątpliwość, zamiast przyjemności pogardę i wstręt do autora, który go użył. Wyrazy terminologiczne w początkach nastania swojego w całej prostocie mowy do nauk wprowadzone, nie miały jeszcze wówczas takiego określenia, jakiego dzisiaj po nich wymagamy i w nich się domyślamy; bo prawdy odwieczne w tajemnicach żywota natury złożone, stopniowo tylko przez człowieka myślącego wierać w nie umiejącego, odkrywane były: a więc i terminologia naukowa powoli się wyrabiała i wydoskonalała, przybierając za każdym głębszym zaglądem w istotę przedmiotu coraz to większe znaczenie, nie tylko zmysłowo spostrzegać, ale jeszcze umysłowo domyślać się pozwalające. Wyrazy naukowe z języka własnego tworzone, nawet z talentem dobierane,

oznaczają tylko to, co same są warte i nic więcej. Ale nauka głęboko pomyślana wymaga, prócz wyrażenia zmysłowego, coś więcej: coś nadzmysłowego, idealnego, tylko umysłem pojmwować się dającego. Na to nie ma już innej rady, jak użyć wyrazu obcego, powszechnie już znanego i za takiego przez narody uczone uważanego. Niech mi kto nazwie w języku swoim *plastyczność, idealność, intelektualność, subiektywność, specyficzność, genialność* i wiele innych, jakim wyrazem czysto polskim, któryby to samo tłumaczył i wyrażał, co przez niego rozumie i tłumaczył zamyśla filozof i badacz natury. Że tak jest istotnie już to udowadnia, że nasi polscy puryści, obok wyrazu przez siebie utworzonego, zawsze dopisują wyraz techniczny dla pewniejszego rzeczy pojmwania, a to ma być tak długo, dopóki wyraz nowy się nie utrzyma do języka nie wcieli. Co wszakże nigdy nie nastąpi; albowiem jeżeli wyrazu jakiego od początku jego nastania pojąć i do swoich myśli zastosować nie możemy, to też zapewne wahać się tylko będzie tak długo, dopóki go ze wstydem na zawsze z pisma nie wyrzucą.

Zaledwo upłynęło lat kilkanaście, jak nas pożegnał na zawsze nieodżałowany filozof i lekarz Jędrzej Śniadecki, prawdziwy filar języka polskiego, który, jakby na strażnicy stojąc, wszelkimi siłami ochraniał język polski od zarazy i kalectwa, a jużci jakby na przekorę jego cnót obywatelskich i miłości języka narodowego, powystępowali liczni szermierze, którzy prowadząc polemikę wyrazów naukowych, pracują nad zepsuciem i zatraceniem języka własnego. Na cóż zdały się owe przestrogi i wywody naukowe, któremi przewodniczył ucząc się młodzieży? Na cóż się zdały owe jego prace oryginalne, zajmującą polszczyznę pisane, któremi zachwycał publiczność uczoną; czego się spodziewać możemy z takiego zamętu terminologicznego? Bez wątpienia nie innego, jak ogólnej anarchii językowej, prawdziwego zamieszania babilońskiego. Do tegośmy już doszli, że jeden drugiego rozumieć nie może. Przyjdzie czas, że się wstydzicie będziemy dzisiejszych wyrobów językowych, tak, jak się pochwalicie nie możemy językiem polskim z czasów powszechnego zepsucia jego od 1621

do 1764 roku, w których dla swój rubasznosci, makaronizmów i wyrażen nadętych do rzędu języków Europy wykształconych policzonym być przestał.

Przynaglać, aby człowiek głęboko myślący, swoje pomysły naukowe wykladał wyrazami narzuconemi, nie posiadającemi wszelkich przymiotów wyrazu technicznego, jedynie w tém przekonaniu, że z czasem się utrać, i prawo obywatelstwa nabędą: jest to samo, jak wymagać uporczywie, aby kto fałszywe dźwięki muzyki za melodyą harmonijną uznawał, albo, aby przedmioty odrazę wzniesające, za najprzyjemniej woniejące uważał, w przekonaniu że z czasem do tego przywyknie a nawet polubi. Wyrazy naukowe przedmiotów poważnych są to klucze, któremi dojść możemy do najskrytszych tajników świata całego; klucze przez mędrców świata starego utworzone a przez ich następców obrabiane i wydoskonalone. Szanujmy je, jak je szanują narody oświecone, które z wielkim dla nauki pożytkiem, a niemalą dla narodu swego sławą, nietylko je w pierwotnej czystości przechowują, najgłębsze swe nauki niemi wykładają, ale jeszcze tam, gdzie się własnym językiem dostatecznie wytłumaczyć nie mogą, do postępu nauki nowe tworzą.

Szanujmy je powtarzam, i pielęgnujmy, bo jak je zaczniemy przerabiać, przekształcać, a według zdania purystów polskich na wyrazy czysto polskie przeistaczać, owe skarby naukowe zostaną dla nas zamknięte na długi przeciąg czasu, a może i nazawsze. Jak dalece szanowano i wysoko ceniono dzieła naukowe lekarzy genialnych z czasów greckich, rzymskich lub arabskich, przekonac nas powinna okoliczność następująca. W wieku XIII po uniwersytetach włoskich w Bolonii, Ferrarze, Padwie i Medyolanie zalecano professorom wyraźnie, aby ściśle trzymali się nauki Hippokratesa i Galena, nawet w tym duchu pisali własne dzieła; król zaś francuzki Ludwik XI ofiarował lekarzowi arabskiemu Rhazes 1471 roku za pożyczanie tylko rękopismu jego, srebra swoje i szlachectwo.

Każda nauka jakakolwiek ona jest, składa się z pojedynczych zdań czyli myśli, według prawideł logiki powiązanych i do pewnego celu zmierzających; każda zaś

myśl, jeżeli ją komu udzielić, albo też na piśmie zostawić chcemy, składa się z pojedynczych wyrazów czyli postaci, które według zasad grammatyki, natury języka, i zwyczaju narodu powiązane, stanowią osnowę tejże nauki; że zaś każda nauka zawiera w sobie część umysłową czyli teoretyczną i część doświadczalną czyli praktyczną: tak też i wyrazy terminologiczne, za pomocą których nauki wykładane bywają, odnoszą się albo do naszego ducha i malują nam stosunki duchowe, materyalne; albo też do naszych zmysłów, i wyobrazają nam stosunki materyalne. Pierwsze, ze względu na to, że się dotyczą li tylko osoby myślącej, nazwaćby można *wyrazami osobowemi* (termina subjectiva); drugie zaś, ponieważ zależą od przedmiotów pod zmysły podpadających, znane są pod nazwą wyrazów czyli *postaci przedmiotowych* (termina objectiva). I właśnie też dlatego wyrażenia *osobowe* według naszej fantazyi zmieniane być nie powinny, bo się urodziły i wyrobiły w duchu ludzi głęboko myślących; historia rozumu ludzkiego w oryginalnej czystości jako spuściznę nam je przekazała, a mężowie uczeni narodów oświeconych, w swoich pracach naukowych po dziś dzień takowych używają. Tu należą wyrazy: organizm, system, instynkt, temperament, antagonizm, dynamizm, cretism, i t. p., ponieważ w tych wyrazach domyślam się, według mojego uczucia osobistego, coś umysłowego, czego w języku własnym żaden naród określić nie potrafi. Przeciwnie zaś, *wyrażenia przedmiotowe* według zmian wynalazków, sztuk i rzemiosł, coraz to inną przybierając postać, odmieniać i przerabiać się powinny. Ileżto przemian doświadczyła i jeszcze doświadczać będzie cała terminologia nauk przyrodzonych; gdy przeciwnie terminologia nauk czysto filozoficznych i medycyny teoretycznej pozostaje prawie niewzruszoną od najdawniejszych aż do naszych czasów, jedynie dlatego, że zawierała w swym składzie wiele pomysłów czysto oderwanych, czyli abstrakcyjnych.

Zastanówmy się nad historią języka polskiego, nad jego rozwojem i postępem, zaczawszy od początku aż do naszych czasów, przechodząc kolejno przez rozmaite ku jego wykształceniu lub zaniedbaniu posłużycy mogące

okoliczności: a łatwiej wykazać będziemy mogli, o ile dawniejszy sposób tłumaczenia i wyrażania przedmiotów pojedynczych, a nawet całych pomysłów w naukach poważnych, zastosować będzie można do teraźniejszego stopnia wykształcenia naukowego.

Język nasz, jak każdy inny, zawiązawszy się wśród grubej ciemnoty narodu niewyrobionego, przechodzić musiał rozmaite koleje przez znaczny przeciąg czasu, zanim dostał jakiegoś stopnia obyczajności. Cały ten przebieg starań i zawodów w wykształceniu się zajmuje okres pierwszy, który rozciągnąć możemy aż do zaprowadzenia religii chrześcijańskiej. Z ustaleniem religii w Polsce rozpoczyna się nowa epoka oświaty narodowej. Stan duchowny przewodniczył tu wszędzie i we wszystkim, i był wyłącznie prawie jedyny, w którym nauki i sztuka z czasów najdawniejszych pozostałe, nietylko się gromadziły jakby do wspólnego ogniska rozumu ludzkiego, ale się tutaj przechowały, uprawiały i doskonaliły, z którego naksztalt promieni słońca cały naród oświecały i uzacniały. Okres ten zajmuje przeciąg czasu aż do zaprowadzenia Akademii krakowskiej 1347 roku. Cała wiadomość lekarska owych czasów zasadzała się na odczynianiu uroków, na grobach świętych i na przebłaganii Boga; sposób zaś leczenia ograniczał się na skromnym jedzeniu i picciu, na przechadzkach i kąpielach. Wprawdzie znano już niektóre rośliny, zalecano ich do kąpieli lub do zażywania wewnętrznego, ale ich działania lekarskie na organizm ludzki nie były jeszcze ani oznaczone, ani dokładnie wskazane; a lubo są wyraźne ślady, że chirurgia od najdawniejszych czasów znana, zostawała już na znacznym stopniu doskonałości naukowej, atoli dopiero z ustaleniem Akademii krakowskiej, pomiędzy innymi naukami i nauka lekarska niepoślednie miejsce zajmuje, i coraz to bardziej wydoskonalać się zaczęła. Dopiero w drugiej połowie wieku XV, jak mówi Szulc (1) dzwignęła się szkoła główna w wymowie, poezyi, astronomii, a szczególnie w matematyce, tak jednak, że na uzupełnienie języka greckiego, filozofii nowszej i medy-

(1) Biblioteka Warszawska, zeszyt styczniowy 1853 r. str. 12.



cyny, młode pokolenia udawały się do uniwersytetów włoskich, gdyż w XIII już wieku na zachodzie Europy nauki lekarskie na wysokim stanęły stopniu (1). Wymowa kaznodziejska, najbardziej uprawiana w tym wieku, dochodziła wysokiego doskonałości stopnia, również jak i poezya polska. Piotr Skarga Pawężki (2) jako kaznodziej nadworny Zygmunta III, jasnością języka i obrobieniem logicznym pierwsze trzyma miejsce, któremu do dziś dnia nikt pierwszeństwa nie odebrał; a kiedy w narodach innych nie słyszano jeszcze o Jeruzolimie Tassa, nasz poeta Kochanowski przełożył na język polski tak dokładnie i 1618 roku drukiem ogłosił, iż podobnym tłumaczeniem dziś nawet żaden naród europejski pochwalić się nie może.

Atoli, jakkolwiek nauka lekarska za panowania Zygmunta I znaczne porobiła już postępy, pod Zygmuntem zaś II i Stefanem Batorym najwyższego dostąpiła doskonałości stopnia; jakkolwiek w owych czasach wielu należyć można mężów uczonych, którzy pracami swojemi nietylko własnemu przyświecali narodowi, ale nawet za granicą kraju swojego: we Włoszech i Anglii dziełami swojemi i nauką przewyższali innych: ztémwszystkiém szczerze nam wyznać należy, że wszelkie nauki i kunszta, a szczególnie nauka lekarska, aby przez ciągłe wydoskonalenie się coraz nowemi wzbogacaną zostawała wynalazkami i pomysłami, powinna być zaopatrzoną nietylko zdatnemi nauczycielami, ale jeszcze posiadać wszelkie ku temu sprzyjać mogące warunki; a przeto, powinna mieć doskonałe muzea, gabinety, zbiory instrumentów tak fizycznych jako i astronomicznych, instytutu lazare-

(1) Szkoła Salernitańska z rozkazu cesarza Fryderyka IV urzędowana została w ten sposób: ponieważ nikt w sztuce lekarskiej dostatecznego postępu zrobić nie może, kto nie posiada logiki, chcemy przeto i rozkazuje, aby żaden z uczniów nie został przypuszczonym do medycyny, jeżeli przynajmniej przez 3 lata nie doskonalil się w logice; potem obowiązany jest przez lat 5 doskonalic się w medycynie a razem w chirurgii, która jest częścią medycyny: wtenczas dopiero przystąpi do egzaminu, a jeżeli ten dobrze złoży, do praktyki lekarskiej przypuszczonym zostanie." Dekret ten wyszedł 1238 roku.

(2) Roku 1588 powołany jako kaznodzieja królewski, był nim aż do śmierci swęj 1612 roku.

towe, gdzieby nietylko uczniowie, ale sami professorowie mieli wszelką sposobność kształcenia się i doskonalenia w naukach praktycznie. Wszakże historia akademii krakowskiej nie podaje nam w tym względzie wiadomości dostatecznych. I dlatego też młodzież polska dla wydoskonalenia się w naukach lekarskich wyjeżdżała do uniwersytetów zagranicznych.

— Najważniejsze dzieła naukowe, nawet i lekarskie, uprawiano w owych czasach w języku łacińskim, a w Akademii krakowskiej w tymże samym języku publicznie wykładano i drukowano. Nie wielka nam pozostała liczba dzieł lekarskich po polsku pisanych, a i te po największej części popularnej są treści, traktując o morowej zarazie i medycynie dla ludu; o czém polski nasz lekarz Dr. Arnold (1) wyraźnie pisze: „nasi bowiem lekarze ściśle byli do łaciny przywiązani”; zaś Floryan Unglerius (2) wydając w języku polskim herbarz Falimierza, na ostatniej dzieła karcie tak rzecz prowadzi: „Nie jest rzecz wszem wam pospolicie tajemna zacni mężowie, iż ten język wasz tak sławny, tak dawny, w niedbałość ludzką tak poszedł, jedno wy mili Polacy rozmiłujecie się języka swojego.” Daleko jaśniej wykazuje nam ubóstwo ówczasowe języka polskiego co do medycyny w przedmowie do dzieła swojego Sleszkowski (3), mówiąc: „Nie trzymałem się przekładania Marcina Siennika ile należy do polszczyzny, bo w tej tak grubiej, żem nigdy grubszego własnego języka nie czytał, co pokazuje, że albo cudzoziemcem był, albo w cudzych krajach z młodości wychowanym.”

Dzieła lekarskie w języku polskim pisane, które z owych czasów na uwagę zasługują, są zielniki, czyli tak zwane herbarze. Wykładano w nich nietylko naukę botaniki, ale jeszcze wiadomości terapeutyczne, jak na owe czasy dosyć dobrze; wszakże nie wszystkie z nich co do języka polskiego godne są naśladowania. Tu na-

(1) Gąsiorowski. Zbiór wiadomości do historii liter. lekar. polskiej Tom I str. 172.

(2) Tamże str. 229.

(3) Tamże Tom II str. 165.

leżą prócz wyżej wskazanego Stefana Falimirza Zielniki Hieronima Spiczyńskiego, Marcina z Urzędowa, Marcina Siennika, które jak sami o sobie piszą niewiele posiadają wartości, tak co do zadeterminowania roślin polskiego, jako też czystości samego języka. Najdokładniejszy z nich i najczystej po polsku pisany jest Zielnik Szymona Syreniusza czyli Syreńskiego; przewyższa wszystkich jasnością języka polskiego, objętością, obfitością i dokładnością przedmiotów w nim traktowanych; złożony jest z 394  $\frac{1}{2}$  arkuszy, obejmując blisko 700 drzeworytów roślin. W naukach lekarskich 30 lat strawiwszy, z nie-małym natężeniem sił i wydatków własnych wypracował to dzieło, jak na owe czasy wielce użyteczne, bo inne narody lepszego nie miały, a botanik *Linneusz* urodził się dopiero w 100 lat później, wydrukowany po jego śmierci w Krakowie 1613 roku, z którego jedynie co do języka naukowego z korzyścią zaczerpnąćby można. Z tego wszystkiego okazuje się, że z owych dla narodu naszego świetnych czasów, język polski w naukach filozofii i lekarskich niewiele pozostawił nam dzieł uczonych tak dalece wydoskonalonych, iżby potomności za wzór posłużyć mogły. A przeto nie można, w zamiarze wzbogacenia nauki lekarskiej, dobierać wyrazów polskich z owych dzieł, ile że sami Polacy, jak wyżej okazano, jawnie i otwarcie narzekają, że nasz język zamało jeszcze w tym przedmiocie był wyrobiony. A potem, gdyby język ówczesny polski, do wykładania nauk lekarskich był tak dostateczny, jak nam puryści nasi dowieść usiłują, zapewneby Jędrzej Śniadecki, mąż wielce uczony, do języka własnego zamilowany, a do tego jeszcze niepospolitym talentem z natury obdarzony, który na lat 60 bliżej czasów Zygmuntofskich żył, w Akademii krakowskiej nauki lekarskie pobierał, zapewneby powróciwszy z zagranicy dla objęcia katedry do Wilna, pracując nad wydaniem *Teoryi jestestw organicznych*, dobierał wyrazy naukowe polskie z owych czasów. Co wszakże że tak nie jest, przekonać nas powinny jego własne dzieła, albowiem używał w nich wyrazów terminologicznych łacińskich powszechnie już znanych, a nawet za takimi przez pisma swoje publicznie obstawał wyraźnie.

Nie zaprzeczam, że wyrazy naukowe polskie, wy-  
najdywane w dawnych autorach lekarskich, mogły być  
naówczas dobre, do zielników i książek popularnych do-  
stateczne; ale też mi każdy przyzna, że dzisiaj, kiedy na-  
uka lekarska na tak wysokim stała się stopniu, kiedy wy-  
obrażenia terażniejsze o naturze chorób, o ich przyczy-  
nach i sposobie leczenia, zupełnie inną przybrały postać;  
kiedy coraz to nowe wynalazki, kunszt i rzemiosła wy-  
doskonalają się niemal z każdym dniem: niepodobień-  
stwem jest, aby starodawne wyrazy naukowe polskie  
odpowiadać mogły wszelkim warunkom, jakich po nich  
wymaga terażniejszy stopień nauk lekarskich, ile że i nasz  
język polski nie pozostał także w tyle. Wreszcie, ileżto  
wyrazów polskich, które różnemi czasy do języka dora-  
biano i gwałtem wcielano, tak samo jak to się po dziś  
dzień praktykuje, a jednak pytam się mężów nieuprze-  
dzonych, ażaliż wszystkie z nich uczonęj publiczności do  
smaku przypadły? Ileżto za naszych czasów utworzono  
wyrazów terminologicznych czysto polskich, które, po-  
nieważ zastąpić nie mogły wyrazów obcych, za niedokła-  
dne uznano, a nawet z języka polskiego na zawsze wy-  
rzucono.

Nieszczęśliwa dla kraju polskiego klótnia Akade-  
mii krakowskiej z Jezuitami, wszczęta za panowania  
Zygmunta III, a przez słabe rządy następnych królów  
podtrzymywana, spowodowała wielki upadek nauk lekar-  
skich. Nawet Akademia wileńska, przez Stefana Bato-  
rego 1579 roku założona, dostawszy się pod opiekę Je-  
zuitów, nie mogła się przyłożyć ku wydoskonaleniu na-  
uk lekarskich. A chociaż później Akademia Zamojska  
r. 1593 przez Jana Zamojskiego założona silnie popie-  
rała nauki lekarskie, a nawet mogła je postawić na wyż-  
szym doskonałości stopniu; ta jednak wkrótce za wpły-  
wem Jezuitów zamienioną została na szkołę teologiczną.

Następuje teraz epoka od upadku Akademii kra-  
kowskiej aż do elekcyi króla Stanisława, 1764 roku. Cały  
ten okres czasu przedstawia nam kraj pogrążony w uspie-  
niu naukowym, wylaném tylko na zbytki i kłótnie domo-  
we. Jest to najsmutniejszy okres literatury polskiej:  
wiek Alwara, astrologii i kazań conceptowych. Ztąd

téż nauki w Polsce chyliły się i upadały coraz bardziej, tak dalece, że jak utrzymuje Stan. Jurkowski, „nie było w Akademii krakowskiej żadnego filozofa, prawnika, teologa lub lekarza, któryby zasługiwał na wspomnienie historyczne, i że professorowie jej zaledwie wari byli być mistrzami szkół mniejszych.” Samo więc z siebie rozumie się, że dla braku professorów zdatnych, tudzież wykładu nauk odpowiedniego naukom narodów uczonych, młodzież polska rodziców niezamożnych nie mogła udawać się do Akademij zagranicznych. Bogaci zaś, jeżeli wyjeżdżali za granicę, to wszakże nie dla pobierania nauk wyższych, ale raczej dla nabycia poluru zewnętrznego i manieri salonowej, nad czém pieniądze i czas napróżno trawili. Nie był to już, jak mówi Gąsiorowski, ów wiek XVI, w którym najmożniejszych rodziny synowie szczerze się do nauk przykładali, a biednych, mających zdolności i chęć do nauk, za granicą pieniędzmi wspierali.

Za panowania Stanisława Augusta rozpoczyna się epoka odrodzenia oświaty kraju polskiego, prowadzonej i uprawianej w języku narodowym, we wszystkich gałęziach nauk wykładanych. A lubo monarcha ten, przy najlepszych dla kraju chęciach, nie mógł nic zdziałać na zabezpieczenie jego od wpływu narodów ościennych, jako téż na uspokojenie rozburzonych umysłów wewnątrz kraju; ztémwszystkiem zaprzeczyć nie można, że o ile mu czas i okoliczności dozwalały, zajmował się czynnie zaprowadzeniem wychowania publicznego, poprawieniem i uposażeniem szkół publicznych. To obracał fundusze z kassowanych zakonów Jezuitów na rzecz Akademii krakowskiej, to przykładal się silnie do sprowadzenia z zagranicy i obsadzenia katedry akademickiej zdatnemi professorami, to nareszcie ustanowił 1773 roku Komisją Edukacyjną, na której czele osadził Kołłątaja, męża z rozległych nauk i miłości kraju wysoko poważanego. Najwięcej wszakże ku rozwinięciu się oświaty narodowej przyczynił się książę Adam Czartoryski, który nie tylko majątkiem, ale własną pracą wspierał nauki; tudzież Stanisław Konarski, który naukom całkowicie oddany, zaprowadzał konwikty w Warszawie, Wilnie i Lwo-

wie, zakładał biblioteki i wszelkimi siłami wielki wpływ wywierał na oświatę krajową. Za przewodnictwem więc takich mężów, występowali na widok publiczny ludzie uczeni, których sława rozeszła się wkrótce i za granicą kraju. Za ichto staraniem oczyszczono język polski od makaronizmów łacińskich, chociaż z żalem wyznać nam należy, że natomiast dla licznych tłumaczeń dzieł francuzkich, nacechowanym został obczyzną, przybierając tok języka francuzkiego. Dopiero później, po długich sporach i doświadczeniach odgadniono ducha narodowego; ale coż z tego, kiedy mu na przeszkodzie stały: zamilowanie majątniejszej szlachty do języków obcych, a szczególnie tłumaczenia z języków obcych na swój własny przez ludzi nie mających ku temu dostatecznych nauk.

Cały ten okres podzielić można na trzy oddzielne stanowiska naukowe. Każde z nich przedstawia nam odrębny obraz wykształcenia naukowego, a z nim i jasności języka polskiego, w którym nauki wykładane były.

I. Akademia krakowska, doznawszy ze strony Stanisława Augusta silnej opieki, za wpływem nowo-utworzonej Kommissyi Edukacyjnej (1773) zupełnie zreformowana, dostała i w oddziale lekarskim znacznego wydoskonalenia, jużto przez obsadzenie zdatnemi profesorami, jużto przez założenie lazaretów naukowych i gabinetów, już nareszcie przez otworzenie teatru anatomicznego (1), na czém jęj dawniej zbywało. Ale to nie długo trwało, a przeto nie mogła dostarczać Akademii porządnego pokarmu duchowego narodowi, który od lat wielu tak bardzo podupadł na siłach umysłowych. Roku 1796 dostał się Kraków pod zarząd Austrii, w czém i Akademia wiele ucierpiała. Dopiero roku 1805 obsadzona została profesorami sławę europejską mającemi. Ale nauki wykładano w języku niemieckim. i zupełnie zaniedbano polskiego. Nastąpił traktat Tylży-

(1) Gąsiorowski, Zbiór wiadomości Tom IV stron. 185 pisze: „Dopiero po sprowadzeniu Dra Rafała Czerniakowskiego do Krakowa 1779 roku 16 września, ustanowiono osobną katedrę anatomii z teatrem anatomicznym przy głównej szkole Jagiellońskiej. Pierwsze chwile nauczycielstwa jego, zagrożone zaślępieniem gminu, wymagały, dla zabezpieczenia profesora od napaści, pomocy wojskowej.”

cki 1809. Utworzono Księstwo Warszawskie, a z niem i akademia Jagiellońska odzyskała swoje prawa. Przywrócono professorów dawnych polskich. Wszakże Akademia nie wiele na tém zyskała, bo nauki lekarskie z oddaleniem professorów niemieckich, utraciły swoją sławę. O języku zaś polskim lekarze krajowi dla nieustalonego jeszcze pokoju, przez czas długi myśleć nie mogli.

II. Akademia Wileńska, przez Stefana Batorego 1578—1579 założona, a według Dra Arnolda, przez Władysława IV 1641 roku przywilejem uczenia medycyny obdarzona, nie mogła dla wpływu Jezuitów przyłożyć się do wydoskonalenia nauk lekarskich. Dopiero roku 1795 dźwigać się poczęła, przez obsadzenie ją zdatnymi professorami Polakami, nawet z zagranicy sprowadzonymi. Jędrzej Sniadecki rozpoczął kursa chemii 1797 roku. Wspaniałomyślny cesarz Alexander I nadał Akademii Wileńskiej 1803 roku nowe ustawy i swobody, rozkazawszy urządzić ją na stopę akademij zagranicznych. Założono kliniki terapeutyczną i chirurgiczną, gabinety, muzea; otworzono teatr anatomiczny, posprowadzano zdatnych professorów krajowych, a nawet z zagranicy, nie szcędząc na to niemałych kosztów. Nauki wykładano w języku polskim, bo wspaniałomyślny Monarcha, przez wrodzoną sobie dobroć serca, zostawił język polski naukowy we wszystkich szkołach. Tym sposobem nietylko nauki lekarskie wysokiego dostąpiły stopnia, ale język polski, przez tak uczonych mężów ciągle uprawiany, doszedł doskonałości, jasności i wyrazistości, na jakich mu nawet za Zygmuntońskich zbywało czasów. Wilno stało się dla nauk lekarskich w Polsce fém, czém Ateny w Grecyi za czasów najświetniejszych. W jakimkolwiek przedmiocie wydane dzieło, odznaczyło się nie tylko wartością wewnętrzną, ale jeszcze jasnością i czystością języka polskiego. Tu należą owe sławne imiona lekarzy polskich, jakiemi byli: Jędrzej i Jan Sniadecy, Mianowski, Pelikan, Rymkiewicz, Szymkiewicz, Niszkowski, Gałęzowski, Jundzill, Abicht, z obcych zaś Piotr i Józef Frank. Na zawsze pamiętnym zostanie w dziejach uniwersytetu wileńskiego rok szkolny 180<sup>1</sup>/<sub>2</sub> przez otwarcie kliniki lekarskiej, staraniem sławnego Jana Piotra Franka założonej, który przez rektora ks.

Strojnowskiego wraz z synem Józefem z Wiednia do Wilna sprowadzony, 10 miesięcy w tém mieście przebywał, pracując nad dokonaniem tak wielkiego dzieła; co gdy ukończoném zostało, synowi swojemu Józefowi dalsze prowadzenie zostawił, sam zaś wyjechał do Petersburga dla urządzenia podobnego zakładu. Regner, Briotet, Bisio, Becu, Loebenvein i wielu innych, którzy nie tylko doskonałym wykładaniem nauk, ale jeszcze przez dzieła swoje uczone, na równi stanęli z akademiami zagranicznymi. Jak obszernego dostąpił rozgłosu język polski, uprawiany przez tak sławnych mężów, przekonać nas powinna okoliczność, że professorowie cudzoziemscy, jak Józef Frank, August Becu, czystym językiem polskim wydali dzieła lekarskie. Co większa, uczniowie ich, wchodząc w ślady swych mistrzów, niepospolitej nabyli sławy w całym kraju. Czytajmy dzieło o kołtunie Jana Oczapowskiego, którąkolwiek z tak licznych rozpraw Ignacego Lebla, albo też tłumaczenia F. Sowińskiego, T. Baranieckiego, a przekonamy się do jakiego stopnia język polski, nie wchodząc w samą treść przedmiotu, zachowanym został w naturalnej swój czystości i wyrazistości.

III. Akademia Warszawska, założona 1815 roku. Dopiero po dwóch latach wydział lekarski w zupełności utworzony, obsadzony został professorami polskimi, już to z dawniej szkoły lekarskiej warszawskiej pozostałymi, już to z uczniów krajowych, którzy po ukończeniu kursów lekarskich do uniwersytetów zagranicznych celem doskonalenia się w medycynie kosztem rządu wysyłano. Nauki lekarskie wykładano w języku polskim; terapią tylko i patologią po łacinie. Jak dalece język polski w rozkrzewianiu nauk lekarskich szanowano i uprawiano, dostatecznie przekonać nas powinny tychże professorów dzieła naukowe, które oryginalnie w języku polskim wypracowane, drukiem ogłoszone zostały. Tu należą Terapia A. T. Wolffa, Chirurgia J. Czekańskiego, Początki Chirurgii Ig. Fijałkowskiego, Materya lekarska Frejera, Propedeutyka Szczuckiego, o Amputacyach i złamaniach kości E. Nowickiego, prócz wielu innych dzieł lekarskich, tłumaczonych z niemieckiego przez Dra H. Dziarkowskiego i Ad. Brandta.



Atoli, jakkolwiek powyżej wspomniane dzieła, co do wewnętrznej swój treści i obrobienia naukowego, stały na równi obok dzieł narodów ościennych, jednak co do czystości języka, doboru wyrażen, i natury jego, daleko niższe zajęły stanowisko, jak prace naukowe lekarzy wileńskich. Przebija w nich tok niemiecki, gdzie-niegdzie francuzczyzna, a wyrażenia się naukowe nie wszędzie z talentem dobrane (1). Wszakże wyjątek stanowi propedeutyka Szczuckiego, która czystą polszczyzną zwięzle napisana, walczyć może z najlepszymi utworami polskimi.

Porównajmy teraz Akademią Jagiellońską z czasów Zygmunta I, II, Stefana Batorego, zostającą na najwyższym doskonałości swój stopniu, z Akademią wileńską z roku 1795 do 1830 istniejącą, a przekonamy się o ile język lekarski polski z czasów owych pozostały za wzór posłużyć może tegoczesnym lekarzom krajowym. Akademią warszawską jako nierównie młodszą i dopiero wzrastać poczynającą, pomijam.

I. Akademia Jagiellońska jakkolwiek przy założeniu jej obsadzoną została professorami z zagranicy sprowadzonymi, co do nauk lekarskich potrzebowała dosyć czasu, zanim dostąpiła pewnego wydoskonalenia. Nie miała nawet dostatecznych funduszy na założenie lazaretów naukowych (kliniki), gabinetów naturalnych, muzeów, a na teatrze anatomicznym przez czas długi zupełnie jej zbywało. Przeciwnie zaś, Akademia wileńska przedstawia nam zupełnie inny stan rzeczy. Całą usilność zwrócił rząd wspaniałomyślny na zaprowadzenie wydziału lekarskiego, nie szczędził żadnych wydatków ani nakładów, aby ją na równi postawić z akademiami zagra-

(1) Roliński Marcin professor anatomii w Akademii warszawskiej, jakkolwiek z wielkim zamiłowaniem do przedmiotu swojego wykładał anatomią w języku polskim starannie, dosyć jednak często wykraczał przeciw naturze języka w terminologii polskiej. I tak np. przy podziale anatomicznym brzucha, wyrażenia greckie: *Regio epi-mexo* i *hypogastrica*, tłumaczył po polsku *okolica nadbrzuszna, brzuszna, i podbrzuszna*, nie zważając że co jest nad brzuchem, lub pod nim, to nie może być w brzuchu. Wszakże jest lepiej nazywać je: *okolica górną-brzuszną, średnio-brzuszną, i dolną-brzuszną*; zaś wyraz niemiecki *Mittel-flüsch* przezwiał po polsku *między-krocze*, tak właśnie, jakoby w kroku mogło być coś pomiędzy krokiem: nierównie lepiej nazywać to *kroczem*.

nicznemi; posprowadzał najslawniejszych professorów europejskich, hojnem uposażeniem byt ich ubezpieczył. Pozakładano kliniki, instytutu, gabinety naturalne, otworzono teatr anatomiczny; słowem, nie zapominiano o niczem, cokolwiek do jój doskonałości i wzrostu okazało się potrzebnem.

II. Professorowie akademii Jagiellońskiej chociaż przez dzieła swoje uczone nietylko w kraju własnym, ale i za granicą nabyli sławy niepospolitej, a nawet przewyższyli wielu innych; ztémwszystkiem uczniowie naukom lekarskim poświęcający się, jak nam historia wskazuje, udawać się musieli do akademij włoskich dla uzupełnienia swych nauk. Zupełnie inaczej okazuje się Akademia wileńska. Wydział lekarski założony w całej swój dokładności, obsadzony został professorami, którzy wykładali nauki lekarskie w całej swój rozciągłości sposobem w uniwersytetach zagranicznych powszechnie przyjętym, a przeto uczniowie pobierając nauki w całej obszerności, po ich ukończeniu nie mieli koniecznej potrzeby udawać się do akademij zagranicznych.

III. Nauki lekarskie przez professorów akademii Jagiellońskiej wykładane, odbywały się w języku łacińskim, a nawet w tymże języku przez pisma publiczne ogłaszano je. Bardzo mało, jak już wyżej okazano, drukowano w języku polskim, a przeto o wydoskonaleniu jego co do nauk lekarskich mało co naówczas pomysłano. I właśnie téż Akademia wileńska pierwsze tu trzyma miejsce, albowiem język polski przez wykładanie nim nauk poważnych, nietylko coraz bardziej wzbogacał się i doskonalił, ale jeszcze przez wydawanie, na widok publiczny w tymże języku prac uczonych, wywierał przeważny wpływ na cały kraj polski.

Wracam teraz do akademii Jagiellońskiej. Z ustaleniem pokoju wykładano nauki lekarskie w języku polskim bez przerwy, od 1809 roku aż do zajęcia Krakowa powtórnego przez rząd austriacki, a nawet parę jeszcze lat później. Wszakże brak funduszków na utrzymanie wydziału lekarskiego koniecznie potrzebnych, i wiele jeszcze innych okoliczności przeciwnych stało na przeszkodzie doskonaleniu się nietylko medycyny, ale samego języka polskiego. A lubo nieco później (1823) obsadzono

katedry lekarskie professorami zdatnemi, którzy i w akademiach zagranicznych niepoślednie zajęliby miejsce, ztémwszystkiém ustalona już sława akademii wileńskiej, która z każdym rokiem wydawała zpod opieki swojej tylu zdatnych lekarzy; wzrastający rozgłos akademii warszawskiej, która przez coraz większy napływ uczącej się młodzieży, dochodziła już niemałego znaczenia: nie dozwoliły akademii Jagiellońskiej, zaledwie utrzymać się mogącej, wychylić swojego czoła. Wszakże zaprzeczyć nie można, że professorowie jój przez uczone swe prace w języku polskim wydawane, silnie opierali się od r. 1830 powszechnemu upadkowi nauk w kraju polskim. Ale cóż z tego, język polski pod ciągłym wpływem żywiołów obcych zostając, przy wielkiej łatwości wykształcenia się za pomocą języka niemieckiego, nietylko nie mógł się wyrabiać i doskonalić według natury swj żywotnej; ale co gorsza, nabierając toku niemieckiego, wyrażania się pseudo-polskiego, tak dalece zkoślawionym został, że gdyby z grobu powstał Jędrzej Śniadecki, czytając tegoczesne dzieła lekarskie polskie, zakrztusiłby się tak silnie, iżby powtórnie umierać musiał.

Jak pokarm niezdrowy, albo téż do natury i mocy żołądka źle zastosowany człowiekowi długim cierpieniem osłabionemu, posłużyć nie może ku pokrzepieniu podupadłych sił jego, ale wprowadzając w krew zaród zniszczenia, podkopuje słabe zdrowie jego: tak téż i nauki wszelkie wykładane pod wpływem żywiołów językowi polskiemu szkodliwych, nie mogły się przyczynić do wydoskonalenia jego, ale wprowadzając doń zaród zgnilizny, stały się przyczyną powszechnego jego zniszczenia. Nie więc dziwnego, że język polski z każdym dniem niemal przybierał coraz to dziwaczniejsze piętno swojego zepsucia. Tu należą owe dziwotwory naukowo-polskie, a mianowicie owe rodotniki, rodocie, ustroje, urzędy, oskrzela, osseski, klejaki, mięsaki, pokrętaki, ukleje i tym podobne dziwolągi, co nas przekonywa, jak dalece ludzie uczeni zkadinań szacunku godni, przy najszczerzych chęciach i niezmordowanej pracy, jeżeli tylko popuszczą cugle swoim marzeniom umysłowym, język własny zamiast poprawienia go i wzbogacenia, narażają na zepsucie i zupełne zagładzenie. Terapia fizyologiczna Ry-

chtera na język polski przełożona i przed dwoma laty drukiem ogłoszona, wyrazami naukowemi ze starych śmieci polskich pozbieranemi, naszpikowana i nowo dorabianemi nierównie dziwniejszemi poprzekładana, niezaprzeczonem jest dowodem, przekonywającym jak dalece pozwolili sobie dzisiejsi wierszokleci polscy psuć i kaleczyć własny swój język, wzbudzając u ludzi zdrowym rozumem obdarzonych zamiast sympatyi, odrazę, zamiast zamiłowania do naśladownictwa, wstręt; zamiast oczekiwanej pochwały, naganę i oburzenie, że język narodowy przez mężów uczonych od najdawniejszych czasów szanowany kalają i na pośmiewisko narażają. Cóż sobie pomyślą narody uczone obce o naszych dziełach naukowych polskich, kiedy my rodowici Polacy ich nie rozumiemy i nie z nich nauczyć się nie możemy? I wcale nas to dziwić nie powinno. Lekarze polscy tegoczesni pobierając nauki wyższe za granicą kraju swojego, albo też pod wpływem języków obcych, nie mając dosyć czasu, ani zachęty, ani nawet potrzeby pracowania w języku własnym, témbardziej, że w obcych językach mieć mogą podostatkiem dzieł naukowych z wielką dokładnością wypracowanych i do stopnia postępujących nauk zastosowanych: przeto tyle tylko nabywają wiadomości języka własnego, ile tylko w domowym pożyciu pomiędzy rodzicami, jak niemniej z czytania dzieł polskich ku zabawie przeznaczonych nauczyć się mogą. Ztąd też wynika, że mało co obeznani z naturą języka, z jego bogactwy i pięknnością, nie mają nawet chęci dokładnego poznania go przez czytanie wzorowych autorów i dlatego uważając go za ubogi i niezdatny do wykładania nim nauk poważnych, albo też przekładania na niego dzieł obcych, dobierają wyrazy dziwaczne, niezrozumiałe i do języka własnego zastosować się nie dające.

I ja niegdyś podobnemi dręczony byłem myślami. W Galicyi austryackiej w mieście Lwowie urodzony, pobierałem nauki w szkołach gimnazyalnych i akademiach zagranicznych w językach obcych; język polski o tyle tylko znałem, o ile się go nauczyć mogłem w domu rodzicielskim, jakoteż przez czytanie książek polskich przypadkiem tylko nabytych. Nie miałem potrzeby pracowania w dziełach naukowych polskich, a nawet

nie wiedziałem czy się takowe znajdują. I dlatego też ubolewałem ciągle nad ubóstwem języka naszego, marząc sobie, że jeżeli mi czas i okoliczności pozwolą, zajmę się wzbogaceniem jego przez dorabianie wyrazów technicznych, a nawet całych zwrotów, wyższy pogląd rzeczy wyjaśnić mogących. Ze zaś miałem pod ręką zawsze dzieła naukowe w językach obcych pisane, zdawało mi się, że niepodobienstwem jest napisać w języku polskim coś podobnego, albo też przełożyć na swój własny z dzieła naukowego obcego. Brak wyrazów terminologicznych, niepewność rzeczywistego ich znaczenia, a co najtrudniejsza zastosowanie pomysłów obcych do języka polskiego, któreby go nie kaleczyły i rzecz jasno wykladały, stawiało mi zaporę do przełamania niepodobną. Do Warszawy przybywszy, przez obcowanie z Polakami wyższego wykształcenia, pomiarkowałem rychło z wielkim smutkiem, na czém nieudolność moja zależała. Oto nie znałem języka polskiego tak, jak go każdy Polak poświęcający się naukom, i który po polsku pisać zamysła, znać i umieć powinien. Nie było więc innej rady, jak uczyć się języka własnego. Z całą więc usilnością zabrałem się do czytania dzieł polskich na uwagę zasługujących. Jakoż po kilku latach pracy i wytrwałości przekonałem się z wewnętrznym zadowoleniem, jak niesłusznie posądziłem o ubóstwo własny język, na które pod żadnym względem nie zasługiwał, ile, że dzieła uczone polskie z czasów Zygmunto-wskich pozostałe, szczególnie zaś z czasów wysoko cenionej Akademii wileńskiej, dostateczną dały mi rękojmnię swojego wykształcenia naukowego tak pod względem obro-bienia rzeczy, o której piszą, jako też wydoskonalenia języka. Tym sposobem z owego zagorzańca, zamierzającego wstępnym bojem rozprzestrzenić dziedzinę języka polskiego, po kilku latach pracy i zimnej rozważki przerobiłem się na pokornego wyznawcę Śniadeckich, uwielbiając ich cnoty obywatelskie.

## KRONIKA LITERACKA.

*Dziś i wczoraj. Rysy biograficzno-obyczajowe i bajki, przez Onegdajskiego. Wydał Antoni Sowa. Dwa tomy. Petersburg. Nakładem i drukiem Bolesława Maurycego Wolffa. 1858 r.*

(Nadesłano).

Jeszcze przed dziesięcią laty, pseudonym Antoniego Sowy dał się poznać publiczności polskiej przez fantazyą dramatyczną pod tytułem *Jordan*. Utwór ten nacechowany płomienną i zacną myślą, silną ironią i swobodą słowa, zrobił ogromne wrażenie na czytelników. Autor wypowiedział w nim śmiało, śmieliej jak mówili o tém podówczas wszyscy inni, wady naszej społeczności, poziomość jej dążeń, zmateryalizowanie i głupotę. *Jordan* był nosobieniem idei samego autora i przez usta jego poznaliśmy głębią jego uczucia, jego myśli, życzeń: słowem tych wysokich celów i pięknych marzeń o obowiązkach społecznych i własnych, które mu nastreczyły tyle poetycznych obrazów, a które on potrafił ozdobić niezwykłą siłą uczucia i potęgą słowa.

Była to epoka dążności humanitarnych, które przywędrowały do nas z Poznańskiego, gdzie znakomity Libelt celował przed innemi; gdzie Trentowski drukował swe filozoficzne dzieła, a *Przyjaciół Ludu* gromadził pod swój sztandar cały zastęp młodych pisarzy i poetów, i zadawał gwałt moralny obecnemu wówczas stanowi społeczności polskiej, chcąc ją wywrócić z gruntu. Dążność ta odbiła się i u nas; ale strumyk idei owoczesnych przepłynął Polskę i Litwę daleko cichszym i spokojniejszym biegiem. Kiedy tam już naprawdę zabierano się, ażeby, jak wyraziła się pewna autorka „zchłopcic po pańsku i spanieć po

chłopsku," u nas ogólnikami poetycznemi wołano o czyn, pętkano myśl bez czynu, narzekano na butwienie społeczności naszej. W tém szamotaniu się bezsilném ducha, była piękna cecha chęci szlachetnych i zapalu, ale, powiedzmy prawdę, nie było ładn. Widziano złe wybornie, umiano je deptać potężnie; lecz budowę przyszlą klecono z utopii i mrzonek... *Jordan* może najzdolniej potrafił uwidomić ten tajemniczy obraz przyszłości; lecz owinął go tą samą filozofią mistycyzmu, którą już poznaliśmy we *Fauscie* i *Dziadach*. Pomimo że cały swój pomysł, całą tkankę fantazyi osnuł na kolkach grubej realności, było niepodobieństwem ułożyć je w sposób rozwiązujący zadanie dla ogółu. Jako obraz, jestto arcydzieło; jako dilemma, zbywa mu na najżywotniejszej części zadania: na danych, rozwiązujących je według matematycznych pewników.

Gdyby *Jordan* był li poematem uczuciowym, kreślącym nigdy niewyczerpaną historią serca, miłość kochanków i t. d., nazwalibyśmy ten poemat malowaniem prześliczném; ale zachcenia Jordana są wyższe, uczucia szersze, siła ogromna. On obejmuje nietylko kochankę, ale całą naszą społeczność w swe ramiona. Depcąc nasze wady, wskazując naszą poziomość, płacząc nad nami, rozrywa z przerażającą prawdą każdą społeczną ranę, a nie goi żadnej... Mówiąc tak, nie posądzamy go wszakże o bezcelowość myśli. Przeciwnie: poemat ów osnuty został na prawdzie religijnej i kotwica téj miotanej burzą nawy, przypięta jest statecznie do głębin wiary naszej; lecz spójnia ta więcej jest mistyczną jak realną: coś to nieokreślonego, coś co nie ma formy, ani ciała, pasma eterowe, lotne i nieujęte jak duchy, chociaż pełne idealnego piękna i lśniące w promieniach poezyi.

Nie tu jest miejsce na dowodzenie ile ten kierunek przyniósł nam dobrego a ile złego; ilu napłodził idealistów i marzycieli, a ilu ludzi czynu: zdaje się nam wszakże, że sam autor *Jordana* postrzegł dzisiaj, iż apostołowaniu owemu zbywało na wskazówce realnych problemów życia i żeby je dopełnić, napisał dwutomowe swe dziełko pod ogólnym tytułem: *Dzisiaj i wczoraj*.

Jestto powieść z wyraźną tendencją socyalną: jak w *Jordanie*, na kanwie życia realnego, odmalował tu autor kilka idealnych typów, rozwiniawszy je wszakże z warunków pospolicznych. Widocznie chciał przez nie dać nam do zrozumienia, że ludzie tacy nie są marzeniem, że mogą się urodzić w społeczno-

ści naszej, mieć krew i ciało jak my wszyscy, żyć i pracować z nami, i pomimo to być doskonalszymi od nas wszystkich, a dojść do tej doskonałości przez zrozumienie dobre potrzeb społecznych, naukę i pracę. Zrobiwszy sobie takie założenie, dał pomysłowi swemu formę powieściową jako najwłaściwszą do uwydatnienia komunalów naszego życia, i z całą dowolnością autorską traktował pomysłany obraz. Nie zdawał się on przemyślać długo nad stworzeniem zawilego węzła intrygi, nie rysował z cierpliwością miniaturzysty szczegółów swego obrazu, nie starał się rozwijać według artystycznych prawideł akcji dramatycznej; ale uwydatniał te tylko sceny, które mu zdaly się potrzebne dla wyrozumienia kwestyi: resztę szkicował swobodnie lub niedbale, przeskakiwał lata, wypadki i samych ludzi. Nie zważał na prawa perspektywy: raz stawał się poważnym i wzniosłym, znowu wesołym lub ironicznym; jedne sceny kreślił z zamiłowaniem artystycznym, inne znowu niewykończone rzucał gdzieś w głąb obrazu; tu zapominał o sobie całkiem, oddany studjom charakterów, a w innem miejscu porzucał wszystką pracę, by wystąpić z własnym rozumowaniem: słowem, postępował sobie z taką dowolnością, jakby go żadne nie krępowały warunki. Uważana z tego punktu powieść pana Sowy, czyli, jak on chce mieć, Onegdajskiego, jest zanadto chaotyczną i bezładną, ażeby formę taką za wzór do naśladowania podać można; ale nie powodując się puryzmem literackim, czytelnik znajdzie w niej dużo pięknych myśli, dużo obrazów, szkiców, nawet swawolnych zarysów, zdradzających nieporządną wprawdzie, ale zawsze zdolną fantazją artysty.

Cała intryga powieści obraca się około pana Bolesława, którego słusznie nazwać można jej bohaterem. Rzecz dzieje się na Litwie. Pan Bolesław skończywszy uniwersytet, przybywa do swej rodzinnej wioski i u proboszcza poznaje się z panną Spreżyńską i jej córką Rozalią. Miłość do panny Rozalii już w sercu Bolesława wisi na włosku i pobudza go do pisania dziennika swych wrażeń. W trakcie tego zdarzenia, panna Rozalia pozyskuje dwóch konkurentów jeszcze, z których p. Narcyz jest typem powszednich ludzi, a pan Adolf, stypendyant w akademii wileńskiej, niepowszednim dziwakiem. Jego oryginalny pomysł przepłynienia rzeki dla obaczenia raz jeszcze Rozalii, jego tonięcie i wyratowanie przez Bolesława, pomimo że ma pozory prawdziwego zdarzenia, jest wypadkiem cudackim, którego smak czysty uniknąćby zalecił. Daleko lepszym wstępem



jest zakochanie się Adolfa w kawiarnie wileńskiej z przyczyny uderzającego jej podobieństwa do panny Rozalii i tragiczna śmierć jego, chociaż, wyznać musimy, charakter ten odrysowany został przez autora w fałszywy sposób. Tak się nam zdaje, według podanych nam przez samegoż autora opisów. Nie ma w nich artystycznej prawdy, tylko pewien fatalizm, którego w żaden sposób nie znosi sztuka. Następnie Bolesław wyjeżdża do swego przyjaciela Adama Rozczyńskiego, i poznaje tu siostrę jego pannę Teresę. Ten pan Adam i ta panna Teresa, to są znówu z zamiłowaniem wielkiem skreślone przez autora typy doskonałości. Opisanie ich towarzystwa dokonane z talentem, nawet rozmowy Adama z Bolesławem pełne są interesu i życia. Powiemy o tém niżej, teraz nam pilno doszkicować ustrój powieści. P. Bolesław wyjechał z Rozczynnik z nadkłótnym sercem: panna Teresa była tego przyczyną. Zły stan interesów Bolesława zmusza go udać się do kilku sąsiadów i krewnych z prośbą o pożyczanie pieniędzy na prowadzenie sprawy procesowej o majątek. Mamy tu zręczność poznać kilka oryginałów opisanych przez autora wybornie: są to widocznie wzorki uzbierane z natury. Tymczasem wieść o zachwianym stanie fortuny Bolesława obija się o uszy pani Sprężyńskiej, i pan Narcyz odbiera od matki przyrzeczenie, które znówu zostaje złamane przez córkę, wierną zawsze dla Bolesława. Bohater nasz miotany rozmaitemi przeciwnościami losu, wystawiony na walkę najsprzeczniejszych uczuć, zawiedziony i ubogi przez wypadek procesu, powierza go jakiemuś plenipotentowi, urządza jak się dał domowe interesy i wyjeżdża za granicę, ażeby własną pracą i nauką podnieść się do możliwości zapracowania na życie. Uczy się on tam, pracuje, zwiedza kraje, poznaje ich instytucje i pisuje ztamtąd artykuły do pism krajowych. Widocznie autor go urabia na model, który według własnego przeświadczenia ma odpowiadać najlepiej potrzebom kraju. Wreszcie wypadki dążą do rozwiązania: Narcyz się poprawia, Rozalia postrzega w nim stateczną miłość dla niej i przymioty serca i oddaje mu rękę. Powraca Bolesław. Kocha on Teresę, lecz ubogi, nie śmie prosić o jej rękę z obawy, by tego starania się nie wzięto za spekulacyę; ale pomagają mu wypadki przyjazne: wygrywa proces, potem spada nań sukcesya po Pstrągu, jednym z oryginałów wprawionych w ramy powieści, i on żeni się z Teresą, a p. Adam uchyla się dobrowolnie od obywatelskich powiuności i we własnej wsi pozostaje księdzem.

Na zakończenie, przechodzi autor panoramicznie podrzędne osoby figurujące w całym ciągu powieści i obraz swój kończy rozdziałem, który nazwał *Bajką*. Jestto marzenie autora o błogich następstwach pracy Bolesława. Zakłada on szkółki dla ludu, osnuwa na ogromną skalę pismo peryodyczne, powiększa bibliotekę, ozdabia pałac w arcydzieła sztuki, formuje orkiestrę, zakłada teatr i szkołę rzemieślniczą.

Oto jest szkielec powieści p. Onegdajskiego. Spieszymy dodać, iż pod żadnym względem nie można jej sądzić z tego szkicu, bo nie daje on wyobrażenia o donośności talentu autor-skiego. Elementa powieściowe, jak już powiedzieliśmy, grają tu podrzędną rolę, są rozwinięte dorywczo i nieporządnie. Poglądy i zdania samego autora główne tu zajmują miejsce. Nas pryncypalnie zajmuje autor pod względem tendencji obyczajowej, rozwijanęj w swém dziełku. Stanowisko jego jest toż samo, jakie już poznaliśmy w *Jordanie*. Różnica jest w tém tylko, iż tam pokazywał on przed nami wady społeczności naszej, tu starał się zostać i lekarzem. Zdania jego zreassumować się dają do następnych pewników: że szlachta nasza jest leniwą, egoistyczną, nieludzką względem włościan, chciwą pieniędzy, oglądzoną powierzchownie, bez zasad, metody i nauki; że ma zarody dobre, zdolności wielkie, serca poczciwe, ale wszystko to marnieje w bezcelowości życia, w niepoczuciu wielkich, leżących na niej obowiązków względem kraju i społeczności. Jako próbka, czém mógłby u nas zostać obywatel, jest p. Bolesław. Stanem pośrednim jest znowu p. Adam, p. Narcyz, p. Juliusz Kowicz i p. Adolf. Wszyscy oni mniejwięcej są ludzie przejęci najlepszymi chęciami podniesienia godności osobistej, zostania pożytecznymi członkami społeczeństwa, marzycielami lepszej przyszłości, reformatorami nawet, ludźmi serca i czynu, ale z wyjątkiem p. Adama, mylnemi idą do tego drogami. Zbývá im na jasnym pojęciu rzeczy, na hartie ducha, nauce i wytrwaniu. Autor rysuje te obrazy ze spokojem i godnością, nie obnaża swych figur z cnót społecznych, nie odmawia im pewnych zalet umysłu i serca; a jeśli przechodzi niekiedy w karykaturę, stosuje ją do typów powszednich.

Na wiele rzeczy godzimy się z autorem, nadewszystko podzielamy jego zdanie co do wad społeczności naszej; ale nie zawsze jesteśmy jednego z nim zdania, gdy chodzi o sposób reformy. Autor widocznie rozwija swe zasady pod wpływem wyobrażeń Zachodu, stara się być jednym z tych reformatorów,

którzy gotowi są wyplenić narodową niwę z korzeni zapuszczonych do jej głębi życiem przeszłym, bez względu o ile są złe lub dobre, byieby oczyścić miejsce dla szczepów nowych. Pojęcia te miały kurs powszechny podczas rewolucyi francuzkiej, ale dziś już są inne. W miarę jak poznajemy byt historyczny naszego narodu, przekonywamy się oraz, że przeszłość jego była zbudowaną na podwalinach prawd istotnych, które nadwerężyć byłoby nieroztropnie. To co nas razi na sfermentowanej obecnie powierzchni jego, może nie mieć stosunku z zasadą, może być narostem, dla wyplenienia którego nie należy przekształcać budowy z gruntu. Autor wszystko odnosi do wiedzy, do nauki, i po te ziółka każe nam jechać za granicę, bo tam widzi ideał społeczności i wzory do naśladowania. Jako żywo, nie przyganiamy takiemu przekonaniu, pojmujemy konieczność nauki i rzemiosł; ale rozumiemy to być następstwem, co autor rozumie jako przyczynę. Żeby szczęście nasze obecne i przyszłe miało zależeć od tak łatwego środka, nic nie byłoby łatwiejszego razem jak wyleczyć za pomocą jego społeczność i zmienić stan rzeczy. Ale w łonie narodu leżą inne, świętsze przyczyny bytu, i o tychto fundamentach pomnieć trzeba, a reszta dobuduje się łącno. Autor widzi zagranicę w pryzmacie różowym, to jest tak jak o niej sądzi mniejwięcej każdy, co jej nie widział. Tam ogromne są skarby wiedzy, tam spotęgowanie materyalne doszło najwyższego stopnia rozwinięcia; ale kosztem tej potęgi zabito tam ducha, i dziś nie zawsze on może wznieść się do tej wysokości celów, do jakiej autor wyniósł swego *Jordana*. Trzeba pierwój zrozumieć naturę i warunki naszej budowy społecznej, ażeby poznać co w niej jest dobrém, a co błędném. Dopóki łokciem zagranicznym wymierzać ją będziemy, dopóty nie zrozumiemy jej skali.

Żeby dać pojęcie czytelnikom o zaletach dzieła i sposobach rozumowania, umieszczamy tu kilka wyjątków.

Oto pierwszy z dziennika Bolesława: „Nędza prowadzi za sobą ciemnotę, ciemnota nędzę i te dwie nieprzyjazne falangi łączą się naostatek pod jeden sztandar niedołęztwa. Patrząc w karty dziejowe, w elementa składowe towarzystwa, wiele pięknych postaci, wiele heroicznych wybuchów, zadziwiających abnegacyj, chwilowych ofiar, lecz zawsze chwilowych, których nie potrafisz związać, pogodzić z niekonsekwencyą i zaprzeczeniem reszty życia. Jakież na to lekarstwo? jaki tu postawić moralny przeciw-ciężar, regulament, klucz strojący tę dyshar-

monią tonów moralnych i sił zużywających się daremnie? Jakby wynaleźć wzorem Newtona, prawo moralnej grawitacji?

„Jakieżto prawo, któreby miało tę siłę reorganizacyjną, tę siłę spójni, ten cement moralny idei z czynem, a bez którego, przebóg! ani człowiek pojedynczy, ani społeczność od moralnej zaguby uchronić się nie może. Gdzie widzimy postęp? tam tylko gdzie widzimy tę spójnię. Ludzkość tak daleko wybiegła myślą nad smutny stan, w którym dotąd pogrążona, bo nie umie zlać w całość kształt jeden myśli i woli, której dzieckiem jest czyn.

„Jakież nakoniec jest to prawo?

„Prawo tak stare jak pierwsza na świecie społeczność; prawo, bez którego żadna społeczność bytu mieć nie może.

„Jakież jest to prawo, któreby dało moralną siłę wcielić naukę chrystyanizmu w życie? Prawo że tak powiem moralnej mechaniki, któraby zastosowała prawdy odwieczne do praktyk życia, jak mechanika stosuje nauki przyrodzone do celów swoich. Ktoby je znalazł i w życie wcielił, byłby nowym zbawcą ludzkości.

„Mnie zaiste się zdaje, że cząstką składową tego prawa, jednym z jego pierwiastków, jest poczucie i pokochanie obowiązku.

„Obowiązek, obowiązek! Boski sprzymierzeniec pracy! prawo najwyższe i święte, które ożywia tych nawet, którym cięży, i ulecza tych, których rani. Bóstwo dusz silnych, zbawca dusz słabych, doradca wśród tych światów, które się zmieniają i przechodzą. Gwiazdo polarna duszy ludzkiej, ja nie mogę bez czci i uszanowania powtórzyć dosyć często twojego imienia, nie-poznanego dzisiaj niestety! Ktokolwiek cię wyznaje, bogactwo staje się mu zobowiązaniem, ubóstwo nauką, władza trudem, wolność wędzidłem. Zaiste, ty nas często skazujesz na zbyt ciężkie próby, zmuszasz nas wstępować na Kalwaryę, włóczęnią przesywasz nam łono; lecz umęczeni pod twemi zbawiennemi ciosami, serce nasze zamiast ci złorzeczyć, mimowoli cię uwielbia i woła do ciebie jak Chrystus umęczony do swego ojca: „Panie mój, ja składam rozum mój w ręce twoje.”

„Jaki to uderzający fenomen, któryby i rzecie rozświetlić istotę rzeczy powinien: gdy patrzymy wokoło siebie, widzimy potężne idee, kolosalne myśli, głębokie teorie; lecz gdy przyjdzie do ich wykonania, wśród tysiąca umiejących najdoskonalej napamięć oweto, potężne idee, kolosalne myśli, głębokie teo-

rye, wiekowe zagadki, nie ma ani dziesięciu, którzyby własnemu nie skłamali słowu. Znać Duch św. ma jeszcze zbyt mało rąk w swoim laboratorium, który uczy: „A bądźcie czynicielmi słowa, a nie słuchaczami tylko oszukującymi samych siebie.”

„Mniej marzeń i entuzjazyzmów, a więcej pracy zestrzelonej ku określönemu celowi, więcej harmonii ducha, więcej zgody rozumu z sercem.”

W innem miejscu powiada:

„W żadnej już dzisiaj z ucywilizowanych społeczności nie ma tego elementu, jaki u nas stanowi szlachecki. Wszędzie są próżniacy, oszuści, pijacy; lecz nigdzie nie ma już klasy, któraby żyła nie wiedzieć dlaczego. W Rosyji samój, bogatszy *pomieszczyk* idzie służyć do wojska, nim przeszuć część funduszu i młodości; uboższy idzie *w czynownicy*, dla powiększenia funduszu i zdobycia jakiegoś znaczenia. U nas szlacheć do niczego nie czuje się zobowiązany, a przecież każdy mógłby znaleźć jakikolwiek zawód. Nie zaprzeczamy bynajmniej ani wyłączności, ani trudności położenia; lecz to przecież nie usprawiedliwia bynajmniej ani beczynności, ani blahoty życia. Jakież to liczny rój u nas, który kocha się trochę, albo raczej bałamuci się podług prowincjonalnego wyrażenia, handluje końmi, grywa w karcieća, bawi się w kieliszek i tak spędziwszy najpiękniejszą część młodego życia (ambitniejsi byli marszałkami lub prezydentami sądów powiatowych), bez pamiętek, bez zasobów moralnych, rozczarowawszy się życiem, którego nie poznali czarów, idą kończyć życie nie rozpoczęte, jak owady niektóre w swoich szczelinach.”

Już z tych próbek przekonać się można, ile myśli rozstrzelonych obok poglądów zdrowych i pięknych, wiruje w wyobraźni autora. Widocznie nie może on znurtować głębin prawd narodowych i zarzuca kotwicę swych rozumowań raz tu, znowu gdzieindziej. To namawia do pracy, do realności w życiu; to znowu opiera cały byt społeczny na poczuciu obowiązku, który ma z kału zapomnienia i wegetacyjnego życia wydstać naród. Wielbi Franklina i woła: „bodajby u nas być mogło najwięcej Franklinów!” Zdaje się autorowi, że przy nastęrczonych przezeń warunkach zajęć rozmaitych, ułoży się wszystko jak najlepiej. Żeby naprawić społeczność, zbywa jej na bagateli: na zagospodarowaniu się roztrópnem i zaopatrzeniu siebie w przemysł, pracę i naukę.

I widzimy zaraz model tego pomysłu na Bolesławie, gdy zaczął gospodarzyć w dobrach które posiadał. Celem jego podróży za granicę było postanowienie korzystania z nauk i nauczenie się rzemiosł. Uczył się więc i pracował w widokach czysto-materyalnych. Dotknęło go ubóstwo, zakochał się w pannie bogatej, więc postanowił przez pracę i naukę przyjść do majątku. Wywinęło mu się wszystko jak z płatka. Wygrany proces, rączka panny Teresy, wreszcie sukcesya po Pstrągu, zrobiły zeń bogacza. Używa on rozumnie daru fortuny. Zakłada szkoły, osnuwa pismo peryodyczne, zgromadza książki i dzieła sztuki, dom jego staje się przybytkiem muz, dobra wzorem porządku i pracy. Kto nie pracuje, powiada Bolesław, nie należy do żywych. Artysta, rzemieślnik, rolnik, kapłan etc. ktokolwiek zdrow i silny a nie pracuje, nie należy do żywych, jest strasznym upiorem, jest ciężarem społeczeństwa, albo, stokroć gorzej, zbrodniarzem, zaprzeczeniem życia, zgnilizną rozkładającą żywy organizm społeczny, największym jego nieprzyjacielem, tyranem ludzi, pracy i zasługi, których skolatanym siłom, cześć i wypoczynek należy. Charakterystyczny zaiste jest wiersz, którego autora nie znam, lecz tysiące razy powtarzany słyszałem:

Jak ja żyję, komu sprzyjam,  
 Niech mię oto nikt nie pyta;  
 Wszak nie kradnę, nie rozbijam,  
 Człek poczciwy, ot i kwita!

„Możnaż jaśniej i charakterystyczniej wyrazić naiwną, zrygnowaną bezczelność i zbutwiałość szlachectwa, które nie czuje się obowiązaniem ani do żadnych obowiązków, ani do zdania sprawy ze swego życia?

„Takie szlachectwo albo zginąć, albo odrodzić się powinno”.

Gdzieindziej rozwijając swe projekta, tak mówi o kształceniu ludu:

„Śród wielu idei, tak we względzie prawodawstwa, jak nauk i sztuk, które nowe społeczności przyjęły od starożytnych, jednej przebóg myśli nie zrozumiały nowe czasy: to sposobu wychowania ludu.

„Jeżeli by igrzyska starożytnych ludów, tak niezmiernie kształcające massy (?) były dzisiaj do naśladowania niemożliwe, lub potrzebowały formy nowym czasom i jego potrzebom wła-

ściwej, to każda społeczność ma w swoim ręku potężny, wielmożny, wszechmocny organ i może jedyny na dzisiaj. Jakież jest ten organ?—to teatr!

„Literatura nasza, mówi dalej, równie jak i rzemiosła były dotąd w ręku albo egoistów, albo w ręku niedoleźnych i niewprawnych. Trzeba ją wyrwać z upokarzającej arędy, trzeba obywateli - czytelników, obywateli - księgarzów. Mnóstwo jest tego przykładów za granicą, mnóstwo przykładów w samej nawet Rossyi. A chociaż literatura polska w stosunku do zagranicznej nie może się mierzyć liczbą czytających, toć krzyczący nasz obowiązek starać się podnieść produkcją naszego ducha do potęg możebnych, czego dokonać niepodobna bez sumiennego nagrodzenia pracy”.

„Ktokolwiek bliżej wpatrzy się w naszą społeczność, mówi w inném miejscu, musi rozstać się ze słodką starą wiarą, a trwającym już dotąd tylko uprzedzeniem w słynne ongi bogactwo Polski. Jedyny jeszcze dla tej wiary ratunek, że liczymy nasze krocie i miliony na złotówki, gdy Insi je liczą na ruble srebrne, luidory, funty szterlingi, etc. Panienska, która u nas ma stokroć złotych posagu, już jest przedmiotem zabiegów salonowych spekulantów; gdy gdzieindziej ani patrzeć na nią nie chcą, gdy ją osobiste nie ubogacają przymioty.

„Lud na całej Litwie powtarza, że od niejakiego czasu ziemia nasza *czegoś się złąkła i źle rodzi*. A rzeczywistość powtarza przywidzenie ludu, podstawując wartość realną wypadkom. Staliśmy się istotnie bardzo biedni! W znacznej części naszego kraju, lud z rzadkimi wyjątkami głód cierpi. Prowincye szczególnie białoruskie, dają nam tego coroczny dowód.

„Jest przysłowie nieznajome jeszcze dotąd całemu krajowi, lecz niemniej przeto prawdziwe:

Oszmiana z Lidą

Razem kraść idą.

Wilejka z Dzisiaj

Tuż za niemi cisną.

Wilno z Trokami

Temż śladami.

„Wszystko to zaiste dowodzi, że trzeba zmienić wyobrażenie o naszym bogactwie i zmienić metodę: Piotr zrobił, Piotr zjadł”.

Mamy tu wiele do zarzucenia autorowi. Wszystko co mówi o stanie obecnym społeczności naszej, jest może przesa-

dzonem nieco, lecz prawdziwem; wszystko co doradza, na mylnych oparte pojeciach. Praca, nauki, porządek, są konieczne warunki dobrze uorganizowanego społeczeństwa; ale ani ich rozbudzić można w społeczności, ani zrobić wystarczającami przez środki podane przez autora. Kiedy jest źle, wiemy wszyscy że trzeba ażeby było lepiej; ale na jeden głos przeświadczenia o obowiązkach nie budzą się narody. Idea wyższa i czystsza może tylko rozniecić życie i wypełnić pierś naszą przeświadczeniem takim. Uczucie obowiązku, jak równie innych cnót powszednich, obywatelskich, będzie tam skutkiem a nie przyczyną. Droga spekulacyjna na którą wstąpił Bolestaw, wątpimy bardzo, by wyrodziła dla kraju te skutki błogie, o jakich autor marzy. Przysporzy nam ona bogactw, pieniędzy, namnoży fabryk, wznieci handel, ożywi prowincye a nawet kraj cały; ale jakożowo nie zaprowadzi do tego przybytku braterstwa, miłości i cnót chrześciańskich, których szeroki obraz skreśla nam autor pod tytułem „Bajek”. Raohuba i spekulacya mają swoje kodeksa i prawdy, od których nie może odstąpić ten, co się niemi rządzi. Rodzą one rzeczy pożyteczne i dobre, ale są to czyny odmiennej natury, dotyczą warunkowie potrzeb wyższych społeczności i kraju i chodzą z krędką w rękę. Autor w poglądach swych uronił najżywotniejszą zasadę, bo wiare, pomimo że wspomina o niej często. Jego chęci są poczciwe jak ból wielki, ale środki zaradcze niewłaściwe. Bez miłości chrześciańskiej, bez wiary, bez prawd uczułych a nie nauczonych, nie wcielimy w życie żadnej społecznej cnoty, bogdajbyśmy najpiękniejsze pisali o nich rozprawy; gdy przy nich, wszystkie wejdą w życie same. Jak dalece różnimy się co do zasad, niech posłuży przykład o sposobie kształcenia ludu. Autor widzi jedyny środek dopięcia celu w zakładaniu dla nich teatrów; my myślimy naturalniej i prościej, że w katechizmie i ambonie. Takich projektów tysiąc już podali ekonomiści, ale są to marzenia nieużyteczne, uboczne, wszystkie dobre przy głównej zasadzie i wszystkie niewiele warte, gdy zbywa na niej. Rzecz szczególna! Autor tak doskonale pojmował w *Jordanie* warunki odrodzenia się w duchu, tak dobrze, poczciwie, czuje tę potrzebę nawet teraz, malując wady społeczności naszej, a gdy przyszło do środków zaradczych, oparł kwestyą całą na balaganach i rzemiosłach, jakby tego jedynie nam brakło, ażeby dorównać ludom ucywilizowanym Zachodu. Nie, w narodach co są silne i światłe, jest coś więcej co je pod-



nosi i trzyma na wyżynach niezależnego bytu. Jest życie, jest duch, wiara i pojęcie rozumne obowiązków jednostki względem społeczności i kraju. Bez tych warunków byłyby one tylko pewnym cyrkulem warsztatów i fabryk, albo płatnemi najemnikami bogatych, lub służalcami silnych. Nie ostałyby się roku jednego bez wiary w ideę i bez ducha ofiary. Żeby pieniądz i warsztat mogły zastąpić to wszystko, to żydzi oddawna podbiły świat cały, bo mają najwięcej pieniędzy.

Ten sposób namawiania do pracy jest dobry; ale go po chrześcijaństwu wytłumaczyć trzeba. Uchylając zasadę, można ją później zupełnie stracić z oczu i środki wziąć za samą przyczynę. Bolesław czegoż w istocie szuka i jakie ostatecznie wynosi przeświadczenie ze społeczności naszej? Szuka on zapewnienia i ustalenia pozycyi socyalnej własnej, a stawszy się bogatym, otacza się arcydziełami sztuki, wspiera artystów i pisarzy, uczy kmiotków i z niemiecką akuracnością urzędu to swoje moralne gospodarstwo. My pójdziemy dalej, i z bajek autora wyprorokujem przyszłość. Bolesław postępując tą drogą zwiększy we dwójnasób majątek, wesprze wiele zamiarów pięknych w literaturze naszej, da zajęcie i wynagrodzenie artystom, za powieści i artykuły płacić będzie pisarzom dwa, trzy razy więcej niżli biorą dzisiaj; chłopci u niego polepszą byt własny, ziemia uprawna umiejętnie, zwiększy plony; ale to rozmiłowanie się w dobrach doczesnych i celach materialnych stepi i przygasi uczucia wyższe i będzie to człowiek porządny, pełen zasad Franklina, ale już stracony ostatecznie dla poświęcenia się, dla oddania siebie na ofiarę dla idei wyższych, i nazwie on marzeniem co nie obliczy przez arytmetykę. W naszym wyjątkowem położeniu, takie stanowisko jest apatyą ducha, a strzedz się go tembardziej potrzeba, że ma wszelkie godziwe pozory cnót obywatelskich i ładu. Sam autor po tej pochyłości zeszedł do tych konsekwencyj utylitarnych, ani się postrzegłszy co zrobił, bo jakożywo podejrywać go nie możemy o systemat odrętwiający pulsa narodowego życia. Ten poeta, co tyle wzniosłych wyłonił myśli w swym *Jordanie*, co tyle krwawych łez uronił nad nami, pisząc to, myślał że radzi jak najlepiej. Rozumiał on, że od uporządkowania materialnego bytu zależy wszystko, gdy wszystko zależy od wiary, miłości i nadziei. Według jego metody możemy się stać inwentarzem bogactw materialnych, gdy nam trzeba być ciałem żywem przez ducha. Niech się autor wczyta dobrze w historiją naszą, a prze-

kona się, że dopóki ten duch był w nas i z nami, dopóty potężni byliśmy i siłą i ładem. Wszak sejmy nasze dla prawników dzisiejszych zdają się najwyższem absurdum, takimi nawet są już dziś w oczach naszych. Rozumiemyż dobrze zkąd te różnice? Oto że cała przeszłość nasza rozwijała się za sprawą Ducha Św., gdy dziś podścieliskiem wszystkich praw narodowych są obliczenia matematyczne. Czy mogą one stosować się do nas w obecnej chwili? Należyż nam brać je za normę w urzędzeniu obowiązków społecznych?

Autor większy wpływ wywarł na społeczność naszą *Jordanem* jak obecną powiastką, gdzie analiza i prawidła do zupełnie przeciwnych doprowadziły go rezultatów. Współczuje on szczerze niedoli naszej, kocha nas po chrześcijańsku; ale za nadto materyalnie wyleczyć stara się z wad społecznych. Zachód go widocznie zbija z drogi, która jest i lepszą i prostszą. Doczesne bogactwa biją na jego zmysły, porządek zniewala, i myśli on, że z wprowadzeniem do nas tej metody i tego ładu, wszystko resztujące zrobi się samo przez się. Omyłka tu widoczna, i tém dziwniejsza, że z najzdrowszych powstała rozumowań. Całe dwa tomy przepełnione są pięknymi prawdami ewangelicznymi, autor rozumie ich znaczenie, woła o nie i w nie wierzy; a zrobił z nich zupełnie co innego, gdy je zastosował do życia.

*Tadeusz Pudalica.*

*Wstąpienie na tron Cesarza MIKOŁAJA I, opisane z Najwyższego Rozkazu przez Sekretarza Stanu Barona Korffa. Z wydania rossyjskiego 3go. (dla publiczności piérwszego) przełożył Józef Przecławski. St. Petersburg. W Druкарni wojennej, 1857.*

Dzieło to, które w polskim języku dopiero obecnie czytamy, zawiera wiele faktów dotąd nam nieznanych i ukrytych, na inne nowe rzuca światło. Dowiadujemy się z niego, że Cesarz ALEXANDER I miał zamiar abdykowania korony, i latem w r. 1819 przy obiedzie, Wielkiemu Księciu naówczas Mikołajowi i Jego małżonce myśl tę objawił, dodając, że Cesarzewicz Konstantyn „ma wstręt wrodzony do tronu, stanowczo nie życzy sobie nastą-

pić po mnie, tém więcej, że obaj widzimy na Was dowód łaski Bożej, która Was udarowała synem. I tak, macie zawczasu wiedzieć, że powołani jesteście w przyszłości na godność Cesarzką.”

Cesarzewicz Konstanty w 1821 r. gdy przybył Wielki Książę Michał do Warszawy, nie taił się ze swoim zamiarem zrzeczenia się tronu. „Dwie mam wielkie ku temu pobudki, mówił: naprzód tak miłuję, poważam i czeżę brata ALEXANDRA, że nie mogę bez boleści, bez przerażenia wyobrazić sobie, możność zajęcia jego miejsca; powtóre, żona moja nie pochodzi z żadnego panującego domu i co większa jest Polką; ztąd naród nie może mieć we mnie potrzebnej ufności i stosunki nasze zawsze będą dwu-wykładne. Tak więc postanowiłem niezmiennie ustąpić moje prawo bratu MIKOŁAJOWI.”

Śmierć Cesarza ALEXANDRA I, która jak gromem uderzyła całą Cesarzką rodzinę, pokazała niewzruszonym postanowieniem Cesarzewicza Konstantego co do zrzeczenia się tronu, na rzecz brata Wielkiego Księcia Mikołaja. Rozporządzenie zmarłego Cesarza piśmienne, wraz z rzeczeniem się Cesarzewicza Konstantego w największej zostawały tajemnicy. Ztąd gdy wieść o zgonie ALEXANDRA I, już drogą urzędową ogłoszoną została, sam Wielki Książę Mikołaj pierwszy, wraz z radą państwa, ministrami, senatem, wojskiem i ludem złożył przysięgę Cesarzewiczowi Konstantemu, jako prawemu następcy ALEXANDRA I.

Spisek rozgależony obszernie istniał; wiedział o nim zmarły Cesarz, ale nie znał osób i celu dokładnie. Tymczasem, kiedy po wynalezionem rozporządzeniu ALEXANDRA I, po powtórzonym zrzeczeniu się Wielkiego Księcia Konstantego, Cesarz MIKOŁAJ I wszedł w swoje prawa: wybuchło w Petersburgu powstanie, do którego dał hasło pułk *Moskiewski*. Szczegóły tego poruszenia są przedstawione zajmująco w niniejszym dziele: równie jak krótka walka i przywrócenie spokojności. Godłem tego poruszenia było imię *Cesarzewicza Konstantego*, jako Cesarza nowego. General *Miloradowicz*, chcąc przywrócić do posłuszeństwa zbuntowane rotę, pada ofiarą. Otrzymał śmiertelny postrzał z pistoletu od porucznika *Kachowskiego*, i pchnięcie bagnietem w krzyże. W kilka godzin zasłużony ten wojownik skonał.

Nie mamy w pomienionem dziele podanych żadnych szczegółów o działaniu tajnego towarzystwa, które powstanie to wywołało; kilka tylko imion działających czynnie dnia tego wspomniano: autor trzymał się ściśle zadania swego, aby w jednym a pełnym obrazie dać czytelnikom wyobrażenie dokładne wstąpie-

nia na tron Cesarza Mikołaja Igo. Dla historii ostatnich czasów, zajmujący to przyczynek, wsparty na urzędowych dokumentach.

*Historja prawodawstw słowiańskich, przez W. A. Maciejowskiego. Z rękopismów i druków zupełnie nowo prze-robione i na sześć tomów podzielone. Wydanie 2gie. Tom VI. Warszawa. 1858.*

Dwa tomy pierwsze znają czytelnicy, teraz autor pospieszył z wydaniem VI, obejmującego z rękopismów starych wyjęte dawne pomniki prawodawstwa od r. 992—1573, potrzebne do wyjaśnienia wydanych poprzednio części tego znakomitego dzieła. W przedmowie swój mówi:

„Wydając tom ostatni dzieła, z młodzieńczym zapalem r. 1820 rozpoczętego, a z mężką wytrwałością w latach następnych wypracowanego, teraz zaś, za co składam korne dzięki Wszechmocnemu, szczęśliwie dokonanego, winienem przed czytelnikiem zeznać, że wśród mozołów i trudów były mi jedyną osłodą i zachętą do nieustawiania w pracy słowa niemieckiego wieszczą:

„Maj życia kwitnie raz tylko, téj chwili nic już nie wróci: ja méj młodości szczęście dałem jój” (1).

Zadaniem mojem było pojąć prawodawstwo Słowian, jako jeden pojedynczy objaw pracy duchowej ludzkości w ścisłej zostający spójni z innymi żywiołami dziejowego jój życia, ulegający ich wpływowi i nawzajem na nie wpływ wywierający: przedstawić go jako jeden wielki czynnik cywilizacji narodowej, w związku z życiem umysłowem ludów, z ogólnymi ich losami pojęty. Czy zaś dopiąłem celu, nie do mnie wyrokować o tém należy”.

Rozpoczynają tom ten pomniki prawodawstwa wielko i małopolskie od r. 1326; dalej czerwono i białoruskie, tudzież wołyńskie pomniki: statuta mazowieckie i petycyje zanesione do króla. Pierwsze w nich miejsce trzyma statut Anny księżny na Czersku 1511, na sejmie warszawskim spisany, z radą księztwa uchwalony i w księgach ziemskich czerskich oblatowany; Statut karny, który zachował się w Warszawie w archiwum akt dawnych. Były to ostatnie lata udzielnosci Mazowsza, bo w lat

(1) Pieśni Szyllera. Rezygnacya. Idealy.

piętnaście synowie jój zmarli i księstwo to wcieloném do Korony zostało. Ważniejszym od tego jest Zwod czyli system praw i ustaw mazowieckich przez Wawrzyńca z Prażmowa w r. 1531 zrobiony; lecz gdy ten się Zygmuntovi I królowi nie podobał, gdyż monarcha ten chciał zniwelować prawa mazowieckie z polskimi i statut rzeczony jak najwięcej zbliżyć do prawa w Koronie obowiązującego, wyznaczył drugą deputacją prawodawczą pod przewodem Piotra Goryńskiego. *Katanina* jego, jak wyraża W. A. Maciejowski, w r. 1536 ułożona, przyjęta została, pomimo że praca Wawrzyńca z Prażmowa zbliża się w zaletach do Litewskiego Statutu i jest najlepszym dziełem prawodawczym, na jakie się zdobyło po Wiślickim Statucie prawodawstwo polskie. Kończą te pomniki mazowieckie prośby posłów mazowieckich do Zygmunta Starego o poprawę prawodawstwa, zanesione i spisane w 1543 roku. Pomiedzy temi zwracają głównie uwagę prośby, ażeby wkradające się przez zwyczaj, a dla Mazowsza szkodliwe *zajazdy* polskie uchylił i ułatwił przystęp prawom polskim karnym, które były od mazowieckich lepsze. Tym sposobem całkując się mazowieckie a koronne prawo, wchodziło na tę samą drogę, co niegdyś wielkopolskie i małopolskie, co miejskie a ziemskie statuta; aż wreszcie przez tak zwane *excepta* weszło na nią za Stefana Batorego zupełnie.

Następują przywileje ziemskie litewskie i żmudzkie.

§ 2 obejmuje pomniki prawa morawskiego i czeskiego. § III Statut winodulski. IV Statuta serbskie; zamykają ten tom dodatki obejmujące dyplomata, przywileje, statuta i inne pomniki mające łączność lub objaśniające poprzednie.

Dzieło to z rokiem 1859 w druku całkowicie ukończoném zostanie. Joachim Lelewel w liście swoim do autora, z daty 25 maja r. b. pisze: „Jak z pierwszego tomu widać, dzieło wasze nie jest nowém wydaniem, ani jakim przeszłego przepracowaniem, ale całkiem inne z gruntu, nowo tworzone. Szczęść Boże! żebym jego światłem mógł rychło przyćmioną głowę moją objaśnić” (1).

(1) W drugim liście z daty 10 czerwca r. b. skarży się nasz historyk przed autorem na złą oprawę introligatorską: „Waszego dzieła egzemplarze idą w kurs nie użyte, z nalepionym jeno ohydnie grzbietem. Aby czytać, aby karty porozcinać, iżby się wiatrem i burzą nie rozleciały, wprzód muszę przebijać grzbiet sztydłem i postronkiem je wiązać. A na podobną operacją trocha za gorąco”. Nie jestto wina wydawcy, ale oddawna przyjęta spekulacya naszych introligatorów, którym przez

Tom III z porządku przedstawi prawo cywilne, karne i postępowanie sądowe, w przestworze IX—XIV wieku rozwinięte.  
W.

*Pieśni ludu polskiego, zebrał i wydał Oskar Kolberg, Seryja I. Warszawa. Nakładem wydawcy. W drukarni J. Jaworskiego. 1857. 8a. Str. XI, 448, dwa arkusze tabel i spisów.*

Pod tym napisem ukończoną została jedna z ważniejszych publikacya, zeszytami wychodząca, a która tak treścią jak sumiennością zbieracza, trwale zajmie miejsce w dalekiej nawet przyszłości literatury naszej. Oskar Kolberg, od lat wielu zajmował się zbieraniem głównie muzyki czyli melodyj pieśni ludowych i zgromadził obfity skarbiec. Z ogromu zapasów wydał dopiero seryę pierwszą. Kiedy wydawca przesłał ten zbiór Teofilowi Lenartowiczowi, otrzymał taki odpis i podziękę:

„Nie mogę ci opisać radości, jaką mi sprawiłeś twoim zbiorem pieśni gminnych: zdawało mi się, że jeszcze chodzimy razem po *Wysoca* i *Mokrym* lesie, ty za nutami, a ja za słowami; i że wieczorem jak wówczas porządkujemy nasze zbiory w słomianym dworku Ludwika Norwida.” Dajemy ten wypis, na poparcie wartości zbioru Kolberga, który rok za rokiem nowe zdobycze przynosił w swęj tece, wyniesione z pod trzech słomianych sian polskich.

„Oddaję nutę (pisze Kolberg w przemowie) w nieskażonej prostocie, tak jak wybiegła z ust ludu, bez żadnego przystroju harmonijnego; bo mam przekonanie, że najdzielniejszą jest w samorodnej, niczém nie zmaconej czystości, jak ją natura natchnęła. Brzmi pieśń nieprzerwanie po naszych niwach i gajach, płynie z wodą i wiatrem, odbija się o ściany naszych karczem, dworów i chat, a tam gdzie powstała najsilniej chwyta za serce.”

Ta właśnie sumiennosc, to oddanie wiernie melodyj ludowych, stawia zbiór Kolberga pomiędzy najpięrszemi. Lecz nie tu koniec jego zaslugi: pomimo zbiorów dawniejszych, jak Wa-

klejenie grzbietu książek ułatwia się oprawa. Chciawszy, ażeby szyte porządnie książki były, potrzeba nietylko oddzielnie to zastrzegać sobie, ale troskliwie każdy egzemplarz przezierać. Introligatorzy na takiej klejonce grzbietów, wiele jeszcze zyskują przez to, że posiadacz książki musi ją co prędzej oddawać im do oprawy w pólskórek.

clawa z Oleska (Zaleskiego), Żegoty Pauli, K. Wł. Wójcickiego, Konopki i Lipińskiego, bogatych co do słowa pieśni, sam jeszcze nowe teksta poprzednim zbieraczom nieznane, zdobył lub dawniejsze uzupełnił, i wielu wariantami zbogacił.

Nie naszą jest rzeczą studyować melodye ogłoszone: przedmiot to specjalnych znawców: jak Sikorskiego redaktora *Ruchu Muzycznego*, albo Karasowskiego: my tylko ogółowo wyrzec możemy, że dla narodowej muzyki, nieocenione zasługi położył. W młodych latach Fryderyk Szopen chwycił melodye ludowe chciwem uchem, na ich tematach wysnuł tyle cudnych utworów: zbiór Kolberga otwiera i dostępnymi czyni ten skarbiec każdemu zwolennikowi narodowej muzyki.

W końcu pierwszej seryi mamy *Tabellę* miast i osad wiejskich, o których uczyniono wzmiankę w niniejszym zbiorze, z wykazaniem ich położenia geograficznego. Dołączył nadto wydawca ryciny, dla dopełnienia charakterystyki naszych wieśniaków, wyobrażające ich ubiory, po największej części w okolicach Warszawy z natury zdjęte. Przyznać musimy, że pierwszy raz dopiero ujrzeliśmy i postacie i kostiumy z całą ścisłością i wiernością oddane: w ogłaszanych bowiem dotąd zbiorach *ubiorów polskich* mieliśmy lalki tylko wystrojone i ufryzowane.

W roku zeszłym Oskar Kolberg zwiedził Karpaty nasze, i niemały plon z téj wycieczki przywiózł tak melodyj, jako i textów samychże pieśni. Obecnie zajmuje się przygotowaniem seryi drugiej, w której i góralskie pieśni z melodyami poznamy. Pragniemy szczerze, aby jak najrychlej serya druga jak i następne ogłoszone zostały, a życzenie to podzielają wszyscy, którzy miłują literaturę ojczystą.

W.

### *Ogólne zasady gospodarstwa narodowego.*

Pod tym napisem Fryderyk hr. Skarbek zapowiedział wydanie dzieła i ogłosił prospekt, w którym czytamy:

„W r. 1820 wydał Fr. hr. Skarbek podówczas professor uniwersytetu królewskiego w Warszawie dzieło o gospodarstwie narodowym dla użytku uczniów swoich; przy dalszym wykładzie publicznym téj nauki przekonał się o potrzebie uzupełnienia i ulepszenia téj pierwszej pracy swojej, i zamiast przerobienia jęj,

wolał zupełnie nowe dzieło napisać, co też dopełnił w języku francuzkim, aby pismo swoje oddać pod sąd ekonomików zagranicznych. Dzieło to wyszło w Paryżu w r. 1829 p. n. „*Theorie des richesses sociales*”. Od czasu ukończenia téj pracy wykladał autor kurs nauki gospodarstwa narodowego według kompendiów przez siebie z francuzkiego tekstu wytłumaczonych i przygotował tém samém polski rękopism swego dzieła, którego dotąd dla licznych zatrudnień swoich, ostatecznie przejrzeć i do druku przygotować nie mógł. Teraz, gdy po wysłużeniu zamierzonego zakresu lat urzędowania powrócił do powołania naukowego, któremu pragnie poświęcić resztę dni swoich, postanowił wydać najprzód rzeczzone dzieło i zająć się następnie uzupełnieniem innych swoich pism ekonomicznych”. Dzieło to, którego druk niezwłocznie nastąpi, złoży dwa tomy (cena prenumeraty złp. 20) obejmujące przeszło czterdzieści arkuszy druku.

My tu dla oznajomienia bliżej naszych czytelników z pracą tak ważną dawnego profesora naszego uniwersytetu, podamy w całości przedmowę:

„Gdy w r. 1818 powołany zostałem na profesora nauk administracyjnych w królewsko-warszawskim uniwersytecie, nie było wówczas polskiego dzieła o ekonomii politycznej, z którego-bym mógł korzystać przy wykładzie téj nauki. Musiałem przeto wypracować kompendya do prelekcij moich, które dla użytku uczniów uniwersytetu ogłosiłem drukiem w r. 1820 pod tytułem: „*Elementarne zasady gospodarstwa narodowego*”.

Po kilku latach nauczania przekonałem się, że przyjęta w tém dziele metoda wykładu téj nauki nie odpowiadała wymaganiom nauczyciela, który pragnął uczynić ją dostępną dla pojęcia uczniów. Dla poprawienia téj metody powziąłem myśl oddzielenia zasad bogactwa pojedynczego człowieka od zasad bogactwa narodowego; a ponieważ niepodobna było przerobić podług tego zamiaru piérwszój pracy, postanowiłem napisać nowe dzieło.

Tym sposobem powstało drugie dzieło moje o teorii gospodarstwa narodowego, zupełnie odmienne od piérwszego, w którym ani układu, ani przedstawienia rzeczy z dawnego nie zachowałem, tak dalece, iż nawet żadnego rozdziału z piérwszego do następnego nie przeniósłem. Zdaje mi się, że rzadko się zdarzyło, ażeby ktoś w jednymże przedmiocie dwa oddzielne dzieła napisał, a to bez odstąpienia od głównych zasad nauki, jedynie dla ulepszenia planu i wykładu rzeczy. Tego tylko do-



konać mógł professor mający codziennie sposobność przekonywania się, czy sposób jego nauczania trafia do pojęcia uczniów lub nie.

Ponieważ w tém drugiem dziele mojem odstąpiłem, nie już od zasad, lecz od metody nauczania ówczesnych pisarzy ekonomicznych, gdy w niem wyłożyłem nowe myśli i zasady, mianowicie o cyrkulacji bogactw narodowych: uznałem za właściwe poddać pod sąd zagranicznych uczonych tę pracę moją i dlatego napisałem dzieło moje w języku francuzkim i ogłosiłem je drukiem w Paryżu w r. 1829 pod tytułem: *Théorie des Richesses Sociales*.

Niech mi wolno będzie przytoczyć koleje, jakie przeszedł mój rękopism przed wydrukowaniem, i zdania o nim ówczesnych i późniejszych krytyków. Czynię to nie dla dogodzenia próżności autorskiej, lecz dla przedstawienia czytelnikom moim bezstronnego świadectwa właściwych sędziów, iż starałem się dawniej sumiennie wypełniać obowiązki nauczyciela głównej szkoły, i że teraz składam ziomkom w ojczystej mowie dzieło, któremu znawcy nie odmawiali zalet i użyteczności, gdym je w języku francuzkim pod ich sąd oddał.

Jeszcze w r. 1826 posłałem moją pracę do Instytutu francuzkiego, pragnąc otrzymać o niej zdanie uczonego zgromadzenia przed jej wydaniem. Sekretarz główny *Akademii królewskiej umiejętności* stanowiącej jeden wydział Instytutu, sławny Cuvier uwiadomił mię pod d. 4 grudnia 1826 r., iż Akademia przyjęła z zadowoleniem moje pismo, i że wyznaczyła kommissyą złożoną z PP. Fourier i Coquebert-Monbret do odczytania go i złożenia sobie raportu. Po długiem oczekiwaniu na wypadek sądu téj kommissyi, dowiedziałem się w lipcu 1827 r., że rękopism mój zaginął i dopiero w kilka miesięcy później okazało się, że go p. Fourier chwilowo zarzucił i następnie po przeczytaniu panu Coquebert odesłał, który oświadczył ustnie ziomkowi memu, czyniacemu w miejscu starania o odzyskanie mojej własności: „iż nauki polityczne od dawnego czasu nie mogą być przedmiotem roztrząsań Instytutu; że kilka rozdziałów mego dzieła tyczących się *Statystyki Polski* stanowią nader zajmujący przedmiot dla Francuzów; że pod tym względem będzie może Instytut mógł coś wyrzec o tém dziele, i dodał w końcu, iżby życzył, aby niektórzy uczeni francuzcy, tak gładko, czysto i pięknie pisać mogli jak autor tego dzieła.” Pomimo to okazywało się z téj odpowiedzi, że p. Coquebert nie czytał dzieła, bo w niem nie

było owych rozdziałów dotyczących się statystyki Polski, które miały zająć Instytut. Skończyło się na tém, że nie otrzymałem żadnej odpowiedzi od francuzkiej Akademii umiejętności, i że musiałem sam udać się w r. 1828 do Paryża celem wydobywania mego rękopismu z archiwum Instytutu i zajęcia się jego wydaniem.

W końcu stycznia 1829 r. ogłosiło sześć pism publicznych paryzkich wyjście dzieła mego. Jedno z nich przytoczywszy z przedmowy plan jego, oświadcza: „iż ta metoda ułatwia tak dalece wykład nauki, że nie wątpimy, iż się przyczyni do tego, aby jej nadać przecież tę popularność, na której jej dotąd zbywało”. Inna gazeta donosząc o nowych dziełach wychodzących w Paryżu tak się wyraża:

„Kilka dni temu donosiliśmy o ukazaniu się uczonej historii prawa municypalnego p. Raynouard, a już dzisiaj wydawcy zapowiadają nowe dzieła, których powodzenie jest niewątpliwe. Takiem jest nowy traktat o ekonomii politycznej, dzieło zagranicznego uczonego, z którego możemy poznać jaki jest stan tej nauki w kraju gdzie ją naucza. Książka jego ważną jest z powodu uproszczenia metody, która dostępną czyni naukę dla wszystkich pojęć, co oddawna było požądaniem: gdyż tylko tym sposobem można osiągnąć praktyczną użyteczność, jakiej po niej zarząd towarzystw ludzkich oczekuje.”

Między zdaniami o tém dziele ówczesnych pism periodycznych napotkałem na artykuł bardzo dowcipny, w którym satyryczny i wesoły Figaro uprzedza jednego z zaciętych przeciwników wszelkiego postępu, deputowanego z prawej strony, że wyszło niebezpieczne dzieło, które może się przyłożyć do upowszechnienia zasad przez niego znieawidzonych, dlatego, że bardzo zrozumiale jest napisane, i wymieniając tytuł mego dzieła, przytacza z niego wyjątki dla użytku rzeczzonego deputowanego.

Obszerniejszy rozbiór dzieła tego umieszczony został w ówczesnym naukowym piśmie: *Revue Encyclopedique*, w którym recenzent przyznaje, iż przez tę pracę moją wyświadczyłem prawdziwą przysługę nauce, a zwłaszcza też tym, którzy pragną znaleźć do niej przystęp drogą łatwą i pewną. Przytoczywszy z przedmowy sposób w jaki napisałem to dzieło, uważa je za pierwszą część ogólnej nauki gospodarstwa narodowego. Wchodząc w zamiar autora zebrania w jedną całość wszystkich prawd ekonomicznych przez poprzedników jego przyjętych i zbliżenia ich zdań tam, gdzie między nimi niezgodność zachodzi, uważa,

iż dzieło to może uchodzić za wykład zasad nauki przyjętych przez tych, którym winna postęp, jaki dotąd uczyniła.

Następnie przyznaje tenże recenzent, że autor nie ograniczył się jedynie przytoczeniem myśli obcych, lecz, że objawił własne i nowe pomysły, zwłaszcza o *pracy umysłowej, o dochodzie w ogólności, o cyrkulacyi, wartości i t. p.*

Daléj rozbiiera krytyk metodę wykładania nauki i przypisuje doświadczeniu w powołaniu nauczycielskiém nabytemu zalety, jakie w niej upatruje. Dla poparcia swego zdania przytacza rozbiór całego dzieła, które sądzi być godném uwagi tych, co pragną, aby ekonomia polityczna posuwała się w zawodzie udoskonalenia.

Później znalazłem w jedném piśmie włoskiém naukom ekonomicznym poświęconém, bardzo szczegółowy rozbiór mego dzieła i długie wyjątki całego wykładu przedmiotów w niem rozbiieranych. Znany ekonomista francuzki Blanqui, w rozprawie o literaturze ekonomii politycznej, uczynił mi zarzut ogólny, że się zbyt wyłącznie zająłem samą teorią nauki, zaniedbując jéj zastosowanie do praktyki; przyczém nie uwzględnił tego, iż zapowiedziałem w przedmowie: że zastosowanie teorii naukowéj do samego gospodarstwa narodowego, do dalszych tomów zamierzonego dzieła odkładam, tak, jakto uczyniłem wydając Naukę administracyi, po wyjściu Elementarnych zasad gospodarstwa narodowego.

W ostatnich czasach zwróciło dzieło moje uwagę wydawców Dykeyonarza ekonomii politycznej, w roku 1853 przez znakomitych ekonomistów francuzkich i innych wydawanego, w którym znajdują się przytoczenia i wyjątki z niego, mianowicie pod artykułami: *Capital, Circulation, Consommation, Echange, Economie Politique.*

Słusznie krytykuje autor tego ostatniego artykułu tytuł mego dzieła i tę uwagę, jaką we wstępie uczyniłem: iż nie należy brać całej ziemi jako siedlisko rodzaju ludzkiego uważanej, za przedmiot uwag i wniosków ekonomii politycznej; korzystałem z téj krytyki przy niniejszém wydaniu. Lecz za to autor artykułu *Circulation* p. Coquelin przyznaje mi największą zasługę w wyjaśnieniu i rozwinięciu teorii cyrkulacyi wartości, i przytacza obszernie wyjątki z mego dzieła w tym przedmiocie.

Po przytoczeniu zdań cudzoziemskich krytyków, mogę ze spokojném sumieniem ogłosić dzieło moje w ojczyrstéj mowie, i pocieszać się tą otuchą, że ta praca moja nie będzie bez użytku

dla ziomek. A jeżeli siły odpowiedzą chęciom, wypracuję zastosowane części nauki Gospodarstwa narodowego według innego planu, jak dzieło przezemnie w r. 1821 wydane pod tytułem: *Gospodarstwo Narodowe zastosowane, czyli Nauka Administracyi*.

*Kilka zaprzeczeń stosowności Kilku uwag filologicznych pana Mikuckiego, i ogólna przestroga.*

Pan Mikucki, ogłaszając w Bibliotece Warszawskiej (w poszycie za miesiąc luty 1858 r. str. 443) uwagi swoje nad dziełem Teodora Narbutta: „*Dzieje narodu litewskiego*” wyrzcił się na czele: „Z głębokiem przekonaniem wyrzec możemy, że z pomiędzy tak nazwanych indo-europejskich języków, litewski do dziś dnia zachował w sobie najwięcej wyrazów i form grammatycznych, sięgających najodleglejszej starożytności, i że *sam w sobie jest bogatszy od wszystkich razem wziętych słowiańskich narzeczy.*”

Każde przekonanie osobiste godne szacunku, bo jest wyrażeniem indywidualnego pojęcia prawdy; ale że *humanum est errare*, pojęcie człowieka trafia się błędne, więc i przekonanie jednego nie jest prawdą dla wszystkich. Z tego stanowiska zapatrując się na powyższe zdanie p. Mikuckiego, ośmielam się uczynić mu zarzut niestosowności, oparty wszakże tylko na powątpiewaniu. Oto zdaje mi się niepodobieństwem, aby język litewski jaśniał bogactwem przewyższającym sumę bogactw trzynastu języków słowiańskich razem połączonych. Słaby ten pocisk z wewnętrznego poczucia mego idący, tylko sumiennem wynurzeniem się usprawiedliwić mogę, bo nieznaną mi jest głębia bogactwa litewskiego przeszkadza mi rozłożyć obostronne bogactwa do porównania. Zmniejsza się przez to drobiazgowość dowodów, poddanych w każdym szczególe indywidualnemu sądowi stron; ale nie osłabia się bynajmniej moc wyrozumowanego poglądu, który śmiem stawić naprzeciw równie ogółconemu z faktów twierdzeniu: zaś przebaczenia za moje litewskie nieuctwo pewny być mogę, kiedy nawet p. Narbutt wielce uczony mąż litewski, głęboki badacz dziejowy, zdaniem p. Mikuckiego nie zna go, acz swojego ojczystego języka.

Uderza mię przedewszystkiem brak loicznego związku między przytoczonymi w uwadze faktami, bo skoro język litewski „zachował w sobie najwięcej wyrazów i form grammatycznych,

siegających najodleglejszej starożytności” oczywiście więc mało był w upływie wieków późniejszych przerabiany, kształcony, a tém samém w nabytkach bogactwa był wstrzymany. Tę naprowadzało na domysł przeciwny o jego ubóstwie. W jakąś rodzinną świetność języka, w jakieś samorodne bogactwa z pierwocin społeczeństwa idące, wierzyć nie mogę, bo mam uzasadnione wewnętrzne przekonanie o postępowém kształceniu się i bogaceniu mowy ludów; a nie pojmuję jakim sposobem język litewski mógł być sobie wyrobić kiedyś przed wieki taką znakomitość bogactwa, którą w nim p. Mikucki upatrzył, gdy język jest barwą pojęć, a te mnożą się tylko w miarę różności i wykształcenia stosunków społecznych jakiego ludu. Naród litewski nie był liczny, a poznaliśmy go w stanie bardzo niskiej oświaty, bez związków kojarzących go z ogółem ucywilizowanej rodziny narodów. Nie rozumiem, jakby stać się mogło, że ten język, wzniosłszy się niegdyś tak wysoko, zastygł bez postępu do dni dzisiejszych na owym szczyblu doskonałości, do którego nie zdołają zbliżyć się w całym zbiorowisku bogate gromady języków Słowian; i kiedy dawne zabytki inteligencyi ludów języka sanskryckiego, zendzkiego, pelwickiego używających, utworzone w innej dalekiej od nas części świata, dostały nam się jednak do obejrzenia i sądu: dlaczego dzieła mowy ludu litewskiego, z nami dawniej sąsiadującego a później w jedność narodową zlanego, ukryły się przed potomnością; dlaczego ten język przychodzi do nas bez wszelkich tworów, głębokość wiedzy lub wzniosłość uczuć w nadobnym słowie skreślających, jedynie w żywym potoku ducha prostaczków, poczciwością, ale nie wiedzą znakomitych. Litwin przed erą unii był dzikiem, wyhodowany w lasach, jak sam p. Mikucki przytacza, ma wiele wyrazów malujących rozmaite odcienie zmysłowe słuchu, wykształconego w głębokich puszczy ostępach: w tym oddziale pojęcia górować może nad Polakiem. Niewątpliwie język jego obfitszym jest w obrazowaniu narzędzi łupieży, którą się trudnił, jak niemniej w wyrażaniu całego zakresu niewoli, której stryczek zaciągał na karki zwyciężonego ludu, sam ulegając samowoli swych książąt; ale nie rozumiem jakim sposobem mowa jego mogłaby stać się bogatą w narysach pojęć moralnych, w obrazowaniu stosunków obywatelskich i międzynarodowych, na miłości, na braterstwie Chrystusowém opartych, które nie były mu znane; nie mogę wierzyć, aby mowa Skargi napominającego króla, senatory i nasze obywatelstwo, była mniej świętą i bogatą, jak mowa jakiego Krywejty lub Wajdeloty pod świę-

tym dębem, wypowiedziana do dzikiej tłuszczy przed krwawą ofiarą dziewicy branki, lub rycerskiego krzyżaka na cześć Perkuna; aby mowa Zbigniewa Oleśnickiego hamującego surowe wybryki Jagielly, była mniej bogatą jak język Monwidów, Jawnutów, nie potrzebujących użycia potęgi słowa przy ślepém posłuszeństwie skinieniom pana. Kocham Litwina pełném sercem brata rodaka, szacuję jego życie obecne więcéj jak terażniejszych naszych współbraci Polan odpowiedniego stanu, w wielu stosunkach spaczone; ale mowę narodu mego kocham nad wszystkie; a chociaż znam inne bardzo bogate, uważam ją za najbogatszą, za najstrojniejszą między wszystkimi, i mam to głęboko w duszy wyryte przekonanie, że duch polski nie zniósłby ciasnej, ubogiej szaty, rozszerzyłby ją i ubogacił podług rozmiarów swoich. Takie jest pierwsze moje niezgodzenie się z uwagami p. Mikuckiego: inni Słowianie niechaj wypowiedzą swoje.

Badacz języka, zgłębianiem cielesnego mechanizmu zajęty, ślęcząc przy rozkładaniu wyrazów na cząstki głosowe, mimo swéj głębokiej wiedzy i estetycznego usposobienia, gubi rozerwaną w drobiazgi uwagę i nie starczy mu poglądu na ducha języka, na jego organiczny ustrój, na piękno duchowe uwydatnione tak w harmonijnym składzie ogółu, jak w nadobnym utworze cząstek; staje się zimnym obserwatorem materialnego zlepku, sędzią jednostronnym; podobnie jak prosektor w sali anatomicznej, krając w kawały trupa i oglądając jego cielesne drobnostki, nie uznawdzików, któremi duch obdarzał to ciało dopóki było jego mieszkaniem. On nie może ukochać tego Boskiego dzieła: rozrywa jego skład organiczny, owo piętno duchowe Stwórcy, bryłę cielesną uszlachetniające; a gdy je zbada anatomicznie, czyż mu przystoi wyrzec: „Zaprawdę, ten człowiek jest w cnoty i wdzięku bogatym.”

P. Mikucki podał wyczerpnięte z badań filologii porównawczéj następujące prawdy fundamentalne: pierwszą: „że we wszystkich językach pierwiastki czyli jądra są jednozgłoskowe, w języku chińskim zawsze pojedyncze, nieodmienne, same w sobie czyli o sobie nie nie wyrażają, i w zdaniu dopiero otrzymują swe znaczenie. W językach indo-europejskich dwa lub więcéj pierwiastków mogą zlewać się w jeden wyraz i oddzielne wyrazy, same w sobie mają pełne znaczenie.” Pod wyrazem pierwiastków czyli jąder języka, p. Mikucki rozumie niewątpliwie pierwiastki brzmienne wyrazów, bo pierwiastkami języka jest duch narodu i organ cielesny mowy. Zdanie to w stylu dotychczasowej gram-

matyki polskiej tak się wyłoży: we wszystkich językach wyrazy składają się ze zgłosek; chińskie wyrazy są o jednej zgłosce, nieodmienne i niemające w sobie oddzielnego pojęcia; dopiero w zestawieniu syntaktycznym wspólną pomocą przykładają się do obrazowania myśli; w indo-europejskich zaś językach, wyrazy składać się mogą z jednej lub z więcej zgłosek ze sobą łączonych, i stanowią osobne pojęcia. Ta stara prawda razem ze syllabizowaniem uczona, nie potrzebuje nowój sankeyi od filologii porównawczej, a chińskie narzecze dla znajomości języka indo-europejskiego obojętne. To druga moja uwaga.

Można było dalszą z kolei prawdę wyłożyć, równie fundamentalną: że te pierwiastki czyli te jądra języka mają w sobie pojedyncze żarna czyli ziarna dwojakiego rodzaju, albo innemi słowy, że sylaby wyrazów składają się z pojedynczych głosek, które są samogłoskami lub spółgłoskami. Można było jeszcze i to przytoczyć, że pewna część wyrazu jest rdzeniem (jądrem) jego, przybierająć różne nagłówki albo końcówki wedle prawideł odmian: ale snąc filologia porównawcza tego nie wymaga.

P. Mikucki za przykład jednostki z kilku pierwiastków złożonej daje nam wyraz *nauczycielowi*, i mówi: „wyraz ten składa się jak widzimy z trzech oddzielnych wyrazów: *nauczyć* (pierwiastek z przyimkiem *na*), *ciel* (przystawka oznaczająca osoby działające), i *owi* (zakończenie trzeciego przypadku).” Ten przykład jest raczej zaprzeczeniem założonego twierdzenia, jak jego poparciem. I tak, pierwiastek *nauczyć*, chociaż mu odejmiemy nagłówek przyimkowy, nie będzie jednosylabny, ale dwuzgłoskowy wbrew definicyi; wyraz drugi *ciel*, sam o sobie nie ma pełnego znaczenia, jakie mieć winien wedle naczelnój prawdy: a jeżeli uznamy go, podług tej teoryi, równym w składowej całości pierwiastkiem, nanczas większym prawem mógłby posłużyć na wyrażenie pojęcia *ciel-ę*, jak do oznaczenia osoby działającej. Grammatyki dotychczasowe uczyły nas, że to jest końcówka przydatkowa, posługująca przy tworzeniu rzeczowników (istotników) pochodnych do wyrażania istot sprawotwórczych, nie koniecznie osób: filologia porównawcza tego nie przyjmuje. Wyraz ostatni *owi*, będący końcówką w odmianach wyrazów, sam w sobie nie ma także żadnego znaczenia; więc upada nowa teoria, że każdy wyraz ma w sobie oddzielne pojęcie, to jest cząstkę myśli.

Druga prawda przez p. Mikuckiego położona objawia: „że rodzaj ludzki ze względu na języki, dzieli się na kilka gromad. Języki ludów, należących do jednej gromady, czyli *plemienia*,

składają całość organiczną, to jest mają też same pierwiastki i jednakowy ustrój zdań czyli jednakową grammatykę." Poniżej zaś w trzecim ustępie mówi: „mieszkańcy Iranu i Hindostanu, Grecy, Rzymianie, Celty, Niemcy, Litwini i Słowianie składają jedno plemię;" a więc, słowami p. Mikuckiego, „składają całość organiczną, to jest mają też same pierwiastki, i jednakowy ustrój zdań, czyli jednakową grammatykę." Takięj prawdy filologia porównawcza przy największych wysileniach nie udowodni. Język nie jest wspólną własnością plemienia, ale osobnym znamieniem narodowości: jego organizm, a z nim grammatyka tą tylko sferą ograniczona. Jakkolwiek Słowianie z Indusami, a nawet tak daleko nie sięgając, z Giermanami, są w jednej gromadzie czyli plemienu popopotowém, jakkolwiek jądra i przystawki wyrazów ich mowy są sobie podobne; ustrój ich języka jest różny, a nawet między Słowianami tyle potrzeba oddzielnych grammatyk, ile jest osobnych wiązek społecznych, jednością mowy złączonych.

Z takiego stanowiska zapatrując się na języki p. Mikucki mówi; „obrabiając uczonym sposobem jakkolwiek język, trzeba koniecznie porównywać go ze wszystkimi pokrewnymi językami pod względem leksykologicznym i grammatycznym." A ja sędzę, że to jest błędna i do przebycia niepodobna droga. Przeprowadzając wyraz indo-europejskiego języka przez wszystkie gałęzie jednoplemienne, przez one stare sanskryty, przez zendskie, pelvijskie odcienie, i przez nowe w narodowościach tamtych ziem używane, dalej przez greckie, romańskie, celtyckie, giermańskie i z nich powstałe, przez litewskie i słowiańskie narzecza, trzeba by z każdego utworzyć osobne dzieło, w którym nie mogłaby jaśnieć prawda, tylko w harmonijnym składzie widoczna; lecz przeciwnie występujące luźne głosy porównywanych języków, sprawiałoby jakąś kocia muzykę lingwistyczną. Otworzyłoby się pole do czezych popisów z uczonością, słownikowém naśladowaniem zdobną, która prawdy nie wskaże, a tylko zasłuży sobie na uwielbienie słowami Krasickiego wskazane:

A ponieważ sięgnąłeś w radixi, suffixy,  
Przeniosłeś w sławie Sfinxy i Fenixy  
W dziełach Euryppy, Bucentaury,— dixi.

P. Mikucki daje nam jeden przykład porównywania wyrazów z innymi jednoplemiennymi, w krótkim przytoczeniu: że wyraz niemiecki *schatz*, ze słowiańskim *skot* porównany, a objaśniony gockim, duńskim i fryzkiem dyalektem, okazuje się tym



samym, to jest o równym pojęciu wyrazem w obu narzeczach. Więc z takiego porównywania wyciąga się dowód porównawczofilologiczny jedności tych dwóch języków, dowód zbyt słaby na obalenie rzeczywistej prawdy, nie potrzebującej tu usprawiedliwienia, że jak duch niemiecki, tak i język tego ludu, z polskiem są niezgodne.

Taki sposób zgłębiania istoty mowy, na jądrach głosowych czyli zgłoskach rdzennych oparty, doprowadzi badacza w ciemnicę zimnej otchłani, której nie ogrzewa i nie oświetla myśl Boża; sięgając on, czczeniem wymaganiem owiany, nadto głęboko w studnią, bez oglądania się na rzeczywistą naturę potrzeby, zamiast czerpania ożywiającej wody, dostanie się do błota. I nie dosyć mu będzie zawołać „*oleum et operam perdidit*”, ale zapłakać mu należy nad świętokradzkim działaniem, w którym siebie i innych skala poniewierką daru Bożego. Mieszając narzecza ludów za wskazówkami brzmień głosowych, zatrzemy z mowy świętość namaszczenia duchowego, które Stwórca poszczególnym narodom wskazał za piętno wyróżniające. To jest druga moja uwaga.

P. Mikucki za trzecią fundamentalną prawdę ogłasza: „że mieszkańcy Iranu, Hindostanu, Grecy, Rzymianie, Celty, Niemcy, Litwini i Słowianie, składają jedno ogromne plemię. Dawni mieszkańcy Hindostanu, przez lud Azyjski wyrugowani, do tego plemienia nie należą.” Nie zaprzeczam rzeczywistości tej prawdzie, jeżeli wyrazowi *plemię* damy bardzo obszerne znaczenie, wyobrażające łączność rodową zaraz po erze Babelu; ale nie upatruję dla czego i jakim sposobem fakt ten do etnologii i historii odnoszący się ma stać prawdą fundamentalną w grammatykach. Trzecią tę więc prawdę fundamentalną P. Mikuckiego nazwałbyśmy zbyt czynnym przepełnieniem zasad filologii porównawczej, gdyby ich było przytoczonych więcej, jak pięć; że zaś w tak szczupłej znajdują się tylko ilości, uważam ją za błąd, postawioną jako prawo.

Czwartą prawdę wskazuje p. Mikucki tę: „że w językach indo-europejskich są pewne, stałe zmiany dźwięków, tak np. głosce *h* w języku sanskryckim, odpowiada głoska *z* w języku staroperskim i słowiańskim, głoska *ż* w litewskim. Z tej osnowy wnosićby można, że każdy wyraz indo-europejski przeprowadzić można z jednego narzecza w drugie przez zmianę dźwięków głosowych, stałemi prawidłami wskazaną, co jednakże jest nieprawdą. Przeróbka wyrazów ma stałe dla siebie prawidła, ale tylko w każdym poszczególnie narzeczu, wykładane w grammaty-

kach nie zasilanych pomocą filologii porównawczej wszechjęzykowej; owej ogólnej indo-europejskiej grammatyki żaden badacz wymyślić nie potrafi. Zleją się kiedyś ludy w jedno braterstwo na duchu, na miłości oparte, ale ich mowa przy kolebce rodu pomieszana, zostanie się różną; identyfikacja narzeczy jest błędnym, zgubnym marzeniem.

Piąta nareszcie prawda tak brzmi: „w językach indo-europejskich wyrazy powstają z pierwiastków za pomocą rozmaitych przystawek, suffixum,” a przystawka, podług zasady pierwszej jest także osobnym o pełnym znaczeniu wyrazem. Taka reguła nadto ogólnie wypowiedziana, nie więcej daje objaśnienia w organizmie języka, jak przytoczenie, że skrzypce składają się z drewna i rzemienia; a wszakże z tych samych pierwiastków można złożyć muzyczny instrument, równie jak narzędzie wcale nieestetyczne do otrzepania skóry. Wybacz mi mąż uczony to porównanie, bo rzeczywiście jestem pod naciskiem bolesnego uczucia, wywołanego tą amalgamacją języków, tém lekceważeniem mowy ojczystej, której odrębność Stwórca zawarował w duchu narodowym; więc wskazał za obowiązek każdego troskliwe jej pielęgnowanie, ochronę od pokrzywienia i zanieczyszczeń przez napływowe pyły.

P. Mikucki mówi na końcu: „że te prawdy zasadnicze, tém są w filologii, czém cztery działania w matematyce; każdy więc nie mający o nich pojęcia, nie powinien brać się do układania słownika, lub grammatyki.” Wykazałem jednak powyżej, iż te niby nowe prawdy, są albo starą powszechną drogą, albo niepotrzebną do niej przyczepką, tylko błędnym manowcem. Linde napisał doskonały słownik polski bez przytaczania jąder i przystawek z indo-europejskich narzeczy; śledził on tylko źródłosłowy wyrazów, posługując się narzeczanymi pobratymcami, i nie potrzebował mieć na uwadze owej niby zasadniczej prawdy, że ludy indo-europejskie są jednym plemieniem, któraby mu do niczego nie posłużyła. P. Mikucki idąc za nową metodą, nie doszedł do równiej z nim gruntowności w śledzeniu pochodzenia wyrazu polskiego *wskurać*, jedyne, który tej próbie poddał. Zdaniem jego, „sanskrycki pierwiastek *kr* (karomi, karoszy, karoti) znaczy czynić, działać, *facere, agere*. Z tym pierwiastkiem pokrewne i nasze słowo *wskórać, wskurać*. A podług mnie tak głęboko sięgać nie można bez obrażenia prawdy; opierając się o to jądro głosowe *kr*, wypadaloby ułożyć długie szeregi wyrazów polskich nie mających ze sobą żadnego powinowactwa w duchu; znalazły-

by się tutaj zestawionemi: *król krowa, karmić karać, kraść i krasić*; byłaby to nadto wielka swoboda, a raczej śmieszna swawola badawcza. Wyraz *wskurać*, zdaniem mojem, pochodzi od łacińskiego *cura*, staranie, i znaczy wystarać się o skutek; podobnie jak *wykurować* znaczy skutkiem starań przywrócić zdrowie. Jak dalece zaś stosownemi są badania p. Mikuckiego nad litewskimi wyrazami, nie do mnie sąd należy.

Zapatrując się na języki zewnętrznie, podług ich pierwiastków, czyli jąder, oraz przystawek, znajdziemy wszędzie wiele podobieństwa głosowego, ale na téj drodze zminiemy się z prawdą. Głosy zwierzęce dają się porównywać za wskazówkami tonów, np. krakanie kruka i jednoplemiennéj wrony, ale istota mowy ludów zależy nie tyle na brzmieniu głosowém, lecz więcej na udziale ducha w nie wprowadzonego, który daje piętno rodowe językom; organizm więc czyli ustrój ich wewnętrzny w odmianach i składaniu wyrazów, dla odmalowania różnaitości pojęć służący, jest większą skazówką rodu, jak tamte zmysłowe czyli fizyczne pierwiastki. I one zasługują na uwzględnienie, ale w podrzędnym stopniu, i nie można im zbyt wielkiej przyznawać wartości, a tém mniej całe dzieło na nich budować, bez popadnięcia w błędy. Podobnie historyk mający opisać żywot narodu polskiego, źleby sobie postąpił, gdyby swój wykład ugruntował na téj prawdzie: że naród polski składa się z ludzi mniej więcej różnej postaci jako pierwiastków czyli jąder swoich; i z przystawek doń połączonych, jakoto, kontuszów, kubraków i szarawarów. Z tego stanowiska patrząc, znalazłby wiele podobieństwa u Czerkiesów i u Giermanów, ale czyż wykład jego byłby stosowny, a sądy sprawiedliwemi?

Jest stare przysłowie: „co Niemiec zrobi, to Polak kupi, a mądry jest dopiero po szkodzie;” przekonać się on dawno powinien, że duch rozkładowy dezorganizacyjny giermański szkodliwie działa na jego wnętrze słowiańskie, spoiste, tchnieniem miłości wielkie. W wieku XVI reformacya anatomizując kościół na pierwiastki, to jest rozkładając ciało społeczne braterstwa Chrystusowego na pojedyncze odłamki, napłynęła w nasz katolicki naród, jako moralna trucizna; *nowinkami wirttembergskiemu* wyziębiły się serca z uczuć braterskich; a chociaż, przy nadzwyczajnym wysiłku, zdołaliśmy z niej otrząsnąć się, ale rana została głębokie blizny w ciele narodu, wybryki samowoli możnych, i zwiększony ucisk nad słabszą drużyną kmieci wykonywany. Niedawno filozofia przez nowinki królewieckie i berlińskie, otu-

maniwszy nasze pojęcia, przy zaprzeczeniu uczucia, z potępieniem jego popędów, dała panowanie w kierownictwie czynów absolutnemu rozumowi, z kąd powstał zimny egoizm; uchodzi ona wprawdzie z horyzontu społeczności naszej jak mgła światłem i ciepłem słońca ogrzana, wszakże niejedno *ja* przepadło w filozofijnem skażeniu, i widzimy te *jaźnie* bez barwy współczesnej, pod chorągwiami zysków zebrane, goniące za zmysłową rozkoszą lub złotem w błoto grubego materializmu. Teraz z téj samej strony i atmosfery, od Zachodu wionęła nowa lingwistyczna reformacya, rozkładająca języki, ciała organiczne, ducha narodów w czeze atomy pierwiastków i przystawek, które okazują, że mowa ludów jest zlepkiem głosowym, wszędzie sobie podobnym, bez praw poszczególnych duchowych, wołą Stwórcy zawarowanych. I ta *nowinka* (trafne naszych przodków nazwanie) przemienie, ale równie jak tamte, zostawi po sobie skazy.

Germanie wyrobili u siebie wiele bogactw, które potrzebom ich natury odpowiadają: ale nie sięgajmy po nie nadto łapczywie, bo to rzecz cudza. Oni sami znoszą je do nas, zasypując równie skarbami wiedzy jak pieniędzmi, z jednakim wszędzie dla nas uszczerbkiem. Otumanieni wyrobami rozumu sąsiadów, bierzemy je, wyzuwając się z miłości społecznej. Oczarowani blaskiem złota niebaczni Lechici oddają przybyszom ziemię kośmi pradziadów zasianą, a po tym grzechu świętokradztwa idą do nich w służbę. Takie to jest następstwo konieczne, gdy brak zamilowania w przyrodzonych darach, któremi Bóg tak w sferach ducha jak materji, społeczności ludzkie wedle swéj mądrości rozmiecie obsypał. Ostrożnie więc: to moja ostatnia uwaga.

Dnia 26 lutego 1858 roku.

A. Morzycki.

**CZAS**, DODATEK MIESIĘCZNY. Zeszyt na marzec 1858. (Tom IX. Zeszyt 27) zawiera:

— «Peregrynacyą Stanisława Wierzbowskiego wojewodzica sieradzkiego do Francji w latach 1678, 1679, 1680 i 1681», z rękopismu familijnego, który rodzina Załuskich odziedziczyła po Wierzbowskich. Ogłosił Jan hr. Załuski.

— *O łaźniach w Krakowie*. Jan Radwański, ocalony od zniszczenia przypadkiem szczęśliwym przywilej Augusta II

króla na łaźnię dla Krakowa, ze wstępem i objaśnieniem swoim podaje. Przywilej ten przywołując w treści dawniejsze Michała Korybuta i Jana III, na nowo je zatwierdza. W pomniku tym (z d. 18 Julii 1720 r.) wyczytujemy o szczególnym zwyczaju, że sposobem dawania znaku na łaźnię było bicie w miednicę, a co nas naprowadza na myśl, iż termin kąpieli był stały. Według dawnego zwyczaju (pisze p. Radwański) łazienkowanie odbywano gromadnie, że była w tém jakaś gospodarność albo czuwanie nad porządkiem, albo wreszcie, że odbywano jakie wizyty lekarskie. Na zapytania dowiedziałem się od starych wiekiem ludzi, że przed 60 laty podobne dawanie znaku: „*bicie w miednicę*” odbywało się jeszcze w Krakowie.

„Komedyja p. n.: „Przyjaciele artyści”: oryginalna, w 2 aktach napisana w miesiącu lutym 1858, przez B. Szelutę, niczém się nie odznacza, coby mogło nam zwiastować w autorze talent dramatyczny. Kilka utworów dramatycznych dał nam już poprzednio *Dodatek Czasu*, ale wszystkie z małym wyjątkiem Gaszyńskiego *Wyszcigów konnych*, które zalecał przy najmniej wiersz wyborny, język czysty i prawda charakterów, granic mierności nie przeszły. Z poezyi: Teofila Lenartowicza *Do mojego Grajka*, odznacza się dziwną prostotą, miłą dla ucha i serca naszego.

Grajże grajku, będziesz w niebie,  
A basista koło ciebie.  
Miły grajek się przyłoży,  
I basista nie najgorzej:  
Ten zawadzi, ten doprawi,  
Niech im Pan Bóg błogosławi.

Miły Janek dobra dusza,  
Jeno sobie nóżką rusza;  
Po chalupie okiem wodzi,  
A smyczek mu już sam chodzi.  
Czasem to się tak zaduma,  
Aż go łokciem trąci kuma:  
Co u niego we zwyczaju,  
Gdy wędruje po swym kraju.

Za nutami—jedna, druga,  
Ta króciuchna, a ta długa;  
Lecą głosy do pamięci  
Ode żniwa, sianozęci...  
Grajże grajku, będziesz w niebie,  
A basista koło ciebie.

Lecą, lecą nieproszone,  
Na ten smyczek, na tę stronę.  
Przepióreczka pomkła w proso,  
Śpiewa dziewczę z jasną kosą:  
Bo to dziewczę pozna żywo,  
Jaki ptaszek śpiewa w żniwo.

Zabłąkane nuty chwytaj,  
Ta do tańca wysmienita,  
A ta znowu do roboty,  
A ta trzecia za kłopoty...  
Grajże grajku, będziesz w niebie,  
A basista koło ciebie.

A zwracaj od komina,  
Czapka na bok, ostra mina:  
Z przewieszoną tedy połą  
Pomaluchno ano wkolo,  
Potem rażno na odsibkę,  
Bodajże cię za tę skrzypkę...  
Grajże grajku, będziesz w niebie,  
A hasista koło ciebie.

Szuuno, tłumno i wesoło,  
 Aby dalej, aby wkolo,  
 Za drugimi, za gromadą,  
 Maciej sąsiad za sąsiadą;  
 A za nimi skocznym tanem  
 Jedzie Wojtek z dużym dzbanem:  
 Za płotami jako mogą  
 Dzieci sobie swoją drogą.

W okólniku skaczą zrebce,  
 Dziecko śmieje się w kolebce:  
 Kędy spojrzeć radość wszędy.  
 Dziwuje się kogut z grzędy,  
 I na drągu, na wysokiem  
 Przygląda się jednem okiem.

Stara wierzba głową chwieje,  
 Nie wiedząca co się dzieje,  
 Wyskakują płowe wzgórze,  
 Tylko gwiazda oczy zmrzuza;  
 Wszyscy skaczą jak najęci,  
 Aż tak sobie mówią święci:  
 Grajże grajku, będziesz w niebie,  
 A basista koło ciebie.

Zmarnowana bięda z nędzą,  
 Jak szalone ze wsi pędzą.  
 Po lipowym starym moście,  
 Na wesele jadą goście.  
 Jedzie matka, dobra wola,  
 Aż się złocą od niej pola.  
 Suknia na niej jak na pani  
 Złotem tkasa, przerabiana.

Na przyjęcie siostra, cnota  
 Otworzyła stare wrota;  
 Pokłoniły jęj się pługi,  
 Stary żóraw tęż jak długi;  
 Potem z izby buchła para,  
 Zasmiała się szczęsna wiara:  
 Bywaj z nami wieśniakami,

Pieśń tę pisał Lenartowicz w nadziei, że przyjaciel jego i długoletni towarzysz Ignacy Komorowski podłoży muzykę, a wtedy, jak tyle innych utworów jego, rozpowszechni się po kraju. Dogasał wtedy na łożu boleści w samym kwiecie wieku Komorowski, i wkrótce pokryła go mogiła na cmentarzu Powązkowskim; spoczął obok niego brat jego Józef artysta dra-

Stara matko bywaj z nami!  
 A któż w świecie was ogości  
 Jeśli nie my, ludzie prości?

Teraz grajku, miły Janku,  
 Mokre piwo w starym dzbanku;  
 Zagrajcie nam tego, co to,  
 Co to wiecie; a z ochotą  
 Tak okrutnie, żeby cała  
 Nasza ziemia usłyszała;  
 Tak już przez moc, wszelką siłą,  
 Żeby raz już dobrze było.

Od Warszawy do Krakowa,  
 Już nam się złe nie uchowa;  
 Od Krakowa do Górali,  
 Od Górali jeszcze dalej.  
 Danaż moja dana, dana,  
 Od wieczora aż do rana.

Grajże grajku, bo daremno,  
 A ty Baśko kręć się ze mną.  
 Jak się Mazur puści szczerze,  
 Niech się świat za głowę bierze:  
 Jak się Mazur rozochoci,  
 Co na drodze, to wygrzmoci.

Zagrajcie mi grajku, proszę,  
 Wyspię ci w skrzynkę grosze;  
 Więc i dziewczę, szczerze licho,  
 Podśpiewuje jeszcze cicho:  
 Grajże grajku, będziesz w niebie,  
 A basista koło ciebie.

Biały ranek gwiazdy gasi,  
 Pospali się ludzie nasi;  
 Po weselu cicho wszędy,  
 Tylko kogut zfrunął z grzędy,  
 I na śpiących snem głębokiem  
 Przygląda się jednem okiem.

matyczny, którego straty wynagrodzić scena nasza długie lata nie potrafi: obaj przyjaciele od serca naszego poety. On sam, w Rzymie gaśnie zwojna i wątpliwa nadzieja, czy odzyska zdrowie. Śmierć dziesiątkuje szczupły zastęp naszych literatów i artystów, a ta klęska tém boleśniej czuć się daje, że zniszczenie rozpościera w szeregu małym młodych talentów, lub w samėj sile wieku, z których kraj i literatura niemałe rokowały sobie nadzieje. Cios po ciosie odbierane, smutkiem i goryczą napelnia serca nasze.

*W przeglądzie piśmiennictwa*, Lucyan Siemieński nie bierze na uwagę szczegółowo żadnego z nowych utworów literackich, ale ogólne rzuca uwagi nad zadaniem poezyi w obecnych czasach. Oto w treści rozprawa jego: «Świat zmęczony błędami i wątpieniami, szuka trwałych podstaw moralnych. Zwrot do katolicyzmu. Przeobrażenie się nauk moralnych i umiejętności ścisłych. Znaczenie poezyi w tym ruchu. Poezya przodkuje w dziedzinie myśli. Najwyższa poezya czerpie w uczuciu i prawdach religii».

Z tej treści czytelnik oceni ważność zadania, które rozwiązuje w swėj rozprawie Siemieński. Trudno ustępami dać pojęcie jėj wartości wysokiej: poprzestaniem tylko na małym wyjątku, wyłącznie poezyi naszej dotyczącym.

«Poezya, zwiastun zwykle najwcześniejszy każdego nowego zwrotu w dziedzinie wyobrażeń i ucznć, z końcem już zeszłego wieku zaczęła przyodziewać szatę religijności. Karpiński, który pozostał najwierniejszym staroświeckiej narodowej tradycyi, odzywał się wśród dowcipujących i przedrwiwających śpiewaków Stanisławowskich tonem wyższego nastroju, i od niego poważna ta lutnia dostała się Woroniczowi, który żeby się utrzymać na tém stanowisku, musiał je podciągnąć pod chwałę i nieszczęścia nowego Syonu. Odtąd to wyżej, to niżej gra ciągle ta nuta tak zgodna z wewnętrznem usposobieniem słuchaczy: lubo w nowszych czasach nie sam tylko elegiczny żywioł przemaga w religijnej poezyi, ale że tak powiem, wielki duch katolicki rozpościera się przez wszystkie rodzaje sztuki i odzyskuje ją dla tej idei najgłębszej w narodzie. Zwrot ten rehabilitujący sztukę, na który mało w ogóle dawano baczenia i zastanawiano się nad jego ważnością, lepij tłumaczy bieg rzeczy, niż najgłośniejsze zdarzenia i daleko pewniejsze na przyszłość zapewnia korzyści, niż wszelkie kombinacye mędrców rozprawiających o nowėj organizacyi, a raczej

dezorganizacyi społeczeństwa. Ludzie są niczem, fakta wszystkim. Człowiecze zamiary rozwiewają się jak mgła przy silnym wietrze, a Opatrzność ma upodobanie pokazywać ułomność i nicość tych dzieł, którym pycha ludzka naznaczała ogromną wagę i obiecywała nieprzemienią trwałość».

Wł.

*Ogłoszenie konkursu do napisania Historji włościan i stosunków ekonomicznych w dawnj Polsce.*

Historja stosunków włościańskich, zawsze i wszędzie tyle ważna dla dziejopisów i statystów, szczególnie jest dziś pożądaną w piśmiennictwie naszym dla ogromnej wagi, jakiej nabrał rozwój tych stosunków w kraju naszym; nikt bowiem w obecnem położeniu jasno i gruntownie rozpatrzyć się nie zdoła, kto się dokładnie z przeszłością nie zapozna; a z dziejowej przeszłości naszej znaną nam była dotąd, niemal wyłącznie, historia jednego tylko, panującego niegdyś stanu w narodzie. Bez tej wszechstronnej znajomości minionych czasów nikt też o przyszłych kolejach dziejowych dojrzałego sądu utworzyć sobie nie jest w stanie, bo wszelki rozwój organiczny od przeszłości nieodłączny, i wśród największych nawet przeobrażeń, na niej się opiera. Temi powodowany względami wyznaczył w roku zeszłym pierwotny prezes poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, pan hrabia August Cieszkowski, nagrodę 1,000 talarów za najlepszą *Historjã włościan i stosunków ekonomicznych w dawnj Polsce*, naszemu zlecając Towarzystwu rozpisanie odpowiedniego konkursu i przysądzenie naznaczonej nagrody.

Wywiezując się z włożonego na siebie zaszczytnego obowiązku, poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk ogłasza niniejszem konkurs do napisania *Historji włościan i stosunków ekonomicznych w dawnj Polsce*, podejmując się zarazem przysądzenia nagrody 1,000 talarów w pruskiej monecie, najlepszej z prac, które w ciągu dwóch lat następnych nadesłane zostaną.

Aczkolwiek nie może być myślą naszą chcieć kępować wolny ruch pisarzy ściśle wytkniętą naprzód drogą, ani też w jakibądź sposób wypadkowi bezstronnych przesądzać badań: uważało przecież Towarzystwo za swoje powinność bliższe po-



dać skazówki co do granic i warunków, które dla przyszłej pracy w części za niezbędne, w części za pożądane uważa.

Samo już brzmienie zadania wskazuje, że praca obejmować winna dwa, w blizkiej wprawdzie z sobą styczności zostające, ale przecież wielorako odrębne działy, to jest: 1) historią samegoż stanu włościańskiego, politycznych, społecznych i prawnych onegoż stosunków; 2) dzieje gospodarstwa, szczególnie o ile stan i rozwój jego wpływały na położenie włościan.

Co do historii stanu włościańskiego, należy ją doprowadzić aż do ostatniego podziału Polski, poczynając od zwięzłego i na źródłach opartego zarysu stosunków przedchrześcijańskich; bez takiego bowiem wstępu całemu obrazowi dziejowemu na umiejętniej zbywałoby podstawie. Natura przedmiotu wymagać się zdaje, ażeby pisarz, przechodząc w kolei czasów różne epoki, jakie mu się w dziejach włościańskich przedstawia, szczególnie troskliwemu poddał zbadaniu: wpływ chrześcijaństwa na gminy i los włościan, wpływ panowania i prawodawstwa Kazimierza Wielkiego, przeobrażenia zaszłe w następstwie rządów Ludwika Węgierskiego i w skutek wzrostu możnowładztwa szlacheckiego, wpływ wreszcie reformacji religijnej jak niemniej nowszych, od XVIII mianowicie wieku datujących wyobrażeń. Pisarzowi dzieje włościan w powyżej wytkniętych granicach czasu kreślącemu, wypadnie szczegółowo rozebrać odmienne pod niejednym względem stosunki stanu tego w dobrach szlacheckich, w królewskich, w dobrach duchownych, w sołectwach i innych mniej lub więcej niezależnych osadach wiejskich, jak niemniej wykazać wpływ odrębnych praw i przywilejów na stosunki włościańskie.

Nauka z obrazu takiego płynąca o wieleby się zmniejszyła, gdyby autor zaniedbał wykazać wpływ włościan i historycznych kolei stanu tego na politykę i dzieje Rzeczypospolitej.

Życzyć wypada, ażeby pisarz uzupełnił pracę swoją zwięzłym a charakterystycznym porównaniem stosunków włościańskich w Polsce, z położeniem rolniczej klasy w innych krajach, ile możliwości w każdej ważniejszej epoce swego obrazu.

Co do historii stosunków ekonomicznych, nadmienia się tylko, że przez to wyrażenie mają być stosunki gospodarstwa wiejskiego rozumiane, i że Towarzystwo pragnęłoby znaleźć w tym dziale obraz gospodarstwa i przemysłu wiejskiego w różnych czasach dawnej Polski, z uwzględnieniem ich wpływu na handel i odwrotnie.

Najmocniej pożądaną jest rzeczą, ażeby piszący dzieje włościan, oparł badania swoje nie na samych tylko historycznych źródłach drukiem ogłoszonych, ale i na źródłach archiwalnych, o ile być może w jak najszerszej mierze.

Prace konkursowe, które w polskim winny być pisane języku, przesłać należy najdalej do dnia 1 lipca 1860 r., na ręce sekretarza zarządu poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Obok prac rękopiśmiennych przypuszczają się do konkursu i dzieła po ogłoszeniu niniejszego konkursu z druku wyszłe, o ile ich autorowie nadesłają je w tym celu na ręce sekretarza Towarzystwa. Każdą nadsyłąną pracę należy opatrzyć w dewizę i dołączyć list zapieczetowany, też samą dewizę na okryciu noszący, a który imię, nazwisko i miejsce zamieszkania autora wewnątrz zawierać powinien.

Poznań, dnia 1 lipca 1858.

Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

Prezes

*Tytus Działyński.*

Sekretarz

*Leon Wegner.*

## ROZMAITOŚCI.

### WIECZOREK W SĄSIEDZTWIE.

SZKIC.

#### I.

**W** jeden z mroźnych, lecz pogodnych dni stycznia 185\* roku, w miłym i gustownie przyozdobionym pokoiku wiejskiego dworu, przed kominkiem na którym płonął suty ogień, siedział młody człowiek czysto, lecz skromnie w szaraczkową bonżurkę ubrany i z wlepionem nieruchomo okiem w migocący płomień, z głową na jedném ręku podpartą, zdawał się być w głębokiej pograżony zadumie. Mogł on liczyć lat około trzydziestu, średniego wzrostu, szczupły, brunet, z bujnym wąsem i czarném melancholijném okiem, a w jego bladawej twarzy jakiś cichy i głęboki przebijał się smutek. Wielka ilość książek na pułkach w tym pokoju, gazet krajowych i papieru zapisanego na biurku, świadczyły, że miał zamiłowanie w tym dusznym pokarmie, który na wsi zawsze, a szczególnie w porze zimowej jest tak nieodzownym dla ludzi nie chcących okryć się pleśnią powszednich li tylko gospodarskich zaprzątnień i zajęć pospolitych.

Po chwili ocknął się młody człowiek z zadumy, wstał, położył książkę na stole, westchnął i spojrzawszy w okno w przestrzeń rozległą, lśniącem kobiercem śniegu pokrytą, zadzwonił.

We drzwiach ukazała się postać starego w szaraczkowej kapocie, z podstrzyżonemi siwemi wąsami, o siwój już głowie i oczach małych, ciekawie biegających.

— Mój Łukasz— ozwał się młodzieniec chodząc po pokoju—przygotuj dziś wszystko do podróży, bo jutro skoro dzień jedziemy do starszych państwa, a ztamtąd na Wołyń.

—A toż po co na ten tam Wołyn?— z nieukontentowaniem odrzekł stary sługa, stojąc we drzwiach.—No! i znów będziemy się włóczyć po rozmaitych kątach i Jaśnie pan nic nie upatrzy; czyż Jaśnie pan tu nie może znaleźć coś takiego, coby przypadało.

— Zkądże wiiesz, że ja tam jadę szukać?— odrzekł prędko z oburzeniem,—mogę mieć przecież inny jaki interes.

— Ano bo juścić nie po co innego, *tylo* w konkury chce Jaśnie pan tam jechać; a taż tu tyle panien, żeby tylko Jaśnie pan chciał: ot ta panna z Woli, *abo* z Borowój.

Ruszył smutnie głową młodzieniec, zabębnił palcami na biurku patrząc w okno, i znów chodząc wielkimi krokami ozwał się:

— Co ty tam wiiesz mój stary, jedziemy i kwita; bądź gotów do podróży.

Machnął ręką stary, nie odrzekłszy i odszedł; wtém dzwonek dał się słyszeć przed gankiem i zanim młody człowiek zdolał przejść kilka pokoi, podążając ku sieni, już wybiegli naprzeciw niego przybyli.

Byłto mężczyzna lat trzydziestu kilku, blondyn, cery zdrowej, rumianej, jasnych wesółych oczu, miłego wyrazu twarzy, ze swobodnym uśmiechem na zdrowych ustach, który się spod nie wielkich blond wąsów wybijał.

— Ach Adaś!— z ukontentowaniem zawołał gospodarz.

— Jak się masz *Nurku!* (Nurkiem żartami zwał swego przyjaciela Adaś, dla jego cichego i powolnego charakteru). I ucałowawszy się serdecznie, weszli do pokoju z kominkiem.

— Jakże się cieszę, że cię widzę— mówił gospodarz do gościa, który tupiąc nogami i zacierając ręce, rozgrzewał się przy kominku,—bo na długo zapewne z sobą się rozłączymy.

— A toż dlaczego?— z zadziwieniem zapytał Adaś.

— Jutro jadę na Wołyn!

— Et! co ci tam z tym Wołyniem; zresztą jutro nie możesz jechać, bo masz inwitacyą od moich braterstwa na wieczorek pojutrze: po to do ciebie przyjechałem.

— Nie mogę, mój drogi.

— Musisz, będzie tam przecież i panna Anna.

— Dlatego samego nie pojedę za nie w świecie,—z determinacyą mówił młody człowiek.

— No! albo co? czyś się jęć oświadczał i odmówiła ci może?

— Ale gdzie tam, nie oświadczalem się jój i nie oświadczę; przynajmniej tego sobie upokorzenia oszczędzę.

— A więc zkadże ta pewność i ten smutek, który ci na twarzy odbija?

Antoś, (było imię przyjaciela Adasia) podał mu cygaro i zapalki, przysunął drugie krzesło do kominka, a gdy usiedli, ozwał się z tęsknotą:

— Widzisz mój drogi, jestem pewny, że gdybym się jój oświadczył, odmówiłaby mi; ona widocznie zajęta jest Włodziem: zresztą aż nadto z ostatniej wizyty przekonałem się o tém.

— Dawno tam byłeś?— ze współczuciem zapytał Adaś.

— Onegdaj.

— Może ci się tak zdaje tylko, boto ja znam ciebie.

— Prawda, że jestem z natury nieśmiały, i lada drobnostką zrażający się.

— O, aż do przesady, mój literacie,— przerwał mu Adaś.

— Ależ tu ślepy i mający nie wiem ile miłości własnej dostrzegłby, że próżne byłyby zabiegi.

— To wiem z pewnością, że jój ojciec jest bardzo za tobą.

— Istotnie, że jest za mną; ale cóż mi z tego, kiedy ona tak widocznie mi nie sprzyja.

— No, więc cóż, jak tam byłeś onegdaj?

— Zastałem tam Włodzia, to mnie już zdekoncertowało i zapomniałem języka w gębie; on się tam, jak to wiesz, chichotał, mizdrzył i uważałem, że ona bardzo przychylnem spoglądała na niego okiem: a to tak łatwo dostrzedz kiedy kobieta komu sprzyja, i mogłem zauważyć ten odcień różnicy w obejściu się jój z nim, a ze mną. Gdym się do niej zbliżał i przemawiał do niej, odpowiadała mi półsłówkiem z jakąś minką surową, albo też wstawiała i odebodziła dysponować do herbaty; a gdy Włodzio do niej przemawiał, wówczas twarz jój nabierała nowego życia, usta skłaniały się do czarownego uśmiechu i w oczach przebijało się całe zajęcie i współczucie dla tego chłopca.

— Juźto ona ma swoje kaprysy i fantazje— wtrącił Adaś.

— W końcu— mówił dalej Antoś,— powiedziała mi, gdym tak po kilka razy starał się z nią zawiązywać rozmowę: „Ach! jesteś pan dziś tak kwaśny i niezrozumiały; musisz pan pisać jakąś sentymentalno-płaczliwą powieść, a ja dziś jestem w zupełnie inném usposobieniu”, i zwracając się do Włodzia znów z nim wesolą i śmiejąc się zawiązała rozmowę.

Adaś zamyślił się.

— Czy dałeś jej kiedy poznać, że ją kochasz?— zapytał po chwili.

— Oh! ileż razy! Zresztą wzrok mój, cała moja postać, gdy przy niej, aż nadto za tęp przemawiają; a raz pamiętam, zwróciłem rozmowę na ten tor alluzyj miłosnych i więcej niż kiedykolwiek zacząłem otwierać przed nią to serce, które ją tak kocha: to wiesz, co zrobiła? śmiać się zaczęła tym swoim uroczym śmiechem, który mi serce rozranił i szyki rozmowy pomieszał, i rzekłszy: „ależ doprawdy ja pana nie rozumiem”, wstała i odeszła. Oprócz tego ciągle mi wyrzuca i szydzi ze mnie, że jestem flegmatyk, że jestem taki ciężki. Powiadam ci mój Adasiu, że nie ma nawet o czém myśleć i roić sobie najmniejszej nadziei. A! biedny jestem, biedny: to męczarnia kochać bez wzajemności.

— Ależ to trzeba jakoś przekonać się lepij, bo znów nie może być: ja wyżej trzymam o jej guście. Włódzio dobry chłopiec do tańca, do konia i polowania, ale zresztą....

— Nie! za nic w świecie oświadczać się jej nie myślę. Jutro jadę na Wołyń; tam może choć trochę rozerwę te myśli tęskne i smutne i.... chociaż już drugiej Andzi nie znajduję, toż może trafię na taką, która mnie kochać będzie.

— Nie róbże mi tego mój Antosiu, jedź już jeżeli chcesz koniecznie, ale aż po wieczorku.

— Więc chcesz jeszcze bardziej rozranić moje serce jej widokiem, Adasiu?

— Czekajże — po chwili namysłu, rzekł Adaś z zajęciem, — nie chcesz jej się oświadczyć, już ja wiem co zrobię: spuść się na mnie.

— Cóż zrobisz?— ze smutnym uśmiechem zapytał Antos.

— Nie masz tu nic do stracenia — powstając mówił jego przyjaciel, — ja ją wybadam na wieczorku i doprowadzę do tego, że stanowczo odpowie mi tak, lub nie.

— Jakto tak lub nie?

— Czy ci sprzyja, lub nie; czy możesz mieć jaką nadzieję, lub nie. Odpowie *nie*, nikt o tęp wiedzieć nie będzie i nie powiedzą potem, żeś się jej oświadczył i dostał odkosza.

— A odpowie *tak*, o mój Adasiu, to tak niepodobne, jak że w tęp chwili słowik tam w ogrodzie zaśpiewa i te suche drzew konary zielonym w tęp chwili zaszumią liściem, — ze smutną pewnością westchnąwszy ciężko dokończył Antos.

— Ale nic na tęp nie stracisz, i wówczas już na pewno jechać możesz na Wołyń; spuść się tylko na mnie

Zamyślił się Antoni i rzekł po chwili:

— Nie, mój drogi, szkoda twoich chęci i zabiegów: to napróżno, a boleść moja będzie tém większa. Pozwól niech przed tém wyjadę.

— Jakiś mój przyjaciel, nie odjedziesz przed wieczorkiem: a cóżby to była za zabawa bez ciebie?

— Dla twojej chyba przyjaźni to zrobię, ale cierpieć będę więcej.

— No, no, obaczymy; ale zastrzegam sobie, bądź wesół, tańcz dużo, boto jeszcze gorzej dla niej.

— O! co tego to już chyba nie potrafię.

— Daj jej właśnie poznać, udawaj, że cię ona niewiele obchodzi.

— Szczęśliwys ty Adasiu! ty kochasz i jesteś kochany.

— *Mój* nie będzie niestety na tym wieczorku, ale pomimo to zaręczam ci, że będę wesół.

— A pamiętasz — mówił Antos z zadumą, — jak się to nam łatwo zdawało urzeczywistnienie tych naszych projektów, kiedyśmy sobie dali słowo, że w przeciągu lat trzech oba się poženimy; zdawało nam się wówczas, że tylko chcieć z naszej strony, a wszystko pójdzie jak z płatka. Ty dotrzymasz słowa i tobie to łatwo i szczęśliwie jakoś idzie, ale mnie... — tu łzy zabłyły w oczach Antosia i smutnie sparł głowę na rękę.

— Tylko się nie martw mój Nurku, bo mnie tak przykro widzieć cię w tym stanie — obejmując go i całując mówił z współczuciem poczciwy Adaś — jeszcześ to przedwczesne żale... A pamiętajże przyjeżdżaj pojutrze na godzinę 7 najdalej i spuść się na mnie zupełnie: a teraz do widzenia, bo mam jeszcze po drodze kilka zamówić inwitacyj.

— Nie możesz dłużej zabawić, mój drogi?

— Nie mogę Nurku, nie mogę i żegnam cię.

— Ucałowali się serdecznie przyjaciele i Adaś wsiadł na sanki i odjechał.

## II.

O małą milkę od Antosia mieszkał Włodzio, ów szczęśliwiec, o którym w rozmowie przyjaciół była wzmianka, a któremu Andzia, gwiazda tamtejszej okolicy, zdawała się sprzyjać. Przed dworkiem więc Włodzia stanął Adaś i wszedł do sieni.

— Jest pan?— zapytał chłopaka w liberyi.

— Jest, ale w stajni: zaraz pójdę po pana.

Adaś wszedł na prawo do pokoju, w którym wszystkie sprzęty i ozdoby jawnie przemawiały o usposobieniu i zamiłowaniu tego, który tam mieszkał. A było tam mnóstwo fuzyj, pistoletów, trąbek myśliwskich, ozdobnych uzdęczek i munsztuków rozwieszonych na ścianach; nie znalazłeś tu za to żadnej książki, ani gazety, któreby o zajęciu duchowém gospodarza dawały świadectwo; nie było nawet nad łóżkiem żadnej świętości, oprócz sztychów kolorowanych, w ramy oprawnych, przedstawiających konie angielskie rozmaitéj maści i kształtu.

Gdy się Adaś rozgrzewał przy piecu, wszedł Włodzio w zielonej lisami podbitej czamarce, ze szpicrutą w rękę. Byłto młody chłopiec lat dwudziestu kilku, kształtnéj i wciętej figury, brunecik, z czarnym wymuskany wąsikiem i bródką, ze świeżym rumieńcem na białej regularnych rysów twarzy: słowem ładny chłopak, a ujrawszy Adasia zawołał, podając mu rękę:

— A! sąsiada kochanego, *comment va?*

— Jak się masz Włodziu — ściskając go za rękę mówił Adaś,—cóż gospodarujesz?

— Byłem w stajni — rzucając szpicrutę i czapkę i muskając wąsa, odrzekł Włodzio, — kazałem objeżdżać ogierka kasztanowego, którego kupiłem od Znatowicza. Nie widziałeś go jeszcze; może chcesz, to ci go pokażę?

— Dziś nie mam czasu, chyba inną razą, bom tu wpadł do ciebie na chwilkę tylko.

— Możebyś go kupił, a piękny, cacko: *je te dis*, co za kark, odsada ogona; *ma parole*, że ci go radzę kupić.

— Napotém to odłożmy, a teraz powiem ci, że przyjechałem prosić cię w imieniu moich braterstwa na wieczorek, mający się dać u nich pojutrze; przyjedźże, tylko wczesnie, na 7.

— *Volontier* — kłaniając się z gracyą, odrzekł Włodzio, — a Andzia będzie?

— Będzie, a jakże?

— Oh! ta poczciwa Andzia, przewróciła sobie trochę głowę mną; dobra dziewczyna, ale wiesz, że ma jedną wadę okropną.

— No, jaką?

— Zamało ma troszkę posagu: cóżto *une misère de cent mille florins*; ale z tém wszystkiém kochamy się i kto wie, co z tego będzie.

— Doprawdy?— udając zajęcie, zapytał Adaś.



plaid — Na seryo ci mówię— poprawiając chustkę na szyi i patrząc w lustro, mówił z pewnością siebie Włodzio, — ale, trzeba to się jeszcze nad tém zastanowić... Ale ale, powiadam ci pułkownikowa mówiła mi, że Zancia szaleje za mną.

— Winszuję ci szczęśliwy człowieku.  
— A wiesz, że mi to wszystko już tak spowszedniało! Jedna Andzia, która ma jeszcze dla mnie *quelque chose de piquant*; ale bo też caca, tak jak w piosence— Tu zaczął śpiewać z przesadą i z gestami rąk od serca:

*Czy jest w świti molodycia.*

*Jak ta Handzia bielo tycia;*

*Oj skażyte dobry lude*

*Szczo zo mnoju teper bude.*

i kiedym jój raz tę piosieczkę zaśpiewał, to aż się jój iskry w oczach do mnie świeciły.

— Oj ty bałamucie, szczęśliwy człowieku — patrząc nań z utajoném politowaniem i dwuznacznym uśmiechem mówił Adaś, podczas tego gdy Włodzio znów przeglądał się w lustrze, klepiąc się z zadowoleniem po piersiach, to znów biorąc się pod boki.

— Ale, ale — zwracając się do Adasia, mówił znów Włodzio — wystaw sobie, byłem z wizytą u hrabiostwa, notabene wystrojony: *ganté, parfumé, laqueré*, jak mówi prezesowa, i przysuwałem się do hrabiny, która do mnie słodkie oczy robiła, a z czego hrabia strasznie był nie kontent, i widziałem, jak chciał mnie się czém prędzej pozbyć. A to historye były *je te dis*: com się nie uśmieł z tej wizyty, a na przekorę hrabiemu długo bawiłem.

— No! winszuję ci, winszuję raz jeszcze tych successów o Lowellasie, Donzuanie naszój okolicy; ale cię pożegnam, bo mam jeszcze drogę przed sobą.

— A o ogierka kiedyż się porozumiemy?

— Później kiedy.

— A polowanie cośmy projektowali?

— To już w przyszłym tygodniu ułożymy, bądź zdrów, — i uściskawszy za rękę tego szczęśliwca, w którym cały świat się kochał, Adaś odjechał.

### III.

O pół mili za wioską Włodzia, Adaś wstąpił do wsi *Spasówki* majątności majora, i stanął przed pochylém, słomą krytém, o jedném kominie domostwem. W sieniach spotkał idącego prze-

ciw niemu gospodarza w szlafroku, z czołem przewiązaném białą chustką dla ugladzenia szpakowatych już włosów i z takiémże podwiązaniem faworytów, przez co twarz majora wydawała się jakby w przyłbicy, zbroi średniowiecznych rycerzy. Był to mężczyzna lat 50, wysoki, dość dobrej tuszy, zdrowej rumianej cery, dużego wyrazistego oka, dużych wąsów starannie w górę podwiniętych i wyszwarcowanych; na wierzchu głowy sterczała ponsowa czapeczka z kutasem, na bok z fantazyą zasadzona.

Pan major stary kawaler, człowiek majątny, należał także do wielbicieli Andzi i słodką tuszył sobie nadzieję, że gdy się oświadczy, (do czego przygotowywał się w tych czasach, lecz zwlekał jeszcze dla kuracyi zimną wodą), to bez zawodu w tym roju konkurentów zwycięstwo odniesie i cel pożądany osiągnie.

— Majora Dobrodzieja...

— Do nóg upadam Pana Dobrodzieja..... *w rezultacie* — dodał ciszej zwyczajne przysłowie, które go prawie nigdy nie opuszczało—a proszę do izby.

Sypialnia majora, do której Adasia wprowadził, znów odrębną posiadała właściwość. Porządek tu i systematyczność panowały największe: łóżko czysto zasłane flanelową kołdrą, nad niem gitara na niebieskiej wstążce, wianeczek zeschłych kwiatów i para pistoletów; obok łóżka stoliczek zastawiony kosmetykami, szczoteczkami i pudełeczkami rozmaitego rozmiaru, z największą ustawioną symetrycznością; dalej biurko z przyrządami do pisania systematycznie ułożonemi, a na oknie powieszony na sznurkach stos kalendarzy, podług liczb następujących po sobie lat uporządkowany.

— A może fajeczki Pan Dobrodziej pozwoli?... *w rezultacie*.... Harasyme! — ogromnym głosem zawołał major.

— Zara Jegomościuniu—odpowiedział głos z sieni z za parawana.

— Niechże Pan Dobrodziej siada... *w rezultacie*.

— Dziękuję. Jakże zdrowie majora?

— Nie źle; a wie Pan Dobrodziej co mnie utrzymuje w zdrowiu, oto.... zimna woda w rezultacie; radzę Panu Dobr. to samo zrobić, a obaczy Pan Dobr. Rano jak Pan Dobr. wstajesz, każ się zlać zimną wodą wprost ze studni i potem każ się dobrze ocierać flanelą; potem wypij szklanke wody zimnej przed kawą, a zaraz po kawie drugą, to obaczysz w rezultacie.... i noś no! abe-ne na żołądku pas flanelowy.

— Metoda Prysznic, zdaje mi się.

— Nie, nie zupełnie; potem chodzić dużo i., w rezultacie czy śnieg, czy deszcz swoje odchodzić, choćby po pokoju... Harasyme! a nuże!..

— Zara jegomościuniu—znów głos odpowiedział, ale się nikt nie pojawiał.

— Wieczorem toż samo, w rezultacie, oblać się zimną wodą, trzecią flanelą dla wzbudzenia transpiracji i do łóżka wypić szklanek zimnej wody. Robię to już od pewnego czasu i bardzo mi to służy: zaraz ja to Panu Dobrodziejowi pokażę od jak dawna, bo mam tu zapisaną datę,—i powstawszy wziął kalendarz z okna i wskazując na podkreślony atramentem dzień, rzekł:

— O! widzi Pan Dobrodziej, od 1go października już to robię... A tu znowu mam metodę doktora Pliszki—mówił biorąc pugilares z biurka—którą także muszę z czasem poprobować—i rozтворzywszy pugilares podzielony na przegródki, szukać zaczął owę zbawienną receptę, a nie mogąc jej znaleźć, rzekł:

— Ale gdzieś mi się to podziało, może ten gamoń Harasym wymiółł razem ze śmieciami w rezultacie. Harasyme! a bodaj tebe, a chody że tu!

— Zara Jegomościuniu—znów głos odpowiedział, ale się nikt nie pojawiał.

— Przepraszam cię majorze—rzekł Adaś powstając,—że tylko chwilkę zabawić mogę—i oświadczył zaproszenie na wieczorek.

— Bardzo mi będzie miło służyć w rezultacie... Ależ Pan Dobrodziej tak się spieszy!—mówił kładąc pugilares na biurku.

— Muszę wracać do domu, majorze.

— Któż tam na wieczorze będzie w rezultacie, jeżeli wolno Pana Dobrodzieja zapytać?—Adaś wyliczył spodziewanych gości i dodał w końcu figlarnie:

— *A pour la bonne bouche* majorze, wiesz kto będzie?

— No, któż w rezultacie?—ruszając wąsami z domyślnym uśmiechem pytał major.

— Andzia, uroczą Andzia, do której major smolisz cholewki; a co? prawda, że ona stanie za wszystkich?

— Prawda w rezultacie —z uśmiechem ciągle mówił major.

— Bądź zdrow majorze, a przyjeżdżaj wcześniej, na 7mą.

— Ależ może fajetzkę Pan Dobrodziej.. Harasyme! —ale Adaś nie czekał już na pojawienie się téj figury, której tylko głos słyszał i nie dostawszy w rezultacie fajki, którąby był może ze smakiem wypalił, odjechał.

## IV.

Bodajto nasze wieczorki i zabawy na wsi; nie mogą one iść w porównanie z najświetniejszymi balami w mieście pod względem ochoty i wesołości. Prawda, że na nich nie ujrzysz owych balonowych krynolin, drogich kamieni i strojów kosztownych; w miejsce orkiestry przygrywa ci na fortepianie, albo jeżeli chcesz *ranie sieczkę*, stara jaka ciocia lub kuzynka stara panna; nie ujrzysz *témbardziej* lanciera, ani polek z nowemi jakiemiś framigami, lub *téż* suwanych i niedbanych polko-walców; ale będziesz miał natomiast grono młodych, świeżych i pięknych jak róże dziewiczkie, skromnie lecz gustownie przybranych, grono ogórzaléj, ale *dziarskiej* i przyjaźielskiej młodzieży i zwyczajne nasze tańce, prowadzone z życiem i wesołością, która cię pomimowoli owładnie i w ten wir radosny pociągnie. A tak nie wiele przyborów i zachodu wieczorek taki wymaga, chociaż osiąga cel istotny, cel prawdziwej a obojętnej zabawy! Na takim wieczorku zawiązują się szczerzej i goręcej uczucia i dojrzewają plany pragnień sercowych, uwieńczane wkrótce skojarzeniem ślubnym nie jednej młodej pary. Na takim wieczorku, gdy ci w mazurze młodzieńczej przyprowadzi dwie panny do wyboru i jedną różą nazwie, a drugą *niezapominajką*, to dziwne w nich do tych kwiatów upatrzyć podobieństwo i łatwo odgadnąć możesz tę, z którą tańczyć sobie życzysz. Są i na wsi bale mające zupełnie charakter miejski, gdzie sztywność, etykieta, rozmowy francuzkie, wystawa, ale zarazem sztuczna i wymuszona wesołość, dają ci zapominać, żeś w domu wiejskim polskiego szlachcica; ale o takich nie ma tu mowy, a tylko o tych prawdziwie obojętnych zabawach i wieczorach po domach szlacheckich, gdzie mniej etykiety i przesady, a więcej serca i prostoty.

Do takich właśnie domów należał dom braterstwa Adasia. Siostra jego podobna doń z twarzy, ale starsza od niego o lat kilka, należała do rzędu tych cichych, gospodarnych, pełnych serca i wykształcenia kobiet, które w dom męża wprowadzają wszystkie warunki cichego a szczęśliwego pożycia i stwarzają to kółko domowe, które dla niego jest źródłem prawdziwego szczęścia i spokoju. Mąż jej dawny wojskowy, ze szpakowatym wąsem, z wstążeczką Legii honorowej, był typem prawego, otwartego i rządnego obywatela.

Nie mieli oni dzieci, ale w ich domu już oddawna bawiły dwie młode i ładniutkie kuzynki Adasia; że się tego karnawetu

nie bawiono jakoś w tamtej okolicy i dziewczątka te siedząc po całych dniach z robotkami w sali, wdychały, przypominając sobie przeszloroczne zabawy w tych domach, w których tego roku bawić się ani myślano: siostra Adasia chcąc ażeby się trochę wytanńczyły, postanowiła wydać ów wieczorek, na który Adaś ze swjej strony przyrzekł dostarczyć grono młodych okolicznych tancerzy.

\* \* \*

Tak jak Adaś i jego braterstwo sobie życzyli, między 7mą a 8mą wieczorem, już skromny, ale obszerny salonik ich dworu, oświecony i o ile można było przyozdobiony, zaczynał się napełniać przybywającemi. Po pod ścianami już siedziało kilkanaście starszych mamuń i tyleż panienek biało lub różowo przybranych, o twarzyczkach rumianych i tej cerze zdrowej i czerstwej, którą tylko na wsi napotykać można. Przybył już i Włodzio zdaleka pachnący, z włosami podwiniętymi, z ogromnemi kołnierzami, w żabotach, z lornetką, i strojem swym pełnym elegancyi i drobiazgowego zastosowania się do mody, odróżniał się od kilkunastu młodzieży, nie tak wykwintnie lecz przyzwoicie przybranej. Stał on w wygiętej i pretensyjnej pozycyi przed pannami, i wsadziwszy w oko lornetkę, zajmującą niby z niemi prowadził rozmowę, oglądając się wszakże za każdym nowo przybyłym do sali, rychło-li ukaże się ta, której głowę zawrócił, a która najsluszniej królową tej zabawy zostać miała. Był tam już także i major, opięto, czarno i z pretensją ubrany, z twarzą znacznie odmłodzoną w porównaniu tego, jak go Adaś w swym domu widział, a każdy włoszek faworytów był przygladzony i upomadowany, wąsy lśniące, wyszwarcowane i końcami mocno w górę podkręcone, a łysinka umiejętnie rzadkiemi i poczernionemi włosami zakryta. Siedział on zdala od panien w pozycyi pełnej troskliwości, aby nie pognieść poł od fraka, i nie opierając się wcale plecami o poręcz krzesła; także niecierpliwie spozierał na drzwi czy się nie pojawi gwiazda tutejszej okolicy, u której on w swoim przekonaniu miał wiele wyższości przed innemi jej wielbiicielami.

Adaś ze szwagrem zajęci byli powitaniem i wprowadzaniem coraz nowych gości.

Przy fortepianie siedziała już panna Dezyderya, stara panna, kuzynka domowa, a przed nią na pulpicie rozłożony był stos nut do tańca. Pomagać jej miał, a raczej akompaniować na skrzy-

peach pan Rusakiewicz pisarz prowentowy, człowieczek mały, z twarzą czerwoną, w szaraczkowym surducie i jasnych żółtych pantalonach, który stał w końcu fortepianu w kąciku, ucierając co moment nos swój duży, czerwoną kraciastą chustką.

Niebawem nadjechał Antos i wszedł z bijącym sercem i ble-dszą niż zwykle twarzą do sali.

Adaś go powitał:

— Jak się masz Nurku kochany—i szepnął mu ciszej—jeszcze *jój* nie ma; a proszę cię bądźże dziś wesół i tańcz dużo...

— Mój Adasiu—ściskając jego rękę rzekł ciszej Antos—proszę cię już *jój* nic o mnie nie mów: namyśliłem się nad tém po twoim wyjeździe i widzę, że lepiej dajmy temu wszystkiemu pokój.

— Ale już bądź spokojny — mówił gorąco Adaś—i zawierz memu słowu, że cię to bynajmniej w niczem nie skompromituje.

Po przywitaniach Adaś biorąc swego przyjaciela pod rękę, rzekł znowu:

— Muszę cię zapoznać z panem Jędrzejem, który tu w nasze strony przybył z Gostyńskiego; bardzo to zacny i poczciwy człowiek, a chce cię poznać,—i poprowadził Antosia do tłusciutkiego z okrągłym brzuszkiem wąsatogo człowieka, głośno rozprawiającego w gronie starszych mężczyzn w jednym rogu sali.

— Panowie się nie znają: pan Antoni L. a to nasz kochany przyjaciel i gość rzadki pan Jędrzej S.—zaprezentował Adaś i odszedł.

— Bardzo mi przyjemnie—rzekł gorąco pan Jędrzej ściskając za rękę Antosia—a! bardzo pięknie..... słicznie..... wieszuję!.....

Antos z ciekawością patrzył na niego.

— Znam Pana Dobrodzieja nietylko z nazwiska, ale i z imienia, bardzo pięknie czytałem pańskie poezye....

— Ja poezyi nie drukowałem wcale—odrzekł nieśmiało Antos,—to może pan dobrodziej...

— O! znamy się na tém—kręcąc palcem mówił pan Jędrzej—jakże, kiedy tam wyraźnie stoi podpisane u spodu..?

— Zaręczam Pana Dobrodzieja że oprócz proza, to ani jednego wiersza poezyi w życiu nie drukowałem.

— Ale co to tam Pan Dobrodziej mówisz. .. nie pamiętam tytułu....—namyślając się nieco mówił pan Jędrzej—ale zawsze bardzo ładnie, wieszuję... i miło mi tak kochanego poetę poznać— i wciskając gwałtem na skroń jego wieniec poetycki, pan

Jędrzej ucałował serdecznie Antosia, który przekonać go w tej mierze już się nie czuł na siłach.

Wkrótce potem znów drzwi od sali skrzypnęły i weszła wreszcie oczekiwana Andzia ze starym, posiwiałym, milej powierzchowności swym ojcem; a gdy weszła, ucichły rozmowy i wszystkich oczy zwróciły się na tę piękną i majestatyczną postać. Antoś zadrżał, major powstał z krzesła i poprawiając usygnetowanymi palcami gors od koszuli, ruszał wąsami i śmiejącym wzrokiem obejmował przybyłą, a Włodzio urwał nagle rozmowę z pannami i jednym gracyoznym susem już był przy niej.

A! bo też ładną była Andzia. Wysoka, ślicznej i pełnej kibici, brunetka o twarzy białej, regularnych rysów, zarumienionej łagodnie, oczu niebieskich dużych, w których naprzemian pusta wesołość i figlarność, to znów łzawa tęsknota przebijały, o ustach świeżych jakby do pocałunku wywiniętych. Ubrana w białą powiewną suknię, z różą ponsową we włosach, z szalikiem gazowym otaczającym jakby obłokiem jęj śnieżne toczone ramiona i gors jęj pełny—Andzia w całej swęj postaci, w ruchach giętkich i naturalnych, dla najwybredniejszego estetyka nie mogłaby, zdaje się, najmniejszego wywołać zarzutu.

Powitała ona Włodzia czarującym uśmiechem i wzrokiem, w którym Antoś dostrzegł dużo współczucia i przywiązania, a major z nieukontentowaniem wása pokręcił; lecz gdy przechoodziła koło majora, dość wdzięcznie także skinęła główką na jego ukłon, co znów dodało otuchy staremu kawalerowi: Antoś tylko biędny za swój ukłon dostał lekkie kiwnięcie główką, ale z wyrazem twarzy surowym i ze wzrokiem bardzo seryo.

Po przywitaniach z gospodarstwem, z Adasiem i ze znajomymi, gdy usiadła w gronie panien, Włodzio już był nieodstępny, a jeszcze się więcej przeginał, więcej jeszcze był elastycznym i zaczął z nią ożywioną rozmowę, w której ona tak widocznie z zajęciem brała udział. Major znów usiadł na dawném miejscu i z nieukontentowaniem i niespokojnością patrzył na trzepoczącego się przed nią Włodzia i na Andzię śmiejącą się tak szczerze z jego opowiadań, i tak jakoś przychylnie patrząc na tego młodego chłopca. Antoś z założonemi rękami stał sparty o stół, ukradkiem i z pod oka patrząc na nią z tęsknotą i smutkiem.

Zaczęto tańce: jużto z młodzieży tam będącej, najładniej tańczył Włodzio, chociaż nie bez przesady; i gdy się z Andzią puścił w wir polki, z przyjemnością patrzeć było można na tę ładną

i ochoczą parę. Antoś tańczył także, ale z widocznym przymusem i tylko na nalegania i przypominania Adasia: wszakże do Andzi się nie zbliżał i do tańca jój nie prosił. Major oczekiwał na mazura, tego jedyne go tańca, którego sobie jeszcze pozwalał, jako dopełnienie zarazem warunków kuracyi, metody której był zwolennikiem.

W przerwie między polką a kontredansem, do którego Włodzio Andzię zamówił na wstępie, gdy ta siedziała zarumieniona tańcem, mocno oddychając i chłodząc się wachlarzem, Włodzio przysiadł się do niéj i rzekł:

— Spodziewam się, że i pierwszego mazura tańczyć będziemy z sobą.

— Ach niestety, jużem zamówiona! — z żalem odpowiedziała marszcząc swe czarne i ładne brewki i nastrajając głos na ton płaczliwy.

— *Sacre bleu!*... i któż jest tak szczęśliwy?

— Mój kuzynek Staś, który mnie jeszcze w domu zaangażował.

— To przynajmniej drugiego mazura?

Skloniła główką z wdzięcznym uśmiechem.

— Czy uważałaś pani — mówił dalej Włodzio wsadzając w oko lernetkę — jak ten wysoki jegomość, *cet grand dadé*, tańczy zabawnie: zupełnie jak szczupak rzucający się w matni...

Zaśmiała się Andzia. — Ach! jakiś pan złośliwy — odrzekła.

— A jakże pani znajduje majora, wykrochmalonego i sztywnego, jak gdyby stał na warcie, albo kij polknął?

— Poczciwy major — odrzekła patrząc nań z uśmiechem ironii — nie wiem jak mu tam kuracya jego idzie i jakiej teraz trzyma się metody?

— Albo patrz pani, *nasz literat*: co za nieszczęśliwa mina, prawdziwy *chevalier de la triste figure!*

— Ach prawda — zawołała spoglądając na stojącego z założonemi rękami i spuszczone m wzrokiem Antosia — co za nudna facyata, zupełnie wygląda jak Orfeusz wypowiadający żale po zgonie Eurydyki — ruszając ramionami i seryo dodała.

Włodzio uradowany z téj krytyki swych rywali, zaśmiał się szyderczo.

— A coby téż o nas powiedzieć można, panie Włodzimierzu, o mnie i o panu, kiedy tak już wszystkich krytykujemy? — po chwili zapytała Andzia.



— O pani?... że jesteś gwiazdą, królową nie tylko na tym zebraniu, ale byłabyś nią na każdym największym i najludniejszym balu na świecie.

— Zwyczajna to formułka pańskiej grzeczności; a o panu?

— O mnie? *ma foi*, nie chwając się, ale że przy mnie ta wszystka młodzież, to..... kulfony: jakże pani sądzisz?

Spojrzała nań przenikająco Andzia, jak gdyby się chciała dowiedzieć, czy on to na seryo mówi, i widząc że w tym jego żarcie była połowa prawdy i przekonania, rzekła śmiejąc się:

— I mnie się tak zdaje.

Włodzio skłonił się z zadowoleniem i wdzięcznością.

Niebawem nastąpił kontredans. Antoś go nie tańczył, tłumacząc się Adasiowi że się spóźnił i że już wszystkie damy były zamówione.

Po kontredansie zabierano się do mazura. Major niewiedząc o zamówieniu Andzi przez jej kuzyna, pospieszył prosić ją do tego tańca; lecz odebrawszy odpowiedź: „jestem zamówiona,” zwrócił się z nieukontentowaniem, mruknął: „a niechże cię kaduk porwie.... w rezultacie,” i usunął się na bok nie zamawiając już nikogo.

Antoś tańczył z jedną z kuzynek Adasia.

Nastąpiła figura, w której dama wybiera dwóch mężczyzn; i gdy na Andzię kolój przyszła, zwróciła się w stronę, gdzie szczególnie trafem trzech jej wielbicieli: Antoś, Włodzio i major stali obok siebie. Gdy stanęła przed nimi namysławiając się chwilkę, którego z nich wybrać, każdy miał wówczas odrębny wyraz twarzy i postawy w tym oczekiwaniu, na którego wybór jej padnie. Major wyprostowany, ruszał wąsami uśmiechając się z pełnym nadziei w twarzy wyrazem; Włodzio wygięty, ze spokojną twarzą w której śmiała pewność przebijała się; Antoś zaś ze spuszczoneym wzrokiem słabą mający nadzieję dostąpienia tego zaszczytu. Zawahawszy się trochę, Andzia wybrała.... Włodzia.

Major się namarszczył i mruknął jeszcze dobitniej: „a niechże cię kaduk porwie... w rezultacie”, Antoś jeszcze smutniej głowę opuścił na piersi, a Włodzio puścił się z nią mazura ochotczo, spoglądając ukradkiem na upokorzonych rywali, a w twarzy jego malowała się duma i szczęście, że przez nią został wybrany.

Major zły i niezadowolony wyszedł do drugiego pokoju, a że tam właśnie zbierano partya preferansa, przyjął więc propozycyą i zasiadł do stolika.

Lubił on grać w niedrogiego preferansa, grał nadzwyczaj ostrożnie, ale przegrywać bardzo nie lubił. Nieszczęsnym trafem karta mu tą razą od początku niezwyczajnie nie dopisywała, co go jeszcze w gorszy humor i w najdrażliwsze wprawiało usposobienie i przy licytacji można było słyszeć:

- Do piku.
- Do trefli— niecierpliwie z czerwoną twarzą mówił major.
- Na rękę.
- Do kara— głośniej powtarzał.
- Na rękę.
- Do kieru—głos ciągle podnosząc i pocąc się, wołał major.
- Na rękę.
- To węz, niechże cię kaduk porwie.... w rezultacie — mówił wreszcie ze złością.

— O! coś nasz majorunio w złym dziś sztosie,— ozwał się licytujący.

— Et, co tam, grajmy... w rezultacie,— sapiąc odpowiadał major, a grając mocno stukał rękami o stół, odrzucając lub zadając karty.

Gdy tak grał w najgorszym humorze, nagle przybiegła zarumieniona i zadyszana tańcem Andzia, wołając: „a gdzie major, gdzie major, proszę do mazura: na bok karty”.

Rozpogodziło się czoło majora, chociaż właśnie kupił talon, z którym niechybnie trzeba było być bez jednej, i rzucając karty, pospieszył z Andzią, która go za rękę do sali wprowadziła.

A tańczył major z odsadą rąk, ciężko i sztywno i zrywał się w tańcu, tak, jak ptak duży i ciężki robiący skrzydłami do podlotu.

Gdy wrócił, już humor jego znacznie się polepszył i zniósł nawet bez szemrania płatkę, która go nie ominęła.

Tymczasem Adaś upatrywał chwili, w którejby mógł z Andzią otwarcie pomówić i jej usposobienie względem swego przyjaciela wybać; ale dotąd prawie ciągle tańczyła, i Włodzio był przy niej nieodstępny. Dla pozbycia się więc tego natręta, gdy nastąpiła pauza w tańcach, podczas której roznoszono chłodniki i przekąski, Adaś wziął Włodzka pod rękę i zaprowadził go do drugiego pokoju, wypalenie cygara zaproponował, na co tenże przystał; sam zaś powrócił i usiadł przy Andzi, tak, że mogli we dwoje swobodnie rozmawiać, nie będąc słyszanymi. Antos spostrzegłszy to, wyszedł do drugiego pokoju i tam ze drzeniem serca usiadł w najciemniejszym kąci.

— Ach! jak też pana gdzieś nie widać: nie tańczysz pan, panie Adamie?— rzekła Andzia, gdy Adaś usiadł przy niej.

— Byleby szanowni goście bawili się dobrze i tańczyli, to dosyć; zresztą jestem tu także gospodarzem.

— Totóż gospodarz powinien dobry dawać z siebie przykład.

— Przykro mi tylko, — mówił smutno Adaś, — że w tém gronie nie wszyscy jesteśmy weseli.

— No? któż może być taki? Tak się wszyscy zdają bawić wybornie!

— Osoba bardzo wiele mnie obchodząca, bo mój przyjaciel: czyś pani uważała jego smutek?

— Ach, pan Antoni!— z lekkim zarumienieniem, ruszając ramionami, odrzekła,— on zawsze smutny sam nie wie czego; ależ widziałam, że tańczył.

— Tak jest, tańczył na moje prośby i znajduje się tu dla mojej przyjaźni... a wiesz pani, kto jest powodem tego smutku?

— No któż?

— Pani!

— Ja? a toż jakim sposobem?— czerwieniąc się mocniej zapytała,— żartujesz pan chyba,— i zaśmiała się z przymusem patrząc na Adasia.

— Tak, pani jesteś powodem jego smutku,— mówił seryo i śmiało przyjaciel Antosia— on jutro wyjeżdża na Wołyń z sercem skrwawioném szukać ulgi przez czas i zmianę miejsca w tém cierpieniu... On panią tak kocha! a jak sam mówi, odbiera od pani tylko szyderstwo i wzgardę.

— Czy pan to na seryo mówisz, czy żartem, panie Adamie?

— Mówię to na seryo, bo boleś mego przyjaciela i mnie także dotyka.

— Jeżeli na seryo pan mówisz, to przyznam się panu, że pierwszy raz otwarcie i jasno, może nawet zanadto otwarcie i jasno i to od pana słyszę o uczuciach pana Antoniego dla mnie. Dotąd doprawdy nie wiedziałam o tém, tak, jak nie wiedziałam, że jestem powodem jego smutku, o którym mi pan wspomniałeś, a w czém jestem najzupełniej niewinną, bo pan Antoni zawsze do mnie tak niezrozumiale przemawia, tak górnych, retorycznych w rozmowie używa zwrotów, iż nie dziwnego, że ja prosta szlachcianka, nie literatka, a po ziemi chodząca, nigdy go zrozumieć nie mogła...

— Więc jeżeliby otwarcie i prosto wypowiedział pani mój przyjaciel to co czuje, w ten sposób, dajmy na to, jak ja tu

do pani przemawiam, czy mógłby mieć nadzieję jakiegoś promyczka łaski z jój strony?...

— Ha! ha! zabawny pan jesteś; widzę, że chcesz mnie pan na seryo wybadać i nic nie obwijasz w bawełnę: a więc kiedy tak seryo mówimy, to powiem panu, że wolę zawsze szczerłość i otwartość i proste wyrażenie myśli, styl prosty a jasny, nad wszelkie najgórnniejsze i najkwiecistsze omówienia.

— A więc jeżeli tylko o to chodzi, to mój przyjaciel poprawić się może.

— Ale zabawny pan jesteś, więc to coś na formalne oświadczenie się zakrawa,— śmiejąc się mówiła, ale z widocznym wzruszeniem i oddychając mocno.

— Mówisz pani, że wolisz szczerłość, otwartość; więc szczerym i otwartym jestem w imieniu mego przyjaciela i takież szczerości i otwartości od pani względem niego wymagam.

— Ależ... doprawdy, to zabawne,— znów śmiać się zaczęła z przymusem.—zanadto prędko zmierzać pan chcesz do celu.

— Nic dziwnego, proszę pani,—seryo mówił Adaś,— że tak gorąco sprawę mego przyjaciela tu wnoszę; Antoni godzien jest tego, ja go tak kocham...

— Istotnie,— mówiła już seryo,— ja pana Antoniego bardzo szacuję, umiem ocenić jego talent, szlachetność, sposób myślenia; ale... ta jego powolność i szlamazarność gniewają mnie...

— A jeżeli z tych wszystkich wad się poprawi?

— Ach powinien, bo to wady tak wielkie...

— Więc mogę mu powiedzieć: zostań z nami Antosiu, nie jedź na Wołyń, nie bądź takim szlamazarnym i mów otwarcie i zrozumiale to co czujesz.

Andzia znów się śmiać zaczęła z przymusem i rzekła:

— Ależ panie Adamie, nie róbmy komedyi na tym wieczorze.

— To po wieczorze powiem mu to *nie jedź*: dobrze panno Anno?— i błagalnie patrzył na Andzię, która wzruszona oczy spuściła, bawiąc się wachlarzem.

— Ale ja nie wiem,— rzekła po chwili,— może pan Antoni ma jakie ważne interesa do załatwienia na Wołyniu.

— Nie pani, li tylko chce jechać, ażeby rozerwać się w tym smutku, który go trapi, a który on ma nawet za nieuleczony.

Ruszyła ramionami i rzekła ciszej:

— Smucić się i martwić przedwcześnie, któż mu każe!?

— O! dzięki ci pani....

Tu nadbiegł Włodzio, ale dla Adasia już dość było tej rozmowy, z której jawnie przekonał się, że dla jego przyjaciela zabłysła nadzieja, o której Antoś zupełnie już powątpiewał i uradowany szczerze pocziwy Adaś, pospieszył do siedzącego w drugim pokoju Antosia, a wzięwszy go pod rękę, poprowadził do ustronnego pokoiku, w którym nikogo nie było, i tam mu tę niespodzianą a radosną nowinę zwiastował.

Antoś zrazu wierzyć temu nie chciał, ale gdy z zakłębieniem Adaś całą mu powtórzył rozmowę z Andzią ze wszelkimi odcieniami, które w niej podczas tej konferencji zauważył: Antoś rzucił mu się na szyję w przystępie najżywszego szczęścia i ze łzami w oczach całował go i dziękował przyjacielowi.

Gdy powrócili do sali, już Andzi nie było: wyjechała z ojcem pomimo zatrzymywań gospodarstwa, tłumacząc się [raptownym i silnym bólem głowy.

Nazajutrz Antoś zamiast na Wołyń, pojechał do domu Andzi, tak, jak mu Adaś radził, oświadczył się jęj prostemi wyrazy i został przyjęty.

Gdy się wieść o tém rozeszła po okolicy, Włodzio zrazu wierzyć temu nie chciał; ale w końcu przekonawszy się, udawał obojętność i rozgłaszał, że nigdyby się z Andzią był nie ożenił, bo posag miała zamały. Major zaś dowiedziawszy się o tém, w najgorszy wpadł humor i dnia tego kazał się nie dwa, ale trzy razy wodą oblewać, trzecz mocniej niż zwykle flanelą, Harasyma za uszy wytargał, i mrużąc: „a niechże cię *jasny* kaduk porwie... w rezultacie”, wcześniej niż zwykle spać się położył.

Leon Kunicki.

## KORRESPONDENCYE.

*WILNO. Posiedzenie Kommissyi archeologicznej wileńskiej,  
dnia 11 czerwca 1858.*

Na dniu 11 czerwca odbyło się zwyczajne miesięczne posiedzenie Kommissyi archeologicznej wileńskiej, pod kierownictwem prezesa Eustachego hr. *Tyszkiewicza*.

Na tem posiedzeniu, po przeczytaniu protokołu przeszłej sessyi, zakomunikowano urzędowe odezwy i listy otrzymane w przeciągu czasu od przeszłego posiedzenia; między innemi znajdowały się: list od rzeczywistego członka rektora kazańskiego uniwersytetu *Kowalewskiego*, który przesłał do naszego muzeum 41 sztuk monet azyatyckich, składających część osobliwości znalezionych przezeń w Pekinie, oraz kilka książek wydanych w Kazaniu; od rzeczywistego członka sekretarza stanu JW. barona *M. Korffa*; od Cesarskiego rossyjskiego towarzystwa geograficznego; od rzeczywistego członka *Juliana Bartoszewicza* z Warszawy; od rzeczywistego członka *Augusta Bielowskiego* ze Lwowa; od rzeczywistego członka dziekana uniwersytetu Św. Włodzimierza *M. Imaniszewa* z Kijowa; od redakcyi dziennika ministerstwa spraw wewnętrznych; od członka współpracownika *Dominika Chodźki*, który na imię *A. H. Kirkora* przesłał kilka ciekawych autografów *Naruszewicza*, *Czarnockiego* (*Chodakowskiego*), *Felińskiego*; oraz od rzeczywistego członka *M. Gusiewa* z Hanoweru. Prócz tego przeczytano odezwę głównego naczelnika naszego kraju JW. generał-adjutanta, rzeczywistego członka kommissyi, *Wł. Nazimowa*; w tej odezwie, z daty d. 6 czerwca, JW. generał-gubernator zawiadamia, że w skutek Najwyższego rozkazu, zakomunikowanego mu przez p. ministra wojny, ryszunki wojenne i szczęty broni, które dawniej należały do b. generała wojsk francuzkich *Józefa hr. Kossakowskiego*, a które obecnie wykryto drogą badań sądowych w *Dynaburgu* i odebrano od prywatnych posiadaczy—zostały wysłane z audytoryalnego departamentu ministerstwa wojny, pocztą do Wilna, w celu ścisłego ocenienia i porównania ich z opisem broni hr. *Kossakowskiego*, będącym przy protokołach badań śledczych, aby następnie te przedmioty, których pochodzenie z kolekcyi hr. *Kossakowskiego* zostanie udowodnione, przeszły do naszego muzeum starożytności (co ma się stać dla zadosyćczynienia chęci, jaką oświadczył spadkobierca generała *Franciszek hr. Kossakowski*). Po przeczytaniu tego dokumentu, prezes zawiadomił obecnych członków, że część wspomnianych ryszunków, zawartą w siedmiu pakach, już otrzymano; po przejrzeniu okazało się, iż w liczbie będących tam przedmiotów, 10 sztuk pochodzi z rzeczzonego powyżej zbioru hr. *Kossakowskiego*, a przeto powinno należeć do naszego muzeum: nadto prezes dodał, że ma nadejść jeszcze 11

podobnych pak, a wyniki ich rozpatrywania będą zakomunikowane przy następnym posiedzeniu.

Rzeczywisty członek M. Gusiew w liście swoim z Hanoweru z d. 5 czerwca, opisuje posążek znaleziony przez niego w muzeum przy towarzystwie ojczystej historii w Hanowerze, zupełnie podobny do posążka znajdującego się w naszym muzeum, odkrytego pod Kiernowem i wyobrażającego podług wszelkiego prawdopodobieństwa bożka litewskiego Perkunasa. Nadto p. Gusiew u nadwornego księgarza Hahna, który mu został wskazany przez sekretarza towarzystwa A. Einfelda, znalazł 3 podobne egzemplarze, z tych 2 wyobrażają męskie postacie, 1 zaś kobietą. P. Einfeld nie mógł zadeterminować znaczenia tych posążków, które dotąd były umieszczone między przedmiotami nieodgadnionemi; to tylko wiadano chociaż nie z zupełną dokładnością, że nabyte zostały w Hamburgu, a według domysłu tegoż Einfelda i innych miejscowych archeologów, mogły służyć do ozdoby starożytnych pajaków, mieszczących na sobie wyobrażenia ludzi i zwierząt, zawieszonych w kościołach, lub też może wyobrażały rzymskiego Jowisza.

Domysł ten niczem się usprawiedliwić nie da. Gdyby archeologowie hanowerscy zwrócili uwagę, że tak własny ich kraj, jak i ziemia na której stoi Hamburg, były to odwieczne dziedziny słowiańskie, że wykopaliska prilwitzkie, jeszcze pod koniec XVII wieku odkryte, dostarczały licznego zbioru posążków słowiańskich: pewno aniby wpadli na myśl dziwaczną, że w mowie będący posążek stanowił ozdobę pająka, lub że wystawiał rzymski zabytek gromowładnego Jowisza. Dla nas ta uwaga, iż opisany przez p. Gusiewa posążek ma zupełne podobieństwo z posążkiem naszego muzeum, że odkryty podobnyż w Czechach, a którego dwa odlewy muzeum nasze posiada, jest przekonywającą: że tak wileński, jakoteż pragski i hanowerski posążki, są wyobrażeniem bóstwa zwanego Perkunem (Perunem), którego część w całej Słowiańszczyźnie i Litwie szeroko była rozpowszechniona.

Rzeczywisty członek M. Malinowski odczytał list p. Floryana Giles (Żil), naczelnika 1-go oddziału Cesarskiego ermitażu. P. Żil przesyła w darze dla biblioteki muzeum: 1) napisaną przez siebie wiadomość o nabytym ze szcudrobliwości NAJJAŚNIEJSZEGO PANA dla ermitażu zbiorze numizmatycznym Reychla, i 2) wiadomość o nadsyłanych z Zakaukazu do ermitażu przez pułkownika Bartolomei wschodnich numizmatów. Zbiór Reychla jeden z najznakomitszych prywatnych w jakiegokolwiek kraju posiadanych, najżywiej obchodzić nas powinien; bogactwo jego już było znajome z katalogu, który sam Reychel od 1842 do 1850 r. ogłosił w 9 tomach; lecz ten katalog obejmował tylko 25,000 numizmatów i medalów włącznie z monetami rossyjskimi, przedanemi ermitażowi jeszcze w r. 1851. Znaczne nabycia poczynione w ostatnich latach przez Reychla podniosły ich liczbę więcej niż do 40,000, nie licząc w to monet rossyjskich, 1,500 medalów greckich i rzymskich, ani też numizmatów wschodnich, między którymi znajduje się pewna liczba bardzo szacownych i rzadkich. Cały zbiór jego zawierał medalów *starożytnych* i monet *wschodnich* 193 złotych, 717 srebrnych, 710 brązowych, pieniędzy i medalów *czasów nowszych* 2,338 złotych, 33,096 srebrnych, 4,321 brązowych. Reychel

przez lat 40 z niezmordowaną wytrwałością i pracą zbiór swój pomnażał, utrzymywane stosunki prawie ze wszystkimi numizmatykami europejskimi ułatwiły mu możność uzupełnienia swojego numizmatycznego skarbcu. Jest on tém szacowniejszy, iż posiada swoje własne archiwum, wielotomową korespondencyą, niezliczone noty, własnoręcznie dodane do każdego znakomitszego egzemplarza, o znaczeniu jego wartości pod względem nauki, pochodzenia, ceny, a najczęściej i nazwiska sprzedającego; dołączona mała, ale wyborowa biblioteka numizmatyczna, katalogi wszystkich publicznych sprzedaży numizmatów, jakie od lat 30 miały miejsce w Europie, obejmują ogrom wiadomości w tym rodzaju i niezmiernie ułatwiają korzystanie z samego gabinetu. Wszystko cokolwiek ściągało się do tej gałęzi wiadomości było najtroskliwiej zgromadzane przez Reychla, aż do dnia jego śmierci, która go niespodzianie zaskoczyła w Bruxelli 1856 r. w październiku. Wiadomość przez p. Żil ogłoszona w początkach bieżącego roku o zbiorze Reychla jest wzorem jasności i dokładności: ale co nas najszczególniej zajmować powinno, to oddział pieniędzy i medalów naszego kraju. Ogólna ich liczba wynosi 3,056 numerów, z których 285 złotych, 2,522 srebrnych i 249 brązowych. Ta część według słów p. Żil zdawała się być zbieraną i pielęgnowaną ze szczególniejszem upodobaniem przez Reychla. Włączył on do tego oddziału wszystkie kraje, które w danych epokach ulegały berlu królów polskich. Niepodobiestwem jest znaleźć innego zbioru, któryby mógł dorównać Reychlowskiemu co do liczby pieniędzy średniowiecznych. Obejmuje on cały szereg pieniędzy w przeciągu VII wieków, tojest od Bolesława II, aż do Stanisława Augusta. Zawiera medale królów polskich i ludzi znakomitych, oraz wszystko co z mennicy polskiej wyszło od 1795—1851. Wszystkie typy menniczne tego ogromnego przeciągu czasu, wszystkie zdarzenia dziejowe, są przedstawione przez wybór monet i medalów, których wielka liczba jest bardzo rzadka, a niektóre są prawdziwemi *unikatami*, wszystkie zaś odznaczają się szczególną pięknoscią zachowania. P. Żil niektóre z nich wymienia, i tak między monetami: grosz Kazimierza W., podwójny dukat Zygmunta I, moneta wartości 10 dukatów (1562), dukat (1571), talar gdański (1587), talar podwójny (1587), sztuka 10 dukatowa (1588), portugalski inflancki 10 dukatowy i dukat 1592 i t. d. Między medalami odznaczają się: wielki medal srebrny z popiersiem Zygmunta I (wieku lat 60), medal w kształcie talara, przedstawiający z jednej strony popiersie tegoż króla (1533), z drugiej popiersie Zygmunta Augusta (1540) otoczony pięcią tarczami; medal Stefana Batorego na zdobycie Połocka (1581), medal dawany za nagrodę przez Zygmunta III (1594).

P. Żil wymieniwszy główne bogactwa zbioru Reychlowskiego w monetach i medalach Infant i Kurlandyi, monetach Słowian południowych, Szwecyi, Norwegii, Danii, Szlezwigu i Holsztynu, Austrii, Niemiec środkowych, Szwajcaryi, Francyi, Anglii, Hollandyi, Belgii, Włoch, monet krzyżackich, kawalerów rodyjskich i t. d., zwraca uwagę na medale znakomitszych mężów, między którymi znajduje się zbiór wielkich medalionów woskowych przedstawiający szereg królów polskich od Bolesława Chrobrego aż do Stanisława Augusta. Te medaliony będące arcydziełami sztuki, służyły za wzór do wybicia szeregu medalionów królów polskich, znaj-



dującego się w tym zbiorze; tak medaliony jak i typy są ryte ręką Jakóba Reychla ojca sławnego numizmatyka.

Ale co z całej tej wiadomości przez p. Gilles ogłoszonej, najwięcej cieszyć powinno, to zapowiedziane przez ermitaż przedsięwzięcie ogłoszenia monet narodowych polskich i rossyjskich, których liczba dochodzi do 15,000. Jesteśmy przeświadczeni, że pod kierunkiem tak uczonego i zdolnego wydawcy, przy pomocy rękopiśmiennych dodatków Reychla do wydanego już przezeń katalogu, przy środkach jakimi szczerobliwość Monarsza pozwala rozporządzać ermitażowi, nauka numizmatyki otrzyma wkrótce dzieło, które tak pod względem zewnętrznym, jakoteż pod względem treści stanie się ozdobą wszystkich bibliotek i zbiorów.

Prezes kommissyi, zagajając niniejsze posiedzenie, uwiadomił o stratach jakie Towarzystwo świeżo poniosło, a mianowicie o zgonie Piusa hr. Tyszkiewicza i Ludwika Rittersberga. Obadwaj ci członkowie nasi, pierwszy w Łohojsku, drugi w okolicach Pragi Czeskiej, przenieśli się do wieczności w jednym i tym samym dniu, 25 maja (6 czerwca). Z głębokim uczuciem obecni podzielili boleść synowską swojego zasłużonego przewodnika. Pius hrabia Tyszkiewicz był najstarszym co do wieku członkiem naszego towarzystwa, liczył bowiem 100 lat wieku. Ludwik Rittersberg, zgasł w 49-m roku życia, był jednym z tej pocziwiej i uczonej plejady czeskiej, która znajomość rzeczy narodowych i sprawę umysłowego życia całej Słowianszczyzny tak dzielnie i z taką miłością wznaga. Zasługi jego w piśmiennictwie czeskim są wielkie i trwale; dla nas szczególniejszą są tém większego znaczenia, że Rittersberg całym sercem, z całą gorącością ducha kochał rzeczy polskie. W języku naszym postąpił do takiego stopnia, że pisał nim swobodnie i poprawnie. Ciesząc się z rozwoju wiadomości historycznych i archeologicznych tu u nas na Litwie, całemi siłami starał się poznać nas z pracami swoich współziomków. W tym celu skoro doszła do niego wiadomość o ukazaniu się pisma zbiorowego *Teka wileńska*, natychmiast pospieszył wejść w naukowe stosunki z jej redaktorem, a pełnemi treści i życia pracami zamierzył ją stale zasilać. Jakoż w *Tece wileńskiej* ukazały się: *Krótki zarys historii literatury czeskiej*, *Muzeum czeskie w Pradze*, *Wiersz na zgon zasłużonego Szumawskiego*; nadto w rękopismach redakcyja posiada uczone jego życiorysy znakomitego Wacława Hanki i tegoż Józefa Franty Szumawskiego, któremu śmierć nie dozwoliła dokończyć wielkiego dzieła porównawczego słownika głównych narzeczy słowiańskich. Byłoto zaćne i wzniosłe bijące serce. Skon jego przenika tém głębszym żalem, że zgasł w sile wieku, i że z listu na dwa tygodnie przed śmiercią z łoża choroby, z której już nie powstał, pisanego do członka A. H. Kirkora, widać jakie jeszcze prace na korzyść naszego piśmiennictwa przeznaczał.

Obecni członkowie postanowili uczcić pamięć obudwóch zmarłych współziomków żalobnym nabożeństwem. Odbyło się ono w obecności prezesa i wszystkich członków po Piusie hr. Tyszkiewiczu na dniu 14 czerwca, a po Ludwiku Rittersbergu na dniu 16 tegoż miesiąca w kościele św. Jana. Nadto prezes wezwał rzeczywistego członka A. H. Kirkora do przygotowania na jedno z następnych posiedzeń wiadomości o życiu i pracach naukowych nieodżałowanego naszego współ-członka Rittersberga.

### Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Biblioteka Warszawska w jednym z zeszytów swoich przeszłorocznych umieściła „*Wspomnienia*” pana Franciszka Kowalskiego o Odessie. Czytelnicy muszą pamiętać ten piękny artykuł napisany z prawdą i prostotą, a tém bardziej zajmujący nas z tego względu, iż p. Kowalski rozpowiedział w nim szczegółowie poznanie się swoje w Odessie z Adamem Mickiewiczem i Alexandrem Puszkinem. Miało to być w 1825 roku.

Artykuł ten przedrukował „*Inwalid rossyjski*” w N. 277, 1857 r. Przez pośrednictwo tej gazety został on znany Rossyi całej. Tymczasem p. Zieleniecki, w „*Odeskim wiestniku*” w miesiącu styczniu r. b., wydrukował artykuł przekonywający, iż Mickiewicz z Puszkinem nigdy, a tém bardziej w 1825 r. nie byli jednocześnie w Odessie.

Zdziwiło to nas bardzo, bo znamy p. Kowalskiego, iż w podobnie prawdziwe i szczegółowe akcesorya, jak te które nam dal w swoich *Wspomnieniach*, nie zechciałby obwijać zmyślenia. Dla fantazyi, widocznie nie było tu miejsca: chodziło o prawdę. Wymieniał on nam domy i nazwiska znane wielu, osoby co żyją dotąd: sprawdzenie więc może być łatwe. Co do nas, nie mamy materyałów pod ręką ani dla zaprzeczenia p. Zielenieckiemu, ani tém bardziej dla potwierdzenia *Wspomnień* p. Kowalskiego; ztąd zdaje mi się że będzie nie od rzeczy, jeśli w témże piśmie które zamieszcilo „*Wspomnienia*,” dasz pan w tłumaczeniu dosłowném artykuł p. Zielenieckiego. Słuszna, żeby się wyswieciła wątpliwość, dla nas zaś, artykuł pana Zielenieckiego ma jeszcze ten interes, iż daje kilka ciekawych szczegółów z życia Mickiewicza, ile wiem, nieznanych publiczności (1).

Nie robimy żadnych uwag nad wnioskami p. Zielenieckiego, w przekonaniu, że wywołają one odezwy osób kompetentnych w tej kwestyi. Sprostują one omyłkę i dopowiedzą coś o naszym znakomitym wieszcu, którego biografią właśnie teraz zająćby się warto.

Tadeusz Padalica.

(1) Tu autor listu w tłumaczeniu treściwem podaje z *Inwalida rossyjskiego* znane już naszym czytelnikom szczegóły i data dotyczące Mickiewicza i Puszkina, któreśmy w przeszłym zeszycie naszego pisma w wiernym przekładzie ogłosili.

Przyp. red. B. W.



# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1857.

145. Dziennik Praw, tom 50. (Text polski i rossyjski). Warszawa. W drukarni Rządowej przy Kom(issyi) Rząd(owej) Sprawiedliwości. 1857. W 8ce. Str. 473, i VI spisu rzeczy. Kop. 70.

146. Kilka badań geologicznych i dziejowych Kaukazu. Przez Juliusza hrabię Strutyńskiego. Berlin. Nakładem B. Behra (E. Bock). 1857. W 8ce. Str. 71 i str. 3 wstępu. (Czcionkami Juliusza Sittenfelda w Berlinie).

147. Krynica w Karpatach galicyjskich położona, opisana pod względem historycznym, topograficznym, klimatycznym, botanicznym, geologicznym i lekarskim przez prof. Dra Dietla. Z autografu niemieckiego tłumaczył Michał Zieleniewski doktor medycyny, chirurgii i magister akuszerji, lekarz rządowy przy zdrojach w Krynicy. Nakładem c. k. Krajowej Dyrekcyi Skarbu. W Krakowie, w drukarni c. k. Uniwersytetu. 1857. Str. 231.

148. Materyały do dziejów bezkrólewia po śmierci Augusta III i pierwszych lat dziesięciu panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego. (Przedruk z Dziennika literackiego z r. 1857 z niektórymi odmianami w tekście i z przydaniem dokumentów tam nieumieszczonych). We Lwowie. 1857. Nakładem M. P. Dwa tomy. W 8ce. Tom 1, str. 302. Tom 2, str. 271 i LXV dokumentów. Rub. sr. 1 kop. 80.

149. O dwukrotném zamęzciu księżniczki Ludwiki Karoliny Radziwiłłówny i wynikłych ztąd w Polsce zamieszkaach. Przyczynek do dziejów panowania Jana III. Napisał Antoni Zygmunt Helcel. Kraków. Czcionkami „Z часу”. 1857. W 8ce. Str. 127. Kop. 60.

150. Słownik języka polskiego przez M. Samuela Bogumiła Linde. Wydanie drugie, poprawne i pomnożone staraniem i nakładem Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich. Tom 3. M—O. Lwów. W drukarni Zakładu Ossolińskich. 1857. W 4ce. Str. 640. Cena tego tomu zlr. 3 kr. 20 m. k.

151. Wstąpienie na tron Cesarza MIKOŁAJA Igo. Opisane z Najwyższego rozkazu przez sekretarza stanu barona Korffa. Z wydania rossyjskiego trzeciego (dla publiczności pierwszego) przełożył Józef Przelcawski. S. Petersburg. W drukarni wojennój. 1857 r. Str. XIII i 213. w 8ce wielkiej.

1858.

152. Dni pokuty i Zmartwychwstania, przez Władysława Syrokomlę. Wilno. Nakład R. Rafałowicza. Czcionkami S. Rozensohna. W 16ce. Str. 54. Kop. 50.

95. Halka, opera w czterech aktach, słowa Włodzimierza Wolskiego. Partytura fortepianowa ze śpiewem. Warszawa. Nakład i własność Gustawa Gebethner i Spółki. Lipsk u Bartholfa Senft. Zakład litograficzny C. G. Rödera w Lipsku, w kroju arkusza. Rsr. 10.

96. Kazanie miane 11 kwietnia 1858 w czasie uroczystego nabożeństwa na uproszenie błogosławieństwa przy rozpoczęciu fabryki budowy kościoła Śtój Trójcy r. 1850 spalonego, a później obaleniem się filarów zniszczonego; przez księdza Andrzeja Kulczyckiego podkustosza kościoła katedralnego, Kraków. Czcionkami Czasu. 1858. W 8ce. Str. 19. Na dochód kościoła Ś. Trójcy. Cena egz. 15 kr.

97. Ludzie prości, szkice obyczajowy przez Jerzego Laskarysa. Wilno i Dynaburg. Nakład J. Krasnosielskiego. 1858. W drukarni S. Orgelbranda. (W Warszawie). W 12ce. Str. 101.

98. Nowa gigantomachia. Pamiętnik oblężenia Częstochowy roku 1655, napisany po łacinie przez ks. Augustyna Kordeckiego przeora konwentu Jasnogórskiego, przełożył wiernie Józef Łepkowski. Z trzema rycinami. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda, księgarza i typografa. 1858. W 8ce. Str. 159. Rsr. 1 kop. 20.

99. Pszczolnictwo polskie czyli Zbiór pism najpraktyczniejszych pszczelarzy polskich i amatorów pszczolnictwa, wydany staraniem Adama Mieczynskiego członka Towarzystw rolniczych. Warszawa. W drukarni J. Jaworskiego. 1858. W 12. Str. XVIII i 168. Rsr. 1.

100. Staropolskie roraty i dwie pomniejsze poezye przez Władysława Syrokomlę. Wilno i Dynaburg. Nakładem J. Krasnosielskiego księgarza. 1858 r. W drukarni S. Rozensona. W 16ce. Str. 48.

101. Wolne żarty, świstki humorystyczno-artystyczne zebrane przez bocianów Polskich. Serya pierwsza. Warszawa. 1858. W drukarni K. Kowalewskiego. W 4ce wielkiej z drzeworytami zakładu J. Minheymera. Str. 72. Zeszytów VI. Rsr. 1 kop. 80.

102. Żywoć świętego Wojciecha biskupa i męczennika, z uwagami nad podaniem Czechów: jakoby zwłoki jego w Pradze spoczywały. Napisał ks. Piotr Pękalski S. T. D. kan. stróż Ś. Grobu Chrystusowego. Z dwiema rycinami. (Grób św. Wojciecha w katedrze gnieźnieńskiej i drzwi tejże katedry). W Krakowie. 1858. Czcionkami „Czasu”. W 8ce. Str. 188 i kart 3 dodatków.

## DONIESIENIA LITERACKIE.

### WARSZAWA.

Otwarcie na początku b. m. „Wystawy krajowej sztuk pięknych,” uważamy za jeden z najważniejszych faktów. Młodzi artyści nasi, którzy nie żałowali i pracy i kosztów z ciężko zarobionego grosza, ażeby dopiąć zamierzonego i upragnionego ce-

lu: znaleźli piękną nagrodę usiłowań swych, bo przychylność i współczucie serdeczne wszystkich, co miłują tak sztukę jak i literaturę krajową. Katalog wystawy ma być wkrótce drukowany: po otrzymaniu go, zdamy obszerniejsze sprawozdanie z tej wystawy.

— Tygodnik Petersburski z 29 czerwca r. b. ogłosił prospekt na mające z d. 1 stycznia 1859 roku wychodzić pismo, p. n. „Słowo” składające się z Gazety w wielkim formacie, wydawanej dwa razy na tydzień, i z „miesięcznego dodatku” obejmującego od 12 do 20 arkuszy druku. „Gazeta” prócz obszerniej części urzędowej, obejmie najważniejsze wiadomości polityczne. „Dodatek” zawierać będzie powieści, poezye, prace historyczne, polityko-ekonomiczne, statystyczne, prawnicze, rozprawy z nauk przyrodzonych, artykuły o wychowaniu, nadto miesięczny przegląd polityczny i krytyczne rozbiory wszelkich dzieł nowych, zasługujących na uwagę, tak krajowych, słowiańskich, jak zagranicznych. „Nie przemysłowe widoki, lecz chęć służenia sprawie narodowej oświaty (czytamy w tym prospekcie) przewodniczy niniejszemu przedsięwzięciu. Wybrany zaś został Petersburg za miejsce wydawnictwa, z następujących pobudek: tu jest ognisko władzy centralnej; tu się skupiają wszystkie administracyjne interesa tak zwanych „Zachodnich prowincyj; tu w bogatych księgozbiorach spoczywają drogie zabytki, rzadkie dzieła i rękopisma, których opracowanie niemały może przynieść dla historii narodowej pożytek; tu łatwiej niż na całej kraju przestrzeni posiadać arcydzieła europejskie i śledzić ruch europejskiej oświaty pod wszelkimi względami: nauk, sztuk i przemysłu; ztąd nakoniec łatwiej badać stan społeczny Rossyi, i dojrzeć wszelkich objawów umysłowego jęj życia, którego poznanie tak niezbędne jest potrzebne.” Prospekt ten, który w m. wrześniu ma być w obszerniejszych ramach powtórzony, ze szczegółowem wymienieniem współpracowników, podpisał jako redaktor odpowiedzialny J. Ohryzko.

Prenumerata przyjmowana będzie razem tylko na oba dwa pisma: cena roczna na miejscu rs. 15; z przesyłką rs. 17. Cena to bardzo umiarkowana. Ważność jęj każdy ocenia, i nie powątpiewamy, że znajdzie współczucie i poparcie.

— W drukarni Alexandra Gins wykończą się druk pracy znanj od lat wielu tylko z wyjątków, trawerstowanej Enejdy przez Ferdynanda Chotomskiego. O tej publikacji donosiliśmy naszym czytelnikom: wyjdzie z pod prasy p. n. „Publiusza Wirgiliusza Marona Enejdy przelicowanej ksiąg dwanaście.”

— Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych rozpi-sała się o tłumaczach Gigantomachii Kordeckiego i potrzebie przekładu tego dzieła. Nic nie wspomniała przecieź o tém, że tej pracy już dopełnił znany archeolog Józef Łepkowski, i przekład jego skończony już w druku, wyszedł nakładem S. Orgelbranda,

ozdobiony popiersiem Kordeckiego, zdjętym z oryginalnego obrazu jaki się dotąd zachował w klasztorze XX. Paulinów w Częstochowie, i dwoma drzeworytami przedstawiającemi kościół na Jasnejgórze i cudowny obraz Matki Boskiej w tym klasztorze, będący celem pielgrzymek pobożnych.

— Donosiliśmy naszym czytelnikom o przygotowującym się dziele, którego treścią będą opisy cmentarzy zagranicznych, na których spoczywają Polacy. Obywatel starego Mazowsza, znany autor: „Wspomnienia zgonu zasłużonych Polaków” Eustachy Marylski, podjął tę szlachetną pracę, nie żalując ani trudów, ani niemałych kosztów. Ze wstępu podamy wyjątek, który nas najlepiej oznajomi z dziełem czcigodnego autora:

„Rozpoczynam opis cmentarzy zagranicznych od drezdeńskiego, na którym tyłu spoczywa rodaków. Jest to jakby dalszy ciąg opisu naszych cmentarzy, który rozpoczął znany badacz przeszłości K. Wł. Wójcicki, a któryśmy z takim zajęciem czytali. Wielkie zalety już przyznano temu dziełu: w niém autor przypomniał nam starszym postacię znakomitych w narodzie ludzi, a młode pokolenie oznajomił z niemi.

„Odkąd ściślejsze łączyły nas stosunki z Saxonią, wiele rodzin naszych w Dreźnie przemieszkowało. W późniejszym czasie, Drezno, jako miasto nie odległe od Polski, w zajmującym położeniu, a posiadające łatwe środki dla nabycia ukształcenia naukowego, liczne gromadziło rodziny, które osiadały w tém cichém ustroniu dla edukacji młodzieży. Zresztą Drezno, będąc na drodze do słynnych wód czeskich i niemieckich, co rok bywa od nas nawiedzane, a ztąd cmentarz drezdeński, tak liczny zastęp ziomeków przyjął w łono swoje. Spotkać na nim można wielu naszych pielgrzymów nawiedzających ustronie zmarłych, bo tam niejednen znajdzie groby drogich dla serca osób. Ja zwiedziłem go po raz pierwszy w towarzystwie nieodżałowanej pamięci arcybiskupa Dunina. Zaczny pasterz odprawił w kaplicy mszę żalobną o spokój zmarłych, a potem długo żalany łzami, wspólnie z obecnymi modlił się nad grobami generała Wojczyńskiego i Kazimierza Brodzińskiego, których cnoty i zasługi wysoko cenił. Chwila ta, na zawsze w pamięci się mojej wyryła. Najdawniejsze pomniki polskie wznoszą się koło muru cmentarza, a obok siebie tak są skupione, jak gdyby nie chciały przyjąć w sąsiedztwo żadnego obcego. I słusznie, iż wielu tych, których za życia łączyły stosunki pokrewieństwa, przyjaźni, jedna chęć szczerą służenia krajowi, obok siebie spoczywa. Później zmarłych chowano także najwięcej blisko siebie po głównych ulicach niedaleko kaplicy. Z boleścią patrzałem jak czas wiele nagrobków nachylił i napisy zatarał tak, że je trudno odczytać. Chciałem ochronić od zapomnienia imiona naszych ziomeków, i ztąd powzięłem myśl wydania niniejszego opisu.”

Dalej w tymże wstępie wyczytujemy, że dzieło to ma obejmować i cmentarze Francyi, Szwajcaryi, Niemiec i innych kra-

jów, które p. Marylski zebrać mógł w kilkokrotnych wycieczkach za granicę. Ryciny pomników grobowych cmentarza drezdeńskiego już są gotowe i złożone u księgarza S. Orgelbranda, któremu powierzył autor wydanie tego dzieła, bez wymagania honorarium, z warunkiem starannój edycji. Tak szlachetna ofiara, prawdziwie obywatelska, podjęta w pięknej myśli uczczenia wspomnieniem zmarłych rodaków, których prochy rozrzucone po całej Europie, godna naszego uwielbienia.

— Nakładem nowój księgarni G. Gebethnera i Spółki wyszła we dwóch zeszytach: „Halka, opera w czterech aktach, słowa Włodzimierza Wolskiego. Partytura fortepianowa ze śpiewem S. Moniuszki.—Nakładem téjże księgarni, wyjdą: „Zarysy Ekonomii Społecznej W. Ellisa, przekład Stanisława Budzyńskiego; i przygotowane w rękopiśmie Lucyana Siemińskiego: „Kilka rysów z literatury i społeczeństwa od 1848—1858” we 2ch tomach. Są to rozprawy krytyczne tego znakomitego pisarza, drukowane dawniej tak w Czasie jak Dodatku, przejrane na nowo i zebrane razem. Ważny materiał dla badacza dziejów literatury ojezycznej z ostatnich lat dziesięciu.

— Otrzymaliśmy w siedmiu zeszytach Biblioteki Polskiej wydania K. J. Turowskiego: „Żywot J. K. Chodkiewicza wojewody wileńskiego, hetmana W. X. Lit. przez Adama Naruszewicza”. Niemalą przysługę miłośnikom rzeczy krajowych wyświadczył szanowny wydawca, ogłaszając rzadką już dzisiaj pracę naszego historyka w sumiennym przedruku, przy bardzo dostępnym i umiarkowanój cenie. Przypominamy redaktorowi Biblioteki Polskiej dane przyrzeczenie przedruku Herbów rycerstwa polskiego Bartosza Paprockiego, i radzibyśmy mieć rękopis, kiedy tak upragniony przedruk tego dzieła rozpocznie.

— Ilustracya rosyjska w jednym z numerów swoich na r. b. zamieściła popiersie Syrokomli z podobizną i życiorysem przez p. Wiesiołowskiego skreślonym, w którym mieni Syrokomlę pierwszym z żyjących poetów polskich. Przechwątka taka nie podniesie wartości Syrokomli; my znamy pierwszych poetów, ale innych żyjących: dosyć tu wymienić: Bohdana Zaleskiego, Seweryna Goszczyńskiego, Wincentego Pola, Kornelego Ujejskiego, Augusta Bielowskiego i Lucyana Siemińskiego. Jakie po nich zajmie stanowisko Syrokomla, to rzecz sumiennój krytyki.

— Koranu, przekład z arabskiego, wydania A. Nowoleckiego wyszedł zeszyt II, kończący tom drugi. Oprócz tłumaczenia samego Koranu, troskliwy wydawca o udokładnienie jak największe tego dzieła, dodał: „Nabożeństwo mahometańskie czyli islamskie, to jest zbiór modlitw codziennych i świątecznych dla użytku prawowiernych wyznawców wiary islamskiej obrzędu sunnietskiego; przepolszczył Władysław Kościuszko”. Oczekujemy ostatniego zeszytu, a właściwie 2go z tomu pierwszego, abyśmy już zupełną całość mieli dzieła, które każda biblioteka w dziale historycznym posiadać powinna.

— Wzorów sztuki średniowiecznej, drugą seryą kończące zeszyty otrzymaliśmy, to jest 19, 20, 21, 22, 23 i 24. Obejmują chromolitografie wraz z tekstem polskim i francuzkim następujące: 1) Talerz na podstawie z zastawy stołowej srebrnej, daru króla Jana Kazimierza w domu Krasińskich. 2) Z tegoż serwisu: postać Władysława Warneńczyka na talerzyku srebrnym. 3) Miecz Zygmunta Augusta skruszony na pogrzebie w Krakowie. 4) Rękojeść miecza Stefana Batorego przechowanego w skarbcu częstochowskim. 5) Kielich Kazimierza Wielkiego w Trzemesznie. 6) Kielich Andrzeja proboszcza w Trzemesznie. 7) Kielich Zbigniewa we Włocławku. 8) Pastorał w Płocku. 9, 10, 11, 12) Relikwiarz z głową ś. Stanisława w skarbcu katedry krakowskiej. W końcu oprócz spisu chronologicznego tablic drugiej seryi, czytamy odezwę wydawców w tych słowach:

„Dokończyliśmy seryą drugą Wzorów sztuki średniowiecznej, trzymając się ściśle zapowiedzianego planu co do wyboru przedmiotów i co do dokładności w wykonaniu rysunków ręcznych i chromolitografii. Spodziewamy się, żeśmy się wywiązali zupełnie z obowiązków, jakie na nas zaufanie prenumeratorów wkładało. Obfitość materiałów pozostałych w tekach naszych, jakoto: miniatury z księgi cechów krakowskich Baltazara Bema; rzeźby na drzwiach spiżowych katedry gnieźnieńskiej; obrazy z końca XV wieku i z początków XVI rozrzucone po kościołach polskich i herbami biskupów fundatorów opatrzone; nareszcie piękne zabytki historyczne przechowane w muzeum starożytności w Moskwie i w zbrojowni własnej Jego Cesarsko-Królewskiej Mości w Carskiem-siele, do której wstęp NAJJASNIEJSZY PAN z Najwyższej łaski swojej otworzyć nam raczył: to bogactwo materiałów zmusza nas do wydania jeszcze Trzeciej seryi, która osobną całość tworząc, jak każda z dwóch poprzedzających, obie jednak uzupełni”. Spełniają więc najgorętsze nasze życzenia szanowni wydawcy, nietylko przedłużając swoją publikacją, ale dając w seryi trzeciej te pamiątki, na które oczekiwaliśmy. Ujrzymy tedy starożytne ubiory polskie, oraz uzbrojenia naszego rycerstwa. Spodziewamy się, że przy zasobach i zamożności nie zechcą z trzecią seryą wydawnictwa swego zamknąć, gdy z każdą znajdują tak obfite materiały. Nietylko po kościołach, ale w wielu prywatnych zbiorach i dawnych rodzinach mieliby przedmioty godne pomieszczenia we Wzorach. Usługę oddaliby wielką i prawdziwie obywatelską, gdyby w następnych seryach wzięli za główny cel tego wydawnictwa właśnie to, czémby zapomogli naszych malarzy w kompozycjach obrazów z dziejów polskich. Braknie im zasobów, ażeby mogli mieć pod ręką kostiumy i uzbrojenie z upłynionych wieków, braknie im wnętrza dworu i wzorów dworaków szlacheckich zewnątrz, chociaż nie braknie tego rodzaju zabytków w kraju jeszcze. Zachowały się komnaty z czasów Jana III w jednym dworku w Krakowskim, znajdują się jeszcze i w innych stronach. Widzieliśmy za Socha-



czewem, we wsi Koszajec, zabudowania gospodarskie z zeszłego stulecia godne zachowania. Szanowni wydawcy zwróciwszy na takie przedmioty uwagę swoją, znaleźliby chętną pomoc co do wskazówek, gdzie te pamiątki istnieją, a ze zbiorów prywatnych zabytki do przerysowania. Cóż mówić o naszych kościołach, czyż te nie zasłużyły pomieszczenia we Wzorach, jako pamiątki budownictwa krajowego? Publikacya w tym kierunku dalej rozwijana, oddałaby starożytnościom krajowym, literaturze i sztuce polskiej nieocenione usługi, a wydawcy do nowej wdzięczności ogółu nabyliby prawa.

— Jeszcze w r. 1857 wydanym został tom IX Michała Wiszniewskiego Historji literatury polskiej, zamykający całość dzieła i tom X obejmujący spis alfabetyczny autorów. Tymczasem dotąd obu tych tomów nie ma w obiegu księgarskim i nigdzie ich dostać nie można. Nie pojmujemy tak szczególnego rodzaju wydawnictwa, aby wydrukowane dzieła na składach przetrzymywać.

— Wojciech Szymanowski po wydaniu gry uczącej dziejów polskich, przygotował teraz drugą w obszerniejszych rozmiarach, mając na celu oznajomienie dziatwy z dokładnym opisem królestwa polskiego tak pod względem statystycznym, jak i historycznym. Pożyteczna i zajmująca ta praca obejmuje samego tekstu 12 arkuszy ścisłego druku w 4-ce na dwie szpalty.

— Już jest pod prasą drukarską tom III Zbioru pamiątek do dziejów polskich, Włodzimierza hr. Platera. Tom ten obejmuje ciekawy opis pierwszego bezkrólewia po Zygmuncie Augustcie ze współczesnego rękopismu, który wielkie rzuci światło na owoczesną epokę.

— Wolne żarty, świstki humorystyczno-artystyczne zebrane przez bocianów polskich, w sześciu zeszytach zamknęły pierwszą seryą. Drugiej już mamy zeszyt pierwszy. Przyjęcie dobre tej publikacyi i liczba znaczna prenumeratorów zachęcić powinny redakcyą do ciągłego udoskonalania tego pisma, które znalazło tylu zwolenników. Zdobią je drzeworyty z zakładu J. Münchejmera według rysunków F. Kostrzewskiego.

— W jednym z pism czasowych naszych napomknięto życzenie, ażeby Lucyan Siemiński, który dał tak wyborne próbki tłumaczenia Homera, mógł się zająć przekładem całości tych drogocennych poematów literatury greckiej. Podzielając w zupełności zdanie, że obecnie, jeden tylko L. Siemiński, ze wszystkich znanych pisarzy ma zdolności potemu, z żalem musimy donieść, że o tej pracy już teraz nie myśli: potrzebowałaby ona wyłącznego poświęcenia się lat kilku bez przerwy żadnym inném zajęciem. Nie brakuje nam filologów, ale brak nam ludzi z talentem, i tą umiejętnością odtwarzania zamierzonych wieków owęj pięknej Grecyi, która takie poemata wydała. Czekać nam długo, zanim się zjawi z równą zdolnością Siemiński do ich przekładu.

— S. Orgelbrand, jakeśmy wspomnieli, zamierza z r. 1859 wydawnictwo ogromnego dzieła „Encyklopedyi,” do której obecnie przygotowują materiały. Pierwsze prace wezwanych do współudziału, zwrócone zostały do ułożenia jak najdokładniejszego alfabetu, który wydrukowany, rozesłany będzie tym wszystkim, którzy współpracownictwo przyrzekli. Zanim szczegółowe damy sprawozdanie o tém pożądanem a wielkiem przedsięwzięciu księgarskiem: teraz tylko donosimy, że zamiarem jest wydawcy, nie ogłaszać żadnej prenumeraty, ale pojedynczo zeszyty jak najtaniej puszczać w obieg. Miesięcznie ma ich trzy wychodzić po 7 arkuszy ścisłego druku. Całość dzieła ułożoną zostanie w ten sposób, że nie przeniesie od 15 do 18 najwyżej tomów. Wydawnictwo skończyć się ma w ciągu lat czterech od rozpoczęcia druku pierwszego tomu.

— Ukazała się świeżo na widok publiczny z drukarni J. Nowaczyńskiego w Lublinie zapowiedziana: „Krótka Grammatyka polska dla dzieci polskich”. Autor jej W. Dawid nauczyciel szkół publicznych w Lublinie, głównie miał na celu obszernie naszego języka zasady w jak najprostszym przedstawić zarysie, stosując się do celów praktycznych, jakimi są nadewszystko: ortografia i rozwój zasad ogólnych mowy, niezbędnych przed rozpoczęciem nauki języków obcych. Ztąd nie wdając się w subtelności nieodłączne od dotychczasowych wykładów téj nauki, którąby najpraktyczniejszą i najnarodowszą można nazwać loiką, kreśli tylko ogólny zarys budowy językowej i składowych jej części, umieszczając liczne przykłady i ćwiczenia do odrabiania dla uczniów. Wszędzie wykazuje prócz tego bogactwo i piękności mowy polskiej, które dając jej pierwszeństwo przed mowami zachodnimi, stawia ją na równi z każdym prawie z języków starożytnych, tak pod względem odmian grammatycznych, jako i harmonijnego układu jej części. Krótkie to i łatwym wykładem zalecające się dziełko, obejmując całość nauki: źródłosłownię, ortografię i składnię, usuwa jakiemuś każdemu przy wykładzie dzieciom grammatyki polskiej. Cena dziełka we wszystkich znaczniejszych znajdujących się księgarniach, na białym papierze złp. 3, na gorszym złp. 2 gr. 10. Skład główny w Warszawie w księgarni A. Nowoleckiego na Krakowskiem-Przedmieściu wprost kolumny Zygmunta, w Lublinie w księgarni Arcta.

*Kraków.* Komitet c. k. Towarzystwa naukowego krakowskiego ogłosił konkurs, z daru Wincentego Siemińskiego obywatela, zł. reń. 2500 (złp. 9000) na następne rozprawy: 1) Skreślić Florę północnej strony Tatrów. 2) Wykazać w sposób dla każdego dostępny zasady, prawa i przepisy o spadkach, testamentach, i darowiznach w Rosyi, Austrii, Prusach, królestwie Polskiem i byłém wolném mieście Krakowie. 3) Napisać historyczny wywód, naprzód przyczyn przeniesienia stolicy Polski z Krakowa do Warszawy, obok wiernego obrazu stosunków kraju, przeniesieniu temu towarzyszących, a następnie skutków, jakie z rzeczono-

go przeniesienia na dalsze losy kraju wpłynęły, tak ze względem na wewnętrzne przetwarzanie się narodowych instytucyj i obyczajów, jako też na zewnętrzne państwa stosunki. 4) Wykazać cechy właściwe sztukom pięknym w dawniej Polsce, w zakresie architektury, malarstwa i rzeźby. Premium dla każdej rozprawy oznacza się na złr. 500, czyli złp. 2000. Termin nadesłania rozpraw pod adresem: „c. k. Towarzystwa naukowego krakowskiego” zakreśla się po dzień ostatni października 1859 r.

— W drukarni Budwejsera wydał ks. Janota „Opis historyczny Bardiowa,” interesujący pod względem stosunków historycznych z Polską, a i tém, że wody te przez długi czas były ulubionem miejscem zjazdu obywatelstwa polskiego. W tejże drukarni wyszła książeczka p. n. „Obrazki z podróży do Tatrów i Pienin” napisane przez nieznaną autorkę. Najlepszy to jest dodatek przewodnik w te góry. Autorka ofiarowała to dziełko na korzyść kościoła ks. Dominikanów w Krakowie.

— Album Szczawnicy wyszło już trzy zeszyty z opisem; następny zeszyt, z kolei 4-ty niebawem ukaże się, i mieścić będzie widoki i opisy pionierskich skał.

— W litografii „Czasu” zaczęto odbijać przeznaczone na premium dla akcyonaryuszów Towarzystwa sztuk pięknych, wspólną litografią Kaisera, wykonaną z obrazu Leopolda Loessera: „Powrót towarzysza pancernego z wyprawy wiedeńskiej.” M. Fajens, który przyjął dyrekcją litografii Czasu, zarządził tak, że odbicie to nie ustąpi najlepszym odbiciom zagranicznym. Również utalentowany ten rysownik podczas bytności swój w Krakowie, wykonał na kamieniu dwa piękne portrety: jeden ks. biskupa Łętowskiego, a drugi księcia Leona Sapiehy.

— Korrespondent Dodatku Czasu z czerwca r. b. piszący z Rawenny, donosi, że nasz poeta Teofil Lenartowicz, nie jak zamierzał w Szczawnicy, ale bawi nad brzegami morza Śródziemnego w miasteczku Porto-d'Auzio, i przytacza list jaki pisał do niego z pobliskiej tego miasta wioski Nettuno, z d. 2 czerwca r. b., który w całości przytaczamy.

„Zwiedzałem tedy wielką cytadelę,  
Przekopy, mosty wiszące na hakach,  
Strzelnice, z których dziś wygląda ziele,  
A nie rycerze w stalowych kołpakach.  
Miasto dwuzębnej, zaostrożonej dzidy,  
Oset wychyla swą kolczastą bródkę,  
Na miejscu groźnej bronzowej egidy,  
Pająk swą cienką zawiesza robótkę.  
W najwyższym zamku starego bastyonie,  
Ku stronie morza wysuniętej, wschodniej,  
Krzykliwy kogut o złotym ogonie  
Dziwi się twarzom ciekawych przychodni.  
Niżej kul kilka czerwonych się rdzewi,  
I działo stoi na wieży papieżkie;

Lecz po co? tego i sam żołnierz nie wie  
 Drzemiący patrząc na morze niebieskie,  
 I na rybaków u cichych wybrzeży,  
 Z którymi czasem gadać lubi z wieży.

Na odgłos dzwonka z nad starego blanka  
 Nie rycerz groźnym głosem ciebie bada,  
 Ale niewiasta, fortecy mieszkanka,  
 Dość przenikliwym głosem odpowiada.  
 Nie jestto żadna księżniczka porwana,  
 Ale zwyczajna kobieta jak drugie,  
 Co czerpa wodę do wielkiego dzbana,  
 Pod który włosy swe podwija długie:  
 I na piękności, martwą jest, natury,  
 Które podziwiać w dzień może z góry.  
 Nic jej nie wzrusza błękitna zatoka,  
 Ani ten żagiel niknący pod górą,  
 Ani ta góra zachwyca jej oka,  
 Ani się nad tą nie unosi chmurą.

Nic a nic: siedzi wpatrzona w Bambina,  
 Co na pocięchę jej chodzić zaczyna,  
 I czy powstawa, czy na siłach mdleje,  
 Zawsze czerwony i zawsze się śmieje.

Święć się papieżka poczciwa forteco,  
 Z której nie kule, a powoje lecą:  
 A krzyk jedyny jaki bije w ścianę,  
 Wydaje kogut piejąc na odmianę.  
 Z pamięci mojej nie utracę ciebie,  
 Wielka, nadbrzeżna forteco w Nettuno,  
 Niebieska jakby umaczana w niebie,  
 Gdy się na góry srebrne chmury zsunę,  
 I świat się z niebem jak w konchę perłaną  
 Zwinie chmurkami białemi nasianą.

Z pobytu mego w tej spokojnej stronie,  
 Gdzie po dniach całych spoglądam na morze,  
 Kiedys o tobie poemat ułożę,  
 Niebieski, jak te przeniebieskie tonie,  
 Które przerynam w ślad rybackiej łodzi  
 Co z pierwszym wiatrem na morze wychodzi.

Pod mury twoje przez modrą głębinę,  
 Z maurytańską galerą zawinę,  
 Po jednej stronie Tankred jaki stanie,  
 Z drugiej Saladyn w jedwabiach i zlocie,  
 I będą rzucać strzał żelaznych krocie,  
 O wielkie na tém morzu panowanie.

Tymczasem niechaj w nieobrotnym bastyonie,  
 Niezakłóconą ogarnięty głośną,  
 Papieżki żołnierz dziecko nosi żonie,  
 Pod wieżą, gdzie się rzędem chusty suszą.

*Lwów.* Druk Monumentów zwolna postępuje, również jak druk IVgo tomu przedruku Słownika Lindego. Karol Szajnocha wyjechał do wód w Karpaty z rodziną swoją w celu poratowania zdrowia, gdzie zabawi całe lato.

— W drukarni Zakładu Ossolińskich wyszły: „Uwagi o chowie koni i o wścigach w Galicyi, przez Tyburcego Olzewskiego.”

*Bochnia.* Nakładem i drukiem Wawrzyńca Pisza wydał znany pisarz szląski dzieło: „Skazówka do uprawy wszelkich warzyw i ogrodowizn najpospolitszych: dla wiejskich gospodarzy. W 8ce str. 46.

*Wrocław.* Wyjątek z listu L. hr. Ł., d. 16 lipca 1858 r. „Byłem u profesora Röppla: zastałem go otoczonego polskimi książkami, jak: siódmym tomem Tomicyanów, Lites, i wszystkimi wydaniem Działyńskiego; Lechickimi początkami Szajnochy i w. i. Röppel przyśle dla Biblioteki Warszawskiej po niemiecku treść i zdanie o Lites i o Tomicyanach, co łatwo przełożycia na polskie. Chwali polską młodzież z pilności i nauk, a jako odznaczających się wymienił Plebańskiego w Lisce, i Nahringa w Trzemesznie. Znany badacz Romanowski, który pisał o Dobrzyńcach i jest bibliotekarzem u Tytusa hr. Działyńskiego w Kurniku, niebezpiecznie leży chory.”

*Poznań.* Żupański w czynnym wydawnictwie dzieł ważnych i użytecznych nie ustaje. Wydał drugi tom dzieła Krzysztofora o stosunkach włościańskich p. n.: „Poranki Karlsbadzkie”, autobiografią Lelewela i pierwszy tom tegoż pisarza: „Polska i jej rzeczy.” J. Łukaszewicza: „Historja erekcyi kościołów wielkopolskich” tom I jest pod prasą. Wkrótce ukończone w druku będą Kajetana Koźmiana „Pamiętniki” i ogromny poemat „Stefan Czarniecki”; Kazimierza Szulca: „O pierwotnych stosunkach i instytucjach naszego ludu”. Przekład z angielskiej broszury o Dymitrze Samozwańcu L. Jagielskiego, do czego hr. Działyński dołącza facsimile pieczęci i podpisu Dymitra, jako też list J. K. Chodkiewicza o nim. Wiadomo wam już o zamiarze Żupańskiego wydania w pysznych edycjach Grażyny, Konrada Wallenroda, Mickiewicza, Maryi Malczeskiego, Błogosławionej i Zachwyconej Lenartowicza. Ilustracje już do tych arcydzieł literatury naszej rozesłał rytownikom do wykonania. U Merzbacha wyszedł VII tom aktów Tomickiego i rozpocznie się bezzwłocznie druk VIII; zarazem tom II Zródłopisu do unii lubelskiej; Klonowskiego „Zbiór pieśni z melodyjami w kościele rzymsko-katolickim od najdawniejszych czasów używanych; L. Wilkońskiej powieść: „Pan Wojski”. Przyroda i przemysł coraz się rozwija i udoskonala. Znać wielką i staranną pracę, oraz sumienne usiłowanie, aby to pismo zastosować do krajowych potrzeb. Professor Przyborowski znany z rozprawy o Janie Kochanowskim, przełożonym został nad archiwum tutejszém tak zwaném grodzkiém. Archi-

wum to obejmuje nie tylko akta grodzkie, ale i ziemskie z czterech powiatów; sięgają one końca XIV wieku: są w polskim, łacińskim i niemieckim języku. Nowy archiwista nagromadził już po przejrzeniu ciekawe wiadomości o Opolu i Opolnikach. Kilkanaście wyrazów wynalazł, które zatraconemi zostały i nie ma ich w słowniku Lindego: jako np. bartodziej, zamiast pasiecznik, bartnik; wągrod, zamiast rynek, a raczej plac środkowy we wsi.

*Lipsk.* Nakładem księgarni W. Engelmana wyszła: „Bibliotheca aegyptiaca”, czyli dokładny spis bibliograficzny dzieł i pism o Egipcie traktujących, zebrany przez H. Jolowicza. Spotykamy tu także między innymi wymienione prace rodaków, jak, M. K. Radziwiłła, Jana Potockiego, Wojdego, Sękowskiego, Władysława Wężyka, Manna.

Nakładcy warszawscy nut, przenoszą się do naszego miasta z rękopismami do litografii. Gebehtner z partyturą Halki, G. Sennewald z wydaniem swemi, oraz Friedlein. Widać jak litografie warszawskie obdzierać muszą, kiedy nakładcom daleko taniej wypada tu litografować, opłacać transport, co wszystko mniej wyniesie nad ceny żądane w Warszawie. Na drzeworyty także wiele nie tylko u nas jest obstalunków: wszyscy którzy ich potrzebują, narzekają w ogóle na wygórowane ceny zakładu nowego warszawskiego J. Minheymera; a zniósłszy się z drzeworytniami niemieckimi, przekonali się, że mają niemal o połowę taniej. Nie rozumiemy powodu, takiego odstręczenia nakładców i księgarzy waszych miejscowych.

*Paryż.* Rodak nasz Wyganowski otrzymał polecenie odbudowania starożytnego zamku w Pierrefonds, zburzonego przez Richeliego. Napoleon I kupił go w r. 1813. Napoleon III postanowił myśl stryja doprowadzić do skutku, aby z gruzów go wznieść w pierwotnym kształcie, jako wzór średniowiecznych francuzkich zamków. Głębokie, tajemnicze lochy, oraz w części baszty, utrzymały się dotąd. Wyganowski już zamieszkał jedną komnatę zamkową, a Francuzi się dziwią nad jego odwagę, że poważał się osiedlić w opustoszałych gruzach od tylu wieków. — Znany muzyk Napoleon Orda wydał grammatykę polską dla Francuzów.

#### *Komitet c. k. Towarzystwa naukowego krakowskiego.*

Podzielając objawioną sobie przez oddział archeologii i sztuk pięknych myśl urządzenia wystawy starożytności w Krakowie, po uzyskaniu w tej mierze zezwolenia Wys. c. k. rządu krajowego, podaje niniejszemu do wiadomości odezwę członków, z grona rzeczzonego oddziału w powyższym celu wyznaczonych. — Kraków, d. 18 czerwca 1858 r.

Prezes Tow. (w zastępstwie) Dr. *Majer.*

Sekr. Tow. *Kuczyński.*

N. 167 Dz. Odz.

## ODEZWA

*Członków oddziału archeologicznego c. k. Towarzystwa naukowego krakowskiego do urządzenia wystawy przedmiotów starożytności wyznaczonych.*

Nauki rozpoznawania i badania starożytności krajowych nie dzielniej dźwignąć nie może, jak pogląd obszerny na wielką ilość odwiecznych zabytków, zestawionych zarazem w jednym miejscu. Z takiego onychże zespolenia może się dopiero zrodzić żywsze odgadnienie i całkowitsze pojęcie historycznej przeszłości. Inaczej też do umysłów ludzkich przemawia pojedyncza starożytna pamiątka, inaczej rządny skarbiec takowych zabytków.

Przekonany przeto o tém oddział archeologiczny c. k. Towarzystwa naukowego krakowskiego, powziął myśl urządzenia w Krakowie wystawy zabytków odległej starożytności.

Wystawa taka tworzy się jednakowoż tylko przez szlachetną gorliwość tych miłośników narodowej historii, którzy drogie pamiątki zagasyłych wieków w swém prywatnem posiadaniu nie tylko przechować umieli, ale częstokroć nawet na wyszukanie i zbieranie onychże nie szczędzili trudu i kosztu. Ta objawiona przez nich cześć relikwiom dawnego życia przodków, już tém samem zapowiada, iż nie dla dogodzenia własnemu tylko upodobaniu, lecz też dla pożytku kraju zabytki owe przechowują i pokazania ich drugim nie odmówią. Prawdziwi bowiem miłośnicy chcą się tego rodzaju skarbami szczycić i cieszyć wspólnie z drugimi.

Ma przeto oddział archeologiczny Tow. nauk. to przekonanie: że przy dobrej chęci ziomków, starożytne rzeczne zabytki posiadających, powszechna bogata onychże wystawa w Krakowie może przyjść do skutku. Zapytani w tym względzie znani właściciele, bądź znakomitych zbiorów starożytności, bądź celniejszych przedmiotów, już licznie oświadczyli swą gotowość użyczenia onychże na wystawę, z podjęciem nawet kosztu ich przesyłki. Mamy nadzieję, iż ogłoszenie niniejszej odezwy zjedna nam dalszy udział tak osób prywatnych, choćby tylko pojedyncze zabytki starożytności posiadających, jako też pomoc zacnego przełożonego kościołów, gmin miejskich, bractw i cechów. Pospieszamy tedy z objawieniem publicznem zamiarów oddziału archeologicznego, a niemniej wyjaśnień i prośb naszych, których skutek do urządzenia wspomnianej wystawy ostatecznie nas doprowadzić zdoła.

I. Życzeniem oddziału archeologicznego jest: by po strąceniu kosztów przedsięwzięcia, dochód zebrany ze skromnych datków publiczności zwiędzającej wystawę, był obróconym w części znaczniejszej na pomnożenie funduszu składkowo zbieranego na zbudowanie domu dla Towarzystwa naukowego, a w części mniejszej, na zakupienie do swego archeologicznego muzeum przedmiotów godnych, którychby ich właściciele Towarzystwu odstąpić zechcieli. Trwając zaś w swém dawniejszem usiłowaniu przywrócenia starej Piastów stolicy, ile możliwości tych wspinałych pomników przeszłości, które w pożarze roku 1850 spłonęły, a szczególniejszej tych, które ku służbie bożej dźwigali przodkowie; pragnie oddział, aby i fundusz odbudowania kościoła OO. Dominikanów krakowskich, częścią dochodu z wystawy; jakkolwiek powiększonym został.

II. Do przedmiotów mogących składać zamierzoną archeologiczną wystawę, liczymy: wszelkie odwieczne wykopaliny, przedmioty starożytnej odzieży, strojów, klejnotów, zbroi, wszelkiej broni, buław, beret, chorągwi, wszelkich sprzętów domowych, łączyń, narzędzi, instrumentów muzycznych lub naukowych, rzeźb i a konie całych lub w częściach; prócz tego zaś prastare rękopisma, dyplomy, dokumentalne tablice lub ich odciski, drzeworyty i ryciny, rysunki i plany, inkunabuły druków polskich aż do roku 1540, pieczęcie i ich odciski, autografy osób historycznych, stare pieniądze najradsze i medale, stare krajowe obrazy, nie tak pod względem kunsztu, jak raczej pod względem historycznego ich przedmiotu wartość mające, dawne gobeliny, rzeźby, posążki i majoliki, a to wszystko bez względu na materiał, z którego lub na którym przedmiot jest wyrobiony.

III. Koszta przesyłki i odsyłki przedmiotów, gdyby ich sam właściciel pokryć nie raczył, podjęte być mają przez oddział archeologiczny z funduszu wpływów wystawy.

IV. Wystawa publiczna w Krakowie trwać ma od 15go sierpnia aż do 15go listopada r. b.

V. Każdego posiadającego przedmiot stosowny do wystawy, a składającego się do wzięcia w niej udziału, prosimy o *jak najrychlejsze* łaskawe oznajmienie nam:

1) Jakie poszczególne przedmioty na wystawę przeznaczyć zechce.

2) W jakim czasie mógłby je z należytą troskliwością do Krakowa przesać.

3) Czy w takim razie byłoby wolą jego powierzyć tymczasowo owe przesłane przedmioty opiece znaniej sobie jakiej zaufanej osobie, dopóki pod opiekę i rękojmą całego oddziału archeologicznego (w szczególności niżej podpisanych członków) w lokal wystawy powzięte nie będą; czy też zechciałby je przesać na ręce Piotra hrabiego Moszyńskiego, który za ich całe i bezpieczne zachowanie zaręcza?

4) Jakie ma wiadomości o miejscu odkrycia onychże, ich pochodzeniu pierwotnym, i przechodzeniu z rąk do rąk, o przywiązanej do nich tradycji o dawności czasu, od którego się na teraźniejszym miejscu, a mianowicie w ręku teraźniejszego właściciela znajdują?

VI. Oznajmienie zawierające w sobie powyższe szczegóły, raczy właściciel przesać nam listownie na ręce i pod adresem Piotra hrabiego Moszyńskiego, w Krakowie. Gdyby zaś natomiast wolał przedmioty swe starożytności od razu swoim kosztem przesać, tedy jego gotowość z tém większą wdzięcznością przyjętą zostanie.

VII. O rzeczywistém otwarciu wystawy osobne obwieszczenia doniosą.

Kraków, d. 10 czerwca 1858 r.

Członkowie oddziału archeologicznego delegowani do urządzenia wystawy starożytności.

*A. Z. Helcel, Karol Kremer, Józef Lepkowski, Piotr hr. Moszyński, Fr. Paszkowski, Paweł Popiel, K. Rogawski.*

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.









	m.	c.	l.
Srednia wysokość barometru miesięczna	751.684	27	9.218
Najwyżej barometr dochodził d. 5 o g. 10 r.	758.35	28	0.173
Najniżej — — d. 25 o g. 10 r.	745.48	27	6.468
Srednia zmiana dzienna barometru	2.327		1.031
Największa zmiana dzienna barometru d. 18—19 o g. 10 w.	6.25		2.771
Srednia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 32 lat poprzedzających	3.046		1.351
Srednia temperatura czerwca wynosi: i ta jest wyższa o od stanu normalnego z 32 lat poprzedzających	748.638	27	7.867
	+ 18° 60	C.	+ 14° 88 R.
	0.97	„	0.78 „
Największe ciepło było d. 10 o g. 4 w.	+ 17.63	„	+ 14.10 „
Najmniejsze — d. 2 o g. 6 r.	29.3	„	23.44 „
Srednia zmiana dzienna temperatury	6.5	„	5.20 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 19—20 o g. 4 w.	2.490	„	1.992 „
Termometrograf wskazał:	12.3	„	9.84 „
Maximum: + 25° 5 R. d. 9 po poł.			
Minimum: + 2° 2 „ d. 2 rano.			

Srednia wilgotność powietrza miesięczna jest 57.2, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 9.07 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0,12 mniejsza od normalnej.

Dotąd jeszcze ani razu nie było tak suchego czerwca.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 51.3 mil. czyli 22.74 lin. par.; ilość ta: wody jest o 6.83 lin. par. mniejsza od tej jaka zwykle u nas w czerwcu spada.

Dni pogodnych było 16, napót pogodnych 8, pochmurnych 6.

Di deszczu 9 (d. 2, 10, 13, 14, 17, 20, 21, 22, 30).

— mgły 1 (d. 22).

— grzmotów 3 (d. 9, 10, 13).

— błyskawic bez grzmotów 1 (d. 13).

Wiatrów mocnych 6 (5 PnZ., 1 Z.),

Wiatr panujący Północno-Zachodni.

Czerwiec r. b. był ciepły, pogodny i nader suchy; pierwsze pięć dni były chłodne, następnie jedenaście gorące, ostatnie piętnaście mniej ciepłe, w ogóle miesiąc ten był o 0,78 stop. R. cieplejszy niż zwykle. Dzień 9 odznaczał się wielkim gorącem; w stanie normalnym srednia temperatura dnia tego wynosi 14,10 stop. R. w r. b. taż temperatura wynosiła 20 stopni R. o godz. 1 i 2 po południu termometr w cieniu pokazywał 25,5 stop. R., na słońcu 33 stop. R. Najcieplejsze dni były: d. 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 15, 16, 25; najchłodniejsze d. 1, 2, 3, 18, 20, 21, 22, 29. Dnia 5 w czasie przejścia księżycza przez równik niebieski, nastąpiła zmiana wiatru Północno-Zachodniego na Północno-Wschodni, poczem były dni gorące aż do powtórneho przejścia księżycza przez równik d. 18, gdzie znowu nastąpiła zmiana kierunku wiatru. Stan powietrza był nader suchy, w stanie normalnym wilgotność srednia tego miesiaca wynosi 69.7 na 100; w r. b. taż wilgotność wynosiła do 57.2 na 100, zatem mniejsza była o 12 setnych niż zwykle. Stan elektryczności atmosferycznej co do natężenia wynosił 19.7 stopni; największe natężenie siły elektrycznej dochodziło 46 stop. d. 8 o godz. 8 rano; najmniejsze 2 stop. d. 22 i 28. Grzmoty były rzadkie i krótko trwające. Pod względem stanu nieba miesiąc ten znacznie się różnił od lat innych, był bowiem znacznie pogodniejszy niż zwykle. W stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napót pogodnych i pochmurnych jest jak 5,5:14,3:10,2; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 16:8:6.

D. 4, 5, 6, 7, 8, 11 pokazywały się plamy na słońcu.

Stan wody na Wiśle z przyczyny suszy był niski.

Największa wysokość wody na Wiśle dochodziła stóp 4 cali 0 d. 4.

Najmniejsza — — — — — stóp 1 cali 8 d. 8 i 30.

W tym miesiaku podobnie jak w poprzednich, przesyłano telegrafem do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatorium Astronomicznem warszawskiem co dzień o godzinie 7 rano.

# STANOWISKO

## PRZYSZŁEGO BADACZA MOWY.

PRZEZ

*Felixa Jezierskiego.*

Przyjdzie chwila, kiedy ogólna jedność mowy ludzkiej uznaną zostanie jako fakt równie wielki i niewątpliwy, jak historyczna jedność rodu ludzkiego. Ta święta myśl jedności mowy, której odwrotną stronę stanowi *pokrewieństwo języków*, nie jest jedynie abstraktem narzuconym przez filozofią, ale najpiękniejszym na dowodach i wnioskach opartym pewnikiem, godnym zająć miejsce w świątyni prawd naukowych.

Zastraszająca różnorodność języków, tych uorganizowanych światów myślenia, w ich dźwiękach rozlicznych, w kształcie i ruchu pierwiastków, w dziwacznej niekiedy budowie zdań i zwrotów, zdoła na chwilę zachwiać umysł badacza; lecz jest stanowisko, z którego w tej bezdennéj massie dojrzeć można pewne stałe prądy i odróżnić pewne szeregi i wydatne barwy, familie, klasy i rodzaje: bo i język jest naturą, utworem i zjawiskiem, dziełem dokonaniem i dokonywającym się w inieniu doskonałości Bożej.

Nadmieniliśmy o *jedności i pokrewieństwie języków*: wypada nam na samym wstępie ostrzedz czytelnika, iż nie możemy brać obojga za jedno. *Jedność* języków stanowią ogólne, bezwarunkowo-jedne prawa myślenia, których

jak żaden człowiek pojedynczy, tak i naród przekroczyć nie może. O ile więc języki są objawionóm (w głosie) prawem myślenia, o tyle są podobne do siebie, równoważne. Od dzisiejszej mowy Słowian, Germanów, Indyan, aż do języków Kawi i zamaryłych dźwięków chaldejskich, wszędzie i zawsze spotkamy słowo, imię, zdanie i t. p.; bo wszędzie i zawsze narzucają się myślącemu duchowi pewne *przedmiotowe* warunki pojmowania. Lecz ułożenie tego słowa, lub imienia z kilku dźwięków, lecz układ wyrazów i zdań są, śniem powiedzieć, dziełem wypadku, to jest pochwyeniem pewnych nieprzewidzianych wrażeń człowieka, a przez człowieka, narodu (1).

W pierwszej drodze, to jest na stanowisku ogólnych zasad myślenia i pojmowania, przychodzimy do odkrycia jedności języków: wysledzone tu prawa i własności tworzyć będą wspaniały system mowy ludzkiej, jój filozofią, a w dziejach mowy, dzieje rozwijającej się potęgi ducha. Na drugiem stanowisku (pokrewieństwa), odkrywamy niejakiś familijne cechy wyłączne językom pewnych plemion; tak w dźwiękach zbliżonych do siebie, jak i w sposobie rozwijania tych dźwięków, upatrzymy niejakiś rysy zewnętrzne, to mocno zbliżone, to wyradzające się i znów odradzające. Otrzymujemy więc drugą naukę: mowoznawstwo (filologią) porównawcze, słowiańskie, germańskie, indo-europejskie, semityckie i t. d., które nam wskaże jakoby fizyologią i estetykę języków plemiennych.

Filozofia mowy i filologia porównawcza, jedność i pokrewieństwo, czyli zbadanie tego co w języku jest wiecznym, niezmiennym, ogólnie ludzkim; a z drugiej strony wysledzenie typu wspólnego oddzielnym rodzinom narodów, owoż dwie połowy nauki, która na chlubę naszemu wiekowi znalazła dostojnych przedstawicieli u Słowian w Dobrowskim, Sreniawie, Kamińskim, Cegielskim, u obcych w Humbolcie, Burnoufie, Boppie, Beckerze. Tylko jedność

(1) Niezliczone są zmiany jakim ulegają wyrazy, przechodząc po narzeczach. To przekładają się zgłoski lub pojedynczo dźwięki: pokrzywa (koprzywa, kropiwa); mrużyć (źmuryć); to zmienia się rodzaj, liczba i t. p. To przewraca się samo znaczenie: uroda (w polskim piękność, w ruskim *potwór* dziwoląg). Narzeczca reprezentuje poniekąd sam język swojemi peryodami. Tak *éma* znaczyła niegdys to, co dziś w innych narzeczach.

działania i wzajemny wpływ obydwóch mogą rokować świetny postęp nauce. Ogrom zasobów nagromadzonych przez porównanie organizmu kilku języków, lub kilku famillii języków, stanowi *ciało* nauki; lecz rzut oka wewnętrznego, ogólny przegląd sił kierujących organizmem, stanowić będzie jej *duszę*.

Czém są języki, uważane zbiorowo, jako wcielenie powszechnego ducha w symbole: wyrazy, zdania i zwroty, tém jest każdy z wielkich plemiennych języków (polski, niemiecki, łaciński, grecki, indyjski) to jest wcieleniem indywidualnego ducha w podobneż formy: odwieczne, niezbadane, przedmiotowe. Przeto każdy z *wielkich* języków może służyć za podnoże do rozwinięcia wysokich, fizjologicznych praw mowy ludzkiej, raczej do ich *odkrycia*, bo w każdą mowę, jak w każde plemię rzucone są a priori pewne rodowe pojęcia, które ma za szczyt żywotem swoim przerabiać i sprawdzać. To obranie *jednego* narzecza za podstawę działania nietylko jest możliwym, ale i koniecznym warunkiem dla badacza. Mocą rozważa i wprawném okiem filologa można wprawdzie dojść do zdobycia lub odgadnięcia wielu prawd ważnych; lecz poczuć te prawa z żywą wiarą i jakby na samym sobie, może tylko człowiek narodu, który tym językiem mówił i myślał od kolebki, który się wsłuchał w jego bicie serca i który w nim na chwilę pojęć swoich od jego symbolów oderwać nie zdoła. Gdyby sławny Bopp był Słowianinem, nie byłby źródła wyrazu *poseł* szukał w sanskryckim *putra*, i perskim *puser*, mając przed oczyma słowa: *po-słać*, *za-słać*. Uczucie swojskości w mowie jest tak głębokiem, że nietylko uwidamia badaczowi języka współczesne poruszenia myśli narodu pod zasłoną wyrazów ukryte, ale rozciąga się jeszcze dalej w warstwy przyszłej jego organizacji. Każdy nowo utworzony, lub pierwszy raz usłyszany wyraz przebudza w słuchaczu owe drzemiące w duszy przeświadczenie swojskości, tak samo, jak niezwykły ruch lub natężenie fizyczne przebudza w nas poczucie nowego, nieznanego dotąd nerwu w organizmie.

\*

\*

\*

Któż zdoła określić czém jest mowa narodu w żywotnej całości swego ciała i ducha. Kto odgadnie czém jest

ten odwieczny bezmiar myślenia, cudnie rodzący się z wewnątrz, ze swoją rzeźbą, malarstwem, muzyką i architekturą? Odpowiadamy—sama mowa. Ona jest najpiękniejszą poezją i najgłębszą filozofią, jak najpięrszym mędrceim i poetą jest plemię. Badacz mowy, z wiarą w *spekulacyjny instynkt* (1) pierwszych twórców języka nigdy nie spuści z oka tej prawdy, że mowa każda jest poruszającą się w głosie myślą i we wszelkich zmianach dźwięku uznaje przytomność myślącego ducha, a więc dążność twórczą i cel rozumny. Rozliczne kształty, ruch pierwiastku i formy wyrazu, zmiany spółgłosek i samogłosek, będą w oczach jego skazówką logicznej wegetacyi, nie zaś grą dowolności, jak się wydało niejednemu z filologów cudzoziemskich, którzy przy ocenieniu istoty naszej mowy zamiast wejrzeć w jej serce, patrzyli tylko na poruszenie ustami.

Atoli takie stanowisko poczyna się dopiero od punktu ogarniającego całość mowy. Całością zaś jest nie tylko grammatyczny obszar języka, przedstawiający się w jego słowniku i formach; lecz i historyczny jego rozwój, czyli życie organizmu w czasie. Albowiem mowa, jak każdy utwór wiedzącego się ducha, tylko w całkowitem istnieniu swoim może być prawdą.

Tu jednak napotykamy dwie ważne zawady:

1<sup>o</sup> Zupełny brak pomników piśmiennych, któreby nam ów marzony pierwowzór mowy naszej pokazać mogły. Obojętność lub złe chęci ludzi i losów, obcą narzuconą cywilizacją, zagrzebały pierwotny pokład w przepaści. Zaledwo kilkadziesiąt wyrazów, i to wątpliwiej oryginalności nie zaspokoją pierwszego nawet pragnienia badacza. I tu z głębokim żalem przychodzi zazdrościć tym szczęśliwym ludom, których mowa starożytna nieskazzenie przetrwała na karcie dziejopisa. Jednakże brakowi historycznemu przychodzi tu w pomoc spekulacyjna filologia, która w *dzisiejszym* nawet składzie języka ukaże ślady dawnej formacyi. Przy-

(1) Odwieczna walka dwóch odwrotnych poglądów na mowę ludzką w różnych czasach różne przybierała barwy; jej podstawą są dwie zasady przeciwne: albo mowa jest dziełem ślepego trafu, jej rozwinięte przypadkowym popędem do harmonii lub wyróżnienia pojęć: to są *anomaliści* obrońcy trafu; albo jest ona utworem najdoskonalszej logiczności kierującej pierwszemi ludami bez ich uznania: to są *analogiści*.

tém mowa ludu dostarczy nam także kilka rysów owéj zatraconéj fizyognomii, jużto w pierwiastkach wyrazu, już w saméj formie. Podania i pieśni ludowe, przysłowia z epoki przedhistorycznéj, nazwy gór, rzek i miejsc, stanowiących prawdziwą *nieruchomość*, wymównie przemówią tam, gdzie pisma milczą.

2<sup>o</sup> Piérwsza doba języka, ów jakby piérwszy dzień stworzenia nietylko w naszym, ale i w każdym języku należy do świętych tajemnic, które napróżno staralibyśmy się rozwikłać. To jednak niezaprzeczoným jest faktem, iż najdawniejszemi są języki *narzeczone*, czyli takie, które miały czas do wyrobienia małych, nieznaczących różnic na wielkie całokształty. Z téj zasady, za niemylny początek języka uważać można tę chwilę, kiedy poczyna odrywać się od swego źródła i rozwijać za granicą jedności plemiennéj. W wykazywaniu narzeczonej własności naszego języka względem innych, nie dosyć jest przedstawić cechy pojedyncze, jak np. uczynił Dobrowski, kładąc polskie *roz* obok ruskiego *raz* (rozum rozum); lecz rodowe, mniej liczne, ale tém samém ogarniające wszechwładnie rozległy poczet zjawisk. Najbardziej uderzającą w języku jest cecha, nie mająca naprzeciwko sobie odpowiedniéj (choćby sprzecznej) w innych narzeczach. Takimi są np. znane w naszéj mowie brzmienia *nosowe*, o których tyle już sprzecznych zdań wyrzeczono. Nie należy téj i podobnych własności wyłącznych narzeczu uważać za napływowe, jak uczynił jeden ze współczesnych autorów; lecz przed wyrzeczeniem zdania wy badać czyli to brzmienie nie jest czystoludowém, a tém samém czy nie należy ono raczéj do najdawniejszych pokładów mowy?

Z tą samą oględnością winno być rozstrzygane zapytanie o mniemanym wpływie obcych języków na własny. Tu przedewszystkiém przewodniczyć powinna ta niezaprzeczona prawda, że *pierwiastki* z obcego źródła pożyczanemi być nie mogą, a mniemany wpływ przybiera szczytny charakter *pokrewieństwa*. Tak np. pożyczanym jest wyraz: ordynek, bagatela, luft; ale wyrazy: syn i *Sohn*; stół i *Stuhl* są czystém pokrewieństwem; pożyczonym jest *klejnot*, *bisior*; ale wyrazy: miód i mada (sanskryckie), swaikra (gockie) i świekra; dwaj i twaj (gockie) są pokrewnemi. A jakże



głęboko zdumień się przychodzi na myśl pokrewieństwa już nietylko z celtyckimi i germańskimi językami, ale z przedwieczną mową Zend-awesty! gdy postawimy obok siebie wyrazy z dwóch naodleglejszych epok i plemion: staro-polskiego i polsko-słowiańskiego (1).

<i>Polskie.</i>	<i>Zendskie.</i>
oba . . . . .	uba
dwa . . . . .	dwa.
pięć . . . . .	pancza.
trzy . . . . .	tri.
wozi . . . . .	wazati:

czyliż tu nauka nie wzbudza wrażeń poetyckich?

Ze filologia porównawcza nietylko rzuca nam światło na ogólny widok mowy własnej, ale niekiedy wyjaśnia trudności w niej samej, i tłumaczy zjawiska nie dające się samą naturą téj mowy wytłumaczyć: to nie wątpliwe. Pod wpływem porównawczej grammatyki usuwa się wiele tak zwanych nieforemności, których grammatyka wyłączna usprawiedliwić nie może. Tak źródłosłów wyrazu *naparstek*, *pierścień* zaginął dla Polaka, a w pobratymczém narzeczu (staro-słowiańskiem) łatwo go poznać w wyrazie perst (palec). Zaginął pierwiastek *pro* zachowany tylko narosłowo w wyrazach: *pro-rok*, *pro-wadzić*; pozostał w słowiańskiem i czeskiem (jako przyimek samoistny). Również nie daje się wytłumaczyć na drodze grammatycznej nieforemność: *dam*, *dacie*, *dadzą*, *jem*, *jesz*, *jedzą*, bez promyka mowoznawstwa porównawczego (w sanskryckiem *dadami*); *wiem*, *wiemy*, *wiedzą*, (sanskrycki *wedmi*) (2).

(1) W żadnym może przedmiocie nie dopuszczono się tylu nadużyć i samowolności, jak w rodowodzie wyrazów. Uczucie języka jest tu jednym z najważniejszych przewodników. Wyrazy zaledwie zbliżone do siebie dźwiękami, są niekiedy w bliżkiem z sobą pokrewieństwie; przeciwnie, wyrazy zupełnie jednobrzmiące mogą nie mieć żadnego. Wyrazy *Żyd*, *Judeus* są jednym i tym samym wyrazem; przeciwnie, *studniowy* i *studzienny* są zupełnie różnorodne. Przychodzi nam tu na pamięć sławny przekład modlitwy: *Ojcze nasz*, na język helleński i słowiański, przedstawiony w porównaniu.

(2) Podobnież zaginęła dla wschodnich Słowian skazówka pochodzenia wyrazów: *ruszać*, *ruszenie*, bo zaginął wjraz *ruch*. Nie wytłumaczy nam grammatyka wyłączna przejścia od *brat* do *braterski* bez pomocy

Wyrazy obce, przechodząc do naszego języka, i ulegając zwykle zmianom, stosownym do jego natury, najwydatniej pokazują nam *organiczny popęd* naszej mowy i jej wyłączny sposób przerabiania dźwięków. Przeto porównanie tych nowo wprowadzonych do języka żywiołów, a w jego organizm wrosłych, z ich formą pierwotną, będzie dla badacza nader ważnem i naprowadzi na znaczące wnioski. Tak np. wyraz łaciński *pater* przetworzył się na *pacierz* i pokazuje dotykalnie wyłączny językowi sposób rozwijania dźwięków przez zmiękczenie. To, co o wyrazach, rozumić się ma i o *pierwiastkach* czyli o ich pokrewieństwie. Tak głosce *f* odpowiada w naszych pierwiastkach głoska *p*; w wyrazie np. *flamen* płomień, *flavus*, płowy. W wyrazach zaś narzuconych z obcego języka (nie posiadanych tytułem pokrewieństwa) nasz język wraz z innymi narzeczaniami objawiał długo wstręt przeciw temu dźwiękowi: *ofiara*, *ofiarować* (wyrazy niemiecko-łacińskie), *przenarodowione* zostały przez lud wtrąceniem *h*: *ochfiara*, *ochfiarować*. Niekiedy biorąc wyraz z obcego języka lub narzecza, lud nasz podciąga go pod szereg podobnych brzmieniem pierwiastków, aby zatrzeć ślad obcego pochodzenia: skandynawski *bezinan* przekształca on na *bezmian*, lub *przezmián*, chcąc go spokrewnić z swoim pierwiastkiem: *mieniać*.

\* \* \*

Poznawszy tym sposobem cząstkowe sprężyny ruchu i porządek rozwijania się języka, mowoznawca dojdzie z czasem do odkrycia głównego, powszechnego prądu; określi stanowisko swój mowy wśród plemienia, a następnie pokaże tajemnie drogi, łączące ją z powszechnym organizmem mowy ludzkiej. Czas dowiedzie, o ile ta, iż tak powiem transcendentalna gramatyka, lecz wyłożona w sposób przystępny, przyłoży się do sprostowania i rozszerzenia praktycznego nawet poglądu na język; ile w nim odkryje praw i sił nieznanych, ile wyświeci wad w *nowatorstwie*,

czeskiego *bratr*. Zatracone ogniwa między organizacją jedną a drugą w jednym języku lub narzeczu odszukać się dadzą w drugim. Prawdę tę podał już czcigodny Rakowiecki. Jakiżże doznałby pociechy ujrawszy później tę prawdę o solidarności narzeczy rozszerzoną nierównie dalej aż do zakresu indo-europejskiej jedności!

nie opartém na jego sercu i prawdziwej naturze; nakoniec, o ile dźwiękowy czyli wyrazowy postęp języka ustąpić musi zwolna postępowi *logicznemu*, to jest téj dośrodkowej sile, która w wykończonym już i zamkniętym organizmie na zewnątrz, rozwijać będzie znaczenie wyrazu (1).

Ważną i nader trudną część mowoznawstwa stanowią peryody języka. Przez peryod zaś rozumiemy nie zamknięte w kalendarzu lub kronice abstrakcyje czasu, które dla zaokrąglenia systematu i zespolenia życia z cyframi, przecinają nieraz myśl w najżywotniejszej błonie. Przez peryody rozumiemy wewnętrzną, głęboką pracę mowy w samej sobie, to jest w jednolitości ducha i materiału, znaczenia i dźwięku.

Najpięrszym faktem, jaki się nam w historyi rozwoju mowy następuje, jest właśnie brak widocznej granicy, ponieważ język nie przechodzi całkowicie z jednej fazy w drugą, lecz przelewa się pojedynczemi stronami rozwoju w ten lub inny kierunek. Nie napotkamy tu daty, pod którą język zrzekłby się stanowczo pewnej własności, lub wykreślił ostatecznie pewną formę. Kto nam wskaże np., od jakiej epoki wyszedł z użycia złożony czas przeszły, jaki dostrzegamy w najdawniejszym przekładzie Biblii: „poszła jest (2).” Kto uchwyci chwilę stałego zakończenia przypadków, i kres wahania się form, napotykanych u Reja lub Kochanowskiego, a panujących w wieku Jagiellońskim i poprzednich (w mężoch, w paniech, w prosze t. j. *prochu*). Również niepodobna wskazać od jakiej epoki liczba podwójna przestała wyrażać dwa przedmioty: *niewieście* (dwie), *dwagrosza*, *byliśwa*, *byliśta* i t. d. Nakoniec tru-

(1) Wśród pisarzy współczesnych, którzy nietylko w sprawie języka ale i w sprawie myślenia wielkie położyli zasługi, dwóch znamy, którzy odważyli się *tworzyć* wyrazy w najściślejszem znaczeniu, to jest nie z *danych* pierwiastków, w *danych* warunkach rozwijając je; lecz z istniejących głosek układając zupełnie nowe kombinacye. Zapewnić jednak możemy tych czcigodnych mężów, że naród ich utworu nie przyjmie, bo epoka pierwiastków już zamknięta i nie wróci.

(2) W czasach Piasto-Jagiellońskich dostrzegane cechy, z których część zachowała się i później, przedstawiamy tu tylko w przykładach: „w początce, językowie, w tym czasie, urodził jesm, w Bodze, prawa popisana, były chowany, wszystka królestwa: owszom, wszech wojewod”. Te przykłady, nie wąpimy, określą żywym komentarzem znamię epoki.

dno oznaczyć początek owego wielkiego peryodu (o którym niżej), od którego proste *przyleganie* do siebie dwóch pierwiastków, zastąpione zostało wewnętrzném ich przenikaniem się. Tu jednak do śledzenia historycznego następstwa form językowych musi być wpuszczonym promień spekulacji, czyli wypadnie w samej naturze myślenia wykryć podstawę do podziału historycznego, tak jednak, aby spekulacja posuwała się zawsze *równolegle* z rzeczywistością życia mowy.

Badając mowę jej pokładami, jużto w czasowém następstwie, jużto w jej składzie *obecnym*, lecz z uwagą na pewne cechy pokazujące *różnoczesne* formacje; słowem badając mowę dziejowo i logicznie, dochodzimy do następujących wniosków:

1) Że mowa w obecnym stanie jest zlewem dwóch *różnoczesnych* organizacyj, których ślady niewątpliwie wskazać można na wszystkich kształtach grammatycznych: (czasach, osobach, przypadkach i t. d).

2) Że cały ruch form i pierwiastków językowych odnieść się daje do dwóch przeciwległych żywiołów, które są zarazem dwoma żywiołami i myślenia i mowy, będącej jego obrazem: do samogłoski i spółgłoski; że spółgłoska w mowie przedstawia: *wrażenie*, pojęcie, uczucie.

3) Że najdawniejszą, niepojętą dla nas i jakoby mityczną dobę mowy stanowi język samogłoskowy, którego zabytkami są zachowane kilkanaście wyrazów.

Tu jednak wypada nadmienić, że język nie mógł tworzyć się tak, jak się zwykle tworzy w grammatyce przez przypadkowe *składanie* spółgłosek i samogłosek; lecz że język samogłoskowy (język wrażeń) z wolna cieniowanym był przez przydech, co stwierdza się innóstwem szczegółowych faktów. Wynika ztąd, iż w pierwotnym stanie język posiadać musiał nierównie większą liczbę samogłosek, na co mamy już to w historii jego, już w narzeczu ludowém dotykane dowody (1). Samogłoska więc jest pod-

(1) Żesmy stracili ślady pewnych zarzuconych samogłosek, winniśmy to przyjęciu pisma łacińskiego, które nie było wystarczającym na odciniowanie głosu słowiańskiego. Tak np. między *o* i *u* była pośrednia samogłoska, która przy ograniczonej liczbie liter jużto wyrażaną była

stawą i najgłębszym osadem w rozwoju mowy, zaś wszelkie warstwy napływowe, bądź działaniem czasu, bądź zetknięciem się z cudzoziemskimi żywiołami, odbywają się przez spółgłoskę. Jeżeli więc liczba samogłosek zmniejszyła się (co widoczne), tedy przeciwnie spółgłoski napływały i dobitnie odróżnić można w składzie mowy niejako stare i nowsze pokolenia dźwięków. Taką jest np. spółgłoska *f*, której w żadnym ze starych pierwiastków słowiańsko-polskich nie znajdziemy. Ci autorowie, którzy samogłoski nosowe (*a*, *e*), tak ważną, tak wydatną własność naszej mowy stanowiącą, uważają za żywioł wniesiony przez nachodzących obcych, zechcą uważać, iż te brzmienia są czysto ludowe, to jest że należą do tego słoju narodowości, który najmniej wpływowi obcym ulega. Powtóre, że skazówki istnienia tych brzmień u innych plemion słowiańskich, a nawet należących do odrębnej gałęzi narzeczonej, spostrzegać się dają w XI wieku (1).

4) Na czele wszystkich wniosków mieści się ten: że węgielnym kamieniem organizacyi naszego języka jest *zglaszka*. Nie znaczy to, iżby wyrazy tworzyć się miały przez materialne nagromadzenie zgłosek; przeciwnie rozumiemy przez to, iż:

cały żywot mowy naszej jest rozwinięciem sylaby, czyli *wyrazów jednozgłoskowych*, pierwotny skład języka stanowiących.

To nader proste określenie charakteryzuje najdobitniej naszą mowę już nie pomiędzy narzeczanymi pobratymczymi, ale w gronie wielkiej rodziny indo-europejskiej.

Rozwinał się tedy nasz język, jak nadmieniono, przez rozwinięcie zgłoski. W tym znaczeniu uważaną zgłoskę, nazywamy *pierwiastkiem*.

Nie rozumiemy więc przez pierwiastki pewnych martwych kombinacyj (*mr*, *dt*, *pr*), (2) odartych z życia, ma-

przez *o* już przez *u*, nie będąc żadną z nich. Wyraz np. utulić, w pomnikach z XV wieku pisano przez *o* (utolić). Ten sam fakt ubywania samogłosek dostrzegamy we wszystkich językach dawnych.

(1) W ewangelii Ostromira odnoszącej się do 1050 roku.

(2) Dobrowski i Linde trzymali się abstrakcyjnych pierwiastków. Pierwszy w dziełku swoim: Etymologikon i w Grammatyce słowiańskiej, drugi w przedmowie do słownika. Dobrowski więcej wnikał w głosow,

jących niby stanowić język *in potentia*. (Jak np. pierwiastek *b* ma być źródłem wyrazów bo: *by*). Pierwiastkami nazywać będziemy najprostsze, jednozgłoskowe wyrazy, mające być rzeczywiste, już to samoistny, już dający się wysledzić ze składu.

Pierwiastki (wyrazy jednozgłoskowe) czyli zgłoski tworzą prawdziwy początek i wstępną dobę właściwego organizowania się mowy, a to w ten sposób:

zgłoska powstaje z jednej lub z dwóch, rzadko więcej spółgłosek opartych na samogłosce; każda zaś z tych składowych części może się rozwinąć. Tak np. mór (pomór) przez rozwinięcie samogłoski: mArtwy; przez rozwinięcie ostatniej spółgłoski: moRzyć. Podobnie *trę* może rozwijać się od początku (sCierać) albo od końca (iRzéc). Stosownie więc do miejsca z którego się wyraz otwiera i rozwija, nazwiemy organizacje: początkową, środkową (1), końcową.

Owoż cała tajemnica wielkiego procesu, który badacz w kilkunastu stronicach odbywa, a który plemię lub naród rozkłada na wieki, dlatego aby go przeprowadzić przez zbiorowe uznanie milionów.

Taką kolejną tworzą się wyrazy w języku i narzeczu. Mają one z jednej strony pozór dowolnego utworu ludzkiego (*podmiotowego*), bo wychodzą z pod rąk artysty, mędrca, pisarza; ale z drugiej strony są one utworem koniecznym, przedmiotowym, bo ulegają odwiecznym, wyłącznie dla pewnego plemienia przeznaczonym prawom rozwoju. Na tej zasadzie opiera się to mocne przekonanie pisarza, lub mówcy, że nowy wyraz z ust jego wychodzący, powszechnie przyjęty i rozumiany będzie, jeżeli go utwrzy w *duchu* swego języka, to jest przez rozwinięcie jednej z części składających pierwiastek. Winniśmy tu nadmienić, iż wspomniane wyżej rozwinięcie głosek pier-

Linde w pojęciową stronę; Dobrowski przed Boppem wykazał wpływ zaimka na końcowe kształtowanie się imienia, Linde przed Hartungiem dostrzegł następstwo w rozwinięciu się znaczenia.

(1) Organizacja środkowa już dziś w wielkiej części zatraczona zdaje się naprowadzać na domysł o zaginięciu jednej jakby przedhistorycznej epoki, pierwiastków: dwubrzmiennych (spółgłoski z samogłoską). Pierwiastki trójbrzmienne i t. d. należą zapewne do drugiej epoki.

wiastrku jest przez to samo rozwinięciem różnych stron, ukrytego, w tym pierwiastku, pojęcia. Po upadku mowy samogłoskowej (mowy wrażeń), pierwiastki, czyli zgłoski, wyobrażające odtąd świat pojęć, nie dają się rozebrać na cząstki samoistnego znaczenia, bo zgłoska (wyraz jednozgłoskowy) jest już niepodzielną całością. Ztąd wytłumaczenie *znaczenia oddzielnych głosek*, tak żywo upragnione przez wielu badaczy, jest koniecznie niepodobnym. Mają głoski znaczenie, ale fizyologiczne, to jest są niejako błonami znaczenia zawartego w pierwiastku, nie mogą zaś mieć tego znaczenia co same pierwiastki, jak część nie może mieć znaczenia tego, co całość.

Niepodzielność pierwiastku opiera się właśnie na tém, iż on jest prawdziwym organizmem, to jest takim jednostliwym życiem, które tylko w harmonijnym składzie swoim jest całością. W pierwiastku, czyli jednozgłoskowym wyrazie, spółgłoska opiera się na *samogłosce*, to jest na pierwotnym *wrażeniu* osnuwają się coraz dalsze cieniowania.

Zadaniem badacza będzie wskazać zabytki języka zgłoskowego, już to w stanie samoistnym zachowane, już wcielone w inne zgłoski.

W stanie samoistnym np. *je* (późniejsze *jest*), u ludu; zaimek *i* (on) napotykanie w Biblii, *by* jest słowem pierwiastkowym, od którego: *bym*, *byś*; zaś forma: *będę* jest późniejszą (przyczem porównaj ludowe: *ubyje*) i t. p.

Pierwiastki wcielone w inne składy np. *pak* (*ws-pak*, *o-pak*); *pa* (*pa-górek*, *pa-dół*); *dzie* (*ow-dzie*, *tu-dzie-ż*) i t. p.

Zgłoskowy peryod języka jest prawdziwie peryodem *narzeczowym*. Co różni najwydatniej język nasz od innych pobratymczych? — sposób opierania spółgłoski na samogłosce, czyli *sposób rozwijania zgłoski*.

Nadzwyczajna giętkość naszej spółgłoski, raczej obrana przez plemię własność *otwierania pierwiastku w spółgłosce* najmocniej charakteryzuje nasz język wśród narzeczy. Ta prawda wymaga wyłuszczenia obszerniejszego nad zakres pisma.

Rozwinięcie zgłoski, tworzące tak rozległą i ważną pracę rozwoju mowy, zastąpionem zostało (w późniejszym peryodzie) i ograniczonem przez nową, bez wątpienia później-

szą funkcją: przez *przyleganie* pierwiastków, to jest przez rozwój *wyrazowy*. Powtarzamy jednak dobitnie, iż mowa nie powstała tak, jak powstaje w szkole, gdzie głoski składają zgłoskę, zgłoski składają wyraz; to jest że wyraz się utworzył !-tylko przez głosowe, zewnętrzne nagromadzenie sylab. Wyraz złożony z dwóch lub więcej zgłosek jest jeszcze rozwinięciem zgłoski pierwotnej, jest *wewnętrznym ruchem znaczenia*. Czém się ukazuje w pierwiastku samogłoska (wrażenie) a obok niej *cieniowania* (spółgłoski), tém w wyrazie zgłoska pierwotna, a obok niej cieniujące ją zgłoski: Bóg, boży, nabożny, nabożeństwo.

Zgłoska pierwotna (pierwotne znaczenie) nagłona dążeniem wewnętrznym do rozwijania się (do rozwijania się znaczenia) *przyciąga* odpowiednie temu dążeniu zgłoski, któreby dopełniły nie wystarczającą już głoskową organizacją. Zgłoska przyciągnięta przez pierwiastek (przez zgłoskę pierwotną), nadaje wyrazowi taki odcień, jaki pierwiastkowi nadawało rozwinięcie jednej ze składowych głosek. Cieniuje ona i powleka pewną barwą pierwotne wrażenie.

(Zgłoski przyciągane przez pierwiastek zwać będziemy dla skrócenia przybytami, np. dzień, dzien-ny)

Nauczającą skazówką utworzenia się wyrazów z głębi języka jednozgłoskowego nie przez zewnętrzny narost, lecz przez wewnętrzne przyciąganie, są przyimki i spójniki, te zagadkowe numizmata mowy pierwotnej, które i dziś zdają się być organiczną częścią innych wyrazów.

Na przybyty (zgłoski przyciągane) przeznaczone są w języku pewne uprzywilejowane zgłoski, niegdyś samostnego znaczenia, które, jednak z czasem przetworzyły się w oderwane cechy (zakończenia wyrazów): bi-ć, bi-ty, bi-tny. Ten ostatni względ naprowadza nas na domysł, że język wyrazowy jest rzeczywiście późniejszym. Albowiem zgłoski przybytowe z czasem dopiero przy dalszym postępie psychologicznym narodu mogły przejść w abstrakta; jak w ogóle przypuszczać wypada, iż zaimki, spójniki, przyimki, liczebniki, zgoła wszelkie znaki pojęć czysto-formalnych (oderwanych) były pierwiastkowo prostymi nazwami przedmiotów.



Oddawna rzuconém było przez filologów zapytanie o naturze zakończeń; czyli mamy je uważać za martwe skazówki zmian w pojęciu, czy też za wyrazy z własném znaczeniem. W naszym języku ta nierozwikłana dotąd wątpliwość, rozstrzyga się tém ogólném określeniem:

Ze dwiema sprężynami ruchu form grammatycznych są tu:

- 1) Rozwinięcie zgłoski.
- 2) Rozwinięte przybytowe.

Mowozdawca winien wysledzić w całym składzie zmian wyrazów: w liczbach, przypadkach, osobach i t. p. ślady dwóch organizacyj: głoskowej i przybytovej, i wykazać jakimi drogami te dwa różnorodne kierunki połączyły się w jeden.

\* \* \*

Gdyby wyrazy, czyli organizacya przybytowa, nie rozwinięła się wewnątrznie jak powiedzieliśmy z języka jednozgłoskowego, wówczas składanie zgłosek byłoby nieograniczoném, jak to rzeczywiście ma mieć miejsce w językach nieorganicznych. Granicą złożenia wyrazu, czyli rozwinięcia pierwiastku przez przyciąganie jest tak zwany ilocziasz czyli akcent: szczęście, szczęśliwy, uszczęśliwiony. Akcent pokazuje wpływ pierwiastku na cały wyraz przez utrzymanie ciągu aż do ostatniej zgłoski. Mniemana jednostajność akcentu polskiego, że pada zawsze na zgłoskę przedostatnią, jest przeciwnie piękną różnaitością, ponieważ przenosząc go coraz dalej ku końcowi wyrazu, w miarę napływu przybytów, uwydatnia *stopień* rozwinięcia się wyrazu od pierwiastku. Winnych narzeczach akcent pozostający na pierwiastku (mijślil, mijślaszczuj, mijślaszczaja) jest akcentem *naturalnym*, zewnątrznie różnaitym, logicznie jednostajnym. Wmowie ludu, gdzie granice organizacyi wyrazów w pewnych punktach nie stanęły jeszcze, znajdujemy i sam ilocziasz niepewny (często na przyimku w słowach). Toż samo tyczy się czasów przeszłych: czytaliśmy, czytaliście, tu bowiem jest zbieg dwóch pierwiastków: czytać i słowa *jestem* (raczej starego: jeśm, jeś); wahanie się więc ilocziaszu dowodzi, że tu organizacya nie jest jeszcze ukończona, że to nie jest jeszcze *jedyn* cały wyraz. Ze wszystkich głosowych własności języka najidealniejszą jest ilocziasz, przez nie-

go czuć się daje na martwym materiale głosu silne naciśnienie ducha (1).

W przybytowym dopiero peryodzie mogła zawiązać się pierwsza myśl rozdzielenia wyrazów podług wielkich cech logicznych na słowa i imiona, to jest na wyrażenie przedmiotów i wrażeń. Zasluguje na uwagę ten szczególny fakt, że prawie wszystkie zachowane dotąd z peryodu jednozgłoskowego wyrazy, są zarówno pierwiastkami imieniowymi jak słownymi: być, byt; dar, dać; wieje, (po)wiew; wrę, war; dmę, dym.

W języku zgłoskowym te późne formuły dojrzałego myślenia istnieć nie mogły.

Wyrazy, które zatrzymały się na organizacyi pierwotnej (na rozwinięciu zgłoski) tworzą najdawniejsze pokłady w dzisiejszej mowie i stały się z czasem wyłącznie skazówkami ogólnych stosunków między przedmiotem i wrażeniem (imieniem i słowem).

Z zapytaniem tém łączy się zapytanie o ogólnym do siebie stosunku tak zwanych części mowy. Nie ulega wątpliwości, że logiczne sprzeciwienie, jakie dziś między słowem a imieniem dostrzegamy, zawiązało się stopniowo na podstawie rozwinięcia zgłoskowego, które później popartém zostało rozwinięciem przybytowém. Oprócz bowiem nadmienionego wyżej (zgłoskowego) pokrewieństwa imienia i słowa, dostrzegamy jeszcze pewne uderzające podobieństwo w ich formach. Tak np. zakończenie liczby

(1) Bierzemy tu akcent i iloczasa za jedno, to jest za podniesienie tonu na pewnej zgłosce. O właściwym iloczasiu, czyli o długości i krótkości samogłosek w naszym języku mowy być nie może, ponieważ główną sprężyną rozwoju jest tu spółgłoska. Urojone prawa do prozodyi (iloczasu) samogłoskowej popierane przez pewnych filologów, powstały z tego niegdys zakorzenionego przesądu, że nasza mowa i nasze mowoznawstwo bez opieki łacińskiego istnieć nie może. Przemoc, jakiej dopuścili się pierwsi tłumacze na języku starosłowiańskim, wciskając weń gwałtownie artykuł, składnią grecką i składanie wyrazów, powtórzonym został u nas przez długoletnie samowładztwo łaciny, dla którego ostatnią daniną była: grammatyka porównawcza nieśmiertelnego Kopczyńskiego. Tak np. pisownia jaką radzi utwórca rozprawy: *Cognitio linguae polonorum* (z wieku XV) odróżniający breve *a* i longum *a*, jest również bezzasadną i naśladowniczą teorią, jak greckie znaki przydechu (*spiritus asper et lenis*) na słowiańskich samogłoskach dostrzegane.

podwójnej jest zupełnie to samo w imionach jak w słowach jesteśw-a, dwa grosza; w słowiańskim nawet rodzaj żeński przedstawia toż samo podobieństwo: *bijewie* (uny dwie bijemy), zgodnie z naszą podwójną liczbą w imionach żeńskich: *dwie kobiecie*; podobnież w liczbie mnogiej zakończenie *y* jest wspólne: *będziemy* (rozumy). Nie jestto podobieństwo przypadkowe, pokazuje ono wspólną obu organizacją przybytową. Później jednak pewne przybyty (jednozgóskowe wyrazy), *podniesione z czasem* do znaczenia abstrakcyjnego, zostały wyłączną własnością słowa, inne zaś imienia.

Nie ulega wątpliwości, że wszystkie inne części mowy, jakoto: przymiotniki, imiesłowy, przysłowki, przyimki, spójniki, jak pojęciowo są pewnemi fazami imienia lub słowa, czyli są jednym lub drugim w pewnym stopniu, tak i ze strony zewnętrznej uważane, są téjże samej z niemi organizacyi bądź zgłoskowej, bądź przybytowej.

Przymiotnik np. w najdawniejszym peryodzie oddzielmy od imienia przybytem, lub i bez przybytu, niczem się prawie od niego nie różni w zakończeniach. Z zabytków starożytności piśmiennych i ustnych układamy dla uanacznienia przypadkowanie dawnego przymiotnika zgodnie z rzeczownikiem.

#### Przypadek.

1. Łaskaw, godzien, rad, miłościw.
2. Zdawna, spełna, pół-tora (wtóra), Dawidowa.
3. Po prostu, po dużu, ku trzecie (ku trzeciej) części.
4. Zbawiona (człowieka) twardu.
6. Dotąd jest podobny z imieniem.
7. Wkrótce, wysoce, na przedce, po (siostrze) rodzenie (1).

(1) Co większa znajdujemy nawet w rodzaju nijakim liczbę mnogą przymiotnika na *a* zupełnie zgodnie z rzeczownikiem; tak w Biblii Zofii czytamy: *wszystka królestwa tal*; w prawach Kazimierza: prawa niżej popisana, ustanowiona. Ze to nie naśladowanie łaciny, śmiało zapewnić możemy, ponieważ nawet imiona łacińskie: *akta*, *dokumenta* pierwiastkowo kończyły się u nas na *y* (akty). Najrzadszym zabytkiem będzie liczba podwójna przymiotnika, lecz i tę znajdujemy w książce nabożnej Jadwigi: *stawnyma oczyma*.

Imiesłowy obok końcowego rozwinięcia wspólnego z imieniem mają przybył słowny:

Wido-my, rodzi-my, rucho-my, słycho-my, zgni-ły, umar-ły.

Liczebniki pierwiastkowo konkretne nazwy przedmiotów, później dopiero przetworzyły się w oderwane pojęcie cyfry. Wyraz np. *jeden* zdaje się utworzony z zaimku osobowego *i*, z przyrostkiem znanyin *de* lub *dy*.

W miarę jak przymiotnik odcieniował się w znaczeniu od rzeczownika, jego też organizacja przybrała nowy kierunek odmienny od rzeczownego. W dzisiejszym, dojrzałym znaczeniu swój przymiotnik wyraża *formę* przedmiotów, kiedy przeciwnie rzeczownik jest treścią samą. To ważne odznaczenie odzywać się będzie i sprawdzać we wszystkich własnościach przymiotnika, nadewszystko zaś w téj, że im idealniejszym będzie przymiotnik (w znaczeniu swoim), im więcej wyzwolonym z treści, tém jego organizacja końcowa będzie doskonalszą. I odwrotnie, przymiotniki materialne, to jest wprost rzeczowe są najbliższymi rzeczowników w końcowym rozwoju. Porównajmy rzeczownik z przymiotnikiem jednego pochodzenia: złoto, złoty. Mały tu surowe pojęcie przedmiotu i najpierwsze jeszcze *materialne* pojęcie formy; jeżeli jednak zechcemy odsunąć to pojęcie dalej od materiału, idealizujemy wyraz przez rozwinięcie przybytowe: *złocisty* już nie będzie plastycznym orzeczeniem treści, lecz tylko allegoryą, odblaskiem, *podobieństwem* treści. Podobna różnica w przymiotnikach: skalny i skalisty; śniegowy (ze śniegu, z samej treści) i śnieżny (idealny, podobny do śniegu); ludowy, ludny.

Za najdawniejsze więc przymiotniki uważać wypada te, które noszą zewnętrzne cechy *pierwszego* oddzielenia się od rzeczownika. A naprzód:

1. Zachowane w składzie inion formacye na *o*, światowid, listo-pad (listowy): tu pierwsza część wyrazu tworzy pierwszy zarys przymiotnika.

2. Przymiotniki bezpośrednio wystawione z rzeczowników: dwu-oki, sucho-ręki: tu odwrotnie, koniec wyrazu pokazuje zaród przymiotnika.

Do późniejszych więc należą przymiotniki z organizacją zaimkową (*dobr-y, dobr-a, dobr-e*). Wyrażają one, jak nadmienilem, formę przedmiotów. Najwyższém wyrażeniem takiej własności przymiotnika jest jego *stopniowanie*; pojęcie bowiem stopnia tyczyć się może tylko owych *idealnych* pojęć. Przymiotniki materialne: złoty, wodny i t. d. nie stopniują się; przeciwnie zaś złocisty, wodnisty, jako mniej treściowe, jako czyste formy stojące po stronie myśli, nie przedmiotu, stopniują się.

Atoli nadmienimy, iż zmiany przymiotnika stopniowe (*pilny, pilniejszy i t. d.*), zaczerpane w ogólnem źródle organizacyi przybytovej, a zatem pierwiastkowo malujące przypadkowe zmiany pojęcia, z *czasem* dopiero przeszły na stałą, dziś wyłączną cechę przymiotników. Dowodzą tego rozrzucone dotąd zabytki tej formacyi: „*tutej-szy, jutrzejszy (nakształt stopnia wyższego), wczorajszy, inszy (od starego: iny), terażniejszy (od starego: terazni)*”, które nie wspólnego z dzisiejszém pojęciem stopnia nie mają.

Co do stopnia najwyższego w przymiotnikach (*najtwardszy, najuczciwszy*), powstał on, jak widzimy, także w drodze prostej organizacyi zgłoskowej: przez przyimek *na*. Pierwotna więc forma jego była: *nałepszy* (jak dotąd u ludu) *nauczciwszy, naświętszy*. Co do zmiany w zgłosce (*naj-*) dostrzegamy ją, jako stałą własność naszego języka (*naprzód, najprzód, dojrzyć, dojrzeć i t. d.*), o której w swójem miejscu wspomnieliśmy.

### Zaimek.

Do najdawniejszych i najważniejszych formacyj języka należy bez wątpienia zaimek. Że jest najdawniejszy wynika między innymi i ztąd, że wprost przypomina nam *jednozgłoskową* dobę języka. *Ja, ty, on, my, wy, i, się, ten, i t. d.* Przedewszystkiém zaś dawności jego dowodzi to, że miał czas od najsurowszej formacyi zgłoskowej, wyrobić się aż do dzisiejszej natury swojej: gdzie jest najogólniejszą *abstrakcją* imienia. Wyraża on bowiem wyzwoloną od wszelkiej treści formę bytu (imienia) i niejako idealną skazówkę wszech przedmiotów. Nie dotykamy tu ważnej kwestyi wpływu zaimka na organizacyą słowa i imienia, bo ta roz-

strzygnięta, na wszystkich językach indo-europejskich sprawdzona, naraziłaby nas na zbyt częste powtarzanie cudzych teoryj. Nadmieniamy jednak, że uznanie tego wpływu określa małą tylko część wielkiej organizacyi słowno-imiennej w naszym języku. Powtarzamy więc nasze zdanie, iż układ form naszych tłumaczy się już nie wpływem zainka zbyt częściowym, jak raczej powszechnym ruchem zgłosek końcowych.

Na czele zaś wszystkich kładziemy tę prawdę, że dzisiejszy zaimk jest zlewem wielu różnoczesnych formacyj, które mowoznawcy w żywotnym następstwie przeprowadzić wypada.

Zaimk *ja*, jako zabytek z epoki jednozgłoskowej, jest abstraktem utworzonym z wyrazu *jaz* (słowiańskie *az*), którego ślad pozostał w złożonym: *przy-ja-ciel*, *przy-ja-źń*.

Zaimk *ty*, jest najdawniejszą formą zainka *ten*, (dawniej *ty*), co dostrzegamy w pomnikach piśmiennych: *ty* księgi, tudzież w wyrazie *ty-dzień*. Późniejsze *ten* utworzyło się w ten sam sposób, jak *któren*, od *który*.

*Kto*, jest złożone ze wskazującego *to*, i domniemanego *ko*, z którego wyszedł: *ko-żdy* (w wieku XVI), i przyrostek *koli* (późniejsze *kolwiek*), *cokoli* uczyni (w XIV wieku). Żaden może wyraz nie daje nam tak nauczającego poglądu na tajniki organizacyi wyrazów, jak ten zaimk:

1) Pokazuje on nam sposób pierwotnego tworzenia się przez proste przyleganie pierwiastku: *ko-go*, *ko-mu*, niezależnie od późniejszej formacyi przymiotnej.

2) Pokazuje nam tenże sam fakt z innej strony: albowiem porównując odlinianę polskiego (*ko-żdy*, *każ-dego*), ze słowiańską (*kogo-żdy*, *komu-żdy*), przychodzimy do wniosku, że dzisiejsze formy przypadków były rzeczywiście przyleganiem pewnych ruchomych pierwiastków (wyraźnie jednozgłoskowych) do głównego.

3) Że dzisiejsza deklinacya tego zainka (*komu kogo*) zlała się z drugą (*kim*, od *zarzuconego k*).

Te same względy dają się zastosować do zaimków: *go*, *mu* (z których każdy ma być uważanym za odrębny wyraz). do zaimków *jego*, *jemu*, *im* (od *zarzuconego i* którego szczątki dostrzegamy długo w piśmiennych pomnikach, a nadewszystko w zaimkach ruchomych *iże*).

Dowiedliśmy już gdzieindziej, że imię i słowo są wyrażeniem naturalnego podziału mowy na części malujące przedmiot i wrażenie. Już w języku zgłoskowym istnieć musiały skazówki tego zarysowego odróżnienia *ja* od *nieja*, i w każdym pierwiastku (zgłosce) na surowym dźwięku (spółgłosce), duch wycisnął swoje wrażenie na samogłosce. Kiedy mowa pierwotna przerzuciła się w układ wyrazowy, owe zarysowe różnice wyrobiły się stopniowo na dwie panujące zasady: Imię i Słowo.

Imię tedy i Słowo przewodzą nad całym rozwojem języka tak pojęciowo jak i zewnętrznie. Jak z jednej strony imię wyraża ukształtowane pojęcie bytu, tak z drugiej słowo wyraża wrażenie już doprowadzone do dojrzałej samowiedzy.

Do znanych uwag dołączymy tę, iż jak wszelkie części mowy wyszły z łona mowy jednozgłoskowej, mają się na czele imię i słowo, tak właściwie wszystkie mieszczą się całkowicie w *ich* pojęciu, czyli prościej: „wszystko w języku jest imieniem lub słowem”.

Nie przypuszczamy więc, aby znane dzisiaj ośm części mowy stanowiły rzeczywiście tyleż panujących sił; nie przypuszczamy np. aby przyimek wyrobił się obok imienia, spójnik obok słowa lub się z niego wydzielił; przeciwnie:

„Wśród rozwijania się języka w dwóch odwrotnych kierunkach (imieniowém i słowném) wiele wyrazów *zatrzymało* się na *piérszej* organizacyi, część zaś tylko doszła do wykończonego rozwoju jaki przedstawia imię i słowo.

Żaden z języków słowiańskich wyjąwszy czeski, nie może się pochlubić tak wierném dochowaniem starożytnéj formacyi słownéj jak nasz. Mamy tu na myśli owę indosłowiańską formacyą *M*, która w małej liczbie słów greckich i rzymskich zachowana dobitnie ukazuje się w formach słów na *am* i *em*. Ze te formy są zlągodzonym, stopniowo zatartym pierwiastkiem *jem* (jestem) powtarzać byłoby zbyteczném. Wypada nam tylko wskazać główne ślady, jakie ten pierwiastek w kształceniu się słowa zostawił. Do najdawniejszych bez wątpienia należy mały już poczet słów na *m*: kocham, jestem (złożone), śniem, wiem, umiem, jem (jeść), bym. Jest donniemanie, iż wielka część słów, szczególniejszej formy 1 i 2 miały

taką formę końcową. Jak ten pierwotny kształt stopniowo łagodził się, jużto: 1. przez wyrobienie; już: 2. przez częściowe ustąpienie pierwiastku *jem*, dostrzegamy to:

1. Na dzisiejszém wahanii się końcówki: umiem, umię.

2. Na współrzędnych formach: zwę, (na) zywan; wstydzę, wstydam.

Reszta słów (tak zwanęj trzeciej formy: czynię i czwartęj: słyszę) wyrobiła się bez wątpienia po ustąpieniu pierwiastku; należą więc one do epoki późniejszej, zwłaszcza, że służyć mogły do odcieniowania jednogo pojęcia: np. patrzę, patrzam (w biblii Ar.) opatruję, opatrywam.

Obecność pierwiastku *jem* dostrzegamy:

a) W słowach na je: daję, staję; z tych gdzieniegdzie ustąpił pierwiastek (*dam*). Pięknym zabytkiem staręj organizacyi słowa są dostrzegane ślady pierwiastku *jem* w słowach dziś skróconych. Tak znajdujemy w książce królowęj Zofii: „Gospodzie moja miła, ktobie się uciekaję”; w Psalterzu znalezionym przez Świdzińskiego, czytamy (psalm 50); „bo lichotę moję ja znaję” w Psalterzu Małgorzaty: „bo znaję gospozdin drogę prawych”. Tu odnieść ludową formę ubyje (ubędzie).

b) Dzisiejszy czasownik zachował ten pierwiastek w ostatniej osobie: kocha-ją, słucha-ją. Zachował go w pochodzeniach: kocha-jący, zna-jomy, ma-jętny i t. d.

Zasługuje na uwagę pierwotna tożsamość czasu przyszłego z terażniejszym: „maluczko, a nie oglądacie mię”. Ten fakt powtarza się w języku starosłowiańskim.

Co do czasu przeszłego nadmienimy, iż ślady pierwiastku *jem*, są nierównie widoczniejsze; długo nawet spotykamy w pomnikach piśmiennych rozkładową formę: spełniła jeś, poszła jest i t. d.

Wypada jednak zwrócić uwagę na zabytek drugiejj formacyi czysto-zgłoskowej, a tém samém dawniejszej. Chcę mówić o owęj Piastowskiejj formie *ch*, której szczątki pozostały w osobie pierwszej słowa *bych* „co chcesz, abych ci uczynił” i w téjże osobie liczby mnogiej: „jadalichmy”. Ponieważ ta forma jako oryginalnie słowiańska, nie może być uważaną za pożyczoną od Czechów, wypada więc wytłumaczyć ją ze stanowiska polskiego, to jest uznać za wynikłą z natury organicznęj naszych głosek. Stosunek



więc dwóch form: „jadalichmy i jadalśmy może być taki jak dzisiejsze: posłuszny, od dawnego: posłuchny (w wieku XVI) strząchniony i strząśniony. Jeżeli kiedyś w przyszłości dadzą się odgrzebać obszerniejsze zabytki piśmienne z wieku XIII, może tam obok nowszych form znajdziemy skazówkę tej drugiej zatraconej organizacji.

Również prawdopodobnie zdaje się, iż formacja imiesłowowa Ł (czytał) jest późniejszą, i że w najdawniejszych czasach pierwiastek jem (lub em) przykładany był wprost po pierwiastku. Czego skazówki wydatne mamy w formach dawnych: przyniós, zaszed (zaszedł, przyniósł) i w mowie ludu dotąd zachowanych. Najpierw zaś przyjęły ten środkujący przybyt (Ł) słowa kończące swój pierwiastek na samogłoskę: czyta-tem, czyni-tem; wyjąwszy jeżeli ta była nosową; wówczas bowiem stara formacja została: wzią-ć, wznion-em (ludowe). Przychodzimy więc do ponownienia i na słowie tej zasady, że i ta część mowy jednoczy w swych zmianach różnoczesne organizacje.

Na tém kończymy *ogólny* przegląd formacji przybytowej, przypominając, że rozumiemy przez nią: nie jednostronny wpływ *zaimka* na końcowy rozwój wyrazów, lecz powszechne przyciąganie jednych pierwiastków przez drugie. Takie tylko pojęcie o wzroście i kształceniu się wyrazów zdoła wytłumaczyć wyłączną językowi naszemu własność *rozwijania się wyrazów ze środka* (obok rozwoju końcowego). Wprawdzie w ciągu wiekowego kształcenia się, a nadewszystko gdy mowa pierwiastków, tej śnieżną powieścią kosmicznej materii języka, ustępowała z wolna mowie wyrażonej, pewnemu zniemczeniu uległy początkowe zgłoski wyrazu, ale właśnie dlatego, że się mowa nasza przed wielą głęboko w systemacie jednozgłoskowym wypracowała.

\* \* \*

Wyrzekliśmy, iż przybytowa organizacja wyrazów jest dopełnieniem pierwotnej zgłoskowej organizacji, że jest zarazem jej *zastąpieniem*. Z tej zasady tłumaczy się owe znaczące w historii języków zjawisko: *stopniowy ubytek form grammatycznych*. Porównajmy dzisiejszą bułową grammatyczną z zabytkami dawną, ile tu zmian końcowych zaginęło! Gdzie mamy tak obszerne niegdyś użycie liczby

podwójnej, dziś słabo tylko reprezentowanej w wyrazie *dwa, oba* i na ich wzór: *trzy, cztery* i t. p.; w niektórych nazwach części ciała: *oczy, uszy, ręce* (1), a w słowach u ludu? Gdzie rozgałęziona niegdyś deklinacya samogłoskowa (której dziś zaledwie szczątki napotkać można), a po niej nierównie więcej rozkwitła deklinacya przybytowa, dziś tylko w niektórych przypadkach dochowana (2)? gdzie owa mnogość końcowych samogłosek w imieniu, którą dziś podciągamy zwykle pod tytuł podwójnego zakończenia (*pracy* i ludowe: *prace; człowiecze* i *człowieku*; w niebiosach i niebiesiach). Przejdźmy do słowa: czyliż nie zaginął tak widoczny wpływ pierwiastku czyli przybytu słownego *je* w odmianach osobowych (3). Zarzuconą została również i tu liczba podwójna; nawet w mowie ludu traci ona pierwotną cechę dwoistości i zlewa się wprost z wyobrażeniem liczby mnogiej. Zaginął niemal cały pokład tak zwaney staro-spółgłoskowej formacyi. (Wyrazy np. *stworzy-ciel, przyja-ciel*, są utworu późniejszego, jako zniękczone; zabytki dawniej formacyi mamy w wyrazach: *obywa-tel, wierzy-telny*; późniejszymi są wyrazy: *liść, miłościwy*, ich pierwotne brzmienie było: *list-* (i *list* jego nie opadnie) *miłostliwy*).

Ograniczonem téż zostało w wielkiej części końcowe cieniowanie słowa, wpływające na jego znaczenie: tak np. w słowach częstotliwych i t. p.: (*poznawam, dawam*).

(1) W pieśni Bogarodzico spotykamy w liczbie podwójnej wyraz: *nodze obie*. W przysłowiu: „mądrzej głowie dość dwie słowie; cztery gęsi, dwie niewieście”.

(2) Zaginęła deklinacya O, której ślady widzimy w wyrazie: *przytomny, potomny* (*po-tom-ny*), w zaimku: *kto, kogo, komu* i t. d. Zaginęła deklinacya przybytowa S, której szczątki mamy w wyrazie; *niebo, niebios*: w pochodnym: *ciało, cielesny*. Tu się przypomina męzki przybyt ów, którego stopniowe znikanie wydatnie ukazać można w pomnikach piśmiennych. Tak znajdujemy go coraz rzadziej w liczbie pojedynczej; Bogowi (*Bogu*); w liczbie mnogiej: *ptaszkanie, domowie* (dziś: *ptaszki, domy*). Wyszedł z użycia przypadek 7, dziś tylko z przyimkiem spotykany (w *domu, w lecie*); w starosłowiańskim można go jeszcze dostrzedz; *Kijewie, górze* (w *Kijowie, w górze*); jednak w wieku XVI znajdujemy jeszcze i u nas formę: *lecie* (w *lecie*), *mieście* *betleemskim* (w *mieście*).

(3) Obecności tego pierwiastku w słowach dowiedliśmy w innem miejscu. W czasach przeszłych jest on dziś jeszcze widocznym; trudniej odkryć go w czasie teraźniejszym z powodu zlania się dwóch równoczesnych organizacyj w jedną. Wszakże i na to są niewątpliwe dowody.

Upadły dwa ważne imiesłowy przeszłe, pierwszy na *ly* (nijaki), dziś po największej części wyzuty z cechy słownej: dbały, stały, umarły (ten jeszcze w wieku XVI był imiesłowem) (1); drugi imiesłów na *wy* (słowiański: żywy (żyć), sędziwy (sądzić), uczciwy i t. p., tudzież jeden bierny na *my* (słowiański); zachował się on jednak przy niektórych słowach: znajomy, rodzimy, wiadomy, słychomy (u Reja) i t. p.

Dodajmy do tego częściowy upadek pewnych dotąd ułamkowo zachowanych formacyj. Tak np. ograniczoną została forma rzeczowników oderwanych na *ta*: dobrota, nagota, lichota; podobnież w wyrazach na *zna*: potrzebizna (w wieku XIV, XV); na *ba*: złoła.

A za cóż uważać mamy owe rozliczne przyrostki (roz, ob, wez) co tracąc samoistne znaczenie, weszły w skład innych? Nie sążto ułamki i skamieniałości pierwotnej jednozłgłoskowej epoki? Przyrostek *prze* jeszcze długo napotyamy osobno (prze miłość, prze Bóg); przyimek *wez* tylko w wyrażeniu *wzgórze*. Reszta zaginęła!

Atoli ten rażący fakt jakoby wstecznego rozwoju, nie powinien nas skłaniać do wniosku, na jaki naprowadził pewnych filologów upadek mowy rzymskiej, że: organizacja języków od pewnej pochyłości rozpoczyna konieczny swój zgon i rozkład. Naprzód samo utworzenie się języków romańskich, będąc skutkiem zewnętrznych wstrząśnień i napływów, nie było jednak śmiercią mowy rzymskiej; raczej było reakcją przytłumionych długo żywiołów rodowych, które w ostatnich chwilach konsulatu już zaglądały z poza cywilizacji grecko-rzymskiej. Powtóre, wiekiste dzieło myślenia, a takim jest mowa, nie ulega fatalizmowi początku i końca. Któż się odważy wykazać *początek* języka? My odwołujemy się do wieków przeszłych; one do Słowiańszczyzny, do mowy Cyrylla i Metodyusza, a od nich jeszcze dalsza droga do przeszłości, w głąbią Sanskrytu; a potem.... znów dalsze ogniwa, któ-

(1) Porównajmy np. to miejsce w przekładach Biblii, gdzie mowa o synu marnotrawnym. W dawniejszym przekładzie czytamy: „abowiem syn mój *umarły* był, a ożył i *zginęły* był, a nalazł się”. W późniejszym przekładzie (Wujka) już mówiono: „umarł był, *zginął*”.

rych oko już nie dosięga, których uznanie traci historia, lecz one same mają uznanie swęj jednolitości: podobnież nieskończoną i przyszłość. Już dziś baczny mowoznawca poczuwa nowe zwroty, śmiej wyrzec, nowy kierunek organizacyi języka „będzie się on rozwijał analitycznie”, bo wyrazowa organizacya *widocznie się zamyka*. A przecież wśród tylu wieków przed nami i po nas język nie straci wewnętrznej tożsamości z sobą samym.

W zakończeniu poglądu na organizacyą wyrazową powtarzamy ten wniosek, iż język w pewnych epokach miał pewne ulubione drogi rozwoju. Te jakkolwiek zmieniały się, ustępując miejsca nowym, jednak tylko częściowo. Tym sposobem w obecnym składzie mowy reprezentowane są *wszystkie* organizacye przez jakie przechodziła, a najdawniejszemi są najrzadsze (1). Okazuje się przytęm, iż wielka kwestya *powstania narzeczy* znajduje ważne

(1) Do ważnych zabytków staręj formacyi policzyć należy dochowane jawnie ślady pierwiastków starosłowiańskich, to jest pierwiastków z epoki poprzedzającej rozdzielenie się narzeczy na wschodnie i zachodnie (nasz język należy, jak wiadomo, do szczepu zachodniego). Tak obok pierwiastku pro (prowadzić) mamy czysto-wschodni pierwiastek pra (pradziad). Obok *włość* mamy ślady formacyi starosłowiańskie w wyrazach: własny, właściciel. Obok brzmień nosowych (zachodnich) mamy nieraz w tym samym wyrazie samogłoskę u (wschodnią); smętny, smutny; lęć, lęk; nędzny, nudny; ukąsć, ukusć (biblijne); nękać, nukać. Posiadamy obok właściwego nam rozwinięcia spółgłoski przez zmiękczenie, formę starożytną nie posuniętą dalej nad rozwinięcie wschodnio-słowiańskie. Porównajmy z sobą dwie formy: widać, widział; drzewo, drewno; idź, idy (ludowe); ruszać, ruhać (ruchomy); rzucać, rucać (rozrucać). Któż nie uczuje tu dwóch różnoczesnych epok? Uważmy przytęm częściowy upadek deklinacyi przybytowęj (domowie, językowie), tak silnej w starosłowiańskim, tak rzadkiej w ruskim; uważmy piękną konjugacyą osobową (dalem, dales) i przedewszystkięm ześ nadzwyczaj ciekawą, choć rzadką jęj formacyą bez pierwiastku l: słowem wpatrzmy się w budowę języka ogólną, a dojrzymy w nięj wszystkie narzecza i wszystkie epoki.

Jak dzisiejsza mowa ostatnim swoim kierunkiem zmierza ku przyszłości, a zabytkami sięga w wieki przeszłe; również wiek np. XV pewną stroną swęj organizacyi zwrócony ku nowszym czasom, z drugiej strony pokazuje zabytki starosłowiańskie. Przenieśmy się myślą w wieki pierwszych przekładów biblii, np. w wieki Jagiellońskie. Jak tam zgodnie formy owoczesne leżą obok starych, jak nieznacznie drugie ustępują pierwszym. Czytamy tam na jednęj stronnicy: w prorokach i w proroczech;

rozstrzygnięcie w zbadaniu natury języka. Narzecza nie powstały z szeregu obcych własności; przeciwnie: utworzyły się one z podniesienia pewnych zarodków w naturze języka złożonych. Wpływy obce na język znaczą owszem, iż on mocą siły żywotnej wzionął w swoje własności żywiół napływowy. Mamy tedy w języku naszym, jak w każdym narzeczu, wszystkie narzecza in potentia, w zarodzie; z tą różnicą, iż podrzędna siła w innem narzeczu gra tu rolę głównej siły i odwrotnie, iż zarzucone tam pewne źródło rozwoju tu działa jeszcze z całą świeżością. Śiniało rzeknąć można, iż historia języka naszego jest tocząca się w czasie walką narzeczy (walką różnych cisnących jedna na drugą organizacyj). Nie jeden pobratymiec w dźwiękach naszej mowy usłyszy dźwięki swojej przeszłości i wzajemnie, jego narzecze przypomni nam zatracone oblicze naszej starożytności. I ów główny wiek XVI, o którym tyle marzył Deszkiewicz w swoich natchnienia pełnych pracach, ów wiek siły i uznania dziś jeszcze żyje, rozrzucony po narzeczach. Jeżeli np. język czeski tak dobitnie pokazuje ukryty w naszej mowie popęd analityczny (rozwój zewnętrzny poza wyrazem), tedy języki północno-wschodnie przypominają nam mocną organizacją przybytową. Narzecze biblijne nareszcie napomyka o przedwiecznej dobie zgłoskowego rozwoju.

Instynkt narzeczu tak silnym jest, że wpływy obce, długo usprawiedliwione wyższością moralną jednej narodości nad drugą w końcu ustąpić muszą, skoro uznanie pełnoletności obudzi się w języku. Tak np. odrzucił nasz język z pogardą brzmienia nosowe, tak długo strojone na ton francuzki, a wyrobił je na sposób swojski.

Ubytek form, tak widoczny w każdym i naszym języku, czyli zamknięcie niektórych kierunków w rozwijaniu się wyrazowém, spowodowaném zostało przejściem mowy w rozwój zewnętrzny, w składnię.

w rynkach, w rynekoch; żebym i żebych; byliśmy, bylichmy; sławnemi oczami, sławnyma oczyma; człowieka przychodzącego, człowieka przychodząca; ojca pełnego, ojca pełna; dwóch aniołów, dwu aniołu; dzieciom, dzieciętkom; niosła jego, niosła ji; w smutku, w smutce; wrota niebieskie, wrota niebieska; posłuszni, posłuchni; ja uciekam, ja uciekają.

Składnia rzeczywiście jest początkiem rozkładowej organizacji (analitycznej). W językach dzikich, które nie doszły do tej dojrzałości logicznej, spostrzegamy jeszcze owe potworne masy zgłosek, skupione w jeden wyraz, co nam przypominają olbrzymie organizmy przedpotopowe. Składnia, kładąc granicę rozszerzaniu się wyrazów przybytowemu, przerzuciła język w głęboką pracę idealną, gdy pierwotne dwa żywioły jęj: przedmiot i wrażenie uosobiła częściami mowy, już po dojrzałem ich rozwinięciu tak głosowém, jak pojęciowém.

Składnia stanowi bardzo późną dobę w psychologii narodu, bo w niej mamy już nie grę dźwięków, lecz idealną architekturę myśli. Tworzy więc o jeden stopień wyższą charakterystykę plemienia. Jeżeli system zgłoskowy, różny w różnych narodach, przedstawia ich indywidualność powierzchowną, tedy składnia narodu jest prawdziwém, bo wewnętrznem wyrażeniem narodowości.

Mimo to jednak, w *wyrazowej* naturze mowy leżą główne zarody jęj *składniowych* własności. Gdyby nie zasadnicza własność: *rozwijanie się zgłoski*, nigdyby nasz język nie wyrobił sobie tej muskularnej władzy we wszystkich częściach zdania, jakiej mu inne zazdroszczą. Gdyby nie silny ruch *przybytów*, nie doszedłby język nasz w zdaniach i peryodach do właściwej sobie równowagi imienia ze słowem.

\*

\*

Widzieliśmy tedy, iż zgłoskowy układ mowy od pewnego stopnia jęj dojrzałości ustępował miejsca wyrazowemu; innemi słowy, że cały ruch pojęć przeniósł się na koniec wyrazu. Wprawdzie w wielu miejscach odzywa się stary instynkt zgłoskowy, czyli że zmiana końcowa wstrząsa całym syllabicznym składem wyrazu (np. za-do-wol-nić, za-da-wal-niać). W ogóle jednak początkowe zgłoski wyrazu stanowią nieruchome tło, na którem forma wyrazu wegetuje.

Mówiło się następnie, iż na pochyłości tych dwóch organizacji, zgłoskowej i wyrazowej, zawiązały się pojęcia imienia i słowa, owe pierwsze zwroty ku składni.

Zamknięcie, raczej ograniczenie rozwoju wyrazowego stworzyło drogę nowemu rodzajowi, już wyżej wspomnian-

nemu: co pierwotnie odbywało się przez mniejsze lub większe ciśnienie spółgłoski na samogłoskę (tok, ciek), co następnie przez zmianę wyrazu końcową, to w tem ostatniem stadyum mowy odbywa się przez *uboczne wyrazy* (za domem, pod miastem). Nazwalisiny to: rozwojem rozkładowym (organizacją analityczną). Organizacja rozkładowa daje się sprowadzić do następującej treści:

„Pewne części mowy (przyimki, spójniki, zaimki względne) stojące przy wyrazach są skazówkami wewnętrznych zmian wyrazu.”

Zamiast więc mniemanego rządu, to jest wpływu np. przyimków na imię, powiemy raczej: iż wyraz *sam* rozwija się w nich. A zatem składnia jest *dalszym ciągiem* rozwijania się wyrazów. Wiemy np. iż te same części (przyimki) wchodzi w sam skład wyrazów (przystawa, przystanie; dowozić, do wozu). Przyimki więc są tu wynikiem przyciągającej siły wyrazu, jak niegdyś zgłoski końcowe były wypadkiem przyciągającej siły pierwiastku.

Podług naszego przypuszczenia, składnia przygotowana być musiała przez pewną przechodnią organizacją. Były zaś tem przejściem:

1) Wyrażenia przyimkowe: na koń, na przód, za raz, nie będziemy ich uważać za wyrzutnie, lecz za szczątki pierwotnych zdań, gdzie materiał pojęcia (przedmiot) złożony jest w imieniu, a wrażenie (podmiot) w przyimku. Że wyrażenia przyimkowe, te pierwsze zadatki składni, zastąpiły lub uzupełniły złożenie wyrazu, widać to w tych miejscach, gdzie dwa ich lub więcej poprzedza imię: z-pozą góry, po-nad-rzeką, z-przed-domu.

Mnogość tych części, z których mała tylko liczba doszła do naszych czasów w znaczeniu przyimków właściwych, pokazuje także, iż one pierwiastkowo należały do wyrazu, jako ruch jego znaczenia. Zatracone przyimki są: pa (pa-mięć, pa-dół, pa-górek); wą (wą-dół, wą-wóz) i t. p.

2) Pewne zniерuchomione wyrazy, lub wyrażenia przyimkowe: przecz (przez co), zaś (za się), przecię (przez cię, lub przed się). Tych wielka liczba zaginęła: ocz (o co), zacz (za co), acz (a-co).

3) Zniерuchomione wyrażenia słowne, czyli właściwe spójniki: jeżeli (jest-że-li), lubo (lubię), chociaż (chcę), albowiem (a-bo-wiem), więc (urobione z dawniejszego *więć*).

Wynika ztąd, że pierwiastkowo zdania łączyły się zdaniami i wielka część spójników są to znieruchomione zdania; reszta ich są zabytkami z epoki samogłoskowej (1).

\*

\*

\*

Jakkolwiek wykład właściwej teorii zdań, ich wzajemnego na siebie wpływu, już należy do loiki, mowoznawca jednak wyłuszczy i tę ważną część rozwoju języka, szczególnież ze względu, iż na *składniowe* wyrobienie się mowy każdej najmocniej wpływa jęj organizacya *wyrazowa*. Wykończenie wyrazowe, jakim szczyci się nasz język, najwydatniej dostrzegamy w swobodnym rozkładzie części zdania. Nasze zdanie nie jest to jednostajne, jakby z formuły wysnuwające się zdanie francuzkie, gdzie *miejsce* nadaje wyrazowi charakter (subjektu, jeżeli na początku; obiektu, jeżeli po słowie), gdzie nie ma, jak w polskim, tak dalekiego przyciągania się wyrazów, tylko bezpośredni wpływ jednego na drugi. Tu *miejsce* nadaje wyrazowi charakter *loiczny*, to jest czyni go środkowym punktem całej myśli.

Wykończenie organizacyi wyrazowej, tak jawne w naszym języku, domyślać się każe, iż dzisiejsza składnia *rzędu* jest właściwie *wzajemnym* działaniem na siebie wyrazów; że mniemany stosunek zależności, jest raczej nawyknieniem oka, i że z czasem dopiero pewne formy (np. przypadek 4<sup>ty</sup> przy słowie) stale poczęły się wiązać z sobą. Wprawdzie słowa (czynne, nijakie) mają dziś ustaloną własność towarzyszenia pewnym przypadkom: kocham ojca, sprzyjam ojcu. Lecz czemuż były pierwotnie dzisiejsze przypadki imienia? czy tylko zmianą jego końcówki? bynajmniej, były wewnętrznym cieniowaniem pojęcia, przez rozwinięcie pierwiastku (głoskowe lub przybytowe). Przypadki więc, to jest formy końcowe imienia tworzyły się niezależnie od słów, bo były życiem własnym wyrazu. Z czasem dopiero owe końcowe zmiany (ojca, ojcu) przybrały oderwane znaczenie przypadku: to jest poczęły *odpowiadać*

(1) Spójnik *lecz* niewątpliwie powstał z zatraconego *le*, które wchodziło w skład starego spójnika *lepak* (*le-pak*, *opak*, *ws-pak*) i z znieruchomionego *ca* (*le-cz*, *o-cz*, *acz* i t. d.); *byle* jest widocznie znieruchomionym imiesłowem *były*; tak, jak *cały*, *cale*.



pewnym cieniowaniom słowa. Sprawdzimy to świadectwem faktów.

W XV<sup>ym</sup> wieku, XVI i poczęści XVII przy słowach czynnych znajdujemy przypadek 2<sup>si</sup> i 4<sup>ty</sup> naprzaimian: „postrzegać czego, dawać przykładów.” I dziś jeszcze słowa czynne są słabo odcieniowane od nijakich: „deszcz kropi, mróz bierze, puszcza;” „głusi słyszą, ślepi widzą, umarli powstają.”

Jeszcze wyraźniej niezależność imienia od słowa okazują wyrażenia: „byłem całą zimę, jechałem godzinę”; tu zasada przypadku widocznie złożona nie w słowie, lecz w naturze formy rzeczownika.

Równą niezależność imienia od słowa pokazują (dawne bez wątpienia) zwroty: „siła ludzi widziałeś? a kupa ich miałeś?”

Toż samo tyczy się przyimków i tak zwanego ich wpływu na przypadki. Dostyc wspomnieć o używaniu dotąd u ludu i w wiekach dawnych przyimków *bez* i *przez* zupełnie bez różnicy (bezpieczeństwo, przezpieczeństwo) (1). Wyrażenia: *za pan brat*, *przy-boś*, *do-dom* i t. p. naprowadzając na domysł o pierwiastkowej obojętności przyimków względem rzeczownika, pokazują zarazem, że przypadki przyimkowe (w domu, do domu) są kombinacją późniejszą, która przysła w pomoc organizacyi wyrazowej. Ostatnim i znaczącym zabytkiem pierwotnej niezależności imienia od przyimków, są zachowane dotąd niektóre przyimki towarzyszące dwom, trzem, a niekiedy i czterem przypadkom.

Rzucając okiem na tablicę przypadków, mimowolnie tworzymy przypuszczenie, iż dzisiejszy przypadek pierwszy jest najpóźniejszym. Jego rozwinięcie końcowe, najdojrzałsze we wszystkich trzech rodzajach; jego filozoficzny przymiot subjektu, jego zgłoskowa wykończona organizacja, dowodzą, że przypadki (zakończenia imion) są to ślady języka zgłoskowego, w którym wyrazy rozwijały się wewnętrznie, samodzielnie, nie w warunkach dzisiejszej pozorniej zależności, jak wyżej już nadmieniono.

(1) W Biblii Zofii, Daniel II, 44: „że z góry odłomił się kamień przez rękę”, (tojest bez rąk).

Wszystkie dzisiejsze stosunki składowe z natury rzeczy sprowadzić się dadzą do téj ogólnej wszech ogarniającej dwoistości: przedmiotu i wrażenia (objektu i subjektu), to jest: że w każdej najmniejszej nawet kombinacyi upatrywać wypada zewnętrzny *materyał* i wyciśniętą na niun *formę* myślenia, a tysiączne cieniowania grammatyczne (przy padki, stopnie, przyimki) będąto wzrastające lub słabnące cechy jednego lub drugiego.

Owoż główne strony stanowiska, z jakiego, zdaniem naszym mowoznawca winien zapatrywać się na język. Stanowisko to, nie narzucone ani przez żadną filozoficzną szkołę, ani przez marną żądzę podciągnięcia faktów pod urojoną bezwzględność; lecz zdobyte sumienném badaniem ducha mowy, wiarą w głębokość i porządek każdego dzieła, którém myśl Boża kieruje; a nedewszystko: narzeczwą miłością dla przedmiotu. Jeżeli natura, jeżeli dzieje, sztuka ulegają prawom, tedy mowa, najszczytniejsze wcielenie myśli ulegać musi pewnym głębokim zasadom. Najwyższym dowodem téj prawdy jest niezaprzeczony fakt powszechnéj jedności mowy ludzkiej. Historyczną stronę téj jedności stanowi pokrewieństwo języków. Pierwsza jest przedmiotem filozofii języka, druga, mowoznawstwa porównawczego.

Wśród nakazującej mnogości języków, odróżnić się dają pewne typowe rysy, odznaczające pleiniona. Mamy więc języki narzeczwowe, a każdy język narzeczwowy jest starożytnym. Zaszczyt należenia do liczby narzeczwowych mowa nasza usprawiedliwia zachowaniem wielu śladów swego pochodzenia indo-słowiańskiego, przytém zawarła w sobie treściowo wszystkie narzecza, których częściowe własności wyrabiała epokami, przechodząc z jednej organizacji w drugą. Ztąd do stanowczego wyrzeczenia o naturze języka może tylko upoważnić pogląd na pasmo jego rozwoju w czasie. Przy braku dat spekulacya opiera się tu z jednej strony na mowoznawstwie porównawczém, z drugiej zaś na téj, że tak rzekę, zastygłej historii, jaką przedstawia mowa, będąca w każdéj epoką, całością saméj siebie. Mowoznawca winien w każdym wyrazie wyczytać wyciśniętą na jego formie starość, w jego pierwiastku swojskość lub przyswojenie. Szczęśliwy, jeżeli z sumiennością w szczegółach połączy wspaniały widok na całość, jeżeli z nitką

Aryandy zdoła przejść ten niezmierny obszar wieków i kształtów myśli, gdzie tak spojnie i tak uroczo życie leży obok śmierci.

W języku naszym oddzielić można trzy pokłady: samogłoskowy, pierwiastkowy i wyrazowy. Główną tajemnicę organizacji jego stanowi *rozwiniecie zgłoski*. Rozwiniecie to, zrazu samogłoskowe, ustąpiło miejsca przybytowemu i wszystkie swe formy język otrzymał w tej drodze. Jednakże obok wzrostu form, dostrzegamy i ich ubytek. Z postępem myślenia narodu, od organizacji wewnętrznej język przechodzi do organizacji rozkładowej. Granicą pierwszą jest akcent, początkiem drugiej składnia.



## PORY ŻYCIA.

Porzucmy, bracie, choć raz foliały,  
 Niechaj odpoczną w mogiłach Scytowie.  
 Zkąd weszły ludy? ku czemu powstały?  
 Gdzie się ukryły? księga nam nie powie.  
 Słońce w okienko zagląda miłośnie,  
 Wietrzyk z uśmiechem karty nam przerzuca,  
 Dusza jak ptaszek ulata ku wiosnie;  
 Chodźmy orzeźwić przebolale płuca.  
 Gleba, co znała narodów pradziada,  
 Więcej niż martwy pergamin wygada.

Patrz: ciepły promień pomuskał już niwę,  
 I młoda trawka z pod ziemi wystrzela.  
 Jakie to słabe, lecz jakież to żywe!  
 Kto ją tu zasiał?—ręka Stworzyciela.  
 Słonko, co grzeje tę trawkę maleńką,  
 Z łona ją ziemi dobyło widocznie;  
 Lecz darmo pytać: zkąd pierwsze ziarenko?  
 Strudzony badacz sam nie wie co pocznie:  
 Przedwiośnie ludu, jak przedwiośnie kwiatka,  
 Jednemu Bogu znajoma zagadka.

Lecz oto nowa uderza godzina:  
 Roślina w ziemię zapuszcza korzonki,  
 Pogadać z niebem ku górze się wspina  
 I bujnym krzewem rozrasta się z płonki.  
 Kwiat ją okrywa—to piękna objata;  
 Woń ją otacza—to mowa krzewiny,  
 I woń ta z wieścią po ziemi oblata,  
 Zwiastując członka wszechziemskiej rodziny.  
 I stare dęby patrząją w podziwie,  
 Jak się to z wiosną zjawilo na niwie?

W lecie, krzew mocniej do ziemi zagrzędzie,  
Przerósł pokrewne, chce przescięgnąć drzewa,  
Zbroi się w korę, twardnieją gałęzie,  
Z kwiatu młodziana owoc-mąż dojrzewa.  
Stare sąsiady podnoszą nań głowy,  
Ze zajął miejsce, że słońce zastania,  
Z wiatrem i gromem układają znowy;  
Darmo! on dojdzie swojego wezwania:  
Odeprze wiatry i gromy odbije,  
Które upadną zawistnym na szyje.

Ale się słońce schyla ku jesieni,  
Chwila stanowcza niedługo nadpłynie:  
Roślina słabnie, liście się czerwieni,  
Ziarna pobiegły.... załadniać pustynie.  
Zadęły wiatry, i liście się sypie,  
Chłosnęło szronem, i wędnie łodyga,  
I zwiesza głowę na swęj własnej stypie,  
Gdy powołania danego dościga:  
Co wzięła z Boga, to przelala w ziarna,  
Resztą się niwa użyznia poparna.

Gdy ziemię biała pokryje opona,  
Niejeden z okna spojrzawszy na niwy,  
Ani pomyśli, że w głębi ich łona  
Zmarłej rośliny śpi obraz prawdziwy.  
Gdzie się to wzięło? i gdzie się podziało?  
I na co rosło? i na co przepadło?  
Toczą się spory o suknią, o ciało:  
Duszy nie widzą, choć dusza, widziadło!  
Zimą spowita śpi zarodkiem w ziarnie,  
Na wiosnę wschodzi, i przestrzeń ogarnie.

W wieńcu z pierwiosnków, pozdrawiam cię pole!  
Księgę kazila ciemnota człowieka,  
Czas mazał karty gryzione przez mole,  
Trumiennym chłodem czuć od niej zdaleka.  
Witaj mi, niwo! gdzie wszystko się zmienia,  
Gdzie nic nie ginie; gdzie starość zgrzybiała  
Poświęca siebie, by na pokolenia  
Zasilny pokarm dać ze swego ciała....  
Jak zaród w ziarnie mam *jutro* w swém łonie:  
Zgon mnie nie trwoży—bo żywot we zgonie.

W. Korotyński.

## OBRAZY DAGESTANU.

PRZEZ

Juliana S...

(Ciąg dalszy).

### IV.

#### O OBYCZAJACH I ZWYCZAJACH.

Byłem jeszcze na weselu wyprawianém przez ucniego kajtachskiego, Dżemat-beka, dziś pułkownika kawalerii wojsk cesarsko-rossyjskich, który dziedzicznego swego syna żenił z córką Szamchała tarkowskiego, mającego także stopień generał-majora. Oboje nowożeńcy piérwszej zaledwie byli młodości: on dośyć słusznego wzrostu, wysmukły i giętki, nadzwyczaj regularnych rysów, z wysypującym się dopiero zarostem, smętnego i powłoczystego spojrzenia, w ułożeniu nieśmiały i skromny, a jednak z odznaczającą się godnością i pewną nawet dumą spoglądający na drugich; liczył rok dziewiętnasty: ona nie miała więcéj jak czternasty. Przez ich połączenie utrwały się na nowo, od pewnego czasu nadwergężone nieco związki, jakie między ich rodzinami, władającymi w sąsiednich między sobą krainach, istniały od dawniejszych czasów; młody zaś ich wiek, jako nowożeńców, odpowiadał zwyczajowi, którego powszechnie się trzymają, miano-

wicie w rodzinach władców. Wesele odbywało się we wsi Kajakencie, będącej własnością uciego. Położona przy drodze pocztowej, o dwie stacye na północ od Derbentu, z obszerną i wygodną pocztową stacją, która niedawno całkowicie zbudowana z kamienia, otoczona takimże murem, opatrzonym strzelnicami, dwiema narożnemi basztami i rowem, wygląda nakształt obszernej kwadratowej reduty, a gdzie oprócz dozorecy poczty utrzymującego konie, kilkunastu kozaków z dowódcą, służących do eskortowania podróżnych, zamieszkuje jeszcze urzędnik mający tytuł pomocnika zarządzającego Kajtachim, którym jest uci, z całą swoją kawaleryą i tłumaczem; posiada więc przytém pewną stałą rossyjską ludność.

Cała wieś nappełniała się tłumem, gdyż każdy mieszkaniec z obydwóch sąsiednich krain, posiadał prawo znajdowania się w gościnie. Gdzie zasiadał szach, tam towarzyszył mu uci z rodziną i znaczniejszymi gośćmi, gdy reszta bawiła się po różnych domach, dziedzińcach, ulicach i dachach, które grzmiąły okrzykami i muzyką, przy nieprzerwywających się prawie tańcach. Tworzące się kółka, przenosząc się z miejsca na miejsce, a coraz nowych zabierając ochotników, przyczyniały się do tém większego zamieszania i gwaru; gdy dla tych licznych gości po wielu dziedzińcach rozstawione kółka buchały parą gotującego się jedzenia, przyrzędanego kosztem mieszkańców, którzy mieli obowiązek przyjmowania swojego władcy. Każdego prawie dnia przed wieczorem, po szerokiej i równej pocztowej drodze, odbywały się gonitwy, do których nieraz należeli tak sam uci z rodziną, jak i szach z swoim dworem. Pośród wsi, na dosyć obszernym placu, palewan, skoczek na linie, za dosyć znaczne pieniądze umyślnie sprowadzony, kilka razy na dzień ściągał do siebie widzów, którzy porozsta-

wiani i porozsadawiani po otaczających wzgórkach, sąsiednich gankach i dachach, zadowolenie i podziwienie częstemi wyrażali okrzykami. Kiedy skoczek, znajdując się na linie z towarzyszeniem zawsze bębna, wykonywa swoje łamania i tańce, chodzi pod nim na ziemi zwykle jego matka lub siostra, a lamentującym głosem, z podnoszeniem rąk i twarzy do góry, opowiada widzom na jak wielkie jój syn albo brat naraża się niebezpieczeństwo, i prosi przytém Boga, żeby go od niego zachował.

Do wszystkich zabaw i kótek przyłączają się wszyscy inni goście, jak również rodzina władcy, do której należały także trzy jego córki. Wszystkie odróżniały się najbogatszymi strojami i pięknnością; mianowicie tą ostatnią, która za największą i najrzadszą jest uważana, jaśniała najmłodsza. Była blondynka z barwą włosów wpadającą w złotą; białej, prawdziwie alabastrowej cery, z długimi, ciemniejszym jeszcze złotem migającymi rzęsami, a z blado-różowymi ustami i takimiż jagodami. Wszystkie chodziły odkryte, miały jednakowe, przeszywane złotem i srebrem bezszmety i spodnie, białe gazowej lekkości zastony, drobnymi, srebrnymi gwiazdkami przerabiane. Na drobnutkich stopach, żółte safianowe czewiaki, niezakrywające utoczonych, alabastrowej białości kostek; gdy diamenty, perły, korale i inne drogie kamienie mieniły się w ich paskach, klamrach, bransoletach, naszyjnikach i kolczykach. W tłumie, pośród którego najbardziej oberwane i brudne ucierały się odzienia, stawały te istne wieszczki z Tyśiąca nocy i jedna, otoczona swoją kobiecą służbą, to przyglądając się zabawie, to biorąc w niej udział. Jednej tylko córce władcy, (żony w zabawach nie pokazują się nigdy) służy przywilej wystąpienia do tańca pierwszej; ale ktoś z obecnych winien jój towarzyszyć. Skoro która z nich ukazała się pośród



koła, czausz albo juzbasz, pilnujący porządku, długim i giętkim prętem bijąc po nogach obecnych, robi obszerniejsze miejsce; a jeżeli nikt nie ośmiela się wystąpić natychmiast, to wypycha za kark pierwszego lepszego z tłumu, wybierając natenczas najbiedniejszego, żeby mu dać sposobność dostąpienia szczytu i szczęścia, jakie może nigdy w życiu nie spotykają go więcej, przez co nadto rozśmiesza towarzystwo. Tańczący z hanym, to jest panią, powinien mieć odkrytą głowę, trzymając czapkę w rękę.

Szach przedstawiał inny charakter od opisanego poprzednio: nie miał ani téj powagi, ani wstrzeźliwości; a krzykliwy, rzucający się i gwałtowny, odznaczał się tylko nadzwyczajną śmiałością w wymyślanych przez siebie karach, łącząc do nich niezwykłą także chciwość. Umiego kazał wiązać po kilka razy, wymuszając na nim wykupy: to konia, gwintówkę lub pistolet, wybierając najbogatsze, to znaczną ilość pieniędzy. Konia kazał sobie darować najpiękniejszego, przytém z całym najbogatszym rzędem, wytargowawszy za to kilkadziesiąt rubli. Nie było znaczniejszego ani bogatszego gościa, ażeby mu się nie opłacił sownie. Wołał, że to jest hańskie wesele, złoto i srebro płynąć powinno strumieniami, i rzeczywiście wpłynęło go bardzo dużo do jego kieszeni.

Wesela u biedniejszych, a na których nie znajduje się nigdy szach, ograniczają się zwykle na jednym za ledwie dniu zabawy i matéj liczbie gości, których tak tu, jak i na całym świecie, niebardzo zachęca skromne ugoszczenie gospodarza. Podobne zaś przypuszczenie wszystkich bez wyjątku mieszkańców do towarzystwa z władcą i jego rodziną, a przytém zrównanie się z niemi, gdy wszyscy do wspólnej należą zabawy, i jednakowym ulegają prawom, których wykonanie i wolę posiada w nieograniczonym prawie stopniu także jeden

z poddanych, wybrany na szacha, ma zapewne na weselach w posiadłościach władców nie inne nad to znaczenie, ażeby w tych dniach przynajmniej mieszkańcy użyli zupełnej pomiędzy sobą równości. W gminach wolnych, gdzie są wszyscy równi, podobne zwyczaje nie napotykają się nigdzie. Tam wesela, prócz tańców, śpiewów i częstowania gości, nie odznaczają się niczém inném. Uweselają je także gonitwami, a po niektórych okolicach widowiskami zręczności i siły, których mieszkańcy sami między sobą doświadczają. Pokazują także doskonałość swoich kindżałów i szaszek, przecinając niemi najtrudniejsze do tego przedmioty, jak inne kindżały i szaszki, srebrne i miedziane pieniądze, kilka lub kilkanaście jedne na drugie ułożonych czuszków, to jest placków z chleba, puchowe poduszki i t. p. Wybierają czasem do tego uluczonego wółu, na ugoszczenie przeznaczonego, klóremu za jednym zamachem powinna być odcięta głowa.

Gonitwy, tańce i pieśni, te główne i najpowszechniejsze zabawy na weselach, uprzyjemniają nadto niejedne chwile codziennego życia tutejszego ludu. Nie ma okoliczności, żeby mieszkaniec znajdując się na koniu, nie uczuł także potrzeby i nie znalazł chwili puszczenia się na wyścigi. Aby dwóch tylko jedną odbywało drogę, pierwsza obszerniejsza równina, pierwsza łagodniejsza pochyłość zachęci ich do tego niezawodnie, gdy często lubią doświadczać doskonałości swoich koni, spuszczać się z gór po kamienistych, wązkich i krętych ścieżkach, a wyścigając się z narażeniem życia. W najłżejszym także pędzie wyskakują na każdy niewielki, a choćby najspadzistszy wzgórek; a chociaż rozumieją aż nadto dobrze, o ile to zapalenie konia sprowadza i osłabia jego nogi, gdy nawet wiele koni z temi słabościami, skoro już pierwszą przeszły młodość, napotkać można, jednak ulubionego zwyczaju nie odstępują. Tém bardziej nie obywa się

bez wyścigów, a które łączą zawsze z robieniem bronią i strzelaniem lub z przykładaniem się do strzelania lub cięcia, kiedy z jakiegobądź powodu zebrani są w większej liczbie. W posiadłościach dziedzicznych, gdzie u władców, u ich rodzin, urzędników i beków, tylu utrzymuje się wskierów, ileżto razy widzieć ich można zabawą tą rozweselających swych panów, kiedy im towarzyszą w drodze. Służą im do tego nadto najpiękniejsze i najbogatsze konie, jakie tak panowie, jak i słudzy od nich posiadają, a jakie daleko trudniej dają się spotykać w wolnych gminach, gdzie tyle bogactwa nie nagromadza się w jednym ręku.

Koń, połowa duszy i połowa ciała tutejszego mieszkańca, nieodłączny towarzysz na wojnie, w drodze i przy zatrudnieniach w polu, daleko wyżej nieraz ceniiony od żony, której za daleko mniejsze pieniądze dostać można, jest też przytém jego najpierwszą może potrzebą, jak również przedmiotem jego najpierwszych starań. Bardzo już biednego trzeba mieszkańca, żeby go nie posiadał, jak również dla niego osobnego miejsca w domu i najpiękniejszej dery dla osłonięcia go od soty i zimna. Nie chędożą go ani zgrzebłem, ani szczotką, a okurzywszy trzepaczkami z włosienia, polewają wodą z dzbanka lub pławią i obmywają rękami, gdy palcami wydrapują brud z sierci; ale ileżto razy i z jakąż troskliwością powtarzają, bawiąc się nad każdą częścią jego ciała z osobna, od ócz do ogona. Podkowy dają zupełnie płaskie i cienkie, pokrywające całe kopyta, a z doskonałego żelaza wyrobione. Gdy konie ich po większej części są miękkooste, rzadko więc bardzo munsztuków a jedynie trzęzli używają, któreto ostatnie opatrzone nieraz wielkiem kółkiem przyciskającym język, stanowią mocne i twarde wędzidła, któremi na jednym miejscu osadzają konia na zadzie. Cwiczenie się w konnej jeździe, robienie bronią i strzelanie, jest ich zamilowaniem i namiętnością, z którymi się ro-

dzą prawie, a które od małości rozwijają w sobie i kształcą. Chłopak zaledwie kilka lat mający przywiązuje do pasa kindżał lub zatyka za niego pistolet i zaczyna przyrastać do konia. Jak Arab na pustyni, Ukrainiec na stepie, tak tutejszy mieszkaniec między swemi górami, puszczając się na swoim ogierze, gdyż na innych koniach nie jeżdżą, czuje się w swoim żywiole, jak i ten koń jego na którym siedzi, bo zdaje się że przyroda obu ich do tych samych miejsc i do takiego biegu wydała.

W wolnych od zatrudnień i wesołych chwilach, zszedłszy się w liczniejsze kółko, urozmaicają swój kiejk zabawą samego tańca, nazywanego się toj, a któremu zwykle towarzyszą pieśni. Ha! ha! ha! wywołuje rozweselone grono i albo zagrzmie zarazem bęben i różek, albo za taktem tylko okrzyków, odbywają się tańce. Zabawa zaczynająca się zwykle w wieczorniej porze, przedłuża się do późnej nocy, a nieraz do samego świtu; a nie ma dnia, a szczególnie w lecie, żeby jej okrzykami i muzyką nie rozlegała się wioska. Należą do niej sami mężczyźni, z kobiet zaś mogą być przywołane niewolnice lub sługi, gdy wszystkim innym tylko na wesele dozwolony jest przystęp. Czasem zbierają się dla samych pieśni, które nieraz tak są obszerne, a najczęściej dzieje nieszczęśliwej miłości lub nadzwyczajne czyny jakiegoś wojownika opiewające, że po dwie i trzy nocy z rzędu dla ich wystuchania przeznaczają. Pieśni prócz tego są, że tak powiem, zawsze na ustach tutejszego ludu. Pastuch czy rolnik, idący czy przejeżdżający drogą, napełniają ich rozgłosami góry. Śpiewność ich podobna najczęściej do przedłużonego jęku lub jakiegoś narzekania, więcj deklamacyjna niż w pewne wiążąca się melodye lub w powtarzające się strofki utożona, wydawana jest przytém takim silnym i donośnym głosem, jak gdyby śpiewak chciał nim całą okolicę poruszyć, aż po najodle-

glejsze szczyty widokregu i po samo sklepienie nieba. Każdy także przedmiot może posłużyć do pieśni: obierają więc którykolwiek, jaki im podpada pod oczy, lub zajmie ich wyobraźnią, albo co w téj chwili dolega ich duszy; a najgrubszą nawet myśl wyrażając, zabawiają się tylko śpiewem jakiejś ulubionéj melodyi.

Pastuch patrzący na swoje trzody zaczyna np.

Oh! barany moje, barany, pasą się, pasą, a tłuszcją, tłuszcją ich kurdiuki; a ja biedny i nieszczęśliwy, bic zara, nie mam co włożyć do brzucha.

Stał osieł po jednéj stronie rzeki, a po drugiéj stronie stała oślica. On ryczał i ryczał, ona ryczała i ryczała, a ześć się z sobą nie mogli.

Oh! Boże, Boże daj mi zabić jakiego bogatego giatura, żebym miał czém zapłacić kałym za moją czarookę.

Wszystkie podobne pieśni, a nieraz dla rozweselenia się tylko wymyślane, tymże samym, jak i wszystkie inne wyspiewują jękiem.

Charakter ich wyobraźni, ich skłonności i ideały, wyrażają się nietylko w pieśniach; ale prócz tego w licznych podaniach, które po całym Dagestanie do różnych miejscowości, do niejednéj góry, doliny, szczytu albo skały przywiązane, przedstawiają przytém symbole nie jednéj prawdy w ich dziejach, jak i przyrody ich ziemi. Nikt ich dotychczas nie zbierał; te zaś, które miałem sposobność poznać, przytaczam.

Na północy szamchalstwa tarkowskiego (1), pośród żyznéj i bogatéj okolicy, niewielkich wzgórz i dolin, po których niezliczone pasą się trzody i najbujniejsze udają się zboża, a dotykającéj niezmiernie rozległego stepu, który nieużytecznym chwastem i piotunami zarośnięty, w czasie pory piekącego słońca, jedną

(1) Podanie to umieszczone w przeszłym zeszycie Biblioteki, ponieważ ściśle łączy się z opisywaną miejscowością, powtarzam dla nie-rozrywania całości.

suchą i martwą przedstawia pustynię; w jednej z najludniejszych wsi, mieszkał starzec z jedynaczką córką, słynną z nadzwyczajnej piękności. Słyszał o niej młodzieniec z sąsiednich gór z za stepu, który nie posiadając żadnego majątku, prócz konia, ubrania i zbroi, bo i ubogą była jego rodzinna ziemia; odważny i waleczny, a przytém najpiękniejszy jak tylko wyobraźnia przedstawić sobie zdoła, utrzymywał się z łupów, jakie w licznych wyprawach to na nieprzyjaciołach, to na przejeżdżających kupcach zdobywał. Gdy nigdy nie omylił go wystrzał, a śmierć nie była pewniejszą nad cięcie jego szaszki, przeto na jego koniu, odzieży i zbroi lśniło się rzęsiście złoto i srebro, a znaczne nieraz mienie roztrwaniał na podarunki przyjaciołom, albo rozdawał biędnym. Jednego wieczoru, nieznanu zupełnie starcowi stanął u progu jego chaty, a jako zbłąkany i mający daleką jeszcze przed sobą drogę, prosił o gościnny nocleg. Wkrótce siedząc wraz z starcem przed ogniskiem, pożywali oba wieczerzę, do której posługiwała dziewica. Padały na nią płomiennie spojrzenia młodzieńca, który także w jej bojaźliwych i tęsknych spojrzeniach odgadywał miłość, jaka rozgorzała w jej piersiach. Zdjął ze ściany wiszące na kołku narzędzie ze strunami, a uderzywszy po nich, gdyż także najdoskonalszym był śpiewakiem, i umiał tworzyć najpiękniejsze i najdłuższe pieśni, zaczął opiewać niemi swoje samotne i tułacze życie, a przytém nieznaną mu dotąd, a jakąś niewypowiedzianą tęsknotę. Głos jego musiał być nadzwyczaj dźwięczny i przenikający do samęj głębi duszy, a pieśń wyrażała zapewne nadzwyczajne uczucia i myśli, które szczególnież rozumiała dziewica; bo wstuchiwała się w nie z coraz bardziej wzmagającym się zachwyceniem, a jej spojrzenia stawały się coraz ognistsze, jej policzki kraśniejsze, usta przybierały barwę coraz ciemniejszego koloru, a jej piersi coraz prędszym podnosiły się oddechem.

Po wieczerzy i pieśniach, młodzieniec pozostawszy sam tylko z starcem, rzekł do niego: „oddaj mi twoją córkę.” Starzec mu odpowiedział: „temu tylko oddam córkę, kogo ona pokocha, a ten przyniesie mi za nią sto sztuk samego złota. Że się już z sobą kochacie, nie zostało tajemnicą dla moich starych i doświadczonych oczu; ale inaczéj jéj nie otrzymasz, jak za katym, który ci wymieniłem.” „Przysięgnij mi przynajmniej, mówił daléj młodzieniec, że nie oddasz jéj komu innemu, a zaczekasz na mnie, póki ci żadanego katymu nie złożę.” „Przysięgam na rok jeden od tego dnia i godziny, kiedy z sobą rozmawiamy,” uroczyście dodał starzec. „Za rok zatém będę w twoich progach.” temi słowy młodzieniec pożegnał starca, wsiadł na swego wiernego konia i popędził na zdobycze. Za rok, tegoż samego dnia i o téjże saméj godzinie, kiedy powyższa umowa ułożoną została, stanął przed starcem młodzieniec, a rzucając mu pod nogi worek napęczniony złotem, rzekł: „dajże mi teraz córkę.” Starzec wziął worek, rozsypał z niego wszystkie sztuki nowiuteńkiego złota, zaczął je liczyć po jednym, a znalazło się tylko dziewięćdziesiąt dziewięć. „Mam tylko dziewięćdziesiąt dziewięć sztuk złota, odezwał się starzec, a więc umowa nasza zerwana.” „Nie mogłem zdobyć jednéj tylko sztuki, ale czyż dla niéj miałbyś być tak okrutnym i odmówić mi raję?” pokilkakroć błagał młodzieniec. Lecz gdy starzec był nieugięty, ten utopił kindżał w jego cheiwych i nieczemnych piersiach, a porwawszy dziewięć i przerzuciwszy ją na swoje ramię, siadł z nią na konia i tak puścili się w góry. Wkrótce za nimi ukazała się pogon. Koń ich, już poprzednio całodzienną zmęczony jazdą, chociaż wytrwalszego bieguna między najzawołańszemi nie znajdowało się jeźdcami, gdy dojeżdżali do stepu, zaczął ustawać. Pod razami jeźdca ostatniego dobywał wysilenia, gdy pogon coraz głośniejszém odzywała się tętnieniem; aż nareszcie padł bez

życia, na samym prawie środku stepu. Wiedział młodziwiec, że musi zginąć, a ta sama pewność rozdzierała duszę dziewicy. Sami wśród tej gołej, stepowej pustyni, miotani rozpaczą, a błagając najmiłosierniejszego Boga, żeby swoim cudem uwolnił ich od nieprzyjaciół, wzajemnymi połączeni uściskami, oczekiwali śmierci, mającej być końcem ich miłości. Bóg ulitował się nad nimi i zamienił ich w dwa głązy, które łącząc się wierzchołkami, postawę ich zachowały. A w czasie krótkich chwil rozpacz i błaganie taką obfitość też wyleli, że utworzyło się z nich źródło, które dotychczas pokazuje z pod tych obydwóch głązów wyciekające, a które wśród tej odartej i osuszonej okolicy jest szczególniejszém dobrodziejstwem niebios, jak i najdziwniejszém zjawiskiem przyrody.

Po drodze przez kumycką płaszczyznę udając się ku południowi między niezbyt wyniosłymi górami, rozciągającymi się przed podróżnym, a zakończającymi widokrąg, uderza najbardziej jedna po prawej stronie jak gdyby złotem błyszcząca, a z samego piasku złożona. Kiedy zbliżamy się pod jej stopy, widzimy ją sterczącą naprzeciw drugiej, ale zieleniejącej góry, po której to rozkłada się, to wspina wieś Kumter-Kale, gdy po dolinie wąwozu wśród przepysznych i cienistych ogrodów, szmerze po kamieniach w rozliczne strumienie rozlewająca się rzeka. Przed bardzo dawnymi laty, kiedy ta wieś była wielką fortecą, jak to nawet dotychczas przypomina jej nazwisko z przydatkiem *kale* lub *kale*; mieszkała w zbudowanym pośród niej zamku pewna udzielna nad całą okoliczną ziemią panująca władczyni, która chociaż była panną i w pierwszym dopiero kwiecie młodości, a przytém bez rodziców, po których została jedyną dziedziczką, rządziła się jednak z największą mądrością. Nadzwyczaj przytém była piękną, a chociaż wiadomém także było, że bogobojna i miłośnierna, jedynie dobrymi uczynkami dla swoich podda-



nych i dla biędnych zajęta, na całe życie postanawiała zostać panną. Wszyscy jednak rycerze, a którzy wtenczas chodzili w żelaznych kolczugach i zbroi, i w żelaznych na głowie hełmach, z najodleglejszych nawet okolic ubiegali się o jej rękę. Jeden z nich najstynniejszy z waleczności i siły, przytém równie nadzwyczajną obdarzony pieknością, gdy zdawał się największe posiadać prawa, wystąpił z swoim żądaniem. Natenczas hanówna uczyniła mu następujące oświadczenie: jeżeli téj nocy zatamujesz Sułak i zmienisz jego koryto, ażeby jego wody zraszały moje pola, oddam ci moję rękę. Młodzieńcem tym i rycerzem było szatan: téjże saméj więc nocy poszedł na brzegi morza, a nabrawszy piasku, niósł go w ogromnej pole swojej szaty, ażeby niém zatamować rzekę. Ale kiedy był w środku drogi, taka straszliwa zerwała się burza, iż nie mógł utrzymać piasku, który wysypawszy się z jego poły, utworzył z siebie na tém miejscu owę ogromną górę. Dopełniwszy takiego dzieła ukazał się znowu hanównéj i rzekł: nie zatamowałem Sułaku, ale wysypałem tę ogromną naprzeciw twoich okien górę: znasz teraz moję siłę, a więc oddaj mi swoję rękę. Hanówna oświadczywszy mu, że nie ta góra jest jej potrzebną, a wody Sułaku, ręki swojej odmówiła; a poznawszy w nim złego ducha, dziękując Bogu, iż ją od tak nadzwyczajnej uwolnił pokusy, na całe życie została panną.

Toż samo podanie opowiadają jeszcze w ten sposób. O rękę owéj hanównéj ubiegało się dwóch olbrzymów palewan, którzy wtenczas zamieszkiwali ziemię, a przewracali góry, wyrwali dęby z korzeniami, rozłamywali skały, i sami jedni także przeciw niezliczonym występowali wojskom. Im to oświadczyła hanówna, że ten otrzyma jej rękę, kto jednéj nocy

zatamuje Sułak. Otóż jeden z nich poszedł na brzegi morza, a nabrawszy piasku, niósł go w swojej pole, ażeby niém zatamować rzekę; gdy drugi zaczął przerąbywać skałę, ażeby przez nią przepuścić wodę. Lecz taka straszliwa zerwała się burza, że pierwszy nie mógł w pole utrzymać piasku, który wysypawszy się, utworzył na tém miejscu górę; a zaczęła robotę drugiego zawałiła ogromna skała, która zsunęła się z okolicznych szczytów. Ani jeden ani drugi nie otrzymali zatem ręki księżniczki, która na całe życie została panną.

Między lesistemi górami położonemi nad Derbentem, o pół mili od tego miasta, na południowej jego stronie, w niewielkiej skalistej grocie otoczonej odróżniającemi się zdaleka rozłożystemi i wyniosłemi klonami, obrała sobie niegdyś mieszkanie dziewica, albowiem w tém miejscu widywała zawsze jednego świętego młodzieńca, do którego uczuła nadzwyczajną miłość. Życie swoje samemi leśnemi utrzymując płodami, przepędzała jedynie na nieustannych i najgorętszych modlitwach do ubóstwionego kochanka. Nareszcie gdy raz błagała go z niewypowiedzianą boleścią, ażeby swoją świętą siłą ukrócił jej życie, które stało się dla niej niepodobną już do przeniesienia męczarnią, gdyż z nim jako z świętym, nigdy połączoną być nie może, zamienioną została w kamień, a z jej dziewiczych piersi wytrysło źródło. Dotychczas kształt kamiennych piersi zachowuje się na ścianie w wydrążeniu groty, która napełniona jest wodą; a różnobarwne kawałki, które wydzierają sobie z sukien bogobojni przechodniowie, wisząc po otaczających gałęziach i krzakach, oznaczają mogiłę świętej.

Jak wszędzie na Wschodzie, gdzie przepisami towarzyskiego życia są ustawy Koranu, tak podobnie w Dagestanie kobiety jednakowego doznają poniżenia. Masz szanować swoją żonę i wypełniać względem niej wszystkie obowiązki; ale ponieważ ona jest niższą od ciebie, a dodaną ci dla potrzeby i wygody, powinieś ją trzymać w posłuszeństwie. Jeżeliby zaś wyłamwała się z pod niego, powinieś ją napominać, a jeżeliby i to nie pomogło, możesz ją wybić lub wypędzić. Za niewierność przeciwko tobie możesz ją zabić. Oto jest treść tych przepisów, pod którymi zostają kobiety. Prócz tego, kiedy tu mężczyzna zajmuje się tylko wojną, koniem, bronią i uprawą roli, a w wolnych od tych zatrudnień chwilach oddaje się zabawie z towarzyszami, lub ulubionemu kiejfowi, siedząc po całych godzinach z lulką i wpatrując się w góry; to kobiety ciąglą zajęte są pracą, nie mając prawie chwili wypoczynku, a przytém żadnego prawa do jakiegokolwiek [rozrywki lub zabawy. Noszą wodę i drzewo z lasu, gdy tylko grubsze sztuki wywozi z niego mężczyzna, gotują i pieką czurcki, tojest chleby; jeżdżą do młyna i mielą same; chodzą nad rzeki i do źródeł dla prania; szyją swoim mężom wszelkie ubrania i suknie, wyjąwszy trzewików i czapek; chodzą koło wszelkiego domowego bydła. Obowiązkiem ich jest także wytępienie i smarowanie gliną ścian, podłóg i dachów; robienie kiziaków z bydłowego gnoju i słomy, gdzie one zastępują drzewo; słowem: wszelkie inne zatrudnienia tak koło gospodarstwa, jak i całego domu. Pomagają nadto mężom we wszelkich zatrudnieniach rolnych, w kopaniu ogrodów, żniwie, zbieraniu, zwożeniu zboża i siana, młóceniu i t. p. One także zajmują się hodowaniem jedwabników jak i przedzeniem jedwabiu; także wyrabianie płócien, sukien, jedwabnych tkanin, dywanów, do nich również należy wyłącznie. Wprawdzie u bogatszych, mianowicie w posiadłościach dziedzi-

cznych, gdzie zamykane są w haremach, mają oddzielne pokoje i służących, otoczone są wygodami, a nawet pieszczone niekiedy jak cacka, zajmują się jedynie szyciem; ale u biedniejszych, a mianowicie w wolnych i uboższych gminach nie ma tak grubego zatrudnienia, któreby nie było wyłącznym ich obowiązkiem, a wybór którego zależy jedynie od woli męża. Do jakiego stopnia nadwreżonemi są ich siły, można widzieć uderzające przykłady. Spotyka się nieraz mężczyznę jadącego konno bez żadnych nawet juków, które przewieszają przez konie, gdy jego żona niosąc pęk uzbieranego w lesie drzewa lub inny jaki ciężar, biegnie przed koniem, nie mogąc wydołać mu w chodzie. To obciążanie ich wszelką najgrubszą pracą, a po wszystkich okolicach powszechnie, wpływa na ich powierzchowność tak w wątłych i wynędzniałych postaciach, w prędko marszczących się, czerniejących i starzejących się twarzach, jak i w ich oberwanych zwykle i nieochędożnych odzieniach. Typowe więc ich piękności nawet zacierają się pod tą barwą wynędzniałości i brudu, tak, że ogólny pozór dagestańskich kobiet niebardzo wiele przedstawia wdzięku, a nawet obudza największą czasem odrazę. Po niektórych także wsiach położonych bliżej granicy niepodległych Rosyi krain, jak to między innymi w Cudacharze i Kumuku, można widzieć publiczne sprzedawanie niewolnic. Z powodu jednak zmienionych stosunków między sąsiadującemi plemionami, które obecnie nie prowadzą wzajemnych między sobą wojen, a więc i niewolników nie posiadają, zwyczaj ten nie jest rozpowszechnionym, a zachowuje się więcj prywatnie. Niewolnice sprowadzają najczęściej podróżujący do Mekki z Turcyi, Persyi i Arabii, zkad także pochodzą murzyni, jakich do usług zakupuja czasem bogatsi mieszkańcy Derbentu i Kuby. Rząd cesarsko-

rossyjski dla ukroczenia władzy panów nad temi nie-  
szczęśliwemi, wydał już niektóre ustawy.

Między karami używanemi na kobiety za niewier-  
ność, za którą zrzucają je ze skały lub topią zaszyte  
w skórzanym worku, albo téż palą, zachował się tu  
jeszcze odwieczny, w piśmie Starego testamentu wspo-  
minany zwyczaj kamienowania. Między 1840 a 1850 ro-  
kiem ukamienowano kobietę w Kumuku, a według opo-  
wiadania naocznego i wiarogodnego świadka, obrzęd  
ten odbyć się miał następującym sposobem. Mułta  
z dachu meczetu wzywając imienia jedynego Boga i jego  
proroka, ogłasza o mającej nastąpić karze, jaka ma  
być wypełnieniem świętego prawa Koranu, któremu  
powinien być posłuszny każdy wierny, oznaczając za-  
razem czas według wysokości słońca, albo po jakiejś  
obwołanej przez miuezzina modlitwie, jak również  
miejsce, które obieraném bywa za wsią. Lud znosi  
natenczas kamienie, które uktada na jedną gromadę.  
W towarzystwie kadięgo, mułty i sędziwych starców,  
którzy zebrani w dywan, radę, poprzednio potwierdzili  
wyrok, jak również krewnych tak oskarżającego jak  
oskarżonej, ukazuje się ofiara w najbrudniejszych jakie  
tylko posiadała szatach, gdyż innych jest niegodną,  
a przytém z zakrytą twarzą, ażeby ohydnością napię-  
tnowanej na niej zbrodni nie raziła czystego wzroku  
wiernych. Skoro stanęła przy usypanych kamieniach,  
kadi albo mułta mniej więcej w takiej przemawiają  
treści: Jeden jest Bóg i jeden jego prorok Mahomet,  
a mądrą i straszliwą jest jego sprawiedliwość. O! nie-  
szczęśliwy ludu, musiałeś wielkie popełnić grzechy,  
kiedy pośród ciebie stała się tak niestychana zbrodnia,  
za jaką nie ma przebaczenia na ziemi, a w niebie zgo-  
towane jest piekło. Jeżeli jesteście prawowierni,  
powinniście pomścić złamane prawo świętego Koranu,  
a oczyścić siebie z grzechu, którego stałibyście się  
zarówno winniemi, gdybyście go nie ukarali. Niechaj

więc każdy, który z was nazywa się wiernym, podniesie rękę na tę zbrodniarkę, ażeby ją ziemia nosić przestała, ażeby swoim obliczem nie kalala światłości słonecznej, ażeby jej dusza wypędzona z nieczystego ciała, poszła na naznaczone miejsce. Lękajcie się straszliwego gniewu i sprawiedliwości Boga, zaczynajcie!... I po tych wyrazach pierwszy rzuca na nią kamieniem, a za jego przykładem czynią to samo naprzód starcy i krewni, a następnie tłum cały. Najdzikszą i najswobodniejszą zaciętością, ażeby najstraszniejsze i najdotkliwsze wymierzać ciosy, odznaczają się dzieci, gdy kobiety przyglądają się temu przerażającemu widokowi rzadko z rozczeniem i litością, a najczęściej z udanym albo też prawdziwym oburzeniem, jakie w nich obudza karana tym sposobem wina. Za pierwszymi uderzeniami mierzonymi w głowę i piersi, chwiejąca się ofiara, wydając ciężkie tylko i tłumione jęki, pada nareszcie na ziemię; potem grad kamieni nie przestaje sypać się na nią, zadając jej coraz nowe ciosy, pod którymi nieszczęśliwa w najstraszniejszych tarza się konwulsjach, potoczonych z takimi bolesnymi lecz coraz cichszymi jękami, że te same kamienie zdaje się zmiekczyćby się niemi zdołały. Cała przygotowana poprzednio gromada kamieni przenosi się na jej ciało, służąc mu za mogiłę, która przytém wieczną pozostaje pamiątką na świadectwo dopełnionej w tém miejscu owej najstraszliwszej kary.

Najsurowsze może ze wszystkich zwyczajów, ograniczające i utrudniające wszelkie zbliżenia się mężczyzn z kobietami, po wszystkich okolicach z większą albo mniejszą czystością, przestrzegane są jednakowo. Najbliżsi tylko krewni mają dozwolony wstęp do haremów, wszyscy inni mężczyźni widują tylko kobiety na weselach, w gościnie, gdy one im ustępują, na ulicy i koło domu, przy wspólnej pracy w polu; a najczęściej i jakby na obronę dla

tego miejscu, przy źródle z którego one czerpią wodę, a gdzie schodzą się każdego wieczoru i rana. Przy takich wprawdzie spotkaniach zawierają się nieraz znajomości i wzajemne porozumiewają uczucia; ale przemówienie choćby najmniejszego słowa a tém bardziej dotknięcie się szaty kobiety, choćby nawet najłżejsze i przypadkowe tylko, czego szczególnie przy tańcu wystrzegać się powinien mężczyzna, uważane są za największe ubliżenie, jakie tylko wyrządzić można kobiecie. Wbrew także wszelkim europejskim zwyczajom, za największą poczytałby sobie obrazę mąż, gdyby był zapytany o zdrowie swojej żony lub córki, a tém bardziej, gdyby ktoś ośmielił się uczynić mu jakąkolwiek uwagę o ich piękności; przyjętém jest tylko zapytanie, mające znaczenie: jak się ma dom. Rzadko też wszelkie podobne wydarzają się przekroczenia, gdyż dopuszczający się jakiegokolwiek z nich, musiałby zapłacić życiem, albo lękać się o jego stratę, narażając się na zemstę od któregośkolwiek krewnego obrażonej, a nawet każdego ukrytego jej wielbiciela lub narzeczonego, gdyż każdemu wolno jest stanąć w jej obronie.

W jednej wsi Kajtach, Mirago, gdzie pewien czas przemieszkiwałem, należąc do pułku mającego w niej tymczasową główną kwaterę, pewien młodzieniec spotkawszy na polu córkę sąsiedniego gospodarza, za zbliżeniem się do niej, przemówił kilka jak powiadano nieprzyzwoitych i obrażających jej wstydlivość wyrazów. Przełęczona dziewica wpadłszy z krzykiem do domu swego ojca, opowiedziała zdarzenie; a natychmiast jej bracia, zebrawszy swoich kunoaków, przyjaciół, wszyscy uzbrojeni w pistolety i gwintówki, pobiegli na odszukanie winowajcy. Dom, w którym się ukrył otoczyli naokoło. Poruszyła się cała ludność wioski: ze wszystkich stron zbiegali się ulicami uzbrojeni obrońcy to jednej, to drugiej strony;

zamieszanie i krzyki wzmagaty się coraz więcej; a przyszłoby niezawodnie do krwawego boju, w którym padłyby niejedne ofiary, gdyby nie zostało wystane wojsko, za którego nadejściem rozeszły się tłumy. Sprawa jednakże przerwana, ale nie ukończoną została. Przestępca długi czas potem wszelkimi sposobami musiał się chronić przed ścigającą go zemstą, uwolniwszy się od niej dopiero znacznym okupem pieniężnym, który krewnym obrażonej zapłacił. Następujące jednak zdarzenie, które między krajowcami a oficerami rosyjskimi miało miejsce, zakończyło się daleko smutniej; co tem bardziej nastąpić musiało, iż zabicie niewiernego, chociaż ściągając na siebie karę od panującego rządu, dla wyznawcy Koranu jest zasługą, osiągniętą nagrodę raju. Dwóch oficerów rosyjskich przejeżdżając z jednego osiedlenia wojskowego do drugiego, zajechali w gościnę do jednego znajomego sobie beka, mieszkającego we wsi, która znajdowała się po drodze. Przy wspólnej biesiadzie, do której należało także obficie wino, w czasie wesołej i otwartej rozmowy, jak to powinno być między zażyłymi i prawdziwymi kunakami, pozwolili sobie zwracać niektóre żarty na osoby żon gospodarza, których miał kilka. Przestrzegali ich prośbą, żeby podobnych żartów zaprzestali, przekładając zarazem, iż one nie tylko podług poważanego przez jego współwyznawców zwyczaju sprzeciwiają się przyzwoitości, lecz nadto go obrażają: ci jednak z tą samą lekkomyślnością bawili się dalej. Dopóki zostawali w progach przyjmującego ich domu, święte prawa gościnności, niedozwalające gościowi najmniejszej wyrządzić krzywdy, strzegły ich od zasłużonej zemsty; ale skoro byli w połowie dalszej swojej drogi, w której towarzyszyli im także gościnny bek z synem i dwoma nukierami, oba padli jej ofiarą. Konie ich tylko przybiegły do miejsca, do którego dążyli, a ich samych znaleziono skrwawionych i rozcią-



gniętych na drodze i zabitych wystrzałami. Bek z synem unikając sądu i kary, uciekli w góry.

Patryarchalne rzędy w rodzinach, według odwiecznego zwyczaju zachowują się po wszystkich okolicach Dagestanu: żony i córki uważane są prawie za własność, a synowie zostają pod nieograniczoną władzą ojca, któremu nadto największe winni są uszanowanie. Syn przemawia do ojca: ty; ale wchodząc do jego izby nie wolno mu jest oddalić się od progu, a tém bardziej usiąść, dopóki nie otrzyma pozwolenia. Zwykle usługuje mu we wszystkiém, jak również i gościom, a zarazem wszystkie jego rozkazy wypełnia nieodwołalnie. Ojciec wszelką nad synem wymierza sprawiedliwość; a nie ma tak surowej kary, choćby nawet śmierci, za którąby odpowiadał przed szariatem lub adatem. Z jaką surowością, po niektórych okolicach, ojcowie prawiczych używają, postłużyć może następujący przykład. Jeden z współtowarzyszów moich, oficer tego samego pułku, do którego należałem, w wspomnionej wyżej wsi Mirago miał kwaterę u jednego mieszkańca, nazwiskiem Askadin, owdowiałego starca, mającego jedyną córkę i jedynaka syna. Nazywali się wzajemnie kunkami, a słowo to nie daremne miało znaczenie, gdyż zawiązała się między nimi prawdziwa przyjaźń. Towarzyszowi memu jednej nocy ukradziono ze stajni wierzchowego konia. Starzec według świętych praw gościnności i przyjaźni, poczytując sobie za obowiązek strzeżenia nietylko osoby swego przyjaciela, lecz najmniejszej jego własności, z początku chciał stratę wynagrodzić pieniędzmi; lecz gdy pomimo nalegań odmowną zawsze otrzymywał odpowiedź, postanowił wynaleźć konia; a jeśliby i to się nie udało, odkryć przynajmniej złodzieja, ażeby mu krwią tak za obrażony dom swój, jako też za krzywdę przyjaciela zapłacić. Pomimo długich poszukiwań, które po wszystkich czynił okolicach, konia jednakże wynaleźć nie mógł; ale po śladach

przekonał się, że ukradł go jego własny szesnastoletni syn. Jednego dnia, ze łzami w oczach, z wybladłą i z cierpiącą twarzą, wszedł do izby swojego przyjaciela i gościa, a bolesnym i drżącym głosem przemówił: „Nie znalazłem twego konia, ale zemściłem się na nikczemnym złoczyńcy: już nie żyje. Był to mój własny syn; zaprowadziłem go do lasu, przywiązałem do drzewa i zastrzeliłem jak psa.” Kiedy usłyszał narzekania mego towarzysza, wyrzucającego mu przytém jego postępek, odpowiedział z pewnym oburzeniem i mocą: „Był to prawda zuch wielki, nie jednego już ukradł konia i zebrał sobie pieniądze; ale to nie był mój syn, bo jak pies dom mój znieważył, a więc zabiłem go jak psa: takim jest Adal.”

Świętém jest także wszędzie poszanowanie starszych. W gościnie piérwsze im zawsze przeznaczają miejsce; należą do wszelkich narad, a ich zdanie jest przeważającym; wybierani są zawsze w posłannictwo do władców, jeżeli o wspólną idzie sprawę, a wszelkie ich pokrzywdzenie daleko surowiej jest karaném. Gdy zbyt niém obciążeni wiekiem, nie mogą już zapracować na siebie, ani żadnemi służyć siłami, a nie posiadają rodziny któraby ich utrzymywała, zostają na opiece i utrzymaniu wszystkich mieszkańców swojej wioski, gdy nadto kadiowie i mulli część swoich dochodów odstępować im powinni. Najczęściej widzieć ich można zebranych i siedzących pod ścianami meczetów; wtedy ich rozmowie przysłuchują się stojący młodzieńcy, a dzieci bawią się naokoło.

Prawa gościnności, tak powszechnie uznanéj na Wschodzie, a zarówno po całym Kaukazie jak i Dagestanie szanowanéj, którój wybitniejsze rysy z wyżéj przytoczonych przykładów i podań poznaliśmy już w części, potrzebują jeszcze niejakiego objaśnienia. Wierny czy niewierny, najzaciętszy wróg nawet, któremu należy się zemsta, używa ich zarówno. Gość

jest postanym od Boga i sprowadza błogostawieństwo domu; dach więc i ognisko nigdy odmówioném mu być nie może. Gospodarz strzeże życia i wszelkiej jego własności, a w razie potrzeby własnymi zastaniać je powinien piersiami. W niebezpiecznych, od nieprzyjaciela zagrożonych miejscach, sam w uzbrojeniu i ze sługami utrzymuje dzień i nocą nieustanną straż koło domu, w którym gość się jego znajduje. Wszelka własność uważaną jest jako należąca się gościowi; powinna więc być mu oddaną, skoro tylko jój zażąda, albo tylko pochwali: przyzwoitość jednak i znajomość wzajemnej grzeczności ograniczają jego upodobania. Uczyniony podarunek berzkierz, obowiązuje do wzajemnego, który jednak nie zaraz zwróconym być powinien, lecz przy odpowiedniej zręczności, lub najwłaściwiej przy odptacaniu się taką samą gościnnością w domu; nigdy jednak nie powinien być mniejszej, a zawsze równiej przynajmniej wartości. Jeżeli gospodarz, chcąc uczyć swojego gościa, bez wszelkiego jego przymówienia się, sam ofiaruje mu berzkierz, ten nietylko należy przyjąć i odptacić się wzajemnym, ale nadto samo jego nieprzyjęcie wtenczas uważałoby się za pogardę, a więc i za najmocniejszą obrazę. Lecz skoro tylko gość opuścił progi chaty jak również wieś, w których przyjętym został, można sobie z nim postąpić według wszelkiego upodobania.

Trzy rodzaje przywitania się przy każdym spotkaniu, rozmaicie są używane. Sa-lem-malejkum, mówią między sobą tylko muzulmanie, to jest prawowierni; a byłoby zupełną nieznanomością ich zwyczajów i pojęć, gdyby w tenże sam sposób witał się z nimi niewierny; gdyż nieczystymi ustami skałałby tylko świętość tego religijnego słowa. Nie mogłem się dowiedzieć jego znaczenia, chociaż zapytywałem się najuczciwszych wyznawców Koranu, którzy czyło przez poszanowanie tajemnicy, czy przez najprawdopodo-

bniejsze nierozumienie, odpowiadali mi tylko, że to jest słowo arabskie, a jedynie tylko prawdziwym prawowiernym służące. Chosz-gieldi albo Koszkieldi, od wyrazów giel isó i di ty, znaczące jak ci idzie, jak również Kiejj-jakszy albo jakszykiej, od wyrazów jakszy dobry i znanego nam kiejj, znaczące dobrego zdrowia, albo dobrego, miłego używania lub tym podobnie, może być użytém przez każdego. Nie mijają się ani spolykają z sobą żeby tych powitań nie zamienić; gdy poufalsi podają sobie przytém dłonie, nie świadcząc sobie jednak żadnych innych uścisków ani pocałowań, które u Europejczyków uważają za dziecinną śmieszność.

Kunak znaczy przyjaciela, dla którego wszystko poświęcić należy. Między kunakami zawiera się czasem umowa, którą na pismo Mahometa, położywszy na niém obnażone kindżały lub szaszki, najuroczystszą potwierdzają przysięgą na całe życie. Wtenczas między niemi wszystko jest wspólném, a w każdym zdarzeniu tak w pokoju jak na wojnie, powinni się wspierać i bronić wzajemnie, nie szcędząc żadnej własności, krwi, ani życia. W czasie boju nieodstępni są towarzyszami; a unieść ciało poległego przyjaciela najświętszym jest obowiązkiem. Ażeby nie ściągnąć na siebie hańby, gdyby nie wszystko dla dopełnienia tego obowiązku uczynioném zostało, poledz nawet potrzeba. Widziano też nieraz takiego zaprzysiężonego, rzucającego się na najgęstsze szyki nieprzyjaciół, pośród których ciało jego towarzysza zostało, a dokazującego cudów waleczności i poświęcenia się bez granic, ażeby je zdobyć. Unosi je czasem gdy lysiące jeszcze śoiga go strzałów, ale najczęściej niepohamowaną odwagę przyptaca niewolą lub życiem. Osierocona rodzina po poległym czy umarłym należy do pozostającego, który winien jój wszelką opiekę i utrzymanie,

uważając ją za własną. Krzywdy także są wspólne i za nie mścić się należy wzajemnie.

Tyle razy już wspominiana zemsta krwi ma także swoje nienaruszone ustawy. Ściga nie tylko winnego, ale zarówno każdego z członków jego rodziny do najdalszego pokolenia. Ten za zhańbionego byłby uważanym, któryby jej nie dopełnił. Przechodząc z jednej rodziny do drugiej, dopóty zabiera swoje ofiary, dopóki ich tylko wystarcza; albo też nareszcie za wstawieniem się przyjaciół i starszych zakończy ją umowa, mocą której pokrzywdzony otrzymuje okup w podarunkach lub pieniądzach, czując się zarazem uwolnionym bez niestawy od dalszego poszukiwania obrazy. Aby tylko zgładzić przeciwnika orężem, używając wszelkich sposobów i z każdego korzystając zdarzenia, wolno jest napadać w otwartym boju, przemagającą zebrawszy siłę, albo czatując z ukrycia, choćby nawet w ciemności nocy. Najczęściej chcący uniknąć tak otwartej jak i podstępnej zemsty, ratuje się ucieczką do innej wsi lub okolicy, które przyjmują go pod swoją opiekę, a nawet obowiązane są bronić; ale naraża przez to porzuconych członków rodziny na śmierć, która jemu się należała. Niegdyś całe plemiona za zabicie jednego mieszkańca, zemsty krwi dochodząc wzajemnie, przez przeciąg wielu lat nawet najzaciętsze między sobą staczały walki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

**ROMANSE I POWIEŚCI J. DZIERZKOWSKIEGO.**

PRZEZ

A. A. K.

*Kuglarze.* 1845. — *Powieści z życia towarzyskiego.* (Brat, Obrazek Hogartowski. Płacz i śmiech. Uśmiech szyderyczy. Lekarz magnetyczny. Zemsta p. Bolesty. Jutro). 1846. *Obrazy z życia i podróży.* (Przywłaszczone reputacje, Suknia balowa, Hogartowskie obrazy. Wieśniak podolski. Stłuczone okno. Bałe na wsi. Przez ulicę. Dwa zdybania. Rezydent. Stary leśniczy. Nowy Rok). 1846. — *Dla posagu.* 1847. — *Salon i ulica.* 1847. — *Skarbiec.* 1856. — *Król dziadów.* 1856.

Spis romansów i powieści p. Dzierzkowskiego powyżej zamieszczony nie jest kompletny; że jednak wszystkie te utwory, z wyjątkiem kilku podrzędnych, odznaczają się rzadką prawdziwie u romansopisarzy naszych jednością myśli głównej, tego co się stanowiskiem albo dążnością nazywać zwykło; że obok tego, pomimo kilkunastu lat odległości pomiędzy pierwszym z nich i ostatnim, nie widać żadnej różnicy w ich formie: mniemam przeto, iż niezajomość innych prac autora nie narazi mnie na ważne uchybienia w ocenieniu ogólném, jakie tu podać zamierzam.

Ogólne ono być musi bez wątpienia, gdyż rozbiór każdej powieści z osobna, jak z jednej strony wymagałby pracy przechodzącej obszernością swoją zwykle artykuły tego pisma, tak z drugiej byłby nużącym dla czytelnika z powodu jednostajności, jakaby się na nim koniecznie od samego rozbieranego przedmiotu odbiła; dodajmy wreszcie, iż znuzeniu takiemu nie ulżyłby szczególny tegoż przedmio-

tu interes, gdyż p. Dzierkowski bardzo ma niewielką u tutejszej publiczności wziętość.

Główną myślą największej części romansów i powieści p. Dzierkowskiego jest wykazanie moralnego zepsucia i unmysłowėj nicości wyższej szlachty naszej w Galicyi, tam bowiem jest scena wszystkich niemal wydarzeń przez niego opowiadanych. Najmniejszej dbałości o interes kraju, gruby egoizm, trwonienie dochodów na próżną wystawność, na rozpustę, grę, wyścigi i bezużyteczne za granicą włóczęgi, przesadzone o swėj rodowėj zacności rozumienie obok grubijańskiej wzdgardy dla klass pracujących: taką się przedstawia w jaskrawych choć wcale nie kunsztownych malowidłach autora ta klasa, która czoło naszego społeczeństwa stanowi; ba i gorszą jeszcze! Nie wszystko tu powiedziałem: egoizm i pycha, inarnotrawstwo i rozpusta nie wyłączają wszakże pewnych zalet serca i unmysłu; można obok nich mieć honor, odwagę, poruszenia sprawiedliwości i litości na widok krzywdy i nędzy bliźniego, a samo wygórowane rozumiowanie własnej wyższości, przy nalogach wytwornego życia, mogłoby i powinno by od ostatecznego przynajmniej wstrzymać poniżenia. Niestety, wielkoświatowi i tytułowani pana D. bohaterowie, odarci są nawet z tych resztek pańskiego decorum, mogących chociażby tylko od jawnej pogardy zasłonić i trochę politowania obudzić. Któż będzie się litował nad brudną, zadnego upodlenia nielekającą się chciwością, nad samolubstwem zbrodniczym, traktującym zuchwale nozciwość, cnotę, exystencyą całą ludzi ubogich; kto nie pogardzi tchórzostwem, kłamstwem, przedajnością i szalbierstwem? Tu ojciec z synem najmują prostych złoczyńców, aby świadczyli na ich korzyść dla zagarnięcia spadku po krewnej, a jednocześnie spiskują przeciwko bratu celem usunięcia go od wszelkiego w tym spadku udziału; tam znowu inny ojciec układa się z wierzyoielom o wykradzenie przez tego ostatniego własnej swėj córki, a to za skassowanie długu, i w sekrecie przed córką i przed poczciwą żoną stosownie z pomocą żyda czyni przygotowania; tam zrujnowany magnat oszukuje bez ceremonii żebraka, który mu trochę zbieranych pieniędzy pożyczył; indziej żona przy pomocy kochanka dęczy bezczelnie i okrutnie swojego męża, który

jest tegoż kochanka bratem rodzonym, a to aby wydrzeć majątek na korzyść syna nieprawego związku; dalej młody rozpustnik wysokiego rodu, syn ojca szulera i szalbierza, uwodzi zakochaną w nim dziewczynę udaniem ceremonii ślubu, rzuca i za dług towarzysowi chce odstąpić; następnie wypoliczkowany publicznie przez brata uwiedzionej rzemieślnika, zmysły prawie traci na widok wymierzonej, lufy; znów piękna i bogata dziedziczka, panna młodziutka..... Ale nie: dosyć już tego.

Rzecz bardzo naturalna, że zdziwienie i zgroza są przeważającymi uczuciami, jakich się przy czytaniu podobnych historyj doznaje; a najpiérwsze, najsluszniejsze pytanie czytelnika musi być to: czy być może, aby to wszystko było prawdą, aby brudy podobne po naszej gładkiej powierzchni towarzyskiej pływały? A dalej: czy to swobodnej twórczości są dzieła, czy może szereg pamfletów przez nieubłaganą jakąś nienawiść natchnionych? Czy ten język gwałtowny, porywający niekiedy zapale.n oburzenia, jak gdyby jakieś mowy francuzkich klubistów z końca wieku przeszłego; czy ten język rzeczywiste wypadki wywołały, czy też tylko urojenia niechęci, poddmuchy zazdrości drażnionej? Czemuż w takim razie złość i potwarz zgromioną nie została tam, na miejscu, gdzie jej pociski najdotkliwiej obrażać mogły? Czemu się żaden głos poważny w obronie oczernionej wyższej warstwy społecznej nie odezwał? Miałoby to być lekceważenie? Zapewne: czująca swą godność i dobrze ugruntowana w opinii narodu reputacya może karać milczeniem jakiś pojedynczy zamach potwarczy, jakiś paszkwil bezimienny; zwrócenie nań uwagi zaszczytby mu przyniosło, do rozgłosu upragnionego dopomogło. Ależ tutaj to nie pojedynczy zamach, to atak systematyczny; nie pisemko z ciemnego kąta przez anonima rzucone, ale liczny szereg utworów literackich dość obszernego wymiaru, w ciągu lat kilkunastu po sobie następujących, nie bez talentu, nie bez ognia pisanych, opatrzonych jak należy, niezmyśloném nazwiskiem autora. Autor ten, nie należąc do bardzo popularnych, jest przecież znany i czytany; w wiadomościach i wzmiankach z pism galicyjskich słynie owszem jako „znakomity powieściopisarz.”



Przymiotnik ten, jakkolwiek nie wiele dziś znaczy, nagany przecież nie wyraża.

W takim stanie rzeczy osobliwie jest trudne i delikatne zadanie krytyki. Wychodzi ono oczywiście poza sferę właściwej dyskusyi literackiej; wyższych sięga, ważniejszych i boleśniejszych stron życia. Nie ma człowiek humoru do porządnego rozprawiania o wartości pomysłów twórczej wyobraźni, o oryginalności lub naśladownictwie, o zaletach i wadach kompozycyi, stylu i t. d. w obec takiego ogromnego aktu oskarżenia, budzącego najsmutniejsze wątpliwości, poruszającego najgroźniejsze pytania; tak jest: wątpliwości i pytania, któremi nie zwykliśmy się zaprzątać. Życie u nas, przy całej wrodzonej otwartości naszej natury narodowej, było rzeczywiście po wszystkie czasy i jest dzisiaj mniej publiczne, daleko mniej publiczne niż w społeczeństwach na zachód od nas siedzących. Publiczność jest to w rozumieniu mojem dostępność osób i ich uczynków dla świadomości i sądu ogółu, a więc środki, a więc zwyczaje, obyczaje i instytucye tę dostępność ułatwiające; dalej, rzeczywiste wywieranie się i skuteczność sądu ogółu, a wreszcie, co już koniecznym jest następstwem, uznanie i poszanowanie onego przez osobistości pojedyncze.

Takiej publiczności nie mieliśmy i wtedy, kiedy ją, jak się zdaje, mieć było można łatwiej niż gdziekolwiek; takiej naturalnie i dziś nie mamy, gdy tymczasem na Zachodzie wyrobiła się ona prawie całkowicie, nawet tam, gdzie system rządu ogranicza swobodę mowy i prasy w materjach polityki i wyższej administracyi. Charakterystyczną bowiem cechą staropolskiej społeczności, tak jak się wykształciła i ustaliła od wieku XVIgo, jest zupełnie bezprzykładne poszanowanie dla osobistości i nierozdzielne z niem lekceważenie pewnych idei ogólnych, czyli abstrakcyj, które się żadną miarą przy takim wygórowaniu znaczenia indywiduum ostać nie mogły. Skutkiem tego poszanowania dla osobistości wyrobiła się szlachetna obyczajowość nasza i wytworny ton towarzyski, ale za to... za to czegoś innego zabrakło. Tylko u nas indywiduum (ma się rozumieć rzeczywiste, politycznie uprawnione) potrafiło, stanąwszy całą swą wagą na szali wypadków i interesów,

zrównoważyć a nawet przeważać drugą szalę, na której leżała abstrakcyja społeczna, ta abstrakcyja, co ją Liwiusz „najpiękniejszą rzeczą” nazywa, bez której nie pojmovaliby całkiem życia Scypiony i Grakhowie. Szlachcic madiarski tytułował się członkiem węgierskiej korony; szlachcic polski nie tytułował się wprawdzie, ale za to był rzeczywiście i z prawa ewentualnym następcą tronu. Cóż dziwnego, że następcy tronu używali czci i poszanowania należnego tak wysokiemu położeniu? Cóż dziwnego, że w konsekwentnym rozumieniu i stosowaniu zasady monarchicznej z prawa Bożego, nie mogli znosić sądów i nicowań ludzkich; że nie chcieli pozwalać, aby między nich i Boga, dozorczy jacyś, inkwirenci i sędziowie się wciskali? Cóż dziwnego wreszcie, że skoro to było interesem wszystkich uprawnionych i czujących się na siłach indywiduów, wyrodziło się i utrwaliło skutkiem tego wzajemne tolerowanie i delikatność wielka w traktowaniu osobistości? Wszelkie tedy zachciewki bezinteresownej lub interesownej nagany musiały się dobrze maskować, dobrze przykrywać szerokimi ogólnikami, aby wypowiedzieć jakiś sąd, wytknąć jakąś publiczną czy prywatną zdrożność. Biada śmiałkowi, który chciał się dać jasno zrozumieć:

Jeżeli szlachcic, pozwać jegomości;

Jeśli plebejusz, zbić go bez litości.

Publiczność przeto, według definicyi jaką dałem powyżej, nie mogła w takiej społeczności mieć miejsca; korzyściby nikomu nie przyniosła, chyba może abstrakcyi społecznej; ale ta ostatnia, właśnie że abstrakcyja jest a nie osobą, ujmować się za siebie nie zdołała.

Jako potomkowie naszych przodków, nie bardzośmy się od nich odrodzili, chociaż to nam powieściopisarze i moralisci niektórzy wyrzucają. Dotychczas jeszcze wielce jest u nas niepopularną śmiało wyrzeczona nagana i wszelkie głośne kompromitowanie osób wyżej położonych. Ale niedarmo znikło wyłączne uprawnienie jednej klasy; niedarmo zaczęła się formować pomiędzy tą klasą a niemową-ludem jakaś klasa pośrednia, niewiele wprawdzie znacząca, ale już do spostrzeżenia nie trudna; niedarmo też tratował nas ciężki bieg wielkich wypadków. Mamy dziś coś nakształt opinii, coś nakształt sądu publicznego, ale ten

jest wcale nie wszechstronny, niebardzo światły i szczególnie bojaźliwy. Nigdzie go też śmielój lekceważyć nie można. Inaczej się dzieje na Zachodzie, gdzie miano po jednym, a co najwięcej po kilku następców tronu. Nie kontentując się udoskonaleniem kryminalnej statystyki, skrupulatnie obliczającej wszystkie prawem się ująć dające występki, prassa peryodyczna wyciąga tam na słońce publiczności każdy występki po kolei; tak, że zaniem się policzy bezimiennie jako jedność w odpowiedniej gruppie rocznego wykazu, przypatrzą mu się wprzód wszyscy zblizka, nazwą go i opiszą tysiąc razy; musi figurować pod przęgierzem z drukowanej bibuły, dla całego świata widocznym. I nie mu nie pomoże świetny i dawny tytuł, wielka fortuna ani godność wysoka; przeciwnie, tém zawzięćiej przypatrywać się będą ludzie, tém głośniej i dłużej gadać, skoro zasłyszą nazwiska księcia, para lub ministra, majątnego przemysłowca lub prawnika, głośnego generała lub poety. Nie dosyć na tém: każda zdrożność na którą prawa nie wynalazły środka, czy to obraza moralności w zwykłym tego słowa znaczeniu, czy uchybienie honorowym wymaganiom według powołania, tradycyi lub sytuacji szczególnych, skoro tylko uwagę na siebie zwróci, skazane jest natychmiast na chłostę publiczną i niemilosierne przez tysiące różg przepędzone. Czytając obszerne relacye spraw kryminalnych i cywilnych procesów, gęste kolumny dzienników zalegające; czytając surowe a nieraz podejrzliwe i stronnicze sądy gazetarskie o konduicie ludzi wysoko położonych, drobiazgowie nicowanie każdego ich kroku, skwapliwe wywlekanie na jaw szczegółów prywatnego ich życia, przyzwyczailiśmy się do litościwego i pogardliwego ubolewania nad demoralizacją zachodnich społeczeństw. Cóżto za zepsucie, co za egoizm szkaradny, co za chciwość bogacenia się i używania, co za materyalizm; jakto tam wszystkie węzły rodzinne potargane, uczucia wyschłe;— maimona tylko panuje.

Czy społeczność utrzymując tę ścisłą, wszechstronną i codzienną kontrolę nad sobą, przyznając się głośnie do wszystkiego złego, obwołując je na świat cały z dodatkiem oburzenia i utyskiwań często przesadzonych, czy taka mówię społeczność poprawia się przez to i w ogóle lepiej na publiczności wychodzi? Czy też przeciwnie, pożyteczniej jest

dla obyczajów w szczególności i dla zdrowia społecznego w ogólności, ażeby osobistości tykana nie były, ażeby sąd publiczny nie tylko nie rozpoznawał prywatnych zdrożności, nie tylko dramatów domowego życia nie rozbierał; nie wglądał w to jak się małżeństwa kojarzą i jak potem żyją; co robią moi i jak swych dostatków używają; ale żeby się nawet niebardzo zaprzętał, albo lepiej i wcale nie zaprzętał sprawami, które już wyraźnie potrąciły o paragrafy kodeksowe? Czy nie lepiej, że o tych ostatnich wiedzą sobie prawnicy, a o wszystkich w ogóle niepięknym rzeczach, tylko małe koło znajomych, z czego po kraju co najwięcej niepewne chyba i sprzeczne rozchodzą się wieści? Czy nie zgodniej z pożytkiem ogółu i z chrześcijańską miłością, aby złe w ukryciu pozostało; aby nie czynić zgorzenia wyprawdzając je na słońce, nie zasmucać, nie kompromitować całych rodzin, całych klas towarzyskich publicznym piętnowaniem ich członków? Czy nie słusniejsza to rzecz szanować imiona, dobrą harmonią, spokój, przyzwoitość i inne delikatne względy?

Myślący czytelnik bez trudności zrozumie, że nie tu jest miejsce do probowania odpowiedzi na to pytanie, w całym znaczeniu wyrazu, przeważnie. Wypada mi atoli, nie przesądzając głównej kwestyi, wypowiedzieć część pewną opinii mojej, jako koniecznej do rzeczy potrzebnej, a mianowicie, że przy jawności sądu publicznego dwa niewątpliwe rezultata dają się osiągnąć: naprzód, że wieć zawsze kraj, jak się nieważna na swoim zdrowiu moralnym; powtóre, że złe musi się koniecznym od dobrego oddzielać, a dobre nawzajem od niego odosabniać i wyróżniać. I umyślnie dwóch tych rezultatów nie nazwałem korzyściami, chociaż mi się osobiście takimi wydają; nie nazwałem dlatego, ażeby w tak wielkiej materji, prawie w literaturze naszej niedotykaney, nawet co do drugorzędnych względów bez poprzedniego dowodnego traktowania nie decydować. To jedynie utrzymuję, że rezultata pomienione, korzystne czy nie korzystne, nie ulegają wątpliwości.

Wracam teraz do powieści p. Dierzkowskiego. Po tem co się wyżej napisało, mogę bez wielkiego zarumienienia wyznać poprostu, że strasznie mi się trudnym wydaje ocenienie moralnej wartości powieści w uowie będących. Mo-

zemyż my wiedzieć dokładnie, czy p. D. jest potwarcą, czy też spisuje tylko tak nazwaną kronikę skandaliczną? Coś z tego dwojga być musi. W zepsutej Francyi łatwo dojść pod tym względem fałszu i prawdy: informacyi co nie miara i każdemu dostępnych; ależ u nas jeżeliby się i znalazły sposoby sprawdzenia tych niepoehlebnych małowideł, to wcale nie łatwe, a może i nie zupełnie pewne.

W tém ciężkiem położeniu, gdzie się między potrzebą sądenia a niemożnością porządnego przeprowadzenia sprawy kłopotliwie pasuje, jedna jeszcze przychodzi mi uwaga, której nie odważam się wprawdzie brać za podstawę do stanowczego wyrzeczenia, ani jej w ogólności za takową nie podaję; zdaje mi się atoli że będzie w tém miejscu stosowną. Uwaga ta jest następująca: jak indywiduum niepoczuwające się do żadnych obowiązków wyższych t. j. ogólniejszych, żadnym szlachetniejszym nie poruszane interesem, wpada w pewien rodzaj moralnego i umysłowego zastoju, który stosownie do okoliczności tego indywiduum wewnętrznych i zewnętrznych, albo jest grubą powszedniością, albo w gorszy jeszcze stan, t. j. w zepsucie i przewrotność się wyradza; tak właśnie i z całemi warstwami społecznemi (podobno i z całemi społeczeństwami) być musi: gdzie nie czuć obecności wielkich idei, gdzie wielkich kierunków nie widać; tam prawdopodobnie życie moralne i umysłowe jest w wielkiem niebezpieczeństwie. Znane porównanie do stojącej i bieżącej wody daje się tu z wszelką zastosować trafnością: w pierwszej rozkład organicznych substancyj czyniący ją niezdatną do picia, i szkodliwe powietrzu wyziewy; w drugiej zdrowie, świeżość i orzeźwiający ich wpływ. Porównanie ztómwszystkiem nie jest to jeszcze równanie; ściśle rozumowanie nie byłoby tu właściwem; niech sobie czytelnicy sami ocenia i robią z uwagi powyższej jak najlepszy użytek; większego z mojej strony wydania sądu spodziewać się nie mogą.

Dla tego względu i dla innych jeszcze zdawałoby się zrazu najwłaściwszą rzeczą nie mówić o p. D., tak jak to się dotychczas podobno w Bibliotece Warszawskiej zachowywało. Ależ z drugiej strony milczenie takie byłoby, o ile to być może, bardziej jeszcze rażące niż utwory autora o którym dziś mówię. Jak to; jedyne pismo zbiorowe lite-

raturze głównie poświęcone, nie miałyby miejsca dla kilku uwag o romansopisarzu tak wytrwale tendencyjnym? To byłoby osobliwością wcale nie budującą. Jeżeli nie wiemy jak pytania rozstrzygnąć, to je przynajmniej ogłośmy; nie mogąc osądzić, rozważajmy, róbmy domysły i przypuszczenia: niech raczej powiedzą, że źle rozważamy, niż gdyby nas miano o obojętność obwiniać. Po takiem dopięro szczerem wyznaniu niekompetencyi a zarazem i obowiązku, mogą poprosić łaskawych czytelników, aby na wymotywowanych wyżej wątpliwościach poprzestać i tymczasowo za rodzaj opinji uważać je raczyli.

Zepsucie klasy najwyższej w narodzie jest wprawdzie głównym, lecz wcale nie jedynym tematem p. D. Sma-ganie jego bicz sięga i niżej: prowincjonalna zamożna i mniej zamożna szlachta nieosobliwie się też prezentuje w obyczajowem zwierciadle autora. Jeżeli życie wielk-swiatowe razi tam zgnilizną moralną: życie wiejskie razi nicością; próżno tu szukać wyższej jakiej dążności przez mi-łość publicznego dobra natchnionej, podniesienia umysłów ku objęciu stosunków ogólniejszych, ku polepszeniu bytu krajowego: dokola tylko drobiazgowość i bezbarwność. Napotyka się przecież w tej sferze u p. D. częściej niż w tańtej postaci szlachetne, wyższe, sympatyczne, tem mo-cniej na szarém tle odbijające, na których skupia autor wszystkie barwy jasne i łagodne, na jakie tylko zdobyć się może. Tu kobieta, wzór matek i żon, najtroskliwsza opie-kunka ludu wiejskiego, skromna, rozsądna, wyrozumiała, wolna zarówno od parafiańszczyzny i od wykwintności; tu dziewica z duszą anielską, ze skarbem dobroci i miłości w sercu, z urokiem wdzięku naturalnego w postaci i mowie; tam zacny obywatel, staroświecki trochę w życiu i obyczajach, nowoczesny w pojęciach, sądach i dążeniach; tam po-ważny ex-wojskowy niepokalanego honoru, energiczny, szczery, z uczuciami szlachetnemi i zdaniem śmiałym; tam wreszcie młody człowiek, co już dał dowody po-święcenia, u którego żywość wyobraźni i zapal uczuć nie wyłączają powagi charakteru i umysłu, ani czystości serca. „Kaźda niemal okolica, mówi p. D., ma taką jedną, czasem więcej takich osób, świadczących sobą i otaczającym je uszanowaniem najlepiej, że na wsi jest jeszcze wiara w cnotę,

a więc i grunt cnotliwy być musi. Zepsucie jak gąsienica przyłazi miłczkiem, ogryza listki, psuje kwiaty, czasem skarli lub skrzywi owoc, zeszpeci całe drzewo, ale pień zostaje zdrowy i cały; niechaj jeno jedna lub druga przyjdzie burza, deszcz i wicher splóczy lub otrząsie gąsienice, a drzewo ozdrowieje, bo ma jeszcze w sobie soki żywotne.”

No, to Bogu dzięki! i najchętniej temu wierzymy; szkoda tylko że w samém malowaniu osób i rzeczy p. D. nie a nie na ten ustęp nie zważał. Jego wiejskie towarzystwo jest zbiorem karykatur, w których, jak zwykle w karykaturach można prawdę znaleźć, ale nadzwyczaj zaciemnioną. Starsze kobiety wciąż tylko i bezustanku obgadują się i sobie nawzajem przycinają w sposób nader nie dwuznaczny; toż samo i panienki, które w każdym ruchu, w każdym otworzeniu ust mają na celu jak najprędsze pójdzie za męża, a więc oczernienie i ponizenie wszystkich przyjaciołek będących na przeszkodzie do tego celu, to jest mających także niepohamowaną i zawsze przytomną chęć do zameżcia. Mężczyźni również.... ale nie ma co o nich i wspominać: kolekcya głupców, próżniaków i marnotrawców z żydami szachrujących, albo najpustszych lalek źle naśladowujących wielki świat, co jest im zresztą wspólne z większą połową ich rodzaju. Gdzież ten zdrowy i cały pień, gdzież soki żywotne? Trzeba było, mniej ulegając, czy to przykrym jakim wrażeniem osobistym, czy w ogólności chęć do karykatury, być nieco zgodniejszym z sobą, a byłoby się sprawiedliwszym i prawdziwszym zarazem. Żaden sposób unyślonego nadwreżenia prawdy nie szkodzi jój tyle co przesada. Prosta to dosyć rzecz, iż wśród towarzystwa obcego wyższym interesom, a tém samém intelektualnemu ożywieniu, rozwija się i rozrasta wszelaki chwast powszedniej egzystencji, smutna i brudna strona żywota; ale jeżeliby to miało być u nas w tym stopniu jak p. D. maluje, to daremnieby już mówić o zdrowiu wewnętrzném— to byłaby już śmierć. Tymczasem wszystkie nadzieje nasze na tém, i na tém jedynie, jak dotychczas, spoczywają, że gruntowne umoralnienie indywiduum, któreśmy tylewiekowemu wpływowi chrystyanizmu wiani, stanowi balast naszego społecznego statku chroniący go od zatonięcia, rękojnią poprawy i ukształcenia w innych kierunkach, których nie rozwinęliśmy

ludh téż zwichnieliśmy je niebacznie (na jedno to dziś wychodzi). Otóż p. D., pomimo jeden rozdział w powieści „Dla Posagu” noszący tytuł *Wies wzorowa*, który zdaje się być raczej dokumentem jego życzeń i marzeń niżeli jego obserwacyi, i zbyt daleko od wszystkich innych obrazów odskakuje, p. D., powiadamy, nie pokazuje nam owego moralnego balastu, może nie dlatego żeby nie chciał, ale dlatego, że nie potrafił. Znacwa serca ludzkiego a zwłaszcza jego namiętnych poruszeń, które wprawdzie niebardzo zręcznie, ale w ogólności trafnie analizuje i uwydatnia, pisarz ten nie ujął wszelako ludzkiej natury w jój całym, dziwnie skomplikowanym organizmie. Z odczytania wszystkich wyliczonych na wstępie powieści powzięta tę opinię, iż autor nasz pojmuje przedewszystkiém ludzi, jak ich Francuzi nazywają, z jednej sztuki, nie koniecznie w tym sensie, żeby rozumiał, iż ich moralna natura zostaje w jednolitości swojej nieodmienną i nie pożyta, ale że nie dopuszcza tego współczesnego obok siebie występowania różnorodnych pierwiastków, albo ich chwilowej jednych nad drugimi przewagi, wszystkich tych niekonsekwencyi i mieszanin najrozmaitszych, z jakich stworzony jest ogół ludzkich charakterów. Dar sympatycznego objęcia i przedstawienia téj różnorodzywiądowej całości człowieczej natury, jest, według mniemania mojego, najwyższym kunsztem romansopisarza i dramaturga, wyższym niezawodnie i trudniejszym od najdoskonalszych chociażby malowideł pojedynczych i górujących cnót, przywar i namiętności.

Jeżeli, jak to widzimy, surowym jest p. D. sędzią wyższych, ukształcenszych i posiadających class społeczeństwa naszego, albo raczej prawdę mówiąc hurtem je potępia, za to bardzo wyraźną okazuje predylekcyą dla class niższych, nieoświeconych i pracujących. Tu odkrywa skarby niezmierne wszelkich uczuć szlachatnych, wszelkich piękności moralnych, które lubo dla prawdopodobieństwa pewną warstwą chropawej obyczajowości powleka, widać wszakże aż nadto wyraźnie że w tych ubogich, w ciemnocie pogrążonych massach upatruje nietylko stosunkową, ale bezwzględną lepszość naszego narodu. Cały jeden romans *Salon i Ulica*, jak to już z tytułu widać, poświęcony jest wyłącznie przeciwstawieniu rodowitości i gminności, bogactwa i ubóstwa, zbytku oburzającego i nędzy bolesnej. Po stronie rodowitości, boga-



ctwa i zbytku, znajdujemy zepsucie, nیکczemność, zbrodnią; po stronie zaś gininości i ubóstwa czerstwość moralną, szlachetność, cnotę, ba! nawet wysoką delikatność uczuć.

Znowu tedy, drugim nawrotem, wciągnięci jesteśmy przez p. D. w materyą delikatną, i z góry to widzę, że wybrnięcie z niej mało co jest łatwiejsze niż z tamtej. Wszak i tu daty raczėj są bardzo potrzebne niż dobrze wiadome. Sympatya dla mass jakkolwiek nieoświeconych i grubych, sympatya w właściwem tego wyrazu znaczeniu jest niezaprzeczenie obowiązkiem obywatelskim i chrześciańskim. O jedno atoli upieram się stanowczo, to jest ażeby dla dobra tego ludu, dla skuteczności tego wszystkiego, co się w tym celu mówi, pisze i robi, nie przeszkadzała nam sympatya do zupełnie spokojnego, do światłego, ściśle sprawiedliwego sądzenia. Uprzedzenia i wstręty osób rodowitych i możnych (o pysze i wzgardzie już nie mówię) względem gminu smutne na innie zawsze robią wrażenie; niechęci i wstręty ludzi z gminu przeciwko możnym smućą mnie i trwożą zarazem. Pierwsze pochodzą z braku światła, drugie są skutkiem rozbudzenia najgorszych namiętności, albo w lepszym razie następstwem fałszywych nauk politycznych i ekonomicznych. Dlaczego te fałszywe nauki znajdują przystęp do umysłów? Tu p. D. ma słusność po sobie apostrofując gorącemi wyrazy klasy wyższe: „Czyliż krzycząc na pospólstwo, drwiąc z jego głupoty i niewiadomości między smacznym obiadem a wesołym bałem wieczornym, między przechadzką a wizytą, między rannem uzbrojeniem się w strój a wieczorną walką zalotów, mają szczęśliwi czas pomyśleć o przyczynach téj głupoty i czyliż mają chęć zaradzenia onęj szczerze, nie powierzchownemi instytucyami, które mi się wydają jak angielskie plastrzyki przykładane do ran gangrenujących się, ale gruntownie wszedłszy w potrzeby (i wynagania?) tego pospólstwa, do czego trzeba częścięj porzucić wonne salony i zaglądać w plugawe pomieszkania ludu?”. Kto w taki sposób przemawia, powinienby, jak się zdaje, mieć zupełnie nieuprzedzony sąd o tych, za któremi przemawia. Tak jednakże nie jest. W całym prowadzeniu powieści *Salon* i *Ulica* tchnie jakieś dobrze naprzód powzięte postanowienie widzenia samych tylko wybitnie sprzecznych kolorów:

biało i czarno; żadnych przejść, żadnych cieniów. Mówi p. D. o cnotach ludu w pierwotnej ich postaci: takie zdania są widocznie mało obmyślane. Nie od pierwszego autora i nie-autora zdarzało nam się słyszeć podobne wyrażenia. Chociażby mię miano o pedantyzm posądzić, nie pominę ich bez rozbioru, bo na to są wyrazy, aby coś znaczyły i żeby wszystkiego razem i naprzemian nie znaczyły. Lud nieoświecony nie może mieć cnót, bo inaczej nie potrzebnaby mu była oświata. Widzimy w ludzkiej naturze temperament, skłonności, instynkta, zwyczaje i namiętności; cnoty są owocem moralnego i umysłowego ukształcenia; z natury swojej nie naiwne są, lecz rozumne. Tém mniej mówić można o jakiejś pierwotnej postaci cnót, co jest *contradictio in adjecto*, gdyż cnota jako rezultat pewnego procesu moralnego nie może mieć pierwotnej postaci. Jeżeli mieszanie, a przeto i zacieranie właściwych znaczeń wyrazów potrzebuje ciągłego i mocnego oddziaływania ze strony krytyki; jeżeli sam już pożytek języka czyli potrzeba jasności pojęć nakazuje nam wytykanie podobnych usterków, to mamy jeszcze nadto inną przeważną racją. Oto odwołujący się do cnót ludu nie spostrzegają tego, że się odwołują do dat, do sił niewiadomych. Skoro bowiem, jak to wyżej starałem się okazać, mało nam jest znana statystyka moralności klas wyższych, nie wycień podobno znamy statystykę moralności *mass*, choć to przedmiot nie tak drażliwy i głośniejszy o nim mówić i wyrażniejsze pisać można. Odwoływanie się tedy do sił niewiadomych, drzemiących w duszach milionów jest niebezpieczne, jak to wiemy z niedawnych doświadczeń. Po tych doświadczeniach należy ostrożnie mówić o cnotach pierwotnych ludu, szczerze mówiąc, nie wierzyć w nie wcale, tak jak w ogóle we wszelkie pierwotne cnoty ludzkie, szlacheckie czy gminne.

Co jest dobrego w ludzkiej naturze, to pochodzi najprzód (oprócz łaski Bożej różnie indywiduom udzielanej) z wiekowego wychowania religijnego, to jest wpływu nauk kościelnych na pokolenia; powtóre, z dobrych przykładów z góry (jak gdzie) i z szczęśliwego składu materialnych stosunków (także jak gdzie). Skutkiem działania długiego tych trzech czynników wyrobiło się to, co nazywamy

zwykle życiem ludu, a co właściwie jest tylko bytem ludu: tradycya, zwyczaj, nałóg, w których się ten byt zawiera i monotennie od wieków obraca. Dziś już podobno zanosi się na co innego; zaczyna się dla ludu epoka przejścia do rzeczywistego życia, przejścia bardzo bolesnego, które w jednych najsmutniejsze obawy i zwątpienia, w drugich przesadzone, a często niedorzeczne nadzieje obudza. Żle to, ani słowa, ale się tu nie wdamy w poszukiwania, dlaczego się lepiej nie stało. To pewna, że wyżej wzmiankowane trzy czynniki, użyte nie już tylko w specjalnym celu utrzymania ludu w posłuszeństwie domowem i w jakimś ograniczonym byciu za który wyjrzyć nie powinien, ale w celu podniesienia go, otworzenia mu wszystkich dróg życia, podania wszystkich sposobów exystencyi:—te trzy czynniki inogą bolesność i niebezpieczeństwo owego przejścia bardzo uniarkować. Trudniej to zaiste, niż dawniej było; tém szczerzej, tém energiczniej i bezinteresowniej trzeba się wziąć do pracy, z przybraniem notabene czwartego jeszcze czynnika, oświaty świeckiej, której głównym a prostym środkiem jest rozpowszechnienie alfabetu i tanich pism. Niektórzy zaci, poważni, światli nawet ludzie ruszają na to ramionami, twierdząc, że: „pocziwemu ludowi” może to zaszkodzić; nie wynysłili jednakże nic lepszego, a dzieci własne uczą czytać w różnych językach, jak też i sami tą drogą do oświaty przyszli.

Kontent jestem z tego, że tu ciągiem uwag moich doszedł do punktu, w którym się z p. D. różnić nie mam potrzeby.

Ale nasz autor, z żalem znowu zacząć muszę, jak z jednej strony szczerym zdaje się być i surowym moralistą, tak z drugiej do romantyków należy, to jest do ludzi szukających piękności fałszywych i unoszących się przesadnie nad niemi bez rzeczywistej w nie wiary. Tak jest: wiary w piękności fałszywe być w nim nie może, jako w pisarzu rzeczywiście rozumnym, mającym doświadczenie i znawstwo ludzi. Widzimy to w każdej powieści p. D., że się zna na fałszu i na prawdzie; można mu cytatai jego pism dowieść zwycięzko, że jego admiracye są tylko wy wpływem romantyzmu. Taką jest w części jego admiracya dla cnot ludu, rozozulanie się nad nędzą w łachmanach, rozozulanie

się nad tak nazwanymi patryarchalnymi stosunkami, które miały niegdyś łączyć najniższe ogniwa społecznego łańcucha z najwyższymi, nad ekonomską biografią Gwoździ-kiewicza, który bił chłopów a kochał, ci zaś byli bici i kochali nawzajem. Ale główny romantyzm p. D. jest w uwielbieniu dla staropolszczyzny, w której zapędziwszy się, wszystkie upatruje doskonałości: mądrość, cnotę, piękność, moc, dzielność, zręczność, wdzięk, skromność, miłość i t. d., aż do ekwitacyi i tańca. Zepsucie i upadek kraju były według niego skutkiem napływu cudzoziemskich zdań i filozofij (zamorskich, jak się autor wyraża): czy p. D. nie spostrzega, z kim się schodzi w tej historycznej teorii? jakim dążeniom dopomaga? A dalej: jakie to czasy i wypadki potępia, złorzecząc zamorskim zdaniom; jakim to szlachetnym ceniom najdotkliwiej ubliża? Niepodobna mi z okazji tych romansów podnosić całego ciężaru najcięższej ze wszystkich materij, jakie się tylko w narodzie naszym traktują czyli raczej traktować powinny; ale zawsze mam to sobie za obowiązek, ażeby notować dobitne zastrzeżenia przeciwko paradoxom w przedmiocie tak niezmierniej dla nas wagi, gdziekolwiek je spotkam, choćby nawiasem były rzucone. Romanse i powieści głównie się u nas czytają i czytają się w znacznej części przez osoby z nich wyłącznie wiadomości czerpiące, na nich, że tak powiem, kształcając się. Powinni by romansepisarze mieć to na wielkim baczeniu. Że admiracya staropolszczyzny musi być u p. D. tylko romantyzmem, dowodem jest tego sama powieść, w której właśnie najwięcej tej admiracyi nagromadził. Nosi ona tytuł *Skarbec*; wartość jej mniej niż mierna, ale treść najwymowniej-szy stanowi kontrast tego apologetycznego tonu, z jakim autor o ludziach i rzeczach dawnych (a zawsze z przynówkami do potomków) rozprawia. Nie wiadomo mi czy historia w *Skarbcu* opowiedziana, na prawdziwych jest osnuta wydarzeniach; to pewna wszakże, że gdzie się takie rzeczy dzieć mogą, tam nie ma społecznego zdrowia: wielkie zbrodnie tego rodzaju nie mogą być zjawiskiem oderwanym; są to już symptomata pewnego stanu moralności czyli raczej niemoralności tej klasy, wśród której się okazały i to *nb.* przed przyjściem zamorskiej filozofii.

Taką, jeżeli rzecz można, samo-krytykę własnego romantyzmu wykonywa pan Dzierz. i w innych razach. Unosi się np. nad naszą gościnnością osobliwie wiejską; z opisów zaś jego pokazuje się, że to przymiot bardzo niewielkiej wartości; praktyka czcza i nawet wstrętą; że na okarmianiu ludzi zasadzająca się towarzyskość, której ogniskiem jest półmisek, żadnego szlacheznego nie wyrodzi ożywienia.

„Jużto przed śniadaniem w całej fizyonomii towarzysztwa przeważała niecierpliwość śniadaniowa; przy śniadaniu niecierpliwość objedzenia się jak najprędzszego; po śniadaniu zaś niecierpliwość dowiedzenia się o właściwym powodzie śniadania”.

A wyżej nieco: „Ani też mogliśmy przytaczać rozmów jakie się przed, w czasie śniadania i po niém toczyły. Byłoby to zanadto trudne, niewdzięczne i nudne zadanie przeliczać całą tę siczkę nakrajaną przez tyle ust..... ot plewa parowym młyunkiem na wiatr puszczona, i szukajże tam ziarnka”.

Przytém wystawia autor smutne położenie poczciwej i rozsądnej żony gościnnego człowieka, która chciałaby i gospodarstwo i domowe życie do jakiegoś ładu doprowadzić, do jakiegoś właściwego stosunku między dochodami a wydatkami, przewidując zły koniec tego wesołego życia bez myśli o jutrze! Kassandrą była biedaczka, jak powiada autor.

Takto gusta inaginacyi pana D. w jedną stronę go ciągną, a zdrowy rozsądek i obserwacya w drugą: skutek łatwości pisania, a niedostateczności obmyślenia i układu w tém, co się pisze. Poniżej jeszcze będę musiał wrócić do tej rażącej wady rozbieraanych tu romansów.

We wszystkich prawie wielką gra rolę miłość. Nie ma co mówić przeciwko temu. Bez tego uczucia będącego rozkoszą i udręczeniem serca ludzkiego, bez tego czarującego stosunku między osobami płci różnej, tego najpiękniejszego z kwiatów życia i najboleśniejszego z jego cierni, rzadko zdoła się obejść twórca wyobraźnia; najpopularniejszy to, najzrozumialszy interes książki. Bez niego zostałaby się dla niej chyba jedna dziesiąta część czytelników, a cóż dopiero o czytelniczkach powiedzieć? Pan D.

mówi o miłości z entuzjazmem młodzieńca i przeświadczeniem wypróbowanego męża: jest on tu widocznie na swoim gruncie, a chociaż delikatnością pociągu pędzel jego nie celuje, za to żywości i w ogóle prawdy obrazom jego w tym rodzaju zaprzeczyć nie można. Namiętność tę lubi p. D. traktować głównie z patologicznej strony: wygląda ona u niego wszędzie prawie jak zgubna choroba, wszędzie prawie w fatalnym występuje charakterze. Ludzie szlachetni, zdolni do przywiązania trwałego, którzyby otoczyli wybraną swego serca opieką i czułością dozgonną, którzyby ją pewnym krokiem po drodze życia prowadzić umieli, ani na krok nie odstępując, — tacy ludzie składają swe najgorętsze uczucia, zapal uwielbienia, kwiaty młodej wyobraźni u stóp kobiet jedyną tylko obdarzonych zaletą: — pięknej powierzchowności. I na nie zapal tych biedaków, na nie wzniosłość ich umysłu i prawość uczucia; ich bóstwo nie zna się na tych drogich rzeczach, bo w powabnym ciele tego bóstwa mieszka dusza zupełnie pozioma, dla której nie masz nic wyższego nad bogaty i modny strój z wszelkimi przynależnościami dostatniego światowego życia: serce obojętne, gdzie w miejscu uczuć, popędy i zachciewki panują, bijące żywiej chyba pod wpływem wrażeń wcale nie nadzmysłowych.

To znowu kobieta przystraja ukochanego we wszystkie ozdoby swęj niewinnej i pięknej duszy; tkliwa, kochająca, stworzona na to, żeby uszczęśliwiała tego, komu się poświęci, bo umiałaby podwoić każdą radość życia, podzielić każdy smutek męża. Oprócz niego, oprócz jego wzajemności, nic jej niepotrzeba: coto za żona, coto za matka z nią będzie! Ależ niestety, jej ukochany odznacza się tylko dobrą miną, frazeologią obfitą, albo ani jednem ani drugim się nie odznacza. Wietrzniak, egoista, głupiec i rozpustnik nie da się nawet powabami ciała przywiązać, bo już ich użył i nadużył: posag żony, to dla niego rzecz główna i jedyna. Cóż dziwnego, że kobieta zawiedziona w swych najdroższych uczuciach, obrażona w swęj godności niewieściej, po długiej walce zbacza z drogi obowiązku, której mąż nigdy się nie trzymał. Tém mniej jeszcze dziwić się należy, kiedy zhoczenie jest następstwem węzłów przez podłą tylko rachubę rodziców związanych. Takie

pary lubi sprowadzać p. D., i trzeba przyznać, że niektóre sceny ze stosunków podobnych wywiązujące się z niepospolitą oddaje mocą, ze starannością nawet i wykończeniem, któreto dwie ostatnie zalety są największą w jego książkach rzadkością. Bolesne to, żalem i smutkiem przejmujące sceny, i jak przykro pomyśleć że prawdziwe! Wskażemy dla przykładu na nie wielką, ale lepiej od wielu napisaną powiastkę pod tytułem; *Placz i Smiech*, albo na scenę w powieści *Salon i Ulica* (str. 111 do 113, tomu I<sup>o</sup>).

Już to w ogólności nie zwykł p. D. psychologiznej prawdzie uchybiać; to co się logiką namiętności nazywa, nie jest wcale dla niego ukryte. Powiniennem jeszcze dodać, że i prawda moralna, przez co rozumiemy stosunek utworów imaginacyi do potrzeb społecznych współczesnych, wpływową ich stronę, — ta tedy moralna prawda zyskuje nie mało od takiego traktowania owęj interesującej namiętności o której mówię. Bo chociaż nie jestem bynajmniej stronnikiem dydaktycznego kierunku w literaturze nadobnej i owszem swobodnego chcę tworzenia i pięknego wypracowania; godzi się wszelako wymagać, aby piszący romanse i powieści, mieli myśl podniesioną wyżej nieco nad sam układ opowiadania, którem chcą zająć publiczność, nad postęпки, uczucia i stosunki osób na scenę wyprowadzanych; ażeby probowali téż obliczać nietylko wrażenia czytelników (bo o to aż nazbyt się troszczą), ale potrzeby kraju; żeby sobie zadawali proste takie pytanie np.: czy to a to zda się na co odnośnie do moralnej higieny społeczeństwa, czyli téż nie zda się na nic. Nie chodzi tu szczególnie o rzeczy pospolicie gorszącemi nazywane, których się nie daje do czytania panienkom; ale chodzi w ogólności o to, aby namiętność lubo najbardziej osobista, najsilniejsza w chwili swojej, nie stanowiła przecież głównego interesu życia osób urojonych, kiedy nader rzadko jest głównym interesem życia osób rzeczywistych, a przynajmniej być nim nie powinna. Że sobie wyobrażają tak młodzi zakochani, to prawda, i nic w tém dziwnego; ale wystawiając uczucia i złudzenia jak są, powiniennem unyść autora górować, że tak powiem, nad przedmiotem, i dawać do zrozumienia czytelnikowi, że się rzecz nie tak ma w istocie

jak się wydaje. Otóż p. D. pod tym względem na niejednokrotną pochwałę zasługuje: ale im lepiej potrafi, tem słuszniej zarzucać mu można, że nie zawsze chce. I tutaj znowu romantyczność przeszkadza mu czasami: ta romantyczność, która zacząwszy złe opisywać, tak rozinaluje zgubne jego ponęty, że te ostatnie więcej robią wrażenia na pewnego rodzaju czytelnikach i czytelniczkach, niż głupstwo i nieszczęście, które się pod niemi znajduje i którego autor zresztą bynajmniej nie ukrywa. Historia modnej pensyi żeńskiej i romansujących pensyonarek we wzmiankowanej już powieści „Dla posagu” może służyć za poparcie powyższej uwagi. Przy opisanu gorszących a tak ułatwionych stosunków, jakie się na owej pensyi dopuszczają, nie miejsce byłoby do unoszenia się nad urokiem i *świętością* pierwszej miłości, zwłaszcza że będąc prawdziwie i zawsze uroczą, *świętą* ona bynajmniej i nigdy nie jest. Ale gdyby i tak było, któraż to młoda głowa, zapytamy autora, nie zamarzy zaraz o tych urokach i *świętościach*, jakkolwiekby drogą dostępowalo się do nich?

Jeszcze do kategorii romantycznych zapędów p. D. musimy policzyć osobliwsze jego a wcale nieoryginalne pojmowanie uczuciowości w ogóle i najniewłaściwsze jej przeciwstawienie *intercosm* życia.

„Człowiek serca, powiada on, jest wiecznym głupcem w towarzystwie oświeconém; znaczy w niém prawie tyle, co szaleniec, który uciekł z domu waryatów”. Albo znowu w inném miejscu: „Serce dobre jestto najokropniejszy dar, jaki tylko komu dać może Opatrzność; jestto jakby rana przez wszystkich dotykana, jęczona bez końca”. Stary to, jak wiadomo, temat nowoczesnych poetów i romansopisarzy (zwłaszcza podrzędnych), to narzekanie na twardość i głuchotę świata nie rozumiejącego jakoby żadnych uczuć szlachetnych i delikatnych, ba nawet zawziętego przeciwko *czulym sercom*. Czasby już przestać powtarzać te oklepane diatryby. Człowiek serca, czyli mówiąc po polsku, człowiek z dobrém sercem, bywa pospolicie lubiony i poważany; skoro się zdarzy, że ma obok dobroci serca umysł ograniczony, że jest dajiny na to, głupcem, to trudno, żeby go miano za rozumnego. Ale głupciemi zdarza się być i ludziom złym, podobno częściej nawet niż dobrym. Je-



żeli p. D. czegoś szczególnego pod wyrazem dobre serce nie rozumie, to ja znowu nie rozumiem, jaki jest sens porównania dobrego serca do rany i to jeszcze jątrzącej się. Wszystkim mającym rzeczywiście dobre serce i ich znajomym wiadomo jest, że właśnie pobłażliwość na cudze wady i mała wrażliwość na urazy, a przynajmniej prędkie onych zapomnianie i przebaczenie, są przymiotami takiego serca. Człowiek zaś do pobłażania skłonny i prędko zapominający urazy, wolny jest naturalnie od wielkiego mnóstwa przykrości w życiu, jakich muszą doznawać ludzie z mniejszą zdolnością do kochania bliźnich, przebaczenia i pobłażania. Porównanie zatem dobrego serca do rany jest zupełnie fałszywe. Mniej jeszcze o ile to być może, rozumiem zdanie pierwsze, jakoby to „w towarzystwie oświeconém” mianowicie ludzie dobrzy za głupców uchodzili. Jeżeliby tak było, to oczywiście, że towarzystwo oświecone nie miałoby żadnej wartości i gorsze byłoby od nieoświeconego. Czy tak myśli p. D.? Nie, tak nie myśli: jestem tego pewny. Przyjaciel ubogiego i ciemnego ludu, lituje się szczerze nad jego ciemnotą i pragnie dłań oświaty, wyrzucając gorzko klassom wyższym, że mu jej dać nie usiłują. A na cóżby się zdała oświata, gdyby prowadziła do pogardzania dobrem? Wszedłszy nawet w intencje autora i podstawivszy wyraz *zepsute* zamiast *oświecone*, jeszcze prawdziwości zdania powyższego nie uznaję, bo w towarzystwie zepsutém zmysłu moralnego, to jest poznania złego i dobrego nie brakuje, a brakuje tylko wiary w to ostatnie i zdolności poświęcenia dłań osobistych korzyści i wygod. I rzeczywiście najzepsutsi ludzie mają poważanie dla dobrych, chociaż ich dobroci radzi nadużywają. Dopiero w społeczeństwie barbarzyńskim jest prawdziwa dla dobrego pogarda. Barbarzyństwo bowiem zależy właśnie na zupełnej nieobecności zmysłu moralnego; tamto w rzeczy samej człowiek z dobrem sercem uważany jest szczerze i nawet otwarcie za głupiego, skoro np. czyni drugiemu dobrze bez żadnej dla siebie korzyści, albo źle nie robi choćby miał z tego korzyść. Korzyść i jej cel—materyalne użycie, a z drugiej strony gruby przesąd lub zabobon, to są jedyne u barbarzyńców

*criteria* wartości ludzi i rzeczy, a dobre i złe żadnego z siebie znaczenia i uznania nie mają.

Niech mię nikt nie obwinia że się wyrazów i zdań pojedynczych czepiam, że lubię chwytac niekonsekwencye i paradoxa dla samej tylko przyjemności chwytania: bynajmniej. Ale, jak to już wyżej nadmienilem, chcę brać i biorę wyrazy i zdania na seryo, bo bez tego nie może być, według mnie, mowy o literaturze. Zdania zaś, ogólniki, mniej więcej wymowne, mniej więcej śmiałe i z mizantropiczną pretensją ciskane, wywierają szczególny wpływ na pewną kategorią czytelników i czytelniczek. Romanse są dziś edukacyjnym środkiem; niepodobna temu przeczyć, że innośćwo indywiduów dowiaduje się z nich poraz pierwszy, tak jak i z gazet, o wielu rzeczach, któreby przy porządnej edukacyi inną drogą dojść do nich były powinny; jak znowu jest oprócz tego wiele takich materyj, które w system edukacyi młodzieży nie weszły i wejść dotąd nie mogły. Nie jedno zdanie w ważnej materyi czy to moralności, czy polityki, czy literatury w powieści wypowiedziane, zapada, jakby ziarno w ziemię rzuczone, w jakąś intelligencyą; staje się dla niej początkiem myślenia nad danym przedmiotem, rodzi szereg wyobrażeń na cały sposób myślenia, następnie na konduite wpływających. Ten wzgląd belletryści ciągle i zawsze na baczeniu mieć powinni, gdy lubią zwłaszcza jak pan D. częste ustępy, w których bezpośrednio przemawiają i nie skrępowani niczem, z zupełną swobodą rozszerzają się nad wszystkiem, co im tylko na myśl przyjdzie. „Dla literata jest dziś prawda tylko” mówi nasz autor; a ja dodam, że należy pamiętać, iż piszący u nas belletrysta nie na swój tylko osobisty rachunek prawdy szuka i takową ogłasza: stoi za nim tłum. Więc jeżeli samotny wędrowiec może sobie, własnym ufając instynktom, próbować dróg i ścieżek, bo strata czasu i nadłożenie fadygi jego tylko samego dotyka; to w bardzo odmienném znajduje się położeniu przewodnik: ten już z większą musi postępować oględnością i rozważą, kierować się takimi drogami, gdzieby nietylko on, ale i za nim idący przejść bez szwanku zdołali.

## II.

Tak mi się przedstawiły główne rysy fizyognomii jakoby moralnej powieściopisarza; tak starałem się nakreślić ją powyżej. Dokładną ta charakterystyka nie jest, z góry o tém uprzedzam; bo gdyby miała być dokładną, nie artykuł, ale książkę całą trzeba by temu przedmiotowi poświęcić. Opuściłem mnóstwo szczegółów, mnóstwo względów uwagi godnych, a i nad tém co mi się głównem wydało nie chciałem się rozszerzać zbyt, żeby nie niecierpliwie większości czytelników, mało rozbieranego autora znających. Mogłaby może panu D. z pewnym pozorem słuszności niepodobnie się taka summaryczność; spodziewam się wszakże, że mi jej za złe nie weźmie, wiedząc o tém, że wcale nie złe przysługuje się krytyka autorowi, już przez to samo, kiedy unikając mdłych ogólników, szczerze i wybitnie zdanie swe wypowiada i tém zwraca na niego uwagę publiczności. Tom właśnie uczynił, a to też jest rzecz główna bez względu na proporcją pochwał i nagan, jakie się w sprawozdaniu zawierają.

W taki sam sposób zamierzam dokonać i pozostałą jeszcze część tej pracy t. j. ocenienie artysty i pisarza w ściślejszym tych wyrazów znaczeniu. Pan D. jest improwizatorem tak jak i ogół naszych belletrystów; improwizatorem nietylko z usposobienia i nałogu, ale podobno i z przekonania. W przedmowie do jednego ze swych romansów powiada, że mu wcale nie trudno o treść do powieści; że przedzwy mu chyba lat życia zabrakło; że „przy-  
padek jest prawdziwym powieściarzem tworzącym zawikłania, jakie się ledwie przysięgają pisarzowi.” Przypadek więc tedy jest powieściarzem! Cóż tu na taką szczerotę powiedzieć? Pan D. niebardzo dbający o ścisłość wyrażenia, może i nie miał zamiaru tak dalekiego posuwania swej otwartości. W każdym razie, choćbym opierając się na tém wyznaniu, miał prawo do zupełnego pominięcia zalet kompozycji w pismach autora, nie będę go za słowo trzymał, i chętnie powiem, że z wymienionych na wstępie romansów i powieści, *Kuglarze* i *Dla posagu* odznaczają się rzeczywiście dobrym układem i rozwinięciem, jak niemniej i staranniejszém

niż we wszystkich innych obrobieniem charakterów osób działających i onych przeprowadzeniem. Wyjmujemy tylko nieszczęśliwą figurę Rudolfa w drugiej z tych dwóch powieści, który jeżeli nie jest jakimś naśladowaniem, jeżeli istotnie z żywego chyba wzoru wzięty, to nie ma w sobie warunków prawdopodobieństwa; albo będąc takim jak go autor mieć chce, nie byłby w takim położeniu, albo trwając w niém, musiałby być innym i nigdyby nie przemówił w taki sposób, jak w owém spotkaniu ostatniem z Amelią u brzoź. Za to charaktery panny Cyrylli w tejże powieści i panny Rozalii w *Kuglarzach* są tak wykończone i z taką prowadzone umiejętnością, osobliwie pierwszy, że nie powstydziliby się ich i najlepszy romansopisarz. Miałbym jedynie do zarzucenia zbyt nagłe postąpienie panny Rozalii w owój scenie nocnej z dawnym kochankiem i niespodzianie zjawionym konkurentem; nie dlatego nagłe, żeby nie było psychologicznie prawdziwe, lub źle przygotowane, ale że mogłoby być oddane zręczniej, w sposób przywoitszy a więc zgodniejszy z naturą niewieścią w ogóle i danej osoby w szczególności. Dodajmy na pochwałę obu powieści, że mają to, co się najrzadziej udaje i jest najtrudniejszym warunkiem dobrej kompozycji: zakończenie trafne w harmonii z całością będące.

Tu będzie miejsce do zrobienia uwagi, że p. D. szczęśliwszy jest w malowaniu kobiecych, niż męzkich charakterów. Oprócz dwóch powyższych, Leontyna w powieści *Śmiech i płacz* jest arcy wdzięczną i sympatyczną postacią; toż samo prawie i Bogunia w romansie *Salon i ulica*, lubo ta trochę za idealna; pani hrabina w *Królu dziadów* i inne jeszcze; charaktery zaś Wawrzyny czyli Laury w *Dwóch spotkaniach* i Kasi w *Szpicrucie honorowym*, śmiało i oryginalnie zakreślone, należałyby do nader interesujących, gdyby nie brak wymotywowania, rozwinięcia, wykończenia, a zatem jasności. Tak jak są, dziwią tylko i rażą poczęści. Brak wykończenia a nawet i dokończenia trafnie zresztą rzuconych szkiców, to pospolita pana D. wada, obok innych, o których powiem następnie; co się wyżej wymieniło, za wyjątki uważać można. Ale wracając się do owój wyższości kobiecych charakterów, chciałem był zrazu powiedzieć, że

to właściwość szczególna naszego autora: chwila zastanowienia każe mi wyznać, że to wspólna naszych powieściopisarzy cecha: udają się im męzkie figury tylko podrzędnych gatunków; ilekroć wyżej sięgną, zawsze coś niedostatecznego albo fałszywego stworzą. Wyjątkiem jest naprzód H. Rzewuski, który w Pamiątkach Soplicy, a głównie w Listopadzie wyprowadził charaktery męzkie pierwszorzędne; powtóre, Gregorowicz w swoich *Świątnikach*, romansie prawdziwie znakomitym, a tak mało czytany i cenionym. Ale postacie *Listopada* należą do niepowrotnej przeszłości, postacie zaś *Świątników*, że się tak zwieźle choć niejasno wyrażę, do naszej przyszłości, pomimo to że są dzisiejsze i odmalowane z prawdą mistrzowską (a wcale nie dagierotypową, jak twierdziły w swoim czasie przychylnie ale niebardzo gruntowne recenzje). Właściwego więc współczesnego ideału powieściopisarstwo nasze nie wydało, ideału, coby zachwycił, opanował i nauczył. O ileby brak taki mógł pochodzić z winy lub nieudolności pracujących na tém polu literatury, w to się nie wdaję, dlatego głównie, że wiem inną, ważniejszą daleko przyczynę, a tą jest brak w społeczności naszej czyli w umysłach jej myślącej i szlachetniejszej części rzeczywistych elementów, któreby na odgadnienie takiego ideału naprowadzić mogły. Jeszcze pod rozlicznemi wrażeniami przeszłych kolei, choć od nich odwróceniu, nie widzimy przed sobą rozwidnionego horyzontu; nie wyrobiły się żadne wyraźne, ogólniejsze kierunki; nie wiemy sami dobrze czego chcieć mamy, ani co jest w naszej możliwości. Wielka niejednostajność w wyobrażeniach i sądach o przeszłych dziejach i dążnościach stoi na zawadzie wykształceniu i ujednostajnieniu pojęć o terażniejszości i widoków na przyszłość. W takim położeniu rzeczy, zkadże tu czerpać potrzebną dla bohatera romansu siłę i blask: nie dziwię się bynajmniej, że takiego zadania pan D. nie rozwiązał. O jego męzkich charakterach nie wiele jest do powiedzenia. Po wątpliwościach i zapytaniach jakie na początku artykułu uczyniłem, chętnie przyznaję, że ogólna ludzka prawda w nich tkwi, chociaż wcale wypracowane nie są; bohaterów atoli nie widzę. Pominawszy kilka figur, o których można dać zdanie, że to są bardzo porządni ludzie, i daj Boże żeby takich więcej było, figur zresztą na

jakie wszyscy nasi powieściopisarze mniej więcej szczęśliwie zdobyć się potrafią, wskażę na szewca Karosza (Salon i ulica), postać, na której znać wyraźnie predylekcyą autora, po staranności szczególnej z jaką jest malowana. Otóż ten Karosz wydaje mi się z gruntu fałszywym, i niewiele mu to pomaga że jest czasami dosyć niezle udrapowany: suknia nie stanowi człowieka. Uwiedziony z góry powziętą tendencyą, jak równie i romantyzmem, stworzył p. D. indywiduum zupełnie nieprawdopodobne. Człowiek z gminu, pasujący się całe życie z niedostatkiem, serca poczciwego, ale nałogów nieporządnych i grubych, upijający się często i wadzący z sąsiadami o bagatelę,—taki człowiek jest przez kilka dziesiątków lat panem tajemnicy, której wyjawienie zmieniłoby w najkorzystniejszy sposób jego położenie i los jego ubogiej rodziny, nie przyczyniając właściwie krzywdy nikomu; do zachowania tej tajemnicy nigdy się nie zobowiązywał ani go do tego skłaniały okoliczności zewnętrzne; owszem wyzywały go ciągle do zrobienia z niej użytku. Otóż nietylko że z niej użytku nie robi, na dobrowolną nędzę siebie i dzieci skazuje, ale co więcej, ani po trzeźwemu, ani po pijanemu nigdy się przed nikim ze swej tajemnicy nie zwierza. Wygórowane uczucie delikatności i godności, nadmiar czi dla pamięci ojca mają nam tłumaczyć tak osobliwy fenomen, któryby przy najwyżej posuniętem wykształceniu moralném, przy wyrafinowanej drażliwości honoru, jeszcze nie był zrozumiały. Do takiego psychologicznego fałszu potrafił dotrzeć, że tak powiem, p. D. w chęci pokazania na jakieto idealne wyżyny cnota ludu prostego się wznosi. Inne poważne charaktery mężczyzn w romansach autora nie zasługują na szczególną uwagę; bo wprowadzenie do romansu ludzi, o których można powiedzieć tylko że są bardzo zacni, bardzo szlachetni, że daj Boże żeby jak najwięcej takich było, nie odpowiada zadaniu wyżej wskazanemu, choć istotnie wyraża obecny stan rzeczy. Charaktery zaś jednostronnie uczuciowe, jak Konstantego w *Kuglarzach* albo Wacława w *Bracie*, mimo rzeczywistość głębokie ich ujęcie, są zdaniem mojem kreacyami nieużytecznymi, skoro się obok nich nie stawiają inne, mogące ku prawdziwemu zbudowaniu równoważyć wrażenia tamtych. Pan D. zaś zamiast działać w duchu takiej obywatelskiej

moralności, któraby w tym razie była i większą artystowską mądrością, woli się uciekać do prostej antytezy: naprzeciwko niepokalanej czystości uczuć, delikatności lekliwej charakterów szlachetnych, lecz nie hartownych, umysłów wzniosłych lecz nieoglednych i niejasnych, stawia zatwardziałą zbrodnię, przebieglą i konsekwentną. Tam bielutko, tu strasznie czarno: czytelnik waha się w swoich sympatyach i nie wie w końcu jaki sens moralny z tego wyciągnąć.

W obrobieniu szczególnych charakterów, scen i sytuacji, co wszystko jest zarazem zapełnieniem i uzupełnieniem kompozycji i właściwą jej dopiero wartość nadaje, w tymto kunszcie dobrego opracowywania powieści p. D. wcale do mistrzów nie należy. Wszystkie jego prace, wszystkie bez wyjątku, wyglądają z wierzchu jak pierwsze próby bardzo młodego pisarza; jakaś, rzec można, pierwotność w nich i surowizna; brak liczby i miary. W ustępach rozumowanych deklamacya i rozwlekłość nużąca, w opisach jaskrawość, przesada; w dyalogach osobliwsza niezręczność. Umiarkowany tok, przejścia naturalne, cieniowania delikatne nie spotykają się prawie u pana D. Nie chce on reprodukować kształtów i kolorów w jakich się życie przedstawia; idzie do głębi charakterów bez ceremonii i te usiłuje odsłonić. Ludzie u niego nie mówią tak, jak rzeczywiście mówią, ale tak jakby mówili, gdyby przemagające w nich namiętności czy usposobienia nie komplikowały się wpływem innych uczuć i skłonności, względów wewnętrznych a także i zewnętrznych, jakimi są wychowanie, obyczaje, zwyczaje. Nikt się bynajmniej przed czytelnikiem nie żenuje: rąbie owszem, jak to mówią, z góry. Weźmy arystokratów i salonowców płci obojga, których p. D. głównie wyprowadza, o których tonie wykwintnym i pańskim wychowaniu z przekąsem mówi. Otóż z tą wykwintnością i wychowaniem rzadko się czytelnik w jego powieściach spotka, bo niechęć i oburzenie pod wpływem których autor pisze, nie pozwalają mu spokojnego i bezstronnego tych stron delikatnych wypracowania; spieszy mu się do tego co bywa często pod tą przyzwoitą powłoką; spieszy mu się do samej natury umysłów, obyczajów i postępków. Tymczasem to, co się modnym zwykle nazywa

wychowaniem i wykwiutnym tonem, właśnie ma na celu ukrycie niekorzystnych stron tamtego. Pańska edukacja, o ile ją znam, zda mi się skierowaną raczej ku zglądzeniu naturalnych przywar i nieudolności, niż ku rozwinięciu naturalnych przymiotów i uzdolnień; celem usilnej salonowej dressury bywa pospolicie doprowadzenie indywiduum do tego, żeby było znośne przynajmniej pod względem główniejszych, czyli raczej bliższych i codzienniejszych wymagań życia światowego, bez wielkiej dbałości, albo i bez żadnej dbałości o wyższe umysłowe i moralne dążności i warunki. Takimi też i są te indywidua przy różnych zwłaszcza korzyściach i nałogach z majątku i położenia wypływających. Ztąd idzie, że kiedy człowiek ograniczony albo niegodziwy z klas niższych, głupotę swoją, brak ukształcenia, nieuczciwość w krótkiej zdradzi rozmowie, w pierwszym drobnym postępku, — staranna dressura wraz z owemito korzyściami i nałogami uzdalnia często panów arcy słabej inteligencji i szczupłych wiadomości do prowadzenia długich roznów bez skompromitowania się, uzdalnia złych i zepsutych do utrzymywania wielu stosunków nieodstaniających wewnętrznego ich brudu lub nicości, przynajmniej odrazu. Mówią pospolicie jak ludzie dosyć dorzeczni, a w postępowaniu nie radziby bez koniecznego interesu zrywać jawnie i hałaśliwie z uczciwością. Gdyby nie to, nie mogłoby być mowy o dobrym tonie, o wielko-swiatowym wychowaniu i życiu. Na to wszystko p. D. nie uważa choć niezawodnie wie o tém nie gorzej odemnie. Język jego panów, paniczów i pań uszedłby chyba w jakichś popularnych komedjach, gdzieby chodziło wcale o co innego niż o prawdopodobieństwo i naturalność; każe on tym tytułowanym panom i damom czémprędzej jakoby wynosić na publikę wszystkie złe instynkta, wszystkie zuchwałę przesady, ciasnotę umysłów, małość serc, zepsucie obyczajów. Bywa tak nieraz w istocie, ale jakoś w inny sposób, z innem otoczeniem. W opowiadaniach zaś p. D. robi to takie wrażenie, jak np. obraz z życia współczesnego, dajmy na to salonowego, na którymby malarz wszystkie osoby nago przedstawił; i te co siedzą na głównej kanapie przy okrągłym stole i herbacie, i te co przy oknach w nielicznych grupach rozmawiają, i te co się przechadzają po pokoju,



Przypuśćmy nawet (co u naszego obyczajowego malarza jest wyjątkiem) że układ wszystkich grup będzie umiejętny i harmonijny, że twarze i figury będą narysowane z wszelką wiernością i wyrazem każdej właściwym, że koloryt będzie naturalny i żywy: czyż nazwiemy takie malowidło obrazem rzeczywistości? Czy będziemy nawet mogli zorientować się od razu co do intencji artysty? Nie, naturalnie. Ubiór jest tak złączony z naszymi wyobrażeniami o ludzkich postaciach, używanie jego ciągle tyle wpływa na nasze obyczaje, zwyczaje, na giesta i postawę figur ludzkich, że widząc ogołoczone z niego grupy, nie poznałoby wielu znajomych nawet twarzy, a oko do patrzenia na nagość przy takich warunkach nienawykłe, powątpiewałoby o prawdziwości kształtów znacznie nieraz skutkiem noszenia odzieży różniących się od akademickich wypracowań, a zresztą zawsze ukrytych. W tęto nagości obrazów, czyli rzucając porównanie do którego się dla uwydatnienia méj myśli uciekłem, w tej niezręczności przedstawienia zewnętrznego trybu rzeczy ludzkich, należy szukać głównej przyczyny małej popularności p. D. i niewielkiej wartości literackiej jego utworów, pomimo wewnętrzne zalety wcale u naszych popularnych belletrystów niepospolite. Bo kiedy dzieła tych ostatnich, z większą łatwością i zajęciem dające się czytać, przedstawiające nam szereg figur i scen zgrabniej odcieniowanych, rozniów naturalniej toczących się, — po skończonej lekturze znacznie tracą, od pilniejszego zastanowienia się nad ogółem, nad prawdą życia której się szuka; to u p. D. naodwrot: po odczytaniu książki, kiedy już przestają razić chropowatości i powierzchowne nieprawdopodobieństwa, — występuje nieraz ludzkie, wewnętrzne prawdopodobieństwo namiętności, wypadków i charakterów. Pomimo to jednakże ma słusność ogół, że nie gustuje w takich pismach: węglem na chropowatym murze kreślone rysunki nie liczą się do dzieł sztuki; nie każdy się na ich grubéj, że tak powiem, trafności pozna, a nikt ścian swego pokoju niemi nie przyozdobi; woli owszem choćby mierne, ale przecież porządniej zrobione obrazki.

Wyjmuje chętnie szczególne rozdziały i sceny, do których się powyższe zarzuty nie stosują. Oprócz wskazanych wyżej, historia Boguni i Alfreda (*Salon i Ulica*) jest

istotnie z kunsztem napisana; w ogóle cały rozdział pod tytułem *Miłość* i *Miłość* wielce udatny; a następnie rozdział noszący tytuł *Dług honorowy*, wyborny, mianowicie też scena po przyjeździe Boguni z Alfredem i Pilińskim. Ostatnia wizyta Cyrylki w jezuickim ogrodzie także do bardzo dobrze napisanych ustępów należy. W ustępach tych i innych jeszcze tu i owdzie napotkać się mogących, pan D. w jakimś szczęśliwszem widocznie usposobieniu, znajduje naraz wszystko niemal czego mu brakuje: wszechstronniejszą i spokojniejszą obserwacją, prowadzenie naturalniejsze i poprawniejszy język. Gdyby takie usposobienie mogło być trwałe, gdyby tak był potrafił p. D. napisać od początku do końca swoich *Kuglarzy* albo *Dla posagu*; to mielibyśmy dwie bardzo dobre powieści. Zresztą obrazki bez szczególniej intencji pisane, jak *Wiśniak podolski* i *Stary leśniczy* dobrze się czytają; powiastki też *Suknia balowa* i *Obrazy Hogartowskie* do dosyć interesujących należą.

O drobniejszych wadach i niedoskonałościach wykonania, jak: osobliwsza nieudolność w charakteryzowaniu fizyognomij, pomimo to że się im całe stronnice poświęca; równa prawie nieudolność w opisach natury i okolic, zbyt częste i długie rozprawy filozoficzno-moralne, deklamatorskie uniesienia,—nie będę się rozszerzał: mniej to ważne dla czytających niniejszy artykuł, a na autora uwagi moje nie wpłyną. Niepodobna mi też wytykać wielu nierozwiniętych szczegółów, wielu fałszywych zamachów imaginacyi jak owe twarze osobliwe, spojrzenia okrutne, dreszczem wszystkich obecnych przeszywające, owe uśmiechy regularnie, do znużenia, szydercze, albo innych w tym np. rodzaju, że jakaś nadzwyczajna osoba nabyła niezmiernego wpływu nad młodym człowiekiem, że go oczarowała i ujarzmiła potęgą swego umysłu, urokiem swoich opowiadań; a tymczasem autor na tych zapewnieniach kończy i żadnej takiej charakterystycznej rozmowy, żadnego opowiadania nie przytacza; że znowu kochanek „wysypał u nóg swój dziewicy zdroje (tak jest: *wysypał zdroje*) skarbów w głębi duszy zamkniętych”.....„usnuł dla niej szatę z najłżejszych, najprzezroczystszych marzeń swoich”.....„cudownemi kwiatami uczuć obsypał”.....„w klejnoty myśli ustroił i t. d.” temi wzmiankami musi się kontentować czytelnik; autor nie pokazuje mu

ani jednej próbki owych skarbów, szat i klejnotów. Jak również z drugiej strony niepodobna przytaczać wielu zwrotów prawdziwie wymownych, zdań świadczących o rzadkiej znajomości życia i serca ludzkiego, o trafnym pojmovaniu współczesnych interesów kraju.

I tak już kto wie czy nie nazbyt obszerny napisałem artykuł i czy wielu czytelników zechce go do końca odczytać. Improvizowanie zamiast medytacji w ciągu pisania, gust bardzo wątpliwy, nagłe przeskoki, będące zapewne skutkiem uganiania się za oryginalnością błyskotliwą, w ogóle niedbałość o wypracowanie przedmiotu, to są w krótkich słowach słabe strony romansów pana D., nie tyle zapewne rażące ogół czytelników, co owa wada główna powyżej wytknięta, ale ze stanowiska literackiej krytyki bardzo widoczne. Dodam chyba dla złagodzenia, że nie są one wcale i bynajmniej wyłącznemi przyzwarami tego romansopisarza: o palmę pierwszeństwa w improvizowaniu mianowicie, ubiegają się z panem D. sławniejsi od niego.

Miewał też p. D. zupełnie jak sędzę, niefortunne zachcenia do pisania powieści fantastycznych, jakimi mają być: *Uśmiech szyderczy*, *Historja p. Bolesty*, *Nowy rok* i inne. Jeżeli fantastyczność jestto ów niesłychanie rzadki dar czarodziejskiego jakoby przyzmatu w duszy, przez który przepuszczone zjawiska zewnętrznego lub wewnętrznego życia przybierają kształty i barwy nadzwyczajne a niewymownie urocze; ten talent cudnego rojenia i magicznego oświetlania rzeczywistości, jakim zachwycamy się w niektórych komedjach Szekspira albo w nieporównanych powieściach Hoffmana; jeżeli tak jest, to utwory powyższe pana D. nie mają prawa do nazwy fantastycznych, ale za to mają prawo do nazwy niezrozumiałych i nudnych. Jako nad takimi nie widzę potrzeby dłuższego nad nimi zastanawiania się. W historyi wszakże p. Bolesty jest kilka stronic tu i owdzie, któreby się do lepszej książki zdały, np. rozimowa tegoż Bolesty z siostrą kochanki, a mianowicie uwagi téj siostry o szczęściu kobiet, pełne niepospolitój trafności.

Obowiązek sumiennego sprawozdawcy każe mi coś powiedzieć jeszcze o stylu i o języku. Ach! ciężka to dola mówić o rzeczach, które mało kogo interesują! Nad stylem

pana D. nie będę się długo zastanawiał dla tej przeważnej racy, że p. D. stylu nie ma. Pospieszam dorzucić czém-prędziej, że i pod tym względem bynajmniej, według mojego zdania, odosobniony nie jest; w licznej owszem znajduje się kompanii. Styl jestto naturalna a zarazem najtrwalsza forma, w którą się umysł pisarza jako pisarza odlewa. Ażeby mieć styl, nie dosyć być człowiekiem rozumnym, myślącym, czującym głęboko i delikatnie: trzeba być oryginalnym. Oryginalność zaś pisarza naodwrot niczém inném zdefiniować się nie da, oprócz stylu, tego właśnie wyrobienia w języku osobnych jakichś nieujętych, a przecie widocznych toków oznaczających formy i nałogi myślenia i sądenia; tego wyciśnięcia na mowie rodzinnej, wspólnem narzędziu narodowej myśli, swojego osobistego piętna. P. D. oryginalnym pisarzem nazwać się nie może, chociaż się bardzo wyraźnie od drugich różni; ale nie będąc oryginalnym, co jest rzadkim darem, można wszakże, przez naukę, przez namysł i literacką sumiennosc w pracy, dojść do porządku, do jasności, do ścisłości nawet, a do poprawności przynajmniej. To się z improwizowaniem nie zgadza! Troszczyć się ustawicznie o to, żeby każdy przymiotnik wyrażał istotny a przynajmniej dopuszczalny przymiot rzeczownika przy którym go postawiono; ażeby następny przymiotnik lub przysłówek nie przeczył poprzedniemu, albo tego samego nie powtarzał; żeby słowo oznaczało możebne dla subyektu z którym się zgadza czynności, ruchy, położenia, albo stany, nie zaś takie, które żadną miarą przypadać do niego nie mogą; żeby porównania zdrowego sensu nie obrażały, a metafory z rzeczywistej wyprowadzane były analogii;—te i inne elementarne reguły sztuki pisania porzucone są dziś jako zbyt uciążliwości: publiczność o nich zapomniała, bieżąca krytyka jaka jest, nie zatrudnia się niemi. Po cóż tedy piszący mają tracić czas i zużywać talenta na zdobywanie zalet, o które nikt się nie pyta? a naodwrot znowu, z kąd publiczność ma nabywać wymagań, do których jej ulubienicy przyzwyczajając jej nie myślą?

Wyprawiają się tedy w wiązanej i niewiązanej mowie bardzo nadzwyczajne widowiska: sypią się zdroje, leją

się piaski, gałęzie czy też liście na drzewach dzwonią u naszych wieszczów i gotoweby nawet zatrzeć, żeby im wieszczowie kazali; a dzwony za to mogą szmer wydawać i t. d. Dla pana D. każdy wyraz dobry; co na podoręczu to się i pisze. Jestto u niego także system zapewne jeżeli nie zaniedbanie, bo wcale nie nieudolność: niektóre stronnice jego powieści jawnie dowodzą, że p. D. potrafiłby pisać tak, jakby powinien, gdyby mu się chciało.

O język więcej nibyto troszczą się u nas piszący i czytający niżeli o styl; nawet czasami bardzo się troszczą; ale ta troskliwość jest szczególnie jednostronna: zależy ona jedynie na puryzmie, na dążeniu do usuwania wyrazów i wyrażeń z Zachodu starożytnego i nowożytnego przybyłych, odwieczne prawo obywatelstwa mających, w ogóle trafnych i w użyciu dogodnych, a zastępowania ich nie-trafnymi tłumaczeniami i świeżego częstokroć wyrobu. Puryzm ten jest, jak powiedziałem, jednostronny i to dwojako: raz że wyganiając jedne słowa cudzoziemskie, otwiera szerokie wrota innym, bardziej jeszcze cudzoziemskim; powtóre, że bacność jego na wyrazy tylko zwrócona, a nie na obroty mowy. Pochodzi to z fałszywego rozumienia interesu narodowego w literaturze, jeżeli nie z wpływów i dążeń arcywątliwej dla tegoż interesu użyteczności. Nigdy też nie popełniało się w pisaniu więcej niepotrzebnych gallicyzmów i innych *izmów* jak dzisiaj, chociaż się książki zaczynają *wytlaczać* a nie drukować, a *mownia* chce zastąpić grammatykę.

Pan D. polszczyznę swoją wcale się nie zaleca. W rozbiórce pojedynczym dzieła można i należy wszystkie główne usterki językowe wykazywać: w sprawozdaniu o dziełach kilkunastu nie da się to skuteczniej, zwłaszcza, że p. D. niezmiernie często przeciwko językowi grzeszy, to niewłaściwie używając wyrazów, to przekręcając ich grammatyczne odmiany, to wprowadzając składnię logiczną naszej mowy przeciwną. Ograniczymy się kilku przykładami. Wymyślił sobie p. D. imiesłów bierny od słowa *towarzyszyć* i używa go z przypad. 6; *towarzyszony przyjaciелеm*, ma znaczyć, że koinuś przyjaciel towarzyszy; *przekonuje* i *wykonuje*, zamiast przekonywa i wykonywa; od-

*dychać po tańcu (ma znaczyć odpoczywać); majątek rozerwali dłużnicy, ma znaczyć wierzyście).*

Summa opinij moich o pismach p. D. jest ta, że widzę w nich raczej rozumnego i doświadczeniami życia wypróbowanego człowieka, niż myślącego artystę; talent raczej łatwy i dzielny, niż twórczy; głębokiego znawcę ludzi raczej niż trafnego ich malarza; wymownego prawie zawsze moralistę, a rzadko dobrego literata.

## RYTOWNIK POLSKI I JEGO PRACE



Wskazywać na to, że w tym czasie, kiedy w kraju naszym, gdzie pierwiastki w tym wzglę-  
 dzie i inne potrzeby. Zbiór ten, który jest niezabur-  
 gny, dopiero z tych małych, pionów okazały, oraz z  
 dzieł, które byle gdzie można. Prace, a powody, zacho-  
 dzących trudności, tak opuszczone, nie kochają się, i należy  
 promować te dzieła, których obywateli zbior, stanie  
 się materialnym dla przyszłego, badacza, który przy-  
 xobolności i pracy, posiadany ten obraz dzieł, sztuk na-  
 dobych w kraju naszym, nie przedstawi. Jedną z ca-  
 łości, czyli rytowników, na nich, jedna z ca-  
 łości, sztuk, pięknych, a na nich, w roku XVII wido-  
 cności, się, pokazują. Najdawniejsi, jej, nasi, przedstawi-  
 ciele są: Jan Zaprawa, Prowiant, i Maciej Moraw, z któ-  
 rych, pierwszy, przyszedł, w Państwo. W kraju naszym  
 przy końcu XVII wieku, zjawia się, xobolności, w arty-  
 cju, rycia, Jan Alexander Gorczyński, o którym, już, w po-  
 przednich, moich, piśmiennych, mówiliśmy. Książka, tego, wie-  
 ku, żadnego, na, rozwój, tej, sztuki, wpływu, nie, okazał,  
 i dopiero, w ostatnich, latach, panowania, Augusta III, w-  
 dzie, się, daje, lepszego, rodzaju, rytownik, M. Sokowski,

# FRYDERYK JOHN,

RYTOWNIK POLSKI I JEGO PRACE.

PRZEZ

*Ambrożego Grabowskiego.*

---

Mozolném jest zadaniem poszukiwanie i zbieranie małych szczegółów, odnoszących się do dziejów sztuk pięknych w kraju naszym, gdzie pierwsze lody w tym względzie łamać potrzeba. Zbieranie takowe jest niezbędne, gdy dopiero z tych małych plonów okazalszy obraz tych dziejów złożyć będzie można. Przecież z powodu zacho-  
dzających trudności rąk opuszczać nie godzi się, i należy gromadzić te drobne iskry, których obfitszy zbiór stanie się materiałem dla przyszłego badacza, który przy zdolności i pracy, pożądaný ten obraz dziejów sztuk nadobnych w kraju naszym nam przedstawi.

Skulptura, czyli rytownictwo na miedzi, jedna z gałęzi sztuk pięknych, u nas dopiero w wieku XVII widoczniej się pokazuje. Najdawniejsi jój nasi przedstawiciele są: Jan Ziarnko Lwowianin i Maciej Morawa, z których pierwszy pracował w Paryżu. W kraju naszym przy końcu XVII stulecia zjawia się zdolniejszy w użyciu rylca Jan Alexander Gorczyn, o którym już w poprzednich moich pismach mówiłem. Koniec tego wieku żadnego na rozwój téj sztuki wpływu nie okazał, i dopiero w ostatnich latach panowania Augusta III widzieć się daje lepszego rodzaju rytownik M. Żukowski,

i obok niego staje prawie jemu współczesny Teofil Rakowiecki, oraz niezbyt liczny szereg imion rytowników rozmaitych zalet.

Kilka końcowych lat panowania Stanisława Augusta, zaczęły wróżyć pomyślniejsze chwile dla rytownictwa polskiego, kiedy Fryderyk John i Karol Gröll sztukę tę rozwijać zaczęli. Pierwszy z tychże dał się poznać wypracowaniami w Warszawie wizerunkami tamtejszych znakomitości i t. p. Gröll Warszawianin, zmarły dopiero r. 1858 w Warszawie, wcześniej już rylcem pracować zaprzestał i innym oddał się zatrudnieniom; John zaś, w chwili chylenia się kraju do upadku, znajdował się właśnie w Wiedniu, a przewidując niemożność znalezienia w ojczyźnie zatrudnienia, pozostał na obszerniejszém polu pracy w stolicy Austrii, tam osiadł i wslawił się niodorównaną delikatnością rylca, i razem nadzwyczajną ilością utworów, którym znawcy wielką zaletę przyznają.

W zamiarze bliższego zaznajomienia umiłośników (wyróżniając M. Reja) naszych sztuki z tymże artystą i pracami jego, nie będzie od rzeczy powtórzyć tu *dostownie* wiadomość o życiu jego, napisaną przez ś. p. Gwałb. Pawlikowskiego, w artykule o Rytownikach polskich, który ogłoszony był w piśmie mało rozpowszechnioném prócz Galicyi w dalszych okolicach kraju naszego, pod tytułem: *Czasopismo lwowskie* w r. 1829 i 1830, z dodaniem obszerniejszego spisu prac jego, jakie obecnie składają mały zbiorek płodów rylca artystów naszych, w którym dla zupełniejszego obrazu pomieszczyć i te ryciny, o jakich już w artykule moim pod napisem *Początek ikonografii naszej* mówilem.

*Wiadomość o życiu Fryd. Johna.*—Urodził się d. 24 maja r. 1769 w Malborku, gdzie rodzina jego oddawna osiadła zawsze była w poważaniu i pierwsze urzędy posiadała. Ojciec był naczelnikiem sądów miejskich. Przy szczupłym majątku, rodzice jego na to najwięcej zważali, aby sześciorgu dzieci swych należyte dać wychowanie. Nasz John był do stanu wojskowego przeznaczony, i sposobiony we wszystkich potrzebnych naukach



z największą starannością, w których tak nagle robił postępy, iż już w 12tym roku usypał był z towarzyszami swemi dwie warownie: jedną w sposobie jak wskazuje Vauban, a drugą podług zasad Freytaga. Wyżsi wojskowi, którzy tę młodzieńczą robotę widzieli, nalegali na ojca, aby go oddał do pułku: możeby nawet do tego było przyszło, gdyby był ojciec nie odumarkł, poczem troskliwa o życie chłopczyny matka, oddała go do kupca na naukę handlu.

Umiejętności matematyczne i w tym zawodzie były mu korzystnymi, a zdolność jego zdziałała, iż w domu handlowym Taubera w Warszawie, stowarzyszonym z Raetiensem, dobre pozyskał miejsce.—R. 1789 wybrał się w podróż, której celem było zwiedzić Europę, otworzyć związki z domami handlowemi i poznać najcelniejsze rękodzielnie.

Najprzód udał się do Danii, ztamtąd do Anglii, gdzie po kilku-miesięcznym pobycie doświadczył, że widoki korzyści a nie związki przyjaźni jednały mu przyjęcie, jakiego doznawał. Dom Raetiensa przestał wypłacać, co zaufanie do domu Taubera zmniejszyło. Ledwie się ta wiadomość w Londynie rozeszła, a zaraz owi którzy go dawniej poszukiwali, stronić od niego zaczęli. Bolało to tém mocniej szlachetnego młodzieńca, bo wiedział, iż nie jego naczelnik, ale tylko współnik płacić przestał. Nie mając wiele chęci do kupiectwa z téj okoliczności, iż stan którego celem jedynie tylko zysk być mu się zdawał, zupełnie sobie zmierził i porzucić go postanowił.

Od dzieciństwa już był on sztuk nadobnych czcicielem, a w Londynie za każdym krokiem najpiękniejsze ich twory napotykał: całkiem więc niemi zapalony, im się poświęcić zamyślił, tylko się jeszcze w wyborze wahał, czy sztuce malarskiej czy rytownictwu oddać się ma. Zwątpiwszy zupełnie, aby mógł w pierwszej, nie znając jak tylko rysunek budowniczy, znaczny uczynić postęp; nakłonił się do rytownictwa, a płody naówczas w Londynie pracującego Bartholozzi, które wszystkich zachwycaly, i jego ściągnęły uwagę... Udał się więc do tego mistrza, lecz ten przyjął go z największą oziębłością,

i nawet mu narzędzi swoich pokazać nie chciał. Nie odstręczyło to bynajmniej młodzieńca, ale raczej zapaliło go, bo chciał zazdrosno-dumnemu pokazać, iż i bez jego pomocy wyrównać mu można. Nie są to czary, rzekł sam do siebie, są to tylko kropki, a te i ja robić potrafię, gdybym tylko znał potrzebne do tego narzędzia.

Nieco wcześniej ogłosił był jakiś wychodziec francuzki, iżby sobie życzył nauczać innych sztuki rytowniczej: do tego więc nasz John się udał i z wszelką otwartością wyznał, iż mało co rysować umie. Rzecz to odrębna od rytownictwa, rzekł Francuz, i bez rysunku rytować można. Nie wierzył wprawdzie John temu twierdzeniu, i wszelkie przez to do nauczyciela stracił zaufanie; ale myślał, iż się przy nim z sposobem i potrzebnymi narzędziami obznajmi. Na to kilka godzin było dostatecznymi: porzucił więc nauczyciela, a oddał się z największą pilnością rysunkowi i rytownictwu.

Tępém dłutkiem, stawianém na blasze w miejscu gdzie miała być kropka, bijąc weń młoteczką z rączką elastyczną, robił Bartholozzi swoje ryciny. Udawał się ten sposób Johnowi tam, gdzie kropki rzadko stać miały, lecz gdzie je gęściej stawić było potrzeba, tam późniejsza zaglądała wcześniej zrobioną. Przedsięwziął więc wydłubywać je rylcem, a rzecz szła gładziej, czyściej, i lepiej tym sposobem można było odznaczać cienie. Później doświadczał był sposobu robienia igłą rytowniczą, za pomocą rozwiedzionego saletrzanego kwasu. Pracował zaś tylko dla nauki i ćwiczenia się, a z robót jego ówczesnych pięć tylko rycin, z których jedna na czterech blachach dla różnobarwnego odcienia rytowaną była, wyszło.

Będąc zupełnie opuszczonym, i nie mając przez kilkanaście miesięcy ni zasiłku, ani wiadomości z domu, został zmuszony wrócić do ojczyzny; lecz przed wyjazdem z Londynu zakupił potrzebne rytownicze narzędzia.

Przyjazd jego do Warszawy właśnie wtenczas wypadł, w którym rzeczpospolita, jak owe światelko kaganka, co już ma gasnąć, jeszcze raz przed skonem na krótką chwilę w całym blasku rozjaśniała. Stanisław August wspierał i zachęcał wszelkie nauki i sztuki rodzaje: znalazł

i John w nim wsparcie, a co większa, znalazł biegłego znawcę, który mu był użytecznym: kształcił smak jego i zapałowi należyty dawał kierunek. Każdą pracę musiał on królowi przynosić, a zawsze najtrafniejsze usłyszał uwagi. Często w domu księżny Mikołajowej Radziwiłłowej, która go także wspierała, prostował król wyobrażenia jego o sztuce, a roboty jak miały być poprawione, wskazywał. Tak pod okiem królewskim zrobił John w dwóch latach dwanaście rycin, podług rysunku Smuglewicza, Lampiego, Grassego i innych, przedstawiające albo wypadki z dziejów, lub allegoryczne, lub wizerunki znakomitych osób.

U księżny Radziwiłłowej poznał się z wychowanką jej, córką pułkownika gwardyi nadwornej, panną Barbarą Czeską, i z nią się po uprzątnionych wielu trudnościach ożenił. Chcąc mu dać sposób lepszego wydoskonalenia się, wyprawił go król do Wiednia, wyznaczwszy mu pewny roczny dochód, i dał mu własnoręczne listy do posła swego Franciszka Wojny, i do malarza Fügera.

Każdemu są wiadome nieszczęsnych lat tych wypadki, a skutki onych i dla naszego Johna smutnemi były. Ustała roczna płaca królewska, to jedyne dochodów jego źródło; a John mając już kilkoro dzieci, nie tyle mógł się nauce poświęcać, bo dla zarobku pracować musiał.

Przy chęci i zdatności acz w krótkim czasie, wyćwiczył się należycie w rysunku, co mu tém łatwiej było, iż w nauczycielu swoim Fügerze znalazł szczerego przyjaciela, który swą umiejętność radby był w niego przelał. Obznajmił się oraz więcej i z sposobem rytowania, wszedłszy w związki z najcelniejszymi rytownikami wiedeńskimi; lecz nie chwytając się żadnego z właściwych im sposobów, utworzył sobie, różne czyniąc doświadczenia, nowy zupełnie i tylko jemu samemu właściwy.

Do roboty kropkami, używają zazwyczaj ryłca w trójkąt zaostzonego: John swój w pół-kole zaostrzał, a te nadzwyczajną przyjemność rycinom jego nadają. Użycie podobnie zaostzonego ryłca z wielą jest połączone trudnościami, bo trójkątnym wyrabiane kropki, mogą być z wszelką łatwością zagładzone, a krągłym le-

dwie je tylko zmniejszyć można. Potrzeba zatem do ostatniego bardzo wprawnej ręki, która swęj roboty jest pewną, i nie zwykła jęj poprawiać. Otóż ta jest przyczyna, że inni tylko w niektórych miejscach tego ryłca używają. Umie on oraz nierównie gładziej jak inni, sposób kropkowany z kréskowym łączyc, co wyraz w rycinie o wiele wydatniejszym czyni.

Sława jego za granicą następującą okolicznością ustaloną została. Hr. Meerman-Van-Daulem, przełożył był na język hollenderski *Messiadę* Klopstoka, i chciał wydanie onejże ozdobić rycinami: ogłosił więc 20 dukatów za rysunek do każdęj z 20 pieśni. Dowiedziawszy się o tém John, opisał mu robione już dawniej 20 rysunków z *Messiady*, przez Fügera, które się w zbiorze hr. Friese znajdowały, i dołączył jakąś rycinę dla okazania swęj roboty, z której hr. Meerman zupełnie zadowolony, polecił mu rytowanie, i za każdą ćwiartkową rycinę, w tanich naówczas latach, po sto talarów wypłacił. Kto zna te twory Fügera, ten się zdziwi nad śmiałością tego, co się je rytować podejmuje: wszystko bowiem w nich jest wyrazem, a John po mistrzowsku je oddał.

Porównywając początkowe ryciny Johna z późniejszymi, postrzegamy w nich stopniowe kształcenie się i doskonalenie tego mistrza. Już w r. 1794 (w Warszawie wykonane) roboty jego, do rzędu robót piérwszych współczesnych artystów należały, a przecież te z najpóźniejszymi porównane być nie mogą.

Od r. 1817 drukarz i księgarz wiedeński Wallishauer zaczął wydawać rocznik w niemieckim języku pod tytułem: *Aglaja*, a każdy zdobiał sześć rycin Johna w 16, z najlepszych obrazów (w galeryach wiedeńskich) bez przerysowania ich wprost na blasze robione. Takich rycin jest już (było wtedy) 87, i składają najpiękniejszy zbiór przerysowanych obrazów. Wszystkich zaś rycin które John wypracował jest już (było) 283.

John ukształcenie swoje tylko samemu sobie był winien, i dlatego sposób jego jest zupełnie oddzielny od tego, jakim robią inni. Zachwycająca przyjemność i miękkość, połączone z najdobitniejszą doskonałością

i najściślejszém zachowaniem rysunku, oto są własności cudnych jego utworów.

Rytował on następujące wizerunki Polaków:

- 1) Króla Stanisława Augusta r. 1790, według Lampiego.
- 2) Stanisława Małachowskiego, podług tegoż.
- 3) Michała Ossowskiego, toż samo.
- 4) Nestora Kazimierza ks. Sapiechę, generała artylerji, podług Pitschmana r. 1791.
- 5) Księcia Józefa Poniatowskiego, podług Grassego.
- 6) Kajetana Sołtyka (nie biskupa krak. jak pisze ś. p. Pawlikowski), lecz jego tylko imiennika, jak podpis na rycinie: *Supremus Regni Poloniae Secretarius*. Podług Lampiego, r. 1791.
- 7) Księcia Henryka Lubomirskiego, podług Koswoja, r. 1793.
- 8) Tadeusza Kościuszkę, podług Grassego, r. 1794.
- 9) Księcia Józefa Poniatowskiego, podług Bennera r. 1816.
- 10) Cesarza Alexandra I i jego trzech braci, podług tegoż, r. 1818.

John żyje w Wiedniu (pisał to ś. p. Pawlikowski przed r. 1829) dzieląc swój czas pomiędzy pracę i wychowanie swych młodszych dzieci, których miał sześćioro. Z tych najstarszy syn oddał się muzyce i był nauczycielem w Nowym-Orleanie, drugi kupcem w Tryeście. Lubi on (ojciec) nauki a najbardziej filozofią. Czyta w angielskim, francuzkim, hollenderskim, włoskim, niemieckim i polskim języku. Powszechnie szanowany i kochany, od wszystkich czcicielów sztuk pięknych odwiedzany bywa, a czując zwątłone siły pracą, nie przyjmuje już innych robót jak tylko do Aglai.

(Dodać tu winienem, iż ś. p. Pawlikowski wiadomość o życiu Johna czerpał z najpewniejszego źródła, gdyż w czasach działalności jego sprawując urząd w Wiedniu, tam zamieszkiwał: a jako miłośnik sztuki i już wówczas gromadzący ryciny, był w stosunkach znajomości i pożycia z tym zawołanym artystą, przeto mógł z ust jego wszystkie te powziąć szczegóły).

Powyższą biografią Johna należy dopełnić niektórymi dodatkami, jakich dostarczy Naglera dzieło: Słownik artystów tom 6ty. „Fryderyk John najslawniejszy rytownik nowszych czasów, początkowo sposobił się w nauce inżynierskiej, ale w roku życia 15tym musiał się w Warszawie nauce kupiectwa poświęcić. W czasie kiedy się znajdował w Anglii, gdy ten dom handlowy upadł, postanowił wyłącznie oddać się sztuce. Francuz jeden w Leicester-Hields-Jun udzielił mu nauki sposobu rytowania za pomocą igielki, a potem kwasu saetr. (*Radiren*) i innych. Pierwsza próba sztychu w rodzaju kropkowanym (*punctir-maniem*), wizerunek Maryi Cosway nadspodziewanie pomyślnie się powiodła, pomimo iż Bartholozzi napróżno odwodził go od zawodu rytowniczego. Potem wrócił on do Warszawy, gdzie czas jakiś pracował z wielkim powodzeniem. Następnie opatrzony poleceniem królewskim udał się do Wiednia, i tam już na zawsze pozostał, gdzie i najpiękniejsze dzieła swoje wykonał.— Od r. 1816 do r. 1832 dostarczał on corocznie sześć rycin do Noworocznika Aglaia, i w tym czasie zaprzestał wszelkiego udziału w pracach rylcem. Na ostatek lat swych obrał sobie zamieszkanie w Marburgu w Styryi, aby tam według upodobania w spokojności dni zakończyć. Tu umarł r. 1842“ (1).

Z spisu Naglera daję tu wykaz tych rycin Johna, których zbiór mój nie posiada.

Śmierć Abła podług Fügera. Rycina cało-arkuszowa.

Cyganka (*Die Zingara*) według Corregia.

Ś. Jan na puszczy, Rafaela; małe *in folio*.

Marya z dzieciną i Józef pod drzewem palmowém, według obrazu F. Bartolomeo, który Pius VI darował hr. Czerniszew, *in folio*.

Książę Reichstadt w wieku dziecinnym.

Cesarz Józef II.

Tenerysta Wild.

J. V. Degen, według miniatury.

(1) Niemieckie podpisy na rycinach Johna rytownika polskiego, wskazują w pośród jakiej i dla jakiej narodowości prac te jego wykonane były.

Samuel Bredetzki (pastor ewangelicki).

Wiele różnych wizerunków, jakoto: Glaza, Ungera, Ant. Bacher, a Dall Armi, barona Retzer, malarza Edlinger, hr. Weichs, bar. Guarin, M. Sailer, P. Strobel etc.

Ryciny do Aglai w liczbie 105, według dzieł najcenniejszych malarzy.

Takież do wspaniałych wydań dzieł Wielanda i Klopstoka. Do Messiady dostarczył John cztery ryciny z rysunków Fügera, inne zaś według Leibolda. Później wypracował on wszystkie 20 rycin do Messiady tłum. na język hollenderski przez hr. Meermana.

Ryciny do dzieła *Doolin von Mainz*, które są pracą dawniejszych jego lat, z r. 1787.

W posiadaniu księgarza Fleischmana w München jest około 30 blach wizerunków znakomitych Bawarczyków według rysunków Eslingera, wykonanych po mistrzowsku, a dotąd nie wydanych.

\* \* \*

RYCINY F. JOHNA W ZBIORZE A. G. W KRAKOWIE.

**W Warszawie wykonane ryciny.**

Stanisław Małachowski. *Lampi pinx. F. John sculp. Varsavia, in 8.*

Kazim. Nestor ks. Sapieha.—*Pitschman del.—F. John sc. Varsav. in 8.*

Michał Ossowski oraz medal z stos. napisem.—*F. John sc. in 8.*

Cajetanus Soltyk supremus Regni Poloniae Sacretarius.—*F. John sc. Varsaviae 1791.*

Rycina z nap. *Anniv. Sacro a restit. Republica etc.—F. Smuglewicz del.*

Geniusz w locie unoszący kartę z nap. *Ustawa rządu & rycinka mała.*

**Ryciny wypracowane w Wiedniu.**

Po największej części są to ryciny, któremi ozdobiony był Noworocznik pod tyt. Aglaja; są w formacie 12-mo i 16mo i na wszystkich jest jego nazwisko *F. John sc.*

Das Kind Jesus.—*Franceschini p.*

Salvator Mundi.—*H. Fuger p.*

Wess ist das Bild?—*Dominichino p.*  
 Das ist mein Leib.—*Juan de Juanz p.*  
 Ecce Homo.—*Giorgione p.*  
 Der Leichnam Christi.—*Andrea del Sarto p.*

\* \* \*

Maria mit dem Kinde Jesus.—*Sassoferato p.*  
 Maria Jesus und Johannes.—*Andrea del Sarto p.*  
 Maria das Kind betrachtend.—*Corregio p.*  
 Maria mit dem göttlichen Kinde, der heil. Catharina und  
 Barbara.—*Leonardo da Kuci p.*  
 Maria mit dem Kinde.—*Scheffer p.*  
 Die Jungfrau mit dem Kinde.—*Giulio Romano p.*  
 Madonna.—*Raphael d'Urbino p.*  
 Madonna.—*Carlo Dolce p.*  
 Madonna.—*Francesco Francia p.*  
 Madonna.—*Fr. Bartolomeo u S. Maria p.*  
 Heilige Familie.—*Andrea del Sarto p.*  
 Die Ruhe unter dem Palmen.—*Raphael d'Urbino.*

\* \* \*

Joannes Baptista.—*Raphael Sanzie p.*  
 Joannes.—*Guercino p.*  
 Joannes.—*Füger p.*  
 S. Petrus.—*Raphael Mengs. p.*  
 S. Hieronimus.—*Domenichino p.*  
 S. Joseph.—*Carlo Dolce p.*  
 S. Franciscus.—*Domenichino p.*  
 S. Franciscus.—*H. Caracci p.*  
 Magdalena.—*Carlo Dolce p.*  
 Magdalena.—*Franceschini p.*  
 Magdalena.—*Füger p.*  
 Magdalenens Verherlichung.—*Domenichino p.*  
 S. Catharina.—*Carlo Dolce p.*  
 S. Catharina.—*Leonardo da Vinci p.*  
 S. Margaretha.—*Raphael d'Urbino p.*  
 S. Justina.—*Perdenone p.*  
 Sieg. des Glaubens.—*Guido Reni p.*  
 Cherub.—*Corregio p.*  
 Cherub. Studie.—*Tenze.*



Kirchenväters.—*P. P. Rubens p.*  
 Studierende Mönche.—*Rembrandt p.*  
 Charitas.—*Carlo Cignani p.*  
 Charitas.—*Correggio p.*  
 Sinceritas.—*Carlo Dolce p.*  
 Otiositas.—*Correggio p.*  
 Ideal.—*Jac. Palma p.*  
 Die Worte der Mutter.—*Carlo Cignani p.*  
 Der lehrende Schutzengel.—*Matteo Roselli p.*

\* \* \*

David.—*Domenichino p.*  
 David.—*Guido Reni p.*  
 Judith.—*Carlo Marinari p.*  
 Tochter der Herodias.—*Carlo Marinari p.*  
 Hagar in der Wüste.—*Giacomo Bassano p.*  
 Putiphars Weib.—*Cingarelli p.*  
 Artemisia.—*Francesco Jurino p.*  
 Cleopatra.—*Domenichino p.*  
 Cleopatra.—*Tenze p. Inna od powyższój.*  
 Constantin der Grosse.—*Guercino p.*  
 Johanna d'Arc.—*Lens p.*  
 Oedip.—*Krafft p.*  
 Ossian.—*Tenze p.*  
 Correggio.—*Correggio p.*  
 Rembrands Mutter.—*Rembrandt p.*  
 Violante Palma.—*Paris Bordone p.*  
 D. Pedro Camponares.—*Raphael Mengs p.*  
 Lautenspielerin.—*Gol. Caravaggio p.*  
 Flötenspieler.—*G. Dow p.*  
 Obshändlerin.—*Gabriel Mezu p.*  
 Helena Forman.—*Rubens p.*  
 Eine junge Spanierin.—*B. S. Murillo. p.*  
 Circassierin.—*Domenichino p.*  
 Faustina.—*H. Romberg del. 1797. Z dzieła Wielanda*  
 wydanie in-4.

\* \* \*

Venus und Amor.—*Franceschini p.*  
 Amor.—*Guido Reni p.*

Amor der Bogenschnitzer.—*Parmeggiano p.*

Amor mit der Laute.—*Bosso p.*

Amor träumend.—*Guido Reni p.*

Cupido.—*Tenże p.*

Diana.—*Tenże p.*

Endymion.—*Hannibal Caracci p.*

Galatea.—*Fr. Albani p.*

Latona.—*Franceschini p.*

Arkadische Hirten.—*Poussin p.*

\* \* \*

**Wizerunki.**

Książę Józef Poniatowski. Bez podpisu, na ramie czworobocznej napis: *Bóg mi powierzył honor Polaków &c.* — *Benner p. Varsoviae.*—Rycina bardzo piękna, cało-arkuszowa.

Carl Theodor Churfürst von Pfalz-Bajern.—*Batoni p.*—  
In 4to maj.

Elisabetha Augusta Churfürstin etc.—*Edlinger pinx.*

Georg. Alois. Dietl. etc.—*Painted by Mr. Edlinger.* in 8.

Heinrich Jos. Edler von Collin.—*Lange pinx.*—8 maj.

Colonell Baron Kienmayer.—*Painted by Rahmel*—8 maj.

Johan v. Alxinger.—*V. G. Kininger del.* 1796 in 8.

Rosalia Noussel Schauspielerin.—*Schrötter del.*—in 4 maj.

\* \* \*

Ryciny bez podpisów, *avant la lettre.*—Oznaczone gwiazdką mają podpisy odcięte, lecz przy wszystkich jest: *F. John. sc.*

N. Panna z Dzieciątkiem na obłokach.—*Van Dyck p.*

Dziecina Jezus leżący trzyma krzyż w ręku. — *Simon Cantarini p.*

\* Najśw. Panna, Dziecię Jezus, Ś. Jan i Ś. Anna.

\* Ś. Jan, Dziecina z barankiem.

\* Postać niewieścia przebijająca łono (*Lukrecja?*).

\* Fortuna, trzymająca koło i róg obfitości.

Merkuryusz, i geniusz skrzydlaty. Kupido.—*Correggio pinx.*

\* Nimfa leżąca, dłonią czerpie wodę z rzeki.

\* Kupido ustawiający kręgle. Małeńka rycinka okrągła.

Dwie osoby siedzące.—*Agricola del.*

Krajobraz z dwiema figurami.—*Tenże del.*

Dwaj zapaśnicy starzy powaleni na ziemię. *Tenże del.*

(in 8vo poprzeczne. Z poematu Wielanda p. t. Musanon).



# JOANNA DARC,

DRAMAT HISTORYCZNY W PIĘCIU AKTACH PROZA

PRZEZ

DANIELA STERNA.

Wydany w Paryżu 1857 r.

## PRZEDMOWA AUTORA.

Nie widzę w dziejach żadnego ludu, wyjąwszy może ludu żydowskiego, zjawiska cudowniejszego, postaci idealniejszej i czystszej nad Joannę Darc. W żadnej innej nie jednoczą się tak doskonale promienie geniuszu i świętości, żadna nie zdoła przeniknąć lepiej serca i wyobraźni.

Dusza ta pełna zapалу i głębokiej miłości, serce czyste, umysł prosty i szczery, dziecię pól i lasów, dziewica natchniona, wojowniczką i męczennicą, Joana Darc jest zarazem postacią bohaterską i zjawiskiem legendowym, typem średniowiecznego rycerstwa i osobą dziejową niezaprzeczonej rzeczywistości. W obec sztuki i poezji przedstawia ona przedmiot zarówno opisowy, elegijny i plastyczny: tak dla rzeźbiarza jak dla muzyka, malarza i poety, otoczona wdziękiem tajemnicy, promieniejąca chwałą, prawdziwie uroczym jest zjawiskiem.

Zkądże więc pochodzi, że dotąd postać tak piękna nie zdołała natchnąć francuzkich poetów i artystów? Zkąd pochodzi, że tak cudowne czyny i tak okropny skon, dały załedwie popęd młodym utworom, rymom

bezbarwnym i pospolitym. Jakim sposobem imię tak wielkie mogło posłużyć za cel igraszki świętokradzkim pismakom. Czemu Joanna Darc czeka jeszcze od sztuki ostatecznego uświęcenia, wskrzeszenia poetycznego, powtórnych, że tak powiem, narodzin w krainie myśli, któreby wszczepiły na wieki rysy jej w wyobraźnię ogółu, uwydatniły je dla wszystkich blaskiem nieśmiertelnej piękności?

Przykre czyni wrażenie pierwsze dzieło utworzone na cześć Joanny Darc, *Mysteryum, Oblężenie Orleanu* (1). Utwór ten prawie współczesny wypadkowi, napisany stylem pospolitym, źle rymowaną prozą, mało ma wartości: mimo naiwnego uwielbienia dla bohaterki, brak mu zapału i życia, a nawet ducha religijnego, choć sam Bóg występuje na scenie, a z Nim Najświętsza Panna i Wszyscy Święci. Joannę zowią tam *księżniczką, szlachetną panią*, każdy mówi do niej z poszanowaniem, składa jej winną cześć, jako przesławnej amazonce; ale nie ma tam ani śladu owego ukrytego płomienia, który ożywił świętą dziewicę; nie znać walki, która szarpała jej duszę, walki między natchnieniem Boskiem a naturą ludzką; nie domyślić się nawet owej tajemniczój siły, którą czerpała z nieba, a udzielała mimowiedzy ludowi oswobodzonemu przez siebie.

Później, gorzej jeszcze pojmowano tę postać. Po dwóch wiekach zupełnego zapomnienia, Chapelain postanowił (jak się wyraża w przedmowie) *ożywić popioły Fenixa, aby opuściły stos i odrodzone nowém życiem, przybiegły złożyć hołd słonecznej chwale księcia de Longueville* (2). Szumna nadętość tego utworu, ośmiesza postać, którą autor chciał uczcić; upadek poematu pograżył w niepamięci imię natchnione, któremu Chapelain spodziewał się w dobrej wierze zbudować pomnik wiecznotrwały.

(1) Biblioteka Watykanu posiada rękopism tego dzieła, który był własnością królowej szwedzkiej. *Mysteryum* to przedstawiano w Orleanie i wielu miastach nad Loarą, w dziesięć czy dwanaście lat po śmierci Joanny Darc.

(2) Dedykacya umieszczona na czele bohaterskiego poematu Chapelain'a.

Mamże mówić o Voltairze, którego Francya uczciła nazwą narodowego poety? On sam żałował lekkomyślności, jakiej dopuścił się w młodych latach, szydząc z oswobodzicielki swój ojczyzny (1). Błąd ten stał się ostrą bronią w ręku nieprzyjaciół, którzy usiłowali podkopać nim sławę pisarza.

Po Voltairze, jakby przez reakcyą przeciw żartobliwemu poematowi jego, który pozyskał jednodniową sławę, opinia powszechna zwróciła się ku znieważonej przezeń bohaterce. Lenglet, Dufrenoy i Laverdy sięgnawszy do źródeł dziejowych (2), dali pierwsi popęd owej restytucyi historycznej, która się spełniła za dni naszych. Podczas restauracyi za Burbonów i za panowania Ludwika Filipa, pisarze i artyści podjęli przedmiot, któremu bieżące wypadki nowy nadały interes. Arrigni (3) i Soumet (4) napisali tragedye przedstawiane w teatrze z niejakiem powodzeniem; księżniczka Marya Orleańska wyrzeźbiła delikatną ręką niewieścią statwę pełną zalet; nakoniec Ingres na wzór mistrzów starożytnych oddał dzielną postać wiejskiej wojowniczkii. Wszelako powszechność uznała i słusznie, że ani poezya, ani sztuka nie utworzyły jeszcze ostatecznego typu, typu prawdziwie narodowego, naszej narodowej bohaterki. Ujrzymyż ją kiedy zstępującą z płótna lub marmuru? powitamyż ją serdecznym oklaskiem na lirycznej lub dramatycznej scenie? Nie śmiem twierdzić, lecz mniemam, że okoliczności skłaniają się dziś ku temu. Nigdy przedmiot historyczny nie był lepiej przygotowany do plastycznego wycisku. Artysta, któryby dziś przedstawił Joannę Darc w barwie narodowej, mógłby być pewien, że znajdzie w oświeconej publiczności szczerą sympatyą i to szczęśliwe usposobienie umysłów do

(1) Patrz korespondencyą Voltaira z lat 1755—1756—1760.

(2) Mówimy o procesie skazania i rehabilitacyi Joanny Darc wówczas nie wydany jeszcze.

(3) Joanna d'Arc w Rouen, tragedia w pięciu aktach wierszem, pierwszy raz grana w teatrze francuzkim 4 maja 1819 r.

(4) W r. 1825 przedstawiano w teatrze francuzkim tragedia jego p. n. Joanna d'Arc. W r. 1845 ogłoszono Joannę d'Arc, trylogią narodową poświęconą Francyi, dzieło pośmiertne.

przyjęcia, w danej chwili, idei poetycznej, uosabiającej myśl żywotną.

Dawniej inaczej się rzecz miała. W XV wieku, gdy po raz pierwszy usiłowano przedstawić na scenie Oblężenie Orleanu, płomień rycerski średnich wieków już był przygasnął w sercach. Ustąpił on wtedy temu duchowi rzeczywistości, który piętnuje ówczesne utwory, jak *kronikę mieszczanina paryzkiego*, farsę p. t. *l'Avocat Patelin*, romans: *le Petit Ichan de Saintre* i t. d., utwory wprawdzie mile, lecz krążące w niskich sferach, do których zapal i heroizm nie mogłyby znaleźć przystępu, a których ciężkiej atmosfery nie wstrząsnęłyby nigdy ani rycerskie hasła, a tém mniej dźwięki niebiańskie brzmiające w duszy pasterki z Domremi.

Latynizm panujący na dworze Ludwika XIV, duch krytyczny i przeciw-chrześcijański XVIII wieku, nie sprzyjały także pojęciu bohaterki legendowej, zrodzonej z ludu, zupełnie nowożytnej, czysto ewangelicznej uczuciem, w której jedni wielbili ślepo nadprzyrodzoną cudowność, gdy tymczasem drudzy w niedowiarstwie swoim czynili z niej podrzędne narzędzie politycznej intrygi. Wiadomo wreszcie, że we Francyi tradycya ludowa, myśl czysto narodowa, która sama tylko może nadać postaci Joanny Darc właściwą jej wielkość, usunięta z dziedziny sztuki przez rojalizm i klassycyzm, w ostatnich dopiero czasach przysła do pełnego rozkwitu pod wpływem nowych wyobraźni. Gdy w ostatnich czasach widziano tyłkrotnie lud obalający wszelkie zapory i występujący na dziejową widownię, gdy posłyszano ten groźny lud wczoraj nieznan, dziś wszechpotężny, uznający się żywotną częścią narodu, usiłowano pojąć go nareszcie. Skoro zrozumiano jego moc, zaczęto odgrzebywać jego prawa: widząc szeroką przed nim przyszłość, chciano odtworzyć przeszłe jego koleje. W starych kronikach i annałach, oprócz postaci dynastycznych i arystokratycznych, które przez długi ciąg wieków miały wyłączny przywilej myślenia i przemawiania w imię Francyi, poczęto badać skwapliwie i z dziwnym zajęciem stopniowy rozwój instynktów ludowych, podsluchiowano chciwie rozpierchłe i niewyraźne głosy geniuszu narodowego.

Wówczasto nowa szkoła przedsiębiorąc wskrzesić najstarszytniejsze wspomnienia Francyi i Gallii, przerzucając stare kroniki i odwieczne dokumenta w archiwach, umyśliła odtwarzać z całą prawdą tak całe okresy dziejowe, jak postaci historyczne dotąd nieznanne lub przekształcane. Wówczasto ujrzelśmy prawdziwą Joannę Darc występującą zpod pióra przenikliwych badaczy, pełnych narodowego zapału. Wyliczę dwóch, pomiędzy wszystkimi. Pierwszy z nich Michelet jakkolwiek niedostatecznie objaśniony, dla małej liczby danych podówczas źródeł, wspierając się pracami erudytów niemieckich, wskrzesił jakby dotknięciem czarodziejskiej laski piękną i wyrazistą postać Joanny Darc, zajmującą swą bohaterską świętością zupełnie prawie taką, jaką nam ją wskazały ogłoszone później historyczne dokumenta (1). Henryk Martin w VI tomie historyi Francyi uzupełniając utwór Micheleta, nadał jej charakter druidyczny i nowe przez to otworzył pole wyobraźni artystów. Dziś po dwóch tak sumiennych historykach, po tak dokładnem wniknięciu w przedmiot i wykazaniu szczegółów w tak rozmaitem świetle (2), postać Joanny Darc zrozumiana i ulubiona od ogółu, w rzeczywistości swojej cudowniejszej nad najcudowniejsze zmyślenie, oczekuje na pędzel, lirę i dluto, aby opanować do reszty zmysły nasze i wyobraźnię, pod tą lub ową formą sztuki, która lepiej odpowiada szczególnemu lub chwilowemu usposobieniu umysłu ludzkiego.

Forma dramatyczna jaką obieram, najmniej może odpowiada naturze przedmiotu Joanny Darc. Stare nawyknięcia naszego teatru, a zwłaszcza smak upowszechniający się dziś w tej części publiczności, która zapewnia powodzenie artystom dramatycznym, uczyniłyby niewątpliwie dość trudnym przedstawienie bohaterki bez ziemskiej miłości i bez krasomówczych uniesień; niemniej utrudniłyby oddanie akcyi, w której wszystko rozwija

(1) Proces skazania i rehabilitacyi Joanny Darc ogłoszony przez p. Quicharat, 5 tomów in 8. Paryż 1841—1844. Uwagi nowe o historyi Joanny d'Arc 1850 roku.

(2) Patrz między innymi Pamiętnik czyli nowe poszukiwania, przez Vallet de Viriville o nazwisku i rodzinie Joanny Darc.



się poprostu bez nagłych zmian i gwałtownych a nieprzewidzianych efektów, za pomocą ruchu bardziej opisanego niż dramatycznego. Wszelako forma dramatyczna jako najżywotniejsza i najprawdziwsza po historyi, z której wypływa bezpośrednio, może, jak miemam, służyć za przejście pomiędzy poważnem dziełem naszych historyków i utworami swobodniejszemi sztuki plastycznej. Sądziłem, że może choć mała liczba przyjęłaby zyczliwie wierne i proste wystawienie rzeczy, do jakiego smak obecny zwolenników dramatycznych widowisk nie zdaje mi się dostatecznie przysposobiony. Może się myłę w tym względzie. Cokolwiekby dodać kilka słów, wyjaśniając w jaki sposób pojąłem ten dramat. Zbytecznie byłoby mówić, że wierne szedłem za śladami wiarogodnych historyków, wybierając (gdy zachodziła między nimi sprzeczność) opowiadanie najwłaściwsze dramatycznemu rozwinięciu charakterów. W tym celu jedynie pozwoliłem sobie małych anachronizmów i wymyśliłem niektóre drobne wypadki, zgodne z prawdopodobieństwem historycznym.

Co do scen czwartego aktu w zamku Beaurevoir, ponieważ spotkanie księcia Burgundyi z Joanną Darc bardzo ogólnie wskazane jest w historyi, a jeden z najdokładniejszych kronikarzy Monstrelet wspomina wyraźnie, że książę Filip udał się *tam gdzie była, ażeby ją zobaczyć*; sądziłem, iż wolno mi przypuścić, że piękność, sława, wymowa i nieszczęście niewolnicy, wyrzéc mogły urok na umyśle tkliwego księcia; mniemałem także, iż uzupełniam obraz mojej bohaterki, ukazując ją w rozlicznych stosunkach, w jakie wplątały ją wypadki wojny, wyjątkowe jej położenie. Wreszcie w dalszych ustępach, usiłując oddać charakter Joanny takim, jakim się okazuje z badań i świadectw współczesnych, usiłowałem według przywileju artysty uwydatnić strony, które mnie osobiście najmocniej pociągały: miłość jej ku ojcu, wstręt do wszelkich wielkości ziemskich, tęsknotę do rodzinnych pól i lasów, a nakoniec trwogę niewieścią w obec śmierci, która nie ubliżając wcale bohaterstwu, nadaje jej tkliwszy i sympatyczniejszy urok.

Nie ludzę się, przeciwnie, czuję niedostateczność moję w obec takiego zadania; myśl jedna dodaje mi wszakże odwagi. Jeżeli nie zdołałem oddać całej wielkości Joanny Darc, czułem ją przynajmniej, i nikt mi nie zarzuci odczytawszy tę pracę, abym przystąpił bez poszanowania, bez religijnej czci, bez szczerego skupienia ducha, do téj szczytnej a natchnionej postaci, pełnej odwagi i poświęcenia, do téj pełnej chwały a niezważonej męczenniczki, która ocaliła Francją.

## OSOBY.

JOANNA DARC.  
 KAROL VII król Francji.  
 KSIĄŻĘ D'ALENÇON wódz naczelný wojska.  
 JERZY DE LA TREMOUILLE, wielki szambelan Francji  
 REGNAULT z CHARTRES, arcybiskup z Reims.  
 TANNEGAJ-DUCHATEL.  
 LA HIRE.  
 MIKOŁAJ DE GIRESMES, wielki mistrz zakonu św. Jana z Jerolimy.  
 BERTRAND z Poulangy koniuszy.  
 ALAIN CHARTIER, sekretarz królewski.  
 PODSKARBI królewski.  
 JAN MOREAU, radny miasta Orleans.  
 FILIP DOBRY, książę Burgundyi.

JAN LUXEBURG, hrabia de Ligny.  
 LORD TALBOT.  
 HRABIA SUFFOLK.  
 JAKÓB DARC, wieśniak, ojciec Joanny.  
 THIBOLD, starzec niewidomy.  
 ALAIN, młody wieśniak.  
 STEFANEK mały pastuszek.  
 PERRIN zakrystyan.  
 BRAT Eliasz Franciszkanin.  
 WICE-INKWIZYTOR.  
 ISAMBARD assesor trybunału.  
 JOHN HAMPTON teolog angielski, assesor trybunału.  
 LUDWIKA siostra Joanny Darc.  
 HRABINA DE LIGNY matka Jana Luxemburga.  
 BERTA siostra Jana Luxemburga.  
 PERONNA ich służąca.

Rycerze, koniuszowie, pазie, heroldowie, żołnierze francuzcy i angielscy, mężczyźni, kobiety, dzieci, tak z mieszczań jak z ludu, mnichy, assesorowie trybunału, notaryusze, rektorowie uniwersytetu, kat i pa-cholcy sądowi.

*Rzecz dzieje się w Domremi, w Chinon, w Reims, w zamku Beaurevoir, i w Ronia, od d. 8 maja 1428 r. do d. 30 maja 1431 r.*

## AKT I.

Rzecz dzieje się we wsi Domremi i w jej okolicy. Teatr przedstawia wyrąbaną przestrzeń w lesie. W środku sceny, stare bukowe drzewo nad strumieniem. Nieco dalej wielki głaz, szczątek ołtarza Druidów. Z prawej strony na podwyższeniu, widać małą gotyką kapliczkę napót ukrytą za drzewami.

## SCENA PIĘRWSZA.

ALAIN sam—potém LUDWIKA.

ALAIN.

Na ten raz przynajmniej starsza nie powie żem ja temu winien. Dziś właśnie pierwsza kwadra nowego miesiąca, o samy północy byłem już w lesie w naznaczonym miejscu; zerwałem trzy gałązki ligustrowe, potrzykroć obiegłem drzewo wrózek, za każdym razem do liczyłem dziewięć kroków, animniej ani więcej; nie spałem ani minuty, a choć słyszałem dokładnie głosy ludzkie, tam za tym kamieniem co się rusza, daremnie wypatruję oczy teraz, gdy blask dzienny zaświtał, próżno kopię i przewracam ziemię motyką, nie nie znajduję.... nie zgoła.... Widać że i wróżki niekoniecznie dotrzymują słowa. (*Spostrzega Ludwikę która wchodzi, trzymając w rękę jarzącą świecę*). I ty tu Ludwiko! cóż cię tak rano sprowadza do lasu?

LUDWIKA.

Przynoszę świecę Najświętszej Pannie, bo to dziś jej uroczystość. Ale jakiś ty błąd, co tobie? Czyś nie chory?

ALAIN.

O tak, bardzo chory, Ludwiko, ty wiesz co mi jest.... pocałuj mnie, to mnie zaraz uleczy...

(*Idzie do niej i chce ją pocałować*).

LUDWIKA.

Pomału, pomału! To być nie może!

ALAIN.

Jakto, a czemuż to być nie może! A któż nam tego zabroni?

LUDWIKA.

Nowy nasz pleban. On nie chce żebym cię całowała, dopóki nie będę twoją żoną.

ALAIN.

Bah! to rzecz zabawna. Kiedy twój ojciec nie chce wiedzieć o niczem, a ja próżno szukam tego ziela, któreby mi wskazało ukryte w ziemi skarby.

LUDWIKA.

Szukasz więc jeszcze tego brzydkiego ziela? To nie po chrześcijańsku: nie wyzywaj próżno nieszczęścia. A przyrzekłeś mi, że tu już nie powrócisz; ale obietnica zakochanego, to istnieje pogoda marcowa!

ALAIN.

Nie moja w tém wina żem nie bogaty, że muszę koniecznie wynaleźć skarb, abym cię dostał za żonę! Gdybym miał jaki taki majątek, twój ojciec przystałby oddawna na małżeństwo nasze, i bylibyśmy już teraz połączeni. Oj, gdybyś ty była żoną moją, pewnoby tu nie dybał na wróżki!...

*(Całuje ją).*

LUDWIKA

*(broniąc się).*

Dajże mi pokój, niegodziwy Burgundzie, szkaradny Angliku.

ALAIN.

Kto cię nauczył mówić takie nedorzecznosci? Może siostra twoja Joanna?

LUDWIKA.

Jakby tu potrzeba było Joanny, aby wiedzieć to, co wszyscy wiedzą! Gdyby twój ojciec był dobrym Armaniakiem, poróżby unikał ludzi, i chodził sam jak puszczyk? Powiedz mi na przykład, czemu w niedzielę po niesporach nie zostajecie nigdy z nami przed kościołem?

ALAIN.

Czy ojciec mój Burgund czy nie, mało mnie to obchodzi.

LUDWIKA.

Ciebie to nie obchodzi, a przecież dlatego ojciec mój nie chce, zebym była twoją żoną.

ALAIN.

Raczej to sprawka Joanny: ona podobno najwięcej mi stoi na zawadzie. Nie chce zebyś szła za mąż, oczywiście przez zazdrość; bo wszakże ona starsza, a nikt dotąd o niej nie pomyślał.

LUDWIKA.

— Co też ty mówisz? Komu by Joanna mogła czego zazdrościć. Alboż to ona nie najpiękniejsza dziewczeczka w parafii? czyż nie najlepiej ze wszystkich przędzie swoją kądziel? A co się tyczy męża, bądź spokojny, znalazłaby go dawno gdyby chciała! Wczoraj oto widziałam na własne oczy, jak syn Jana Klaudyana płakał jak dziecko, że mu powiedziała jakieś nieprzychylnie słowo. Wiesz: tego Klaudyana, zamkowego dzierżawcy.

ALAIN.

Tak, znam go dobrze. Ale i czemuż go nie chce, kiedy on bogaty? I pocóż ustawicznie błąka się po polu zamiast pilnować w domu kądzieli. Czemuż to ludzie spotkali ją zeszłego tygodnia przed świtem samą jedną, w najciemniejszej gęstwinie tego lasu?

LUDWIKA.

Trzymalbyś lepiej język za zębami. Joanna nie chce syna Klaudyana, jak nie chciała ciebie, kiedyś się do niej zalecał podczas gdy była u ciotki w Vancouleurs; ona nie chce nikogo.

ALAIN.

Nikogo, albo też kogoś o kim nie wspomina. Założmy się, że wiem co się święci. *(Słychać huk bębnow i śpiew dziecienny)*. Co to jest, jakież to głosy?

## SCENA DRUGA.

**CIŻ SAMI.** *Wchodzi gromadka dzieci wiejskich, uzbrojonych w kije. Jedno z nich postępuje naprzód z chorągwią, za niem idą dobosze z bębnami. Mały pastuszek STEFANEK dowodzi całym oddziałem. Podczas tej sceny i następnych, wieśniacy i wieśniaczki w świątecznych sukniach schodzą się ze wszystkich stron, i zawieszają wiązki z kwiatów i wience na starym buku.*

CHÓR DZIECI.

Komu chwała Francji droga,  
Kto czei króla i kraj swój,  
Niech odważnie, w Imię Boga,  
Z Anglikami stoczy bój.

Twardy kij z ostrokrzewiny  
Za hartowny stanie miecz,  
Z nieszczęśliwej swój krainy  
Precz wygnajmy wroga: precz!

LUDWIKA.

To dzieci z Domremi, mali towarzysze świętego Michała, jak ich tu zowią. Zuchwałą mają postać, znać że tego zbili działwę z Maxij, wczoraj o zachodzie słońca.

STEFANEK

(do towarzyszy).  
Dzień dobry wam!

Stój!... Dzielnym Dunois, walecznym La Hire, wy wszyscy którzy walczyliście u mego boku za chwałę króla i honor Domremi; zbliżcie się, uczcijmy razem dzień zwycięstwa naszego! Burgundy pierzchły, wzięliśmy im chorągwie; zawieśmy je na drzewie wrózek (rozdaje dzieciom chorągwie), a potem pójdziemy razem podziękować Najświętszej Maryi Pannie, i świętemu Archaniołowi Michałowi. (Gromadka dzieci rozbiega się wołając: „Niech żyje Francya, niech żyje król Karoll”).

LUDWIKA.

Prawdaż-to Stefanku, żeście wczoraj wieczorem pobili dzieci z Maxij.

STEFANEK.

Prawda, jakem żywy, Ludwiko. A jednak było ich dwudziestu pięciu przeciwko nam piętnastu; lecz my nie baliśmy się wcale, spadliśmy na nich jak wilki na trzode jagniąt. Odkąd Joanna dała nam tę chorągiew, sam nie wiem co to jest, ale czujemy w sobie moc dziesięć razy większą niż dawniej. Siądźmy tam opowiem ci dokładnie całą walkę.

LUDWIKA.

Nie mam teraz czasu. Siódma godzina bije, muszę zapalić świecę, i uciekać co żywo. Zostawiłam Marynkę samą jedną w całym domu.

STEFANEK.

A Joanna?

LUDWIKA.

Joanna wyszła przed świtem po ojca Thibolda. Dziwno mi że go tu jeszcze nie ma, bo chciał pierwszy napić się wody z tój

krynicy, aby poratować biedne oczy swoje. Ależ bo ślepy, to tak pomalu idzie!.. (*Wchodzi Thibold, trzymając za rękę małą dziewczeczkę, która go prowadzi.*)

### SCENA TRZECIA.

### CIŻ SAMI, THIBOLD.

LUDWIKA.

Dzień dobry wam ojczy Thibold! Joanny nie ma z wami? gdzieżeście ją zostawili?

THIBOLD.

Czekałem do szóstej, ale nikt nie przyszedł.

ALAIN

(*do Ludwiki.*)

A co? czy nie dobrze mówiłem? Takto ona wyprowadza cię w pole.

LUDWIKA.

Musiła iść boczną ścieżką do młyna.

ALAIN.

Albo spotkała kogo w drodze.

LUDWIKA.

Cichobys był lepiej!

THIBOLD.

Może i poszła bokiem, a jednak myślę że nie... Wołałem na cały głos, byłaby mnie przecie dosłyszała (*siada*). Miły Boże! jakżeto czas wydawał się długi. Nie dziecka to rzecz prowadzić ślepego dziada! to też o każdy kamień potraciłem nogą, nie mi-  
nałem żadnego wyboju, a co gorsza, nie można się z tém dogadać. Kiedy mnie Joanna prowadzi to zupełnie co innego: wtedy nie nudzę się wcale. Przez całą drogę mówi mi słowa tak prawdziwe, tak piękne, że doprawdy sam nie wiem z kąd je ona bierze. Słyszę ciągle jej głos, a jednak w miarę jak mówi, ten głos takiego nabiera dźwięku, jak gdyby nie pochodził z ziemi. Rzekł-  
byś że to pieśń skowronka zaczęta nad miedzą, a skończona w niebie. Wtedy widzę wszystko wokół jak dawniej, nim Bóg

zagasł mi oczy; tylko że każda rzecz wydaje się piękniejsza. Widzę niby, jak żywopłot kwitnie nad głębokim jarem, jak zielone zboże faluje na łąkach, jak koła młyna co tam pluskoczą w dolinie, wyrzucają kłęby śnieżnej piany na zwieszonoj starzej wierzbj gałazki. Widzę łódkę jak pomyka zwolna po wodzie za zielonym wieniecem topoli, widzę jak stare woły żują trawę na łące. Ale skoro Joanny nie ma przy mnie, wtedy wszystko znika, i czuję na oczach moich noc dwa razy cięższą i czarniejszą niż zwykle. (*Podaje czarę dziewczynie*). Idź, zaczerpnij mi wody, a strzeż się żebyś ani kropli nie rozlała.

LUDWIKA

(*na stronie*).

I mnie to zarówno niepokoi. Gdzież ona iść mogła? (*głośno*) Żegnam was ojczy Thibold, nie zapomnijcie przeżegnać się biorąc wodę do ust, aby odczynić urok, jeśli przypadkiem złe duchy zamąciły krynicę. Bywajcie mi zdrowi (*Wychodzi*).

## SCENA CZWARTA.

CIŻ SAMI oprócz LUDWIKI. BRAT ELIASZ. *Mała dziewczynka podaje czarę z wodą starcowi. On pije.*

THIBOLD.

Niechaj mi dobre wróżki dopomogą, i niech Najświętsza Panna odśloni mi cudowną światłość niebios.

BRAT ELIASZ.

Niech cię Bóg chroni, abys patrzył na utrapienie, pod jakim jęczy francuzkie królestwo!

THIBOLD.

Tyżeś to bracie Eliaszu?

BRAT ELIASZ.

Ja sam.

THIBOLD.

Jakże to już dawno nie widziaro cię w naszych stronach!

BRAT ELIASZ.

Odprawilem długą pielgrzymkę, przebyłem morza, modliłem się do Św. Katarzyny na wierzchołku góry Sinai. Onato przysłała mnie do was.



WIEŚNIAR.

Bracie Eliaszu!

WIEŚNIACZKA.

Bracie Eliaszu, chwala Bogu że cię znów oglądamy!

BRAT ELIASZ.

Tak dzieci moje, błogosławmy Boga: otóż znowu jestem w pośród was. Ale powiedzcież mi, co tu zaszło podczas mojej nieobecności.

THIBOLD.

Oj siła złego spuściła na nas ręka Boska: jedno nieszczęście szło za drugim w ślady!

WIEŚNIAR.

Rzeka wylała i poniszczyła pastwiska.

DRUGI.

Po wielkich ulewach, które trapiły nas przez całe dwa miesiące, chrabąszcze i liszki rzuciły się na ogrody....

THIBOLD.

Od jakiegoś czasu słyhać co wieczór kiedy mrok zapada, jak dobre wróżki płaczą i zawodzą pod starym bukiem. Ależ ty bracie Eliaszu, musiałeś widzieć wiele rzeczy na świecie. Mów, jakież nam wieści przynosisz?

BRAT ELIASZ.

Niestety! i cóż ja wam powiem? Przebiegłem całą Francją, i widziałem wszędzie pola spustoszone, odłogi leżące ugiorem! Nie dostrzegłem nigdzie ani rolnika za plugiem, ani pastuszka za trzodą. Kierowałem tylko kroki moje za dymem płonących siódł, i beczeniem owiec rozpierchłych po lesie; poznawałem drogę po odwiecznych wiązach, na których, zgroza pomyśleć! wiatr kolysze wiszącymi na gałęziach trupami.

THIBOLD.

Czyli przybywasz bracie od strony Lotaryngii? czy też od Szampanii?

BRAT ELIASZ.

Przybywam prosto z Paryża. (Wieśniacy i wieśniaczki okrężyli tymczasem brata Eliasza słuchając go ciekawie).

WSZYSCY (razem).

Z Paryża!

THIBOLD.

Czy król odebrał swoje miasto Anglikom?

BRAT ELIASZ.

Dalbyto Bóg! ale niestety! gniew Pański ciąży jeszcze nad Francją. Podczas gdy wy tu spokojni w domach waszych życie bezpiecznie osłonięni górami, Paryż najsmroźsze cierpi klęski. Głód i powietrze trapią go bezustanku, mordy i łupieztwa uchodzą bezkarnie, trawa zarosła drogę do przybytku Bogarodzicy. Zgłodniały lud wydiera strawę trzodzie, bezpiecznie snującej się w pośród ulic. Słychać co noc po cmentarzach wycie wilków, które zbiegają się gromadnie i pożerają świeżo pogrzebione trupy.

WIEŚNIACZKA.

Okropne rzeczy!

THIBOLD.

I któż jest panem Paryża w tej chwili?

BRAT ELIASZ.

Książę Bedford rządzi w nim samowładnie w imię małego Henryka z Lankastru, ogłoszonego w Saint-Denis przez usta heroldów angielskich królem Francji i Anglii.

WIEŚNIK.

Ale nasz król, nasz własny król, prawdziwy król francuzki gdzież on jest?

BRAT ELIASZ.

Zwyciężony, przepędzany z miasta do miasta, król Karol jest obecnie w Chinon, bez pieniędzy, bez wojska.

THIBOLD.

A gdzież francuzka szlachta?

BRAT ELIASZ.

Najprzedniejsi rycerze śpią snem wiecznym ra polach Azincourt albo jęczą w niewoli. Dobry król oplakuje gorzko upadek swojej szlachty, klęski swego ludu, a co gorsza zdradę własnej matki.

WIEŚNIACZKA.

Jakto własnej matki?

BRAT ELIASZ.

Tak jest, wyrodnęj matki: ta nowa Jezabel (bodajby ją psy poszarpały jak tamtę) wydziedziczyła syna, i sprzedała córkę Anglikom.

THIBOLD.

A ksiązę Burgundy? powiadano nam że się pojednał z królem.

BRAT ELIASZ.

Udał chęć pojednania, ale w tój chwili gdy do was mówię, biały krzyż Burgundy powiewa z czerwonym krzyżem św. Jerzego w obozie Anglików przed Orleanem. Orlean jest dziś jedyną ostoją Francyi. Jeśli Orlean upadnie, Anglicy niby rozhukane fale oceanu, zaleją całe królestwo: już przeklęte ich hufce ciągną ku Mozelli.

THIBOLD.

Biada nam!

BRAT ELIASZ.

Biada wam w rzeczy samėj, jeżeli dotrą do tych miejsc; lepiej byłoby zaprawdę wpaść w ręce Saracenów.

THIBOLD.

Niech Bóg czuwa nad nami.

BRAT ELIASZ.

Nie mieliby dla was litości ani miłosierdzia. Wystawcie sobie wasze domy obrócone w popiół i perzynę, wasze kościoły powalone w gruzy! Pola wasze stratowane kopytami ich koni, córki wasze i żony wystawione na zniewagi zuchwałego żołnierstwa, a do tego codzien nowe podatki i nakazy: krwią waszą i potem karmilibyście nienasyconych wrogów, a jęk waszój boleści daremnieby tręcał barbarzyńskie ich ucho, głuche na dźwięk francuzkiej mowy! Takim będzie wasz los, taką wasza dola, jeżeli nie zdolacie obronić ziemi waszych praojców.

WIEŚNIAK.

I cóż my na to poradzimy: alboż my to żołnierze?

BRAT ELIASZ.

Co się wydaje niepodobne ludziom, łatwem bywa Bogu.

WIEŚNIAK.

Czyż Bóg uczyni dla nas cuda?

BRAT ELIASZ.

Napisano jest w starych księgach, że w tym właśnie roku cudowne wypadki spełnią się na świecie. Czyż wy nigdy nie słyszeliście o prorocत्वach.

WIEŚNIAK.

Tyle nam ich głoszono! żadne jednak nie spełniło się dotąd.

BRAT ELIASZ.

Czyliż nie znacie prorocत्वa świętej Brygity zatwierdzonego przez sobór, i wróżby wielkiego Merlina, któremu дано było przejrzeć tajemnice niebios i ziemi?

WIESNIAZKA.

Brat jeden Karmelita, który przechodził tędy, mówił nam niepojęte słowa.

BRAT ELIASZ.

I cóż on wam mówił?

WIESNIAZKA.

Że Bóg położy rychło ostatni kres niedoli naszej, że Francya zgubiona przez niewiastę, ocaloną będzie mocą niewieściej dłoni.

BRAT ELIASZ.

Tak, nieinaczéj; posłuchajcie jak jest napisano: „W roku dwudziestym ósmym (który jest właśnie bieżącym rokiem) dziewica zesłana będzie od Boga; ona powali pod nogi swoje mężów zbrojnych w łuki (to wyraźnie Anglicy). Za każdym krokiem płomień wybuchnie z pod jej stopy, aż wypędzi nieprzyjaciela. Od Wschodu na Zachód, od Północy na Południe, po całej kraju przestrzeni, imię jej brzmieć będzie sławą, i pozostanie na wieki w pamięci ludu francuzkiego: *Descendet virgo dorsum sagittarii, et flores virgineos obscultabit*”

THIBOLD.

Jakieżto dziwne słowa! I jakżeż je sobie tłumaczyć?

BRAT ELIASZ.

Nie byłyby ciemne dla serc napełnionych wiarą; ale grzechy przyćmiły wam wzrok ducha. Ta niewiasta zesłana od Boga, ta dziewica oswobodzicielka, już żyje, już wyrosła między nami, lecz my nie umiemy jęj poznać.

THIBOLD.

Po jakimże znaku rozpoznać ją można?

BRAT ELIASZ.

Powiedziano jest, że się urodzi w prostym i ubogim stanie, że paść będzie owieczki ojca swego. Będzie czysta i niewinna przed Bogiem, pełna słodyczy w mowie, leśne ptaszęta swobodnie wlatywać będą nad jęj głowę, i nigdy drapieżni wilecy nie zbliżą się do jęj trzody.

THIBOLD.

O Boska Opatrzności!

BRAT ELIASZ.

Pojawi się nagle, przybędzie z głębi wielkich lasów, tak napisano jeszcze. (*W tęj chwili Joanna d'Arc przesuwa się w głębi za drzewami*).

## SCENA PIĄTA.

### CIŻ SAMI, PERRIN.

PERRIN

(do Stefanka).

Ha, złapałem cię ptaszku! Takto czynisz przygotowania do mszy świętęj. Pewien jestem żeś jeszcze nie zamiótł kościoła. Dalejże prędko, idź natychmiast, połóż obrus na oltarzu, przygotuj ampulki, zapal świece i zadzwon: zadzwoniże na gwałt, czy słyszysz? (*Stefanek odchodzi*). Tu nie żart moje dzieci, otóż i Anglicy nadchodzą.

WIRŚNIAK.

I któż wam to mówił?

PERRIN.

Nasz pan, który przybył właśnie z Neufchateau. Widziano tam podobno zbrojne ich oddziały.

THIBOLD.

Sprawiedliwy Boże!

WIEŚNIAK.

Może to nie prawda! Albożto raz puszczano już takie bajki.

PERRIN.

Prawda czy nie prawda, nasz pan kazał powiedzieć plebanowi, aby się pospieszył ze mszą świętą, a potem zaraz się udał do zamku. Jakiś rycerz przybiegł w cwał na dziedziniec. Zdaje się, że nam wszystkim każą wsiąść na wozy, zabrać sprzęty i dobytek, i uciekać przed Anglikami do Vaucouleurs.

WIEŚNIA CZKA.

Miłosierny Panie!

BRAT ELIASZ.

Śmiało dzieci, nie traćcie odwagi! Bóg dobry: On was nie opuści!

PERRIN.

Spieszmy na mszę świętą; otóż i mały dzwoni: dalej w imię Boże.

WIEŚNIA CZKA.

Jezus Marya ratujcie nas!

BRAT ELIASZ.

Niech ten Bóg, który rozkazuje wichrom i falom morskim, powstrzyma w biegu bezbożnych nieprzyjaciół Francyi.

## SCENA SZÓSTA.

Sceną próżna przez chwilę. Słychać dzwony. JOANNA  
DARC ukazuje się wychodząc z głębi lasu.

JOANNA.

Czego chcesz odemnie o Panie? czego żadasz od biednej Joanny? Cóżem ja uczyniła? Czém zasłużyłam sobie na tak okropne męki? Nie mam już snu, ani spoczynku, ani godziny wesela!... Święty Michale Archaniele przebacz mi! niech gniew ustąpi z obli-

cza twego! Nie przemawiaj do mnie tak groźnie: już ci będę posłuszną! Tak, będę posłuszną, ale i cóż mam czynić? gdzie iść? Ja nie znam żadnej drogi, nigdy nie dosiadałam konia... umiem tylko prząść moję kądziel... Dotąd nie opuszczałam starego ojca ani rodzinnej strzechy... I jaż mam prowadzić zbrojnych ludzi!... rozkazywać rycerzom, hrabiom i baronom! I któż mnie słuchać zechce? (*półgłosem*) Na kon! na kon! weź hełm... przywdziej zbroję.. Córo Boża, rozwiń twą chorągiew, podnieś w górę sztandar Francyi! Twój król czeka cię! Francya ginie! Naprzód, naprzód! Bieź, leć na wroga, Uderz, uderz bez litości... nie trwoź się, chóry aniołów niebieskich będą z tobą. Bóg tego chce!...

### SCENA SIÓDMA.

JOANNA DARC, *kobieta zabłąkana z małym dzieckiem na rękę. Starsze dziecię idzie naprzód.*

DZIECIĘ.

Tędy matko, tędy. Widzisz oto drzewo całe okryte kwiatami i ławeczka pod niem i źródło czystej wody.

MATKA.

Już nie mogę! Upadam od znużenia. (*Dziecię powraca do matki, prowadzi ją i sadza na ławce, potem przynosi jej wody.*)

JOANNA

(*na proscenium, nie widząc przybyłych.*)

Bóg tego chce... Pójdę!... Niestety, Niestety! biędny mój ojciec!... Nie pożegnam go nawet!... Światło gaśnie, milkną już pieśni, wszystko znika... Święta Katarzyno! święta Małgorzato! miejcie litość nad biędnym mojem sercem pełnym trwogi. Już może nie słyszycie mnie, już wracacie do nieba... O siostry moje zabierzcie mnie z sobą!... Nie opuszczajcie mnie... Nie zostawiajcie mnie samę jednę i smutną!..

DZIECIĘ.

Pasterko!

JOANNA.

Kto mnie woła?

MATEKA.

Pasterko, czy możesz nam wskazać drogę do najbliższej wioski?

JOANNA

(przychodząc do siebie z zachwycenia).

Kto jesteś kobyłto? Czego chcesz odemnie? Ja cię nie znam

MATEKA.

Jestem biedna kobyłta, matka bez przytulku i bez chleba. Nogi mam całkiem pokrwawione, uciekamy przed Anglikami.

JOANNA

(budząc się jakby ze snu).

Anglicy! gdzież oni są?

MATEKA.

Wczoraj przededniem gdy wszyscy jeszcze spali, napadli wieś naszą.

JOANNA.

Jaką wieś?

MATEKA.

Wieś Burey.

JOANNA.

Burey pod Vancouleurs! Biadaż mi!

MATEKA.

Okropna wrzawa obudziła mnie ze snu. Okna izby mojej zajaśniały straszną luną. Słyszałam huk siekier i młotów, słyszałam głosy wołające ratunku; porwałam dzieci z łóżka i przez ogród uciekłam z niemi w pole. Biegłam jak szalona. Z pierwszym blaskiem byłam nad brzegiem rzeki...

DZIECIĘ.

Matko, daj mi jeść.

MATEKA.

Już od dwunastu godzin nie nie miały w ustach.

JOANNA.

(dobywając kawałek chleba z kieszeni).

Weźcie to, weźcie, miej odwagę biedna matko. Jesteśmy blisko Domremi, zaprowadzę was do wsi. Pani zamku weźmie was do siebie i da opiekę dzieckom.



MATKA.

Niech cię Bóg błogosławił

JOANNA.

Otóż i dzwony umilkły. Msza się rozpoczęła, wnijdźcie do kaplicy, zaraz pójdę za wami.

MATKA.

Litościwa dusza, niech jej Bóg dopomaga (*Wchodzi we drzwi kaplicy*).

## SCENA ÓSMA.

JOANNA DARC sama, potem BRAT ELIASZ.

JOANNA

(*pograżona w myśli*).

Anglicy u naszych wrót, miałabym się ociągać?... Panie! Panie! uhtuj się mój niemocy! Twoja jestem o Panie! Panie uzbroj ramię moje, i niech Twa święta wola spełni się na ziemi, jak się wypełnia w niebie! (*sposstrzega brata Eliasza, który przysłuchiwał się jej słowom*). Bracie Eliaszu! Bóg cię do mnie przysyła! (*przykłęka na jedno kolano*). Pobłogosław mnie ojcze, pobłogosław mnie, bo moja godzina wybiła.

BRAT ELIASZ (*zdziwiony*).

Twoja godzina wybiła?

JOANNA.

Ojcze, mów, czy pamiętasz obietnicę, jakąś mi uczynił dziś temu dwa lata, w kaplicy N. Maryi Panny, gdy ci poraz pierwszy wyjawiała tajemnicę Boską?

BRAT ELIASZ.

Myślałem o niej co dzień przez całe dwa lata. Ale wytłumacz się lepiej: co chcesz przez to powiedzieć?

JOANNA.

To, com ci wtedy mówiła. Trzeba iść.

BRAT ELIASZ.

Iść?

JOANNA.

Tak jest, iść niezwłocznie. Zbyt się już długo ociągałam, czas nagli; moi święci zagniewani na mnie

BRAT ELIASZ.

Czyż ich widziałas potem?

JOANNA.

Widziałam ich dziś.

BRAT ELIASZ.

Dziś, w którymże miejscu?

JOANNA.

Tam ponad źródłem. Byłam sama jedna. Ze łzami w oczach, dziwnie zasmuconém sercem myślałam w duchu o tych dzielnych rycerzach okutych w łańcuchy, o tym biednym ludu zdeptanym stopą wroga, wystawionym na okrutne mordy, o téj ziemi francuzkiej przesiąkniętej potokami krwi szlachetnych synów swoich. Wtém nagle słyszę niby niebieskie pieśni, podnoszę oczy w górę i widzę w promieniach światłości archaniola Michała w całym majestacie stojącego na obłokach. Oblicze jego jaśniało naksztalt słońca, a w rękę trzymał miecz płomienisty. Tuż obok niego stały: święta Małgorzata i Katarzyna, ubrane w szaty białe jak śnieg na wierzchołkach gór, a głowy ich zwieńczone były w złote gwiazdy.

BRAT ELIASZ.

Czy i święte mówiły do ciebie?

JOANNA.

Słyszałam ich głos, ale nie tak słodki i tkliwy jak dawniej. O! nie byłto głos przyjazny: mówiły z gniewem, czyniły mi wyrzuty i groźby!

BRAT ELIASZ.

I czegoż chcą od ciebie—mów?

JOANNA.

Rozkazują mi iść ztąd—iść bez pożegnania, nie opowiedzawszy się ani braciom, ani siostram, ani nawet biednemu ojcu. Rozkazują mi iść do króla.

BRAT ELIASZ.

Do króla?

JOANNA.

Taki wyraźny rozkaz Boży.

BRAT ELIASZ.

A wiesz-że ty, że król jest po drugiej stronie królestwa swego, że musisz ująć z jakie paręset mil, zanim się z nim połączysz.

JOANNA.

Pójdę, choćby mi przyszło poranić nogi aż do kości.

BRAT ELIASZ.

Anglicy zajęli cały kraj: drogi pełne są włóczęgów, mosty na rzekach pozbierane.

JOANNA.

Bóg mnie posyła, On mi ukaże drogę. Do obrony będę miała ludzi zbrojnych.

BRAT ELIASZ.

Ludzi zbrojnych, i gdzie ty ich znajdziesz? kto ci ich da?

JOANNA.

Dowódzca wojsk królewskich z Vaucouleurs.

BRAT ELIASZ.

Baudricourt?

JOANNA.

On sam. Poprowadź mnie ojczy do niego, jemu bowiem mam wyznać to, co mi zostało objawione.

BRAT ELIASZ.

On cię słuchać nie zechce, a jeśli posłucha słów twoich, znieważy je szyderstwem.

JOANNA.

Czemużby miał szydzić z Boga i Jego świętych? czemużby mnie słuchać nie miał, jak ty słuchałeś mnie ojczy?

BRAT ELIASZ.

Jam cię znał oddawna, wiedziałem, że nigdy kłamstwo nie zmazało ust twoich. Ależ on ciebie nie zna? a wreszcie rycerze nie zwykli wierzyć w to, w co my wierzymy ludzie prości.

JOANNA.

Odtrąci mnie zrazu, wiem o tém; ale Bóg zmieni jego serce. Przywoła mnie, da mi konia, odzież męską, kolczugę, miecz i zbrojnych ludzi. Wówczas stawię się przed królem, wskażę mu znak i wszystko spełniać się będzie według mej rady i powiodę wojsko do boju.

BRAT ELIASZ.

Któż mógł technąć ci do serca taką pychę, tobie, któraś zawsze była tak korna i pełna poddania? Strzeż się Joanno, strzeż się zasadzek szatańskich.

JOANNA.

Szatan nie ma nademną mocy: jestem dziewica wolna od wszelkiego grzechu. Bóg prawdy mówi jedynie do serca mego i odzywa się przez me usta. On mnie wybrał, abym podźwignęła Francją z upadku.

BRAT ELIASZ.

Ależ ten Bóg wszechmocny czyż potrzebuje biednej jak ty dziewczyny? Nie możeż On bez ciebie dać zwycięstwa?

JOANNA.

Nikt oprócz mnie, ocalić Francji nie zdoła.

BRAT ELIASZ.

Znasz-że ty niebezpieczeństwa, w jakie rzucasz się tak zuchwale?

JOANNA.

Wycierpię wiele, wiem o tém. Będę zdrażoną. Umrę— umrę okrutną śmiercią!... ale Jezus Chrystus, nasz Pan, czyż i On nie umarł na krzyżu dla zbawienia świata?

BRAT ELIASZ

(klękając).

Błogosławioną niech będzie ta, która przychodzi w Imię Pańskie! Znaki są już widome. Obietnice spełniają się... Ulegam więc. Joanno, posłanniczko Boża, siła niebieska spływa z ciebie, upokarza rozum, i poddaje ci wolę. Mów, słucham cię... rozkaż, idę za tobą!

JOANNA.

Gdy usłyszysz ostatni odgłos dzwonu na Anioł Pański, gdy ujrzysz pierwszą gwiazdę Wielkiego wozu, występującą nad wieżę

kościółka, przyjdź mój ojciec, przyjdź po mnie do chaty. Staraj się, aby cię nikt nie widział. Otwórz zlekka drzwi, znajdziesz mnie gotową.

BRAT ELIASZ.

Niech wszyscy aniołowie z nieba będą z tobą—niechaj Bóg ocali Francją!

### SCENA DZIEWIĄTA.

(Wnętrze domu Joanny Darc).

LUDWIKA, potem JOANNA DARC i dwoje dzieci.

LUDWIKA.

Wszystko to jakieś dziwne! Prosiłam ją, błagałam tyle razy, aby nie oddalała się sama... przyrzeka zawsze, ale zawsze czyni swoje. (Joanna wchodzi z dwojgiem dzieci). Jesteś nakoniec. Zkąd przychodzisz? czyje to dzieci?

JOANNA.

To są dzieci z Burey; ich matka uciekła gdy Anglicy wieś napadli.

LUDWIKA.

Anglicy tak blisko ztąd! Niech Bóg nas od nich strzeże. Ale gdzie ich matka? i po cóż wzięłaś te dzieci.

JOANNA.

Matka pracować będzie w zamku. To kobieta silna, znalazła już miejsce, ale nie chciano dzieci, ja też zabrałam je z sobą.

LUDWIKA.

Joanno, i nasza rodzina dość liczna; nie potrzebujemy nowych przybyszów.

JOANNA.

Będą jadły część moję: wiesz Ludwiko, że od jakiegoś czasu wcale jeść nie mogę. Połóż spać to dziecię: widzisz jak ono drży całe od zimna.

DZIECIĘ DO JOANNY.

Ja chcę zostać z tobą. Zaprowadź mnie do matki.

LUDWIKA.

Chodź mały, a bądź grzeczny. Zobaczysz matkę jutro.  
(*Wychodzi z dziećmi*).

## SCENA DZIESIĄTA.

JOANNA DARC sama, potem LUDWIKA.

JOANNA.

Szczęśliwe dziecię! zobaczy jutro matkę! a ja biedna opuszczona, nigdy w życiu ojca już nie zobaczę! (*Joanna zasłania oczy rękoma i płacze. Ludwika wraca po chwili*).

LUDWIKA.

Ty płaczesz Joanno, co tobie?

JOANNA.

Gdzieżeś podziła dzieci?

LUDWIKA.

Marynka kładzie je spać. Od jakiegoś czasu płaczesz ciągle Joanno— cóżto znaczy? Nieżę mi nie powiesz.... Wiiesz co, żeś się bardzo zmieniła: ty niegdyś tak rozsądna, tak pracowita, teraz zaniedbujesz gospodarstwo, porzuciłaś kądziel i nie myślisz nawet o trzodzie.

JOANNA.

Duszno mi w domu, nie mogę w nim wytrwać. Ludwiko, ty mnie kochasz, wszak prawda?

LUDWIKA.

Czy cię kocham? Oh! więcej niż myślisz, więcej niż ci kiedykolwiek mówiłam. Zawsze bałam się trochę ciebie, sama nie wiem czemu; bo tyś zawsze tak dobra.

JOANNA.

Posłuchaj mnie, posłuchaj uważnie, jak gdyby w ostatnią godzinę mego życia, jak gdybym ostatni raz przemawiała do ciebie.

LUDWIKA.

Dreszcz mnie na wskrós przebiega. Jak twoje oczy dziwnie świecą. Mów, mów, niechaj głos twój usłyszę!... Straszno mi!

JOANNA.

Byłaś zawsze powolną dla rodziców, Ludwiko, ale odtąd musisz jeszcze podwoić miłość i posłuszeństwo. Nie narzekaj, choćbyś miała znosić więcej trudów i mozolów niż dawniej. Nasz ojciec starzeje się, byle co gniewa go i niecierpliwi, musisz koniecznie otoczyć go pociechą i weselem. Strzeż pilnie moje biedne owieczki, a gdybym już nie mogła wyprowadzać ich w pole, naśladuj mój głos, ażeby szły za tobą. Bądź pilną przy pracy, wytrwałą w cierpieniu, uprzejmą dla sąsiadów, miłosierną dla ubogich, a nadewszystko jak pójdziesz za mąż, Ludwiko, zaklinam cię, nie opuszczaj biednego ojca.

LUDWIKA.

Czemuż mi mówisz o małżeństwie? Tyś najstarsza z nas; powinnaś więc pierwsza iść za mąż.

JOANNA.

Mnie Bóg nie stworzył na to, abym poznała miłość męża. Nigdy dziecię nie spocznie na mém łonie. Nigdy nie usłyszę słodkich słów syna, wołającego na mnie: matko!

LUDWIKA.

Mój Boże, jakże ty biedniejszy!

JOANNA.

Noc nadchodzi i otacza nas swoim cieniem.

LUDWIKA.

Chodź ze mną; przygotujmy stół do wieczerzy: nasz ojciec wróci niedługo.

JOANNA.

Nasz ojciec! O tak! Twój ojciec! kochaj go, czcij tak jak dawniej; ale otocz go tkliwszą jeszcze opieką—pielegnuj go w chorobie. Odmawiajcie zawsze razem wasze wieczorne modlitwy. Pamiętaj Ludwiko modlić się także za króla. Módl się za dusze tych, którzy polegą w boju.... a będzie ich niemało.... Módl się za biednych niewolników, za tych, którzy zdradzeni i opuszczeni popadną w moc wroga... za tych, którzy zginą w płomieniach.

JAKÓB (za sceną).

Ludwikol

LUDWIKA.

Idę ojczy, idę! Co tobie Joanno? drzysz cała!

JOANNA.

To nie! Biegnij co żywo— nie puszczaj go tu, rozumiesz? Ja nie chcę go widzieć.

JAKÓB.

Ludwiko!

JOANNA.

Idźże więc! (popycha ją w głąb teatru—powraca i pada na pół martwa).

## SCENA JEDENASTA.

JOANNA DARC, potem JAKÓB

JOANNA.

Nie chcę go widzieć! nie śmiałybym spojrzeć na siwa jego włosy!.. Okrutny ślub! bezbożne przyrzeczenie! Mąż własne dziecko opuścić starego ojca?

JAKÓB.

Sama jesteś, tém lepiej; chciałem z tobą pomówić.

JOANNA.

Ojczy, słucham cię.

JAKÓB.

Nie rad jestem z ciebie od jakiegoś czasu Joanno! Dziwisz się temu? Tak powtarzam, nie rad jestem z ciebie; sprawiasz mi wiele niepokoju.

JOANNA.

Bóg mi świadkiem mój ojczy, że oddałabym połowę życia, aby ci odjąć wszelkie troski.

JAKÓB.

Tak byliśmy dawniej szczęśliwi! Kiedym powracał z pola, znajdowałem w domu radosne twarze, serca zadowolone, wesole żarty, stół nakryty czystą bielizną, i czarę wina u stołu. Zasia-



dałem pomiędzy tobą a Ludwiką i byłem uczczony, jakby jaki książę! Dziś w moim domu smutno i ponuro! wieczerza nigdy nie gotowa; ty płaczesz, Ludwika milczy... Widzę, że coś ukrywacie przedemną... pomówmy oto... (*bierze ją za rękę*) i czemuż się kryjesz? czyż nie wiesz, jak miłą jesteś sercu memu?

JOANNA.

Wiem o tém, mój ojcze.

JAKÓB.

Czyż nie wiesz, że cię kocham nad wszystko na świecie?

JOANNA.

Wiem o tém, wiem!

JAKÓB.

Bardziej niż braci twoich i siostry; że oddałbym za ciebie zbawienie duszy mojej.

JOANNA

(*zanosząc się od płaczu*).

Ojcze, zaklinam cię, nie mów tak! Nie wiesz sam, jaką mi sprawiasz boleść.

JAKÓB.

Posłuchaj mnie, bądź dobra i słodka jak dawniej. Otwórz mi serce twoje Joanno; nie brakuje we wsi złych języków: prądź to, że oddałaś przyjaźń twoją bez wiedzy starego ojca.

JOANNA.

Mój ojcze! to niegodna potwarz! Ale nie, tyś temu nie uwierzył, ty ufasz twojej Joannie.

JAKÓB.

Jan temu nie uwierzył. Ależ powiedz mi, czemuż się upierasz bez przyczyny i odmawiasz ręki temu biednemu chłopcu, który tak się męczy dla ciebie?

JOANNA.

Powiedziałam prawdę mój ojcze, nie chcę wcale iść za mąż.

JAKÓB.

Aby pozostać przy mnie, aby mnie pielegnować w starości! Odgadłem myśl twoją, ale widzisz oto, należy się dobrze zastanowić. Ręka Boska cięży nad nami; jam obarczony laty, trzeba

w domu człowieka z silnym ramieniem, któryby cię umiał wyżywić i obronić.

JOANNA.

Dobrze byłoby ojcze, gdybyś wydał za mąż Ludwikę.

JAKÓB.

Zawsze jedna odpowiedź. Cóрко bez serca! uparta i niewdzięczna: taką samą widziałem cię we śnie!

JOANNA.

W jakim śnie, drogi ojcze?

JAKÓB.

Wiem dobrze, iż nie trzeba dawać wiary snom, ale ten ściga mnie bezustanku; nie mogę nawet myśleć o czem innym.

JOANNA.

I mnie widziałeś w owym śnie?

JAKÓB.

Ciebie i nie ciebie. Byłato niewiasta twojej postaci i wzrostu. niewiasta bezwstydną, która pędziła w cwał konno, otoczona łucznicami z Vaucouleurs. Myślałem, że to ty, chciałem wołać, ale głos konał mi na ustach. Pobiegłem, wyciągnąłem ręce ku tobie; a ty odtrąciłaś mnie, upadłem i głośny śmiech obudził mnie ze snu.

JOANNA

(*rzucając się do nóg ojca*).

Mój ojcze, mój ojcze! przebacz mi!

JAKÓB

(*podnosząc ją*).

Nie tak—nie tak! niech cię przycisnę do serca.

JOANNA

(*rzucając się w objęcia Jakóba*).

O! tu jest prawdziwe moje niebo. (*Brat Eliaszk ukazuje się we drzwiach*).

## SCENA DWUNASTA.

JOANNA

*(sposstrzegając brata Eliasza, głosem przeraźliwym).*

Oh!

JAKÓB.

Bracie Eliaszu, wnijdź.

JOANNA.

Nie, nie, niech on tu nie wchodzi!

JAKÓB.

Co mówisz? Pójdźże bracie Eliaszu.

JOANNA.

Precz ztąd—precz!

BRAT ELIASZ

*(zbliżając się).*

Co ty mówisz Joanno? Cóż się tobie stało?

JOANNA.

Mój ojciec—mój ojciec—broń mnie od tego człowieka.

JAKÓB

*(do brata Eliasza).*

Co ona mówi, bracie Eliaszu; co jej jest?

JOANNA.

Broń mnie, mówię ci; on mnie chce porwać ztąd, wydrzeć z twego objęcia. ..

BRAT ELIASZ.

Uspokój się Joanno.

JAKÓB

*(do brata Eliasza).**Ale coż jej jest, bracie Eliaszu? (Słychać dzwon na Anioł Pański: Joanna klęka. Brat Eliasz stoi przy niej; po chwilowej modlitwie Joanna powstaje z wolna, jakby w zachwyceniu).*

JOANNA.

Panie! kto zgłębi Twe straszne tajemnice. Moc i potęga w ręku Twém, Panie, i nikt nie zdoła oprzeć się Twojej woli!

Nie chcę bronić się dłużej: posłuszna Tobie... idę! Otóż jestem: masz mnie, o Panie! (*Postępuje zwolna ku drzwiom, nie zwracając się poza siebie*).

JAKÓB

(*do brata Eliasza*).

Człowieku, gdzież ona idzie?—Joanno! Joanno!—Już mnie nie widzi, już nie słyszy głosu mego! Tyś ją zaczarował!.. Przeklęty!

BEAT ELIASZ.

Cicho! cicho! Tajemnica Boża spełnia się. Na kolana ojcze Darc, na kolana! Bóg sam powołał twoją córkę. Jój imię wielkiem będzie na ziemi, a chwala jój napelni niebios! (*Jakób upada na kolana; Brat Eliasza idzie za Joanną*).

## AKT II.

Rzecz dzieje się w Chinon. Teatr przedstawia wielką salę zamkową.

### SCENA PIĘRWSZA.

DUCHATEL, LA HIRE, JAN MOREAU.

LA HIRE

(*do Jana Moreau*).

Jakto! więc nie widzieliście króla?

JAN MOREAU.

Od czterdziestu ośmiu godzin czekamy na posłuchanie.

DUCHATEL.

Doprawdy, to trochę zadługo!

JAN MOREAU.

Przyrzekliśmy hrabiemu Dunois wrócić natychmiast do Orleanu, myśląc, że król przypuści nas do swój obecności skoro tylko dowie się o przybyciu naszym. Ale widać, że dotąd nie miał czasu.

LA HIRE.

Nie miał czasu przyjąć wysłańców od Dunois! Nie miał czasu wysłuchać prośb obleżonego swego miasta!

DUCHATTEL.

Musiał odbywać przejażdżki po lesie z piękną Agnieszką, przewodniczyć obok niej na ucztach i turniejach; musiał otwierać bal tańcem, rozdawać wieńce minstrelom, łańcuchy błaznom, księstwa i hrabstwa awanturnikom szkockim.

LA HIRE.

Milez Tanneguy; szlachetny Francuz tak o królu Francji przemawiać nie powinien.

DUCHATTEL.

Zobowiązałbyś mnie mój dzielny La Hire, gdybyś mi mógł powiedzieć, gdzie jest w tej chwili król Francji, abym mu w posługę ofiarował mój oręż. Tu widzę tylko króla miasta Bourges. (*Spostrzegając wchodzącego La Tremouille do Jana Moreau*). Patrz, patrz, oto nasz prawdziwy pan i władca; mądry, roztropny La Tremouille, baron z Sully-Kraonu i wyspy Bouchard, hrabia Guines i Boulogne, wielki szambelan Francji. Posiada on wielką, nieznaną nam wszystkim tajemnicę, umie być równocześnie Francuzem i Burgundem i budować swój dom na zwaliskach państwa. Pokłońmy się nisko panowie, bo wola jego wszechwładną jest u dworu.

## SCENA DRUGA.

## CIŻ SAMI, LA TREMOUILLE.

LA TREMOUILLE.

Witam was szlachetni rycerze! Król mi polecił.....

JAN MOREAU.

Panie....

LA TREMOUILLE.

Jeszcze tu! Cóż tu macie do czynienia? Myślałem, żeście odjechali.

JAN MOREAU.

Pan zapomina, jak widzę, iż król obiecał przyjąć dziś rano nasze pokorne prośby.

LA TREMOUILLE.

Król późno wieczorem powrócił z łowów i bardzo dziś strudzony. (*Obracając się do panów La Hire i Duchatel*). Prze-

pyszne polowanie! Szkoda, że panów tam nie było: zabiliśmy czterech odyńców.

LA HIRE

(*cicho do Jana Moreau*).

Mów, nalegaj, my popierać będziemy.

JAN MOREAU.

Panie! mamyż powracać do nieszczęśliwych braci naszych bez żadnego słowa nadziei?

LA TREMOUILLE.

Król obmyśli właściwe środki.

DUCHATTEL

(*do la Hire'a*).

Oh! już dłużej nie wytrwam! Mamyż ścierpieć, aby zamykał króla i rządził w jego miejscu?

JAN MOREAU.

Panie, czas nagli. Jeśli Orlean zostanie bez wsparcia, lub jeżeli Bóg nie uczyni cudu, Orlean podda się Anglikom. Dzielną Dunois przemawia memi usty.

LA TREMOUILLE.

Byłoby to źle, bardzo źle. Starajcie się raczej wejść w układy z księciem Burgundy.

LA HIRE.

Księżę Burgundy, czy Anglik, to jedno.

DUCHATTEL.

Myłsz się la Hire, znieważyleś Anglika: Bedford jest nieprzyjacielem, a Filip zdrajcą. Wstyd mu i hańba, a z nim razem wszystkim zdrajcom i wiarołomcom względem króla i Francyi!

LA TREMOUILLE

(*z udaną zimną krwią*).

Nikt nie pyta cię o zdanie, panie Duchattel. Wierzcie mi, mało mówcie o księciu Burgundy, aby on nie zawiele mówił o was.

DUCHATTEL.

A ja radzę nawzajem panie La Tremouille, mniej się porozumiewaj z księciem Burgundy, a lepiej z prawdziwą szlachtą francuzką

LA TREMOUILLE  
(do Jana Moreau).

Oddalcie się!

DUCHATTEL  
(na stronie).

Już tego zanadto! (*Głośno do Jana Moreau*). Zostań. Zwodzą cię, zwodzą króla, chcieliby zwieść nas wszystkich, ale dość tego, więcej ścierpieć niepodobna. Przyrzekam na słowo szlachcica, dziś jeszcze tego poranku, w téjże chwili, zobaczysz króla Karola; Tanegui Duchatel zaręcza to słowem! Przysięgam na mój oręż, że z ust królewskich inną usłyszysz mowę.

LA TREMOUILLE.

Panie Duchatel, zapędzasz się zbyt daleko i trochę zabardzo rozpościerasz tu twoje rządy.

DUCHATTEL.

A ty będziesz-że wiecznie trząśł nami? Mamyż zawsze znosić twoje zuchwałstwa? Nie, nie, dość tego zaprawdę, i my podniesiemy głos i raczej skruszymy szpady nasze, a nie będziemy służyć za igraszkę nikczemnym twoim zabiegom!

LA TREMOUILLE.

Mniejsza o to, wolno wam czynić według upodobania.

DUCHATTEL.

A wtedy świat chrześcijański zobaczy piękne rzeczy!

LA TREMOUILLE.

I cóż on zobaczy takiego, proszę kończyć.

DUCHATTEL.

Co zobaczy,— powiem natychmiast.

LA TREMOUILLE.

Mów, mów bez obawy.

DUCHATTEL.

Opuszczony od wiernych sług swoich, otoczony przewrotnymi Francuzami, zgrają służalców i nierządnic, obarczony klątwą własnego ludu, zaprzędany przez ciebie, wnuk ś. Ludwika, Karol Walezy, ostatni z rodu swego, wypędzony z pałaców i królestwa, z czołem nagiem, z prawicą bezbroną, a stopami zagrę-

złemi w błocie, pójdzie w świat zebrać kawalka obcej ziemi, aby w niej ukrył swój wstyd i sromotę i złożył nędzne kości, na których widok ze zgrozą powstałyby prochy naddziadów pod sklepieniami ś. Dyonizego.

LA TREMOUILLE.

Wyraźnie czytasz w przyszłości, lecz przepominasz przeszłość, mości panie Duchatel; nie wiadomo ci jak widzę, odkąd Delin francuzki tuła się po własnem królestwie?

DUCHATTEL.

Co chcesz przez to powiedzieć?

LA TREMOUILLE.

Czyż nie pamiętasz, dlaczego Karol Walezy uznanym był przez parlament paryzki jako niezdolny do następstwa.

DUCHATTEL.

Cóż te pytania znaczą?

LA TREMOUILLE.

Nie było to, jeśli mnie pamięć nie myli, zapewne uderzenie toporem, trochę zbyt śmiałe, na moście w Montereau? Zaokrutne morderstwo, któreś ty sam doradził i wykonał, mości panie Duchatel, wbrew wszelkim prawom czci i rycerstwa, właśnie temu lat dziesięć, na osobie dostojnego księcia Jana bez trwogi, z Bożej łaski pana Burgundyi, a hrabiego Flandryi wiekuistej pamięci.

DUCHATTEL.

Klnę się na duszę ojca mego! przywiódłeś mnie do ostateczności...

LA HIRE

(*wstrzymując go*).

Duchâtel!

### SCENA TRZECIA.

CIŻ SAMI, REGNAULT z *Chartres*.

REGNAULT.

Cóż to znaczy? kłótnie i krzyki na królewskich pokojach. Proszę milczeć panowie—proszę milczeć! król!



DUCHATÉL.

*(do La Tremouille).*

Przez uszanowanie dla króla, będę milczał. Wytłumaczmy się w inném miejscu.

LA TREMOUILLE.

Jak się panu podoba. *(na stronie)* Byłem tak niedorzeczny, że oszczędził tego szaleńca! Odmówiłem Filipowi tej bezrozumnej głowy!

## SCENA CZWARTA.

CEŹ SAMI, KRÓL, książe d'ALENÇON, PODSKARBI, ALAIN CHARTIER, panowie dworscy, mieszczanie z Orleanu, koniuszowie, pазie.

KRÓL

*(wchodząc do księcia d'Alençon).*

Przyrzekłem ci mój kuzynie, a więc pomówię z nimi. *(Do La Tremouille).* Każ wnijsć mieszczanom z Orleanu.

DUCHATÉL.

Miłościwy panie! oto są. Czeka ją tu łaski królewskiej.

KRÓL

*(do Jana Moreau).*

Imię twoje.

JAN MOREAU.

Jan Moreau, miłościwy króla, kupiec sukna, radny miasta Orleanu od trzynastu lat, odtąd jak nasz lenny zwierzchnik, książę Karol, jęczy w więzach angielskich.

KRÓL.

Biędny mój kuzyn! Przed chwilą kazałem powtórzyć sobie (kliwą) baladę, którą ułożył słodząc sobie nudy więzienia. Nie znasz jej zapewne Jerzy?

Wszystkie niedole znoszę z rąk Boga,

Lecz jedna rani mi duszę!

Bez tej co sercu memu tak droga

Zawsze-ż samotny żyć muszę?

Próżno lat tyle nadzieję pieszcze,  
 Że Bóg mi ścieżki wyprości,  
 Smutny niewolnik.—O! mamże jeszcze  
 Być męczennikiem miłości!

REGNAULT.

Jaką król wyborną ma pamięć!

LA HIRE

(na stronie).

Nic nie zapomina w rzeczy samej, nic; zapomina tylko  
 o Francyi.

LA TREMOUILLE.

Żaden retoryk nie umiałby wypowiedzieć tych wierszy, tak  
 jak ty Najjaśniejszy Panie. Nie prawdaż panie Chartier? (*Alain  
 Chartier oddaje głęboki pokłon*).

KRÓL.

O! bo też nikt, mój Jerzy, nie wie lepiej odemnie czém jest  
 miłość, czém są jej słodczye, gorzkie jej piołuny, czém są jej  
 więzy i cierpienia.

DUCHATTEL

(*cicho do La Hire*).

Czém są jej oszustwa nadewszystko. O ty, najbardziej zwo-  
 dzony z Francuzów!

KRÓL.

„Kto nie ma przyjaciół ani miłości, ten nie ma nic.” Tyś to  
 napisał Chartier. Dopowiedz nam ostatnie słowo pieśni, pro-  
 szę cię.

ALAIN CHARTIER.

Racz mi przebaczyć miłościwy panie, ale godniejsi odemnie  
 dawno już czekają na posłuchanie króla Francyi.

KRÓL.

Któżby śmiał przeczyć muzom pierwszeństwa?

ALAIN CHARTIER.

Pomiędzy muzami, Clio surowa muza historii, pierwsza ma  
 prawo do czci królów.

DUCHATTEL.

Miłościwy panie, posłowie walecznego Dunois.

KRÓL

*(zwracając się nagle do Jana Moreau).*

Cóż mówi dzielny potomek Orleanów?

JAN MOREAU.

Dzielny Dunois sam, miłościwy panie, nie tuszy sobie aby zdołał utrzymać się dłużej nad tydzień.

ALENÇON.

A brabia Clermont? cóż się z nim stało?

JAN MOREAU.

Opuścił miasto. Odjechał w gronie najprzedniejszych rycerzy, utrzymując, że to istne szaleństwo chciać się dłużej bronić.

REGNAULT.

A biskup?

JAN MOREAU.

I pasterz odbiegł swojej owczarni, wszyscy niemal tak duchowni jak i rycerze opuścili Orlean; a jednak nie wszystko jeszcze stracone, gdyż lud wierzy w Boga i ufa królowi. Każdy poniesie raczej śmierć, niżli przestanie być Francuzem. Od miesiąca, miłościwy panie, nie poznaję tych ludzi spokojnych, których niegdyś widywałem za warsztatem lub w sklepie, a którzy nie umieli podjąć nawet oręża. Dziś zuchwalsi od najśmielszych wodzów, odważnie rzucają się na niebezpieczeństwo, dniem i nocą wszędzie ich pełno: tu spią okopy, tam jak lwy bronią się na szanecach, tu znów staczają krwawe harce. Nic ich nie trwoży, nic nie powstrzymuje: idą śmiało na bomby, działa, rusznice, nie baczą na siebie, jakby śmierć nie miała mocy nad niemi. Niewiasty wyprzedzają mężów w dzielności. Wśród pogwizdu strzał i gradu kamieni, przynoszą walczącym ostatek chleba i wina. Opatrują rannych, podnoszą strzały, gotują ukrop i olej, prażą popiół. Widziano niektóre z nich, jak włócznią odpierały Anglików i strącały ich w fosy.

KRÓL.

Kobiety francuzkie mają w sobie bohaterskiego ducha.

JAN MOREAU.

Starcy modlą się na rynku. Drobne dziatki biją w dzwony kościelne, czém ożywiają serca przywodząc na myśl pomoc Bożą.

KRÓL.

O mój dobry i wierny ludu! Ale i cóż moglibyśmy uczynić?

JAN MOREAU

(*rzucając się do nóg królowi*).

Miłościwy panie, wysłuchaj błagania konającego ludu twego....

ALENÇON.

Daj mi cztery tysiące ludzi zbrojnych, miłościwy panie, a biegnę śmiało na obronę Orleanu.

REGNAULT.

Niepodobna narażać księżęcia z krwi królewskiej na nieochybną zgubę. Wstrzymaj rozkaz twój, królu, trzeba nam wprzód zaczerpnąć łaski Bożej modlitwą.

DUCHATEL.

Rozkazuj królu—rozkazuj.

LA TREMOUILLE

(*nakazującym tonem*).

Król jak widzę zapomina, co przyrzekł tego poranku.

KRÓL

(*do La Tremouille'a*).

Nie myślę w niczem wyrokować, nie zasięgnąwszy rady mojej szlachty.

LA TREMOUILLE

(*do mieszczan orleańskich*).

Dobrzy ludzie, możecie się usunąć. Król przezemnie objawi wam swoją wolę. (*Jan Moreau i mieszczenie odchodzą*).

### SCENA PIĄTA.

CIŻ SAMI oprócz JANA MOREAU.

KRÓL

(*do księcia Alençon*).

A więc, cóż postanowimy? Mów naprzód miły bracie.

ALENÇON.

Już zawiele mówiliśmy, królu; teraz należy działać.

DUCHATTEL.

Rozkaż miłościwy panie, a pojedziemy wszyscy. Pojutrze staniemy w Orleanie, albo wody Loary poniosą do morza trupy nasze.

LA TREMOUILLE.

To szaleństwo.

LA HIRE.

I cóż to komu szkodzi? Nikogo nie zmuszamy aby nam towarzyszył. Kto się lęka szumu liści, ten niepotrzebny w lesie.

KRÓL

(do Alençona).

Iluż myślisz zabrać uzbrojonego rycerstwa?

ALENÇON.

Mamy dwa tysiące piechoty, sześćset włóczy, dwie kompanie szkockie, około dwustu łuczników genueńskich, nie licząc w to milicyi miejskiej.

LA TREMOUILLE.

Książę nie wie zapewne, że wojsko od pół roku nie widziało żołdu na oczy.

DUCHATTEL

(do La Hire'a).

On o tém wie najlepiej, on, który nikczemnie zagrabia żold walecznych.

LA TREMOUILLE.

Nie pójdą, póki nie odbiorą zaległości.

KRÓL.

Zapłacić im natychmiast.

PODSKARBI.

Najjaśniejszy Panie— skarb całkiem próżny. Ostatnie uczty dla pani Agnieszki wyczerpały wszystko. Nie mam w kassie więcej nad cztery dukaty.

ALENÇON.

Zastawić natychmiast moje srebra i klejnoty, nawet moje książęcą mitrę.

PODSKARBI.

Książę zapomniał, że kosztowności są oddawna w ręku lombardów.

ALENÇON.

Zaciągnąć pożyczkę u duchowieństwa i szlachty.

PODSKARBI.

Ostatnie starania były bezskuteczne.

REGNAULT.

Kościół oddał już do ostatniego solda. Zabrano mu wszystkie kadzielnice, świeczniki, ampułki i kielichy; porozkuwano nawet skrzynki brackie.

KRÓL.

Już od kościoła nic żądać nie możemy prócz modlitwy.

ALENÇON.

Trzeba nałożyć na lud podatek nadzwyczajny.

PODSKARBI.

Na lud! Tak go już wyciśnięto i zarzucono podatkami i daninami różnego rodzaju, w ziarnie jak i w monecie, że nie ma już nic, nic, oprócz garści barłogu na posłanie.

ALENÇON.

Zwołaj stany, miłościwy królu.

PODSKARBI.

To w rzeczy samej jedyny środek zaradczy w obecnych kłopotach. Lud szemrze przeciw uprzywilejowanym, którzy obciążają go podatkami, bez przyzwolenia trzech stanów narodu, a krzyk ludu, panowie, to jakby krzyk mewy przed burzą.

LA TREMOUILLE.

Cóż przyjdzie ze zwołania stanów? chyba nowe rozterki wewnętrzne, i rozzuchwalenie ubogiego ludu?

KRÓL.

Nie chcę być powodem rozdziwienia w narodzie. Nie domagam się zbyt wielu ofiar mego ludu. (*Do La Tremouille'a*) Powiedz im wolę moję.

LA TREMOUILLE.

Stosownie do rady doświadczonych wodzów, król postanowił przejść Loarę.

DUCHATEL.

Jacyż to są owi doświadczeni wodzowie, którzy radzą ucieczkę?

LA TREMOUILLE.

Valperga, Busca....

DUCHATEL.

Najemne kondottierzy z Medyolanu!

LA TREMOUILLE.

Rodrygo Villandrando....

DUCHATEL.

Rozbójnik hiszpański!

LA TREMOUILLE.

Darnlej-Douglas.

DUCHATEL.

Gorale szkoccy, zbiegi z pod Verneuil! Lecz wodzowie francuzcy, którzy z nich doradzają ucieczkę, gdzież oni są? chciałbym im odpowiedzieć!

KRÓL.

Dosyć Tanneguy — dosyć już! La Tremouille objawił wam moję wyraźną wolę. Bądźcie gotowi na jutro do pochodu. Jutro przepłyniemy na drugi brzeg Loary.

ALENÇON.

Co ja słyszę, mój królu! Ty nam radzisz ucieczkę! Takżełto krew Walezych przemawia?

KRÓL.

Krew Walezych! ona zatruta w moich żyłach! Gniew Boży zaciężył nad mym domem: tajemniczy wyrok skazuje go na

zgubę. Biedny mój ojciec, niegdyś tak słodki, tak ukochany od ludu, postradał rozum, i przez trzydzieści lat żył sam nie wiedząc o sobie. Umarł w końcu, wydając ryk naksztalt dzikiego zwierza. Obcy prowadził orszak pogrzebowy; ani własny syn, ani żaden z blizkich książąt nie szedł za jego trumną. Brat i stryj, uwikłani w bezbożne spory, zbroczyli we krwi bratobójcze swe ręce. Żona jego zdziwiła świat zbrodnią, jakiej dzikie wilczyce nie dały nigdy przykładu: znenawidziła własne dziecko! A ja to wydziedziczone dziecko matki bez serca i wnętrzości, ostatnia odrośl wyklętego rodu, król bez korony, monarcha bez państwa, mimo usiłowań, grzęzną coraz głębiej w otchłań zguby! Hańba moja rozpoczęta na polach Aincourt, spełniła się pod Verneuil i Montereau! Montereau! dniu przeklęty! tyś był przyczyną mych nieszczęść. O! bodajbym nigdy nie panował, a mógł tylko wygładzić z pamięci ludzkiej twoje krwawe ślady! Od tej nieszczęsnej godziny, wszystko zwróciło się przeciw mnie, wszystko mi zagraża upadkiem; wszystko mówi mi żem opuszczony od Boga, żem ciężką plagą dla wiernych przyjaciół i biednego ludu mego. W ucieczce jedyny dziś widzę ratunek. A gdybym w noc burzliwą, jak niegdyś pradziad mój Filip po klęsce pod Crecy, miał zakolatać w bramę nieznanego zamku, i prosić o gościnność, musiałbym odezwać się w te słowa: Otwórcie mi, otwórcie, jam Karol Walezy, sprawca nieszczęść Francyi.

REGNAULT

*(cicho do La Tremouille).*

Byłaby to choroba ojca; czyż i jemu pomieszały się zmysły?

### SCENA SZÓSTA.

CIŻ SAMI, PAŻ, *potem* BERTRAND *z Poulangy.*

PAŻ.

Szlachetny jakiś rycerz przybył tu Najjaśniejszy królu i prosi o posłuchanie. Powiada, że ma pilne i ważne listy.

KRÓL.

Od kogo?

PAŻ.

Od pana Beudricourt.



ALENÇON.

Dowódcy z Vaucouleurs! O królu, rozkaż mu wnieść natychmiast.

(*Wchodzi Bertrand z Poulangy, zbliża się i kłeka przed królem.*)

KRÓL.

Jak się nazywasz? Jakie przynosisz nam wieści?

POULANGY.

Jestem Bertrand z Poulangy, szlachcic z Szampanii, koniuszki pana Beaudricourt, przysłany do was miłościwy panie, z tym listem od mego dowódcy. (*Podaje list królowi.*)

KRÓL.

(*odbierając list i składając go w ręce księcia Alençon.*)

Czytaj, miły bracie

ALENÇON.

„Najwyższy, najpotężniejszy, najmiłościwszy królu a panie! Prosta dziewczyna wiejska rodem z Lotaryngii, mieniąc się natychmiast od Boga, stanęła przed nami. Żądała, aby ją poprowadzono do króla, utrzymuje bowiem, że Bóg jęj wyraźnie polecił, aby oznajmiła mu rzeczy dotyczące się jego zbawienia, i zbawienia Francji. Myśląc zrazu, że to dziewczyna obłąkana, lub rozpustna, rozkazaliśmy odprowadzić ją do ojca, uczciwego rolnika ze wsi Domremi; ale gdy niektóre jęj słowa wyrzeczone w duchu proroczym sprawdziły się nagle, wtedy zleciliśmy zbadanie jęj duchownym. Ci uznali ją wierną katoliczką, czystą na duszy i ciele, wolną od związków z czartami, a w wielu względach odpowiadającą przepowiedniom, które od niejakiego czasu krążą pomiędzy mnichami i ludem. Dlatego nie chcieliśmy zatrzymywać jęj dłużej, a dodawszy jęj do obrony kilku wiernych rycerzy, posyłamy ją królowi”.

ALENÇON.

W Imię Boże, miłościwy panie, każ natychmiast przyprowadzić dziewczynę.

KRÓL.

Dziwny to wypadek. Co myślisz o tém Jerzy?

LA TREMOUILLE.

Baudricourt stracił rozum, albo téż żartuje sobie z nas.

DUCHATEL.

Zaufaj zacnej szlachcie, miłościwy panie. Wypraw nas do Orleanu, nie traćmy czasu na słuchanie awanturnicy. Odeślij ją, niech zabawi twoich łuczników.

LA HIRE

(do Paulang'ego).

Powiedz-że mi mości koniuszy, czy aby ładna ta wasza pasterka? Doprawdy zazdroszczę ci, chciałbym być odprawiać z wami podróż. Czyż nam nie dasz poznać tej czarodziejki. *(Kilku ze szlachty rozmawia z sobą półgłosem, śmiejąc się).*

POULANGY.

Żartujcie sobie moi panowie, żartujcie sobie radzi. I ja i moi towarzysze śmieliśmy się tak, jak i wy, ale w tej chwili nie myślę nam już o śmiechu; bo jakim chrześcianin i szlachcic, w tej dziewczynie dziwna jakaś prawda, świętość i odwaga.

LA HIRE.

Ho, ho,— jakże się zapalasz. Daruj mi, mości koniuszy....

POULANGY.

Trzeba naprzód, abycie wiedzieli moi panowie, że ja Bertrand z Poulangy, a ze mną Jan z Metz, Rudolf z Gaucourt, Szymon z Belle-Croix i Jakób z Chateaubriand. którzy przybyliśmy tu z tą świętą dziewczką i którzy poszlibyśmy z nią na kraj świata przez morza i góry, choćby do Ziemi świętej, gdyby tylko poprowadzić nas chciała, podaliśmy jej rękę i przysięgli na cześć rycerską, że ktokolwiekby znieważył Joannę Darc, nas samych znieważyłby w jej osobie.

KRÓL.

To rzecz prawdziwie cudowna. Niech ją tu przyprowadzą.

LA TREMOUILLE.

Co czynisz miłościwy panie,— czyż przystoi godności majestatu?

REGNAULT.

Są w tém jakieś sidła, albo czary przeciw-chrześcianańskie. To rzecz duchowienstwa. Muszę sam wybadać tę dziewczynę.

KRÓL.

Chciałem ją zobaczyć przez prostą ciekawość, ale skoro tak myślicie (*do Poulang'ego*), każe odpisać Baudricour'owi. Miał zapewne dobre zamiary, lecz ja nie mogę...

POULANGY.

O! zaklinam cię najjaśniejszy panie, racz ją przyzwać, wysłuchać, a przekonasz się sam, że natchnienie Boskie świeci na jej obliczu i odbija się w jej słowach.

KRÓL.

A więc zobaczymy.... jutro....

LA TREMOUILLE

(*do jednego z szlachty*).

Nie wpuszczać ję do zamku i natychmiast pod strażą odprowadzić ją na biskupstwo. (*Słychać uderzenie dzwonów*).

KRÓL

(*do Regnault'a*).

Coto jest księżę biskupie, na jakążto uroczystość biją we wszystkie dzwony katedry?

REGNAULT.

Nic tego nie rozumiem, miłościwy panie.

### SCENA SIÓDMA.

CIŻ SAMI, MIKOŁAJ z GIRESMES.

PAŻ

(*meldując*).

Wielki mistrz ś. Jana z Jerozolimy.

KRÓL.

A więc to dla ciebie, mój dzielny Giresmes, biją we wszystkie dzwony. Czy obchodzicie chwalebą rocznicę jakiego zwycięstwa nad Turkami?

GIRESMES.

Cud Boży— miłościwy panie, nadziemskie prawdziwie zjawisko! Młoda dzieweczka zbliża się ku zamkowi. Dzielnie dosiada

rumaka. Odziana w białą zbroję, wygląda jakby druga Zenobia. Zapowiada nam oswobodzenie Francji. Lud ciśnie się tłumem w jej ślady, wita ją z aniesieniem, jak posłanniczkę Boską. Skoro wjechała do miasta, dzwony poczęły same dzwonić i ujrzano białą gołąbkę, jak zstąpiła z obłoków i siadła na jej chorągwi.

LA TREMOUILLE

(do Giresmes'a).

Jakby widzenie z Apokalipsy!

ALENÇON.

Gdzież zostawiłeś ją Giresmes?

GIRESMES.

Wyrzodziłem ją o kilka minut. Pragnie koniecznie mówić z królem.

LA TREMOUILLE

(do jednego z koniuszych).

Niech zamkną bramy zamku.

KRÓL.

Idź po nią Poulangy; chcę widzieć tę dziewczynę.

REGNAULT.

Wystaw ją na próbę, miłościwy panie, skoro wejdzie, a okryjesz ją wstydem. Nie mogła nigdy widzieć króla. Niech kto inny siądzie na tronie.

KRÓL.

Siadaj tu La Tremouille i mów do niej po królewsku. (*Król wchodzi pomiędzy grono panów, La Tremouille siada na tronie*).

### SCENA ÓSMA.

Mrok zapada, słudzy zapalają pochodnie.

CIŻ SAMI, JOANNA DARC, *za nią* BERTRAND  
z POULANGY, BRAT ELIASZ *i kilku rycerzy*.

JOANNA

(*idzie prosto do króla i przykleka przed nim na ziemi*).

Szlachetny Delfinie!...

KRÓL.

Co czynisz? (*wskazując Tremouille'a*) Mylisz się, oto jest król Francji.

JOANNA.

Nie myślę się, miłościwy panie. Tamto pan wysokiego rodu, lecz nie ze krwi Walezych. Łaska twoja jest z nim, lecz potęga przy tobie: nie do niego Pan mnie posyła.

KRÓL

(*do arcybiskupa*).

To rzecz osobliwa (*do Joanny*). A któż jest twój Pan?

JOANNA.

Mój Pan jest także twoim Panem, szlachetny Delfinie; to Bóg Kłowisa, Bóg Ludwika świętego i Karłomana!

KRÓL.

A ty kto jesteś, że przemawiasz w ten sposób? Czego żądasz od nas?

JOANNA.

Nazywam się Joanna Darc, przynoszę pomoc Bożą Delfinowi Francji.

LA TREMOUILLE.

Zuchwała dziewczyno, takżeto masz mówić do króla; dlaczego zowiesz go Delfinem?

JOANNA.

Zwać go będę Delfinem, dopóki królewskie jego czoło nie będzie namaszczone: lecz zanim upłyną dwa miesiące, nazwę go królem, albowiem ja sama poprowadzę go do Reims, aby tam za sprawą Ducha Świętego otrzymał namaszczenie i koronę. Wprzód jeszcze złamię potęgę Anglików i wypędzę ich za granice Francji.

LA HIRE.

Dziękuj Bogu, mamy dzielnego wodza, aby z nim wywalczyć królestwo!

JOANNA.

Biada tobie dowódzco gaskoński, który w wojnie widzisz tylko łup, i żyjesz tylko nikczemnym zdzierstwem ..

LA HIRE.

A z czegoż chcesz, abyśmy żyli. Trudno karmić się powietrzem? Czyż myślisz, że my nie czujemy głodu i pragnienia? Nie mów o tém czego nie rozumiesz. I święty z nieba gdyby poszedł na wojnę, musiałby robić tak jak drudzy.

LA TREMOUILLE.

Kto cię uczył prowadzić wojsko do boju?

JOANNA.

Jam się niczego nie uczyła, tylko prząść moje kądziel; a jednak więcej umiem od was, gdyż umiem posłuszną być Bogu.

KRÓL

(do *Regnault'a*).

Dobrze mówi.

REGNAULT.

Bóg czasami dopuszcza, aby duch ciemności pięknymi odzywał się słowy. (do *Joanny*) Poczóżby Bóg rozkazywał niewieście spełniać dzieło właściwe tylko mężom?

JOANNA.

Czemuż *Judytha* ocaliła lud Boży? I czemuż *Deborah* rozproszyła nieprzyjaciół *Izraela*? Bo niewiasta lepiej umie od was poświęcić serce i życie. Bo u niej czysta miłość a nie chęć nagrody podniecią jest do czynu; bo ona lepiej umie cierpieć i więcej ma litości; dlatego to podoba się niekiedy *Przedwiecznemu* odsłonić jej Boskie tajemnice, skryte przed wzrokiem mężów.

REGNAULT.

Jeśli posiadasz objawienie Boże, powiedźże nam święta dzieweczko, w rozdzieleniu jakie panuje dziś w kościele powszechnym. któremu téż z trzech obranych papieżów chce Pan nasz *Jezus Chrystus*, aby posłusznym był kościół francuzki?

JOANNA.

O tém bynajmniej nie wiem. Nie moja rzecz rozstrzygać spory między naczelnikami kościoła. Ktoś inny przyjdzie niedługo zesłany wolą zagniewanego nieba, i potrafi zagodzić szalone wasze zwady. Ten mściwą ręką przyłoży ogień i żelazo do ran, które chrześciance zadali świętemu kościołowi. Ale dosyć o tém. (zwracając się do króla) Szlachetny *Delfinie*, dziś nie pora na daremne

rozprawy. Daj mi garstkę ludzi dobrej woli, daj mi zastęp rycerstwa mały czy większy, mniejsza o to. Błagam cię w imię wszystkich aniołów niebieskich, zaufaj mi panie, a nim przemienie tydzień, Orlean będzie oswobodzony.

REGNAULT.

Ależ uparta dziewczyno mówże przecie, jakimże znakiem widomym przekonasz nas, żeś jest rzeczywiście przysłaną od Boga?

JOANNA.

Nie mam znaku dla tych, którzy nie wierzą.

REGNAULT.

Ktokolwiek nie daje znaku, nie jest posłannikiem Bożym. Szatan działa przez ciebie, dziewczyno. (*powtarza słowa exorcyzmu*) „Duchu przeklęty, ktokolwiek jesteś, nieprzyjacielu, stary mężu, skazujemy cię i wyklinamy”.

BRAT ELIASZ

(*przystępując do Regnault'a*).

Co czynisz, ojcze? Wstrzymaj się! Ta dziewczyna jest posłanniczką niebios.

REGNAULT.

A ty zkąd przychodzisz? Kto cię przysłał?

JOANNA

(*do brata Eliasza*).

Daj pokój! On mi szkodzić nie może.

REGNAULT

(*ciągnąc dalej słowa exorcyzmu*).

„Przeklinamy cię w Imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, abys opuścił te miejsca i uciekł w niedostępne puszcze, i tam oczekiwał straszego dnia sądu, żując wędzidło własnej pychy; abys tam był osadzony, wyklęty i potępiony przez tegoż Pana Jezusa Chrystusa, który przyjdzie sędzić żywych i umarłych”.

LA TREMOUILLE.

Amen.

JOANNA.

Wszak nie uleciałam w powietrze jak czarownice?

KRÓL.

Mamże powierzyć tobie życie tylu walecznych rycerzy? Mogęż ci zaufać na słowo?

JOANNA.

Tobie miłościwy panie rozkazano mi dać się poznać. (*cicho do króla*) Jeżeli ci objawię jedną z najskrytszych twych myśli, wielką tajemnicę znaną tylko tobie i Bogu, czy mi wtedy zawierzysz?

KRÓL

(*pomieszany bierze jej rękę i prowadzi na przód sceny*).

Zawierzę ci, uczynię co zechcesz; mów!

JOANNA.

Prawdażto, panie, że w dzień Wszystkich Świętych będąc ranosam jeden w oratoryum zamku Loches, gdy z zasmuconém sercem myślałeś o wykroczeniach matki twojej; wtedy zwątpiłeś o własnym twym rodzie, a uklęknąwszy na kamieniu, błagałeś Chrystusa Pana, aby w razie jeżeli nie jesteś prawym następcą tronu, odebrał ci chęć do jego osiągnięcia; że jeśliby skutkiem grzechów twoich wielkie nieszczęścia miały spaść na królestwo, aby Bóg spuścił na ciebie miecz kary, a okazał miłosierdzie nad twym ludem.

KRÓL.

Prawdę mówisz.

JOANNA.

A więc, panie, wielki Bóg z niebios rozkazuje mi zapewnić cię, że jesteś naszym prawym i najwyższym panem, zrodzonym ze krwi królów, i że po Bogu, winni ci jesteśmy wszysey najwyższą cześć, miłość i posłuszeństwo.

KRÓL

(*do szlachty*).

Ta dziewica jest rzeczywiście zesłaną od Boga. Od téj chwili niech każdy posłusznym jej będzie, jakby mnie samemu.

JOANNA.

Niech tu przyniosą moje chorągiew, i niech przywołają mieszczan z Orlesnu. (*Paź przynosi Joannie chorągiew*).

KRÓL.

Czyńcie wszystko według jej woli.



ALENÇON.

I gdzie nas powiedziesz?

JOANNA.

Powiodę was gdzie mi Bóg rozkaże.

GIRESMES.

Nie widzę w tobie zdrady, pójdę i ja za tobą.

DUCHATTEL

*(do La Hire'a).*

Uważam ją od początku: trzyma z nami przeciw ulubieńcowi, trzeba nam iść za nią.

LA HIRE.

Ktokolwiek cię przysyła, bynajmniej mnie to nie obchodzi. Odzywasz się dzielnie, jak na bohaterkę przystało. Dalej więc, będę ci towarzyszył.

## SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ SAMI, JAN MOREAU *i mieszczanie z Orleanu.*

JOANNA.

Przystąpcie tu zaci ni mieszkańcy Orleanu. Na wstawienie świętego Ludwika i Karola, przez modlitwy św. Dyonizego patrona Francuzów, Pan niebieski postanowił, że szlachetne miasto wasze nie zginie. Król rozkazuje wam, abyście oznajmili dzielnemu Dunois, że nim przeminą dwa dni, Joanna dziewica będzie w murach waszego grodu z zastępem najwaleczniejszych mężów z całego królestwa. A teraz szlachetni rycerze i książęta, baronowie i dowódcy, przystąpcie wszyscy do mnie! *(do księcia Alençon)* Na koń piękny rycerzu, na koń, niech zatrąbią pobudkę, czas nam w drogę: ruszajmy do Orleanu z ochoczym sercem i nadzieją zwycięstwa! *(występuje na przód sceny).* Panie! Panie! nasi nieprzyjaciele zgromadzili się, pyszną się mocą swoją. Spuść na nich trwogę, o Panie! złam ich potęgę, rozprósz ich jak tumany dymu! Panie, my w Tobie złożyliśmy wiarę, uzbroj ramię nasze do zwycięstwa. Panie, oswobódź Francją!

LA HIRE  
(na stronie).

To zapięknione słowa na żołnierza; moja modlitwa będzie krótsza: Panie Boże, uczyni dla La Hira przy oblężeniu Orleanu, to, coby La Hire uczynił dla Ciebie, gdyby La Hire był Bogiem, a gdybyś Ty Boże był La Hirem!

## RYCERZE.

Chwała Przedwiecznemu! Niech żyje król, niech żyje Joanna Dare!

## JOANNA.

Bóg i Francya!

(Dokończenie nastąpi).

## KRONIKA PARYZKA

### LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Paryzkie Muzeum historii naturalnej. — Reorganizacya biblioteki cesarskiej. — Kolej pod-Alpejska. — Sakuntala, balet indyjski Teofila Gautier. — Jan Bart, dramat w Porte-Saint-Martin. — Francuzkie towarzystwo fotograficzne. — Książka Abd-el-Kadera. — Wiadomości literackie.

**Barometr** paryzki ciągle stoi na transformacyi: nowe pałace rodzą się jak grzyby; całe szpalery domów przepadają tak nagle, tak niespodzianie, że nie jeden co się położył spokojnie wieczorem, nazajutrz otworzywszy oczy, widzi swe łóżko nad przepaścią... ściana dzieląca go od ulicy znikła. Pytającemu o powód tej klęski, odpowiadają: „qu'on démolit la maison pour cause de l'utilité publique.”

W obec tak zaciętego porządkowania i piększenia, które tu aż do manii posunięte nie cofa się przed żadnym zbytkiem, nie waha burzyć wspaniałych budowli dla przeprowadzenia nowych ulic, i dokonywa dzieł, przy których błędą cuda starożytnego świata; w obec tego wszystkiego, dziwnie uderza i razi tu swém opuszczeniem gmach jeden pełen bogactw naukowych i materialnej nędzy: chcemy mówić o paryzkiem Muzeum historii naturalnej. Jeżeli co, to gmach ten jest potwierdzeniem przysłowia „szewc zawsze bez butów.”

Wszedłszy tu któżby się domyślił, że w tych zapleśniałych, ciemnych i brudnych salach złożone są zbiory Buffonów, Lamarków, Cuvierów, Latreillów, owoce pracy tysiąca mniej więcej sławnych naturalistów, którzy przez wieki po całym globie szperali i tu zwozili znalezione rzadkości; kto by przypuścił, że te zgnilizną wiejące izby, to wszechnice, gdzie wykładali swą naukę najpierwsi naturaliści, to laboratoria, w których dyssekowali lwy i słonie najumniejsi professorowie: pewno niktby tego nie odgadł. Nietąd tu tak wielki, zaniedbanie tak niesłychane, że rozpatrzeć się w niem warto przez ciekawość. Muzeum historii naturalnej, to prawdziwa osobliwość Paryża, którą cudzoziemcy z tém większém zwiedzają zadowoleniem, iż, jak słusznie powiedział Balzac, admiracya jest zawsze wysileniem dla rodzaju ludzkiego, a ganić zawsze przyjemnie.

Tych więc, których już znudziły licznie gazetom warszawskim dostarczane opisy splendorów Paryża, zapraszamy z sobą do Muzeum historii naturalnej: tu zobaczą nędzę nowożytnych Aten, tu będą mieli szerokie pole do krytyki i uciechę złapania Francuzów, aby raz, na gorącym uczynku nietądu i niedbalstwa.

Muzeum historii naturalnej stanowiące jedną ścianę ogrodu botanicznego, dzieli się na cztery wielkie części: 1) Anatomia porównawcza; 2) Zoologia; 3) Mineralogia i Geologia; 4) Botanika. Przejdziemy je kolejno, żeby wiedzieć co jest i jak jest.

Galerya anatomii porównawczej, kolebka nauki której fundamenta zakładali kolejno Vicq d'Azyr, Mertrud i Cuvier, w opłakanym znajduje się stanie. Zbiory wielkich naturalistów mieszczą się w kilku wilgotnych salach, przerobionych z fiakerskiej stajni. Powierzchność ich przypomina dokładnie pierwotne przeznaczenie. Szkielety stoniów i hippopotamów zajmują miejsce powozów, szkielety koni i zeber mało ró-

zniące się od dorożkarskich biegunów, stoją rzędem tam, gdzie stały żywe ich poprzedniki.

Chodząc po téj stajni, najmniej biegły naturalista co krok spostrzega jakąś lukę, która powinna być wypełnioną, jeżeli galerya ma stać na równi z postępem nauki i usprawiedliwić swą nazwę. Muzeum anatomii porównawczej składa się z samych szkieletów, czyli jednej tylko części nauki; inne niemniej ważne, jak system żył, nerwów, arteryj, muszkułów, nie są wcale reprezentowane. Zbiór szkieletów zwierząt ssących jest bardzo liczny, ale szkielety ptaków, gadów i ryb, w nader szczupłej liczbie, i wszystkie prawie uszkodzone. Od śmierci Cuviera, ostatni ten zbiór ledwie kilkoma egzemplarzami zbogacono; ale ponieważ szkielety nieustannie noszone bywają na lekcy profesorom do rozmaitych sal gmachu, a nawet do Sorbony, wiele ich w tych ciągłych przenosinach zaginęło, i ostatecznie zbiór dziś jest mniejszy niż był za życia wielkiego naturalisty. Drogocenna kolekcya odlewów woskowych rozmaitych organów zwierzęcych, dokonana przez sławnego naturalistę neapolitańskiego Poli, także skutkiem ciągłych przenosin i nieporządku w najsmutniejszych znajduje się stanie.

Zupełny brak wszelkiej klasyfikacyi, niemniej razi w téj galerji. W jednej i téj samej sali, a raczej izbie, widzisz szkielety zwierząt ssących obok ptasich: strusia przy małpie, żółwia przy gazelli, kości przedpotopowców obok zdechłego w menażeryi słonia; słowem, towarzystwo co się zowie mieszane, po którym błądząc nawet demokrata krzywo patrzy na intruzów, i ma ciągle na języku pytanie: co tu waść robisz?

Brak etykiet powszechny: nagłówki fantastyczne częściej się spotykają niż nazwy naukowe. Szkielet naprzykład węża umieszczony pomiędzy zbiorem czaszek ludzkich doktora Galla, nosi taki napis: „Antagonisme de la rectitude humaine.” Strus zwie się: „Rameau arthropologique de l'anatomie com-

parrée." Niechże kto zrozumie co to znaczy? Jeżeli nie dla dobra nauki, to dla dobra skarbu francuzkiego, który na zapełnienie samej galeryi anatomii porównawczej do dwóch milionów franków wyłożył, professorowie powinni by powiedzieć z kąd idą te „gałęzie” i do rodzinnego pnia je odprowadzić.

Najważniejszą częścią galeryi anatomii porównawczej powinno być laboratorium; tutaj jest ich dwa: jedno do dyssekcji wielkich, drugie małych zwierząt, ale w jakimże stanie! Wyobraź sobie czytelniku rozległe śmiecisko, rodzaj podwórza, na którego nierównnej powierzchni w tu i owdzie zieleniejącej kałuży gniją części pokrajanych zwierząt, Jestto wielkie laboratorium, sala, która tutaj służy zarazem do dyssekcji i wypychania zwierząt. Obok jest gabinet. Tam na pułkach porozrzucana bezładnie kosztowna kolekcya rozmaitych zwierząt, które Cuvier i Blainville zgromadzili do swych anatomicznych poszukiwań.

Kolekcya ta przechowywana w alkoholu, zajmuje do 4,000 stojów; ale spirytus nie był w nich zmieniony od dwudziestu sześciu lat, to jest od śmierci Cuviera; szkielety zaś wielkiej wartości wiszą zakurzone i potłuczone u sufitu. Wszystko razem otacza atmosfera tak zabijająco nie wonna, że uciekając ztamtąd po kilkunastu minutowym pobycie, pojąć nie można jak ludzie skazani na pracowanie w tej sali po kilka godzin, wyjść z niej mogą nie zaswędzeni. Paryzka kommissya zdrowia, której obowiązkiem zawiadamiać zwierzchność o niezdrowych pomieszkaniach, znać nigdy tam nie zaglądała.

Fontenelle opowiada, że kiedy w roku 1681 zdechłego w menażeryi słoniu dyssekował Duvernej, cała Akademia nauk była obecna tej lekcji; Ludwik XIV był także przytomny rozbirowi niektórych części olbrzymiego zwierza. W historyi Akademii królewskiej nauk z roku 1681, opis tej scyentylicznej uroczystości kilka kart zajmuje. Dzisiaj, roku Pańskiego

1858, gdyby stół zdechtł w Jardin de Plantes, pewnieby na jego dyssekcją nie zaproszono cesarza.

Galerya zoologiczna najwięcej zajmująca profanów, składa się ze zwierząt ssących, ptaków, ptazów, ryb, skorupiaków, owadów, mięczaków i robaków wnętrzościowych. W tym dziale zamieszanie dochodzi do najwyższego stopnia: zdaje się, że tu klasyfikacją zajmowali się sami tylko portierzy. Kto widział wzorowy porządek i ład naukowy panujący w angielskich muzeach naturalnych, ład, który udziela się umysłowi widza i uczy go więcej sto razy niż drukowane karty; kto przywykł do pedantyzmu naukowego Niemców, tego w Muzeum Cuviera dziwne czekają niespodzianki. Przyuczony oglądać systematycznie rozwijający się szereg mieszkańców zwierzęcego królestwa, tutaj z niemałym zdziwieniem obaczy stojące obok siebie najniezgodniejszej natury indywidua: ryby, lwy, ślimaki, ptaki, wszystko pomieszczone jak groch z kapustą. Oburzająca ta anarchia zajmuje całe pierwsze i drugie piętro, oraz kilka sal na dole, gdzie świat przedpotopowy miesza się z dzisiejszym w porządku mniej więcej takim: szczeka mammuta, stół, zebra, hippopotam, nosorożec, świnia, delfin, lew, polip i t. d. Jestto schadzka wszelkich ostateczności; widz tu zupełnie własnemu przemysłowi zostawiony, może tworzyć systemata jakie mu się podoba, nie mu nie przeszkodzi w tej pracy, żaden nagłówek nie zreflektuje, bo wilgoć wszystkie pożarła.

Na pierwszym piętrze w sali zwanój Salle de la Venus, nie wiadomo czemu, gdyż nie tu bogini piękności nie przypomina, uderza na wstępie kollekcya psów i owiec, dalej zbiór rozmaitego gatunku osłów; w szafach okalających ściany mieści się zbiór zachowanych w spirytusie rozmaitych mieszkańców oceanu; w środku stoi szuflada szklana z mięczakami, z których jedne żyły przed potopem, drugie wczoraj wyłowione zo-

stały. Obok wznosi się piramida szklanych pudełek, zawierających cząstki wszelkiego rodzaju zwierząt: były one zbierane przez rozmaitych profesorów, z których każdy na inném polu poczynione odkrycia kładł zawsze na jedném, to jest na pierwszym miejscu, zajętém już nabytkami poprzednika. Ztąd powstała owa piramida niezgody.

W trzeciej sali jest zbiór małych; w czwartej skorupiaków i owadów, ale te ostatnie pozamykane w szufladach nie są oglądane przez codziennych gości. Piątą salę zajmuje bardzo bogata i porządnie ułożona przez Duméril'a kollekcyę ptaków. W szóstej i siódmej jest zbiór ryb, składający się z przeszło pięciu tysięcy gatunków. Wyjąwszy ryb wielkich, które wiszą u sufitu wraz z żółtami i jaszczurkami, wszystkie zresztą przechowane są w spirytusie, ale w tak małych stojach, że ich naturalnego kształtu poznać nie można.

Na schodach prowadzących na drugie piętro porozwieszano delfiny i foki, które się już w poprzednich salach nie zmieścić. Pierwsza sala drugiego piętra mieści niedźwiedzie, borsuki, leniwce, i całą ich rodzinę; drugą, po jednej stronie zajmuje dalszy ciąg zwierząt mięsożernych, po drugiej stoją roślinożerne.

Potém następuje przepyszny, jedyny w swoim rodzaju zbiór ptaków, ułożony wzorowo przez uczonego ornitologa księcia Karola-Lucyana Bonaparte. Wszystkie ptaki jakie tylko widziano dotąd na świecie, począwszy od wróbla aż do harfiarza, rajowca, białego kosa i czarnego łabędzia są zgromadzone w wielkim komplecie: znajdziesz tu reprezentowany cały ród ptasi zachwycający wdziękiem kształtów i tęcza barwą swych ubiorów. Ale i do tej drogocennej, królewskiej kollekcyi, godnej złocistej sali i aksamitnych stołów, wcisnąć się musiał systematyczny nieporządek. Ni ztąd ni z owad postawiono w tém skrzydlatém rajském okoleniu, brzydka szafę ze ślimakami! I żebyć ona



przynajmniej zdała się komu na co; ale owa ślimaczarnia dla chcących się uczyć jest zupełnie nieużyteczna, a to dlatego, że zawiera tylko osmdziesiąt rodzajai, reszta zaś (około 1500 gatunków, z których się składa ta brzydka rodzina) leży w szufladach tak dobrze ukryta ludzkiemu oku, jak kiedy była w swym mule.

W końcu galeryi ptasięj, u wnijscia do ostatniej sali, z wielkiem zadziwieniem napotkaliśmy znowu czworonożne zwierzęta. Giraffy, jelenie, woły i zebry, powitały nas u wejścia; rozstaliśmy się z nimi dopiero u drzwi galeryi mineralogiczno-geologicznej.

Szkłada się ona z trzech części: dział pierwszy, mineralogia; drugi, geologia; trzeci, wykopane kości ptaków, gadów i ryb. Dział mineralogiczny obejmuje tak zwaną „collection type de Haüy,” na której wszystkie etykiety pisane są własną ręką sławnego mineraloga, i tak zwaną kolekcycą powszechną.

Zbiór pana Haüy, którego Francuzi twórcą mineralogii zowią, po jego śmierci sprzedany Anglikom, został odkupiony przez Zgromadzenie narodowe, podczas kiedy professor Dufrenoy zajmował katedrę mineralogii. Ułożony tak jak był, leży w szklanych szafach, których wykwinną formę podnoszą jeszcze brudne ściany wilgotnej izby. Kolekcycą powszechną ma wiele bardzo pięknych i rzadkich egzemplarzy.

Zbiór geologiczny składa się z 200,000 próbek, ale tylko 12,000 jest wystawionych na widok publiczny; resztę schowaną w szafach, obejrzyć tylko można za zezwoleniem profesora. Dział wystawiony ma dwie części: zbiór gatunków skał sterczących na powierzchni ziemi, i tych z których ulepiona ziemna skorupa. Oba te zbiory bez etykiet, nie są przydatne nauce; zbierane przez tyle wieków, z tak wielkim mozółem klasyfikowane, dziś przedstawiają tylko kupę nieużytecznych kamieni.

Zbiór kości kopalnych rozpoczęty przez Cuviera, zwiększył się kilkoma kolekcjami prywatnymi, które rząd we Francji i za granicą zakupił. Dziecię pudełek ułożonych przez Cuviera i jego ręką poetykietowanych, w doskonałym do nauki porządku, są perłą tego zbioru. Reszta wygląda mniej więcej jak wielka kostnica, gdzie od niepamiętnych czasów dziady, wykopane na cmentarzu kości rzucają nie pytając czyje są, ani z kąd się wzięły. Co najsmutniejsza to to, że tajemnice tej kostnicy nigdy się już nie wydadzą, bo nici po którychby można dojść do kłębka, porwane. Tak na przykład, jedyna podobno na świecie kopalna żółwia skorupa, znaleziona w pokładach gliny w okolicach Paryża, potłuczona, wkrótce zupełnie się rozleci.

Część botaniczna składa się z dość ubogiej kolekcji roślin tropikowych, które osobne zajmują szklarnie, i tak zwanego lamusa, gdzie się znajdują zbierane po całym globie i zwiezione do Francji przez botaników zasuszone próbki rozmaitych roślin. Nie chcąc żeby nas posadzono o przesadę, przytaczamy tu relacją, którą o tym zbiorze podaje w swém naukowém piśmie książę Karol-Lucyan Bonaparte: „Są to, pisze książę, Zapominki głębsze od kartonów akademickich kommissyj: nekropolia, których wnętrza nikt nie zna, nawet grabarz, administrator Muzeum. Są to groby wieczyste, w których spoczywają drogie resztki groszem publicznym zakupionych nabytków, przyniesionych przez podróżników śmiałych, którym się zdawało że pracują dla nauki, a pracowali tylko dla mytu. Professorowie wysyłający tych wędrowców mogliby ich taniej a pożyteczniej zatrudnić: kazać im czynić odkrycia w paryżkiem botaniczném Muzeum.”

Taki jest stan obecny paryżkiego Muzeum historii naturalnej, téj że tak powiem ordynacyi, którą

wielki Cuvier swym pierworodnym przekazał. Jest nadzieja, że stan ten za kilka lat zmieni się zupełnie. W skutek często ponawianych utyskiwań, które ze wszęch stron do Tuileryów dobiegały, wyszedł dekret cesarski nakazujący uporządkowanie Muzeum. Dekret ten wydany w czerwcu tego roku, brzmi jak następuje:

„Zważywszy, iż obecna organizacja Muzeum historii naturalnej taka jaka wynikła z dekretu wydanego przez Konwencyą 10 czerwca roku 1793, nie zgadza się z potrzebami tego zakładu i dzisiejszą administracją publiczną;

„Zważywszy, że zachowując professorom należną zwierzchność naukową nad Muzeum, niepodobna jest prowadzić dalej systemu administracji, wkładającego jedynie na grono uczonych odpowiedzialność za zarząd materialny i codzienny zakładu;

„Zważywszy nadto, że ścisła rewizya Muzeum jest konieczna dla dowiedzenia się, jakich reform w tym tak ważnym zakładzie potrzeba:

„Rząd cesarski wyznacza kommissą do wskazania ulepszeń, jakie wprowadzić należy w zarząd Muzeum, które nadal pod bezpośrednią odpowiedzialnością państwa zostawać będzie.”

Drugi dekret, wydany w Plombières 14 lipca, zatwierdza reorganizacyą cesarskiej biblioteki wedle projektu podanego przez członka Akademii senatora pana Mérimée, będącego na czele kommissyi wyznaczonej do rozpoznania potrzebnych zmian. Administracya biblioteki będzie urządzona na sposób angielski; pan Mérimée jeździł umyślnie do Londynu, ażeby się przypatrzeć układowi tamecznych księgozbiorów, które tak pod względem materialnym, jak i naukowym mogą służyć za wzór do naśladowania.

Reorganizacya biblioteki połączona ze spisem katalogów, które w dziale historycznym będą iść swoją

drogą dalej, jest jedną z najważniejszych prac, jakie dotąd pod panowaniem Napoleona III rozpoczęto; ukończenie dzieła przy najspieszniejszej robocie ledwie za parę lat nastąpi, bo nietylko administracya, ale wewnętrzne ściany budynku przekształcone będą. Drugi raport do ministra oświecenia, podający projekt nowego układu, pan Mérimée kończy temi słowy:

.....„Znamy całą trudność proponowanej przemiany, wiemy iż łatwiej zaproponować niż wykonać reorganizacyą biblioteki: nie wątpimy atoli iż dokonaną będzie, bo tak chce mądry rząd, który może chcieć i umie działać.”

Mówiąc o rozpoczętych we Francyi ważnych pracach, nie możemy pominąć podgórze Cenis, będącego obecnie teatrem nadludzkich niemal wysiłen. Czytelnicy nasi, którym donosiliśmy w swoim czasie o rozpoczęciu robót około wielkiej drogi podziemnej, mającej związać Chambéry z Turynem, czyli Francją z Włochami, może ciekawi będą dowiedzieć się jak daleko roboty te do dziś dnia postąpiły.

Tak zwana kolej Wiktora Emanuela, od małego miasteczka Modane leżącego u stóp alpejskich, bieży ku górom 2800 stóp długim wąwozem i zagłębia się w samą pierś Cenisu. Tam, stu robotników podzielonych na brygady, dzień i noc wrywając granitowe łomy, zaśzło już 556 stóp w głąb góry. W tej głębokości światło wcale nie dochodzi, praca odbywa się przy lampach: dzień pracy posuwa dzieło o dwie stopy naprzód, co wynosi około 60 stóp na miesiąc. Wedle tego obrachowano, że jeżeli w głębi nie znajdą jakie nieprzewidziane przeszkody, tunel ukończony będzie za lat dziesięć.

Przy tej pracy najwięcej dokuczają robotnikom zimno. Już na 335 stóp wewnątrz galeryi Modañskiej

woda ze skał kroplami się sączy i zamarza w formie dziwacznych stalaktytów. Woda ta każe się domyślać istniejących w górze pokładów soli, jest bowiem mocno słona; zanurzony w nią termometr spada o dziesięć stopni niżej zera. Bez ciągłego ruchu i wysień, jakich tak ciężka praca wymaga, robotnicy wyżyłby tam nie mogli. Ale dobre urządzenie roboty znośniejszą ją czyni. Ludzie podzieleni są na oddziały, z których każdy pracuje sześć godzin na dobę, poczem bywa luzowany, jak warta, przez drugi oddział. Robotnik zarabia dziesięć franków przez dwanaście godzin. Najwięcej pracuje Szwajcarów; Francuzów nie wielu: wszyscy z okolic Grenoble, i tacy tylko, którzy dali dowody odwagi i zręczności przy budowie kolei Śródziemnej.

W miasteczku Modane panuje ruch, jakiego nie widziano od czasu przeprawy przez Alpy wojsk Napoleona. Budują już tam obszerny dworzec, gdyż po ukończeniu linii, Modane będzie najważniejszą stacją kolei.

Od strony włoskiej droga zaszła dalej. Wioska Bardonnèche jest drugą głową tunelu. Tam, 170 robotników pracując dzień i noc, wydrążyło 600 stóp galerii. Nieznana niedawno wioseczka włoska z kilku chat złożona, dziś stała się nieledwie miastem; prócz kilkudziesięciu domów dla robotników, pobudowano w niej pałacyki dla inżynierów naczelnych, którzy tam na kilka a może kilkanaście lat osiedli jako przywódcy wielkiego dzieła.

Nie poprzestając na ręcznej robocie, inżynierowie włoscy pracują obecnie nad zastosowaniem maszyny, którą sprowadzona z pobliza rzeczka, Doria-Riparia, ma w ruch wprowadzać. Obracana wodospadem olbrzymia ta maszyna, dokona jednego dnia więcej, niż stu ludzi przez dni dziesięć.

Jak w obec każdego wielkiego przedsięwzięcia, tak i tutaj znajdują się ludzie wątpiacy jeszcze o pomyslném ukończeniu tunelu, nazywający jego przedsiębior-

ców szaleńcami; ale na szczęście, minęły czasy, kiedy Salomona Caus i jemu podobnych do domu waryatów zamykano:—dziś ten tylko waryat, kto wątpi. Lewiatan zadał niedawno fałsz propagatorom ludzkiej niemocy; wkrótce spotka ich nowa przegrana, bo jeśli nie trzecia teraz wysłana wyprawa, to czwarta lub piąta, zwiąże niezawodnie zerwaną nić, która ma połączyć dwa światy, i zada fałsz drugi raz niewierzącym w rozumne cuda. Co do nas, nie wątpimy ani na chwilę, że za lat dziesięć, wygodny pociąg zabrawszy nas w Paryżu, za kilkanaście godzin wysadzi w Turynie, Genui lub Medyolanie. Nie wątpimy nawet, że będą chodzić do Włoch spacerowe pociągi z Paryża; że kto zechce, siadłszy do wagonu w Wielką Sobotę, będzie mógł w niedzielę rano wysłuchać Stabat u Pergolęsa w rzymskiej bazylice, zjeść kolacyą u stóp Wezuwiusza, spędzić wieczór w neapolitańskiej operze, a po północy siadłszy znów do wagonu, wrócić w poniedziałek rano do zwykłych zatrudnień w Paryżu.

---

Redaktor „Artysty,” złotousty feiletonista, którego brylantowe sprawozdania z dziedziny sztuki są teraz jedyną tęczą na ołowianym horyzoncie tutejszej literatury, Gautier, jednem słowem, ułożył dla Opery Wielkiej nowy balet dramatyczny pod tytułem Sakuntala. Nie pierwszy to jego utwór w tym rodzaju i nie pierwsze powodzenie; jeszcze tu nie zapomniano Czterech pór roku, jeszcze nie przebrzmiał dźwięk węgierskich podkówek Giselli, której nieznany strój i dzika gracya długo Paryż bawiły. Sukces jednak ostatniego dzieła zaćmił poprzednie; Sakuntala jest jedynym kwiatkiem, który rozkwitł teraz pod nadzwyczajnym skwarem paryżkiego słońca, zapewne dlatego że indyjski.

Sakuntala, po polsku „Opiekunka ptaków” zwie się jeden z najjaskrawszych dramatów indyjskich, napi-

sany przez spółczesnego Virgiliusza indyjskiego poetę Calidasa. Z tego dramatu wykroił swój balet Gautier. Zastęga jego leży tylko w układzie: ze zwykłym sobie smakiem umiał on zebrać śmietankę z fantazyi Indyjanina, zamknąć ją we dwóch aktach i oprawić w lśniące ramy prześlicznej wystawy. Oto co zrobił Gautier. Dla widza jestto najważniejsza część dzieła, dla czytelnika tyle tylko waży, ile ją sobie własną wyobraźnią stworzyć potrafi. Nie umiejąc malować piórem, mianowicie indyjskich obrazów, możemy jedynie dopomódz w tej pracy czytelnikowi opowiadając mu treść dramatu Calidasa, która jest także treścią baletu, wyjąwszy zakończenia.

Sztuka zaczyna się w pełnym tajemnic świętym lesie, zamieszkanym przez patryarchów i zwierzęta. Na progu tej panteistycznej świątyni, jak na morskiem wybrzeżu, milkną burze i gwary świata; tam, pod drzewami form dziwnych i cudownych woni, żyją pokutnicy nieruchomi i milczący jak głązy, ascety, którzy z całej ludzkiej natury zachowali tylko kształt człowieka. Ten na jednej nodze stoi jak bocian, ów, z rozpostartemi rękoma wygląda jak krzyż w niebo patrzący; inny, od wieków nieruchomy, do pasa już wrosły w ziemię, stoi jak słup, który rośliny biorąc za ruinę, bluszczem i kwiatami stroją, a ptacy mieniając krzakiem, we włosach jego gniazda ścielą. Około tych ludzi skamieniałych w extazie lub rozmyślaniu, po zielonych splotach gestwiny skaczą małpy i papugi, po murawie czotgają się węże, przechodzą stonie poufale wachając ich trąbą.

W tej cichej kryjówe, morzem liści ostonionej przed żarem gorejącego nieba, nagle budzi drzemiące echa chrapliwy odgłos myśliwskiego rogu; po świętym lesie rozlega się turkot kół, przebiega spłoszona sarna, nakoniec ukazuje się wóz, na którym jedzie król Duszmata, ścigający morderczemi strzałami biędną gazellę.

Ujrawszy go pustelnik staje pomiędzy strzałami a zwierzem, i woła: „Wstrzymaj, o królu! tę strzałę zabójczą; twoja prawica powinna zastępować słabych, a wspierać pogrzebionych.” Król jak dziecko powolny, wykonywa rozkaz patriarchy: zdejmując strzałę z cięciwy, i zawstydzony słucha starca, który w tej puszczy żyjąc jak w rodzinie, panteistyczne odstania mu tajemnice i każe szanować wszelkie stworzenia. Kto wie, czy ten ston co poważnie stąpa a wieczorem kąpie się w świętej wodzie Gangesu, nie jest mieszkaniem Ganesa, wielkiego boga mądrości? Kto wie, czy sam potężny Wisznu nie użył zamiast puklerza olbrzymiej żółwiej skorupy, co po głębinie pływa bezpieczna? Kto wie, czy w tej antylopie, co tak słodko patrzy łzawemi oczyma, nie mieszka dusza siostry lub kochanki? Te ryki, syczenia, krzyki, szum drzew i szmer strumienia, ten cały koncert przyrody, wszystko to głosy pokutnicze, wszystko to narzekania, skargi i żale dusz ludzkich w niższe straconych formy. Więc królu, nie zabijaj! stąpaj ostrożnie po zaczarowanym lesie, podaj słomkę tonącej mrówce, zgas lampę, jeżeli ktoś niej biedny motyl krąży.

Tak radzi pustelnik królowi, który z pochyloną głową słucha jego gawędy, ale coraz to mniej uważnie, bo zdawa zaczęły dolatywać do jego uszu głosy niewieście. Skruszony monarcha, nie chcąc wadzić nikomu, chowa się za drzewo; a wтім ukazuje się z towarzyszkami Sakuntalą, wychowanica bogobojnego pustelnika.

Jakże opisać ten wyskok indyjskiej fantazyi? Stopiwszy razem Ewę Miltona i Wirginią Saint-Pierr'a, jeszczeby z nich obydwóch niestało kruszcem na ulepienie Beatriczy Calidasa. Ażeby ją sobie wyobrazić, potrzeba przypomnieć jego ojezyste boginie, pół-kobięty, pół-kwiaty, których piersi wytryskają z liliowego



kielicha, a wdzięk działa na mózgi jak gwałtowny zapach indyjskiego jasmínu.

Grono dziewic jak rozdmuchany bukiet rozsypuje się pomiędzy grządkami kwiatów: trudno odróżnić tych co biegną, od tych co rosną; ze dzbanów, które przyniosły krasawice, wnet źródłó ożywczej wody płynie na spragnione grządki. Sakuntala całuje świeżo rozkwitłe róże, pieści nadobne pączki, poi się wonią tuberozy, jak motyl buja od jednych do drugich, zespolona z nimi duchem i formą. Podobnie igrać musiała w pierwszej godzinie istnienia pierwsza kobieta, kiedy dopiero co oderwana od stworzenia, nie mogła się jeszcze odróżnić od rajskich kwiatów.

Nie dziwnego, że król widząc jej wdzięki z poza drzewa, gdzie stał ukryty, pokochał szalenie piękną córkę pustelnika. Skoro wyszedł z kryjówki, Sakuntala zachwycona także jego wdziękami, porównywa go do bogów i miłość płaci miłością.

Namiętność rośnie szybko na Wschodzie. Pod ognistym promieniem tamtejszego słońca, kobiety kwitną i przekwitają jak kwiaty. W drugim akcie biedna ogrodniczka wiotsza niż powój słońcem spalony, otoczona gronem towarzyszek, leży na łożu z liści i usycha z miłości. Wskrzyszona zjawieniem kochanka, jak niewolnica woli jego ulega. Król indyjski jest piękny i uprzejmy jak grecki bóg zalecający się ziemiankom, nadto, ma wymowę wschodnią, która jak wiadomo, wszystkie ziemskie kwiaty i gwiazdy niebieskie zgarnia i rzuca pod nogi ulubionej. Czyż potrzeba tyle, ażeby odnieść zwycięstwo nad zakochaną dziewczyną?

Sakuntala dostaje od Duszmaty pierścień wraz z przyrzeczeniem, iż za kilka godzin liczne poselstwo przyjdzie po nią do lasu i małżonkowi ją odprowadzi.

Podczas kiedy dziewczyna cieszy się królewską obietnicą i oczekuje postów, przybywa do pustelni bra-min Durwas. Jestto przyjaciel bogów, czarownik stra-

szny, który co zechce zrobi z biédnymi ludźmi. Postami, włosiennicą, torturą, dokupił się mocy, która powstrzymuje spadające gwiazdy, trzęsie ziemią, może zgasić słońce jeżeli zechce. To téż bramin dumny swoją potęgą, całą ludzkość chce mieć na swoje usługi, a każde niepostuszeństwo srogo karze. Przybywszy do pustelni woła na Sakuntalę, żeby go ugościła; ale dziewczyna skrywszy główkę w marzeniu jak gołąb pod skrzydło, nie słyszy wołania bramina. Ten rozgniewany rzuca klątwę, która, jak czara wody lelejskiej działając na króla, sprawi, iż zapomni o swéj miłości i o wdziękach dziewczyny. Na próśby przyjaciółki, Durwas z tego przekleństwa odejmuje połowę: zezwala żeby na widok ślubnego pierścionka, król odzyskał stracone czucie. Tymczasem Sakuntala nie wiedząc o klątwie i nie widząc przybywających gości, sama wybiera się na dwór królewski.

Tu następuje prześliczna scena pożegnania z rodzinną chatą; piękność jéj zaćmiewa nawet tego rodzaju obrazy, tak rzewnie w pieśniach serbskich oddane. Pokutnicy i pątryarchy otaczają dziewczynę i błogostawiają jéj na drogę. Słowa ich płyną jak ów miód, który w wieku złotym sączyły dęby. „Oby, mówią, na twém obliczu zawsze jaśniała radość! oby drzewa ocieniały cię nieustannie! oby nogi twe stąpały spokojnie po kwietnym kobiercu!” Druchny wieszają jéj na szyi amulety i przypinają welon cudnej roboty. Ona, pożegnawszy przyjaciół, żegna swój chłodnik i kwiaty; od jednego do drugiego chodzi dziękując im za woń, którą ją poiły, za kolor którym zachwycaty jéj oczy. Przed ulubionym madhawii krzakiem kłeka, i całując jéj purpurowe kielichy mówi: „O ty najpiękniejsza siostramoja! ty, której kwiaty szkarłatne błyszczą w lesie jak ogień; ty przenadobna, pozwól się ucałować i muśnięciem swych liści oddaj pieśczoły za pieśczoły. Ja cię nigdy nie zapomnę, ojciec mój dbać o ciebie będzie,

jak o mnie." A obracając się do drzew woła: „O wy bujne drzewa świętego lasu, Sakuntala porzuca was, bo idzie do pałacu swego małżonka. Niech pamięć o niej między wami żyje! Pomnijcie o tej, która nigdy nie ugasiła pragnienia, pierwój was nie napoiwszy, która tak was kochała, że nigdy gałązki z korony waszej nie oderwała dla ustrojenia własnych włosów; której największe szczęście było widzieć was w kwiecie.”

Las smutnym szumem odpowiada dziewczynie, kwiatki gorącemi jej łzami skropione błedną; pawie długie ogony wloką na znak żałoby; tęczo-pióre gołębie idą za nią gruchając pożegnanie: a ona, jak duch świętego boru stąpa nie widząc ścieżki przed sobą, bojąc się obejrzeć, żeby nie dorzucić sercu boleści, bo i tak ledwie nie pęknie. Ale zład odejść nie tak łatwo! Ledwie wydarła się ludziom i kwiatom, aż tu za kraj szaty coś ją znów chwytą: patrzy, a to ulubiona sareneczka, co z ręki jej jadła, nie chce puścić swój pani i łzawemi oczyma w oczy jej zagląda. Kraje się serce królewskiej oblubienicy, chciałaby wrócić, zostać, ale miłość którą ukochała młodzieńca, silniejsza w niej nad wszystko: „puść mnie słodka sarenko, puść mnie; ja iść muszę, mnie czeka kochanek!” I bieży jak strzała, a za nią tuman liści i kwiatów, płastwo i zwierzęta. Sakuntala silniejsza od Szekspirowskiego wojska, cały las ciągnie za sobą.

Z pustelni scena przenosi się do pałacu Duszmaty, przy którego przepychu znika zbytek perskich monarchów i rzymskich Cezarów. Poeta setki strof poświęca opisowi królewskiego zamku i królewskiego orszaku, który z rycerzy, wozów, słoni i chorągwi złożony, przeciąga pośród ludu, zostawiając za sobą woń pachnidła i łunę od ryszunków, co błyszczy na ziemi jak na niebie złota rysa spadającej gwiazdy; nakoniec wprowadza widza do komnaty, gdzie król wróciwszy z łowów, spoczywa.

Tym obrazem Gautier rozpoczyna drugi akt baletu. Król leżąc na dywanie drzymie, kołysany chórem ukrytych lirników, którzy na melodyjną nutę śpiewają przyjemne pańskiemu uchu pochwały; ciszę zaprawioną wonią róż i fijołków, przerywa tylko szelest puchowych wachlarzy i dźwięczne grajków akorda. Wtém, w gronie odprowadzających ją pustelników, przybywa Sakuntala. Rumiana wstydem jak perła różowa, oblubienica kłęka przy monarszém wezgiłowiu. Ale fatalnemi czarami fakira ostepiony król nie poznaje swéj miłój; miłość zgasta w jego sercu. Narzeczona chce mu pokazać pierścień, który jéj na palec włożył... pierścienia nie ma: zgubiła go kąpiąc się w świętém jeziorze. Oskarżona o kłamstwo, wyszydzona, nieszczęсна oddała się załamując ręce.

Tutaj dramat z ziemi przenosi się w sfery niebieskie indyjskiego Olimpu. Sakuntalę porywa bożek Apsara, a Duszmata na rydwanie wielkiego Indra jedzie gromić Assurasów, nieprzyjaciół bogów. Działanie ludzkie zastępują cuda, Apokalipsa zajmuje miejsce idylli. Nie mając klucza do indyjskiego nieba, nie możemy doń wprowadzić czytelnika. Po długich nadpowietrznych harcach, Calidas ściąga swych bohaterów na ziemię i tak zakończy dramat: rybak przynosi królowi znaleziony w rybach wnętrzościach pierścień; ujrzawszy go Duszmata odzyskuje pamięć swéj miłosci, szuka Sakuntali po całym państwie, nareszcie znajduje ją na puszczy z dzieckiem na ręku.

Gautier dla wymogów scenicznych inaczéj dramat rozwiązał. Zazdrosna żona Duszmaty korzystając z czarów fakira, żąda od męża, żeby kazał spalić zuchwałą, która się jego oblubienicą mieni: król zezwala. Oprawcy porywają Sakuntalę i wynoszą; wtém wchodzi rybak z pierścieniem: król patrzy i poznaje swoje obrączkę. W téjże chwili rozdarta zastona odśtania stos zapalony, którego płomień nagle zmieniają

się w wieniec kwiatów. Rój nimf skrzydlatych spada z powietrza, porywa ze stosu skazaną na śmierć ofiarę, niesie ją pośród różowej łuny bengalskiego ognia, i obok szczęśliwego króla sadza tryumfalnie na tronie.

Indyjski ten dyament oprawiony ze wschodnio-greckim gustem Gautiego, prześlicznie się wydaje. Jestto przepyszna galerya żywych obrazów, którą tém-bardziej krzywdzi nazwa baletu, że w niej pozy prawie całkowicie taniec zastępują. Dekoracye wszystkie, a mianowicie lasu świętego, cechuje koloryt miejscowy po mistrzowsku uchwycony. Właściwie jest tylko jeden taniec przy polewaniu kwiatów: kobiety niosące urny splatają się z krzewami i tworzą z ogrodem jakby jedną girlandę kwiatów, dziwnie miłą estetycznemu oku.

— W Porte-Saint-Martin przedstawiają teraz pod tytułem „Jean Bart,” podróż do Gdańska księcia Conti, którego, jak wiadomo, admirał tego nazwiska woził w owe niefortunne do korony polskiej konkury. Zabiegi księdza Poligniacca, podróż księcia, jego niegościnne przyjęcie i odprawa, stanowią motowidło na którym dramaturg francuzki namotał najniedorzeczniejszą w świecie intrygę: miłostki księcia z panią admirałową, pogadanki i uściski admirała z Ludwikiem XIV, który go bratem swym zowie, słowem, stek absurdów, które znającego choć trochę charakteru tych osób historycznych, rażą nieznośnie. Rzecz cała dzieje się na okręcie; morze zalewa scenę po brzegi; dekoracye są ładne, co wszystko razem sprawia, że dramat zadawalnia zupełnie paryzkich robotników, niebardzo biegłych w historii a bardzo lubiących obrazki.

Pod prezydencją pana Regnault członka Instytutu, odbyło się doroczne posiedzenie francuzkiego Towarzystwa fotograficznego, które zazwyczaj po wystawie i sprzedaży wystawionych płodów, zastanawia się nad

postępem i dalszym rozwojem téj umiejętności, którą artyści zowią rzemiosłem, a fotografowie, nowoczesną sztuką. „Kaźda liszka swój ogon chwali.” Jak zwykle bywa w takich razach, i jedni i drudzy wpadają w ostateczność; wybierając jednak pomiędzy uprzedzeniem artystów a pretensją fotografów, chętniebyśmy po stronie tych ostatnich stanęli.

Fotografia nie jest zapewne sztuką, bo nie tworzy; fotograf nie może wykazać jaka część utworu jest dziełem jego ręki, gdy tymczasem dzieło malarza wyłącznie do niego należy; ale fotografia nie jest także rzemiosłem, bo jój wykonanie nie zależy jedynie od przyprawy chemicznej, i wtedy tylko jest dobre, jeżeli ów chemik ma gust, rozumie naturę, pojmuje efekta światła i cienie: słowem, jeżeli ma szósty zmysł, który zowią poczuciem sztuki. Można być fotografem nie umiając rysować, ale nie można nim być nie mając zmysłu artystycznego.

Rozumię się, że mówimy tu tylko o fotografach dobrych: owa populacya która płodami swemi wszystkie mury miast europejskich zawiesza, nawet na nazwę rzemieślników nie zasługuje, Słońce, ten mimowolny współnik ich zbrodni, rumienię się musi patrząc na owoce swego współpracownictwa. Ale właśnie te owoce są dowodem, że z tymiż środkami chemicznymi nie każdy potrafi odtworzyć harmonię natury, ani oddać w pełni piękności pomników architektury.

Ponieważ gust jest podstawą talentu fotografa, nie dziwnego, że sztuka ta doszła w Paryżu do najwyższego stopnia doskonałości. Towarzystwo fotograficzne głównie przyczyniło się do jój postępu. Częste zebrania, wystawy, uczone rozprawy w tym przedmiocie, udzielanie sobie wzajemne poczynionych doświadczeń i drukowanie takowych, ciągły nakład pieniężny na próby: oto środki, jakimi Towarzystwo doprowadziło fotografię do doskonałości, którą

podziwialiśmy na ostatniej wystawie, sprzedanej na dochód ciągle jeszcze kształcącej się fotografii.

Każdy członek Towarzystwa, które jest nader liczne i umne, płaci na ten cel pewną sumę; prócz tego daje corocznie kilka swoich najlepszych utworów z których układają wystawę i wentę.

Tegoroczna była bardzo wspaniała i bardzo drogo rozprzedana. Ogromne płyty architektoniczne Baldus'a i Bisson'a, prawda wyborowe, płacono dwa razy drożej niż w handlu, to jest po kilkaset franków. Niektóre, jak afrykańskie widoki markiza Noailles, nie sprzedawane po sklepach, poszły jeszcze wyżej i nie były kupione zadrogo; bo, czy to skutkiem biegłości amatora, czy też dzięki współpracownictwu afrykańskiego słońca, obrazy jego przechodziły pięknnością wszystko, co w tym rodzaju dotąd zrobiono.

W ogromnej kolekcji pejzażów odznaczały się pełne duszy, elegancyi i harmonii, widoki szwajcarskie Pérter'a, efektowne widoki morskie Legray'a, i krajobrazy szkockie Anglika Fenton'a, który sam jeden posiada sztukę odzwierciadlania ponuręj ojczyzny Makbeta.

Jako portrecista, Nadar na pierwszym figuruje miejscu. Biegły ten majster nietylko w Paryżu, ale podobno na całym świecie nie ma sobie równego: przyzna to każdy, kto widział przez niego zrobiony portret Janina, Gautiego, Dumasa i Rossiniego.

Postęp sztuki reprezentowały fotografie starych obrazów i sztychów, zdejmowane sposobem wynalezionym przez Richebourg'a, oraz reprodukcje malowanych okien starożytnych kościołów. Ostatni ten zbiór przepyszny, do którego wykonania potrzeba było zwalcząć tysiące nowych trudności, jest dzisiaj ostatniem słowem fotografii. W ogóle, w sztuce tej tylko odbicie twarzy ludzkiej wiele jeszcze do życzenia pozostawia. Reprodukcyja monumentów doszła już do szczytu doskonałości; reprodukcya natury dąży do niej wielkim

krokiem: jedyną dziś wadą fotografii nietrwałość. Wynalezienie środków na przytrzymanie wieczne rysunków słonecznych jest łamigłówką fotografów paryżkich. Zadanie to prezes Towarzystwa pan Regnault na pierwszym postawił miejscu. Oto co w tym względzie w mowie swój zgromadzeniu powiedział:

„Mamy wszystko — prócz trwałości, a trwałość to największa zaleta wszechrzeczy. Doświadczenie pierwszego peryodu fotografii okazało, że czas prędzej niż cokolwiek prace nasze pożera. Wszystkie pierwotne fotografie w kilkanaście lat zbladły, niektóre prawie zupełnie znikły. Uczynić fotografie trwalszemi od skrzydeł motylczych, panowie współpracownicy, to nasz konkurs na rok przyszedł.”

Najbogatszy z członków Towarzystwa, książę de Luynes, jako nagrodę tego konkursu przeznaczył 8,000 franków.

Drugi konkurs z nagrodą 2,000 fran. ogłoszono za wynalezienie sposobu odbijania fotografii jak litografii, tak, ażeby jedna dobra fotografia mogła się rozmnożyć na tysiące egzemplarzy. Termin obu konkursów wychodzi za rok. Przy takich moralnych i materialnych ostrogach, sztuka chcąc nie chcąc galopować musi, bo któż nie przyzna, że na tym nędznym świecie emulacya i chęć zysku są najsilniejszymi dźwigniami postępu.

---

W tutejszej księgarni orientálnej Duprat'a wyszła książka arabska, napisana przez Abd-el-Kader'a, pod tytułem: „Odwołanie się do rozumnych, Rady obojętnym. Praca emira jednocześnie przetłumaczona na język francuzki przez orientalistę Gustawa Dugat, dzieli się na dwie części: w pierwszej autor rozpamiętywa nad nieomylnością proroków; w drugiej przechodzi pobieżnie historią narodów, które największą grały rolę w dziejach ludzkości.



Ostatni bohater pustyni, wierny Allaha sługa, któremu oświata miecz z ręki wytrąciła i na dozgonne zamknęła rekolekcyę, podjąwszy pióro widocznie dla ulżenia dręczonemu bezczynnością i tęsknotą umysłowi, rzuca wiele pięknych, prawdziwie natchnionych myśli, mianowicie w tój piéwszój części, nie mającój nic wspólnego z rzeczami tego świata. Prostota z jaką myśli te wyraża i rozwija, dziecinna naiwność z jaką je bada wszechstronnie, a mianowicie téż niezależność sądów jakie wydaje o ludziach i rzeczach, nadają książce emira cechę rzetelności, która odrazu za serce chwyta czytelnika. Wprawdzie Europejezyk nie się z pisma tego nie nauczy, ale czyta z wielkiém zajęciem, bo jest bardzo oryginalne. Mistycyzm z zaczerpniętym we Francyi racjonalizmem, ustawicznie tam ściera się z sobą: znać człowieka, któremu już w szczupłych ramach islamizmu zaciasno, a już zastary, żeby mógł z szerszemi pojęciami duszą się zespolic. Mimo widocznej sympatyi dla zachodniój cywilizacyi, Abd-el-Kader przesiąkły żywą wiarą pustyni, jak tonący ostatniój deski zbawienia chwyta się proroka, czując że na nim spoczywa wielkość jego rasy, i że jeżeli kiedykolwiek podniesie się islamizm, to tylko przez tę silną wiarę, którąby przeciwstawił chwiejącemu się rozumowi owego racjonalizmu, do którego on sam mimowolny czuje pociąg.

— Wyszły jednocześnie dwie historie Wilhelma Law'a. Z powodu świeżo wydanej książki pana Cochul, pod napisem „Etude sur Law et son système” p. Thiers kazał przedrukować swoje studyum o tymże finansście, ogłoszone przed dwudziestą laty. Tym sposobem pojawiła się drugi raz ta już zapomniana a ucząca książka, która do rzędu najważniejszych prac Thiersa się liczy.—Historya Konsulatu i Cesarstwa nie zmieściła się w zakreślone ramy; prócz zapowie-

dzianego tomu, który miał być ostatnim, wyjdzie jeszcze jeden obejmujący Waterloo.

— Wyszedł z druku XII tom Historji Francuzkiej Henryka Martin. Zawiera obraz stanu Francji po śmierci Ludwika XIII. Mazarin i Anna Austryaczka stoją na pierwszym planie; obok nich młody Ludwik XIV, którego silny i energiczny charakter już się objawia.

— Historia Włoch pana Ricciardi zyskuje słusznego rozgłos; polecamy to dzieło tym, którzyby chcieli poznać dokładnie obecny stan Włoch, pod panowaniem austryackim zostających.

— Pan Charles Edmond (Edmund Chojecki) zachęcony powodzeniem ostatniego swego dramatu „Morza Północne”, który dotąd grywany jest w Cyrku, pisze nowy dramat pod tytułem „Byron.” Będzie to historia tego poety ułożona w pięciu aktach. Poetyczny koniec wielkiego wieszca umierającego w walce za niepodległość grecką, dostarczy autorowi nader efektywnych na ostatni akt materiałów.

— Lefeuve, w formie romansu pod napisem „Interlaken” wydał historyczny i malowniczy opis Oberlandu.

— Uczony statysta niemiecki pan Dieterici przysłał tutejszej Akademii nauk egzemplarz swój ważnej pracy statystycznej, w której wedle najświeższych obliczeń obliczył całkowitą ludność ziemi na 1,283 miliony. Oto jak pan Dieterici rozkłada tę liczbę na pięć części świata:

Europa . . . . .	272 milio.
Azja . . . . .	750 „
Afryka . . . . .	200 „
Ameryka . . . . .	59 „
Australia . . . . .	2 „
razem 1283 miliony.	

Ludność europejska, która dziś, wedle berlińskiego profesora wynosi 272 miliony, w roku 1787 miała tyl-

ko 150. Od tegoż roku do bieżącego, powiększyła się przeto o 122 miliony.

Co do Azji, pan Dieterici wedle cyfry dostarczonej sobie przez rząd rossyjski, daje Syberyi 7 milionów mieszkańców. Wedle obrachowań sprawdzanych w ostatnich latach, ludność Chin i ich posiadłości, ma wynosić 400 milionów. Indye, wedle spisu angielskiego, liczą 171 milionów. Półwysep leżący po przeciwniej stronie Gangesu, na którym się mieści państwo Birmańskie, królestwo Siamskie i t. d. liczy 14 do 15 milionów. Wyspy składające Archipelag Indyjski 80 milionów; Japonia 35; Tartarya 8; Persya 13; Affganistan 4; Beludzystan 2; Arabia 5; Azya Mniejsza 15.

Ludność Afryki p. Dieterici rachuje na 200 milionów, ale ta cyfra w żaden sposób nie może być dokładna. Co do ludności wszystkich innych krajów, ta mogła być i jest pewnie przez pruskiego geografę dokładnie obliczoną. Ostatecznie z pracy jego wynika: że ludność ziemi przechodzi o 200 do 300 milionów, miliard, na który ją dotąd obliczano.

## CHMURA NA CZOLE.

Ja nienawidzę tych czół pogodnych,  
Jak gnuśne we stawach wody;  
Tych lic rumianych, a takich chłodnych,  
Gładkich, jak zimowe lody.

Ja lubię widzieć, gdy twarz młodzieńca  
Podarta boleści radłem,  
A smutku chmura w krąg, nakształt wieńca,  
Na czole wiję się zbladłem.

Bo chmura smutku, posepna, czarna,  
Znać daje, że tam nie śpiąca;  
Ale jest dusza myślą ciężarna,  
Uczucia burzą kipiąca.

O! bo w tej chmurze śpią gromy jasne,  
Co bałwan fałszu obalą,  
I szranki ducha rozbiją ciasne,  
I znicz prawd boskich zapalą.

O! bo niech tylko jasnego słońca  
Promień jej łona dosięgnie,  
Z tej chmury tęcza wyblśnie lśniąca,  
I niebo ze ziemią sprzęgnie.

R. Żmorski.

## KRÓTKI RYS

# HISTORJI NATURALNÉJ

## KAMIENCA PODOLSKIEGO

SKREŚLIL

*Gustaw Belke.*

(Dokończenie).

Rząd 4ty. LEPIDOPTERA (MOTYLE).

*A. Diurna (dzienne).*

*Papilio podalirius* L., *machaon* L.

*Thais polyxena* L.

*Leucoenea crataegi* L.

*Leucophasia sinapis* L., var. *erysimi* L.

*Pontia brassicae* L., *daplidice* F., *rapae* L.

*Anthocharis cardamines* L.

*Gonepteryx rhamni* L.

*Colias edusa* L., *hyale* L.

*Argynnis cynarae* F., *paphia* F., *lathonia* God., *euphrosine* God.,  
*daphne* F., *ino* Esp., *selene* F.

*Melitaea cinxia* God., *athalia* Ochs., *lucina* L.

*Araschnia prorsa* Hüb.

*Grapta calbum* L.

*Vanessa polychloros* L., *urticae* L., *io* L., *antiopa* L.

*Pyrameis atalanta* L., *cardui* L.

*Limenitis populi* L., *sybilla* L.

*Apatura iris* L., *ilia* F.

*Arge galathaea* L., *herta* Gey.

*Erebia medea* L., *melas* Herb.

*Satyrus hermione* L., *briseis* God., *ianira* L., *hyperanthus* L., *arcanius* L.; *iphis* Hüb., *pamphilus* L., *hiera* Hüb., *aege-ria* L., *phaedra* L., *varietas*: Wierzch skrzydeł ciemniejszy, oczka mniejsze, skrzydła spodnie pod spodem nie marmurkowane i bez oczek, lecz na ciemno-brunatnym tle, mają jaśniejszą, powyginaną, czarno obrzeżoną pręgę.

*Gatunki?* 1) Skrzydła całe; wierzchnie skrzydła z wierzchu brunatne z pręgą płową, na której znajduje się oczko o białej źrenicy; wierzch spodnich skrzydeł naznaczony trzema oczkami czarnymi o białych źrenicach, środkowe największe, a wszystkie otoczone barwą żółtą. Spód i wierzch wierzchnich skrzydeł jednakowe mają ubarwienie; oczka spodnich skrzydeł są na spodniej stronie mniejsze i bez żółtego obrzeżenia.

2) Wszystkie skrzydła z wierzchu jednostajnie żółte, po brzegach płowe. Pod spodem szeroko i wydatnie szaro obrzeżone z oczkiem czarnym o białej źrenicy, żółto obrzeżonym. Spodnie skrzydła przy nasadach szaro-czarniawe z białym niewyraźnym półksiężycem po środku. Siąg skrzydeł 1 cal.

*Lycæna battus* F., *optilete* F., *argus* Esp., *acis* Ochs.

*Thecla lyncea* F., *betulae* L., *rubi* L.

*Polymnates virgaureae* L., *hippotoë* L., *euridice* Ochs., *chryseis* L., *phleas* L. *Odmiana*: skrzydła spodnie kąto-wate, ciemniejsze.

*Nemeobius lucina* L.

*Steropes aracinthus* F.

*Hesperia sylvanus* F., *comma* L., *lineola* Ochs.

*Thymeles tessellum* Hüb., *alveolus* Hüb.

### B. *Crepuscularia* (zmierzchnie).

*Sesia mutillaeformis* God., *tipuliformis* L.

*Ino globulariae* Esp., *statices* L.

*Syntomis phegea* L.

*Zygaena cynarae* Ochs., *polygalae* Esp., *loniceræ* Ochs. *epial-tes* F., *filipendulae* F.

*Macroglossa stellatarum* L., *bombyliformis* Ochs., *fuciformis* L., *apiformis* L.

*Dilephila galii* Hüb., *elpenor* L., *euphorbiae* L.

*Sphinx convolvuli* L.

*Acherontia atropos* L.

*Smerinthus ocellatus* L., *populi* L.

### C. *Nocturna* (nocne).

*Saturnia spini* Hüb.

*Aglia tau* L.

*Bombyx mori* L.

*Notodonta plumigera* F.

*Cossus ligniperda* F.

*Lithosia quadra* God., *rubricollis* God., *complanata* God., *cribellum* God., *eborina* L., *flava* F.

*Psychella muscella* F.

*Liparis dispar* L., *salicis* Meig., v. *nigrum* L., *chrysorrhoea* F., *auriflua* L.

*Orgyia antiqua* Hüb.

*Pygaera bucephala* L.

*Gastropacha rubi* L., *pytyocampa* L., *catax* Hüb.

*Euprepia villica* God. *taja* L., *hebe* L., *mendica* F., *urticae* Ochs., *menthastri* F., *hera* L., *fuliginosa* L.

*Acronycta leporina* F., *megacephala* Gm.

*Amphyphya tragopogonis*.

*Agrotis exclamationis* L., *rustica* Evers., *fumosa* Hüb.

*Noctua perfina* L.

*Hadena typica* Meig. *actinobola* Hüb.

*Polia canescens* Dup.

*Mamestra oleracea* Hüb.

*Calpe libatrix* F.

*Xylina petrorrhiza* Tr.

*Gatunek?* Głowa szaro-rudawa. Tułów szary. Skrzydła wierzchnie brunatno-czarniawe upstrzone plamami kątowatymi, poprzecznymi, ciemniejszymi. Skrzydła spodnie białawe, płowo obrzeżone. Spód skrzydeł wszystkich jaśniejszy, nieco ciemniejsza od tła, lukowata prążka na każdym skrzydle. Siąg 20".  
*Asteroscopus cassinia* W. V.

*Gatunek?* Gorset rudawo-szary, dwiema czarnymi, poprzecznymi, lukowatymi liniami oznaczony. Skrzydła wierzchnie szaro-rudawe z szerokimi, czarnymi, podłużnymi strychami. Cętki charakterystyczne (1) szeroko czarną barwą otoczone, kolista i nerkowata wyraźne, pałeczkowatej (claviforme) wcale nie ma; na końcach skrzydeł wierzchnich strychy podłużne, naprzemian czarne z białymi. Skrzydła spodnie jednostajnie szaro-brunatne. Siąg skrzydeł 16".

*Cucullia gnaphalii* L.

*Abrostota triplasia* Hüb.

*Plusia gamma* L., *chrysis* Dup.

*Odmiana:* Cętki metaliczne zlewające się, spód wierzchnich skrzydeł pośrodku szary, ciemny, żółtawą barwą obrzeżony.  
*Catocala fraxini* L., *nupta* F., *sponsa* T., *elocata* Borkh., *hy-menaea* F.

(1) Na wierzchnich skrzydłach wielu nocnych motylów, szczególnie z rodziny *sówek* (noctuae) znajdują się plamy czyli cętki, których kształt, ilość i położenie, ułatwia nieco determinowanie gatunków. Zgad niektórzy entomologowie, zowią je cętkami charakterystycznymi lub *wy-czajnymi*. Bywa tych cętek zwykle trzy: *okrągła* czyli *kolista* (orbicularis) po środku, *nerkowata* (reniformis) cokolwiek ku końcowi skrzydła, i *pałeczkowata* (claviformis) pod kolistą umieszczona.

*Brephos notha* Ochs.

*Ennomos lunaria* Hüb., *prunaria* Hüb., *varietas*: kropki małe brunatne, któremi skrzydła są popruszone, tworzą na skrzydłach wyższych dwie pręgi: jedną przy nasadzie, drugą na końcu, a na skrzydłach spodnich smugę nabrzeżną, szarawą. *alniaria* Hüb. *var.*: skrzydła wcale niepręgowane.

*Anarta teliaca* Hüb.

*Acontia luctuosa* Hüb.

*Acaena sambucaria* Hüb.

*Geometra papilionaria* Hüb., *viridata* Tr., *vernaria* Tr., *aeruginaria* Tr.

*Uropteryx sambucaria* L., *striataria* L.

*Bradypetes amataria* L.

*Platypteryx curvatula* Ochs.

*Aspilates purpuraria* Tr., *coarctata* Hüb.

*Gnophos furvata* Tr., *sartata* Tr., *pullata* Hüb., *persperrata* Tr.

*Boarmia extersaria* Hüb.

*Fidonia praecanaria* Evers., *pinaria* Hüb., *pulveraria* Hüb., *defoliaria* Hüb., *atomaria* Hüb., *glarearia* Hüb., *conspersaria* Hüb., *hepararia* Hüb.

*Cabera pusaria* Hüb., *exanthemaria* Hüb.

*Acidalia blandiata* Hüb., *luteata* Tr.

*Larentia bimaculata* Tr., *cydoniata* Borkh., *innotata* Hüb., *valerianata* Hüb., *pimpinellata* Tr., *mensuraria* Tr., *seritata* Hüb.

*Cidaria minaria* Tr., *propugnaria* Hüb.

*Zerene maculata* F., *grossulariata* L., *marginata* L., *albicincta* Hüb.

*Minoa griseata* Tr., *niveata* Hüb.

*Idaea dealbata* L.

*Herminia grisealis* Hüb., *barbalis* L., *tentacularis* L.

*Hypaena proboscidalis* Schr., *fostralis* L.

*Botys gilvalis* Hüb., *unionalis* Hüb., *verticalis* Hüb., *hyalinalis* Hüb., *corticalis* Latr.

*Enychia cingulalis* Hüb.

*Tortrix dumetana* Tr.

*Carpocapsa pomonana* Hüb., *arcuana* Hüb.

*Sciaphila hybridana* Tr.

*Teras comparana* Hüb.

*Cochylis fischerana* Tr.

*Hyponomeuta sedella* Hüb.

*Tinea granella* Hüb., *pellionella* L., *sarcitella* Tr., *orinella* Tr.

*Chilo perllellus* Hüb., *conchellus* F.

*Adela degerella* L., *schifermüllerella* Hüb., *scabiosella* Scop., *frischella* Hüb.

*Oecophora goedartella* Hüb.

*Ornix argyropennella* Hüb.

*Alucita pentadactyla* Hüb., *tetradactyla* L.



## Rząd 5ty. HEMIPTERA (PLUSKWOWATE).

A. *Heteroptera.*

- Tetyra pedemontana F., maura L., hottentota F.  
 Trigonosoma lineata L., var. pallida, flavolineata F.  
 Odontoscelis scarabaeoides L.  
 Thyreocoris globus F.  
 Cydnus morio L., bicolor L., dubius Scop., albo-marginatus F.,  
 brunneus F.  
 Sciocoris umbrina Wolf., *odmiana*: Ubarwienie ciała ciemniejsze, półpokrywy (hemelytres) krótsze.  
 Aelia acuminata L.  
 Eurydema ornata L., variet: fimbriolata, falleni, festiva.  
 Pentatoma baccarum L., vernalis Wolf., prasina L., var: dissimilis, perlata L., nigricornis F., eryngii Habn., lunulata F.,  
 rufipes L., punctipennis Ill., purpuripennis Hahn., var. griseoviridis.  
 Asopus coeruleus L., odmiana o półpokrywach śniadawych.  
 Syromastes quadratus F.  
 Alydus lateralis Germ., *odmiana*: Głowa czarno strychowana, różki: 1 staw z wierzchu czarny, pod spodem rdzawy; 2 i 3 rdzawe po środku; 4 rdzawo-żółty całkiem. Na końcu stanika kropka biała. Brzegi tułowu żółto i czarno cętkowane.  
*Gatunek?* (Huphus Amyot Rhynch. méthode mononym. p. 104?) Czarny bez połysku, kropkowany z lekkim odcieniem metalicznym. Oczka (ocelli) rubinowe. Głowa z tyłu nakształt szyi zwięziona, z dwiema przegami pobocznymi i dwiema cętkami po środku żółtymi; tylne kanty gorsetu wystające, zaostrome. Półpokrywy czarniawe z brzegiem zewnętrznym białawym. Brzegi tułowu białe cętkowane; nogi i stopy rdzawe z końcami czarnymi. Udy tylne nieco zgrubiałe, pod spodem kolczyste. Długość 5'''.
- Stenocephalus nugax F.  
 Gonocerus gracilicornis Herr. Sch., var. Chalcus Amyot.  
 Coreus pilicornis Klug.  
 Acanthosoma haemorrhoidalis L.  
 Rhopalus crassicornis L., capitatus F., parumpunctatus Schill.,  
 tigrinus Herr. Sch., pratensis Fall.  
 Berytus tipularius L.,  
 Therapha hyosциami L.  
 Pyrrhocorys apterus L.  
 Rhyparochromus maculipennis Curt., marginepunctatus Wolf.  
 Rolandri L., pini L., fenestratus Her. Sch.  
 Lygaeus saxatilis L.  
 Anthocoris nemorum L.  
 Miris laevigatus L., erraticus L., var. holsatus, virens L.

*Phytocoris flavomaculatus* F., var. *distinguendus* Herr. Sch., *contaminatus* Fall., *erythromelas* Amyot., *ulmi* L., *striatellus* F., *scriptus* F., *spissicornis* F., *ochrotypus* Am., *pratensis* L., *coryli* L., *tunicatus* F., *pabulinus* L., *populi* Mey., *flavovarius* F., *bipunctatus* F., *tripustulatus* F., *nassatus* F., *Demahia* Am.

*Gatunki?* 1) Rożki i głowa czarne, grzbiet (predorsum), stanik i części twarde półpokryw, małżowato-brunatne; te ostatnie na końcach czarno, drobno kropkowane, tułów czarny, przeguby jego szerokie białobrzeżone. Dł. 1 1/2'''.

2) Żółtawo-zielona. Grzbiet i stanik czarno obrzeżone. Półpokrywy wpół przejrzyste z wielką brunatną plamą na końcu; *przyrostek* (appendix) żółtawy z kropką czarną na końcu. Spód tułowu żółtawo-zielony z brzegami i krawędzią środkową czarnymi. Nogi zielonawo-żółte. Udy tylne nieco grubsze z dwiema czarnymi cętkami. Długość 1 1/2'''.

*Capsus ater* L., *tricolor* F., *capillaris* F.

*Gatunek?* 1) Czterwonawa z wierzchu brunatno nakrapiana. Pokrywy dość wietrze różowe. Spód ciała zielonawo-żółty. Długość 4'''.

2) Na środku gorsetu poprzeczna czarna przepaska. Pokrywy miękkie, małżowate; *przyrostek* i *komórka* (cellula) (1) szeroko różowo obrzeżone. Wierzch ciała, boki i środek brzucha czarne. Nogi rdzawe. Długość 3'''.

Te dwa gatunki lub może odmiany, podobne są z postaci do owadów z rodzaju *Phytocoris*, lecz różnią się rożkami, których staw drugi jest na końcu mocno rozszerzony.

*Globiceps clavatus* Am.

*Phymata crassipes* F.

*Tingis spinifrons* F.

*Aradus betulae* L.

*Harpactor annulatus* L.

*Reduvius personatus* L.

*Nabis aptera* F., *subaptera* De Geer., *dorsalis* L. Duf.

*Metastemma guttula* F. (egzemplarz który posiadam, ma wszystkie cechy rodzaju i gatunku wyjąwszy to, że dzióbek jego przedłuża się poza nasadę nóg przednich).

*Gerris lacustris* L., *paludum* F.

*Velia currens* F.

*Naucoris cimicoides* L.

*Nepa cinerea* L.

*Ranatra linearis* L.

(1) *Przyrostek* (appendix) jestto ruchoma trójkątna sztuczka, na końcu skórkowatej części pokrywy umieszczona lecz oddzielona od niej poprzecznym spojeniem czyli fałdem. Z przyrostkiem styka się *komórka* (cellula), utworzona z żyłek błony pokrywowej, podłużna przestrzeń.

*Corisa*.

*Notonecta glauca* L.

*B. Homoptera.*

*Pseudophana europaea* L.

*Cixius nervosus* L.

*Mycterodes nasutus* Herr. Sch.

*Centrotus cornutus* L.

*Pithestes piceola* Burm.

*Aphrophora spumaria* L. Poczwarzki tego gatunku pokrywają się pianą białą.

*Issus sexguttatus* F.

*Catachilus leucocephalus* L.

*Catagrammus lineatus* L.

*Ptyelus albipennis* F., *argocephalus* Am., *flavescens* Am., *bifasciatus* L.

*Melanaphrus*.

*Gatunek?* Z wierzchu czarny, na końcach pokryw dwie plamy białe, jedna większa ze strony zewnętrznej, druga mniejsza od wewnątrz; spód ciała małżowato-brunatny. Długość 2 1/2'''.

*Lepyronia coleoptrata* Am.

*Macropsis*.

*Gatunek?* Jednostajnie zielonawa z wierzchu. Głowa czarno kropkowana. Na wierzchu tułowu dwie poboczne czarne pręgi. Ostatni przegub czarno obrzeżony. Długość 3'''.

*Acocephalus costatus* Germ.

*Ledra aurita* F.

*Selenocephalus obsoletus* G.

*Diataeniops striatus* F.

*Penthimia thoracica* Panz., *atra* L.

*Gatunek?* (hemorrhoeae Fabr. varietus). Czarna, na pokrywach wielkie czerwone plamy. Długość 2'''.

*Bythoscopus varius* Germ., *uniformis* Amy.

*Gatunki?* 1) Jednostajnie zielonawo-żółtawy. Głowa czarno nakrapiana. Tłuw z wierzchu żółty pod spodem czarny. Długość 2'''.

2) Szary, czerwono upstrzony z wierzchu, tułow z wierzchu czarny. Nogi żółtawe. Długość 2'''.

3) Na pokrywach cętki czerwone większe niż w gatunku poprzedzającym. Nogi czarno nakrapiane. Długość 2 1/2'''.

4) Jednostajnie zielonawy. Oczy czerwone. Dwie czarne plamy na przodzie głowy. Pokrywy przezroczyste, żółtawo żyłkowane. Długość 1'''.

*Jassus chlorochria* Amy., *mixtus* F.

*Epistictia atomaria* Am.

*Mirzacha fenestrata* Herr. Sch.

*Evacanthus interruptus* L.

*Aphis sambuci* L. i inne (mszyce).

## Rząd 6ty. DIPTERA (DWUSKRZYDŁE).

A. *Culicidae* (komarowate).

*Anopheles gatunek?* Płowo-żółtawa, tułów brunatno małżowaty.

Przedni brzeg skrzydeł ciemno-brunatny. Żyłki skrzydeł posiane czarniawymi łuskami. Długość  $2\frac{1}{2}$ '''.

*Culex* (komar) *pipiens* L., *annulatus* F.

B. *Tipulariae*.

*Chironomus sticticus* Meig., *viridis* Macq. *pallens*. Meig.

*Ctenophora atrata* Meig., *bimaculata* Meig.

*Tipula hortulana* Meig., *ochracea* Meig., *lunata* L., *oleracea* L., *atra* L., *hortorum* L., *ocellaris* L., *plumbea* F., *turcica* F., *breviterebrata* Macq. *irrorata* Macq.

*Gatunki?* 1) Zdaje się być odmianą gatunku *oleracea*. Jednostajnie popielaty. Po środku gorsetu dwie smugi ciemniejsze, dwie inne krótsze i nietak wyraźne po bokach. Znamię skrzydła ciemne bez białej plamki. Nogi płowe, końce udów nieco brunatnawe.

2) Zupełnie do poprzedzającego podobny, tylko na znamieniu biała plamka.

*Pachyrhina crocata* L., *pratensis* L., *maculosa* Hoffm.

*Limnophila angustipennis* Meig.

*Limnobia tripunctata* Meig.

*Sciara Thomae* F., *morio* F.

*Bibio ferruginatus* Meig., *hortulanus* Meig., *joannis* Meig., *marci* Meig., *laniger* Meig., *clavipes* Meig.

C. *Tabanici*.

*Tabanus bovinus* L., *solstitialis* Meig., *autumnalis* L., *tropicus* L., *fulvus* Schr., *lateralis* Meig., *nemoralis* Meig.

*Gatunki?* 1) Oczy nagie. Rożki rdzawe, na końcach czarne. Na tułowiu pręga kutnerowata, klinowato rozszerzona z przodu. Cały tułów i gorset jednostajnie popielate. Udy pierwszej pary nóg czarne, nogi żółtawe z końcami czarnymi, stopy czarne. U dwóch pozostałych par nóg udy siwe, nogi żółte, stopy brunatne. Brzegi skrzydeł żółtawe. Długość 6'''.

2) Oczy nagie. Rożki rdzawe. Ciało zielonawe blade-żółtemi delikatnymi włoskami porośnięte. Nogi: udy pierwszej pary zielonawe na końcach, czarniawe ze strony wewnętrznej; nogi czarne z nasadami płowymi, stopy czarne. U czterech nóg tylnych udy brunatno-zielonawe, nogi płowe i stopy brunatne. Długość 5'''.

*Haematopota pluvialis* Meig.

*Odmiany:* α) Popielato-czarniawa, piersi białym kutnerem porośnięte. Długość 4'''.

β) Twarz i piersi mleczno-białe, długimi włosami odziane. Wierzech tułowu czarny, brzuch biały. Na skrzydłach plamy białe niewyraźne. Długość 3'''.

*Chrysops coecutiens* Meig., *relictus* Meig.

*Gatunki?* 1) Nasady rozków jasne, końce ich ciemno-brunatne. Twarz biała, czoło popielate, na jednej i na drugim po dwie cętki czarne lśniące, 1 i 2 przeguby tułowu białe o dwóch czarnych trójkątnych plamach, 3 i 4 przeguby czarne o jednej klinowatej plamce każdy; dolny brzeg skrzydła i dwie nierówne czarne cętki po środku, czarne. Nogi brunatne, przednie ciemniejsze. Długość 3'''.

2) Rożki czarne. Twarz biała o dwóch czarnych cętkach. Gorset czarny o czterech białawych pręgach. Tułów czarny, na 1 przegubie plamka biała po środku, na 2, 3 i 4 białe, poprzeczne, ząbkowane pręgi, z których ostatnia niewyraźna. Nogi przednie całkiem czarne; 4 nogi tylne i 1 staw stóp, żółte. Skrzydła czarne o dwóch plamach i jednej małej kropce po środku białych. Długość 3'''.

#### D. *Notacantha* Latr.

*Caenomyia ferruginea* Latr.

*Odmiany:* α) Gorset ciemno-szary z włoskami żółtawymi, 1 przegub tułowu czarny, reszta brunatno-rdzawe ku końcowi jaśniejsze, 3 przegub na bokach biały. Długość 6'''.

β) Jasno-płowo-żółtawy, na bokach 2 i 3 przegubów plamy białawe.

*Stratiomys chamaeleon* F., *riparia* Meig.

*Odontomyia lunata* Encycl., *hydroleon* Latr., *viridula* Latr., *hydropata* Meig.

*Gatunek?* Rożki czarne. Twarz, czoło, oczodoly z tyłu, gorset i stanik zielonawe, porośnięte gęstym krótkim kutnerem srebrzystym. Tułów zielonawy, po środku jego pręga czarna, z początku wązka, pod koniec bardzo rozszerzona. Koniec tułowu i brzuch zielone. Nogi żółte. Długość 3 1/2'''.

*Oxycera hypoleon* Meig.

*Gatunek?* 1) Twarz, czoło i oczodoly z tyłu żółte. Rożki także przy nasadach, a na końcach czarne. Gorset porośnięte srebrozielonawym, stanik żółty z końcem czarnym. Tułów czarny, na trzech pierwszych przegubach plamy poboczne żółte, brzuch i nogi także żółte. Dług. 4'''.

2) Tułów zielony, po środku każdego przeguba czarna, trójkątna, na końcu przycięta cętka; cętki te powiększają się stopniowo. Zresztą podobna do gatunku poprzedzającego.

*Chrysomyia formosa* Macq., *speciosa* Macq.

*Sargus politus* F., *infuscatus* Hoffing.

*Nometelus uliginosus* F., *pantherinus* Meig.

*E. Tanystoma Latr.*

*Laphria gilva* Meig., *marginata* Meig.

*Odmiany?* 1) Rozki, czoło i wąsy czarne. Środek twarzy biały, bokobrody płowe. Oczy z tyłu otoczone mieniącym się srebrzystym półkolem. Gorset czarny, płowym kutnerem porośły; na barkach i bokach piersi plamy mieniące się, z białawego kutneru utworzone. Tułów czarny, żółtymi włoskami posiany; przeguby jego takież, lecz dłuższymi włosami obrzeżone. Skrzydła przy nasadach szkliste, nieco dalej brunatne, brzeg przedni żółtawy; przezmianki żółte. Nogi czarne, płowymi włoskami odziane. Udy tylne nieco grubsze. Długość 6'''.

2) Smolisto-czarna, poniżej piersi dwa kosmyki włosów białych, trzeci i czwarty przeguby tułowu wązko rudawymi włoskami obrzeżone. Skrzydła brunatno-żółtawe. Długość 4'''.

*Dioctria annulata* Meig., *Wiedemanni* Meig.

*Gatunki?* 1) Macki i nogi żółte, stopy nieco ciemniejsze, trzy pierwsze przeguby tułowu rudawo-żółtawe, nieco nakrapiane. Długość 3'''.

2) Dwie pierwsze pary nóg słomiasto-żółte, tylne czarne, udy ich na końcach, nogi i stopy żółte. Tułów czarny, bardzo po środku zeszczuplony, 3 i 4 przeguby żółte z czarnymi obrączkami, reszta przegubów czarnych z wązkiemi tylnemi brzegami żółtymi. Długość 4'''.

3) Nogi, 2, 3 i 4 przeguby tułowu i przezmianki czerwono-żółte; pierwszy przegub cały i dwie kropki na drugim czarna. Stopy wszystkich nóg ciemne. Długość 3 1/2'''.

*Dasygogon hirtellus* Fall., *sabaudus* Meig.

*Asilus crabroniformis* L., *diadema* F., *flavescens* Meig., *trigonus* Meig., *obscurus* Meig.

*Gatunki?* 1) Twarz i piersi białowłose. Czoło i twarz żółte. Gorset zielonawo-płowy z połyskiem jedwabistym, po środku niewyraźna, szara pręga. Pierwszy przegub tułowu czarny, inne zielonawo-szare mieniące się. Nogi przednie rdzawe, udy ich na stronach wewnętrznych czarne, cztery tylne udy czarne z końcami żółtymi, nogi czarne, przy nasadach i stopy żółte. Długość 5'''.

2) Zielonawo-szary mieniący jednostajnie, koniec tułowu rdzawy. Twarz i piersi białowłose. Długość 5'''.

3) Rozki czarne z nasadami stawów rdzawymi. Twarz i czoło żółtawe mieniące, białymi włoskami porośłe. Wierzch gorsetu rdzawy o 3 szerokich, czarnych pręgach, z których środkowa wydana naprzód a poboczne w tył usunięte w ten sposób, że pierwsza nie dotyka przedniego brzegu a ostatnie nie dochodzą do tylnego. Stanik czarny, na bokach piersi białe jedwabniste plamy. Tułów czarny, wązki brzeg tylny 3 przegubu, połowa czwartego i piąty cały rdzawe, wyjąwszy małą poboczną cętkę. Nogi rdzawe, skrzydła żółtawe. Dług. 8—10'''.

*Gonypes pumilus* Macq.

*Empis livida* L., *opaca* F.

*Platypalpus*.

*Bombylius ater* L., *minor* L., *fuscus* F., *medius* F., *pygmaeus* Macq., *undatus* Meig., *nubilus* Meig.

*Anthrax semiatra* Hoffm., *sinuata* Fall., *flava* Hoffmg.

*Lomatia hecate* Meig.

*Thereva albipennis* Meig.

*Leptis funebris* Meig., *tringaria* F., *immaculata* M., *distigma* Hoffm., *vitripennis* Meig.

*Chrysopila aurata* Macq.

*Vermileo Degeerii* Macq.

*Atherix ibis* Meig.

*Dolichopus nobilitatus* Latr., *nigripennis* Fall., *chalybaeus* Wiedm., *germaeus* Meig.

*Ceria conopsoides* Meig.

*Chrysotoxum arcuatum* Meig.

*Psarus abdominalis* Latr.

*Volucella bombylans* Meig., *plumata* Meig., *inflata* Meig., *pellucens* Meig.

*Criorhina ruficauda* M.

*Eristalis tenax* F., *horticola* M., *nigritarsis* Macq., *rupium* F., *floreus* F., *campestris* M., *nemorum* F., *intricarius* M., *cryptarum* F.

*Gatunki?* 1) Rożki brunatne, twarz i czoło bialo-włose. Gorset i stanik zielonawo-szare. Wierzch tułowu brunatny z plamami żółtawo-białymi, przezroczystymi, spływającymi się, po jednej z każdej strony 2 i 3 przegubów, inne przeguby wązko bialo obrzeżone. Nogi żółtawo-ślone. Skrzydła szkliste, żyłki i znamiona ich żółte. Długość 4'''.

2) Rożki czarniawe. Twarz i czoło żółto-włose, na obu podłużne, ciemniejsze pręgi. Gorset zielonawo-czarny, cytrynowo-żółty kutnerem porośły z 3 pręgami poprzecznymi białymi, z których dwie pierwsze niewyraźne. Stanik zielonawy z końcem żółtym. Tułów szeroki, czarny; na 2, 3 i 4 przegubach, podługowate pomarańczowe plamy po bokach, stopniowo coraz węższe; każdy przegub z tyłu żółto obrzeżony a po bokach cytrynowymi włoskami posiany. Nogi czarne, końce udów i większa część nóg, żółte. Skrzydła brunatnawe z żyłkami czarnymi. Długość 6'''.

3) Oczy rozdzielone, kosmate. Rożki żółtawo-brunatne. pręciak czyli włos ich (stylus) pierzasty. Twarz słoniasto-żółta z zielonawo czarną pręgą. Czoło zielonawo-czarne mocno włosiste. Gorset ciemno-zielony z kutnerem żółtym, stanik żółty. Tułów czarny, brzegi przegubów żółte, na 1 dwie wielkie plamy poboczne żółte. Nasady udów i całe nogi, wyjąwszy ich końce, żółte. Stopy 4 przednich nóg w dwóch początkowych stawach

żółte, stopy tylne całkiem ciemne. Na środkach skrzydeł cętka brunatna. Długość 5'''.

4) Podobny do poprzedzającego gatunku, wyjąwszy że plamy poboczne 1 przegubu są mniejsze i świetniej żółte, a obwódki przegubów węższe. Skrzydła bez plamy. Długość 5'''.

5) Podobny do gat. n. 3, wyjąwszy że plamy poboczne tułowu są mniejsze i nie tak wyraźne; 2 przegub z tyłu rudo obwiedziony, wszystkie inne prawie bez obwódek. Plama na skrzydle mało widoczna. Tułów ku końcowi bardzo zwężony. Długość 5'''.

6) Podobny do poprzedzającego gatunku tylko większy (6'''). Plamy poboczne 1 przeguba wielkie, wyraźne; brzeg tylny tegoż przeguba rudy, inne przeguby nie obrzeżone. Skrzydła bez plam, tylko znamię nieco brunatnawe.

*Helophilus pendulus* M., *trivittatus* M.

*Xylota segnis* Meig.

*Brachypalpus femoratus* Meig.

*Syritta pipiens* Macq.

*Gatunek?* 1) Głowa, twarz i całe ciało czarne. Na przodzie gorsetu dwa guziki, na 2 i 3 przegubach tułowu po bokach plamy rdzawe, z których tylne niewyraźne. Udy i nogi tylne żółta-wo-rdzawo obrączkowane. Długość 4'''.

2) Tułów czarny, na 1 przegubie 2 plamy poboczne pomarańczowe, guziki gorsetu tegoż koloru. Nogi przednie rdzawe, tylne czarne żółto obrączkowane. Brzuch żółty. Długość 3'''.

*Rhingia campestris* M.

*Pelecocera*.

*Gatunek?* Gorset i stanik zielone, długimi żółtymi włoskami odziane. Tułów czarny, włosisty szczególnie po bokach. Na 2 przegubie dwie plamy białe, po środku 3 wązka biała pręga. Nogi przednie rdzawe z udami czarnymi, tylne łukowate brunatne. Na środku skrzydła brunatna cętka. Długość 5'''.

*Syrphus pyrastris* M., *ribesii* M., *bifasciatus* Meig., *scalaris* Latr., *melliturgus* M., *auricollis* Meig., *luniger* Meig.

*Gatunki?* 1) Oczy nagie rozdzielone. Rożki żółte z końcami zielonawymi. Twarz zielona z połyskiem metalicznym. Gorset i stanik teje barwy. Tułów żółty, podłużnie przecięty pasem czarnym; każdy przegub z tyłu czarno obrzeżony; koniec tułowu czarny. Nogi żółte. Długość 3'''.

2) Oczy nagie stykające się (1). Twarz biała z połyskiem perłowym, wydatność jej ciemno-zielona, rożki płowe z końcami zielonami. Gorset zielony, stanik żółty kosmaty. Tułów czarny, na każdym przegubie dwie plamy poboczne, trójkątne, żółte. Nogi żółte, udy po środku i stopy płowe. Długość 4'''.

(1) Oczy stykające się oznaczają samców, rozdzielone samice tych owadów.



3) Oczy kosmate, rozdzielone. Twarz i czoło czarne, rożki brunatne. Gorset i stanik czarne, lśniące, na każdym przegubie z boku dwie plamy pomarańczowe. Nogi żółte. Dł. 2" 3".

4) Oczy kosmate. Rożki żółte, wyjąwszy pierwszy staw który jest czarny. Twarz i czoło szerokie, ciemno-zielone. Gorset, stanik i tułów jednostajnie ciemno-zielone, żółtymi włoskami porośnięte. Brzeg przedni skrzydeł żółtawy. Nogi rdzawe, przy nasadach czarne. Długość 4".

5) Oczy nagie. Rożki całkiem żółte. Nogi żółtawo- płowe. Zresztą podobny do gatunku poprzedzającego.

6) Oczy kosmate stykające się. Dwa pierwsze stawy rożków czarne, ostatni żółty. Twarz ciemno-zielona: gorset, stanik i tułów ciemno-zielone, żółto-włose. Nogi czarne; końce udów, nasady i końce nóg, żółte. Długość 3".

7) Oczy kosmate, rozdzielone. Pierwszy staw rożków ciemno-zielony, dwa ostatnie żółte. Twarz i czoło ciemno-zielone. Gorset ciemno-zielony, biało-włose, stanik twardym włosem obrzeżony. Tułów czarny z zielonawym odcieniem i białym meszkiem, który tworzy na bokach przegubów białe trójkąty niewyraźne. Nogi ciemno-brunatne. Udy przy nasadach; nogi przy nasadach i na końcach żółte. Długość 4".

8) Oczy kosmate stykające się. Rożki i twarz czarne. Głowa wielka. Całe ciało i nogi zielonawo-czarne, nasady i końce nóg białe. Długość 2".

9) Oczy kosmate stykające się. Twarz brudno-żółtawo-brunatna. Rożki i nogi żółte. Gorset zielony, stanik żółtawy. Tułów: 1 przegub z tyłu obrzeżony brunatno, drugi brunatny z dwiema jajowatemi, pobocznemi plamami żółtymi, 3 żółty z dwiema poprzecznemi, wązkami pręgami, z których pierwsza brunatna bliższa jest przedniego brzegu, a druga ciemniejsza zajmuje brzeg tylny; 4 przegub jasno-żółty z takimiż lecz ciemniejszymi pręgami; reszta przegubów całkiem żółte. Tułów przezroczysty, na końcu zwężony. Skrzydła czysto szkliste. Długość 4".

10) Oczy nagie rozdzielone. Rożki i twarz blado-żółte. Między oczami zielonawo-czarna lśniąca pręga. Gorset brunatno-zielonawy, po bokach żółty. Stanik, boki, piersi i nogi żółte; stopy tylne ciemniejsze. Tułów wązki z wierzchu czarny, na każdym przegubie pręga pomarańczowa cała, na ostatnim tylko takąż pręgę przecina czarna kreska podłużna. Skrzydła szkliste. Długość 4".

11) Oczy nagie rozdzielone. Twarz z połyskiem srebrzystym, na niej i na czole plamki lśniące, metalicznie zielone. Tylne brzegi ocz białe, lśniące. Rożki brunatno-żółtawe. Gorset i stanik zielone z połyskiem metalicznym. Tułów równowązki brunatno-żółtawy, po środku każdego przegubu po 2 plamki jaśniejsze i pręga środkowa ciemniejsza, równie jak brzegi przegubów. Nogi żółte. Skrzydła szkliste. Dług. 4".

*Doros festivus* M.

*Sphaerophoria melissae* M., *taeniata* M., *orygani* Macq., *analalis* Macq.

*Gatunek?* Rożki i twarz żółte. Gorset po środku czarniawo-zielony, boki jego i stanik żółte. Tułów żółty na 1 i 2 przegubach czarne obrączki, na innych przegubach też obrączki są brunatne i niewyraźne. Długość 4'''.

*Cheilosia nigricornis* Macq., *rufipes* Macq., *vidua* Meig., *nigripes* Meig.

*Pipiza noctiluca* Fall., *notata* Meig.

*Baccha tabida* M.

*Gatunek?* Rożki ciemno-brunatne; twarz czarniawo-zielona z połyskiem metalicznym i białawym odcieniem. Gorset ciemno-zielony. Tułów czarny, nasady 2 i 3 przegubów pomarańczowe. Nogi płowe. Skrzydła szkliste z małą czarną cętką na przednim brzegu; żyłki poprzeczne brunatnawo-czarno obrzeżone. Długość 4'''.

#### .F *Athericera* Latr.

*Platypeza boletina* Fall.

*Gatunek?* Jednostajnie czarny lśniący. Twarz srebrzysta. Skrzydła po środku brunatne. Długość 1  $\frac{1}{2}$ '''.

*Conops macrocephala* L.

*Myopa ferruginea* F.

*Odmiany:* a) Rożki płowe. Twarz biała, czoło rdzawe. Z każdej strony twarzy pod oczami mała czerwona plamka. Całe ciało płowo-rdzawe, wierzch gorsetu ciemno-szary. Tułów szary z połyskiem jedwabistym. Udy przednie 4 mocno zgrubiałe, rudawo-płowe, równie jak ciało i nogi. Na 1 i 3 parze nóg, równie też na goleniach tylnych, pierścienie ciemniejsze niewyraźne. Skrzydła brunatne z plamką czarną na połączeniu pierwszej tylnej komórki z komórką nasadową. Długość 5'''.

b) Cztery pierwsze przeguby tułowu prawie czarne, na brzegach ich i na bokach połysk jedwabisty; 5 przegub jedwabisto-biały. Odchodek czerwony. Udy i nogi czarno przegowane. Zresztą jak w odmianie poprzedzającej.

*Gatunki?* Rożki brunatne. Twarz biała. Czoło ciemno-brunatne. Tułów brunatny z połyskiem jedwabisto-białym; drugi przegub jaśniejszy. Nogi brunatne z udami zgrubiałymi, grzebykowatymi; nasady nóg jaśniejsze. Skrzydła szkliste. Dł. 2'''.

*Zodion carceli* Rob. D.

*Hypoderma bovis* Cl.

*Gastrus nasalis* L.

*Echinomyia vernalis* Rob. D., *errans* Rob. D., *intermedia* Rob. D., *ferox* M., *fera* Dum.

*Micropalpus tessellans* Rob. D.

*Nemoraea myophoroida* Rob. D.

*Gonia capitata* M.

- Senometopia libatrix* M., *gnava* M.  
*Masicera obscura* Meig.  
*Metopia imperatoriae* Latr.  
*Tachina biguttata* M.  
*Zophomyia temula* Scop.  
*Sericocera erinacea* Macq.  
*Ocyptera intermedia* M., *brassicaria* F.  
*Gymnosoma rotundata* M., *nitens* M.  
*Cistogaster globosus* Meig.  
*Phasia taeniata* M., *crassipennis* Lat., var: *analis* Meig.. *Brachyptera* M., *oblonga* Rob. D.  
*Elomyia nigra* Rob. D., *nebulosa* Rob. D.  
*Hyalomyia atropurpurea* R. D., *pusilla* R. D.  
*Dexia rustica* Meig., *testacea* M., *caminaria* Meig.  
*Sarcophaga muscaria* Meig., *haemorrhoidalis* Meig.  
*Lucilia* L., *fulvifacies* Rob. D., *fuscipalpis* M., *coerulescens* Meig.,  
*cuprea* Rob. D., *scutellata* M., *caesarion* Rob. D., *parvula*  
 Meig., *caesar* Rob. D.  
*Calliphora rufipalpis* Macq., *fulvibarbis* Rob. D.  
*Musca vitripennis* Meig., *hortorum* Meig.

*Gatunki?* 1) Gorset i stanik popielate. Tułów jednostajnie ciemno-zielony z połyskiem srebrzystym. Nogi czarne. Zresztą podobny do gatunku *M. carnifex* Meig. Długość 4'''.

2) Dwa pierwsze stawy rożków czerwono-brunatne, ostatni ciemno-popielaty z połyskiem jedwabistym. Twarz srebrzysto-popielata. Gorset i stanik ciemno-zielono-popielate. Tułów popielato-srebrzysty w oliwkowe plamy mieniający się. Nogi czarne, brzegi skrzydeł brunatne. Długość 3'''.

*Pollenia olivacea* Macq., *rudis* Rob. D., *ruficornis* Rob. D.  
*Mesembrina meridiana* Meig.

*Gatunek?* Rożki ciemno-brunatne, drugi staw jaśniejszy. Twarz czarna z połyskiem srebrzystym. Gorset i stanik czarne z odcieniem szarym; koniec stanika rdzawy. Tułów po środku z odcieniem czarnym. Nogi czarne. Długość 5'''.

*Aricia errans* Meig., *erratica* Meig., *pagana* Meig., *floricola* Rob. D.  
*Hydrophoria cylindrica* Rob. D., *semicinerea* Meig.  
*Anthomyia canicularis* Meig., *labiata* F.

*Gatunek?* Włos rożka nagi. Twarz biała z połyskiem srebrzystym. Gorset jasno-popielaty z pięcią czarnymi plamami, z których 2 z przodu a 3 z tyłu. Stanik czarny na końcu popielaty. Tułów jasno-popielaty, brzegi przegubów i po środku każdego z nich trójkątna plama, czarne. Skrzydła szkliste. Dł. 3'''.

*Sepedon haefneri* Fall.

*Tetanocera marginata* F., *umbrarum* Fall., *stictica* Latr., *bivittata* Macq., *ferruginea* Fall.

*Cordylura alpinis* Fall.

*Odmiana:* Rożki czarne. Czoło i twarz srebrzysto-białe. Gorset czarny z pręgą podłużną szarawą, niewyraźną. Tułów

całkiem czarny. Nogi żółtawo-ślone, nogi 3 pary i wszystkie stawy brunatne. Długość 3'''.

*Cleigastra bicolor* Macq.

*Scatophaga merdaria* M., *stercoraria* M.

*Gatunki?* 1) Rożki czarne z włosen kosmatym. Czoło z przęgą czerwona. Gorset żółtawo-ślony z niewyraźnymi podłużnymi przęgami; boki jego mocniej żółte. Przeguby tułowu żółtymi włosami obrzeżone; przedziałki między przegubami żółtawo-czerwone. Spód tułowu tejże barwy; udy popielato-szare; nogi i stopy czerwono-żółte. Skrzydła żółtawe. Dł. 3'''.

2) Rożki brunatne z włosen pierzastym. Gorset popielato-żółtawy na bokach więcej żółty; brzegi przegubów tułowu popielato-żółtawe; przedziałki ceglaste. Nogi żółte. Skrzydła szkliste. Długość 2'''.

*Sapromyza notata* Fall.

*Otites formosa* Latr.

*Psilomyia pallida* M., *dubia* Rob. D., *fimetaria* M.

*Odmiana:* końce nóg i stopy 3 pary ciemno-brunatne.

*Herina syngenesiae* M.

*Ortalis fenestrata* Macq., *fulminans* M., *tristis* M.

*Urophora stylata* F., *quadrifasciata* Rob. D.

*Gatunek?* Czarna całkiem. Skrzydła ciemno-brunatne; ich nasady, dwie plamki trójkątne na przednim brzegu i trzy także na brzegu tylnym, równie też kropka na końcu skrzydeł, białe. Dł. 1'''.

Zresztą podobny do gatunku *Ur. rotundiventris* Meig. *Tephritis artemisiae* F., *arnicae* Lat.

*Gatunki?* 1) Żółtawo-ślony; stanik ciemniejszy; nogi blado-żółte. Przęgi na skrzydłach niewyraźne, jedna z nich tylko wyraźniejsza, brunatna. Koniec jajowoda czarny. Długość 1 1/2'''.

2) Rożki, twarz i czoło rdzawe z połyskiem srebrzystym. Ciało szare, brzegi przegubów tułowu ciemniejsze. Nogi ciemno-brunatne. Skrzydła brunatne z nasadami szklistymi i trzema poprzecznymi białymi przęgami, z których średnia najkrótsza. Długość 1 1/2'''.

3) Całkiem żółty. Skrzydła szkliste z poprzecznymi trzema przęgami i końcem, ciemno-brunatnymi. Długość 2'''.

*Acinia irrorata* Fall., *terminata* M., *confusa* Rob. D.

*Gatunek?* Ciemno-brunatna. Skrzydła brunatno cętkowane.

Nogi żółtawe. Jajowód czarny, lśniący. Długość 2'''.

*Ensina pyrethri* Rob. D.

*Sepsis fulgens* Meig., *cynipsea* Fall.

*Nemopoda cylindrica* Macq.

*Calobata cibaria* M.

*Gatunek?* Czarna, końce udów żółtawe, pierwszy staw stóp biały. Na skrzydłach dwie czarniawe przęgi, jedna po środku szersza, druga na końcach skrzydeł, mniejsza. Długość 4'''.

*Ulidia nitida* Meig.

*Lauxania elisae* M., *anea* Fall., *lupulina* Fall.

*Gatunek?* Rożki, tułów i 3 para nóg płowe-żółte. Gorset, stanik i 2 pary nóg przednich ciemno-szare. Udy na końcach i nogi 2 pary, płowe. Skrzydła żółtawe. Długość 1'''.

*Chlorops brunnicornis* Macq., *laeta* Meig.

*Gatunek?* Jednostajnie żółta. Długość 1 1/2'''.

*Agromyza flava* Meig.

#### *G. Pupipara* Latr.

*Hippobosca equina* Lin.

*Stenopteryx hirundinis* Leach.

\* \* \*

Drugą z porządku gromadę zwierząt stawowatych, składają:

#### PAJĄKI (ARACHNIDA).

Tu należące gatunki, które w Kamieńcu i jego okolicach spostrzegłem, wyliczę kolejną rodzin, przyjętych przez najnowszych naturalistów, za podziały gromady.

#### *Araneina.*

*Lycosa* Latr. rodzaj pajaków, do którego należy tarantula, a z którego my dwa gatunki posiadamy: pierwszy tak zwany krzeczek (*L. ucrainensis*) bardzo pospolity, osobliwie na przedmieściu Kamieńca Polskich folwarkach. Dorasta do półtora cala długości. Ukąszenie jego sprawia ból dotkliwy, zapalenie i puchlinę w miejscu zranionem.

Drugi gatunek (*L. saccata* Latr.) mniejszy nierównie i rzadszy u nas; samica jego nosi zielony oprzęd z jajami. Jestto jeden z tych pajaków, których pajęczyna ścieląca się po ziemi i unosząca się z wiatrem w powietrzu w jesieni, znaną jest pod nazwą *babiego lata*, którą zresztą do pory raczej niż do pajęczyny stosować należy. Oba gatunki powyższe gnieźdzą się w norach podziemnych.

*Dolomedes marginatus* Walck.

*Salticus scenicus* Latr. w starych murach przebywa; *S. tardigradus* Latr. zwykle na drzewach wierzbowych.

*Thomisus citreus* Walck.

*Formicinus oblongus* Walck.

*Philodromus tigrinus*, *Sparasmus smaragdulus* W. pospolite, pierwszy na drzewach, drugi na łąkach.

*Clubione holosericea* W. Cl. *lapidicola* W.

*Drassus lucifugus* W., *D. viridissimus* W.

*Tegenaria domestica* L. (domowy pająk).

*Epeira diadema* W. (krzyżak).

*Tetragnatha extensa* W. tego także gatunku pajęczyna ściele się w jesieni po ziemi.

*Theridion redimitum* W., *T. benignum* W.

*Argyroneta aquatica* W.

#### *Pseudoscorpina.*

*Chelifer cancroides* Leach. mały pajęczek kształtem do niedźwiadka nieco podobny, przebywa w starych księgach i zielnikach.

#### *Opiliona.*

*Phalangium parietinum*, którego samiec i samica za oddzielne gatunki przez Linneusza były uważane pod nazwiskami: *Ph. cornutum* i *Ph. opilio* (kosarze).

#### *Trombidina.*

*Trombidium holosericeum* Fab. na wiosnę na ziemi, osobliwie w ogrodach pospolicie.

#### *Sarcoptida.*

*Acarus siro* L., *A. farinae*, *A. lactis*. Bardzo drobne pajęczki w zepsutych zapasach spizarnianych mnożące się.

*Oribates aterrimus* Latr. we mchu po lasach i ogrodach.

#### *Gamasina.*

*Gamasus coleopratorum* Latr.

*Uropoda vegetans* Latr., *Pteroptus vespertilionis* Latr. Są to bardzo małe pasorzyty, mieszkające na niektórych owadach chrząszczowatych, ptastwie i zwierzętach ssących, jakoto: na niedoperzaczach, psach i t. p.

#### *Ixodina.*

*Ixodes ricinus* Latr. Kleszcz, każdemu znajomy; mieszka w lasach na liściach leszczyny i innych krzewów, najczęściej psom się przyczepia.

*Argus reflexus* przebywa na gołębiach.

#### *Arctiscina.*

*Macrobiotus Hufelandi*. Znaleźć go można we mchu wilgotnym.

\* \* \*

Gromadę SKORUPIAKÓW (CRUSTACEA) przedstawiają gatunki z rodzin następujących:

#### *Astacina (raki).*

Prócz zwykłych raków (*A. fluviatilis*), innych w wodach naszych nie posiadamy.

*Asellina.*

*Asellus vulgaris* Latr. w wodach stojących; lecz i w Dniestrze pod kamieniami się znajduje.

*Oniscini* (stonogowate).

*Porcellio scaber* Latr., *dilatatus* Latr.

*Armadillo vulgaris* Latr.

*Oniscus murarius* Cuv.

*Scolopendrida.*

*Lithobius forficatus* Leach.

*Geophilus electricus* pod drzewem gnijącym w lasach a nawet i koło domów. W ciemności wydaje błękitnawe światelko.

*Scutigera coleoptrata*.

*Iulida.*

*Iulus terrestris*, *I. sabulosus*, *fragariorum* L.

*Polydesmus complanatus* F. w lasach.

*Polyxenus lagurus* pod korą drzew i we mchu.

*Glomeris lepida* Eich. pod gnijącym liściem w lasach; *Gl. limbata* Latr. pod kamieniami.

Powyższe dwie rodziny (*Scolopendrida* i *Iulida*) składają osobną gromadę MYRYAPODA.

*Aspidophora.*

*Apus cancriformis* Schaeff.

*Branchiopoda.*

*Branchiopus stagnalis*, *paludosus* Lamrk.

*Daphnida.*

*Daphnia pennata* Müll.

*Polyphemus pediculus* Müll.

*Ostracoda.*

*Cypris strigata* Müll., *candida* M., *pilosa* M.

*Copepoda.*

*Cyclops coeruleus*, *C. rubens* Müll.

*Argulina.*

*Argulus foliaceus* Müll.

*Lernaeidea.*

*Lernaea cyprinacea* niekiedy widzieć się daje na szczupakach których jest pasorzytem.

*Odgałęzienie zwierząt MIĘKLIWYCH czyli mięczaków (Mollusca).*

Z gromady GASTEROPODA a najprzód żyjących na ziemi, ślimaki nagie:

*Arion empyricorum* L.

*Limax cinereus* Müll., *L. agrestis* L., *L. maximus*.

*Succinea amphibia* Drap. bursztyнка pospolita na roślinach wodnych, znajdowałem ją też na tratwach splawianych po Dniestrze pod Żwańcem.

Inny gatunek lub może odmianę tej bursztyńki znalazłem także w Żwańcu, na skalistym, krzakami i ziołami porośłym brzegu Dniestru, w bliskości sączącego się ze skały źródła. Ślimak ten o połowę mniejszy od *S. amphibia*, skorupę miał szarą z czarnymi zakrętami; samo zwierzątko z przodu czarno kropkowane, ku tyłowi szare, z nogą wąską, prawie białą. Liczne okazy osiadły były ścianki wyżej wspomnianego źródła w lipcu.

Ślimaków zwyczajnych skorupowych (*Helix*) udało mi się postrzedz kilka gatunków, a mianowicie:

*Helix pomatia* L., *H. naticoides* Drap., *H. incarnata* Müll., *H. hortensis* Müll., *H. arbustorum* L.

Pupa *muscorum* Lamk., *P. secale* Drap. w ogrodach i lasach między trawą i mchami.

*Mięczaki wodne.*

*Auricula myosotis* Lam.

*Planorbis imbricatus* Müll. w strumyku za wsią Żabińcami, zkąd wypelza na liście przyległych krzewów.

*Limnaeus stagnalis* L., *palustris* L., *fuscus*., *vulgaris*., *ovatus*.

*Melanopsis acicularis* Ferr. w Smotryczu, pokrywa się osadem wapiennym.

*Paludina impura* Lamk. w Dniestrze pod Żwańcem.

*Neritina fluviatilis* Lin. małe różno kolorowe muszelki, znajdują się w Dniestrze i Smotryczu. Z pomiędzy wielu odmian tego gatunku wydatniejsze i rzadsze są:

a) Skorupa czarna, podłużnie bialo pręgowana.

b) Skorupa żółtawa z poprzecznymi białymi pręgami.

## BEZGŁOWE (ACEPHALA).

*Cyclas cornea* L. w Dniestrze rzadka. *C. obtusalis* Lam. w Smotryczu w miejscach głębokich, niedaleko Nihina. *Unio pictorum* Lamk., *U. tumida* Pf. w Dniestrze i Smotryczu. *U. margaritifer* Retz. w Smotryczu rzadki. Perelkę znalazłem w muszli tego gatunku, nieco większą od ziarnka prosa, doskonale krągłą i pięknie różową, pokazywał mi p. Albin Gosławski miłośnik historii naturalnej, mieszka-



jący w Nihinie pod Kamieńcem, który piękny zbiór muszel posiada.

*Anodonta oblonga* Müll., *A. cygnea* L.

Wieśniacy nasi gatunki z rodzajów *Unio* i *Anodonta* znają pod ogólną nazwą *skojejk*; mięczaki zaś w nich mieszkające, jadają gotowane, w dnie postne.

Z gromady PIERŚCIENNIC (ANNELIDA) znajdują się u nas następujące gatunki.

*Lumbricus terrestris* L. (dżdżownik).

*Nais vermicularis* Gm. pod rzęsą wodną w stawach. *N. serpentina* Gm. na korzonkach roślin wodnych.

*Styllaria proboscidea* w niektórych stawach błotnistych.

*Saenuris variegata* Perty (*Lumbricus tubifex* Müll.), w stawach, a nawet niekiedy na dnie strumyków.

*Hirudo medicinalis* L. (pijawka).

*Aulostoma nigrescens* Perty, w rowach napełnionych wodą, wychodzi na ląd i karmi się dżdżownikami.

*Haemopsis sanguisorba* Sav. (pijawka końska).

*Branchiobdella astaci*. Pasożyt przebywający na rakach.

*Nephele vulgaris* Savig.

*Ichthyobdella geometra* Blain. także pasożytna pierściennica, żyje na karpach. Znajdowałem ją w Dniestrze pod kamieniami.

*Clepsine complanata* Gm. pod kamieniami w Dniestrze.

#### ROBAKI (HELMINTHIA).

Z tej licznej i nader ciekawej gromady, musi się u nas mnogość znajdować gatunków. Wiadomo bowiem, że nie tylko w każdym ssącym zwierzęciu, w każdym ptaku, w rybie i gadzie, lecz nawet w owadzie, mięczaku, po kilka niekiedy odmiennych przebywa. Nie zebrałem dostatecznych wiadomości o robactwie wewnętrznym mieszkającym w zwierzętach kamienieckich; wiele w domowych zwierzętach naszych wskazał uczony Dr Adamowicz, w rozprawie swej pod tytułem: *Conspectus morborum inter animalia observatorum*, o której we wstępie namieniliśmy. Postrzeżenia naturalistów uczą nas, że niektóre robaki, w stanie dojrzałości mając być niezależny, wciskają się do wnętrza innych zwierząt i tam jaja niosą, z których, rodzą się młode, a te do pewnego wieku będąc pasożytami opuszczają następnie czasowe schronienie i powracają na zewnątrz. Takim między innymi jest wodny włośnik (*Gordius aquaticus*), znajdujący się w strumykach i czystych wodach stojących. Przepędza on młodość we wnętrznościach owadów i za robaka z osobnego rodzaju (*Filaria*) był poczytywany; gdy tymczasem są to tylko dwa różne stany jednego rodzaju robaka. Podobnie *Mermis nigrescens*, wylega się w gąsienicach chrząszczów, a potem przebywa w wodach i ziemi wilgotnej.

Z rodziny wyplawek (*Planariae*) znajdowałem nad brzegami Dniestru pod kamieniami robaki, których cechy dość zgadzają się z opisem rodzaju *Polycelis* Ehrenb. Okazy które dotąd przechowuję u siebie w wodzie rzecznej, są zielonawe z czerwonymi prążkami, ze smugą przez środek ciemniejszą, brodawczkami porośłą. Ocpek mają po 5, jedno na przodzie, a z tyłu za niem po 2 parami. Długość 6—12'''.

Z gromady POLIPIOW posiadamy tylko gatunki *Hydra viridis* i *H. fusca*, które w wodach naszych zieleń zarosłych, natrafiać się zdarza.

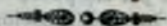
*Nadeźnik* czyli *gąbka rzeczna* (*Spongilla friabilis* Esper.) znajduje się w Smotryczu w głębokości 2 sążni na skałach podwodnych, między wsiami Dumanowem i Kisilówką.

Również WYMOCZKÓW (INFUSORIA), mnóstwo musi być gatunków; poszukiwaniem ich jednak nie zajmowałem się, ile że podobne badania wymagają wyłącznego poświęcenia się tej ważnej gałęzi zoologii, przy pomocy mikroskopu.

\* \* \*

Otóż więc wszystko co postrzedz mogłem. Zostawiam szczęśliwшему uzupełnienie tego, co mi się nie udało znaleźć; gdyby kiedyś to co tu zebrałem posłużyło za materiał do historyi naturalnej naszego kraju, wówczas z prawdziwą pocięchą serca, osiągnąłbym cel moich życzeń. W każdym razie, niech ta praca moja będzie pamiątką pobytu mego w dobrym, starym grodzie Podola, w którego gościnnych murach, wśród cichych naukowych zajęć, upłynęła najlepsza część mojego życia.

Pisałem w Kamieńcu Podolskim,  
w grudniu, 1856 r.



## KRONIKA LITERACKA.

*Wieża siedmiu wodzów: pieśń z podania przez Romana Zmorskiego.*

**T**reść tego poemaciku złożonego z pięciuset wierszy, osnutą jest jak sam tytuł zwiastuje, na podaniu o siedmiu wodzach, którzy dokonawszy bohaterskiego zawodu, strojni wieńcami lat i chwaly, przed odejściem na wieczny spoczynek rozkazują drużynie zbudować wieżę, niby pomnik czasów, w których żyli i działali. Drużyna żwawo ima się roboty:

„I nie tak skoro parnym dniem w wiosnie,  
Po bujnym deszczu siew nowy rośnie,  
Jako pospiesznie ku górze zmierza  
Z szarych kamieni wiązana wieża.  
Od rannej zorzy po mrok wieczora,  
Przeniosła wzrostem męża półtora”.

Cóż, gdy po nocnym wypoczynku robotnicy wróciwszy z rana do pracy, napróżno szukają tego co w wigilią wzniosły ich ręce: dzieło wczorajsze pochłonęła ziemia. Zdumiona drużyna wyprawia posły do namiotu wodzów, aby im tę rzecz oznajmili, a ci po wysłuchaniu oświadczają posłom:

„Idźcie do braci: jak się poczęło,  
Rzeknijcie, dalej by wiedli dzieło;  
Bo nie przystało mężom do twarzy  
Począwszy, zwać jako się darzy”.

Budowa poczyna się na nowo tymczasem w nieustannej kolei od wiosny do jesieni:

„Co za dnia mężów zbudują dłonie,  
Łakoma ziemia w noc każdą chlonie”.

Nareszcie wojom sędziwym snadź uprzykrzyło się czekanie, więc przyzwali przed namiot swój całą drużynę i oświadczyli, że przyszedł czas wypoczynku dla nich wszystkich. Drużyna lubo spragniona spokoju jakoś markotno jednak tę wieść przyjęła: niby dziwnem zda się jej spoczywać, nie dokończywszy zaczętej pracy. Ale spełniając rozkazy mądrych wodzów, przygotowała pożegnalną biesiadę nad brzegiem Wisły, na polach pośrodku mazowieckich lasów; więc około stołów zastawionych mięsiwem i miodem:

„I wpośród pieśni, śród gęśli dźwięku,  
Róg pełny poszedł z ręką do rękę”;

i kiedy tak wodze z drużyną zasilają się to miodem, to pieśnią, tymczasem:

„Z głębin topieli straszne wodniki  
Łby wynurzywszy, wzrok toczą dziki,....  
Groźne leśniki, leśne-dziewice,  
Przypołudnice, przywieczornice,  
Wszystkie puszczyk zbiegłszy się zgrają,  
Biesiadzie mężów się przyglądają”.

Dopiero kiedy księżyc pełny wzbil się na niebiosy, powstali siedmi wodzowie i ujawszy gęśle, żegnali drużynę pieśnią ostatnią, w której zapowiedzieli spółnikom trudów i sławy, że po tysiącu lat, kiedy złe rozgości się po całym świecie, oni zstąpią z przybytku ojców, zbudzą śpiącą drużynę i wraz z nią pójdą tępić czcicieli złego i wznosić ołtarz jasnemu Bogu. Po tych słowach wstąpili z gęslami na zręby glazów, występujące ponad ziemię z pochłanianej przez nią wieży: w tej chwili ziemia poczyna się rozstępować, wieża rośnie jakby z głębi tajemną podejmowana siłą, a na niej coraz wyżej i wyżej, przy odgłosie cichej tajemniczkiej pieśni, wznoszą się wodzowie i nikną za obłokami, tylko siedm ich złocistych hełmów świecą jak siedm gwiazd. Drużyna ochłonawszy ze zdumienia w jakie ten dzień ją pogrążył, odeszła w milczeniu ku przygotowanym mogiłom i każdy w swym grobie położył się do snu wiekowego. Wtedy z pod niebieskiego stropu spuściło się stado łabędzi śpiewających, jakby pieśń pogrzebu dla bohaterskich mężów, i zanurzyło się w falach Wisły, a olbrzymia wieża dotąd stoi gdzieś na Mazowszu, tylko że jej ani oko śmiertelne dostrzedz, ani ręka śmiertelna dotknąć nie może: stoi czekając, aż po niej zejdą siedmi wodzowie po lat tysiącu.

Podanie to w postaci jaką przedstawia treść poematu, jest bardzo niepewnego pochodzenia, tak co do miejsca, jakoteż co do czasu i zawartych w niem szczegółów. Wszelkie tradycje ludowe na dobrą sprawę tak samo powinnyby przejść przez pióro krytyki, jak historia, nie dlatego rozumie się, aby wyszukiwać w nich realnej istotowości; ale rzeczą krytyki jest sprowadzenie ich do pierwotnej o ile można czystości, tudzież udowodnienia, iż one bez zaprzeczenia są wyrobem danego społeczeństwa i danej epoki. Inaczej pozostaje zawsze wątpliwość pod względem rodzaju twórczości, jaką opierając się na dowolnym zbiorze podań, pewnemu społeczeństwu przypisujemy; oraz czyli wyobrażenia w tradycjach zawarte rzeczywiście wchodziły w skład elementów moralnych pewnego wieku. I tak, dwaj poeci: Bürger w balladzie «*Lenora*», Mickiewicz w balladzie «*Ucieczka*» jeden i tenże sam przedmiot odnoszą: pierwszy do fantazyi germańskiej, drugi do słowiańskiej. W teraźniejszym stanie krytyki podaniowej jestże możność zdecydowania, który lud jest tu właścicielem prawym albo uzurpatorem?

W tém samym położeniu znajduje się téż podanie stanowiące treść obecnego poematu: autor zasłyszał je początkowo na Mazowszu, czego jednak później sprawdzić nie mógł, to znowu znacznie w odmiennym kształcie znalazł je na Rusi. My zaś moglibyśmy zapewnić, że podobny przedmiot znajduje się w zbiorze podań skandynawskich, choć również bez żadnej krytyki obrobionym. Najwłaściwiej przeto będzie z tych powodów całą rzecz uważać za fantazyą samego poety, zasiloną kilką szczegółami ludowemi.

W każdym razie idea poematu jest prześliczną symboliką chwały i nieśmiertelności; nie tą słusznie przez estetyków potępioną symboliką, co wyraża się martwemi znakami lub materialnym kształtem, ale tą, która wyraża się uczuciami i czynem. Ta wieża niebotyczna, to czyny bohaterów sięgające wielkością pod niebieskie stropy; wodzowie chcieli ją wznieść na dowód wielkości swego czasu, czyli jak się wyraża poeta:

„Potomnym wiekom na dziw i cześć

Pomnik niezżyty po sobie wznieść,

Godzien tych męży co go stawiały”.

dla siebie zaś wykopali skromne groby:

„Gdzie puszczy cienistych przewiewa chłód,

Kędy znużone życia trudami

Spią stare ojce pod mogilami”.

Tymczasem jakiś tajemniczy gieniusz chwały zda się niby przerywać robotę ludu, a rzeczy tak kieruje, by ten pomnik stał się większym nawet niż sami wodzowie zamierzeli, i był dla nich samym piedestałem wielkości, na którym postawiła ich zasługa własna. Bo oto stoją mężowie na małym zrębie ściany, a ta ni ztąd ni zowąd wyrasta w olbrzymią wieżę, którą ochotnie, choć bez wiedzy celu wznosiły ręce samego ludu. Helmy bohaterów jaśniejące gwiazdami ze szczytu tej wieży, to dowód, że chwała ich nietylko opartą jest na wielkości, ale jasną jak ognie niebieskie i trwałą jak one; a tego pomnika chwały nikt z żyjących nie rozwali, nikt z bohaterów z wysokości jego nie sprowadzi, bo wieża niedostępna jest śmiertelnym zmysłem. A wniebo wzięci wodzowie żegnając drużynę, dodają:

„Czas się ze sobą rozłączyć  
Na długie, wieków dalekich,  
Lecz nie na wieczne rozstanie”.

Autor dotykając tak wysokiego znaczenia treści, potrafił stanąć na stanowisku przedmiotu. Język jego jest prosty i poważny: szczegóły przytoczone dla odcharakteryzowania czasu, jakkolwiek nadzwyczaj ubogie, jednak szczęśliwie dobrane i odznaczające się prawdą; forma zastosowana do gotowych wzorów powieści gminnej, dosyć udatna i jednostajna: pragnęlibyśmy tylko, aby zwroty językowe więcej wydawały z siebie kolorytu poetycznego. Pod względem strony zewnętrznej, to lubo autor zaraz w przedmowie zastawia się tem, że nie dbał ani o gładkość jej, ani o dobór rymów i wyrazów; my takiej zasady za dobre wziąć mu nie możemy, ani przypuszczamy tej jakiejś konwencyi, która w poezyi charakteru gminnego, każe nie zważać na zaniedbanie form i zewnętrznego ustroju, boć to w żadnym razie zaletą nie jest i wykształconego smaku razić nie przestaje. Swoboda swoboda; a jeżeli obok swobody i łatwości zachowane będą i inne warunki nawet materialnego piękna, to podobno rzecz na tem nie a nie nie straci, owszem tylko zyskać może. Naciągając myśli dla ukształtowania formy zewnętrznej i zostawić ślady wysilen, to rozumie się rzecz nie do darowania; ale prawdziwy poeta ze wszystkiem poradzić sobie potrafi, i żadnych nie potrzebuje szukać wymówek. Prostota, lekkość i gminny charakter ballad nie upoważniał przecie Mickiewicza do tak słabego rymowania: jak np. w obecnym poemacie:

„Sto wielkich bojów z wrogi zwalczyli,  
Stokroć zwycięstwa święto święcili,  
Stokroć zwycięstwa stosy palili”.

lub układu wiersza jak np.

Że dziś nie poznać gdzie wiek znak kładł,

którego nawet bez zatchnięcia się wyczytać nie można.

Jednakże i to musimy powiedzieć, że w tym poemacie bardzo mało napotkaliśmy podobnej kulawizny; właśnie, że autor nader dyskretnie korzystał z zapowiedzianej w przedmowie dowolności, gdyż całość nawet pod względem formy zewnętrznej jest owszem gładka i harmonijna ogólnie mówiąc, a przyobleczona w jakiś spokój *grandioso* zastosowany do przedmiotu. Najpiękniejszym jęj epizodem jest pieśń wodzów pożegnalna: w niej mieści się właściwa myśl poematu. Oddał ją autor i poetycznie i malowniczo; dlatego też załujemy, że w tém właśnie najpiękniejszym miejscu nie użył wiersza rymowego, który tak ozdobnie stroi liryczne kształty.

Jakkolwiek treść tego poematu ma w sobie dużo zalet, jednak zawsze ona jest tylko ostatnią kartą życia, więc składające ją szczegóły nie mogą żywego obudzić zajęcia: zawsze to tło kirowate, więc i koloryt na niém ponuro wydać się musi. A lubo poemat ten ze względu na zalety oddania możemy śmiało postawić obok nielicznych wprawdzie naszych dum historycznych, jak «Trąby w Dnieprze», lub «Pieśń o Henryku Pobożnym», jednak te więcej mają dla nas powabu już przez sam charakter żywotny treści: dlatego też pożądaném byłoby, aby autor zacząwszy od ostatniej, jak powiedzieliśmy, karty życia bohatera, nakreślił nam jeszcze kilka z środkowych jego stronic.

11 sierpnia 1858.

Kazimierz Kaszewski.

*Rozbitki: prolog napisany dla sceny polskiej we Lwowie przy jęj nowém otwarciu, przez Kornela Ujejskiego. Lwów. 1857. Nakład H. W. Kallenbacha.*

Kornel Ujejski należy bezprzecznie do pierwszorzędných z żyjących poetów polskich. Utwory jego, jakkolwiek mało u nas w kraju rozpowszechnione, imieniowi jego zasłużony dały

rozgłos. Na otwarciu teatru polskiego we Lwowie, wezwany do napisania jakiej odpowiedniej sceny, dał właśnie ten prolog, którego podamy tu treść i piękniejsze ustępy.

Wśród przymroku nocy, scena przedstawia wnętrze teatru w nieładzie. Wchodzą artyści dawnej sceny polskiej: pan Jan w stroju polskim, p. Witalis w rycerskim. Ale na te deski dawniej dla siebie zawsze dostępne, wkradają się cichaczem, boleją nad tym opuszczeniem sceny narodowej, i wśród utyskiwań na los swój smutny, orzeźwiają się nagle dawnym artystów zapalem. P. Witalis przypomina sobie scenę z *Mnicha*, którą (jak wyraża) Korzeniowski zaczął jak Szekspir.

„Znasz Mnicha? patrzaj: jam Bolesław Śmiały!  
Przyszedłem w karyntyjskie góry do klasztoru.  
Wieczór jest, tam w kościele brzmią śpiewy nieszporu:  
Ukryty za kolumną stoję przed kościołem,  
Zimny pot z krwi zapachem wycieka mi czołem;  
Jak wąż, tak się przesuwam w mym ręku różaniec,  
Bom zbrodniarz, bom zabójca, tułacz i wygnaniec!  
Staję drżący, skruszony u kościoła progu,  
Ani śmiem wejść!— cofam się, gdy wspomnę o Bogu!  
Słuchaj!

P. Jan po odegraniu tej sceny przez Witalisa, sciska go serdecznie, a po chwili mówi:

Ja już do Fredry, ja ubóstwiam Fredrę!  
Żywot i kontusz niech już na nim zedrę  
Na tym genialnym!

W tej chwili wchodzą dwaj dawni także artyści: p. Adam i p. Szczęsny, i ukryci, są świadkami odegrania pierwszej sceny z *Zemsty* za mur graniczny pomiędzy Cześnikiem i Papkinem. Poznają się towarzysze jednej chorągwi. Nagle rozjaśnia się scena: wschodzi słońce, które rozwidnia mury, kolumny świątyni i dwa nagrobki przedtem ginące w mroku. Na jednym z nagrobków gorejący napis: *Wojciech Bogusławski*; na drugim: *Jan Nepomucen Kamiński*. W głębi otwartą bramą wchodzi chór w kostiumach teatralnych; ten dzieli się na dwie części i staje po obu stronach sceny z dwoma przewodnikami na czele. Na czele staje kapłanka z zieloną gałązką w ręku, i zapytuje dlaczego artystów tak mało; jeden z przewodników wylicza zmarłych artystów i artystki:

Doprzęgli pasma żywota,  
Co szare nie jedną męką:



A błyska w niej nie złota,  
 Anielską wdziergana ręką:  
 Natchnienie i cnota!  
 Spłynęło im życie  
 Jak jeden dobry uczynek,  
 W błogosławione poszli ukrycie  
 Na spoczynek!

*Kapłanka* spojrzawszy na groby Bogusławskiego i Kamińskiego:

Kiedy naród w grobie chowa  
 Mistrzów swego słowa,  
 To z boleści i z goryczy,  
 Wnet w zwątpienie wpada,  
 I na grobach takich krzyczy:  
 Biada już nam, biada!  
 O! nie mąćcie im tej ciszy  
 Żalem, co w zwątpieniu;  
 Bo gdy który go usłyszy,  
 Zbudzi się w cierpieniu.  
 Niech po pracy i po znoju  
 Śpią w słodkim spokoju,  
 Niechaj śpią szczęśliwi.  
 Was niech wznosi ta otucha  
 Że się duchy rodzą z ducha,  
 Że nie poszli cali,  
 Że zostali, że zostali  
 Młodszy, silni—żywi.

Postępując naprzód kapłanka, wita pozostałych artystów, a w przemowie swój wybornie określa znaczenie sceny narodowej, i wysokie stanowisko prawdziwych artystów dramatycznych.

Witam was: serce moje rośnie,  
 Jak kwiat ku wiosnie!  
 Pójdziemy znowu dawnym naszym torem  
 Kochani i kochający!  
 Z zapalem będziem dźwigać brzemień trudu,  
 Choć nieraz serce cierpi pod bisierem.  
 A Ty Wszehmogący!  
 Spraw, by ta scena stała się dla ludu  
 Szkołą i wzorem!  
 Niechże ta scena wciąż *świętością* stoi,  
 Kiedy się zowie *świętynią*;  
 Niechaj tu czysty wchodzić się nie boi,  
 Niechaj nas matki nie winią:

Niechaj tu żaden z niewinnych młodzieńców  
 Nie kryje w dłoni rumieńców;  
 Niechaj dziewice usta swoje miłą,  
 A nigdy oczek nie chyłą.  
 A ci co słabsi niech wychodzą krzepai,  
 A ci co grzeszni, niech wychodzą lepsi!

Wy, którym tutaj przebiegło życie  
 I w dobrej części z dawna nosicie  
 Kapłańską odzież;

Mysłcie i o tém, że przyjdą wnuki  
 A wy pomrzecie: przy was dla sztuki  
 Niech rośnie młodzież.

Chętnie podnoście ją radą i pracą.  
 Niechaj się przy was bogacą,  
 Niech ich nie dzielą drobne niesnaski,  
 Niech od was przyjmą złote przepaski  
 Czyści, natchnieni, szlachetni.

Bo kiedy po was uderzą w dzwony,  
 By nie powiedział lud rozżalony:  
 Oto pomarli—bezdzielni!

*(wskazując na nagrobki).*

Oto imiona dwóch wodzów, dwóch mężów,

Dwóch bohaterów, choć bez orężów:

Jedno i drugie jak pała

Blaskiem nieśmiertelnym!

Cale ich życie szło walką i męstwem,

A jak skończyli?—Zwycięztwem!

Bo niedołączny tylko upada,

Niedołącznemu tylko tu biada;

A wieczny tryumf i chwała

Wytrwałym i dzielnym!

Ci wasi mistrze, te wasze przodki,

Nie większe od was dzierżyli środki;

A zwyciężyli, a zwyciężyli

Bo wiarą żyli!

Każdą zaporę,

Każdą przekorę

Wiara roztrzaska;

W wierze potęga

Gdy siły sprzęga,

Dla wiary łaska!

Sojuszem bratnim w dłonie uderzcie

I wierzcie.

*(do chóru).*

A wy nowo zaciężni pod nasze sztandary

Natchnienia i wiary,

Nie myślcie, że ta scena ma gładkie posadzki

Do wesołej schadzki:  
To dom ofiary!

Bo słowa wieszczów  
Jak lzy padają,  
Z duchowych dreszczów  
Powstają.

Wiesz co je wyda, rodzi je w boleści,  
On cierpiąc—wieści;  
Jednak szczęśliwy, bo gdy pieśń dojrzewa,  
To ten ból co śpiewa  
Swobodnie splacze:  
Ale wy biedni jego słów siewacze,  
Wy je nieraz powtórzycie  
Śmiejąc się i skacząc,  
Choć w sercu płacząc  
Gorzko i skrycie.

Takiego słowa kto chce zostać posłem,  
Musi mieć potęgę w duszy,  
Co się nie złamie, nie skruszy;  
Takiego słowa kto chce zostać posłem,  
Musi się zaprzeć siebie,  
W piekle żyć nieraz i w niebie!  
Takiego słowa kto chce zostać posłem,  
Niechaj o zysku nie marzy:  
Bóg wynagradza, świat darzy,  
Kapłaństwo nie jest rzemiosłem.

Może was wabi świetny strój,  
Sceniczny żart i śmiech,  
Poklask co idzie z nim?  
Na stroju waszym szych!  
We śmiechu nieraz—grzech!  
A poklask taki—dym.  
Na bój, pójdziecie na bój!  
Natchniona w duchu, ja mówię z ducha,  
Błogosławiony kto słucha:  
Na bój pójdziecie, na bój!

Będziecie walczyć z upartym losem  
I z nędzą może; choć waszym głosem  
Klejnoty będziecie rzucać.  
Sami w cierpieniu nieraz upadać,  
Choć według woli sercami władać  
Weselić i zasmucać.  
A w końcu waszej podróży dalekiej,  
Może was czeka starość bez opieki.

Dawniej Moliera w święconej ziemi  
 Nie chciano grześć,  
 Teraz my równi między wybranemi,  
 Jak bohaterom natchnienia i czynu  
 Wolno nam liście wawrzynu  
 Na czole nieść.

Jeśli więc kogo wyniesie sztuka,  
 Niechaj już szerszej slawy nie szuka:  
 Najtrwalsza co w narodzie!  
 U nas ofiara już we zwyczaju,  
 Toż zaszczyt służyć taklemu kraju  
 Choćby o głodzie!

Zakończy piękny monolog swój kapłanka, zwrotem do publiczności, polecając jej opiece, narodowego słowa świątynię.

Wysokie znaczenie teatru narodowego, jakie nam poeta dał w tym prologu, pierwszy raz wyszło właśnie i ogłoszone zostało ze sceny teatru lwowskiego. Pół wieku z górą mija, jak w pełni zasług i talentu Jan Nepomucen Kamiński, w *prologu* także, mówionym na pomienionej scenie, wyrzekł te wzniosłe a piękne myśli:

„A tylko słowo stać się może ciałem!  
 Ono swym związkiem jawić boskie cudy,  
 Ono w myśl wniknąc łyskawicy strzałem,  
 Ono zżyć w naród rozstrzelone ludy,  
 Ono dać sposób rozlicznej nauki,  
 Niem przodki z grobu wołają na wnuki:

„Pokaż to ziarno serc waszych mieszkaniem,  
 Grób nam nie ciąży, stokroć z grobu wstaniem;  
 Jak trawka z pieńka wszędzie w każdej wiośnie,  
 Bo życie nasze w słowie wnuków rośnie:  
 Biada! gdy kiedy pójdzie w oniemiaenie:  
 Grób nas nie puści, zgaśnie pokolenie”.

Taka potęga człowieczego słowa:  
 Któryż grunt lepiej to ziarno przechowa,  
 Jeżeli nie dziwne umnictwa zwierciadło,  
 Które oddaje, co w świat losem padło,  
 I co żelazne każe przeznaczenie?

Scena zabawą częstą nie jest dla gminu,  
 Ani jest wiechą podłego rzemiosła;  
 Ona ze skały skry bije do czynu,  
 Maską gmin wabi, aby go podniosła.

Wiek swój pokrzywdza zdaniem zarzewiałem,  
 Kto częściej zabawy szuka w niej powodu;  
 Silniej niż dusza rozmawia się z ciałem,  
 Rozmawia scena ze sercem narodu,  
 Jeden tam węzeł dwie strony kojarzy:  
 Co jedna czuje, druga ma na twarzy.

W.

*Wyjaśnienie co do filozofii XVIII wieku, z powodu zdania p. Bolesława-Wiktora, zamieszczonego w N. 184 Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych z r. 1858.*

Oceniając przekład Child-Harolda przez Michała Budzyńskiego dokonany (\*), p. Bolesław-Wiktor daje nam w wstępie swego artykułu wyborny szkic Bajrona jako człowieka a następnie jako poety. Szkice podobne z taką zwłaszcza starannością i tak umiejętnie obrobione, tém są u nas potrzebniejsze, że wynagradzając poniekąd brak systematycznych dzieł o literaturze powszechnej traktujących, zapoznają nas pojedynczo z familią europejską, z której grona i my dziś żadną miarą wyłączać się nie możemy. Ale p. Bolesław-Wiktor widząc Bajrona na rozłomie wieku XVIII z XIX i bardzo słusznie przypisując ujemne jego strony wpływom miazmatów doktryn, jakie napelniały moralną ówczesnej epoki atmosferę, korzysta zarazem z tej sposobności, aby okazać brak należytego sądu w ocenianiu fenomenów filozoficznych, i encyklopedyzm wieku XVIII poczytuje za środkowe ogniwo pomiędzy filozofią angielską a Kantem. Oto własne jego słowa: «Dawny porządek obalony, wiara w to wszystko co stanowiło siłę żywotną społeczeństwa, zamarła, nowego stanu rzeczy zaledwie ziarno rzucone i niesłychana próżnia w umysłach, oto cechy epoki przejścia znamionującej początek obecnego wieku. Tę próżnię wywołała niszcząca filozofia XVIII stulecia, czerpiąca początek swój w Anglii, wdzierająca się we wszystkie objawy życia przez popularne pióra Francuzów, a w poważne szaty przez Kanta przybrana».

Kto ma takie przekonanie, nie może go zbywać podobnemi słowy, które będą albo do niczego nie prowadzącym ogólnikiem, albo pozostaną częścią paradą nazwisk; zbytko ważną materyą

(\*) Kronika nr. 184 z r. 1858.

dla myśli ludzkiej dociekającej samą siebie i tego co jest poza nią; w tych bowiem kilku słowach zawiera się przepaść usiłowań, prac ducha i nauki, o które t $\acute{e}$ m sam $\acute{e}$ m ani zlekka potraćać, ani do byle czego zdania o nich przyszywać nie można. Ocenienie wyżej wspomnianego przekładu, mogło się byto śmiało bez tych przejść filozoficznych obejść i to byłoby najpraktyczniej-  
sz $\acute{e}$ m, gdyż raz wspomniawszy o nich a nie chcąc słow rzucać na wiatr, należało je poprzeć dowodami, dla których w podobnego celu artykule nie miejsce.

Komużto obeznanemu z rzeczywist $\acute{e}$ m znaczeniem pojęć nie jest wiadom $\acute{e}$ m, że tak zwana filozofia XVIII wieku, w znaczeniu powszechnie przywiazan $\acute{e}$ m do t $\acute{e}$ j nazwy, nie jest bynajmniej filozofią tylko filozofowaniem. Kt $\acute{o}$ ż dziś śmie postawić Woltera lub Dalemberta na równi z Platonem, a nie zaliczy ich raczej do liczby tak zwanych sofist $\acute{o}$ w, którzy uwijali się po całych Atenach jak kruki lub szakale, przeczuwając rozkład ciał zagrożonych zbliżaniem się śmierci. Filozofia XVIII wieku nie ma żadnej podstawy naukowej leżącej w świecie bezwzględności i abstrakcyi, ale jest raczej rozbiorem i krytyką fakt $\acute{o}$ w z materialnego stanowiska; ma siłę destrukcyjną jak Attyla, ale pozbawioną jest siły twórczości; zład więc ta rozpacz poddającego się j $\acute{e}$ j doktrynom, bo nieszczęśliwy adept czując, że mu zdmuchnięto dotychczasowe zasady, nie może nic na ich miejsce podstawić: ow $\acute{o}$ z próżnia w umyśle. Zważajmy i to, że filozofia XVIII wieku, ma dążenia czysto praktyczne objawiające się w teoriach moralno-politycznych i zadaniach socyalnych, co ją wyprowadza ze sfery czystej abstrakcyi cechującej myślenie filozoficzne, tak, iż ona w żaden sposób i nigdy nie wejdzie w system budowy filozoficznej. Jaki zaczyna się z wiekiem Pitagoresa i Platona a sptywa szczeblując się rozmaicie aż do Szellinga, Hegla i Cieszkowskiego. Ten właśnie, powiadamy, charakter praktyczny i socyalny bez podstawy oderwanego myślenia, przecina j $\acute{e}$ j związek z wszelką ściśle wziętą filozofią, i w świecie ducha nadaje j $\acute{e}$ j fizyonomią zupełnie oddzielną. Na to zgodzi się każdy.

Tymczasem czytamy w ustępie p. Bolesława-Wiktora, że ta filozofia czerpie początek swój w Anglii. Jeżeli tak jest, to czemuż j $\acute{e}$ j nie odnieść do Dekarta, a jeszcze dalej do Husa, a nawet do aryanizmu; boć w każdym z tych zwrot $\acute{o}$ w możemy znaleźć pierwiastki wchodzące w skład encyklopedyzmu. Jest w t $\acute{e}$ m pewna racya, która ujmuje się za powyższ $\acute{e}$ m zdaniem, ale i ta upadnie po należyt $\acute{e}$ m odr $\acute{o}$ żnieniu pozoru od rzeczywistości.

Jeszcze w XVII wieku idąc za popędem danym przez Lockego, szkoła angielska w uzupełnieniu niejako systematu Dekarta, który przedewszystkiem zajmował się teorią substancji, rozwija pierwiastek empiryczny. Bardzo proste następstwo zdał, że szkoła ta dla podtrzymania swego kierunku, lekceważąc charakter wyobrażeń rozumowych, walcząc nawet przeciw nim, przychodzi do objawienia sensualizmu, i to na co pod względem duchowości (spirytualizm) założyciel jej rzucił cień powątpiewania, uczniowie i następcy zamienili w zupełną negacyą. Byłto kierunek naówczas nadzwyczaj śmiały i nowy, choć niby ogólnemu przekonaniu przeciwny, a jednak popierano go takimi argumentami, przeciw którym poważna dyskusya dotąd nie znalazła stanowczej broni; bo cóż innego i dziś jeszcze dowodzą fizyologowie, mianowicie niemieccy po upadku już doktryn praktyki sensualnej, jaką przedstawia tak zwana filozofia XVIII wieku. Oni dziś jeszcze wszystkie funkcye moralne i umysłowe człowieka, zależnemi czynią od praw fizycznych, gieniusz sam nawet pod nie podciągając; a pomimo to nikt z nas dziś nie obawia się zdał objawów podobnych tym, jakie przedstawił koniec zeszłego wieku. Jestto poprostu system naukowy nieubłaganej logiki, jednostronnie a jednak beznamyślnie zapatrującej się na człowieka i świat.

Przeciw takiemu systematowi, którego pierwszym najznamienszym organem była szkoła Lockego, wystąpił w pierwszej połowie XVIII wieku Berkeley i to w następujący sposób. Nie zbija on już twierzeń i dowodzeń przytaczanych na korzyść sensualizmu; ale działa w kierunku jemu podobnym, tylko diametralnie szkole Lockego przeciwnym, to jest, przechodzi do zaprzeczenia percepcyi zmysłów, a tém samym istnienia świata zewnętrznego, czyli do absolutnego egoizmu. Berkeley, jako duchowny, może miał i religijne pobudki do obalenia systematu, który zdawał mu się brzemiennym przyszłością, podkopującą zasady moralne społeczeństwa; lecz w tym razie dosyć byłoby tylko walczyć przeciw takiemu systematowi. Ale ta rola nie wystarczała dla Berkeleyja jako dla myśliciela, który wtedy dopiero wywiązuje się z zadania, gdy wznosi budowę nową własnego pomysłu. Otóż Berkeley za podwalinę téj budowy bierze goszczącą podówczas w wyobrażeniach filozoficznych tak zwaną ideę przedstawniczą (idea repraesentativa), która w poznawaniu rzeczy jest pośredniczką między subjektem i objektem nie zaś poznawaniem (conscientia) samym. Téj to idei czepia się Berkeley, ale bezwarunkowo stosując ją tyl-

ko do przedmiotów zmysłowych zewnętrznych. Co do ducha dowodzi, iż ten nie potrzebuje żadnego pośrednictwa, gdyż on przychodzi do poznania samego siebie przez pewne absolutne wewnętrzne poruszenie (aperceptio interior). Wynika ztąd, że duch tylko, poznający siebie bezpośrednio i czujący się w jęściwie własném ma być niezaprzeczony: przedmioty poza obrębem dziedziny ducha leżące, wymagają pośrednictwa idei, a tęp samém nie mogą być w żaden sposób ogarniętymi wprost przez naszego ducha i poczuć się w nim w istnieniu swojém, gdyż w każdej chwili pomiędzy niemi a duchem staje coś trzeciego, to jest owa idea przedstawnicza: zatęp idzie wywód, że przedmioty świata zewnętrznego, są tylko wyobrażeniami naszego ducha; był ich realny ulega wątpliwości, a w dalszém rozwinięciu tęp zasady, ginie w negacyi. Sądząc, że przez taki wywód na korzyść spirytualizmu uczyniony, zada cios śmiertelny szkole Lockego, Berkeley zdąża pomimo woli do większego jeszcze zamętu wyobrażeń; bo otóż Hume chwyta go za słowo, i według tęp samej idei obala wszelki był tak duchowy jak materyalny, a na miejsce jego przedstawia jakieś wyobrażenia idealne, których określenie dziwnie skomplikowaném jest: są to niby pewne substancye ale bez odpowiedniego obiektu, bez formy rzeczywistój.

Otóż taki był mniój więć stan filozofii angielskiej wówezas, gdy we Francyi zjawia się Kondyllak i encyklopedyzm (\*). Co do Kondyllaka, kwestyi bynajmniój nie ulega, że on zasilił się filozofią angielską, i to do tego stopnia, że za jego sprawą sensualizm szkoły Lockego rozwinięty na podstawach czystej nauki, a środkami filozoficznego myślenia udokładniony, staje się materyalizmem. Możliaby przeto uważać Kondyllaka za przejście od ówczesnej filozofii angielskiej do encyklopedyzmu francuzkiego; ale będzie to zawsze hipotezą nie opartą na niczem więć, jedno na podobieństwie charakteru sceptycznego tak jednéj jak drugiej strony, co bynajmniój wymagań nauki ściśle wziętój nie zaspokaja. Jakoż, zasada tak szkoły angielskiej jak Kondyllaka jest czysto spekulacyjna bez żadnych wtretów postronnych: jest to nauka dla nauki samej. Zasada ta, przystępna tylko umysłom wyborowym, tworząc szereg różnych systematów układanych w celu odkrycia bezwzględnej prawdy, przechodzi około encyklopedyzmu, i okiem nań nie rzuciwszy, jakby go nigdy na świecie nie było, przenosi

(\*) Używam tego wyrazu, aby nie powtarzać za każdym razem: filozofia francuzka XVIII wieku, część za całość.



się po za wiek XVIII, i w dalszym ciągu, za i przeciw, kontynuje budowę filozoficzną bez przywiązywania się do żadnych szczegółów. Tymczasem inne są zupełnie dźwignie encyklopedyzmu: on w nauce oderwanej nie ma właściwego początku ani dalszego ciągu, encyklopedyzm odrazu występuje z celami reformizmu socjalnego, czepia się religii, polityki, prawa, stosunków społecznych, a w kwestyach metafizyki bardzo skąpo zkadinał przez się traktowanych, odznacza się jakąś płytką gadatliwością zwyczajnego rezonowania, bez żadnego filozoficznego myślenia, bez cienia nawet spekulacji naukowej; ztąd też nie zastanawia on umysłów głębokich, lecz przez swój praktyczny charakter nadzwyczaj prędko popularyzuje się między massami, które przyjmują go bez rozbioru, jako zjawisko ciekawe i wraz też po nasyceniu ciekawości rzucają bezpowrotnie. Zgodziwszy się na tak rażącą różnicę cech charakterystycznych pomiędzy jednym a drugim zwrotem, możemyż encyklopedyzm traktować na równi z wszelką filozofią nietylko szczegółowo angielską i w niej wskazywać mu początek, kiedy encyklopedyzm jest nietylko natury nie filozoficznej, ale nawet walczy bronią niefilozoficzną. Nie odniesiemyż raczej jego początku do ogólnego stanu ówczesnego społeczeństwa Francji, do ducha zniszczenia jaki unosił się nad całym porządkiem socjalnym, i jak rak gangrenował wszelkie zasady, które porządek ten wyrobiły. Niepotrzeba tam było, możemy być pewni, Locka, Huma ani Kondyllaka, aby otworzyć tamy materjalizmowi i sceptycyzmowi, jaki wyrodził się wiekami w samém społeczeństwie francuzkiem i wrzał zaciśnięty w rozmaitych warstwach, dopóki o własnej sile nie wyrwał się z wnętrza potokiem lawy wulkanicznej. Gdyby nie to, czemużby w tém samém społeczeństwie śród którego tak szeroko rozrośł się krzew sensualizmu a nawet sceptycyzm, — czemużby, powiadam, w samej Anglii nie podtrzymywanej nawet idealnemi formami katolicyzmu, nie miał wyrodzić się podobny zwrot ze swemi następstwami, nie dopiero chodził sobie szukać innego społeczeństwa. Bo pokazuje się że między nim a filozofią w ścisłym znaczeniu wziętą (a taką jest filozofia angielska) nie ma loicznego związku, żadnej zależności.

Terazże nietylko nie rozumiem jakimby sposobem można uczynić Kanta dalszym ciągiem i niejako kopułą filozofii francuzkiej XVIII wieku, ale nawet nie mogę pojąć, jak można imię Kanta obok niej postawić. Dla przekonania się, że tu żadne zbliżenie miejsca mieć nie może, dosyć jest oznaczyć działania Kanta w dziedzinie filozofii, i czém ona była, póki on się do niej nie wmieszał.

Z jednej strony idea substancji Dekarta przez Spinozę do ostatecznego rozwinięcia doprowadzona, przeradza się w panteizm; z drugiej szkoła Lockego, o której mówiliśmy wyżej, apostołuje sensualizm, wlokąc za sobą znów odmienne systemata Berkeleyja i Humego. W środek takiego chaosu, w którym trudno prawdy się dopatrzeć, z pochodnią w ręku wchodzi szkoła szkocka, ale tchnienie jej zasłabło, aby mogło pogodzić walczące przeciw sobie pierwiastki. W Niemczech wtedy widzimy dwóch tylko filozofów: Leibniza, który stojąc między Lockem i Spinozą jako przeciwnik obu systematów, nie umie utrzymać równowagi i upada pod ciężarem olbrzymiej hipotezy monad; tudzież Wolfa, który usiłuje, ale bezskutecznie przyoblec system Leibniza w jakieś przystępniejsze kształty.

Kant patrzył na to wszystko i widząc niefortunność rezultatów myślenia ludzi umysłu rozległego, badał jej przyczyny i upatrywał, z którejby strony zacząć, aby usiłowania myśli czynione w celu dociekania prawdy, uczynić skuteczniejszymi. Owóż przyszedł do uznania, że powód takiego stanu rzeczy, leży w zbyt czynnym oddaniu się obiektywności. Filozofia dotychczasowa zajmuje się dociekaniami natury i możliwości bytu przedmiotów stanowiących kwestye najwyższe, a spuszcza z uwagi rzecz najważniejszą, to jest środek dociekania czyli rozum; i w tém błąd największy. Trzeba ją więc zwrócić na inną drogę: trzeba nasamprzód, aby rozum po oddzieleniu go od wszelkich pierwiastków obcych, wniknął w samego siebie, w swoje prawa i kategorie, aby obliczył swe siły i rozmierzył granice, aby się poznał z gruntu, nim przystąpi do stosunku z obiektem; a to dlatego, iżby wstępując na drogę badania, wiedział z góry jakimi środkami rozporządzać może, jak je zastosować, jak daleko badanie rozciągnąć i które przedmioty poddać może badaniu z jakim takim skutkiem.

Tym sposobem Kant ukazuje nam się jako prawodawca filozofii i wielki jej reformator. Stawia on ją na jedyniej właściwej drodze, z której nigdy zstępować nie może i nadaje jej równoważne prawdom matematycznym środki, mające wieść do dalszych celów badania prawdy; gdyż filozofia poznawszy swe czynniki i wiedząc jak i gdzie ich użyć, może odtąd liczyć na prawdziwość otrzymanych rezultatów.

Chciałbym wiedzieć, gdzie dotąd jest powinowactwo Kanta z niszczącą filozofią XVIII wieku; wszakże to jest budowa, fundament życia umysłowego, nie zaś narzędzie zniszczenia. Ale

idźmy dalej za dziełem Kanta, które nosi nazwę: «Krytyka czyścącego rozumu» i w którym mędrzec ten z najskrupulatniejszą ścisłością, anatomizuje stronę duchową człowieka, bada najdelikatniejsze jej odcienia, słowem rozczynia ją jak w chemicznym tygielku według słów Kremera: może tu gdziekolwiek napotkamy to powinowactwo.

W samej rzeczy, Kant po dopełnieniu analizy pojęć przestrzeni i czasu, przystępuje do rozbioru samego rozumu, siedliska ideału. Po zebraniu i krytycznym ocenieniu szczegółowych idei i pierwiastków rozumu, idzie sama z siebie kwestya, czy te pierwiastki i idee mają jaki odpowiedni byt obiektywny, czyli też są tylko formami naszego ducha i mają jedynie znaczenie subiektywne. Co za tryumf dla sceptyków. Kant kwestyą tę rozstrzyga na korzyść tej ostatniej tezy; idzie zatem, że cały świat zewnętrzny: Bóg i natura zamiast bytu rzeczywistego mają tylko byt w idei ducha naszego. Totóż Kant nie zadowolony takim rezultatem, tworzy zaraz systemat w systemacie czyli rozum w rozumie: jeden spekulacyjny idący bezwzględnie drogą nauki, drugi praktyczny stojący na czele woli i czynu. Ten utrzymuje prawdy, którym tamten zaprzecza i do tegoż rozumu Kant odnosi rezultat bytu rzeczywistego Boga, nieśmiertelności i tym podobnych pojęć. Otóż wszystko do czego Kant dążył i co przedsiębrał; innego kierunku nikt w dziełach jego nie dopatrzy. Wywód jego zbyt jest mozolnym, abym go tu mógł w szczegółach przytaczać, wskazuję tylko historycznie na sprawę Kanta, aby wykazać zupełną jego od tak zwaną filozofii XVIII wieku niezależność, témbardziej, że ta francuzka doktryna w ogóle nie przyjmowała się na niemieckiej ziemi, ale przez krótki tylko czas dworowała w pałacach Fryderyka Wielkiego.

Taki ja sobie wniosek z poglądu na te rzeczy wyprowadzam: nie mogę zgodzić się na początek filozofii XVIII wieku w Anglii ani na koniec jej w Kancie; ale stawiam ją na zupełnie odrębnym stanowisku, bardzo zewnętrznie upatrując tylko szczegóły, które ją z jednym i drugim wiążą, a którym ścisłe zastanawianie się nader małą przypisuje ważność. Jeżeli więc p. Bolesław-Wiktor ma na to przeciwne dowody, niech je przytoczy i tym sposobem powyższe zdanie swoje uzasadni.

D. 20 lipca 1858 r.

*Kazimierz Kaszewski.*

**CZAS**, DODATEK MIESIĘCZNY za miesiąc kwiecień 1858.  
(Tom X. Zeszyt 28).

Lucyan Siemieński w *przeglądzie piśmiennictwa* z powodu drugiego wydania *Felicyty* Odyńca, zajmuje się szczegółowym rozbiorem tego znakomitego utworu. Jakkolwiek rozkupienie prędkie pierwszej edycji dawało już rękojmią wartości *Felicyty*, młode pokolenie ziemi bliższej autora nie pojęło celu znaczenia tego dramatu, ani jego dążności. Przekrzywiwszy i jedno i drugie z sarkaniem go przyjęło, a zapal swój młodzieńczy na *Jordana* zwróciło. *Jordan* miał wprawdzie chwilową wziętość, ale ta coraz maleje; dziś już dopatrują w nim przy dążności szlachetnej, mierność artystyczną. *Felicyta* jako utwór prawdziwego talentu, wraca na właściwe stanowisko, które jej należy. Zwrócenie uwagi na ten dramat i ocenienie sumienne zawdzięczamy L. Siemieńskiemu.

«W chwilach, którebym nazwał twórczymi (pisze w swoim *przeglądzie*), a które przychodzą w dziejach literatury czasem raz tylko, czasem kilka razy, wyrabia się jakaś tajemna potęga ducha, rozdzielająca się na głowy stojące bliżej ogniska skupiającego w sobie najwyższą treść i siłę epoki. W następstwie, zazwyczaj słabnie ta potęga duchowa, a choć się zjawiają utwory wykończenie doskonałej formy, czyli utrzymujące się wszystkimi tajemnicami sztuki, jednakowoż brak im oryginalnego twórczego pierwiastku. Już dziś nawet moglibyśmy prawdę tę stwierdzić zastosowaniem w naszej literaturze na pisarzach występujących po epoce Mickiewiczowskiej, jak na tych co jeszcze z tej epoki pozostali. Nie jest to żadne uprzedzenie się dla pewnych imion lub rzecz smaku, ale rzeczywista wartość tych plodów, które wyniańczyły nową generacją piszących. Samo przemijające wrażenie jakie robią ich utwory, chociaż nacechowane niezmierną biegłością wierszowania i wyzyskiwania tajemnic i kombinacyj artystycznych najwymowniej świadczy, że intuicja i ciepło słabną w potomstwie Apollinowem. Jeżeli jeszcze co zaświeci, co rozgrzeje i porwie, to tylko taki utwór, co wyjdzie z pod pióra owego grona należącego do epoki litewskiego wieszcza, przedłużającej się do dziś i utrzymującej naszą literaturę na pewnej wysokości.

«Podług niektórych pojęć o postępie, powyższe twierdzenie policzonoby do ubliżającego bluźnierstwa; lecz jak wiadomo, do prawa postępu wcale nie stosuje się teoria o przyspieszonym biegu ciał, ale raczej teoria światła i ciepła

Im się bardziej oddalamy od głównego ogniska, tém większy chłód ogarnia: ogień w odbiciu nie grzeje.

«Wychodząc z powyższej uwagi, znajduje wymowne jój potwierdzenie w świeżym utworze A. E. Odyńca. Pisarz ten, przyjaciel Adama, współnik prac niektórych, acz nie ubiegający się o współzawodnictwo z wieszczem *par excellence*, umie w kreacyach swoich utrzymać cząstkę tego wielkiego ducha, jaki ożywił wieszczą i jego epokę. Co tylko wyjdzie zpod jego pióra, nosi to niestarte piętno, dające się wysledzić nawet tam, gdzie świetność pisarskiego talentu, siły ducha i czucia, nie dosięgają wysokości wymaganej po arcydziełach. Głębką prawdą chrześcijańską przepojony duch i serce Odyńca, wyciska na jego utworach piętno nadające im wartość wewnętrzną i odróżniające od tylu innych pisarzy, co hołdując samemu bożyszczu sztuki, poprzestają najczęściej na powierzchownych przymiotach, znachodzących chwilowe tylko powodzenie i uznanie. Słowem jestto pisarz z treścią, mąż wyrobiony wewnętrznie; dlatego myśli jego mają siłę zapłodniającą, zostają w czytelniku i zmuszają niejako łamać się z niemi, roztrząsać w sumieniu, i jeśli nie przyznawać im zupełnego zwycięstwa, przynajmniej wyciskać dla nich szacunek, jak dla wszystkiego co dobre i piękne. Nie jestto pisarz wstrząsający światem wyobrażeń, z rzędu tych, co wszystko ciągną pod pręgierz opinii, co serce biorą na próby, przysłuchując się kiedy ma pęknąć; co uniewiunniają każdą namiętność, a zwycięstwo nad namiętnością poczytują za brak temperamentu, czyli raczej nie wierzą, aby zwycięstwo zdało się na cokolwiek; przeciwnie, u niego panuje cisza i spokój siły wewnętrznej, a w blasku świętej prawdy, dającej mu natchnienie, nawet szpetności natury zesputej nie rażą swoją potwornością. W tym tu punkcie spotyka się u niego klassycyzm grecki z klassycyzmem poezyi chrześcijańskiej: tamta przez harmonijne uczucie proporcji i konturów, upiękniła nawet cielesne brzydoty; ta przez uczucie miłości Chrystusowej upiękniła moralne.»

Po tym wstępie przystępuje L. Siemiński do szczegółowego rozbioru Felicyty i stawia ją powyżej wszystkich dramatów, jakie nietylko u nas, lecz i zagranicą pisano. Podaje treść jego i przegląd dwóch pierwszych aktów z małemi wyjątkami.

Kazimierza hr. Wodzickiego: „Zapiski ornitologiczne o jaskółkach”, mają też samą wartość i powab, jakie odznaczają

prace tego czcigodnego a pełnego talentu ornitologa. Każdy jego ustęp z *Zapisek* czyta się z najmiłszem upodobaniem i z zajęciem takim, jakby czytając najciekawszą powieść. Łączymy tu nasze prośby z ogółem, aby p. Wodzicki przyspieszyć chciał wydanie całości, z której wyjątki czytamy. Dzieło to dozna jak najchlubniejszego przyjęcia; dla rozszerzenia zamiłowania tej pięknej nauki odda niemałe usługi, a młodemu rolnikom naszym odkryje uroki tej natury, na którą dotąd więcej obojętnym spoglądali okiem. W epoce materyalizmu, w który powoli grzęźniemy nietylko w miastach, ale i po skromnych niegdysź dworach wiejskich, gdy z nich zdaje się ulatać dawna a zacna prostota i sielska swoboda przy szlachetnej chudobie: pisarz, któryby potrafił urokiem poetycznym opromienić światki wiejski i wzruszyć serca wyższem uczuciem, na podziw jego cudów ręką Bożą hojnie rozlanych: czyż nie wyświadczyłby dobrodziejstwa nieocenionego, przywiązując do roli, do życia ziemiańskiego najsilniejszym węzłem, bo węzłem miłości dla tej ziemi i rozmiłowania w zawodzie rolniczym, który zbliża człowieka najwięcej do rozpoznania blisko cudów Bożych, w życiu jakkolwiek pełnem trudu, ale zarazem i w tej błogosławionej niepodległości i godności osobistej. W kraju jak nasz rolniczym, gdy młode pokolenie z miłością weźmie się do roli i zawód ten ziemiański za najpiękniejszy cel swój obierze, życie narodowe w czerstwych siłach odżywi się nowemi a zdrowemi sokami i dla przyszłości bujne przechowa plony. Różne są drogi dla rozbudzenia tego kierunku w młodem pokoleniu, ale oprócz nauki, potrzeba znaleźć najkrótszą, aby przemówić silnie, uroczo do tych serc młodych, nie zepsutych błotem ziemskim, nie pokalanych jeszcze żądzą materyalizmu. Autor „Zapisek ornitologicznych” może w tej mierze wielkie oddać usługi. Dzieło jego (a jak słyszeliśmy ma mieć je w większej polowie gotowe) malując z takim wdziękiem i talentem naturę ptastwa krajowego, dziwnym urokiem osnuwa swoje obrazki. Czytając je, mieszkaniec miasta tęskni serdecznie za ustroniem wiejskiem, aby mógł podziwiać te cuda, o których pisze, a Ziemianin z uczuciem, z zamiłowaniem, innem okiem spogląda na bociany klekocące na wysokim drzewie, to na jaskółki lepzące gniazdko swoje pod jego dachem. I mimowoli pada urok poetyczny na czytelnika myśl i serce: czuje pociąg wyższej i czej, nie wysławiony, do tej polskiej wioski, do tej roli, do tego małego światka sielskiego, cichej ustroni, gdzie tyła cudami Bożemi może się napawać.

Autor we wstępie o *Jaskółkach* nie dowierza zachęcie naszej, którąśmy wynurzyli w naszym piśmie, przywołując nasze słowa: „Zapiski ornitologiczne stylem i treścią zajmując się odznaczają; gdyby autor przedsięwziął historią naturalną kraju, dzieło to pewnieby więcej pokupu znalazło i więcej zajęcia wzbudziło, jak wszystkie romanse”. Ten głos pochlebny (mówi) miałby być prawdą? Temu nie uwierzę i wolę pozostać w przekonaniu, że to nowy bodziec dla szlachcica, co czasem pióro głębiej zamacza, jak do zapisywania w registrach”.

Może teraz więcej p. Wodzicki uwierzy, odczytawszy wyższe znaczenie swęj pracy i wpływ na nasze społeczeństwo. Wynurzamy zdanie nasze z całym sumiennym przekonaniem; dzieło takie, to nietylko zasługa literacka, ale wyższa, bo zasługa obywatelska. Kto do niej powołany, musi odłożyć na bok skromność, co cechuje prawdziwy talent, a jąc się oburącz pracy i z wytrwałością do celu wskazanego podążyć. Rozszerzyliśmy się nad *Zapiskami ornitologicznemi*, a to może posłużyć szanownemu autorowi, jak wysokie znaczenie i wartość przywiązujemy do jego pracy. Trudno z tych *Zapisek* podać naszym czytelnikom wyjątki; trzeba bowiem niemal co do słowa wszystko przepisać: dalecy od piraterii naszych księgarzy, szanujący własność autorską, na ogólnym poglądzie poprzestajemy.

M. B. Antoniewicz poeta galicyjski z wielu prac już znany oddawna, ogłosił w *Dodatku Czasu* poemat obszernych rozmiarów p. n. *Dziewczę z Martigues*. «Przez wdzięczność (pisze w swoim objaśnieniu) za przyjaźń i za przetłumaczenie kilku moich mniejszych utworów dla ś. p. *Lenana*, wzięłem niektóre motywa z jego poezyi do niniejszego poematu, które polski czytelnik łatwo rozezna. Rzecz się dzieje za panowania Władysława IV podczas wojny Francyi z Hiszpanią, gdy kardynał Richelieu, płynącego na genueńskim statku w odwiedziny do swoich hiszpańskich krewnych Jana Kazimierza, a zagnanego burzą na brzeg marsylski, uwięzić rozkazał».

*Rady i zwady niewiast o wielożeństwie* (ze zbioru wiadomości o Krakowie) Józefa Mączyńskiego. Jestto w powieściowych ramach ustęp z dziejów wewnętrznych za czasów Zygmunta Augusta, rozszerzającej się u nas, a głównie w Krakowie reformy religijnej i przybycia do tego miasta sławnego *Ockina*.

W *Kronice*, korespondent z Poznania, wielkopolskiego poety, wielkopolski kwiatek, drobny (jak wyraża), lecz nader wdzięczny, świeży, wonny, przesyła p. n.:

## ZWIĄZEK SERCA Z NATURĄ,

Chcesz wiedzieć jak się człowiek z naturą spokrewnia,  
 Z nią się cieszy, z nią marzy, smuci lub rozrzewnia?  
 Zważaj młodą dziewicę, co się kocha skrycie,  
 A ujrzyś jak jęć głębsze, tajemnicze życie  
 Wiąże się z przyrodzeniem; ona wie i słyszy  
 Czego kwiatki kwiateczkom zwierzają się w ciszy;  
 Ona sercem wtoruje słowikowi w śpiewie,  
 Wie, co ptaszek ptaszкови powiada na drzewie;  
 Wie, za czem pszczołka goni, dokąd motyl leci,  
 Wybrana przez nią gwiazdka, na jęć niebie świeci;  
 Ona wszystkie promienie, wszystkie marzeń roje,  
 Wszystkie dźwięki i wonie wciąga w serce swoje;  
 Dla niej świat ten niezmierny jest miłości światem,  
 Jeden rzut oka szczęściem, a iza poematem.

Wiersh ten przywiedliśmy w całości: po samym toku i języku łatwo odkryć autora, który pomimo sędziwego wieku, tyle jeszcze w sercu swoim przechował prawdziwej poezyi i umie ją słowami przelać w czytelnika. Zrobimy tu tylko małą uwagę nad wyrażeniem korespondenta, który uważa autora powyższej poezyi za wielkopolskiego poetę. Czy chce przez to objawić, że uznaje *powiatowszczyzną* literacką i dzielić poetów na wielkopolskich, małopolskich, mazowieckich, litewskich, wołyńskich, podolskich, ukraińskich, zmudzkiich i t. p.? Taki podział jako nierozważny, szkodliwy, już nieraz skarcono i jest słuszną zasada poskramiać takie nieogłędne wybryki prowincjonalizmu. Mamy dosyć pisarzy gawęd i obrazków to wierszem to prozą, co się przymilają wykrzyknikami, jak np. *Litwo kochana*, albo *Litwini serdeczni*: to jak dawniej do Wołynia, Podola i Ukrainy zwroty, aby zyskać sympatyą swoich czytelników, a okryć bardzo często słabość utworu i mierność własnego talentu. Tego rodzaju umizgi *powiatowe* już spowszechniały i nie życzymy wcale, aby były odgrzewane. Co pisane polskim językiem i myślą, to do całego kraju należy, nie do prowincyi albo powiatu. Mamy wiele utworów takich, którym brak i narodowej myśli, serca i języka: te chętnie na sławę *powiatowszczyzny* oddać możemy, gdybyśmy w takim podziale zawsze szkody ważnej nie ponosili.

Korespondenci gazet warszawskich ogłosili, że *Dodatek do Czasu* przestaje wychodzić. Musi mieć to pismo prawdziwą wartość, kiedy wiadomość ta miłośników literatury ojczyściej zasmuciła. Z pewnego zatem źródła donosimy czytelnikom



naszym, że dotąd żadnej nie ma pewności co do zamknięcia tego pisma; otrzymaliśmy nawet zapewnienie, że jeżeliby *Dodatek do Czasu* ustał, pod innym tytułem pismo téjże treści w miesięcznych zeszytach bezzwłocznie wydawaném będzie. *Dodatek Czasu*, którego już 10 tomów mamy, niemałe usługi oddał literaturze ojczyściej; oprócz bowiem pełnych wartości artykułów, powołał do pióra takich, którzyby nie pomyśleli o pracy literackiej, a przecież to co podali do tego pisma, nie mało mu wagi dodaje. Lwów nie ma poważniejszego organu; o piśmie miesięcznem z Zakładu Ossolińskich, o czém mówiono, przygłuchło: cała przeto Galicya i W. księstwo krakowskie nie miałyby pisma, któreby prawdziwej naukowej wartości prace, nie chwilowej wziętości, mieściło. Missyą tę spełniał dotąd *Dodatek Czasu*, a prowadzony ręką doświadczoną Lucyana Siemienińskiego, potrafił zająć stanowisko odpowiednie zasłudze. Sądzymy przeto, że gorliwi o utrzymanie tak ważnego organu literackiego potrafią i nadal byt jego utrwalić, chociażby przy zmianie tytułu.

K. Wł. W.

**CZAS, DODATEK MIESIĘCZNY.** Maj 1858 r. (Tom X zeszyt 29).

W Przeglądzie piśmiennictwa L. Siemieński dokończa uwagi swoje nad aktami 3, 4 i 5 Felicyty A. E. Odyńca. Wykazując słabsze miejsca, brak w niektórych ustępach życia dramatycznego, z całą ścisłością sumiennego krytyka pokazuje stronę piękną tego wzniosłego utworu. Z powodu charakteru młodego *Kwintusa*, który pomiędzy chrześcianami odznaczając się zapalem i skorością do wybuchu, a na torturach słaby i niedołężny odwołuje wszystko; czytamy: „Epizod ten, wzięty żywcem z natury, z przykładów może świeżych, miał jak słyshałem pogniwać pewną młodzież na poetę, która w tém widziała wyszydzenie jój zapalu. Jeżeli to prawda, fakt byłby zasmucającym: miałaby niecierpliwa porywczność, chwilowa zapalność, chętką odznaczenia się, buta młokosia więcej wzbudzić czci, niż spokojny, wytrwały, cierpliwy, pokorny charakter chrześciańskiego męża, który nie wyzywa prześladowań, ale gdy nań spadną, znosi je i nigdy się nie zaprze swój wiary? Takie skrzywienie najprostszycy pojęć, zapewne było wynikiem chwi-

lowej gorączki, która aż podszeptała zabawną zemstę—zakupna pierwszej edycji Felicjty i skazania jej na auto-da-fe. W rzeczy samej pierwsza edycja należy dziś do rzadkości, a sposób wytopiania szkodliwych książek przez ogień, tak wyszydany, kiedy go używała inkwizycja, nie znalazł ani jednego głosu karzącego, kiedy obalane głowy niszczyły najlepszą może książkę, jaka w tych czasach wyszła. Szczęściem edycja zrobiona w Poznaniu, unieważniła tę zemstę, która oby należała do bajecznej historii naszych czasów”. O tym auto-da-fe—dotąd nie wiedzieliśmy: fakt byłby to osobliwy, i musimy oczekiwać potwierdzenia czy autora Felicjty, czy bliżej patrzących nań w miejscu.

L. Siemiński zamyka swój rozbiór temi słowy:

„Kończąc przegląd tego znakomitego utworu Odyńca, to tylko dodam, że jakkolwiek nie jest on ujęty w karby ścisłego dramatu, mimo tego nie przestanie być wspaniałym szeregiem obrazów, przenoszących czytelnika w owe wieki walk duchowych, które mniej są od nas odległe, niż uczy chronologia, a więcej zrozumiałe i budujące, niż nie jeden systemat uległy w głowie świat przerabiającego pyszałka.

«Praktycznie święta myśl: że udoskonalenie wewnętrzne zdolne jest złamać cielesną władzę szatana, i zapewnić tryumf prawdzie, nie tylko obudza się i utwierdza w duszy czytelnika po odczytaniu Felicjty, ale nadto wskazuje mu drogi do tego doskonalenia się, stawia wątpliwości i sidła, i uczy pokonywać je głębokością przekonań i wiarą. Niektórzy spokój chrześcijanina, cierpliwość i pokorę, radzi nazywają biernością, kwietyzmem, negacją czynu i t. d., a zalecając ruchliwe szamotanie się w czczości, zapominają, że takowe nigdy nic nie rozstrzyga, jak nie byłoby rozstrzygło tryumfu krzyża nad pogany.”

Wybornych *Zapisek ornitologicznych* Kazimierza hr. Wodzickiego o *jaskółkach* mamy dokończenie, jak równie *Rad i zwad niewiast o wielożeństwie*, Józefa Mączyńskiego. Wspomnienie o Franciszku René Chateaubriand'zie przez A. E. Kozmiana pokazuje w nim obok człowieka wzniosłej i szlachetnej duszy, poetycznego geniuszu, z darem potężnego słowa, zarazem pełnego próżności i dumy: dodajmy i lekkomyślności zwykłej Francuzom, która dobitnie cechuje ich charakter wraz z samochwalstwem.

Pięknym jest list Antoniego Oleszczyńskiego pisany do Andrzeja hr. Zamoyskiego przy przesłaniu wizerunku Jana Za-

moyskiego kanclerza W. koronnego jemu dydykowanego, w którym rozwija ten artysta myśli swoje o wpływie sztuk pięknych na rękodzieła i przemysł.

Z poezyi czytamy Juliusza Słowackiego wiersz: „Na monumencie druidycznym w Bretonii”; A. E. Odyńca: „Historycy do Kazimierza Wład. Wójcickiego”; Konstantego Gaszyńskiego: „Pieśni z księgi młodości” i Teofila Lenartowicza: „Lira przyjaciółka” który w całości podajemy:

Gdzieżeś moja szczęsna doło,

Gdzieś mi się podziela?

Od znużenia kości bola

Broda posiwiiała.

Posiwiiała moja broda

Na chlebie tulaczem,

Sama z oczu leci woda,

Placzę, nie wiem za czem:

Czy za moją za rodziną,

Com jój nie znał prawie;

Ozy za miłą mą družyną,

Za trzcina na stawie?

Jeśli placzę to nie za tém,

Lecz za oną siłą,

Co na boju z całym światem

Tyle jój ubył.

Przy mnie, za mną wszędzie wrogi

Na me życie godzą,

A tu biedne moje nogi

Zaledwie że chodzą.

Hej! wy orły i sokoly,

Towarzysze sławni,

Na równiny obszar goły

Zlećcie się jak dawniej.

Po co tobie dziadu śnieżny

Orla i sokola?

Żaden ciebie ptak drapieżny,

Obronić nie zdoła.

Lira twoja przyjaciółka,

Jedyna pod ręką,

Opatrz struny, przykręć kółka,

Pogadaj z lirenką.

Jeśli ona nie rozbroi,

Złych nie porozumiata,

To i przyjdzie duszy twojej

Wędrować ze świata.

W *Kronice*, która chwilowe życie różnych miast europejskich odbija zazwyczaj od Krakowa, mamy i ważne sprawozdania z pola literatury. Tak w korespondencji z *Poznania* czytamy obszerny przegląd o *Porankach karlsbadzkich*, których treścią jest głównie kwestya włościańska, i o trzecim zeszytzie na r. b. Przeglądu poznańskiego. Wyliczając przedmioty w nim zawarte, zwraca uwagę na zręczne porównanie Władysława Jagielly z Zygmuntem III przez Morzyckiego, obywatela naszego, który pracami swemi i ofiarami zaszczytne wyrobił sobie imię. W końcu tego zeszytu jest wiadomość, że z ramienia stolicy apostolskiej na dniu 6 maja, wyrok potępiający dzieła drukowane Towiańskiego wydany został, to jest: „Biesiady” (Agape) i „O kapłanie gorliwym”. „Oby ten wyrok (kończy korespondent poznański) ze skały Piotrowej światu katolickiemu ogłoszony, upamiętał rodaków naszych w małej liczbie trwających jeszcze w zaślepieniu i w błędzie”.

W.

## KORRESPONDENECYJE.

*Chrystus w grobie: posąg naturalnej wielkości z marmuru białego, roboty p. Oskara Sosnowskiego i przez tegoż ofiarowany kościołowi OO. Karmelitów w Warszawie.*

Dzieło to przedmiotem, który wyraża, wykończeniem, a nawet rozmiarami swemi wychodząc poza granice mierności, zasługuje na głębszą uwagę, tak, że wszelkie komunały w ocenieniu go śmiesznymi tylko wydać się muszą.

Ktokolwiek badał dzieje ludzkości na drodze historii albo filozofii, spostrzeżę, że sztuki piękne wiernie towarzysząc jej kolejom, stanowią jakoby zwierciadło, w którym taż ludzkość z całą prawdą się odbija.

Drugim przypuszczeniem podobnie nie zdającym się podlegać wątpieniu, jest, że droga po której Opatrzność zamierzyła przeprowadzić ludzkość, dzieli się na pewne ustępy, również w historii sztuki widne. Czyli i o ile skarby rozumu i serca nagromadzone w każdej poprzedniej epoce, użytecznia następna, zdaje się, że na to odpowiadać niepotrzeba, zwłaszcza, kiedy fakta same, najniedorzeczniejsze przypuszczenia na tej drodze zwalczają.

Streszczając do najprostszych orzeczeń historią porównawczą ludzkości z epoki przedchrześcijańskiej z epoką po niej następującą, dostrzegamy: że tłem jej życia jest walka ducha z materją czyli zmysłów z umysłem, a nadto, że walka ta rozpoczęta przed wiekami (a może nie wedle programu przez historją przepisanego) trwa ciągle w jednakowej sile; lubo środki walki ogromnie się zmieniły, tak, że tłumacząc się więcej plastycznie, powiedzieć można, że wojna krwawa z całym swym bohaterstwem, lecz i szpetnością zarazem ustąpiła miejsca dyplomacyi także dwie strony mającej. Sztuki piękne dokładnie metamorfozę tę powtórzyły, przybierając sobie w miarę potrzeby oddzielne organa. Naturalnie, zwierciadła potrzebne dla odbicia wojujących gigantów okazały się zbyt wielkich rozmiarów dla chuderlawych dyplomatów.

Przypuszczenie to jakkolwiek z pozoru paradoxalne możnaby szczerogółowo usprawiedliwić, na co wszakże ramy artykułu niniejszego nie pozwalają.

Przechodząc następnie do przedmiotu głównie nas zajmującego z wiarą w pobratymstwo sztuk, o pracy p. Sosnowskiego ośmielamy się powiedzieć: jestto poemat napisany greckimi głoskami, rzymskim rytmem i nie w polskim języku; poemat malujący jedną z najwznępszych chwil poranku dnia wielkiego przed dziewiętnastą wiekami rozpoczętego.

Przy tak trudnych danych p. Sosnowski zrobił wiele, bardzo wiele, tak, że chlubić się nim możemy wszyscy: Chrystusa w tej pozycyi i tak

pięknego po ludzku kraj nasz dotąd nie posiadał. Lecz czemuż zaraz po tém serdeczném, szczerém wynurzeniu naszej wdzięczności utalentowanemu ziomkowi nastęcza się to nieszczęsne, a tak dziś konieczne w naszym spekulacyjnym wieku pytanie, jakie długi (więcej niż hipoteczne, gdyż nie dające się umorzyć) ciąży na tém dziele sztuki!

Pytanie to przez pogardę estetyka dla materyalizmu, pozwólcie czytelnicy znievažić późniejszą odpowiedzią i suchém zregestrowaniem dostrzeżonych niedostatków: wprzódy zatrzymajmy się jeszcze przez chwilę w krainie ducha, którą posąg Chrystusa tak uroczą przed nami otwiera.

Z poprzednich wywodów przychodzimy do wniosku, że epoka przedchrześcijańska musiała mieć w sztukach pięknych przedstawicielkę dobitniej ją charakteryzującą, i tak jest w istocie: była nią rzeźba, tak, jak organem następnej epoki jest malarstwo. Lubo nie idzie za tém, aby przedmiotów chrześcijańskich nie można było równie dobitnie wystawiać w rzeźbie, i wzajemnie: zawsze jednak jestto bardzo trudnem zadaniem; ileż talentu, sumiennosci i pilności mieć trzeba, aby na tej drodze wyjść zwycięzko!

Nie spuszczać z uwagi dzieła p. Sosnowskiego idźmy śladem za Synem Maryi.

Chrystus, ten symbol panowania ducha nad materją, w jakich pozycjach da się najdobitniej wyrazić w rzeźbie? Zdaniem naszym we wszystkich, jakie nam życie jego ukazuje, z wyłączeniem krwawej ofiary z jej wstępem i następstwami: Wniebowstąpienie zda się stanowić tu granicę. Malarstwo ogarnia wszystkie bez wyłączenia. Cierń, trzcina, te narzędzia męki Chrystusa trudno przedstawiać w rzeźbie, z uwagi już na przejrzystość materiału (marmuru białego lub alabastru) najpospoliej do posagowania używanego, już na brak wzorów w arcydziełach skultury przekazanych nam przez starożytność; dwa te bowiem krzewy dawniej upośledzone nabrały dopiero znaczenia, stawszy się narzędziami męki Zbawiciela; dalej krew, co tak ważną rolę zajmuje w życiu Chrystusa, poczawszy od ostatniej Jego z uczniami wieczerzy aż po dramat kalwaryjski, czyż znajdzie w rzeźbie tak dobitne wyrażenie jakie jej daje malarstwo? Wprawdzie pozycja Chrystusa w grobie, uwalnia artystę rzeźbiarza od użycia tych dwóch, że się tak wyrażę zgłosek, jednak otwarta rana, choćby u nieżywego człowieka nie przestaje być raną.

Pozycja człowieka złożonego w grobie, choćby nawet Boga-człowieka jest zdaniem naszym niewdzięczną dla rzeźbiarza. Śmiertelną bezwładność ciała przy zachowaniu boskości chroniącej toż ciało od każdychwilowego postępu ku nicestwu, malarstwo potrafi cudownie wyrazić, rzeźba bardzo rzadko; w tej ostatniej najczęściej artysta zbyt dobitnie przedstawi bezwładność ciała, mało różniącą go od masy stanowiącej podstawę posągu.

Bóstwo Chrystusa nie trudne do wyrażenia w więcej niż rzeźba idealnem malarstwie, przedstawia dla tego ostatniego nierównie obszerniejsze pole w oddaniu najszlachetniejszej części ciała: głowy. Oczy, te ogniska duszy, ich kolor, karnacja twarzy, kolor włosów, a wreszcie aureola, to potężne środki, ale tylko malarzowi w zupełnej swobodzie

użycia zostawione. Szkoda zatem, że p. Sos... nie jest malarzem, powie złośliwy krytyk na krytyka. Nie—tomu raz jeszcze odpowiadamy, że z p. Sos... jako rzeźbiarza szczyścić się nie przestaniemy.

Z niechęcią wracając do ciążącego na nas długu w kategoriycznym wyluszczeniu naszych *ale*, zaczynamy od zarzutu najmniej zapewne dającego się usprawiedliwić.

Bohdan Zaleski w poemacie swym: „Przenajświętsza rodzina,” a Zarzycki w obrazie Najświętszej Panny obecnie na wystawie krajowej znajdującym się, pobalamcili nas, ale tak jakoś rozkosznie, że trudno rozstać się z tą chętką. Obydwa nie zmieniając ani na jotę powagi Pisina Ś., nie kładąc w niczem sztuki, pozwalają w tak świętych jak Maryi i Józefa postaciach dopatrywać coś naszego polskiego, tak, że zdaje się, jakoby to były postacie z pośród nas wybrane, jakby przez nie przegłądał nasz kraj, (jak się wyraża o obrazie Zarzyckiego sprawozdawca Wystawy krakowskiej w Czasie). Obadwa tak cudownie ukryli sekret ten przed okiem cudzoziemców, że tylko my go dostrzegamy. W posągu p. Sos... widzimy torsy ciała greckie, twarz rzymską i to mu za błąd liczymy: brak polskości w twarzy to tylko indywidualne, kapryśne wymaganie. Lecz Chrystus nie był ani Grekiem, ani Rzymianinem, a przecie piękne, żyjące wzory narodowości Chrystusa tak są liczne nawet u nas w kraju. Już to widać z dzieła, które mamy przed oczyma, że p. Sos... w blizkich zostaje stosunkach z wzorami klasycyzmu, w które Rzym obfituje, i to za wielce obiecującą uważamy w nim zasługę, boć dosyć już niedojrzałe, samoistne fantazje narobiły szkody u nas w dziedzinie sztuki.

Z błędów więcej bijących spostrzegamy: wierzchnia połowa figury jest krótszą od dolnej, włosy na głowie zaciężkie, w brodzie zaś nie wykończony, tak zanadto przebija się w nich masa marmuru, z której zostały ukształtowane.

Klatka piersiowa w górnej połowie, jakkolwiek dosyć odpowiada atletycznemu kształtowi ciała, zda się być zanadto okrągła.

Więzna muskularne ramion mało wydatne, ramiona same w osadzie zbyt okrągłe.

Ręce tchną życiem, nienaturalne zatem w przedstawieniu człowieka umarłego, zwłaszcza przy mistrzowskim oddaniu śmierci w ułożeniu nóg, (może to artysta umyślnie zrobił dla wyrażenia nadziei zmartwychwstania).

Plótno okrywające drugą połowę figury zanadto zmoczone, razi w układzie fałdów zbytnią systematycznością; rana w lewym boku włócznią zadana wypada na samem żebrze.

Oto podobno już wszystko, a może i nie wszystko, a jednak jakież to wszystko i wypowiedziane i zamilczane mało znaczące w porównaniu z radością i nadzieją, że ziomek nasz obdarzony z natury niepospolitym talentem, wykształcony wszechstronnie, niezależny od względów krępujących nie jedne dobre chęci, pracuje dla sławy kraju.

K. D.

## Do redakcji Biblioteki Warszawskiej.

## O CZASOPIŚMIE „Słowo” (\*).

Wiadomo zapewne redakcyi, iż wkrótce w Petersburgu ma być wydawanem nowe polskie pismo peryodyczne pod tytułem: „Słowo”, składające się z wychodzącej dwa razy w tygodniu gazety politycznej, i miesięcznego naukowo-literaturnego dodatku. Piękna przyszłość należy piśmu temu, jeżeli prenumerata podtrzyma istnienie jego, a to niezawodnie nastąpi, jeżeli tylko redakcyja nowego pisma pójdzie po racjonalnej drodze, o czém chcemy wyrazić nasze zdanie.

Nowy czasopism położony będzie w bardzo szczęśliwych okolicznościach, z których pozostaje tylko umiejętnie skorzystać. Polska literatura straciła równowagę: w niej estetyczna strona zabardzo przeważa utylitarną. Literatura jestto pokarm umysłowy, podlegający tymże prawom przyrodzonym jak i pokarm materyalny. Polska literatura po większej części unosi się w sferze idealnej, z kąd wynika dla czytelników pewny przesyt, chorobliwy stan wycieńczenia, podobny do ekliwkości, wynikającej od nadmiarowego używania słodkich, desserowych pokarmów. Dla uniknienia przesyty i wynikającej z niego apatyi umysłowej, należy rozszerzyć element utylitarny. Bakon dzieli wszystkie nauki na trzy działy: historią, poezją i filozofią. Rozdzielenie to zasadza na liczbie zdolności duszy, dopuszczając, iż każda zdolność daje początek osobnej gruppie nauk. Trzy są podług niego, główne zdolności duszy: pamięć, wyobrażenia i rozum. Historia jest utworem pierwszej, poezya drugiej, filozofia wpływem rozumu. Przedmiotami filozofii podług Bakona są: zaświat, przyrodzenie i człowiek. Nie wehodząc w krytyczny pogląd na dział Bakona, ogólnie powiemy, iż te nauki które stanowią zakres czystego rozumu, słaby przyjmują udział w całości naszego umysłowego ruchu; i że niedoleżność podobnego położenia tak jest widoczną, iż nie wymaga żadnych dowodów.

W ostatnich czasach ruska literatura znacznie wzrosła: znacznie powiększyły się liczby piszących i czytających. Przyczyną tego element utylitarny. Nowy kierunek literatury rozbudził żywe interesy społeczne, wyszedł z okresu umysłowej przyjemności, rozkoszy, i wszedł w samą istotę czytelników: cierpienia i radości ich, nadzieje i namiętności, zalety i plamy, wogóle wszystko osobiste w każdym z czytelników poruszył nowy kierunek literatury. Oczywiście, iż podobna działalność musiała silnie ożywić ruch umysłowy społeczeństwa. Ono w nowj literaturze zaczęło szukać i znalazło nietylko rozkoszowanie się po trudach życia rzeczywistego, lecz samo życie, samą rzeczywistość: nietylko słodki odpoczynek po praey, lecz samą pracę, namiętne spólczenie lub antypatją. Czytajace towarzystwo pojęło wpływ literatury na jego terażniejszość i przyszłość.

(\*) Korrespondencją tę, bez żadnej zmiany stylu i wyrażeń całkowicie umieszczamy.

i przyjęło w losach jój takż czynny udział, jaki ma zwykle we wszystkich własnych swych interesach. Podobny kierunek przyjęty przez petersburski organ literatury naszój, niezawodnie doprowadzi do podobnychże rezultatów, t. j. do rozszerzenia sfery, w której krąży nasz ruch umysłowy, i, przez wzbudzenie nowych interesów, do znacznego zwiększenia liczby czytających.

Wróżba nasza o pomyślnój przyszłości nowego czasopisma zasadza się na tém, iż ze strony czytającego naszego towarzystwa istnieje żądanie praktycznego i żywotnego elementu, i że punkt petersburski jest dogodnym dla zadowolenia takowego żądania. Postaramy się udowodnić ostatnią naszą zasadę.

W Nr. 7 Ruskiego Wiestnika za rok bieżący, pomieszczony artykuł G. Wyzińskiego: „Charakter politycznej i administratywnej reformy w Anglii”. Artykuł ten kończy się następną myślą. „Zawiązem artykuł nasz myślą, która rozjaśnia się coraz więcej i więcej dla każdego, kogo interesują losy ludzkości; myślą, którą zaczynają ogłaszać na mityngach w Anglii, z katedr professorskich we Francyi, wszędzie w pismach historyków i publicystów. Na teatrze świata zostały teraz dwie rasy, do których należy przyszłość: jedna z nich, wielkie plemię anglo-saksońskie w Anglii, Ameryce i w koloniach; druga, wielkie plemię słowiańskie. Pierwsze daleko już zaszło w swym rozwoju; zadziwia siła jego ekspansywna; półtorasta milionów ludzi mówić będzie językiem jego w końcu XIX wieku. Już dostatecznie określił się charakter działalności, rola i znaczenie jego w historii. Drugie plemię jeszcze nie określiło swego kształtu, i dopiero zaczyna rozwijać się; lecz widzimy w niém taką masę sił materyalnych, taką świeżość, taką wrażliwość, taką gotowość ku przyjęciu wszelkiej szerokiej i wielkiej idei, taką zdolność do entuzyazmu, zachwycenia, poezyi, ciepłego uczucia, że nie możemy wątpić o przyszłości jego. Nie jesteśmy w stanie odgadnąć do czego ono dojdzie, i możemy tylko powiedzieć—do czego wielkiego”.

Przetłumaczony ustęp rodzi w nas dwie myśli, które wyrazim, chociaż one oddalają nas trochę od głównego przedmiotu. Nie zgadzamy się z p. G. Wyzińskim, iż na teatrze świata zostały dwie tylko rasy, do których należy przyszłość; do liczby takowych anty-egoistyczne pojęcia każą przyłączyć jeszcze trzy skupienia społeczne, a mianowicie: Chiny, Indye i Południową Amerykę. Zwolna lecz potężnie kraje te przejawiają nowe dążenia ku sformowaniu energicznego mocarnego organizmu, na nowych racjonalnych zasadach. Druga myśl bliżej się nas dotyczy. To że należemy do jednej z przeważnych przodkujących rass, wkłada na nas i stosowne wielkie obowiązki: literatura nasza jako naukowa tak i estetyczna, powiina wyjść z ciasnego miejscowego obrębu, i wstąpić na arenę wszechświatną; powinna myśleć nietylko o sobie, lecz interesować się całym życiem ludzkości. A to tém bardziej jest prawdą, iż nauka i duch czasu prowadzi ludzkość w zupełnie nowe strefy: z jednej strony wszechświatna solidarność wiązuje społeczeństwa porwane i rozjednione greko-rzymską cywilizacją; z drugiej strony, na miejsce przewagi siły i powierzchownego blasku, występują prawa umysłu i prawdy, i dążenia do rzeczywistego szczęścia. Coraz jaśniej i jaśniej zaczynamy pojmować, iż wiele starych



dążeń naszych, wiele blasków, z których dumnie szczyciliśmy się, było: fata morgana, niedoleżne mamidła.

Wrócimy do przedmiotu t. j. do kierunku i znaczenia, które żądałbyśmy spotkać w nowym naszym czasopiśmie.

To co powiedzieliśmy wyżej, decyduje o wadze dwóch literatur: słowiańskiej i angielskiej. Pierwsza w Petersburgu bardzo żywotnie zaczyna się rozwijać; druga w tymże punkcie, znajomą jest i coraz więcej nabiera praw obywatelstwa. Francuzka literatura w tym czasie podupadła, męczy się w zakątach rutyny i zgrzybiałych greko-rzymskich pojęć. Niemiecka literatura najwłaściwiej przez zachodnie granice zakresu polskiej literatury, powinna wkroczać po nią. Z Petersburga możemy nswajać elementy angielski i północno-słowiański. Nie rozróżniając z jakiego świata pochodzą, angielskiego lub rosyjskiego, wymienim kilka nowonarodzonych pojęć, których czytelnicy nasi pragnąć powinni i pragną, i które nowy czasopism nwnaśnić nam winien.

Na pierwszym planie miło nam postawić to zamiłowanie prawdy, które dąży ku przeniknieniu nią całego życia społecznego, ku wkroczeniu w nasze zwyczaje i obyczaje, ku potępieniu wszystkiego co jest fałszem, w jakiegokolwiek formie on się przejawiał, i jakaby, chociażby uświęconą autorytetami nazwę nosił: przywoitość czy dyplomacya, rozkosz czy blask pożyczalny, tradycya czy nadużycie, zamiarowe skrywanie prawdy czy niedoleżność w jej pojmovaniu. Dzieło Tekkereja o „Snobach” genialnie dowodzi nam, jak głęboko i szeroko fałsz usadowił się w naszym życiu: cóż albowiem jest snobizm, jeżeli nie uzasadnienie na fałszywych pojęciach naszych społecznych stosunków. Prawda, istota rzeczy, prawda zawsze i wszędzie, prawda bezwarunkowa—jako najwyższa potęga świata—oto godło, które powinno przyjąć nowe nasze pismo. Pogarda kłamstwa, chociażby ono było stare jak świat, chociażby ono było naszej produkcyi, chociażby ono liczyło się u nas do rzędu cnót domowych i obywatelskich, chociażby ono miało za sobą większość czytających, potęgę pleśniejącej rutyny—oto druga przeciwiełość, droga dla nowego czasopismu. Droga ta nie lekką będzie, bo rzymskie prawo wniosło do życia naszego wiele mylnych pogańskich pojęć, które tak spotężaly, iż nważamy je teraz za nasze rodzime, pokrewne. Lecz bez walki, bez pracy, która zaczyna być pierwszym prawem do wszelkiej godności, żaden postęp nie może być osiągnięty.

Na drugim miejscu postawimy nowe pojęcie (przynajmniej nowy różkwit jego) o pracach nieprodukcyjnych. Każdy nieco oзнакомиł się z tą teorią, spojrzawszy na działalność społeczną, łatwo zauważa, jak wielka liczba ludzi ma zatrudnieniem obowiązki, spełnianie których nie przynosi korzyści ani materialnych, ani intelektualnych. Rzecz jasna, iż ci co pracują produkcyjnie, muszą żyć w pierwszych. Przyjemne są zaświatowe abstrakcye, ale pierwsze potrzeby człowieka także mają swe prawa: trudno marzyć zmordowanemu nadmiarem pracy i cierpiącemu przytęm niedostatek. Im więcej ludzi pracować będzie produkcyjnie, tem więcej produkować się będzie przedmiotów dla zadowolenia naszych potrzeb; tem równomierniej rozdzielią się bogactwa i trudy, w ogóle prawa i obowiązki nasze; tem obszerniej rozleje się cywilizacya—rozwój bowiem intelektualny jest wynikiem rozwoju materialnego. Dostatecznie z tego możemy pojąć,

o ile ważnem jest odkrycie, wykazanie i prześladowanie prac nieprodukcyjnych.

Do tych należy wiele przedmiotów, któremi obciążają pamięć młodzieży w społecznych zakładach naukowych. W społecznej literaturze rozkwitło zadanie o wychowaniu i kształceniu młodzieży. Dowodnie wykazana daremna strata sił, które wycieńcza młodzież dla wyuczenia się na pamięć mnóstwa niezwiązanych nazw, imion, liczb i faktów w obrębach historii, geografii, statystyki; także dla zagwoźdżenia w pamięci mnóstwa prawideł grammatycznych, szczegółów różnych nauk, które (t. j. szczegółów) nie uczą myśleć, i nie są potrzebnymi dla wyjaśnienia ogólnych pryncypiów. Oprócz tego artykuły o wychowaniu rozkryły wiele nader wzniosłych pojęć, a mianowicie: o znaczeniu prawdziwej moralności; o konkretnem znaczeniu nauki i uczenia się, które powinno zaczynać się wszechludzkim kształceniem, i kończyć dopiero specjalnem; o tem, iż drogą ku nauce powinny być, nie nus i nagrody, a dobra wola i zamiłowanie, wynikające z jasnego, prostego i żywego wykładu nauki; o nadaniu wykładowi nauk konkretnego znaczenia, tak, iżby nabycie ouych najściślej stosowało się do przyszłego położenia ucznia; iżby nauka uważaną była nie jako cel, a jako środek, i zatem nie przygotowywała takich ludzi, którzy potem są ciężarem i dla siebie i dla drugih. Nie wliczamy wielu innych rozwiązanych zadań o kształceniu młodzieży, spodziewając się, iż nowy czasopism wprowadzi je do literatury naszej z tą dokładnością, jakiej ważność przedmiotu wymaga. A rzecz to jest bardzo do pożądanja, wielka bowiem część młodzieży naszej uważanej za ukształconą, w rzeczywistości włada tylko powierzchownym polem, i nachwytała się tylko rozmaitych wiadomości bez sensu i związku. Wiedzą oni wiele w jakiej bitwie uabito ludzi, gdzie i jakie są sławne posągi i malowidła etc., a nie wiedzą dlaczego żyją, jakie ich są prawa i obowiązki, na czem zależą rzeczywiście: godność, szczęście, moralność.

Jeszcze żywotniej i energiczniej analizowane były zasady kobiecego wychowania. Prawomiarnie przyznawszy wysokie stanowisko kobiety w społeczeństwie, literatura ośmiała tę niedołężną dążność pedagogii, która kształci kobiety tak, jak gdyby one zawsze powinny były zostawać nie pełnoletniemi. Wczesne wydzieranie młodzieży z łona familii i wychowanie jej w zakorkowanych zakładach, w ogóle przyznane za szkodliwe dla moralnej strony człowieka, stosowalnie kobiet przyznano jeszcze zgubniejszym.

Godnem jest uwagi następne zdanie, wyrażone w Nr. 21 moskiewskiego czasopismu Ateneum: „Poddąnszczyzna stworzyła u nas ideje, które dotychczas ciężą nad nami, i były niezwalczonemi zawadanami ku wszelkiemu dobru, zatrzymując nas na drodze oświaty i postępu życia społecznego. Wskażem na kilka z tych idei. Lekceważenie godności człowieka, a następnie brak humanności i prawdziwej chrześciańskiej miłości; zadowalnianie się powierzchownem ukształceniem; uwielbienie stagnacyi; bojaźń błogich i pożytecznych przemian; niezdolność do dojrzałej pracy; apatya ku niedołężnościom społecznym, pochodząca z samozadowolenia i samolubstwa; duch kastowej nietolerancyi; duch okrywający imieniem patriotyzmu wszystko co regresowe, zastarzałe i egoistyczne:—oto są nie-

które pojęcia, które, żeby nie rozdrażnić nie zagojonych jeszcze ran, nazwiemy nieprzyjaznymi dla prawdziwej oświaty. Zlanie się tych nieprzyjaznych pojęć wyrodziło kilka typowych ideałów: pana, panię, pannę, biurokrate, klejnot szlachecki (blagorodnyj), etc.”.

Spostrzegam się, iż zamiast ukazania na kwestye progresu, zacząłem zbyt szeroko mówić o samjch ich istocie. Mimowolnie to uniesienie się do wodzi żywotności zadań, jak one zdolne są interesować, jak nowy czasopism za ich pomocą może uwięzić serca i umysły prenumeratorów, i wybawić ich od apatii i nudy umysłowej, która niegdys urodziła bałagustwo, i rodzi dotychczas rozmaite dziwaactwa.

Wracam do przedmiotu. Rozwinęła się w tych czasach teoria rozdzielania się mocarstwa od społeczeństwa, i, paralelnie i stosownie zawiązała się polemika między dwoma socyologicznymi partjami, z których silniejsza broni niejęscowy samorząd (local selfgovernment), a słabsza administracyjną centralizację.

Adepci ekonomizmu, rozumie się, stanęli na polu samorządu, jako głównego przejawu teorii ich: „laissez fair, laissez passer”. Działalność polityko-ekonomiczna w literaturze rossyjskiej coraz silniej rozwija się, i, za wyjątkiem kilku pseudo-uczonych którzy bująją w sferach utopij, trzyma się ścisłej nauki t. j. teorii ekonomizmu.

Kwestya włosciana, polemika o gminnem władaniu ziemią, ogłaszałość w sprawach społecznych, rozmaite zasady finansowe i administracyjne, znalazły dużo utalentowanych szermierzy.

Wskazane punkty tutejszego ruchu umysłowego dowodzą, iż nowy czasopism znajdzie dość treści w kierunku pożądanym dla czytającego towarzystwa. Różne są usposobienia i gusta różnych ludzi: tradycja i piękno nie mogą wszystkich równie interesować, historyczno-estetyczny kierunek nie może wszystkich zadowalniać. Wiele jest zmysłów realno-humanitarnych, dla których więcej mają interesu cierpienia i radości dalekich bliźnich, jak bliskie utwory piękna. Te to umysły rozbudzą się, zwiększą liczbę czytających, i w części przyjmą czynny udział.

Pomówiwszy o tém czego żądamy od nowego czasopisma i o materialach, które ku zadowoleniu tego żądania przedstawia miejscowość wydawnictwa, powiem słów kilka o środkach wykonania.

Zdaniem jest naszym, iż nowe pismo silnie powinno, przynajmniej początkowo, bronić się od pokus miłości własnej autorskiej. Redakcja powinna zawsze pamiętać, iż głównym jest celem prawda, nauka, a nie sława osobista, rzecz a nie imię. Pamiętając na to, w obrębach socyologicznym i ekonomicznym, należy starać się więcej o tłumaczenia cenniejszych utworów naukowej europejskiej literatury, jak o oryginalne na tém polu artykuły. Ostatnia działalność potrzebuje wiele nauki, talentu i pracy, co wszystko nie łatwo znaleźć. Zdarza się często, iż egoista-autor bierze znakomity artykuł literatury obcej, nie jako przedmiot do tłumaczenia, lecz jako temę do własnego utworu. Wychodzi na świat oryginalny artykuł, autor stawia pod nim swe imię, miłość własna jego zadowolniona; lecz towarzystwo, lecz literatura traci na tem: niedoleżna bowiem praca (kompilacja, rozbiór, krytyka, plązjat) wykręciła, znikczemuła znakomity utwór; autor zamilczał o miejscach pełnych nauki i talentu, dodał natomiast swe uwagi, rozumo-

wania, które oprócz niedowarzonej nauki i płytkości umysłu, nie nie do-  
wodzą. Nie zwiększenia liczby piszących potrzebujemy, lecz wzbogacenia  
naszej naukowej literatury, dobrze wyrażonemi ostatecznemi wynikami  
nauki. Nam potrzeba racjonalnych pojęć, a kto je wyraził: Polak czy  
Anglik, Litwin czy Niemiec, to zupełnie wszystko jedno, i ma pewne zna-  
czenie tylko dla azyatyckiego patriotyzmu, pojmującego pod patrioty-  
zmem wyłączność, rassowy egoizm, religijną nietolerancją, odrazę od wszy-  
stkiego co obce. Wreszcie i z wąskiego punktu uważając, czysty rozum  
mówi: iż większa zasługa być dobrym tłumaczem sławnych utworów, jak  
błahym oryginalnym pisarzem. Wołowski należy do pierwszorzędných  
ekonomistów, a jednakże nie wstydził się przetłumaczyć dzieła Wilhelma  
Roszera.

W promieniu Petersburga nowy czasopism znajdzie dostateczną  
liczbę dobrych tłumaczy: nie należy zachęcać ich do niedojrzałej autor-  
skiej działalności. Dla przyzwyczajonych do czytania wyborných utwo-  
rów kilku literatur, czytanie bladej mierności sprawia nudy, stratę czasu,  
apatę umysłową, szpatmatyczne poziewania i chętkę do preferansika z wó-  
deczką. Dreszcz nas przejmuje na wspomnienie pewnych poetów, opie-  
wających polskim wierszem abstrakcyjne marzenia, sielankowe obrazy,  
bożków wina i niekochającej miłości etc. Obok talentu wierszowania,  
spotykaliśmy najczęściej brak idei, rozwiniętych nauką myśli i pryncypów.  
Lepiejby było używać te talenta do tłumaczenia utworów obcych, odzna-  
czających się świeżością postępowych pojęć, i głębokością myśli. Wogóle  
poetom pojąć należy, iż więcej daleko jest elementu poetycznego w cier-  
pieniu głodnych, w płaczu uciśnionych, w rozpacy uczuć starganych,  
w niesprawiedliwości stosunków towarzyskich, jak w brzozie, księżycu, ko-  
bietce, kuflu, rozkoszy i innych dziwolęgniach przesytu i rozpusty.

Prosząc redakcyę Biblioteki o ogłoszenie tych zdań naszych, bynaj-  
mniej nie uważamy je za nieomyślne. Wywołały je szczere życzenia i spół-  
czucie ku nowemu czasopismu; do ogłoszenia zaś ich pobudziło przekonanie,  
że za naszą odezwą nastąpią inne podobne, i że taką drogą sformu-  
je się opinia publiczna, która wskaże redakcyi nowego pisma, czego od  
niego żąda towarzystwo, i do czego ona dążyć powinna.

Petersburg, 15 (27) czerwca.

Zero.

### *Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.*

#### W SPRAWIE PRZYWILEJU LESZKA BIAŁEGO NADAJĄCEGO KAP. KAT. KRAK. DZIESIĘCINĘ Z KOPALN.

Podając w listopadowym poszycie Bibl. Warsz. z r. 1857, treść 50  
dokumentów z archiwum kap. katedr. krak., oświadczyłem: że wykaz ów  
robię podług summarjusza, który zacytowałem. Tam na przywileju N° 6  
górnictwa się tyczącym nadpisano: że go wydał roku 1189 Leszek książę

polski. Pan Hieronim Łabęcki w grudniowym poszycie Bibl. Warsz. z r. 1857 (str. 784) zrobił mi słuszne zapytanie: jaki to jest ów Leszek, którego przywilej w treści przytaczam?

Odpowiadam więc: iż JMX. Gładyszowicz podał dobrze dokument o którym mowa (*Żywot Bł. Prandoty* str. 201. N<sup>o</sup> 4), jest on w oryginale bez daty i świadków, a wydał go Leszek Biały.

Między odpisami przywilejów kap. kat. krak. które posiada p. Z. A. Helcel, nadanie to tak samo skopiowane znajduję, jak w książce JMX. Gładyszowicza.

Kraków,  
d. 24 lut. 1858 r.

Józef Łepkowski.

**KRAKÓW.** *Posiedzenia oddziału archeologii i sztuk w c. k. Towarzystwie naukowym. odbyte dnia 20 kwietnia, 20 maja i 20 czerwca 1858 r.*

Prócz odebranych odczw: od Zakładu naukowego Imienia Ossolińskich ze Lwowa (w sprawie wykopalisk grobowych), germańskiego muzeum w Norymberdze (o zamianę odlewów przedmiotów sztuki średnio-wiecznej), referatu odpowiedzi na pytania uczynione oddziałowi przez sekcją archeol. czeskiego muzeum i czytanych sprawozdań z czynności Kommissyi archeol. wileńskiej; zajmowano się głównie: dyskusją nad wyborem pomników do dalszej restauracyi.

Wznowiono sprawę podjęcia przeglądu i urządzenia archiwum miejskiego m. Krakowa, co niebawnie rozpoczętém zostanie.

P. Z. A. Helcel mówił: o różnicach w czytaniu wielorakiem napisu na pomniku Leszka Czarnego i o niepewnej dacie śmierci tego księcia.

In. X. A. Jakubowski tłumaczył powód dlaczego jedna z baszt zamku krakowskiego nosi miano *Kurzěj stopy*—i jak się ma rozumieć znaczenie przysłowia miejscowego: *przybyło dnia na kurzęj stopę*. Opierając się na ulamkowym rękopisie z końca wieku XV i uwagach Siarczyńskiego nad *Dziejami Zygmunta III* (Niemcewicza) (1) utrzymywał: iż przysłowie i nazwa baszty poszły od kompasu będącego na niej—utworzonego w ten sposób: iż kogut, symbol czasu i czujności, wystawiony był u szczytu z podniesioną stopką, od której cień na godziny padał. Około tedy Trzech Króli przybytek dnia na kurzěj stopie był widoczny.

Dalej, postanowiono zdjąć kopią wizerunku drukarza Szarfenbergera, który pięknie a współcześnie malowany posiada p. T. Żebrański w Krakowie (2).

(1) *Pszczola polska* za rok 1820 Ner 6 (Lwów) str. 134. *Heid* I. 10 p. 308.

(2) Będzie to fotografia wykonana przez bawiącego w Krakowie pana Mażka, który zdjął pięknie wewnątrz kościoła krak. N. M. Panny, a sprzedaje po złr. 2=8 złp.

*Przyp. red. B. W.*

Wreszcie przyjęto następne dary do zbiorów Towarzystwa ofiarowane, jako: od p. Güntera (w Dołęgi) 5 szelągów lit. Jana Kazimierza, 3 koronne tegoż króla, sześciogroszówkę Jana III z r. 1682 i dwa bilety skarbowe z r. 1794, na 10 złp. i 10 gr. Od p. H. Sereżyńskiego wielki róg myśliwski na proch, z przeszłego wieku.

Obecny na tém posiedzeniu p. E. M. Thorson profes. filologii staroż. w Uniw. kopenhagskim, odbywający kosztem rządu duńskiego podróże naukowe po Słowiańszczyźnie, złożył imieniem Towarzystwa archeologicznego w Kopenhadze: *Antiquités de l'orient—monuments Runographiques—publiés par la Société Royale des Antiquaires du Nord. Copenhague 1856* i *Antiquarisk Tidsskrift udgivet af det Kon-nord oldskriftselskab 1852—1854. Kjobenhavn 1854.*

Te publikacye uczonych duńskich są wielce dla nas interesujące, jak skoro znajdujemy w nich krytyki i przeglądy prac polskich archeologów; nadto opisy wielu przedmiotów (ze zbiorów starożytności w Kopenhadze) mających blizkie analogie z zabytkami w naszych pogańskich grobach znajdowanymi. Szczególniej prace E. Thorsona i J. Worsaae powinny zwrócić na siebie uwagę badaczy słowiańskich starożytności.

Wszystkie te publikacye po rok 1852 nadesłało Towarzys. staroż. kopenhagskie Bibliotece Uniw. Jagiel. a wyszłe od r. 1852 posiada Bibl. Towarzystwa nauk.

— Gdy członkowie oddziału archeologicznego wzięli się do przeprowadzenia często przedtém objawianej myśli urządzenia w Krakowie wystawy starożytności i zabytków sztuki, a więc skierowawszy ku temu celowi usiłowania i zajęcie: na posiedzeniu tém administracyjne tylko czynności załatwiali. Przecież i tą razą przychodzi wymienić nowy poczet darów odebranych dla muzeum, jako świadectwo: że ogół nie przestaje doводить Towarzystwu swego udziału w zajęciach i pracach jego.

Oto JW. Józef hr. Żaluzki nadesłał czarkę glinianą kształtu zbliżonego do L. 17 (patrz tablicę urn i naczyń z mogił, wydaną w 1857 roku przez Tow. nauk. krak.)—nadto: *pieniążek Aureliana, grosz pragski Wacława II, 2 grosze Alberta pruskiego: jeden z r. 1541, drugi z datą nieczytelną; grosz Zygmunta III z r. 1625, szeląg koronny Jana Kazimierza z r. 1663, sześciogroszówkę Jana III z r. 1682, grosz miedziany Augusta III, 3 grosze bawarskie Maksymiliana Emanuela z r. 1718, węgierski miedziany pieniądz Maryi Teresy z r. 1767, liczbom mosiężny i 10 pieniążków bez wartości zbiorowej.*

Od WJPana Andrzeja Lorenckiego odebrano: *medal cynowy Antonina Gordyana, denar Jana Alberta, piękny egzemplarz półgroszka gdańskiego Zygmunta I z r. 1530, piękny denar gdański Stefana Batorego z r. 1585, 3-groszówkę koronną Zygmunta III z r. 1622, 3 sztuki kwartników koronnych Zygmunta III, monetę srebrną siedmiogrodzką Gabora z r. 1629 i 5 pieniążków bez wartości zbiorowej.* Tenże dawca nadesłał metalową pieczętkę z końca XVI stulecia, tak zniszczoną, że ledwo doczytać się na niej można: „...arnowski epis. cra. ad.” Z tego napisu widać: iż ona należała do Jana Tarnowskiego kanonika krak. który po 1591 r. po śmierci Piotra Myszkowskiego był administratorem biskupstwa krak. (1).

(1) Patrz: *Katalog biskupów ks. Łętowskiego. Tom IV, str. 145.*

WJPan Józef Mączyński przyniósł na posiedzenie cztery metalowe oryginalne pieczęcie, dwie mosiężne a dwie żelazne. Należą one do czasu między rokiem 1594 a 1772. Wszystkie mają jednobrzmiący napis: *Sigillum juris supremi teutonici castris cracoviensis*. W pośrodku głowa z brodą, wąsami i długimi włosy, z koroną nad czołem a drugą pod brodą—z tej na czołe wychodzą dwa rogi. Głowę otaczają essay i na jednej 12 a na 3ch innych pieczęciach po 14 gwiazd. Prócz tego na mniejszej mosiężnej czytamy na górnej części u spodu trzonka napis: *Anno 1594 confectum per Sebastianum Cyrus advocatum ejusdem officii*. Na większej zaś żelaznej na bocznej krawędzi są głoski: *P. A. M. A. P. 1772*, co znaczy: *Per Albertum Mączyński advocatum provinciale*. Następnie czytał p. J. Mączyński domysły swoje o powodzie zamieszczenia owej głowy na pomienionych pieczęciach. Zauważył: że głowa ta z koronami i rogami, jest herbem ziemi Dobrzyńskiej (1), przecież trudno mu było niewątpliwą dać odpowiedź na pytanie: dlaczego urząd prawa magdeburskiego zamku krakowskiego głową taką się pieczętował? Czy nie ma ta pieczęć związku jakowego z owymi głowami rzeźbionemi, zdołającemi niegdyś izbę zwaną poselską w zamku krakowskim? Zdaje się że może jest tu jaka analogia; salę tę ozdabiał Zygmunt August, a pieczęć najstarsza z owych czterech jest z drugiej połowy XVI wieku. Podanie opowiada jako jedna z głów tego pułapu przemówiła do Zygmunta: „*rex Auguste, judica juste*”; a słowa *judicate juste* czytamy znów zapisane jako godło na berle sądowym prawa magdeburskiego w Krakowie z tegoż pochodzące czasu (2). Może... przecież i to i inne tłumaczenia tylko są domysłami; dla zbadania więc, jest łaskaw p. Mączyński udzielić każdemu zgłaszającemu się odcisku lakowego owych pieczęci.

— Posiedzenie z 20 czerw. głównie zajęły dwie sprawy znane już z odezw przez Towarzystwo ogłoszonych, jakoto: urządzenie wystawy starożytności w Krakowie i wybór zadań do rozpraw uwieńczyć się mających nagrodą z funduszu złożonego w tym celu przez pana W. Siemińskiego. Dalej komisya do restauracyi pomników w kościołach pogorzałych wyznaczona, złożyła relacyą odnowień dokonanych, oraz plan następnych robót.

Z odlewów przedmiotów starożytnych, które zbierają się w muzeum Towarzystwa, odebrano obecnie mulę ciekawej trąby własnością p. hrabiego Moszyńskiego będącej (3). Dokładne te odlewy można zamawiać u Parisa Filipiego (po cenie 10 zł. pol.) zgłosiwszy się do Tow. nauk. o pozwolenie użycia muli własnością jego będącej; jak to dotąd czyniono chcą posiadać kopie Swiatowida i popiersia Jana Kochanowskiego z pomnika w Zwoleniu, wykonane przez E. Stbelika.

Następnie wzięto pod uwagę odezwę przez c. k. rząd krajowy Towarzystwu nadesłaną, w sprawie dostarczenia pomników paleograficznych do dzieła *Monumenta graphica medii aevi*, które redaguje w Wiedniu p.

(1) Patrz: *Niesiecki* wyd. stare T. I, str. 146, *Starożytna Polska* Bal. i Lip. T. I, str. 338.

(2) Patrz o tej sali w *Pamiętce z Krakowa* Część III str. 29.

(3) Patrz o tym zabytku sprawozdanie z 24 posiedz. oddz. arch. Czas z r. 1858, N. 50.

Dr. Sickel, pod opieką i z współdziałaniem ministeryum oświecenia. Póstanowiono przejrzeć w tym celu archiwa: Kapituly kat. krak., Uniwersytetu Jagiell., miejskie, akta grodzkie etc., do czego osobną kommissyą oddział wyznaczył.

Pan Józef hr. Zaluski przesławszy rysunek i wymiar mogiły we wsi jego Siedliszowicach (pod Tarnowem) będącej, oświadczył zarazem: iż gotów koszta poszukiwań ponosić, jak skoro Towarzystwo pragnie zająć się badaniem wnętrza tego pogańskiego zapewne grobowiska. Przyjęto z wdzięcznością tę hojną ofiarę, a pana K. Rogawskiego delegował oddział do zakierowania rozkopaniem i zbadania siedliszowskiej mogiły. Również ciekawém jest dawniejsze już odkrycie pogańskiego cmentarzyska we wsi Popówce pod Morawicą (okrąg krakowski), gdzie także oddział rozpocznie niebawem poszukiwania.

P. T. Żebrawski przedstawił w rękopiśmie: *Spis cząstkowy rycin polskich, jako materyał do ogólnego ich katalogu*. Praca ta jest ważnem uzupełnieniem tego co już w tym przedmiocie publikowali: A. Grabowski, J. Kraszewski i ś. p. G. Pawlikowski; ogłosi ją więc Towarzystwo w Rocznikach swoich.

Następnie po odczytaniu sprawozdania z posiedzeń kommissyi archeologicznej wileńskiej, odbytych 11 kwietnia i 10 maja r. b., przystąpiono do obejrzenia i odbioru darów znów licznie do zbiorów Towarzystwa nadesłanych.

I tak: P. M. Marszałkiewicz z Kamienicy (w Sandeckiem) przysłał miednicę kościelną (*Taufbecken, Messingsbecken, bacins-a lever*) (1) której napisy bądź wcale dotąd nie były przez archeologów niemieckich i francuzkich czytane, bądź je fałszywie decyfrowano. Napisy te odgadł p. Z. A. Hezel, rezultat pracy swojej odczyta na najbliższém posiedzeniu, lub też rzecz o nich ogłosi się w katalogu wystawy, na której ciekawy ten zabytek wraz z innymi przez Towarzystwo i Uniwersytet Jagiell. posiadaniem, wystawionym będzie.

P. T. Żebrawski upoważnił oddział do odebrania z rąk prywatnych obrazu Trzech królów, malowanego przez Andrzeja Radwańskiego, a przez s. p. Antoniego Librowskiego Towarzystwu darowanego.

P. Józef Jerzmanowski złożył wydane przez siebie *Roczniki do dziejów Podtatrza i Spiza z lat od 1680 do 1748*. Kraków 1858 r. odbicie z Dodatku do Czasu za rok 1858.

P. Hippolit Seredyński darował 26 następujących monet i medali: Medal miedziany bity na zgon Józefa księcia Poniatowskiego; w spisie medalów pr. Bentkowskiego opisany pod I. 833. Talar pięciofrankowy Otona króla greckiego z 1833 roku srebrny. Sześciograjcarówka austr. Franciszka II. 1800 r. miedziana—2 pieniądze miedziane: jeden Grzegorza XVI papieża 1837 r. (*Bajocco*), drugi węgierski M. Teresy 1765 r. (*Poltura*); pieniądz srebrny genewski 1839 (*25 centimes*). Szóstak węgierski Leopolda r. 1672 srebrny, także z węgierskim napisem *Hat kraj-*

(1) Patrz literaturę tych odczytów w Ottego Die Kirchliche Kunst-archeologie III wyd. str. 251; nadto w artykule: *Zbiorek starożytności w Olpinach* Gaz. Warsz. z r. 1855 Nra 23, 32, 40, 42.



czar 1849 srebrny; moneta wenecka rządu tymczasowego 1849 (*3 centesimi*) miedziana; dwie monety lombardzko-weneckie: jedna z 1822 a druga z 1843 r. Miedziana rossyjska Mikołaja I r. 1853 (półkopijski *deneszka*); trzy grosze miedziane Stanisława Augusta: jeden z r. 1767 a dwa z 1768;; srebrny grosz ( $\frac{1}{4}$  złotego) Stan. Augusta 1767; półgroszek miedziany tego króla z 1767 r.; półgroszek koronny Zygmunta I r. 1508 srebrny; grosz koronny Zygmunta III srebrny z 1612 r.; pieniądz saski z 1849 ( $\frac{1}{2}$  *Neugroschen*); kwartnik kor. srebrny Zygmunta III z 1625; Jana Kazimierza szeląg litewski 1666 r. miedziany, takież szeląg koronny z 1664 (bez wartości zbiorowej); grosz miedziany Augusta III r. 1755; trojak miedziany Księstwa Warszawskiego (bez wartości zbiorowej) i pieniądz pruski (1 *Gröschl*) bez wartości zbiorowej.

Wreszcie p. Władysław Anczyc nadesłał:

Medal cynowy bity Jerzemu IV król. Wielkiój Brytanii z okazji odwiedzin Irlandyi w 1821 r. *strona główna* popiersie króla z napisem w około: *George IV Ascended the british throne Jan. 29 1820 in the 58 year of his age; str. odwr.* ukoronowana harfa irlandzka, pod nią gałązki róży i ostu, w około napis: *Ireland hails with joy the visit of her sovereign August 1821; liczman (jetton) mosiężny str. głów.* popiersie z napisem w około: *Lud. XV Fr. et Nav. Rex., str. odwr.* statua na koniu w około napis: *Optimo Principi M.DC.C.XLIII.* Pieniądz miedziany, *str. głów.* popiersie z napisem w około: *Car. Gonz. D. Niv. et Retch. 1611; str. odwr.* ukoronowana tarcza herbowa o 5 polach, napis: *Sub. Princeps Archensis;* pieniądz miedziany Hadryana *str. głów.* popiersie w koronie z napisem w około: *Imp. Hadr. Probus Aug. str. odwr.* dwie osoby z napisem: *Jovi Conservat.*

Jak głównem prawie zajęciem tego posiedzenia były przygotowania do wystawy starożytności, którą c. k. Towarzystwo otworzy w Krakowie w domu J. O. Księcia J. Lubomirskiego; tak i nam przychodzi zakończyć to sprawozdanie przypomnieniem odezwy komisji tej wystawy, ogłoszonej w *Czasie* z r. b. Nro 144. Rychła nadsyłka przedmiotów (pod adresem Piotra hr. Moszyńskiego w Krakowie, z dodaniem na liście lub paczce słów: *w sprawie wystawy starożytności*) ułatwi sporządzenie wczesne katalogu i pozwoli oddziałowi archeologicznemu urządzić wystawę na 15 sierpnia b. r. jak to w odezwie swój zapowiedział. Zwlekanie posyłek sprawi niepotrzebny nawał czynności i opóźni otwarcie wystawy oraz spisanie i druk katalogu.

# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1858.

103. Filozof na poddaszu. Dziennik człowieka szczęśliwego, wydany przez Emila Souvestre. Dzieło przez Akademię francuską uwieńczone. Leszno. Nakładem i ozcionkami E. Günthera. 1858. W 8ce. Str. 192.

104. Grammatyka łacińska teoretyczno-praktyczna, decyzją Jaśnie Wielmożnego Ministra Oświecenia Narodowego przepisana do użytku w szkołach Okręgu Naukowego Warszawskiego, i nakładem tegoż Okręgu wydana. Kurs drugi, zawierający naukę odmian nieforemnych. Cena egzemplarza z oprawą tak w Warszawie, jak i na prowincyi kop. sr. 50. 12ka. Warszawa. 1858. (W drukarni Gazety Codziennéj). Napisów kart 2, przedmowy str. IV i str. 413. Rejestru karta 1.

105. Grób Nieczui. Powieść napisana przez Zygmunta Kaczkowskiego. (Z godłem):

Cnota sławę się płaci, a snąc w przyszłym wieku  
Wbudzi takiego ducha Bóg w pewnym człowieku,  
Który twe ważne sprawy  
Będzie chciał światu podać, tak, że nigdy potem  
Imię twoje nie zgaśnie ani zna końca.

Jan Kochanowski.

W 12-ce Tomów 4. Tom 1, str. 342. Tom 2, str. 367. Tom 3, str. 268. Tom 4, str. 278. Rsr. 5.

106. Halka. Opera w czterech aktach: słowa Włodzimierza Wołoskiego, muzyka Stanisława Moniuszki. Warszawa. Nakład i własność księgarni Gustawa Gebethner i Spółki. 1858. W drukarni J. Jaworskiego. W 16ce. Str. 67.

107. Jaskinia Beatusa. Wolny przekład z niemieckiego. Z dwoma stalorytami. W Toruniu. Nakładem i drukiem Ernesta Lambecka. 1858. 2 tomy. W 16ce. Tom 1, str. 180. Tom 2, str. 151.

108. Katolickie nabożeństwo na wszystkie niedziele, święta uroczyste i kościelne, oraz modlitwy po większej części z Pisma świętego i Ojców kościoła wyjęte, na większą chwałę Boga i dla dogodności wiernych zebrał Józef Łubieński. Z godłem:

*Poddanie się woli Boskiej.*

Tego pragnę co Bóg każe,  
Mimo wstrętu własnej woli,  
Tego pragnę co Bóg każe,  
W każdym czasie, w każdej doli.  
Tego pragnę co Bóg każe  
Czy z cierpieniem się ucierać;  
Tego pragnę co Bóg każe,  
Czy żyć długo, czy umierać.

Wydanie drugie. 2 części. 16ka. Warszawa. 1859. Henryk Natanson. (W drukarni Gazety Codziennéj). Część pierwsza, domowa. Napisów kart 3 i str. 520. Część druga, kościelna. Kart 2 i str. 363. Rejestru str. XXIII.

109. Koleje żelazne w Galicyi i stosunek tychże do kolei w Polsce i Rossyi. Napisał J. Osiecki C. inżynier. Z mapą topograficzną kolei europejskich. Wiedeń. 1858. Z zakładu typograficzno-literacko-artystycznego L. K. Zamarskiego, Dittmarsza i Spółki. W 8ce. Str. 83. Rsr. 1.

110. Krótka grammatyka polska, dla dzieci polskich ułożył W. Dawid. W Lublinie i w Warszawie. 1858. W drukarni J. Nowaczyńskiego w Lublinie. W 8ce. Str. III—111.

111. Krótki rys Chemii organicznej ze szczególnym względem na rolnictwo, technologią i medycynę. Napisał Jakób Natanson, magister nauk przyrodzonych. Część druga. Ska. Warszawa. 1858. Nakładem Henryka Natansona. (W drukarni Gazety Codziennej.) Kart napis. i rejestru 4 i str. 223. Rsr 1 kop. 20.

112. Krótki wykład Arytmetyki z tablicami porównawczemi, przez Ludwika Zawadzkiego adjunkta i nauczyciela arytmetyki w liceum krakowskim Św. Anny. Kraków. W drukarni Uniwersytetu. 1858. W 16ce. Str. 84.

113. Lechicki początek Polski. Szkic historyczny. Skreślił Karol Szajnocha. We Lwowie, Nakładem Karola Wilda. 1858. W drukarni E. Winiarza. W 8ce. Str. 348.

114. Lesława Łukaszewicza Rys dziejów piśmiennictwa polskiego. Wydanie przerobione i powiększone. Doprowadzone do r. 1857. Kraków. W drukarni Józefa Czecha. 1858. W 12ce. Str. 151. Kop. 67 1/2.

115. Nauka o świecie ułożona przez A. Kiszewskiego nauczyciela przy Królewsko-katolickim seminarjum w Paradyżu. Część I. 1) Człowiek. 2) Izba. 3) Dom. 4) Siedlisko. Wydanie czwarte poprawne. Leszno. Nakładem i drukiem Ernesta Günthera. 1858. W 8ce. Str. 367.

116. Niedzielne wieczory starego stolarza. Powieści dla rzemieślników przez autorkę Odwiedziny babuni. Drugie wydanie. Leszno. Nakładem i drukiem Ernesta Günthera. 1858. W 12ce. Str. 76.

117. Nowe kazania passyonalne i inne niektóre z dodatkiem mów pogrzebowych. Napisał ks. Antoni Konrad Piramowicz zakonu Reformatorów w Sandomierzu, Warszawa. Nakładem G. Sennewalda księgarza. 1858. W drukarni J. Ungra. W 8ce. Str. 235.

118. O sokolnictwie i ptakach myśliwych przez Kazimierza hr. Wodzickiego członka Towarzystwa naukowego c. k. Austriackiego, Towarzystwa cesarskiego Rolnictwa i nauk przyrodzonych w Lugdunie, Towarzystwa niemieckiego ornitologów, Towarzystwa saskiego naukowego Izys i t. d. Ska wielka. Warszawa. 1858. W drukarni Gazety Codzienniej. Napisów kart 2 i str. 213. Rejestru karta 1. Rsr. 1.

119. Pisemka dorywcze Heronima (tak) Marcinkiewicza. Z godłem:

Eripite, o socii, pariterque, insurgite remis. *Virg. Aen. lib. III.*  
Wydzwigajcie się, przyjaciele! i równodzielnie uderzcie wrotaui!  
Przek. Aut.

18ka. Wilno. 1858. Drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 108 i rejestru karta 1.

120. Pustelnik w Pronianach. Powieść w dwóch częściach przez Ignacego Chodźkę. Autora Obrazów litewskich. Podania litewskie. Serya

trzecia. Wilno. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego, 1858 r. W 8ce. Str. 318. Rsr. 1. Kop. 35.

121. Rozbiór wykazu hipotecznego przez Augusta Heylman Radcę Stanu, Vice-prezesa Sądu Appelacyjnego. W Warszawie, w drukarni Banku Polskiego. 1858. W 8ce. Str. 164. Rub. 1. Kop. 20.

122. Lutnia. Przez Henryka Merzbacha. Ska. Poznań. 1858. Nakładem J. K. Żupańskiego (druk M. Zoerna). Napisów i przypis. kart 3 i str. 114.

123. Sztuka zachowania zdrowia. Ułożona przez szkołę salernitańską. Tłumaczenie Ferdynanda Dinheim Prawdziej ze Szczawina Chotomskiego. Ska. Warszawa. 1858. W drukarni Gazety Codziennej. Str. 43.

124. Szczęście za górami. Powieść Józefa Korzeniowskiego. Wilno. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. 1858. Tomów dwa. W 12ce. Tom 1, str. 309. Tom 2, str. 224. Rub. 2. Kop. 25.

125. Teologia moralna dla użytku plebanów i spowiedników, przez kardynała Gousset arcybiskupa w Reims etc. Tłumaczenie z wydania ósmego. 4 tomy. Warszawa. 1858. Nakładem i drukiem Józefa Ungra. Tom I, napisów i przedmowy kart nieliczb. 4 i str. 311. Tom II str. 320. Tom III str. 341. Tom IV str. 390. Rsr. 6.

126. Wybór dzieł Kalderona, Tom I. Kochankowie nieba, przez Karola Balińskiego. Poznań. Nakładem autora. 1858. Czcionkami M. Zoerna. W 12ce, Str. XII, 192. Rub. 1, Kop. 42 1/2.

## 1859.

1. Nowa Grammatyka francuzka Noël'a i Chapsal'a, przejrzaana, powiększona wielu ważnemi spostrzeżeniami, z przydaniem osobnego tomu ćwiczeń stopniowych i zastosowanych do prawideł. Przez P. Parvez. Wydanie piąte. Część I. Grammatyka. 12ka. Warszawa. 1859. (Nakład autora). W drukarni Gazety Codziennej. Napisów kart 2 i str. 501. Rejestru str. V. Część II Zadania i słownik kart 2 i str. 209. Rsr. 1 kop. 20.

2. Pieśń o Ziemi, przez Wincentego Pola (powtórę). Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda księgarza i typografa. 1859. W 8ce. Str. 67. Kop. 75.

## DONIESIENIA LITERACKIE.

### WARSZAWA.

Nakładem S. H. Merzbacha księgarza, wyszedł tom VI pism Adama Mickiewicza. Obejmuje prelekcye, lekcyi 22. Druk tomu VII już się rozpoczął.—S. Orgelbrand miał rozpocząć druk przekładu Boskiej komedyi Danla, Juliana Korsaka, sprowadził nawet ryciny do pysznej edycji, ale wstrzymać się musiał z powodu braku papieru. Wszystkie nasze

papiernie tak Banku polskiego w Jeziornie, jak i prywatne, stoją prawie nieczynne dla niedostatku wody. Drukarnie będą musiały z tego powodu wstrzymać roboty na czas nieokreślony, bo przybytku wody nie spodziewają się tak rychło, chyba w grubiej jesieni.

— Nakładem pomienionego księgarza wyszła znana: „Pieśń o ziemi naszej” w wydaniu powtórném. Wstęp, O jesieni polskiej jest zupełnie nowy i pierwszy raz drukowany.

— W drukarni Gazety Codzienniej wyszła w piątym wydaniu Nowa grammatyka francuzka Noëla i Chapsala, poprawna i powiększona, przez P. Parvez. Dodane są w osobnej książce „Zadania i słownik”.

— Znany od lat wielu na niwie literackiej p. Karol Forster, który przybył z Berlina do naszego miasta na krótki pobyt, wydał w r. z. „Rzut oka na ostatnie pisma polityczno-filozoficzne z przedmową i przypiskiem.” Berlin 1857. Zajmująca praca równie treścią jak wykładem. Obecnie, przed miesiącem w Berlinie także zaczął wydawnictwo p. n. „Zbiór dzieł użytecznych z różnych języków zebranych”. Na czele dał dzieło Thiersa o Własności, znane już naszej publiczności w chwili tej samej prawie, gdy ogłoszonym zostało w Paryżu w tłumaczeniu polskiem. Nowy przekład może rozpowszechni więcej u nas to dzieło, i dojdzie do tych, którzy pierwszego tłumaczenia nie znali. W dalszym ciągu zamierza p. Forster ogłosić ważne dzieło: „O klassach roboczych we Francyi i w Niemczech”. Publikacje tego rodzaju znajdują u nas w dzisiejszych czasach niewątpliwe poparcie.

— Nakładem księgarza Bernsteina wyszły: „Klejnoty poezyi polskiej, wybrane z dzieł najznakomitszych dawnych i nowoczesnych poetów”. Zeszyt VI obejmuje poezye: ks. Antoniewicza, Deotymy, Iluckiej, Gaszyńskiego, Maryi z Gniezna, Merzbacha, Pługa, Słowackiego, Syrkorni, Wł. Wolskiego. Z tym zeszytem kończy wydawca pierwszy oddział tej publikacji: w następnej, do każdego zapowiada dołączenie portretu poety w drzeworycie. Na początek drugiego oddziału danem będzie popiersie Kazimierza Brodzińskiego, z poglądem na jego poezye. Tamność wydania, dobór poezyi, zapewniły Klejnotom powodzenie, czego dowodem, zapowiedzenie nakładcy wydawnictwa drugiego oddziału.

— W drukarni J. Ungra rozpoczął się druk drugiego wydania Historii literatury polskiej w zarysach K. Wł. Wójcickiego, znacznie przerobionej i pomnożonej, bo dociągniętej do 1858 r. W tejże typografii kończy się dzieło p. n. Przewodnik do szczęśliwości dla młodzieży naszej, z francuzkiego przełożył i zastosował ks. Mateusz Solarski, św. teologii Dr, spowiednik katedralny krakowski. Nakładem tego typografa wyszła w 4ch sporych tomach Teologia moralna dla użytku plebanów i spowiedników, przez kardynała Gousset arcybiskupa w Reims. Tłumaczenie z 8go wydania.

— G. Sennewald swoim nakładem wydaje tańce z nowej opery St. Moniuszki „Flis”, do której napisał libretto Stanisław Bogusławski. Dla pospiechu litografuje je w miejscowych zakładach.

— W drukarni S. Orgelbranda kończy się druk Igo tomu dzieła dwutomowego „Ogólne zasady nauki gospodarstwa narodowego, czyli Czysta teoria ekonomii politycznej” Fryderyka hr. Skarbka. O tem dziele obszerną podaliśmy wiadomość w przeszłym zeszycie.

— W drukarni Banku polskiego, nakładem autora, wyszło dzieło w żywotnym przedmiocie nie tylko dla prawników, ale i dla właścicieli tak ziemskich jak miejskich p. n. „Rozbiór wykazu hipotecznego” przez Augusta Heylmana członka senatu.

— P. Antoni Stanisławski profesor uniwersytetu w Charkowie, za bytnością swoją w Warszawie, udzielił wyjątki z przekładu swego Boskiej komedyi Danta: pieśń XII Piekło, którą Gazeta Codzienna ogłosiła w odcinku swoim. Nie możemy odmówić ani wierności w tłumaczeniu, ani staranności co do ojczystego języka. P. Stanisławski zachęcony gorącym słowem J. I. Kraszewskiego, zamierza przekład swój tego arcydzieła literatury włoskiej uzupełnić, i ogłosić drukiem. Gdy do Nowego Roku 1859 będziemy już mieli tłumaczenie tego utworu w całości przez Juliana Korsaka, łatwo i sam p. Stanisławski i publiczność czytająca oceni właściwą wartość każdego.

— Ze Lwowa otrzymujemy wiadomość o wychodzącej monografii rokoshu Zebrzydowskiego. Włod. hr. Plater, do Zbioru pamiętników, który ogłasza, złożył obszerny rękopism współczesnych materyałów, równocześnie znalazły się opisy i dokumenta do tego ustępu dziejów w innych zbiorach, jak pp. Wójcickiego, Steckiego, które do porównania udzielono wydawcy. Są to obszernie zasoby, dotąd nieznane, w ukryciu zachowane, które rzucą nowe światło i wyświecą dokładnie cały rokosh, równie jaki w nim udział przeważny mieli nie tylko główny hetman Mikołaj Zebrzydowski, ale i inni panowie i szlachta polska.

— Pamiętnika religijno-moralnego seryi drugiej tomu II wyszedł Nr. 8 za miesiąc sierpień i obejmuje: 1) Radom i fara nowo-radomska do 1700, przez X. J. Gackiego (ciąg dalszy). 2) Hagiografia i Bollandyści (ciąg dalszy). 3) Korrespondencya z dyecezyi sandomierskiej. 4) Menażerya proboszcza. 5) Notaty Jana Czczota. 6). O Kryniczynie. 7. Wiadomości naukowe, bibliograficzne, kronika kościelna, korrespondencye, rozporządzenia rządowe.

— Michał Głisczyński znany pisarz na polu historycznym, wkrótce rozpocznie druk obszerniej monografii pod napisem: „Huss i Husyci”. Studya te jak są owocem kilkoletniej sumiennej pracy, tak prawdziwie pięknym nabytkiem dla literatury naszej. Wydanie w drukarni Gazety Codzienniej będzie staranne i ozdobione kilką rycinami.

— Zny zaszczytnie na polu piśmiennictwa naszego od lat wielu professor Jan Szwayuic, który lat wiele poświęcał nad opracowaniem historii powszechnej, już tak daleko posunął swą pracę, iż zamierza w roku przyszłym rozpocząć druk „Dziejów starożytnych”, które obejmą trzy wielkie tomy. Pięć już następnych części jest gotowych, w których wyklada nasz autor dzieje średnich wieków i nowoczesne dzieje. Całość obejmie od 8 do 9 tomów.

— J. I. Kraszewski, jak donoszą nasze pisma, zajęty zwiedzaniem Włoch, zbiera obficie zapasy do opisu swej wycieczki. Teofil Lenartowicz przypisał mu ostatni swój utwór p. n. „Święta praca, Kalendarz gospodarski, z opowiadani: „Błogosławionej”. Pociaszającą otrzymujemy wiadomość o znacznym polepszeniu się zdrowia tego ulubionego poety.

— Józef Łoski obywatel dawnego Podlasia, który w piśmie naszym umieścił zajmujący opis galeryi portretowej Sapiehów, i tym opisem po-

budził p. Kotłubaja do ogłoszenia ważnego dzieła „Galeryi Radziwiłłowskiej w Nieświeżu:” zamierza wydać portrety Sapiehów w większym formacie z obszernym tekstem: cztery nawet portrety odbite w litografii Flecka już oglądałsmv. Niewiadome nam powody wstrzymały tę ważną publikacyą p. Łoskiego. My sądzymy, że nakład potrzebny przy dokładnym tekście w obecnym stanie zamięłowania literatury oyczystej wróciłby się niezawodnie, a p. Łoski zyskałby prawo do wdzięczności naszej za podjętą pracę, tyle obchodzącą dzieje oyczyste.

— Od 1 października r. b. ma wychodzić pod redakcyą znanego z prac krytycznych Henryka Lewestama nowe pismo zeszytowe p. n. „Obrazy i rozbiory krytyczne literatury współczesnej” w zeszytach 1½ arkuszowych formatu 4ki małej. Lewestam wyrobił sobie właściwie stanowisko, już jako redaktor dawnych Roczników krytyki, już rozbiorami umieszczanemi po różnych pismach czasowych. Wszystkie odznaczały się dojrzałością sądu i przyzwoitą powagą, a były dalekie od osobistości wszelkich i szyderstwa, zwykłej broni małych umysłów, którzy z taką tylko umieją występować w szranki literackie. Redaktor Obrazów nowych za główny cel położył literaturę krajową; krytyce więc dzieł polskich nowo wydanych lub i dawniejszych *nieco*, ale odznaczonych wysoką wartością artystyczną, najobszerniejsze daje ramy; za temi pójdą przeglądy literatur zagranicznych, oraz wiadomości o dziełach zagranicznych godnych uwagi. Wkrótce prospekt będziemy mieli: cena bardzo umiarkowana, bo rocznie na miejscu tylko złp. 36. Treść pisma i wartość, jakich rękojmią możemy mieć w redaktorze, oraz takich współpracownikach jak Korzeniowski, Kazimierz Kaszewski, Bolesław-Wiktor, Karol Witte i inni, dają niewątpliwą otuchę, że pismo to w gronie licznem poważnych czytelników znajdzie rozpowszechnienie i byt swój utrwali.

— Ruch muzyczny pod redakcyą Józefa Sikorskiego, jakkolwiek specjalnej treści, doбором artykułów, staranną redakcyą i regularnością swoją ustala się coraz więcej i czytany jest z upodobaniem nie tylko przez samych muzyków z powołania, ale też i amatorów. Redakcyą bowiem tak urozmaica numer każdy Ruchu muzycznego, tak umie spopularyzować rzecz suchą samej nauki, że przyjemnie odczytują się artykuły te nawet, które wyłącznie dla samych muzyków są pisane. Nie małe w tém piśmie ustępy zajmuje krytyka sceny naszej, sumienna, poważna, nie dająca się unosić ani żadnem stronnictwem, ani uprzedzeniami chwilowemi przeciwko artystom naszym, których powody nie płyną ze szlachetnego źródła, czystej miłości sztuki i czutej dbałości o dobro i rozwój krajowej sceny. Nietylko opera, wodewille są rozbiebane w Ruchu muzycznym; przychodzą tu pod rozbiór zarówno dramata jak i komedye. Rok drugi istnienia tego pisma dostatecznie każdego przekonać mogą o rzetelnej jego wartości.

— Karol Czerniawski znany z wybornej rozprawy o tańcach, którąśmy w naszym piśmie ogłosili: przejrząwszy takową i znacznie pomnożywszy, zamyśla w oddzielnej ksiązce illustrowanej wydać. Rysunki do drzeworytów ma wykonać F. Kostrzewski.

— W małym miasteczku Cieszynie w dawnym Szlązku polskim, a dziś austryackim, Karol Prochaska księgarz założył polską drukarnią

i wydał prospekt na dzieło p. n. „Praca codzienna, coroczna i całoroczna każdego chrześcijanina katolickiego, albo książka modlitw i kancjonał dla katolików z różnych ksiąg modlitewnych i śpiewników zebrana”. Drukarnia ta, sądząc po wydanych prospektach, śmiało może stanąć pomiędzy najpiérwszemi warszawskimi typografiami, a wybornemu odbiciu posługuje doskonały papier, jakiego żadna z naszych fabryk nie umie produkować. Na tak wybornym papierze zyskuje druk każdy. Książka, o której mówimy, obejmująca 1056 stronnic na pięknym białym papierze, w oprawie skórzanej z futerałem, kosztować będzie złp. 6 gr. 18, bez oprawy złp. 4. Cena niestyciannie niska i dostępna. Prenumerata już ogłoszona w państwie austriackim, zapewne wkrótce i u nas otwartą zostanie.

— Drukarz poznański L. Merzbach ogłosił prospekt na dzieło p. n. Zbiór pieśni z melodjami, w kościele Rzymsko-Katolickim od najdawniejszych czasów używanych, uskuteczniiony przez Teofila Klonowskiego nauczyciela przy Król. Katol. Seminarjum w Poznaniu.

„Mając na uwadze (pisze sam autor) że śpiewniki dotąd wyszłe z wielu względów są niedostateczne, żywiąc przytém już od dawnych lat myśl wydobycia i odgrzebania z pyłu skarbów, jakie w narodzie naszym spoczywają, postanowiłem dla pomnożenia chwały Najwyższego przy pomocy Boskiej wydać to dzieło. Staraniem się o to głównie, abyśmy pieśni nasze ojczyste mogli mieć w nieskażonej ich, t. j. sielskiej, dziewiczej prostocie, zachowując im charakter ludowy, a zatem chciałem je mieć wiernie odtworzone, nie zaś przetworzone, pierwotne, nie zaś potworne. Chcąc przytém zbiór niniejszy uczynić jak najpraktyczniejszym, rozłożyłem pieśni w nim objęte na cztery głosy do grania, lub też do śpiewania na głosy mieszane lub też męskie; dołałem zastosowane do nich (tematyczne) preludye i przegrywki czyli właściwie wiązadła, palcowanie czyli układ palcy. Oprócz całego tekstu pieśni znajdzie grający w tej publikacji, ile, że suche tylko uczenie ich napamięć dziś już nie wystarcza, streszczone objaśnienia pod względem artystycznym, biograficznym, dogmatycznym, etymologicznym, historycznym, liturgicznym i t. d.”

Całe dzieło obejmie 400 pieśni: wychodzić będzie zeszytami, każdy w cenie po 10 sgr. Wydanie staranne i ozdobne.

— J. K. Żupański jeden z najprzedsiębiorczych księgarzy polskich którego nakłady prawie wszystkie są ozdobą literatury naszej, wydaje swoim nakładem następane dzieła: „Krótki opis historyczny kościołów, kaplic, klasztorów, szkółek parochialnych i innych zakładów dobroczynnych w dawniej diecezji Poznańskiej przez Józefa Łukaszewicza. Tom I. wyszedł, całość złoży trzy tomy.

*Wilno.* P. Bartels, znany autor szkiców rysunkowych p. n. „Łapigrosza” ogłasza drukiem zbiór swoich komedji wierszem. Ci co bliżej utwory te znają, nie mogą się dość nachwalić. Nakładem księgarza Assa wyszedł poemat nowy Syrokomli: „Starosta Kopanicki.” Jest to zwierszowany artykuł niedawno w Gazecie Warszawskiej wydrukowany o Ponińskim, porwanym i więzionym w Sonnenburgu, jako stronniku Leszczyńskiego. Gorący wielbiciele Syrokomli zaczynają w tym utworze widzieć wiele nadętej deklamacyi — Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego wydane zostały: „Piosneczki Karoliny Proniewskiej, Bogu na chwa-



łę, na pamiętkę przyjaciółom." Są to pisane dosyć gładkie wierszyki. — Adam Kirkoń przyspiesza druk dwóch nowych zeszytów „Teki Wileńskiej; w jednym będzie powieść Lucyana Siemińskiego wierszem: prawdziwa ozdoba każdego pisma. Życzyć należy, ażeby redaktor „Teki” częściej wydawał jej zeszyty, tem bardziej że niezbywa mu ani na materiałach, ani prenumeratorach, jeżeli nie u was, to u nas. Publikacja ta wte dyby można powiedzieć wrosła w życie wielu rodzin miłujących narodowe piśmiennictwo, tak jak wasza Biblioteka. W bardzo ozdobnem wydaniu, z drukarni A. Marcinowskiego wyszła książeczka p. n. „Wandina” fantazyja przez Henryka z Obsyngi. Jest to wdzięczna opowieść, pięknym językiem oddana; trzy ryciny zdobią to wydanie, które coraz się więcej upowszechnia w rękę naszych pięknych Litwinek. Nakładem księgarza Assa wyjdą: „Pamiętniki domowe, w dziennikach domowych Obuchowicza i Cedrowskiego pozostałe: z przypisami Michała Bałińskiego. Zawadzki drukuje spis alfabetyczny do wydanych tomów Jochera. Wydał powieści znane z Gazety Warszawskiej: Korzeniowskiego „Szczęście za górami” w 2 tomach; Chodźki: „Pustelnik w Prońanach” t. d.; „Grób Nieczui” w 4 t. Zygmunta Kaczkowskiego, w edycjach starannych, któremi się ta firma zawsze odznacza.

*Lwów.* Istnienie użytecznej a jedynej szkoły Rolniczej w Galicyi, w Dublanach, zagrożone brakiem fundusów, po gorącej przemowie Kazimierza hr. Wodzickiego, po obudzeniu dla tego zakładu współczucia, zapewnionem zostało na lat kilka. Książę Leon Sapieha, braki do potrzebnego nakładu sam się zobowiązał pokrywać. Towarzystwo przejęte wdzięcznością, postanowiło wybić złoty medal na cześć Sapiehy: z jednej strony z popiersiem jego, z drugiej z napisem: „Wdzięczni ziomkowie”. — Druk „Monumentów” idzie niezmiernie powoli, podlega bowiem wielu trudnościom. W pierwszych arkuszach, gdzie się znajdują źródła hebrajskie, greckie i staro-niemieckie, wymagał nie tylko sprowadzenia nowych czcionek, ale oprócz tego wymagała korekta i poprawne tłumaczenie tekstów niepospolitej pracy. W tejsze drukarni Zakładu Ossolińskiego, postępuje odbijanie Słownika Lindego; dyaryusza St. Żółkiewskiego; Pamiętki miasta Stanisławowa i Rys dziejów zakonu Kaznodziejskiego. Wild księgarz, w drugiem wydaniu przygotowuje pisma Szajnochy, który dla poratowania zdrowia, zagrożony najdotkliwszem kalectwem bo ślepołą, wyjechał wraz z rodziną w Karpaty. Tenże księgarz wydaje zbiór powieści, w którym mieścić się będą: Józefa Dzierzkowskiego: „Intrygi dworskie” szkic historyczny; „Dwie lzy, i w czepku się urodził:” J. Zacharyaszewicza; „Falszywy król” wspomnienie poufne z czasów Stanisława Augusta, i Walerego Łozińskiego: „Izabella Zapolska” opowiadanie historyczne; „Dwie reminiscencye” z życia Adama Godziemby; „Człowiek bez imienia. Monografia, „Rokosz Zebrzydowskiego, w części ogłoszona w Dzienniku Literackim, obszernie przybrała rozmiary. Całe dzieło składa się z 45 arkuszy druku. Sprawa „Rokosz,” a głównie postać sponiewierana Zebrzydowskiego, w nowem tu świetle wychodzi: wojewoda zbyt srodcie kłatwą obłożony, zyskuje więcej sympatyj, i nie jest tak ohydzony jak go niekórzy historycy, nawet dzisiejsi sądzą. Wszechgodna uwagi, że Józef Łukasze-

wicz, który tyle zasług położył w literaturze naszej, nie może się otrząsnąć z sądów, które dawna szkoła historyczna podtrzymywała: w niej Radziejowski i Zebrzydowski to jednakowi zdrajcy kraju. A przecież już teraz pokazują dokumenta przez Czechów ogłoszone, że frymark Zygmunta III o koronę polską z domem austryackim nie był wymysłem Zebrzydowskiego, ale czystą prawdą, tylko dowodów wojewoda nie miał w rękę, bo je dopiero teraz wykryto. Łukaszewicz żadnego uwzględnienia nie ma dla Zebrzydowskiego, chociaż on nie stawał na czele zastępów obcych. Lepsze wpatrzenie się w dzieje współczesne i instytucje narodowe, oraz w życie wewnętrzne, a pewni jesteśmy, że Łukaszewicz zmieni ostre zdanie o wojewodzie. Moraczewski już zdjął z niego kłutwą ohydę, wydane źródła współczesne rzecz tę rozjaśnią lepiej.

*Kraków.* Redakcja Biblioteki polskiej, w dalszym ciągu swego wydawnictwa ogłosiła: Pisma poetyczne polskie S. F. Klonowicza, razem trzy zeszyty, i *St. Orzechowskię: Dyalog albo rozmowa około egzekucyi polskiej korony, oraz Quincunx, w starannem wydaniu.* Wydawnictwo to zyskuje coraz więcej sympatyj nietylko u nas, doborem pięknych dzieł starożytniej literatury polskiej, które ogłasza. Potrzeba wskazuje drugiego wydania pierwszej seryi, lubo redaktor K. J. Turowski wiele z niej może wypuścić, szczególnie powieści które w takiej publikacji miejsca mieć nie powinny, wyjąwszy może *Banialuki* dla osobliwości i języka. Z drukarni „Czasu” wyjdzie wkrótce: *Opis podróży do Australii i pobytu tamże od r. 1852 do 1856, przez Seweryna Korzebińskiego, który z kilkoma rodakami udał się do kopalni, i tam utrzymywał dziennik.* „Czytając pierwszych kilka kart (pisze Dodatek Czasu z lipca r. b.) opowiadania bardzo zajmującego swoją naturalnością, śmiało możemy rokować książce tej powodzenie, bo autor zdaje się należeć do tych podróżników, co mają dar spostrzegania, i do tych pisarzy, co rzecz spostrzeżoną umieją wydać w zwięzłych, lecz trafnych rysach”. W wydawnictwie katolickiem wychodzi dalszy ciąg przekładu *Niewiast ks. Ventury, dokonany przez ks. Golliana.* Inne drukarnie zajęte są drukiem kalendarzy na rok 1859.

*Wiedeń.* P. Wurzbach, znany poprzednio z ogłoszonych prac, dotyczących polskich rzeczy, wydaje dalej słownik bibliograficzny p. n.: „*Biographisches Lexicon des Kaiserthums Oesterreich*”. Wyszył już trzy tomy. Do tego słownika wciągnął oczywiście i Polaków mieszkających w zabraniej części kraju, aby i ci wspierali sławę austryackiej monarchii! Prace sumienne Wurzbacha zjednały mu w Polsce rozgłos; ale srodze nas zawiódł życiorysami rodaków w tym słowniku. Dziwotłagi niesłychane popisał, które będą potrzebowały sprostowania w oddzielnem chyba dziele. Pokazuje się, że jak miał dobrych przewodników w przysłowia (K. Wł. Wójcickiego: *Przysłowia, obrazy starodawne, zarysy domowe i w. i*) oraz badaczy w przedmiotach innych: Wurzbach wiernym był tłumaczem i błędów unikał; tu spuścił się na własne zasoby sąd swój, z czego wywikłać się nie mógł. Słownik jego co do części polskich życiorysów żadnej wartości nie ma.

*Lipsk.* Towarzystwo naukowe księcia Jabłonowskiego ogłosiło drukiem uwieńczoną nagrodą dzieło Dra Teodora Hirsch p. n.: „*Dzieje handlu i przemysłu w mieście Gdańsku za czasu panowania Krzyżaków niemieckich*”. 1858. Str. XII—344. Dzieło to obejmuje okres czasu od

1308 dd 1454, z rzadką gruntownością i pracowitością po większej części z nfeznanych dotąd rękopiśmiennych źródeł archiwalnych gdańskich czerpane, rzuca między innymi także światło na ówczesne ciekawe stosunki handlowe z Polską. Dzieło to, ze wszech względów zasługuje na przekład, jako mające ściśle związek z dziejami naszymi.

*Gdańsk.* W drukarni E. Groeniuga wyszedł katalog zbioru monet i medali polskich p. Mathy konsula belgijskiego, mający się sprzedać przez licytacją. Bogaty to zbiór, obejmuje bowiem 2,754 medali i monet wyłącznie polskich.

† Dnia 31 lipca r. b. w 64 roku życia, o godzinie 8 rano, uzupełniając w kaplicy Jagiellońskiej notaty do jej opisu, który dla Towarzystwa Naukowego krakowskiego wykończył, zmarł nagle dołknięty apoplexyą Józef Muczkowski bibliotekarz Uniwersytetu Jagiellońskiego, od lat z górą 30 professor przy tymże uniwersytecie. W młodych latach żołnierz za czasów księstwa warszawskiego, następnie literat i professor, a przytém zawsze prawy i szlachetny mąż, umiejący pojmovać i wykonywać obowiązki obywatela, zmarł u stóp grobowca Władysława Jagiełły, którego postać za życia była mu z całych dziejów naszych najbardziej ulubioną. W dniu 2 sierpnia wyprowadzono zwłoki jego na cmentarz, a dnia następnego odprawiono żałobne nabożeństwo w kościele akademickim św. Anny. Pogrzeb ś. p. Muczkowskiego dowiódł jak z jednej strony wielkich zasług jego, tak z drugiej okazał uczucia szlachetne zacnych Krakowian, umiejących hołd oddać należny rodakowi, co pracą i prawością zasłużył na wdzięczną pamięć. Pozostawił wdowę i liczną rodzinę, osieroconą nagłym i niespodzianym skone: my śmierć ś. p. Muczkowskiego za stratę narodową uważamy.

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Wolno drukować.—Warszawa, d. 15 (27) Sierpnia 1858 r.—Censor, Radca Dworu Stanisławski.



Biuletyn dostarczany w Warszawie jest 3076 stopni paryskich nad  
14-45-7 czyli w roku 1858

Dzień	Barometr w milimetrach srodkowy do 0		Termometr Alstatynowy	
	godz. 10	godz. 4	godz. 10	godz. 4
1	760.71	760.91	14.25	14.25
2	761.10	761.30	13.9	13.9
3	761.51	761.70	14.0	14.0
4	761.92	762.30	14.0	14.0
5	762.33	762.70	14.0	14.0
6	762.74	763.10	14.0	14.0
7	763.15	763.50	14.0	14.0
8	763.56	763.90	14.0	14.0
9	763.97	764.30	14.0	14.0
10	764.38	764.70	14.0	14.0
11	764.79	765.10	14.0	14.0
12	765.20	765.50	14.0	14.0
13	765.61	765.90	14.0	14.0
14	766.02	766.30	14.0	14.0
15	766.43	766.70	14.0	14.0
16	766.84	767.10	14.0	14.0
17	767.25	767.50	14.0	14.0
18	767.66	767.90	14.0	14.0
19	768.07	768.30	14.0	14.0
20	768.48	768.70	14.0	14.0
21	768.89	769.10	14.0	14.0
22	769.30	769.50	14.0	14.0
23	769.71	769.90	14.0	14.0
24	770.12	770.30	14.0	14.0
25	770.53	770.70	14.0	14.0
26	770.94	771.10	14.0	14.0
27	771.35	771.50	14.0	14.0
28	771.76	771.90	14.0	14.0
29	772.17	772.30	14.0	14.0
30	772.58	772.70	14.0	14.0
31	772.99	773.10	14.0	14.0

**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**  
**w Obserwatorium Astronomiczném**  
**WARSZAWSKIEM.**

*Lipiec, 1858.*

Lipiec 1858.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser-

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po-  
1<sup>o</sup> 14<sup>m</sup> 45<sup>s</sup>,7 czyli w łuku 18°41'25",5 na

Dnia	Odmiany Księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. sredn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god.rano	god.rano	godz.w.	godz.w.	god.rano	god.rano	godz.w.	godz.w.	
1		749.31	748.92	747.85	747.37	+13°5	+19°2	+20°6	+15°6	56.0
2		747.10	748.19	748.76	749.86	11.6	16.7	18.8	13.8	74.2
3		751.31	751.68	751.40	751.35	15.2	21.0	17.5	14.9	74.3
4		750.94	751.28	750.29	750.52	14.2	22.4	25.8	17.0	76.2
5		750.40	750.54	749.12	749.57	14.1	17.4	19.4	13.3	70.3
6		749.51	749.39	748.43	748.68	15.2	21.8	26.5	16.6	56.2
7		747.88	746.52	743.65	742.16	16.1	24.1	27.6	20.9	50.0
8		745.41	747.93	749.16	750.17	16.5	17.1	24.8	20.5	58.0
9		750.86	750.74	748.97	748.96	17.4	23.9	27.9	20.2	44.3
10	☉	746.36	744.78	743.52	745.74	15.5	25.4	18.9	14.2	63.3
11		745.50	745.88	744.84	744.94	14.2	20.1	24.0	16.5	61.0
12		743.90	743.88	743.89	744.24	16.2	24.4	21.4	19.2	57.0
13		745.29	745.56	745.28	745.14	16.3	17.5	17.6	16.4	82.2
14		745.01	745.47	745.36	746.21	16.1	18.6	23.4	18.3	88.3
15		746.66	746.79	745.07	745.66	17.2	23.5	26.6	20.4	63.2
16		744.86	744.59	744.38	746.48	17.0	19.4	20.4	16.2	93.0
17	☾	746.95	747.65	748.86	751.14	17.3	23.8	25.5	21.7	70.5
18		753.69	754.58	754.67	755.68	17.9	23.4	25.0	20.6	52.0
19		755.87	755.45	753.89	753.20	18.0	25.2	29.4	21.6	53.3
20		752.77	752.75	751.38	751.06	20.2	26.5	29.8	22.3	55.0
21		750.80	750.41	748.75	748.48	21.0	28.2	30.5	21.8	52.7
22		748.22	748.33	746.66	748.34	20.2	27.1	31.4	20.8	56.0
23		750.13	751.14	750.84	751.78	19.3	20.8	22.5	19.6	75.8
24		751.71	751.63	749.09	748.53	16.9	20.6	24.8	20.4	52.7
25		746.41	745.13	741.87	741.33	20.4	25.0	27.8	18.9	60.5
26	☺	744.40	745.37	746.49	748.13	16.5	20.4	22.4	17.5	51.8
27		749.88	750.33	749.76	749.40	15.2	18.3	20.8	14.4	53.7
28		746.93	745.50	742.60	740.73	15.2	22.6	27.1	21.2	51.5
29		739.73	739.89	739.85	740.84	17.9	23.0	25.0	15.5	79.3
30		739.75	738.59	737.36	740.60	15.1	17.4	24.0	15.4	87.5
31		741.40	742.23	742.37	742.53	14.8	18.5	22.3	17.9	74.7
Sre.		747.710	747.778	746.916	747.381	+16°52	+21°72	+24°18	+18°18	64.3

watoryum Astronomiczném Warszawskiem.

ziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie  
wschód względem południka paryzkiego.

S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6	10	4	10	6	10	4	10	dę- szczy	śnie- gu
godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god.w.	god.w.		
napół pog.	lek. zamgl.	napół pog.	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	—		
dészcz	pochmurny	pochmurny	pogodny	—	Z.	PdZ.	Pd.	5.0	
napół pog.	pr. pogod.	dészcz	pogodny	Pd.	PdW.	Z.	—	2.8	
mgła	pochmurny	pochmurny	dészcz	—	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
poch. dész.	pochmurny	pochmurny	pr. pogod.	Z.	Z.	Z.	Z.	2.4	
pogodny	pogodny	pr. pogod.	pr. pogodny	PdZ.	PdW.	PdW.	—		
smugi	pogodny	l. poch. dés.	pochmurny	—	PdW.	PdW.	PdW.		
poch. dész.	pochmurny	pogodny	pr. pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.	3.2	
pogodny	pogodny	napół pog.	pochmurny	PnW.	W.	W.	—		
pogodny	pogodny	poch. dész.	pochmurny	PnW.	W.	PdZ.	Pd.	14.8	
pogodny	pr. pogod.	napół pog.	pogodny	Pd.	PdZ.	Pd.	—		
pogodny	pr. pogod.	pochmurny	pochmurny	—	PdW.	Z.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	poch. dész.	dészcz	PnZ.	Z.	Z.	PnZ.	9.2	
poch. dész.	poch. dész.	poch. dész.	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	28.4	
pr. pochm.	lek. pochm.	pr. pogod.	dészcz	PnZ.	Pn.	PnZ.	Pn.		
dészcz	mży	pochmurny	dészcz	PnZ.	PnZ.	PnW.	Pn.	14.4	
napół pog.	napół pog.	pr. pogod.	pogodny	Pn.	Pn.	PnW.	—	4.4	
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	PnW.	—	—		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	—	—		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	PdW.	—	—		
lek. zamgl.	lek. zamgl.	lek. zamgl.	napół pog.	—	PdW.	Pd.	—		
pogodny	pogodny	pogodny	poch. dész.	—	PdW.	PdZ.	—	1.0	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Pn.	PnZ.	Pn.		
pogodny	lek. zamgl.	pochmurny	pochmurny	PnW.	Pn.	Pn.	Z.		
lek. pochm.	pogodny	pochmurny	poch. dész.	PdZ.	Pd.	PdZ.	PdZ.	8.0	
pogodny	pr. pogod.	pochmurny	lek. pochm.	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
pogodny	pr. pogod.	napół pog.	lek. pochm.	Z.	Z.	Z.	PnZ.		
pr. pogodny	pogodny	lek. pochm.	pochmurny	—	PdW.	PdW.	—		
pochmurny	poch. dész.	poch. dész.	pochmurny	Pd.	—	—	Z.	8.0	
l. mgł. dész.	dészcz	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	PdW.	Pd.	3.6	
pochmurny	poch. dész.	lek. zamgl.	pochmurny	Pd.	Z.	PnZ.	—		

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	747.446	27	7.339
Najwyżej barometr dochodził d. 19 o g. 6 r.	755.87	27	11.074
Najniżej — d. 30 o g. 4 w.	737.36	27	2.869
Średnia zmiana dzienna barometru	2.639		1.170
Największa zmiana dzienna barometru d. 27—28 o g. 10 w.	8.67		3.843
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 32 lat poprzedzających	1.454		0.645
Średnia temperatura lipca wynosi: i ta jest wyżej o	748.900	27	7.984
od stanu normalnego z 32 lat poprzedzających	+ 20° 15 C.	+	16° 12 R.
Największe ciepło było d. 22 o g. 4 w.	1.45	„	1.16
Najmniejsze — d. 2 o g. 6 r.	18.70	„	14.96
Średnia zmiana dzienna temperatury	31.4	„	25.12
Największa zmiana dzienna temperatury d. 9—10 o g. 4 w.	11.6	„	9.18
Termometrogram wskazał:	2.880	„	2.304
Maximum: + 25.2 R. d. 22 po poł.	10.4	„	8.32
Minimum: + 6° 5 „ d. 1 rano.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 70.8, biorąc 100 za zupełne nasytzenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 12.23 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta prawie jest równa normalnej.

Hość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 105.2 mil. czyli 46.63 lin. par.; hość ta wody jest o 5.32 lin. par. większa od tej jaka średnio w lipcu spada.

Dni pogodnych było 6, napół pogodnych 11, pochmurnych 14.

Dni deszczu 17 (d. 2, 3, 4, 5, 7, 8, 10, 13, 14, 15, 16, 17, 22, 25, 29, 30, 31).

— mgły 2 (d. 4, 30).

— grzmotów 5 (d. 10, 14, 16, 17, 29).

— błyskawic bez grzmotów 4 (d. 7, 16, 17, 22).

Wichrów było 1 (1 PdZ).

Wiatrów mocnych 6 (3 Z., 1 PdZ., 1 PnZ., 1 PdW.).

Wiatr panujący Zachodni.

Lipiec r. b. pod względem pogody zbliżał się do stanu normalnego, co do temperatury w pierwszej połowie miesiąca był zmienny, w drugiej gorący, w ogóle przeszło o jeden stopień R. cieplejszy niż zwykle. Dni najcieplejsze były: d. 7, 9, 15, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 25; najchłodniejsze: d. 1, 2, 3, 5, 14, 27. Szególnie trzy dni: 20, 21, 22 odznaczały się wielkiem gorącem, średnia temperatura pierwszego z tych dni dochodziła 19.76 stop. R.; drugiego 20.3 stopni, trzeciego 19.9 stopni. Pod względem stanu nieba miesiąc ten zbliżał się do stanu średniego, albowiem w stanie normalnym, stosunek dni pogodnych, do dni pogodnych i pochmurnych jest jak 5,8:13,1:12,1; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 6:11:14. Dnia 16 o godz. 2 po południu była wieka ulewa w Warszawie, po której wieczorem nastąpiły silne i powtarzane błyskawice. Natężenie średnie elektryczności atmosferycznej dochodziło 16,6 stopni; największe 27 stopni d. 30 z rana w czasie mgły opadającej; najmniejsze 2 stopnie d. 8 i 14.

D. 24 pokazywały się plamy na słońcu.

Największa wysokość wody na Wiśle dochodziła stóp 7 cali 0 d. 21.

Najmniejsza — — — — — stóp 1 cali 6 d. 3 i 4.

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednich, przesyłano telegrafem do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatorium Astronomicznem warszawskiem co dzień o godzinie 7 rano.

Notatki z wycieczek po kraju, z rękopismu ś. p. Władysława Wierczkowskiego. .... 49

Obrazy Dagestanu. III. Powierzchnowość ludu, jego obyczaje i zwyczaje. IV. O obyczajach i zwyczajach, przez Juliana S. .... 86, 577

Życiorys Jerzy Forster. .... 260

Adam Mickiewicz i Puszkina w Odessie, przez K. Zielenieckiego. .... 166

Fryderyk John, rytownik polski i jego prace, przez Ambrożego Grabowskiego. .... 624

Biografia.

Kasztelania połaniecka Kochanowskiego, przez Juliana Karłoszewicza. .... 245

Słowno o bogach litewskich, przez M. Akielawicza. .... 192

Rękopisma Jana Wincetego Bandtkie Steżyńskiego: I. O urządzenie woźnego. II. Skład i formacja chorągwi wojsk polskich, jakie w wieku XVIII istniały. III. O Tatarach. .... 1

Materyały historyczne.

Opiny i podróże.

Spis treści

**SPIS RZECZY**

**ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM**

z r. 1858.

Stron:

## Literatura.

	Stron.
Rozkwit piśmiennictwa polskiego, przez <i>Dominika Szulca</i> .....	26
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Pierwszy tom Pamiętników Guizota. — Monografia Montaign'a, przez Anglika Saint-John. — Les Patens innocens, zbiór powieści Hippolita Babou. — Francuzcy tłumacze Jerozolimy Wyzwolonój: ostatni przekład pana Desserteaux. — Les Amours purs, powieści hrabiny de la Tour-de-Pin. — Obrazy pana Leona Kaplińskiego. — Ristori we włoskiej Fedrze. — Wiadomości literackie.....	129
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Ary Scheller. — <i>Richelieu et la Fronde</i> , Micheleta. — <i>Le Roi Voltuire</i> przez Arsena Houssaye. — <i>De l'origine du langage</i> przez Ernesta Renan. — Wiadomości literackie . . . . .	380
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Paryzkie Muzeum historii naturalnej. — Reorganizacja biblioteki cesarskiej. — Kolej pod-Alpejska. — Sakuntala, balet indyjski Teofila Gautier. — Jan Barf, dramat w Porte-Saint-Martin. — Francuzkie towarzystwo fotograficzne. — Książka Abd-el-Kadera. — Wiadomości literackie.....	692
Kolendy podolskie, przez <i>Eustachego Dulskiego</i> . . . . .	294
Joanna Darc jako przedmiot dramatów: Fryderyka Szyllera i Daniela Sterna. Studium <i>Kazimierza Kaszewskiego</i> . . . . .	323
Trzy podania kaukazkie, przez <i>W. Dawida</i> . . . . .	411

### Powieści.

Wieczorek w sąsiedztwie, szkic <i>Leona Kunickiego</i> .....	491
--	-----

### Poezye.

Proroctwa Dantego. Z angielskiego Lorda Bajrona przełożył <i>Michał Budzyński</i> .....	119
Śmierć Urosza Nemanicza. Duma serbska. Przekład <i>Romana Zmorskiego</i> .....	289
Bianka, przekład <i>Antoniego Czajkowskiego</i> . . . . .	402
Pory życia, przez <i>W. Korotyńskiego</i> .....	565
Chmura na czole, przez <i>R. Zmorskiego</i> .....	717

### Dramat.

Joanna Darc, dramat historyczny w pięciu aktach prozą, przez Daniela Sterna.....	637
--	-----

### Język polski.

Terminologia lekarsko-polska, przez <i>Józefa Orkisz</i> a. . . . .	431
Stanowisko przyszłego badacza mowy, przez <i>Felixa Jezierskiego</i> ..	533



## Sztuki piękne.

Stron.

Chrystus w grobie: posąg naturalnej wielkości z marmuru białego, roboty p. Oskara Sosnowskiego, przez *D. K.*..... 765

## Rozbiory.

- Stanisław Leszczyński i Polska w pierwszej połowie XVIII wieku, przez autora Ukrainy i Zaporozża. Warszawa. 1858. Przez *Leopolda Huberta*..... 170
- Pomniki i widoki Wołynia, Podola i Ukrainy. Kijów, w zakładzie litograficznym *J. K. Wallnera*..... 180
- Czas, dodatek miesięczny, na m. luty, marzec, kwiecień i maj r. b. przez *Wł.*..... 182, 484, 757, 762
- Projekt do Słownika wyrazów obcych, w języku polskim używanych, przez *Ludwika Jenike* i *Edwarda Sulickiego*..... 187.
- Dziś i wczoraj. Rysy biograficzno-obyczajowe i bajki, przez *Onegdajskiego*. Wydał *Antoni Sowa*. 2 tomy. Petersburg. 1858. Przez *Tadeusza Padalicy*..... 454
- Wstąpienie na tron Cesarza *MIKOŁAJA* Igo, opisane z Najwyższego rozkazu przez barona *Korffa*. Petersburg. 1857..... 466
- Historya prawodawstw słowiańskich przez *W. A. Maciejowskiego*. Tom VI. Warszawa. 1858. Przez *W.*..... 468
- Pieśni ludu polskiego, zebrał i wydał *Oskar Kolberg*. Warszawa. 1857. Przez *W.*..... 470
- Ogólne zasady gospodarstwa narodowego, przez *Fr. hr. Skarbka*..... 471
- Kilka zaprzeżeń stosowności Kilku uwag filologicznych pana *Mikućkiego*, i ogólna przestroga, przez *A. Morzyckiego*..... 476
- Ogłoszenie konkursu do napisania Historji włościan i stosunków ekonomicznych w dawniej Polsce,..... 488
- Romanse i powieści *J. Dzierzkowskiego*, przez *A. A. K.*..... 591
- Wieża siedmiu wodzów, pieśń z podania przez *Romana Zmorskiego*, przez *K. Kaszewskiego*..... 740
- Rozbitki, prolog napisany dla sceny polskiej we Lwowie przy jej nowem otwarciu, przez *K. Ujejskiego*. Lwów. 1857. Przez *W.*.... 744
- Wyjaśnienie co do filozofii XVIII wieku, z powodu zdania p. *Bolesława-Wiktora*, przez *K. Kaszewskiego*..... 750

## Nauki przyrodzone.

- Krótki rys historyi naturalnej *Kamieńca Podolskiego*, skreślił *Gustaw Belke*..... 151, 353, 718
- Ozon, czyli kwasoród naelektryzowany, przez *S. E.*..... 196
- Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:
- Chemia, przez *J. B.*..... 222
- Meteorologia, przez *J. B.*..... 225

## Korrespondenecy.

	Stron.
Posiedzenia wileńskiej archeologicznej kommissy dnia 11 kwietnia, 10 maja i 11 czerwca r. b.....	227, 510
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>A. Kirkora</i> .....	229
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, od <i>Tadeusza Padalicy</i> . . .	514
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej o czasopiśmie „Słowo“, przez <i>Zero</i> .....	768
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej w sprawie przywileju Leszka Białego od <i>J. Łepkowskiego</i> .....	773
Posiedzenie oddziału archeologii i sztuk w c. k. Towarzystwie nauko- wem w Krakowie, odbyte dnia 20 kwietnia, 20 maja i 20 czer- wca r. b.....	774
<i>Kronika bibliograficzna</i> .....	230, 315, 779
Doniesienia literackie.....	231, 516, 781
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatorium astrono- miczném warszawskiem:	
za miesiąc maj r. b.....	241
— — — czerwiec r. b.....	529
— — — lipiec r. b.....	789



## Wzrostki wyznaczone.

Książki i broszury wydane przez Komitet Polską, z siedzibą w Warszawie.....	118
Wzrostki wyznaczone w Warszawie, przez <i>Z. K.</i> .....	100
Wzrostki wyznaczone w Warszawie, przez <i>Z. K.</i> .....	100
Wzrostki wyznaczone w Warszawie, przez <i>Z. K.</i> .....	100
Wzrostki wyznaczone w Warszawie, przez <i>Z. K.</i> .....	100

**Biblioteka Warszawska** najregularniej w pierwszych dniach każdego miesiąca na pocztę dla prenumeratorów jest oddawana. Nieregularne dochodzenie zeszytów BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ, nigdy winą redakcyi być nie może. Ktoby jej z prenumeratorów na pocztę nie odbierał w zwykłym czasie, to jest: najpóźniej w tydzień po wyjściu, lub odbierał nieopieczętowaną, z kartami rozciętemi, pobrudzonemi: proszony jest od redakcyi, aby wprost do niej się udawał na jej koszt pod adresem: „Do Redakcyi BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ przy ulicy Daniłowiczowskiej pod Nr. 619.” W razie zaś nieodebrania zeszytów, ażeby do tego dołączył kwit otrzymany pocztamtu, gdzie złożył przedpłatę. Z takim tylko kwitem redakcyja może otrzymać zadosyćuczynienie, ażeby regularnie nadal i niezwłocznie każdy zeszyt dochodził we właściwe miejsce.

Również redakcyja uprasza, aby każdy z prenumeratorów, który nie przez pośrednictwo poczty BIBLIOTEKĘ WARSZAWSKĄ prenumeruje, wrazie nieodebrania zeszytu należnego raczył nieodwłocznie o tem redakcyją zawiadomić.

### Przedpłata na rok 1858:

1. *Przedpłata całkowiata* wynosi na rok złp. 60 (rub. sr. 9).
2. *Przedpłata kwartalna* przyjmuje się za złożeniem złp. 15 (rub. sr. 2 kop. 25) na pierwszy kwartał, i za opłatą przy drugim zeszycie złp. 15 (rub. sr. 2 kop. 25) na kwartał następny. — Przy prenumeracie kwartalnej, prenumerator podpisac winien zobowiązanie, iż na cały rok zaprenumerował BIBLIOTEKĘ i warunkom prenumeraty zadosyć uczyni. Z opłat czynionych i odbieranych zeszytów, prenumerator pokwitowanym będzie na bilecie, którego jeżeli nie okaże, obowiązany jest poprzestać na kontroli w tym celu utrzymywanej.

Na urzędach i stacyach pocztowych w Królestwie zapisywać się można na BIBLIOTEKĘ na rok 1858 za opłatą roczną w ilości złp. 60 (rub. sr. 9), lub *półroczną*, to jest za złożeniem naraz za *dwa kwartały* złp. 30 (rub. sr. 4 k. 50).

W Cesarstwie Rossyjskiem przedpłata roczna z przesyłką pocztową w koportach wynosi rub. sr. 10, które nadesłać trzeba *franco* albo: do Expedycyi Gazet w Warszawie, lub wprost: do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, przy ulicy Daniłowiczowskiej nr. 619.

Zamknawszy pierwszy peryod nieprzerwanego istnienia swojego pisma postanowiła redakcyja, z powodu częstych w tej mierze zgłoszeń, ułatwić późniejszym i nowym prenumeratorom nabycie całego zbioru lub lat pojedynczych, a to przez niższenie ceny. — Odtąd cały 10letni komplet od 1841 do 1850 roku włącznie, złożony ze 120 zeszytów, czyli 40 tomów, można nabyć tylko w redakcyi za połowę ceny prenumeracyjnej, t. j. za złotych 300 (rub. sr. 45). — Komplet z lat pojedynczych 1842, 1843, 1844, 1845 i 1846, odstępuje redakcyja po złotych 40 (rub. sr. 6). Na kompletach z lat 1841, 1847, 1848, 1849, 1850, 1851, 1852, 1853, 1854, 1855, 1856 i 1857 jako znacznie lub zupełnie wyczerpanych, zmniejszenia ceny redakcyja postanowić nie może. — Pojedyncze zeszyty z całego ciągu Biblioteki o tyle tylko mogą być osobno sprzedawane, o ile ich zbywać będzie nad komplety. Cena pojedynczego zeszytu pozostaje niezmienna złotych 5 (kop. 75).

Na przedpłatę całkowiata lub kwartalną na rok 1858, zapisywać się można we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

Pragnąc zapewnić pismu swemu ciągłą pomoc, redakcyja wzywa i najuważniej zaprasza do wspólnej pracy osoby poświęcone literaturze i zawodowi naukowemu. Artykuły nadsyłane z wdzięcznością przyjmiemy, a nawet prace, czyto według umowy z autorem, czy stosownie do zasad, które przyjęła. Żądanie jednak zapłaty powinno być wyraźnie na artykule przez autora zamieszczone.

Autorowie, księgarze i inni nakładcy, których życzeniem jest, aby ich dzieła nakładowe były rychlej wymienione w *Kronice bibliograficznej*, i ocenione w *Kronice literackiej* Biblioteki Warszawskiej, zechcą zaraz po skończonym druku składać tychże dzieł egzemplarz, do kantoru redakcyi przy ulicy Daniłowiczowskiej nr. 619.



	Stron.
Kasztelania połaniecka Kochanowskiego, przez <i>Juliana Bartosze- wicza</i> . . . . .	245
Jerzy Forster. <i>Życiorys</i> . . . . .	260
Kolendy podolskie, przez <i>Eustachego Dulskiego</i> . . . . .	294
Joanna Darc jako przedmiot dramatów: Fryderyka Szyllera i Daniela Sterna. <i>Studjum Kazimierza Kaszewskiego</i> . . . . .	323
Krótki rys historii naturalnej Kamieńca Podolskiego, skreślił <i>Gu- staw Belke</i> (ciąg dalszy) . . . . .	353
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Ary Scheffer. — <i>Richelieu et la Fronde</i> , Micheleta. — <i>Le Roi Voltaire</i> przez Arsena Houssaye. — <i>De l'origine du langage</i> przez Ernesta Renan. — Wiadomości literackie . . . . .	380
Trzy podania kaukaskie, przez <i>W. Dawida</i> . . . . .	411
Terminologia lekarsko-polska, przez <i>Józefa Orkisz</i> a. . . . .	431
POEZYE. Śmierć Urosza Nemanicza. Duma serbska. Przekład <i>Ro- mana Zmorskiego</i> 289. — <i>Bianka</i> , przekład <i>Antoniego Czaj- kowskiego</i> . . . . .	402
KRONIKA LITERACKA. Dziś i wczoraj. Rysy biograficzno-obyczaj- kowe i bajki, przez <i>Onegdajskiego</i> . Wydał Antoni Sowa. 2 tomy. Petersburg. 1858. Przez <i>Tadeusza Padalicy</i> . 454 — Wstąpienie na tron Cesarza MIKOŁAJA Igo, opisane z Najwyższego roz- kazu przez barona Korffa. Petersburg. 1857. 406. — Historia prawodawstw słowiańskich przez W. A. Maciejowskiego. Tom VI. Warszawa. 1858. Przez <i>W.</i> 468. — Pieśni ludu polskiego, zebrał i wydał Oskar Kolberg. Warszawa. 1857. Przez <i>W.</i> 470. — Ogólne zasady gospodarstwa narodowego, przez Fr. hr. Skarbka. 471. — Kilka zaprzeczeń stosowności kilku uwag sło- logicznych pana Mikuckiego, i ogólna przestroga, przez <i>A. Mo- rzyckiego</i> . 476. — Czas. Dodatek miesięczny na m. marzec. r. b. Przez <i>Wł.</i> 484 — Ogłoszenie konkursu do napisania Hi- storii włościan i stosunków ekonomicznych w dawniej Polsce.	488
ROZMAITOŚCI. Wieczorek w sąsiedztwie, szkic <i>Leona Kunickiego</i> .	491
KORRESPONDENCYE. Posiedzenie Kommissyi archeologicznej wi- leńskiej dnia 11 czerwca 1858. 510. — Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, od <i>Tadeusza Padalicy</i> . . . . .	514
KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA . . . . .	515
Doniesienia literackie . . . . .	516
Dostrzeżenia meteorologiczne za m. czerwiec r. b. . . . .	520

Ukończono druk dnia 31 lipca, 1858 roku.